TANIE

ZBIOROWE WYDANIE POWIEŚCI

ELIZY ORZESZKOWÉJ.

Tom XXXI.

Z różnych sfer.

WARSZAWA.
Własność, nakład i druk S. Lewentala.
Nowy Świat Nr. 41.
1883.

Z różnych sfer

Eliza Orzeszkowa

S. Lewental, Warszawa, 1886

Pobrano z Wikiźródeł dnia 17 stycznia 2026

TANIE

ZBIOROWE WYDANIE POWIEŚCI

ELIZY ORZESZKOWÉJ.

Tom XXXI — XXXV.

Z różnych sfer.

TOM I • TOM II • TOM III

TOM IV • TOM V

WARSZAWA.
Własność, nakład i druk S. Lewentala.
Nowy Swiat Nr. 41.
1886.

Дозволено цензурою.
Варшава, 26 Іюля 1886 года.

Tom I

Str.

Początek powieści 1
I Człowiek i lalka 6
II Dziecię i Łapiposag 26
Rozstajne drogi 59
Syn stolarza 169
Obrazek z lat głodowych 205
Szara dola 227

Tom II

Str.

Stracony 1
Dziwak 115
Pani Luiza 201

Tom III

Str.

Sielanka Nieróżowa 1
Daj kwiatek 109
Zefirek 157
Złota nitka 271

Tom IV

Str.

Julianka 1
Czternasta część 115
I • II • III • IV
Silny Samson 209

Tom V

Str.

Milord 1
Widma 111
Bańka mydlana 265

I • II • III • IV

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Eliza Orzeszkowa.*

ELIZA ORZESZKOWA.

Z RÓŻNYCH SFER.

Nowelle i Obrazki.

Tom I.

POCZĄTEK POWIEŚCI.

ROZSTAJNE DROGI.
SYN STOLARZA.
OBRAZEK Z LAT GŁODOWYCH.
SZARA DOLA.

WARSZAWA.
WŁASNOŚĆ, NAKŁAD I DRUK S. LEWENTALA,
Nowy - Swiat Nr. 41.

1886.

SPIS RZECZY.

Str.

Początek powieści 1

I Człowiek i lalka 6

II Dziecię i Łapiposag 26

Rozstajne drogi 59

II • III • IV • V • VI • VII • VIII • IX

Syn stolarza 169

Obrazek z lat głodowych 205

Szara dola 227

Дозволено цензурою.
Варшава, 26 Іюля 1886 года.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Eliza Orzeszkowa.*

POCZĄTEK POWIEŚCI.

Życie człowieka, — to treść do powieści.

W niém są epizody dramatu i komedyi, — źródła łez i wybuchu śmiéchu. W niém są szczególniéj chwile pewne, z których wysnuwają się nici dalszego istnienia. Chwile te stanowczo oddziaływają na przyszłość całą, i potém, kędy się zwrócisz: wokoło siebie, w głębi serca, na tle myśli, — wszędzie dojrzysz ich ślady.

Zejście się mężczyzny z kobiétą bywało dotąd ową chwilą, dostarczającą zwykłéj do powieści osnowy. Poprzez różne zapory i trudy, z tysiącem walk i boleści, powieściopisarz przyprowadzał młodą parę do ołtarza, a niekiedy jedno z dwojga bohaterów składał w mogile.

Dziś powieści, osnute jedynie na owych tragicznych wędrówkach par ku obrączkom ślubnym, spowszedniały, a nawet mało mogą przestawiać prawdy. Dziś niéma już okrutnych ojców, zniewalających córki do zaślubiania bogaczy; klasztory o żelaznych bramach nie zamykają się

za ofiarami rodzicielskiego despotyzmu; dziś bohaterki silniejsze jakoś mają piersi i nie tak łatwo, jak dawniéj, umierają z suchot, a bohaterowie nie drżą przed rozkazami ojców i sami dla siebie wybierają towarzyszki życia. Duch kastowy, nierówność stanów, coraz téż mniéj przedstawiają tła dla tragiki romantycznéj; bo byle nastrój umysłów i serc dwojga ludzi był równym, mało kto już wgląda w heraldyczne szpargały, aby niemi rozłączać zakochaną parę. Zdarzają się zapewne wyjątki. I teraz jeszcze na drodze tych, którzy chcą żyć razem, stają niekiedy przeszkody, wynikające z nadzwyczajnych okoliczności i niewykorzenionych całkiem przesądów. Ale są to już tylko wyjątki, a życie istotne, ogólne, któremu podlegają wszyscy, i w którém w obecnym stanie społeczności najwięcéj dramatu i nauki znaléźć można, to nie krótka wędrówka od spotkania się do ołtarza, ale owa długa wędrówka od ołtarza do mogiły.

Więc dzisiaj opis zejścia się mężczyzny z kobiétą, to jeszcze nie powieść, to tylko *początek powieści*.

Jak w starożytnych tragedyach, przed rozpoczęciem się właściwéj scenicznéj akcyi, chóry zapowiadały w prologu zebranym widzom, jakiego osnucia sztuki spodziéwać się mają; tak przed rozpoczęciem się dramatu życia dwojga ludzi, powieściopisarz, chcący przedstawić życie istotne, opowiedzieć musi prolog ich — spotkanie się, poznanie i powody, które ich połączyły. Namiejętności, interesa, szał, niedoświadczenie, podłość, zbytek szlachetności nawet, najdziwniéj niekiedy ludzi prowadzą. Z początku wszystko pięknie; z zasłoną na oczach idą ku ołtarzowi

niedoświadczenie i szlachetność, a interes i podłość cieszą się ze zdobyczy. Potém... potém rozpoczyna się życie właśnie najciekawsze i najwięcéj nauczające, właściwa treść powieści i dramatu.

Wszakże i początkiem pogardzać nie można. To źródło; warto i jemu się przypatrzyć, aby lepiéj módz pojąć późniejsze i zaradzić złemu. Jakim sposobem naprzykład zejść się mogą mężczyzna-człowiek z kobiétą-lalką, albo kobiéta-człowiek z mężczyzną-robakiem? Dlaczego otaczający podają pomoc tym potwornym związkom? Jak i dlaczego robaki i lalki przywdziéwają maski ludzkie, aby zwieść i usidlić ludzi?

Trzeba to widzieć koniecznie, aby módz pojąć potém dramat przyszłego życia.

Trzeba widzieć, jak się schodzą ludzie, aby wiedzieć, dlaczego późniéj tak, a nie inaczéj, idą ze sobą.

Więc chociaż dla tego, kto piórem chce malować dramata tegoczesnych istnień, głównym wzorem powinno być życie par po odejściu ich od ołtarza, toć przecie kreślenie dróg, któremi ludzie do niego idą, pozostanie koniecznym *początkiem powieści*.

I.
Człowiek i lalka
II.
Dziecię i Łapiposag

*Tekst jest **[własnością publiczną](#) (public domain)**. Szczegóły licencji na stronie autora: [Eliza Orzeszkowa](#).*

I.

Człowiek i lalka.

W jednéj z najpiękniejszych okolic nadbużnych stał przed kilkunastu laty duży, dwu-piętrowy dom, ogólnie przez sąsiadów pałacem nazywany. Zgrabne balkony, wsparte na lekkiéj kolumnadzie, wznosiły się nad dziedzińcem, otoczonym pięknemi gospodarskiemi budowlami. Od ganku do murowanéj bramy, zamykającéj sztachety, w przeciwległe półkola, zginały się dwie, osadzone kwiatami i usiane żółtym żwirem, drogi, jakby ramionami obejmując wielkie koło świeżéj i równéj murawy. Za bramą szeroka biała droga biegła coraz wyżéj, pnąc się na górę, — a daleko, na krańcu widnokręgu, jak okiem zajrzéć, ciągnęły się prześliczne wzgórza, to pokryte lasami, to usiane zbożem. Z za lasów i zwgórków gdzie-nie-gdzie wychylały się wioski, rysując na tle krajobrazu grupy szarych chat i wysokich krzyżów. Z drugiéj strony domu w tysiące wzorów łamały się klomby z kwiatami, a między niemi ścieżki wiodły ku wstędze wązkiéj i bystréj rzeczki, biegnącéj w wężowych kręgach między zielenią krzewów i traw. Daléj stare lipy i smutne jodły tworzyły cieniste ogrodowe aleje, a w śród nich otwierały się szerokie, jasne przestrzenie, oblane słońcem, usiane murawą i kwiatami.

Miejsce to, nazywające się Próżnowo, wraz z kilku wsiami i obszernemi łanami pól, należało do pana Swatowskiego.

Pan Andrzej Swatowski miał w owéj porze lat przeszło 50, majątek wynoszący blizko milion, córkę jedynaczkę i opinią *porządnego człowieka*. W dwudziestym roku życia, skończywszy siedm klas szkół gimnazyalnych, zaczął gospodarować w majątku ojcowskim. Po śmierci rodziców ożenił się i pojechał parę razy za granicę. Wróciwszy z ostatniéj podróży, postawił dom, zwany w okolicy pałacem, sprowadził piękne meble, powozy i dwie guwernantki cudzoziemki dla swojéj jedynaczki. A że gospodarstwo szło mu dobrze, że nie grał w karty, nie pił i wyraźnie nikogo nie krzywdził, z żoną żył bardzo przykładnie i córkę bardzo starannie wychowywał, za te wszystkie cnoty swoje jakże nie miał otrzymać nazwy porządnego człowieka?

W roku 1857, w połowie Czerwca, pola zieleniły się, kwiaty żywemi jaśniały barwami, słońce oświecało ziemię ciepło, radośnie.

W ładnym salonie próżnowskiego domu, wielki bronzowy zégar oznajmił trzecią godzinę po południu. Pan Swatowski, w-pół leżąc na fotelu, oddawał się codziennemu poobiedniemu spoczynkowi. Na okrągłém i rumianém jego licu rozlewał się spokój zupełny; wąsy sumiaste, nieco siwe, pokrywały usta, złożone jakby do smakowania potrawy. Głowę miał wspartą na poduszkach fotelu, a ręce splecione spoczywały na zaokrągleniu figury, która przez regularny sen i posiłek przybrała dość znaczne rozmiary.

W rogu salonu, na małéj kanapce, z francuzkim

romansem w ręku, siedziała kobiéta około lat czterdziestu. Pani Leokadya Swatowska piękną była-by jeszcze, gdy-by nie wyraz pychy i chłodu, zalewający twarz jéj i mówiący przez wpół zmrużone oczy. Córka dawnéj, arystokratycznéj a zrujnowanéj rodziny, z wychowaniem skrzywioném, przyzwyczajona do zbytków i błyskotek, wyszła za mąż nie z popędu serca, ale dlatego, że pan Swatowski miał znaczny majątek. Pan Andrzej zaś ożenił się z nią dla stosunków, a że oboje nie mieli skłonności do marzeń i pragnieniem nie wybiegali po za rzeczywistość, dobrze było pani Swatowskiéj z majątkiem pana Swatowskiego, i panu Swatowskiemu ze stosunkami pani Swatowskiéj. Oboje cenili wysoko to, co nabyli. Pan Andrzej często mówił o arystokratycznych stosunkach swoich, brzmiącemi imionami imponując słuchającym sąsiadom; pani Leokadya ubierała się bogato, z głębi miękkich foteli rozkazywała licznym sługom, jeździła często za granicę, i wróciwszy, o niéj tylko mówiła.

Między śpiącym ojcem i czytającą romans francuzki matką, w białéj, lekkiéj sukience, z wachlarzem w drobnéj rączce, przechadzała się panna Zofia Swatowska. Piękne było bardzo to ośmnasto-letnie dziéwczę. Wysmukła i kształtna, lice miała przezroczystéj białości. Włosy bardzo jasne wznosiły się wysoko, jakby aureolą promieni, a dziwną sprzecznością, czarne brwi i czarne długie rzęsy otaczały duże, szafirowe oczy, to pałające tysiącem ogni, to wabne, łzą jakby zamglone. Usta małe, karminowe, jakby gałązka korali, rozkwitały śród białéj twarzyczki; głos miała dźwięczny, srebrny, mowę dziwnie miękką,

pieszczoną. Wychowana przez matkę dumną, próżną i pamiętającą o swojém wysokiém pochodzeniu, od dzieciństwa uczyła się próżności i dumy. Bony i guwernantki od kolébki mówiły jéj o piękności, bogactwie i blasku, jako o jedynych dobrach ziemi. Uczono ją czterech obcych języków, muzyki, rysunku, tańców; uczono, jak się ma znaléźć w każdém towarzystwie, jak ma siedzieć, chodzić, stawać i mówić, aby jéj ruchy i słowa miały jak najwięcéj arystokratycznéj dystynkcyi.

Mając lat siedmnaście, skończyła wychowanie. Mówiła obcemi językami, grała na fortepianie, śpiéwała dźwięcznie i słodko; wiedziała, jak w towarzystwie odróżnić ludzi według sfer, kiedy i komu uchodzi, albo nie, podać rękę, uśmiechnąć się, przemówić uprzejmie. O dziejach, naturze, o poważnych prawdach życia, najlżejszego nie miała wyobrażenia; rodzinnym językiem z trudnością wypowiadała myśli; o gorących a zacnych uczuciach nie zasłyszała nawet. Słowem, córka porządnego człowieka i arystokratki z rodu, była piękna... piękna kobiéta-lalka.

Kiedy po raz piérwszy włożyła sukienkę dorosłéj panny, i M^{-me} Lacour, ostatnia z guwernantek, opuściła Próżnowo, Zofia pobiegła do swojego pokoju, stanęła przed dużém lustrem i długo patrzała na swoję postać, wdzięcznie uśmiéchniętą w zwierciedlanéj szybie. Powiodła dłonią po aureoli jasnych włosów, poprawiła osuwające się na ramiona warkocze, uśmiéchnęła się, podniosła główkę i zawołała:

— Śliczna jestem!

Potém zaśmiała się przeciągłym, śrebrnym śmiechem, i

nuta walca wpół skoczna, wpół tęskna w tysiącznych spadach wypłynęła z różanych ustek. Za chwilę lekka, wesoła, zbiegała z szerokich schodów; biała sukienka owijała ją jak obłoczkiem, a myśl walcowym wirem krążyła około jednych wyrazów: w świat! w świat bogactwa! w świat blasku i wielkości!

Pan Andrzej usypiał w fotelu snem błogosławionych, pani Leokadya zamknęła książkę i z roztargnieniem patrzała przed siebie, Zofia zaś przechodziła od okna do okna, uderzała się wachlarzem po ręku, śliczne usta złożyła z wyrazem niezadowolenia, a na białém czole zarysowała się lekka zmarszczka.

— Mamo, — rzekła po chwili, zbliżając się do matki, — nudzę się!

Pani Swatowska podniosła głowę, spojrzała na córkę i odrzekła:

— *Ma chère*, każ konie założyć i jedź na spacer.

— Nie chcę jechać na spacer, mamo, — z niecierpliwością zawołała Zosia.

— Więc graj albo czytaj, — mówiła znów matka

— *Oh, j'en ai assez* muzyki i czytania! Chcę ludzi, towarzystwa, świata... nudzę się!

— Przyjedzie dzisiaj pan Warzecki, to cię rozerwie. *Je crois, qu'il vous fait sa cour*. Jeżeli się o ciebie oświadczy, wyjdziesz za niego, a będzie ci daleko weseléj. On jest bogaty i ma dobre w świecie stosunki. *C'est un mariage tout à fait sortable pour vous*

Gdy pani Swatowska wymówiła te słowa, ocknął się pan Andrzej i przetarł oczy.

— O panu Warzeckim mowa, o ile się domyślam, — rzekł, poziéwając.

— Tak, — odpowiedziała pani Leokadya; — Zosia nudzi się, my dla niéj do miasta wyjechać nie możemy. *Il faut la marier*. Pan Warzecki, zdaje mi się, zupełnie odpowiada warunkom dobréj partyi. Znam jego krewnych na Wołyniu, ma piękny majątek *et l'extérieur tout à fait distingué*.

— Chłopoman! — mruknął pan Andrzej.

— To prawda, — mówiła znowu pani Leokadya, — *que sa tournure d'esprit n'est pas taut à fait aristocratique*. Niéma się jednak czém zastraszać. Pan Warzecki, choć chłopoman, gospodaruje dobrze, jak mówiła mi sąsiadka jego, marszałkowa Z. Cóż ty na to wszystko, Zosiu?

— *Je trouve, maman*, że pan Warzecki strasznie jest nudny ze swoją powagą. Bywa tu często; ani razu żadnéj miłéj nie powiedział mi grzeczności. Kiedym mówiła mu, że nudzę się na wsi, on, zamiast przyznawać, jak inni panowie, żem stworzona do wielkiego świata i uwielbień, a nie do ciszy wiejskiéj, zaczął prawić o książkach, pracy, o szczęściu i zadowoleniu w jakiémś uczuciu, jak mówił, serdeczném i gorącém. Myślałam, że usnę!... *Mais enfin, quoique il m'assomme avec sa morale*, gdybym była pewną, że po ślubie powiezie mię za granicę, a potém, że będziemy mieszkali w Warszawie, *je serais prête à l'epouser*.

— Bądź pewna, że tak będzie, — zawołała pani Swatowska. — *Un homme de race, comment donc! C'est toujours si galant!* zrobi, co zechcesz...

— Za prędko, za prędko, moje panie, — przerwał pan Andrzej. — Warzecki nie oświadczył się jeszcze o Zosię, a

jeżeli się i oświadczy, trudno wprawdzie odrzucać taką partyą, przecież wolał-bym kogo innego na zięcia.

W téj chwili na szerokiéj drodze zbiegała z góry czwórka siwych koni, zaprzężonych do wołyńskiego wózka.

— Otóż i jedzie! — zawołała pani Leokadya.

— Ale nie pan Warzecki, — rzekła Zofia, patrząc w okno.

Pan Andrzej wstał i zaczął się téż przypatrywać. Czwórka szybko zbiegła z góry, i po chwili była już na dziedzińcu.

— To Michał Starski! — zawołał pan Andrzej, wytaczając się z salonu na spotkanie gościa.

— Michał! — powtórzyła pani Swatowska.

— Kuzynek Michaś! — zawołała Zofia.

Drzwi się otworzyły, i wszedł mężczyzna średniego wzrostu, szerokich ramion, z włosami jasnemi, wpadającemi w rudawy kolor, z okrągłemi, blado błękitnemi oczyma.

— Jak się ma ciocia? — rubasznie zawołał u drzwi i, zbliżywszy się, głośno ucałował rękę pani Swatowskiéj.

— Dzień dobry, kuzyneczko! — rzekł, zwracając się do Zofii. — Od roku nie widziałem kuzynki. Jakże wyładniała! Już, dalibóg, śliczna panna!

Zofia zimno podała rękę panu Michałowi, który złożył i na niéj głośny całus.

— Pewno bez obiadu? kiedyż z domu? jak się mają znajomi? — pytał pan Andrzej.

Gość usiadł, prosił o obiad i zaczęła się rozmowa.

Pan Michał Starski był krewnym pani Swatowskiéj.

Silny, barczysty, z białém, szerokiém czołem i okrągłemi, rumianemi policzkami, był, w pospolitém znaczeniu tego wyrazu, przystojnym mężczyzną; ale umysłowe kształcenie się swe skończył, niestety! na pięciu powiatowych klasach, i młodość przepędził śród polowań, jarmarków i odwiedzin sąsiadów lub krewnych. Po śmierci rodziców odziedziczył niewielki i zadłużony majątek ziemski. Mimo zaniedbanego wychowania i małego funduszu, piękne imię i liczne stosunki dały mu pewną pozycyą w świecie, i ogólnie utrzymywano, że, aby został całkiem porządnym człowiekiem, brakło mu tylko w układzie pewnych cech arystokratycznych, startych z niego śród jarmarków i hulanek z przyjaciołmi różnych sfer.

Niezbyt go téż lubiła za ten brak arystokratycznéj dystynkcyi pani Swatowska; ale pan Andrzej imponował sąsiadom pokrewieństwem ze Starskimi, lubił więc i pana Michała, który to imię nosił. Wiedząc o bardzo krytycznym stanie jego majątku, postanowił wydźwignąć Starskiego ze złych interesów, i za najstosowniejszy ku temu środek uznał wezwanie w pomoc bożka hymenu.

— Jakież tam u was urodzaje? — zapytał pan Andrzej.

— Złe; pszenica wymarzła, jarzyny poschły.

— A w Jałówce?

— Gorzéj niż wszędzie.

— To źle z tobą, panie Michale.

— Oj źle, źle panie Andrzeju. Kredytorowie na karku siedzą, niech ich dyabli wezmą! Trzeba będzie wziąć bizun za pas i pójść na ekonoma.

Pani Swatowska powąchała flakonik z perfumami.

— *Fi donc*! co téż to mówisz, kuzynku! — wyrzekła pogardliwie.

— Na ekonoma! *fi donc*! — powtórzyła Zosia.

— A i cóż uczynię, proszę cioci, jak mi Jałówkę zabiorą? A nastąpi to niezawodnie, bo długu bankowego mam zaległe dwie raty, prócz prywatnych opłat, których i nie zliczę. Sprzedadzą majątek z publicznego targu.

— Poczekaj, może się znajdzie na to rada, — odezwał się na to pan Andrzej. — Czy otrzymałeś mój list?

— Otrzymałem, i właśnie na wezwanie przybywam.

— Jeżeli tak, to wiész, że możesz tu doskonale się ożenić. Toby wszystko uratowało. Panna młodziutka, kaprysić nie będzie, a rodzice z chęcią wydadzą ją za ciebie, bo to parweniusze, Żytowscy, a ty przecież Starski. Posag zaś co się zowie!...

— Lolę Żytowską swatasz Michałowi? — rzekła pani Leokadya. — To dobra partya.

— A ile ma posagu? — spytał pan Michał.

— Dadzą jéj zaraz 80 chat, śliczny majątek! Oprócz tego Żytowscy mają niezły folwark, w którym mieszkają, i podobno kapitały.

— Mniejsza o kapitały. Ośmdziesiąt chat, nie bagatelka! Ale czy tylko panna za mnie wyjdzie?

— Już ja w tém... pomówimy.

Drzwi się otworzyły, lokaj zaprosił do stołu. Przy obiedzie pan Michał jadł za czterech; perspektywa wyjścia z kłopotów dodawała mu apetytu.

— Wyborny u ciebie kucharz, panie Andrzeju, — mówił, zajadając. — Ale, ale, przywiozłem ci dwie sarny. Kiedym

otrzymał twój list, wychodziłem na polowanie. Myślę sobie: jeżeli co zabiję, panna moja, jeżeli nie, dostanę harbuza. Ledwiem wszedł do lasu, słucham, Doskocz goni! Wypuściłem Lutnią i stanąłem na przesmyku; aż i sarna skacze. Strzeliłem! ani tchnęła! Myślę sobie: dobrze!... Jeszczem się nie ruszył z miejsca, aż i druga! Fuzya do oka... paf w nią... i wyciągnęła cztery łapy! Kazałem wziąć obie i przywiozłem tutaj. Dobra wróżba, panie Andrzeju, nie prawdaż?

Obadwaj *porządni ludzie* mieli błonki oczne skłonne do wypuszczenia łez; gdy więc pan Michał, uniesiony wdzięcznością, rzucił się w objęcia pana Andrzeja, obaj wydobyli z kieszeni chustki do nosa, i obiad skończył się rozczuleniem publiczności, jak wielkopostne kazanie księdza proboszcza. Panie nie były obecne przy téj rzewnéj scenie, a z salonu dochodził srébrny głos Zofii, śpiewającéj pieśń o Kalinie.

Po obiedzie pan Andrzéj i pan Michał naradzali się o jutrzejszéj wyprawie do państwa Żytowskich, pani Leokadya czytała romans, leżąc na kanapie, a Zofia poziewała, bawiąc się wachlarzem i chodząc po pokoju, gdy na drodze, z góry, ukazała się znowu czwórka koni, ale czarnych, i zaprzężonych do ładnego koczyka.

— Pan Warzecki jedzie, — zawołała Zofia, patrząc w okno.

Pani Swatowska wyprostowała się na kanapce, pan Andrzej wybiegł na ganek. Koczyk zajechał przed dom, i po chwili wszedł do salonu mężczyzna, około lat trzydziestu, kształtnéj postaci i poważnych ruchów. Czarne

włosy trochę niedbale spadały mu na wysokie i nieco opalone czoło; czarne, ogniste oczy patrzały z wyrazem zamyślenia i pewnéj dumy, a nawet surowości. Ten-to wyraz dumny a surowy był jedynym zarzutem męzkiéj i pięknéj twarzy wchodzącego, ale przy uśmiechu, rzadkim wprawdzie, znikał zupełnie, i serdeczna dobroć zalewała lica młodego człowieka.

Pan Wacław Warzecki, właściciel znacznego majątku, wychował się w stolicy. Kilka lat młodości przepędził na uniwersyteckich pracach; z pojęciem i zamiłowaniem badał naturę, dzieje ogólne i wszelkie nauki, rzucające światło na cudowną budowę ludzkości i świata. Po ukończeniu uniwersytetu, długo podróżował; znał stolice Zachodu i Południa, wiele widział i czytał, więcéj jeszcze myślał i rozważał. Ztąd na twarzy jego rozlał się wyraz surowości i powagi; śmiał się rzadko, mówił poważnie i treściwie. Trudny do zawierania związków przyjaźni, badawczo zaglądał w serca ludzkie. Nazywano go za to dumnym i zimnym; ale on mało zwracał uwagi na pochwały i nagany, a jeżeli komu raz podał dłoń przyjaźni i szacunku, dla tego już zawsze serce miał otwarte z radą i pociechą, i ramię, gotowe do pomocy. Kwestye społeczne zajmowały go żywo, wzbudzając w nim wiele głębokich rozmyślań, i właśnie to zamiłowanie kwestyi społecznych miał mu za złe pan Andrzej; więc téż i teraz ceremonialnie raczéj niż uprzejmie wprowadził go do salonu.

Wacław ukłonem powitał panie, a po wzajemném przedstawieniu, zimno podał rękę Michałowi. Zofia usiadła przy matce i ogólna rozpoczęła się rozmowa.

Ubranie, ruchy i sposób mówienia Wacława, obok smaku i powagi, nacechowane były znajomością najoświeceńszych towarzystw, co nieskończenie podobało się pani Leokadyi. Zosia, chociaż znudzona powagą gościa, z przyjemnością jednak na jego piękną twarz spoglądała. Pan Andrzej tylko, jak ciężar, niósł w sercu chłopomanią młodego człowieka; pan Michał zaś, onieśmielony grzecznym ale zimnym układem i pełną myśli rozmową przybyłego, usunął się ku oknu, a blademi oczyma patrząc na płynące chmury, myślał o pannie Żytowskiéj, która ukazywała się jego wyobraźni, otoczona uroczym wieńcem swoich ośmdziesięciu chat.

Po herbacie Zofia usiadła do fortepianu i poważne melodye Mendelssohna popłynęły z pod jéj ręki. Pani Swatowska wyszła z salonu, pan Andrzej z panem Michałem rozmawiali w przyległym pokoju, Wacław zaś stał naprzeciw Zofii, z założonemi na piersi rękoma, wsłuchany w muzykę, zamyślony. Przez otwarte okno płynęły do salonu potoki woni różanéj, łącząc się w powietrzu z tonami cichéj, miękkiéj muzyki; po niebie przesuwały się obłoczki złote; zachodzące słońce purpurą rysowało krańce widnokręgu. Zofia, w białéj sukience, z szafirowym kwiatem nad skronią, z rumieńcem, wywołanym muzyką i rozmową, bardzo była piękna. Wacław zwiedził wiele krajów, zachwycały go czarnookie Włoszki i zgrabne Paryżanki, ale zawsze tęsknił za czémś inném, marzył o jasnowłosém, młodém i czystém dziewczęciu, z przezroczystém licem i szafirowém okiem, które-by jego mówiło językiem, pojęło go i kochało nieskażoną duszą.

W obcych stolicach i w gorących południa krajach, wśród atmosfery miłości i blasku, płonącą wyobraźnią marzył Wacław o lekkiéj, białéj, jasnowłoséj dziewczynie, i myślał, że znajdzie ją tylko pośród swoich. Wrócił do kraju i poznał Zofią; zachwyciły go piękne formy dziewczęcia; zdało się mu, że wyczytał w jéj oczach skarby miłości i rozkoszy, że w głosie dosłyszał harmonią uczucia i słodyczy. Dojrzał on wprawdzie fałszywy kierunek, jaki nadano jéj sercu i myślom, ale témbardziéj żałował pięknego kwiatu, nieumiejętną pielęgnowanego ręką; zapragnął wyrwać Zofią ze sfery próżności i głupoty, ogrzać jéj serce siłą własnego uczucia, podnieść ją, uszlachetnić, ukochać i postawić na piedestale ideału kobiéty.

Pieścił Wacław to marzenie swoje, i dla niego porzucił z wiosną postępową gospodarkę, którą się był niedawno zajął, prace swoje i swój piękny pałacyk, a przyjechał do domu siostry, aby ztamtąd często widywać Zofią.

Zalotna i piękna dziewczyna przykuwała go co raz mocniéj do siebie. Przy nim biegléj mówiła po polsku, wkładała w oczy wyraz tęsknego zamarzenia, który wabił tysiącem obietnic, w mowę wlewała miękkie i słodkie tony. Wiedząc, że Wacław lubi muzykę cichą i poważną, grywała mu śpiewy Mendelssohna, Szopena, śpiewała smutne piosenki Szuberta. Wacław coraz bardziéj rozkochany, wpatrywał się w głąb' jéj oczu, wsłuchiwał się w głos, i odjeżdżał zawsze upojony, pieszcząc wspomnienie chwili, w któréj dotknął białych palców dziewczyny, podając jéj kwiat zerwany, albo téj, w któréj spotkały się ich

spojrzenia, i zdało się jemu, że w oczach Zofii były obietnice miłości i szczęścia.

— O, gdyby ona mnie kochała! — myślał zawsze Wacław, opuszczając Próżnów. — O, gdy-by tylko mnie kochała! nauczył-bym ją myśléć i kochać to, co sam miłuję. Uniósł-bym ją z atmosfery głupoty i próżności, podniósł ku sobie i ku światłu. Gorącém tchnieniem moich pocałunków wlał-bym w jéj piersi wszystkie miłości moje i wiary; byłbym jéj kochankiem i nauczycielem, jéj mistrzem i jéj stróżem. Ale czy ona mnie kocha?!...

Uczucie paliło mu piersi, nadzieje pieszczące, to znowu gorzkie obawy, rozrywały głowę. Raz tworzył sobie obrazy pełne niewysłowionego wdzięku, jak wśród ciszy swego pięknego domu będzie uczył Zofią prawd życia, których dotąd nie znała, jak będzie jéj tłómaczył cuda natury i opowiadał dzieje ludzkości, jak gorącą pieszczotą rozgrzewać będzie jéj serce młode, ale chłodem owiane. Marzył, że Zofia, wkrótce podniesiona, stanie obok niego, jako rozumna i silna towarzyszka, i będzie dzieliła jego prace, myśli i dążenia; że ręka w rękę pójdzie z nią poprzez bóle i radości ziemskie, osłaniając ją męzkiém ramieniem i wzajemnie z ust jéj pijąc rozkosz życia, ze słów słodkich czerpiąc zachętę i pociechę.

To znowu gorzka obawa obręczą bólu ściskała mu serce. A może Zofia go nie kocha? Może nie poda mu ręki na wspólną wędrówkę? Może od moralnéj nędzy rodziców przejdzie do człowieka im podobnego; wtedy na zawsze upadnie, a on pojedzie do pustego domu, z tęsknotą i gorzkim żalem.

Silna, bogata była natura Wacława. Zdolny czuć potężnie, gwałtownie nawet, umiał jednak wśród uczucia zawładnąć sobą. Dotąd myślał on zawsze, że miłość dla kobiéty nie powinna pochłaniać całkiem istnienia poważnie myślącego człowieka. Stawiał on kobiétę bardzo wysoko, jako dozgonną towarzyszkę mężczyzny, równą mu prawem i rozumem, dzielącą z nim całą treść życia; ale myślał, że miłość dla niéj nie powinna, nie może być jedyném uczuciem życia, jedynym celem wszystkich pragnień i walk. To téż, gdy po kilko-miesięczném bywaniu w Próżnowie zajrzał w głąb' siebie i przebiegł ów czas, upłyniony w miłosném rozmarzeniu, uznał, że pora już była skończyć sprawę swojego serca i wrócić do prac rozpoczętych. A choć wewnętrznie pragnął oddalić stanowczą chwilę, zdrowa myśl przemogła i przyjechał tym razem do domu państwa Swatowskich, aby stanowczo oświadczyć się o rękę Zofii i, bądź co bądź, z nią czy bez niéj, wrócić do życia godniejszego mężczyzny.

Zofia grała długo, Wacław zadumany wpatrywał się w jéj twarz. Słońce zaszło, zmrok zaczął zapadać; zaczynała się pora, tak trafnie u nas nazwana szarą godziną. Pani Swatowska nie wróciła jeszcze do salonu, pan Andrzej z panem Michałem rozmawiali półgłosem w przyległym pokoju. Rozmowa między dwoma *porządnymi ludźmi* toczyła się o domu państwa Żytowskich, o młodéj Loli i jéj 80 chatach. Ostatni przedmiot był niewyczerpany. Pan Andrzej opowiadał panu Michałowi o gruntach poleskich, o doskonałości tamecznych lasów, — dodając często:

— Znam ja, znam Polesie; bywam tam u hrabiny O. i u

marszałka Z.

Tymczasem Zofia przestała grać i jedną tylko ręką wydobywała z klawiszy oderwane tony. Wacław usiadł przy niéj.

— Przyjechałem tu dzisiaj, — rzekł, — aby powiedziéć pani ważne słowo i zadać bardzo téż ważne pytanie.

Zofia podniosła głowę, śliczny uśmiech otworzył na-pół jéj usta i ukazał białe ząbki. Spojrzała na Wacława pytającym wzrokiem i odrzekła:

— Słucham pana.

Lekko zsunęły się brwi młodego człowieka. Jakby walcząc z wewnętrznym bólem, potarł ręką czoło; — ale po chwili wyraz nieopisanéj słodyczy i miłości zalał mu twarz, — schylił się do Zofii i, głęboko patrząc w jéj oczy, rzekł:

— Kocham panią i pytam, czy chcesz być moją żoną?

Zofia pochyliła głowę. Przez chwilę trwało milczenie.

Zmrok zapadał coraz ciemniejszy, przez otwarte okna płynęły wonne tchnienia kwiatów i przeciągłe echa dalekiéj, żałośnéj pieśni ludowéj.

Po chwili Zofia podniosła głowę, uderzyła nóżką o posadzkę, a szybko powstawszy, podała obie ręce Wacławowi i rzekła:

— Oto moja odpowiédź! Niech pan o naszéj rozmowie powié moim rodzicom.

Wysunęła ręce z dłoni Wacława i szybko, lekko, jak biały śród zmroku obłoczek, wybiegła z salonu.

Młody człowiek, upojony, szczęśliwy, zbliżył się ku otwartemu oknu. Ciepły, wonny wiatr owiał mu twarz gorącą; wpatrzył się w błękitne niebo, na którém

gdzieniegdzie mrugały gwiazdy nocne, i pełną piersią pił powiew letniego wieczora. W myśli jego przesuwały się obrazy przyszłości, pełnéj szczęścia i spokoju, przyszłości z myślą, pracą i miłością. Życie witało go radośnie, jak różany promień wschodzącego słońca wita pragnącą światła ziemię. Rozumny, kochany, bogaty, wszak wszystkie uroki życia miał posiąść.

W tém — z dala, z powiewem cichego wiatru, przypłynęły smutne nuty ludowego śpiewu. Przykrém wrażeniem pieśń ta owiała Wacława; pochylił czoło, zadumał się. Dlaczego w chwili, gdy widział przed sobą otwarte życie nadziei i szczęścia, tęskne echo tchnęło nań smutkiem? Czemu pieśń żałosna przypłynęła do jego ucha wtedy właśnie, gdy mu życie najżywiéj zaśpiewało hymn wesela?

Wniesiono światło, wrócili do salonu państwo Swatowscy, a po chwili z zarumienioném licem weszła Zofia.

Czy uderzyło serce w jéj 18-letniéj piersi? Czy, gdy podawała ręce Wacławowi, uścisk jego gorącéj dłoni obudził w niéj struny życia? Gdyby Wacław patrzał w głąb' jéj istoty, jęknął-by z rozpaczy i ściskając swoje męzkie serce, aby nie pękło od żalu, porzucił-by kobiétę-lalkę. Zofia była wychowaną w Próżnowie, i kiedy Wacław obejmował ją wzrokiem gorącym, ścigał płonącemi oczyma, w jéj myśli roiły się obrazy przyszłéj swobody, niedalekich zabaw, i blasku, i gwaru, i tłumów, bijących przed nią czołem. Wpatrywała się w te rojenia swoje, a twarz jéj się rozpromieniała i rozmarzało oko, i piękną była,

jak nigdy. Tak była piękną, że nawet kuzynek Michaś, stojąc z daleka i pokręcając rudawe wąsy, pomrukiwał:

— Dalibóg, ładna kuzynka! Niech ją dyabli, co za oczy!...

Około północy koczyk pana Warzeckiego biegł znowu po szerokiéj drodze, pod górę. Wacław odjeżdżał po oświadczynach, przyjęty, szczęśliwy.

W salonie Próżnowa, pani Swatowska mówiła do męża:

— *Mon cher*, trzeba myśléć o wyprawie dla Zosi. Za tydzień pojedziemy do Warszawy.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Eliza Orzeszkowa.*

II.

Dziecię i Łapiposag.

O dwie mile od Próżnowa, między pięknemi sosnowemi lasami, stał dwór państwa Żytowskich. Dom jednopiętrowy, drewniany, gankiem na czterech słupach opartym patrzał na zielony dziedziniec i wybiegającą z niego, wijącą się wśród lasów, drogę. W koło dziedzińca, drewniane, szare zabudowania, wyglądały z poza krzewów rosnących gęstemi klombami, z za włoskich topoli, wysoko strzelających ku niebu. Ogród nie wielki, przerznięty kilku cienistemi alejami, dotykał także lasu, w którym, na ciemném tle jodeł i sosen, jak dziewice w białych sukienkach, stały białą korą ubrane brzozy. Poza lasami dopiéro odkrywały się pola żyzne, pszeniczne, sławne obfitością urodzajów. Mnóztwo dróg i dróżek, najeżonych korzeniami drzew i wijących się między kolumnadą gładkich, grubych i wyniosłych sosen, wyprowadzało z lasu na równinę otwartą, széroką, jak okiem zajrzéć, usianą zbożem, albo pokrytą kwiecistą barwą łąk. Daleko na krańcu widnokręgu, szare wioski strzelały ku niebu wysokiemi krzyżami, a wązki pas lasów i sine wzgórza rysowały na tle obłoków nierówne zęby.

Piękne są podobne zakątki, ciche, milczące, wonne zapachem łąk i owiane szumem lasów. Przejeżdżając przez

Żytów, podróżny z miłém wrażeniem mógł wsłuchywać się w tajemniczy szept sosen, ścigać okiem białe sukienki brzóz i oddychać wonném lasów powietrzem. Zdawało się, iż echo nawet od świata walk i ludzi nie może doleciéć do téj wiejskiéj ustroni, że w niéj życie powinno płynąć cicho i słodko, między błękitem niebios i zielenią drzew.

Do zupełnéj piękności natury w Żytowie brakło tylko rzeki, jeśli nie szerokiego koryta Niemna, to przynajmniéj jednéj z tych wązkich a bystrych rzeczek, które, wijąc się w wężowe zakręty, z szumem spadają ze wzgórz, albo, płynąc po równinach cichemi falami, zielone łąki opasują wstęgą błękitu, pożyczonego od nieba.

O tym braku jednak nie myślał właściciel litewskiéj ustroni, był to bowiem człowiek całkiem nie poetycznych usposobień i marzeniami niesięgający ideału.

Traf, figlarz wielki, często ludziom dziwne wyrządza psoty. Wśród prześlicznych wzgórz i lasów, w okolicy pełnéj uroku i poezyi, osadza czasem człowieka z ołowianą myślą i kamienném sercem, który nietylko nie uwielbi tych otaczających go piękności, ale ich nawet nie dojrzy. Ludzi zaś, z duszą pragnącą piękna, z myślą pojętną i żywą, ludzi, którzy tęsknią za ideałem, a w piękném otoczeniu podnoszą się i doskonalą, rzuca na piaski i wydmy jałowe, na błota i płaskie, nudne równiny.

Ten-to właśnie traf figlarny osadził w pięknym Żytowie wysokiego i chudego, z długą, żółtą twarzą i małemi, czarnemi, złośliwemi oczkami, pana Jana Żytowskiego. Syn okolicznego szlachcica, p. Żytowski nauczył się u wiejskiego proboszcza czytać, pisać i rachować, późniéj z

ekonoma wyszedł na komisarza i ciemnemi drogami, których źródła i rozmaite kierunki kryją się przed ogółem, zebrał znaczne pieniądze. Handelek końmi, ciche zmowy i spółki z przemyślnymi Żydkami, czasem przechowanie kontrabandy, wzięcie porękawicznego za korzystną dla nabywcy, a niekorzystną dla dziedzica, sprzedaż albo dzierżawę, — oto były elementa składowe sum, za które pan ex-ekonom nabył Żytów. Dodać do tego trzeba wyrachowane, wytrwałe, niczém niedające się zrazić skąpstwo i mnóztwo środków i środeczków zbierania pieniędzy, które, jak podziemne płazy, kryją się w najgłębszą ciemność, unikając słonecznych promieni.

W kilka lat po nabyciu Żytowa, kupił pan Jan piękny i duży majątek Bławacin, od zrujnowanego pana, który go musiał sprzedać za bezcen. Pozostał jednak w Żytowie, a 80 chat poleskich wydzierżawił za 5,000 rs. rocznie.

Kiedy mu dzierżawca corok odwoził pieniądze, pan Żytowski, po przerachowaniu ich, wołał do żony:

— Duszko! śliczny będzie posażek dla Lolki! Złapiemy jéj jakie hrabiątko na męża, będzie wielką panią dziewczyna!...

Pani Żytowska, blada i powolna kobiéta, z krzyżem na piersi i różańcem na ręce, odpowiadała zawsze na te wykrzykniki mężowskie:

— Będzie tak, jak Bóg zechce, mój Jasiu.

To: „jak Bóg zechce“ i: „dla miłości Pana Boga,” było osnową, wolą i myślą całego życia pani Żytowskiéj. Z ubogiego szlacheckiego domu, młodą będąc i dość ładną, wyszła pani Magdalena za komisarza Żytowskiego, bo jéj

rodzice powiedzieli, że taką snadź była wola Pana Boga.

Po ślubie kochała męża, choć ją często łajał i skąpstwem męczył, bo myślała, że nie kochać go, było-by to obrażać Pana Boga. A kiedy biédaczka poczuła żal do małżonka za niesprawiedliwe i przykre obejście się, albo, zmęczona życiem ciężkiéj pracy i odmawiania sobie wszystkiego, pomyślała, że mogłaby szczęśliwszą być z p. Ignacym albo Antonim, którzy się ongi do niéj adresowali, — to wnet, po rachunku sumienia, szła piechotą o mil kilkanaście do cudownego miejsca i na klęczkach po kilkadziesiąt razy obchodziła ołtarz, błagając Boga o przebaczenie ciężkich popełnionych grzechów. Po przeniesieniu się do Żytowa, z razu zakłopotana nieco była nowém położeniem, ale wkrótce oswoiła się z niém, przybrała układ naturalny i poważny, a blada, powolna, zimna, w białym czépeczku i ciemnéj wełnianéj sukni, niczém nie raziła.

Kiedy jedyna córka państwa Żytowskich dorosła lat 10-ciu, pan Jan osądził, że trzeba wychować ją *po obywatelsku*; ale że koszt utrzymania nauczycielek uważał za zbyt znaczny, pozostał środek oddania jéj na pensyą.

Pani Żytowska o innym zakładzie, jak o klasztornym, i słuchać nie chciała, a to pragnienie matki zgadzało się i z wolą ojca Loli.

Pewnego więc dnia pani Żytowska wyjechała z córką do Warszawy, i za dni kilka wprowadziła ją na uczennicę do klasztoru panien Wizytek. Gdy powierzyła jedynaczkę opiece zakładu i pożegnała ją uśmiechem, raz jeszcze zwróciła się ku przełożonéj i ze złożonemi błagalnie rękoma prosiła, aby wychowano jéj dziécię

przedewszystkiém pobożnie. Przełożona, kobiéta wysokiego wykształcenia, przyrzekła gorliwéj w wierze matce, że w serce jéj córki wszczepioną będzie religia, ale że przytém i innych środków wykształcenia dziewczynki nie zaniedbają. Furta klasztoru zamknęła się za panią Żytowską, a zakonnica z bladą i łagodną twarzą, przytuliła do piersi płaczącą Lolę, pocałowała ją w czoło i przez długie kurytarze zawiodła do sali, w któréj poleciła nowoprzybyłą opiece nauczycielek i przyjaźni towarzyszek.

Sześć lat zbiegło Loli w klasztornych murach. Obdarzona żywém pojęciem i gorącą wyobraźnią, kształciła, stroiła umysł. A kiedy wesołe towarzyszki biegły od pracy do zabawy, lekkie i swawolne, trudno było nie odróżnić między niemi zadumanéj dziewczynki, choć wesołéj, ale zawsze jakby marzącéj.

Do ciemnookiéj Loli często zbliżała się zakonnica, przełożona zakładu, brała ją za rękę i wiodła ze sobą przez kurytarz i ogrody, miękką dłonią pieszcząc lice dziewczynki, nauczając ją długo a słodko. Wysokie sklepienia długich, niknących w cieniu kurytarzy, odgłosy śpiewów pobożnych, posępném echem wśród ciszy nocnéj dochodzące do sypialni dziewczynek, blade lica i czarne zasłony zakonnic, słodkie a smętne rozmowy przełożonéj, rozbudzały gorącą z natury wyobraźnią Loli, poetyzowały ją i rozmarzały. Nauki zwracały wprawdzie jéj umysł od marzeń ku myśleniu, ale świat rzeczywisty, świat ludzi i życia pozostawał dla niéj zagadką tajemniczą i ciekawą, którą jéj wyobraźnia stroiła w uroki i cuda zaczarowanych, bajecznych krain.

Kiedy po 6-ciu latach, pani Żytowska przywiozła córkę z Warszawy do Żytowa, podziwiano wiadomości i piękną mowę dziewczęcia i z zachwyceniem słuchano jéj czystéj, cichéj a miękkiéj muzyki.

Drobnéj postaci, ciemnych, dużych oczu i bladego lica, Lola nie była piękną, ale uroczą jakoś i wdzięczną. Było to dziécię słodkie, uległe i marzące, z żywém pojęciem, z sercem gorącém, ale słabe, poddające się wpływom, potrzebujące wsparcia, nauki życia, kierunku.

Gdy przybyła do Żytowa, pan Jan z dumą słuchał jéj płynnéj, czystéj mowy i harmonijnéj muzyki, a patrząc na drobną postać, blade lice i małą, zgrabną rękę córki, wołał do żony:

— Duszko! arystokratka dziewczyna, dalibóg arystokratka! Mówiłem, że będzie z niéj wielka pani.

Pani Żytowska spoglądała na córkę i odpowiadała:

— Jak będzie wola Pana Boga. Wychowało się dziecko w klasztorze, powinno być pobożne.

Pobożną téż była Lola. Poważne śpiewy zakonnic, wspaniałe celebry biskupie i długie nauki kapłanów tchnęły w jéj duszę gorącą wiarę. Żywa wyobraźnia ukazywała jéj Boga, odzianego purpurą wszechmocy, oblanego światłem mądrości i łaski. Lubiła myśléć o jasnych i pięknych aniołach, którzy zstępują z nieba, aby stróżami zostać ziemskich, ludzkich dróg, — i gdy zamykała do snu oczy, nieraz jéj się zdawało, że czuje na licach wonne tchnienie anioła stróża, i że, jak niegdyś w kolébce, tak na jego miękkiém skrzydle kołysana usypia. Modliła się rzadko i krótko, ale gorąco, i słowami, które żywemi potoki płynęły

z jéj serca. Religia dziewczęcia była miłością i poezyą, jak całe jéj czyste a gorące serce.

W piérwszych dniach pobytu w rodzicielskim domu, bawiła się Lola nowością położenia, powagą dorosłéj panny, swobodą rozporządzania się czasem. Ale im bardziéj oswajała się z nowém życiem, tém więcéj odkrywała sprzeczności między tém, co ją otaczało, a marzeniami swojemi. Będąc w zakładzie, mało pamiętała rodziców; gdy ich opuszczała, dziesięcioletni umysł nie zdawał jéj sprawy z niczego. Marzyła więc o ojcu poważnym, rozumnym, nauczającym, o matce słodkiéj, kochającéj, pojmującéj każdą jéj myśl i uczucie. Przykro uderzyły ją gospodarskie krzyki pana Żytowskiego, jego grube obejście się z domownikami i wykrzykniki podziwu nad jéj arystokratyczną powierzchownością, których niedorzeczność całą pojmowała. Zimne obejście się pani Żytowskiéj mroziło serce młodéj dziewczyny; długie litanie i koronki, odmawiane wspólnie, nudziły ją i więziły. W krótce poczuła się w otoczeniu zimném, jakoś nie swojém, i smutek, piérwszy smutek życia, owiał jéj serce.

Pan Żytowski po pewnym czasie przestał podziwiać córkę i oddał się nanowo gospodarstwu. Pani Żytowska, jak zwykle, powoli przesuwała się przez pokoje, odmawiając różaniec, albo dzwoniąc kluczami; cicho więc i smutnie płynęły dni dla Loli. Gość rzadko zawitał do domu pana Jana, a chociaż dwóch czy trzech konkurentów zjawiło się w cichéj ustroni, że byli to ludzie niebogaci i skromnych imion, pan Jan zrażał ich odrazu przyjęciem, gorzéj niż zimném i odprawiał z niczém, — bo powiedział sobie, że

córka jego musi być wielką panią, a on teściem arystokraty z rodu.

Nudno było młodéj dziewczynie, samotno jakoś i tęskno. Latem wybiegała do lasu, siadała na wzgórzu i zadumana patrzyła na drogę, biegnącą w dal, myśląc, że ona wiedzie w świat széroki, piękny, nieznany. Zimą, tęsknie schylona nad krosienkami, myślą odbiegała od barwnéj roboty daleko, albo, rozgrzewając tchnieniem zamarzłe szyby okien, patrzała na drogę, czy nie dojrzy jakiego gościa, który-by przywiózł echo od ludzi i przerwał nudną, ciężką jednostajność dnia. W Żytowie były książki, bo pan Jan, kwalifikując się na porządnego człowieka, uznał za konieczne sprowadzić kilka romansów francuzkich i polskich powieści, aby leżały na stole. Czytała więc Lola, co znalazła w domu rodziców, a czytanie to bardziéj ją jeszcze zaciekawiało do świata i zrażało do otaczającéj rzeczywistości. Grała wiele, w tę grę wlewała tęsknotę swoję i marzenia; a nieraz, przy dźwiękach pieśni Szopena albo Schuberta, kilka łez, piérwszych łez życia, spadło z jéj oczu na białe klawisze fortepianu. Tak upłynął rok cały; Lola skończyła lat siedmnaście.

W r. 1857, w połowie czerwca, nazajutrz po przybyciu do Próżnowa pana Michała Starskiego, na drodze, prowadzącéj do żytowskiego dworu, szybko toczyły się dwa powozy. W piérwszym jechała wystrojona i drzémiąca pani Swatowska, a obok niéj znudzona, co chwila wyglądająca przez okno karety, Zofia. Daléj, w małym i lekkim koczyku, siedział rozparty, z cygarem w ręce, pan Andrzéj, a przy nim barczysty i bladooki, zasępiony

myślami o zadłużonéj Jałówce, pan Michał. Kiedy z jasnéj, zalanéj słońcem i falującéj zbożem, równiny, wjechali w chłodny, cienisty i pachnący las, pan Swatowski wyprostował się, rzucił cygaro, zmierzył okiem wysokość sosen, a wychylając się nieco z powozu i rozglądając po lesie, zawołał:

— Co za sosny! masztowe drzewo, panie. Każda kłoda najmniéj 5 rs. warta, bo i spław niedaleko. Śliczny las! a takiego włók ze 20 w Żytowie. Cóż ty na to, Michasiu?

To mówiąc, zwrócił się do towarzysza. Pan Michał, znużony jazdą i myślami o Jałówce, zamknął był przed chwilą oczy i, kołysany lekkim ruchem powozu, zdrzémnął się. Na głos pana Andrzeja przetarł oczy i spytał:

— Co mówisz, panie Andrzeju?

Pan Swatowski ruszył ramionami i rzekł z niecierpliwością:

— A rozbudź-że się, Michasiu! co za nieszczęśliwe przyzwyczajenie do drzémania! Jak się zaspany pokażesz, panna najpewniéj da ci harbuza. Przypatrz się lasom, które, jak się spodziéwam, będą twoją własnością.

Michał przeciągnął się, przetarł oczy, ziéwnął szeroko i rzekł:

— Dyabelnie gorąco jechać! Nim przyjdzie do małżeństwa, człowiek porządnie się umęczy. Gdybyż przynajmniéj co z tego było!...

Po chwili, na ganku żytowskiego domu, pan Jan nizkiemi ukłonami witał gości.

— Witam, witam szanownego sąsiada dobrodzieja! kopę lat nie widziałem! do nóżek ścielę się pani dobrodziéjki!

rączki całuję panny Zofii! Królewna, panie, coraz piękniejsza! A gdzież to moja żona i córka?... musiały wyjść do ogrodu, ale wnet wrócą. Nie spodziewały się dzisiaj szczęścia powitania tak szanownych gości. Proszę do salonu, proszę tymczasem do salonu!...

Przy tych wszystkich wykrzyknikach, uniżony gospodarz ściskał ręce pana Swatowskiego, pomagał paniom zdejmować w przedpokoju okrycia i kapelusze, a rzucając na wszystkich biegające, złośliwe spojrzenia małych czarnych oczu, z ciekawością zwracał je na Michała, któremu, jako nieznajomemu, tylko się był ukłonił.

Pan Swatowski z nieco dumną grzecznością przyjmował uniżone ukłony ex-ekonoma, a wskazując mu Michała, rzekł:

— Przedstawiam tobie, panie Janie, pana Michała Starskiego. Przybył wczoraj z Wołynia i chce zaznajomić się z tutejszém sąsiedztwem. Przywiozłem go najprzód tutaj, aby się przyjemnie zabawił.

Na dźwięk imienia Starskiego, słodko przymrużyły się oczki pana Jana; zgiął się wpół nizkim ukłonem, w obie dłonie pochwycił dużą rękę pana Michała, a trzęsąc nią i zmrużonemi oczkami patrząc w twarz gościa, wołał:

— Pan Starski w mojéj chatce! co za honor! Wdzięcznym, wdzięczny nieskończenie! Witam pana Starskiego dobrodzieja, polecam się łaskawéj znajomości! Niech pan raczy wejść, niech państwo wejdą!...

I otwierał drzwi salonu, i kłaniał się, i zapraszał.

Salon w Żytowie nosił na sobie cechę usposobień właściciela. Wszystko w nim tchnęło pretensyą do

wykazania bogactwa, a razem skąpstwem i brakiem smaku. Kosztowne obicie różowo-ceglastego koloru pokrywało ściany; u drzwi i okien rozpościerały się ciężkie, adamaszkowe firanki, żółtą barwą kłócące się z obiciem; zielone sztory wlewały trzeci, sprzeczny żywioł w mieszaninę kolorów. Meble starannie pokryte były płóciennemi zasłonami, na posadzce leżały dywany duże, ale w najgorszym gatunku. Fortepian, przywieziony z Lolą z Warszawy, ukazywał tylko palisandrowe nogi, całą postać mając oszytą płótnem; krzesła stały w porządku, równo, pod ścianami, jak żołnierze na musztrach; wchodzący mógł myśléć, że nigdy poruszanemi nie bywały. Na stolikach między oknami leżały książki, stykając się z sobą równo, porządnie i symetrycznie.

W tym sztywnym i kłócącym się barwami salonie, w kilka chwil po przybyciu państwa Swatowskich znaleźli się zebrani gospodarze i goście. Pani Żytowska, w swoim białym czépeczku i ciemnéj sukni, powolną rozmową bawiła strojną i dumną panią Leokadyą; gospodarz opowiadał gościom o urodzajach i zapytywał pana Michała o grunta, lasy i spławy wołyńskie; panienki, ująwszy się pod ręce, wybiegły do ogrodu.

Lola samotna, stęskniona do towarzyszek młodych, z radością spotkała Zofią, którą już wprzód widziała kilka razy. Zofia, światowa i dumna, mało znajdowała przyjemności w towarzystwie dziewczyny, wychowanéj w klasztorze, nieznającéj świata, nieśmiałéj. Wdzięczna jednak i sympatyczna powierzchowność Loli pociągała ją nieco; zresztą pochlebiała jéj żywa radość, jaką młoda

rówieśniczka okazała z jéj przybycia, i spojrzenie uwielbienia, którém ją przy powitaniu okryła. Gdy więc ręka w rękę wyszły do ogrodu, żywa między niemi zawiązała się rozmowa.

Nigdy przyjaźń nie zawiązuje się tak szybko, ufność nie obudza tak łatwo, jak w bardzo, bardzo młodym wieku. Zaledwie rozkwitające serce nie zna ciemnych stron ludzi, pragnie ukochania, nie przypuszcza fałszu, oddaje się szczerze i ślepo. Wprawdzie owe przyjaźnie młode, krótkie są najczęściéj i nietrwałe. Doświadczenie dojrzalszego wieku zdziéra zasłonę z oczu, ukazując niedostatki tych, których młoda wyobraźnia okryła pięknością bez skazy. Zrywają się więc łatwo, łatwo zawiązane zamłodu, stosunki; — ale po nich nazawsze, jak tęcza duszy, zostaje w głębi serca pełne młodego uroku wspomnienie.

Dwie młode panienki chodziły szybko po cienistéj alei. Promienie słoneczne, przedzierając się przez splecione gałęzie drzew, ozłacały niekiedy ich czoła. Zofia, w śnieżnéj, przezroczystéj sukni, z purpurowym kwiatem w jasnych włosach, słuszna, śmiała i dumna, była wspaniale, przedziwnie piękną. Lola niższa, drobnych i delikatnych kształtów, z dużém, ciemném okiem, w lekkiéj, błękitnéj sukience i z białą różą w czarnych warkoczach, mniéj piękna, bardziéj była słodka, urocza. Patrząc na piérwszą, trzeba było klęknąć w podziwie, albo szaléć żądzą i namiętnością; drugą można było ukochać słodko a głęboko i w rozkoszném rozmarzeniu przytulić do piersi.

— Czy wiész, Lolciu, — mówiła Zofia, — że za tydzień wyjedziemy z mamą do Warszawy?

— Doprawdy? — zawołała Lola — Jakaś ty szczęśliwa, Zosiu, że tam będziesz! Mnie tak tęskno do Warszawy! tyle tam moich towarzyszek. A tu... tu...; dodała ciszéj, — tak smutno!..

— Prawda, że ci smutno być musi w Żytowie. Ale pewnie wkrótce wyjdziesz za mąż, to się i nudy skończą. *A propos*, zgadnij, poco jadę do Warszawy?

— Aby się dobrze zabawić?

— Niezupełnie dlatego.

— Więc dla podróży tylko?

— *Non pas, ma toute belle*.

— Może chcesz widzieć teatr?

— *Non pas*.

— A więc uczyć się jeszcze?

— *Fi donc*!

— To już doprawdy nie wiem, poco jedziesz.

— Zgadnijże, zgadnij!

— Nie zgadnę.

Zofia mocniéj oparła się na ręku towarzyszki, spojrzała jéj figlarnie w oczy i rzekła:

— Po wyprawę!

— Po wyprawę! — zawołała Lola, — więc idziesz za mąż?

— Za kilka miesięcy, *ma mignonne*. Wczoraj oświadczył mi się pan Warzecki i przyrzekłam mu.

Lola uścisnęła Zofią i mnóztwo zadała jéj pytań.

— Jak wygląda twój narzeczony? czy dobry, czy rozumny, czy piękny? Czy bardzo go kochasz?

— Mądry, jak Salomon, — odpowiadała narzeczona, —

piękny, jak Apollo, mówią, że bardzodobry, — a czy go kocham? *entre nous soit dit*, *il m'embete quelquefois*. Strasznie poważny! Ale, jak mama zwykle mówi: *l'amour vient après le mariage*.

I długo, długo opowiadała Zofia młodéj towarzyszce o wszystkich błyszczących marzeniach swoich. Lola słuchała; obrazy ludzi i świata, tego świata, którego była tak spragniona i ciekawa, jak w magicznéj latarni przesuwały się przed jéj oczyma w słowach Zofii.

I długo, długo jeszcze młoda narzeczona mówiła o pięknéj wyprawie, jaką będzie miała, o ślubnéj sukni, wieńcach, brylantach, koronkach, a Lola szła obok niéj ze schyloném czołem, zadumana; — Któż mnie ukocha, kto mi da to wszystko, kto mnie wprowadzi w ciepły, jasny świat? O, gdyby prędzéj!....

Gdy wreszcie zawołano na herbatę i młode towarzyszki weszły do salonu, pan Michał piérwszy raz uważnie spojrzał na Lolę. Lubił on słuszne, silne, o żywych rumieńcach i wydatnych kształtach kobiéty; drobna więc, blada i jakby smutna dziewczyna, wydała się mu prawie brzydką. Ale gdy przypomniał sobie wołającą o ratunek Jałówkę, ośmdziesiąt chat stanęło mu w oczach na miejscu, gdzie siedziała Lola i, udając zajęcie, blademi oczyma zaczął się w nią wpatrywać.

Gdy zmrok zapadł, powozy państwa Swatowskich toczyły się drogą, wiodącą do Próżnowa, a pan Andrzéj, wypuszczając z ust dym cygara, pytał Starskiego:

— Cóż, panna nieszpetna, nieprawdaż?

— Blada jakaś i nikła, at, stworzenie Bozkie! Ja! panie,

lubię dziewczynę jak piwonią, kiedy krew tryska z twarzy, uroda w sosnę, a wesołą. Ta panna Żytowska zamyślona jak rabin, a blada jak suchotnica.

— To cóż? Może nie chcesz się z nią żenić? z niezadowoleniem zapytał pan Swatowski.

— A cóż to ma jedno do drugiego? — przerażony pytaniem zawołał pan Michał. — Gdybyś, szanowny panie Andrzeju, znalazł na drodze woreczek brzydki, ale pełen pieniędzy, wziąłbyś go sobie i schował do kieszeni, nieprawdaż?

Wpół złośliwie, wpół z zadowoleniem, uśmiechnął się pan Andrzéj i odpowiedział:

— Niezawodnie, gdybym szczególniéj, jak ty, miał zadłużoną Jałówkę.

Księżyc srebrnemi promieńmi zalewał drogę; po łąkach, daleko, biała mgła rozlała się, jakby wielkie jezioro; wśród cichéj i pięknéj natury, potworną sprzecznością brzmiała rozmowa dwóch *porządnych ludzi*.

W salonie żytowskim, po wyjeździe gości, pan Jan mówił do żony:

— Duszko, tęgi ten Starski! Jaki to być musi gospodarz! Całą godzinę opowiadał mi o wołyńskich pługach. Starscy, to wielka familia, panie! A jaki popularny! tak się ze mną na ganku całował, aż mi gęba zabolała. A zaraz znać, że pan z panów, bo u nich wszystkich myśliwstwo, to rzecz konieczna, — a on tylko o polowaniu mówi.

Zamilkł po monologu pan Żytowski, włożył ręce w kieszenie i, z widoczném zadowoleniem na twarzy, przechadzał się po salonie. Po chwili stanął przed żoną i

rzekł:

— Duszko! a gdyby ten Starski pomyślał o naszéj Lolce?

Na to pytanie Lola, która dotąd stała oparta o okno, patrząc w zamyśleniu na piękną noc letnią, drgnęła i zwróciła się ku ojcu.

— Duszko, a gdyby on pomyślał o naszéj Lolce? — powtórzył pan Jan, patrząc na milczącą żonę.

Pani Żytowska poprawiła na głowie czépeczek i rzekła powoli:

— Zdaje się, że to jest bardzo porządny człowiek,, Zresztą, będzie tak, jak Pan Bóg zechce, mój Jasiu.

Dalszego ciągu rodzicielskiéj narady nie słyszała Lola. Wychyliła się przez okno, patrzała w głęboki szafir nieba i myślała.....

Myślała... któż opisze myśli rozmarzonego dziecka które sobie własnych pragnień wyraźnie określić nie umié, a którego dusza cała rwie się ku miłości, swobodzie i światu? Kto określi myśli młodziuchnéj, tęskniącéj a niedoświadczonéj dziewczyny, gdy jéj po raz piérwszy powiedzą: oto człowiek, który cię ukocha i wywiedzie z samotności, tęsknoty i chłodu, na światło, na radość, na promienie!...

W parę dni potém pan Michał sam jeden zjawił się w Żytowie i, w imieniu swoich krewnych, zaprosił państwa Żytowskich do Próżnowa. Tym razem zbliżał się do Loli, zapytywał ją, jak czas przepędza? czy bywa w sąsiedztwach? zauważył, że dnie czerwcowe są bardzo długie, nareszcie prosił ją, żeby zagrała. Dziewczyna, z lekkim rumieńcem na bladéj zawsze twarzy, usiadła do

fortepianu. Śliczny walc Schulhoffa rozległ się po salonie i kilka chwil czyste nuty szalały walcowym wirem. Potém łagodnym spadem żywa muzyka spłynęła w coraz poważniejsze tony, i fortepian zaśpiewał pełną gorącego uczucia aryą z Łucyi; — nareszcie śpiéw miłosny zmieniał się powoli w coraz pełniejsze akordy i z pod palców grającéj zabrzmiała pieśń rycerska, marsz tchnący energią i męztwem.

Państwo Janowstwo w czasie muzyki córki wysunęli się do przyległego pokoju; Michał siadł na fotelu, wsparł głowę na dłoni, układając się w zadumaną postawę.

Z razu nuta walca bawiła go nieco; potém początek miłosnéj aryi wprowadził go w stan blizki drzémania; na trzecim takcie ziéwnął, na piątym zamknął oczy i w samym środku przekleństw Edgara, miła drzémka ogarnęła go całkiem. Dłoń, jakby w zamarzeniu zsunięta na oczy, pokrywała jego stan istotny. Głośny, rycerski marsz nie rozbudził go jeszcze; dopiéro kiedy zabrzmiały huczne akordy finału, drzémiący ocknął się nagle, a przestraszony myślą, że ktokolwiek mógł spostrzedz jego stan senny, roztworzył: szeroko oczy, gwałtownie zerwał się z krzesła i, jednym susem przesadziwszy cały salon, stanął przy fortepianie. Lola przelękła się gwałtownego skoku, ale, widząc wprzód marzącą postawę Michała, sądziła, że muzyka pogrążyła go w poetyczną zadumę, a niespodziewany sus z fotelu do fortepianu naiwna dziewczyna przypisała w myśli gwałtowności wrażenia, jakie jéj gra wywarła na młodym człowieku.

Gdyby ta katastrofa, wydarzona w żytowskim salonie,

mogła być znajomą w świecie, posłużyłaby za naukę konkurentom nie-melomanom, aby muzyki swoich wybranych nie słuchali w miękkich fotelach i z dłonią na oczach, bo mogą uledz pokusie snu; — a młodym i naiwnym dziewczynom, aby zbyt nie ufały marzącym postawom pretendentów, bo pod niemi kryje się często bezmyślny i bezwładny sen.

Z Próżnowa Lola wracała do domu, zamyślona i marząca.

Zofia, chodząc z nią po salonie, rzekła półżartem:

— Moja miła, zdobywasz serca! Mój kuzynek Michał tak się w tobie zakochał, że nie chcę wracać do domu. *Tu n'as qu'à vouloir, et tu seras M^me^ Starski*.

A pan Michał, usiadłszy przy niéj, powiedział półgłosem, że, wróciwszy ostatni raz z Żytowa, śnił niebo i piekło, i że w jéj mocy było dać mu jedno, albo pogrążyć go w drugiém. Ten katechizmowy komplement zasłyszał był gdzieś w wołyńskiém sąsiedztwie i w naglącéj okoliczności zużytkował dla siebie.

Dziéwczę więc, jadąc do domu, marzyło: Może on mnie bardzo kocha, może on mnie tak kocha, jak pan Warzecki Zofią! Ciekawam, kiedy się oświadczy!... I myślała: co tu robić? wyjść za niego, czy nie wyjść? Wprawdzie on mi się nie bardzo podoba, najpewniéj nie kocham go... o nie, co za myśl!... nie kocham go najpewniéj.... ale.... nie mam téż do niego wstrętu.... W Żytowie tak nudno, tak smutno, a on mnie powiedzie w świat daleki, na Wołyń; tam podobno są góry piękne i ludzi wesołych wiele... Tak mi teraz zimno na świecie, tak tęskno ciągle... On mnie musi bardzo kochać...

on mnie upieści, do serca przytuli!....

Patrzała w niebo pełne gwiazd, ścigała okiem cienie drzew, — i znowu myślała: Ależ ja go nie kocham! co tu robić? co tu robić?...

Czemuż wówczas jaki mądry i dobroczynny głos nie szepnął do ucha Loli zbawczéj rady? Czemu jaka kochająca ręka nie zdjęła z jéj ocz zasłony niedoświadczenia i błędu? Czemu ten anioł-stróż, o którym, usypiając, marzyć lubiła, nie starł wtedy z jéj myśli obrazu pana Michała?.... Niestety! Ojciec Loli, wsparty na poduszkach powozu, chrapał, śpiąc snem głębokim; matka odmawiała różaniec, — a anioł-stróż?... Aniołowie przemawiają do ludzi tylko w poetycznych bajkach dziecinnych!....

Zaledwie dwa tygodnie upłynęły od przybycia pana Michała do Próżnowa, gdy w okolicy głośno mówiono o konkurach pana Starskiego do panny Żytowskiéj. Niektórzy przebąkiwali, że to zrujnowany człowiek, niemający nic, oprócz pańskiego imienia i odłużonéj wioszczyny; rozsądniejsi zwracali uwagę na to, że podobno bardzo zaniedbane otrzymał wychowanie i zanadto lubi jarmarczki i handelki; byli i tacy, którzy szczerze żałowali ładnéj i sympatycznéj dziewczyny, dla rubasznego i ciężkiego karyerowicza.

Wszystkie te nagany i pożałowania były jednak ciche i nie dochodziły do mało nawiedzanego Żytowa; a gdyby doń i doszły, niewieleby pomogły, bo panu Janowi bardzo się podobał popularny i całujący, że aż gęba bolała, Starski, a pani Żytowska w przybyciu i zamiarach młodego człowieka widziała wyraźną wolę Pana Boga. Byli téż

sąsiedzi, którzy połączenie się ze Starskimi uważali za bardzo zaszczytne dla Żytowskich, i winszowali ex-ekonomowi świetnéj perspektywy małżeństwa córki. Po każdém z podobnych powinszowań pan Żytowski prostował się, brał się w boki i wołał do żony:

— Duszko! czy śniło się kiedy tobie, że będziesz miała zięcia Starskiego? Dalibóg, szczęśliwa dziewczyna! Ależ-bo, panie, stworzona na wielką panią; blade to i delikatne, jak hrabiątko! Cóż ty na to duszko?

Duszka, przechodząc powoli przez pokój z kluczami w ręku, poprawiała na głowie biały czepek i odpowiadała mężowi:

— Snadź taka była wola Pana Boga, mój Jasiu! Niech będą Jemu dzięki za wszystko!

Pan Michał często przyjeżdżał do Żytowa, a nauczony doświadczeniem, nigdy już nie rozpiérał się w fotelu w czasie muzyki Loli, o którą prosić miał sobie zawsze za obowiązek. Zato stawał naprzeciw grającéj przy oknie i, blado-błękitnemi oczyma ścigając po niebie obłoki, myślał jakby najprędzéj skończyć na kobiercu nudne konkury, — albo machinalnie liczył włoskie topole ogrodu, ponad innemi drzewami rysujące się na tle nieba.

Lola, grając, ukradkiem rzucała nań spojrzenia i myślała: Jak on lubi moję muzykę! zawsze mnie o nią prosi. A jak się zamyśla, kiedy gram! tak się zawsze we mnie wpatruje! O, on mnie bardzo kocha!

W szybkim pasażu drobną rączką przebiegała klawisze i, kształtnemi paluszkami wydobywając miękkie akordy ukraińskiéj pieśni, znowu spoglądała na Michała. — Jakie

on ma niełądne włosy, — myślała, — jakieś rude! Nie podoba mi się, że on tak groźnie mówi i takich niełądnych używa wyrażeń. To brzydkie przyzwyczajenie!

Tu wypadała jakaś trudność muzyczna; grająca zwracała uwagę na nuty i przestawała myśléć o niezupełnie miłych stronach swojego pretendenta. A po jego wyjeździe, z główką pełną zmieszanych myśli, biegła do lasu na wzgórek i tęskno patrzyła na drogę. Serce jéj nie rwało się wcale ku temu, co nią pojechał przed chwilą; ale od ciszy i samotności domowéj biegło w świat inny, wesoły, wymarzony. Długo siedziała na wzgórzu, z głową o dłoń opartą, ze wzrokiem utwionym w dalekie zakrety drogi, a wstając i zwracając się ku domowi, myślała:

— Pójdę za niego! dosyć już nudnego i zimnego życia! Wprawdzie nie kocham go, ale on mnie kocha, więc go uszczęśliwię, a przecież Zosia mówi: *l'amour vient après le mariage*!

Pewnego pięknego lipcowego dnia, przed ganek w Żytowie zajechał znów koczyk pana Swatowskiego. Pan Andrzej, chociaż spocony i zmęczony lipcowym upałem, więcéj był ożywionym i grzeczniejszym niż zwykle; ściskał pana Żytowskiego, panią Janową pocałował w rękę, a kłaniając się Loli, patrzał na nią z dobroduszną czułością. Pan Michał uroczyście jakoś wyglądał, wyświeżony, wyperfumowany, z szerokim krawatem w kraty ponsowe i zielone, zawiązanym na ogromną kokardę.

Odrazu usiadł przy Loli, trzymającéj wzrok na rozpoczętym hafcie; wydobył z piersi głębokie, trzypiętrowe westchnienie, a schyliwszy okrągłą i rumianą

twarz ku blademu licu dziewczęcia, zaczął mówić zniżonym głosem:

— Są chwile w życiu człowieka.....

Tu zabrakło konceptu. Spojrzał na sufit, spojrzał na piec i myślał: co u licha!..

Lola zwróciła oczy na zakłopotanego pretendenta, a przewidując oświadczyny, których się spodziewała, przypisała jego zmieszanie się silnemu wzruszeniu, i z taktem nadała inny kierunek rozmowie, zapytując o Próżnów, o Zosię. Tymczasem pseudo-zakochany młodzieniec, lepiéj obmyśliwszy formułę wypowiedzienia swoich *quasi*-uczuć, wypalił ją jednym tchem, poczém znowu głęboko, trzema coraz cichszemi spadkami, westchnął.

Po kilku chwilach Lola zarumieniona wybiegła z salonu, a pan Michał wstał z krzesła, tryumfująco poprawiał ogromną kokardę swego krawatu.

Tymczasem pan Swatowski, wziąwszy pod rękę gospodarza, przechadzał się z nim po przyległym pokoju.

— Porządny chłopiec, — mówił, prowadząc daléj rozpoczętą rozmowę, — złote serce i z pięknéj familii.

Pan Jan czule przymrużył złośliwe oczki i rzekł:

— A już to, łaskawy sąsiedzie dobrodzieju, znajoma wszystkim familia Starskich; panowie z panów; toż to podobno z hrabianki S. rodzi się nasz kochany pan Michał.

— A tak, — odpowiedział, siadając i rozpierając się w fotelu, pan Andrzej. — To téż kuzyn jego po matce, hr. S., swata mu swoję córkę. Jak róża dziewczyna i 100,000 rs. posagu daje mu z nią zaraz. Może-by co z tego i było,

gdyby nie przyjechał tutaj i nie zakochał się w twojéj córce, panie Janie.

Tu dobrodusznie rozśmiał się pan Andrzej i dodał, kiwając głową:

— Tak to młodzi, zwyczajnie, łatwi do zakochania.

Panu Janowi błyszczały zmrużone oczki; złożył ręce, uśmiechnął się czule, zgiął do ukłonu i zawołał z udaném zdziwieniem:

— Być-że to może! poczciwy, panie, chłopiec! Wpadła mu w oko moja Lolka, a ja ani spostrzegłem tego! Zwyczajnie, panie, stary, zapomniałem już jak za młodu bywa. Ależ bo złota, panie, dziewczyna! Jak gra! znać, że po dukacie brała lekcye muzyki w Warszawie.

— To téż mój kuzynek, — odparł pan Andrzej — bardzo się zapatrzył na śliczną rzeczywiście twoję córeczkę, panie Janie, i zobowiązał mnie, abym w jego imieniu prosił cię dzisiaj o jéj rękę. Chociaż nie lubię się wdawać w podobne sprawy, ale, jeżeli potrzeba mojego słowa do uszczęśliwienia porządnego chłopca, wstawiam się za nim do ciebie, panie Janie, i ręczę słowem honoru, że w przyszłym mężu twojéj córki znajdziesz porządnego człowieka, w całém znaczeniu tego wyrazu. Nie gra w karty, nie pije, pobożny, skromny i poczciwy, a złote serce!

To mówiąc, pan Andrzej powstał, wziął rękę pana Jana, uściskał ją silnie i, jakby w rozczuleniu, opuścił się na krzesło. Pan Jan zgiął się uniżonym ukłonem, jeszcze czuléj przymrużył oczki i mówił:

— Z całéj duszy, łaskawy sąsiedzie, z całego serca rad jestem, że Lolka podobała się tak porządnemu człowiekowi,

jak pan Michał. Trzeba się tylko zapytać o zdanie mojéj żony i jéj saméj. Co do mnie, zgadzam się i błogosławię, a kochanego swata ściskam i całuję.

I pochwycił w objęcia pana Swatowskiego, i całował go z całéj siły.

Pan Andrzej, z trudem wysunąwszy się z uścisku ex-ekonoma, rzekł:

— Kiedy tak, to jestem pewny, że sprawa Michasia wygrana. Młode serce łatwo się oddaje, a za wolą córki pójdzie i zgodzenie się matki. Twoje veto, panie Janie, było najważniejsze, a gdy kładziesz afirmatywę, pomówmy o innych rzeczach.

Pan Jan przysunął krzesło, usiadł, szerzéj otworzył oczy i rzekł:

— Pomówmy, pomówmy, łaskawy sąsiedzie dobrodzieju. O cóż idzie?

— Bo to widzisz, panie Janie, — mówił pan Swatowski, bębniąc palcami po stole, — młodzi, zwyczajnie jak zakochani, mało myślą o powszednim chlebie; nam więc starszym za nich myśléć o tém potrzeba. Michałowi zdarzały się świetne partye, mógł wziąć półmiliona i milion złp. posagu. Ale poczciwy chłopiec bez miłości nie chciał się żenić. Teraz, gdy już kobierzec niedaleki, ja za niego myślę o pieniądzach, i ot tak otwarcie zapytuję ciebie, panie Janie: jaki posag dasz córce?

Pan Jan uśmiechnął się złośliwie, szybko jednak powściągnął uśmiech i zawołał:

— Masz słuszność! piéniążki przedewszystkiém, nic bez nich! Otóż-to kiedy rozumny człowiek! A nie powstydzę

się posagu. Bławacin dam Lolce, 80 chat, panie, 50 włók lasu, złote jabłko!

— To dobrze, — odpowiedział pan Andrzej; — ale na nową gospodarkę cośby gotówki potrzeba. Dasz, panie Janie, w dodatku ze sto tysiączków złp.?

— Sąsiedzie dobrodzieju, żałosnym głosem zawołał ex-ekonom, dalibóg nie mam! jak cię z serca kocham i szanuję, tak nie mam! Nic, oprócz Żytowa, nie zostawiam sobie, a przecież i nam starym trzeba kawałka chleba do śmierci. Ależ przecie i kochany pan Michał musi miéć swoje dobra, albo kapitały; alboż to świat nie wié o bogactwie familii Starskich?...

I śmiał się dobrodusznie ojciec Loli, kiwając głową i patrząc zmrużonemi oczkami w twarz pana Andrzeja.

— Ma ona majątek, — odpowiedział pan Andrzej, mocniéj bębnąc palcami, — piękny i duży majątek, żyzny i leśny. Ale trochę to... trochę zadłużone, no, niewiele... ale jest troszkę grzeszków. Nie jego grzechów, broń Boże! to chłopiec skromny, jak panienka, a wyrachowany, jak stary; ale tak... ojcowskich... Wieczny jemu pokój, nieboszczyk Starski lubił pohulać.

Pan Jan posmutniał i zamyślił się. Widocznie ojcowskie grzeszki nie bardzo mu się podobały. Ale imię Starskiego brzmiało w uszach ex-ekonoma nieopisanym urokiem; osnuł już był sobie całą nić marzeń, jak będzie nazwiskiem zięcia imponował sąsiadom, którzy, zdawało mu się, pamiętali początek jego zawodu.

Wstając więc z krzesła, rzekł:

— Zobaczymy, panie Andrzeju, zobaczymy; może się i

znajdzie jeszcze grosz jaki. Wszakże to jedynaczka; wszystko, co nasze, będzie jéj własnością.

— Ale musisz dla młodéj pary dom urządzić w Bławacinie, — dodał jeszcze pan Andrzej, poufale uderzając gospodarza po ramieniu. — W majątku Michała dom, choć piękny, ale tak... nadrujnowany. Ojciec jego, zwyczajnie jak wielki pan, w jednych dobrach mieszkał, a inne folwarki opuszczał. Trzeba przecież urządzić ładne gniazdo dla takich ślicznych ptasząt. Nie prawdaż?!

I rozrzewniony czułą metaforą, pan Swatowski wydobył chustkę z kieszeni i otarł zwilżone łzami oczy.

W niespełna miesiąc po dniu, w którym Wacław Warecki, szczęśliwy i rozkochany, opuścił Próżnów po przyrzeczeniu Zofii, — z żytowskiego dworu wyjeżdżał około północy pan Michał, z rozwiązaną od radości kokardą kraciastego krawatu, przyjęty także i szczęśliwy.

O, jakże różne od siebie są serca ludzi, jak różne źródła ich radości!

Za bramą narzeczony Loli rzucił się w otwarte objęcia pana Swatowskiego.

— Niechże ci powinszuję, Michasiu, — wołał pan Andrzej, — oto partyą robisz nielada! Wielu ci pozazdrości.

— Wdzięcznym ci, wdzięcznym do śmierci, — mówił Michał, dusząc się w uścisku swego swata. — Otóż o takich krewnych daj Boże miéć każdemu poczciwemu człowiekowi!

I znowu duże chustki, wyciągnięte z kieszeni, ocierały dwie pary oczu.

W salonie żytowskim pan Jan mówił do żony:

— Duszko! coś, widzi mi się, przyszły nasz zięć goły, jak święty turecki. Źle panie. Nie chciałem córki wydać za hołysza. Jednak, zawszeć to Starski. I cóż robić, stało się!

— Mój Jasiu, — odpowiedziała cicho i powoli pani Żytowska — przecież Lola ma, chwała Panu Bogu, własny fundusz. Pan Starski porządny człowiek, i kiedy się już tak złożyło, snadź taką była wola Pana Boga. Dla kobiéty, która powinna zająć się domem, gospodarką i chwałą Bozką, niewiele potrzeba.

W czasie téj rozmowy państwa Żytowskich, Lola w cichym pokoiku, oświeconym bladą lampką, klęczała przed swojém dziewiczém łóżeczkiem, twarz ukryła w obie dłonie i z oczu płynęły jéj łzy gorące. Smutno było biédnemu dziecku w tym dniu stanowczym życia, bez serdecznéj rady i pieszczoty; — czuła się dziwnie samotną i słabą, bardzo słabą, zostawiona swojéj woli, tak niepewnéj jeszcze, chwiejnéj i dziecinnéj.

Zresztą, któż wypowiedzieć zdoła smutne przeczucia, te wieszczby złowrogie, które żelazną obręczą bólu ściskają pierś wtedy, gdy nieszczęście ukryte jeszcze pod tajemniczą zasłoną przyszłości!

Biédna Lola łzami smętnego przeczucia płakała w przeddzień godów weselnych!...

Śluby dwóch młodych par w Próżnowie i Żytowie odbyły się w przeciągu jednego tygodnia. Na konieczne

żądanie pana młodego, państwo Warzeccy brali ślub cichy, w obecności rodziców panny młodéj i kilku świadków.

Inaczéj było w Żytowie. Pan Jan, pragnąc całemu sąsiedztwu przedstawić zięcia Starskiego, zaprosił na wesele córki wszystkich znajomych. Lola tak była spragniona świata i ludzi, tak mało zajmował ją przyszły małżonek, że szczerze cieszyła się nadzieją weselnéj zabawy. W kilka więc dni po ślubie państwa Warzeckich, w parafialnym kościele Żytowa, oświeconym *a giorno*, organista z całéj siły cisnął organy, śpiewając *Veni Creator*; pan Swatowski, uroczyście wygolony i wyfrakowany, w białych rękawiczkach i bielszym jeszcze krawacie, z wielką pompą, wśród tłumu znajomych i ciekawych, prowadził od ołtarza młodziuchną panią Starską, a potém w stubarwnym salonie Żytowa noc całą tańczono.

Wyrzeczone przysięgi ślubne, skończone weselne obchody, a więc i dramat skończony, — nie prawdaż?

Tak, — przysięgą ślubną i tańcem weselnym kończy się zwykle dramat w powieści, ale nie w życiu. W tém dziwaczném, figlarném a psotném życiu dramat najczęściéj zaczyna się właśnie wtedy, gdy najmniéj spodziewany, a boleści i łzy jego nie dają się odegnać i stłumić, ani stułą kapłańską, ani skocznemi akordy weselnéj orkiestry.

Śluby Zofii i Wacława, Loli i Michała nie zakończyły dramatu ich życia; owszem, rozpoczęły go, i dlatego opis

dróg, jakiemi szli oni wzajem ku sobie, jest tylko „początkiem powieści”. Dalszy ciąg i koniec powieści téj rada-bym z serca opowiedzieć wam, czytelnicy; ale wiécie zapewne sami, że na tym biédnym świecie, dla różnych i przeróżnych powodów, wiele niekiedy przemilczéć trzeba. Złośliwe demony, rojami unosząc się około człowieka, zamykają mu usta i wołają: tego nie mów! tego nie mów! wstrzymują mu rękę, krzycząc hałaśliwie: o tém nie pisz! o tém nie pisz! I, chcąc nie chcąc, człowiek usta zamyka, pióro odrzuca, i myśl jego niedopowiedziana w świat ulatuje.

Tymczasem, czytelnicy, jeżeli chcecie uzupełnić w myśli swojéj to, czegom nie dopowiedziała wam tutaj, okiem badawczém wpatrzcie się w głębie otaczających was istnień. Tam, gdzie huczą burze niezaspokojonych pragnień, gdzie pod wpływem goryczy krzywią się dobre istynkta, a w prochu zagasłego rodzinnego ogniska, jak zjadliwe żmije, roją się i wiją bóle i grzechy — tam szukajcie dalszego ciągu powieści mojéj. A gdzie znajdziecie jasną myśl ludzką, przyświecającą w najgłębszych nawet przepaściach, gdzie ujrzycie pracę wytrwałą — tam będzie powieści téj koniec.

Spójrzcie więc uważnie wokoło siebie i w istnieniach otaczających ludzi dojrzyjcie dalszego ciągu historyi bohaterów moich; a nim historyą tę kiedyś, kiedyś dopowiedzieć wam sama będę mogła, żegnam was tymczasem, czytelnicy, słowem: do zobaczenia.

KONIEC.

*Tekst jest **[własnością publiczną](#) (public domain)**. Szczegóły licencji na stronie autora: [Eliza Orzeszkowa](#).*

ROZSTAJNE DROGI.

I
II
III
IV
V
VI
VII
VIII
IX

*Tekst jest **[własnością publiczną](#) (public domain)**. Szczegóły licencji na stronie autora: [Eliza Orzeszkowa](#).*

II.

Tydzień upłynął. W wyobraźni pana Leona zatarła się blada twarz nieznajoméj kobiety; z myśli jego zniknęło wspomnienie zasłyszanych jéj słów. Na świecie wieczór był ciemny i zimny; śnieg padał, wiatr silny świstał gwałtownie; mnóztwo sań z głuchym lub jasnym odgłosem dzwoneczków mijało się jak błyskawice; na chodnikach, pod światłem rzadkich latarni, ludzie przesuwali się, rysując na murach domów roje niewyraźnych cieni.

Około godziny 10-téj, z mieszkania zawsze rzęsiście oświetlonego państwa Bogackich, wyszło dwóch mężczyzn, otulonych w futra przed zimnem.

— Winszuję ci, Leonie — rzekł jeden z nich, gdy odeszli kilka kroków od bramy — winszuję ci; świetną partyą robisz.

— A to jak? — zapytał doktor.

— No! — odrzekł Ksawery Z. — cały świat wié przecież, że się żenisz z panną Bogacką.

— Oprócz mnie jednego — odpowiedział z uśmiechem Leon.

— Albożeś się nie oświadczył?

— Anim o tém myślał.

— Czy ci się panna nie podoba?

— Podoba mi się tak, jak wszystkie inne na świecie — rzekł z roztargnieniem, jakby o czém inném myśląc, młody człowiek.

— Otóż powiem ci, mój drogi, to, co wiem o tém; wczoraj u państwa S. spotkałem pana R., jak ci wiadomo,

wuja panny Loli. Wiedząc zapewnie, iż jestem twoim kolegą i przyjacielem, począł się niezmiernie szeroko rozwodzić przede mną o twoich zaletach. „Rzadki chłopiec — mówił — co za rozum, jakie znalezienie się, jaka sztuka i umiejętność życia i zdobywania sobie pozycyi!” A po tém wszystkiém dodał: „gdybym miał córkę jedynaczkę, milionową, oddał-bym mu ją z radością”. Ja, niby w kształcie zarzutu, a w istocie dla lepszego wybadania go, rzekłem: iż nie jesteś bogaty, iż byt zdobywasz sobie lekarskim zawodem. Pan R. oburzył się na to. Co to niebogaty! — zawołał — ale będzie bogaty, niezawodnie będzie! Karyera go nie minie, przed nim jest przyszłość, a on ją sobie zdobędzie. Słuchaj, panie Ksawery — dodał — dziś młodzieży mało; panny więdną, jak róże w jesieni, obficie ręką bożą zasiane; taki chłopak, to rzadkość prawdziwa, i mówię ci: że gdybym miał córkę, z radością bym mu ją oddał, a takie jest o nim zdanie wszystkich rodziców dorosłych panien. A samych panien? — spytałem. — No, no — rozśmiał się p. R. — alboż nie wiész, że ten szczęśliwiec ma u kobiet powodzenie, jakby Don Juan jaki. Panny szaleją za nim. — Na tém skończyła się rozmowa, na któréj przekazanie, tobie p. R. wyraźnie obrał mię za narzędzie. Ja zaś czułem się w obowiązku wiernie ci ją powtórzyć, a teraz rób, jak chcesz, i *buona notte!*

To mówiąc, pan Ksawery podał rękę Leonowi i wszedł do domu, w którym miał przepędzić resztę wieczoru, a młody doktor poszedł daléj. Szedł i myślał o tém, co mu powiedział pan Ksawery. Widział przed sobą możność świetnego ożenienia się, któremu, prócz znacznego posagu i

licznych w wysokiéj sferze stosunków, przynieść jeszcze mogło pewną zmianę w życiu, pewną przerwę w jednostajności nudnéj i bezmyślnéj, któréj ciężar czuł mimowoli i co chwila. Lola była piękną; była typem i wzorem kobiety, umiejącéj postawić dom przyszłego męża na arystokratycznéj i niezmiernie dystyngowanéj stopie; mogącéj pięknością i dowcipem błyszczéć nawet między najświetniejszemi. Leon miał lat 28, a kto wié, czy się nie mogło zmienić w przyszłości szczęście jego w zyskiwaniu serc kobiecych, i potém nigdy już może nie przedstawi się mu sposobność do tak świetnego maryażu. Wprawdzie nie czuł on do panny Bogackiej żadnego pociągu serca, ale mógł-że go czuć do kogokolwiek? Ot tak dawna wszystkie kobiety obojętne mu były i sądził, że również spokojnie a obojętnie poszedł-by do ołtarza z panną Maryą, Zofią, Klementyną i t. d., jak z panną Lolą, gdyby posiadały również korzystne warunki majątku, urodzenia i światowej ogłady.

— Ha, więc ożenię się — szepnął do siebie w końcu tych wszystkich rozmyślań — trzeba się jutro oświadczyć, a potém zapalę pochodnią hymenu.

I uśmiechnął się ironicznym uśmiechem, takim, jaki od pewnego czasu najczęściéj mu osiadał na ustach. Ale w téj saméj chwili, przez dziwny jakiś kaprys wyobraźni, błysnęła mu przed oczyma blada twarz nieznajoméj kobiety, ujrzanéj przed tygodniem na koncercie, i w myśli ozwały się słowa, wymówione jéj miękkim i srebrnym głosem: „Duet życia, zaśpiewany dwoma zgodnemi głosami”. Zdziwił się niepomału p. Leon temu

niespodzianemu przypomnieniu i znowu uśmiechnął się, ale tym razem nie ironicznie, lecz smutno jakoś. W piersi jego znowu zadrgała struna milcząca, w głębi błysnęła iskierka, śpiąca pod popiołem.

Gdy tak rozmyślał, idąc bez celu, minął Krakowskie-Przedmieście i wszedł na Św. Krzyzką ulicę. Przed nim szła kobieta; szła spokojna, poważna i śmiała, pewne kroki stawiając na ślizkim chodniku i zręcznie omijając tłoczących się przechodniów. Leon nie zważał na nią; zanadto zajęty był swemi myślami, aby cokolwiek wkoło siebie widzieć. Ale gdy doszedł środka ulicy Św. Krzyzkiéj, zapytał siebie, dokąd idzie i pomyślał o koledze, który zaprosił go na ten wieczór do siebie. Przyśpieszył więc kroku, a że chodnik w tém miejscu był wązki, spostrzegł, iż musi minąć idącą przed nim kobietę. Zszedł trochę na stronę i gdy się obok niej znalazł, mimowoli, machinalnie na nią spojrzał.

Byli wtedy pod oknami bogatego magazynu; światło gazu spłynęło na kobietę, ukazując czarny kapelusik z popielatém piórkiém i profil bladéj, zamyślonéj twarzy, z łagodnemi usty i dużemi, w zadumie spuszczonemi oczyma.

Leon drgnął lekko; zdało mu się, że serce jego silniéj uderzyło; poznał swoję nieznajomą na koncercie sąsiadkę. Nie wyprzedził już kobiety, cofnął się o parę kroków i szedł za nią i patrzał na postać jéj spokojną i poważną, na chód jéj lekki, pewny, zgrabny, i uczuł, że przypatrywanie się to przyjemność mu sprawiało. Kto ona jest? — myślał. — O tej porze sama jedna idzie ulicą! I znowu ironiczny uśmiech

przebiegł mu usta; snadź myśl jakaś niezbyt jasna pojawiła mu się w głowie. Nie, to być nie może! — odpowiedział sam téj tajemnéj myśli swojéj — ona nie wygląda na to! I rzeczywiście, choć nieznajoma szła przez ulicę w spóźnionéj porze, sama jedna; w postaci jéj i kroku była powaga i spokój królowéj, a z bladego profilu jéj twarzy zdawał się strzelać jakiś nieokreślony promień świętości i czystéj, głębokiéj zadumy.

Tak szli jedno za drugiém; wiatr coraz się wzmagał, śnieg sypał mgłą gęstą, a sanie jak szalone przelatywały z szumem i dzwonkami. Niekiedy, gdy płonące gazem okna magazynów rozświecały postać kobiety, Leon dostrzegał grube, czarne warkocze, wymykające się z pod kapelusza i lśniące pod lamp promieniem. Parę razy śpieszący w swoję drogę i nieuważni przechodnie silnie ją potrącili, tak, że zachwiała się i musiała zatrzymać na chwilę, ale szybko odzyskiwała równowagę i znowu szła daléj spokojnie, a śmiało. Leona ogarniała jakaś złość na owych ludzi nierozważnych, biegnących przed siebie na oślep i nieumniejących poszanować słabości kobiety, bez wsparcia idącéj ciasnym i ślizkim chodnikiem. Poczuł, że z radością podał-by jéj swe ramię, gdyby miał do tego prawo; poczuł, że z rozkoszą było-by dla niego silnego zaopiekować się silną może duchem, ale zawsze słabą ciałem, a tak jakoś dziwnie zajmującą, dziwnie uroczą istotą.

I po raz piérwszy oddawna zapragnął w dłoń swoję ująć rękę kobiety.

Naprzeciw Szkolnéj ulicy nieznajoma stanęła i, oglądając się, czekała, aby ustał cokolwiek ruch

przejeżdżających, wyraźnie chcąc przejść na przeciwny chodnik. Leon usunął się w cień i stanął także. Wybrawszy chwilę, w któréj nie widać było żadnych pędzących sań, kobieta zeszła z chodnika i jednostajnym, spokojnym krokiem, przechodziła wszerz ulicę. Ale zaledwie doszła jéj środka, gdy z bocznéj ulicy wybiegły sanie, pędzące z całą gwałtownością pary spienionych koni i biegły prosto na nią. Woźnica wołał: na bok! ona chciała szybko przebiedz, ale poślizgnęła się, pochyliła i uklękła. Woźnica wołał natarczywym głosem, lecz nie wstrzymywał nadbiegających koni.

Leon krzyknął; jednym skokiem stanął obok kobiety, objął ją wpół silném ramieniem i, gdy sanie były już o parę kroków, cofnął ją i wniósł prawie na chodnik.

Nieznajoma była bardzo blada, zdawało się, że drżała trochę; przez chwilę stała, jakby zbierając myśli, aż zwróciła się do młodego człowieka i głosem, który tak dźwięcznie i słodko brzmiał w jego uszach, rzekła: dziękuję panu! Leon się skłonił, lecz nie znalazł słowa odpowiedzi; on, taki śmiały i dowcipny w salonach, bał się rozpoczęciem rozmowy obrazić nieznajomą kobietę.

Odeszła, ale nie tym pewnym i spokojnym krokiem, jakim szła pierwéj; wyraźnie chwiała się i poślizgnęła nawet parę razy. Leon patrzał za odchodzącą, wahał się, co ma zrobić; wreszcie, jakby powziąwszy postanowienie, przyśpieszył kroku, stanął obok niéj i rzekł:

— Przepraszam panią za śmiałość moję! nieznajomy, nie odważył-bym się nigdy przemówić do niéj, lecz widzę, żeś pani przestraszona wypadkiem; ślizko jest, sań mnóztwo

jedzie ciągle i drugi podobny może się zdarzyć. Pozwól pani podać sobie rękę.

W głosie jego było tak głębokie uszanowanie, taka prawda i szczerość jakaś serdeczna, że kobieta stanęła. Spojrzeli na siebie pod światłem latarni. Ona podniosła na niego pełne dobroci, a zarazem jakiéjś poważnej, spokojnéj godności spojrzenie; on patrzał na nią z zajęciem i głębokim szacunkiem. Przyjęła ramię, które jéj podawał, i przez chwilę szli, milcząc.

— Wyratowałeś mię pan od śmierci, winnam panu wdzięczność — zadźwięczał miękki, srebrny głos nieznajoméj.

Leon przez wrodzoną delikatność i znajomość świata czuł, że każde grzeczne słowo, jakie-by jéj powiedział, było-by w położeniu, w którém znajdowali się, obrazą i niegrzecznością.

— Przykro pani być musi — rzekł po krótkiém milczeniu — przechodzić ulicę w tak złą pogodę i saméj jednéj.

— Jest to koniecznością dla kobiety, niemającéj ramienia, na którém-by się mogła wesprzéć w wędrówce przez życie i przez miasto — dodała ze smutnym uśmiechem.

— Pani nie masz rodziny? — nieśmiało spytał Leon.

— Matka moja umarła przed dwoma laty. Ojciec daleko ode mnie, rodzeństwa nie mam, jestem sama.

Mówiła to cicho i smutno, a gdy wymawiała ostatni wyraz, głos jéj był jakiś łzawy.

W tej chwili stanęli u bramy wysokiego domu.

Kobieta podała rękę Leonowi i rzekła:

— Raz jeszcze dziękuję panu, bardzo dziękuję!

— Pani tu mieszka? — spytał młody człowiek, dotykając jéj palców i chcąc choćby na chwilę przedłużyć rozmowę.

— Tutaj — odpowiedziała i zniknęła w bramie.

Leon stał pod bramą zamyślony, jakby smutny; zdawało mu się, że w jego piersi odzywa się głos jakiś nowy, a raczéj od dawna znany, ale zapomniany; czuł na ręku dotknięcie palców nieznajoméj, a w uszach mu brzmiał miękkim i łzawym dźwiękiem, wymówiony wyraz: „Jestem sama!”

Spojrzał w górę. Po-nad rzędami ciemnych okien wysokiego domu, w okienku na facyatce, drgnęło światełko i zapłonęło w mroku jak blada gwiazdka. Młody człowiek patrzał na nie przez chwilę i na tle drobnych szyb ujrzał postać i profil kobiety.

Dlaczego ona stanęła u okna? Czy smutném okiem wpatrywała się w szare i zasępione, jak jéj dola, niebo? czy myślą ścigała młodego człowieka, który jéj podał męzkie ramię wsparcia, w chwili przestrachu i upadku?

III.

Nazajutrz był wielki wieczór u państwa Bogackich. W salonie, wrzącym rozmową i muzyką fortepianu, pan Leon siedział obok panny Loli. Piękna dziewczyna, ubrana w białą kaszmirową suknią, trzymała w rączce, ociągniętéj jasną rękawiczką, połyskującéj kosztowną bransoletą, wonny wachlarz, a oczyma, pełnemi wabnego wyrazu, patrzała na młodego doktora.

On był jakoś roztargniony dnia tego i mniéj dowcipny, i mniéj swobodny, niż zwykle; chwilami lekkie chmury przebiegały mu czoło, a wzrokiem wpatrywał się w przestrzeń, jakby myślą gonił za czémś dalekiém, dalekiém.

— Zajęty mną najpewniéj! — myślała panna Bogacka.

— Zakochany w Loli! — szeptała jéj matka do swego brata, pana R., owego wielbiciela Leona, o którym mówił Ksawery.

— Oświadczy się dziś pewnie — odszepnął wuj Loli.

— Szczęśliwiec z tego Leona! — mówił w drugim końcu salonu Henryk W., wielbiciel panny Loli, do dwóch towarzyszy, i wszyscy zwrócili spojrzenia na piękną parę. — Szczęśliwiec! — powtórzył Henryk — weźmie pannę, jak swoję, piękną i bogatą. W czépku się urodził!

— Pewno się oświadcza teraz, bo żywo rozmawiają z sobą — zauważył jeden z młodych ludzi.

W téj chwili Leon pytał Loli:

— Czy znasz pani jaką młodą osobę, imieniem Helena?

Piękna panna ze zdziwieniem spojrzała na niego i rzekła:

— Znam i niejednę: hrabianka W., panna R., panna Z. i

moja starsza siostra nosi to imię.

— Ale czy nie znasz pani jakiéj biednéj panny, albo pani, z takiém imieniem?

— Żadnej biednéj panny ani pani nie znam — odrzekła Lola z niezadowoleniem, bo wolała-by inny zwrot nadać rozmowie. — Ale cóż to imię ma dla pana tak bardzo zajmującego? — dodała z uśmiechem.

— Tak, lubię to imię — odpowiedział młody człowiek i, jakby znudzony rozmową, wstał i odszedł.

Lola, zarumieniona od gniewu i żalu, że rozmowa, na któréj spodziewała się usłyszéć ostateczne wyznanie czułych sentymentów powabnego doktora, tak prędko się skończyła, wstała także i przeszła do kółka gwarzących towarzyszek.

W drugim pokoju pan Ksawery pochwycił ramię Leona.

— Cóż, oświadczyłeś się? — zapytał żywo.

— Jeszcze nie — odpowiedział.

— A oświadczaj-że się, nareszcie, mój drogi! — zawołał przyjaciel. — Słowo honoru, nie rozumiem cię: szczęście do rąk ci lézie, a ty korzystać nie umiész.

— Ksawery prawdę mówi — rzekł p. Józef N., stryjeczny brat doktora, kładąc rękę na jego ramieniu. — Pora ci już się ożenić, a równie pięknéj sposobności chyba nigdy już nie znajdziesz.

— A toście się uwzięli na mnie! — rzekł z tłumioném ziewnięciem i ironicznym uśmiechem Leon. — No, oświadczę się, oświadczę, bo i sam o tém myślę, ale nie dziś jeszcze.

— Dlaczegoż nie dziś? — zawołali towarzysze.

— Ot tak, nie mam ochoty... spać mi się chce; dobranoc.

I, wziąwszy kapelusz, nie pożegnał nikogo i wyszedł.

Po kilku chwilach znalazł się na Szkolnéj ulicy pod bramą, do któréj wczoraj weszła nieznajoma.

Stróż domu zamiatał śnieg z chodnika.

— Słuchaj, mój drogi — rzekł lowelas warszawski, zbliżywszy się do zajętego pracą człowieka — bądź łaskaw, powiedz mi, kto mieszka tam na facyatce? — i wskazał ręką na błyszczące w górze bladawém światełkiem okno.

Stróż oparł narzędzie swoje o ziemię, spojrzał na pytającego, spojrzał potém na okienko i odpowiedział:

— A no, panna Helena.

— Ale jak się panna Helena nazywa? — spytał znów Leon.

— A kto tam, proszę pana, wié, jakie jéj przezwisko. Ludziska ją nazywają panną Heleną, *przez* niczego; a już *bez* dwa lata jak tutaj mieszka. Pono to biedactwo rodziców nie ma, a takie to dobre i miłe, jakby jaka święta, proszę pana.

— A biedna ona bardzo? — spytał się młody człowiek.

— A zwyczajnie, proszę pana, jak sierota. Żona moja chodzi tam do niéj, to powiada, że czasami biedactwo takie smutne i takie spracowane, że ci żal patrzéć. Dyć to jeszcze dziecina.

Po tych słowach, stróż poprawił czapkę i wziął się do roboty, a Leon, wsunąwszy pieniądz w jego rękę, odszedł.

Odszedł kilka kroków i obejrzał się, i spojrzał w górę. Jakaś nieokreślona siła ciągnęła wzrok jego ku temu okienku, które bladém światełkiem, przyćmioném

zamarzłemi szybami, jakby smutne, załzawione oko, zdawało się patrzéć na niego.

Przyszedłszy do swego mieszkania, młody doktor długo chodził po pięknym gabinecie; w myśli jego nieustannie stawały obok siebie dwie postacie: panny Loli Bogackiéj i nieznajoméj bladéj kobiety. Ironiczny uśmiech przesuwał się ciągle po jego ustach, ale niekiedy i zmarszczka jakby głębokiego zniechęcenia zsuwała mu brwi i rysowała czoło.

— Co za głupstwo! — zawołał nareszcie do siebie, rzucając się na miękką kozetkę — nie myślałem, żebym mógł być takim nierozsądnym marzycielem. I cóż mię ta kobieta obchodzi? Czemu myślę o niéj? Jakaś biedna i kto wié jaka dziewczyna! A tu, dobrze mówią Ksawery i Józef, że szczęście mi do rąk idzie. Lola piękna, bogata i świetnie wychowana; ożenienie się z nią może nadzwyczajnie podnieść moję towarzyską pozycyą i ułatwić mi dalszą karyerę. Jutro oświadczę się; wiem, że będę przyjęty.

To mówiąc, położył się na kozetce i zapalił cygaro, ale tak był zamyślony, że mu zgasło niezadługo.

— Mogłoż-by to być prawdą — szepnął znowu do siebie — to, o czém mówią mi marzyciele, z których zawsze się śmiałem, iż są na ziemi niewidzialne nici, pociągające dwoje ludzi ku sobie tak, że gdy się je zrywa, pęka w piersi z bólem struna żywota?

Byłoż-by to prawdą, że twarz, oblana wyrazem uczucia i myśli, że kilka słów, wyrzeczonych srebrnym dźwiękiem, grających tętnami młodości i ciepła, mogą wzbudzić miłość w sercu, nawet w sercu wyziębłém?

Miłość! ha, ha, ha, to zjawisko fizyologiczne, to fakt

czysto naturalny, dwie siły, pociągające się wzajemnie w moc prawa przyrody. Głupcy ci, którzy dociekają jéj esencyi. Alfa i Omega tego magicznego słowa jest użycie. Jaką tu rolę gra myśl i to, co marzyciele zwą duchem? Żadnéj! Widzisz kobietę piękną, a więc kochasz; myśl zaś schowaj do dyssertacyi z uczonymi i do czytania książek. A jednak, mówił znowu po chwili milczenia, dlaczego ona mię tak zajęła? dla czego dwa razy szedłem za nią i dziś stałem u jéj bramy i patrzałem na jéj okno? Przyznać muszę, że nie jest klasycznie piękną; Lola ma i wzrost okazalszy, i nosek zgrabniejszy, i usta świeższe. A przecież co za różnica między wpływem, jaki te dwie kobiety wywierają na mnie! Każde słowo tamtéj pamiętam, każdy odcień jéj bladéj i wyraźnie zmęczonéj twarzy zdaję się widzieć. Jak ona mówiła ten wyraz: jestem sama! łzy były w jéj głosie, biedna!

Pochylił głowę młody doktor i myślą pobiegł w przeszłość swoję. I znów stanęły przed nim młodzieńcze lata, świeże, niepokalane, pełne pragnień i wiary; a przy wspomnieniach tych, westchnienie ciężkie, bolesne, westchnienie po utraconym świętym ogniu młodości, wydarło mu się z piersi.

Gdy usypiał, uśmiech szyderstwa z własnych poczuć miał na ustach, a w głowie myśl: jutro oświadczę się Loli.

IV.

Tegoż wieczora, gdy Leon, powróciwszy od państwa Bogackich, rozmyślał i usypiał, na Szkolnéj ulicy na facyatce wysokiego domu, bladém światełkiem błyskało okno. Po-za niém, w małéj i ubogiéj izdebce, nad stolikiem pełnym robót i książek, siedziała ciemno ubrana i bardzo blada kobiéta. Światło małéj lampy srebrem oblewało jéj czarne włosy, które w grubych warkoczach, z wszelkich uwolnionych więzów, spływały długie i lśniące. Twarz miała bardzo zmęczoną i usta nawet blade. Z piórem w ręce pochylona nad stołem, szybko pisała, zmieniając kartki jedna po drugiej; czasem tylko podnosiła na chwilę głowę, i jakby rozpędzając myśli, które przeszkadzały jéj pracować, przesuwała dłoń po czole.

Dziewiąta, godzinę biły miejskie zegary, gdy u drzwi izdebki ozwało się lekkie pukanie.

Kobieta szybko powstała i, podszedłszy ku drzwiom, spytała z cicha:

— Natalia?

— Tak, to ja jestem, — odpowiedziano, i kobieta drzwi otworzyła. Wchodząca śpiesznie zdjęła kapelusz i futro, podała obie ręce bladéj kobiecie, i obie powitały się milczącym uściskiem. Usiadły przy stole.

— Przez dwa dni nie miałam czasu przyjść do ciebie, Heleno, — rzekła przybyła, — a tak chciałam cię widzieć, że choć już późno, przyszłam tu na chwilę.

— Dziękuję ci, — odpowiedziała Helena, — zawsze mi lepiéj, gdy przyjdziesz rozerwać moję tęsknotę.

— Daj pokój tęsknocie, moja droga, — rzekła uśmiechając się, z pewną przymuszoną wesołością. Natalia; — co tu mówić o tęsknocie w porze roku, wabiącéj do zabaw! Sama myśl o nich powinna cię inaczéj nastroić. Patrz na mnie: nic mnie radośnego nie spotkało, a śmieję się. To wpływ tego, co się na świecie dzieje; bom właśnie była teraz na ulicy, widziałam ruch, gwar, blask, aż miło. A ty jakąś smutną mi się wydajesz i znękaną? Czemu choć oknem na świat nie wyjrzysz? oderwij się cokolwiek od męczącéj cię pracy. Nie ucieknie ci.

— O! moja droga, — rzekła Helena, — rozumiem cię doskonale; udajesz radość, by mię wyrwać z méj zadumy; udajesz zadowolenie, jakiém-byś mnie pragnęła widzieć przejętą; wiész przecie, żem się już wyrzekła nadziei spotkania go kiedyś. Dziś, jak i oddawna, głucha cisza, głęboka samotność wkoło mnie i we mnie. Zamknięta w tych ciasnych i cichych ścianach, słucham, jaki tam na świecie gwar szumi i wre. Potrąca on mnie, gdy wyjdę, a widzę go téż, wyjrzawszy przez drobne szyby mego okienka; widzę tłum, goniący za zabawą, miłością i wesołością; patrzę, na przesuwające się powozy. Wytworni panowie i piękne panie wracają może z teatru, albo na bale jadą. Głowy ich strojne w kwiaty, suknie mają jedwabne, a w dłoniach ich powiewają lśniące wachlarze. Jadą może słuchać muzyki, jaśnieć wśród świateł, spojrzeniem i uśmiechem wabić do siebie młodzieńców, szepcących im złote słowa miłości i uwielbienia. Bóg z nimi... niech się bawią; niech będą szczęśliwi. Nie zazdroszczę im, wiész, Natalio, o tém; ale wiész także, że to, co je cieszy, nie dla

mnie. Jam sierota, sama jedna, drobna kropla, zagubiona w morzu, miliardami kropel wrzących zapełnioném; ciemna suknia mnie odziewa, i we włosy nie wplatam kwiatów od czasu, gdym je siać poczęła na grobie mojéj matki! A uśmiech! Natalio, kiedyż on gościł na ustach moich, kiedy gościła radość w mém sercu? nie pomnę; dawno to już być musiało! A miłość? czyż wolno myśleć o niéj biednéj kobiecie, któréj całém istnieniem praca? Nie mówmy o tém, Natalio, to nie dla mnie.

Mówiąc to, ręce miała złożone i oparte na stole, głowę schyloną, jakby pod ciężarem bolesnych myśli.

— Odwagi! odwagi, dziecię! — poważnie wyrzekła Natalia. — Skargi i jęki z twych ust nie wychodzą, ale to jeszcze mało; i ducha wzmódz należy, śród ciężkiéj doli walczyć jak człowiek; z siłą i godnością.

— Natalio, — odrzekła Helena, podnosząc głowę; — wszak nie wyrzekam nigdy, i ty sama nawet nie wiész nieraz, co się we mnie dzieje; czasem tylko, ot, jak dziś, jakby wyzwana przez ciebie, wypowiadam gorycz, jaka, przez długie godziny i długie dnie kropla po kropli zbiera się w mojém sercu. Bóg widzi, Natalio, że nie pragnę blasku ni bogactwa, że szczęśliwym kobietom, które codzień widuję, nie zazdroszczę ich bogatych sukien i pięknych powozów. Ale w sercu mojém jest, nieugaszone najsilniejszą wolą, bezgraniczne pragnienie ukochania i utulenia się pod czyjąś opieką. Tyś silniejsza i zimniejsza ode mnie, przeniosłaś całe życie samotności odważnie i spokojnie. Ja mam inną naturę, kochającą i miękką; mnie zapasy z życiem męczą. Pragnę, staram się być silną i

samoistną, ale czuję nieopisaną potrzebę wsparcia i zaufania komuś bez granic. Łzy i skargi panują nad wolą moją przez krótkie chwile, których się wstydzę i których się strzegę; ale cierpienie i tęsknota, to ciągły stan mego serca.

— Natalio, — mówiła daléj po chwili milczenia, — jest w mowie ludzkiéj wyraz jeden, krótki, ale który, jeśli zacięży nad głową kobiety, to już zamknie w sobie cały świat bólu, całe morze tęsknoty. Wyraz ten: *sama*. Po rozlicznych drogach życia idą ludzie różni, a każdy kogoś sercem kocha, na czyjémś ramieniu się wspiera. Biédna ta, któréj żadne łono nie przytuli z pieszczotą serdeczną, do któréj żadna dłoń się nie zwraca z uściskiem miłości i wsparcia. Gdyby to ludzie mogli pojąć wszystkie gorące a pełne goryczy pragnienia, wszystkie chwile tęsknoty, zwątpienia, zmęczenia i rozpaczy owéj biednéj, drobniuchnéj kropelki, która, śród tłumów niepostrzeżona, przesuwa się przez świat, z ciągłém poczuciem sieroctwa swojego! Gdyby to ludzie mogli pojąć, jak boleśnie jest patrzeć na szczęśliwych, skoro piersi łez pełne; patrzeć na miłość, gdy wszystkie twarze obce; widziéć uśmiechy, a nie módz się śmiać; słyszéć muzykę i każdemu jéj tonowi jękiem wewnętrznym wtórować! O, gdyby to wszystko ludzie odgadli i pojęli, otoczyliby biedną, samotną istotę uściskiem bratniéj, serdecznéj miłości; bo przecież trudno nie kochać tego, kto tak wiele cierpi.

Blada twarz Heleny oblała się żywym rumieńcem, oczy jéj błyszczały, i pod srebrném światłem lampy stała ze spuszczonemi na ciemną suknią rękoma, z warkoczami, wijącemi się po ramionach, niby węże.

Na przeciw niéj, zamyślona i poważna, siedziała Natalia. Surowy profil jéj twarzy wielkim cieniem rysował się po-za nią na ścianie; ręce skrzyżowała na piersi, oczy, pełne surowego smutku, utkwiła w twarz dziewczyny.

— I ja byłam młodą, — odezwała się po chwili milczenia cichym i poważnym głosem, — i ja cierpiałam, i ja pragnęłam, Heleno! A jak świat szeroki i wielki byłam sama! Rodzice zmarli, braci nie miałam... Obejrzałam się wkoło siebie i nie ujrzałam nic, prócz niedoli, prócz biedy i sieroctwa. Zachwiałam się, i łzy obfitemi potokami wydzierały mi się z piersi. Wtedy przyszła do mnie twoja matka, biedna ale szczęśliwa, bo kochająca i kochana kobieta; ze współczuciem ujęła moję rękę i rzekła: „Bądź mężna!” wsparta na jéj rozumnéj przyjaźni dźwignęłam się, poczęłam walczyć z sobą, z własną słabością... i zwyciężyłam, i stałam się silną, silną do pracy i do boleści wszelkich. Utworzyłam sobie świat mój wewnętrzny, świat własnych myśli, miłości i wiary. Ile razy życie zewnętrzne zrzuciło mi na ramiona cały ciężar trudów i trosk, tyle razy zamykałam się w tym światku moim, i ztamtąd czerpałam moc i pociechę. Co uczyniła rozumna i dobra matka twoja dla mnie, pragnę ci oddać. W chwili, gdy walczysz i uginasz się pod ciężarem pracy i samotności, przychodzę do ciebie i mówię ci: „bądź mężna”. Nie sztuka przejść przez życie, gdy wszystko sprzyja, gdy ramię silne osłania, a kochająca ręka chmury z czoła ściera; ale iść saméj po ślizkiéj i trudnéj drodze, a nie upaść; dźwigać saméj ciężar życia, a nie ugiąć się, miéć piersi łez pełne, a światu i ludziom ukazywać zawsze oko suche i jasne, czoło pogodne

i usta uśmiechnięte... to zasługa i moc prawdziwa. Słuchaj, Heleno! przede mną mów wszystko, skarż się, to ci ulży; ale w samotnych chwilach strzeż się oddawać tęsknocie twojéj i cierpieniu, a przed ludźmi... o! przed ludźmi niech nigdy się nie ukaże najmniejsza cząstka tego, co czujesz. Zostaw użalanie się i błaganie o współczucie tym, które mają przy sobie miękką rękę matki, męzkie ramię ojca lub brata, albo kochające serce i silną dłoń męża. My samotne, same wszystkiém jesteśmy i powinnyśmy być dla siebie. I dumne być możemy, i chwała nam, jeśli mężne, prawe a czyste przejdziemy drogę naszego ciężkiego życia; jeśli nikt w oku naszém nigdy łzy nie zobaczy. Heleno, wierz mi, dola nasza smutna, ale i piękna; zewnątrz niéj żałoba, ale treść ma szczytną i pełną powagi. A jeśli gdzieś, tam wysoko, rachują cnoty i grzechy ludzkiego istnienia, toć koleje kobiety, która, śród trudnych dla niéj spraw społecznych, przez tłumy się przeciśnie, drogę życia przejdzie mężna, prawa i czysta — toć koleje takiéj kobiety zapiszą się tam jasnemi zgłoskami męczeństwa i świętości.

Natalia była wzruszona; gdy tych słów domawiała, głos jéj drżał; znać w niéj było kobietę, która wiele cierpiała, wiele walczyła, nim zdobyła sobie męztwo, i która wreszcie dumną była z ciężko i boleśnie przebytéj drogi swojéj. O! bo zaprawdę, jeśli cokolwiek może słusznie uczynić człowieka dumnym i wznieść go we własnych oczach, to pamięć wielkich cierpień, przebytych mężnie, i ciężkich prac, dokonanych samotnie. Kto, przechodząc przez świat z bólem w piersi i troską w myśli, nie ukazał ludziom łez swoich i skarg, i nie uniżył się prośbą o litość; kto śmiały i

mężny dźwigał swój krzyż bez pomocy i bez słabości; ten wart jest szacunku. A jeśli tym cierpiącym w dumie i milczeniu jest kobieta, słaba ciałem, skrępowana społecznemi ustawami, na każdym kroku spotykająca trudności, podejrzenia, potwarze... o! taka kobieta podnieść może czoło z wysokiém uznaniem swojéj godności.

Helena słuchała mowy towarzyszki z oczyma w jéj twarz utkwionemi. Gdy skończyła mówić, zbliżyła się do niéj, pocałowała ją w czoło i rzekła:

— O! moja droga, jakże ci dziękuję, jak miło mi usłyszeć cię i siłę czerpać z ciebie.

— Jakie gorące masz usta i ręce, — rzekła Natalia, z niepokojem, patrząc w twarz Heleny, — zmieniona jesteś, co ci jest?

— Niezupełnie dobrze się czuję, — odpowiedziała dziewczyna, — głowa mię boli, zimno mi... ale to nic, to przejdzie. Wczoraj, wracając z lekcyi od panien S., przeziębłam i zlękłam się, bo sanie omal mnie nie przejechały. To musiało mi trochę zaszkodzić. Duch silny, ale ciało słabe, — dodała z uśmiechem.

Po chwili Natalia wyszła z cichéj izdebki, a Helena zbliżyła się do okna. W dole, nizko na ulicy, rzędem czerwonych światełek błyskały latarnie; w górze, na rozpogodzoném niebie, jaśniały złote gwiazdy. Dziewczyna blada, ze skrzyżowanemi na piersi rękoma, stała u okna, przenosząc wzrok od cieniów ulicy ku światłom niebieskim, aż osunęła się na kolana, ręce złożyła jak do modlitwy i, wspierając je na oknie, wyszeptała:

— O matko moja! z jasnych krain, z niewidzialnych nam

światów, w których przebywasz, powiedz mi słowo pociechy i nadziei, powiedz, czy będę kiedy kochana, szczęśliwa?

Chwile biegły ciche, milczące, lampa zwolna gasła, gasła, aż skonała; ruch ustawał na ulicach. Noc była późna, a Helena klęczała przed oknem, z czołem na dłoniach opartém; klęczała, pogrążona w myślach, nieruchoma, tylko niekiedy dreszcz jakiś febryczny wstrząsał jéj ciałem. Klęczała otoczona ciszą, tylko niekiedy przerywaną coraz rzadszemi dźwiękami ludzkich głosów, dochodzących z dala... ze świata.

V.

Nareszcie, do domu państwa Bogackich wstąpiła wielka radość, do serca panny Loli wielki tryumf — pan Leon oświadczył się i został przyjęty. Rodzice z przyjemnością myśleli, że wydają córkę za człowieka niebogatego wprawdzie, tylko... doktora, ale stojącego na drodze do świetnego położenia, ale młodego i umiejącego sobie wyrobić piękne towarzyskie stanowisko. Wreszcie brak młodzieży był wielki, a oni mieli jeszcze kilka córek. Panny Loli serduszko rozpływało się na myśl, że ów lew, niezwyciężony dotąd, ów Don Juan sławny i okrutny, przed którym tyle piękności upadło w uwielbieniu, który tylu sercami wzgardził... przed nią, przed nią piérwszą, przed nią jedną zgiął harde czoło, do jéj stóp schylił się, błagając o jéj białą rączkę. A przytém Lola była młodą, i jakkolwiek ci, którzy ją wychowywali, robili wszystko, co mogli, aby z niéj uczynić lalkę, uderzyło przecież w jéj piersi tętno człowiecze. Główka zamarzyła; i jeśli takie lekkie westchnienie i takie zamarzenie może się nazwać miłością... Lola kochała młodego doktora, który był już jéj narzeczonym.

Oświadczyny odbyły się rano; o zmroku zaś u drzwi panny Loli pojawił się posłaniec, przynoszący jéj od narzeczonego ogromny bukiet białych kamelij i olbrzymie pudło Loursowskich cukrów. Pan Leon był światowym człowiekiem, i strzegł pilnie konwenansów... a wiedział, iż konwenans nakazuje ofiarować ukochanéj, czy niby ukochanéj, podarki z kwiatów, cukrów i etc. Dar,

pochodzący z ręki miłego człowieka, ma w istocie cenę nieskończoną. Szczęśliwi ci, którzy zamiast cukrowych pomadek Lourse'a, mają do oddania młodéj narzeczonéj słodycz prawdziwéj miłości; zamiast kwiatów, wzrosłych w sztucznéj atmosferze cieplarni, śliczne kwiaty jasnéj myśli i świeżego serca! Niejedna biedna dziewczyna jest stokroć szczęśliwszą, biorąc z rąk kochanka drobny biały kwiatek, zerwany gdzieś na łące lub polu i ogrzany tchnieniem jego gorącém, niż bogata i świetna panna salonów, trzymająca bukiet cennych kamelii, owiany chłodem wyziębłéj piersi i konwenansów.

Wieczór ów postanowił młody doktor spędzić w salonie tych, których miał wkrótce nazwać rodzicami. Jak zwykle, tak i tego wieczora, wiele tam znalazł zebranych gości. Lola powitała go z rumieńcem na białéj twarzy, i z kamelją, wyjętą z jego bukietu, w ciemnych włosach. Wszyscy wiedzieli już o zaszłych zaręczynach; młodzi ludzie zazdrościli Leonowi, młode panny zazdrościły Loli. Szczęśliwi! szeptano ogólniej patrząc na piękną parę. I w istocie, wszystkie pozory szczęścia tam były: piękność, młodość, bogactwo, znaczenie, niby miłość.

Ale w twarzy narzeczonego nie znać było szczęścia. Częściéj niż kiedy, sarkatyczny uśmiech osiadał na jego ustach, a zmarszczka, co tak pięknie zdobiła jego miałe i gładkie zresztą czoło, głębszą jakoś była dnia tego... surowszą.

Żenił się on tak, jak się żeni wielu, dlatego, że przecie trzeba było ożenić się kiedykolwiek, dla rozrywki w nudach, dla ułatwienia sobie drogi życia posagiem i

stosunkami kobiety.

Żenił się, myśląc, że narzeczona jego, to lalka salonów, piękna ale próżna, nie czując szacunku dla niéj, ani pociągu do niéj.

Żenił się, poziewając...

W głębi jego piersi, w saméj najskrytszéj głębi drgała z cicha, ale ciągle, owa struna, nie rozstrojona jeszcze życiem; owa struna, co wewnętrzną pieśnią swoją przywodziła mu przed wyobraźnią młodzieńczą przeszłość jego, i wysoko bladém światełkiem błyskające okienko.

Przyjaciele i koledzy zbliżali się do niego z uściskiem dłoni, z powinszowaniem.

— O! szczęśliwy synu Eskulapa, — wołał pan Henryk, — bierzesz jak swoję śliczną Lolę, a ja, nieszczęśliwy, ledwiem nie zwaryował z miłości dla niéj.

— Zuch jesteś, chłopcze, — mówił pan Józef, zadowolony z kuzynka.

— Mnie podziękuj, — rzekł Ksawerek, — jam ci piérwszą myśl podał.

Jeden tylko ze wszystkich, pan Wiktor H. poważnie ujął ramię doktora, i wyszli razem do innego, pustego w téj chwili, salonu.

Pan Wiktor miał lat 40, twarz myślącą i poważną, ale razem i rozświeconą wewnętrzném ciepłem; znać było, że życie serca tego człowieka nie ostudziło.

— Słuchaj, kochany Leonie, — rzekł, gdy znaleźli się, sami, — mam prawo do twojéj ufności, bo byłem przyjacielem twego ojca i twoim jestem serdecznie. Powiedz mi prawdę: co cię powoduje do żenienia się z tą

panną Lolą, którą ja-bym nazwał panną Lalą.

— Mój drogi i szanowny przyjacielu, — odpowiedział, ze swoim sarkatycznym uśmiechem, Leon, — mówiąc tak, zapominasz, że prawa honoru każą mi za te słowa wyzwać cię na pojedynek.

— Daj pokój żartom, — rzekł znów pan Wiktor, — pytam cię o to, bo źle ci coś z oczu patrzy. Nie podoba mi się narzeczony z takim Bajronowskim uśmiechem na ustach, jak twój, i z takim, wybacz że powiem, wyrazem znudzenia w oczach. Ty jéj nie kochasz, Leonie.

Doktor wybuchnął głośnym śmiechem.

— A! szanowny, nieoceniony jesteś! — zawołał, — nie lubisz mego Bajronowskiego uśmiechu, a zadajesz mi Werterowskie pytanie. Gdybym nie patrzał na ciebie, myślał-bym, że obok mnie stoi jaki Filon albo Medor ze złotych pasterskich wieków. O! jeśli trzeba cię co do mego losu zaspokoić, to powiem ci słowami Adama: kocham, ach kocham, po sto razy wołam!

Mówiąc to, z nieopisanym wyrazem ironii w twarzy, stanął przed przyjacielem w tragicznéj postawie. Pan Wiktor ujął go za rękę z łagodnością i powagą, i rzekł:

— Źle jest z tobą, Leonie. Życie i powodzenie zepsuło cię. Gdybyś był zły albo głupi, albo gdybyś miał naturę biedną i ślimaczą, jaką ma wielu, nie bał-bym się o ciebie, bo wiedział-bym, że popełzniesz sobie po cichu przez życie, i nic ci się złego nie stanie. Ale ja znam cię od dzieciństwa, przypatrywałem ci się ciągle i wiem, że naturę masz bogatszą od innych i piękną, tylko nieco oziębioną i zepsutą. Sam ten nawet Bajronowski uśmiech twój mówi,

że nie lekko i bezmyślnie patrzysz na świat. I dlatego właśnie, że cię tak dobrze znam, powtórzę: źle jest z tobą, Leonie. Z całym zapasem myśli i poczciwych poczuć nie stworzyłeś sobie nic, coby celem twojego życia się stało; nic nie umiłowałeś i nic nie oszacowałeś wysoko. Próżnia stała się w twojéj piersi, i ożenieniem się próżnią tę chcesz zapełnić. Ale nie każdy kocha, kto chce kochać, mój drogi; i ty twojéj narzeczonéj nie kochasz, bierzesz ją dla rozrywki i dla posagu. Pobierzecie się i okażecie światu widok jeszcze jednéj pary roztrojonéj, znudzonéj, zniechęconéj ku sobie, i nie pomogą ani bogactwa, ani wpływy; teraz się nudzisz, a potém zaśniesz na wieki; umrzesz dla wszystkiego, co świat ma dobrego i pięknego. Żona twoja będzie stroić się, kokietować i jeździć za granicę, a ty będziesz spać na aksamitnéj kanapie. Nie takie życie, mój drogi, godne jest twego szlachetnego serca i światłéj myśli.

— Więc cóż mam robić? — zapytał Leon wpółpoważnie, wpół z ironią, patrząc na przyjaciela.

— Nie żenić się z kobietą, któréj nie kochasz, a czekać, dopóki prawdziwe uczucie nie zstąpi ci do serca; prawdziwe tylko uczucie rozpędzi ten obłok znudzenia, który zaćmił przed tobą świat, rozgrzeje cię, ożywi i wróci ci siły do życia, czynu, energii i pracy. Oto życie, któregoś wart, i do którego jesteś zdolny.

— Ale czy-m ja zdolny do prawdziwego uczucia? — rzekł Leon, — ty nie wiész, jak życie uczyniło mię zimnym.

— Przebiegnij myślą wszystkie znajome ci kobiety: czyż żadna z nich nie wzbudza w tobie jakiéjś serdeczniejszéj sympatyi, jakiegoś żywszego uczucia?

Leon chciał odpowiedzieć: żadna, ale przypomniał sobie bladą nieznajomą, i na chwilę zamyślił się, a ironiczny jego uśmiech posmutniał.

— Nie mówmy o tém, — rzekł wreszcie, ściskając rękę Wiktora, — stało się! jestem już zaręczony i obowiązany kochać moję narzeczoną. Dziękuję ci, zacny mój przyjacielu, za poczciwe twoje słowa, ale los mój już postanowiony. Kilka lat się bawiłem, a resztę życia przyjdzie mi poziewać i spać; dobrze więc przynajmniéj, że spocznę sobie na aksamitnéj kanapie i u stóp pięknéj Omfalii.

Pan Wiktor ścisnął mu rękę jakby z politowaniem i odszedł, a Leon, wróciwszy do salonu, gdzie towarzystwo było zebrane, oparł się o konsolę, skrzyżował ręce na piersi i zamyślił się głęboko.

Wkoło niego grano, śpiewano, śmiano się i rozmawiano, a jemu ruch ten cały i gwar wydawał się brzęczeniem roju owadów, w którym nie rozróżniał ani głosów, ani słów.

Myślał o słowach, pana Wiktora, czuł ich słuszność; zląkł się przyszłości, zły był na siebie, na świat, na wszystko, i gniewnie zsunął brwi i schyli wzrok ku ziemi.

— Jaki on zakochany! — mówiła uszczęśliwiona pani Bogacka do swojego brata.

— Don Juan zamienił się w Wertera! — szepnął jeden z młodych ludzi.

— Co to mogą 500,000, — zachychotał drugi.

— I wujaszek hrabia, i ciocia księżna, i kuzynek bogaty jak Rotszyld, — dodał trzeci.

— O czém pan tak myśli? — zabrzmiał obok Leona

głosik panny Loli, i zarazem młody człowiek poczuł na ręku dotknięcie jéj miękkiego, ze śnieżnych piórek, wachlarza.

Podniósł na nią zimne, ironiczne, prawie wyzywające spojrzenie; w téj chwili uczuł wstręt do swojéj narzeczonéj.

— Myślałem o tém, — rzekł zwolna, — że nie wszystko złoto, co się świéci; nie każdy błyszczący meteor jest gwiazdą, nie zawsze jest szczęściem to, co się niém wydaje.

Lola nie zrozumiała znaczenia słów; zdziwiło ją tylko spojrzenie i dźwięk mowy narzeczonego, ostry sarkastyczny, a zimny.

— Nie rozumiem pana, — odrzekła, strojąc usta w najpiękniejszy uśmiéch.

— Przebacz pani, że nie będę jéj tłómaczył słów moich. Wszak nie jest to bynajmniéj koniecznem, abyśmy się rozumieli, nie prawdaż? — A gdy coraz bardziéj zdziwiona Lola patrzała na niego, nie znajdując odpowiedzi, skłonił się przed nią i rzekł:

— Dobranoc pani.

— Pan już wychodzi... tak wcześnie! — zawołała dziewczyna.

— Tak pani, wychodzę, choć jest tak wcześnie, — odpowiedział młody człowiek.

Dziwne, kapryśne jakieś znalezienie się narzeczonego rozdraźniło nerwy pięknéj panny; zarumieniła się mocno, łzy jéj nabiegły do oczu. Szybkim ruchem wyjęła z włosów białą, nieco już zżółkłą kamelią i podała ją Leonowi. W téj chwili była poetyczną! Doktor wziął kwiat, skłonił się raz jeszcze i wychodził. Lola patrzała za nim. Na progu salonu

żegnał się z przyjaciołmi, i piękna panna ujrzała, jak biała kamelia wypadła mu z ręki. Sądziła, że ją podejmie, do ust poniesie i przy sercu schowa; ale doktor nie spojrzał nawet na kwiat, leżący na posadzce, i zdeptał go, wychodząc.

Lola podbiegła, podjęła kwiat i konwulsyjnie poszarpała jego listki.

Leon, wróciwszy do siebie, długo chodził po pokoju zły i gniewny; myśli plątały mu się jakoś bezładnie, różne obrazy przesuwały się przed oczyma... czuł, że cierpiał. Lola usypiała ze spłakanemi oczyma, z rozdrażnioném serduszkiem; długo w noc widziała przez sen swoję białą kamelją rzuconą i zdeptaną.

Goście, wychodząc od państwa Bogackich, szeptali między sobą, że dziwnie jakoś wygląda para narzeczonych. On jakby się gniewał i ciągle śmiał ze wszystkiego, ona w końcu wieczora miała łzy w oczach i, może dla rozrywki, zaczęła kokietować ze swym adoratorem, panem Henrykiem.

— Widziałaś historyą kamelii? — spytała ze śmiechem panna R. panią W.

— Jakże nie miałam widzieć? obserwowałam ich ciągle; widziałam i wiem teraz najpewniéj, że on żeni się z nią tylko dla posagu.

— Ach, — mówiła panna R., — ja-bym tego nie zniosła! ja-bym zrekuzowała.

Tak więc dwoje młodych i pięknych ludzi piérwszy dzień swojego, nieuświęconego jeszcze nawet ślubami kościoła, związku, kończyli jedno w złości, drugie we łzach. A wkoło nich brzęczącym rojem, unosiły się już plotki, niezbędnie

towarzyszące przez życie całe każdemu małżeństwu, połączonemu tylko konwenansem lub interesem.

VI.

Nazajutrz wcześnie, wcześniéj niż zwykle, pan Leon był już na ulicy. Trapiła go niespokojność; czuł, że wczorajsze znalezienie się jego z narzeczoną było niewłaściwe i obrażające; piérwszy raz w życiu ubliżył kobiecie, a tą kobiétą była przyszła jego żona. A jednak, lubo starał się wzbudzać w sobie ku niéj żywsze, niż miał dotąd, uczucia, z większą coraz trudnością myślał o nieodwołalnych z nią związkach. Wprzódy była mu ona obojętną; po zaręczynach nie lubił jéj prawie. Wyrachowanie zwyciężało jeszcze wprawdzie; ale wewnętrzne poczucie, z którego nawet nie mógł sobie zdać dokładnéj sprawy, coraz żywiéj opierało się ułożonym zimną rachubą planom. Piérwszy raz oddawna cierpiał; przejmował go rodzaj obawy, niezadowolenie z siebie i jakaś nieokreślona gorycz. Wszedł do księgarni, wybrał kilka najnowszych i bogato oprawnych książek, kilkanaście sztuk muzycznych najmodniejszych i najwięcéj cenionych, i odesłał to pannie Loli, postanawiając sobie iść za parę godzin samemu do niéj, i grzecznością wynagrodzić jéj wczorajszy kapryśny wyskok. Nie pragnął wcale okazać się jéj zakochanym i czułym; czuł, że i bez tego dobrze będzie przyjęty; a przecie sama myśl przepędzenia z nią kilku godzin sprawiała mu nieopisaną przykrość. Wszakże pragnął się zwyciężyć i myślał sobie: to marzycielstwo tylko, kaprysy! Czegoż mogę więcéj od losu wymagać? Przykrość, jakiéj doświadczam, jest chwilowa; to pewno tylko żal za złotą wolnością, to przejdzie; zresztą klamka już zapadła —

jestem zaręczony, odwrotu niéma.

Wyszedłszy z księgarni, szedł powoli ulicą, pogrążony w myślach i ze schyloną głową, gdy poczuł dotknięcie czyjeś na ramieniu. Odwrócił się i zobaczył za sobą pana Szlacheckiego, niemłodego i ogólnie poważanego doktora.

— A chwała Bogu, że cię spotykam, poczciwy koleżko! — rzekł, podając mu rękę pan Szlachecki, — mam do ciebie bardzo pilny interes.

— Cóż takiego? — spytał, zatrzymując się Leon, — gotów jestem na usługi pana.

— Oto widzisz: — mówił stary doktor, — wczoraj wezwano mię do biednéj choréj dziewczyny, którą znam od dzieciństwa. Przeziębiło się to biédactwo, wracając późno w wieczór z lekcyi, które daje na mieście, dla zapracowania sobie na życie — i gorączka rozwinęła się mocno. Dziś stan się znacznie pogorszył, i chciał-bym zrobić konsylium, bo to zawsze lepiéj, gdy ktoś, mniéj sercem związany z chorym, stan jego rozezna. Tylko, że tam... bywam jako przyjaciel — bo uboga... Wolno jakoś szedłeś, kolego i pomyślałem, że może znajdziesz chwilkę czasu...

To mówiąc, patrzał jakby z prośbą na Leona.

— Służę panu, — odpowiedział Leon — czy zaraz pójdziemy?

— Pójdźmy zaraz, bo choroba czasem nie żartuje i nie czeka.

— A więc idźmy — rzekł Leon.

Byli wtedy na Nowym-Świecie; pan Szlachecki ujął pod ramię młodego kolegę i poszli daléj.

Weszli na Śto-Krzyzką ulicę, przeszli ją i zwrócili się na

Szkolną. Rozmowa toczyła się o rzeczach obojętnych, gdy nagle pan Szlachecki zawołał:

— *A propos!* winszuję ci, panie Leonie! żenisz się podobno.

Leon zmarszczył brwi.

— Dziękuję, — odpowiedział, — tak, żenię się.

— Tu jest chora — rzekł stary doktor, pokazując Leonowi wysoki dom. Leon spojrzał, i zobaczył, że to ten sam dom, w którym mieszkała jego blada nieznajoma; mimowoli spojrzał w górę, ku okienku na facyatce, i wszedł z kolegą w bramę.

Po chwili otwierały się przed dwoma doktorami drzwi na 4-tém piętrze, i narzeczony panny Bogackiéj znalazł się w izdebce kobiéty, za którą dwa razy szedł przez miasto — i któréj postać ciągle stawała w jego wyobraźni obok postaci pięknéj panny.

Dzień był mroźny, pogodny i słoneczny; do małego pokoju przez ciemną sztorę, zasłaniającą okno, wdzierał się złotą nitką promień słońca. Po-za nim, w cieniu, na czystém lecz ubogiém łóżeczku, leżała Helena. Nie była już bladą, bo twarz jéj pałała gorączką; tylko czoło jéj biało i smutno jakoś jaśniało między gęstemi zwojami czarnych, splątanych włosów. Z ust jéj wychodziły bezładne słowa; była nieprzytomna.

Obok niéj, milcząca, smutna, ale zawsze surowa i poważna, siedziała Natalia.

Leon poszedł do łóżka, wziął rękę choréj i wparzył się w jéj twarz z nieopisanym wyrazem współczucia i sympatyi.

Po kilku chwilach, dwaj doktorowie byli już na ulicy.

— Istotnie, kolego, jak mówiłeś, nic niéma zastraszającego, — rzekł Leon — za kilka dni gorączka całkiem przejdzie. Słuchaj, szanowny kolego, ustąp mi tę pacyentkę; to łatwa kuracya, będę ją sam leczył, trudu mi to nie zrobi, mam chorego obok.

— I owszem, — odpowiedział p. Szlachecki, — lecz i sam zajrzę od czasu do czasu, boć chora zajmuje mię bardzo: byłem w przyjaźni z jéj ojcem, a ją znam od dzieciństwa. Ale codziennie chodzić do niéj, przyznam ci się, że za wysoko na moje stare nogi, i w tych dniach mam mnóztwo pacyentów, więc i czasu mało. Wprawdzie nie zbogacisz się tą praktyką.

— A któż tam-by o tém myślał wobec takiéj biedy! — przerwał Leon. — Zresztą, wiész pan przecie, że się bogato żenię, — dodał z sarkastycznym swoim uśmiechem; — mam więc bogactwo gotowe, a i na bogatych pacyentach mi nie zbywa.

Szli przez kilka chwil w milczeniu, nareszcie znaleźli się przed bramą mieszkania państwa Bogackich.

P. Leon pożegnał towarzysza, który wszedł do innego domu, i spojrzał na okna narzeczonéj. Zbliżył się do bramy; lecz, jakby odepchnięty od niéj jakąś niewidzialną siłą, nie wszedł, i szybko zwrócił się w inną stronę.

Tego wieczora panna Lola daremnie oczekiwała narzeczonego — nie przyszedł. Tylko bogato oprawne książki, które przysłał jéj z rana, leżały na stoliku, a nuty rozkładały się na pulpicie fortepianu.

Piękna panna zrazu dąsała się i niepokoiła, ale gdy przyszedł pan Henryk, postanowiła się pocieszyć, i w końcu

wieczora rozmawiała i śmiała się z nim wesoło.

Tydzień upłynął, i w ciągu siedmiu jego dni pan Leon dwa razy tylko ukazał się w domu narzeczonéj; ukazał się roztargniony, smutny, jakby sercem i myślą był gdzieindziéj. Gdy wymawiano mu długą nieobecność, składał się chorobą, zajęciem, wzrastającą liczbą pacyentów; smutek jego i roztargnienie rodzice panny Loli brali za symptomata miłości ku niéj; ona sama niekiedy gniewała się i niepokoiła, ale po chwili, lekka i bezmyślna, dla nowéj sukni, dla klejnotu zwiększającego wyprawę, zapominała o smutnéj twarzy narzeczonego, o jego długiéj nieobecności, a marzeniem biegła w szczęśliwą przyszłość, w któréj, strojna w aksamitną suknią, pyszną karetą, pojedzie z wizytami, a wspaniale liberyowany lokaj, roznosić będzie jéj bilety litografowane: *Mme Pola X. — née Bogacka*. Biédne dziecię, ze zwichniętym umysłem i skrzywioném sercem nie rozumiało przyszłości bez aksamitów, powozów i biletów, wylitografowanych po francuzku.

Tymczasem przez tydzień ów cały p. Leon codziennym był gościem w małym pokoiku, w domu na Szkolnéj ulicy. Piérwszego zaraz dnia poznał dobrze Natalią; zdrowy rozum i serdeczne jéj do Heleny przywiązanie natchnęły go szacunkiem dla kobiéty o surowej twarzy i pomarszczoném długą troską czole. Oboje schyleni nad łóżkiem choréj, z cicha mówili o niéj. Natalia opowiadała młodemu doktorowi szczegóły życia dziewczyny, a on z coraz silniejszém rozrzewnieniem wpatrywał się w twarz Heleny, rozognioną gorączką, ale, mimo choroby, zawsze łagodną i

jakby smutnie zamyśloną. Raz wszedłszy do izdebki, poczuł zimno; zbliżywszy się do łóżka, nie zobaczył lekarstwa przepisanego wczoraj; o powód jednego i drugiego spytał Natalią. Milczała, czoło jéj tylko głębszemi zarysowało się zmarszczkami; chciała coś powiedzieć, ale zawahała się. Młody człowiek pojął wszystko; szybko wyjął pugilares, wyjął z coś z niego i położył na stole.

— Nie weźmiesz mi pani za złe, — rzekł, biorąc rękę Natalii, — jeśli cię prosić będę o przyjęcie mojéj pomocy. Jesteście kobiéty słabe i same, nie wstyd więc wam, jeśli przyjmiecie podaną rękę silniejszego, tém bardziej, gdy ona jest ręką przyjaciela.

— W innym razie, — rzekła Natalia, ściskając dłoń doktora, — nie przyjęły-byśmy żadnéj i niczyjéj pomocy; przywykłyśmy ufać własnym siłom i własnéj pracy, i choć jesteśmy same, nie jesteśmy, jak pan mówisz, słabe, bo idziemy przecież przez życie, bez wsparcia wprawdzie, ale i bez skarg. Ale dziś życie Heleny jest zagrożone, a ratować ją bez materyalnych środków trudno; więc w jéj imieniu przyjmuje, pomoc pana, a przyjaźń jego w jéj i mojém.

Gorączka Heleny trwała dni kilka, w których końcu przytomność jéj wróciła.

Gdy piérwszy raz podniosła wzrok już przytomny, wieczór był; lampka słabo paliła się pod zasłoną; przy stole, z igłą w ręku, siedziała Natalia, a przy łóżku stał Leon. Helena długo patrzyła to na młodego człowieka, to na Natalią; wzniosła w górę spojrzenie, jakby sobie coś przypominała, i po chwili z cicha wyrzekła; — Ja znam pana... tam... w ten wieczór...

I wyciągnęła drżącą i słabą jeszcze dłoń.

Leon ujął gorącą rękę, schylił się i w milczeniu złożył na niéj długi pocałunek. W téj chwili zdało mu się, że się przeniósł w najwcześniejsze lata swojéj młodości; długie dnie gwaru i blasku, i próżnych hałasów, zniknęły mu z pamięci i z serca, a w piersi pełnemi tony ozwała się, cicho dotąd wśród znudzenia i próżni drgająca, struna, jakby radośnym hymnem zmartwychwstania. Od tego dnia siły szybko poczęły wracać choréj, a Leon czuł, że inaczéj zaczyna żyć, niż żył dotąd. Uczucie, jakie zrodziło się w nim dla Heleny, całkiem niepodobne było do przeszłych jego miłości, a raczéj miłostek. Nie mówił on sobie, że ją kocha, zaśmiał-by się nawet z myśli podobnéj, gdyby ona mu przyszła; bo przywykł był do przekonania, że kochać już nie może. Ale wiedział, iż żadnéj kobiéty dotąd nie uszanował tak wysoko. Z rodzajem milczącego uwielbienia patrzał na twarz jéj, pełną serdecznéj dobroci, a zmęczoną i zbladłą w pracy i w chorobie. Piérwszy raz w życiu był przyjacielem młodéj kobiéty, bez wstecznéj myśli; zapomniał o sobie, a myślał tylko o niéj, o tém, jakby jéj byt ułatwić i uprzyjemnić. Znudzenie dalekiém już było od niego. Codziennie kilka godzin przepędzał z dwiema kobiétami; a gdy wychodził z małego, cichego ich mieszkania, dziwnie mu było jakoś zdrowo w myśli i lekko na sercu. Sam się dziwił, że w tych cichych i ubogich ścianach czuł się spokojniejszym, weselszym nawet, niż w świetnych zebraniach, w których wiele mówił, błyszczał, królował; a w gruncie nudził się.

I nie dziw, że tak było, bo gdy natura wleje w piersi

człowiecze skarby poczciwych uczuć, toć trudno, bardzo trudno zmarnować i stracić je całkiem. Wśród błyszczących, hałaśliwych próżności życia, usną niekiedy na chwilę te dobre anioły duszy; ale prędzéj czy późniéj przychodzi czas, w którym się budzą i wołają człowieka do jego istotnych celów, do zacności i myśli poważnéj. Są wprawdzie i tacy, są nieszczęśliwi, których dobre instynkta na zawsze milkną, stłumione wrzawą i kałem istnienia; tacy, jak rozbitki, idą w świat z próżném sercem i pustą głową, za życia jeszcze umarli.

Upłynął tydzień od dnia, w którym p. Szlachecki zaprowadził młodego kolegę do pacjyentki swojéj. U państwa Bogackich był tygodniowy, czwartkowy wieczór. Salony się oświeciły; panna Lola, w jasnéj jedwabnéj sukni, z kwiatami we włosach, usiadła przy fortepianie i zaczęła grać szumne kompozycye, a pana Leona nie było; goście zaczęli się schodzić liczne towarzystwo się zebrało, a pana Leona nie było. Wuj pięknéj panny, pan R., szeptał coś z niezadowoleniem do pani Bogackiéj; młoda narzeczona ciągle się na drzwi oglądała; goście uśmiechali się i zapytywali z cicha: i gdzież jest narzeczony? gdzie jest młody doktor? Pan Henryk, korzystając z jego nieobecności, zawzięcie asystował pannie Loli, a pan Wiktor H. znacząco jakoś i jakby z zadowoleniem się uśmiechał. Zabawa nie szła, goście wcześnie się rozeszli. Pan Leon wcale się nie ukazał.

— Dziwny narzeczony z tego Leona! — mówili ze śmiechem młodzi ludzie, schodząc ze wschodów.

— Dziwny narzeczony Loli! — mówiła pani Bogacka do

swojego brata po odejściu gości. — Przez tydzień cały był tylko dwa razy, i dziś nie przyszedł. Jak myślisz, co to może znaczyć?

Pan R. wzruszył ramionami.

— Nie wiem, — odpowiedział, — co to być może; ale wiem, że trzeba ślub przyśpieszyć, bo rzecz stała się głośną, i gdyby wypadkiem jakim się rozchwiała, była-by kompromitacya dla Loli.

— Może on jéj nie kocha? — z lekkim niepokojem rzekła matka.

— At, dziwaczne ci przychodzą myśli — odparł pan R; — czemu-by nie miał jéj kochać? młoda przecież i śliczna dziewczyna, a że nie przychodzi często, nic dziwnego: zajęty pewnie, może chory, a może wreszcie i korzysta z ostatnich dni wolności. Trzeba tylko ślub przyśpieszyć, koniecznie przyśpieszyć!

— A jeśli on jéj nie kocha? — raz jeszcze ozwało się serce matki.

— A że téż u was kobiét wiecznie na ustach musi być ten wyraz: kocha! — zawołał pozytywny i praktyczny wuj Loli; — zapomnij o sielankach, moja droga, a pamiętaj, że masz kilka córek, i że choć one majętne są i ładne, trudno je będzie za mąż wydać przy dzisiejszym braku młodzieży. A pan Leon jest jednym z najporządniejszych ludzi, jakich znam.

W ów czwartkowy wieczór, w małym pokoiku na Szkolnéj ulicy, jak zwykle paliła się lampka, jak zwykle było cicho, ale Helena już nie leżała. Siedziała ona na wygodnym, przysłanym jéj przez Natalią, fotelu, głową

oparta o miękką poręcz, i po ciemnem jéj ubraniu, jak zwykle, gdy wyjść nie miała, wiły się, długie sploty warkoczy. Twarz miała bardzo bladą, ale razem rozpromienioną jakąś wewnętrzną radością. Naprzeciw niéj siedział Leon, Natalia wyszła na parę godzin za koniecznemi sprawami.

— Podziwiam panią! — mówił Leon, prowadząc daléj rozpoczętą rozmowę; — przetrwać dwa długie lata w ciągłéj samotności, w pracy i smutku!.. jak pani sił nie zabrakło?

Smutnie uśmiechnęła się Helena.

— Gdzie jest konieczność, tam jest i siła na trud fizyczny, — odrzekła, — w trudzie moralnym wspierały mię rady Natalii, która życie całe przebyła w samotności, biédzie i pracy, i wspierała mię pamięć mojéj matki. O! moja matka, panie, to był dobry anioł mojego życia! Ona mię nauczyła pracować, ona stworzyła mi w sercu i myśli świat wewnętrzny, pełen skarbów i pociech, którego nic na ziemi odebrać mi nie może, do którego się uciekałam w najboleśniejszych chwilach goryczy i sieroctwa. Spójrz pan na tę twarz, — dodała wskazując portret pięknéj i poważnéj kobiéty, wiszący nad łóżkiem; — ile razy chwiałam się i upadałam, ile razy wola własna mi nie wystarczała, patrzałam na twarz tę, na którą od kolebki przywykłam patrzéć z miłością, z wiarą i czcią bez granic. A ona, jak święta, jak anioł stróż, dawała mi natchnienia dobre, zdawała się mówić mi: „pracuj i bądź odważna.”

To mówiąc, Helena, wzniosła pełne nieopisanéj miłości spojrzenie na portret, a Leon pomyślał o swojéj matce,

dobréj téż i rozumnéj, którą, téż czcił i kochał niegdyś. I tak dusze dwojga młodych ludzi, w pierwszéj dłuższéj ich rozmowie, zlały się, w jedném świętém i najpiękniejszém uczuciu: uwielbienia i wdzięczności dla drogich, a już umarłych.

Najświętsze są, najczystsze i najgłębsze związki ludzi takie, których piérwszym akordem jest zjednoczenie się w jednéj jakiéj myśli poważnéj, w jedném głębokiém i gorącém uczuciu.

— Domyślam się, jak pani byłaś nieszczęśliwą, gdyś straciła matkę — rzekł Leon, myśląc o dniu, w którym sam niegdyś, z dziewiczém jeszcze sercem i nieskalaną myślą, pełen żalu i boleści, stał nad trumną swojéj matki.

— Chwila, w któréj straciłam moję matkę, — odpowiedziała Helena, — była chwilą, w któréj straciłam wszystko inne kochane i potrzebne: ojca, byt, opiekę. Ojciec mój nie był bogaty, ale pracował, i praca jego wystarczała nam na życie ciche, bez zbytku, ale dostatnie i bez trosk. Od dzieciństwa nie znałam biédy, osłoniona kochającą opieką rodziców. Uczyłam się wiele i dnie spędzałam spokojne, pełne pożytku dla serca i umysłu. Gdym liczyła lat ośmnaście, dziwne jeszcze miałam marzenia: zdawało mi się, że na zawsze zostanę spokojną, i co dziwniejsza, miałam przeczucie wielkiego szczęścia. Niebo, ziemia i wszystko na świecie obiecywało mi życie takie. O teraźniejszość się nie troszczyłam, bo czułam nad sobą opiekuńcze dłonie; a przyszłość złociły mi nadzieje, nieokreślone wyraźnie, ale urocze i gorące. Doszłam tak do dwudziestego roku życia, i wtedy zaciężyła nade mną

surowa ręka losu. Matka moja umarła. Nędza mię otoczyła, więc ujrzałam się zmuszoną być sama sobie wszystkiém. Straszna to chwila, w któréj człowiek, obejrzawszy się wokoło, spojrzawszy na niebo i ziemię, na ludzi i świat cały, powié sobie: wszystko mię zawiodło! a do nadziei, które poprzednio kołysały, woła: pocoście kłamały!... Śród szerokiego świata, człowiek staje sam jeden; po zanim, nic. Wszystkie uciechy znikły, wszystkie żywsze serca uderzenia zesłabły, jak złudne widoki na stepowych, piaskach. Kto sam kiedykolwiek doznał takiéj chwili, ten wié, że trudno w niéj nie pochylić się duchem i nie jęknąć. I jam się téż pochyliła, skarga z ust mi wypłynęła, i uczułam się bezsilną. Wtedy podała mi rękę Natalia; wsparta jéj radą, poczęłam stawiać piérwsze sieroce kroki; szybko dojrzałam wśród cierpienia, i pójdę daléj, walcząc z życiem. Mam niejakie środki do pracy, chęci mi do niéj nie brak, i choć to mozolne, jednak nie nad moje siły. Stworzyłam sobie ubogi, ale cichy i niezależny byt. Aż wreszcie — dodała z wesołym uśmiechem, który dziwnie sympatyczną słodyczą twarz jéj zalewał, — zaziębiłam się, zachorowałam, i... znasz pan dalszy ciąg historyi.

Gdy Helena mówiła, Leon patrzał na nią z wyrazem najwyższego zajęcia; nie zauważyła tego, zwracając sama najczęściéj oczy, to ku drzwiom, jakby chciała, by się coprędzéj dla Natalii otworzyły, to ku wizerunkowi matki, jakby błagała ją, aby zstąpiła ku niéj. Skończywszy, zwróciła wzrok na Leona, i spotkała się z jego wejrzeniem. Szybki rumieniec zalał jéj bladą twarz, i uniosła się z krzesła, jakby uciec chciała; ale była to jedna kruciuchna

chwilka nagłego popędu, po któréj znowu stała się spokojną i poważną, jak zwykle. Leon spostrzegł ten rumieniec i ten ruch, zrozumiał je i pojął, że do niego należało wyrwać Helenę z przykrego pewnie dla niéj położenia; czuł, że powinien odejść. Ale czuł zarazem, że jakaś niewidzialna siła pociągała go do téj kobiéty, inaczéj, niż przyciągany bywał dotąd do wielu kobiét, które spotykał na swéj drodze. Sypnął im parę garści złotych słówek, powdzięczył się trochę... oto wszystko prawie, na co się mógł zdobyć dla nich. Przy Helenie ani pomyślał nawet o czémś podobném; jéj sieroctwo i poważny spokój osłaniały ją, jakby, nietykalną jakąś świętość przed obrazą zwykłych tém obraźliwszych, gdy gorących, frazesów; na czole jéj leżała dziewicza czystość i duma, wobec których i dla których salonowiec warszawski stał się pełnym szacunku i czci człowiekiem.

Natalia weszła. Leon spojrzał na zegarek.

— Dziewiąta godzina! — zawołał, wstając, — jakże szybko przeszedł wieczór!

— Nie spodziewałam się tu pana spotkać dzisiaj, — rzekła, — sądziłam, że się pan bawisz gdzie w weselszém miejscu, niż nasza cicha izdebka.

— O! upewniam panie, — odpowiedział z wyrazem szczerości Leon, — że nigdzie mi nie jest miléj, jak tu w téj cichéj izdebce.

— Dziękujemy panu za jego dla nas przyjaźń, — mówiła znowu Natalia, — ale trudno w to uwierzyć, aby, tam, gdzieś na świecie, nie było jakiéjś pary pięknych ocząt, pociągających pana.

W téj chwili Leon spotkał się ze spojrzeniem Heleny, jakby pytająco przywiązaném do jego twarzy.

— Niema żadnéj takiéj pary ocząt, tam, na świecie, — odpowiedział żywo. Ale mówiąc to, przypomniał sobie Lolę.

Jakże mógł to powiedzieć? przecie był narzeczonym. Więc skłamał? Nie, nie skłamał; oczy panny Loli nie pociągały go więcej, jak p. Maryi, Zuzanny, Klary i t. d... a jednak był narzeczonym!

Ołowiem myśl ta zaciężyła mu na sercu i skłoniła go do naglejszego wyjścia z izdebki.

Gdy się drzwi za nim zamknęły, Helena w milczeniu wyciągnęła ręce do Natalii, objęła ją, przytuliła się do niéj i rzekła: Natalko, szczęśliwa jestem!

Poważnie Natalia spojrzała w twarz swéj towarzyszki, i zdziwiła się, ujrzawszy niezwyczajny jéj wyraz. Było to jakby rozpromienienie, jakby rozkwit lica. Wszystkie odcienia radosnéj nadziei zalały oczy i otoczyły usta Heleny. Twarz kobiety taką jest wtedy tylko, gdy do jéj serca wstępuje gość potężny; — wielka miłość. Natalia pocałowała gorące czoło Heleny i odpowiedziała z cicha.

— Daj ci Boże szczęście, któregoś warta.

Ale wyraźny niepokój twarz jéj zachmurzył: słyszała, że pan Leon był sławnym bałamutem; wiedziała, iż modni i salonowi panowie może się i szczerze czasem zalecają ubogim kobiétom, ale nie żenią się z niemi. Helena taka spragniona serdecznego życia, taka ufna!... Natalia mimowolnie zadrżała, przypominając sobie słowa poety.

„Serce i potok ostrzegać daremnie.“

VII.

„Serce i potok ostrzegać daremnie!” Słowa te sprawdziły się na panu Leonie. Daremnie zimna rachuba mówiła mu, że źle robi, zaniedbując pięknéj swéj narzeczonéj; że naraża się na utracenie świetnéj partyi. Daremnie przesąd i pycha szeptały mu, że Helena była biedną dziewczyną, córką nizkiego jakiegoś urzędnika z nazwiskiem prostém i nieznaném; daremnie kilka razy na dzień postanawiał sobie iść do państwa Bogackich, a nigdy już nie zajrzéć na Szkolną ulicę; daremnie było to wszystko. Od bramy mieszkania panny Loli odchodził najczęściéj, nie przestąpiwszy jéj progu, odepchnięty jakąś niewidzialną siłą; a do cichego pokoiku Heleny jakoś codzień zabłądził. Wmawiał w siebie, że tam śpieszy przez poczucie dobrowolnie na siebie przyjętego obowiązku lekarza; a czuł, że wiedziony tam jest pociągiem, którego zwyciężyć nie mógł.

Poczuł, że nie był bankrutem serca; że zostało mu jeszcze dosyć uczucia, aby wielbić i ukochać kobietę, może nie tyle piękną, jak inne, ale dla niego tém piękniejszą, że żyła sercem a kierowała się rozumem, — że wreszcie była jedną z cierpiących nie z urojeń, nie z kaprysów, ale z powodów od niéj niezależnych. Bał się jednak Leon zajrzéć w głąb’ swoich myśli; instynktownie pojmował trudność swojego położenia. Dla człowieka, który zrósł się z blaskiem i trudnością, dla wypieszczonego ulubieńca salonów i modnych piękności, pokochanie dziewczyny nieznanéj, bez posagu i głośnego imienia, musiało

koniecznie wydać się nieszczęściem, tém bardziéj, że przed niewielu dniami, wśród wrzawy, oklasków i powinszowań, został narzeczonym jednéj z najjaśniejszych gwiazd społecznego horyzontu. W innym razie Leon umiał-by może, z pospolitym cynizmem ludzi przywykłych do łatwych zwycięztw, pogodzić te rzeczy; ale Helena była taką czystą, taką jakoś poważną a ufną razem, taką dobrą a nieszczęśliwą, że Leon nie śmiał najskrytszą nawet myślą grzeszną splamić jéj bladego czoła, które, wśród cierpień i sieroctwa, potrafiło zostać dla świata dumném i pogodném. Zresztą uczucie jego dla niéj nie miało w sobie tego, co stanowiło treść przeszłych jego miłosnych przywidzeń; dziewicza postać Heleny budziła w nim uwielbienie, cześć głęboką, i razem rodzaj słodkiego rozrzewnienia. W rozmowie z nią czas mu zbiegał szybko i mile; czuł, że z taką kobietą życie musiałoby popłynąć spokojnie i rozkosznie, ozłocone promieniem myśli, ubarwione ciepłem żywego uczucia.

Nie patrzał w przyszłość, bał się wpatrywać w siebie; czuł, że nowe życie napłynęło mu do piersi i stał się młodszym, świeższym, lepszym. I dobrze mu z tém było; a co będzie potém? nie chciał pytać losów. Jakby we mgle przyszłości widział przed sobą ołtarz, a obok siebie, z pierścionkiem żony na palcu, Lolę; a za sobą słyszał mnóztwo głosów, powtarzających: szczęśliwy, szczęśliwy! Ironicznie uśmiechał się do tego obrazu swojéj przyszłości, przywoływał przed wyobraźnią słodką, piękną twarz Heleny — i zapominał o wszystkiém na świecie.

Znowu minął tydzień, i znowu przez długie jego siedm

dni Leon dwa razy tylko był u państwa Bogackich, a coraz zimniejszy, coraz bardziéj chmurny. Matka niepokoiła się tém trochę, ale uspakajał ją praktyczny p. R.

A Lola? och! Lola w owym tygodniu nie miała czasu myśléć o narzeczonym i smucić się jego obojętnością... tyle miała pilnego zajęcia! Od rana do wieczora jeździła z matką do magazynów, kupowała suknie, koronki, kapelusze, wstążki, wachlarze; całe godziny spędzała na naradach z modniarkami i krawcami; a gdy usypiała, myśl jéj zapełniały pytania tak dla niéj ważne, jak Hamletowskie: Być, czy nie być? — pytania: jaki kolor materyi stosowniejszy na wizytową suknią: *mexyk* czy *hawanna?* w *hawannie* jest bardziéj do twarzy, ale *mexyk* modniejszy! Jakie wstążki lepiéj ozdobią czarny axamitny kapelusik: *saumon* czy *sang de boeuf? sang de boeuf* ładniejsze, ale *saumon* bardziéj dystyngowane. Wśród tylu więc trosk i niepewności, kiedyż miała czas myśléć o narzeczonym? przesuwał się on wprawdzie niekiedy przed jéj wyobraźnią, ale niewyraźnie — wśród stubarwnéj mgły przeróżnych materyi, wstążek i szali.

Takie, skupione i pełne poważnych rozmyślań, przygotowanie się do ślubu młodych osób, nazywa się: robieniem wyprawy. Nie uczy ono wprawdzie przyszłéj drogi życia, nie daje zdrowych myśli i serdecznych poczciwych natchnień; ale pocóż te wszystkie mrzonki i próżne exaltacye? Trzeba rzeczy brać poważnie i z praktycznéj strony; a dla Loli i wielu jéj podobnych, w wigilią ślubu, wyprawa jest gruntem, wspierającym wszystkie marzenia i pragnienia. I dziwią się potém ludzie,

że życie domowe młodych małżeństw pozornie tylko świeci spokojem, jak dyament fałszywy blaskiem kłamanym; że szczęście ich rozdziera się łatwo, jak przezroczysta koronka! Jaki grunt, taka budowa!

Tymczasem Leon całkiem inaczéj przepędzał czas, niż piękna jego narzeczona. I on także daleki był od niéj sercem; ale gdy ona była coraz lżejszą i bardziéj rozkochaną w błyskotkach, on stawał się coraz poważniejszym, a zarazem — smutniejszym. Tydzień cały, wyłącznie prawie przepędzony z Heleną, dał mu ją poznać zupełnie, dał mu zajrzéć w najskrytsze głębie serca jéj i myśli. I nie dziw, że tak było.

Pod nierozsądną, choć troskliwą opieką, żyjące ciągle kobiety, mają czas wdziewać na siebie maski rozliczne, studyować przed zwierciadłami twarze swoje, aby je oblać takim wyrazem, jaki im w danych okolicznościach najkorzystniejszym być może. Wesołe lub smutne, słodkie lub energiczne, pseudo sawantki lub naiwne, są one takiemi, jakiemi być chcą; nastrajają się do kamertonu instrumentu, na jakim zagrać im przychodzi. Kobieta, żyjąca samoistnie i samodzielnie, dźwigająca ciężar życia, ukazuje się taką, jaką jest; do udawania, do maskowania się, nie ma ani czasu, ani sił, bo je obracać musi na stworzenie sobie warunków istnienia, o których nikt za nią nie myśli. Życie jéj już jest czynem, przedstawiającym ją w rzeczywistém świetle; ono samo rękojmią i świadectwem jéj wewnętrznéj istoty.

Helena miała naturę przezroczystą, do któréj głębi zajrzéć było można, jak do wnętrza kryształowego odłamu.

W każdém słowie jéj, w spojrzeniu, w uśmiechu była prawda, drgało tętno wewnętrznego życia.

Raz wśród rozmowy, Leon, jakby wiedziony zażyłém lekceważeniem, do którego upoważniły go niejako spotykane przez niego kobiety, a może ciekawością, kryjącą głębszy, bezpośredni interes, przyczém i wspomnienie podsłuchanéj na koncercie rozmowy przyszło mu do pamięci — zapytał się Heleny:

— Czy nigdy pani nie kochałaś?

Spojrzała na niego długiém spojrzeniem swoich ciemnych oczu i odpowiedziała z prostotą, tym dowodem niewinnéj ufności:

— Nigdy. Kiedym miała rodziców, byłam zamłoda na to, zanadto marząca jeszcze; uczyłam się, i miłość znałam tylko z książek, jakie czytałam, i z nieokreślonych przeczuć serca. Potém musiałam ciągle pracować, więc nie miałam czasu o tém myśleć — dodała z żartobliwym uśmiechem — i zresztą nie znałam nikogo, oprócz dzieci, które uczyłam, i ich rodziców.

— Więc pani nie wiész, co to jest kochać? — rzekł znowu młody człowiek, któremu słowa, na koncercie posłyszane, uporczywie brzmiały w uszach srebrnym głosem Heleny.

— Nie kochałam nigdy, — odpowiedziała dziewczyna, — ale wyobrażam sobie, że miłość jest to wiara bez granic w człowieka, którego się kocha; jest to rozkosz oparcia się z ufnością na jego ramieniu; jest to związek wszystkich drgnięć serca i myśli z drganiem jego serca i z jego myślą — słowem, jest to szczęście!

Mówiła to zarumieniona, ze spuszczonym wzrokiem; a Leon myślą zapytywał się sam siebie: czy ta kobieta, nieznająca miłości, a przeczuwająca ją tylko, mogła by go kochać takiém uczuciem? Zdawało mu się, że mógłby być tak szczęśliwy, — bo co do niego, to czuł, że wstało w nim pragnienie takiéj miłości, i chwilami zdawało mu się, że niedaleko może ją znaleźć — że ją znalazł już może.

Myślał o tém — i ona coś podobnego myślała, przecież nie powiedzieli sobie tego słowami. Ale ileż jest odbłysków miłości w spojrzeniu, w uśmiechu, w uścisku ręki — dla tych, którzy się kochają, a nie chcą lub nie mogą powiedzieć sobie o tém!

Leon nader troskliwym był dla Heleny lekarzem. Zdawało się, że już odzyskała zdrowie zupełnie, jeśli jeszcze nie siły dawniejsze, on jednak codziennie przychodził i coraz dłużéj przesiadywał. O zdrowiu Heleny nie było już prawie co mówić, o miłości nie mówili; a jakoś czas im schodził, przemieniał się dla nich w rój złotych chwilek. Raz do wychodzącego Leona rzekła Helena:

— W téj tu cichéj samotni niéma nic, coby pana zająć mogło; tu tylko pracować — a wreszcie istne nudy.

— Nie; ja się tu bawię wybornie, bo szczęśliwy jestem — odpowiedział.

Przyniósł jéj raz bukiet kamelii białych. Nic naturalniejszego dla dziewczyny, jak ozdobić włosy kwiatkiem. Helena nie miewała kwiatów zimą — więc zaraz jednę z kamelii we włosy włożyła.

— Pierwszy to raz, — rzekła — od śmierci mojéj matki wplatam kwiat we włosy, ale czynię to dlatego, żeby panu

dowieść, że ze zdrowiem i swoboda myśli mi wróciła — dodała z nieopisanym uśmiechem. Wychodząc, Leon prosił ją, aby mu oddała tę kamelją, przeniknioną już tą swobodą myśli, któréj on taką czuje potrzebę. Bez niewdzięczności nie mogła mu tego odmówić; a on téż nie chciał zostać dłużnym, i, w zamian za nadwiędły kwiatek, zostawił pocałowanie na ręce Heleny. — Piérwsze dla niéj... i jeszcze od niego!...

Któżby zdołał pochwytać wszelkie owe drobniuchne objawy wzajemnéj dwojga serc sympatyi? któżby je zdołał przełożyć na wyrazy, o których powiedział poeta że „w ustach wietrzeją — na powietrzu stygną?”

I wyrazami da się coś wypowiedzieć, szczególniéj gdy to *coś* poprzedzone było owemi objawami sympatyi.

— Życie moje bez celu było i bez barwy, — mówił raz Leon do Heleny, przypominając sobie apatyą, w któréj był przed jéj poznaniem — znudził mię świat i ludzie znudzili. Znajomość z panią nowém światłem oblała dla mię wszystko, co mnie otacza; przyjaźń dla pani ogrzała mi życie.

I mówiąc to, patrzał na nią spojrzeniem, w którém było coś nieskończenie żywszego nad przyjaźń. Oczy także wiele mówić mogą.

— Życie człowieka zacnego i rozumnego, jakim pan jesteś, — odpowiedziała — nie powinno być bez celu i bez barwy. Myśl stwarza cel, wskazując sposoby stania się użytecznym na świecie; serce uczuciem ubarwia i ogrzewa wszystko. Pojmuję cierpienie, bo sama cierpiałam; ale znudzenia nie rozumiem, i dla tego sądzę, że ono u pana

było stanem przechodnim tylko.

Leon myślał, że, gdyby z nią był zawsze, w istocie nie nudził-by się nigdy; że za wsparcie męzkiego ramienia, jakie-by dać jéj mógł, ona-by mu dała moralne wsparcie swojéj świeżéj i gorącéj duszy.

I pomyślał, że przecie oboje byli wolni — i mogliby zostać na zawsze razem z sobą.

Ale przypomniał sobie, że jest już narzeczonym innéj; zły jakiś demon szeptał mu, że Helena była biedną i nieznaną dziewczyną. Coby ludzie powiedzieli, coby świat cały powiedział, gdyby on dla niéj porzucił świetną i bogatą pannę Lolę! Ożenić się z Heleną, czuł, że było-by to szczęście i zbawienie dla niego; ale był-by to téż mezalians, była-by to śmieszność, a on się tak bał śmieszności! — i wiedział, co to za straszna hydra. Prawie się nie wahał w postanowieniu pojęcia Loli za żonę; ale nim postanowienie to spełni, dużo jeszcze może wody upłynąć. Jemu nie pilno, pewnie i jéj także — więc poco sobie truć życie przed czasem myślami; lepiéj używać złotych chwil, póki można.

Pewnego dnia jednak szedł ulicą chmurny i gniewny jakoś. Był przed chwilą u państwa Bogackich, rodzice Loli oświadczyli mu, że ślub jego z ich córką ma się odbyć ósmego Stycznia, a że było to ósmego Grudnia, miesiąc więc tylko dzielił go od dnia, w którym wiecznemi węzły złączy się z kobietą, mającą mu dać 500,000 zamiast miłości, i arystokratyczne stosunki zamiast szczęścia domowego. Czuł, że pora było wybierać; pora było rozstać się z Heleną, albo z Lolą. Do piérwszéj ciągnęło go poczciwe i ciepłe uczucie; druga wabiła pewnością dostatku

i ulubionego konfortu, i blaskiem wszelkich łechcących próżność błyskotek.

W myślach jego toczyła się walka; stanął na rozstajnych drogach.

Bywają chwile, w których wędrowcy tego świata widzą przed sobą, rozchodzące się ścieżki — czują, że ta, którą wybiorą, ma ich wieść przez całe już życie. I niepewni — stają, patrząc w prawo i w lewo; i tu i tam, jest coś, co ich nęci, jest coś, co ich odtrąca. Szczęśliwy ten, kto wśród dróg rozstajnych potrafi najlepszą sobie wybrać ścieżkę!

Szedł powoli ze schyloną głową i rozmyślał. Chwilami postanawiał porzucić Lolę, ale demon szeptał mu zaraz do ucha: co za głupstwo! robić skandal, łamać dane dobrowolnie słowo, tracić taką świetną partyą! — a gdzież honor? gdzie rozum? coby na to ludzie powiedzieli!

Więc porzucić Helenę? Ależ jemu z nią tak dobrze! ona tak piękna, dobra, myśląca! — I owa struna, która sama jedna została mu po wszystkich zerwanych strunach serca, śpiewała w piersi jego pieśnią cichą: nie wyrzekaj się miłości, nie zrywaj jedynéj nici, która cię zbawić może od ożenienia się z posagiem, a potém od wiekuistego poziewania!... W takich pogrążony myślach, znalazł się przed bramą domu, w którym mieszkała Helena. Zdziwił się, stanął, zawahał się przez chwilę. Wstąpić, czy nie?... choćby ten ostatni raz... Potém szybko postąpił i wszedł na schody.

Helena była dnia tego zupełnie już zdrową. Ubrana w ciemną sukienkę, blada była, jak zwykle, pod koroną swoich czarnych warkoczy, oplatających jéj czoło i

spływających na ramiona. Ale w bladości téj był jakiś żywy koloryt, jakby wewnętrznego rozpromienienia. Oczy jéj błyszczały jakby z pod powłoki rozkosznego marzenia; na ustach zawisł uśmiech nadziei.

Z tém marzącém spojrzeniem i słodkim uśmiechem spotkała Leona, podała mu rękę, którą on długo zatrzymał w swéj dłoni, i wymówiła proste: „dzień dobry” głosem, w którym młody człowiek cały świat uczuć dosłyszał.

— Czy szanowny konsyljarz — rzekła po chwili, śmiejąc się swobodnie — pozwoli mi dzisiaj wyjść na miasto?

— Dziś jeszcze nie — odpowiedział Leon, z zachwytem patrząc w jéj twarz. — Dzień jest chmurny i mglisty, wilgoć mogła-by pani zaszkodzić; jeżeli jutro będzie sucho i słońce zaświeci, sam poradzę pani krótką przechadzkę. — Helena spojrzała w okno.

— Prawda — rzekła, — że dziś pochmurno i dżdżysto, a dziwna rzecz — dodała znowu z uśmiechem, — od rana zdawało mi się ciągle, że słońce świeci.

Dnia tego ani przez chwilę słońce nie jaśniało na niebie; ale było ono w sercu dziewczyny, i cały świat wydał się jéj opromienionym i ciepłym.

Po chwili Leon wyszedł z mieszkania Heleny, smutniejszy jeszcze i bardziéj zamyślony, niż był wprzódy. Nigdy nie wydała mu się ona równie powabną i wdzięczną, jak w dniu owym; całą mocą, wszystkiemi władzami swojéj istoty zapragnął jéj. Ale z drugiéj strony stawała mu w myśli Lola, z którą związany już był słowem daném, wobec całego świata. Lola bogata, świetna; zerwanie z nią, ożenienie się z ubogą Heleną, ukazywało mu się w ciemnéj

barwie śmieszności i upokorzenia przed tymi, którzy mu dotychczas zazdrościli pomyślności i blasku.

Uczucie z rachubą i próżnością toczyło w nim walkę; szala zwycięztwa przechylała się to na jednę, to na drugą stronę; gniewał się na własną słabość, samym sobą pogardzał. Chwilami coś postanawiał i znowu wpadał w niepewność. Nieszczęśliwy ulubieniec salonów, dziécię zepsute powodzeniem, miękkości życia i cackami; nie miał dość mocy, aby wyrzec się stanowczo: albo kobiéty, którą prawdziwie pokochał, albo cacek, łechcących jego próżność.

VIII.

Nazajutrz po dniu, w którym Helena, pomimo chmur zakrywających niebo, widziała słońce, dzień rzeczywiście już jasny i pogodny zstąpił na świat. Lekki przymrozek osuszył ulice miasta; słoneczne promienie łamały się w szybach magazynów i złotemi nićmi błyszczały na śniegu, który lekką warstwą przykrył ziemię. O południu, mnóztwo przechodniów zapełniało szeroką ulicę Krakowskiego-Przedmieścia; a między nimi; otulona małém futerkiem, w swoim czarnym kapelusiku z popielatém piórkiem, szła wolno chodnikiem Helena. Twarz miała pogodną, i niekiedy po ustach jéj przebiegał uśmiech, jakby się śmiała do jakiéjś myśli swojéj. Szła powoli, pewnym i lekkim krokiem; patrzała wkoło jasném spojrzeniem, ale znać było, że nie zajmowała się tém, co ją otaczało, a wzrokiem duszy biegła gdzieindziéj.

Z jednego z najbogatszych magazynów wyszły dwie strojne panie. Starsza z nich wsiadła do pięknéj karety, młodsza stała jeszcze przez chwilę na schodkach, wydając jakieś rozporządzenia słuchającemu jéj z uszanowaniem subjektowi handlowemu. Helena, która w téj chwili przechodziła obok magazynu, spojrzała na młodą i śliczną kobiétę w sobolowéj szubce i fijoletowym aksamitnym kapeluszu, i jakby zdziwiona a zarazem uradowana, zatrzymała się i patrzyła. Strojna pani ukłoniła się lekko i z wysoka kupcowi, i miała wsiąść do karety, ale mimowolnie téż spojrzała na Helenę; stanęła, popatrzyła w nią, poczém podbiegła szybko kilka kroków i zawołała:

— Helena!

— Lola! — zawołała także Helena i obie podały sobie ręce ze szczerym uściskiem.

Przed kilku, laty panna Bogacka była na pensyi z Heleną. Koleżeństwo zaciera różnicę majątków i rodu; bogata panna lubiła dobrą i rozumną towarzyszkę, która pomagała jéj nieraz w naukach. Helena uwielbiała piękność Loli, i ze zwyczajną sobie słodyczą stała się najlepszą przyjaciółką téj, któréj inne koleżanki zazdrościły strojnych sukien, częstych przysmaczków i bogato oprawnych książek. Niedługo wprawdzie były one razem; bo państwo Bogaccy, znalazłszy niedostatecznie świetném wychowanie córki na pensyi, w któréj ją z razu umieścili, wzięli ją do siebie i otoczyli cudzoziemskiemi guwernantkami i metrami. Odtąd nie spotykały się ze sobą dwie towarzyszki; ale Helena zachowała o Loli miłe wspomnienie, a panna Bogacka, ujrzawszy przyjaciółkę dziecinnych lat, zapomniała o swojém kłopotliwém zajęciu około wyprawy, nie spojrzała nawet na strój téj, z którą się witała, i wiedziona dobrym instynktem młodości, podała jéj obie ręce.

— Poznałaś mię, Heleno! — mówiła Lola; — tak dawnośmy się nie widziały.

— Zawsze śliczna jesteś, Lolciu, — odpowiedziała Helena, ze szczerym zachwytem patrząc na jaśniejącą świeżością twarz pięknéj panny.

— Ah, *ma chérie*, zmizerniałam w tych dniach strasznie! ale tyle mam zajęcia, tyle kłopotów, że sobie nie wystawisz — szczebiotała Lola. — Robię sobie wyprawę, a to nie mała rzecz; *figurez-vous*, o niczém nie zapomnieć,

wszystko dobrze wybrać, zastosować każdą rzecz i do mody, i do twarzy...

— Więc idziesz za mąż? — spytała Helena.

— *Mais ovi, ma chérie*, i to prędko, Ósmego Stycznia będzie mój ślub, musisz być na nim. O, już téż będziemy się często widywały z sobą, nie prawdaż? pojedziemy kiedy razem do teatru, na spacer. Pojutrze będzie prześliczny koncert, *tout le monde y sera*, może i ty będziesz?

— Nie, Lolciu, — odpowiedziała z uśmiechem Helena, — ja nie bywam ani w teatrze, ani na koncertach. Ale powiédz mi co o swoim narzeczonym. Cóż? piękny, rozumny? dobry?

— Oh, *beau comme un Apollon*, śliczną ma manierę, niezmiernie grzeczny i miły w towarzystwie; możesz się domyślić, że jest zupełnie *comme il faut*.

— A kocha cię bardzo? — pytała Helena.

— *Je crois que oui*, — odpowiedziała piękna panna, spuszczając oczy, bo ostatnia jéj guwernantka Mlle Zélie, nauczyła ją, że trzeba zawsze spuszczać oczy, gdy mowa o miłości. To tak urocze w młodéj osobie!

— A więc z serca życzę ci szczęścia, — rzekła Helena, podając dłoń dawnéj towarzyszce.

W téj chwili dał się słyszéć głos z karety:

— Lola, Lola, *viens donc, j'ai froid*, czekając na ciebie!

— *Adieu, ma chérie*, Mama czeka! — zawołała Lola i zwróciła się ku karecie.

Helena ją zatrzymała. — Powiédz-że mi, moja droga, jak się nazywa twój narzeczony, — rzekła, — abym wiedziała, jak się ty nazywać będziesz? Słysząc twe nazwisko, będę

wiedziała, że o tobie mowa.

— Mój narzeczony jest pan Leon X., doktor, — odpowiedziała szybko, ścisnęła raz jeszcze rękę dziewczyny i wskoczyła do karety, która potoczyła się po śniegu z głuchym turkotem. Ale turkotu tego nie słyszała już Helena. W oczach jéj zrobiło się ciemno, nogi zadrżały pod nią; wkoło niéj wszystkie przedmioty zaczęły się kręcić wirem. O uszy jéj obijał się gwar i szum przepływających falami ludzi i powozów, ale nie rozróżniła w nim żadnych osobnych dźwięków, bo wszystko zlało się dla niéj w nierozwikłany zamęt. Oparła się o mur domu, przy którym rozmawiała z Lolą i tak stała przez długą chwilę, śmiertelnie blada, z półzamkniętemi oczyma, ze ściętemi i zbladłemi usty. Zdawało się, że cała krew z twarzy zbiegła jéj do serca, które uderzało gwałtownie, jakby się miało wnet rozerwać w piersi.

Zwolna wracała do przytomności, do świadomości miejsca i położenia, w jakiém się znalazła.

Na niebie słońce świeciło jasno śród pogodnego błękitu, ale ona go już nie widziała i dla niéj wszystko już było teraz ciemne, pochmurne.

— Ach, pęknie mi serce! — wyszeptała z cicha, przyciskając rękę do piersi, i myślała: — On! jéj narzeczony! — I myśląc o tém, nie miała łez w oczach; i owszem, na usta jéj wybiegł uśmiech, prawda, że gorzki, taki, jakim się śmieje głęboka rozpacz, ale zawsze to uśmiech. Można płakać z radości, czemuż-by się nie śmiać z rozpaczy?

Przechodnie, szybko sunący po chodniku, potrącali

niemyślącą o świecie Helenę. Powolnym, automatycznym ruchem, z oczyma w jeden punkt utkwionemi, podniosła z ziemi zarękawek, który jéj przed chwilą z ręki wypadł, i powolnym także, automatycznym krokiem poszła w stronę swojego mieszkania.

— A więc on mnie nie kocha, nigdy mnie nie kochał, kiedy jest jéj narzeczonym — myślała idąc; — pocóż więc kłamał spojrzeniem, uśmiechem, wszystkiém? — I przez chwilę zaćmiła się przed nią postać człowieka, którego w swych myślach oblała jasnością ideału.

— Nie, — myślała potém — dziwna jestem, szalona! Alboż kiedy powiedział mi, że mię kocha? Przyjaźń, szacunek jego dla mnie, brałam za miłość, a teraz go obwiniam. On szlachetny taki i dobry! nie mógł kłamać! jam się sama łudziła, kochając go. I cóż dziwnego, że on kocha Lolę? Ona piękniejsza sto razy ode mnie, świetna, strojna, bogata! — I szła tak, myśląc; wzrok miała szklany, jakby w jeden, niewidomy nikomu i sunący przed nią, punkt utkwiony. I czego nikt nie widział, dostrzegło jéj oko w owym punkcie. To on — dobry, szlachetny, czuły, wysypywał skarby swéj pięknéj duszy przed Lolą, która po nich deptała, nie poznając się na nich. A oto idzie para dorodna: kobieta ładna i z wdziękiem ubrana, wspiera się na ramieniu mężczyzny, o szlachetném, myślącém obliczu; rozmawiają z sobą żywo, a z twarzy ich radość bije promienna. To on i ona.! — Helena odwróciła spojrzenie, w głowie jéj zawirowało. Chciała uciec przedtém zjawiskiem, a ono wyprzedzało jéj oczy, gdziekolwiek je zwróciła — zawisło na promieniu jéj wzroku i w mózg się jéj wżarło;

zamknęła oczy, a niemniéj jasno widziała prześladowcze widmo. Uciekała myślą, a ciałem posuwała się, jak automat, poruszany sprężynami. Jak długo szła i którędy — nie wiedziała; straciła pojęcie miejsca, a czas nietylko dla szczęśliwych prędko biegnie — rozpaczający go także nie mierzą. Ale doszła nakoniec do domu, w którym mieszkała; machinalnie, powoli wstąpiła po wschodach na górę, machinalnie otworzyła drzwi swego pokoiku, i również bezwiednie zdjęła futro, kapelusz — i stanęła u okna. Promień słońca ozłacał szyby i wił się po posadzce. Ta smuga światła, przeszywająca cień, izdebkę napełniający, niosła znów na sobie ścigające ją na ulicy widmo pary szczęśliwéj.

— Ach! i tutaj jeszcze! — szepnęła z cicha i opuściła sztorę. Spadając, sztora wytrąciła ze szklanki, stojącéj na oknie, wpółzwiędły już bukiet białych kamelii; kwiaty upadły do stóp Heleny. Pochyliła się zwolna i podjęła je. — Kwiaty! — rzekła znowu cicho — to kwiaty od niego! — I, patrząc na nie, myślała: — zwiędłyście, i ja tak zwiędnę! — Wyjęła z bukietu jednę kamelią, zbliżyła się do źwierciadła i włożyła ją we włosy; chwilę stała przed lustrem, patrząc nie na siebie, ale na kwiat, który wpółzżółkłą białością jaśniał w jéj czarnych warkoczach. I zaśmiała się głośnym, spazmatycznym śmiechem; gwałtownie wyrwała z włosów kamelią, rzuciła ja daleko od siebie i, opuszczając ręce, rzekła: Wszystko skończone!

Nagle wzrok jéj spotkał się z portretem matki. Malowane oczy kobiéty zdawały się patrzéć na nią ze słodyczą i miłością; promień słońca, przekradając się bokiem sztory,

tworzył w górze obrazu jasną aureolę. Helena długo patrzała na portret, usta jéj roztworzyły się westchnieniem piérwszém, głębokiém; wzrok stawał się coraz mniéj suchym, mniéj szklanym — aż postąpiła szybko kilka kroków, a stanąwszy przed portretem, złożyła ręce jak do modlitwy i mówiła cicho: Matko moja, czemuż teraz nie jesteś ze mną! Potém osunęła się na kolana, czołem uderzyła o zimną posadzkę, i głośne łkania wydobyły się z jéj piersi a potoki łez z oczu. Tém łkaniem, tym potokiem łez zestraszone widmo promiennéj pary uciekło — a słodki obraz matki zastąpił jego miejsce.

Zmrok zaczął zapadać, kiedy Helena powstała, otarła łzy, westchnęła za ojcem, za Natalią potém — i usiadła przy oknie, a podnosząc nieco ręką spuszczoną sztorę, wpatrzyła się w czerwony blask zapalających się na ulicy latarni; może tamtędy nadejdzie który z przyzywanych myślą przyjaciół.

Tegoż dnia przed zmrokiem Leon przyszedł do państwa Bogackich, chmurny i dziwny, tak jak zwykle tam bywał. Przez pół godziny rozmowa wlokła się bez znaczenia i z przymusem, aż Lola zawołała:

— A *propos*! muszę téż panu powiedzieć, że miałam dziś miłą niespodziankę.

— Czy nowy transport materyi przybył z Paryża do Kwiatkowskiego? — zapytał Leon z powagą, z pod któréj tryskał sarkazm.

— *Mais non* — odrzekła piękna panna, nie dostrzegając sarkazmu; — spotkałam dziś dawną moję znajomą, *une amie d'enfance, vous savez, ça tient toujours au coeur* —

dodała sentymentalnie.

— A i któż to taki? — spytał znów młody człowiek, rad, że znalazł się przedmiot rozmowy, która mu zawsze trudno jakoś szła z narzeczoną.

— Córka jakiegoś urzędnika, *je ne sais*, biedne snadź stworzenie; byłam z nią parę lat na pensyi. Ach! pytałeś się mnie pan niedawno, czy nie znam jakiéj Heleny? zapomniałam wówczas, że ta moja znajomość zwie się: Helena. *Je vous le dis*, i nazwisko *pardessus le marché, quoique je n'avais rien d'interessant.* Nazywa się Helena B.

Leon drgnął widocznie; szkiełko, którém się machinalnie bawił, wypadło mu z ręki.

— Helena B.! — zawołał z ożywieniem twarzy, jakiego dotąd Lola w nim nie widziała — to pani ją znasz?

— I cóż w tém dziwnego? — rzekła; — a pan znasz ją także?

— Tak... trochę — odrzekł, miarkując się Leon; — czyś pani mówiła jéj o wszystkiém — dodał z coraz wzrastającém wzruszeniem.

— O czém? — spytała Lola nieco obrażona i zaniepokojona.

— O tém, żeśmy narzeczeni.

— Dlaczegoż bym nie miała powiedzieć? — odrzekła; — mówiłam i prosiłam ją na nasz ślub.

Leon czuł, że zbladł; usta mu drżały; zwyciężył się jednak, mówił coś jeszcze obojętnego, ale niezadługo powstał, by się pożegnać z paniami.

— Myślałam, że pan z nami wieczór przepędzi? — rzekła z wymówką pani Bogacka.

— Nie mogę pani, — odpowiedział stłumionym głosem doktor — mam ważne sprawy na mieście.

Lola nic nie mówiła, obrażona; końcem paluszków ledwie raczyła dotknąć dłoni narzeczonego, a gdy wyszedł, cała zarumieniona, rzekła do matki:

— *Maman*, pan Leon jest bardzo dziwny; zdaje mi się, że nie tak powinien postępować ze mną.

— I mnie się tak zdaje — odpowiedziała matka. Chciała coś jeszcze mówić, ale lokaj oznajmił, że posłańcy z magazynów czekają w jadalnéj sali.

— Niech tu przyjdą, — rzekła żywo pani Bogacka — musieli przynieść i twój fioletowy aksamit, Lolciu.

— Ciekawam téż — zawołała rozpromieniona już narzeczona — czy Lesser przysłał mi wachlarz *bois de senteur*, który obiecał mi na dziś sprowadzić.

I wszystkie chmury dwóch dam pierzchnęły przed urokiem fioletowego aksamitu, i powiewem wachlarza *bois de senteur.*

— A Leon? — Leon nie szedł, ale biegł przez ulicę; głowę paliła mu myśl, że Helena wié o tém, iż on jest narzeczonym innéj, i myśli pewnie, że on inną kocha.

Wprawnemu jego oku nie mogło ujść spostrzeżenie, że biedna dziewczyna go kochała; był tego pewnym. Ale dotychczas nie myślał nigdy o tém, na jakie cierpienia uczucie to narazić ją może; nie nawykł myśleć, czy kto cierpi z jego powodu, bo mu się téż zdawało, że nikogo na cierpienia nie narażał. Tak i teraz: używał miłych chwil, spędzanych przy Helenie; a choć rozkosz tę mącił obraz niedalekiéj, czekającéj go przyszłości, to usuwał go z myśli,

ile mógł. Ale teraz się opatrzył; straszném mu było przypuszczenie, że ona cierpi przez niego, że go pewnie posądza o kłamstwo, o udawanie; że pogardza nim może! Chciałby był miéć skrzydła, aby prędzéj stanąć przy niéj, spojrzéć na nią — i w twarzy jéj zobaczyć ten sam spokój, tę samą miłość, jakie widział dotąd. Zmrok zaczynał szarzeć, gdy, szybko przybiegłszy przed dobrze znajomą bramę na Szkólnéj ulicy, miał ją już otworzyć. Nagle zatrzymał się. Demon próżności i słabości raz jeszcze szepnął mu: co robisz? pomyśl, że jeśli w téj chwili tam wejdziesz — musisz wyjść ztamtąd związanym na zawsze z Heleną. Istotnie Leon czuł, że się już nie powstrzyma, i powié Helenie, że ją kocha; a gdy to powié — to byłby najnikczemniejszym z ludzi, gdyby, nieodepchnięty, nie został jednak jéj mężem. Może-by lepiej nigdy tam już nie wchodzić! — szeptał demon. — Ożenić się z taką biedną dziewczyną! śmieszność! co ludzie powiedzą!

Ale na ten raz walka krótko już trwała; dobre natchnienie, poczciwe i silne uczucie — zwyciężyły. Szybko wszedł w bramę, i w parę sekund był przed drzwiami pokoju Heleny.

Zapukał lekko do drzwi. — Proszę wejść — odezwał się czysty i srebrny głosik dziewczyny.

Młody człowiek wszedł i znalazł się w zupełnie prawie ciemnym pokoju. Spuszczona sztora nie dopuszczała nawet skąpych światełek z latarni ulicznych. Z razu, nic nie widząc, zatrzymał się przez chwilę u drzwi; potém zobaczył przy oknie postać kobiety.

Helena postąpiła kilka kroków. — Dobry wieczór panu

— rzekła, podając mu rękę, jakby z nawyknienia, jakby nic w jéj sercu nie zaszło. Głos jéj nie był wcale zmieniony, ale ręka bardzo zimna.

— Jak tu ciemno, mówiła — jakby dopiéro w téj chwili spostrzegła zmrok — zaraz zapalę lampę.

Leon czekał w milczeniu; Helena, odwrócona od niego, zapalała lampę, a po chwili, już ze światłem w ręku, zwróciła się twarzą ku niemu i postawiła je na stole.

Piękna była wtedy, pięknością wielkiéj — wiecznéj boleści. Twarz miała bardzo bladą i blade, w półrozwarte, usta; na oczach jéj nie było już śladu łez, ale zapadły one, sine koła je otoczyły, i palił się w nich jakiś smutny blask. W bolesném jéj przed chwilą przejściu, kilka drobnych zwojów czarnych włosów osunęło się na jéj czoło, i tak zostały, nieusunięte ręką, rzucając cień na blade skronie. Leon obrzucił ją jedném spojrzeniem, dojrzał bolesną zmianę w jéj twarzy. Wszystkie dobre instynkta natury drgnęły w jego piersi, uczucie ozwało się z całą siłą. Żywo się ku niéj zwrócił.

— Pani widziałaś dziś pannę Bogacką — rzekł stłumionym głosem, zbliżając się do dziewczyny.

— Tak, spotkałyśmy się dzisiaj, — odpowiedziała spokojnie — to dawna towarzyszka moja z pensyi.

— I ona mówiła pani....

— Mówiła mi, — przerwała Helena — że jesteście państwo zaręczeni z sobą, i że ślub wasz będzie za miesiąc. Niech pan przyjmie najszczersze życzenia szczęścia — dodała, podając rękę Leonowi.

Gdy mówiła ostatnie wyrazy, usta jéj drżały, ale głos i

twarz cała były spokojne; patrzała na Leona śmiało i poważnie. Siła woli, poczucie godności kobiecéj, zwyciężały jęk, co się wyrywał z jéj piersi, i nie dawały wyjść na jaw boleści.

Leon pochwycił ją za rękę.

— I pani myślisz, że ja ją kocham! — zawołał.

Powoli wysunęła rękę z jego dłoni, oparła ją o poręcz krzesła i rzekła poważnie:

— Ja myślę, panie Leonie, że człowiek zacny i rozumny nie może być narzeczonym kobiety, nie kochając jéj.

— A jednak ja jéj nie kocham! — wymówił stanowczo.

— Więc żenisz się pan z nią dla posagu — zawsze spokojnie odrzekła kobieta — albo dla innych nie wiem jakich tam, powodów; w takim razie nie wart pan jesteś szacunku.

— Heleno! nie wymawiaj tych słów — zawołał Leon, cały drżący, biorąc znowu jéj rękę; — nie odmawiaj mi swego szacunku, nie pogardzaj mną! Kiedym się z nią zaręczał, byłem słaby, zepsuty, bezrozumny; teraz przejrzałem, rozum twój mię podniósł, miłość dla ciebie mię ochrzciła. Ja ciebie i tylko ciebie jednę, ciebie piérwszą, i ciebie ostatnią prawdziwie kocham.

Dziewczyna znowu wyrwała dłoń swoję z palącego uścisku młodego doktora, cofnęła się parę kroków, ręce założyła na piersi, i z dumnym wyrzutem na niego spojrzała. Przez chwilę trwało milczenie, rumieniec coraz silniejszy wstępował na bladą twarz Heleny, aż odezwała się powoli, spokojnym ale stanowczym głosem:

— Panie X., jestem sama jedna na świecie, nie mam

nikogo, ktoby mię osłaniał, i ktoby się ujął za mną; ale sama mam poczucie własnéj godności i wyrobioną cierpieniem moc, która umié stłumić choćby najsilniejsze uczucie, jeśli tego zacność moja wymaga. Dla każdego człowieka, mającego w sobie choć iskrę szlachetności, kobieta w mojém położeniu jest świętością, z któréj żartować się nie godzi. Kto i co dało panu prawo mówienia do mnie w ten sposób wtedy, gdy słowem i postanowieniem własném związany jesteś z inną kobietą?

— Co mi dało to prawo? — zawołał Leon — miłość moja dla ciebie, która zrobiła mię innym, niż byłem, człowiekiem, dla któréj wyrzeknę się z radością próżności, pociągających mię dotąd. Nie jestem związany z tamtą węzłami, których rozwiązać nie można; nie za późno cię spotkałem. Jesteś moim zbawczym aniołem, i musisz uwierzyć, że cię kocham. Ale może ty mnie nie kochasz? — dodał, biorąc obie ręce Heleny i patrząc w jéj twarz.

Dziewczyna spojrzała na niego spojrzeniem przeciągłém, badawczém, które zimném pragnęła uczynić; ale powoli łzawa obsłona wzrok jéj zasuwała, pierś się wzniosła i dwie łzy popłynęły po twarzy.

— A! kochasz mię!, — zawołał Leon — ale nie wierzysz w moję miłość! A więc chodź przed ten twój ołtarz, który i moim niech w téj chwili będzie.

I pociągnął ją ku portretowi matki.

— Wobec Boga i wobec cienia twojéj matki — mówił, trzymając silnie ręce jéj w swoich dłoniach; — wobec wszystkiego, co jest najświętszém na niebie na ziemi, od téj chwili jestem twoim mężem, Heleno!

Zgiął kolano i pociągnął za sobą Helenę; uklękła prawie mimowolnie, cała drżąca, zalana łzami nagłego, niespodziewanego już, nieopisanego, choć nie bezwątpliwości, szczęścia; pochyliła czoło; Leon chciał złożyć na niém pocałunek, dotykał go już prawie ustami, ale się nagle powściągnął.

— Dopóki nie odejdziemy od ołtarza, — rzekł, powstając — nie pocałuję nawet twojéj ręki; abyś wierzyła, że cześć, jaką mam dla ciebie, wyższą jest jeszcze od mojéj miłości.

W téj chwili otworzyły się drzwi i weszła Natalia. Spojrzała na dwoje młodych ludzi, wzruszonych i trzymających się za ręce; a twarz jéj, zwykle surowa, bardziéj jeszcze się zachmurzyła.

Chciała coś mówić, ale Leon szybko postąpił ku niéj, trzymając za rękę Helenę, i rzekł:

— Jako najlepszą przyjaciółkę Heleny, proszę panią, abyś nam podała rękę z serdeczném życzeniem. Od téj chwili jesteśmy zaręczeni.

Słysząc te słowa, Natalia cofnęła się o parę kroków; gniewny wyraz zalał jéj twarz i rzekła z ironią:

— Ileż pan X. myśli miéć narzeczonych naraz? bo właśnie dziś się dowiedziałam, że za miesiąc ma się ożenić z panną Bogacką.

— Pani, — odpowiedział Leon, biorąc rękę Natali — nie obraża mię twój sarkazm, bom nań zasłużył. Byłem narzeczonym panny Bogackiéj przez próżność, przez interes, słabość, namowy ludzi; ale Helenę kocham i będę jéj mężem.

Rozjaśniła się twarz Natali wielką radością, obie dłonie podała młodemu człowiekowi, i całując w czoło Helenę, rzekła z rozrzewnieniem: bądź szczęśliwa!

Jak Helena była szczęśliwą w owéj chwili, któż opowié, albo opisze?

Owego wieczora, w oknie na facyatce domu Szkolnéj ulicy, długo drżało światełko. Dopiéro około północy wyszedł Leon. Niebo miał w sercu. Walka się skończyła i czuł się zwycięzcą; odzyskał szacunek dla siebie, a przed sobą widział jasną przyszłość z rozumną, dobrą, kochającą i ukochaną kobietą.

IX.

W parę dni potém cały piękny świat warszawski o niczém innem nie mówił, jak o zerwaniu zamierzonego małżeństwa doktora z panną Bogacką. Jedni się dziwili, inni się śmieli, a inni jeszcze najdziwaczniejsze tworzyli przypuszczenia. Mówiono z cicha, że młody człowiek zakochał się w jakiéjś baletniczce, czy śpiewaczce, czy subretce; że się z kimś żeni, niewiadomo z kim, z nieznajomą jakąś, podobno awanturnicą.

Słudzy i domowi państwa Bogackich przebąkiwali coś o długiéj rozmowie, jaką pan Leon miał z panną Lolą sam-na-sam, i o tém, że ona po téj rozmowie wyszła, cała zarumieniona i zapłakana, a naradziwszy się z matką, odesłała narzeczonemu pierścionek — poczém powiedziano im, że dla pana X. pań nigdy w domu nie będzie.

Przyjaciele domu państwa Bogackich głosili z uśmiechem, że piękna panna Lola dała doktorowi odkosza; ale ogólne przekonanie było, iż związek przez niego został zerwany.

Gdy wiadomość została zupełnie głośną i pewną, w mieszkaniu pana Leona zebrało się kilku najbliższych jego znajomych. Młody doktor spotkał ich spokojnie i grzecznie; twarz miał pogodną, a nawet lekko rozpromienioną, jakby wewnętrzném miłém wzruszeniem; z ust jego zniknął całkiem sarkastyczny uśmiech. Goście zasiedli, prowadząc potoczną rozmowę i paląc cygara; wszyscy oni przyszli tam z chęcią usłyszenia z ust samego bohatera szczegółów ciekawéj dla nich jego historyi. Ale, wobec spokojnéj,

lekko zimnéj grzeczności Leona, nikt nie śmiał rozpocząć pytań o tym, jak im się zdawało, drażliwym dla niego przedmiocie. Mówili o wczorajszym teatrze, o nowo-przybyłéj artystce opery, o zawiązujących się téj zimy w Warszawie małżeństwach.

— *A propos* — odezwał się najśmielszy i najpoufalszy z Leonem, p. Xawery; — powiedz téż nam, Leonie, czy to prawda, żeś zerwał z panną Bogacką?

— Ona zerwała ze mną; odmówiła mi; — odpowiedział spokojnie zapytany, wpół leżąc na kozetce i paląc cygaro.

— Ho, ho, wiemy, wiemy, jak to było! — zawołał Xawery; — powiedziałeś podobno pannie, że jéj nie kochasz, i że prosisz ją, aby, unikając dla siebie kompromitacyi, odmówiła ci. Ale pozwól sobie powiedzieć, żeś nierozważnie postąpił.

— Co to nierozważnie? — rzekł z zapałem pan Józef, kuzyn Leona, — co to nierozważnie! jako brat twój, powiem ci, żeś zrobił kapitalne głupstwo.

Leon milczał i uśmiechał się.

— Myślcie sobie, co chcecie, i mówcie, co chcecie — rzekł wreszcie, — mnie to wszystko jedno.

— No, a powiedz-że nam jeszcze, — mówił trzeci młody człowiek, — czy to prawda, że masz się żenić z kim innym?

— Prawda, — odpowiedział doktor, nie wyjmując z ust cygara.

— Z kimże? bo podobno z jakąś biédną dziewczyną?

— Z zupełnie biédną — również spokojnie, jak wprzódy, odparł Leon.

— A to już najkapitalniejsze głupstwo robisz! — zawołał

zaperzony kuzynek Józef. — Nie spodziewałem się tego po tobie; myślałem, że jesteś praktyczny i realny chłopiec, a przekonałem się, żeś marzyciel i nierozważny.

— Brawo, brawo, Leonie! — ironicznie mówił jeden z gości; — jesteś bohaterem romantycznych wieków! I dla kogóż to poświeciłeś piękne oczy i pół miliona? Jestże to córka muz, jaka błędna rycerka, czy może pasterka, którą przed ślubem oddasz na rok do klasztoru, aby się nauczyła czytać?

Leon rzucił cygaro, wyprostował się i surowo spojrzał na otaczających.

— Panowie, — rzekł grzecznie, lecz zimno i z wyższością; — dopóki mówicie o mnie i śmiejecie się ze mnie, pozwalam wam mówić i śmiać się, jak się podoba, bo wasze żarty nie odbiorą mi szczęścia, jakie mam, i pewności, że dobrze robię. Ale o kobiécie, którą kocham i która wkrótce będzie moją żoną, proszę was na zawsze zamilczeć; bo choć nie jestem, jak się wyrażacie, rycerzem romantycznych wieków, potrafię jednak od żartu i najlżejszéj obelgi obronić tę, któréj odtąd winienem opiekę i cześć. Dla zaspokojenia zaś waszéj ciekawości, powiem wam tylko, że narzeczona moja jest równie piękna, jak panna Lola, i w rzeczywistém znaczeniu tego wyrazu, daleko lepiéj od niéj wychowana. Nie ma wprawdzie posagu, ale ma rozum, dobroć i miłość, któremi mię uszczęśliwi. Gdy zostanie moją żoną, poznacie ją, i wiem z pewnością, że nie będziecie mogli odmówić jéj szacunku i sympatyi, których jest warta.

Obecni zamilkli, a Leon, znowu z zaniedbaniem oparłszy

się o kozetkę, dodał:

— Teraz mówcie sobie znowu o mnie i żartujcie ze mnie, ile i jak tylko chcecie.

Wtedy z pomiędzy otaczających powstał obecny tam a milczący, p. Wiktor H. i, zbliżywszy się, do Leona, podał mu rękę.

— Ja tyle powiem o tobie, Leonie, żeś szlachetny; i że jestem szczęśliwy, widząc między naszą młodzieżą człowieka takiego, jak ty. Byłeś dotknięty chorobą, tak częstą u nas, niestety! chorobą znudzenia i próżności. Widziałem cię blizkim zupełnego moralnego upadku; dobre instynkta twojéj natury, niestłumione jeszcze całkiem błędami młodości, zwyciężyły. Nie znam twojéj przyszłéj żony, ale wierzę, że godna ciebie, bo widzę, że ją szczerze kochasz; więc mówię że robisz dobrze, zacnie i że będziesz szczęśliwy. Parę tygodni temu inaczéj ci wróżyłem.

— Niech żyją sentymenta! — zawołał z ironią pan Józef. — A gdzież jesteśmy, w jakim kraju, w jakim wieku, abyśmy mieli całe szczęście, cały cel życia widzieć w miłości dla kobiéty?

— Miłość dla kobiéty, — poważnie odpowiedział p. Wiktor, — nie powinna być zapewne jedynym celem życia; ale jest ona niezawodnie bodźcem i wsparciem w dążeniu do innych w życiu społeczném celów. Wy, panowie, umiecie krzyczéć na sentymenta, ośmieszać je i odrzucać, osłaniając się wielkiemi słowami ogólnych pozytywnych dążeń i idei. Ale pokażcie mi, gdzie są takie idee i dążenia, którym-by poważna i szczera miłość przeszkodę stawiała? Jeżeli ideą tą jest dobro całéj ludzkości, wierzcie mi, że w

kochającém i dobrém sercu kobiéty znajdziecie wiele natchnień, które wam rozświecą to, czego-byście sami nie dojrzeli. Jeżeli umysłową pracę kto wybierze, to kobiéta poważna i myśląca podzieli ją z nim. Jeżeli ideą i celem waszym jest życie rodzinne, na czém-że je oprzeć, jeżeli nie na miłości dla téj, z którą przyjdzie wam długie dni spędzić i która będzie matką waszych dzieci? A cokolwiek będzie zadaniem waszego życia, wszędzie was czekają walki i trudności, którym najczęściéj sami nie podołacie. Gdzież znajdziecie serdeczniejsze współczucie, gdzie myśl tém bystrzejszą, że przeniknioną miłością, gdzie poparcie dzielniejsze, gdzie pociechę i osłodę, jeśli nie w rozumnéj, pojmującéj was i kochającéj żonie? Ale żeby taką znaleźć kobiétę, nie trzeba szukać w niéj samego tylko cacka, ani parawana, ani kożucha na zimę, ani znów drugiéj ostateczności: anioła, bóztwa — słowem, nadziemskiéj istoty; tylko równego nam człowieka, mogącego nie bawić nas tylko, nie zachwycać tylko, ale i pracować, i myśléć z nami. Tak pojęta, miłość dla kobiéty, nie jest mrzonką, ani exaltacyą, ani próżnym sentymentem; jest ona pociechą, zachętą, słońcem życia. Leon pokochał biedną dziewczynę, żeni się z nią, a ja raz jeszcze powtórzę, że robi szlachetnie i rozumnie, i będzie szczęśliwym, jak wolno być człowiekowi szczęśliwym.

— Ależ, mój szanowny panie, — zarzucił pan Xawery, — alboż-to bogatéj panny kochać nie można? alboż majątek ma być hasłem potępienia dla niéj?

— Bynajmniéj — odpowiedział p. Wiktor; — nie ja to zapewne powiem, aby majątek stanowił przeszkodę do

pokochania kobiéty, która go posiada. Sam mam żonę bogatą; a jaką ona jest, jak jestem z nią szczęśliwy, czuję to w każdéj chwili i wy wszyscy o tém wiecie, panowie. Żeby myślący i zacny człowiek mógł pokochać kobiétę, nie zależy to od tego, czy ona jest bogatą lub biedną; ale od tego, jak czuje i myśli, i jeszcze od téj niewidzialnéj siły, która mimowoli spaja lub odpycha dwoje ludzi. Kochasz pan i szacujesz kobiétę, bogatą czy ubogą, mniejsza o to, żeń się z nią; ale nie żeń się z bogatą, nie kochając jéj, bo będziesz mały i nizki; nie opuszczaj biednéj, którą kochasz, bo będziesz nikczemny i bezrozumny; w jednym i drugim przypadku stracisz dobrowolnie najlepszą cząstkę szczęścia w życiu. Ale już dosyć na ten temat, moi panowie, — rzekł, zwracając się mówiący do Leona, — bądź zdrów poczciwy, zacny Leonie.

— No, i ja cię już pożegnam, — rzekł pan Józef, nienawrócony słowami pana Wiktora; — powiadam ci, żeś głupstwo zrobił.

— A ja mówię, — dorzucił, żegnając się pan Henryk, — żeś wybornie zrobił; bo teraz ja mam nadzieję otrzymać łapkę panny Loli.

— Czego ci szczerze życzę — odpowiedział Leon; — ale nie zazdroszczę, — pomyślał w duszy.

Wyszli wszyscy. Młody doktor jął chodzić po pokoju, rozpromieniony lubemi myślami, z uśmiechem na ustach, nie z owym uśmiechem szyderstwa, który go nigdy prawie nie opuszczał, chyba ziewnięciem nudy spędzony, ale uśmiechem wewnętrznego zadowolenia. Nagle zatrzymał się przed stolikiem, wziął z niego małe pudełeczko,

otworzył je i błysnął brylantowy pierścionek, który mu przed dwoma dniami odesłała panna Lola. Popatrzał przez chwilę na migocący ogniami żywemi dyament, i rzekł do siebie: Jak on pięknie zaświeci na jéj ślicznéj rączce! — Potém podniósł rękę do czoła i z nieopisanym wyrazem w twarzy wymówił: Szczęśliwy jestem!

Po chwili był już na wschodach i, szybko z nich zbiegłszy, poszedł ku Szkolnéj ulicy . . . . . .

*
* *

W miesiąc potém w jednym z kościołów warszawskich odbyły się dwa śluby: pana Leona X. z panną Heleną B. i pana Henryka W. z panną Lolą Bogacką.

Warszawa, 1866 roku.

KONIEC.

SYN STOLARZA.

„Ani z roli, ani z soli,
Ale z tego, co boli“.

Na wysokiéj górze, w gęstwinie drzew, tworzących szerokie ogrody i parki, stał piękny pałac, z dachem, błyszczącym ponsową blachą, z tarasem, pełnym kwitnących zamorskich roślin, z jedną wysmukłą wieżyczką.

U stóp góry płynęła rzeczka kręta i szumiąca, a nad jéj brzegiem, w cieniu rozłożystych grusz i jabłoni, krył się pokornie szary domek, o czterech czystych, lecz małych okienkach, ze strzechą słomianą i gankiem, na dwóch drewnianych słupach opartym.

Za rzeczką zieleniła się rozległa dolina, a u jéj dalekiego krańca większe i mniejsze wzgórza otaczały widnokrąg, jakby podając sobie ręce do tanecznego koła. Z po-za nich wyglądały wioski rozliczne, to ukazując parę chat z dymiącemi kominami, to niby błogosławiąc okolicę gromadą wyniosłych krzyżów. Przez środek doliny, krętym i białym szlakiem, biegła droga, przecięta, rzuconym na

rzecze, zgrabnym zielonym mostem, mijała z blizka szary domek o słomianym dachu i, pnąc się po górze, wiodła pod murowaną bramę pałacu, wysoką, ozdobioną u szczytu oszkloném mieszkaniem odźwiernego.

A było to w urodzajnéj, górzystéj stronie, kędy echo wiejskiego śpiewu obija się o zielone szczyty wzgórz, kędy wiejskie dziewoje rosną wysmukłe, jakby się na pałacowe zapatrzyły wieże, wesołe, jakby się w swawolnie szemrzące wsłuchały potoki.

Pałac, żyzna dolina i wszystkie wsie widzialne dokoła, całe słowem dobra, zwane Olsk, należały do pani Eufemii Z., z domu Odrowążównéj, wdowy po zacnym człowieku, zmarłym przed wielu laty. Imię zgasłego dziedzica Olska ze czcią wspominane było przez całą okolicę, ale do czci téj łączyło się pewne politowanie. Mówiono, że pan Z. więcéj był zacnym niż szczęśliwym, bo małżonka jego, pani Eufemia, nie dała mu domowego szczęścia, pychą swą i samolubstwem trując dni sprawiedliwego. To téż, po jego śmierci, mało ludzi zaglądało do pysznego pałacu, i dumna pani, żyjąc samotnie, karmiła się myślami o swéj wielkości, jak pustelnik miodem leśnym, a resztę śmiertelnych uważała za nędzną szarańczę, niegodną spojrzenia jéj szarych, przymrużonych oczu. Pani Eufemia była małego wzrostu i bardzo otyła; oblicze jéj było szerokie i rumiane, dumnie podniesione, a giesta królowéj, wydającéj rozkazy tłumowi poddanych.

W domku, stojącym u stóp góry nad rzeczką, mieszkał stary stolarz, Onufry Hebel, mieszczanin rodem, ale od bardzo dawnych czasów osiedlony w Olsku. Mąż pani

Eufemii, budując przed laty pałac swój, powierzał mu stolarskie w nim roboty, a zadowolony z wielkiéj zręczności i umiejętności rzemieślnika, darował mu domek nad rzeką z owocowym ogrodem i sporym kawałem żyznego gruntu. Onufry Hebel posiadał ogólną opinią bardzo uczciwego i nad stan swój oświeconego człowieka, oddawna był wdowcem i miał jednego tylko syna, który od dzieciństwa zyskał był sobie szczególną łaskę i względy u pana Wincentego Odrowąża, rodzonego brata pani Eufemii, ale wcale z charakteru niepodobnego do niéj. Opowiadano, że kiedy syn stolarza Hebla był jeszcze małém chłopięciem, pan Odrowąż, przybyły w odwiedziny do siostry, ujrzał go raz siedzącego nad rzeczką, i z niezmiernym trudem a wytrwałością czytającego z małéj książczyny. Uderzony pojętną twarzą dziecka, zagadał do niego, pytając, czemuby się tak mozolił nad książką, i jakiéj ze swego czytania spodziewa się korzyści.

Chłopak podniósł bystry wzrok na wyniosłego pana i odpowiedział krótko:

— Chciał-bym zostać rozumnym człowiekiem, i dla tego się uczę.

Pan Odrowąż uśmiechnął się dobrotliwie, pokręcił szpakowatego wąsa i rzekł do stolarza:

— Słuchajno, panie Hebel, masz waść syna, dzielnego chłopaka; małe to takie, a już świeci ku dobremu. Ot, jak się uweźmiemy we dwóch, to uczynimy go rozumnym na chwałę Bogu i pożytek ludziom. Daj waść na to swoje pozwolenie, a ja dam potrzebne pieniądze.

Hebel z podzięką i godnością, która go cechowała,

pokłonił się zacnemu panu, i mały Romanek pojechał do szkół, potém czas długi kształcił się w krakowskiéj wszechnicy, aż nareszcie stanął o własnych siłach, a w okolicy Olska chodziła wieść, że wyszedł na bardzo biegłego prawnika i zyskał sobie powszechną wziętość w Krakowie. Jakiś stary towarzysz Hebla, rzemieślnik jak on, i jak on uczciwy, pojechał raz do Krakowa, w odwiedziny do kogoś z krewniaków, tam mieszkających i, wróciwszy, opowiadał, iż odwiedził Romana Hebla w jego własném mieszkaniu, pięknie i dostatnio urządzoném, i ze wszystkiego, co widział, mógł wnieść, że syn Hebla miał znaczne dochody. Dodawał jeszcze ze łzą w oku stary rzemieślnik, że, mimo powodzenia swego, Roman nie zapomniał o starych znajomych i, nie wstydząc się grubéj jego sukmany, powitał go bardzo uprzejmie w obecności kilku pięknych i bogatych snadź panów, którzy byli zebrani w jego mieszkaniu i obchodzili się z nim z widoczną przyjaźnią.

Pani Eufemia, mimo pałacu, dóbr i całéj swéj wielkości, mniéj była szczęśliwa od stolarza Hebla, bo nieba nie pobłogosławiły jéj potomstwem. Nigdy w bogatych ścianach jéj mieszkania nie zadźwięczał głosik dziecięcy, tak słodki dla każdéj piersi kobiecéj, nigdy szyi jéj nie otoczyły drobne, miękkie rączęta. To téż dumna pani, śród samotności swéj, nie raz zamyśliła się smutnie nad tém, iż nie miała komu zostawić w dziedzictwie bogactw swych i swéj dumy; a może téż kiedy w jéj sercu i bardziéj ludzka a kobieca struna ozwała się tęsknotą za uczuciem macierzyństwa, które jest kwiatem i gloryą uczuć

wszelkich. Bądź co bądź, smutno i posępnie było w ścianach Olskiego pałacu bez młodocianych głosów i śmiechów, gdy pewnego razu wcale niespodzianie zawitał do Olska pan Wincenty Odrowąż, ale nie sam jeden, bo przywiózł ze sobą dorosłą i urodziwą pannę, a stając z nią razem przed panią Eufemią, rzekł:

— Przywiozłem ci, kochana siostro dobrodziejko, pannę Lillę Odrowążównę, synowicę naszę, osierociałą, jak wiész, przed rokiem. Był-bym się z nią nie rozstawał wcale i zatrzymał ją we własnym domu, ale dziewczyna potrzebuje kobiecéj opieki, a jam nie żonaty. Powierzam ci ją, jako córkę twego i mego brata, warując sobie, że jak ty będziesz jéj opiekunką, tak ja opiekunem jéj być nie przestanę, i oboje wspólnie zajmować się będziemy dalszym jéj losem.

Lilla została w Olsku. Nie była to Wołynianka, o czarném oku i śniadéj cerze, ale córka zimniejszéj strony, białolica i jasnooka, bo się pono gdzieś aż nad brzegami Wilii urodziła. Włosy miała tak jasne, jako len najpiękniejszy, śliczne ponsowe usta, z za których wyglądały, niby perły, białe i równe ząbki, na gładkiém czole nosiła pogodę i czystość dziewiczą, a kibicią wyrosła ku podobieństwu brzózki leśnéj: smukła, cienka i gibka, z drobnemi rączkami, któremi-by się lubować mogło oko artysty-snycerza. Zaledwie miała lat siedmnaście, a już wiedziała, co to jest gorycz nieszczęścia. Rodzice jéj różnemi a dziwnemi kolejami fortuny utracili znaczny majątek, a w końcu, umierając sami, zostawili ją sierotą. W głębi serca swego osierocona dziewica chowała pamięć o matce swéj, pięknéj i dobréj jak anioł, i ojcu, który niedolę

wszelką przeniósł z hardém czołem i nieposzlakowaném sumieniem. Z rodzinnych stron swoich wywiozła dwa wspomnienia ciemnych lasów, co szumiały nad jéj kolébką, i przeciągłéj pieśni ludowéj, któréj nuty, płynącéj po łanach, słuchać lubiła, bawiąc się u kolan matki. Tęsknota cicha, serdeczna, za tymi, którzy zmarli, i za tém, co opuściła, osiadła w młodziuchnéj jéj piersi, odbiła się w oku wyrazem marzenia, i odbrzmiała w głosie miękką słodyczą. Lilla lubiła gwiazdy, kwiaty i muzykę, lubiła śpiew i poezyą, i nieraz, godzinami całemi, śpiewała sama, lub duszą tonęła w tych poetycznych brylantowych opisach, które malują tęczowemi barwami szczęście, miłość i bohaterskie cnoty. A gdy się tak zaczytała, lub zaśpiewała, to i zamarzyła dziewica-sierota, błękitne oczy zakrywała białą dłonią i z marzeń swych spowiadała się przed matką swoją, któréj obraz tkwił w jéj sercu, uświęcony pamięcią pobożną, i jak wołanie, dochodzące z za grobu, przemawiał do niéj głosem miłości najwyższéj.

Taką była Lilla. Gdy po odjeździe stryja pozostała w Olsku, wbiegła na pałacowy taras, panujący z wysoka okolicy, ogarnęła okiem cały widnokrąg i, objąwszy ramionami grube drzewo mirtowe, zapłakała rzewnie. W owéj chwili podwójnie ujrzała się sierotą, bo poczuła, że nigdy serce jéj nie uderzy zgodnie z sercem ciotki, która jéj matkę zastąpić miała.

Wszakże od przyjazdu Lilli pałac w Olsku ożywiać się począł; po okolicy rozeszła się wieść o piękności i dobroci przybyłéj tam dziewicy, a że była ona synowicą zacnego Odrowąża i bogatéj pani Eufemii, że wdzięki jéj miały być

ozłocone dźwiękami bogatych spadków po stryju i ciotce, mnóztwo ludzi zapragnęło ją poznać, i cichy dotąd Olsk, zabrzmiał nieznanym tam oddawna, rozgwarem. Pani Eufemia chciała pokazać się wielką panią w uczuciach swych dla synowicy, zapraszała więc i przyjmowała wszystkich wystawnie, a Lilla w białéj sukience, z szafirowemi habrami w warkoczach, wyglądała jak świeżo rozkwitła lilijka, i czarowała mnóztwo ludzi swém marzącém spojrzeniem i pełnemi serdecznéj głębi tonami swego głosu.

Pogodny czerwcowy dzień miał się ku końcowi; na ganku swego małego domku siedział Onufry Hebel, zajęty jakąś misterną, stolarską robotą. Wokoło niego panował spokój, właściwy wiejskiéj zagrodzie; po murawie małego dziedzińca wesoło igrały promienie słońca; z za płotu migotała rzeczka, iskrząc od złotych promieni; z oddali dochodził ryk trzody, a na niewielkiéj stodółce rozgłośnie klekotał bocian. Do słupa ganeczka, nad samą głową siedzącego stolarza jaskółka przylepiła swoje gniazdko, i wychylona z niego, odzywała się niekiedy, niby dając rady swe i zdanie o robocie, którą on wykonywał. Z góry, po białéj drodze, z głośnym turkotem szybko zjeżdżały wozy jednokonne, wracające od pałacowych robót, dudniły na moście i, cicho tocząc się daléj po dolinie, niknęły w kierunku wiosek, leżących między wzgórzami. Stary Hebel

pochylił głowę, okrytą siwemi włosami, pogrążył się w swéj robocie i, gorliwie robiąc dłutem, zanucił z cicha: „Wszystkie nasze dzienne sprawy.”

Nagle podniósł głowę, przestał śpiewać i zaczął wsłuchywać się w coś z natężoną uwagą. Do wszystkich odgłosów pogodnego wieczoru dołączył się jeszcze jeden, z razu słaby i oddalony, potém co raz bliższy i wyraźniejszy; był-to odgłos pocztowego dzwonka, płynący naprzód z za wzgórz, a potém po dolinie.

Hebel z natężeniem słuchał dzwonka i patrzał na toczącą się, śród kłębu kurzawy, parokonną bryczkę; cała dusza jego była we wzroku. Bryczka zadudniła na moście, ale nie pojechała ku pałacowi, tylko zwróciła się na boczną drożynę, wiodącą do domu stolarza. Ujrzawszy to, Hebel, złożył ręce jak do modlitwy.

Przed gankiem z bryczki pocztowéj wyskoczył raźny młodzieniec, w pięknem podróżném ubraniu. Hebel powstał i chciał postąpić naprzeciw niemu, ale zbrakło mu siły, — upadł na ławę całym ciężarem, zakrył oczy rękoma i z piersi jego wyszedł głuchy jęk. Miał to być wykrzyk radości, ale mocą wezbranych uczuć zamienił się w jedno głębokie łkanie.

Młodzian jednym skokiem był u kolan stolarza i w białe dłonie ujmując spracowaną rękę starca, ze czcią ją do ust przycisnął.

Takie było milczące a serdeczne powitanie starego Hebla z synem. Z gniazdka swojego patrzała na nie jaskółka i kręciła główką, i szczebiotała żywo, jakby pokazując dzieciom swym tego strojnego i dorosłego młodziana, który

ze czcią i miłością klęczał przed starcem, odzianym sukmaną.

Roman Hebel miał lat 27. Trzy lata dopiéro kończyło się, jak rozpoczął swój zawód prawnika, a już zyskał sobie powszechną i ustaloną opinią człowieka nieposzlakowanéj uczciwości i wiele rokującego na przyszłość. Wymową swoją zachwycał nieraz słuchającą go publiczność, a w zawiłych kwestyach sędziwi i zasłużeni jego współkoledzy nieraz go wzywali do pomocy i rady.

Z męzkim hartem, który mu dawał zdolność do wytrwałéj pracy i śmiałego czynu, i z głęboką, nie pospolitą nauką, Roman łączył wielką prostotę, układu i świeżość młodzieńczą, jednającą mu wszystkie serca i skłaniającą ku niemu wszystkie, choćby zawistne z razu, umysły. Średniego wzrostu i kształtnéj postaci, twarz miał o ściągłych, regularnych rysach, i ciemne, bardzo gęste, włosy. Na białém, szlachetnie zarysowaném jego czole, jaśniała pogoda i otwartość; w ciemnych, rozumnych oczach błyszczał często ogień zapału, a usta uśmiechały się szczerotą i młodzieńczém weselem. Najpiękniejszym jednak był wtedy, gdy mówił, bo głos miał pełen męzkiego oddźwięku, a mowę czystą, płynną i nacechowaną taką energią, jaką mu płonął wzrok i jaką w czynach objawiał. Ojca swego kochał bardzo i czcił, mimo, że odszedł od niego umysłem i sferą towarzyską, śród jakiéj mu życie

płynęło. Pragnął nawet i nalegał był na to, aby zamieszkał on z nim w Krakowie; ale stary stolarz sprzeciwił się temu, bo przywykł już do swéj zagrody, w któréj liczne przeżył lata, i myśl o zamieszkaniu w wielkiém mieście nieledwie straszną mu była. Szanował wolę jego Roman i tylko niekiedy odwiedzał ojca — nieczęsto jednak, bo, gorliwie zajęty pracą i przyjętemi na siebie obowiązkami, nie miał czasu na odbywanie podróży. Wszyscy jednak towarzysze i znajomi młodego prawnika w Krakowie wiedzieli o jego pochodzeniu, bo się z niém nie taił bynajmniéj, i — z wyjątkiem kilku półgłówków — tém bardziéj jeszcze lubili go i szacowali. W niektórych nawet oczach nizkie to jego urodzenie dodawało mu pewnego poetycznego uroku, zdobiącego zawsze człowieka z ludu, który własną tylko pracą z łona ciemnoty dźwignął się na szczyt oświaty, i stanął w szeregu ludzi, walczących na czele społeczeństwa.

Pan Wincenty Odrowąż, opiekun Romana, ilekroć go ujrzał, muskał z zadowoleniem siwego wąsa i spoglądał na niego nieledwie ojcowskim wzrokiem; a gdy przyjeżdżał do Olska, szedł do domu stolarza i, ściskając jego grubą rękę, mówił:

— Panie Hebel, winszuję ci syna. Jak-em Odrowąż, dzielny to chłopak!

Przybywszy do Olska, po dwuletniéj tam niebytnosci, Roman nie mógł nacieszyć się widokiem miejsc rodzinnych. Biegał po stromych urwiskach góry, przypominając sobie lata chłopięce, odwiedzał wioski, zachodząc do skromnych mieszkań towarzyszy i przyjaciół ojca swego, i pełną piersią oddychał wonném powietrzem

kwitnącéj doliny. Stary ojciec patrzał na niego z rozkoszą i, mimowoli składając ręce, dziękczynne westchnienie posyłał do tego Boga, którego czcił i chwalił całém swém pracowitém, prostaczém a niepokalaném życiem.

W kilka dni po przyjeździe swym do Olska, wraz ze wschodem słońca, Roman stał na ganeczku starego domu i opowiadał o czémś ojcu, siedzącemu z dłutem w rękach, które tylko co pracować przestały. Syn i ojciec gwarzyli i śmieli się wesoło, a jaskółka, jakby rozmowa ich spać jéj nie dawała, wychyliła główkę z gniazdeczka i odzywała się niekiedy cichutko, niby wtrącając się do gawędki, albo gdérząc na gospodarzy domu, że spać już nie idą.

Nagle Roman przestał rozmawiać i wpatrzył się z natężeniem w stronę drogi, wiodącéj ku pałacowi. Drogą tą zbiegała z góry lekka postać kobieca, w białéj sukni. Zmrok zaczął dopiéro zapadać, i choć rysów kobiety nie można było widziéć z oddali, kształty jéj pięknie zarysowywały się na szarém tle widnokręgu, i warkocze jaśniały nad jéj czołem, jak aureola z bladych promieni. Zbiegła z góry, stanęła na mostku, i, oparłszy się na jego krawędzi, zaczęła patrzéć w bystro płynącą rzeczkę.

— Ojcze, kto jest ta pani? — spytał Roman.

Stolarz pochylił się, popatrzył i odrzekł:

— To panna Lilla Odrowążówna, synowica dziedziczki Olska i pana Wincentego.

— Ona tutaj! Lilla jest tutaj — zawołał Roman z takim giestem, jakby coprędzéj chciał poskoczyć ku stojącéj z dala dziewicy.

Hebel ze zdziwieniem spojrzał na syna.

— Alboż ją znasz? — zapytał.

— Widywałem przed rokiem pannę Odrowążównę w domu pana Wincentego w Krakowie — odpowiedział, miarkując się i spokojniéj, młody prawnik.

— Było to zapewne przed przyjazdem jéj tutaj.?

— Niezawodnie; alem ja wcale nie wiedział, dokąd wywiózł ją pan Wincenty, a pytać go o to nie śmiałem...

Nie dokończył słów swych Roman, bo w powietrzu rozbrzmiał po dolinie śpiew pół wesoły, pół rzewny, dziewiczy, i popłynął nad wodę, w dal, odbijał się o wzgórza i wracał od nich, zdwojony echem, brzmiącém przeciągle w cichém, czystém powietrzu. Lilla śpiewała, patrząc w wodę, w któréj zaczynały przeglądać się piérwsze gwiazdy wieczorne.

— O tak, to jéj głos! — zawołał Roman — poznał-bym go na drugim końcu świata! — I znowu poruszył się, jakby chciał biedz ku niéj, ale silną powściągnął się wolą i, usiadłszy na ławce ganku, słuchał.

Późno już było; Lilla oddawna zniknęła z mostku i oddawna echa wzgórz przestały pieśń jéj powtarzać; stary Hebel spał w swym domu snem sprawiedliwego, i w gniazdku swém usnęła towarzyszka jego, jaskółka, a młody prawnik chodził jeszcze nad brzegiem rzeki i półgłosem nucił piosenkę Lilli.

Ranek był wczesny, słońce zaczynało dopiéro

pokazywać się z za wzgórz łańcucha i, między drzewami porastającemi góry, migotało gdzieniegdzie to różowo, to złocisto; w gałęziach ptactwo świergotało zawzięcie; od doliny wiała woń rozbudzonych porankiem kwiatów.

Tuż za bramą, wiodącą do pałacowego parku, pod rozłożystym grubym dębem, siedziała na trawie Lilla, w białéj, jak wczoraj, sukni, z różową różą nad czołem. Na kolanach jéj leżał wielki pęk polnych kwiatów, z których drobne jéj rączki wiły różnobarwny wieniec; lekki powiew wstrząsał niekiedy liśćmi starego dębu, a wtedy na głowę jéj spadało mnóztwo srebrzystych kropel, niby drżącemi brylantami strojąc jasne włosy.

O kilka kroków za nią, z wązkiéj dróżki, prowadzącéj z doliny na górę, wychylił się młody człowiek z myśliwską torebką, przewieszoną przez ramię i, stojąc nieruchomie, wpatrywał się w siedzącą dziewicę z wyrazem twarzy, w którym była i łza, i uśmiech.

Lilla nuciła półgłosem; nagle urwała piosenkę, przestała splatać wieniec i cichutko szepnęła do siebie:

— Mój Boże, braknie mi liliowych dzwonków, trzeba pójść ich poszukać!

Młody człowiek obejrzał się wkoło siebie i ujrzał kilka bujnych łodyg, osypanych liliowemi dzwonkami; zerwał je w mgnieniu oka, a nim Lilla, zgarnąwszy kwiaty, leżące na jéj kolanach, powstać i obejrzéć się zdołała, Roman stał już przed nią z kwiatami w ręku.

Na to niespodziane zjawisko Lilla krzyknęła i spłonęła karminowym rumieńcem.

— Pani potrzebowałaś do wieńca swego dzwonków

liliowych, a jam posłyszał jéj żądanie i byłem dość szczęśliwym, aby módz je uskutecznić — rzekł Roman z uśmiechem.

— Pan jesteś tutaj, w Olsku! — zawołało dziewczę z radośnym oddźwiękiem w głosie.

— Tak, pani, przyjechałem do mego ojca, nie wiedząc, że i panią tu znajdę.

— O, jakże to szczęśliwie! — zawołała z dziewiczą szczerotą Lilla i podała mu obie ręce; — ja tak często myślałam o tém, czy téż my kiedy spotkamy się jeszcze z panem.

— Więc pani myślałaś o mnie! więc pani mnie nie zapomniałaś! — rzekł z zachwyceniem Roman i przycisnął do ust jéj ręce.

— Ja-bym miała zapomnieć o panu! — zawołała Lilla; — chybaś pan sam zapomniał, jak nam dobrze i mile czas schodził razem, gdyśmy w Krakowie spotykali się u stryjaszka. W Olsku smutno mi bardzo... i choć ciocia dobra i ludzi wiele widzę, często myślę sobie, że gdybym jeszcze i pana widywać mogła, weseléj-by mi było na świecie.

W oku Romana zaperliła się łza męzkiéj radości, ale wnet zniknęła pod powieką, zostawiając po sobie tylko zdwojony blask źrenicy. Tém błyszczacém łzą i radością spojrzeniem wpatrzył się w głąb przejrzystych marzących oczu Lilli i rzekł, ściskając jéj ręce w swych dłoniach:

— Lillo! i jam tęsknił za tobą; słodka twarzyczka twoja była ze mną wszędzie, wspomagała mię, gdym pracował, ku wszelkiemu dobru była mi gwiazdą przewodnią. Nie wiedziałem, gdzie jesteś, ale nie byłem smutny, bo

wiedziałem, że cię odnajdę i zdobędę wolą moją i miłością. Bo ja cię kocham, Lillo!...

Na dźwięk tego wyrazu, Lilla krzyknęła i zakryła twarz rękoma. Roman odciągnął dłonie jéj od lica, spojrzał raz jeszcze z miłością w jéj spuszczające się i załzawione oczy i, pochyliwszy się, gorąco ją pocałował.

W téj chwili między gałęziami dębu figlarnie a radośnie zakukała kukawka. Lilla drgnęła i żywiéj spłoniła się jeszcze, jakby się zawstydziła nawet ptaszyny, co patrzała na nią. Chciała uciekać, ale Roman silnie zatrzymał ją za rękę i oboje usiedli obok siebie pod dębem.

W pałacu ruch był już wielki; sama nawet pani Eufemia w batystach i koronkach wytoczyła się za swéj sypialni i usiadła za stołem, zastawionym herbatą, gdy Lilla przybiegła z parku w wieńcu z polnych kwiatów, z rumieńcem na twarzy, a w oczach z takim wyrazem szczęścia, jakby się w nich przed chwilą wszyscy aniołowie niebios przejrzeli.

Pan Wincenty Odrowąż przyjechał do Olska. Lilla powitała go okrzykiem radości, bo szczerze kochała stryja, i pani Eufemia nawet uśmiechnęła się do brata uprzejmie, i na powitanie go podniosła się nieco z fotelu, z którego zwykła była królować w Olskim salonie. Pan Wincenty był jedynym w świecie człowiekiem, którego wyższość nad sobą mimowoli przyznawała, zresztą bała się go, bo zwykł

był niemiłosiernie żartować z jéj pychy i nawet niekiedy zręcznie a dowcipnie ją upokarzał. Pan Odrowąż miał przepędzić w Olsku parę tygodni, odwiedził więc kilka razy domek stolarza Hebla i widział się z Romanem.

Pewnego dnia, wróciwszy z tych odwiedzin, pan Wincenty zasiadł z fantazyą naprzeciw siostry swéj, siedzącéj w swym fotelu i puszącéj się we wstęgach i koronkach, a musnąwszy wąsa, rzekł do niéj:

— Mam ochotę przyprowadzić tu jutro i zaprezentować siostrze dobrodziejce pewnego kawalera.

— I kogóż to? — ozwała się pani Eufemia, przymrużając oczy, bo z miny brata poznała, że spotka ją coś niesmacznego.

— A Romana Hebla, dzielnego chłopca, i jakem Odrowąż, ozdobę młodzieży krakowskiéj.

— Więc syna stolarza? — zapytała, podnosząc głowę pani Eufemia.

— A jużci syna stolarza; bo, jakem Odrowąż, nie spodziewam się, aby był na świecie jaki Hebel-hrabia — odparł pan Wincenty, patrząc na siostrę pół filuternie, pół niecierpliwie.

Pani Eufemia owinęła się koronkową mantylą, powąchała flakon z solami i, mocniéj jeszcze zmrużając oczy, odrzekła:

— Bardzo przepraszam pana brata, ale nigdy żaden stolarz, ani syn stolarza, nie przestąpił i nie przestąpi, jako gość, progu mego domu.

— Tak siostra dobrodziejka myślisz? — rzekł pan Odrowąż, filuternie patrząc na siostrę.

— Tak myślę i tak będzie — odparła pani Eufemia i, powstawszy z godnością Imperatorowéj Rzymskiéj, wytoczyła się z salonu.

Pan Odrowąż patrzał za nią, kręcił wąsa i kiwał głową z politowaniem; potém spojrzał na obecną przy całéj rozmowie Lillę. Białolica dziewczyna była różowa jak karmin, na rzęsach spuszczonych jéj oczu wisiały błyszczące łezki.

Pan Odrowąż uśmiechnął się, mrugnął figlarnie oczyma i, stojąc przed synowicą i biorąc się w boki, rzekł:

— A czemu to panna Lilla Odrowążówna raki piecze, gdy mowa jest o panu Romanie Heblu?

Lilla milczała, nie śmiąc oczu podnieść na stryja.

— A cóżby to ciotka powiedziała na te oznaki panieńskiego wzruszenia? przecież ty panna wysoko urodzona, a on syn stolarski! he?

Lilla, nie mogąc powstrzymać się dłużéj, z głośnym płaczem rzuciła się na piersi stryja.

— Jakem Odrowąż, śmieszna z ciebie dziewczyna — zawołał pan Wincenty, dobrotliwie obejmując synowicę — no, gadaj-że mi zaraz, czy kochasz go, czy nie, a nie becz, bo to się na nic nie przyda.

— Stryjaszku! ja Bogu i sobie przysięgłam, ze jego tylko jednego przez całe życie kochać będę, — szepnęła Lilla, kryjąc oczy na piersi stryja.

Twarz Odrowąża zajaśniała poczciwym uśmiechem.

— No, to i bardzo dobrze — rzekł — to się i pobierzecie, bo i on powiedział mi, że ciebie kocha. Poczciwe chłopczysko, mówi, iż doświadczał zgryzoty sumienia,

kradnąc niby twoje serduszko bez mojéj wiedzy. Niech-że więc je posiada z mojém pozwoleniem i błogosławieństwem.

— Ale co ciocia na to powié? — szepnęła Lilla, uśmiechnięta przez łzy i całując ręce stryja.

— Ot wytniem jéj taką siurpryzę, że aż podskoczy, choć grubsza ode mnie! — rzekł Odrowąż, pokręcając wąsa.

— Byle-by nie zbyt nagle ją martwić — prosiła dobra Lilla.

— Nie bój się, dziewczyno, wszystko pójdzie jak z płatka, już to ja biorę na siebie. A dobrze tak ciotce! niech nie będzie nadęta, jak bańka mydlana.

Wieczorem dnia tego, Lilla, podlewając swoje kwiatki, tak głośno i radośnie śpiewała w ogrodzie, że aż odgłos jéj piosenki dochodził do ganku stolarza. Roman siedział tam z ojcem i chciwie chwytał uchem oderwane nuty dobrze mu znanego głosu, a jaskółka, wyglądając z gniazdeczka, patrzała na niego i odzywała się niekiedy, jakby mówiła: słuchaj! słuchaj! tam Lilla śpiewa!...

Ostatniego dnia Czerwca uroczyście obchodzono w Olsku rocznicę urodzin pani Eufemii. Dumna pani sprosiła do siebie na festyn całe bardzo liczne sąsiedztwo, a nawet i z dalszych stron zawezwała wiele znajomych lub pokrewnych osób. Przez kilka dni robiły się świetne przygotowania, bo pani Eufemia chciała przepychem olśnić

swych gości, a przytém spodziewała się ujrzéć między nimi młodego pana Edwarda S., milionera, którego od dawna miała na oku, uważając go za stosowną partyą dla Lilli.

Gdy nadszedł dzień naznaczony, liczne powozy poczęły wjeżdżać na dziedziniec Olski. Pod oparty na murowanych filarach, kryty i brukowany podjazd pałacu, z turkotem wtłaczały się karéty sześciokonne, z forrejterami na przedzie, koczyki zaprzężone piątką koni i powożone z konia po krakowsku, kawalerskie amerykanki i kabryolety z ugalonowanemi dżokiejami z tyłu. Obok karet, na małych siwakach kłusowali dziarscy chłopcy, ubrani po kozacku, a każdy z nich trzymał w ręce zgaszony kaganiec, którym miał oświecać państwu drogę z powrotem o późnéj nocy. Kawalerscy furmani trzaskali z batów ogniście, powożący z konia krakowscy stangreci przygrywali na trąbkach. Od bramy do samego podjazdu gwar i zamęt był wielki. Brzęczały uprzęże i błyszczały blachy powozów i migotały różne barwy liberyi, a panowie i panie, w jaśniejących bogactwem strojach, wysiadając z pojazdu, wchodzili do obszernego przedpokoju, wyłożonego mozaikową posadzką, i ozdobionego marmurowemi wschodami, prowadzącemi na piérwsze piętro pałacu.

Na piérwszém piętrze, w obszernym salonie, pani Eufemia przyjmowała przybywających gości. Ubrana w aksamitną suknią wiśniowéj barwy, na szyi miała kilka sznurów wielkich pereł, zamkniętych brylantowym fermoarem; siwiejące już jéj włosy pokryte były czarną koronką, podtrzymywaną dwiema złotemi, w kształcie gwiazd zrobionemi, szpilkami. Siedziała zagłębiona w

swym ulubionym fotelu, obitym ponsowym aksamitem o złotych ozdobach, a na twarzy jéj, rzekłbyś, jak w zwierciedle przejrzały się wszystkie otaczające ją świetności, tak błyszczała ona dumą i nakazującém wejrzeniem.

O godzinie piątéj po południu, około sto osób było już zebranych w salonach Olskiego pałacu; oczekiwano tylko jeszcze pana Wincentego Odrowąża, który na parę dni przed festyną wyjechał był z domu siostry i miał wrócić w sam dzień jéj urodzin.

Z pomiędzy przybyłych pań pięknością i światowym układem najbardziéj się odznaczała pani Matylda W., blizka krewna pani domu, a śród mężczyzn rej wodził pan Bolesław Radzymir, serdeczny przyjaciel pana Odrowąża, przybyły na uroczystość Olską aż zkądciś z pod Karpat. Otoczona gronem dziewic, w najmniejszym salonie, przez który goście przechodzić musieli, dążąc do gospodyni domu, siedziała Lilla w białéj powiewnéj sukience, z wieńcem niezapominajek na gładko uczesanych włosach. Całą kosztowność jéj stroju stanowił sznur pięknych pereł, wijących się na łabędziéj, śnieżnie białéj jéj szyi.

Za krzesłem Lilli stał młody pan Edward S., ów oczekiwany przez panią Eufemią milioner, przystojny blondyn z otwartém czołem, poczciwym uśmiechem i rozumnemi oczyma. Co moment schylał się on nad wianeczkiem niezapominajek i jakby chciał napawać się delikatną wonią kwiatów, zdobiących czoło pięknéj dziewicy, mówił do niéj długo a na twarzy jego malowało się prawdziwe, szczere wzruszenie. Ale Lilla z

roztargnieniem słuchała słów Edwarda; oczy jéj ciągle zwracały się ku drzwiom, jakby oczekiwała kogoś, a na twarzy jéj malowała się tęsknota, któréj skryć nie umiała.

Obiad miano podać o piątéj, ale wielki bronzowy zégar, stojący w środkowym salonie na marmurowéj konsoli, wskazywał już szóstą, a pana Odrowąża jeszcze nie było. Pani Eufemia niecierpliwie spoglądała na drzwi i na zégar, ale nie wydawała rozkazu podania do stołu, bo czekała na brata, który jeden na świecie zaimponować jéj umiał.

W małym saloniku młodzi ludzie i panienki zapraszali Lillę do fortepianu. Piękna panna usiadła przy instrumencie i od niechcenia zaśpiewała jakąś włoska aryetkę. Właśnie odśpiewała ostatnią nutę, gdy otworzyły się drzwi z łoskotem i wszedł naprzód pan Odrowąż ze zwykłą sobie fantazyą i bunczucznością, a za nim ukazał się Roman Hebel.

Ręce Lilli drgnęły na klawiszach i twarz zapłonęła szkarłatem. Wzrok Romana, błyszczący i zamyślony, upadł na nią i powitał ją jéj tylko zrozumiałym wyrazem. Dziewica, w mgnieniu oka odzyskując przytomność, uderzyła parę akordów i w odpowiedź na spojrzenie kochanka pełnym miłości głosem zaśpiewała tę przedziwnéj, dziewiczéj naiwności piosenkę:

„Gdybym ja była słoneczkiem na niebie,
Nie świeciła-bym jak tylko dla ciebie,
Ani na góry, ani na lasy,
Ale po wszystkie czasy,
Nie świeciła-bym jak tylko dla ciebie.”

Tymczasem pan Odrowąż, ująwszy Romana pod ramię, posunął z nim ku gospodyni domu, a stanąwszy przed nią, rzekł:

— Prezentuję siostrze dobrodziejce pana Romana Hebla, arcy zacnego i miłego młodziana, który *na moję prośbę* zgodził się uczestniczyć w dzisiejszéj festynie twojego domu.

Roman ukłonił się z głębokiém uszanowaniem, pani Eufemia zaczerwieniła się jak piwonia i do krwi przygryzła usta. Więc syn stolarza tylko na prośbę jéj brata zgodził się dom jéj nawiedzić! o zgrozo!... Myślała przez chwilę, że zemdleje i poniosła do nosa flakon z solami. Ale szybko przyszedłszy do siebie, wzgardliwém spojrzeniem orzuciła stojącego przed nią młodzieńca i wycedziła przez zaciśnięte zęby:

— Nie wiem tylko, czy będzie *mu* przyjemnie w towarzystwie tak pewno różném od tego, do którego przywykł....

Roman spojrzał na nią ze zdziwieniem jakby nie rozumiał słów tych, a pan Odrowąż odparł, powstrzymując siostrę surowém wejrzeniem:

— Pan Hebel jest tak miłym kawalerem, że wszędzie potrafi dobrze się zabawić, zresztą przybył tu ze mną i *ja* będę dbał o jego zabawę.

Szczególny nacisk położył na wyrazie *ja* i spojrzał przytém na siostrę tak, iż spuściła oczy i ze złości ugryzła zębami rożek batystowéj chusteczki.

Pan Odrowąż witał się radośnie z Bolesławem Radzymirem i prezentował wszystkim damom i

mężczyznom Romana Hebla, jako posiadającego szczególną jego estymę i affekt. Wszyscy poważali wielce Odrowąża, więc i protegowany przezeń młody człowiek doświadczył ogólnie serdecznego przyjęcia; zresztą miła powierzchowność jego, prostota układu i piękna wymowa, od razu uczyniły w całém zebraniu bardzo korzystne wrażenie. Nim obiad podano, Roman Hebel królował już w gronie młodych ludzi; wszyscy oni po raz piérwszy go widzieli, ale kilku z nich słyszało nazwisko jego, zaszczytnie wspominane w Krakowie, zkądby zaś był rodem i jakie posiada heraldyczne zaszczyty, ani w głowie nie postało nikomu zapytać go o to.

Oznajmiono obiad. Pan Odrowąż ofiarował swe ramię pięknéj pani Matyldzie i rozpoczął szereg par, idących do stołu, a widząc, że Lilla stała nieco na uboczu, spłoniona jak różyczka i co moment spoglądająca w stronę, gdzie był Roman, zawołał:

— No, panie Hebel, nie chcesz-że pan podać ręki mojéj synowicy? Jakem Odrowąż, nikt nie zarzuci przecie, że niestosowna z was będzie para!

Na te słowa Roman poskoczył ku Lilli; towarzystwo spoglądając na siebie komentowało oczyma znaczące odezwanie się stryja pięknéj panny, a pani Eufemia udawała ślepą i głuchą, tylko takim ciężarem zwaliła się na ramię prowadzącego ją Radzymira, że aż stęknął pocichu nieborak.

Całe towarzystwo po wschodach, ostawionych, kwiatami, zeszło do sali jadalnéj, w któréj dwa wielkie stoły pysznie błyszczały kryształami i srebrem. Sala ta miała

jednę ścianę całą złożoną z okien, a za nią była obszerna cieplarnia, w któréj, śród mchu i nizkiego kwiecia, wznosiły się i kwitły najrzadsze rośliny. Wszystkie okna od cieplarni były otwarte, i wzrok wchodzących gości uderzała niepospolita, artystyczna piękność ram, oprawiających szyby. Ramy te były z orzechowego drzewa, ale tak misternie i delikatnie wyrabiane, taką wyborną a rozmaitą ozdobione rzeźbą, że każdy prawie z obecnych przystępował do nich z kolei, przypatrywał się i podziwiał.

Obiad trwał dobre trzy godziny. W czasie wetów rozmowa toczyła się wielce ożywiona, a przedmiotem jéj były różne allianse i kolligacye familijne. Pan Odrowąż mówił do Edwarda S.:

— Znałem ci ja dobrze ojca pańskiego; był to człowiek wielkiego rozumu i zacności, a przytém i pan całą gębą. Wszakże to pono marszałkował niegdyś gubernii Wołyńskiéj!

— Nie, szanowny panie, — odrzekł Edward, — stryj to mój był marszałkiem, a ojciec piastował wcale inny urząd.

— A prawda to, — mówił Odrowąż; — starość blizka, pamięć krótka, przepomniałem; zawszeć jednak możesz pan poszczycić się swą antecedencyą, i stryj, i ojciec dzielni byli...

— A pański ojciec, ozwał się Radzymir do innego jakiegoś młodzieńca, czy żyje i w dobrém jest zdrowiu.

— Dziękuję panu, żyje i zdrów jest, — odpowiedział młody człowiek.

— Przyjaciel to mój był od serca za lat młodzieńczych, — mówił Radzymir, — jest w nim i prawość, i rozum, a i

milionik w kieszeni, — dodał z uśmiechem.

Pani Eufemia słuchała téj rozmowy o ojcach, i jakby jéj nagła myśl jakaś przyszła do głowy, ozwała się donośnie:

— Nic nie może być milszém dla serca i zaszczytniejszém w oczach ludzi, jak módz z dumą nosić nazwisko praojców.

Potém pochyliła się nad stołem, zwróciła spojrzenie zmrużonych oczu na Romana, siedzącego obok Lilli, prawie w końcu długiego stołu, i zapytała bardzo głośno:

— Panie Hebel! a pański ojciec kim jest?

Pytanie to, tak dziwne i niestosowne, uczyniło na całém towarzystwie wrażenie piorunu. Obecni zwrócili zdziwione spojrzenia na gospodynią domu, potém wszystkie oczy ciekawie przeniosły się na twarz zapytanego. Pan Odrowąż wypuścił z ręki widelec i mruknął pod wąsem: do kroćset! ale przez wzgląd na płeć piękną powstrzymał się i tylko spojrzał na siostrę groźnym wzrokiem.

Roman spojrzał na pytającą i jakby nie dowierzając własnemu słuchowi, zapytał:

— Czy pani do mnie mówi?

— Tak, — powtórzyła pani Eufemia, — pytam pana kim jest pański ojciec.

Milczenie stało się ogólne, wszyscy oddech zatrzymali w piersi, Lilla bladła i rumieniła się na przemian. Ale na pięknéj twarzy syna stolarza najmniejsze nie ukazało się wzruszenie. Uśmiechnął się tylko lekko i odrzekł z wielką grzecznością i spokojem:

— Ojciec mój, pani, jest tym samym stolarzem, który robił ramy tak podziwiane przed chwilą i tak pięknie

zdobiące okna jéj cieplarni.

Powiedziawszy to, zwrócił się znowu do Lilli i ciągnął daléj przerwaną z nią rozmowę. Wszystkie spojrzenia zlały się na twarz nieznanego a sympatycznego młodzieńca. Kilka rąk wzniosło się jak do dania oklasku, kilka ust otworzyło się niby do wyrazu pochwały i szacunku; ale przez poczucie grzeczności dla gospodyni domu, wszyscy powstrzymali objawy swych uczuć, a tylko w całém zebraniu dał się poznać głuchy niesmak i przymus, jak zawsze bywa, gdy ludzie poznają, że jednemu z nich wyrządzono niesłusznie jakieś ubliżenie lub krzywdę. Pani Matylda, ze światowym taktem, wyprowadziła wszystkich z kłopotliwego położenia, odzywając się, że pora już wstać od stołu, bo piękna pogoda wabi do ogrodu. Towarzystwo wstało od obiadu zdumione, bo nikomu przedtém ani przez myśl nie przeszło, aby piękny i wykształcony Roman Hebel mógł być nizkiego pochodzenia; a gospodyni domu, widząc, że uczyniła *fiasco* i nie skompromitowała niemiłego sobie gościa, sapiąc, wyszła z jadalnéj sali.

Po obiedzie mężczyzni zebrali się w osobnym gabinecie dla palenia cygar.

— Niechże cię uścisnę, poczciwy synu stolarza! — zawołał piérwszy Bolesław Radzymir, biorąc w objęcia Romana.

I cała młodzież zaczęła go ściskać i całować, pragnąc mu okazać, że śmiałą i otwartą swą odpowiedzią zyskał jéj przychylność i poważanie.

— No Romanku! — zawołał Odrowąż, teraz pora palnąć siurpryzę jéjmości!

— Panowie! — dodał, zwracając się do mężczyzn, — proszę za mną. Idę w swaty za panem Romanem! „Radziwiłł swatem, za panem Downutem,” — krzyknął, i ująwszy Romana pod ramię, posunął się z nim na piérwsze piętro i, wszedłszy do salonu, gdzie znajdowała się pani Eufemia, stanął przed nią, pokręcił wąsa z fantazyą i rzekł donośnie:

— Przychodzę do ciebie, szanowna siostro dobrodziéjko, jako do ciotki i opiekunki synowicy naszéj, Lilli Odrowążówny, prosić cię o jéj rękę dla stojącego tu oto przed tobą, pana Romana Hebla, który dla afektów swoich moję sankcyą stryjowską już najzupełniéj pozyskał.

Pani Eufemia otworzyła szeroko oczy, sponsowiała i zaczęła mówić:

— Ależ, panie bracie...

Nie mogła skończyć, bo zakrztusiła się złością, poniosła flakon do nosa i krzyknęła:

— Mdleję!...

— To z radości! jakem Odrowąż, z radości mdleje siostra dobrodziéjka, że tak zacnego dostaje bratanka! — zawołał pan Wincenty, a spostrzegłszy Lillę, która drżąca kryła się za towarzyszki, pociągnął ją do siebie, i zdejmując z małego palca piękny brylantowy pierścień, oddał go jéj i rzekł:

— Weź to, dziewczyno, i włóż na palec narzeczonego, a śmiało! Pierścieniem tym zaręczała się babka twoja z twym dziadem.

Lilla ze spuszczonemi oczyma oddała pierścień Romanowi, który zdjął z palca małą srebrną obrąkę i,

oddając ją narzeczonéj, rzekł:

— Jest to ślubna obrączka mojéj matki, która dotąd nie opuszczała mię nigdy.

— Wiwat, zaręczona para! — zawołał Odrowąż, biorąc z tacy, którą wniósł lokaj, kielich węgrzyna.

— Wiwat! niech żyje syn stolarza! — krzyknęła chórem młodzież i sympatyczném kołem otoczyła Romana.

Nim pani Eufemia odzyskała zupełną przytomność i pojęła dobrze, co się w koło niéj dzieje, młoda para była już zaręczoną w obecności stu osób.

— A teraz panowie, — rzekł Odrowąż po spełnionych wiwatach, — wnoszę, abyśmy poszli do poczciwego starego Hebla i przywiedli go tutaj. Niech i on pozna przyszłą swą synowę i wypije z nami zdrowie młodéj pary.

W kwadrans potém, otoczony gronem najpoważniejszych gości, wchodził do salonu Onufry Hebel, ze łzą rozczulenia w oku, ale z postawą pełną godności i szlachetnéj dumy.

Pani Eufemia siedziała w fotelu, sapiąc i wąchając sole, a każdemu, kto się do niéj zbliżył, powtarzała:

— Maryaż ten został ułożonym przez mego brata, a panna Lilla nie jest przecież moją córką, abym gwałtownie mogła się sprzeciwiać temu mezaliansowi.

Stary Hebel, skłoniwszy się przed nią, rzekł:

— Przyszedłem tu, aby podziękować pani dobrodziéjce, że syna mego przyjęłaś na męża synowicy swojéj, a zatém swego bratanka. Mieszczańskie on wprawdzie dziecko, ale ma duszę szlachetną, i ta anielska panienka, która zgodziła się żoną jego zostać, nie pożałuje tego nigdy, że podała rękę

synowi stolarza.

W téj chwili do mówiącego zbliżyła się Lilla z Romanem, i oboje uklękli przed starym ojcem, który zapłakał głośno. Potém zwrócili pochylone głowy ku pani Eufemii, a dumna pani, widząc rozrzewnienie i uradowanie ogólne, czując zresztą przywiązany do siebie bystry i surowy wzrok brata, pulchną dłoń swą położyła na ich głowach i wycedziła przez zęby:

— Niech was Bóg błogosławi.

Wnet potém podniosła do nosa flakon z solami.

— Panie Hebel! wszak tańczysz poloneza? — zapytał Odrowąż.

— Tańczyło się to parę razy za młodu, to się i przypomni, — odparł stary stolarz.

— No to zapraszaj w tany panią domu, a ja wybieram sobie moję dzieweczkę, narzeczoną.

— A ja pana narzeczonego, — rzekła wdzięcznie Matylda i podała rękę synowi stolarza.

Pani Eufemia nie śmiała, nie miała siły sprzeciwiać się, ogólnemu popędowi i, sapiąc i wąchając sole, położyła rękę na ramieniu Hebla.

— Rżnij kapelo! — krzyknął Odrowąż i na czele kilkudziesięciu par posunął na przód z Lillą.

Huczny polonez brzmiał w ścianach Olskiego pałacu, świetne pary z powagą i wdziękiem przesuwały się po salonach pod rzęsistém światłem, płynącém z pająków i kinkietów.

Przez całą noc grzmiące akordy orkiestry płynęły w dal przez otwarte okna pałacu, a buchające z uilluminowanych

ogrodów światło dochodziło aż do cichego a pustego owej nocy domku Hebla. Te blaski i odgłosy obudził śpiącą w swém gniazdku jaskółkę, towarzyszkę stolarza. Myślała, że to już dzień nadchodzi i wysunęła główkę na świat Boży, ale, ujrzawszy cienie nocy, znowu utuliła się cicho i tylko szczebiotała jeszcze przez chwilę, jakby mówiła: „bawcie się sobie, ludzie, hucznie i wesoło, a ja spokojnie noc w mem gniazdku przepędzę, bo niéma większego na świecie szczęścia, jak sen spokojny w swém własném gniazdeczku.”

KONIEC

*Tekst jest **[własnością publiczną](#) (public domain)**. Szczegóły licencji na stronie autora: [Eliza Orzeszkowa](#).*

OBRAZEK Z LAT GŁODOWYCH.

Posłuchajcie, piękni panowie i panie, opowiem wam króciuchną powiastkę.

Z błyszczących wyżyn waszych czy spojrzeliście kiedykolwiek w dół, nizko, w głąb owych warstw społeczności, które ciemne, nędzne, z piękna odarte, pracują ciężko? Czyście widzieli, jakie cierpienia nurtują na tych dnach głębokich, jakie męki rozdzierają łono téj mętnéj dla was fali żywych ludzi?...

Wyście myśleli zawsze, o piękni i piękne, że w téj grubéj i szorstkiéj warstwie sam kał tylko i bezrozum; pocóż więc w nią zaglądać? Tak zapewne; jeżeli nie chcecie zasępić rozpogodzonego zabawą lica, nie zbliżajcie się do ludu, pójdźcie raczej bawić się i pląsać przy blasku świateł jarzących, wśród woni salonów. Ale jeżeli między wami są serca miłujące nie lśniący pozór, lecz grunt człowieczy, jeżeli są i umysły ciekawe zbadania biéd społeczności, niech zajrzą w istnienie milionów, w istnienie mozolne, bezbarwne, rzadko pojęte dobrze przez szczęśliwych,

często spotwarzane, oplwane. Tam znajdą serca dramat żywy i cel ukochania, a umysły naukę i zachętę do dążenia ku postępowi takiemu, który zbliży szczęście nie jednostkom, nie kastom, lecz wielkiemu ogółowi.

Moja opowieść króciuchną będzie. Przedstawi ona jeden z milion razy powtarzających się na ziemi dramatów, które odegrane w biédnéj i ciemnéj warstwie ludzkości giną bez śladu. Do mnie doszła wieść o nim i z podziwem zadumałam się nad tém, iż podobne dramaty dotąd na bożym świecie istnieją.

Opowieści więc o cierpieniu biédnych i ciemnych, posłuchajcie, piękni i oświeceni panowie i panie.

*
* *

Dziwnie smutne były lata 1854—5-ty i 6-ty. Głód, straszny głód, piekielnymi mękami rozdzierał piersi ludu; tysiące tych, których pracy kraj chléb powszedni i niepowszednie zbytki zawdzięczał, konały śmiercią głodową.

Jeden okrzyk bolesny, ciężki, rozpaczny zajęczał z piersi ludu: chleba! chleba! obił się o niebo i rozległ po ziemi. Niebo silniejsze skwary latem i rzęsistsze dészcze wiosną zesłało, zboże tonęło w dolinach, usychało po wzgórzach; szczęśliwsi bracia bawili się wesoło, a lud wydobywając siły ostatnie wołał: chleba! chleba!

W którém z pomienionych wyżéj trzech lat, nie wiem, w jakiéj okolicy, nie powiem, stał biały i piękny pański dwór.

Dom dużemi i czystemi oknami jasno jakoś na świat spoglądał, po ganku pięły się powoje, a wokoło rosła gładka murawa, stokrocią usiana i konwalią. Za bramą były pola szerokie i łąki barwne, jak kobierce. Przez łąki biegła rzeczka wązka, ale głęboka i szybka; za rzeczką, szara i pokorna, do obrosłego jałowcem wzgórza tuliła się wioska. Kilka krzyżów wysokich strzelało ponad nizkie chaty, i niedaleki gaj brzozowy, białą korą błyskając, szumiał z cicha, jakby smętną piosenką swego szumu kołysać chciał do snu blade dzieci wioskowe.

We dworze mieszkał pan młody i bogaty; niedawno się ożenił, gdzieś w wielkiém mieście podobno. Dobry był, bo nie krzywdził ludzi, nie bił i nie łajał, ale się téż z nimi nie wdawał w rozmowy i stosunki; bo i na cóż mu to było potrzebne, kiedy miał ekonomów? Zresztą o czémże-by mówił z ciemnym ludem? Czytał tylko ciągle książki, a któż odgadnie, co w nich dobrego wyczytał, jeśli się z nich bratniéj miłości wyuczyć nie mógł. Goście przyjeżdżali często, pan wesół przed dom wychodził, panów całował, paniom się kłaniał, do salonów pięknych zapraszał i nieraz długo w noc z szerokich okien białego domu wychodziły odgłosy żywych rozmów, wesołych śmiechów i pięknéj muzyki. Pani miała liczko białe, jak listek lilii, usteczka purpurowe i duże czarne oczy, miała rączkę drobniuchną i postawę królowéj. Dobra téż była, bo nie łajała i nie krzywdziła nikogo; ale chłopów znieść nie mogła. Przykrym jéj był zapach siermięg i dźwięk grubéj mowy ludowéj. Ona w rodzicielskim domu chłopów nigdy nie widziała i słyszała zawsze od ojca, że oni są próżniacy i

złodzieje, a od matki, że z niższymi wchodzić w stosunki nie należy. Zresztą, poco jéj było znać chłopów? Czy mało miała znajomych pięknych pań i panów? Grała tylko ciągle, a któż odgadnie, jakie dźwięki wlewała muzyka w jéj serce, jeśli nie wlała w nie dźwięków bratniéj miłości!...

W wiosce mieszkało trzydzieści rodzin chłopskich, a nad nimi panował... straszny, bezlitosny głód.

Jedna z chatek, składających wioskę, stała nieco opodal od towarzyszek swoich, otoczona drzewami, czysta jakoś i miła, choć nizka i szara. Była to chata Symona Harwara, bogatego dawniéj gospodarza. I w istocie bogaty był niegdyś Symon, bo miał dwa konie, parę wołów i zboża mu zwykle na rok wystarczało cały, a czegóż więcéj dla chłopa potrzeba? Ale gdy przyszły nieurodzajne lata, pokazało się, że bogactwo Harwara nie było niewyczerpane. Sprzedało się konika jednego i drugiego, wół jeden padł i zboża na chléb nie stało. Pracował Harwar i wódki nie pił, ale nie pomogła ni praca, ni trzeźwość, głód dokuczał. Jesienią, piekli w Harwarowéj chacie chleb z jęczmienia, zimą z plewy, a na wiosnę i plewy zabrakło... zaczęli jeść trawę. Płakał Harwar i ociérał łzy rękawem podartéj siermięgi. Poszedł do dworu prosić o chléb; we dworze dali mu garniec żyta na tydzień, albo to niedość dla chłopa? Dla Harwara było to mało, bo miał żonę i dzieci. W poniedziałek i we wtorek jedli w chacie zaciérkę z pańskiego żyta, a potém znowu gotowali i jedli trawę. Harwar płakał, bo miał żonę i dzieci.

A dzieci Harwar miał czworo. Najmłodsze spało albo krzyczało w kołysce, uplecionéj z łozy i na grubych

sznurach wiszącéj w kącie chaty; drugie pełzało po ziemi, siedząc najczęściéj z kotem pod ławą; trzecie, podrostek, nosiło w dzień młodsze dzieci, a wieczorami drzémało skurczone na przypiecku; czwarte i najstarsze — córka, miała lat piętnaście. Hanka, córka Harwara, była najładniejszą w wiosce dziewczynką. Słuszna i cienka, jak gdyby, rosnąc, zapatrzyła się na brzózkę w gaju, oczy miała błękitne, jak niezabudka, i tak jakoś słodko patrzała niemi, że chcąc nie chcąc trzeba było kochać dziewczynę; włosy jasnemi warkoczami oplatały jéj opalone ale gładkie i pogodne czoło, albo rozpuszczone i gęste spadały do pasa z pod białéj chusteczki.

Kiedy Harwar był jeszcze bogaty, a w chacie nie trawę, ale chléb jedli, Hanka, bywało, jak się ustroi w krasny gorsecik, nawiąże paciorków na szyję, a w jasne włosy wplecie ponsową tasiemkę, to chłopcy z całéj wioski ledwie na nią oczu nie wypatrzą, choć jeszcze była za młoda, żeby swatów na *zapoiny* do niéj posyłać.

A między tymi chłopcami najrzewniéj i najogniściéj patrzył na Hankę ośmnastoletni Wasylek Chmara. Dziarski już był z niego, trzeźwy i pracowity parobczak. Z oczu patrzała mu poczciwość i roztropność, twarz zalewał rumieniec zdrowia i siły. Hanka dawno znała Wasylka. Gdy byli dziećmi, trzody pasali razem; późniéj, kiedy zaczęła matce pomagać w gospodarstwie i biegła po wodę do studni, zawsze tam znalazł się Wasylek, wiaderko od niéj odebrał, wody zaczerpnął i niósł do chaty, a ona szła obok niego i rozmawiali, i śmieli się tak wesoło a głośno, że aż sąsiadki wyglądały z za płotów.

To znowu kiedy pracowali razem we dworze, Wasylek zawsze pomagał Hance i, wracając od roboty, prosił ją, żeby mu zato zaśpiewała piosenkę. Hanka śpiewała, a chłopak patrzył na nią ognistemi oczyma. I dziewczynie dobrze było z wesołym i roztropnym Wasylkiem. Z nim, bywało, weseléj idzie na pańszczyznę i matce jego niżéj niż innym kobiétom się pokłoni, i kiedy go długo nie widzi, to patrzy na drogę od wioski, aż błękitne oczy łzami zajdą, a w serduszku tak jakoś smutno, że i Boży świat niemiły. Siła potężna, która pono i w salonach, i w wioskach jednako miłością się nazywa, przyciągała wzajem ku sobie dwoje czystych i pełnych młodości dzieci przyrody i ludu.

Raz, a było to wtedy, kiedy był jeszcze chléb w chacie Harwara, a Hanka miała lat cztérnaście, zbłąkała się Harwarowi owieczka i z chaty posłano Hankę, aby ją odszukała. Dziewczyna długo chodziła po polu i słonko zachodzić już miało, gdy spotkała Wasylka. Poszli razem szukać, daleko ode wsi znaleźli owieczkę i, pędząc ją przed sobą, zwolna powracali do domu. Wieczór był cichy i pogodny, jeden z ostatnich letnich wieczorów; brzozowy gaik szumiał, gdzieś daleko chłopcy na surmach grali i tak jakoś pięknie było a smutno razem na Bożym świecie!... Rzewność ogarnęła Hankę i Wasylka... szli, milcząc.

— Hanko, — rzekł wreszcie Wasylek, podnosząc głowę i patrząc na dziewczynę, — czy nikt do ciebie swatów nie przysyłał.

— A któż-by? — odszepnęła zarumieniona Hanka; — nikt nie przysyłał.

— A żeby przysłał kto swatów? — spytał Wasylek,

patrząc to na ziemię, to na nią.

— No, to i cóż, — odpowiedziała, — prosiła-bym matuli, żeby nie przyjęła.

— Dlaczego-byś prosiła matuli, żeby nie przyjęła?

Dziewczyna nie odpowiedziała i tylko patrzała w ziemię.

— A żebym ja do ciebie swatów przysłał? — zapytał znowu Wasylek.

— Co téż mówicie, Wasylku! — szepnęła spłoniona cała dziewczyna.

— A żebym przysłał, — nalegał chłopiec, — no cóż, powiédzcie, czy-byście prosili matuli, żeby nie przyjęła?

— Prosiła-bym, żeby przyjęła, — rzekła Hanka, i zakryła twarz ręką.

Byli wtedy u skraju brzozowego gaiku; wiatr łagodnie szumiał, surmy tęskno grały, niebo było pogodne. Wasylek, szczęśliwy i rozkochany, objął spłonioną i i piérwszy raz, a gorąco, ją pocałował.

Hanka i Wasylek kochali się bardzo. Wiedzieli o tém ich rodzice i radzi spoglądali na miłość dzieci, ale nie mieli zaco sprawić wesela; odłożyli więc ślub ich do lepszych czasów. A młodzi nie skarżyli się na zwłokę, bo dobrze im było pracować razem, i kochać się, i marzyć...

Marzyć!... dziwny wyraz, gdy mowa o chłopach! Alboż chłopi marzą? O! tak, póki młodzi i nie zmęczeni życiem ciężkiego mozołu i póki nie zagłuszą w sobie człowieczeństwa piciem wódki, płynącéj potokami z gorzelni pańskich, i chłopi marzą.

Hanka więc i Wasylek marzyli o przyszłości. Nieraz w dnie świąteczne, siedząc na progu chaty, rozmawiali ze

sobą, jak się wkrótce pobiorą, jak będą mieli swoją własną chatkę, czystą i białą. Ojciec da Hance krówkę, matka pełną skrzynią kraśnych spódniczek i koszul białych, czerwonem szytych; Hanka w swojej chatce skrzętnie zagospodaruje, Wasylek pilnie pracować będzie, aby jéj trudu ulżyć, i nigdy, nigdy przez życie wódki nie skosztuje; na ścianach zawieszą złocone obrazki świętych; przed chatą zasieją grządki nagietek i krasnych maków, — a kochać się będą bardzo i bardzo, zawsze i gorąco; bo i jakżeby się kochać nie mieli, kiedy im z sobą tak dobrze!

Marzyli młodzi, czas upływał, dzień schodził, i nieraz księżyc opromienił ich jasnowłose głowy, a oni jeszcze siedzieli na progu chaty, trzymali się za ręce, patrzyli sobie w oczy i gwarzyli z cicha, serdecznie i poprostu.

Niekiedy, idąc około pańskiego dworu, Wasylek pokazywał Hance biały i jasny dom pana, mówiąc:

— Jak tam ślicznie być musi, Hanko!

A ona odpowiadała:

— Gdy-bym była wielką panią, to-bym wyszła za ciebie, i mieszkali-byśmy w takim pięknym domu.

— Dobrze nam będzie i w naszéj chatce, bylebyśmy się pobrali, — mówił chłopak i bez zazdrości patrzyli oboje na bogaty dwór pański.

Przyszła zima, głód ciężki zajrzał do wsi; w chatach Wasyla i Hanki i jęczmiennego zabrakło już chleba.

Szybko pobladły twarze młodych ludzi, oczy chłopca zapadły, i gasł powoli żywy błękit oczów dziewczyny, bo głód, to straszny niszczyciel: wygryza piersi, czerni twarz i gasi blask oka. Nie skarżyli się jednak, pracowali, jak

mogli, tylko Wasylek rzadko już śmiał się, a Hanka śpiéwać przestała, ale kochali się zawsze, coraz bardziéj.

Nadeszła wiosna, chleba i z plewy zabrakło. Brali od pana po garncu żyta na tydzień, ale trudno było przeżyć garncem żyta siedm dni długich, bo w chacie Hanki żyły trzy osoby dorosłe i troje dzieci, a u Wasylka pięć osób dorosłych i dwoje dzieci.

Twarz chłopca stawała się co raz bledszą, coraz głębiéj zapadały mu oczy, i oczy Hanki gasły co dzień bardziéj; wysoka i giętka jéj postać schylała się ku ziemi, usta okrążył wyraz bólu. Ale chłopak był silny, wytrwały, a choć blady i z zapadłemi policzkami, pracował ciągle, na pańszczyźnie i w domu, i gdy był przy kochance, tłumił gryzący ból głodu i uśmiechał się do dziewczyny. Hanka słabła widocznie. Nieraz chwiała się, idąc przez wioskę, w oczach robiło się jéj ciemno, i piersi ściskał ból, jakby żelazną obręczą.

Otóż-to chłopskie nadzieje i marzenia! Dwoje ludzi kochają się, pragną, czekają szczęścia, — aż głód przychodzi, dusi i zabija.

W tym czasie pan i pani bardzo byli zajęci! W kwietniu miano obchodzić rocznicę ich ślubu wielkim festynem. W domu gotowano już salony, śliczną suknią z dalekich krajów przysłano dla pani. W ogrodzie dworskim rozkwitały narcyzy wonne i fiołki uściełały trawniki. Pan, oczekując festynu, czytał, pani grała, a ani książki, ani dźwięk muzyki nie mówiły im o sąsiedniéj biédzie i o cierpieniach Wasylka i Hanki, o ich więdnących twarzach i konających nadziejach.

Oto dwa światy!

Kwiecień ciepły zielenił ziemię, skowronek śpiéwał i pierwiosnki dawno już kwitły; ale w owym roku nieszczęścia i nędzy nikt po wsiach nie słuchał szczebiotu wiosennego ptaka, żadna dziewczyna kwiatkiem włosów nie stroiła.

W jednym z kwietniowych wieczorów Hanka siedziała na progu chaty. Promień zachodzącego słońca ozłacał jéj włosy, głowę wsparła na wychudłéj ręce, a zbladłą i wynędzniałą twarz jéj zaléwał wyraz smutku i gryzącego cierpienia. Rodzice byli na pańszczyźnie; dziecko jedno siedziało z kotem pod ławą, drugie jęczało, kurcząc się, na przypiecku; najmłodsze, opuchłe i chore, spało w kołysce snem, blizkim śmierci. Długo Hanka siedziała milcząca i zamyślona. Słonko już było bardzo nizko, gdy zza płotu wyszedł Wasylek, zbliżył się z wolna, i milcząc, obok niéj usiadł. Dziewczyna spojrzała na kochanka łzą zaszłym wzrokiem, on oparł brodę na ręku, i tak siedzieli przez chwilę, milcząc i patrząc na siebie.

— Wasylku, — odezwała się nagle Hanka, jakby sobie co przypomniała, — jadłeś ty dziś zaciérkę.

Chłopiec machnął ręką.

— Gdzie nam do zaciérki! — odpowiedział ochrzypłym głosem, — lebiodę jemy i pokrzywę, bo ekonom garncy nie daje, od czasu, jak się na mnie rozgniewał.

Hanka żywo powstała i wbiegła do chaty. Było to we wtorek, w chacie zgotowano zaciérkę z pańskiego żyta; Hanka jéj nie jadła, ona nic przez dzień cały nie jadła, a część swoję zostawiła dla Wasylka, bo wiedziała, że on

garncy nie bierze i głodny do niéj przyjdzie. Po chwili wyszła z chaty i podała kochankowi łyżkę drewnianą i garnuszek, pełen jadła.

Chłopiec pochwycił go gwałtownie i zaczął pożérać grubą potrawę. Gdy jadł, oczy mu błyskały, rumieniec zaléwał wychudłe policzki; zapomniał o całym świecie, o Hance nawet, jadł tylko i jadł ciągle, dopóki nie wypróżnił garnuszka. I nic dziwnego, że pożérał zaciérkę z pańskiego żyta, bo od dwóch tygodni jadł tylko gotowaną trawę. Hanka patrzyła na niego z pomięszaném uczuciem cierpienia i radości; głód gryzł jéj własne piersi, ale jadłem swojém karmiła kochanka.

Wziąwszy z rąk Wasylka próżny garnuszek wniosła go do chaty, potém wróciła, usiadła obok chłopca na progu, zarzuciła mu ręce na szyję i głowę przytuliła do jego piersi. On jedną ręką objął ją i przycisnął do siebie, drugą gładził jéj jasne, rozplecione włosy.

— Sokole ty mój jasny, Wasylku! — szepnęła dziewczyna.

— Gołąbko moja, duszko! — odszepnął chłopiec.

I umilkli, i milcząc siedzieli; kochać mieli jeszcze siłę, ale głód ściskał im gardła i mówić przeszkadzał.

Słońce zaszło, ludzie, wracający z pańszczyzny, ukazali się na przeciwnym końcu wsi. Hanka powstała, wstał i Wasylek. Długo jeszcze trzymał ją w objęciu; patrzyli na siebie ciągle w milczeniu, w końcu pocałowali się długo... gorąco, i chłopiec ze schyloną głową poszedł przez wioskę, a Hanka, popatrzywszy za nim, weszła do chaty i, bez sił prawie, upadła na ławę.

W owéj chwili, po szerokiéj i czystéj drodze dworskiego dziedzińca, między zieloną murawą i krzewami kwitnących narcyzów, przechadzali się pan i pani.

Pani, wsparta na ręku męża, mówiła mu o niedalekim festynie i o swojéj sukni prześlicznéj, o upragnionéj podróży i przyszłych zabawach zimowych. Pan trzymał w dłoni drobną rączkę żony, słuchał jéj wesołego szczebiotu, potém opowiadał o wszystkiém, co czytał w książkach, i co kiedyś widział w podróżach po świecie. Słońce zaszło, a gdy służba oznajmiła podaną herbatę, pan i pani weszli do domu, pili i jedli, u otwartego okna ciągle śmiejąc się i rozmawiając. Potém długo w noc słychać było dźwięk fortepianu — to pani grała, a pan, siedząc przy niéj, słuchał melodii i całował niekiedy białą rękę i purpurowe usta żony.

Oto dwie miłości, dwie pary, dwa światy!...

Nazajutrz, po owym kwietniowym wieczorze, rodzice Hanki raniutko wyszli na pańszczyznę. Dziewczyna, chwiejąc się, wstała, rozłożyła w chacie ogień, i poszła zbierać lebiodę.

Wróciła z pękiem ziela, postawiła garnuszek wody przed ogniem, wsypała w wodę przyniesioną trawę, i zaczęła gotować. Pod ławą kot miauczał i dziecko piszczało; na przypiecku skurczona i zmartwiała siedziała ośmioletnia dziewczynka; w kołysce ciągle spało opuchłe dziecko.

Południe się zbliżało. Hanka wyszła przed chatę, spojrzała na słońce i, zapytawszy się przechodzącego sąsiada, w któréj stronie pracują jéj rodzice, weszła do izby. Nakarmiła lebiodą dzieci, sama jadła, głód odgoniła na

chwilę, ale gotowana trawa sił jéj nie dodała. Potém nalała dwa garnuszki rzadkiego ziela, zawiązała chusteczkę na głowę i wyszła. Szła przez wieś, chwiejąc się. Przed chatą Wasylka stanęła, powitała matkę kochanka, zbierającą trzaski na podwórku i poszła daléj. Wasylka nie zobaczyła, bo i on był na pańszczyźnie. Dzień jasny, gorący prawie, potokiem promieni słonecznych zalewał ziemię, powietrze woniało, ptaki szczebiotały i bociany klekotały na dachach. Dziewczyna minęła wioskę i, niosąc garnuszki, szła przez pole, potém przez łąkę, a ciągle chwiejąc się. Nareszcie przyszła nad rzeczkę. Z drugiéj strony wody pracowali ludzie około pańskiego pola; między nimi Hanka zobaczyła swoich rodziców. Przez rzeczkę położono kładkę dość szeroką, aby przejść można było, ale chwiejną i uginającą się za każdym krokiem. Hanka stanęła na kładce i zachwiała się; cofnęła się szybko i usiadła na trawie, bo nogi pod nią drżały. Harwar zobaczył córkę i począł ją wołać.

— Chodźcie tu sami wziąć jedzenie, bo nie przejdę po kładce, w wodę wpadnę! — zawołało słabym głosem dziewczę.

Harwar chciał iść do córki, ale ekonom krzyknął na chłopa:

— Co tam z dziéwką rozprawiasz? Do roboty!

A do Hanki zawołał:

— Nieś mi tu zaraz sama! Dam ja tobie! przejść przez kładkę nie mogę! wielka pani, patrzcie ją!...

I pogroził nahajką.

Hanka wstała z ciężkością, wzięła dzbaneczki i weszła

na kładkę. Tą razą nie zachwiała się za piérwszym krokiem, ale przy trzecim w głowie jéj zaczęło się kręcić. Postąpiła daléj... nogi pod nią zadrżały i w oczach zrobiło się jéj ciemno. Krzyknęła i postąpiła krok jeszcze. Ekonom wołał z drugiéj strony rzeczki:

— A prędzéj, no! patrzcie, jaka panienka! Idzie jak nie na swoich nogach!

On nie pomyślał o tém, że głód odjął siłę nóg biédnéj dziewczynie.

Na głos ekonoma, Hanka silniéj zadrżała, spojrzała w dół, upusciła dzbaneczki, chciała iść daléj, zachwiała się, krzyknęła raz jeszcze i... wpadła w rzekę.

Za wodą rozległy się dwa rozpaczne krzyki: ojca i matki. Wasylka tam nie było, on pracował w innéj stronie pańskiego pola.

Tego dnia, wieczorem, w Harwarowéj chacie płonął żywy ogień. Czerwony płomień oświecał drgającym blaskiem szarą i smutną izbę; naprzeciw ognia, na ławie, leżała nieżywa, znaleziona w wodzie Hanka. Długie jéj włosy spadały rozpuszczone, ręce miała złożone na piersi, grubą koszulę zawiązywała czerwona wstążka, którą kiedyś od kochanka dostała. Przy niéj, skurczona, na ziemi siedziała matka. Brakło jéj siły, aby, według wiejskiego zwyczaju, zawodzić głośne żale, lecz cicho płakała, ocierając łzy fartuchem. Z drugiéj strony chaty siedział na ławie Harwar, ręce złożył na kolanach, głowę schylił na piersi, twarde, splątane włosy twarz mu zarzuciły. Nie miał ani słowa skargi na ustach, ani łzy w przybitém do ziemi oku, ale wszystko, co bezsilna rozpacz ma w sobie

najposępniejszego, zlało się w ponurą i milczącą postać chłopa.

Wasylka nie było. Kiedy rozeszła się wieść o utonięciu Hanki, przybiegł do wioski blady i z obłąkanymi oczami, a spojrzawszy na trupa dziewczyny, pochwycił się za głowę i uciekł. Daremnie go szukano; dzień cały zszedł, a Wasylka nigdzie nie było.

Posępna cisza panowała w chacie, przerywana tylko niekiedy trzaskiem ognia, łkaniem kobiety, albo ciężkiém westchnieniem Harwara. W kącie izby, w kołysce, konało opuchłe od głodu dziécię.

Tego wieczora we dworze pańskim wiele było gości. Pan dowiedział się od ekonoma o utonięciu Hanki, i o *smutnym wypadku* opowiadał towarzystwu zebranemu około zastawionego i oświetlonego stołu.

— Szkoda dziewczyny, jeżeli była ładna, — rzekł dowcipniś jakich, z urzędu bawiący obecnych.

— Ładna była, — odpowiedział pan — podobno zaręczona.

— Treść do romansu, — westchnęła sentymentalna dama, pragnąca we wszystkiém na ziemi treść do romansu dopatrzéć.

— Romans u chłopów! — zawołał z oburzeniem otyły, z sumiastemi wąsami, weteran-obywatel. — Co téż pani mówi! alboż oni kochają?

— Zawsze szkoda dziewczyny, jeżeli była ładna, — powtórzył dowcipniś.

— *Messieurs, parlons autre chose!* — z grymasem na pięknéj twarzy ozwała się pani. — Utonięcie dziewczyny,

to smutny dla rozmowy przedmiot, *cela fait mai aux nerfs*.

— *Parlons autre chose, ma déesse!* — zawołał pan, i rozmowa potoczyła się wesoła a rozmaita.

O Hance biédnéj, która z siną twarzą i rozpuszczonemi włosami martwa leżała w Harwarowéj chacie, o jéj rodzicach i o jéj kochanku, w salonach pańskich nie myślano.

W kilka dni późniéj, chłopi, wracający z miasteczka, przywieźli do wioski, w któréj umarła Hanka, znalezionego na szerokiéj drodze, pod krzyżem, opuchłego i umarłego z głodu człowieka. Był to trup Wasylka.

Otóż-to chłopskie miłości, nadzieje i marzenia! Dwoje ludzi w wiosce kochało się i roiło przyszłość szczęśliwą — aż przyszedł głód, i za cały ślad po dwóch istnieniach pełnych zdrowia, sił i nadziei, na wiejskim cmentarzu zostały dwie mogiły.

W miesiąc potém opustoszała Harwarowa chata. Dwoje dzieci zmarło, starszą dziewczynkę na pastuszkę wzięto do dworu, a Harwar z żoną, wynędznieli i osiwiali, wyszli żebrać po szerokich drogach. Kiedy, wychodząc z wioski, mijali wiejski cmentarz, nad dwoma świeżymi grobami sosny szumiały, strząsając krople spadłego deszczu. Harwar i jego żona spojrzeli na cmentarz i bezwiednie się przeżegnali, ale nie zaszli na groby córki i jej kochanka, i łzy nie mieli w zapadłych i opuchłych oczach. Głód wyziębił im uczucie w piersi i łzy w oczach wysuszył.

Poszli i zginęli bez śladu.

Wkrótce i pański dwór opustoszał. Pan z panią w daleką wyjechali podróż.

Przeszła jesień i zima. Z wiosną nową pan i pani wrócili do swego jasnego, wiejskiego domu. Przez zimę bawili się wesoło w wielkiem mieście, a wróciwszy znowu czytali, grali, bawili gości i przechadzali się po wonnym ogrodzie jak dawniéj.

Śliczne liczko Hanki i poczciwe serce jéj kochanka toczyły pod ziemią robaki.

* *
*

Skończyłam moją powiastkę, piękni panowie i panie! Przebaczcie, jeślim znudziła prostém opowiadaniem. Ale widzicie, słowo nie zawsze zdoła wypowiedziéć gorące poczucie i piórem trudno wyprowadzić na jaw myśl żywą. A jednak serce boli przy wspomnieniu o mękach, goszczących niekiedy między biédnymi braćmi i obok owych ciemnych obrazów nędzy i niedoli przed wyobraźnią stają rozświetlone weselem postacie szczęśliwych. Więc gdy się myśl moja napełniła obrazami takimi, zapragnęłam powiedziéć wam poczciwe, choć ubogie słowo i niegdyś słyszaną krótką historyą Hanki i Wasylka opowiedziałam.

KONIEC.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Eliza Orzeszkowa.*

SZARA DOLA.

Z opowiadań prawnika.

NOWELLA.

Ilekroć pamięcią przenoszę się w najodleglejsze lata dzieciństwa mego, przed oczyma memi, wśród najdroższych mi i najpiękniejszych wspomnień i obrazów, migoce zawsze biały, szeroki, tu i ówdzie zielenią porosły szlak drogi pocztowéj. Jak inni rodzą się nad brzegami rzeki jakiéjś, tak ja urodziłem się nad brzegiem téj drogi. Biegła ona wzdłuż wielkiego cienistego ogrodu, zdobiącego dwór wiejski rodziców moich, po obu stronach jéj rosły gęsto sadzone i bardzo już stare, więc wysokie i rozłożyste, brzozy, jarzębiny, klony i balsamiczne topole, a za drzewami żółciały pola, równe, rozległe, i perliły się wilgocią nizkie łąki, których wiecznie omglone skraje spływały z dalekim borem, kreślącym pod samém już niebem wielkie, siniejące półkole.

Drzewa przydrożne były wysokie i rozłożyste, ale droga była tak szeroką, że wierzchołki ich nie stykały się ze sobą wcale; owszem, pomiędzy niemi wysoko biegła wielka wstęga nieba, jakoby druga droga zwieszona nad tą, która

sunęła po ziemi. W dniach pogody wstęga ta, ujęta w ramy gęstych, zielonych gałęzi, błękitną była i usianą ognistemi iskrami. Niekiedy żeglowały po niéj szybko gromady białych puszystych obłoków; niekiedy téż, w niepogodę, stawała się ona szarą i wyrzeźbioną w ciemne garby i wgłębienia chmur wielkich a leniwych; nocami zaś, oddalona zda się w niedościgłe okiem wysokości, stroiła się w gwiazdy, lub czarna, posępna, niema, wyglądała jak wejście do zwróconéj otworem ku ziemi niezgłębionéj otchłani. Po jednéj stronie, daleko, pod samym już skrajem widnokręgu, wznosiły się codziennie o zachodzie słońca zamki ogniste. Wierzchołki ich, umalowane purpurą i fioletem, rzucały na drogę łuny różowe, a złote podnóża rozlewały po polu morze blasków, które obijało się o stopy drzew przydrożnych i na każdém ich liściu składało iskrę. Północna zato strona drogi stanowiła z zachodnią sprzeciwieństwo zupełne. Tam, w najpogodniejsze nawet wieczory letnie, mglisto było i posępnie; pomiędzy dwoma rzędami drzew zwisał szmat nieba, głęboki a bezpromienny, niby zasłona, okrywająca daleką jakąś a tajemniczą krainę smutku, cieniów i milczenia.

Piękna droga ta, poważna i milcząca niekiedy, bywała téż często ożywioną wielce i ludną. W porze bowiem, w któréj koleje żelazne nie istniały jeszcze w kraju naszym, stanowiła ona główną arteryą komunikacyjną, przerzynającą wśród pól, wzgórz, lasów, miast i wiosek łono kilkuset milowéj przestrzeni, i dwoma końcami swemi dotykającą dwóch stolic. W dzień téż, czy w nocy, nie było prawie godziny jednéj, w któréj-by nie rozlegały się wśród

niéj dzwonki pocztowe, turkoty kół, rżenie koni i gwary głosów ludzkich.

Było tam tedy miejsce pewne, tuż naprzeciw ogrodu naszego położone, gdzie rozstępowały się, gęsto gdzieindziéj rosnące, drzewa przydrożne, a śród dość znacznéj, wolnéj od nich przestrzeni, wznosiła się stacya pocztowa.

Był to dom niewielki, śnieżysto biały, z gontowym dachem, z kilku dużemi widnemi oknami, z gankiem, wspartym na czterech słupach i z dwóch stron ocienionym kratą zieloną, po któréj wiły się biało i liliowo kwitnące powoje. Nizkie zielone sztachety, za któremi wzrastały grube krzaki bzów, róż i jaśminów, oddzielały dom ten od drogi, po drugiéj zaś stronie jego znajdowało się wielkie podwórze, otoczone stajniami i wozowniami, a z jednéj strony dotykające dość obszernego ogrodu, który był na-pół warzywnym, na-pół owocowym. Daléj, o paręset kroków od pocztowego budynku, ogródkami otoczone stały nad brzegiem drogi domki pocztylionów i rzemieślników różnych; w cieniu kilku grusz dzikich, nigdy niegasnącemi, czerwonemi połyski błyskała kuźnia; za kuźnią zaś szkliła się, głębokim rowem z drogą rozdzielona, duża sadzawka, na któréj nieruchomą powierzchnią, wypływały rozstrzępione kielichy i długie, wązkie liście roślin wodnych, a u któréj brzegów siadywały żony pocztylionów i rzemieślników, pralnikami głośno o toń spokojną bijąc, dzieci czepiały się po kalinowych krzakach, a smutne brzozy płaczącemi gałęźmi muskały wilgotną murawę.

Wszystko to razem stanowiło rodzaj osady, porządnie

zabudowanéj, ludnéj, czynnéj i ruchu pełnéj. Ale za sadzawką z jednéj strony, a ostatnim domkiem z drugiéj, rozpoczynały się znowu dwa gęste, wysokie szeregi brzóz, klonów i topoli, a śród nich biała droga, samotna już znowu, poważna i cicha, sunęła daléj ku téj stronie północnéj, gdzie nie strzelał nigdy promień żaden, a niebo spływało ku ziemi, ciężkie, szare, smutne.

Owóż, z obrazem pocztowéj stacyi i wszystkiego, co ją otaczało, w pamięci mojéj wiąże się ściśle wspomnienie człowieka, który, gdy tylko śród drogi zajęczał dzwonek i zaturkotały koła, zjawiał się na ganku białego domku, w mundur z błyszczącemi guzami urzędowo opięty i całą postać swą do urzędowéj sztywności i powagi nastrajający widocznie, ale zawsze bez powodzenia najmniejszego.

Był to nadzorca stacyi — Piotr Żminda.

Odkąd zapamiętać mogłem samego siebie, pamiętałem téż i Piotra Żmindę; objął on bowiem stanowisko swoje nieco przed mojém przyjściem na świat, a gdy miałem czternaście lat wieku i bawiłem się raz w pocztowym ogródku z młodszą o wiele córką Żmindy, Salusią, słyszałem, jak mówił on raz do żony rymarza, agrest z krzaków obierającéj:

— Ot, czy wié pani Jerzowa, że dziś to już wypada piętnastoletnia rocznica przyjazdu mego tutaj!

Na co pani Jerzowa, podnosząc z nad agrestów twarz pucołowatą i uśmiechniętą, odparła z ogromném zdziwieniem:

— Być nie może! a ot zdaje się, jakby to wczoraj było!

Potém zaś dodała.

— Daj Boże drugich piętnastu razem doczekać!

— Daj Boże!— zwykłym sobie, powolnym sposobem, odpowiedział Żminda; poczém zaraz, odrywając wzrok od wielkiéj georginii, którą lubując się widocznie, z nadzwyczajną starannością podpierał i podlewał, spojrzenie swe zatrzymał na złotowłoséj główce Salusi, w téj chwili właśnie zajętéj wraz ze mną okładaniem kamuszkami fantastycznego jakiegoś klombu i, uśmiechając się, rzekł:

— Za piętnaście lat! ho, ho! moja pani Jerzowa! wiele wody przez ten czas upłynie! moja Salusia będzie już pewno zamężną!

— Pewno — potwierdziła pani Jerzowa i dodała — da Pan Bóg, że i wnuki już będą!

Na te słowa Piotr Żminda, który pod stopy georginii swych lał z konwi perlisty strumień wody, uśmiechnął się tak już widocznie i tak rozpromienionemi oczyma w przestrzeń spojrzał, że, jakkolwiek jeszcze byłem dzieckiem, pomyślałem sobie, iż musiał się czegoś bardzo ucieszyć.

— Tak, tak! pani Jerzowa — mówił daléj, nachylając się i wyrywając z klombu niepotrzebną jakąś trawę — może Bóg pozwoli, że będę kiedyś dziaduniem!

Przy ostatnim wyrazie zaśmiał się głośno. Kobieta, zrywająca agrest, zawtórowała mu śmiechem i, coraz daléj zagłębiając się w kolczate krzaki, zawołała:

— Widzi mi się, że jegomość będziesz już wtedy dobrze stary!

Żminda wyprostował się.

— Stary? — powtórzył — a no, tak! za piętnaście lat

będę miał coś więcéj, niż sześćdziesiątkę! To i cóż? albo to taki wielki strach na starość? Kiedy człowiek uczciwie całe życie przebył i nic złego na sumieniu nie ma, to i siądzie sobie, siwiuteńki jak gołąb', u ciepłego pieca, a córka i zięć usługiwać mu będą. Wnuków tylko na kolanach trzymaj, cacka im z drzewa strugaj i pilnuj, aby które nosa sobie gdzie nie stłukło. To w zimie. A w lecie... człek sobie na słonko wylezie i, ot do tego drzewa, które sam sadził i wyhodował, stare plecy przyparłszy, pacierze za dzieci mówić będzie...

Takiemi były marzenia o starości Piotra Żmindy.

Utkwiły mi w pamięci z tego głównie powodu, że gdy on wypowiadał je głośno, pani Jerzowa była już daleko, kędyś w końcu ogrodu, a Żminda zdawał się mówić do samego siebie. W téj saméj jednak chwili, z dala, z dala jeszcze, odezwał się na drodze dzwonek pocztowy. Żminda z pośpiechem wielkim postawił konew na ziemi i, biegnąc ścieżką, ku podwórzu wiodącą, zdejmować już począł szary swój płócienny, ziemią posypany, surdut. Na odgłos dzwonka zerwała się téż z ziemi mała Salusia i pobiegła za ojcem. Wiadomém to bowiem było powszechnie, że ojciec i córka nie rozstawali się z sobą ani na chwilę. Jakoż gdy, w kilka minut potém, Piotr Żminda wyszedł na ganek pocztowego domu, już w mundur swój ściśle opięty i z niezmierną powagą witający wysiadającego z bryczki podróżnego jakiegoś — mała Salusia stała za ojcem i w ściśniętéj piąstce trzymała jeden z błyszczących jego guzów. Ile razy zwrócił się w jaką stronę, dziecię, obracało się z nim razem, tak jak on powolne, prostujące się i

poważne.

Powierzchowność Żmindy przedstawiała szczególność pewną, rzadko pomiędzy normalnie rozwiniętymi ludźmi spotykaną. Wysoki, barczysty i bardzo silny na pozór, posiadał on cerę twarzy żółtawo-bladą i chorobliwie jakby nabrzmiałą. Oczy jego, okrągłe, wypukłe, z błękitną, łagodnie patrzącą źrenicą, miały wyraz sennego jakby omdlenia, na całą fizyognomią jego rzucający cechę pewnéj głupowatości. A jednak nie można było wcale nazwać go głupcem. Przeciwnie, obowiązki, do miejsca, które zajmował, przywiązane, pełnił on z wielką punktualnością a nawet pedanteryą, rozmawiając zaś z ludźmi mówił powoli bardzo, z widoczném wysileniem szukał w głowie swéj myśli i wyrazów, nigdy jednak nie wypowiedział nic niedorzecznego, lecz przeciwnie wyrażał się jasno i rozsądnie. Cała zresztą postać jego miała pozór ociężały i leniwy. Patrząc na niego, można-by rzec, iż był próżniakiem i ospalcem; a przecież pracował nieustannie, to nad księgami swemi z piórem w ręku, to w ogrodzie z motyką, nożycami i konwią; wstawał ze snu przed wschodem słońca, a nocami sypiał tak czujnie, że każde odezwanie się dzwonka u pocztowego zajazdu znajdowało go obudzonym i w mundur urzędowy opiętym.

Chorobliwe to, głupowate i senne wyglądanie człowieka silnie zbudowanego, rozsądnego i pracowitego, zwracało ciekawą uwagę mego ojca, który lubił Żmindę, a jako właściciel gruntu, na którym stały budynki pocztowe, miewał z nim częste i życzliwe stosunki.

Pamiętam wybornie, jak trzy razy w tygodniu, w porze,

w któréj cała rodzina nasza zgromadzała się dokoła śniadania, Żminda z punktualnością zegarka wchodził do sali jadalnéj, przynosząc ojcu memu nadeszłe pocztą listy i dzienniki. Przynoszenie to nie należało bynajmniéj do obowiązków jego, lecz było tylko szczególnym ze strony jego objawem szacunku i życzliwości, dla ojca mego uczuwanéj. Już to w ogólności dla obywateli wiejskich Żminda wielkie okazywał uszanowanie. Wyraz *obywatel* posiadał w umyśle jego znaczenie idealnéj jakiéjś a wszechstronnéj nad innymi ludźmi wyższości. Nie idzie przecież za tém, aby wobec ludzi tych, tak bardzo przez się poważanych, był on zbyt pokornym i uniżonym. Owszem, barczysta i ciężka postać jego nie zginała się nigdy ukłonami nizkiemi, z ust poruszających się powoli nie wychodziły nigdy żadne prośby ni pochlebstwa. Miał on zawsze postawę i minę człowieka, który wobec nikogo nie poczuwa się do winy żadnéj i od nikogo niczego wcale nie potrzebuje. Tylko głos jego stawał się miększym jakoś i niższym, niż zwykle, gdy rozmawiał on z *obywatelem*, a żółtawe i nabrzmiałe policzki rumieniły się lekko gniewem, ilekroć usłyszał zarzut jakiś, komukolwiek do klasy téj należącemu, czyniony.

Owóż, razu pewnego, gdy, w dniu przybycia poczty listowéj, Żminda, jak zwykle, wszedł do naszéj sali jadalnéj z grubym pakietem listów i dzienników w ręku, ojciec mój, zaprosiwszy go do stołu, przy którym siedzieliśmy wszyscy, troskliwie zapytał:

— Źle mi coś dziś wyglądasz, panie Żminda? czy nie jesteś słabym?

— Dziękuję panu — odparł Żminda — ale ja zdrów jestem zupełnie, tylko przychodzą na mnie takie dni jakieś, że w uszach mi szumi, jak we młynie, i ręce trzęsą się trochę... ale to bywa przez kilka dni tylko... później przechodzi...

— Ale od czegóż-by to było — zapytał mój ojciec.

Żminda uśmiechnął się zwykłym sobie uśmiechem, w którym obok zupełnego spokoju było jednak coś smutnego, i odpowiedział zwolna:

— Ja myślę, proszę pana, że to od tego maku...

— Jakto od maku? — zapytaliśmy chórem...

— Widzą państwo — mówił, uśmiechając się wciąż nadzorca stacyi, — bo ja, dzieckiem będąc, wiele bardzo maku jadłem.

— Ależ poco? dlaczego?

— Długa to historya.

— Opowiedz nam ją, panie Żminda — rzekł mój ojciec.

Żminda nie miał nic do odmówienia *obywatelowi*, a jeszcze takiemu, z którym, jak z ojcem moim, w blizkich był i dawnych stosunkach.

Po dość długiém więc milczeniu, w czasie którego z trudnością widoczną skupiał myśli i zbierał w głowie swéj wyrazy, zwrócił na ojca mego spojrzenie oczu swych wypukłych, sennych trochę a bardzo łagodnych, i zaczął w ten sposób:

— Pan dobrodziéj wié, że ja pochodzę z okolicy szlacheckiéj Żmindów, co to o trzy wiorsty ztąd...

— Wiemy, wiemy! — odezwaliśmy się oboje z siostrą, szlachecka okolica bowiem, o któréj mówił Żminda,

przywoływała nam na pamięć bardzo miłe wspomnienia. Mijaliśmy ją zawsze, ilekroć z rodzicami i gośćmi jechaliśmy do poblizkiego lasu na majówki i grzybobrania, a składające ją domki szlacheckie, nizkie, szare, otoczone ogródkami, w których kwitły nagietki i piwonie, tkwiły nam dobrze w pamięci.

— Otóż — prawił dalej Żminda — ojciec mój, świeć panie nad jego duszą, posiadał w okolicy kawał gruntu niewielki i lichy. Piaski to były... kartofle tylko i gryka dobrze na nich rosły, żyto zaś marniało, a o pszenicy to tam u nas i słychu nigdy żadnego nie było. Wszelako, dopóki żyła matka moja, świeć panie nad jéj duszą, bieda choć była, ale nie tak to bardzo wielka. Ludzie gadają, że nieboszczka moja matka doskonałą była gospodynią, ale ja o tém ze słyszenia tylko wiem, od ludzi, bo Pan Bóg ją do chwały swojéj zabrał wtedy, kiedy ja rok tylko życia miałem. Dwóch starszych braci miałem i siostrę, ale poumierali wszyscy. Po śmierci matki zostałem u ojca sam. Co tu robić mężczyźnie z takiém małém dzieckiem, a i z gospodarstwem także? Pan dobrodziéj wié, że w szlacheckiéj zagrodzie bez gospodyni, ani rusz. Tedy — w rok niespełna po śmierci nieboszczki matki, ojciec ożenił się. Wziął sobie ekonomską córkę z Wojatycz od pana Woińskiego. Ludzie mówią, że hoża to była kobieta, pracowita i nawet edukowana trochę! Ale może i dla téj-to edukacyi, z przeproszeniem pańskiém, licha wartéj zapewne, ubogi stan szlachecki do smaku jéj nie przypadł. Okrutnie była zawsze zła. Robiłać to, robiła ona wszystko, co trzeba było, ale z wyrzekaniem, fukaniem i *złowaniem*

wielkiém. Mnie to tak już od razu znienawidziła. Po prawdzie téż dziecko było ze mnie krzykliwe podobno i żywe, jak konik polny. Cały dzień bywało pełzam, albo skaczę po izbie, pod nogi ludziom włażę i naprzykrzam się starszym ogromnie. Nocami zaś budziłem się często i krzyczałem na całą chatę, sam nie wiedząc czego, ot zwyczajnie, jak dziecko, któremu w głowie czy sercu majaczyła tęsknota jakaś za matczyną piersią, coby go w ciemnościach nocnych ku sobie przygarnęła.

Macocha płaczów tych moich i krzyków nocnych znieść nie mogła. Mówiła, że jéj to zdrowie odbiera, choć Bogiem a prawdą, kiedy Bóg dał jéj własne dzieci, a krzykliwsze jeszcze ode mnie, nic jéj wcale wrzaski ich nie szkodziły. Owszem, im więcéj krzyczało, tém więcéj je całowała i na rękach kołysała. Ale ze mną, zwyczajnie jak z pasierbem, było inaczéj. Ażebym jéj nocami nie budził, dawała mi co wieczór napój jakiś, który ja chciwie piłem, bo zasłodzony był i smaczny. Czy zaś zgadnie pan dobrodziéj, z czego napój ten był zrobiony? Ot dowiedziałem się późniéj już, że z maku i konopi. Bywało, jak napoi mię nim macocha, to śpię jak kamień przez noc całą, a i z rana jeszcze obudzić się nie mogę, choć w chacie ruch wielki, w piecowisku ogień trzaska, woda przy ogniu kipi, dziewka kartofle skrobie, ojciec drzewo rąbie, a macocha wieprza karmi, zrzędzi i wyklina. A jak bywało ocknę się już z tego snu makowego, to głowina jakby kamień ciężka i przez dzień cały nie hasam już i nie hałasuję, jak dawniéj, ale cichutko, niby trusia, siedzę pod piecem, oczy wytrzeszczając, a wszystko jak przez mgłę jakąś widząc. Było tak długo —

miałem już pięć lat może, kiedy macocha, krzyku mego lękając się, ciągle mię tym sposobem do cichości przymuszała. Ale nie na tém jeszcze koniec historyi o maku. Jadłem ci ja go jeszcze późniéj dużo, a to już z własnéj niby woli — czyli raczéj — z głodu. Jeść mi nie dawała. Wyjdzie bywało w pole do żniwa i dzieci swoje ze sobą zabierze, a dla nich i dla siebie garnki pełne żywności niesie. Ale mnie zostawiała w chacie bez okruszyny pożywienia jakiegokolwiek. Więc ja, w koszulkę grubą odziany, boso — do ogrodu! A w ogrodzie co? Gruszek i jabłek u nas nie było, tylko wiśni moc wielka. Ale wysoko one były i prędko kończyły się. Marchew albo burak, wykopany z zagonu, rzecz to dobra, ale i kopać niebardzo miałem siłę, i bałem się okropnie, aby dziury w zagonie macocha nie zobaczyła i nie domyśliła się, jaki to kret ją wykopał. Więc ja do maku. A maku siała ona wiele w ogrodzie i potém drogo sprzedawała. Włażę sobie tedy pomiędzy gęsty las łodyg makowych i leżę na wąziutkiéj miedzy godzinami całemi, a co moment makówkę dojrzałą zerwę i ziarna z niéj do ust sobie wsypię. Nie wszystkie one dojrzewały od razu. Były takie, co kwitły jeszcze, wtedy gdy inne żółciały już i schły. Otóż mnie i kwiaty podobały się bardzo. Już to zawsze lubiłem kwiaty. Leżę bywało w gęstwinie i patrzę, jak przez zieloność niebo błękitne prześwieca, a na niém migają wiatrem poruszane różowe i ponsowe strzępiaste maki. Czasem, jak wiatr mocniéj powieje, to który z nich się osypie i deszczem niby mięciutkich liści twarz mi zarzuci. Ja wtedy, przestawszy patrzéć na niebo i na czerwone maki, rękę wyciągam i znów

makówkę zrywam. Zrywałem czasem i niedojrzałe, ale, że jeść chciałem potężnie, więc i tę białą miazgę, co to, nim ziarna zrobią się, napełnia łupinę — zjadałem...

— Ależ to szczęście prawdziwe, żeś się pan temi makówkami nie otruł — przerwał ojciec mój, którego opowiadanie Żmindy na-pół śmieszyło, na-pół rozrzewniało.

— Nie przyszło jakoś do tego — odpowiedział z uśmiechem, — ale ot pewny jestem, że mi te traktamenta macoszyne na całe życie pamiątkę zostawiły. Ten szum w uszach i to drżenie rąk od najpiérwszéj młodości, to przychodzi mi, to przechodzi. Przytém już i tę moję żywość dawniejszą na zawsze straciłem, i myśli w głowie rozlatują się czasem niby suche liście, tak, że nim złapię którą, to się dobrze namęczę. Ale ludzie mówią, że i tak dobrze; bo mogłem od tych makowych wieczerzy i obiadów całkiem rozum stracić. Dzięki Bogu i za to, że mi go choć tyle zostawił, iż żyć uczciwie mogę, a żonę i dziecko pracą moją wyżywić...

Rzekłszy to, Żminda, powstał i, zapiąwszy guzy mundura aż po samą szyję, oddawał ojcu memu ukłon pełen uszanowania, ale tak poważny, jakby go myśl w ostatnich wyrazach zawarta napełniała uczuciem spokojnéj i pewnéj siebie osobistéj godności.

— Dlaczego, panie Żminda, nie przyjdziesz do nas kiedy na dłużéj, wieczorem może, na herbatę i parę godzin pogawędki? — uprzejmie wymówił mój ojciec.

Żminda ukłonił się powtórnie, widoczne zadowolenie twarz mu rozkwieciło.

— Dziękuję, panu dobrodziejowi, z całego serca dziękuję! — odparł. — Radbym bardzo... byłby to dla mnie honor wielki... ale nie mogę. Pan dobrodziéj wie... obowiązek... służba! Jak dzwonek odezwie się na gościńcu, stawać muszę do obowiązku mego, jak żołnierz do broni!

Wyrzekł to z nadzwyczajném przejęciem się, senne oczy jego nawet błysnęły żywiéj, jakby pod wpływem zapału.

— No, powiedz mi, panie Żminda — uśmiechając się mówił mój ojciec — czy choć-by raz jeden przez te lat piętnaście nie stawiłeś się do apelu — to jest nie przywdziałeś munduru i nie wyszedłeś na spotkanie przybywającego gościa?

Żminda uczynił rękoma i ramionami poruszenie, jak na flegmatyczny i ociężały układ jego, nader żywe.

— Ani razu! — zawołał — ani razu nie zdarzyło mi się nic podobnego! było-by to z ubliżeniem dla mnie!... podróżnego spotkać... pieniądze za *prohony* odebrać... w księgę zapisać, co należy, toż to obowiązek mój, z którego ja, żona moja i dziecko chleb jemy..! Był-bym, panie dobrodzieju, nie przymierzając, złodziejem, gdybym chleb jadł, a obowiązku mego nie spełniał.

Po tych słowach, Żminda skłonił się raz jeszcze i stanowczo już pokój miał opuścić, gdy uchyliły się drzwi od przedpokoju i nieśmiało trochę wyjrzała przez nie głowa kobieca, młoda, ładna, strojna w czarne warkocze i czepeczek z żółtemi wstążkami.

— Najpokorniéj przepraszam łaskawych państwa — wymówiła łagodna główka ta dość dźwięcznym, trochę tylko zbyt ciénkim i wypieszczonym głosikiem — po tysiąc

razy przepraszam, ale przyszłam zobaczyć, czy niéma tu mojéj Saluni!

— Saluni powiedziałem, żeby czekała na mnie na dziedzińcu — zwracając się ku wyglądającéj ze drzwi głowie kobiecéj, wymówił Żminda, poczém, wyraźnie zakłopotany, postąpił ku drzwiom i ciszéj, tonem nieśmiałego upomnienia, rzekł:

— Poco tu zawsze chodzisz za mną, Emilko? — uprzykrzasz się państwu...

— Ale owszem, owszem! — zawołała grzecznie moja matka — prosimy panią Żmindową, bardzo prosimy! Przyszły tu właśnie nowe dzienniki mód, może pani zechcesz popatrzeć na nie z nami!

Pani Emilia Żmindowa nie dała sobie po dwa razy powtarzać zaproszenia tego. Wbiegła do pokoju i kilku fertycznemi skokami była już przy mojéj matce, nad któréj ramieniem pochyliła się zbyt nizko.

Nie widziałem w życiu sprzeciwieństwa większego, jak to, które zachodziło pomiędzy Piotrem Żmindą a jego żoną. Malutka, zgrabna, nadzwyczaj żywa, szeleszcząca zawsze krochmalnemi sukniami i barwnemi wstążkami czepeczka, ze ściągłą swą twarzyczką, bladawą i namiętną, z czarném okiem, iskrzącém się i ruchliwém, Emilia Żmindowa wyglądała przy swym barczystym, ciężkim, powolnym mężu, jak motyl, fruwający dokoła łopuchowego liścia, jak płomyk, wijący się i tryskający iskrami obok ciężko toczącéj się i mętnéj nieco wody. Mówiła wiele i prędko; śmiejąc się, ukazywała z za warg różowych dwa rzędy perłowych ząbków. Do dworu przybiegała często. Wabiły ją

tutaj stroje matki mojéj, którym dość napatrzyć się nigdy nie mogła i które naśladować usiłowała; dzienniki mód, które wprawiały ją w zachwyt niewymowny; najbardziéj zaś może spojrzenia i ukłony młodych oficyalistów, których po drodze spotykała na dziedzińcu i u oficyn, a których hołdami nie gardziła bynajmniéj.

Pretextem, którym posługiwała się najczęściéj, aby wejść do pokojów dworskich, było dowiadywanie się o Salusię. Skoro jednak raz znalazła się obok mojéj matki, z którą rozmowa i znajomość pochlebiały jéj niezmiernie, a w dodatku ujrzała leżące na stole wzory modnych ubiorów, przestawała troszczyć się o dziecko, szczebiotała, zachwycała się i całowała bez końca ręce matki mojéj, która lubiła ładną jéj buzię, bawiła się nią trochę, a przez wzgląd na uczciwego jéj męża, okazywała jéj wiele uprzejmości.

I tym razem także pani Żmindowa, usiadłszy na brzeżku krzesła i, niby wachlarzem, chłodząc zmęczoną twarz swą cieniutką płócienną chusteczką, głośne bardzo i nieco piskliwe wykrzyki wydawała na widok dwóch, na żurnalu wymalowanych, bombiastych i barwistych sukien.

Żminda zaś, opuściwszy sień domu, spotkał się natychmiast ze swoją Salusią, która oczekiwała na niego, cichutko i nieruchomie u jednéj topoli stojąc i gruby pień drzewa rączkami obejmując. Ujrzawszy ojca, dziecię nie rzuciło się ku niemu w poskokach i z okrzykiem, ale podeszło do niego zwolna, milcząc, i piąsteczką za jeden z guzów mundura jego pochwyciwszy, szło daléj już z nim razem, z tyłu nieco trzymając się i drobnemi stopkami,

ładnie obutemi, szybko po murawie dziedzińca przebierając. Zaledwie jednak para ta połowy dziedzińca dosięgnęła, gdy w oddali o pół wiorsty, a może i o wiorstę jeszcze, jęknął kędyś dzwonek pocztowy. Pod stopy Żmindy jakby kto nagle minę podłożył, tak żywo podnosić je zaczął z nad ziemi. Śpieszył, biegł, śpieszyło i biegło za nim dziecię, ale, szerokiemu krokowi jego nadążyć nie mogąc, wypuściło z rączki guzik ojcowski i stanęło, jak wryte, ust nie otwierając, tylko oba ramiona powolnym ruchem wyciągając za ojcem. Można-by rzec, iż pomimo pośpiechu, Żminda uczuł oderwanie się od niego dziecka, bo, nie przystając jednak ani na chwilę, zwrócił się, pochwycił je na ręce i, z tym ciężarem już biegnąc szybko a ciężko, zniknął wnet w wiodącéj ku pocztowéj stacyi ogrodowéj alei.

Pani Żmindowa tymczasem nie myślała wcale o mężu i dziecku i ani słyszała dzwonka, który bardzo wyraźnie jednak dawał się słyszéć w pokoju, gdzieśmy siedzieli wszyscy.

— Ach! pani moja droga! — mówiła — splatając ogorzałe lecz małe i zgrabne swe rączki — pani moja droga! jakie to wszystko ładne! jacy to szczęśliwi ludzie, którzy żyją na takim wielkim świecie i tak ładnie mieszkać i ubierać się mogą!

Myśl o wielkim świecie nasuniętą została pani Żmindowéj przez wielki arkusz żurnalowy, przedstawiający salon, pełen festonów jakichś kwiatów, taburetów i balowo przystrojonych, ckliwo uśmiechających się figurek.

Matka moja, która, o ile mogła, usiłowała miarkować

płochość i zalotność małéj kobietki, filozoficznie odparła:

— Nie wierz w to ani trochę, moja pani Żmindowa, ażeby ludzie, żyjący na wielkim świecie, szczęśliwymi koniecznie być mieli. Ja, co znam świat ten, mogę cię upewnić, że, w wiejskiéj ustroni swéj i w skromnym swym bycie, jesteś bez porównania szczęśliwszą od niejednéj wielkiéj damy.

Czarne oczy Żmindowéj zamigotały żywo. Lekki rumieniec gniewu, czy rozżalenia, oblał bladawe jéj policzki.

— Pani droga! — szepnęła z westchnieniem — a gdzież to szczęście moje? Młodość całą przesiedzieć tak w kącie zapadłym i świata Bożego nie widzieć... czy to miło? A kiedy jeszcze przypomną sobie przeszłość i pomyślę, jak to u ojca mego bywało... kim byłam, a kim teraz jestem!

— Jesteś żoną rozsądnego i uczciwego człowieka, którego lubimy i szanujemy wszyscy — pochwyciła moja matka.

Coś na kształt nerwowego stłumionego śmiechu, czy łkania, wstrząsnęło szczuplutką postacią kobiety. Pałające oczy jéj przykryły się ciemną długą powieką.

— Uczciwy to on, pani moja... — szeptała coraz ciszéj — uczciwy i dobry człek... szanuje mię... ani słowa przeciw temu rzec nie mogę... alem ja obywatelska córka, pani droga... lepsze czasy znałam... w innéj zupełnie pozycyi byłam... Przytém... ośmnastu lat nie miałam, kiedy mię wziął, sam ich czterdzieści z czubem mając...

— Obywatelską córką jesteś, to prawda — perswadowała moja matka — ale ojciec twój nie był nigdy

bogatym i teraz to już wyobrażasz sobie tylko, że tam u was takie świetności były. Folwarczek dziesięciochatowy, na którym sześcioro rodzeństwa siedzi, nie jest wcale bogactwem żadném...

Słuchając słów tych, Żmindowa zacięła kształtne swe, blado różowe wargi. W téj chwili cała drobna twarz jéj przybrała wyraz na-pół gniewnego, na-pół bolesnego rozjątrzenia. Zdawało się na razie, że wybuchnie gniewem czy płaczem; powściągnęła się jednak i tylko przez zaciśnięte zęby szepnęła:

— Zawsze to jednak, co obywatel, to nie jakiś pocztylion...

— Mąż twój nie jest przecież pocztylionem...

— Ale był nim przez lat 15! Wszyscy ludzie pamiętają, jak biegał po mieście, listy roznosząc...

— Tém większy to zaszczyt dla niego, że z biedy wielkiéj wybrnąć potrafił a teraz wcale przyzwoite i korzystne zajmuje miejsce...

— E! pani droga! dźwignęli go dobrzy ludzie. Pan Woiński wziął go z okolicy od macochy, co go biła i głodem morzyła, do szkół go oddał i do kancelaryi pocztowéj, a potém protegował... na moję biedę...

Im dłużéj trwała rozmowa ta, tém silniéj zaciskały się zgrabne i małe, na kolanach złożone, ręce Żmindowéj. Mówiła prędko, ale głosem stłumionym i ciężkim. Widoczném było, że z całéj siły hamowała rozrywający pierś jéj wybuch głosu.

Matka moja patrzała na rozjątrzoną kobietę z litością i niezadowoleniem.

— Wierzaj mi, kochanko — rzekła z powagą — iż powinnaś zapomnieć o swém byłém obywatelstwie i pogodzić się ze swym losem...

— Pogodzić się! — z ciężkością szepnęła kobieta. — Trudno! czy ja właśnie kochałam go, gdym szła za niego?

— Po cóż więc szłaś?

— Chleba nie miałam, pani moja! źli bracia z domu wypędzili... żeby ich tak Pan Bóg od chwały swojéj odpędził!...

— Wstydź się! wstydź się, Emilko! — zawołała moja matka — braci rodzonych przeklinać! czy wiész, że to okropne! i nie dowodzisz tém wcale téj pięknéj edukacyi, którą tak chwalisz się zawsze. Nie spodziewałam się, abyś do tego stopnia nie lubić mogła swego uczciwego męża...

Matka moja nie domówiła jeszcze tych wyrazów, gdy Żmindowa osunęła się z krzesła i, tuląc do kolan jéj głowę swą, strojną w żółty czepeczek, spazmatycznym wybuchnęła płaczem. Pękły nakoniec w piersi jéj wszelkie tamy, wolą stawiane, i po półgodzinném powściąganiu się, nerwowa ta i namiętna natura wybuchnęła łzami i wykrzykami.

— Pani moja! — wołała, łkając — nie gniewaj się na mnie! ja panią kocham i szanuję jak matkę! wszystko przed nią powiedzieć gotowam! Ja nie wiem czasem sama, co się ze mną dzieje! Na cały świat zła jestem! Szatan jakiś siedzi we mnie! Czasem uspokoję się trochę, ale znowu przychodzi taki dzień, że gdyby nie bojaźń sądu Bożego, to-bym się na piérwszém lepszém drzewie obwiesiła! Cóż ja na to poradzę, że mi z nim życie obrzydło! To wół, pani

droga! to muł! taki stary i ciężki. Nim on krok jeden zrobi jabym pół świata obleciała; nim słowo wymówi, jabym całe kazanie księdza proboszcza na pamięć wyrecytowała! Ognia z wodą nie pogodzić, pani droga! serca młodego w kajdany nie okuć! Trudno!

— A dziecko? — szepnęła moja matka, — wszak masz dziecko, Emilio!

Żmindowa, siedząc wciąż na ziemi, łzy z twarzy ocierała.

— Dziecko! — powtórzyła cicho, — do niego podobne! ni to żyje, ni to nie żyje! Taki sam muł z niéj będzie, jak i ojciec!

Przez dobry kwadrans jeszcze matka moja napominała i do upamiętania się wzywała klęczącą u kolan jéj kobiétę; a gdy nakoniec, odwołana przez kogoś z domowych, pokój opuściła, Żmindowa podniosła się z ziemi i, z szelestem krochmalnéj sukni, gwałtownie, we wzburzeniu wielkiém i widocznem, wbiegła w prowadzącą ku pocztowéj drodze, ogródkową aleę. Tam zaczęła iść powolnym i chwiejącym się krokiem. Spoglądała niekiedy w niebo. Wzdychała. Cała drobna postać jéj zdawała się być w onej chwili wcieleniem głębokiéj melancholii i nieuleczalnéj tęsknoty.

Ale kroki powolnéj a smętnéj kobiéty oddawna już snadź śledzone były przez Wawrzyńca Śnidkę, prowentowego pisarza naszego. Był to bardzo przystojny, a bardziéj jeszcze czuły kawaler, z wypomadowanemi do obrzydliwości kędziorami, z miodowo-słodkim wzrokiem i z turkusowym pierścieniem na palcu. Poczciwy zresztą chłopak ten dzielnie dosiadał konia, tańce passyami lubił,

wiersze pisał, a w poetycznym nastroju ducha swego, nie mogąc znieść prozaicznego imienia: Wawrzyniec, prosił, a komu mógł i rozkazywał, aby go nazywano panem Laurentym.

Owóż widziałem z dala, jak pan Laurenty u końca ogrodowéj alei zaszedł drogę kobiécie, idącéj smutnie i powoli, i z pełnym gracyi ukłonem uchylił przed nią zgrabną czapeczkę. Ona odpowiedziała mu ukłonem i uśmiechem. Jakby za dotknięciem czarnoksięzkiéj różdżki, twarz jéj z ponuréj stała się ożywioną i zalotną. Z furtki ogrodowéj wyszli razem na drogę pocztową, a nie upłynęło dwie minuty, jak za ogrodowemi sztachetami brzmiał w letniém rozsłonecznioném powietrzu dźwięczny, przeciągły, zalotny śmiech kobiecy.

Jakiemikolwiek jednak były uczucia dla męża ładnéj pani Emilii, Żminda zdawał się o nich nic wcale nie wiedzieć. Obchodził się on z nią z tą poważną łagodnością, która cechowała go ogólnie w obejściu się z ludźmi, niekiedy nawet wyglądał wobec niéj na-pół jakby nieśmiałym, na-pół nią dumnym. Poszanowanie, jakie miał dla niéj, dochodziło nawet do tego stopnia, że, aby oszczędzić jéj trudów wszelakich, trzymał służącą, co przy malutkiém gospodarstwie i niewielkich dochodach stanowiło już nawet pewien rodzaj zbytku. Wysokie to uszanowanie spokoju jéj i dobrobytu miało ten skutek, że pani Emilia całe Boże dnie i całe okrągłe lata nic a nic nie robiła. Ojciec mój, który, jak wszyscy zresztą, wiedział dobrze o próżnych i niebezpiecznie gwałtownych usposobieniach młodéj kobiéty, rzekł raz do Żmindy:

— Dlaczego nie zachęcisz pan żony swéj do zajęcia jakiego? Bezczynne takie przesiadywanie na ganku lub w oknie domu i bieganie ustawiczne po drodze i sąsiadach niebezpieczném być może dla młodéj i żywéj kobiéty.

Żminda zdumionemi oczyma spojrzał w twarz ojca.

— Niebezpieczném? — powtórzył. — A jakież to może być niebezpieczeństwo, proszę pana? — Uśmiechnął się i dodał:

— Alboż to dziecko? w sadzawce przecież nie utopi się...

— Zawsze jednak przykładniéj było-by i korzystniéj, gdyby zajęła się choć trochę gospodarstwem, szyciem...

Żminda namyślał się chwilę.

— Nie, proszę, pana, — odparł zwykłym sobie powolnym sposobem, — ja jéj do roboty zmuszać nie mogę... obywatelską córkę wziąłem... szanować ją powinienem... Przytém, proszę pana, młoda to kobiéta... ja stary... niech-że choć wygodę a spokojność ma przy mnie!...

Najlżejszy cień zazdrości lub podejrzenia nie powstał mu nigdy w umyśle. Śmieli się z niego ludzie po cichu, albo litościwie wstrząsali głowami; on sam jednak czuł się widocznie uszczęśliwionym, ile razy fertyczna i zwinna żona jego bawiła kogoś z przybyłych na stacyą wykwintnych podróżnych, wesołym a niepozbawionym wdzięku szczebiotem. W czasie, gdy mąż jéj sprawdzał *podorożną*, wpisywał do książki otrzymane pieniądze i strzegł porządku a pośpieszności w zaprzęgu koni, pani Emilia w gościnnych pokojach częstowała gościa herbatą i rozmową. Zabawiany w ten sposób gość, jeżeli szczególniéj

młodym był i wesołym, nie śpieszył się z odjazdem, a zdarzało się nieraz, że, odjeżdżając, nakoniec przyjaźnie rękę Żmindzie podawał, zapowiadał, że wkrótce znowu stronami temi przejeżdżać będzie i winszował mu porządku, w jakim utrzymać umiał stacyą, nad którą, na całéj długości drogi, nie było porządniejszéj, gościnniejszéj i miléj położonéj. Pochwały te uszczęśliwiały Żmindę.

— Już to, — mawiał po odjeździe grzecznego gościa, — już to, co prawda, to prawda, że takiéj stacyi, jak nasza, chyba na całym świecie niéma. Bo to i czysto u nas, i porządnie, i grzecznie. Jeżeli gość żąda pośpiechu, jesteśmy zawsze w możności odprawić go prędko, a jeżeli nie, to i zabawić go przyjemną rozmową umiemy.

Przy ostatnich słowach, senny wzrok jego przybierał wyraz figlarności i skierowywał się ku pani Emilii. Zbliżał się do żony i grubém ramieniem obejmować próbował cienką i giętką jéj kibić. Ale p. Emilia żywo i ze stłumioném na ustach syknięciem uchylała się od téj pieszczoty małżeńskiéj, i lekka, szeleszcząca fałdzistą suknią, umykała przez sień, w głąb’ mieszkania. Żminda poruszenie to żony brał zwyczajnie za żart i pustą swawolę, a usłyszaną od gościa pochwałą stacyi w niezwykle dobry humor wprawiony, puszczał się niekiedy za uciekającą w swawolną gonitwę. Kiedy zaś z postacią swą barczystą i grubą, w ciasny mundur jak w futerał opiętą, z rozstawionemi ramionami i szerokim uśmiechem śród wielkiéj, jakby obrzękłéj twarzy, biegł tak za malutką i zaledwie dotykającą ziemi, swą żoną, a wielkie stopy jego, opyloném obuwiem okryte, ciężko i ze stukiem opadały na

ziemię; na myśl patrzącemu nasuwał się słoń ogromny, stary i leniwy, uganiający się za drobną ptaszyną, o skrzydłach z zefiru i ognia. Gonitwy te zresztą kończyły się zawsze u drzwi, które pani Emilia z trzaskiem przed mężem zamykała, po dwa razy i ze stukiem gwałtownym klucz w zamku z wewnątrz obracając.

Bywało nieraz, iż po przedłużonéj takiéj bytności na stacyi młodego jakiegoś i wykwintnego gościa, usposobienie pani Emilii zmieniało się do niepoznania. Bladła i mizerniała widocznie, czarne oczy jéj zapadały i nabierały błysków gorączkowych, ruchy stawały się powolniejszemi, jakby zjętemi niezmożoném, senném rozmarzeniem. Widać było, że nerwową, niespokojną naturę tę przenikały wtedy na wskroś palące pragnienia jakieś i głębokie żale. Milkły wtedy srebrzyste wybuchy jéj śmiechu, które w dniach innych nieustannie prawie rozlegały się na ganku stacyi, na drodze, we dworze, wszędzie. Z niechęcią odwracała twarz od najgorętszego z wielbicieli swych, pana Laurentego, a gdy ten uprzykrzał się jéj melancholijnemi zapytaniami o przyczynę smutku, z syczącém szyderstwem odsyłała go do garderoby dworskiéj, gdzie, jak mówiła, najwłaściwszą dla siebie mógł znaleźć pociechę i zabawę. Zresztą milczała jak grób, ubierała się w czarną sukną, a oczy jéj co chwila zachodziły łzami.

W czasie każdego takiego paroxyzmu rozpaczy żony, Żminda chodził, jak struty, przyczyny jego domyślić się w żaden sposób nie mogąc. — Chora chyba, — szeptał, zwieszając smutnie głowę, — zmizerniała widocznie... nic

nie je...

Albo też zapytywał najbliższych swych przyjaciół:

— Czy ja jéj co złego zrobiłem? zdaje się, że nie... ale zresztą... być to może! być to może! taki jestem niezgrabny i powolny... ale powinna przecież wiedzieć, że nie ja temu winien jestem, ale ten mak przeklęty!...

Albo znowu mówił do córki:

— Salusiu! spytaj się mamy, czego taka smutna?

Ale dziewczynka nieśmiałą jakoś była do matki, która też, dość obojętna dla niéj zwykle, w dniach tajemniczych żalów swych i rozjątrzeń i patrzéć nawet na nią nie chciała.

Przychodził tedy w utrapieniu swém Żminda do dworu i prosił moję matkę, aby przez najbliższą okazyę sprowadzić raczyła z gubernialnego miasta materyą na suknią dla jego żony, nowy kapelusz lub cóś podobnego.

— Pani dobrodziejka, — mawiał, — według gustu swego kupić to rozkaże, a ja myślę, że to może Emilkę rozerwie trochę. Nie wiem prawdziwie, co to jest, — dodawał, — ale taka mizerna jakaś i nieswoja, że boję się, czy jéj czasem, nie chcąc, czém nie zmartwiłem...

Zdarzało się tak najczęściéj, że gdy suknia lub kapelusz przychodziły z miasta, pani Emilia była już pocieszoną i rozweseloną zupełnie. Żminda niósł jéj przecież podarunek, za który, gdy mu czasem z uśmiechem podziękowała, rad był już zupełnie z niéj i z siebie, a sąsiadkom, zebranym dla przypatrzenia się przywiezionym z miasta strojom, z niejaką dumą mówił:

— Należy się jéj to, jejmoście moje, należy; kobiéta młoda, edukowana i... obywatelska córka!

Jakkolwiek przecież dobrym był, ufnym i względnym dla żony, Piotr Żminda wszystkie najgłębsze tkliwości swe i nadzieje skupiał na córce.

Było to dziecię dość dziwne. Wysoka nad wiek, bardzo szczupła i wątła, ruchy jednak miała ojcowskie, powolne i ciężkie. Twarzyczka jéj ściągła, ładnie wykrojona, bladawą cerą okryta, nieruchomą była prawie i nadzwyczaj rzadko rozświecała się uśmiechem, który smętnie jakoś zawsze i niewyraźnie wyglądał na blado różowych, cienkich jéj wargach. Oczy miała duże, błękitne, z bardzo łagodnym i nieco sennym wyrazem, włosy gęste, złote, dwoma grubemi warkoczami na plecy opadające. Ludzie mówili, że Salusia wrodziła się w ojca. W istocie, patrząc na dwoje ludzi tych, rzec-by można, iż ów mak smutnéj pamięci, który tak trwałe ślady pozostawił w ustroju ojcowskim, przeniknął téż i organizm dziecka pierwiastkiem jakimś sennym, smętnym i ociężającym. Dziewczynka ta ubieraną zwykle bywała ze starannością wielką. Ojciec przez czułość, matka przez próżność, stroili ją w błękitne i różowe sukienki z białemi paskami, w złote warkocze jéj wplatali barwiste wstążki. Wszystko to przecież nie bawiło wcale Salusi. Najlepiéj lubiła przebywać z ojcem w ogrodzie, który Żminda uprawiał z zamiłowaniem i pracowitością wielką. Tam, powolna i wyprostowana, milcząc i zawsze kędyś daleko patrząc, pomagała ona ojcu obrywać z krzewów liście zeschłe, lub okładać kamyczkami klomby kwiatowe, niekiedy zaś nabierała w fartuszek żwiru i powoli, miarowo, drobną, ciemną rączką sypała go na ścieżki ogrodu.

Tak pracowali po dniach całych, na odgłos tylko pocztowego dzwonka odrywając się od pracy swéj, aby wnet znowu do niéj powrócić. Ogródek téż wyglądał, jak cacko, a było w niém miejsce jedno, kędy, na świeżéj zawsze, bo starannie podlewanéj i koszonéj murawie, u stóp rosochatéj, odwiecznéj wierzby, Żminda z córką siadywać lubili po pracy o zachodzie słońca. Dziécię przychodziło zawsze w to miejsce z garsteczką kwiatów, które zrywało przedtém powoli, z bladym uśmiechem słabéj radości na wargach. Ojciec znowu składał obok siebie narzędzia ogrodnicze: nożyce, noże, motykę, konew'; poczém obejmował córkę ramieniem, a ona, złożywszy bladziutką twarz swą na jego szerokiéj piersi, zarzucała mu na ramię złote swe warkocze. W takiéj postawie siadywali godzinę i dłużéj czasem. Nie mówili do siebie nic, a dwie pary oczu ich, dziwnie podobne barwą i wyrazem, tkwiły nieruchomie w onéj stronie nieba, kędy ognisty obłok zachodu rzucał ponad drzewa gorące łuny, a płynące w powietrzu morze blasków różowych walczyło z ciągnącym od północy mrokiem wieczoru.

Wtedy-to, o téj wpół szaréj już, wpół świetlistéj jeszcze godzinie, wielkie, ciężkie ręce Żmindy ujmowały niekiedy kwiaty, które dziecię przyniosło tu i na różowéj sukience swéj złożyło, i zaczynały przystrajać niemi złociste włosy dziewczynki. Z cichym uśmiechem na szerokich swych wargach, przymocowywał on nad blademi skrońmi dziecka żółte nagietki i białe stokrocie. Niekiedy, czyniąc to, śmiał się do siebie pół głośno. Wtedy i Salusia uśmiechała się także i, nie podnosząc głowy z nad jego piersi, drobną

rączką, powolnym ruchem, podawała mu coraz inne kwiaty.

Na szerokiéj drodze stawało się coraz ciemniéj. W odwiecznych lipach dworskiego ogrodu szumiał wiatr lekki, gwiazdy zapalały się na niebie i błyszczały w spokojnéj szybie stawu, na osadę całą spadała cisza nocy i odpoczynku; tylko w altanie z powojów, strojącéj ganek pocztowego domu, dźwięczał płochy, srebrzysty śmiech, pani Emilii, bawiącéj się z oficyalistami dworskimi i, wśród grusz starych, z otwartych drzwi kuźni lały się w ciemności ponsowe blaski płomienia.

Wtedy w ogrodowéj fórtce ukazywał się Żminda, z córką w objęciu. Z uśpionéj i na ramię jego pochylonéj głowy Saluni opadały kwiaty. Żminda niósł ją ku domowi zwolna, ostrożnie, jakby sen jéj przerwać się lękał, a od czasu do czasu, zbliżając twarz swą do jéj twarzy, bez uśmiechu jednak ni pocałunku, powtarzał półgłosem:

— Oj ty, śpioszku mój! rabaczku! gwiazdeczko!... mój ty skarbie!

Miałem lat 19 i, po odbyciu piérwszego kursu uniwersyteckich nauk, przybywałem na wakacye do rodzicielskiego domu, kiedy z odległości kilku już stai drogi ujrzałem panujący przed stacyą, pocztową ruch niezwykły. Tłoczyli się tam ludzie, w przejrzystém

błękitném powietrzu powiewały żałobne chorągwie, brzmiały śpiewy jakieś, do przeciągłych łkań podobne, i po nad szmer wielu głosów słumionych wybijały się płacze głośne i zawodzące. Niebawem rozpoznałem wysoką postać mego ojca, stojącego z głową odkrytą, w pewném od tłumu oddaleniu, i dojrzałem migocącą na cienistym ganku jasną suknią młodziutkiéj siostry mojéj.

Powiedziałem woźnicy memu, aby pojechał wprost przed stacyą i, wyskoczywszy z bryczki, w mgnieniu oka znalazłem się u boku ojca mego, który, powściągając widocznie objawy radości, na widok mój doświadczonéj, powitał mię milczącém ściśnieniem ręki i cichemi słowy:

— Córka Żmindy, mała Salusia... umarła!

Zaledwie te słowa wymówionemi zostały, w drzwiach pocztowego budynku ukazała się, przez kilku ludzi niesiona, niewielka, błękitna trumna. Tuż za nią wyszła na ganek domu Emilia Żmindowa, w czarnéj sukni, z włosami rozpuszczonemi, z głową fantastycznie owiniętą w czarne krepy jakieś i woale. Twarz jéj była łzami zalana, ręce załamane. Rzucała się za trumną córki w konwulsyjnych ruchach i z dzikiemi okrzykami. Podnosiła oczy i ręce ku niebu, i szamotała się tak gwałtownie, że kilka kobiét, szlochających téż i lamentujących na całe gardło, powstrzymywać ją musiało. Za tłumem tym dopiéro, miotającym się i wrzaskliwym, w drzwiach sieni ukazał się Żminda. Spojrzałem na niego z głębokiém współczuciem i zdziwiony zostałem, nie ujrzawszy w powierzchowności jego żadnéj prawie zmiany. Miał na sobie mundur świąteczny, zapięty od piérwszego guzika u góry do

ostatniego u dołu, trzymał się prosto, i tylko twarz, która żółtszą jeszcze i bardziéj nabrzmiałą wydawała się, niż zwykle, pochylał bardzo nizko.

Oczy jego, nieruchomo w ziemię utkwione i szklisto błyszczące, posiadały wyraz kamiennego jakby osłupienia. Zbliżył się do woza kirem okrytego i, milcząc, wyciągnął ręce, jakby chciał sam złożyć na nim błękitną trumienkę, ale w otaczającym wóz tłumie rozszedł się gwar stłumiony i kilka głosów jednocześnie zawołało:

— Nie trzeba wozu! poniesiemy ją sami na cmentarz!

Oświadczenie to wymówioném zostało przez kilku pocztylionów, podwładnych Żmindy; poczém ludzie ci, ubrani w długą czarną odzież, przepasani czerwonemi pasami i z żółtemi blachami na piersiach, pochwycili trumnę na silne swe ramiona i stanęli z nią nieruchomo, oczekując chwili ukazania się księdza w drzwiach domu. Żminda oderwał wzrok od ziemi, i mętne, szkliste spojrzenie tocząc po twarzach życzliwych dla niego ludzi, szepnął:

— Bóg zapłać!

Był to szept tak cichy, że ja tylko jeden, którym stał tuż obok niego, dosłyszéć go mogłem. Rzec-by można, iż był to słaby tylko powiew, wychodzący ze śmiertelnie ugodzonéj i zamierającéj piersi.

Po chwili smutny orszak, w którym rozlegały się wciąż spazmatyczne krzyki pani Emilii i piskliwe lamenty towarzyszących jéj kobiet, z księdzem, niosącym krzyż na czele, puścił się w powolny pochód. Żminda szedł ostatni, z czapką, na któréj błyszczała urzędnicza gwiazdka, w

spuszczonych dłoniach, ze wzrokiem znowu wbitym w ziemię. Nagle za plecami odchodzących donośnie zadźwięczał dzwonek. Żminda stanął jak wryty, podniósł twarz i sekund parę słuchał tak, jakby uszom własnym nie dowierzał. Dzwonek ten dźwięczał coraz głośniéj, coraz wyraźniéj, tuż prawie przy stacyi.

— Oh! — westchnął nagle Żminda i, odwróciwszy się szybko, spojrzał na przybliżający się w tumanie kurzawy lekki koczyk, czterema pocztowemi końmi zaprzężony. Gwałtownie zwrócił się znowu w stronę, w którą ciągnął pogrzebowy orszak i oba ramiona wyciągnął ku trumnie, błękitno migocącéj wśród czarnych ubiorów niosących ją ludzi.

Straszna walka, druzgocący przestrach jakiś zatrzęsły tak nieruchomą zwykle jego twarzą.

— Co ja zrobię? co ja zrobię? — szeptał, jakby nieprzytomny. — Wszak muszę pożegnać się z nią... tam ktoś jedzie... i w tę stronę iść... i w tamtą iść... nie mogę!

— Ależ bądź pan spokojny, — rzekł mój ojciec — idź za trumną córki. Ja wrócę na stacyą i zastąpię cię... zrobię wszystko, jak należy...

Trudno powiedzieć, czy Żminda zrozumiał, a nawet dosłyszał te słowa. Oczy jego otwierały się szeroko, powieki mrugały.

— Aha! — zawołał nagle, — wiem już! pójdę! załatwię wszystko, a potém dobiegnę jeszcze w czas, żeby się z nią pożegnać...

Szepcąc to, skoczył ku stacyi. Ojciec mój chciał go powstrzymać. Daremnie.

— Nie mogę! — szeptał, — nie mogę! muszę tam być! a jakże-by inaczéj? Co komu do tego, że mnie... mnie dziecko porzuciło!... Dobiegnę potém jeszcze, dobiegnę!

I biegł ku stacyi.

— Zostań z nim! — szepnął mi ojciec.

Z koczyka wyskoczył młody, przystojny mężczyzna, którego znałem trochę; był to bowiem obywatel wiejski, o cztery mile od nas mieszkający, słynny na powiat cały hulaka i uwodziciel kobiet.

Żminda zdyszany cały wpadł na ganek, zgiął się przed przybyłym dziwnie nizkim, elastycznym ukłonem i prędko bardzo mówić zaczął:

— Niech pan pospiesza, panie łaskawy, na miłość Boga, niech pan pospiesza! *podorożną* pan ma? ile pan koni życzy sobie? Natychmiast będą! o *podorożną* proszę... *prohony*...

— Ależ, panie Żmindo! — przerwał ze zdziwieniem podróżny, — nie poznajesz mię pan chyba! Wszak jesteśmy dobrze znajomi, przejeżdżam tędy od dwóch miesięcy co tydzień prawie.

— Rzeczywiście, nie poznaję... nie poznaję... nie wiem, czy mam honor... — jednym tchem mówił wciąż Żminda, — ale proszę łaskawego pana... niech pan pośpiesza... moi ludnie zaraz gotowi będą... hej! Jan! Ambroży! Doliniecki! wyprowadzać konie! zaprzęgać na miłość Bozką prędko! prędko! Wszak ja tam dobiedz jeszcze muszę, nim ją ziemią zarzucą... Ambroży, cztery konie dla pana!... *podorożna* panie łaskawy! *prohony!* Widzi pan, tu u mnie wielki porządek zawsze i takiego pośpiechu niéma, ale dziś co innego! Dziecko mnie porzuciło... na szkarlatynę umarło,

muszę dobiedz... pożegnać się.

Mówiąc to wszystko jednym tchem, Żminda, zbiegał wciąż z ganku i wbiegał nań napowrót, rzucał spojrzenia na widniejący jeszcze z dala kondukt, wołał i rękoma machał na kilku pocztylionów, którzy, pozostawszy na stacyi, krzątali się po dziedzińcu. Po czole jego zbrużdżoném i drgającém ciekły duże krople potu, oczy, tak mętne zwykle i omdlałe, paliły się jak żużle. Kilku słowami uwiadomiłem podróżnego o wypadku zaszłym w domu Żmindy. Zaledwie zrozumiał, o co idzie, przybyły pochwycił za obie ręce gospodarza stacyi i usiłował przyprowadzić go do przytomności.

— Ależ — mówił, — mnie się wcale a wcale nie śpieszy. Miałem nawet zamiar zabawić na waszéj stacji nieco dłużéj. Wyjechałem z domu po śniadaniu i czekać mogę na konie, choćby do wieczora. Idź pan za pogrzebem córki, a ja siądę tu na ganku i czekać będę.

Żminda słuchał z razu nieprzytomnie, i w ogarniającém go wciąż uczuciu pośpiechu, rękę swą z dłoni gościa wyrwać usiłował. Po chwili jednak słowo jakieś trafiło snadź do splątanego w chaos jego umysłu.

— Pan dobrodziéj zaczeka! — zawołał z radością niemal, — to dobrze! oh! jak to dobrze! więc mogę już biédz! mogę już biédz! pan z pewnością zaczeka, nim wrócę!

— Zaczekam, zaczekam, choćby do późnéj nocy! — upewniał podróżny, ale Żminda już go nie słyszał. Z odkrytą głową, z rozstawionemi ramionami biegł już brzegiem drogi, w stronę jéj północną, kędy na tle szarego

wiecznie skłonu nieba widać było jeszcze powiewającą chorągiew.

W godzinę potém ludność dworu i osady pocztowéj wracała z pogrzebowego obchodu. Panią Emilią matka moja wiozła w swym powozie. Mała kobiétka ślicznie wyglądała w swych fantastycznie wkoło głowy owiniętych kirach; wydawała się wciąż zrozpaczoną, łamała ręce i szamotała się gwałtownie. Skoro jednak powóz zbliżył się ku stacyi, a wzrok jéj spotkał się z ładnym koczykiem, stojącym w pobliżu ganku, szkarłatny rumieniec opłynął bladą i zmiętą dnia tego jéj twarzyczkę, czarne jéj oczy błysnęły z za łez promieniem, jakby uczutéj niewymownéj ulgi. Ucałowała ręce mojéj matki, powoli, chwiejąc się, wysiadła z powozu, i z głową melancholijnie pod zwojami czarnéj krepy schyloną, podała drobną rękę stojącemu na ganku, wykwintnéj powierzchowności, podróżnemu. On pochylił się nieco, głęboko w twarz jéj spojrzał, kilka słów cichych wymówił, poczém zniknęli oboje w głębi mieszkania.

Ale Żminda nie wrócił wraz z innymi. Przy grobie córki zapomniał snadź o stacyi pocztowéj, o obowiązkach swych i o całym świecie. Dzień miał się ku końcowi, zachodzące słońce malowało już na skraju nieba owe ogniste zaniki z fijoletowemi basztami, w których tyle razy tkwiły błękitne, wpół-senne oczy, siedzących pod starą wierzbą, ojca i córki; — a Żmindy nie było jeszcze na stacyi. Późnym dopiéro wieczorem, gdy gwiazdy błyszczały już na niebie, osada cała zdawała się być uśpioną, i tylko czerwone iskry, strzelające rojem z komina kuźni, rozświecały ciemność,

zalegającą drogę, stanąłem w fórtce ogrodu i zobaczyłem ciemną jakąś, wysoką postać, wlokącą się bardzo powoli brzegiem drogi, pod ścianą z cicha szumiących klonów i topoli.

Postać ta, ze schyloną głową, minęła bielejący budynek pocztowy i weszła w głąb' ogródka. Ładny zaś koczyk podróżnego stał wciąż pod sztachetami, dom otaczającemi. W mieszkaniu Żmindów nie paliło się żadne światło, tylko jedno z okien było otwarte, a przy niém, szerokim krzewem jaśminu nawpół okryte, siedziały dwie osoby: mężczyzna i kobieta. Niekiedy, gdy pod silniejszym powiewem wiatru rozchylały się gałęzie krzewu, rozpoznać można było ładną głowę pani Emilii, z czarnych kirów oswobodzoną, ale osłoniętą za to gęstemi zwojami kruczych, długich włosów. Skroń opierała na dłoni, co postawie jéj nadawało wyraz smętny i zadumany, ale oczy jéj od chwili do chwili połyskiwały wśród cieniów namiętnym blaskiem. Siedzący naprzeciw niéj mężczyzna palił cygaro i pochylał się ku niéj, cicho bardzo szepcąc wyrazy próśb jakichś czy oświadczeń. Była jednak chwila, w któréj szept pary téj zmienił się w głośną prawie rozmowę.

— Tak prędko! — z wybuchem jakby przestrachu zawołała kobieta.

— Tak prędko, albo nigdy! — ze stanowczością człowieka, który czuje się panem położenia, odparł mężczyzna.

— Nigdy! to niepodobna! ja tu już teraz żyć nie mogę! — wydarł się z piersi kobiety krzyk prawie.

Mężczyzna uśmiechnął się tryumfująco, ujął ją za rękę, i

znowu o czémś szeptać jéj zaczął.

W téj saméj chwili, w głębi pocztowego ogródka, w miejscu tém, gdzie stała wierzba stara, a Żminda z córką w objęciu codziennie niegdyś w godzinach zachodu spoczywał, ozwało się wielkie, głębokie, samotne łkanie. Samotném ono było, bo odpowiedział mu tylko głuchy szum wiatru, wierzchołkami drzew przelatujący, i jęcząca w polu, kędyś pod borem dalekim, pastusza trąbka.

Od pogrzebu Salusi minęło zaledwie dwa tygodnie gdy pewnego ranka cała osada pocztowa zawrzała i zakipiała dziwną wieścią, iż nocy ubiegłéj Żmindowa zniknęła ze stacyi. Z razu po dworze i osadzie krążyły o wypadku tym domysły rozliczne i jedne od drugich fantastyczniejsze, wkrótce jednak sprawa wyjaśniać się poczęła. Jeden z mieszkańców osady przypomniał sobie, iż widział ją, wybiegającą w nocy z mieszkania, z tłomoczkiem w ręku; inny słyszał turkot powozu, który zatrzymał się z dala od stacyi, a w kwadrans potém oddalił się znowu w stronę, z któréj przybył; ktoś trzeci jeszcze spostrzegł przed kilku dniami pana Przyborskiego, jadącego konno ścieżką przez pole wiodącą, i panią Emilią, która zaszła mu drogę u skraju boru i długo z nim o czémś szeptała... Około południa zdecydowano jednogłośnie, że Żmindowa uciekła od męża.

— Zbałamucił ją i zawiózł do siebie pan Przyborski, — mówiono.

Dla przekonania się lepszego, jeden z młodszych pocztylionów wsiadł na konia i popędził do Przyborza o cztery mile odległego. Wrócił późnym wieczorem, ale całą

osadę znalazł czuwającą.

— Cóż? widziałeś ją? — pytała chórem zaciekawiona i oburzona gromada.

— A jakże! — odparł posłaniec, — zamówiłem się o coś do stangreta, którego znam, i dwie godziny przebyłem we dworze. Z początku myślałem, że nie dowiem się o niczém, bo ludzie gadać nie chcieli; ale potém, stojąc przed stajnią, zobaczyłem pana Przyborskiego, jak wyszedł na ganek domu, ją pod rękę prowadząc. Śmieli się oboje, aż rozlegało się po dziedzińcu, i poszli razem do ogrodu...

Żminda stał na ganku stacyi, w cieniu kraty, oplecionéj powojem, i niespostrzeżony przez nikogo, wysłuchał opowiadania młodego pocztyliona. Wnet potém cofnął się ku drzwiom od sieni i zniknął w głębi mieszkania.

Nazajutrz obaj z ojcem moim poszliśmy na stacyą. Znaleźliśmy Żmindę w ogrodzie, kopiącego ziemię około malinowych i agrestowych krzaków. Zauważyliśmy od piérwszego spojrzenia, że motyka, którą pogrążał w ziemię, zatapiała się w niéj niezwykle głęboko, tak głęboko, że aż podrywała korzenie krzewów, które kołysały się pod uderzeniami temi i groziły zupełném upadnięciem na ziemię. Ale pracujący w ten sposób człowiek nie zdawał się uważać, że robota jego szkodę, zamiast pożytku, przynosi. Spełniał ją machinalnie, i nie odrywając od ziemi nabrzękłych i zaczerwienionych swych oczu. Długo téż nie spostrzegł, że zbliżamy się do niego, a gdyśmy już tuż przy nim stanęli, spojrzał na nas, i ceglasty rumieniec wystąpił mu nagle na woskowo żółte policzki. Snadź wstydził się czegóś bardzo, bo nie mógł długo patrzéć na nas. Spuścił

oczy ku ziemi i, obie trzęsące się widocznie ręce swe na motyce wspierając, stał nieruchomy. Ojciec mój wyciągnął do niego rękę i wymówił kilka przyjaznych słów współczucia.

— Dziękuję panu za dobre słowo, — odparł Żminda powoli i cichym głosem, — cóż robić? — dodał wnet, — cóż robić? Ziemia okrągła jest i toczy się około słońca, a ludzie z nią... to na wierzchu to pod spodem...

Mówiąc, próbował uśmiechać się. Mętny wzrok jego pobiegł gdzieś w dal i tonął w przestrzeni.

— Najgorsza rzecz, — wyrzekł jeszcze po chwili, — że dziecko mnie porzuciło... na szkarlatynę umarła... i matka potém poszła w świat...

Zwrócił powoli twarz ku bielejącéj z za drzew stacyi pocztowéj.

— Dwanaście lat, — rzekł, — dwanaście lat temu do gniazda tego przywiozłem ptaszka... potem i drugiego Pan Bóg dał, i dobrze było... aż tu jeden ptaszek frunął do nieba... porzuciła mię córka... na szkarlatynę umarła... potém i drugi ptaszek poleciał... gniazdko tylko zostało... puste... chwała Bogu, że choć ono zostało...

Rzekłszy to, spróbował znowu uśmiechnąć się i, nagle pochyliwszy się, zaczął kopać ziemię z taką siłą i tak nieustannie, jakby wyobrażał sobie, że wszystkie smutki swe i zawody z piersi swéj zrzuci, i w czarném łonie ziemi, kędyś, głęboko, pod kolczate, agrestowe krzaki, zakopie.

Lato owe było ostatniém, które spędziłem w rodzicielskim domu. Nad pogodném dotąd życiem mojém przeciągnęły także chmury nieszczęścia. Utraciłem ojca, i piękna wioska moja rodzinna, wskutek nieprzyjaznych nam okoliczności, przeszła w ręce inne. Po kilku latach, ukończywszy nauki uniwersyteckie, zamieszkałem w mieście gubernialném, o kilka mil odległém od dawnego gniazda rodziny naszéj, i rozpocząłem tam zawód adwokata. W wirze zajęć i stosunków najrozmaitszych, który mię u początku zaraz męzkiego wieku pochwycił, nie miałem wcale czasu do cofania się myślą w przeszłość, choćby najmilszą, i do bawienia się wspomnieniami, choćby najdroższemi: To téż upływały miesiące i lata może, a jam w śnie nawet nie ujrzał ni razu rodzinnéj mojéj drogi pocztowéj, ani wdzięcznych obrazków jéj i zamieszkujących je, a tak dobrze mi niegdyś znanych, twarzy ludzkich. Kiedy, nakoniec, po upływie długiego czasu, interes jakiś, z zawodem mym związek mający, rzucił mię znowu na drogę tę, przedstawiała już ona wtedy widok wielce do dawnego nie podobny. Szeroki szlak jéj, równy zawsze i poważnemi zwroty w przestrzeń sunący, mniéj biały był, niż dawniéj, bo porosły gęstemi pasami trawy, któréj nie niszczyły już liczne przejeżdżające koła. Po obu stronach jéj wznosiły się zawsze dwie wysokie ściany drzew starych, ale z cichym szumem rozłożystych ich gałęzi nie łączyły się już teraz przenikliwe odgłosy dzwonków pocztowych, i wpół wesołemi, wpół melodyjnemi echami nie biegły na równe, szerokie pole. Z

rzadka tylko bardzo spotkać tu można było kilka fur jakichś, zbożem lub drzewem naładowanych, i ku miastu ciągnących; dwu-konną biédkę, ze skurczonym i trzęsącym się na niéj żydkiem-faktorem; ubogą bryczulkę jakiego okolicznego szlachetki.

Świeżo pobudowane koleje żelazne wsiąknęły w siebie ruch okolicy, a główna dawniéj arterya komunikacyjna kraju przestała już być nawet od miesięcy kilku drogą pocztową. To téż szeroki ten pas ziemi, trawą porosły, wysokiemi ścianami drzew od reszty świata oddzielony, cichy, milczący, bezludny, wydał mi się trupem drogi téj, która niegdyś, za czasów dzieciństwa mego, biegła w świat, tak wesoła, tłumna, turkocąca i rozdzwoniona.

Nie bez żywego wzruszenia ujrzałem nakoniec miejsce, w którém spłynęły dziecinne i pacholęce me lata. Powiedziałem woźnicy memu, aby stanął przed karczmą i, wysiadłszy z powozu, rozglądałem się dokoła. Osada pocztowa, tak ożywiona niegdyś, ludna i dostatnio wyglądająca, postarzała się, zubożała i umilkła. Niemniéj jednak, zaledwie ukazałem się śród drogi, otoczyła mię wnet gromadka dawnych znajomych. Twarze ludzi tych postarzały, postacie wielu z nich przygarbiły się, ale oczy i serca mieli snadź dobre, bo poznali mię szybko i powitali uprzejmie, z radością prawie. Ze stron wszystkich sypały się powinszowania, życzenia, utyskiwania i przypominania dawnych czasów; gdy ktoś z gromadki wyrzekł:

— Co za szkoda, że Żmindy już niéma! Jakby się on ucieszył, gdyby pana zobaczył!

Spojrzałem na budynek, zawierający dawniéj stacyą

pocztową. Krzątali się koło niego robotnicy jacyś z toporami, piłami i taczkami.

— A ot i pocztę rozbierają, — mówił stojący przy mnie Laurenty Snidko, — dziedzic przenieść ją kazał do dworu, bo mu się drugiéj oficyny zapotrzebowało a tu budynek stał pusty, odkąd kędyś tam koleje pobudowali, a tu skasowali pocztę...

— Cóż się stało ze Żmindą? — zapytałem.

— A cóż, spadł nieborak z etatu, miejsce stracił i w świat poszedł.

— Czy dawno?

— Ot dziś dopiéro, godzinę może temu, rzeczy swoje na przód na furze wyprawił, a sam pieszo poszedł...

Na oczach pani Jerzowéj, żony miejscowego rymarza, znacznemi jeszcze były ślady łez, z któremi żegnała starego sąsiada i przyjaciela.

— Czy wié pan dobrodziéj, — mówiła, — myśmy tu wszyscy jak bobry płakali, kiedy ten nieborak ztąd wychodził... Dwadzieścia lat z górą przesiedział na tém miejscu! taki kawał czasu, to nie żarty! i kamień-by w ziemię wrósł, a cóż dopiéro człowiek! Ludzie przez czas ten dzieci pochowali i wnuków się doczekali, a jemu biédakowi przyszło samemu jednemu tułać się na starość po cudzych kątach! A pracaż jego ciężka, czy to żart? co on się tu napracował około tego ogrodu, naprzykład! Niech pan dobrodziéj spojrzy tylko, co on z tego ogrodu zrobił!

Zbliżyłem się do płotu, otaczającego ogród dawniéj pocztowy, i w istocie, zdumiony zostałem pięknością i bogactwem roślinności, okrywającéj niewielki ten kawał

ziemi. Jakkolwiek jesień to już była, drzewa owocowe, zasadzone w regularnych odstępach, i z miłością, snadź przez lata długie pielęgnowane, roztaczały dokoła pysznie rozrosłe swe gałęzie, środkiem ogrodu biegł gęsty szpaler z porzeczkowych i malinowych krzewów, nadzwyczaj starannie okopanych, i giętkiemi, misternie z łoziny uplecionemi, prętami, od wiatrów i szkód wszelkich osłonionych, pod płotem zaś, na pulchnych, długich zagonach, okwitały olbrzymie malwy i pyszne georginie, a u stóp ich świeciły jeszcze różnobarwném kwieciem krzaczyste, pełne, w symetryczne jakby kosze układane, astry i balsaminy.

— Widzi pan dobrodziéj, — mówiła pani Jerzowa, — jakie on tu cuda powyrabiał! Od tego czasu szczególniéj, kiedy go córka odumarła, a żonka porzuciła, można powiedzieć, że nic mu na świecie miłém nie było, tylko ten ogród. Kopał się w nim po całych bożych dniach, siał, sadził, polewał, drzewa oskrobywał, to jakiemiś maściami smarował, a na kwiaty to, zdaje się, chuchał i dmuchał, tak mu one pięknie rosły i rozkwitały, piękniéj, dalibóg, i prędzéj niż w dworskim ogrodzie. To téż wié pan dobrodziéj, że w tym roku zebrali z ogrodu tego więcéj może, niż pięć beczek najpiękniejszych gruszek i jabłek, samych śliwek, węgierek, było pewno z beczkę, jeśli nie więcéj. Dziedzic dziwił się, że w tym małym ogródku Żmindy tyle prawie było fruktów, co w jego wielkim, dworskim ogrodzie. Chciał on Żmindzie za te frukta zapłacić. „To twoja praca, mówił, a kiedy miejsce straciłeś, to ci grosz potrzebny będzie“. Ale Żminda podziękował za

pieniądze. „Moja praca ale pański grunt“, powiedział, i tylko prosił, żeby mu dziedzic pozwolił mieszkać na stacyi dopóty, dopóki nie zaczną już jéj na oficynę dworską przerabiać. Dziedzic pozwolił; ale, ot, trzy dni temu zapowiedział, że pocztę rozbierać zaczną, a dziś już robotników przysłał. Żminda wczoraj spakował na wóz swoje graty i szmaty, a trzy godziny temu pożegnał się ze swoim ogrodem i ze wszystkimi ludźmi, co tu naokoło mieszkali i... poszedł.

— Dokąd-że poszedł? — zapytałem.

— Do Przyborza, co to, pamięta pan, cztery mile ztąd? Zgodził się na ogrodnika u pana Przyborskiego...

— U Przyborskiego! — zawołałem, — jak-to u tego samego, który mu kiedyś żonę wykradł!

Ludzie uśmiéchnęli się, westchnęli i głowami pokiwali.

— U tego samego, — odparła piérwsza pani Jerzowa. — Ot, powiem panu dobrodziejowi, że ten pan Przyborski, choć Żmindzie żonkę kiedyś zbałamucił, nie jest tak bardzo złym człowiekiem. Z nią to on prędko się rozstał. A jakże-by ona mogła siedzieć u niego, kiedy tam, do Przyborza, matka młodego-pana, owdowiawszy, i fortunę swoję, słyszę, straciwszy, na mieszkanie przyjechała. Mówią ludzie, że pan Przyborski moc piéniędzy téj kobiécie dał, i kazał jéj w świat ruszać. Pojechała podobno do Warszawy, i tak kędyś zginęła, że ani ucho ludzkie nigdy już o niéj nie słyszało. Pan Przyborski zaś uciekał przez te wszystkie lata od naszéj poczty, jak dyabeł od święconéj wody. Jeżeli, bywało, jedzie dokąd tędy, to przeleci koło stacyi jak piorun; u dziedzica naszego nawet nie bywał, dlatego może,

ażeby przypadkiem nie spotkać się ze Żmindą. Ale jak u nas pocztę skasowali i Żminda z etatu spadł, pogłoska wielka poszła o tém po okolicy, wszyscy żałowali bardzo biédaka, i pana Przyborskiego sumienie tknęło. Przyjechał i zaczął Żmindę za rękę ściskać. W piersi bił się: „Grzeszny jestem przed tobą, panie Żminda, ale już nie gniewaj się na mnie. Ta kobieta, żeby nie ze mną, z drugim-by to samo zrobiła. Młody byłem i w głowie świtało. Ot, bez miejsca teraz jesteś na stare lata. Jedź do mnie, do Przyborza, izbę, ci ciepłą dam i kawał chleba do śmierci". Żminda bronił się długo. „Niepięknie, mówił, niepięknie obywatelowi tak postępować!" Potém jednakowoż zgodził się pójść do Przyborza, ale, broń Boże, nie na chléb łaskawy. „Na ogrodnika mię pan weź, powiedział, w Przyborzu ogród wielki, a nikt koło niego nie chodzi tak, jak trzeba. Ja panu z niego cacko zrobię i darmo u pana jeść chleba nie będę". Ludzie troszkę mu to za złe mieli, że do Przyborskiego w służbę idzie, i szeptali mu, żeby tego nie robił. Ale Żminda temu i owemu odpowiedział: „Młody był, w głowie mu świtało. *Ona,* żeby chciała, toby do mnie dawno wróciła. Wiedziała przecież, żebym jéj nie odepchnął, bom do niéj pisał nie raz, ale dziesięć może. Kiedy nie wróciła, to widać nie chciała, i Bóg tam wié, co się z nią dzieje teraz... może wielką panią sobie gdzie jest, bo kobiétą ładną była, edukowaną i obywatelską córką... Ja zaś nie mogę całe życie gniewać się na człowieka... kiedy jeszcze przyjeżdża i przeprasza... Serce nie kamień! Pan Bóg niech jego sądzi! Zgrzeszył, to zgrzeszył, ale złym człowiekiem nie jest... Łaski jego zresztą nie potrzebuję żadnéj... będę mu

pracował i z ogrodu cacko zrobię... Dobrem za złe...“ I ot, poszedł w służbę...

— A mnie się zdaje, — zawołał Laurenty Snidka, — że pan Przyborski pieniądze u starego przewąchał, i dlatego tak go do siebie wabił... On teraz rzuca się, jak ryba w wodzie... zkąd zarwie grosza to dobrze, byle zarwał...

— A, pan Laurenty zawsze musi miéć złe jakieś podejrzenia! — sarknęła pani Jerzowa, trzymająca widocznie stronę Przyborskiego.

— A jejmość to się chyba w panu Przyborskim kochasz, tak go zawsze bronisz! — zażartował Snidko.

— A pan Laurenty, to mu chyba darować tego nie możesz, że ci Żmindowę, z którą romansować chciałeś, z przed nosa zdmuchnął!

— Wstydź się jejmość! starą kobiétą jesteś, a ujadasz się jeszcze za takiego świszczypałkę dlatego, że pięknym jest mężczyzną!

— A jużci, że piękniejszy od pana Laurentego, to piękniejszy!

— Powiedz mi, panie Snidka, — rzekłem, — czy Żminda naprawdę zebrał sobie jaki fundusik?

— A ma tam trochę grosza, panie dobrodzieju, niewiele... może jakich kilkaset rubli, co je sobie przez całe życie uciułał. Na utrzymanie siebie to nie starczy, ale w złéj godzinie zawsze jaki taki ratutunek byłby... Boję się tylko bardzo, żeby mu tych piéniędzy pan Przyborski nie świsnął tak samo, jak kiedyś żonkę...

W kilka minut po téj rozmowie pożegnałem gromadkę dawnych moich znajomych i puściłem się w dalszą drogę.

Dzień to był jesienny, chmurny. Pomiędzy niebem a ziemią błądziły powiewne obłoki mgieł szarych, a z za nich, jak z za gazowéj obsłony, przebijały się po obu stronach drogi jaskrawe barwy, któremi jesień przyoblokła drzewa. Tu brzoza wysmukła i nieruchoma stała niby słup złoty, owinięty szarym welonem, owdzie drżały w powietrzu blado-różowe listki osiczyny, tam dąb wysoki powiewał w górze wielkim pękiem gorąco żółtego listowia, gdzieindziéj krwawym szkarłatem błyskały grona jarzębin.

Ujechałem spory kawał drogi, daremnie rozglądając się dokoła, czy nie spostrzegę gdzie idącego Żmindy, gdy w miejscu pewném, wśród przerzedzonego zastępu drzew, zobaczyłem drogę boczną, nie szeroką, która, do pocztowego niegdyś gościńca, niby strumień do rzeki, przytykając, biegła już daléj po gładkiém, rozległém polu szlakiem nierównym i pustym. W oddali, szerokiemi budynkami i gajem smukłych topoli włoskich ciemniał dwór jakiś. Przypomniałem sobie dokładnie, że był to Przyborów. Ku dworowi temu, boczną, nierówną drogą, szedł człowiek jakiś. Wysoka, ciężka, barczysta jego postać uwydatniała się na tle szarém ciemniejszemi nieco zarysy, a po chwili, gdy, wytężywszy wzrok, przypatrzyłem się mu lepiéj, wątpić nie mogłem, iż samotny wędrowiec ten był Piotrem Żmindą. Znużonym, ciężkim krokiem, posuwał się on drogą nierówną i wyżłobioną, bardzo powoli; dokoła niego z szumem i poświstami hasały podmuchy wiatru, nad głową jego kłębiły się mgły wilgotne i szare, a na całym tym szerokim, cichym, zeschłemi badylami porosłym rozłogu nie widać było nic, prócz niego i staréj gruszy

polnéj, która kędyś, w oddali, trzęsła nad żółtą miedzą ciemnemi gałęźmi.

Parę lat znowu minęło, gdy dnia pewnego zjawił się w gabinecie moim izraelita jakiś, bardzo porządnie wyglądający i, przedstawiwszy się mnie jako kupiec z okolicy, zamieszkiwanéj niegdyś przez rodziców moich, przypomniawszy mi nawet, ze widywał mię niegdyś dzieckiem i dorastającym chłopakiem, zażądał ode mnie prawnéj porady.

— Interes jest niedobry, — mówił, siadając i wydobywając z kieszeni surduta spory pakiet papierów, — już, kiedy ja go mam z panem Przyborskim, — ciągnął, — to on musi być niedobry. Do tego czasu ja jednak myślałem sobie, że sam jemu dam radę, ale teraz to ja już widzę, że tu trzeba takiéj głowy, co prawo zna, i takiéj ręki, coby ostro koło niego pochodziła. Niech pan będzie łaskaw rozpatrzyć te papiery, a ja tymczasem opowiem, jak wszystko było.

W papierach, podanych mi przez żyda, znajdowały się kontrakty na zboże, jak téż mniéj lub więcéj formalne kartki i obligi.

— Zboża tego, co on mi sprzedał i pieniądze za nie z góry wziął, ja nigdy na oczy nie widział, — mówił żyd, — bo to taki jest pan, że jak on piéniędzy zapotrzebuje, to rzecz sprzedaną drugi raz komu innemu sprzeda, i pod sekretem z domu wywiezie, a piérwszego kupca z kwitkiem

puszcza. Jak pan przeczyta wszystkie te kontrakty, to pan zobaczy, jaki ja tam kapitał wsadziłem, te zaś kartki i obligi za procent są wydane...

Cyfry, wystawione w kilku dokumentach tych, przedstawiały razem sumę znaczną.

— Należności pańskie, — rzekłem, — nie wszystkie posiadają jednostajną wagę prawną. Część ich odbierzesz pan z pewnością, a część, w razie złéj woli lub bankructwa pana Przyborskiego, utracić możesz.

Żyd z żalem, ale spokojnie, potrząsł głową.

— Ja wiem, że mnie tam cóś z tego przepaść musi, — rzekł. — Na bankructwo tu czekać nie trzeba, ono już gotowe. Ale ja chcę odebrać to przynajmniéj, co można, i przyszedłem prosić, żeby mi pan dopomógł exekwować z Przyborowa moję należność.

Zaledwie izraelita słów tych domówił, do gabinetu mego wszedł, z zasmuconą i nieśmiałą trochę postawą, człowiek jakiś, z ubrania wyglądający na zagrodowego szlachcica.

— Panie dobrodzieju, — rzekł, kłaniając się, — z okolicy Żmindów pochodzę... sąsiadem rodziców pana byłem kiedyś... ratuj-że mię pan teraz... dopomóż wyrwać grosz, ciężko zapracowany, z rąk pana Przyborskiego. Oto jest oblig, co mi pięć lat temu wydał... procenta ani razu niezapłacone...

Niebawem przyleciało z pośpiechem, a trzęsieniem się wielkiém, kilku żydków z okolic Przyborowa. Jeden z nich był rzeźnikiem, drugi pachciarzem, trzeci miał w poblizkiém miasteczku sklep towarów korzennych, inny jeszcze przedstawił się mnie, jako szklarz miejscowy, a

inny, jako handlarz drzewem. Wszyscy oni mieli do Przyborskiego pretensye najróżniejsze. Jeden mu mięsa na kredyt dostarczał, inny od kilku lat szyby w oknach bez zapłaty wstawiał, ten samego cukru i wina dostarczył mu za rubli kilkaset, a ów drzewa ilość pewną skontraktował, i nigdy już ani drzewa tego, ani zapłaty, z góry za nie uiszczonéj, nie oglądał.

— Niech wielmożny pan nas ratuje! — wołał jednogłośnie ludek ten, ze strachu i niecierpliwości trzęsący się i pejsy różnobarwne targający; — niech WPan zlituje się nad nami i dobro nasze ratuje! My tylko zanadto grzeczni byli, dawali i czekali. Ale teraz zrobiło się gadanie wielkie o tém, że on bankrut! a kiedy wszyscy kredytorzy ruszyli się, dlaczego my mamy cicho siedzieć! My wielki strach mamy, żeby nasze nie zginęło, i przylecieliśmy tu do pana..

Było to istne oblężenie. Przez czas jakiś gabinet mój napełniał się codziennie ludźmi najróżnorodniéjszych stanów i wyglądań, którzy wszyscy przybywali do mnie z nazwiskiem Przyborskiego na ustach, z dokumentami różnych dat i wartości w ręku. Nie sami tylko byli tam mężczyźni. Przychodziły téż i kobiéty, żony drobnych posiadaczy ziemskich i wdowy po rzemieślnikach, ekonomowe, młynarki, mieszczki i wieśniaczki. Niektórym z wierzycieli tych obu płci Przyborski winien był sumy znaczne, ale byli i tacy, którzy na kartkach, ręką jego skreślonych, posiadali cyfry nadzwyczaj drobne. Widoczném było, że gdy szło o zaciąganie długów, możny niegdyś obywatel nie zwykł był gardzić nikim i niczém; im więcéj zaś rozpatrywałem się w téj, iście mozaikowéj,

rozmaitości cyfr i twarzy ludzkich, tém więcéj się zdumiewać musiałem nad olbrzymim talentem człowieka tego, który umiał wyszperać piéniądze tam, gdzie-by się ich nikt inny domyślać nawet nie mógł, a potém, z równą przenikliwości téj zręcznością, ściągnąć je, w zamian za świstek papieru, do swéj kieszeni.

Przy takim stanie rzeczy, sprzedaż majątku, obarczonego tylu długami, wydała się tak mnie, jak ludziom, którzy interesa w ręce moje składali, rzeczą niemal nieuniknioną. Że jednak z powodu pewnych okoliczności ogólnych, wystawienie na sprzedaż publiczną jakiegokolwiek kawałka ziemi było zadaniem wielce ciernistém i przed którego rozpoczęciem, długo zastanawiać się trzeba było; postanowiłem uczynić wszelkie możliwe kroki, ostateczności téj zapobiedz mogące, a mianowicie: rozmówić się osobiście z Przyborskim, przedstawić mu istotne położenie interesów jego i wybadać, czy w położeniu tém nie dało-by się jeszcze znaleźć jakichś mniéj srogich środków ratunku. W tym-to celu, naglony o pośpiech przez zatrwożonych i zniecierpliwionych wierzycieli, udałem się do Przyborza.

W dużym, pięknym bardzo niegdyś, murowanym domu, stanowiącym centrum obszernego dworu, powitała mię zrazu sama tylko pani Przyborska, matka dziedzica.

Znalazłem ją, siedzącą na obszernym i ocienionym ganku domu, z książką w ręce. Była to kobiéta około pięćdziesięcio-letnia, wysoka, szczupła, ze ściągłą, bladą twarzą, która musiała być kiedyś bardzo piękną. W postaci jéj i ruchach było wiele powag i wdzięku, spojrzenia miała

łagodne, a uśmiéch smutny nieco. Na lekko siwiejących włosach jéj spoczywała, malowniczo ułożona, leciuchna koronka; postać całą opływały zwoje czarnego jedwabiu. Powitała mię z poważną uprzejmością, a wskazując mi fotel, stojący w pobliżu kanapki, na któréj siedziała sama rzekła, iż syn jéj wyjechał w sąsiedztwo, ale wnet wróci, tymczasem zaś zechcę może przyjąć szklankę limoniady lub oranżady, bo upał jest tak duszący, że nawet na tym ocienionym ganku zaledwie oddychać można.

Mówiła to wszystko powoli, ze swym smętnym uśmiechom na cienkich, bladawych wargach, głosem pieszczonym i znużonym. Mówiąc, poruszyła srebrny dzwonek, przy niéj na stoliczku umieszczony. W drzwiach domu zjawił się wnet lokaj, bardzo wykwintnéj powierzchowności.

— Oranżady! — wymówiła lakonicznie pani domu, i zwróciła się znowu do mnie z pytaniem, czy mam jakiś, stale określony, cel w zwiedzaniu téj smutnéj, pustéj okolicy, czy téż podróż moja jest tylko *une partie de plaisir, un moyen de se distraire*, w czasie tych nieznośnych, duszących upałów, które na tym ocienionym ganku nawet zaledwie oddychać pozwalają.

— Młodzi ludzie — mówiła daléj, — młodzi ludzie lubili niekiedy takie podróże *à la recherche de l’inconnu*; szkoda tylko, że u końca wszelkich podróży tego życia znajdujemy zwykle to, co spotkało nas u ich początku: zawody, rozczarowania, smutną prozę życia.

W niemałym znalazłem się kłopocie. Jak tu, wobec tak majestatycznie a melancholijnie zarazem wyglądającéj, tak

delikatnéj i wzniośle nastrojonéj damy, rozpocząć trudną, nudną, poziomą rozmowę o interesach? A jednak była to matka człowieka, o którego losy, i więcéj niż o losy, bo o sumienie i honor chodziło, jedyna od lat wielu gospodyni jego domu, najbliższa, zapewne, powiernica trosk i błędów jego. Godziłoż się pozostawić ją w niewiadomości gróźb, zwieszonych nad czcią i dolą jéj syna? Możnaż było nie zapytać jéj o środki ratunku, nie zawezwać rady jéj i sądu? Zebrałem się na odwagę, i w sposób bardzo oględny mówić zacząłem, iż celem przybycia mego do Przyborza była chęć pomówienia z panem Przyborskim o interesach, bardzo dla niego ważnych, a nawet... groźnych, że skoro jednak nie znalazłem go w domu, rad jestem, iż mogę naprzód przedstawić szanownéj matce jego stan rzeczy, który...

Nie dokończyłem. Pani Przyborska podniosła na twarz moję łagodne, przymglone spojrzenie pięknych jeszcze swych oczu, i powolnym ruchem podnosząc białą dłoń, z nad książki, spoczywającéj na jéj kolanach, miękkim głosem wyrzekła:

— Jestem kobiétą! o interesach najmniejszego nie mam wyobrażenia, wolę więc prosić pana, abyś był łaskaw zaczekać z tém na syna mego, który lada chwila zapewne nadjedzie.

— Przykro mi bardzo, — odrzekłem, — że zmuszony jestem odgrywać wobec państwa rolę przynosiciela złych wieści. Konieczność jednak zmusza mię wyznać, że w majątkowém położeniu swém jesteście państwo niebezpiecznie zagrożeni, a w podobnych okolicznościach sądziłem, iż powaga i głos matki, która nie przestaje nigdy

być najbliższą przyjaciołką i opiekunką syna swego, mogłyby...

I znowu nie dokończyłem. Pani Przyborska łagodniéj jeszcze, niż wprzódy, spojrzała na mnie i rzekła:

— Jestem wdową! potrzebuję sama opieki męzkiej, i kilka lat temu właśnie, przez zbieg okoliczności, utraciwszy osobisty mój majątek, przybyłam tu, aby schronić się pod skrzydło mego syna. On więc tylko jeden rozstrzygać może o wszystkich tych kwestyach, które leżéć muszą zupełnie po-za obrębem sił i pojęć kobiéty... wdowy...

Milczała chwilę, potém znowu uskarżać się zaczęła na upał duszący, który, na tym nawet ocienionym ganku i t. d.

— Jakże szczęśliwi są, — rzekła, uśmiechając się lekko, — mieszkańcy Jowisza!

Zdumiony tém nagłém wtargnięciem w rozmowę poważnego wielce imienia starożytnego bożka i niebieskiego planety, milczałem.

— Tam wieczna panuje wiosna, — zauważyła z westchnieniem pani Przyborska.

Nie miałem nic do zarzucenia téj astronomicznéj hypotezie; milczałem więc znowu. Po chwili zadumy pani Przyborska zapytała mię, czy słyszałem, lub czytałem cokolwiek o wierze i nauce spirytystów. Z pokorą wyznałem, iż wiadomości moje o tym przedmiocie są wielce ograniczone. Wstrząsnęła głową z żalem i wskazała książkę, którą trzymała na kolanach. Ujrzałem wtedy, iż było to dzieło, noszące tytuł: *Księga duchów (le livre des esprits).*

— Ludzkość cała powinna-by książkę tę umiéć na

pamięć, — mówiła zwolna kobiéta, i zwracając na mnie wzrok dziwnie tym razem rozgrzany i wyrazisty, mówiła daléj:

— Wielka, wielka szkoda, że świat dzisiejszy, goniąc za materyalném użyciem i zyskiem, spuszcza z oczu te punkta wysokie i świetliste, z których płyną najwznioślejsze pociechy i nadzieje życia. Gdybyś pan był wtajemniczony w tę wielką naukę, (tu wskazała znowu księgę duchów), przyznał-byś pan niezawodnie, że ktokolwiek marzenia swe i nadzieje umieści tak wysoko, mało dbać musi o to, co go w téj ziemskiéj wędrówce spotkać może. Duchy... gwiazdy... podróż duchów po gwiazdach!... tak, podróż, bo, nie wiedząc o tém, przenosimy się wciąż z planety na planetę; tu tracąc doczesną swą formę, tam ją odzyskując... i tak... coraz wyżéj... coraz wyżéj...

Mówiąc to, podnosiła téż wzrok swój coraz wyżéj... coraz wyżéj... nie mogła przecież podnieść go zbyt wysoko, bo pomiędzy nim a niebieskiemi lazury rozpościerał się dach ganku, w ładne rzeźby ustrojony, ale brudny i mocno nadrujnowany. Spotkawszy się z tą prozaiczną i pyłem ziemskim aż nadto skalaną przeszkodą, majestatyczna a melancholijna niewiasta opuściła znowu spojrzenie swe na ten padół ziemski i, chcąc nie chcąc, zatrzymać je musiała na poziomej, za materyalnym zyskiem i użyciem stojącéj, człowieczéj méj postaci. Że zaś postać ta, niemająca żadnych bliższych stosunków ze spirytualizmem i gwiazdami, pozostawała wciąż milczącą, poruszyła z lekka batystową chusteczką, zdobną w hafty i koronki, i cichym głosem poskarżyła się znowu na upał duszący, od którego

ten cienisty ganek nawet osłonić dostatecznie nie może.

Wkrótce przecież ozwał się na dziedzińcu turkot kół; poprzez sztachety ogrodowe bardzo przezroczyste, bo w połowie na ziemi leżące, zobaczyłem pędzący od bramy zgrabny kabryolet, w parę wielkich i cennych, acz mocno chudych, koni zaprzężony, a powożony przez wytwornie ubranego mężczyznę, w którym poznałem od razu pana domu.

Szybkim krokiem Waleryan Przyborski wbiegł na ganek, powitał matkę lekkiém, zbyt lekkiém skinieniem głowy, mnie zaś podał do uścisku obie ręce.

— Poznałem pana od razu, — zawołał, — choć to dobre lat kilka ubiegło, odkąd widzieliśmy się po raz ostatni... pamiętasz pan... wtedy... u naszego poczciwego kuchmistrza nad kuchmistrzami, Szarla!... Piekielnie dobrze ten Szarl gotuje! pamiętasz pan, jakie nam dał kotlety z jarząbków i *Champagne frappé*... ale prawda, przypominam sobie, żeś pan wtedy do kompanii naszéj należéć nie chciał! *Vous avez fait le prude!* hulaliśmy téż... co się nazywa!

— Waleryanie! — upomniała z cicha niewiasta w jedwabiach, i ukoronkowaną chustką swą twarz sobie z lekka przysłoniła.

— *Eh bien*, mamo! — zwrócił się ku niéj syn. — Cóż złego powiedziałem? Kobiéta przecież, w wieku mamy będąca, nie może nie wiedzieć o tém, że są na świecie tacy młodzi ludzie, którzy, jak się zbiorą do kupy, to poszumieć trochę lubią! A kobiéty to niby święte? Ot tyle tylko, że nie wolno im wszystkiego, jak nam, to i cóż robić? muszą udawać skromnisie! Ale zato co myślą!... gdyby tak w te

myśli zajrzéć! ho! ho! Szumi tam lepiéj, niż w kieliszku szampana, a jak już przeszumi, to wtedy zaczynają się duchy... gwiazdy... łzy... etc!...

Mówiąc to, śmiał się głośno i nieco rubasznie, ale nie wiem, dlaczego wydało mi się, że śmiech ten nie był zupełnie szczerym i wesołym. Dźwięczało w nim coś gorzkiego, coś nawet jadowitego. Pani Przyborska powstała zwolna z kanapki i, szeleszcząc ogromnym trenem jedwabnéj swéj sukni, majestatycznie przesunęła się przez ganek i znikła w głębi domu. Patrzałem na nią, gdy odchodziła, i nie mogłem nie przyznać, iż kibić jéj wysoka, delikatna, koronkami opłynięta, wyglądała bardzo poważnie i wspaniale. Rzekł-byś, iż był to typ nieskazitelnéj jak kryształ, słodkiéj jak anioł, wykwintnéj, jak najsubtelniejszy kwiat arystokracyi — matrony.

Powierzchowność Waleryana Przyborskiego wcale inne nosiła cechy. Młodym był jeszcze, nie miał bowiem więcéj nad lat trzydzieści parę, ale włosy jego, niegdyś tak gęste, mocno już były przerzedzone nad czołem, zrysowaném parą poprzecznych, dość głębokich zmarszczek. Regularny owal twarzy jego zepsutym był nieco wzdymającą go lekko otyłością, taż sama otyłość zaczynała już widocznie zaokrąglać, tak smukłe niegdyś i doskonałe, kształty jego postaci. Z tém wszystkiém był to jeszcze piękny mężczyzna. Wielkie, piwne, długą rzęsą przymglone, oczy jego, prawdziwe oczy zdobywcy serc kobiecych, miały jeszcze wiele blasku, który wszakże rzucał mu na twarz całą wyraz obojętnego cynizmu i zjadliwego szyderstwa raczéj, niż świeżości sił ciała i ducha. W ogólności, syn ten

matki-spirytystki, rozkochanéj w gwiazdach i duchach, marzącéj o wiecznéj wiośnie, panującéj na Jowiszu, wyglądał mocno na krańcowego materyalistę, z zagubionym do szczętu prawie pierwiastkiem duchowym.

Po odejściu matki, usiadł naprzeciw mnie w postawie kawalersko-niedbałéj, a podając mi roztwartą cygarnicę, zapytał:

— Jakież szczęśliwe losy sprowadziły pana w strony nasze?

Przystąpiłem od razu do spraw, będących celem przybycia mego tutaj. Wyjąłem z pugilaresu arkusz papieru, na którym spisałem był nazwiska wierzycieli wraz z cyframi, przedstawiającemu summę ich należności, i spis ten podałem Przyborskiemu, oświadczając, iż otrzymawszy od ludzi tych pełnomocnictwo prawne, czuję się w sumieniu mém obowiązanym do udzielenia im porady i pomocy, że jednak, przyjąwszy za zasadę unikać, o ile możności, wszelkich wystawiań na publiczną sprzedaż majątków ziemskich, przybyłem tu, dla rozmówienia się osobistego z właścicielem Przyborza, i dla naradzenia się z nim, czyby téż nie dało się obmyślić łagodniejszych środków jakichś i kombinacyi...

Słuchał mię, przebiegając oczyma podany mu przeze mnie spis nazwisk i cyfr. Zmarszczka, rysująca czoło jego, pogłębiła się nieco, ale postawy swéj niedbałéj nie zmienił wcale, a z ust nie zniknął mu, cechujący je wciąż, dwuznaczny uśmiéch.

— Ha! ha! — zawołał, — zebrali się tedy wszyscy razem i kupą do adwokata i do sądów! No, no! nie mam nic

przeciw temu! niech się prawują!

— Jakto? — zapytałem, — przewidujesz więc pan, i gotów jesteś prowadzić z ludźmi tymi procesa? czy nie uznajesz pan słuszności ich żądań?

— Ależ owszem, owszem! przyznaję, najzupełniéj przyznaję wszystko, — odparł żywo i śmiejąc się. — Ale, widzi pan, tu nie dość przyznania, trzeba jeszcze i zapłacenia, a ja nie mam czém płacić...

— Może-by pożyczka w banku...

— Phi, — gwizdnął lekko, — Przyborów zastawiony w banku za czasów jeszcze króla *Ćwieczka*... i procenta się tam należą...

— Warto-by więc może pomyśléć o jakiéj korzystnéj dzierżawie...

— Nie warto. Majątek wyciśnięty jak cytryna. Grunt, panie, od dziesięciu może wiosen nawozu nie widział, łąki cudownie porosły wierzbiną i łoziną.. gdybyś pan widział, tobyś się zdumiał i zachwycał.. takie tam piękne potworzyły się altany i klomby, jakby w ogrodzie angielskiego stylu... inwentarza nie mam... ani wołu, ani owcy, ani osła... konie tylko są, ale i te zeszkapiały... I cóż mi za to wszystko dać może posesor? Tyle chyba, ile rocznie potrzeba na cygara dla mnie, a na konfitury i oranżady dla mojéj matki!

— Chciéj pan jednak zważyć, — rzekłem, — iż nie idzie tu o cygara i oranżady, ale o byt ludzi, z których nie jeden całe mienie swe honorowi pańskiemu powierzył.

Powstał żywo i przeszedł się parę razy po obszernym ganku, z głuchą jakąś niecierpliwością gryząc w białych

zębach koniec cygara.

— A no! — rzekł, stając nagle przędą mną, — niech biorą majątek i podzielą się nim, jak sami zechcą...

— Jeżeli majątek znajduje się w stanie takim, o jakim pan mi mówiłeś, — wtrąciłem, — wartość jego nie sprosta sumie długów.

— A! — zawołał, wzruszając ramionami, — co to, to już do mnie nie należy. Oddam, co mam... nikt nie może dać więcéj nad to, co ma...

Mówiąc ostatnie wyrazy, pochwycił dzwonek, stojący na stole, i wstrząsnął nim silnie.

— Obiad podawać! prędzéj! — zawołał do zjawiającego się we drzwiach lokaja, — piekielnie głodny jestem, — kończył, zwracając się do mnie, — byłem dziś u Szumskich; pamiętasz pan Szumskich, tych, co to dwie córki mieli... hoże panny, jak sarny... Romansowałem kiedyś z obydwiema... jedna była gęś nad gęśmi, druga kokietka nad kokietkami. Ale one wszystkie takie, te kobiéty! Albo gęsi, albo kokietki! Za młodu to konfitury smażą albo balują, i co wąs, to ofiara! Na starość dopiéro zaczynają się romanse z panem Bogiem, albo wojaże po gwiazdach! Wiész pan co? jedni tylko Turcy w Europie rozumnym są narodem! Zamykają swoje baby w haremach! one bo na to tylko i potrzebne na świecie, więcéj na nic. Posażne panny... no... to jeszcze gatunek przydatny do celów utylitarnych... Ale inne... do haremu!

Stanął we drzwiach domu, i zawołał znowu donośnie:

— Obiad! prędzéj!... Jadłem to ja u Szumskich śniadanie, ale tam u nich kuchnia psia, nie ludzka! Zrazy

jakieś były twarde, jak podeszew, i kasza do nich ze szwedami! Brrr! Czy lubisz pan zrazy *à la Nelson*... tak, jak to je ten wasz Szarl nieoceniony urządza?...

Mówił to wszystko prędko, nie czekając odpowiedzi moich, żywo ruszając się po ganku i mowę przerywając sobie od chwili do chwili śmiechem. W cynicznéj nieco mowie téj, w towarzyszącym jéj śmiechu, trochę rubasznym, a trochę zjadliwym, w ustawicznéj téj, z pozoru tylko niedbałéj i wesołéj ruchliwości, tkwił przykry a widoczny przymus, było coś głęboko a tajemnie rozjątrzonego i niespokojnego.

— No! — zawołał po chwili, — nie dają obiadu! Kochany mój Marcin postanowił snadź dziś zagłodzić mnie i pana! A może to moja matka nie skończyła jeszcze czytać rozdziału o duchach, albo upinać koronki na głowie! U kobiet bo to tak zawsze! toaleta albo sentymenta, a że tam ktoś głodny albo zły mniejsza o to! Cóż robić? zrezygnujmy się i chodźmy tymczasem do ogrodu!

Milcząc, przypatrywałem się szczególnemu temu okazowi człowieka i bankruta. Zstąpiliśmy z wysokich, a kołyszących się pod stopami naszemi, wschodów ganku, i znaleźliśmy się na osłonecznionéj przestrzeni, łączącéj dom z długą, cienistą, środkową aleą ogrodu.

— Czytam na twarzy pana zdziwienie, — mówił gospodarz domu, idąc obok mnie i patrząc mi w twarz swemi przenikliwemi, zimno połyskującemi oczyma, — sądziłeś pan zapewne, że perspektywa doszczętnéj utraty majątku przestraszy mię, i bladość na lica, a łzy mi do oczu sprowadzi. Widzisz mię pan tymczasem wesołym i

niedbającym o nic. Nie sądź pan przeto, abym pogardzał nędzną mamoną. Przeciwnie, uważam ją może za jedną na świecie rzecz, szacunku godną. Tylko, widzi pan, kto żyje, jak ja żyłem, przygotowanym być musi na wszystkie przypadłości losu. Od kilku lat czuję się w Przyborzu gościem tylko, i miałem już dość czasu, aby pożegnać się w duchu z tém „rozkoszném ustroniem wiejskiém”, jak je nazywa moja matka!

Milczał chwilę, potém mówił daléj:

— Zresztą, licha warto takie życie, jak to, które tu od kilku lat już prowadzę. Nudy i kłopoty, a czasem... nie uwierzysz pan może temu... ale czasem i głód nawet bywał! Ja mam już taką naturę, że byle czego nie zjem. Zdarzają się tedy wypadki, że jak na kredyt polędwicy nie dostanę, to matka na obiad konfitury jé, a ja cygaro palę... A ujadaj się wciąż z kredytorami, proś, albo kłóć się o to, żeby czekali, a wytrapiaj po okolicy nową coraz zwierzynę z pieniędzmi; po wytropieniu umizgaj się do niéj, żeby przed tobą wnętrzności swego brudnego worka wytrzęsła... Ph! dyable życie! lepiéj, że się to już wszystko raz skończy!

Pod chłodnym cieniem lipowych gałęzi znalazłszy się, zdjął kapelusz o szerokich brzegach, który włożył był na głowę, zstępując z ganku. Odsłonione tym sposobem czoło jego ukazało mi się dziwnie zmienioném. Jak wśród zmiętéj w dłoni karty papieru, rysowało się teraz na niém zmarszczek mnóztwo, mniejszych i większych, w różne strony pokrzyżowanych. W zmarszczkach tych wyczytać można było długie, długie szeregi trosk i wstrętów, następujących po chwilach szałów i upojeń, poziomych

zabiegów i niższych jeszcze wyrzeczeń się, wewnętrznych targań się i burz jałowych, lecz dolegliwych. Przykry to był widok, tém przykrzejszy, iż z kształtnych warg młodego człowieka, ocienionych ciemnym, wykwintnie ułożonym wąsikiem, nie znikł ani na chwilę właściwy im uśmiech, pusty nieco, więcéj jeszcze szyderski i wyzywający. Z uśmiechem tym na ustach, a czołem zbrużdżoném, jak mętna i niespokojna fala, szedł on, chwilę, milcząc i ładną laseczką obijając liście z gałęzi lipowych, giestem niedbałym, prawie swawolnym... Potém zaczął znowu:

— Tak to idzie sobie to życie! Ja się tam znowu na swoje skarżyć nie mogę. Co użyło się, to użyło; co wypiło, to wypiło, i co nakochało, to nakochało. *Wein, Weib und Gesang*, trzy kapitalne na świecie rzeczy! Powiedział to nawet wcale ładnym wierszem wielki Szyller... Ziemia okrągła jest i toczy się około słońca, a ludzie z nią, to na wiérzchu, to pod spodem, mówi poczciwy Żminda...

— Żminda! — zawołałem, — czy wiész pan, gdzie on się teraz znajduje? Słyszałem kiedyś, te zamieszkał u pana...

— No, to go pan masz we własnéj osobie, — zaśmiał się mój towarzysz, i ręką wskazał mi człowieka, który, stojąc w cieniu owocowego drzewa, nadzwyczaj starannie i z wielkim trudem, szeroko wyrosłe i w dół opadające gałęzie grubemi i ciężkiemi drągami podpierał. Od piérwszego rzutu oka poznałem dawnego znajomego i zbliżyłem się do niego szybko.

— Jak się pan masz, panie Żmindo! — rzekłem, podając mu rękę.

Podniósł głowę i wpatrzył się we mnie oczyma, które bardziéj jeszcze mgliste i nieruchome były, niż dawniéj.

— Przepraszam, — wymówił z cicha, uchylając czapki, — nie wiem, czy mam honor...

Powiedziałem mu nazwisko moje. Twarz jego, blada i nabrzękła, ujęta w ramę wązkiego, mocno siwiejącego zarostu, rozjaśniła się radością.

— Pan Gucio! — zawołał, — przepraszam! pan August Rolicki!

Rękę swą dużą, grubą, zczerniałą od skwarów i pracy, a trzęsącą się mocno, położył na mojéj dłoni, i dość długo patrzał mi w twarz, z widoczném wysileniem wzroku i pamięci.

— Pamiętam... — zawołał, — pamiętam teraz doskonale... pan dobrodziéj podobny bardzo do nieboszczyka ojca swego, świéć panie nad jego duszą. Zacny to był obywatel i popularny. Ot, i nie poznałem pana... wzrok mi trochę tępieje... choć dobrze jeszcze widzę... dobrze...

Patrząc wciąż na mnie, a obu dłońmi przytrzymując drąg, którym gałąź podpierał, rzekł po chwili:

— A pamięta pan dobrodziéj naszę drogą pocztę?

Szeroki uśmiech roztworzył wargi jego grube a blade, lecz wnet zniknął. Nieruchome i mgliste oczy jego zamigotały, zaledwie widzialnie trzęsąca się głowa zatrzęsła się silnie i nerwowo.

— Skasowali, — ciągnął, — pan dobrodziéj wié o tém, że skasowali. Nową drogę... kolej gdzieś tam zbudowali... poczta już im była niepotrzebna... I ja niepotrzebny byłem...

z etatu spadłem... stacyą dziedzic na oficynę przerobił... cóż było robić? poszedłem w świat! do pana Przyborskiego na służbę...

— Jesteś pan, jak widzę, ogrodnikiem? — wtrąciłem. — Zawsze lubiłeś pan drzewa i kwiaty, i uprawiać je umiałeś.

Twarz Żmindy, która przed chwilą powlokła się była wyrazem nieruchomego, stoickiego jakby smutku i znękania, rozjaśniła się znowu.

— Co to, to już mogę przyznać sobie, — rzekł, prostając się, jak niegdyś, z oznaką pewnéj, silnie uczuwanéj, godności własnéj, — na ogrodzie znam się, i chleba darmo nie jem... Ot, może panowie będą łaskawi zobaczą moję robotę... dwa lata tu jestem dopiéro, a mogę powiedziéć, że coś już zrobiłem... Niech panowie będą łaskawi pójdą ze mną i zobaczą, co zrobiłem...

— Dziwny stary — szepnął mi Przyborski — pójdźmy do domu, bo jeść chce się piekielnie!

— Przepraszam pana — odparłem również cicho — Żminda jest moim bardzo dawnym znajomym i nie mogę odmówić mu tego, co, jak się zdaje, sprawi mu wielką przyjemność.

— Służę, służę panu! — wyrzekł grzecznie pan domu, ale niedbały i szyderski uśmieszek, ustom jego właściwy, wyraźniejszym stał się, niż zwykle.

Żminda szedł przed nami, szerokim swym i ciężkim, cięższym jeszcze, niż dawniéj, krokiem. Gdy wyszedł z cieniu drzew, spostrzegłem, iż miał na sobie mundur urzędnika pocztowego, stary już bardzo, wynoszony, poplamiony, ale z guzami bardzo starannie snadź

czyszczonemi i złocisto na słońcu błyszczącemi. U czapki jego wklęsłéj i zszarzałéj połyskiwała téż słabo srebrna gwiazdka urzędnicza.

— Wyobraź pan sobie — śmiejąc się zcicha, rzekł do mnie Przyborski — że starego tego nie widziałem w ubraniu inném, jak w tym mundurze. Ma on ich dwa. Jeden na codzień, drugi od święta, i nie wkłada na siebie nic innego, ani w zimie, ani w lecie. Sądzę, iż ubranie to musi mu przypominać czasy zgasłéj świetności. Tak mija chwała świata tego — dodał patetycznie.

Żminda zatrzymał się pośrodku wązkiéj alejki, starannie wygracowanéj i z obu stron osadzonéj pysznemi w istocie krzakami malin i porzeczek.

— O! — szerokim giestem wskazując uliczkę i krzewy, rzekł — ot to moja piérwsza robota. Kiedy przyszedłem tu, w alei trawa rosła po kolana wysoka, a maliny i porzeczki zdziczały... a teraz, panie dobrodzieju, czysto, pięknie, wygracowane, okopane i z tych ot krzaków zdjęto w tym roku więcéj niż dwadzieścia garncy malin i z dziesięć wielkich koszy porzeczek. Maliny wielkie jakby wiśnie, a porzeczki choć na królewski stół podawać. O!

Poszedł daléj i przyprowadził nas do gęstwiny młodziutkich drzewek, systematycznie na zagonach pozasadzanych, doskonale w istocie kształtnych i gładkich.

— To moja szkółka — zaczął — zasadziłem ją zaraz z piérwszéj wiosny, jak tylko się tu dostałem. W ogrodzie, panie dobrodzieju, drzewa stare... rychło rodzić przestaną... młodych natomiast trzeba będzie... a tu grunt nieużyteczny leżał... cielęta ekonomskie na nim się pasły... więc ja sobie,

od cieląt tym oto płotkiem odgrodziwszy się, marsz w sąsiedztwo... tu i ówdzie... szczepek od ludzi uzbierałem, tu je przydźwigałem i zasadziłem... gatunki różne będą...

Mówił to wszystko powoli, z widoczniejszą jeszcze niż dawniéj trudnością znajdując i dobierając wyrazy, ale chodził pomiędzy drzewkami prędko, coraz prędzéj, a przy każdém z nich niemal zatrzymując się, wskazywał nam je palcem, nazwisko jego i gatunek wymieniając.

— A teraz panowie będą łaskawi na kwiaty może spojrzą. Kwiaty, to piękna także rzecz. Zjeść ani sprzedać ich nie można, ale patrzéć na nie miło...

Pochylony ku ziemi, przechodził od krzaku do krzaku i, pokazując nam z kolei najpiękniejsze okazy kwiatów swoich, trzęsącemi się dłońmi rozgarniał troskliwie zielony gęszcz, tu i ówdzie wyrywał zabłąkaną jakąś niepotrzebną trawę.

Obszedłszy dokoła kilka wielkich klombów, wyprostował się nakoniec. Gorący blask słońca padał mu prosto na twarz i uwydatniał mnóstwo zmarszczek, krzyżujących się na żółtawéj, nabrzmiałéj jego twarzy, wkoło warg grubych i bladych. Szybkie chodzenie i długie nachylanie się pod słonecznym skwarom zmęczyło go snadź bardzo, bo kroplisty pot spływał mu po ciemném ogorzałém czole, głowa jego trzęsła się widoczniéj niż wprzódy, a powieki, mrużąc się przed słońcem, przykrywały błękitne źrenice, na-pół senne, na-pół zadowoleniem jaśniejące.

— Bóg łaskaw — wymówił powoli, obie ręce wspierając na chropowatym kołku jakimś, z ziemi podjętym; — Bóg

łaskaw — powtórzył. — Odebrano mi pracę jednę, dostałem inną. Wypędzono mię z gniazda mego, w którém dwadzieścia pięć lat przebyłem... znalazłem sobie przytulisko inne.

Wskazał ręką na małą bardzo, szarą budowlą jakąś, dającą się widziéć śród zieleni i ciągnął daléj:

— Ot widzi pan dobrodziéj, to mój domek ogrodniczy. Jedna izdebka i jedno okienko. Ale dosyć tego dla mnie, dosyć. Da Bóg, że już tu i życie moje skończę...

— Nie potrzebnie tylko zamęczasz się tak pracą, panie Żminda — niedbale wymówił Przyborski. — Wszak ja nie wymagam...

Żminda wyprostował się znowu, we właściwy sobie, pełen godności, sposób.

— Obowiązkiem moim — rzekł z powagą — obowiązkiem moim, panie dobrodzieju, jest pracować z całéj siły dla pańskiego dobra! A jakże? Gdybym nie pracował na chleb pański, kradł-bym.

— Bieda tylko — dodał, spoglądając na ręce swe, o kij sękaty wsparte, bieda tylko, że mi się jakoś ręce trochę trząść zaczynają... To ten mak, com się go za dziecinnych lat moich tyle napił i najadł... ten mak niezawodnie robi mi to trzęsienie się rąk i ten szum w uszach... Ale to nic... pracować jeszcze mogę... o! mogę! i dużo tu jeszcze do zrobienia jest w ogrodzie pańskim... Za jakich lat trzy albo pięć, zobaczą dopiéro panowie dobrodzieje, jak ja to pięknie wyhoduję i wycackam...

Mówiąc tak, potoczył wzrokiem dokoła, po drożkach i alejach, po klombach kwiatowych i drzewach owocowych i

powtórzył znowu:

— Bóg łaskaw pozwoli może, iż tu już przynajmniéj życia mego dokończę!

W téj chwili u końca alei ukazał się idący ku nam śpiesznie lokaj z serwetą w ręku.

— *E viva!* - zawołał Przyborski. — Obiad nam oznajmują! Śpieszmy!

Skinął głową ku Żmindzie na znak pożegnania; ja uścisnąłem mu obie ręce, które, drżące i skwarem a pracą rozpalone, silnie jednak objęły na chwilę me dłonie.

— Dobre to były czasy! — szepnął raz jeszcze, wlepiając we mnie migocące swe źrenice — dobre dawne czasy! — powtórzył. — Pamiętasz pan, jakem państwu trzy razy na tydzień regularnie listy i gazety przynosił? Dawne czasy!

Śpiesznym krokiem ku domowi i obiadowi zmierzając, Przyborski rzekł do mnie:

— Wiész pan zapewne o tém, że miałem na sumieniu grzeszki jakieś, przeciw staremu temu kiedyś popełnione. Prawdę mówiąc, nic to tam nie było wielkiego. Żonkę miał młodą, ładną i wietrznicę, jakich mało. Wpadła mi w oko i jakoś tak niechcący pożyczyłem ją sobie u niego. Myślałem, że po niejakim czasie skarb ten zwrócę mu z dodatkiem czegoś brzęczącego. Ale pokazało się, że skarb wracać nie chciał do swego prawego właściciela. Szalała za mną kobiecina i desperowała, jakem ją w świat wyprawiał. No, ale cóżem miał innego zrobić z tym fantem? Kiedy jednak Żminda miejsce stracił i przytułku nigdzie nie miał, pożałowałem go, przeprosiłem i do siebie zabrałem.

— Czy Żminda nie lokował wypadkiem u pana kapitaliku swego? — zapytałem.

Uśmiechające się wciąż, usta jego drgnęły lekko pod wpływem przykrego jakiegoś uczucia. Niedbale jednak ramionami wzruszywszy, odpowiedział:

— Jaki tam kapitalik! Przez całe życie swoje uciułał stary nędzne pięćset rubli. Wartoż to było pracować i oszczędzać?

— W każdym jednak razie, owoc ten pracy i oszczędności całego życia jego znajduje się obecnie w ręku pana?

— W moich ręku — zaśmiał się pan Przyborski. — Zapytaj pan raczéj czterech wiatrów, co to z nim się stało?

— Wiatrów pytać nie będę, ale nazwisko Żmindy umieszczę na spisie wierzycieli pańskich — rzekłem.

— Umieszczaj pan na spisie swoim, kogo tylko chcesz. Brałem pieniądze, bom miał majątek, który za grzechy moje mógł odpowiadać. Niech go więc sobie biorą teraz i dzielą się nim, jak chcą. Ja nikomu kręcić i nikogo oszukiwać nie myślę i nie myślałem nigdy.

Ostatnie wyrazy wymówił z pewném uczuciem dumy i obrazy. Tym razem nie mogłem wątpić o szczerości słów jego. W istocie, oszustwo umyślne nie musiało wchodzić w skład charakteru ani planów jego. Tych ostatnich zresztą, czy to w dobrém, czy w złém znaczeniu, nie było zapewne w głowie jego i życiu całém ani śladu.

Rzadko bardzo w mém życiu zasiadałem do obiadowego stołu z taką niechęcią, jak dnia tego, Pani Przyborska na szeleszczących falach jedwabiu przypłynęła ku stołowi i,

powiewając ukoronkowaną, woniejącą chusteczką, poskarżyła się zaraz na ten duszący upał, który nawet w chłodnych i ocienionych pokojach oddychać zaledwie pozwala.

Potém zaczęła bawić mię powoli, łagodnie i nadzwyczaj wytwornym stylem wypowiadanemi komunałami wszelkiego rodzaju. Widocznie rybka jakaś nieoględna dała się jeszcze niedawnemi czasy ułowić na wędkę pana domu, bo obiad był wyborny, niezbyt długi, ale z doborowych potraw złożony, a winem i wetami ubogacony. Pani Przyborska nic prawie nie jadła, piła tylko wciąż limoniadę i oranżadę i zaledwie dotknęła lekkiéj jakiéjś jarzynki i słodkiego blamanżu. Syn jéj za to jadł za nią, za siebie i za mnie. Nie był jednak żarłokiem, tylko smakoszem wytwornym i wytrawnym, lubującym się samym procesem jedzenia i znającym się wybornie na wszelkich odcieniach kulinarnéj sztuki. Przez cały czas zasiadania u stołu o niczém więcéj nie mówił, jak o względnéj wartości różnych potraw i najrozmaitszych sposobach ich przyrządzania.

O ile tylko przyzwoitość pozwalała, najprędzéj po obiedzie zabrałem się do wyjazdu. Przyborski nie zatrzymywał mnie wcale. Uważał mię słusznie za gościa całkiem oficyalnego i okolicznościowego, byłem dla niego zresztą zapewne zbyt nudnym i żenującym towarzyszem. Przeprowadzając mię do przedpokoju i uprzejmie bardzo podając mi rękę na pożegnanie, rzekł:

— Zmiłuj się pan tylko, jeżeli już będziesz mię likwidował, czyń to co najprędzéj. Chciał-bym bardzo całą tę nudną historyą mieć już za sobą, nie przed sobą.

— Ale cóż pan zamierzasz uczynić z sobą po sprzedaży Przyborza? dokąd się pan udasz? — zapytałem, bo zdumiewała mię wspaniała obojętność, z jaką człowiek, nieumiejący prawdopodobnie zapracować sobie na kawałek suchego chleba, a rozlubowany w pasztetach, mówił i myślał o doszczętnéj utracie swéj fortuny.

— O! nie jestem bynajmniéj w kłopocie z osobą moją — odpowiedział mi, śmiejąc się. — I owszem, razem z Przyborzem spadnie tylko z méj głowy ciężar nudy i kłopotów. Matka moja ma w gubernii W., o jakich ośmdziesiąt mil ztąd mieszkającą, starszą siostrę. Kobieta to bezdzietna, wdowa, ma milionowy majątek, a przepada za mną... wiész pan, szalone mam szczęście do kobiet... nawet do ciotek. Pojedziemy do niéj oboje z matką...

— Może téż — rzekłem — ciotka pańska, będąc tak bogatą, zechce zapobiedz sprzedaży majątku pańskiego, która, jak pan wiész, w obecnych okolicznościach większe i gorsze niż kiedykolwiek ma znaczenie? Może-by zgodziła się zaspokoić wierzycieli pańskich?

Wzruszył ramionami.

— Nie — rzekł — jakkolwiek bogata bardzo, ciotka moja oględną jest i oszczędną. Nadawała mi już nieraz mnóztwo pieniędzy; ale teraz tak wielkiéj sumy od razu wydać nie zechce. Wszystko mi to jedno zresztą, a nawet lepiéj. Wolę wyjechać z tych stron — daleko — na nowym świecie pokazać się i nowy świat zobaczyć. Okolicę tutejszą spenetrowałem *à fond* i ona mię także spenetrowała. Ludzie mię tu uważają za człowieka moralnie upadłego, a ja ich uważam za nudziarzy. Choćby najlepsza

jednostajność sprzykrzyć się musi. *Toujours des perdrix!*

Ostatnie wyrazy wymówił już na ganku, poczém pożegnał mię uprzejmym uśmiechem i ukłonem pełnym wdzięku i, z zapaloném cygarem w ręce, nucąc z cicha, zniknął w głębi domu.

Przyborski mówił prawdę. Majątek jego znajdował się w stanie opłakanym. Sprzedać go z wolnéj ręki było niepodobieństwem prawie; suma zaś, mogąca być otrzymaną drogą publicznéj sprzedaży, wyrównywała połowie zaledwie ogólnéj sumy długów. Wkrótce widoczną stało się rzeczą, iż po odbytym akcie likwidacyi, smutne resztki, pozostać mające, po opłaceniu należności rządowych i bankowych, posiadających zawsze bezwzględne piérwszeństwo przed należnościami prywatnemi, podpaść musiały konkursowi, czyli wpółubieganiu się o udział w nich, prywatnych wierzycieli. Proceder ten prawny, przykry zawsze i uciążliwy dla tych, którzy szukać w nim muszą ostatniego sposobu ratowania od zaguby dobra swego, tym razem przykrzejszym jeszcze był i obfitszym w opłakane skutki, z powodu znacznéj ilości osób miernego albo i malutkiego wcale funduszu, które do liczby wierzycieli Przyborskiego należały. I jak najczęściéj zdarza się w wypadkach podobnych, najmajętniejsi i, co zatém idzie, najoświeceńsi wierzyciele posiadali tu dokumenta najoględniéj sporządzone i najlepiéj

uprawnione, więc znowu mające pierwszeństwo przed leciuchnemi wobec prawa świstkami papierów, będących w posiadaniu najuboższych, najpokorniejszych i najufniejszych. Z góry już i po najpobieżniejszém zestawieniu dokumentów, cyfr i artykułów prawa, obliczyć można było, że najuprzywilejowańsi zadowolnić się będą musieli cyfrą, wynoszącą 40 albo i 30 procent sum przez nich wypożyczonych; owi zaś wcale nieuprzywilejowani, maluczcy, cisi i ufni, spadną do okrągłego zera.

Pewnego dnia, po odbytéj pod prezydencyą moją burżliwéj i płaczliwéj naradzie wierzycieli, zaledwie zostałem sam jeden w gabinecie moim i ochłonąć zdołałem z przykrych wzruszeń, sprawionych mi łzami, wyrzekaniami, kłótniami i złorzeczeniami ludzi pokrzywdzonych i z prawowitego mienia swego obdartych, gdy oznajmiono mi, że znowu człowiek jakiś życzy sobie widzieć się ze mną.

Po chwili ujrzałem wchodzącego i na progu pokoju nieśmiało zatrzymującego się starca, barczystéj i ciężkiéj budowy ciała, z wielką głową, okrytą mocno siwiejącemi włosami, z wązkim, białym prawie, zarostem, otaczającym żółte, nabrzmiałe policzki. U wyszarzanego lecz bardzo czystego odzienia jego błysnęło mi przed oczyma kilka złocistych guzików — poznałem Piotra Żmindę.

Śpiesznie postąpiłem na spotkanie starca i, uścisnąwszy jego rękę, posadziłem go na wygodnym fotelu. Oddał mi zwykły sobie, powolny i poważny, ukłon, drżąca ręka jego silnie objęła na chwilę dłoń moję, źrenice jego błękitne, zawsze przymglone, na-pół senne, tonęły uporczywie w méj

twarzy, ale nie wyrzekł z razu ani słowa. Poruszył wprawdzie ustami, jak człowiek, który chce coś powiedzieć, ale nie powiedział nic. Wydawał się zmieszanym, jakby bardziéj przygnębionym i smutnym. Nie wiem, czy był to skutek innego, niż przed kilku miesiącami, otoczenia, w jakiém go ujrzałem, czy w ogrodzie Przyborskiego upalne słońce i świeża zieleń drzew korzystniéj oświetlały steraną tę postać, niż białe, monotonne światło dnia zimowego, w którém nurzał się mój gabinet; ale Piotr Żminda wydał mi się przez czas ten krótki mocno zmienionym. Starcem wydawał się już wtedy, ale dość silnym jeszcze, spokojnym na umyśle, przytomnym, do pracy, pomimo lekkiego drżenia rąk, zdolnym. Teraz ogarniać go już wyraźnie zaczynała zgrzybiałość. Nietylko ręce, ale i głowa jego poruszała się ustawiczném drżeniem, a usta na-pół otwarte, i nieruchome, senne źrenice oblekały mu twarz wyrazem idyotycznego niemal osłupienia.

Patrzał na mnie długo, uporczywie, a piérwszemi słowami, które wymówił, było pytanie:

— Czy pamięta pan dobrodziéj naszę drogę pocztową? Dawne czasy!

Widok mój przywoływał mu snadź zawszą przed wyobraźnią najlepsze, najdroższe, niezapomniane nigdy, wspomnienia przeszłości.

Westchnął, głowa zatrzęsła się mu silniéj i widoczniéj, potém powoli bardzo i z wielką trudnością mówić zaczął:

— Ja do pana dobrodzieja przyjechałem z prośbą... po dawnéj znajomości... Pan dobrodziéj wié pewno o tém, że

panu Przyborskiemu sprzedają majątek... za długi podobno... zresztą, nie wiem dlaczego, bo gadaninie ludzkiéj nie można bardzo wierzyć... dość, że sprzedają, a mnie z ogrodu Przyborskiego wyprawiono precz... oto widzi pan dobrodziéj spadłem znowu z etatu...

Coś jakby uśmiech na-pół żałosny, na-pół gorzki, przesunął się po ustach jego, gdy wymawiał te ostatnie wyrazy.

— A! — dodał po chwili — co robić? Taka już widać wola Pana Boga nade mną! do czego tylko przywiążę się, czy do miejsca, czy do jakiéj duszy ludzkiéj... zaraz mi precz z oczu idzie! Powiem prawdę... przywiązałem się już był do drzew, które pielęgnowałem, do tych szczepków, które sam zasadziłem... pan dobrodziéj sam widział, będąc przeszłego lata, jak u mnie wszystko porządnie było i czysto... jakie balsaminy u mnie kwitły... gdyby róże... Nie to to było, co nasza droga pocztowa... he, he! daleko tam ogrodowi do naszéj drogi i do tego ogródka, com go sam koło poczty zasadził i wypielęgnował... ale przywiązałem się i do tego, przywykłem... myślałem, że tam już głowę moję do snu wiecznego położę... ale kiedy nie można, to nie można, trudno!

Spuścił trzęsącą się głowę na piersi, szklisty wzrok utkwił w przestrzeni i milczał znowu.

Teraz pojąłem wielką zmianę, która zaszła w powierzchowności jego przez krótkie kilka miesięcy. Dotknął go ból nowy, na steraną głowę jego spadło nowe upokorzenie, przed krokami jego otworzyła się nowa ścieżka tułaczki... I tak stopniowo, człowiek ten, jak wosk

w ogniu, tajał i znikał w żałościach życia!

Po chwili ocknął się ze swéj ołowianéj, osłupiałéj zadumy i, podnosząc wzrok na twarz moję znowu, mówić zaczął:

— Ja do pana dobrodzieja z prośbą... po dawnéj znajomości... oto taka jest rzecz. Ulokowałem u pana Przyborskiego mój kapitalik... niewielki... pięćset rubli... gdybym żył u niego, jak żyłem, niech-by tam sobie grosz ten leżał aż do mojéj śmierci, a po śmierci może-by go krewni zabrali... ale ponieważ kazano mi wynosić się z Przyborza... muszę sobie szukać przytułku jakiegoś... Chciałem zgodzić się gdzie w innym dworze za ogrodnika, ale nie przyjmują nigdzie... na siwą głowę moję patrzą i na trzęsące się ręce... mówią, żem stary, do pracy już niezdatny i nie przyjmują... cóż robić? nie narzucać się gwałtem ludziom! ale oto znalazł się brat przyrodni... z macochy téj urodzony, co to, niech jéj Bóg nie pamięta, makiem poiła mię i karmiła, kiedy dzieckiem byłem... brata tego, panie dobrodzieju, ja tak jak nie znałem, bo macocha nie dozwoliła nigdy, abyśmy się z sobą poznali i polubili... ale on przed niedawnemi czasy przyszedł do mnie i powiedział: „Słuchaj Pietrze! panu Przyborskiemu sprzedają majątek za długi. Ciebie ztąd wyprawią, bo stary już jesteś i na służbę się nie zdałeś. Nie będziesz miał znowu przytuliska żadnego. Odbierz grosz swój od Przyborskiego i w naszéj chacie rodzicielskiéj zamieszkaj. My ciebie do śmierci dochowamy w szacunku i wygodach takich, na jakie nas stanie, a ty nam kapitalik swój po śmierci swéj zostawisz. Będziesz miał sam starość spokojną i dzieciom naszym do

wyjścia z biedy téj, co nas gniecie, dopomożesz”. Zastanowiłem się ja, panie dobrodzieju, nad propozycyą tą i zgodziłem się na to, czego brat chciał. Tylko pieniędzy tych mi trzeba, a tu pan Przyborski, jak go o nie prosiłem, zaczął śmiać się... nie wiem, panie dobrodzieju, nie wiem prawdziwie z czego... i powiedział: „a zkąd ja tobie, poczciwy człeku, pieniędzy wezmę? Idź do tego adwokata, co mi majątek sprzedaje, i poproś go, żeby ci oddał, co należy!” Ludzie mi powiedzieli, że ten adwokat, to pan... więc przyjechałem i oto proszę pana dobrodzieja... po dawnéj znajomości...

Umilkł, a ja przez długą chwilę nie mogłem zdobyć się na odpowiedź żadną. Biedak! stary, samotny, okradziony biedak! myślałem.

— Czy masz pan dokument jaki? oblig, wexel?.. — zacząłem.

— A jakże, panie dobrodzieju — przerwał spiesznie — a jakże! mam kartkę... własną ręką jego napisaną...

Z wewnętrzną obawą, lecz i z trochą nadziei jeszcze, sięgnąłem po świstek papieru, który Żminda podawał mi trzęsącą się ręką. Niestety! dość mi było jednego rzutu oka, aby poznać całą nicość prawną osobliwego tego dokumentu. — Była to zwierzchnia połowa ćwiartki listowego papieru, nadzwyczaj eleganckiego, ze złoconemi brzegami, z wylitografowaną u góry cyfrą Przyborskiego i umieszczoną nad nią, bardzo misternie przyozdobioną, koroną szlachecką. Na połyskującém, welinowém tle szpargałka, znajdowało się kilka wyrazów niewyraźnie nabazgranych a zakończonych podpisem jeszcze

niewyraźniejszym, parą jednak bardzo wspaniałych zygzaków przyozdobionym. Pośpiech w pisaniu kartki téj był tak wielkim, że nie było na niéj daty żadnéj.

Trzymając w ręku smutny ten dokument, zapadłem w długie i przykre zamyślenie. Bez wątpienia był to pomiędzy dowodami, posiadanemi przez wierzycieli Przyborskiego, dowód najniedbaléj i najmniéj prawnie sporządzony. Wobec praw i obyczajów, rządzących postępowaniem konkursowém, musiał on być uważanym za najostateczniejszy z ostatnich. Tam zaś, gdzie najsilniejsze dowody otrzymać miały połowę zaledwie, albo mniéj jeszcze praw sobie przynależnych, jakim być mógł udział tego najsłabszego? Naturalnie żaden.

Ale jakże oznajmić miałem starcowi temu wieść tę; druzgocącą ostatnią jego nadzieję, zamykającą przed ostatniemi dniami jego życia jedyną spokojną uchronę, która mu w zamian za to utracone przez niego dobro ofiarowano? Gdyby przykra ta okoliczność zaskoczyła mię była w kilka lat późniéj, otworzył-bym był własny pugilares... a Żmindzie powiedział-bym, że wypłacam mu z funduszów Przymorskiego. Podówczas jednak, postępek taki był dla mnie do wykonania niepodobnym. A! pomyślałem, trzeba jeszcze iść *do nich*, przemówić, spróbować... kto wié? może jeszcze posiadają cokolwiek? może mi uda się z *nich* co wydobyć?

— Czy pobierasz pan emeryturę jaką? — zapytałem jeszcze.

— Nie, panie dobrodzieju, — odpowiedział spokojnie, — roku mi jeszcze do niéj niedostawało, gdy straciłem

posadę...

Wstałem i, powiedziawszy Żmindzie, że idę na miasto dla rozmówienia się o interesie jego z kim należy, prosiłem go, aby zaczekał na mnie w gabinecie moim.

— Każę tu panu podać śniadanie — rzekłem.

— Dziękuję panu dobrodziejowi, — odpowiedział, kłaniając się ze zwykłą sobie powagą, — przyjechałem z bratem, a on miał ze sobą kawał chleba i séra, tośmy sobie i razem przekąsili... nie jestem głodny.

Dla większego pośpiechu, siadłem na miejską dorożkę i kazałem zawieść siebie do najparadniejszego w mieście naszém hotelu, w którym wiedziałem, że od dwóch tygodni przebywają Przyborscy. Wskazano mi jeden z najcenniejszych numerów hotelowych. Wszedłem.

Składające numer trzy pokoje, dość obszerne i wytwornie umeblowane, znalazłem pogrążone w nieładzie wielkim. Widocznie trafiłem w przedchwilę wyjazdu zamieszkujących je osób. Na posadzce stały i leżały liczne, wypakowane mocno, a już zamknięte kufry i tłomoki. Pośrodku jednego z pokojów stał stół, okryty sutemi resztkami spożywanego przed chwilą śniadania, poręcze krzeseł i kanap obwieszone były kobiecemi i męzkiemi szalami, futrami, torebkami, różnemi, słowem, ubraniami i przyborami podróżnemi.

Pani Przyborska siedziała na kanapie, w zwykłéj sobie, majestatycznéj postawie, i ze zwykłym téż, łagodnym i smętnym nieco, wyrazem twarzy, kończyła składać do ładnego bardzo, podróżnego woreczka, różne, na stole rozrzucone, drobiazgi i graciki. Syn jéj siedział jeszcze

przed śniadaniową zastawą. Serweta, zawiązana pod ciemną, starannie uczesaną jego bródką, chroniła od wszelkiéj plamy i skazy przód eleganckiego podróżnego ubrania, które miał on na sobie; w jednéj ręce, o stół wspartéj, trzymał szklankę, do połowy jeszcze napełnioną winem, drugie ramię zarzucił na poręcz krzesła i, z twarzą zwróconą ku pogrążonéj w układaniu drobiazgów matce, patrzał na nią z cechującym fizyognomią jego wyrazem pogardliwéj niedbałości i szyderskiéj nieco przekory.

Ujrzawszy mię wchodzącego, Przyborski powstał żywo i jedną ręką zdejmując z szyi serwetę, drugą podał mi na powitanie giestem uprzejmym i swobodnym. Pani Przyborska skłoniła ku mnie głowę w sposób poważny, a zarazem bardzo grzeczny, a zwracając na twarz moję łagodne, powłóczyste swe wejrzenie, i wskazując mi ręką fotel, przy kanapie stojący, rzekła miękkim, znużonym głosem:

— Jakąż okropną mamy w tym roku zimę! Mrozy są tak straszne, że w tém ciepłém mieszkaniu nawet zaledwie oddychać pozwalają!

A jednak zdawała się być doskonale zabezpieczoną od przykrych wpływów zimna: długi, aksamitny kaftan, łabędzim puchem podszyty, a doskonale jednak smukłą kibić jéj uwydniający, szerokiemi połami obejmował bogate fałdy jedwabnéj jéj sukni; z pod fałd tych wysuwająca się, drobna jéj nóżka, zamknięta była w również aksamitnym buciku, kosztowném futerkiem obłożonym.

— Co tam mróz! — zawołał Przyborski, siadając przy mnie i podając mi cygaro, którego nie przyjąłem. Niéma

lepszego sposobu rozgrzania się w tęgie mrozy; jak wypicie szklanki czystego, prawdziwego *bordeaux*? Wiész pan co? ten wasz *Szarl* jest zawsze niedorównany i, doprawdy, opuszczając te strony, jego to, zdaje się, najbardziej, a może i jedynie żałuję! Wino daje przepyszne! a kuchnia! Szkoda, żeś pan nie przyszedł o kwandrans wcześniéj. *Szarl* dał nam dziś śniadanie pożegnalne, co się zowie! kotlety z jarząbków, potrawa to jego własnego wynalazku. Gdybym był panującym, kazał-bym za nie wybić na cześć jego medal pamiątkowy!

Gdy umilkł, najchłodniéj, jak tylko mogłem, oświadczyłem, że przyszedłem dla pomówienia o interesie.

— O interesie! — ze zdumieniem na twarzy powtórzył Przyborski, — czyż ktokolwiek na świecie może miéć jeszcze do mnie jaki interes? Oddałem przecież wszystko, co miałem... cóż więcéj uczynić mogę?

Nie dając mu bezpośredniéj odpowiedzi, wymieniłem nazwisko Żmindy.

— Wielu tu pozostanie ludzi ciężko przez pana pokrzywdzonych, — mówiłem — ale z pomiędzy nich Żminda jest najstarszym, najniedołężniejszym, najbardziéj osamotnionym...

— Ależ przecie, — z giestem niecierpliwości przerwał mi Przyborski, — przecież ma on kartkę, którą mu napisałem, biorąc od niego pieniądze... nie brałem nigdy od nikogo pieniędzy, nie dając w zamian dowodu...

— Kartka pańska, Żmindzie dana, odrzuconą będzie przez konkurs bezwarunkowo... na mocy jéj nie wypłacą mu ani grosza...

Czoło Przyborskiego zmarszczyło się znowu w ten przykry sposób, który na całą fizyognomią jego zdawał się rzucać ponury odblask źle przeżytéj przeszłości. Utkwił wzrok w ziemi i milczał chwilę. Potém, czyniąc obu rękoma giest niecierpliwy, rzekł:

— A więc cóż pan chcesz, abym uczynił? Oddałem wszystko co miałem...

Znaczącém spojrzeniem powiodłem po suto wypakowanych i wykwintnemi ozdobami błyszczących tłómokach z angielskiéj skóry, po licznych a cennych, na sprzętach wiszących, szalach i futrach. Przyborski zrozumiał myśl moję. Szyderski uśmiech przesunął się mu po ustach.

— Wszystko to — rzekł — jest osobistą własnością mojéj matki.

— W takim razie — odpowiedziałem — nie pozostaje mi nic innego, jak ze słuszném żądaniem mojém zwrócić się do matki pana.

Usłyszawszy te wyrazy, pani Przyborska oderwała wzrok od gracików, które układała wciąż i przekładała w woreczku swym, i miękkim swym, przyciszonym głosem, wyrzekła:

— Jestem kobietą...

— Pani... wtrąciłem z ukłonem.

— Jestem kobietą, — nie dając sobie przerwać, mówiła daléj, — na interesach nie znam się i nigdy się niemi nie zajmowałam. Raczcie więc panowie nie mieszać mnie do smutnych tych, a niezrozumiałych dla mnie okoliczności.

Czułem się oburzonym i wzburzonym, miarkując jednak

o ile możności głos mój do prawideł ścisłéj grzeczności, rzekłem:

— Przykro mi bardzo, ale zmuszony jestem oświadczyć, iż w interesie klientów moich, urzędowym sposobem sprzeciwię się wyjazdowi ztąd państwa i żądać będę sprawdzenia tytułów własności, odnoszących się do przedmiotów, które tu widzę.

Słowom tym odpowiedział cichy, zjadliwy nieco śmiéch Przyborskiego. Ale w twarzy pani Przyborskiéj najlżejsza nie zaszła zmiana. Z témże samém, zawsze łagodném wejrzeniem i smętnym uśmiechem na ustach, jednostajnie, miękko i powoli, odpowiedziała:

— Jestem wdową... potrzebuję więc opieki i obrony, a jakkolwiek na interesach nie znam się wcale, przewidziałam, iż, śród nieszczęść, które dotknęły syna mego, mogę być także przez nieprzyjaciół jego atakowaną. Uzbroiłam się więc w dowody, które przekonają pana, iż wszystko, co tu pan widzisz, jest osobistą moją własnością.

Powolnym giestem wydobyła z woreczka wielki arkusz papieru, we czworo złożony, i podała mi go leniwym, pełnym wdzięku ruchem. Przebiegłem oczyma zawartość papieru. Było to urzędowo sporządzone poświadczenie tytułów własności pani Przyborskiéj do przeróżnych, uwożonych przez nią, przedmiotów, jako to: garderoby, biżuteryi, sreber stołowych i t. d Co więcéj, zaświadczenie to było słuszném. Przedmioty te były natury takiéj, że musiały w istocie stanowić osobistą jéj własność. Zachodziło tylko pytanie, nic zresztą wspólnego z prawem niemające, czy nie były one nabytemi za pieniądze jéj syna,

więc z kolei za te pieniądze, które sposobem pożyczek wyjął on był z kieszeni — zbyt ufnych biedaków!

Po chwili rozmyślania, zwróciłem się znowu do majestatycznéj damy, która, w znużonéj postawie na kanapie siedząc, otulała się w téj chwili właśnie aksamitno-łabędziém swém okryciem i z cicha wyrzekać zaczęła na zimno, które w tém ciepłem mieszkaniu nawet zaledwie oddychać pozwala.

— Nie pozostaje mi więc nic innego, — rzekłem — jak zakołatać do serca pani i udać się do niéj z prośbą... Człowiek, za którym wstawiać się będę, znanym jéj być musi. Jest to starzec bezdzietny i osamotniony... pracował dla państwa przez lat kilka, i nietylko żadnego za to nie otrzymał wynagrodzenia, ale jeszcze w ruinie syna pani zagubił swój fundusik, jedyny sposób utrzymania się przy końcu życia...

Umilkłem i śród białéj, delikatnéj, jak listek liliowy, parą zaledwie drobnych zmarszczek zrysowanéj, twarzy kobiéty, szukałem wrażenia, jakie wywrą na nią słowa moje. Nie wywarły żadnego.

— Jestem kobietą — rzekła — nie wtrącam się wcale do administracyi domu mego syna; niewiem, kto i jaką otrzymywał od niego zapłatę... nie zaciągałam nigdy u nikogo pożyczek żadnych...

— Tak — odparłem — wobec prawa téż cała ta smutna historya nie obowiązuje pani do niczego. Śmiem mniemać jednak, iż, jako matka, zechcesz pani oszczędzić honorowi syna swego jednéj przynajmniéj plamy... z sumienia jego zdjąć jeden przynajmniéj ciężar...

Mimowoli prawie rzuciłem okiem na pyszną kameę, która, w złoto oprawna, spinała u szyi aksamitne jéj okrycie, na kilka pierścionków, które błyskami brylantów i szmaragdów zdobiły białe, podłużne, przezroczyste niemal jéj ręce, i dokończyłem:

— Fortuny takie, jak ta, którą posiadaliście państwo, topniejąc nawet i znikając, pozostawiają jeszcze po sobie byłym właścicielom swym resztki, cenniejsze, niż całe nienaruszone majątki biedaków. Spieniężenie małéj części przedmiotów, które znajdują się w posiadaniu pani, wytworzyło-by sumę, mogącą zaspokoić słuszne żądania człowieka, za którym proszę. Człowiek ten pani, to — starzec... nędzarz!

Gdy wymawiałem ostatnie wyrazy, pani Przyborska zasłoniła sobie oczy batystową chusteczką i siedziała chwilę nieruchoma, płacząc niby cicho, niby głęboko rozmyślając. Zaczynałem już miéć dobrą nadzieję i wyznaję, że z rodzajem niecierpliwéj pożądliwości spoglądałem na zdobiące jéj palce pierścienie, myśląc, iż prawdopodobnie dwa lub trzy z nich tylko sprzedać będzie trzeba, aby wypłacić Żmindzie jego należność. Nagle pani Przyborska twarz odsłoniła. Piękne, błękitne oczy jéj mgliły się w istocie łzawą wilgocią, po cienkich, blado-różowych ustach wił się uśmiech o zdwojonym smętku. Otworzyła nakoniec usta te, i z dźwiękiem smutnéj a cichéj rezygnacyi w głosie; wymówiła:

— Jestem wdową.

Zdaje się, że była-by mówiła coś więcéj jeszcze, ale przerwał jéj głośny i ostro brzmiący wybuch śmiechu jéj

syna.

— O! — zawołał, śmiejąc się, — jakże piękném jest zadaniem stawać w obronie uciśnionych i nieszczęśliwych! Nie gniewaj się pan na mnie i racz za niewłaściwy żart nie poczytywać tego z méj strony, jeśli ośmielę się panu, jako prawnikowi, powinszować daru wymowy i nieporównanego zapału, z jakim bronisz pan spraw sobie powierzonych! Doprawdy, ja i pan, przedstawiamy teraz dwóch niby duchów, wydzierających sobie wzajem dusze niewinne a zgnębione! Ja, naturalnie, jestem duchem ciemności, a pan światłości! A! cóż robić! gdybym był tak jak pan od wczesnéj młodości méj poznał życie ze strony białéj, świetlistéj, surowéj, byłbym może także duchem światłości! Tymczasem zaś, pan jesteś adwokatem — ja jestem bankrutem. Pan bronisz mienia i honoru ludzi — ja je rujnuję! Stało się! spełniamy każdy na świecie rolę nam możliwą i stoimy na dwóch przeciwległych biegunach świata. Z tém wszystkiém, pozwól pan, abym mu na pożegnanie serdecznie dłoń uścisnął!

Naturalnie, uczyniłem takie poruszenie, które-by dawało do poznania, że propozycyi, zawartéj w ostatnich słowach Przyborskiego, nie słyszę, albo téż, słysząc, przyjąć jéj nie chcę. Pomimo to, patrzałem mu w twarz bacznie i przyznaję się, że z ciekawością. W istocie, człowiek ten przedstawiał w chwili owéj widok arcy-ciekawy. Śmiał się wprawdzie głośno i na pozór swobodnie; ale w śmiechu tym dźwięczały co chwila nuty jakieś ostre, fałszywe, nieledwie spazmatyczne, a czoło jego było znowu zbrużdżone i zmięte w mnóztwo zmarszczek drobnych i przykrych. Nie

znałem go nigdy dosyć, abym napewno zawyrokować mógł, do jakiego stopnia natura jego złą była sama przez się, a do jakiego zepsuły ją okoliczności wychowania i otoczenia; nie mógłbym téż sądzić i o tém, czy w porze owéj jakiekolwiek wpływy zdolne były jeszcze zwrócić go na inną drogę, ku innym myślom i przyzwyczajeniom. To jednak pewném mi się wydało wtedy i dotąd wydaje, że, wygłaszając swą wpół sarkatyczną, wpół wesołą tiradę, człowiek ten nie czuł się bynajmniéj tak swobodnym, jakim okazać się pragnął; że, czyniąc porównanie zadań, które obaj pełniliśmy na świecie, uczuwał zatapiające się mu w serce żądło, jemu samemu może niezrozumiałéj zazdrości, że nakoniec była to jedna z tych chwil, koniecznych acz najczęściéj jałowych, w których najtwardsza, najbłotnistsza nawet pierś ludzka, uczuwa w sobie, choćby na mgnienie oka, bolący spazm zatrutego sumienia...

W téjże chwili wszedł hotelowy sługa, oznajmując, iż powóz, mający odwieźć Jasnych Państwa na stacyą kolei żelaznéj, już jest gotowy, i że jechać należy śpiesznie, albowiem pociąg lada chwila nadejdzie. Twarz Przyborskiego rozjaśniła się szybko.

— *Maman*, — rzekł, biorąc z poręczy kanapy pyszne, tumakowe futro kobiéce i stojąc z niém przed matką — pora jechać!

Maman podniosła się z kanapy, znużona, poważna, łagodna, i poskarżyła się na ten mróz okropny, który nawet w ogrzanym wagonie zaledwie oddychać pozwoli!

W kilka minut potém, powóz, unoszący tę parę ludzi, wyminął mię na ulicy i spiesznie posunął ku dworcowi

kolei. Patrząc za nim, gdy oddalał się, szalonéj doświadczyłem ochoty wskazać go napełniającym ulicę ludziom i zawołać: „Złodzieje! łapcie złodziejów!“

Żmindę znalazłem siedzącego w gabinecie moim, w téj saméj postawie i na tém samém miejscu, na którém go zostawiłem. Nie pamiętam już, jakich dobrałem wyrazów i jakich użyłem ostrożności, aby uwiadomić go o nowym, spadłym nań ciosie. Z razu nie uwierzył słowom moim. Podniósł głowę, spojrzał na mnie zdumionemi oczyma i, uśmiechając się, rzekł:

— Pan dobrodziéj żartuje! gdzieżby zaś pan taki bogaty, za pozwoleniem, ukraść miał ubogi mój grosik!

Wytłumaczyłem mu w kilku wyrazach bankructwo Przyborskiego, znaczenie mającego nastąpić konkursu i bezwarunkową nicość posiadanéj przez niego kartki. Słuchał, zaczerwienionemi powiekami swemi coraz prędzéj, coraz nieustanniéj mrugał, ręce i głowa trzęsły się mu téż coraz silniéj i widoczniéj, nakoniec z dziwnym, nieopisanym uśmiéchem na bladych, zwiędłych wargach, tak cicho, że zaledwie dosłyszalnie, wymówił:

— Tak tedy, panie dobrodzieju, ja znowu spadłem z etatu!

W parę minut potém, tym samym głosem, tylko z wyrazem bezgranicznego zdumienia na twarzy, wyrzekł:

— Obywatel!... skończenie świata... obywatel!..

Potém już zapadł na długo w milczenie zupełne. Siedział na fotelu nieruchomy, z przygarbionemi nieco szerokiemi barkami, z rękoma, które splecione w zdumieniu, jakby w rozpaczy, trzęsły się mu jednak na kolanach, z drżącą téż

siwą głową, opadłą na piersi. Siedział tak długo, dwie, trzy może godziny. Niepodobna mi było odgadnąć, o czém myślał, i czy nawet myślał o czémkolwiek; ale, nie znajdując dla niego stosownych słów pociechy, nie chcąc zaś próżném mówieniem kołatać bardziéj jeszcze zmąconą myśl jego, usiadłem z dala przy biurku mojém, i smutny sam, gniewny, rozstrojony, zatopiłem się w pilnéj jakiéjś i pochłaniającéj robocie. Nad wieczór dopiéro, Żminda podniósł głowę, a zwracając ku mnie twarz, niespodzianie zapytał:

— Czy téż pan dobrodziéj pamięta moję małą Salusię?

A gdy odpowiedziałem twierdząco, dodał ciszéj:

— Ze szkarlatyny umarła!

Milczał jeszcze minut parę, potém, zniżonym, monotonnym głosem i nadzwyczaj powoli, mówił znowu:

— Widzi pan, ja te pieniądze zaczynałem był zbierać na posag dla niéj... niemłodym już będąc, myślałem sobie: może mię wkrótce nie stanie na świecie, niech dziecko ma przynajmniéj grosz jaki! Ot! ja, żyję, a jéj nie stało... Córki niéma i... nic niéma!

Wymówiwszy ostatnie wyrazy, podniósł się z siedzenia i wziął z krzesła wyszarzaną czapkę swą ze srebrną gwiazdką.

— Trzeba iść, — rzekł, — brat czeka tam na mnie w zajeździe... Trzeba mu to powiedzieć... może i tak przyjmie mnie do chaty, a może nie... Wola Bozka!

Kiedy wyciągnął do mnie rękę na pożegnanie, wcisnąłem mu w dłoń asygnatę dość znacznéj wartości, z wewnętrzną obawą, że może przyjąć jéj nie zechce. Przyjął

jednak.

— Dziękuję panu, — rzekł bardzo cicho, oddam to bratu... może mię przyjmie do chaty... a może nie!...

I nie oddał mi już, odchodząc, tego zwykłego mu dawniéj poważnego ukłonu, w którym znać było wewnętrzne, choć bezwiedne może, poczucie osobistéj godności, w którym człowiek niezgrabny, i z pozoru głupowaty, objawiał się człowiekiem uczciwie pracującym i niczego od nikogo niepotrzebującym. Gdy żegnał mię i dziękował za dar otrzymany, szerokie plecy jego przygarbiły się, jakby spadło na nie ciężkie jakieś, acz niewidzialne, brzemię; siwa głowa zatrzęsła się silniéj, a w szklistych źrenicach zaświeciła i długim wilgotnym szlakiem po policzku mu popłynęła ciężka, mętna łza.

Długo potém, przez lat kilka może, niczego o Żmindzie dowiedzieć się nie mogłem. Ktoś nakoniec, przybyły z rodzinnych stron moich, zapytany przeze mnie o dawnego nadzorcę pocztowéj stacyi, powiedział mi, że słyszał, jakoby przez lat parę mieszkał on u przyrodniego brata swego, w szlacheckiéj okolicy Żmindów, poczém, zdaje się, iż go brat, a szczególniéj bratowa i dorastający ich synowie, dłużéj u siebie trzymać nie chcieli i z kilku na drogę danemi groszami w świat wyprawili. Być może zresztą, iż postępek ten szlacheckiéj rodziny, nieludzki wprawdzie, ubóztwem i przeludnieniem małego zaścianka wytłómaczyć by można

było. Gromada w chacie liczna była, a wiadomo powszechnie, że grunta, należące do okolicy Żmindów, szczupłe są i nieżyzne... Coby się jednak ostatecznie stało ze Żmindą, nikt o tém nie wiedział. Tułał się stary przez czas jakiś po dawnéj drodze pocztowéj, przesiadując tu i ówdzie po dni kilka u różnych litościwych ludzi — potém zniknął... powlókł się kędyś w świat...

Niedawnemi czasy przedsięwziąłem był w prawnych interesach daleką podróż w głąb' kraju. Opuściwszy miasto, w którém mieszkam, jechałem wciąż dawną drogą pocztową, lecz zajechałem daleko, o mil kilkadziesiąt od rodzinnego mego miejsca, aż znalazłem się w głębi gubernii W.

Dzień to był zimowy, mroźny. Kochana, stara droga moja, i w tém miejscu także przybrana w dwa rzędy drzew starych i gęsto sadzonych, śnieżysto-białym, szerokim szlakiem biegła wśród równin, w dal niedościgłą okiem, aż pod sam skraj błękitnego nieba, na którém świeciło pogodnie blade słońce zimowe; drzewa, okryte puchem obfitych szronów, stały po obu jéj stronach, do nieruchomych opon, utkanych z koronek misternych, podobne, a wśród koronek tych iskrzyły się miliardy brylantów i wielkie stada zimowych ptaków z głośném krakaniem opuszczały na nie czarne swe skrzydła, i las jakiś, w półkole okrążający widnokrąg, ciemniał z dala nieruchomy, po-za białemi, równemi polami, nad któremi legło morze ciszy, żadnym nawet powiewem wiatru niezmącone.

Nagle, wśród ciszy owéj, do ucha mego doleciał i z

krakaniem zimowego ptactwa w powietrzu połączył się srebrzysty, wesoły odgłos dzwonu. Po chwili nie mogłem wątpić, iż był to dzwon kościelny; jakoż i zobaczyłem niebawem, przy saméj prawie drodze, na dość wyniosłem wzgórzu zbudowany, niewielki, lecz śliczny jak cacko, kościołek.

Wkoło kościołka tłum, gwar, ruch był wielki. Droga przed nim napełniona była ludźmi, końmi, saniami. Zgromadzenie to wielkie i ożywione, w miejscu tak samotném zdziwiło mnie tém bardziéj, iż pamiętałem dobrze, że nie był to wcale dzień świąteczny, że zatem żaden zwykły obchód kościelny nie mógł być jego powodem.

Kościołek zaciekawiał mię swą niepospolicie piękną architektoniczną strukturą, przytém i konie moje potrzebowały chwilowego spoczynku. Wysiadłem więc z sań i wmieszałem się w tłum, ruszający się po drodze i wzgórzu.

Drzwi kościoła, wyniesione nad poziom kilkunastu szerokiemi, ozdobnemi wschodami, na oścież były otwarte. We wnętrzu widać było, przed wielkim ołtarzem stojące, liczne grono wytwornie ubranych osób, i kilku sług kościelnych, którzy z pośpiechem a starannością wielką, kończyli dokonywanie różnych jakichś przygotowań.

Domyśliłem się nakoniec, iż były to przygotowania do wspaniałego jakiegoś, całą okolicę zaciekawiającego, obrzędu zaślubin.

Z obu stron wschodów kościelnych, od góry ich aż do dołu, ciągnęły się dwa szeregi, zwabionych tu liczném

zgromadzeniem, żebraków. Ale na najwyższym stopniu, u samego już progu kruchty kościelnéj, do białéj, zimnéj ściany bokiem i ramieniem przyparty, stał starzec, z białemi, jak mléko włosami, z twarzą żółtą, zgrzybiałą, wązkim, białym zarostem okoloną. Twarz ta mignęła przede mną, jak niepochwytne widmo dalekiéj przeszłości... wkrótce jednak widmo uwyraźniać się zaczęło... zdawało mi się, że je poznaję... Byłże by to Piotr Żminda?

Tak, on był w istocie. Dłoń jego, na znak prośby o jałmużnę otwarta, zczerniała i do piersi przyciśnięta, trzęsła się mocno, trzęsła się téż i głowa jego, srebrno połyskująca pod padającym na nią, bladym blaskiem słonecznym. Krwisto zaczerwienione powieki jego na-pół były przymknięte; obwisłe blade wargi szeptały powoli słowa poplątanych pacierzy, a na całéj téj wielkiéj, żółtéj, zgrzybiałéj twarzy, spoczywała martwa cisza rezygnacyi, czy bezmyślności, bezdennéj zadumy, czy zupełnego snu czucia i myśli. Po chwili spostrzegłem, że miał on na sobie swój dawny mundur urzędnika pocztowego, ale rodzaj ten odzieży ja jeden już chyba tylko rozpoznać mogłem, na plecach bowiem rozpościerała się tam wielka łata sinego koloru, połowę, rękawa zastępowała płócienna szmata, i tylko z boku mdławo świecił zabłąkany guzik, niegdyś złocisty — kto wié? ten sam może, do którego drobną piąstką swą czepiała się niegdyś mała Salusia!...

Chciałem właśnie zbliżyć się do starego nędzarza tego, aby go powitać, gdy odtrąciła mię od niego wielka fala ludzi, w górę, ku wrotom kościelnym, płynąca. Byli to przybywający w téj chwili właśnie państwo młodzi, i

wiodący za sobą liczną, strojną, szumną asystencyą ślubną.

Ujrzałem naprzód pannę młodą, mocno niełądną, i niezbyt już młodziutką, ale białemi koronkami opłyniętą, sobolowym płaszczem orzuconą, i postępującą w licznym orszaku drużek pięknych i strojnych. Za nią, w towarzystwie świetnych panów, z mirtowym bukietem u pętlicy fraka, w niedźwiedziéj szubie, z lekka na ramiona narzuconej, wstępował po wschodach pan młody... dawny téż znajomy mój... Walery Przyborski. Kilka lat upłynionych niewiele go zmieniły. Utył tylko bardziéj, więcéj trochę wyłysiał, na ustach miał wyraźniéjszy, niż dawniéj, zuchwały, sarkastyczny uśmieszek, lecz zawsze jeszcze uchodzić mógł za pięknego mężczyznę. Znalazłszy się pośrodku wschodów, przystanął na chwilę, wydobył z kieszeni sporą sakiewkę, w któréj z za przezroczystéj tkaniny przeświecały srebrne i złote monety i, rzuciwszy ją przed obsiadających wschody żebraków, wyniośle wyrzekł: „podzielcie się!” Poczém już śmiały, uśmiechniony, głośno z towarzyszami rozmawiający, przestąpił próg kościelny.

Wtedy na wschodach rozległ się wielki chór dziękczynień, błogosławieństw i pochwał; tłumy, zalegające dotąd wzgórze i drogę, wspinać się poczęły w górę, z wyrazem życzliwéj ciekawości na twarzach; w kościele pieśnią weselną zahuczały basowe akordy organu, mnóztwo świateł zapłonęło u ołtarza, przybranego w kobierce i kwiaty...

*Tekst jest **[własnością publiczną](#) (public domain)**. Szczegóły licencji na stronie autora: [Eliza Orzeszkowa](#).*

ELIZA ORZESZKOWA.

Z RÓŻNYCH SFER.

Nowelle i Obrazki.

Tom II.

STRACONY.
DZIWAK.
PANI LUIZA..

WARSZAWA.
WŁASNOŚĆ, NAKŁAD I DRUK S. LEWENTALA,
Nowy - Swiat Nr. 41.

1886.

SPIS RZECZY.

Str.

Stracony 1
Dziwak 115
Pani Luiza 201

Дозволено цензурою.
Варшава, 18 Августа 1886 года.

T E M U,

KTÓRY PRZEZ PÓŁ STULECIA

Był Pocieszycielem i Mistrzem Narodu Swego,

J. I. KRASZEWSKIEMU

W ROKU 50-LETNIEGO JUBILEUSZU

PISARSKIÉJ I OBYWATELSKIÉJ JEGO DZIAŁALNOŚCI,

Zbiór ten drobnych prac mych

JAKO HOŁD

WIELKIÉJ CZCI I WDZIĘCZNOŚCI

ofiaruję

A u t o r k a.

*Tekst jest **[własnością publiczną](#) (public domain)**. Szczegóły licencji na stronie autora: [Eliza Orzeszkowa](#).*

STRACONY.

Z opowiadań prawnika

NOWELLA.

.....Pewnego dnia opuszczałem wielką budowę, w któréj w mieście naszém mieszczą się sądy cywilne i kryminalne, gdy w ostatniéj sali spotkałem się oko w oko z jednym z Sędziów, mającym się także ku odejściu.

— Jakże się cieszę, że pana spotykam — zawołał, ujrzawszy mnie, poważny dygnitarz. — Dziś właśnie wysłaliśmy panu urzędowe pismo, ale rad jestem, że o treści jego osobiście pomówić z panem mogę.

— Czém rozkażecie mi panowie służyć sobie?

— Rozkazywać nie mamy prawa, ale prosiliśmy pana, abyś chciał podjąć się obrony pewnego młodego przestępcy, względem którego prokurator formułuje podobno wielce srogie wnioski. Będzie to, jak się zdaje, kategorya najwyższa... ciężkie roboty, czy coś podobnego... musimy dać mu obrońcę, prezes pomyślał o panu.

Skłoniłem się przyzwalająco.

— W tych dniach — rzekłem — mam nawet wolnego czasu więcéj, niż zwykle.

— A więc wybornie się składa — rzekł urzędnik — wydamy wnet Kancelaryi rozporządzenie, aby akta, odnoszące się do sprawy młodego Kalińskiego, dane zostały panu do przejrzenia.

Nazwisko, wymówione przez urzędnika, uderzyło mnie; należało ono do jednéj z najbogatszych, najstarszych i najbardziéj rozgałęzionych rodzin szlacheckich w prowincyi naszéj.

Dwóch ludzi nazwisko to noszących znałem nawet osobiście: jednym z nich był pięćdziesięcioletni Jan Kaliński, majętny obywatel wiejski, pozujący nieco na arystokratę, z tém wszystkiém jednak doskonale uczciwy i dość oświecony; drugim, syn jego, dorosły, piękny, gruntownie wykształcony i bardzo sympatyczny młody człowiek. Zasłyszałem téż był mimochodem o bracie Jana, Maurycym Kalińskim, który przecież w mieście nie ukazywał się nigdy i o którym nic nie mówiono więcéj, jak tylko, że jest zawołanym myśliwym i że ma kilkoro dzieci. W ogóle była to rodzina obdarzona wszelkiemi dobrami tego świata: wysokiém i szerokiém drzewem genealogicznem, szerokiemi i świetnemi stosunkami, bogactwem i dobrą sławą.

Nie przypuszczałem téż, aby kryminalista, którego prawną obronę pieczy méj powierzono, był członkiem téj właśnie rodziny; sądziłem, że jest to raczéj prosta tylko, a dość często, bez żadnych związków krwi, zdarzająca się tożsamość nazwiska.

Jakże zdziwiłem się, gdy nazajutrz, rozwijając spory zwój urzędowych aktów, na piérwszym zaraz arkuszu wyczytałem: Roman, syn Maurycego i Elżbiety z Dębiczów, Kaliński. Tuż obok nazwisk tych, stała cyfra, oznaczająca wiek przestępcy: Miał lat dziewiętnaście i trzy miesiące.

Był to więc syn owego zagorzałego myśliwego, którego psiarnie i konie wierzchowe słynęły na całą prowincyą, synowiec wytwornego i pełnego uczucia honoru pana Jana, brat stryjeczny młodego Józefa, który w tym właśnie czasie wznosił w majątku swym jakiś wielki przemysłowy zakład, członek, słowem, rodziny, wysokie miejsce zajmującéj w społeczeństwie. Kim więc był ów młody Roman? co uczynił? jakim sposobem imię jego z szeregu szanownych i szczęśliwych spadło na kartę, gdzie wypisywane kategorye przestępstw najsroższych i kar najwyższych.

Przez parę godzin siedziałem dosłownie zagrzebany w leżących przede mną papierach. Nigdy może z taką ciekawością nie czytałem powierzonéj mi sprawy. Skończywszy czytanie ostatniego arkusza, porwałem się z krzesła i mimowoli zawołałem: Dziwna rzecz! dziwna rzecz!

Młody Kaliński obwiniony był o zabicie, przez uderzenie w głowę laską o żelaznym nagłówku, jednego ze znanych powszechnie małomiasteczkowych karczemnych szulerów.

Fakt dokonanym został w małéj mieścinie, śród nocy, w wielce podejrzanym przez policyą handlu trunkami. Obwiniony odpierał dotąd oskarżenie, do niczego się nie przyznając, ale dowody winy jego były zupełne i

przekonywające. Pomiędzy nim a szulerem zaszła w izbie, w któréj znajdowali się oni sam na sam, żywa i głośna sprzeczka. Właścicielka zakładu i goście jéj, bawiący się w przyległéj izbie butelką i grą w bilard, sprowadzeni hałasem w miejsce kłótni, znaleźli towarzysza swego, bez życia leżącego na ziemi. Kaliński przed wejściem ich jeszcze wybiegł na ulicę. Z rany, zadanéj zabitemu, trysnęła krew i zrosiła stół i podłogę w izbie. Na rękawie surduta obwinionego znaleziono téż plamy, które powołani ku temu experci uznali za pochodzące od krwi. Tuż przy zwłokach zabitego, znaleziono pugilaresik z wyżłobioną na skórze cyfrą Kalińskiego, uroniony przezeń zapewne w zapale sporu. Obwiniony nakoniec, pomimo uporczywego twierdzenia, że w chwili dokonanéj zbrodni nie znajdował się już na miejscu jéj dokonania, dowieść nie mógł swego *alibi*, a stróż nocny pod przysięgą zeznał, iż widział go wybiegającego z handlu i nieprzytomnie przebiegającego zaułek, na parę sekund zaledwie przed chwilą, w któréj w handlu podniósł się hałas, obudzony widokiem człowieka, życia pozbawionego. Cel zabójstwa zdawał się być jasnym i widocznym, i zarazem wprowadzał czyn popełniony w kategoryą przestępstw, najsrożéj przez prawo karanych. Celem tym musiała być chęć odebrania szulerowi kilkunastu rubli, które widziano u niego na kwadrans przed zaszłym wypadkiem, a przy zwłokach nie znaleziono. Takąż ilość pieniędzy rewizya, następnego ranka dokonana, znalazła w kieszeni ubrania obwinionego. Obwiniony utrzymywał, że pieniądze te posiadł w zamian złotego medalionu, przed dwoma dniami sprzedanego przezeń

niejakiéj wdowie Dzięcierskiéj. Otrzymawszy od władzy stosowne zapytanie, Dzięcierska urzędownie oświadczyła, iż medalionu, ani żadnego innego cennego przedmiotu, od obwinionego nie nabywała, i dlaczego-by w obecnym wypadku powoływał się on na nią, wcale nie pojmuje. Innego źródła pochodzenia będących w mowie pieniędzy obwiniony wskazać nie mógł, czy nie chciał, uporczywie trwając przy historyi o medalionie, która, wobec zaparcia się mniemanéj nabywczyni, przybierała pozór kłamstwa i wykrętu. Cokolwiekbądź, głęboko zanotowałem sobie w pamięci owo zeznanie Kalińskiego, które kłamliwém na pozór tylko być mogło, i długo zastanawiałem się nad przeczącém oświadczeniem owéj Dzięcierskiéj, wydającéj mi się w całym toku sprawy osobą wielce podejrzanéj uczciwości, i niezupełnie na wiarę zasługującą.

Tak w głównych zarysach swych przedstawiała się sprawa ta, która, z powodu pochodzenia i społecznego położenia sprawcy swego, napełniła mię głębokiém zdumieniem. Samo już znajdowanie się członka rodziny Kalińskich w miejscu, zostającém na indexie policyi, było nieco dziwném; młodzi panowie bowiem, z téj sfery towarzyskiéj pochodzący, do jakiéj należał nowy mój klient, jeżeli błądzą, nieraz i srodze nawet, zwykli są przecież błędy swe okrywać pozorami przyzwoitości, nakazanemi im nietylko przez pewną dumę, łączącą się z ich pochodzeniem, ale przez samo już poczucie dobrego smaku, zaczerpnięte ze wszystkiego, co otacza ich od kolebki. Zabawy ich bywają bardzo często występne, ale bardzo rzadko brudne. Obyczajami swemi każą oni salony,

ale obecnością swą zaszczycać nie lubią ulicy.

Przypuszczając jednak pewne wyjątkowe okoliczności, mogłem jeszcze jako tako wytłómaczyć sobie to zstąpienie wysoko urodzonego szlachcica w otchłań, na któréj dnie szumią brudne uciechy mętów i wyrzutków społeczeństwa; ale jakież wytłómaczenie znaleźć mógł fakt dokonania zabójstwa przez syna bogatych rodziców na nędzarzu, żyjącym z oszustwa, w celu odebrania od niego nędznych kilkunastu rubli? A jednak, pomimo uporczywego zapierania się obwinionego, fakt jasny był, jak dzień; wątpić o prawdziwości winy nie mogłem, pozostawało mi tylko widzieć się osobiście z występnym i z własnych ust jego, z dziejów tak krótkiego, a tak już, niestety, steranego jego życia, zaczerpnąć szczegóły, wyjaśniające to, co dla mnie samego niezrozumiałém pozostawało, a zarazem mogące mi dostarczyć poglądów na sprawę, z których wyradzają się okoliczności, winę umniejszające i karę za nią łagodzące. Czułem, że okoliczności takie istnieć musiały w niemałéj liczbie; niepodobna było bowiem tak brzydkiéj zbrodni przypisać samym tylko złym skłonnościom, samemu zepsuciu charakteru dziewiętnastoletniego młodzieńca. Była-by to w podobnym razie jakaś potworność moralna, wiarę zaś w częste istnienie potworności moralnych pomiędzy ludźmi osłabiły we mnie znacznie doświadczenia i studya, z zawodem mym połączone. Potworności istnieją bezsprzecznie, ale rzadko bardzo matką ich bywa sama przyroda; są one najczęściéj skutkiem przyczyn, leżących głęboko w przeszłości człowieka, zwolna i stopniowo pętających umysł jego, w

obłęd wprawiających sumienie. Każde prawie zło znajduje wytłomaczenie swe i źródło w czémś, co je poprzedziło, a co także było złém. Jak z niezdrowego gruntu wyrastają karłowate i chore rośliny, tak chore i kalekie duchy ludzkie powstają śród nizkich i niezdrowych trzęsawisk moralnych. Ależ znowu, sądząc według prawdopodobieństwa wszelkiego, grunt, na jakim wzrósł i rozwinął się duch młodego Kalińskiego, nie musiał karmić go trującemi sokami. W téj téż sprzeczności drzewa z owocem i gruntu z rośliną leżało główne psychiczne zagadnienie sprawy, zagadnienie, które zajmowało całą myśl moję przez całą dobę, a w połowie mrocznego dnia jesiennego przywiodło mnie ku bramie miejscowego więzienia.

Nie piérwszy to raz przestępowałem próg posępnéj budowy, dokoła opasanéj wysokim murem. Ciężkie, wielkie, w żelazne rygle i sztaby zaopatrzone drzwi, wprowadzały tam wchodzącego do ciemnéj sklepionéj bramy, za którą znajdował się wązki, długi, brukowany dziedziniec, z czterech stron otoczony kamiennemi gmachami, o trzech rzędach małych, okratowanych okienek. Miejsce to podobném było do olbrzymiéj studni, na któréj dnie stojący człowiek spostrzegać mógł w górze wązki pas nieba i długie szeregi sterczących nad dachami popielatych kominów. Naprzeciw bramy wchodowéj znajdowała się inna, mniejsza tylko i niższa brama, a za nią widać było w oddali małe kwadratowe podwórko, tak już ścieśnione murami, że w najjaśniejszy dzień pogrążone zostawało w głębokim zmroku. Dokoła drugiego tego podwórka były cele, w których zamykano więźniów,

wyrokami sądowemi skazanych już na najcięższe kary. Oznajmiłem dozorcy więzienia, że przyszedłem dla widzenia się z Romanem Kalińskim.

— W téj chwili jest on nieobecnym — odpowiedział dozorca — wypadła mu dziś koléj przynoszenia obiadu dla więźniów. Ponieważ jednak kuchnia znajduje się tuż obok w zaułku, sądzę, że wnet wróci. Zechce pan może tymczasem wejść do parlatoryum?

Wolałem zatrzymać się w bramie, chociaż bowiem powietrze i tu było zduszone i cuchnące, łatwiéj jednak mogłem oddychać, niż w wilgotném, ciemném i zakurzoném parlatoryum. Przytém na dziedzińcu znajdowali się właśnie w téj chwili oczekujący na codzienną żywność więźniowie. Powiodłem spójrzeniem po tych chmurnych, lub cynicznych, znędzniałych, lub grubych i gęsto splątanemi włosami zarosłych twarzach, i zamyśliłem się tak głęboko, żem nie słyszał, jak otworzyły się za mną drzwi więzienia.

— Oto więzień, z którym pan życzy sobie mówić — rzekł dozorca.

Oparłem się plecami o ścianę bramy, aby nie zawadzać idącym, i spójrzałem ku drzwiom. Zamykano je właśnie za kilku żołnierzami, którzy szli, uzbrojeni w strzelby i sterczące bagnety. Kilku innych, również uzbrojonych, postępowało przodem, pośrodku szli ludzie w szarych więziennych siermięgach, dźwigając na ramionach długie i grube drągi, z zawieszonemi na nich wielkiemi statkami, pełnemi dymiącéj się strawy. Z łatwością domyśliłem się, który z ludzi tych był Kalińskim. Najmłodszy ze

wszystkich, miał on też twarz najbielszą, rysy najdelikatniejsze i najwysmuklejsze kształty ciała.

U wejścia z bramy na dziedziniec, towarzysz młodego więźnia, niosący drugi koniec dźwiganego przezeń drąga, ze zmęczenia, lub może leniwstwa, ugiął zbytecznie w dół ramię i zwolnił kroku.

— Hej, przyjacielu! — nie odwracając głowy zawołał Kaliński — wyprostuj-no się i żywo na przód! Nie mogę cię przecie wziąć na moje plecy!

Głos, jakim słowa te wymówione zostały, świeży był i donośny. Dźwięk jego, nieledwie srebrzysty, brzmiał na-pół rozkazująco, na-pół swawolnie i pieszczotliwie. Stary brodacz, który przed tém zginał się prawie we dwoje i zaczynał z ciężkością powłóczyć nogami, wyprostował się szybko i począł iść pewnym, równym krokiem.

Pośrodku dziedzińca więźniowie zatrzymali się i spuścili ciężary swe z ramion na ziemię, żołnierze ustąpili na bok, a ludność więzienna, z glinianemi miskami i drewnianemi łyżkami, pogarnęła się do dymiących kotłów.

— Zawołam teraz Kalińskiego — rzekł do mnie dozorca.

Chciał postąpić na przód, ale zatrzymałem go.

— Niech zje wprzódy obiad — rzekłem — mogę zaczekać.

W rzeczy saméj chciałem z uboczy i niespostrzeżony przypatrzyć się młodemu więźniowi; gwarna przytém i tłumna scena, odbywająca się na dziedzińcu więziennym, wzbudziła we mnie zajęcie i chęć czynienia spostrzeżeń. Dozorca, który znał mnie oddawna i szanował charakter, w jakim przybywałem w to miejsce, nie sprzeciwiał się memu

żądaniu. Usiedliśmy obaj na drewnianéj ławie, w głębi bramy umieszczonéj, a przeznaczonéj na miejsce spoczynku dla żołnierzy, posterunek odbywających. Wkoło stojących pośrodku dziedzińca kotłów zapanował ścisk wielki, rozległy się grube żarty i śmiechy, połączone z krzykami złości. Ustawieni pod ścianami budowy żołnierze uważnemi oczyma ścigali poruszenia grubego tego i hałaśliwego tłumu, nie wdając się jeszcze w sprawy jego, ale widocznie gotowi do postąpienia na przód i przywrócenia porządku, jeśli-by zaszła tego potrzeba. Tymczasem mężczyźni, o twarzach obrosłych splątanym włosem, lub żółtych, ciemnych i kościstych, kobiety w pstréj i brudnéj odzieży, z nabrzękłemi policzkami i głowami owiniętemi w brudne szmaty, cisnęli się do upragnionego snadź pożywienia, pochylali, tłoczyli jedni drugich, wydawali z piersi rubaszne śmiechy, lub złorzeczenia, topiące się w głuchém, tłumioném warczeniu. Miski przecież w rękach więźniów pozostały puste; wśród natłoku i kłótni, wszyscy przeszkadzali sobie wzajem w czerpaniu strawy. Trwało tak parę minut. Nagle po-nad bezładnym gwarem grubych, ochrypłych, lub piskliwych głosów rozległ się ten sam głos donośny, srebrzysty, na-pół rozkazujący, na-pół żartobliwy, który przed tém nieco w bramie więziennéj rozkazywał leniwemu więźniowi wyprostować się i iść na przód. Młody Kaliński przecisnął się przez tłum, stanął tuż obok kotłów i podniósł wysoko rękę.

— Halt! — zawołał — szykujcie się bracia, a żywo! raz, dwa, trzy! w szeregi! na około kotłów, jeden za drugim!

tak! Ty, brodaty Grzegorzu! po co się tak ciśniesz! a ty, Magdaleno, usuń się, bo cię tu zduszą! Héj, stójcie teraz wszyscy i ani mi się ruszyć, póki nie zawołam! Jerzy! ty zaczynaj! Pełną już miskę masz? dobrze! a teraz wy, Grzegorzu! Wasylu, Magdaleno! Justyno! Możecie przystępować we dwóch, we trzech, ale po kolei! grzecznie i porządnie!

Patrzałem i słuchałem ze zdziwieniem. Głos i giesta młodego człowieka magiczny wpływ wywierały na tłum ten gruby i niesforny. Ludzie ci, z posępną lub bezmyślną, cyniczną lub zrozpaczoną powierzchownością, słuchali go, jak dzieci, według rozkazu jego szykowali się w szeregi, przystępowali do kotłów i czerpali z nich strawę, nie prędzéj, aż każdego z nich zawołał po imieniu. On zaś, znając widocznie nietylko imiona, ale i usposobienia, brzmienie głosu swego do tych ostatnich stosował. Niektóre z imion więźniów wymawiał łagodnie i przyjacielsko, inne z rubaszną żartobliwością, inne nakoniec surowo i twardo. Fizyognomia jego takim-że samym, jak głos, ulegała zmianom. Po ustach jego przebiegał uśmiech, to żartobliwy i niemal swawolny, to życzliwy i jakby litośny; ale były także chwile, w których cienko zarysowane brwi młodego więźnia zsuwały się gniewnie i nakazująco, a oczy jego, wlepione w twarz chcącego opierać się towarzysza, nabierały połysków stali, wyrazu uporczywéj i pewnéj siebie siły.

Kiedy wszystkie miski napełnione już zostały, Kaliński podniósł znowu rękę.

— Teraz — zawołał — siadać! jedni za drugimi! naokoło

kotłów! tak!

Usiedli w dwa rzędy, każdy ze swoją miską i łyżką, tworząc tym sposobem wielkie, ściśle zwarte koło. Kaliński został przez chwilę w stojącéj postawie; próżna jeszcze misa stała u stóp jego na kamieniu, on zaś skrzyżował ręce na piersi i powolne spójrzenie toczył po głowach siedzących na ziemi ludzi. Teraz dopiéro, gdy stał tak milczący i sam jeden, po raz piérwszy ogarnąć mogłem wzrokiem w zupełności postać jego i twarz. Wzrost jego był więcéj niż średni, kształty ciała, delikatne i doskonale harmonijne, objawiały przecież niepospolitą fizyczną siłę i sprężystość. Pierś miał szeroką, ramiona dobrze rozwinięte, rękę białą i bardzo kształtną, ale muskularną i dość dużą. Wprzódy już, gdy zdjął szarą sukienną czapkę, w jakiéj był wszedł z ulicy do więzienia, bujne i długie pierścienie włosów kasztanowatego koloru osypały mu białe, pięknie zarysowane czoło, i w obfitych zwojach opadły na gibką i delikatną, z za grubéj siermięgi wydobywającą się, szyję. Oczy jego, w podłużnéj osadzone oprawie, ciemno szaremi źrenicami, niby odłamami błyszczącéj stali, świeciły z pod wydętéj znacznie nad niemi, wązką i ciemną linią brwi zarysowanéj kości czołowéj; na ściągłych zaś policzkach z-za żółtéj bladości znamionującéj dość już długi pobyt w więzieniu, przemocą jakby przebijał się rumieniec młodości, a cienką wargę, porastał ciemny, gęsty puch, zaledwie wykluwającego się wąsa. Pomiędzy grubemi, bez kształtu postaciami, jakie go otaczały, na tle brudnego dziedzińca i posępnych otaczających go murów, piękny chłopak ten wyglądał, jak promień słońca wśród głębokich

ciemności, lub młody i zdrowy dębczak wśród karłowatéj, kalekiéj choiny. Siermięga nawet więzienna, ten brzydki i bezforemny ubiór, nie szpeciła go bynajmniéj; — czy umiał wdziewać ją i nosić inaczéj, niż inni, czy kształty ciała jego były tak doskonale piękne, że żadna odzież zeszpecić ich nie mogła, ale, patrząc na niego, można-by rzec, iż kawał ten szarego, grubego sukna, włożył on na siebie przez żart, lub swawolę chłopięcą i, tak ubrany, przyszedł w to miejsce strachu i utrapień na chwilę tylko, aby potém udać się znowu tam, kędy, pod dachem bogatego szlacheckiego dworu, stała niegdyś kolebka jego, kędy były te wykwinty dostatku, te pieszczoty losu, z pośród których wyniósł on swą gibką, smukłą, zdrową postać, białość swego czoła, cienkość warg młodzieńczych, delikatność ręki, utworzoną miękkiém próżnowaniem młodych pokoleń.

— No, — rzekł po chwili młody więzień, — teraz na mnie koléj.

Przykląkł przed kotłem i, ujmując swą misę, dodał:

— Myśleliście może, iż nie byłem głodny i tak sobie, dla przyjemności, czekałem, aż przyjdziecie do porządku! Bądźcie pewni, że jeść mi się chce jeszcze lepiéj, niż wam, ale cierpiéć nie mogę wrzasków waszych i kłótni... Co za ochota sprowadzać sobie na kark panów strażników i dozorców? czy nie lepiéj samych siebie pilnować? prawda?

— Prawda! — odezwało się kilka głosów, a jeden z nich ciągnął daléj:

— Już-to nie dziwota, że ty, Kaliński, nie lubisz, kiedy ludzie kłócą się i biją... U rodziców twoich było, jak u Pana Boga za piecem, co?

Zjadliwe szyderstwo brzmiało w chrypliwym głosie, i malowało się w cynicznéj fizyognomii więźnia, który wymówił te wyrazy.

— To prawda! — pochwycił inny więzień, brodaty i barczysty, — paniczyk z niego!

— A jednak dostał się tu jakoś pomiędzy nas!

— I chlipie z nami czerwony krupnik!

— I pomaga nam zamiatać turmę!

— A mama i tata nie przychodzą z wizytą!

— Cha, cha, cha!

Słowom tym tłumnie towarzyszył chór grubych, urągających głosów.

Widziałem, jak po czole Kalińskiego przemknął ciemny, szybki rumieniec, oczy jego zagorzały, jak żużle, zwierzchnia warga drgnęła. Był to jednak błyskawiczny, przelotny moment, po którym na twarz jego wrócił uprzedni wyraz, łączący w sobie stanowczość i energią z łagodnością i żartobliwością. Położył łyżkę, którą wprzódy kilka razy podniósł do ust i, tocząc spojrzeniem dokoła, wstrząsał powoli głową.

— Oj ludzie, ludzie! — zawołał, — żebyście wiedzieli, jakie głupstwa i niegodziwości z gęby waszéj wychodzą, tobyście jéj nigdy nie otwierali. A naprzód o rodzicach moich wara wam plaskać językami! który z was piśnie raz jeszcze o ojcu moim albo o mojéj matce, temu tak przypomnę *mores*, że mu gwiazdy w oczach zaświecą!

Ci z więźniów, którzy odzywali się wprzódy, chmurnie spojrzeli po sobie, wzruszyli ramionami, chcieli widocznie odpowiedzieć śmiechem, który jednak nie wydobywał się

na ich usta. Chlipali daléj strawę swą i milczeli. Kaliński poniósł téż parę razy łyżkę do ust, poczém bez żadnego już uniesienia, owszem, żartobliwym i swobodnym tonem, mówić zaczął:

— Co zaś do tego, że jestem paniczem, a pomimo to dostałem się pomiędzy was, święta to prawda. Niéma jednak tu wcale powodu do śmiechu, moi ludzie, ani téż do dokuczania bliźniemu. Świat, to huśtawka, na któréj człowiek kołysze się, i to podleci wysoko, to spadnie nizko. Taki, co sznury od huśtawki mocno w garści trzyma, nie uderzy się o kłodę i nie upadnie nosem w kałużę; ale puść tylko huśtawkę na wolę wiatrów, polecisz w dół, jak piłka, i stłuczesz się na taką miazgę, że cię i rodzona matka kiedyś nie pozna!

— Ot, już zaczął *fiklizować*! (filozofować) — zawołał, śmiejąc się, ponury i brodaty więzień.

— Cicho, Grzegorzu! — ozwała się za nim mała, szczupła, ze zwiędłém ciałem i cierpiącą twarzą, kobiecina, — niech mówi! niech mówi!

— Niech mówi! — powtórzył głos inny, — jak zacznie gadać, to mi się zawsze zdaje, że jestem jeszcze kamerdynerem u pana marszałka, i chodzę koło stołu z serwetą na ramieniu!

Kobiéta, która odzywała się wprzódy, chora widocznie i zgnębiona na ciele i duchu, nic nie wyrzekła więcéj, ale wlepiła w młodego więźnia wzrok uporczywy i mglący się wilgocią. Snadź, gdy patrzała na niego, i jéj także przypominała się chwila jakaś z minionéj, jaśniejszéj przeszłości.

— No, i cóż tam z tą huśtawką? — zagadnęło parę głosów, — mów daléj!

— Dyabelny musiał być wiatr, kiedy taki panicz, jak ty, spadł z téj huśtawki i wpadł tutaj!

Kaliński odstawił na stronę do połowy zaledwie wypróżnioną misę.

— Wiatr, — rzekł, — taki był, jak bywa zawsze na całym świecie, ale nie umiałem sznurów w garści trzymać. Zupełnie to tak było, moi ludzie, jak i z wami. Każdy z was był kiedyś w górze. Nie prawdaż!

— Prawda! prawda! — powtórzyło kilka głosów, pomiędzy któremi dosłyszéć można było parę ciężkich westchnień.

— Otóż widzicie! — ciągnął najmłodszy z więźniów. — Ty, naprzykład, Grzegorzu, byłeś kiedyś gajowym. Przypomnij sobie te czasy, w których ze strzelbą na ramieniu chodziłeś po lesie. Słońce świeciło, brzozy szumiały, ogniste wiewiórki skakały po gałęziach, a kiedy kukułka pierwszy raz zakukała, uderzyłeś się ręką po kieszeni, żeby miedziaki, które tam z rana włożyłeś, głośno zadzwoniły[1]. Porównaj-że dawniejszy twój gaj z tym dziedzińcem, dawniejsze twoje serce z teraźniejszém, a przekonasz się, że nie trzeba śmiać się z ludzi, którzy pospadali z huśtawek!

Były gajowy słuchał słów tych, do niego zwróconych, z razu niechętnie i ponuro, zdawało się, że przerwie mowę młodemu więźniowi, grubiańską jakąś odpowiedzią. Nie uczynił jednak tego; gniewny płomień, rozpalający zapadłe źrenice jego, gasł zwolna; wśród zgrubiałego,

pociemniałego czoła, powstały głębokie zmarszczki. Pochylił głowę i milczał.

Kaliński nie patrzał już na niego. Siedział na ziemi, z rękoma skrzyżowanemi na kolanach, z głową zwróconą, ku innemu więźniowi.

— Albo i ty, Jerzy, — mówił, — czy źle ci było służyć za kamerdynera u pana marszałka? Nie było ci głodno ani chłodno, spałeś 12 godzin na dobę, jeździłeś za pańską karetą i o jutro nie dbałeś. Tęgi był z ciebie chłopak, widać to; a twojaż Anusia, z którą żenić się miałeś? Ej, ej! podobno i chatkę zbudowaliście już sobie na końcu wsi pana marszałka, świetlica widna była i czysto pobielona, Anusia pod oknami pokopała grządki na kwiaty... Wszystko miało być pięknie i szczęśliwie; aż tu — w oczy ci wlazła marszałkowska szkatułka...

Ex-kamerdyner żywo podniósł głowę.

— Paniczu, — rzekł stłumionym głosem, — znaliście mię na dworze pana marszałka, i widzieliście téż Anusię! powiedzcie, czy mogliście myśléć wtedy, że będę tutaj...

— Ho, ho! — kochanku! — zawołał Kaliński, — a tyżeś mógł kiedy przypuścić, że ja tu będę?

Ex-kamerdyner wstrząsał głową i spoglądał na tego, którego nazywał paniczem, z dziwnym wyrazem, w którym poczucie nierówności stanu i niechęć topiły się w politowaniu i rozrzewnieniu.

Całéj rozmowy téj słuchałem z najżywszém zajęciem. Ujrzałem w części przyczynę wpływu, wywieranego przez młodego więźnia na tych zgrubiałych i ponurych ludzi. Grał on na sercach ich, poruszając ukryte w nich struny

wspomnień. To, co im przypominał w niewyraźnych zarysach, tkwiło we własnéj ich myśli, napełniało ich sny, ścigało wyobraźnią; on przyoblekał w słowo marę przeszłości, któréj żałowali, dopomagał im do sformułowania tęsknoty, która nurtowała i gryzła występne, lecz zawsze człowiecze, ich piersi. W mowie jego słyszeli głosy własnych uczuć i słuchać go lubili. Był to ze strony młodego człowieka dowód niepospolitéj przenikliwości i zręczności w ogarnieniu władzy nad ludźmi.

Po chwili przecież, w drugim szeregu siedzących na ziemi ludzi, podniosły się krzyki i swary. Jedna z kobiét uwięzionych zapuściła rękę do kotła jednocześnie z siedzącym obok niéj mężczyzną. Ten odepchnął ją, ona się ofuknęła; mężczyzna podniósł nad głową jéj rękę, uzbrojoną w łyżkę, inni przyłączyli się do niego, kobiéta broniła się i krzyczała, czém jątrzyła bardziéj napastników. Kaliński żywo obrócił głowę w stronę zwaśnionych.

— A to co ma znaczyć? — wymówił, — chcecie bić Justynę! wstydźcie się, wszak to dama!

Podniósł się, i wyciągnął rękę w stronę rozgniewanych towarzyszy. Wyraz twarzy jego nie był przecież groźny ani surowy, owszem, żartobliwy uśmiech przewijał mu się po ustach.

— Słuchajcie! — zawołał donośnym swym i, jak dzwonek, dźwięcznym głosem, — szacunek dla dam!

Słowa te, a szczególniéj ostatnie, dziwnie musiały zabrzmiéć w uszach więziennego zgromadzenia. Treść i forma wypowiedzianego rozkazu wydać się musiały obecnym nader komicznemi. Komiczność tę wzmagał

wyraz twarzy mówiącego, w którym baczne oko dostrzedzby mogło smutne szyderstwo, ale nie okrzesane umysły widziały tylko swawolną pustotę. Człowiek, podnoszący przed chwilą pięść na sąsiadującą z nim kobiétę, opuścił rękę; szeroko otwarte oczy utkwił w mówiącego, kilka głosów zaśmiało się, Kaliński śmiał się także, śmiał się głośno, opierając dłonie na biodrach i przechylając się w obie strony. Czy śmiech ten jego szczerym był, czy téż może za pomocą jego chciał on tylko w towarzyszach swych poruszyć i w grę wprawić strunę rubasznéj wesołości? trudno było powiedziéć na pewno. Zauważyłem, że wśród śmiechu brwi więźnia drgały i zsuwały się, jakby w uczuciu dolegliwego bólu; ale gdy kłótnia, jakby za dotknięciem magicznéj różdżki, ustała, gdy wszystkie te grube, ponure lub zbolałe twarze, które go otaczały, utraciły na chwilę wyraz groźny i ponury, oczy jego błysnęły jak stal pod słońcem, szerokie odetchnięcie zakołysało piersią...

Byłem pewny, że w chwili téj doświadczyć musiał uczucia tryumfu, podobnego temu, jakiego doznaje poskramiacz dzikich zwierząt, gdy uda mu się głosem swoim lub potęgą wzroku zagłuszyć wycie i złagodzić srogość hodowanych przezeń tygrysów i hyen.

Siedzący obok mnie dozorca spostrzegł zajęcie z jakiém przypatrywałem się zachodzącym na dziedzińcu scenom.

— Tak bywa zawsze! — rzekł do mnie z cicha, — odkąd on tu jest, ja i straż więzienna nigdy prawie nie potrzebujemy wdawać się między więźniów. Od pierwszego zaraz dnia pobytu swego tutaj, zaczął on ich wodzić na sznurku, a choć niektórzy z nich drwią z niego

czasem i próbują mu dokuczać, jak tylko odezwie się, milkną zaraz i słuchają go z pootwieranemi ustami. Kobiety szczególniéj przepadają za nim, i posłuszne mu są, jak dzieci. Broni on ich zawsze od napaści towarzyszy, a gdy tylko zbiorą się koło niego, opowiada im różne jakieś dziwaczne historye, których ja, prawdę rzekłszy, nie rozumiem nawet dobrze, ale które trafiają widać do ich przekonania, bo nieraz widziałem, jak zanosiły się od śmiechu, a parę razy spotrzegłem niektóre z nich płaczące...

— Powiedz mi pan, — przerwałem, — czy podobne wpływanie na więźniów polecone mu, lub nakazane przez kogo zostało? albo czy odnosi z niego jaką korzyść?

— Bynajmniéj — odparł dozorca — zdarza się czasem wprawdzie, że dla ulżenia sobie lub nawet dla dobra i spokojności samych więźniów, wybieramy z pomiędzy nich najenergiczniejszych i pozornie przynajmniéj najlepszych, polecając im, aby dozorowali towarzyszy, zapobiegali kłótniom i wzajemnym krzywdom, wskazywali nam nakoniec tych, którzy okażą się najbardziéj nieposłusznymi i zepsutymi. O powierzaniu przecież Kalińskiemu podobnych czynności nikt i nie pomyślał. Sądziliśmy przeciwnie, że, jako szlachcic i, według ogólnego wyrażania się więźniów, *panicz*, jako przytém najmłodszy i z pozoru najsłabszy, znosić on będzie od towarzyszy najwięcéj dokuczań i że go przed nimi nam bronić przyjdzie. Stało się przeciwnie. Zapytywałem go raz, dlaczego tak nieustannie czuwa nad więźniami, godzi ich, zajmuje, śmieszy, komenderuje słowem nimi, jak dowódzca żołnierzami. Powiedział mi, że czyni to dla własnéj

przyjemności. Mnie się zdaje, że bez tego umarł-by on tu chyba. Nie uwierzy pan bowiem, co to za iskra z tego chłopca! Rusza się wciąż po więzieniu jak żywe srebro, chodzi, gada, opowiada, gestykuluje. Jestem pewny, że gdyby można zmierzyć kroki jego, które od rana do wieczora uczyni, ruszając się wciąż po tych dwóch dziedzińcach, wyniosły-by dziennie dobrych mil kilka.

Słowa te dozorcy dały mi wiele do myślenia. Miałem widocznie przed sobą jednę z tych rzadkich i niebezpiecznych natur, które albo podnoszą ludzi na najwyższe szczyty, albo strącają ich w najgłębsze otchłanie, ale dla których środka niéma.

Na dziedzińcu więziennym spożywanie obiadu było już ukończone. Jedni z więźniów z ciężkiém stęknięciem powstali z ziemi i w ponurém milczeniu postępowali ku szarym ścianom gmachu, pod któremi leżały przedmioty ręcznych ich zajęć: na-pół uplecione maty ze słomy lub kosze z łozy; inni zostali na uprzednich swych miejscach i zapuszczali w głębią wypróżnionych kotłów wzrok, w którym znać było głód, niezupełnie zaspokojony; trzech czy czterech wyciągnęło się na wilgotnych kamieniach, z rękoma rozpostartemi bezwładnie i twarzami zwróconemi ku kawałkowi szarego nieba; dwie kobiety, blizko do siebie przysunięte, szeptały z cicha, wzdychając i chichocąc na przemian; dwie inne siedziały z łokciami opartemi na podniesionych kolanach i, ukrywając całkiem twarze w ciemnych grubych rękach, kołysały się z wolna niby w takt nurtujących, je głęboko tajemnych rozmyślań.

Kaliński siedział przez chwilę odosobniony i milczący, z

łokciem opartym o brzeg kotła i brodą złożoną na dłoni. Znać jednak było, że ciało jego tylko pozostawało nieruchomém, myśl zaś i wyobraźnia pracowały. Oczy jego szczególniéj zwróciły w téj chwili moję uwagę: przelatywały one z przedmiotu na przedmiot z chyżością, nadawaną im zapewne pędzącym przez głowę prądem myśli; ślizgały się niedbale po wilgotnych murach, przebijały wzrokiem czarne okratowane okienka, z uwagą i skupieniem ogarniały jednę po drugiéj postacie więźniów; z rodzajem swawolnego uśmieszku w źrenicach tonęły w twarzach stojących u bramy żołnierzy; zawieszały się na sterczących ich bagnetach; podnosząc się w górę, płynęły kilka sekund z popielatym obłokiem, sunącym po białém tle, i opadały na bruk dziedzińca, przeskakując z kamienia na kamień, zdając się pytać o coś, to uśmiechać się z czegoś, to myśléć nad czémś niespokojnie a uparcie. Cienkie wargi młodego więźnia otwierały się kilka razy, wydając parę skocznych taktów bez słów, lub składały się do gwizdania hulaszczéj piosenki; lecz w mgnieniu oka zwierały się znowu, zamknięte nadbiegłą jakby nową jakąś myślą.

— Zawołaj go pan teraz do parlatoryum — rzekłem dozorcy i wszedłem do otwierającéj się z bramy małéj izby, którą okratowane, wysoko umieszczone okno, w ciągłym pozostawiało mroku. Całém umeblowaniem izby téj była drewniana ława, ciężki grubéj roboty stół i parę stołków.

Usiadłem na ławie i oczekiwałem przybycia nowego mego klienta. Z dziedzińca doszedł mię nagle powstały gwar głosów. Ludność więzienna, nie wiedząc, w jakim

celu wołano jéj ulubieńca, sprzeciwiała się snadź jego odejściu. Dozorca mówił coś surowo i nakazująco, ale gwar nie ustawał, gdy u wejścia do bramy usłyszałem głos Kalińskiego.

— Hej dzieci! — zawołał — cicho mi być zaraz! Toć nie na szubienicę prowadzą mnie! ktoś tam przyszedł do mnie; rozmówię się z nim i powrócę, a wtedy taką wam bajkę powiem, że popękacie od śmiechu! — Niesforne wrzenie brutalnego i nieokiełznanego żywiołu, napełniającego dziedziniec, stopiło się na głos ten w głuchy i przyciszony szmer.

Do parlatoryum wszedł młody więzień. Za nim ukazał się dozorca, nie wszedł jednak, ale, rozejrzawszy się tylko bacznie po izbie, cofnął się wnet, szczelnie za sobą drzwi zamykając.

Kaliński, pozostawszy sam-na-sam ze mną, zatrzymał się o kilka kroków od progu; oczy jego, ostygłe w téj chwili i nieufne, przez parę sekund zatapiały się w mojéj twarzy.

Ze sztywności, jaką nagle okryły się tak ruchome przedtém jego rysy, i z nieufności, malującéj się w spojrzeniu, pojąłem, że dorozumiewał się we mnie sędziego lub innéj jakiéjś urzędowéj figury, przybyłéj dla badania go w celach dla niego nieprzyjaznych.

— Panie Romanie! — ozwałem się, powstając i postępując ku niemu parę kroków. Nazwałem go po imieniu nie po nazwisku, sądząc, że złagodzę przez to wyobrażenie jego o tym urzędowym charakterze, który go ode mnie odstraszał. Przytém, dźwięk głosu mego, wprawnego w przemawianie do podobnych mu nieszczęśliwych ludzi, nie

musiał mu się wydać przykrym, bo sztywne rysy jego poruszyły się znowu, zimne źrenice jaśniejszym drgnęły blaskiem.

Uderzony snadź myślą jakąś, czy przypuszczeniem, żywo postąpił ku mnie.

— Czy pan przychodzisz od rodziców moich? — zapytał się szybko i wpatrzył się we mnie wzrokiem, w którym widać było niepokój i oczekiwanie.

— Rodziców pańskich nie znam i nie oni mię tu przysłali; — odpowiedziałem.

— Nie oni — ciszéj i spuszczając nagle powieki, rzekł młody więzień; — nie oni — powtórzył, mówiąc jakby do siebie — naturalnie! zkądże-by się to im wzięło raptem!

Gdy wyrazy te cichym lecz gwałtownym szeptem poruszały jego wargami, zauważyłem, że zęby jego silnie były zwarte, czoło zaś sfałdowało się w takie liczne i skrzyżowane ze sobą zmarszczki, że całą fizyognomią jego uczyniło nagle o dwadzieścia lat starszą. Podniósł oczy, w których ujrzałem nowy promień nadziei.

— Więc może to stryj mój przysłał tu pana?

— Nie widziałem oddawna stryja pańskiego — odrzekłem znowu, przyglądając się mu bacznie.

Przygryzł wargę do krwi, gwałt gniewu czy bólu buchnął mu przez oczy ostrym płomieniem i bladą twarz oblał ciemnym rumieńcem.

— A więc czegóż pan chcesz ode mnie! — zawołał popędliwie.

— Jestem pańskim obrońcą prawnym i przyszedłem dla pomówienia z panem o szczegółach sprawy któréj bronić

mam przed sądem.

Patrzał na mnie szerzéj, niż zwykle, otwartemi oczyma. Widoczném było, że nie zrozumiał wcale znaczenia mych wyrazów.

— Domyśliłem się od razu, że pan jesteś urzędnikiem — rzekł.

— Nie jestem bynajmniéj urzędnikiem — odpowiedziałem — jestem pańskim obrońcą.

— Cóż to takiego ten obrońca? — zapytał, orzucając mię od stóp do głowy nieufnemi i niespokojnemi spojrzeniami. — Czego pan żądasz ode mnie? co pan ze mną masz uczynić?

Nie miał widocznie najmniejszego pojęcia o znaczeniu obrony sądowéj i stosunku adwokata względem przestępcy.

— Usiądź pan i posłuchaj mię — rzekłem łagodnie — wytłómaczę ci, dlaczego tu jestem, co dla ciebie uczynić mogę i powinienem.

Usiadł naprzeciw mnie na stołku i utkwił w twarzy mojéj oczy, w których niedowierzanie walczyło z ciekawością. Najjaśniéj, jak tylko mogłem, skreśliłem przed nim główne zarysy procedury sądowéj, podział i rodzaje czynności sędziów, prokuratora i obrońcy, znaczenie nadewszystko jak téż obowiązki tego ostatniego, i ścisłą w danéj chwili solidarność interesu klienta i adwokata.

Z niejakiém zdziwieniem zauważyłem, że wszystko, com mówił, było dla słuchacza mego najzupełniej obce i nieznane. Słuchał mię on z natężoną uwagą, od czasu do czasu tylko przerywając mi pytaniami, objawiającemi głęboką nieświadomość najpotoczniéjszych interesów

publicznych, tyczących się spraw i faktów. Kiedym wspomniał o zadaniu prokuratora, podniósł głowę i z najkompletniejszą naiwnością zapytał:

— Pocóż to on, proszę pana, potrzebny? naco mu się przydało napadać na ludzi i oskarżać ich? od czegóż są sędziowie?

Zaledwie jednak zacząłem wyjaśniać mu ustawę, o któréj nic wcale nie wiedział, spostrzegłem, że rozumiał mię szybko i wybornie, odgadywał nieledwie myśl moję, akt pojmowania, odbywający się w bystrym jego umyśle, objawiając potakującém wstrząsaniem głową. Kiedym nakoniec, zwracając się do głównego założenia mowy mojéj, powiadał mu, czém jest i być powinien obrońca przestępcy, wpatrywał się we mnie z podwójną uporczywością, i ze wzbudzoną na nowo niewiarą.

— Dla czegóż pan — zapytał ze zwykłą sobie porywczością — podejmujesz się bronić ludzi, zupełnie obcych ci i nieznanych? czy wierzysz zawsze, że oni niewinni, a jeśli wiész, że winni, czy nie gardzisz nimi?

— Czynię to dlatego — odpowiedziałem — że to jest obowiązkiem mego zawodu, że, dopomagając sędziom do ujrzenia sprawy szczegółowo i wszechstronnie, obronić mogę od niesłusznych podejrzeń oskarżoną niewinność, albo téż winę, jeśli ta istnieje, ukazać w istotném świetle. Nie gardzę zaś nikim, sąd bowiem i potępienie występnego człowieka nie do mnie należą; powinienem tylko poznać dokładnie naturę występku jego i to, co go spowodowało, aby z przeszłości jego, z uczuć i intencyi, z okoliczności towarzyszących nieszczęsnéj chwili, nie upuścić żadnego

źdźbła, żadnéj, by najdrobniejszéj, okruchy, która-by na jego stronę przeważyła szalę sprawiedliwości, umniejszyć mu mogła hańby i ulżyć pokuty.

Kiedy przestałem mówić, milczał chwilę, pogrążony w głębokim namyśle. Potém, nie patrząc na mnie, zapytał:

— A jeżeli obwiniony wyzna wszystko przed obrońcą, czy nie zdradzi go przed sędziami? nie powié im wszystkiego, co usłyszy?

— Nie — odparłem — podobnego postępku wzbrania obrońcy prawo, sumienie, a nawet, własny jego interes.

— To prawda! — zawołał z wyrazem przekonania. — boć przecie, jeśli dowiedziesz pan, że jestem niewinny, albo żem winny mniéj, niż sądzono, będzie to dla pana tryumf i chluba.

— Będzie to dla mnie uczciwe spełnienie obowiązku — odrzekłem z powagą.

— Więc pan naprawdę bronić mię będziesz przed sądem? — zapytał po chwili.

— Bronić cię będę z najwyższém pragnieniem, aby słowo moje odwróciło od ciebie tę przyszłość, wśród któréj niéma już żadnego ratunku, żadnéj nadziei...

Podniósł nagle spuszczone dotąd powieki i całém ciałem uczynił taki ruch, jakby usłyszał coś zupełnie dla siebie niespodziewanego.

— Żadnego ratunku, żadnéj nadziei! — zawołał z trochą urągliwego niedowierzania. — Czy straszenie więźniów należy także do czynności ich obrońców?... wiem dobrze, iż u nas nie ścinają ludzi i nie wieszają.

— Ale posyłają ich do ciężkich robót — rzekłem. — Czy

pan ma wyobrażenie o tym rodzaju kary?

Patrzał na mnie teraz szeroko otwartemi oczyma.

— Mam, mam wyobrażenie o tém — wymówił szeptem prawie — wiem, wiem! w kopalniach, w fabrykach, z młotem albo przy taczkach... długo... długo...

— I nigdy się już nie wraca tam, gdzie się urodziło, — dodałem.

Patrzał na mnie, ale szklanemi oczyma. Myśl jego była snadź w téj chwili daleko od téj izby, w któréj znajdowaliśmy się obaj; była ona zapewne przy owych taczkach, o których mówił, a także i w tém miejscu rodzinném, o którém ja mówiłem mu, że do niego nigdy nie wróci.

— Panie, — rzekł po chwili, — wierzę ci, że będziesz mię bronił z najżywszém pragnieniem, aby odwrócić odemnie tę... tę przyszłość...

Powtarzał słowa moje, które mu snadź utkwiły w pamięci; potém, z nowym wybuchem porywczości, zapytał:

— Cóż więc chcesz pan wiedzieć?

— Chcę wiedzieć prawdę, prawdę zupełną, — rzekłem, — inaczéj nie będę mógł udzielić ci pomocy skutecznéj.

Milczał i siedział nieruchomy. Skąpe światło, wpływające do izby przez wysokie okratowane okno, padało na niego z tyłu. Twarz jego, pogrążona w półcieniu, stawała się coraz bielszą; uchodził z niéj ten nawet słaby rumieniec, któremu młodość i zdrowie fizyczne nie pozwoliły dotąd zniknąć całkowicie, nawet wśród więziennych murów i wewnętrznych udręczeń.

— A więc... — zaczął, ale usta zadrgały mu gwałtownie i

głos ustał w gardle. Porwał się z miejsca i, podniósłszy obie ręce, ścisnął niemi czoło.

— A! — zawołał, — niech się już stanie, co chce! Nikt nie przybywa mi z ratunkiem! nikt nie przyszedł tu ani razu, aby przynajmniéj pogładzić mię tak, jak dobry pan gładzi psa, który zdycha! Daremnie czekałem, daremnie spodziewałem się! Myślałem, że ktokolwiek z nich, choćby jedna dusza dobra, zlituje się nade mną! przyjdzie, pomoże, a choćby, jak słudze, który oddala się z domu, „bądź zdrów” powié! A jednak jest ich tam tylu! a jednak... niech Bóg mię skarze, jeśli w tém wszystkiém i ich także roboty niema! pan jesteś obcym dla mnie człowiekiem! przyszedłeś tu z obowiązku! jestem dla pana tém, co i żebrak, któremu dajesz złotówkę, aby z głodu nie umarł! ale chcesz mię bronić, będziesz mię bronił! Niech już co chce stanie się, powiem!

Był to prawdziwy potok wyrazów, który lał się przez usta jego z saméj głębi piersi, gwałtownie kołysanéj wrzącemi falami goryczy i żałości.

Zawahał się chwilę jeszcze, potem porywczym krokiem przystąpił do mnie bardzo blizko.

— Tak! — rzekł, — ja go... ja go...

Wyraz, który wymówić miał, dławił go i wywierał na niego wpływ obezsilniający; zachwiał się, rękę oparł o stół.

— Ja to uczyniłem, — dokończył raptem prawie, poczém upadł raczéj, niż usiadł, na stołek i w obu dłoniach ukrył twarz tak rozpaloną, że gorąco jéj i gorąco przyśpieszonego jego oddechu czułem na twarzy méj i ręku.

Przez parę minut panowało pomiędzy nami zupełne

milczenie. Ów raźny, młody chłopak, którego sprężystość, energią i pyszną jakby niedbałość o nic, spostrzegałem z zadziwieniem przed kilku kwadransami, przeobraził się w téj chwili w dziwny sposób. Czyn jego, przyobleczony w wyrazy własnego jego wyznania, stanął snadź przed nim w całéj grozie, zatrzął jego sumieniem, na czoło rzucił mu płomienie wstydu i pierś owinął palącym wężem zgryzoty. Siedział on teraz przede mną nieruchomy, niemy, mieniący się płomienną purpurą i śmiertelną bladością.

Po chwili dłonie jego odpadły mu od twarzy, podniósł żywo głowę i pochwycił mię za rękę.

— Jestem bardzo młody! — zawołał. — Oni nie mogą tak srogo mię karać, nie prawdaż? będą mieli wzgląd na młodość moję, na to, że mi trzeba żyć tak długo jeszcze... tak długo!...

— Niestety! — rzekłem, — długa zapewne przyszłość leży przed tobą. Ale... skończyłeś lat 18, prawo może już stosować do ciebie kary najsroższe.

— Czy ten człowiek... ten, który-to obwinia i oskarża, powiedział już, co ze mną uczynić mają?...

— Można, — rzekłem, — z góry przewidzieć, co powié on; oto, — dodałem, — jaką karę wyznacza prawo za taki, jak twój, występek.

Wypadkiem, miałem przy sobie jeden, z tomów Kodexu Karnego, i podałem mu go teraz, wskazując artykuł, którym prawo orzeka o zabójstwach, dokonanych z zamiarem rabunku. Pochwycił z rąk moich książkę, zbliżył się do okna i półgłosem czytać zaczął wskazany mu okres. Jakkolwiek chciwie czytał, szło mu to jednak z trudnością.

Zatrzymywał się nad niektóremi wyrazami, inne przekręcał, a zgłoski, złożone z większéj nieco niż zwyczajnie ilości liter, musiał nieledwie syllabizować... Spostrzegłem, że chłopek ten, który przed chwilą objawił mi kompletną nieznajomość najelementarniejszych spraw i pojęć społecznych, zaledwie umiał czytać. Umysł jego był widocznie pozostawiony odłogiem. Skończył czytanie i zwrócił na mnie wzrok zdziwiony.

— Ależ, — zawołał, — tu napisano jest o rabunku, okradzeniu, a jam przecie rabować ani kraść nie chciał.

— Być może, — odpowiedziałem, — wierzę ci nawet, że tak było, ale dlatego, ażeby wiara moja stała ci się przydatną, trzeba, abym nią natchnął innych... Dostarcz mi dowodów, że to, co mówisz, jest prawdą, opowiédz mi całe życie swoje, wszystko co było przed ową chwilą fatalną, wszystkie uczucia, wypadki i okoliczności, które ją sprowadziły.

— Dobrze, — rzekł, siadając, — powiem panu wszystko, jak księdzu na spowiedzi.

Podobne wyrażenia, wpół dziecinne, wpół ludowe, mieszały się w mowie jego z innemi, które, poprawniejsze i wytworniejsze, znamionowały w nim dziécię wyższéj towarzyskiéj sfery. Taką to mową, złożoną ze słów naiwnych i nieokrzesanych, lub gładkich i trafnych, opowiadał mi historyą, krótkiego swego życia. Piérwsza jéj połowa dość była zwyczajna. Wraz z braćmi i siostrami hodował się na wsi. Miał bonę Francuzkę, i do lat 12 guwernera Francuza. — *Je parle francais, Monsieur!* — rzekł z uśmiechem, w którym dojrzałem nieco ironii, — *je*

touche un peu le piano et dans le temps je dansais comme un ange!

Ów czas, w którym tańczył jak anioł, był czasem, w którym uczęszczał do progimnazyum w powiatowém miasteczku, sąsiadującém z dobrami jego rodziców. Miał lat 15, kiedy, skończywszy trzy progimnazyalne klasy, wrócił pod dach ojczysty wraz ze starszym bratem, Julkiem, który skończył klas pięć. Julek, — mówił, — kochał się przez ten czas w dwudziestu przynajmniéj dziewczętach i wylewał na siebie codzień butelkę perfum. Co do mnie, nie cierpię perfum i włosów nie fryzowałem nigdy, ale przez całe trzy lata kochałem się na zabój w Zochnie Burakowiczównie i, przesiadując u ojca jéj, który był cukiernikiem i zarazem restauratorem, bawiłem się bardzo wesoło z kolegami, a nawet i z urzędnikami. Umiem téż tak grać w bilard, że, proszę pana, niech się wszyscy markierzy pochowają przede mną...

— Grywałeś téż zapewne i w karty? — przerwałem.

— Grywało się i w karty, — odpowiedział, — ale niewiele. Nigdy bardzo kart nie lubiłem, bo trzeba przy nich siedzieć, a we mnie, proszę pana, siedział zawsze jakiś szatan i rzucał mię we wszystkie strony. Jak tylko, bywało, położę się, albo siądę, taka mię ogarnia nuda, że poszedłbym choć do piekła, byle tylko gdzieś iść, czegoś słuchać, na coś patrzéć, choćby, proszę pana, palić się w smole piekielnéj, byle tylko coś czuć... Julek, brat mój, mógł całemi godzinami siedzieć przed lustrem, albo leżéć do góry brzuchem i, jak mu nikt nie przeszkadzał, regularnie ufryzować włosy; jak miał smaczny obiad i mógł wyspać

się dobrze po obiedzie, a wieczorem poumizgać się do dziewcząt, to był już najszczęśliwszym... Ja, panie, nigdy przed lustrem nie siadywałem, bo i co tam ciekawego, patrzéć na własną swoję fizyognomią? spać nigdy nie mogłem więcéj, jak pięć godzin na dobę, a zdarzało się czasem, że po dwa i trzy dni, prócz chleba i wody, nic w ustach nie miałem... nie mogłem jeść, bo mię coś we środku paliło, i jak siadłem do stołu, wprost podnosiło z krzesła...

Nie zdawał sobie jasno sprawy z siły w nim działającéj, ale ja pojąłem wybornie, czém ona była. Ów szatan, o którym mówił, że siedział w nim i rzucał go na wszystkie strony, była to krew wrząca, myśl bujna i niespokojna, nerwy nieustannie wrażeń łaknące, wyobraźnia ognista. Z bogatych i zarazem niebezpiecznych żywiołów tych, składających się na charakter namiętny, rzutny i wiecznie czynny, powstać może bohater, zarówno jak zbrodniarz. Dlaczego młody chłopak ten, w tak wczesnéj porze swego życia, nie wzrastał dopiéro i nie rozwijał się na bohatera, ale był już zbrodniarzem? Na to wewnętrzne pytanie moje znalazłem odpowiedź w słowach więźnia.

— Nudziłem się, proszę pana, w domu tak, że mi życie było niemiłe. Bo co téż tam, panie, za życie? Ojciec albo poluje po całych dniach i tygodniach, albo drzemie i fajkę pali, albo z sąsiadami gra w preferansa; matki i starszéj siostry nigdy w domu niéma, — jeżdżą po sąsiedztwie i do krewnych, których mamy huk wielki; Julek sypia do 12, potém fryzuje się, perfumuje i jedzie tam, gdzie są bogate panny, bo on, proszę pana, chce bogato ożenić się; młodsza siostra, Jadwisia, dobra dziewczyna, ale przy guwernantce

jeszcze, pół dnia dudni na fortepianie, a drugie pół dnia razem ze swoją guwernantką romanse czyta. Jak pobyłem tam rok, tak mi życie zbrzydło, że chciałem powiesić się; ale rozmyśliłem się i z Michałkiem, synem naszego ekonoma, pojechałem do miasteczka, gdzie bawiłem dwa tygodnie. Bardzo mi tam było wesoło i od tego czasu, jak tylko znudziłem się, wiedziałem już, co mam robić. Biéda była tylko z pieniędzmi; w bilard i w karty to wygrało się, to przegrało, ale w karty przegrywałem jakoś częściéj, bo grałem, nie myśląc, paliły mi się ręce i nie wiedziałem często sam, co robiłem i mówiłem. Sprzedałem raz zegarek, drugi raz frak...

— Miałeś więc już frak? — zapytałem.

Miał lat 16 i posiadał już dwa fraki, w których z bratem Julkiem ukazywał się czasem na wieczorach sąsiedzkich.

Sprzedał oba fraki i dwie eleganckie bonżurki, potém żył w miasteczku ze sprzedaży jakiegoś złotego pierścionka.

— Bielizny — rzekł, — miałem zawsze bardzo mało, więc jéj nie sprzedawałem; ale gdy nic już do sprzedania nie miałem, pożyczyłem u znajomych Michałka kilkadziesiąt rubli... Tak sobie zresztą jakoś dawałem rady, że trzy miesiące na rok mieszkałem w domu, a dziewięć w miasteczku. Nie było mi i tu bardzo dobrze; czasem taki jakiś żal mię ogarniał, że szedłem w pole, rzucałem się na ziemię i płakałem całemi godzinami.

— I cóżeś myślał wtedy, kiedy cię taki żal zdejmował?

— Sam nie wiem, panie. Zdawało mi się, że tam het precz daleko, za lasami i górami, jest jakiś świat szeroki, światły, piękny, którego nie znam, a na którym lepiéj być

musi ludziom, niż mnie było w miasteczku... Jadwisia przeczytała mi raz z książki o tym włoskim generale, pan wié, o tym sławnym, jak się to on nazywa? a! Garibaldi! Otóż jak mi Jadwisia o nim przeczytała, to chodziłem dwa dni jak nieprzytomny i myślałem, że zwaryuję...

— Czy tak pragnąłeś czynić to, co czynił Garibaldi?

— Ah panie! — zawołał, — jaki to był szczęśliwy człowiek! Jestem pewny, że nie nudził się nigdy!

Wyraz: *nuda*, powtarzał się wciąż w mowie jego, niby zwrotka, tłómacząca mi treść téj smutnéj pieśni życia, któréj słuchałem. Chciałem przecież sięgnąć do głębi rzeczy.

— Dlaczegóż, — rzekłem, — zamiast jechać do miasteczka, nie zająłeś się czémś? nie robiłeś czego w domu lub za domem?

— A cobym ja, proszę pana, miał robić? — zapytał mię wzajem ze szczerém i głębokiém zdziwieniem.

— Mogłeś, naprzykład, pomagać ojcu w gospodarstwie.

Zdziwienie jego zwiększyło się.

— Alboż to mój ojciec zajmuje się gospodarstwem? — zawołał.

— Więc może zajmuje się niém brat twój? w takim razie należało pomagać bratu.

— Julek! Julek miał-by gospodarować!

Śmiał się, mówiąc to, jakby z przypuszczenia zupełnie nieprawdopodobnego.

— Jakto? — rzekłem, — nikt więc w majątku rodziców twoich nie trudni się gospodarstwem?

— A ekonom? — wyrzekł młody chłopiec z takim

wyrazem, jakby wypowiadał fakt tak zwyczajny, iż nie pojmował, jakim sposobem mogłem nie wiedzieć o nim.

Coraz jaśniéj spostrzegałem treść zjawiska i coraz ciężéj było mi na sercu.

— A więc, — rzekłem, — jeżeli myśl o gospodarstwie nie przyszła ci nawet do głowy, czyż nie po myślałeś nigdy o tém, aby ukończyć szkoły, pojechać na uniwersytet, wybrać sobie jaki zawód, który-by wymagał od ciebie ciągłéj czynności i uwolnił cię przez to od nudy, któréj tak nie znosisz.

— A jakiż to mógł być zawód? — zapytał.

— Mógł-byś zostać lekarzem, prawnikiem, technikiem, inżynierem, może zresztą byłbyś literatem, albo, ponieważ lubisz ciągły ruch i wrażenia, uczonym podróżnikiem.

Patrzał na mnie szeroko roztwartemi oczyma. Widziałem, iż na ustach jego drgała odpowiédź, że był synem obywatelskim; ale wrodzona bystrość i pojętność nie pozwoliły mu wydać się z tym niedorzecznym komunałem, który jednak z otaczającéj go atmosfery przeszedł w jego umysł i zarył się w nim głęboko. Zapytał mię więc tylko o znaczenie tych wszystkich zawodów, które wymieniłem. Wiedział dobrze, czém jest i co pełni doktor, stan i powinności prawnika poznał w części z uprzedniéj rozmowy ze mną, inżyniera i technika w bardzo już bladém i niepewném spostrzegał świetle; ale co się tycze uczonych podróżników, ci przedstawiali mu się w kształcie mitycznych figur, przypominających, niezapomniane jeszcze i główne tło edukacyi jego stanowiące, bajki piastunek.

Wahałem się chwilę z odpowiedzią na pytania, które zadawał z płonącemi ciekawością oczyma. Nie wiedziałem, czy uczynię dobrze, błyskając przed wzrokiem tego nieszczęśliwego i zhańbionego chłopca obrazami owych rozlicznych i świetnych dróg téj ziemi, na których ludzie znajdują szczęście i cześć. Pomyślałem przecież, iż powinienem dotrzéć do gruntu uczuć jego, zbadać dokładnie, do jakiego stopnia umysł jego nierozwinięty był, i do jakiego zatruty złemi nałogami i naleciałościami tego smutnego życia, o jakiém mi opowiadał. W krótkich i jasnych wyrazach zacząłem mówić o tym olbrzymim warsztacie, przy jakim pracują miliony robotników, każdy na swój sposób, wedle sił i potrzeb swoich. Nie przerywał mi niczém; widziałem tylko, że słowa moje zajmowały go niezmiernie, że chłonął je nieledwie z chciwością, że wywijał z nich całe szeregi nowych dla siebie pojęć, że wyobraźnia jego, szybka, rzutna, ognista, kreśliła na ich tle obrazy, niezbyt może blizkie prawdy, ale nęcące go, nakształt owych nieznanych, szerokich, jasnych krain, o których marzył, leżąc za ścianami brudnego miasteczka, wśród nagiego pola, i płacząc z pracującéj w nim, tajemniczéj tęsknoty. Kiedym przestał mówić, milczał jeszcze chwilę i oddychał prędko. Potém uczynił ręką giest gniewu i zniechęcenia. — Pal ich dyabeł! — zawołał rubasznie, — tych wszystkich mądrych ludzi, którzy tak dobrze trzymają w garści sznury od swych huśtawek! Mnie téj mądrości nikt nie nauczył! Leciałem, gdzie wiatr niósł, i spadłem na złamanie karku!

Wyrazy jego tchnęły grubijańskim obyczajem miejsc, w

których pędził niezajętą, wrażeń i ruchu spragnioną, młodość swą; lecz jakże wielką wypowiadał niemi prawdę! Nie posiadł, nie dano mu wielkiéj nauki trzymania w silnéj dłoni wodzy życia i czynów, leciał tam, dokąd niósł go wicher nieokiełzanych niczém i ku żadnemu wyraźnemu celowi nie skierowanych namiętności!

— Zaciągałem długi, — mówił daléj, — żydzi, oficyaliści, towarzysze zabaw moich u Burakiewicza, pożyczali mi pieniędzy, pewni, że zwrócone im one będą przez mego ojca. Ukrywało się to jakoś z rok, czy więcéj; ale potém ojciec dowiedział się o tém, długi zapłacił, ale krzyku na mnie wielkiego narobił. Pół dnia gadał mi o tém, że mu wstyd czynię, że jestem wyrodném dzieckiem, głupcem, łotrem, że odtąd ani grosza już nie zapłaci nikomu, jeśli-bym jeszcze u kogo pożyczał, że wyrzecze się mnie, wydziedziczy, w gazetach mię ogłosi...

— I, powiedziawszy to wszystko, — przerwałem, — co ojciec twój uczynił?

— A cóż miał czynić? — odrzekł, — zjechało się tego dnia wielu sąsiadów, pojechali do lasu na polowanie, potém, wróciwszy, całą noc jedli, pili i w preferansa grali.

— A matka? — zapytałem, — pewno płakała, dowiedziawszy się o złém twojém postępowaniu, i nauczała cię, co masz czynić daléj?

— Matka! — rzekł, — matki nie było w domu.

Sceny z ojcem powtórzyły się parę razy, nie okiełznały jednak wewnętrznego szatana, który młodego chłopaka gnał po-za rodzicielskie ściany, napełnione nudą i snem, przerywanemi tylko odgłosami trąbki myśliwskiéj,

brzękiem talerzy albo kłótnią. — Julek kłóci się wciąż z najstarszą siostrą, Femcią; Femcia kłóci się z Julkiem, z Jadwisią i z mamą, bo zła, że za mąż nie idzie. Mama ile razy do domu przyjedzie, kłóci się z ojcem, z Femcią i ze sługami. Stryj mój i synowie jego rzadko przyjeżdżali do nas, bo u nich tam podobno inne życie, a takie, jak nasze, bardzo im się nie podobało. A komu-by tam ono podobać się mogło? Ja, rok temu, zupełnie przeniosłem się do miasteczka. U Burakiewicza przestałem bywać, bo było mi tam już za drogo, a przytém odzienie darło się i wstyd mię brał pokazywać się znajomym ojca i brata, z dziurami na łokciach...

— Gdzież przez cały ten czas mieszkałeś?

— U wdowy Dzięcierskiéj.

— Któż to jest ta Dzięcierska?

Spuścił oczy i zawahał się przez chwilę z odpowiedzią.

— To właścicielka tego handlu trunkami, w którym byłem tego wieczora, kiedy... kiedy...

Mieszkał tedy u właścicielki zakładu, niewiele różniącego się od prostego szynku.

Postępowałem daléj w badaniu mém.

— A rodzice twoi? — rzekłem, — stryj, bracia, rodzony i stryjeczni? czy nie przyjeżdżali do miasteczka, nie starali się namówić cię, abyś wrócił do domu i prowadził się lepiéj...

— Stryj nie przyjeżdżał wcale i mówił wszystkim, że się mnie wstydzi i ani wiedzieć o mnie nie chce, ojciec był parę razy w miasteczku za interesami i krzyczał na mnie, ale niewiele już to mię obchodziło...

— Dla czegoż niewiele cię to obchodziło?

— Ej, proszę pana, alboż to on co lepszego robi, niż ja robiłem?

— I nie pojechałeś z ojcem do domu?

— Owszem, raz pojechałem, ale nie mogłem dłużéj w domu wytrzymać, jak trzy dni. Ojciec mię łajał, Julek mi dokuczał, sługom nawet wszystkim kazali, aby się naśmiewali ze mnie. Przytém dyabelna tam nuda...

— A matka? — spytałem.

— Matki nie było w domu.

— Więc wróciłeś znowu do miasteczka?

— Wróciłem. Koni mi nie dawali, poszedłem pieszo... od tego czasu nikt już z nich nie przyjeżdżał ani do mnie, ani po mnie.

— Z czegoż więc żyłeś?

— Ach! — rzekł, — różnie! Dzięcierska karmiła mię darmo, bo spodziewała się, że jéj to kiedyś z lichwą wrócę... w odzieniu chodziłem podartém... grywałem u Dzięcierskiéj w biłard i w karty i wygrywałem czasem...

Wpatrywałem się w niego bacznie i zadałem mu jedno z najważniejszych pytań, jakie do zadania mu miałem.

— Zkąd miałeś te pieniądze, które rewizya śledcza znalazła przy tobie, skoro nie wziąłeś ich z kieszeni tego człowieka, o którym wiész?

— Miałem je ze sprzedaży medalionu, który nosiłem przy zegarku, a potém chowałem długo przy sobie, myśląc, że sprzedam go kiedyś i pójdę w świat...

— Poco?

— Sam nie wiem... do jakiego bardzo wielkiego miasta,

gdzie-by mię nikt nie znał.

— Wstydziłeś się czasem swego położenia?

— No, — rzekł, — alboż to człowiek z kamienia czy z miedzi?

Zwróciłem go do głównego przedmiotu rozmowy.

— Komu i kiedy sprzedałeś medalion? — zapytałem.

— Dzięcierskiéj, panie, — odpowiedział bez chwili wahania, — na kilka godzin przed tym przeklętym wieczorem. — Nazajutrz miałem nająć furmankę, pojechać do stacyi kolei żelaznéj i kupić sobie za te pieniądze bilet na drogę... sam jeszcze nie wiedziałem dobrze, do Warszawy, czy do Petersburga. Dzięcierska zaparła się tego, że nabyła medalion, bo wart był cztery razy więcéj, niż to, co mi za niego dała; ten człowiek zresztą, panie, był jéj bratem.

Patrzałem mu w oczy badawczo, głęboko, i ujrzałem, że mówił prawdę. Wyraz spojrzenia jego, postawa, głos, wyrażały bezgraniczne, powzięte ku mnie, zaufanie. Jestem pewny, że, gdyby chciał nawet, nie mógł-by nic ukryć przede mną. Rozrzewniony był, przygnębiony, przerażony, a we mnie widział jedynego człowieka, który przybywał do niego z pomocą i pociechą. Jedną jeszcze próbę zadałem przeciw prawdziwości słów jego.

— A cóż, — rzekłem, — stać się mogło z temi pieniędzmi, które widziano u szulera na kwadrans przed wypadkiem, a których przy zwłokach jego nie znaleziono?

— Ach! panie! — zawołał z uniesieniem, — oni je zabrali! oni to niezawodnie zabrali mu je, znalazłszy go nieżywym! Gdybyś pan wiedział, jacy to ludzie o! gdybym ja ich znał tak, jak ich poznałem, myśląc o nich teraz od

kilku miesięcy... uciekł-bym, od nich, panie, na koniec świata! Mój Boże! mój Boże! jakiż dyabeł przyprowadził mię do tych ludzi i zrobił mię ich towarzyszem! Oh, dola moja, dola! czemu ja od nich nie uciekał wprzódy! Oni, panie, od trupa odebrali pieniądze i powiedzieli, żem ja to uczynił...

Mogłem sądzić, że krew wytryśnie mu ze skroni, tak od wstydu i grozy nabrzmiały mu żyły; takim krwawym rumieńcem zalało się czoło jego. Ukrył je w dłoniach i, siedząc tak z pochyloną głową, w postaci skruszonéj i złamanéj, opowiedział mi cichym, przerywanym głosem, że brata Dzięcierskiéj widział owego wieczora piérwszy raz w życiu; że, zaproszony przez niego do wspólnéj zabawy, począł z nim grać w karty; że przegrał mu już parę rubli, gdy spostrzegł, że był ogrywany fałszowanemi kartami. Zerwał się wtedy od stołu, przy którym grali, rozdarł i rozrzucił po izbie karty, i nazwał brata Dzięcierskiéj podłym oszustem. Ten, po kilku chwilach kłótni, podniósł rękę i uderzył go w policzek. — Zrobiło mi się ciemno w oczach, — mówił więzień, — w uszach mi zaszumiało... nie wiedziałem dobrze, co uczyniłem, ale podniosłem laskę, którą trzymałem w ręku, bo miałem już wychodzić z przeklętego tego domu, i uderzyłem człowieka tego, nie wiedząc nawet, że uderzyłem go w głowę... silny jestem, panie... bardzo, na moję niedolę, silny... musiałem uderzyć mocno i w złe miejsce.. i stało się nieszczęście...

Umilkł i utkwił w ziemi wzrok, w téj chwili ponury. Przez kilka minut milczeliśmy obadwaj. Jasno, jak na dłoni, widziałem teraz dzieje człowieka, który siedział przede mną

w więziennéj sukmanie; najgłębszą naturę jego, psychiczny proces, który odbył się w jego wnętrzu; najbliższe, a jednak najmniéj dla ogółu widzialne, źródło błędów jego i występku, niedoli i zguby. To dziécię zamożnego szlacheckiego dworu otrzymało na drogę życia mniejszą sumę światła, niż ta, którą ubodzy robotnicy czują się częstokroć w obowiązku obdarzać swych synów. Fizyologiczne i psychiczne właściwości istoty jego zarówno były zapoznane i zaniedbane. Z jednéj strony wybujał on nakształt dziko wzrosłéj rośliny, o sokach gorących jak lawa wulkanu; z drugiéj strony pozostał dziecięciem, pozbawioném świadomości dróg, obowiązków, dźwigni, podpór, wspaniałych szczytów i niebezpiecznych wądołów życia. Nie uwzględniono w nim indywidualnych odrębnności, i ukształtowanie jego pozostawiono, tak jak innych, trafowi, sądząc, że traf ukształtuje go tak, jak najpospoliciéj kształtował innych. On tymczasem był samym sobą, i nie mógł przyrość do tego, żyć tém, do czego przyrastali, czém żywili się inni. Jak ptak ze splątanemi skrzydły po klatce, rzucał się i targał śród ciasnéj, widzialnéj mu przestrzeni. Rozszerzyć jéj sobie nie mógł, bo wszystko w nim było niesforne i niejasne, napełniały go namiętności i żądze, ale on nic ich nie rozumiał, pracowały w nim pierwotne instynkta, ale on znaczenia ich nie znał; przychodziły do niego niekiedy wyższe pragnienia i szlachetne tęsknoty, ale on nie wiedział, ku czemu je skierować. Czuł tylko, że był w niezgodzie z tém, co go otaczało, że cierpiał, i lekarstwa na cierpienie swe szukał tam, kędy je dojrzał. Innego nie

dojrzał, bo rozum jego i wola przebywały w ciasnéj ciemnicy.

Ostateczna katastrofa, jakiéj uległ, była już tylko ścisłą konsekwencyą wszystkiego, co ją poprzedziło. Każdy człowiek, żyjący tak, jak on żył, może nie popełnić zbrodni, tak, jaki może ją popełnić. Kula, staczająca się z pochyłości, może nie wpaść w przepaść tak, jaki może w nią wpaść. Zależy to już wyłącznie od wypadku, od tego, czy wśród drogi, którą przebywa, znajduje się rozdół, albo nie znajduje; jeżeli jednak znajduje się, stanąć nad krawędzią jego ona nie może, i niesiona siłą rozpędu, musi być posłuszną przypadłościom drogi, którą przebywać zaczęła. Genealogia zbrodni młodego Kalińskiego ułożyła się w méj myśli porządkiem następującym: tam, gdzie jest natura ognista, żądz i namiętności pełna, a niéma woli, rozumu i czynnéj działalności ku dobrze określonym skierowanych celom, tam musi być życie burzliwe, niesforne i nieporządne; gdzie życie jest nieporządne, muszą być orgie; gdzie są orgie, muszą być spory i kłótnie; a gdzie są spory i kłótnie zabójstwo być może.

Gdyby laska młodego chłopca nie miała na sobie żelaznego nagłówka, wypadek cały byłby tylko karczemną burdą; nie ten przecież kawał metalu spowodował zbrodnią, ale nastrój, miejsce i towarzystwo, umożebniające, z konieczności niejako wywołujące — burdę.

Podniosłem oczy i spotkałem się z utkwioném we mnie spojrzeniem więźnia. Spojrzenie to, jak i cała twarz jego, posiadały wyraz, jakiego nie spostrzegłem w nim wprzódy. Była w nim dziwna łagodność, rodzaj rzewnéj nieledwie

czułości.

— Jaki pan jesteś dobry! — zawołał z cicha, — jak mi dobrze, że zwierzyłem się panu, że zrzuciłem z serca ten kamień rozpalony, który na niém leżał, odkąd po raz piérwszy skłamałem przed sądem! Jestem pewny, czuję, że pan mi źle nie życzysz...

Więcéj, niż kiedy, pojąłem w téj chwili, że wszystkie słowa, jakie słyszałem o węźle, wiążącym ludzi z ludźmi, najmniéj choćby znanymi i najsrożéj występnymi, nie są czczym sentymentalizmem ani bezsensownym frazesem. Uczułem w sobie drganie braterskiéj litości nad tém nieszczęsném, zgubioném dzieckiem.

Pochyliłem się ku niemu i spytałem go łagodnie:

— Powiédz mi, czy nikt nigdy nie mówił ci o wielkich obowiązkach, jakie człowiek spełnić powinien na ziemi, o potrzebie panowania nad sobą, o konieczności pracy, o czystości myśli, rąk i sumienia? Czy nikt ci o tém nie mówił nigdy?

Patrzał na mnie oczyma, które czułość i łagodność uczyniły w téj chwili dziwnie spokojnemi i przezroczystemi.

— Nikt, — odpowiedział z cicha.

— Czy wcale a wcale nie wiedziałeś o tém, że uczuć twoich, czynów twoich, rozumu twego, wymaga od ciebie kraj twój i ziomkowie twoi?

Tym razem żywsze światło zamigotało mu w źrenicach.

— Słyszałem o tém, ale nie rozumiałem dobrze, co to ma znaczyć.

— I nikogo, — ciągnąłem, — nikogo nie kochałeś tak

bardzo, tak silnie, aby miłość ta ustrzegła cię od złego? ani ojca, ani matki, ani brata, ni sióstr?

Wstrząsnął przecząco głową i rzekł:

— Nikogo!

Powstałem z miejsca, czując, że w oku mojém łza żalu pali się i wysycha w ogniu oburzenia.

Późno już było. Dozorca parę razy zajrzał do izby. O zapadającym zmroku musiano zamykać turmę.

Pożegnałem młodego więźnia, a gdy szedłem bramą ku wrotom, otwierającym się na ulicę miasta, widziałem, jak, stojąc w drzwiach parlatoryum, ścigał mię spojrzeniem.

Przestąpiłem próg więzienny z gorącą głową i ciężkiém sercem.

Los młodego Kalińskiego rozstrzygać się miał na posiedzeniu sądowém za dni ośm, czy dziewięć, a ja nie mogłem utworzyć stanowczego planu obrony więźnia, którego jednak postać i przeznaczenie tkwiły wciąż w méj pamięci. Była to jedna z najtrudniejszych praktyk, jakie spotkałem kiedykolwiek w ciągu niezbyt wprawdzie długiéj jeszcze méj karyery. Że był on sprawcą zbrodni, o którą go obwiniano, o tém, wobec własnego wyznania jego, wątpić nie mogłem, wyznanie to jednak musiało pozostać tajemnicą, z któréj przed sądem nie wolno mi było czynić użytku żadnego. Trwając przecież przy zaprzeczeniu faktowi, usunąć nie mogłem od przestępcy dowodów, świadczących jasno o dopełnionéj przez niego winie, tylko, że wina ta daleko sroższą i groźniéjszą dla niego przybierała postać, niż-by to było wtedy, gdyby cała historya przedstawioną być mogła w istotném jéj świetle.

Prawo karne ogromną czyni różnicę pomiędzy zabójstwem, dokonaném w przystępie gniewu, lub w celu obrony osobistéj, a takiém, które dopełnioném zostało z zamiarem rabunku i kradzieży.

W istocie rzeczy Kaliński popełnił zbrodnią w chwili bezprzytomnego prawie uniesienia, i odpierając zadawane mu przez przeciwnika razy; ale pieniądze, znalezione przy nim, a ilością swą odpowiadającą tym, które widziano przedtém u szulera, nadawały jéj pozór taki, który musiał spowodować dla niego karę najcięższą. Moralne znaczenie występku zmieniało się téż ogromnie, według piérwszych lub drugich pobudek, jakim przypisać go miano. Gdyby można było udowodnić nieodparcie, że Kaliński znalezionych przy nim pieniędzy nie zdobył na zwłokach swéj ofiary, ale miał je zkąd inąd, miara wstydu i hańby zmniejszoną by dla niego była tak, jak surowość i trwanie pokuty. Tu jednak zachodziły trudności niezmierne. Dowieść, że zabity człowiek używał do gry kart fałszowanych, które właśnie wznieciły spór tak fatalnie zakończony, nie było najmniejszego sposobu; wszyscy bowiem świadczący w sprawie najmocniéj interesowani byli w tém, aby zakrywać brudne i występne rzeczy, dziejące się w miejscu, w jakiém przebywali.

Gospodyni zakładu była siostrą zabitego, goście jéj — jego przyjaciółmi i towarzyszami. Zabłąkany wśród mało-miasteczkowego motłochu, syn szlacheckiego dworu, był dla nich przedmiotem wyzyskiwania, lub rachuby, zasadzającéj się na spodziewaném jego dziedzictwie. Był on w tém gnieździe oszustów ptakiem obcym, na którego,

gdy upadł, rzucili oni ślinę i kamienie dla własnéj obrony, przez skrytą może zawiść, ze zjadliwą radością.

Położenie moje było trudne. Nie mogłem, nie powinienem był biernie zgodzić się z tém, aby człowiek, którego obronę powierzało mi prawo, sądzony był za występek całkiem innéj natury, niż ten, który popełnił istotnie. Jedyny przecież dowód, mogący odsłonić, a przynajmniéj znacznie dopomódz do odsłonięcia prawdy, spoczywał w ręku kobiéty, bynajmniéj nieusposobionéj do złożenia go w ręce moje lub czyjekolwiek. Bez jéj zaś w tém współudziału, wszelkie twierdzenia moje pozostawać musiały gołosłownemi, a więc bezowocnemi. Nie myślałem téż ich używać, jako rzeczy, któréj prawo nie uwzględnia, a więc któréj prawnik bez śmieszności użyć nie może. Gdyby Dzięcierska skłonioną być mogła do wyznania prawdy... myśl ta błysnęła mi jak nić przewodnia, według któréj kierować bym się mógł daléj po trudnéj, lecz obowiązkowéj dla mnie, drodze bronienia, winnego zapewne, lecz mniéj winnego, niż o tém świadczyły pozory, człowieka. Gdzie jednak i jakie były środki ku zmiękczeniu i wzruszeniu kobiety, rozjątrzonéj i w ukryciu prawdy mocno zainteresowanéj? Nie powinnyż-by myśléć nad tém osoby najbliższe nieszczęsnemu chłopcu; ojciec jego, matka? nie powinniż-by dołożyć starań, aby syn ich nie został nieszczęśliwszym, niż na to zasłużył? Położenie ich społeczne, zarówno jak boleść ich rodzicielska, mogły-by zaimponować kobiécie, trzymającéj w swych ręku główny węzeł losu ich syna, lub wzruszyć ją, i ze słowami prawdy na ustach przed sąd przywieść. Prawo nie wzbraniało im

tego, sumienie nakazywało to uczynić, serce nakazywać-by powinno...

Z innéj strony, główną okolicznością, łagodzącą tu winę, było zaniedbane i błędne wychowanie młodego winowajcy, nadewszystko zaś niezdrowa pod względem moralnym atmosfera próżniactwa, bezładu, nudy i suchości uczuć, śród któréj wzrósł on krzywo, i rozwinął się kaleko. Rozwijając przecież przed sądem tę okoliczność, musiałem z konieczności dotkliwe i zawstydzające czynić wyrzuty ludziom, których jednak osobiście nie znałem. A cóż, gdyby zarzuty te po części przynajmniéj były niesprawiedliwemi? gdybym, umniejszając niedoli i hańby występnemu synowi, rzucił niezasłużone brzemię wstydu i nowéj boleści na siwą głowę, niezbyt zapewne mądrego (było to już dla mnie zupełnie dowiedzioném) lecz uczciwego ojca, niezbyt może dzielnéj i troskliwéj, (nie ulegało to téż wątpliwości żadnéj) ale dobréj i kochającéj matki? Czułem, że, obwiniając rodziców w celu częściowego przynajmniéj uniewinnienia syna, ważyłem się na krok, ze wszech względów ważny, że kroku tego nie wolno mi było dokonywać lekkomyślnie. Zeznania młodego Kalińskiego i opowiadania jego o domu rodzinnym, wiele mi o nim powiedziały; posiadałem najsilniejsze przekonanie, że były one uczynione w najlepszéj wierze; ale przekonanie to nie starczyło ani sumieniu mojemu, ani rozumowi. Dobra wiara, z jaką człowiek twierdzi o czémś, nie jest zupełną rękojmią prawdziwości jego twierdzenia.

Można mówić nieprawdę, ani myśląc o kłamstwie;

młody Kaliński mógł mówić i myśléć o rodzicach swych wiele rzeczy, których wistocie nie było, lub które były innemi, niż mu się wydawały. Nie mogłem ważyć się na przyjmowanie w obec sądu i własnego sumienia współudziału w przypuszczalnych bardzo jego omyłkach. Jeżeli obowiązek nakazywał mi już potępiać, potępienie to oprzéć musiałem, powinienem był, na sądzie samodzielnym, na faktyczném poznaniu osób i okoliczności.

Z takiemi-to myślami usiadłem, o bardzo wczesnéj, porannéj godzinie, na bryczkę pocztową, i udałem się drogą, wiodącą ku obszernemu, acz, jak słyszałem, niezmiernie zaniedbanemu i na-pół zrujnowanemu majątkowi Kalińskich. Nie miałem wcale czasu do stracenia. Napędzałem, jadąc, pocztylionów; w połowie drogi, dla większego pośpiechu, rozkazywałem na stacyach pocztowych zaprzęgać do lekkiéj bryczki po cztery konie. Szybko téż bardzo posuwałem się naprzód, i około godziny trzeciéj z południa, z głównego gościńca skręciłem w boczną aleję, wiodącą do kalinowieckiego dworu. Aleja ta osadzona była z dwóch stron włoskiemi topolami, z których jednak potowa zaledwie pozostawała przy życiu. Inne uschnięte były, lub poprostu zrąbane.

— To dopiéro śmieli i nieuczciwi ludzie, — rzekłem do pocztyliona, — żeby téż tak, tuż pod dworem, rąbać i kraść takie piękne drzewa...

Pocztylion, pochodzący ze stacyi, blizko z Kalinowein sąsiadującéj, uśmiechnął się i zapytał:

— A jakże-to pan myśli? kto zrąbał te drzewa?

— Naturalnie, — odpowiedziałem, — chłopi pewno z poblizkich wsi.

— Otóż-to, że nie! — śmiejąc się głośno, rzekł, — temi drzewami we dworze w piecu palą.

— Czy w Kalinowie lasu niéma?

— Héj! i jaki jeszcze, choć go rąbią na wszystkie strony! ale poco do lasu po drzewo jeździć, kiedy taki piękny opał tuż za bramą rośnie?

Im więcéj zbliżałem się ku dworowi, tém lepiéj spostrzegałem, że nietylko to, co rosło za bramą, ale i sama brama, wspólnie z towarzyszącém jéj ogrodzeniem dziedzińca, używaną być musiała na opał, lub inne doraźne gospodarskie potrzeby. Wytworną stolarską robotą wykonane sztachety podnosiły się do koła podwórza w znacznych od siebie odstępach; inne, wyjęte z podmurowania, całkiem prawie ogołoconego z tynku, pozostawiły po sobie szerokie próżnie, śród których pięły się i sterczały, zeschłe w téj porze, łodygi dzikiego chmielu i bujnéj dziewanny. Pod groźbą narażenia na zabicie się na jedném ze skrzydeł bramy, które, pozbawione górnéj zawiasy, swawolnie szamotało się z wiatrem, wjechaliśmy na dziedziniec.

Wjechaliśmy na dziedziniec ten bez szwanku i przeszkody, ale przebyć go nie okazało się bynajmniéj rzeczą nader łatwą. Psy, najrozmaitszych wielkości i gatunków, wywołane turkotem kół i dzwonkiem pocztowym, wypadać poczęły ze stron wszystkich i drogę nam zabiegać. Rzucały się one przed konie, ujadały, wyły, warczały, zębami klapały tak, że naprawdę począłem się

obawiać, azali, jak Daniel, nie zostałem oddany zwierzętom na pożarcie. Pocztylion z całéj siły ściągnął lejce, z obawy, aby rwące się i wierzgające konie nie uniosły nas, albo nie zmiażdżyły kopytem którego z napastników. Piekielna wrzawa, któréj staliśmy się powodem, sprowadziła z domu i ze stajen dwóch czy trzech ludzi. Rozlegały się téż głośne wołania, gwizdania i cmokania.

— Dobosz! Doskocz! Zagraj Połaj! Lutnia! Cytra! Arfa! Panna! Neptun! Omar! Flet! Bas! pódźcie! do nogi! harap! cyt! na tu!

Te i tym podobne okrzyki rozlegały się po dziedzińcu, zagłuszane wściekłém i niemającém końca, ujadaniem. Nagle pod drzwiami oficyny zjawił się chłopak wyrostek, w brudnéj koszuli i czémś, nakształt kozackiéj kurteczki, odziany na jedno ramię, podniósł do ust ogromną, mosiężną trąbę i zadął na niéj pobudkę, od któréj zapiszczało mi w uszach i zaszumiało w głowie. Był to snadź sygnał, którym zawiadamiano zwyczajnie psiarnią, iż obiad jéj gotowy; bo wrzaskliwa zgraja ujadać przestała, nastawiła uszy, poczém tłumnie i z wielkim pośpiechem rzuciła się ku oficynie i ku grającemu wciąż na trąbie chłopakowi. Uwolnione z oblężenia, niemniéj jednak przestraszone i rozjątrzone, konie, puściły się wielkim cwałem i w kilka sekund bryczkę, podskakującą po dzikich kępinach i zapadającą w głębokie rozdoły, jakich pełen był dziedziniec, przyniosły pod ganek domu. Dom to był obszerny, na wysokiém podmurowaniu zbudowany, z długim rzędem wielkich okien i gzémsem, który musiał być kiedyś ozdobnym. Wszystko to zresztą musiało być kiedyś wygodne, ozdobne,

a nawet wspaniałe. Dziś jednak gipsowe wieńce pospadały w połowie z gzémsów, pozostawiając po sobie okrągłe lub podługowate szare plamy; w kilku oknach szyby zastąpione były bibułą, a te, które istniały jeszcze, od pyłu i pajęczyn wszelką utraciły przezroczystość; u stóp podmurowania leżały gęsto rozsypane gruzy, z wypadłych cegieł i opadającego tynku powstałe; po słupach, podtrzymujących ganek, grubemi kroplami ściekała wilgoć, a w podłodze ganku brakło całkiem jednéj deski, inna zaś, przełamana na pół, sterczała z jednéj strony wysoko, z drugiéj wklęsała głęboko w wilgotną ziemię.

Z wielkiéj nagiéj sieni, o ścianach popielatych od pyłu, wszedłem do przedpokoju, gdzie znalazłem dwóch wąsatych lokajów. Jeden z nich, przybrany w wyszarzaną, ale srebrnemi guzami połyskującą, liberyą, zatrudniony był porządkowaniem w szafie stołowych naczyń, drugi, w czarnym tużurku, siedział w niedbałéj postawie na kanapie, podartym perkalem obitéj, z książką jakąś, na bibule drukowaną, w ręku. Zapytałem, wchodząc, czy znajduję w domu państwa Kalińskich. Lokaj w liberyi powiedział mi, że pana niéma, ale pani ze starszą panienką i paniczem tylko co przyjechali z sąsiedztwa. Postąpiłem ku drzwiom, w głąb' domu prowadzącym, ale tu powstał już z siedzenia swego lokaj w tużurku.

— Jak pana godność? — zapytał, — oznajmię pani...

Był to widocznie kamerdyner, jak domyślić się tego mogłem po braku liberyi, długiéj brodzie i nie zmiernie poważnym wyrazie fizyognomii. Powiedziałem moje nazwisko, które jednak gospodyni domu niczego nauczyć

nie mogło. Ale trzeba było zastosować się do ceremoniału, ściśle snadź zachowywanego w domu tym, którego gzémsy pokryte były pleśnią, a fundament rozsypywał się w gruzy. W minutę po tém otworzyły się przede mną na oścież podwoje salonów. Były to prawdziwe salony, nie zaś żadne ich imitacye. Sufity wysokie, posadzki układane z dębu i jesionu, sprzęty mahoniowe, z wysłaniem na sprężynach, wielkie źwierciadła pomiędzy oknami, bronzowe zégary i porcelanowe wazy na stołach i konsolach. Mieszkanie to przedstawiało widok wcale efektowny, tylko że obicia na ścianach były brudne, dywany, zaścielające posadzkę, miały brzegi w dziwny jakiś sposób poszarpane i powykąsywane, stoły i poręcze sprzętów pokrywała gruba warstwa kurzu, w porcelanowych wazach gnieździły się pająki i spoczywały zamarłe muchy, a wskazówki branżowych zégarów stały.

W salonie, w którym zatrzymałem się, nie było nikogo. Domowi nie byli snadź przygotowani do natychmiastowego powitania gościa. W istocie téż o uszy moje odbijał się, wychodzący z przedpokoju i z głębi domu, szmer śpiesznych kroków, stłumionych szeptów, dzwonienie żelazek i fruwanie przenoszonéj z miejsca na miejsce odzieży. Stojąc przy oknie, ujrzałem niebawem przebiegającą od domu do oficyny dziewczynę służebną, z którą skrzyżował się w drodze, z oficyny do domu biegnący, osmolony kuchcik. Po chwili zaś dziewczyna niosła ku domowi wykrochmaloną spódnicę, a kuchcik niósł ku oficynie drewnianą łyżkę, pełną masła, i trochę mąki w rondelku. Naprzeciw dziewczyny wyszła wysoka jakaś panna, w brudnym flanelowym kaftanie, zarzuconym

na ramiona i, pogroziwszy pięścią służącéj, pchnęła ją ku domowi; na spotkanie kuchcika wybiegł kucharz w białym fartuchu, i w jednéj ręce trzymając patelnią, drugą pochwycił ucho malca, trzymając je dopóty, dopóki wraz z nim nie znikł za progiem kuchni. Z całego tego ruchu domyśliłem się, iż, nie wiedząc, kto jestem, czyniono na przyjęcie me osobliwe przygotowania, składające się z krochmalonych spodnic, świeżo ufryzowanych włosów i dorobionych do obiadu naleśników.

Powszechne zamieszanie to, sprawione przybyciem jednego obcego człowieka, świadczyło o chaotycznym stanie, w jakim dom ten i całe urządzenie jego pogrążone być musiało. Nie zapominając ani na chwilę o celu bytności méj w tém miejscu, porównywając ważne i głęboko smutne znaczenie celu tego z trywialnością i komizmem odbywających się przed oczyma memi zachodów, zostawałem pod wpływem przykrych myśli i przewidywań. Nagle doszłe do uszu moich warczenia jakieś i szelesty oznajmiły mi, że nie ja jeden znajduję się w salonie. Rozejrzawszy się bacznie, spostrzegłem, że byłem w bardzo nawet liczném towarzystwie. Ogromny czarny ternew leżał, zwinięty w kłąb, na głównéj kanapie, dwa wyżły wyciągały się rozkosznie na miękkich materacach foteli, młode gończaki, o żółtych płomieniach nad oczyma, igrały swobodnie z brzegami kobierca, tłómacząc mi pochodzenie owych wykąszeń, które zauważyłem wprzódy; jeden jeszcze pies jakiś, którego gatunku już określić nie mogłem, przebiegał przez pokój, pozostawiając za sobą gęste ślady łap zabłoconych, i jeszcze inny stał, dwiema wielkiemi

łapami wsparty o marmurową konsolę, usiłując pochwycić leżącą na niéj niedojedzoną porcyjkę chleba, nasmarowanego masłem.

Osobliwe zgromadzenie to, które spostrzegłem dokoła siebie, nie zmniejszyło bynajmniéj niecierpliwości, z jaką oczekiwałem zjawienia się gospodyni domu. Nie ona-to jednak weszła do salonu, ale młody, wysmukły mężczyzna; domyśliłem się w nim owego Julka, o którym słyszałem już od Romana. Był to piękny młodzieniec, ale wcale do brata niepodobny. Wysmukły, delikatny, z białą, jak u kobiety, twarzą, drobnym jasnym wąsikiem i włosami, starannie pozwijanemi w loki i pukle, posiadał on tę pospolitą piękność, która, obojętna dla myślącego oka, najbardziéj jednak popłaca wśród salonowych zabaw i zalotów. Cała postać jego wyglądała, jak wykrojona z żurnala mód. Z grzecznym uśmiechem na rumianych ustach zbliżył się do mnie, a gdy wzajemnie wymieniliśmy przed sobą nazwiska nasze, uprzejmym giestem wskazał mi fotel, stojący przy kanapie, tuż w sąsiedztwie rozciągniętego na niéj ternewa.

— Bardzo żałujemy, — zaczął, — że przybywasz nam pan w nieobecności papy. Pojechał dziś właśnie z sąsiadami na polowanie. Wczoraj spadł piérwszy śnieżek, korzystając więc z wybornéj ponowy, myśliwi udali się w pole z chartami...

— Wielki Boże! — pomyślałem, — niewszystkie więc jeszcze psy, jakie zwyczajnie przebywają w tém miejscu, widziałem, ponieważ chartów nie było w domu!

— A pan nie jesteś zwolennikiem polowania? — zapytałem dlatego tylko, aby cośkolwiek powiedzieć.

— Trochę, trochę — odpowiedział młody człowiek — dziś jednak nie towarzyszę papie, ponieważ przed dwiema dopiéro godzinami wróciłem z mamą i moją siostrą z trzydniowéj wycieczki. Byliśmy na imieninach pani Z. Bawiono się wybornie. W ogólności od pewnego czasu w okolicy naszéj bawią się bardzo wesoło. Mamy kilka bardzo ładnych i posażnych panien; młodzieży nieco brak, ale zawsze jakoś kadryl i mazur złożyć się mogą...

Umilkł i chrząknął parę razy, jak zwykle bywa z ludźmi, którzy czują się w obowiązku bawienia gości, a niewiedzą, o czém-by z nimi mówić mieli. Po chwili jednak zaczął znowu.

— Pan świeżo zapewne przybywasz do naszéj okolicy? Nabyłeś pan może w sąsiedztwie naszém jakie dobra i zabierasz znajomość z nowymi sąsiadami. W takim razie bardzo wdzięczni jesteśmy panu, żeś o nas pomyśléć raczył, a ja z góry ofiaruję się panu na *cicerone*.

— Nie, pacie — przerwałem — jestem adwokatem i mieszkam stale w N.

Na te słowa, widoczne zmieszanie ukazało się na twarzy młodego syna domu. Snadź dom ten miał powody obawiania się wszystkiego, co tyczyło się prawa i ludzi, mających z niém urzędowy niejako stosunek. Przyczyną obawy téj nie były naturalnie wykroczenia żadne przeciwko kodexowi karnemu, ale zbyt liczne zobowiązania względem hypoteki. Dla pokrycia zmieszania swego i niezadowolenia, młody człowiek wyjął z kieszeni cienką chustkę i powiódł nią po twarzy, mnie zaś całego owionęła ulatująca z niéj silna woń perfumy.

— Jesteś pan adwokatem... a więc zapewne... zapewne w jakim interesie...

Nie skończył wymawiać tych wyrazów, gdy otworzyły się drzwi i weszła przez nie kobieta, ze znacznie rozwiniętą tuszą, żwawa jednak i w czarnéj sukni, na wielce bombiastą krynolinę włożonéj! Panu Julianowi jakby ciężar spadł z serca. Zerwał się z fotelu i, zwrócony na-pół do mnie, na pół do wchodzącéj, wymówił:

— Oto moja matka!

Z bacznością spojrzałem na matkę tego, za kim w domu tym przemawiać miałem. Nie była starą i nie była młodą, nie była piękną i nie była brzydką. Włosy miała gładko przyczesane pod czarnym czepeczkiem, oczy błękitne bez żadnego pewnego wyrazu i pulchne usta z dobrodusznym uśmiechem, z za którego ukazywały się zdrowe białe zęby. Nie przyciągała niczém i niczém nie odstręczała. W ogólności wyglądała na skończoną, szczyptą salonowéj etykiety przyprawioną, kumoszkę i powiatową swachę z profesyi.

— Pan August Rolicki? — wymówiła tonem pytania, zatrzymując się przede mną.

— Tak pani — odrzekłem i, dla uniknięcia wszelkich wstępów i nieporozumień, wnet dodałem — przybywam tu w interesie pana Romana Kalińskiego, którego jestem prawnym obrońcą.

Słowa te sprowadziły na pulchną twarz kobiety tak silny rumieniec, że czoło jéj nawet i podbródek zaszły purpurą.

— W interesie Romana Kalińskiego? — wyjąkała, opierając się ręką o poręcz fotelu.

— Tak — odpowiedziałem ze spokojną stanowczością — w interesie syna państwa...

Kobieta podniosła żywo głowę i orzuciła mię piorunującém spojrzeniem.

— Roman Kaliński — rzekła drżącym od wzburzenia, głosem — nie jest, proszę pana, synem naszym. Mamy jednego tylko syna, którego pan oto widzisz przed sobą!

Spodziewałem się usłyszéć podobne słowa. Nie zmieszały więc mnie one i od spełnienia zamiaru mego nie odwiodły.

— W istocie — rzekłem — rozumiem dobrze, iż całe postępowania pana Romana, a szczególniéj ostatnie trudności, w jakie popadł, mogły wzbudzić w rodzicach jego bardzo żywe niezadowolenie, narazić go na gniew ich, a nawet na czas jakiś zobojętnić dla niego ich serca. Nie sądzę jednak, aby zobojętnienie to mogło być tak zupełne i trwałe, iżbyście państwo nie chcieli, o ile to jest w waszéj mocy, udzielić mu ratunku...

— Nikt nie może uratować człowieka, który sam siebie gubi — przerwała gospodyni domu, siadając i wskazując mi ręką miejsce na fotelu. Źrenice jéj biegały niespokojnie, a ręce drżały i miąć zaczęły w palcach brzeg przykrywającéj stół bardzo kosztownéj i silnie poplamionéj serwety.

— Myśmy pomagali mu długo, proszę pana — ciągnęła z coraz wzrastającém wzburzeniem — mąż mój kilka razy płacił za niego długi. Nie spodziewaliśmy się jednak nigdy, ażeby dojść mógł do podobnych ostateczności. Był to, proszę pana, dla nas cios straszny. Kaliński w turmie! rzecz niesłychana! — Dziwi mię nawet mocno, że ktokolwiek

ujmować się za nim może. Wierzę bardzo, że gdyby mąż mój pojechał sam do N. i zażądał tego, uwolnili-by go natychmiast, ale mąż mój tego nie uczyni...

— Jeśli-by nawet chciał to uczynić — przerwałem — wcale-by tém panu Romanowi nie dopomógł. W dzisiejszych czasach więzień, jakiegokolwiek był-by pochodzenia, na niczyje proste żądanie uwolnionym być nie może.

Wyraz niedowierzania i lekkiéj obrazy osiadł na twarzy pani Elżbiety z Drewiczów Kalińskiéj.

— Już to, proszę pana — rzekła żywo — jeżeli syn obywatelski, a do tego i nie byle z jakiéj familii, siedzi w turmie, to tylko dlatego, że rodzice jego nie sprzeciwiają się temu i za syna go nie uznają. Zresztą — dodała ze wzruszeniem ramion — przypuszczam, że w teraźniejszym świecie żadna już wyższość ani godność szanowaną nie jest, ale pieniądze muszą miéć zawsze znaczenie. Gdybyśmy chcieli, proszę pana, mogli-byśmy jeszcze, dzięki Bogu, sypnąć pieniędzmi i wykupić z turmy Kalińskiego; ale ani myślimy rujnować się dla jednego z dzieci naszych, z krzywdą dla innych i lepszych...

Wyznaję, iż, pomimo bynajmniéj nie wesołego w téj chwili nastroju myśli mych i uczuć, z trudnością wstrzymać się mogłem od uśmiechu.

— Gdybyście państwo i mieli nawet ten zamiar — rzekłem — na nic-by się on panu Romanowi nieprzydał. Ludzi, posądzonych o przestępstwa kryminalne, wykupić dziś od sądu i kary niepodobna.

Do twarzy kobiety uderzyły znowu gwałtowne rumieńce.

— A więc, proszę pana — zawołała — jeżeli już tak nic wcale nie możemy, jeśli już tak niczém na świecie nie jesteśmy, jakże możemy temu nieszczęśliwemu przynieść tę pomoc, o jakiéj pan mówiłeś? Czy mamy na intencyą jego odbyć pieszo podróż do Ostréj Bramy? czy może na miejsce jego drugiego syna naszego wsadzić do turmy? Czy wleźć na wieżę i krzyczéć, że on niewinny? Bardzo to pięknie ze strony pana obrońcy, że pan obrońca nie chce gubić człowieka; ale my już zrezygnowali się i prosimy pana obrońcę, aby wraz z kolegami swymi uczynił z nim, co zechce.

Po sposobie, jakim wymawiała i w mowie swéj umieszczała wyrazy: pan obrońca, domyśliłem się, że wcale a wcale nie wié, z kim mówi, i że uważa mię przynajmniéj za jednego z sędziów, jeżeli jeszcze i nie za urzędnika z prokuratoryi. Nie sądziłem jednak, aby tłómaczenie czynności moich i stosunku mego względem więźnia było w téj chwili potrzebne i właściwe. Rzekłem więc krótko:

— Ja syna państwa sądzić nie będę. Zadaniem mojém jest przeciwnie: bronić go przed sądem z całéj siły i możności. I dlatego-to właśnie przyjechałem tutaj, aby, w imię ludzkości i miłosierdzia, w imię nigdy nierozrywających się zupełnie węzłów rodzinnych, prosić państwa o udzielenie mu pewnéj moralnéj czysto pomocy, która na los jego bardzo wielki wpływ wywrzéć może.

Na dźwięk wyrazów: ludzkość, miłosierdzie, i związki rodzinne, łzy poczęły napływać do pałających przed chwilą gniewem oczu pani Kalińskiéj.

— Pomocy! — zawołała płaczliwym już głosem —

jakiéj-że to pomocy?

Opowiedziałem w krótkości o roli, jaką w historyi syna tego domu grała niejaka Dzięcierska, właścicielka handlu trunkami w poblizkiém miasteczku. Kiedym wspomniał o medalionie, pani Kalińska plasnęła rękoma i, zwrócona do syna, przerwała mi mowę wykrzyknikiem:

— Julku! Juleczku! wyobraź tylko sobie! ten nieszczęśliwy chłopiec sprzedał swój medalion, taki sam medalion, jaki ty nosisz zawsze przy zegarku! — Medaliony te, panie — dodała, zwracając się ku mnie — to bardzo droga pamiątka dla familii naszéj! przywiózł je z Paryża ojciec chrzestny synów moich, pan szambelan Dębicki. Szanowny obywatel, którego czciliśmy i kochali wszyscy... I ten szalony chłopiec sprzedał pamiątkę po panu Szambelanie...

— Nie pojmuję doprawdy, co w tém tak bardzo mamę zadziwia — sarknął pan Julian — szanowny mój braciszek wiele potrzebował pieniędzy. Sprzedał-by on nietylko medalion, ale rodzonego ojca, matkę, byle-by tylko ze swymi kompanionami wesoło życie prowadzić. Wszakże w przeddzień ostatniego już i najpiękniejszego jego postępku, będąc w miasteczku, widziałem się z nim... pokazywał mi swój medalion i mówił, że chowa go na jakąś tam podróż. Nazajutrz przecież sprzedał go, a w dodatku zabił kompaniona, aby go okraść...

— Julku! Juleczku! — płaczliwym głosem upominała syna pani Kalińska, aby miarkował się w zapale.

Co do mnie, jeśli-bym doświadczał jeszcze choć cienia wątpliwości o prawdzie opowiadań i zeznań Romana,

został-by on usunięty słowami jego brata.

— Pan Roman — rzekłem z mocą — nie okradł człowieka, którego miał nieszczęście życia pozbawić; pieniądze, u niego znalezione, pochodziły właśnie ze sprzedaży tego medalionu, o którym państwo mówicie. Gdyby ojciec lub matka Romana Kalińskiego zechcieli namową, prośbą, lub jakimkolwiek sposobem wpłynąć na ową kobietę...

— Jakto! — z żywém poruszeniem zawołała pani Kalińska — czy możesz pan dobrodziéj przypuszczać naprawdę, że ja... ja... wdam się w jakikolwiek stosunek z taką... taką... kobietą...

— W istocie — rzekłem — sądziłem naprawdę, że pani uczynić to zechcesz, jeśli już nie przez litość nad synem, to przez miłość prawdy, która inaczéj ukrytą zostanie na zawsze przed oczyma ludzi, najbardziéj nawet pragnących ją ujrzéć i wymierzyć sprawiedliwość. Jeśli jednak — dodałem — mniemanie moje było błędném, zdaje mi się, że ojciec Romana Kalińskiego, jako mężczyzna, doświadczać nie będzie podobnych draźliwości i zechce sprobować przynajmniéj wpływu, jaki miéć może...

— O! co tego, to z pewnością papa nie uczyni! — ozwał się z boku głos ostry i rozjątrzony. Pan Julian, który zaraz po wejściu matki usunął się nieco na stronę i słuchał toczącéj się rozmowy w milczeniu, głośno teraz i niecierpliwie dzwoniąc brelokami od zegarka, wstał z krzesła, z białą twarzą, rozpłomienioną ciemnym rumieńcem, i z iskrącemi się oczyma.

— Co tego — powtórzył — to papa nie uczyni z

pewnością! a gdyby nawet chciał uczynić, ja na to nigdy nie pozwolę.

— Dlaczego? — zapytałem krótko.

— Dlatego — zawołał — że kompromitowałoby to nas wszystkich i mnie mogło-by los popsuć! Musisz pan wiedzieć, bo wątpię, aby w N. nie wiedziano nic o tém, że parę tygodni temu oświadczyłem się pannie Wincencie Różyńskiéj i zostałem przyjęty. Żenię się więc z panną, dobrze wychowaną, posażną i z pięknéj familii, i nikt z pewnością zaprzeczyć nie może, że robię bardzo świetną partyą. Nie potrzebuję wcale, aby teraz właśnie sprawa Romana przypominała się i rozmazywała w świecie, przez wtrącanie się w nią mego ojca! Dosyć i tak, proszę pana, nałykałem się wstydu przez tego mego braciszka! Co-by powiedziała familia Różyńskich, gdyby teraz ojciec mój w jakikolwiek sposób wdał się w jego interes? mógł-bym dostać rekuzę i stracić tak świetną sposobność dobrego ożenienia się! Nie potrzebuję wcale cierpieć za to, że komuś tam podobało się przez całe życie być łotrem, i nie na to prowadziłem się zawsze porządnie, aby mi czyjeś grzechy karyerę psuły! Dziwię się doprawdy, jak pan mogłeś przyjeżdżać z podobnemi projektami...

— Juleczku — ozwała się gospodyni domu — nie unoś się tak, moje dziecko! pamiętaj o tém, że pan obrońca jest naszym gościem.

— Ależ, proszę mamy — ofuknął syn — ja téż panu obrońcy bynajmniéj ubliżać nie chcę, ale nie mogę téż zgodzić się na to, aby papa krzywdził jednego syna dla drugiego. Zdaje mi się, że ja rodzicom nie przyczyniłem

nigdy żadnego zmartwienia ani wstydu, a jeżeli majątkowe interesa nasze są złe, nie moja w tém wina! Teraz ja właśnie chcę poprawić je przez ożenienie. Panna Różyńska ma 200,000 złotych posagu gotówką, i jeżeli ja się z nią nie ożenię, ciekawy bardzo jestem, jak rodzice wybrną z długów. Szanowny mój braciszek, jeżeli go uwolnią, pewno nie pomoże papie do zapłacenia na święty Jan Szlomie i Jędrzyckiemu, a mama wié sama dobrze, że Jędrzycki kilka już pozwów przesłał i że po świętym Janie Kalinów sprzedawać mają...

Mówił tak głośno i z takiém uniesieniem, że ternew zbudził się na kanapie, podniósł ogromny łeb i warczéć zaczął, młode zaś gończaki opuściły dywan, który dotąd szarpały zębami, i z przeraźliwym piskiem poczęły skakać do kolan młodego pana. Pani Kalińska mięła niemiłosiernie w rękach serwetę, czmychała, wzdychała, wzruszała ramionami, pogładziła potém warczącego ternera po czarnéj sierści, zawołała na gończaki, aby uspokoiły się, o czém one naturalnie ani słuchać nie chciały, i zwróciła się do mnie.

— Wszystko — rzekła — co Julek powiedział, jest prawdą. Prowadził się on zawsze jak najlepiéj, nie uczynił nam nigdy żadnego zmartwienia, a odkąd dorósł, przynosi nam w towarzystwach największy honor. Interesa nasze są w istocie nieszczególne, nie dlatego wcale, abyśmy, broń Boże, tracili majątek, owszem żyjemy oszczędnie i wielu rzeczy odmawiamy sobie; ale pan obrońca wié, jakie to teraz dla obywatelstwa ciężkie czasy. W podobnych okolicznościach ożenienie się Julka z panną Różyńską jest

prawdziwém dla niego szczęściem i nie możemy uczynić nic, coby je na zerwanie narazić mogło.

— Nie widzę — rzekłem — dlaczego-by kilka słów, wyrzeczonych przez ojca występnego zapewne, ale więcéj jeszcze nieszczęśliwego, syna, do osoby tak nieznanéj i nizko stojącéj, miały zerwać to, co zawiązała zapewne miłość dwojga młodych ludzi.

— O! proszę pana — zawołała, wstrząsając głową pani Kalińska — miłość... miłość... zapewne... wszystko to są piękne słowa, ale trzeba téż i na inne względy uważać. Różyńscy byli bardzo zdziwieni i oburzeni tém, co się stało z Romanem, i jeżeli po tém, co zaszło, zgodzili się wydać córkę za Julka, to, jak mi się zdaje, dlatego tylko, że wiedzieli dobrze, iż tamtego nie uważamy już za naszego syna i że nigdy żadnych stosunków z nim miéć nie będziemy...

— A gdyby teraz kochany braciszek uwolniony został i wrócił — zawołał pan Julian — dostał-bym z pewnością rekuzę. Jak Boga mego kocham — dodał, uderzając się w piersi — dostał-bym rekuzę!

— A więc — rzekłem poważnie, patrząc mu w oczy — lękasz się pan i nie życzysz sobie uwolnienia i powrotu twego brata...

Młody człowiek zmieszał się nieco i spuścił oczy. Po chwili jednak, odzyskując kontenans — odrzekł z butą:

— On nie jest, proszę pana, moim bratem. Ja nie mam wcale brata, tak jak rodzice moi nie mają innego syna, prócz mnie.

Zwróciłem się do matki Romana.

— Łaskawa pani — rzekłem — nie przemawiam tu w interesie własnym, ale klienta mego, względem którego mam obowiązki i, mimo wszystko, żywe współczucie; dlatego pozwalam sobie być tak śmiałym i nalegającym. Czy serca państwa, serce rodzicielskie, cierpieć nie będzie nad tém, że w czasie, gdy jeden z ich synów, wolny, kochany, szanowany i szczęśliwy, osiągnie wszystko, co tylko człowiekowi w wieku jego i położeniu świat i życie dać mogą; drugi, okryty hańbą i pełen zgryzoty, samotny i opuszczony, jak sierota, skazany będzie na długie męczarnie i na wieki już oderwany od was, od rodzinnego miejsca swego, od wszystkiego, co na ziemi szczęściem jest, spokojem, czcią i uczciwością?

— Jak sobie kto pościele, tak się wyśpi! — mruknął pan Julian, dzwoniąc gwałtownie brelokami. Ale do oczu pani Kalińskiéj łzy napłynęły znowu. Czy w piersi jéj drgnęła struna macierzyńskiéj miłości, czy téż może pewne wyrazy miały własność drażnienia w szczególny sposób wzrokowych jéj nerwów, dość, że, gdy wymawiałem słowa: rodzicielskie serce, świat, życie, sierota, męczarnie i t. d. źrenice jéj wilgotniały i usta krzywiły się do płaczu.

— Julku! — rzekła, podnosząc na syna nieśmiałe oczy — trzeba-by się poradzić... może papa coś zrobi dla Romana...

— Poco tam radzić się! — ofuknął syn — papa nic nie zrobi, bo żeby i chciał, ja mu nie pozwolę. Nie rozumiem wcale, dlaczego ktoś obcy miał-by mieszać się do naszych spraw familijnych...

— No, no, Juleczku! — powstając z kanapy, żałosnym

głosem zawołała gospodyni domu — chodź, chodź, moje dziecko! jak zechcesz, tak zrobimy, ale trzeba przecież poradzić się, jaką ostatecznie odpowiedź dać panu obrońcy...

Mówiąc to, wzięła go za rękę i widocznie niezadowolonego, ale przez wzgląd zapewne na przyzwoitość nieopierającego się jéj syna, pociągnęła do znajdującego się obok budoaru.

Nie słyszałem wcale, co mówili pomiędzy sobą a nawet niewiele mię to interesowało, gdyż z góry przewidzieć mogłem rezultat konferencyi. Uwaga moja odwróconą została w inną stronę. Za zamkniętemi drzwiami, znajdującemi się w blizkości fotelu, na którym siedziałem, usłyszałem stłumione jakieś szepty i szelesty. Mimowoli spojrzałem na drzwi i ujrzałem rzecz najmniéj spodziewaną, bo przeglądające przez dziurkę od klucza, poniżéj wyzłacanéj kiedyś, lecz dziś zczerniałéj klamki, umieszczoną bardzo błękitną źrenicę i kilka włosków jasnéj rzęsy.

— A co? — rozległ się za drzwiami szept cichutki, który ja jednak dosłyszałem, bo mam słuch dobry i w salonie panowała cisza.

— Nic, siedzi — odparł szepcik, wychodzący widocznie z ust właścicielki oczka, utkwionego w dziurce od klucza.

— Czy młody?

— Młody, młody!

— A przystojny?

— Nie widzę dobrze.

— Pozwól! niech ja zobaczę!

— Cicho! cicho! odwrócił się i spojrzał na drzwi.

Wraz ze słowami temi, błękitna źrenica zniknęła z dziurki i kilka sekund cicho było za drzwiami.

— Kto-by to mógł być? — szepnął po chwili głos piérwszy.

— Nie wiem — odszepnął głos drugi — może nowy jaki sąsiad.

— Nie; pocztylion mówił Marysi, że ten pan z miasta.

— Wielka rzecz, że z miasta! może być dlatego obywatelem.

— Wejdź, Jadwisiu...

— Nie chcę... wstydzę się... wejdź ty piérwsza...

— Zapewne! tak będzie, jak ty chcesz! no wchodź że...

— Doprawdy nie mogę... cóściś Marysia źle mię dziś uczesała...

— Będzie on patrzał na twoje uczesanie!

— A cóż? może na twoję turniurę zaraz spojrzy...

— Cicho bądź i wchodź mi zaraz, a ja za tobą!

— Otóż ani myślę! jesteś dziesięć lat starsza ode mnie, powinnaś zawsze piérwsza wchodzić...

— Głupia jesteś!

Z ostatnim tym, nieparlamentarnym wcale, wykrzyknikiem wymienionym w wielkiém snadź rozdrażnieniu, bo na pół głośno, drzwi otworzyły się i do salonu weszły dwie panny. Jedna była bardzo wysoka i w powłóczystéj sukni, druga znacznie niższa i w sukience niezupełnie jeszcze dotykającéj ziemi. Obie niosły na głowach swych zadziwiające koafiury, wysokie w górze, szerokie po bokach, wydęte z tyłu, najeżone i postrzępione

dokoła. Weszły jedna za drugą i dygnęły, starsza z lekka i od niechcenia, młodsza niziutko i ze spuszczoną głową. Wstałem i ukłoniłem się. W téjże saméj chwili wyszła z budoaru pani domu, a za nią, z rozpłomienioną twarzą i krokiem niechętnym, postępował pan Julian. Panny usiadły — starsza tuż przy kanapie na honorowym fotelu, młodsza u okna, w cieniu brudnéj gipiurowéj firanki. Przejście jednak przez całą długość salonu było rzeczą również niełatwą jak, przebycie dziedzińca. Młode gończaki, skomląc i podskakując, rzuciły się na spotkanie wchodzących do pokoju swych państwa, wielkie wyżlisko zeskoczyło z fotelu i obłoconemi łapami oparło się o elegancki tużurek pana Juliana, inny pies niewiadomego mi gatunku szarpał za suknią panią domu, wsuwał pysk pomiędzy jéj nogi, ternew zaś w całéj wielkości swéj stanął na kanapie, i ogromnym łbem swym dotykając głowy starszéj panny, groził koafiurze jéj wielkiém poszkodowaniem. Gospodyni domu uspakajała psy głosem i dłonią, pan Julian niecierpliwił się i odrzucał nogą gończaki aż pod samę ścianę, panna Eufemia zarumieniła się, jak piwonia i, z całéj siły odpierając napastującego ternewa, rzekła do mnie:

— Papa tak lubi psy, że mamy ich pełen dom. Ja także je lubię, choć bywają czasem dokuczliwe. A pan czy jest amatorem psów?

Nie miałem czasu na odpowiedź, bo w téj chwili właśnie gospodyni domu, dotarłszy do kanapy, na któréj usiadła, zaczęła przemawiać do mnie:

— Julek znajduje — rzekła — że nie możemy i

niepowinniśmy mieszać się w sprawę Romana, i ja podzielam jego zdanie. Ciężko to bardzo rodzicom przenieść cios taki, ale zgodziliśmy się z wolą Pana Boga, a może to i lepiéj, że zbłąkane dziecko nasze ukaraném zostanie. W nieszczęściu upamięta się może i poprawi...

— Pani — rzekłem dotknięty do żywego — nie posiadamy jeszcze, niestety, w kraju naszym urządzeń karnych takich, które-by były zarazem urządzeniami poprawczemi. Nim państwo stanowczo zdecydujecie się nie udzielić synowi waszemu téj małéj pomocy, o którą proszę was w jego imieniu, czuję się w obowiązku powiedzieć jasno i otwarcie: pan Roman skazanym zostanie prawdopodobnie do ciężkich robót, z pozbawieniem praw i przywilejów obywatelskich.

Na te słowa pan Julian zżymnął się i spuścił oczy; pani Kalińska poniosła chustkę do twarzy; panna, siedząca na fotelu, z głębokiém zdumieniem spójrzała na mnie, ale od okna, z-za gipiurowéj brudnéj firanki, rozległ się szybko stłumiony wykrzyk.

— O, ja nieszczęśliwa! — zawołała pani Kalińska, skrapiając chustkę łzami — pocom ja tego doczekała! ja umrę ze wstydu i zgryzoty! Juleczku — dodała wśród łkań — może-by posłać po papę?

— Papa nie przyjedzie — odparł, wzruszywszy ramionami pan Julian — całe towarzystwo miało dziś jechać do Łozowa, a ztamtąd do Winiewicz.

— Wcale nie! — zawołała panna Eufemia — nocować dziś będą w Winiewicach, a jutro pojadą do Łozowa...

— Ależ, moja Femciu... — zaczął brat.

— Ależ, mój Julku — przerwała siostra — wiem doskonale, że pojadą dziś do Winiewicz, bo tam pokazały się dziki...

— Sama nie wiész, co mówisz! w Łozowie będzie jutro obława na wilki.

— Na wilki! na wilki! — zawołała panna, z żywym rumieńcem na zwiędłéj nieco twarzy — otóż ja ci mówię, nie jutro będzie obława, ale za tydzień, bo jesteśmy nawet proszone z mamą.

— Na obławę? — ironicznie zapytał brat.

— Juleczku — śród łez i łkania wymówiła pani Kalińska — daj pokój Femci!

— Ależ, moja mamo, kiedy ona sprzecza się zawsze...

— Bo ja wiem, co mówię... — zaprotestowała panna.

— Femciu, nie sprzeczaj się z Julkiem...

— A więc — przerwałem tę miłą rodzinną rozmowę — pan Kaliński nie wróci dziś do domu, i nie będę mógł widziéć się z nim przed odjazdem?

— O! papa wróci chyba za tydzień, bo teraz pora dla myśliwych najlepsza i w sąsiedztwie polują.

— Papa mówił, że wróci za trzy dni — zarzuciła panna Eufemia.

— Za tydzień z pewnością, bo kazał nawet w sobotę przyprowadzić do Iglina trzy sfory gończych...

— Dwie, nie trzy — zaprotestował duch opozycyi w rodzinie.

Powstałem z miejsca, w celu pożegnania całego towarzystwa. Los Romana rozstrzygnąć się miał za dni parę, a ojciec jego za tydzień dopiéro spodziewany był z

powrotem w domu. Nie mogłem przecież gonić go po świecie. Czegoż zresztą spodziewać się po głowie rodziny, któréj członków tak dobrze przez ubiegłą godzinę poznałem.

— Pani — rzekłem, zwracając się do gospodyni domu — na jednę już tylko okoliczność zwrócę uwagę rodziny Romana Kalińskiego. Boleje on mocno nad tém, że nikt z krewnych nie odwiedził go w smutném miejscu, w jakiem się znajduje, oprócz tego będzie miał on podobno do odbycia ciężką i daleką podróż. Czy pozwolicie państwo oddalić się na zawsze jednemu z członków rodziny waszéj, bez ostatniego słowa pociechy i pożegnania, bez skromnego choćby zasiłku, który-by mu umniejszył fizyczne przynajmniéj cierpienia?

— Ja tam już pewno do niego nie pojadę! — mruknął pan Julian.

— Nic-byś złego nie uczynił, gdybyś pojechał — sprzeciwiła się Eufemia.

— Jedź sama — sarknął brat.

— Gdybym była mężczyzną... — zawołała panna.

Pani Kalińska płakała wciąż i zawodziła głośne żale.

Oprócz łez jednak i narzekań, nic otrzymać od niéj nie mogłem.

— Jechać do niego nie możemy — zawołała nakoniec — bo narazili-byśmy się na większy jeszcze wstyd, i małżeństwo Julka zerwane było-by z pewnością. Femcia napisze może do niego, a mąż mój i ja poślemy mu cokolwek na drogę. Zrobimy, co możemy... ale jesteśmy w złych interesach, i nie powinniśmy krzywdzić innych

naszych dzieci. Julkowi trzeba ekwipować się i dom na przyjęcie gości urządzić... powóz z Warszawy i meble sprowadzić, to nie żart, także młodszą córkę moję téj zimy w świat wprowadzę i muszę toaletę jéj sprawiać... a pan wiész przecie, jakie-to teraz dla obywatelstwa ciężkie czasy... Roman był zawsze złém dzieckiem i same zgryzoty nam sprawiał! O, ja nieszczęśliwa matka! pocóż-em tego doczekała! ja tego nie przeżyję! — i tam daléj.

Płakała i zawodziła swe żale; Femcia półgłosem sprzeczała się z bratem, dowodząc, że państwo Różyńscy będą we czwartek w Łozinie, wtedy, kiedy on powiedział, że będą tam oni w sobotę; gończaki dobijały się do drzwi, ternew uderzał w stół kosmatym ogonem, dwa wyżły głośnemu płaczowi swéj pani wtórowały przeciągłém wyciem. U okna, za gipiurową brudną firanką, nie było nikogo; panna Jadwiga niespostrzeżenie i pocichutku wysunęła się z salonu.

Ukłoniłem się w milczeniu wszystkim dokoła, i zmierzałem ku drzwiom.

— Może pan obrońca zostanie u nas na obiedzie? — ocierając łzy, jęknęła pani Kalińska.

Podziękowałem i odmówiłem. Pilno mi było wydostać się z tego domu.

Pan Julian szedł ze mną aż do sieni, zabawiając mnie rozmową o drodze i pogodzie. Nakładając podróżny płaszcz, nie mogłem wstrzymać się od surowego spójrzenia w oczy temu wykwintnemu młodzianowi, który, tak nielitościwy dla występnego swego brata, nie czuł, nie wiedział, że perfumy jego, pukle i matrymonialne zamiary,

że wszystkie dni jego próżniacze, samolubne uczucia, nędzne rachuby i same myśli, były jednym wielkim i brzydkim, a tylko żadnym kodexem karnym nieobjętym, grzechem. Znałem już teraz obu synów domu tego, pozbawionego całkowicie zmysłu wysokiéj moralności, prawdziwéj oświaty, pracy i porządku. Jeden z nich był duchem zbuntowanym i rzuconym na rozdroże występku, drugi, dzięki korniejszéj i ospalszéj naturze swéj, pasożytem tylko, karłem moralnym, grzesznikiem, żyjącym w zgodzie z prawem karném i salonową opinią. Były to dwie jednostajnie smutne odmiany kalekich i szkodliwych roślin, z gruntu niezdrowego wyrosłych.

Pożegnany przez młodszego syna ceremonialnym ukłonem i lekkiém ściśnieniem ręki, wyszedłem na ganek, przed którym czekały na mnie konie pocztowe. Na widok mój, pocztylion ruszył z miejsca, nie stanął jednak jeszcze u stopni ganku, gdy usłyszałem za sobą stuknięcie drzwiami, i obejrzawszy się, zobaczyłem stojącą przy mnie pannę Jadwigę. Na krótką sukienkę swą narzuciła wielką ciepłą chustkę i otulała się nią od chłodu. Drobną i białą twarz jéj okrywał rumieniec zmieszania, a wiatr, silnie dmący na dworze, dziwne wyrabiał rzeczy z zadziwiającą jéj koafiurą, wstrząsając ją, strzępiąc i rozrzucając na wsze strony, niby kręte źdźbła źle związanéj więzi siana. Stała przede mną chwilę, milcząca, strwożona i ze spuszczonemi oczyma.

— Proszę pana — zaczęła nakoniec słabym i lękliwym głosikiem — czy pan prędko zobaczy Romusia?

— Zobaczę go zaraz po powrocie do miasta — odparłem zdziwiony nieco.

— Mam do pana prośbę — szepnęła panienka.

— Słucham pani — rzekłem z ukłonem.

Wysunęła z-za chustki rękę, w któréj ujrzałem coś owiniętego w papierek.

— Niech pan to ode mnie odda Romusiowi — rzekła — i niech pan jemu powié... niech pan jemu powié, że choć mama i papa gniewają się na niego, choć ja sama wiem, że on źle, bardzo źle zrobił; ale mnie go żal i bardzo smutno, że go już nigdy nie zobaczę... niech pan mu powié...

Tu podniosła oczy i piérwszy raz spójrzała na mnie. Były to oczy na-pół dziecinne i bardzo błękitne, na jasnéj rzęsie, któréj kilka włosków widziałem przed półgodziną, w dziurce od klucza, wisiały teraz i drżały dwie łzy.

— Niech mu pan powié — szepnęła jeszcze — żeby do mnie napisał kiedy i że, jak ja... jak ja...

Sądziłem, że nie zdoła wymówić następujących wyrazów, tak trudnemi jéj one były do wymówienia. Wymówiła je przecież.

— Jak ja za mąż pójdę i będę miała własne pieniądze, własne konie i powóz, przyjadę do niego, choć-by był najdaléj.

Silnie ścisnąłem w dłoniach moich drobną rączkę, która oddawała mi mały rulonik i wskoczyłem na bryczkę. W bramie rozwinąłem papier i zobaczyłem w nim kilka sztuk złotéj i srebrnéj monety. Był tam dukat, parę półimperyałów, jeden luidor, parę numizmatów i jeden stary jakiś medal pamiątkowy. Wiedziałem, że w niektórych zamożnych domach istnieje zwyczaj obdarowywania dzieci w dnie ich imienin, lub urodzin, błyszczącemi pieniążkami,

domyśliłem się więc pochodzenia tych, które trzymałem w ręce. Panna Jadwiga oddawała nieszczęśliwemu bratu wszystko, co posiadała, mały skarbek w radości serca zapewne uzbierany od kolebki. Minąwszy bramę, obejrzałem się jeszcze na dom, pozostający za mną. Jasna suknia młodéj panienki świeciła tam jeszcze pomiędzy upadającemi w gruzy szaremi słupami ganku. Zdawało mi się, że wśród zapadającego mroku spostrzegam w oddali błękitne jéj źrenice, z dwiema łzami na rzęsie, i różowe usta, szepcące lękliwie: „choć ja sama wiem, że on źle zrobił, ale mi go bardzo żal”. Dobre, młode dziewczę! — pomyślałem — serce twoje zasługuje na to, aby głowa twoja nie nosiła na sobie fury siana, zlepionego pomadą, aby stopy twoje nie grzęzły w gruzach rodzicielskiego domu, a oczy nie zaglądały przez dziurki od kluczy. Serce twoje zasługuje na to, abyś z dwoma warkoczami, owiniętemi nad dziewiczém czołem, z myślą zawieszoną wysoko i okiem nieprzysłonioném niczém, szukała dla siebie po świecie trudnych dróg obowiązków i wzniosłych szczytów szlachetnego szczęścia. Niestety! zadziwiająca koafiura przytłoczy w głowie twojéj wszelką myśl, która-by powstać w niéj chciała; mama twoja wyswata ci bogatego kawalera, którego papa upoluje w czasie jednéj ze swych myśliwskich wypraw; brat, Julek, ożeniony z posażną panną, sporządzi ci piękną wyprawę, a ty sama, zmęczona upatrywaniem przez okno nienadjeżdżających konkurentów, uciekając przed gruzami rozwalających się ścian rodzicielskiego domu, sprzedasz ciało i duszę, zgasisz piękny ogień, który dzisiaj z piersi do oka rzucił ci łzę

litości nad występnym bratem, i będziesz grzesznicą, żyjącą w zgodzie z prawem karném i salonową opinią! W takich i wielu innych myślach zatopiony, ujechałem z półtory mili, gdy o uszy moje obiły się z oddali dochodzące odgłosy trąb myśliwskich. Wychodziły one kędyś z pod lasu, i przeciągłém echem biegły po równych, szerokich, piérwszym śniegiem zimowym zasłanych, polach. Niebawem z dźwiękiem trąb potoczyło się gromadne skomlenie i naszczekiwanie psów, tentent koni, wołania łowców i dojeżdżaczy. Wszystko to trwało kilka minut, poczém przycichać poczęło stopniowo i umilkło całkiem w oddaleniu; poczet myśliwski, który ukazał się na chwilę u skraju lasu, popędził drogą, biegnąca na prawo, i zniknął w jéj zakręcie. Pocztylion wskazał ręką w stronę, w którą oddalała się wrzawa.

— A to pan Kaliński — rzekł — jedzie do Łozina z polowaniem.

W kwandrans potém wysiadłem na stacyi pocztowéj, i poprosiłem gospodarującéj tam kobiety, aby sporządziła mi herbatę i przekąskę. Zanim to, czego zażądałem, było gotowém, i zanim do bryczki założono świeże konie, upłynęła godzina. Stałem w oknie izby gościnnéj, i paląc cygaro, rozmawiałem z dozorcą stacyi, gdy tuż przed domem przeciągnął powóz, obładowany tłomokami, i ciągnięty czterema rosłemi i rasowemi, ale chudemi końmi. Skręcił na drogę wiodącą w lewo.

— Nie poznajesz pan tych pań, które jadą w tym powozie? — zapytałem dozorcy.

Spojrzał w okno i odpowiedział:

— A to pani Kalińska z córką...

Wróciłem do miasta nad rankiem, a przespawszy parę godzin i załatwiwszy najpilniejsze interesa, udałem się w odwiedziny do młodego mego klienta. Chciałem wręczyć mu podarek siostry i pomówić z nim jeszcze o pewnych punktach sprawy. O bytności méj w Kalinowie postanowiłem zachować zupełne milczenie. Pocóż go bowiem srożéj jeszcze jątrzyć i rozżalać miałem?

Dozorca więzienia spotkał mnie ze słowami:

— Przychodzisz pan pewno do Kalińskiego? dziwny to chłopiec, doprawdy. Czy pan wiész o tém, że przyznał się do wszystkiego?

— Jakto, przyznał się? — zawołałem.

— Tak; objawił on dwa tygodnie temu żądanie widzenia się prokuratorem, o którém ja powinienem był zawiadomić i zawiadomiłem stosowne władze. Prokurator nie przyszedł sam, ale przysłał podprokuratora, a Kaliński przyznał się przed nim, że popełnił to, o co go obwiniają... Nie chciał nawet czynić tego w sekrecie, ale tak głośno rozmawiał z prokuratorem w parlatoryum, że ja i straż wszystko mogliśmy słyszéć.

— Poproś-że go pan do mnie — rzekłem.

Dozorca postąpił ku dziedzińcowi, ale w połowie bramy zatrzymał się i dał mi znak głową, abym się zbliżył.

— Zobacz pan, co on wyrabia — rzekł, wskazując mi palcem głąb' dziedzińca.

Zobaczyłem młodego więźnia, krzątającego się żywo po dziedzińcu. Zrazu nie mogłem dobrze zrozumiéć, co znaczyła czynność, któréj oddawał się z gorączkową prawie

zapomiętałością. Pod jedną ze ścian więzienia, złożoną była do naprawiania bruku przeznaczona znaczna ilość kamieni. Kaliński podejmował najcięższe z nich i roznosił je w różne strony dziedzińca, poczém brał je znowu i umieszczał na dawném miejscu. Kształtne, ale silne i muskularne ramiona jego, podnosiły ciężary z pozorną przynajmniéj łatwością, i nad podziw zręcznie, obarczony niemi, nie szedł, ale biegł, i wracał po nowe prędszym jeszcze krokiem. Siermięga, którą dla ochronienia od chłodu przyodziały go władze więzienne, leżała w kącie podwórza, było mu snadź i bez niéj gorąco, bo policzki miał pałające, a po bladém czole spływał mu pot obfity, którego krople ocierał od czasu do czasu rękawem podartéj surduciny.

Więźniowie, siedzący pod ścianami na ławach, i straż, stojąca w bramie, śmieli się z niego i zadawali mu pytania, na które nie odpowiadał. Zdawał się nic nie widziéć i nie słyszéć, usta miał zaciśnięte, o oczy błyszczące dziwném, fizyczném jakby, zadowoleniem.

— Panie Kaliński! — zawołał głośno dozorca.

Stanął, położył na ziemię kamień, który niósł, i spojrzał dokoła, jakby ze snu obudzony.

— Kto mnie woła? — zapytał.

— Pan obrońca przyszedł do pana.

Poskoczył i w mgnieniu oka stanął przede mną.

— Ach, to pan! — zawołał z uśmiechem, który rzucił mu na twarz całą wyraz nieledwie dziecięcéj radości. Jaki pan dobry jesteś, że przyszedłeś... Zmówiłem dziś rano pięć pacierzy na intencyą, abyś pan do mnie przyszedł.

— Czy potrzebowałeś mnie widziéć? — zapytałem.

Zmieszał się trochę i odpowiedział niepewnym głosem:

— To jest, tak... nie potrzebowałem, ale chciałem...

— Powiédz mi — rzekłem — co takiego robiłeś przed chwilą?

— Nosiłem kamienie — odpowiedział.

— Widziałem, ale poco ci było to czynić?

— Ach, proszę pana — rzekł — tak mnie tu (wskazał na piersi) paliło coś i spokojności nie dawało, że nie mogłem wytrzymać... Zmęczyłem się téż porządnie — dodał, oddychając głęboko — i teraz mi lepiéj...

Weszliśmy do parlatoryum.

— Czy pan wiész, że przyznałem się do wszystkiego przed prokuratorem? — zaczął piérwszy.

— Wiem — odparłem — i chciał-bym bardzo wiedziéć, co cię skłoniło do tego?

— Ot tak, nic. Po rozmowie z panem wstyd mi się jakoś zrobiło, że kłamałem dotąd i chciałem, abyś pan o mnie choć trochę lepiéj myślał.

Mówił to smutnym głosem i ze spuszczonemi oczyma.

Nagle podniósł głowę i machnął ręką.

— Ach! — zawołał — niech mnie dyabli wezmą, jeżeli wiem, jaki z pana człowiek! Rozmawiałem z panem godzinę i kocham pana więcéj, niż rodzonego ojca. Ach, panie! — dodał nagle zupełnie zmienionym głosem i składając ręce, jak do pacierza — gdybym to ja mógł być takim, jak pan, człowiekiem!

Gdy wymawiał ostatnie słowa, rumieniec zapału napłynął znowu do pobladłych już policzków, oczy jego błysnęły niezmiernem pragnieniem i pierś podniosła się

wysoko i szybko.

— Jakim-że to właściwie człowiekiem chciał-byś być? — zapytałem, uśmiechem pokrywając wzruszenie, które mnie ogarniało.

— Chciał-bym — rzekł — tak, jak pan, chodzić po więzieniach i po różnych innych smutnych miejscach, pocieszać i bronić nieszczęśliwych!

Uśmiechnąłem się tym razem szczerze. Młody więzień tworzył sobie o mnie dziwaczne nieco pojęcie, nadając widocznie w wyobraźni swéj zajęciom moim jakieś fantastyczne, rycerskie barwy. A przecież naiwne jego słowa nie byłyż może zbłąkaném echem, jakiém odzywał się w nim głos powołania, wrodzonych mu skłonności i popędów?

Usiadłem na ławie i wyjąłem z kieszeni podarek panny Jadwigi.

— Siostra twoja, panna Jadwiga, przesyła ci te pieniądze — rzekłem.

— Siostra moja! — zawołał — Jadwisia! czy pan ją widziałeś?

Zawahałem się z odpowiedzią. Wpatrzył się we mnie swemi bystremi szaremi oczyma i, po chwili milczenia, rzekł stanowczym głosem.

— Pan jeździłeś do Kalinowa... widziałeś moich rodziców i prosiłeś ich o cóś dla mnie...

Milczałem, on usiadł na stołku, sparł brodę na dłoni i mówił daléj:

— Widzisz pan, że zgadłem. Dziękuję panu. Jesteś pan bardzo dobry... chciał-bym być bardzo takim człowiekiem,

jak pan. Nie prawdaż panie, że Kalinów bardzo nudny. Ojca spotkałeś pan pewno wyjeżdżającego, albo wracającego z polowania, mamy nie było w domu, a jeżeli była, to Femcia kłóciła się z Julkiem, nie prawdaż? Dla mnie nic nie chcieli zrobić. Wiem o tém doskonale. Mniejsza o to, przyznałem się i jest już teraz po wszystkiém. Zresztą — dodał — nic to dziwnego, że oni gniewają się na mnie; byłem zawsze wielkim szubrawcem, a teraz wstydzić się mnie muszą... Nie mam do nich żadnéj pretensyi, i chciał-bym tylko, aby mnie nie bardzo źle wspominali...

— Czy wiész pan — zawołał po chwili milczenia — że chciał-bym jeszcze raz w życiu posłyszéć, jak Julek sprzecza się z Femcią, i jak Jadwisia dudni gamy na fortepianie, i jak dojeżdżacze ojca grają na trąbach...

Widziałem, jak rozmowa o rodzinnym domu, jakkolwiek był on nieponętnym, poruszała w nim z wolna strunę tęsknoty. Czoło jego mroczyło się, a oczy nabierały głębi i przejrzystości.

— Chciał-bym — rzekł — raz jeszcze w życiu widziéć starą Maryannę. Pan nie wiész, kto to taki, ta stara Maryanna. Jest to moja dawniejsza niańka, bardzo dobra i poczciwa kobieta, która strasznie pieściła mnie, gdym był mały. Czy wiész pan, że miałem już lat czternaście i piętnaście, a jeszcze chodziłem do Maryanny, która zamieszkała na wsi w chacie córki, i lubiłem słuchać, jak śpiewała stare piosenki, i opowiadała wnukom swoim te same bajki, które prawiła kiedyś mnie, gdym był mały. Ma ona, proszę pana, takie żółte, pomarszczone czoło, ale brzydka nie jest, tylko już bardzo stara, i w przeszłym roku

o kiju zaczęła chodzić... Gdybym był nie popadł w taką biédę — dodał — zbudował-bym kiedyś Maryannie piękny domek, a córce jéj darował kawał pola.

Mimowiedzy jakby, głowa jego pochylała się i opadała na dłoń. Czułem gorąco jego oddechu, gdy znowu mówić zaczął:

— Chciał-bym także bardzo zobaczyć jeszcze, choć raz w życiu, pewne miejsce w lesie, które bardzo lubiłem dopóty, dopóki mi cały świat nie zbrzydł. Jest to, proszę pana, brzozowe zarośle, nizko położone i trochę wilgotne, ale mnie wilgoć nigdy nie szkodziła. Trawa tam za to taka zielona, jak nigdzie, a pomiędzy krzakami jest maleńki stawek.

Jak tylko zacząłem czuć, żem był nieszczęśliwy, zacząłem chodzić w to miejsce; z rana mianowicie, kiedy w domu wszyscy jeszcze śpią, wstanę bywało, pójdę, tam i siedzę nad stawem godzinę, albo dwie. Szczególniéj, proszę pana, kiedy słońce wschodziło, było tam bardzo pięknie. I brzozy, i woda, były różowe, jaskółki latały nad stawem, a w krzakach ptactwo tak krzyczało, że je chyba aż w niebie słychać było. Chciał-bym tam jeszcze być kiedy...

Milczał chwilę, potém mówił jeszcze:

— I Jadwinię chciał-bym raz jeszcze w życiu widzieć... dobra to dziewczyna. Jak byliśmy dziećmi, graliśmy razem w konie, ale największa już była dla nas radość, kiedy frukta dojrzewają w ogrodzie. Wtedy, bywało, ja wlézę na drzewo, zrywam dojrzałe gruszki i rzucam, a ona łapie je w fartuszek. Daj Boże jéj szczęście! choć nie spodziewam się, aby miała go wiele. Ona, panie, taka czuła! byle co, zaraz

już płacze... biedna Jadwisia! chciał-bym ją jeszcze widzieć kiedy!

Kiedy domawiał ostatnich wyrazów, zobaczyłem wielką kroplę, spadającą na chropowaty stół więzienny. On nie spostrzegł nawet, że z oka jego spadła łza.

— Julek żeni się podobno — mówił daléj — dowiedziałem się o tém od jednego człowieka z naszéj okolicy, który służył u nas kiedyś, a teraz tu przyprowadzony został. On zawsze marzył o tém, aby bogato ożenić się. Toż-to dopiéro będzie huczne wesele! a przenosiny jeszcze huczniejsze rodzice mu wyprawią. Będą grać, tańczyć, cieszyć się... o!

Podniósł rękę do serca, jakby go tam coś nagle ukłóło.

— O! — powtórzył i zerwał się z krzesła.

Wyglądał w téj chwili strasznie. Twarz jego powlekała się krédową bladością, oczy zapałały posępnie, wargi drgały. Śmiertelna tęsknota, głuchy gniew, rozrywająca żałość, zdawały się wybuchać z każdéj fibry jego ciała.

— Tak! — zawołał — będą żenić się, grać, tańczyć, cieszyć się... wszyscy, wszyscy wolni, szczęśliwi, a ja!...ja!...

Głęboki jęk, czy łkanie, łez pozbawione, zatrzęsło nim od stóp do głowy, zarazem drżące nerwowo ręce podniósł do piersi i jedném szarpnięciem rozdarł na kilka części okrywającą mu pierś bieliznę. Potém upadł na krzesło, ukrył twarz w dłoniach — i siedział nieruchomy. Kiedy po chwili podniósł głowę i spojrzeniem spotkał się z moim wzrokiem, ujrzałem w oczach jego wyraz wstydu i prośby.

— Nie gniewaj się pan, — rzekł z cicha, — nie mogłem

wstrzymać się... nigdy już nie uczynię tego...

Chciałem przysunąć się ku niemu i uczyniłem małe poruszenie. Myślał, że chcę odchodzić.

— O, nie odchodź pan byle, nie odchodź — rzekł, przytrzymując mię za rękaw od ubrania. Nie będę już nic mówił, ale chcę słuchać pana długo... długo...

O czémże mówić mu mogłem? Miałem, według uświęconego w podobnych wypadkach i położeniach obyczaju, wysławiać zasługę i uroki cnoty przed nim, którego odtąd jedyną cnotą miało być prawdopodobnie bierne posłuszeństwo, przymusowa, pod groźbą i przez obawę chłosty, spełniana, praca? Miałżem z prawideł i zasad moralnych tworzyć nabożny traktat dla człowieka, któremu wyrok prawa, pozbawiając go na zawsze wolnéj woli, odejmował osobistą odpowiedzialność, bez któréj moralność czczém tylko jest słowem!

Nauczać go cnót, których dopełnianie nigdy już w mocy jego leżéć nie miało, prawić o tém, jak czynić i żyć powinien wtedy, gdy on nad życiem i czynami swemi nigdy już prawa samorządu odzyskać nie miał; było-by robotą płonną i bezsensową, bezużyteczném dręczeniem ducha jego, przez ukazywanie mu wielkich sił i pięknych obrazów, których zdobycie i doścignięcie było mu o tyle możebném, o ile pląsy taneczne możebnemi są dla biedaka, na zawsze już paraliżem przykutego do łoża cierpień. A jednak miał on tylko lat 19! Nieprzeliczone skarby uczuć i myśli drzémały w kipiącéj jego piersi, w bystrym i pojętnym jego umyśle. Niezużyte siły żywotne bujnéj, sprężystéj i gorącéj jego organizacji, szukając dla siebie

ujścia, szamotały nim dotąd, jak wicher wiotką gałęzią drzewa; ale któż mógł zaprzeczyć na pewno, że, kochającą i umiejętną dłonią na prawidłowy szlak skierowane, nie mogły one popłynąć pięknym, szerokim, potężnym, dobroczynnym strumieniem? W gorętszéj, niż u wielu innych, krwi jego, w drażliwéj na zewnętrzne dotknięcia tkance sercowéj, wrzało źródło tych namiętności, które uczyniły z niego wielkiego winowajcę; lecz czyliż namiętności, będące żużlami, wzniecającemi niszczące pożary, bezrozumne szały, nie są także iskrą, z któréj, pod wpływem przyjaznego podmuchu, powstaje twórczy zapał, wielka miłość i bohaterska ofiara? W niejasnéj, chaotycznéj, niewyrobionéj i starganéj istocie jego leżała głęboko i drgała od czasu do czasu, tajemna dla niego samego, struna poetyczności. Ona-to rozkazywała mu godzinami całemi przesiadywać nad brzegiem stawu, którego powierzchnią, zróżowioną przez jutrzenkę, muskały lotne skrzydła jaskółek, lub pod ścianami brudnego miasteczka padać twarzą na ziemię i płakać gorzko, długo, bez zrozumienia i świadomości przyczyny łez własnych. Była to w nim dotąd struna jałowa, niewyraźne lub fałszywe dźwięki wydająca; ale jakiż prorok lub psycholog zaręczyć śmiał-by na pewno, że gdyby dobroczynna wiedza naciągnęła ją do właściwéj skali, a piękne jakieś uczucie uderzyło w nią potężną dłonią, nie zabrzmiała by wspaniałym jakim hymnem, nie wygrała-by światu szerokiéj i wysokiéj melodyi, pieśni lub czynu? Teraz wszystko to było stracone na zawsze. A jednak, ten piękny silny chłopak, stracony dla społeczeństwa i dla

wszystkiego, co na świecie było piękne, dobre i szczęśliwe, miał tylko lat 19!

Powróciwszy z więzienia, zamknąłem się w pracowni méj, i nie zapalając lampy, z głową w dłoniach i z sercem ciężkiém, rozmyślałem długo nad olbrzymiém zagadnieniem winy i kary, które ludzkość rozwiązuje tak powoli i z trudnością.

Ciemno było w samotnym pokoju moim, a śród ciemności, jakie mię otaczały, przed oczyma memi stał wciąż, jak zaklęty, młody Roman Kaliński. Wysłuchałem szczeréj i głębokiéj spowiedzi jego ducha, byłem w domu, w którym rozwijało się dzieciństwo i piérwsza młodość jego, wiedziałem więc dobrze, jakie to były dłonie te te, które tak okrutnie zbrudziły i splątały pasmo jego życia, która z dłoni tych, i o ile, należała do natury, a która do ludzi. Wielkie oburzenie człowieka, i srogi gniew obywatela powstały we mnie ku tym bezrozumnym i występnym rodzicom, którzy trawiąc cały czas swój na płochych igraszkach, zaślepieni przesądem, próżni wszelkiéj prawdziwéj wiedzy i wszelkiego wysokiego uczucia, nie potrafili zbadać i poznać natury syna swego, nie dali gruntu stopom jego, mocy sercu, światła umysłowi, oręża rękom, hamulca i kierunku namiętnościom. Byli to bezwiedni zbrodniarze, bez woli i zamiaru zabijający człowieka, zdrajcy kraju, odbierający mu dzielnego może syna jego...

Przejęty uczuciami temi, z głębi piersi zawołać chciałem: hańba i biada wam rodzice, których synowie wzrastają na srogich grzeszników, czy to w zgodzie, czy w kłótni z

prawem pisaném żyjących i grzeszących! Ale nadbiegła ku mnie znowu myśl, wywinięta z owego zagadnienia, w którém, jako człowiek, jako obywatel, jako szczególniéj prawnik, zapuszczałem już nieraz i przedtem wzrok ciekawy, smutny i niespokojny.

Dlaczego, skoro jednostki bezrozumne bywają i ułomne, wielka zbiorowa istota, społeczność, nie naprawia zrządzonych przez nie pobłądzeń i szkód, ale owszem utrwala je i unieśmiertelnia? Dlaczego w zastępstwie rodzicielskich domów, które nie potrafiły, lub nie chciały stać się dla synów swych siłą kształcącą rozumnie i prawidłowo, społeczność nie wystawia dla okaleczonych członków swych, miejsc, napełnionych uzdrawiającą mocą oświaty, wzmacniającym i oczyszczającym zmysłem pracy i moralności? Dla czego, zamiast narzędzi poprawy i odtworzenia, ustawy, i instytucye karne posługują się dotąd jeszcze narzędziami męczarni i unicestwienia?

Weźcie koniec nici, wywijający się z kłębka i, pociągając go ostrożnie, przypatrzcie się uważnie węzłom jéj i skrętom. Węzły te brzydkie są i bezkształtne, skręty przedstawiają oczom waszym linije kalekie, krzywe i bezładne.

Posiadacież przeto prawo, porwać w gwałtownéj dłoni to pasmo zbrudzone i zwikłane, aby z niego pozostały, tylko bezużyteczne i na zawsze już w proch rzucone szmaty? Zaprawdę! prawa takiego nie posiadacie!

Nie jesteście Bogiem i, nie dzierżąc w dłoni waszéj mocy twórczéj, nie macie przywileju na używanie względem bliźnich waszych siły niszczącéj. Czyliż w

węzłach i skrętach nici, wyrokom waszym podlegających, nie spostrzegacie brutalnéj, występnéj lub okrutnéj ręki natury, losu albo ludzi, która uczyniła je takiemi, jakiemi je widzicie? Waszą rzeczą jest, zdjąwszy nieszczęśliwą nić z miejsca, na którem-by ona krokom ludzkim zawadzać mogła, umieściwszy ją tam, kędy nikomu szkodliwą być nie może, zanurzać ją w zdrowych i czystych wodach, aby oczyszczoną i skrzepioną została, prostować ją troskliwemi rękami, aby zakreśliła już nadal linie harmonijne i proste.

— A sprawiedliwość? — zapyta kto, — pokuta, zemsta?

Sprawiedliwość! — któż to ma prawo tak wysokie piastować pojęcie o mądrości własnéj, aby módz twierdzić, że wzrokowi jéj nie umknie ani jedno źdźbło takie, które-by szalę sprawiedliwości przeważyło stanowczo na stronę poddanego wyrokom jéj człowieka? Jeżeli-by zresztą myśl ludzka i mogła nawet stać się tak przenikliwą, oczy ludzkie mogły być tak bystremi, a uczucia i pojęcia tak bezstronnemi, aby wiedzieć i pojmować wszystko, wszystko aż do najdrobniéjszéj okruszyny, co rządziło i rządzi i rządzić może ciałem i duchem człowieka; wpływy którym podległ, psychiczne procesy, które przebył, patologiczne skrzywienia, którym uległ, walki, które przed upadkiem swym stoczył, postanowienia i zmiany, które po upadku w nim się zrodziły; to i wtedy jeszcze, i zawsze, ze względu na solidarność, wiążącą, wszech członków ludzkości mocą uczucia i mocą interesu, ze względu na te bezmiary niemożności, śród jakich ugina się bezładnie najsilniejsza nawet wola ludzka, ze względu nakoniec na wielkie prawo miłości i wynikającą z niego promienną ideę

przebaczenia, których rządy same jedne przynieść mogą światu prawdziwy postęp i szlachetne szczęście — miłosierdzie podnosi się wysoko po nad sprawiedliwość, i zarazem samo jest sprawiedliwością, pojętą i spełnianą w najwyższym jéj wyrazie.

Gdyby w społeczeństwie naszém, zamiast dziś istniejących instytucyi, wznosiły się miejsca nie unicestwiania ale poprawiania, nie piekłem wiekuistéj zaguby będące, ale czyścem, przez który przechodząc, zbłąkane duchy zarabiają sobie na inne, lepsze życie; to dziecię występne, ale tak młode i nieszczęsne, którego nadaremną obronę nazajutrz roztoczyć przed sądem miałem, nie było-by może na zawsze stracone...

Pod wpływem podobnych myśli i uczuć zostając, w chmurne, smutne, zimowe południe, wstępowałem na wschody gmachu, w którym za chwilę odbyć się miało rozstrzygające los młodego więźnia posiedzenie sądowe.

Sala, przeznaczona dla oczekującéj rozpoczęcia się sądów publiczności, natłoczona była ludźmi, pomiędzy którymi najwięcéj dawało się widzieć osób, pochodzących z wyższéj towarzyskiéj sfery. Spostrzegłem w tłumie kilkunastu obywateli wiejskich; kobiéty zeszły się téż tym razem liczniéj, niż zwykle. Snadź sprawa, którą dziś roztrzygać miano, głośną była w mieście i okolicy; młodość, imię i rodzaj występku obwinionego żywe i powszechne rozbudziły zajęcie. Nie trzymałem w ręku żadnego papieru. Nie potrzebowałem układać na piśmie dzisiejszéj mowy méj, miałem ją bowiem całą wypisaną w głowie i sercu.

Gdy wszedłem do sali, znajomi otoczyli mię.

— Jakiéj sprawy bronić dziś będziesz? — pytano.

— A! tego łotrzyka, który-to takiego wstydu nabawił poczciwych, zacnych swych rodziców!

— I proszę to powiedzieć! zkąd się podobne indywidyum wziąć mogło w naszém obywatelstwie!

— Musisz pan znać obwinionego! Czy przystojny? — Pytały damy.

— Znam jego brata, pana Juliana, — mówiła jedna z dam, — taki śliczny, dobrze wychowany młody człowiek! Jakie się to czasem sprzeczności zdarzają w rodzeństwie!

— Jeden brat wyrośnie na najporządniejszego człowieka, a drugi...

— Czy to prawda, panie, — zawołał mi nad uchem sopranowy głosik, — że ten zbójca popełnił już przedtem dwa zabójstwa i dziesięć kradzieży?

— Słyszałem, panie dobrodzieju, — tubalnym głosem prawił szpakowaty i pucołowaty obywatel, — że pani Kalińska rozchorowała się śmiertelnie z desperacyi.

— Tak, tak! — zawołał ktoś inny i żartobliwie nieco dodał, — słyszałem takie, że Maurycy od tygodnia już ani razu nie polował!

Nad gwarem głosów tych i szmerem licznych rozmów, w różnych stronach sali prowadzonych, podniósł się donośny głos woźnego, który, stojąc we drzwiach, zawołał:

— Sprawa Romana Kalińskiego.

W pięknéj, obszernéj i wysokiéj sali, za stołem zazarzuconym księgami i papierami, na krzesłach o wysokich poręczach, siedzieli sędziowie, z wyrazem chłodu

i powagi na twarzach. W pobliżu, przy oddzielnym stole, w urzędowém ubraniu i z urzędową, fizyognomią i postawą, prokurator przerzucał papiery, złożone na wysokim pulpicie. Publiczność, z wolna i tłumnie napływając do sali, zajmowała liczne rzędy krzeseł, ustawionych za nizką baryerą; ja także usiadłem już przy przeznaczonym dla mnie stoliku. Zgromadzenie całe było w komplecie i brakło jeszcze tylko głównéj figury, właściwego aktora w odbyć się za chwilę mającym, ostatnim i zarazem wstępnym, akcie dramatu, przedstawiającego upadek i niedolę człowieka.

Wszedł nakoniec i on. Dwaj żołnierze, z podniesionemi w górę ostrzami bagnetów, poprzedzali go, dwaj inni szli za nim. Przyprowadzono go ku ławie oskarżonych, przy któréj stanął, z tyłu i z przodu otoczony swą strażą. Blady był, usta jego ściśle były zwarte i oczy spuszczone, gdy przechodził przez salę lecz, gdy stanął już na wskazaném mu miejscu i uczuł na twarzy swéj mnóztwo utkwionych w niéj ciekawych spójrzeń, czoło jego i policzki głęboką zaszły purpurą, pochylił głowę i zdawał się być przytłoczony niezmierném brzemieniem wstydu; podniósł wysoko wzrok, w którym odmalowało się piekło bólu, i przygryzł zębami wargę tak, ze wystąpiła z niéj bujna krwi kropla. Przez chwilę pomiędzy publicznością trwały ciche szmery, towarzyszące zwykle poruszeniom rozciekawionego i wzruszonego tłumu, nagle stała się cisza wielka, głęboka, śród któréj zabrzmiał głos prezydującego sędziego.

— Sprawa Romana Kalińskiego, obwinionego o zabójstwo z rabunkiem, dokonane na Dyonizym

Wierowskim.

Relacya sprawy trwała krótko, poczém za wysokim pulpitem podniosła się zimna, urzędowa postać prokuratora. Był to człowiek wymowny i biegły znawca prawa. Mówił długo, wiązał w mowie swéj ścisłą, nić dowodów i argumentów, cytował artykuły praw i zakonkludował wnioskiem o skazanie obwinionego na dwanaście lat ciężkich robót, pozbawienie go praw szlacheckich i obywatelskich, i — co zawsze idzie za tém — wieczne pozostawienie w Syberyi.

W czasie mowy prokuratora, parę razy spójrzałem na więźnia. Stał teraz wyprostowany, ze skrzyżowanemi rękoma. Usta jego były suche, spieczone, i na-pół otwarte, ale oczy zagasłe i szklane, utkwione w przeciwległą ścianę. Można-by rzec, iż nie słuchał bynajmniéj słów, które tak wielki wpływ na los jego wywierały, ale, spieczonemi usty z trudnością do piersi swéj wciągając powietrze, zgasłemi źrenicami ścigał jakiéś w oddali majaczące mary przeszłości, czy przyszłości.

Gdy ostatnie słowo prokuratora umilkło śród ścian sali, z kolei i ja powstałem. Nigdy jeszcze taki, jak dnia tego, nawał myśli nie tłoczył mi się do głowy, nigdy przed tém nie broniłem żadnéj sprawy z takiém, jak dnia tego, głębokiém przekonaniem i wewnętrznym, lubo ukrywanym, zapałem. Powiedziałem wszystko, co tylko wagę występku umniejszyć, rodzaj jego mniéj karygodnym uczynić mogło; nie szczędząc nikogo, wyjawiłem wszystko, com myślał i wiedział o sposobie, w jaki wychowano młodego tego człowieka, o moralnéj atmosferze, śród któréj wzrósł tak

kaleko, o psychicznych dziejach jego wnętrza i patologicznych niemal skrzywieniach, jakim uległa młodzieńcza, więc chwiejna, istota jego. Odpierałem oskarżenie o zabójstwo z kradzieżą, i dowodziłem prostego zabójstwa, wynikłego z uniesienia i trafu, a wymieniając artykuł prawa, całkiem inny, niż ten, który wymienionym został przez prokuratora, prosiłem o skazanie podsądnego na dwa lata przebywania w więzieniu.

Kiedym skończył, usłyszałem pomiędzy publicznością szmer wielce dla mnie pochlebny, a spójrzawszy na obwinionego, zobaczyłem, że wzrok jego nie był już zagasłym i szklanym, ale obejmował twarz moję spójrzeniem, pełném niewymownéj wdzięczności i nadziei, obudzonéj snadź w nim słowami mojemi. Niestety! jam nie miał wcale nadziei, aby żądanie, jakie wyraziłem, spełnioném być mogło. Spełniłem moję powinność, ale czułem, że stokroć nawet wymowniejsze od mego słowo musiało-by być bezsilném wobec surowości faktycznych świadectw i nieubłaganéj litery prawa. Gdybym miał do czynienia z sądem przysięgłych, być może, iż psychologiczna analiza, jakiéj dokonałem, i filozoficzny pogląd, jaki wyraziłem, mogły-by wiele zaważyć w sumieniu, a więc i zdaniu sędziów; ale instytucja przysięgłych nie była nam jeszcze daną, a sąd, złożony z jurystów, oczy swe utkwione miéć musiał nie w to, co zachodziło *de facto*, ale przeważnie w to, co się okazywało *de jure*. Czułem, iż dowiedzenie prostego zabójstwa z uniesienia i trafu niemożebném było w zupełności, wobec faktu onych nieszczęśliwych pieniędzy, bez najlżejszéj

wątpliwości odebranych zabitemu.

Jakkolwiek przyzwyczajony byłem do scen podobnych, serce uderzyło mi żywiéj, gdy sędziowie po półgodzinnéj naradzie w przyległéj komnacie odbytéj, weszli z powrotem do sali i usiedli za stołem.

— Na mocy artykułu prawa N. N. — zabrzmiał głos prezydującego. — Sąd Kryminalny miasta N. skazuje Romana Kalińskiego na pozbawienie wszystkich praw i przywilejów, na ośm lat ciężkich robót w kopalniach i wieczne zamieszkanie w Syberyi.

Wszystko, com wypowiedział, zdołało wyrok sędziów uczynić łagodniejszym od wniosku prokuratora o cztery lata trwania głównéj kary!

Szedłem ulicą głęboko zamyślony, gdy o kilkanaście kroków przede mną błysnęły pod promieniem przebijającego chmury zimowego słońca bagnety żołnierzy.

Przyśpieszyłem kroku i szedłem chodnikiem ruwnolegle ze zbrojnym orszakiem, postępującym z wolna środkiem ulicy. Kaliński szedł pośród straży swéj, ze skrzyżowanemi na piersi rękoma i oczyma utkwionemi w ziemię. Na twarzy jego nie było ani rozpaczy, ani rozjątrzenia, ani trwogi, ani zuchwałości, ani pokory, nie malowało się na niéj, słowem, żadne z tych uczuć, które czytałem nieraz w fizyognomiach ludzi, ulegających losowi, doli jego podobnemu. Wydawał się głęboko zamyślonym i nie wiem, czy myliłem się, czytając w źrenicach jego na-pół widzianych z pod spuszczonych powiek, w dwóch zmarszczkach, które przerznęły mu czoło, w surowym i smutnym nieco zarysie ust jego bladych, ale byłem pewny, że myśl jego

przebywała w téj chwili w rodzinném miejscu i żegnała je na wieki, że duch jego, ze skupioną w sobie boleścią, sunął po szlaku krótkiéj swéj przeszłości, rachując rany jéj i zboczenia, zapytując siebie i wszystkiego, z czego powstał: dlaczego to, co w nim było, nie było inném, to, co stało się z nim, nie stało się inaczéj?

Idący przodem żołnierze, stanęli przed drzwiami więzienia, w którém zadzwonił klucz obracany w zamku.

Zgrzytający odgłos ten przerwał zadumę więźnia. Podniósł głowę, wyprostował się, ręce jego, ściśnięte dotąd, na piersi opadły. Wrota więzienne roztworzyły się, więzień wstąpił w sklepioną bramę. Szedłem za nim, pociągany ciekawością i współczuciem. Ani dozorca, ani straż, znając mnie dobrze, nie wzbronili mi wstępu. Kaliński zatrzymał się przez chwilę u wejścia na dziedziniec, na którym zgromadzili się licznie oczekujący na południowe pożywienie więźniowie. Postawa jego stała się hardą i wyzywającą. Oczyma dziwnie zmienionemi, których dno zalegał posępny smutek, a powierzchnia błyskała ostrém światłem rodzącego się cynizmu, powiódł dokoła. Zarazem odetchnął głęboko i donośnym, dźwięcznym głosem zaśpiewał pieśń jakąś hulaszczą, bezładną. Szedł przez długi dziedziniec, kierując się ku pogrążonemu w cieniu, drugiemu podwórzu.

Był to Ereb, w którym przemieszkiwały duchy potępione, do jakich on dziś już stanowczo zaliczonym został. Szedł ku Erebowi temu, wyprostowany, hardy i wciąż śpiewał, a bezładne tony jarmarcznéj pieśni wybuchały z piersi jego jeden po drugim, zdając się ścigać

wzajem i pochłaniać w szalonym pędzie, w zawrotnych skokach pijanéj wesołości. Wzrokiem i uchem ścigałem postać jego i głos. Widziałem, jak wszedł pod nizkie sklepienie drugiéj bramy i po chwili, zanurzony w mroku odległego dziedzińca, wydawał mi się niepewną szarą linią, rozpływającą się stopniowo w morzu ciemności. Zarazem z głębin, w które się zanurzał, śpiew jego wybuchnął ze zdwojoną siłą. Nie było już w nim jednak pijanego szału, ni zuchwałéj wesołości. Rozległ się on wśród murów więziennych przeciągły, nabrzmiały ogromném łkaniem, przeraźliwy, jak jęk, srebrny, jak dzwonek, ręką kościelnego sługi poruszany przy łożu śmierci...

.....A mnie się zdało, że usłyszałem wielki krzyk pożegnania, który po-za mury więzienne rzucił światu człowiek — stracony.

KONIEC.

1. ↑ Według panującego na Litwie ludowego przesądu, piérwszy raz na wiosnę usłyszawszy kukułkę, trzeba zadzwonić znajdującą się w kieszeni monetą, aby przez cały rok miéć wiele piéniędzy.

*Tekst jest **[własnością publiczną](#)** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: [Eliza Orzeszkowa](#).*

DZIWAK.

Z opowiadań prawnika

NOWELLA.

Nie jestem artystą, nie powiem nawet, żebym był znawcą i szczególnym miłośnikiem dzieł sztuki, bo od studyów nad niemi odciągały mnie najprzód prace naukowe, potém obowiązki i zatrudnienia, do zawodu mego przywiązane; a jednak, przechodząc przez wielką salę, zawierającą część głównéj kancelaryi rządowéj miasta naszego, pożałowałem nieraz, że na czas pewien przynajmniéj stać się nie mogę malarzem.

Pyszny-bo téż byłby obraz rodzajowy, przedstawiający tę wielką szarą przestrzeń, objętą ramami ścian ceglasto różowych, nagich, jak nędza, brudnych jak łachman żebraka, chropowatych, jak oblicze zgrzybiałego starca. Nad ścianami, niby niebo ciężko chmurne, rozpościerał się sufit popielaty od pyłu, splamiony pośrodku olbrzymią rozetą, któa w myśli niefortunnego malarza przedstawiać miała wdzięczny snop wschodnich arabesek, a w któréj jedni mniemali rozpoznawać lecącego nietoperza, inni morskiego głowonoga, a inni jeszcze bajecznego smoka. Co

do mnie, przechylałem się stanowczo na stronę głowonoga, a ile razy zdarzyło mi się spójrzéć w górę i spotkać się wzrokiem z wiszącém u sufitu, od pyłu galaretowato wyglądającém, cielskiem malowanego potwora, doświadczałem nieuchronnie takiego wrażenia, jak gdyby wyciągnąć on miał wnet liczne swe, długie, kręte macki, spuścić je w dół i, jak w olbrzymiéj bajce francuzkiego poety owijał niemi członki *pracownika morza* — owinąć i ścisnąć pochylone szyje pracowników biura.

Była téż tam pracowników tych atramentowego morza ilość niemała. Po kilku, po dwu, lub pojedyńczo, siedzieli oni przy gęsto rozstawionych żółtych stołach. Jeżeli spójrzeli na prawo, wzrok ich zatapiał się w widniejącéj przez drzwi szeroko roztwarto długiéj perspektywie sal szarych, monotonnych, podobniutkich do téj, w któréj przebywali sami; jeżeli obejrzeli się na lewo, mętne spójrzenia ich odbijały się o mętniejsze jeszcze szyby trzech wielkich okien, wychodzących na podwórko bez słońca i błękitu, obudowane wysokiemi murami, wybrukowane nierównemi kamieniami, ze studnią, wałem śmieci otoczoną, pośrodku, ze stosami porąbanego, zczerniałego drzewa dokoła.

Gdyby wraz z otoczeniem powyższém przenieść jeszcze na płótno twarze i postacie wszystkich tych ludzi, był-by to już nietylko obraz rodzajowy, ale studyum psychologiczne... tak, nie cofam wyrażenia mego... było-by to studyum psychologiczne; w ciałach tych bowiem niepozornych, chudych, okrytych szarém, ubogiém często odzieniem, zaopatrzonych w mętne źrenice, w blade

oblicza, w przygarbione grzbiety i zwiędłe, ukradkiem poziewające, usta, przemieszkiwały duchy, z których każdy miał swą historyą, cicho płynącą, nieznaną historyą skromnych nadziei i ciężkich zawodów, uciech drobnych i nudy olbrzymiéj, westchnień skrytych, łez częstych, trosk dokuczliwych i rzadkich uśmiechów.

Ale któż kiedy, prócz szczupłéj chyba garści pracowitych szperaczy i skrupulatnych pedantów, przyglądać się chciał nizkim pełzaniem drobnego robaka? Przynajmniéj jest stokroć weseléj, ciekawiéj, ścigać spojrzeniem podniebny lot orła, lub, z dala naturalnie, patrzéć, jak powiew potężnego wiatru igra z potężnemi falami lwiéj grzywy! Uwaga nasza, z pewną domieszką instynktowego uwielbienia, zwraca się zwykle ku monarchom wszelkich królestw przyrody... ku rozwiewającym się fałdom purpurowych płaszczów, ku połyskującéj stali pancerza, lub przynajmniéj ku nieposzlakowanéj bieli batystowéj chustki, wyglądającéj z kieszeni nieposzlakowanie czarnego fraka.

Nie należę z natury do owéj większości śmiertelnych, lubującéj się w wyłączném rozważaniu każdego fałdu atłasowéj szaty, każdego poruszenia wytwornych postaci, każdego westchnienia, szemrzącego w piersi przez los pieszczonéj; a jednak przyznaję się otwarcie, że, zajęty powszedniemi i niepowszedniemi sprawami, przez dobre lat dziesięć uczęszczałem codziennie prawie do głównéj kancelaryi naszego miasta, nie znając z blizka żadnego z przebywających i pracujących w niéj ludzi i nie usiłując zawierać z niemi ściślejszéj znajomości nad tę, która z interesów, bieżących wypływała.

To też i Joachima Czyńskiego nietylko nie znałem, ale ni razu nie zatrzymałem przydłuższego spójrzenia na głowie jego, pochylonéj nad stosem papierów, okrytéj gęstemi, długiemi włosami, śród których kruczéj czarności, srebrzyły się szerokie, śnieżne pasma siwizny. Gęstość, długość włosów tych, jak téż i jaskrawo niemal rzucające się w oczy połączenie w nich kruczéj czarności ze srebrzystą białością, były jedynemi cechami powierzchowności, które głowę tę wyróżniały z pomiędzy mnóztwa głów otaczających. Czoło jego, żółtawo-blade i kilku poprzecznemi zmarszczkami zarysowane, policzki wklęsłe i starannie wygolone, wargi wązkie, zwiędłe, z opadającemi w dół końcami, po raz piérwszy ujrzałem wtedy, gdy, nieśmiałym ruchem podnosząc się z krzesełka, na którém siadywał zwykle, również nieśmiałym, przytłumionym głosem wymówił:

— Jeżeli-by Pan Dobrodziéj życzył sobie... jeżeli-by pan pozwolił, mógł-bym podjąć się przepisywania papierów Pańskich!

Była to odpowiedź na pytanie, zadane przeze mnie naczelnikowi stołu: czy pomiędzy podwładnemi mu kancelistami nie zna kogo, kto-by mógł i chciał przepisywać papiery, tyczące się spraw, przeze mnie prowadzonych. Kopista, którego używałem dotąd, otrzymał wyższą posadę, i mozolnego tego środka zarabiania potrzebować przestał. Pytanie to zadane było dość głośno, aby go ludzie, kilka stołów obsiadający, usłyszéć mogli.

Żaden z nich przecież nie podniósł głowy i nie zwrócił uwagi na przedstawienie moje. Byli wszyscy zbyt zajęci

snadź, zbyt leniwi, lub zamożni, aby obarczać się ciężarem nowych prac i obowiązków. — Nie miał-byś pan z żadnego z nich wielkiéj pociechy! Hultaje i bazgrzą, jak kury! — szepnął mi do ucha naczelnik stołu, nizki, rumiany człowieczek, z jowialną fizyognomią, który sam miał za zasadę przychodzić do biura ostatnim i opuszczać je piérwszym, a podpis swój na papierach urzędowych, a nawet listach prywatnych, przyozdabiać niezliczoną ilością niezmierzonéj długości wykrętasów.

Miałem już wraz z przedstawieniem mém przejść do innéj sali, gdy ze zwiędłych ust kancelisty, o kruczych i srebrzystych włosach, wyszły ciche, wyżéj powtórzone wyrazy.

— To, to, to! możesz pan spuścić się na Czyńskiego! — zawołał naczelnik stołu — piérwszy to kaligraf i ortograf w całém biurze! pracowity, jak wół, akuratny, jak zegarek! ale, niech mnie dyabli wezmą, jeśli wiem, jakim sposobem podoła on téj nowéj robocie! Dość panu powiedzieć, że jest on moim pomocnikiem, a do tego przepisuje papiery od czasów już niepamiętnych dwom, czy trzem, pańskim kolegom! Żebym był na twojém miejscu, Czyński, nigdy bym się tak straszliwie pracą nie obarczał; ale prawda! zarobek jest smaczną rzeczą, mianowicie, gdy ktoś lubi odwiedzać często wekslarnie i dwa razy na rok kuponiki u bileciков odcinać, aby za nie nowe bileciki kupować...

Śmiał się, mówiąc to, naczelnik stołu, a w zakończeniu mowy swéj szepnął mi na ucho:

— Dusigrosz, jakich mało! kapitalista! powiadam panu, Krezus prawdziwy!

Patrzałem na przedstawionego mi w ten sposób człowieka z niezwykłém zajęciem. Jedną ręką wsparty o stół, w drugiéj trzymając pióro, do połowy uczernione atramentem i nizko nad papierem zwieszone, stał on w postawie pochylonéj nieco, wyczekującéj i nieśmiałéj. Nikt na świecie nie mógł być mniéj podobnym do kapitalisty i Krezusa. Prostopadle nad miejscem, na którém siadywał on zwykle, a teraz stał, rozwijało się pod sufitem jedno z najdłuższych i najkrótszych ramion malowanego głowonoga. Mogło-by się téż zdawać, iż ramię to oddawna wpiło się w ciało jego i wyssało z niego całą siłę żywotną, wszystkie młode, męzkie zdrowie, tak chudą i wyniszczoną wyglądała postać jego, pod okrywającym ją szarym surdutem, tak kościstemi, przezroczystemi były ręce jego, tak pozbawioną krwi i życia była barwa jego twarzy. Obok piętna trudów, ciężkich i długich, jak życie, twarz tę przyoblekał wyraz ciszy głębokiéj, na-pół martwéj. Z pod brwi wypukłych, gęstym, siwiejącym włosem obrosłych, zapadłe oczy jego niepewnie błądziły po twarzy mojéj, a na głębi czarnych źrenic, pod powierzchnią cichą, jak twarz cała, błyskało monotonne, lecz żywe, światło. Był-że to ogień namiętnéj chciwości, który rozpalał w ten sposób dno zmoczonych źrenic i oświecał blade, martwe rysy kancelisty, zwanego Krezusem? Zdawało mi się, że tak nie jest, że w światełku owém, migocącém mu w oku na kształt drżącéj, drobnéj gwiazdy, świecącéj śród mrocznego nieba, a także w całéj, ascetycznie niemal wyglądającéj postaci jego, więcéj było marzenia, niż namiętności, oderwania od dóbr ziemskich, niż ich pożądania. A jednak mylić się nie

mogłem. Znać było, że odpowiedzi mojéj oczekiwał on z żywym niepokojem, że gorąco pragnął, aby umowa, zapewniająca mu dochód stały i dość znaczny, zawarta pomiędzy nami została. Człowiek ten widocznie pożądał pieniędzy, ale poco? w jakim celu? Musi być zapewne obarczony rodziną! — pomyślałem i w kilkunastu słowach zawiadomiłem go o rodzaju, ilości i warunkach przedstawionego mu zajęcia. Znał się dokładnie na rzeczy i zgadzał się na wszystko, pojmowanie słów moich i zgadzanie się na nie, objawiając powolném nachyleniem głowy. Przy końcu rozmowy, skłonił się z niezręcznością, właściwą ludziom nieśmiałym i towarzyskiéj ogłady pozbawionym, poczém usiadł na swém krzesełku i gorliwie zajął się swą, opuszczoną na chwilę, kancelaryjną robotą. Nad pochyloną głową jego unosić się zdawało w powietrzu długie galaretowate ramię zwieszonego u góry potwora, ale on, szybko wodząc piórem po papierze, nie zważał na nie, jak téż słyszéć nie zdawał się szemrzących dokoła, a ku osobie jego zwróconych, żartów i ucinków.

— Samson nasz wziął sobie na plecy jeszcze jeden kamień! — szeptem niby, ale z dość głośnym chichotem, zażartował przy sąsiednim stoliku wysoki, chudy kancelista, ze złośliwém okiem i żółciową cerą.

— Grosiwo, kochane grosiwo, cudów dokazuje! — odszepnął kolega inny.

Ktoś trzeci uczynił palcami ruch, naśladujący otwieranie się i zamykanie nożyc, przyczém ustami naśladował szelest krajanego papieru.

— Tak! tak! — uśmiechnął się człowiek o żółciowéj

cerze — kuponiki! kuponiki! błoga to rzecz! niech-by jednak sprobował miéć, jak ja, trzy córki i dwu synów w domu, zobaczyli-byśmy, czyby potrafił zdobyć się choć na jeden nędzy, storublowy bilecik!

— To prawda! i poco temu staremu pieniędzy tyle! — zauważył, ciszéj jednak od innych, młody chłopak, którego ubiór staranny i twarz delikatna znamionowały obywatelskiego syna, smutną koniecznością przykutego do biurowéj pracy.

Z uśmiechem żartobliwym na ładnéj twarzy, zbyt krótko jeszcze przebywającéj śród ścian kancelaryi, aby stracić mogła świeży, zdrowy koloryt, wyniesiony z rodzinnéj wioski, młodziutki kancelista zwrócił się ku piszącemu wciąż gorliwie, starszemu koledze.

— Ach panie Joachimie! — zawołał z żartobliwém westchnieniem, — pieniądze sypią się na pana prawdziwie jak z rogu obfitości! Ot teraz i pan Rolicki dostarczać ci będzie miesięcznie okrągłéj sumki za to przepisywanie! A mnie w przeszłym tygodniu nie chciałeś pan nędznych 20 rubli pożyczyć, kiedym cię o to tak pięknie prosił!

Stałem o kilka kroków od miejsca, na którém siedział Czyński i zajęty przeglądaniem kilku, wręczonych mi przed chwilą, dokumentów, słyszałem wszystkie powyższe szepty i śmiechy; mimowolną téż zjęty ciekawością, spojrzałem kilkanaście razy na nowego mego kopistę, chcąc dojrzéć, jakie sprawiają one na nim wrażenie. Niepodobna było, aby nie słyszał słów, wymawianych w bliskości jego, głosami lekko tylko zniżonemi; a jednak w wyrazie twarzy najlżelsza ni razu nie zaszła zmiana, nie odmalował się na

niéj żaden ślad uczucia gniewu, lub chęci odporu. Widocznie przywykł już był do niechęci i lekceważącego obejścia się kolegów, albo téż niedbał o nie. Zainterpelowany bezpośrednio przez młodziutkiego, ładnego kolegę, po raz piérwszy oderwał wzrok od roboty i, nie podnosząc pióra z nad papieru, wymówił tym samym przyciszonym, nieśmiałym głosem, jakim przed kwadransem rozmawiał ze mną:

— Przykro mi było, bardzo przykro, kochany panie Leonie, odmawiać ci téj drobnéj, drobniutkiéj przysługi, ale... ale doprawdy nie wiem, czy dobrze-bym uczynił, dając ci pieniądze na to, abyś kupował glansowane rękawiczki sobie i cukierki panienkom...

Słowa te wydać się mogły pedantycznemi, niegrzecznemi, gdyby nie dźwięk głosu, w którym nie było ani cienia kaznodziejstwa, ani drgnienia sarkazmu lub złośliwości. Przeciwnie, łagodność, nieco smutna, niepewność siebie, dochodząca do nieśmiałości, były jedynemi cechami przyciszonego głosu tego.

Młodziutki pan Leon wybuchnął przymuszonym nieco, jak mi się zdawało, śmiechem.

— Trudnoż-bo doprawdy, — zawołał, — aby wszyscy ludzie na świecie, jak ty, szanowny panie Joachimie, chodzili bez rękawiczek i od kobiet uciekali!

— I rumianek zamiast herbaty pili! — podszepnął ktoś z boku.

— I cztery godziny na dobę spali, a dwadzieścia pisali, aby tylko jak najwięcéj grosiwa zarobić! — zakończył kolega, o apatycznéj twarzy i leniwych ruchach.

— A któż to widział, panie Joachimie, — zaśmiał się milczący dotąd sam pan naczelnik stołu, — takie niegrzeczne prawdy mówić ludziom w oczy, jak ta, którąś p. Leonowi powiedział.

Czyński, który, dawszy odpowiedź młodziutkiemu koledze, jął się znowu roboty swéj i pisał zawzięcie, podniósł znowu wzrok, ale tym razem zmieszany bardzo, niemal zalękniony.

— Czy powiedziałem co niegrzecznego? — zapytał z większą jeszcze, niż zwykle, nieśmiałością; — przepraszam, bardzo przepraszam! ale myślałem doprawdy, że to tak naturalnie...

— Co? Co jest tak naturalnem? — zapytało kilka głosów.

— Mówić prawdę, — odparł zapytany.

W odpowiedzi téj było coś tak doskonale, tak dziecięco naiwnego, że wkoło trzech czy czterech stolików zabrzmiał śmiech chóralny, a ja także od uśmiechu powstrzymać się nie mogłem.

Nad ogólnemi śmiechami zapanował dość ostry tym razem głos kancelisty, o wysokiéj, chudéj postaci i żółciowéj cerze. Mrugając małemi, złośliwemi oczkami i uśmiechając się, filuternie niby, lecz w gruncie zjadliwie wymówił:

— Mój Boże! ja przynajmniéj nie noszę rękawiczek nigdy, chyba wtedy, gdy idę do którego z moich zwierzchników, lub z żoną i córkami na herbatę do znajomych, i cukierków panienkom dalibóg nie kupuję, świadkiem jejmość moja, która-by na nadużycia podobne

nie zgodziała się, z pewnością; a jednak szanowny pan Joachim odmówił i mnie pożyczki stu rubelków, gdym go o nią przed jesienią jakoś prosił...

Czyński chciał widocznie odpowiedzieć, tłómaczyć się, ale, zrażony złém powodzeniem odpowiedzi, danéj p. Leonowi, wahał się i walczył z sobą, otwierał parę razy wargi zwiędłe i zamykał je. Zebrał się jednak na śmiałość i rzekł głosem, tak nieśmiałym, tak zniżonym, jakby nie tylko już usprawiedliwiać się, ale i prosić chciał o coś, i za coś przepraszać.

— Bóg mi świadkiem, panie Wincenty, że nie żałował-bym... nie żałował-bym téj sumki... gdybym... gdybym mógł być pewny, że użyjesz jéj na umundurowanie i oddanie do gimnazyum twego Stasia...

Przy wymawianiu zdrobniałego imienia syna kolegi, pierwszy raz, od kiedy nań patrzałem, uśmiech przewinął mu się po ustach.

— Stasia... — kończył, — wiész, panie Wincenty, że to chłopak zdolny... o! jaki zdolny... ładny, jak cherubin... gdybyś go tylko chciał...

Nie dano mu dokończyć. Zaśmiano się znowu chórem; tym razem jednak śmiechy i żarty zwróciły się ku ojcu Stasia, który, jak wnieść mogłem ze słów ztąd i z owąd rzucanych, nieszczególną rozciągał pieczę nad rodziną swą i jéj przyszłością.

Słowa te wywołały szczególną zmianę na twarz Czyńskiego, wstrząsnęły nią. Głębokie poprzeczne bruzdy na czole jego drgnęły, iskierka migocąca na dnie źrenic rozpaliła się w płomień gorący. Nie było tu przecież oznaki

gniewu, zniecierpliwienia, ani żadnego ujemnego, przykrego uczucia. Owszem zdawać-by się mogło, że słowa, wymówione ze złośliwą intencją, wypadkowym sposobem poruszyły w piersi człowieka tego strunę głęboko przed oczyma ludzkiemi utajonych, lecz dla niego samego drogich nad wyraz, nadziei jakichś, marzeń, pragnień; bo na twarz jego cichą, martwą niemal, spadł nagle rozjaśniający ją blask, nie radości jeszcze wprawdzie, ale błogiego jéj przedsmaku. Nie odpowiadając nic na złośliwą zaczepkę, zdając się nawet zapominać o niéj, jak i o wszystkiém, co działo się dokoła, Czyński podniósł w górę spojrzenie z takim wyrazem, jakby szukał błękitów niebios, aby zawiesić pod niemi również błękitne, idealne jakieś marzenie. Spotkawszy się jednak z szarym tułowem wiszącego u sufitu głowonoga, wzrok jego schylił się z wolna i utkwił znowu w okrywającéj żółty stolik szaréj bibule...

W téj chwili wezwano mię do sali sądowéj, gdzie bronić miałem dnia tego trudną, i zawikłaną sprawę jednego z moich klientów. Kiedy zaś po dwóch przeszło godzinach, zajęty innemi już całkiem myślami i zapominając prawie o istnieniu Czyńskiego, przechodziłem znowu przez salę kancelaryi, panował w niéj ruch niezwykły. Pora zajęć kończyła się, urzędnicy wszech stopni tłumnie opuszczali biuro. W przedpokoju zobaczyłem Czyńskiego, nakładającego wielki płaszcz z peleryną, z taniego bardzo materyału sporządzony i dobrze już wynoszony. Pod ramieniem trzymał starą jak świat, obdartą tekę, wypchaną papierami, oczy miał spuszczone i, nie patrząc na nikogo,

dążył ku drzwiom od wschodów, przy których, wesoło rozmawiając z kolegami, w kosztowny obcisły paltot ubrany, stał młodziutki i ładny syn obywatelski, pan Leon. Spostrzegłszy idącego ku drzwiom z pochylonym wzrokiem Czyńskiego, uśmiechnął się, mrugnął figlarnie ku kolegom i zręcznym, cichym ruchem, posunął małą ławkę, u ściany stojącą, w ten sposób, że Czyński zawadził o nią szeroką połą swego niezgrabnego watowanego płaszcza, potknął się i byłby upadł, gdyby obu rękoma nie uchwycił się za klamkę, drzwi otwartych. Drzwi wstrząśnięte zakołysały się a z nimi razem zakołysała się na chwilę, niemogąca wrócić do równowagi, wysoka, chuda postać kancelisty o kruczych i srebrzystych włosach. Za plecami jego stojący koledzy z całéj siły tłumili śmiech, wzbudzony figlem pana Leona i komiczną postawą ofiary jego, szamocącéj się przy drzwiach w swym wielkim płaszczu.

Myślałem, że tym razem przynajmniéj Czyński okaże gniew, urazę, skarci prześladujących i wyśmiewających go kolegów, słowem lub przynajmniéj spojrzeniem. Ale nie obejrzał się on nawet na nich. Jakby nie domyślając się, że wypadek, który go spotkał, był dziełem złośliwéj ku niemu niechęci, albo nic wcale z niéj sobie nie czyniąc, przestąpił on próg przedpokoju, i milczący, nieporuszony, ze schylonym wzrokiem i jednostajną wciąż ciszą na twarzy, zstępował ze wschodów. Na ulicy świeciło pogodnie słońce zimowe, powietrze było lekko mroźne, czyste, orzeźwiające. To téż ludzie, którzy wysypali się z bramy urzędowego gmachu, zdawali się raźnie prostować swe członki, zdrętwiałe przy długiém nieruchomem siedzeniu, i

szerokiém oddychaniem leczyć płuca, pojone przez dzień cały kurzem i atramentową wonią. Szli pośpiesznie po dwóch, po kilku, układając się w grupy wedle stopni zażyłości lub podobieństwa charakterów; rozmawiali głośno o tém, jak każdy z nich najprzyjemniéj spędzić może wieczór, następujący po dniu wcale nieprzyjemnym; młodzi ukradkowe spojrzenia rzucali na chodzące chodnikiem młode kobiety, starsi zwierzali się, kolegom i przyjaciołom z rodzinnych lub finansowych kłopotów swych, czy nadziei. Czyński szedł sam jeden. Wśród kilkudziesięciu ludzi tych, z którymi wiązała go wspólna praca, nie miał on widocznie nietylko przyjaciela, ale nawet żadnego bliższego znajomego. Srogi ostracyzm jakiś zdawał się ciążyć na postaci téj, w niezgrabny płaszcz ubranéj, przesuwającéj się chodnikiem jak najbliżéj ścian domów, samotnie, z wolna, z ustami milczącemi, z powiekami spuszczonemi pod daszkiem czapki staréj, wyszarzanéj.

— Jak uważam, pan Czyński nie cieszy się wśród panów wielką sympatyą, — rzekłem do naczelnika stołu, który, dopędziwszy mię na ulicy, usiłował prowadzić ze mną rozmowę.

— Dziwak, nieuczynny i nietowarzyski w najwyższym stopniu! — odpowiedział mi urzędnik, o rumianéj, jowialnéj twarzy. — Z nikim nie żyje, po całych nocach siedzi, jak szczur zagrzebany w papierach, byle zarobić jak najwięcéj grosza, który dusi w skrzyni, najdrobniejszej pożyczki nawet kolegom odmawiając. To téż powiadam, szanownemu panu, Krezus z niego prawdziwy!

— Ileż Krezus ten mieć może naprzykład zebranych

pieniędzy?

— Któż to może wiedzieć? Niemy jest jak ryba i nikt od niego o niczém dowiedzieć się nie może. O ile jednak wiedzieć możemy od wekslarzy, u których nabywa rządowe bilety, musi już tam być tego jakich najmniéj sześć albo ośm tysięcy rubli.

Były to w istocie dla kancelisty, pobierającego miesięcznéj płacy mniéj niż trzydzieści rubli, oszczędności bardzo znaczne.

— Może on ma liczną rodzinę, któréj chce przyszłość zapewnić? — zagadnąłem.

— Gdzie tam, panie. Gdybyż tak było, nikt-by się, mu nie dziwił. Ale człek nieżonaty, siostrę tylko ma przy sobie... jaką siostrę! Boże odpuść!

Przy wzmiance o siostrze, rumiany naczelnik stołu z wyrazem zawstydzenia spuścił swoje jowialne oczy.

— Któż to taki ta siostra Czyńskiego?

— At, Boże odpuść! wstyd i mówić o takich rzeczach i o takich osobach! Z błota ją wywlokł i trzyma u siebie, jak co dobrego! Ot, prawdę powiedziawszy, ta siostra Czyńskiego, wstyd nam wszystkim, jako kolegom jego, przynosi!

— Czy jest to osoba tak zła, zepsuta?

— Stare to teraz i brzydkie, jak siedm grzechów, ale za młodu były tam z nią, panie dobrodzieju, historye takie, o których wstyd i mówić. Niech pan dobrodziéj będzie pewny, że nikt z nas nie podał-by ręki siostrze Czyńskiego, i że żadna z żon naszych ni córek za nic w świecie nie ukłoniła-by się jéj na ulicy. Spodziewam się, że pan zrozumiał już, co to za kobieta i jaki to człek, bez ambicyi

ni honoru, ten brat, który mógł jéj podobne rzeczy przebaczyć, a teraz żyje z nią pod jednym dachem i w najlepszéj zgodzie!...

Stosunek mój z Czyńskim trwał już od roku blisko, a ja nietylko, że nie dowiedziałem się o żadnych bliższych szczegółach charakteru jego i domowego życia, ale i nie myślałem wcale dowiadywać się o nie. Parę razy na tydzień, niekiedy częściéj, przychodził on do mnie dla zabrania lub odniesienia papierów, których przepisywaniem się trudnił; punktualnie, jak zegarek, wchodził zwykle we wczesnych przedpołudniowych godzinach do gabinetu mego, kłaniał się niezgrabnie, siadał na krześle, najbliżéj przy drzwiach umieszczoném i, milcząc, czekał na me zlecenia. Otrzymawszy je, kłaniał się, powtórnie i odchodził tak milcząco, zwolna, jak przyszedł. Twarz jego i ruchy ożywiały się wtedy tylko, gdy przyjmował z rąk moich za pracę swą wynagrodzenie miesięczne. Wtedy światło owo, które monotonnie paliło się pod cichą, mętną powierzchnią jego źrenic, błyskało żywiéj, kąty warg, w dół zwykle opadające i nadające ustom wyraz melancholijny, podnosiły się nieco, zarysowując ledwie dostrzegalny uśmiech, chód i postać cała zdawały się nabierać raźności i siły. Wtedy téż stawał się on nieco śmielszym i rozmowniejszym. Raz, gdy po wręczeniu należnéj mu sumy, zatrzymałem go jeszcze na chwilę w celu wydobycia z szuflady papierów, które wziąć miał ze sobą, usiadł na zwykłém miejscu swém przy drzwiach, i uważnemi zaciekawionemi oczyma przyglądał się, stojącym na rogach biurka, dwom wazonom z białego marmuru.

— Przepraszam pana, — ozwał się zwykłym sobie przyciszonym głosem, — co to takiego?

— Są to naczynia, w które latem wkładają się kwiaty.

— Kwiaty? — wymówił tonem takiego zdziwienia, jakby nie wiedział lub przynajmniéj zapomniał, co wyraz ten oznacza.

— Kwiaty! — powtórzył raz jeszcze cichym szeptem i, nie spuszczając oczu z marmurowych naczyń, parę razy przechylał głowę, z boku na bok, poczém bardzo już nieśmiałym głosem zaczął znowu:

— Przepraszam pana...

— Co? panie Czyński.

— Ile naprzykład kosztować mogą te... te rzeczy?

Wymieniłem mu dość znaczną sumę, którą zapłaciłem za przedmioty, budzące w nim widoczną ciekawość, połączoną ze zdziwieniem. Zdziwienie to wzrosło.

— A! — wyrzekł głośniéj niż zwykle.

— Czy znajdujesz pan, że wazony są za drogo kupione? — zapytałem, chcąc przedłużyć rozmowę, bo bawiła mnie nieskończenie mina i postawa mego kopisty.

— Nie wiem, prawdziwie nie wiem... dziwi mię tylko, jakim sposobem ludzie mogą na rzeczy podobne wydawać tyle pieniędzy.

Przypomniałem sobie owę admonicyą, daną w biurze przez Czyńskiego młodziutkiemu panu Leonowi za glansowane rękawiczki i cukierki dla panienek; uśmiechnąłem się wewnętrznie.

— Są ludzie, — rzekłem, — którzy potrzebują miéć przed oczyma swemi rzeczy piękne...

— Piękne, — powtórzył kopista mój takim samym tonem namysłu i niezrozumienia, jakim powtarzał przed chwilą wyraz kwiaty, — czy to jest piękne? — dodał, poruszeniem głowy wskazując wazony.

Nie chciałem i nie mogłem wdawać się w rozprawy estetyczne, odrzekłem więc poprostu:

— Czyż nie czujesz pan, że naczynia te białością swą i kształtem przyjemnie bawią oko?

Wpatrzył się we mnie szeroko otwartemi oczyma, w których jednak było tym razem coś więcéj niż uprzednie naiwne zdziwienie. Zdawało mi się, że uczuł się rozgniewanym, czy zasmuconym.

— Nie wiem, — rzekł po chwili, spuszczając głowę i wzruszając lekko ramionami, — nie wiem, czy oczy ludzkie potrzebują bawić się.

Ton mowy jego stał się mrukliwym i jakby niechętnym, gdy dodał:

— Jest wiele ust, które potrzebują jeść, i głów, które potrzebują uczyć się, ale oczy... ja nie wiem... poco oczom zabawa?

Rzekłszy to, powstał i, skłoniwszy się zwykłym sobie niezgrabnym sposobem, cicho wysunął się z pokoju.

Innego dnia spostrzegłem, z jaką uwagą, i zarazem z jakiém zdziwieniem przysłuchywał się on rozmowie mojéj z kilku utytułowanymi klientami memi. Gdy wymawiałem tytuły: „hrabia“ lub „książę“, roztwierał szerzéj oczy, wpatrywał się z kolei we mnie i w mego gościa, przechylał głowę z boku na bok. Byłem pewny, że gdyby miał dość po temu odwagi, byłby zapytał: „poco ludziom tytuły?” tak,

jak pytał kiedyś: „poco oczom zabawa?” Najpocieszniejszym jednak i zarazem najcharakterystyczniejszym rysem zachowania się jego była lękliwość szczególna, obawa, trwoga niemal, jakiéj doświadczał wobec kobiét. Ile tylko razy, wchodząc do gabinetu mego, znajdował w nim osobę płci żeńskiéj, wahał się przestąpić próg, a na usilne zaproszenie moje, przestąpiwszy go nakoniec, nie wiedział widocznie, co uczynić ze sobą, gdzie usiąść, w jaki punkt utkwić oczy. Pewnego dnia, w chwili, gdy, stojąc przy biurku, brał z rąk moich papiery, do gabinetu wbiegła młoda siostra moja z głośném fruwaniem muślinowych falban, ze srebrzystym, przeciągłym trelem modnéj aryi jakiéjś na ustach. Czyński cofnął się o kilka kroków i przypadł do ściany w ten sposób, jakby pragnął plecami uczynić w niéj wyłom i skryć się po drugiéj stronie. Na widok téj wysokiéj, chudéj postaci, która, z żałobnemi włosami, spadającemi na kołnierz szarego wytartego surduta, cisnęła się z całéj mocy do ściany, 18 letnia dziewczyna z trudnością powstrzymała wybuch śmiechu. Spojrzałem na nią prosząco, a chcąc zatrzéć wszystko, co-by scena ta mogła miéć dla kancelisty nieprzyjemnego, zwróciłem się do niego.

— Moja siostra, — rzekłem, — życzyła sobie poznać pana...

— Poznać! mnie poznać! — wyszeptał z takiém zdumieniem, jak gdyby nikt na świecie nie objawił nigdy względem niego podobnego życzenia.

Patrzał jednak na młodą dziewczynę, która, w białych muszlinach, z jasnemi warkoczami i świeżym rumieńcem

wyglądała, jak żywe wcielenie wiosny. Zwrócone ku niéj oczy kancelisty mrużyły się, powieki jego drgały. Młodość, zdrowie i wesołość, połączone z wytwornością stroju i układu, sprawiały mu widocznie takie olśnienie, jakiego doświadczają ludzie, pracujący w podziemnych mrokach, gdy źrenice ich spotykają się z nagła ze światłością, dzienną i blaskiem słonecznym.

— I ja, proszę pana, mam siostrę... — wymówił nakoniec, spuszczając oczy. — Tylko że to co innego... moja siostra jest już niemłodą... trzy lata tylko młodszą odemnie... kiedyś... kiedyś była także... ale teraz... to zupełnie co innego... zupełnie co innego...

Rzekłszy to, powstał, wziął papiery i, oddawszy niezgrabniejszy niż kiedykolwiek ukłon, wyszedł z pokoju. <br / — Dziwak! — rzekłem, gdy oddalił się.

— Biedak! — poprawiła mię siostra.

Wrażenie, które sprawił na Czyńskim widok młodziutkiéj, wesołéj siostry mojéj, niczém było przecież w porównaniu z tém, którego doświadczył on, znajdując dnia pewnego w gabinecie moim panią Różę Trońską. Oddawna znana mi szanowna ta dama, właścicielka sporego folwarku i matka czworga dorastających dzieci, z największym właśnie zapałem opowiadała mi o strasznych, niepojętych, pomsty niebieskiéj wzywających, nadużyciach i krzywdach, jakich dopuszczali się względem jéj łąk i lasów niegodziwi, bezbożni sąsiedzi, a szeroko rozpościerając na kanapie suknią z cieniuchnéj i taniéj, lecz jedwabnéj materyi, i żywo gestykulując małemi, pulchnemi rączkami, ubranemi w zbyt ciasne rękawiczki, wzywała mię, abym poruszył niebo

i ziemię w celu wyjednania dla niéj jak najszybszéj pomsty, gdy na progu pokoju ukazał się ze swą starą, papierami wypchaną teką pod ramieniem, Joachim Czyński. Na widok jego, z rumianych i okrągłych ust szanownéj damy, oprawionych w również rumiane i okrągłe policzki, wyrwał się wykrzyk takiego zdziwienia, jak gdyby stanęło przed nią widmo znanéj kiedyś, lecz dawno już w grobie pochowanéj osoby. Ale i na długą, bladą, chudą twarz kancelisty, wytrysnął błyskawicznie krótki, lecz szkarłatny, rumieniec. Gdy zniknął, twarz ta stała się bledszą jeszcze, niż zwykle. Powieki i usta jego drżały, bruzdy na czole poruszały się i falowały, miotane jakby burzą myśli, czy wspomnień, w głowie powstałą. Stanął w drzwiach, jak przykuty do miejsca, z oczyma błądzącemi niepewnie po twarzy pani Róży. Widocznie nie wiedział znowu, co ze sobą uczynić; postąpić na przód nie miał siły, cofnąć się nie śmiał.

— Mój Boże! — rozpościerając szeroko ramiona, i wraz ze swoją jedwabną suknią miotając się na kanapie, wołała dama, któréj żywość temperatury i skłonność do wykrzykników były mi dobrze znane; — mój Boże! na tym świecie to widać góra z górą tylko zejść się nie może, a ludzie muszą spotykać się, choć-by ich góry i morza dzieliły! Czy ja się spodziewałam kiedy zobaczyć pana Joachima! Ale, jak widzę, pan Joachim chyba mnie nie poznaje!

Kancelista podniósł głowę i postąpił krok na przód.

— Ja pani nie poznaję? — wyszeptał zwykłym sobie tonem zdziwienia; — jakże ja mógł-bym pani nie poznać?

Kobiéta zaśmiała się. Śmiech jéj przecież był widocznie

przymuszony, a błękitne oczy, które kiedyś musiały być piękne, srebrzyły się wilgocią.

— No, któż ja jestem? — wołała zwykłym sobie donośnym głosem, lecz w którym drgała rzewna jakaś nuta, — niech pan Joachim powié moje nazwisko, to-wtedy przekonam się, że mię poznał.

— Pani Róża! — szepnął kancelista, drżącém ramieniem cisnąc do boku obdartą tekę.

— Poznał! rzeczywiście poznał mię! — zawołała kobiéta, splatając ręce, a zwrócona już do mnie, mówiła daléj. — Pan dobrodziéj bo nie wié o tém, że my z panem Joachimem jesteśmy znajomi od wieków, i gdyby nie pewne okoliczności... no! ale co to już o tém mówić! co było a nie jest, nie pisze się w regestr! tylko, że ja mam takie serce, które gdy raz kogo polubi, to już na zawsze życzliwém mu zostaje, ot, i teraz, jak zobaczyłam pana Joachima, wydało mi się, że jestem sobie jeszcze 18-letnią panienką, i że w różowéj sukience, (jak dziś pamiętam, że miałam na sobie wtedy różową sukienkę), siedzę, przy mojéj nieboszczce mamie, w bawialnym pokoju mojéj nieboszczki stryjenki, a pan Joachim zaprasza mię do tańca...

Myśl o tém, iż niezgrabny i dziko nieśmiały kopista mój, o wycieńczoném ciele i włosach żałobnych, mógł kiedykolwiek zapraszać do tańca młode, różowo ubrane panienki, wydała mi się tak komiczną, że, z mimowolnym uśmiechem i żartobliwém słowem na ustach, zwróciłem się ku miejscu, na którém przed chwilą stał Czyński.

— Gdzież jest pan Joachim? — zawołała pani Róża.

Nie było go już w gabinecie. Przez parę drzwi roztwartych zobaczyłem, jak w przedpokoju, w dziwnie pochylonéj, złamanéj postawie i, ze szczególniejszym u niego, pośpiechem, kładł na ramiona swój wielki watowany płaszcz z peleryną. Na biurku mojém leżały przepisane papiery, które odnosił mi dnia tego. W zegarkowéj akuratności swéj nie zapomniał, pomimo widocznego, silnego wzruszenia, położyć ich na zwykłém miejscu, lecz sam, bez pożegnania i najlżejszego, szelestu wysunął się z pokoju. Po chwili za przygarbionemi plecami jego i zwisającą na nich wielką peleryną, zamknęły się drzwi, do sieni wiodące.

— Uciekł! — wymówiła pani Róża nie bez pewnego, jak mi się zdawało, żalu w głosie. — Zawsze był nieśmiały, ale jakże się zmienił! Zaledwiem go poznać mogła! Czy wié pan dobrodziéj, że przed dwudziestu kilku laty, to jest wtedy, gdyśmy się znali, był wcale przystojnym mężczyzną. Cerę miał wprawdzie i wtedy żółtą trochę i ruchy niezgrabne, ale oczy wcale piękne, wyraziste, włos bujny i głos, choć zawsze cichy jakiś i jakby nieśmiały, ot, tak prosto do serca idący. Dość powiedzieć panu dobrodziejowi, że kiedy oświadczył się o mnie mojéj nieboszczce mamie...

Tu Pani Róża przerwała mowę swą i zachichotała z cicha, spuszczając oczy.

— Ot, i wygadałam się! — zawołała. — No, cóż robić! słowo się rzekło; takie to zresztą dawne czasy, że już o nich nie grzéch, a czasem to i przyjemnie, pomówić. Otóż trzeba panu dobrodziejowi wiedzieć, że pan Joachim, jak tylko

zobaczył mię wtedy, na wieczorze u nieboszczki stryjenki, zaraz zakochał się we mnie na zabój. Tańczył, co prawda, bez taktu, i rozmowny bardzo nie był, ale tak mu jakoś poczciwie z oczu patrzało, i tak mi głos jego do serca przypadał, żem sobie i ja w nim nieco upodobała, A ojciec mój, jak to panu dobrodziejowi wiadomo, był wtedy „naczelnikiem stołu” w tém samem biurze, co i pan Joachim, i miał o nim bardzo dobre wyobrażenie. Było nas zresztą sióstr cztery. Gdzie-by tedy wszystkim, i bez grosza posagu, w dodatku, za wielkich panów powychodzić! To téż, kiedy pan Joachim oświadczył się o moje rękę, nieboszczyk ojciec powiedział: dobrze! nieboszczka mama powiedziała: dobrze! a co się tycze mnie, to, popłakawszy trochę, nie ze smutku, bynajmniéj, ale ot, tak sobie, z rozczulenia, powiedziałam także: dobrze! Zaręczyliśmy się, xiądz dziekan Szczepiński włożył nam na palce obrączki, nieboszczka mama zaczęła myśléć o wyprawie dla mnie, i wszystko szło pięknie, ślicznie; gdy nagle pan Joachim wyjechał dokąd-ciś na dni kilka, i powrócił z jakąś swoją siostrą...

Tu pani Róża zakaszlała ze zmieszaniem, popatrzała chwilę na rozłożone szeroko fałdy swéj sukni i, pochrząkując lekko, zaczęła znowu:

— Czy pan dobrodziéj nie słyszał nic o téj siostrze Czyńskiego? Ludzie mówili o niéj wtedy bardzo brzydkie rzeczy, i dość powiedziéć, że nikt jéj na ulicy głową nawet kiwnąć nie chciał. Już ja panu dobrodziejowi i mówić nie będę, co to za kobiéta ta siostra... matką dzieci jestem i nie godzi mi się o kobiétach tak mówić... dość powiedzieć, że

kiedy nieboszczka mama dowiedziała się o téj siostrze i kto ona taka, powiedziała, że za nic nie pozwoli, abym ja z podobną osobą pod jednym dachem mieszkała. Tedy poprosiła nieboszczyka ojca, aby z panem Joachimem stanowczo rozmówił się. „No! panie Czyński, — rzekł nieboszczyk ojciec, — wybieraj pan: żona czy siostra? obu razem w domu miéć nie możesz. Wypraw jednę, to będziesz miał drugą, albo zdejm z palca zaręczynową obrączkę!” Kiedy tak rozmawiali, ja w drugim pokoju patrzałam przez dziurkę od klucza i myślałam, że pan Joachim trupem zaraz padnie, tak zbladł biedaczysko i tak trząsł się na całém ciele. „No, — powtórzył nieboszczyk ojciec, — wybieraj, — panie Joachimie: żona czy siostra?” Pan Joachim długo jeszcze milczał, usta trzęsły się mu, jak listki tego drzewa, na którém to mówią, że Judasz Iskaryota obwiesił się, aż odpowiedział po cichu; „siostra, panie”. Nieboszczyk ojciec rozgniewał się bardzo. „Zdejm pan zaraz tę obrączkę z palca!” krzyknął. Ale pan Joachim stanął, jak mur. „Oddam ją pannie Róży, jeżeli ona sama żądać tego będzie!” Sądny to był prawdziwie dzień w naszym domu. Ja płakałam, nieboszczka mama to płakała, to gniewała się, nieboszczyk ojciec gniewał się i krzyczał na pana Joachima za to, że mię przed światem skompromitował temi zaręczynami i tą swoją siostrą, którą nade mnie przekładał. Ale pan Joachim stał jak mur i wciąż swoje powtarzał: „niech państwo pozwolą, abym z panną Różą pomówił”. Widząc, że inaczéj odczepić się od niego sposobu nie było, nieboszczka mama wepchnęła mnie do bawialnego pokoju, nieboszczyk ojciec wyszedł z domu, i my z panem Joachimem zostaliśmy sam-

na-sam. Wziął mię wtedy, panie dobrodzieju, za rękę, spojrzał na mnie takim jakimś wzrokiem, że aż mnie dreszcze po ciele przebiegły, i spytał się: „Czy i pani także, panno Różo, żądasz, abym moję siostrę z domu mego wypędził, aby módz z panią ożenić się?” W piérwszym momencie, to ot tak, panie dobrodzieju, rzuciła-bym się jemu na szyję i zawołała-bym „rób sobie, co chcesz, a ja cię, dalibóg nie porzucę”, ale trwoga jakaś mię zjęła i szepnęłam tylko: „kiedy mama i ojciec znajdują, że nie można...” Pan Joachim ścisnął rękę moję, aż zabolała: „Panno Różo! — rzekł, — siostra moja zginęła-by zupełnie beze mnie, a ja bez pani byłbym bardzo nieszczęśliwy!” Serce krajało mi się w kawałeczki ale i cóż uczynić miałam? trudnoż było woli rodziców sprzeciwiać się, a przytém i dumną trochę byłam. Jeżeli, pomyślałam sobie, przekłada jakąś tam... nade mnie, to niechże ją sobie ma; ja znowu nie piérwsza lepsza, żeby jakąś tam... nade mnie przekładać! Więc choć mię łzy dusiły, powiedziałam: „Ja, panie Joachimie, tak jak ojciec i mama... jeżeli pan rozstanie się z siostrą, to dobrze... a jeżeli nie, to nie!” Puścił moję rękę, ukłonił się i poszedł. Ach! przypominam sobie, że przy drzwiach jeszcze stanął, odwrócił się, i patrząc na mnie, wymówił cichutko: „panno Różo!“ Żebym tylko głupiego serca mego słuchała, tobym była do niego skoczyła i krzyknęła: „nie idź!” ale lękałam się i byłam bardzo obrażona. Więc stoję sobie na środku pokoju i nic nie mówię. Pan Joachim szepnął raz jeszcze: „panno Różo!” Ja nic. Wtém podnoszę oczy... aż jego już niéma w pokoju. Tak, panie dobrodzieju, rozstaliśmy się, i nie

widziałam go aż do dnia dzisiejszego.

— Pani dobrodziejka wiele ucierpiéć musiałaś po rozstaniu się z człowiekiem, który, jak mi się zdaje, miał istotne szczęście posiadać jéj serce!

— At! panie dobrodzieju! co ja już w życiu mojém ucierpiałam, to jednemu tylko Bogu wiadomo! Co prawda, to opatrzność Bozka czuwa nade mną; wyszłam za obywatela, człeka ospałego trochę, prawdę powiedziawszy, ale uczciwego, dobrego. Ludzie mówili, że świetną partyą zrobiłam, i to jest prawdą, a jednak zsyła Bóg krzyżyki nieraz, zsyła! Ot, i teraz, proszę pana dobrodzieja, ci chłopi Ubrzańscy, czy to nie krzyż pański! las rąbią i rąbią, na łąkach bydło pasą, a mała to rzecz, panie dobrodzieju, w teraźniejszém gospodarstwie, jeśli komu trawy zabraknie do wiosny... Nadużycie widoczne! słupy granicze są, a i plany przywiozłam tu z sobą, aby panu dobrodziejowi pokazać...

W piersi więc téj zapadłéj, okrytéj przybrudną koszulą i grubą kraciastą kamizelką, mieszkało kiedyś uczucie żywe, młodzieńcze, dla dziewczyny o błękitnych oczach i okrągłych, rumianych, policzkach! W głowie téj, pochylającéj się codziennie nad stosami okurzonych papierów, pod zwisającém od sufitu popielatém ramieniem wstrętnego głowonoga, powstała kiedyś poważna myśl obowiązku i wystąpiła do walki z porywem miłości i pragnieniem szczęścia! W życiu tém, płynącém cicho i w

cieniu, była kiedyś burza i walka, boleść serca i tryumf sumienia.

Opowiadanie pani Róży, a bardziéj jeszcze gwałtowne wzruszenie, którego, na widok jéj, doznawał Czyński, ukazywać mi zaczęły moralną istotę w inném nieco świetle, niż to, w którém ją dotąd widziałem. Głębie upośledzonego, kurzem niby i pleśnią okrytego życia tego, rozkwieciły się nagle przede mną światłem dokonanéj niegdyś ciężkiéj ofiary. Że była ona ciężką, wątpić o tém nie mogłem, wiedząc z licznych spostrzeżeń, jak bardzo, jak niezbędnie pracownikom podobnego rodzaju, pozbawionym wyższego umysłowego światła, wyższych ambicyi i przyjemności ducha, potrzebnemi są ciepło, wesołość i poezya rodzinnego ogniska, jeśli życie ich nie ma być odartem ze wszystkiego ciepła, ze wszelkiéj wysokości i poezyi.

Biedny Czyński! jakże posępnemi muszą być jednostajnie płynące, samotne dni jego! jak nieskończenie długiemi noce, spędzone nad pracą, któréj owoców nie dzieli on z nikim, prócz chyba z kufrem owym, będącym przedmiotem żartów i zazdrości jego kolegów. Na myśl o kufrze i napełniających go skarbach, uśmiéchnąłem się mimowoli. Dziwna to rzecz, pomyślałem, jakiemi drogami chodzą uczucia ludzkie! Zawiedziony w słusznych pragnieniach serca, zgnębiony ciężarem przyjętego na się, a życie mu łamiącego, obowiązku, człowiek ten rozkochał się w pieniądzach! Nie używa ich jednak na udogadnienie, uprzyjemnianie sobie życia! Jakąż więc pociechę przynosić mu mogą? Czy witają go na progu uśmiechem i pieszczotą, gdy, obciążony teką swą, zgarbiony od długiéj, mozolnéj

pracy, wraca on do domu? Czy czuwają nad nim, gdy jest chory? czy zajmują przy nim miejsce u stołu? czy rozmawiają z nim w czasie długich nocy zimowych, bez snu spędzanych? czy, kiedy tęskni i tłumi nabiegającą do oka łzę żalu po szczęściu straconém, szepcą mu do ucha wyrazy pociechy i nadziei?

Pytania te były szyderskie, lecz anim przypuszczał, jak bardzo twierdzącą otrzymają one kiedyś odpowiedź, jak często rzeczy, uważane przez nas za dzikie i nieprawdopodobne, naturalnemi są i prawdziwemi. Kiedyś, w dniu, którego wspomnienie na zawsze utkwiło w méj pamięci, dowiedzieć się miałem o tém, jaką rolę spełniał w życiu kancelisty, tak niezmordowanie zdobywany i skrzętnie zbierany przez niego, piéniądz...

Tymczasem, kierując poobiednią przechadzkę mą w stronę najuboższéj, najnędzniéj zabudowanéj dzielnicy miasta, zbliżyłem się do położonego śród niéj mieszkania kopisty mego. Pociągały mię tam, w części ciekawość, w części sympatyczne, litościwe jakby współczucie, w części interes. Pośpiesznie dnia tego i, jak się zdawało, na-pół nieprzytomnie, dom mój opuszczając, Czyński nie wziął papierów, które niezwłocznie przepisanemi być musiały. Postanowiłem zanieść mu je, a zarazem rzucić spojrzenie w domowe życie i najbliższe otoczenie jego.

Był to biédny, bardzo biédny, mały drewniany domek, którego zapłakane drobne okienka wychodziły z jednéj strony na podwórko ciasne, brudne, staremi domowstwami otoczone, z drugiéj na wązką, cuchnącą uliczkę. W lecie nie było tam dokoła ani źdźbła zielonéj trawki, ani

najdrobniejszéj kwitnącéj gałązki, w zimie śnieg przemieniał się w błoto, a błoto rozlewało się w szerokie kałuże.

Drzwi od małéj, ciemnéj sionki znalazłem otwarte. W mieszkaniu, położoném na prawo, rozlegał się gwar kobiécych i dziecinnych głosów; w tém, które było na lewo, panowała cisza. Zwróciłem się na lewo i zapukałem do drzwi.

— Kto tam? — zapytał z wnętrza nizki, niekoniecznie łagodny i grzeczny głos kobiecy.

Wymieniłem nazwisko me i wnet usłyszałem brzęk odsuwanych ciężkich rygli: Po chwili stanąłem oko w oko z otwierającą mi drzwi, wysoką, barczystą kobietą.

Domyśliłem się, że jest to owa, tak złą sławę posiadająca, siostra Czyńskiego, ale nie miałem czasu uważniéj na nią spojrzéć, gdyż w kącie pokoju, z nad stołu okrytego papierami, podniósł się szybko gospodarz domu, i zwykłym sobie, nierównym krokiem postąpił ku mnie. Ubrany był, jak zwykle, w szary swój wynoszony surdut i popielatą grubą kamizelkę, w brzydkie kraty malinowego koloru.

— Może źle przepisałem tę prośbę, którą dziś panu dobrodziejowi odniosłem? — zapytał, patrząc na mnie zmieszanym wzrokiem.

Powiedziałem, że z pracy jego, jak zawsze, zadowolony jestem, i że przyszedłem poprostu odwiedzić go, przyczém téż przyniosłem mu nową robotę.

Obejrzał się niepewnym wzrokiem po pokoju i przysunął mi krzesło.

— Niech pan dobrodziéj będzie łaskaw... — wymówił.

Przybycie moje zmieszało go widocznie. Nie był przyzwyczajony do przyjmowania wizyt; czuł przecież, czy z dawnych czasów przypominał sobie, że należało gościa bawić rozmową.

— Pan Dobrodziéj w taką brzydką pogodę... spaceruje... — zaczął. Chcąc uwolnić go od kłopotu prowadzenia rozmowy, zacząłem mówić o tém i owém, o zajęciach biurowych, o znajomych mi urzędnikach i t. d. W dowód uwagi, z jaką mię słuchał, a także i uprzejméj chęci przedłużenia rozmowy ze mną, skłaniał on od czasu do czasu głową, lub wymawiał: tak! tak! albo: wiem! wiem! albo téż tonem zdziwienia: doprawdy?

Nie mogłem nie spostrzedz, że w powierzchowności jego zaszły dnia tego szczególne zmiany. Na chudych żółtawych policzkach swych miał on dwie plamy ciemnych rumieńców, oczy jego zdawały się głębszemi i smutniejszemi, a kąty warg niżéj zwisającemi niż kiedybądź. Martwa niemal cisza, będąca zwykle główną cechą jego twarzy, zmąciła się, i po raz piérwszy, odkąd go znałem, dostrzegłem w spojrzeniu jego i w zarysie zmarszczek, brużdżących mu czoło, wyraz dolegliwego bólu, niemniéj, głęboko ukrytéj ale gryzącéj, żałości. Wchodząc, już zauważyłem, że przy stoliku, okrytym papierami, siedział on bezczynnie, z czołem wspartém na dłoni, którą okrywały opadająca na nią długie pasma żałobnych włosów. Wątpić nie mogłem, że wszystkie te, gwałtem wybijające się na zewnątrz, oznaki smutnych myśli i uczuć, były wynikami zaszłego dziś w obecności

méj spotkania.

Mieszkanie Czyńskiego było o wiele mniéj biednie i niedbale urządzone, niż sobie wyobrażać mogłem, wnosząc z zaniedbanego ubioru jego właściciela i najogólniéj mu przypisywanego sknerstwa. Składało się ono z jednego dużego pokoju i dość obszernéj także, widnéj, bardzo porządnie wyglądającéj kuchenki. W pokoju, oprócz kanapki i krzesełek jesionowych, znajdowały się dwa czy trzy kufry, okryte taniemi dywanikami, wielki stół, pełen papierów, i łóżko z pościelą szczupłą, twardą, lecz czystą i porządnie usłaną. Na podłodze, z grubych chropowatych desek złożonéj, na ścianach, pomalowanych orzechechową farbą, na sprzętach, obitych ciemném płucienkiem, nie podobna było dojrzéć najmniejszéj plamki, najdrobniejszego źdźbła pyłu. Zielone kafle ogromnego pieca błyszczały, jak szkło. W kuchence, w któréj wnętrze widziałem przez drzwi na oścież otwarte, ściany były spopielaciałe od dymu, a podłoga czysto wymieciona, stoły i stołki starannie wymyte, a nieliczne narzędzia kuchenne, połyskujące, z pewnym systematycznym porządkiem na półkach ustawione.

We wzorowéj czystości téj i pedantycznym niemal porządku, które przyozdabiały szczupły, ubogi kącik ten, czyniąc go wygodnym i prawie wesołym, znać było rękę kobiety czynnéj i o dobrobyt mieszkania jego troskliwéj.

Kobieta ta, zaraz po otworzeniu drzwi, udała się do kuchenki, gdzie usiadła pod oknem na stołku i zajęła się szyciem. Siedziałem naprzeciw niéj i mogłem przypatrzyć się jéj dokładnie. Była wysoka i silnych, rozwiniętych

kształtów. Miała na sobie perkalową czystą spodnicę i ciemny kaftan z prostego sukna. Z pod chustki, perkalowéj także, czerwonawego koloru, tworzącéj rodzaj czepka, z tyłu głowy związanego, włosy jéj, kruczo czarne, jak u brata, i gęsto przyprószone siwizną, kilku luźnemi pasmami opadały na czoło wysokie, pięknie zarysowane, lecz drobnemi, głębokiemi zmarszczkami całkiem prawie okryte. Twarz jéj schylona nad robotą, uderzała niezwykłą ciemną śniadością cery; nie podniosła jéj ani razu, zdając się zupełnie obojętną na rozmowę, którą prowadziłem z jéj bratem.

Miałem już zakończyć rozmowę tę i odejść, gdy Czyński poruszył się na krześle z pewném, właściwém mu, zmieszaniem, obawiającém niepokój.

— Może-by pan dobrodziéj był łaskaw wypić z nami kawę...

Przypomniał sobie widocznie, że uprzejmość względem gościa objawiać się powinna nietylko prowadzeniem rozmowy ale i traktamentem.

Chciałem podziękować i wymówić się, ale kobieta, siedząca u okna w kuchni, powstała i, położywszy robotę swą na stole, ozwała się nizkim, opryskliwie brzmiącym głosem.

— Kawa zaraz będzie...

— Proszę cię, Marysiu... pan adwokat jest tak łaskaw, że częstuje mię zawsze herbatą, gdy z rana do niego przychodzę...

— No, no! — mrukliwie ozwała się kobieta — już ja tego tylko czekałam, ażebyś ty pana adwokata na kawę

zaprosił. Myślałam, że swoim zwyczajem znajdziesz się, jak niedźwiedź jaki...

— Moja siostra — zaledwie dosłyszalnie szepnął Czyński — moja siostra ma charakter trochę prędki... ale to nic dziwnego... gdybyś pan dobrodziéj wiedział wszystko, sambyś przyznał, że to nic dziwnego... kiedyś była bardzo łagodna... ale trudno... ludzie zrobili jéj wiele złego, a i teraz...

Dziesięć minut nie upłynęło, gdy siostra Czyńskiego wyszła z kuchenki, niosąc w zgrubiałych, ciemnych rękach tackę, obdartą i spłowiałą, a na niéj dwie szklanki kawy z mlekiem i pokrajaną bułkę. Kiedy stawiała tackę na stole, podniosła na mnie oczy. Były te oczy ogromne, czarne, głęboko zarysowane pod brwią czarną i gęstą. Zdawała się w nich mieszkać nieustanna gwałtowna burza. W ogólności zresztą, sprzecznie z powierzchownością brata, wyglądającą jak wcielona cisza, powierzchowność siostry miała pozór wcielonéj burzy. Musiała być kiedyś bardzo piękną. Teraz w niezliczonych zmarszczkach, okrywających jéj czoło, w goryczkowym blasku zapadłych oczu, w nieujętéj goryczy, okrążającéj usta, w wyrazie ciągłego rozdrażnienia, malującym się w ruchach jéj i w dźwięku głosu, czytać można było długą tragiczną historyą cierpień, upadków, niekończących się upokorzeń i niewygasłych żalów...

— Marysiu! — szepnął Czyński nieśmiało — może-by ciastek... wiész? z téj piekarni...

Kobieta spojrzała na mówiącego z ostrym wyrzutem.

— Ciastek? — rzekła zwykłym sobie opryskliwym tonem — trzeba iść po nie, a wiész dobrze, jak mi

przyjemnie jest przechodzić przez ten przeklęty dziedziniéc wtedy, kiedy te wszystkie wiedźmy są w domu.

— Moja siostra mówi o sąsiadkach naszych... — wytłómaczył mi z cicha Czyński, — dziwne bo to rzeczywiście kobiety... bardzo dziwne... nie dadzą nikomu przejść spokojnie.

Nie skończył jeszcze słów tych, gdy Maryanna, z wielką chustą, zarzuconą na głowę i plecy, skierowała się ku drzwiom od sieni.

— Marysiu! — zwrócił się ku niéj brat — może-byś lepiéj nie szła...

— Niech się pani nie trudzi — rzekłem z pośpiechem.

— No! no! — odparła, nie odwracając ku nam głowy — dam ja już sobie radę. Pan adwokat jest bardzo dobry i grzeczny dla Joachima; nie chcę, ażeby myślał, że my tego zrozumiéć i ocenić nie umiemy... Wiedźmy te przeklęte niech sobie wrzeszczą... głowy mi nie urwą przecież, jeżeli jeszcze dotąd nie urwały...

Z temi słowami wyszła; Czyński spuścił oczy i milczał.

— A! — rzekł nagle, roztwierając drżące nieco ręce — co robić? tacy to już ludzie... nie zapominają nigdy... przebaczyć nie mogą... nie wiem prawdziwie, czemu nie przebaczyć komuś, kto źle robił, ale już przestał i teraz nikomu w drogę nie wchodzi? at, nie mogą... ale to nie ich wina... oni nie wiedzą, jak to było...

Umilkł znowu, ale widoczném było, że chciał jeszcze coś powiedziéć, tylko nie śmiał, lub nie umiał myśli swéj wyrazić. Podniósł nakoniec na twarz moję wzrok niespokojny i zaczął z wahaniem:

— Chciał-bym bardzo wiedzieć, jak pan dobrodziéj o tém myśli, bo mnie się zdaje, że... że gdyby ludzie więcéj wiedzieli... więcéj rozumieli, byli-by bez porównania lepszymi...

— Masz pan najzupełniejszą słuszność — odparłem. — Najlepszym, jedynym może środkiem łagodzenia serc ludzkich, niszczenia w nich uczuć nienawistnych i okrutnych, jest oświata!

Gdy to mówiłem, utkwione we mnie oczy kancelisty migotały żywym blaskiem.

— Bardzo dziękuję panu — rzekł po chwili głośniéj i śmieléj, niż zwykł był przemawiać — bardzo dziękuję panu, że pan mi to powiedział... Ale zdaje mi się... zdaje mi się, iż, wiele umiejąc i rozumiejąc, ludzie stać się mogą nietylko lepszymi, ale i szczęśliwszymi.

— Niezawodnie; oświata udziela ludziom źródeł pociechy i szczęścia, nieznanych tym, którzy jéj nie posiadają...

— Tak! tak, tak! — wymówił Czyński, za każdym wyrazem nizko skłaniając głowę. Twarz jego promieniała głęboko uczuwaném wewnętrzném rozradowaniem.

Patrzałem na niego z ciekawością i ukrywanym uśmiechem. To żywe zajmowanie się abstrakcyjnemi myślami o źródłach, z których wypływa dobroć lub złość, szczęście lub nieszczęście ludzkie, wydawało mi się w tym nieoświeconym, zgnębionym, w zbieraniu pieniędzy najwyższą uciechę życia znajdującym człowieku, jedném dziwactwem więcéj. Nie mogłem przecież nie zauważyć, że postać jego wyprostowała się i jakby zmętniała a twarz

wyszlachetniała, gdy z tym samym, co wprzódy, wyrazem tajemnego rozradowania w spojrzeniu i uśmiechu, rzekł jeszcze:

— Dziękuję panu, że pan mi to powiedział. Biednemu nieuczonemu człowiekowi lżéj robi się na sercu, kiedy któś, rozumniejszy i uczeńszy od niego, mówi, że prawdą, jest to, o czém on myśli zawsze... zawsze...

W téj chwili dał się słyszéć w sieni głośny hałas trzech kłócących się głosów kobiecych. Wyraz twarzy Czyńskiego zmienił się nagle. Z niepokojem i widoczném zmartwieniem spojrzał na drzwi, za któremi słychać było sypiące się jednocześnie z trojga ust kobiecych wyrazy grubiańskiego łajania.

— Otóż to tak zawsze — szepnął Czyński, spuszczając głowę — nie dadzą jéj nigdy przejść spokojnie... czepiają, się do niéj, Bóg wié za co... to im ona drzwi za często na podwórze otwiera... to stuk w domu robi... to naczynie jakie wywróci, które umyślnie na drodze jéj stawiają, aby potém módz łajać ją i wyśmiewać...

Czy uwierzy pan dobrodziéj, że dawniéj co rok prawie zmieniałem mieszkanie, myśląc, że natrafię na lepszych... litościwszych sąsiadów... ale gdzie tam! tak się po mieście całém roztrąbiło, że wszyscy o tém wiedzą i wszędzie pamiętają...

— Pamiętają — dodał, wstrząsając smutnie głową — a jednak dwadzieścia kilka lat... dwadzieścia już kilka lat kobieta ta pokutuje...

Drzwi otwarły się z trzaskiem i wpadła przez nie Maryanna, z ciemną twarzą swą, szkarłatnie zarumienioną,

z oczyma ciskajacemi błyskawice. Z pod chusty, którą była okryta, wymykały się na czoło pasma siwiejących, roztarganych w téj chwili, włosów. W ręku niosła talerz z kilku ciastkami.

— Cóż tam znowu, Marysiu? — cichym, smutnym tonem, lecz nie podnosząc oczu na siostrę, zapytał Czyński.

— A cóż? — krzyknęła, ze stukiem stawiając na stole przyniesiony talerz — to, co i zawsze! postawiły mi dzbanek z wodą tuż przed progiem, tom go i przewróciła, idąc! Umyślnie to robią, aby przyczepkę miéć jaką, a potém wypadają jak furye i łają od ostatnich wyrazów!

— Żebyś mogła nie odpowiadać im, Maryanno, nie uważać na ich łajanie... może-by się łatwiéj uspokoiły i odczepiły od ciebie — nieśmiało szepnął brat.

— A niedoczekanie ich, tych wiedźm przekletych, abym ja im milczéć i ustępować miała! — oburknęła kobieta i, jak się zdawało, przez wzgląd tylko na moję obecność, wstrzymując się od dalszych objawów i wynurzeń gniewu, poszła do kuchni. Tam ze stukiem postawiła stołek przy oknie i wzięła opuszczoną przed kwadransem robotę. Widziałem jednak, że ręka jéj, trzymająca igłę i w nierównych przestankach podnosząca się w górę, drżała, a pierś, okryta sukiennym kaftanem, oddychała szybko i z trudnością.

— Nie jest łagodną — szepnął do mnie Czyński — nie, nie można powiedziéć, aby była łagodną... gdyby nie miała tak prędkiego charakteru, może-by łatwiéj zapomnieli i dali jéj pokój... ale trudno...

— Czy pan dobrodziéj zauważył — zapytał nagle,

podnosząc głowę — czy pan zauważył, że kiedy kto jest bardzo nieszczęśliwym, to mu i dobrym być bardzo trudno...

W kilka minut potém podawałem Czyńskiemu rękę na pożegnanie. Odprowadził mię do progu, przy drzwiach zatrzymał się i, po widoczném chwilowém wahaniu, wyrzekł niepewnym głosem:

— Proszę pana... czy... czy pani... Trońska często u pana bywa?

— Widzi bo pan — mówił daléj, nie czekając na odpowiedź; — osoba ta obchodzi mię trochę,... kiedyś... bardzo... bardzo dawno temu, znałem ją z blizka.

— Wiem o wszystkiém — przerwałem — pani Trońska mówiła mi, że byliście państwo zaręczeni ze sobą.

— Mówiła? — zawołał kancelista; — mówiła! — zadziwił się raz jeszcze i ledwie dosłyszalnie szepnął — więc nie zapomniała.

Usta mu drżały, plamy ciemnych rumieńców wybijały się znowu na żółte i zapadłe policzki.

— Proszę pana — zaczął znowu po chwili — obchodzi mię to bardzo... chciał-bym wiedzieć, czy jest szczęśliwą?

Powiedziałem mu, że, o ile wiem, położenie rodzinne i majątkowe pani Róży nic nie pozostawia do życzenia.

— Dzięki Bogu! — szepnął Czyński, z tak gorącém uczuciem, z takim wyrazem rzewnéj radości w oczach, że nie mogłem powstrzymać się od silnego uściśnienia chudéj, kościstéj, dziwnie dnia tego rozpalonéj, jego dłoni.

Przechodziłem ciasne i brudne podwórko, na którém hałaśliwie bawiło się kilkoro dzieci, gdy niedaleko już

bramy usłyszałem za sobą ciężkie, szybkie stąpanie i nizki gruby głos kobiecy, mówiący:

— Proszę pana, niech pan będzie łaskaw wstrzyma się chwilę...

Obejrzałem się i zobaczyłem Maryannę, która, w swéj wielkiéj chuście, zarzuconéj na głowę, stanęła przede mną.

— Mam do pana prośbę — rzekła zwykłym sobie opryskliwym tonem.

— Słucham pani.

— Brat mój — zaczęła łagodniéj nieco — ma dla pana wielką przychylność. Mówił mi on kilka razy, że nie zna człowieka, który-by był tak grzecznym dla niego, jak pan.

— Bardzo rad jestem, że zasłużyłem sobie na życzliwość brata pani.

— Nie o to idzie — przerwała mi z porywczym, niecierpliwym ruchem — wiem dobrze, że pana nie obchodzi życzliwość, czy tam nieżyczliwość takiego biedaka, jak mój brat. Ale choć bardzo rzadko rozmawiam z ludźmi, zdarzyło mi się słyszéć, że pan masz dobre serce. Nie bardzo to ja poprawdzie wierzę w te dobre serca ludzkie, ale może pan już jesteś takim ot, jak Joachim, wyjątkiem... Otóż jeśli pan naprawdę jesteś dobrym i umiész czasem litować się nad ludźmi, to może pan i nade mną zlituje się, bo ja doprawdy nie mogę już z nim sobie poradzić.

— Z kim? — zapytałem, nie rozumiejąc dokąd zmierza jéj mowa.

— A z Joachimem! — sarknęła na-pół gniewnie, na-pół żałośnie — zabija się, proszę pana; formalnie zabija się

pracą, niespaniem i niejedzeniem. Czy pan uwierzysz, że nie sypia on nigdy więcéj, jak pięć albo cztery godziny, a resztę czasu pisze i pisze, to w biurze, to w domu, to w domu, to w biurze..! a tygodniami czasem całemi mięsa nie je, mówiąc, że mu się nie chce, i rumianek zamiast herbaty pije, mówiąc, że mu to zdrowo; ale ja wiem dobrze, że to tylko dlatego, żeby grosz jaki oszczędzić. I żeby on, proszę pana był taki już skąpiec ostatni, toby i niedziwota była; ale dla mnie naprzykład to on, proszę pana, gotów ostatniego rubla oddać, żebym ja tylko miała wszystko, co trzeba. Dla mnie i mięso co dzień powinno być, i herbata; i bułki świeże; ale sam o krupniku postnym i kawałku chleba gotów cały rok żyć, byle mniéj pieniędzy wydać. I żeby pieniędzy nie było, no to i cóż robić? ale są, proszę pana! jest ich więcéj niż potrzeba, a komuż one zostaną?... dzieci o nie ma, a dla mnie... co tam o tém i mówić! dla mnie po jego śmierci to już było-by tylko iść co najprędzéj do grobu, choćbym zresztą i wory złota miała...

Mówiła to wszystko prędko, opryskliwie, ale przy ostatnich wyrazach nizki głos jéj zadrżał, a w czarnych palących się oczach, które wlepiała w twarz moję, ukazała się wielka łza. Powściągnęła ją przecież szybko i, jakby zawstydzona, czy niezadowolona okazaném na chwilę rozrzewnieniem, dodała gniewnym niemal tonem:

— Niechże pan będzie łaskaw powié mu, żeby szanował się choć trochę, żeby choć trochę odpoczął i pozwolił mi gotować mu codzień zdrowe i posilne potrawy. Już ja mówię o tém i mówię, i proszę, i łaję, bo człowiekowi cierpliwości nieraz braknie... cóż pocznę, kiedy nie słucha...

z wielkim gwałtem wymogłam na nim, aby codzień pił kawę... dawniéj nie szkodziło mu to tyle... młodszym był, ale teraz... jeżeli to zabijanie się dłużéj potrwa, to i będzie prędko po wszystkiém... ani obejrzy się, jak w grób wlezie.

Mowa jéj zaczynała być bezładną. Za każdém prawie wymówioném słowem, oglądała się w stronę kilkorga dzieci, które, hałasując na dziedzińcu, przysuwały się ku niéj coraz bliżej ze złośliwemi zaczepnemi minami. Przewidywała jednę z tych napaści, które spotykały ją widać w każdéj dnia porze i na każdém miejscu; oczy jéj błyskały coraz bużliwiéj.

— Niech pan nie uważa na te bębny — mówiła, szybko głową wskazując dzieci — ze mnie to one śmieją się, i mnie te figi i języki pokazują... Matki je tego powyuczały, ażeby mi dokuczyć... staram się téż w dzień jak najrzadziéj wychodzić z domu, a po sprawunki idę, bardzo rano, kiedy te widźmy i bachory śpią jeszcze, albo téż wieczorem, gdy już ciemno... Ale teraz musiałam wyjść za panem, bom już dawno wybierała się do pana z tą prośbą...

Dwaj malcy, o bladych i nieprzyjemnych twarzach, wykrzywiając usta i dając sobie znaki, zbliżali się na palcach, aby stanąć za jéj plecami. Maryanna widziała manewr ten nieprzyjaciela i mówiła coraz pośpieszniéj; zarazem wkoło ust jéj zbierał się, rzec można, wyraz goryczy, a zmarszczki na czole pogłębiały się i falowały.

— Niech pan będzie łaskaw, zrobi to, o co pana proszę... Prawdę powiedziawszy, gdyby nie moja ciężka niedola, inném było-by może życie jego... z mojéj głowy nieszczęście przeszło na jego głowę... żałuję, że nie

utopiłam się wprzód, nim zamieszkałam u niego i świat mu zawiązałam... ale trudno... młoda wtedy byłam... późniéj już chciałam nieraz porzucić go i iść w świat, dokąd oczy poniosą, ale bałam się zawsze i zostawałam... Ach! ten świat, świat szeroki! kogo on utraktował tak pięknie, jak mnie, ten go się lękać musi!

Zapomniała zupełnie o zbliżającéj się napaści; wielka łza, powstrzymana przed chwilą, toczyła się teraz z wolna po ciemnym jéj policzku, w czasie gdy oczy mętném spojrzeniem utonęły w przestrzeni, jakby z trwożném i wstrętu pełném przerażeniem wpatrując się w oddalone widmo strasznego świata tego, o którym mówiła.

— Postaram się uczynić wszystko, co będzie zależało ode mnie, aby nakłonić brata pani...

Nie wymówiłem jeszcze ostatniego wyrazu, gdy dwaj malcy, dawno już za plecami Maryanny czatujący na sposobną chwilę, korzystając z jéj zamyślenia, z całéj siły czterech rąk pochwycili z tyłu chustkę, którą była okryta i, zdarłszy ją z niéj, uciekali z głośnemi śmiechami i wywieszaniem języków w stronę domu. Chustka wlokła się za nimi po błocie, a goniąca towarzyszy, bosa, rozczochrana dziewczynka, deptała po niéj. Uczyniłem parę kroków w celu zgromienia dzieci i odebrania im pochwyconego i w błocie tarzanego przedmiotu, ale Maryanna nie dała się uprzedzić. Z iskrzącémi się oczyma, z dyszącą piersią, jak lwica zraniona, poskoczyła za dziećmi i w mgnieniu oka dużemi swemi, ciemnemi, silnemi dłońmi, pochwyciła jednego z malców za włosy, drugiego za kołnierz od szpencerka.

— A wy, niegodziwe bachory! — krzyczała na całe podwórko, — czy dacie wy mi pokój kiedykolwiek! Co ja wam złego robię! łotry, rabusie!

Każdemu z wyrazów tych towarzyszyły targnięcia za włosy jednego z dzieciaków, za kołnierz drugiego. Malcy wrzeszczeli z bólu i złości. Na głos ich ukazały się przed domem dwie mieszczki, w spódnicach, fartuchach, z rękawami po łokcie zatoczonemi. Walka zawrzała. Krzyki kobiece i dziecinne, łajania i przekleństwa napełniały podwórko, gdy we drzwiach domu ukazał się Czyński.

— Maryanno! — zawołał przyciszonym swym głosem.

Rozwścieklona kobieta rzuciła na niego przelotne spojrzenie, nie przestała przecież krzyczéć i rozmachywać rękoma w stronę krzyczących także i giestykulujących sąsiadek.

— Maryanno! — powtórzył Czyński — pójdź do domu!

Na twarzy jego malowała się boleść, głos posiadał dźwięk rozkazu bardziéj, niż prośby.

Kobieta spojrzała znowu w stronę mówiącego, głos jéj zniżył się, iskrzący się wzrok utkwił w ziemi; po chwili jakby pogardliwym ruchem i nie podnosząc oczu, wyrwała z rąk sąsiadki odebraną przez dzieci chustkę, i zrumieniona do szkarłatu, lecz milcząca już i z pochyloną głową, szybkim, ciężkim krokiem poszła za bratem w głąb' domu. Grubiańska, lecz pełna bolesnego znaczenia, scena ta sprawiła na mnie przykre wrażenie. Jakkolwiek były niezrozumiale mi cechy charakteru Czyńskiego, jakąkolwiek mogła być przeszłość jego siostry, życie dwojga ludzi tych, odgrodzonych od świata,

wyśmiewanych, wzgardzonych, wlokących mroczne, zimne, bezbarwne istnienie, było zbyt posępne, aby mogło nie budzić głębokiéj litości.

W piérwszéj téż stosownéj chwili spełniłem żądanie Maryanny i, najłagodniéj, w sposób, jak mogłem, najbardziéj przekonywający, przedstawiłem Czyńskiemu, iż powinien więcéj dbać o swe zdrowie, mniéj pracować, mniéj nocy bezsennych spędzać i nie odmawiać sobie rzeczy, koniecznych do utrzymania sił i życia. Słuchał mnie z razu ze zdziwieniem, potém markotnie trochę, nakoniec uśmiechnął się i, lekko wzruszając ramionami, rzekł:

— Pewno to już Maryanna wsadziła tu swoje trzy grosze... widziałem, że szła za panem, i wiedziałem z góry, o czém panu będzie gadała! Ale niech pan jéj nie wierzy... mnie wszystko to nie szkodzi... wcale nie szkodzi... a siostra niespokojna, wiadomo, jak siostra... Prawdę panu powiem, że ona dokucza mi często tém swojém: a jedz! a śpij! a przestań już pisać! Ale trudno... inaczéj być nie może... wszak nas tylko dwoje na świecie!...

Widziałem dobrze, iż przedstawienia moje nie wywarły na niego najlżejszego wpływu i że żyć on będzie daléj tak, jak żył dotąd, zamęczając się pracą nad siły i rozlicznemi umartwieniami ciała.

To też zaniepokoiłem się mocno, gdy, wbrew pedantycznéj swojéj akuratności, nie zjawił się on u mnie dnia pewnego o zwykłéj godzinie.

Mniemałem, że zachorował, a domysł mój wydał mi się niewątpliwie trafnym, gdy, przybywszy za interesami do biura, ujrzałem miejsce, na którém siadywał zazwyczaj,

niezajęte.

— Nie wiecie, panowie, co się dzieje z Czyńskim? zapytałem dwu, czy trzech, bliżéj mi znajomych urzędników. — Nie był dziś u mnie i tu go nie widzę. Czy nie zachorował?

Ku wielkiemu zdziwieniu memu, a trochę i rozgniewaniu, całą odpowiedzią na zapytanie moje były odzywające się przy dwu, czy trzech, stolikach, stłumione śmiechy i wesołe szepty.

— Jest to, proszę pana, bardzo zabawna historya — tłumiąc wybuch śmiechu, ozwał się nakoniec kancelista ów o żółciowéj cerze i złośliwych oczkach, który, jak się zdawało, najmocniéj nie lubił Czyńskiego, i najżywiéj zazdrościł mu zebranych przez niego skarbów.

— Cyt, panie Wincenty! — chichocąc także z cicha, szepnął młody, barczysty, z bezmyślną twarzą chłopak, siedzący tuż przy obywatelskim synu, młodziutkim panu Leonie.

— Pan Wincenty gotów zaraz wszystko rozgadać! — sarknął pan Leon, ale z miny jego widać było, że czuł się dziś pomiędzy kolegami w roli przywódzcy i tryumfatora.

— No, opowiedźcież wszystko, jak było, pana Rolickiemu, a to jeszcze gotów pomyśléć, że tam coś bardzo złego się stało — podnosząc rumianą twarz z nad papierów i uśmiechając się pobłażliwie, wymówił jowialny naczelnik biura.

Pan Wincenty nie dał sobie dwa razy powtarzać słów pozwolenia i zachęty. Otarł starannie pióro, zdmuchnął z papieru rozsypane na nim ziarnka piasku a mrugając

złośliwemi oczkami i przerywając sobie wybuchami żółciowego śmiechu, opowiedział mi, jako w panu Leonie prawdziwy dyabeł siedzi, bo nikt takich figlów wymyślać i tak ich płatać nie umié, jak on; jako następnie ów pan Leon (mówię panu, wcielony szatan wesołości), postanowił nastraszyć Czyńskiego, co postanowiwszy, dobrał sobie dwóch tęgich, jak on, kompanów, i wraz z nimi wkradł się po północy na podwórko domu, w którym mieszka Czyński. Kiedy na mieście zrobiło się zupełnie cicho, a w domu wszyscy spali, jak zabici, pan Leon (ten wyborny pan Leon!), z kompanami swymi otworzyli cichutko okiennicę u jednego okna, i zaczęli niby to okno otwierać.

Czyński siedział jeszcze i pisał, ale, usłyszawszy szmer za oknem, zerwał się przestraszony (pociesznie wtedy wyglądać musiał, zwłaszcza, ze nie miał na sobie surduta, tylko swoję sławną kamizelkę w malinowe kraty. Zerwał się i jednym susem przyskoczywszy do kufra, usiadł na nim. Pan Leon wtedy, (niech go tam wszyscy... jaki z niego sprytny urwis!) zmieniając głos, mówi za oknem: — Pieniądze, albo życie! — Czyński nie ruszył się z miejsca. Oczy mu tylko w słup stanęły, a rękoma kufer obejmował! Nasi chłopcy (walne, jak Boga kocham, chłopaki), dawaj znów oknem trząść, aż tu z kuchni wypada wielka Marysia...

Tu opowiadanie rozradowanego kancelisty przerwaném zostało wybuchającemi wśród obecnych śmiechami. Sam pan naczelnik śmiał się do rozpuku.

— Teraz dopiéro zaczyna się prawdziwa tragedya!... — zawołał kolega o apatycznéj twarzy i leniwych ruchach. —

Marysia Herod-Baba... i czupryna pana Leona...

— Cyt! nie przeszkadzajcie! mów daléj, panie Wincenty! mów daléj!

— Koniec wieńczy dzieło! — zawołał pan Wincenty, uderzając się dłońmi o kolana — Marysia, jak furya przypadła do okna, otworzyła je i podobno kogoś tam z figlarzy śliczną łapką swoją po włosach pogładziła...

— Nie prawda! nie prawda! — odkrzyknął barczysty i rubaszny kompan pana Leona — nie złapała żadnego z nas! uciekliśmy!

— Zrejterowaliśmy w porę!

— Ale co przeląkł się, to przeląkł ten sknera! Ręczę, że mu jeszcze do tego czasu włosy na głowie stoją!

— Musieliście mu dobrze za skórę zajechać, kiedy dziś do biura nie przyszedł!

— Wstydzi się!

— Febry dostał z przelęknienia!

— Jak zapamiętam, Czyński raz jeden tylko w biurze nie był... lat temu będzie z dziesięć może, wtedy, kiedy mu Jaś Liski, pamiętacie go? odciął połę od płaszcza... Nie powiedział nikomu ani słowa, tylko na trzeci dzień przyszedł w nowym płaszczu, to jest tym, który do dziś dnia nosi!

Opowiadania o figlu pana Leona, jak i wszystkich przyklaskujących mu wykrzyków i śmiechów, słuchałem z żywém oburzeniem.

— Dziwi mnie to — rzekłem z cicha do naczelnika biura — jak pan może pozwalać kolegom swym i podwładnym, na wyrządzanie psot podobnych człowiekowi niemłodemu,

spracowanemu i nic zresztą złego nikomu nieczyniącemu.

— At, panie dobrodzieju! — odszepnął niezmieszany bynajmniéj wesoły człowieczek — zwyczajnie młodzi ludzie, lubią pobawić się, pośmiać! Zresztą, przyznam się panu memu, że gdyby to z kogo innego, ale z tego dziwaka i sknery, to nie grzech pożartować trochę!

Zbliżyłem się do stolika, przy którym siedział pan Leon wraz z towarzyszami nocnéj swéj wyprawy, i rzekłem głosem dość podniesionym, aby mnie i żółciowy pan Wincenty, i apatyczny kolega jego, usłyszéć mogli.

— Przykro mi, że to panom powiedzieć muszę, ale w żaden sposób pochwalić nie mogę postępku panów z Czyńskim. Lubię go i zostaję z nim w stosunkach życzliwych; ktokolwiek więc na przyszłość wyrządzi mu psotę jaką, lub krzywdę, ze mną miéć będzie do czynienia.

— Ależ, proszę pana... — spróbował oburzyć się pan Leon; ale spotkawszy się z moim wzrokiem, zarumienił się, spuścił głowę i umilkł.

Tego samego dnia, w poobiednich godzinach, zamierzałem właśnie wyjść z domu, aby odwiedzić Czyńskiego, gdy cicho, jak zwykle, i z nieodstępną swą teką pod ramieniem, wszedł on do gabinetu mego.

— Pan Dobrodziéj gniewa się może na mnie, dziś z rana nie odniosłem mu papierów... ale... miałem noc niespokojną i byłem trochę niezdrów...

Mniemałem, iż nie wié o tém, że nocnemi napastnikami byli jego koledzy, a chcąc oszczędzić mu smutku i upokorzenia dowiedzenia się o tém, powiedziałem, żem słyszał, iż jakoby złoczyńcy jacyś dobierali się téj nocy do

jego mieszkania. Uśmiechnął się smutnie trochę, ale bez cienia gniewu, lub zażalenia, odpowiedział:

— Ej nie! panie dobrodzieju! nie byli to żadni złoczyńcy, tylko pan Leon, pan Piotr i pan Erazm... ci, proszę pana, co to piszą przy stoliku na lewo... niedaleko ściany... Siostra zaraz ich poznała, gdy tylko przybliżyła się do okna; zna ona ich bowiem wszystkich z widzenia.

Milczał chwilę, potém dodał:

— Ot, rozbili mi tylko dwie szyby i musiałem dziś zapłacić za wstawienie nowych.

Patrzałem na niego ze zdziwieniem. W całéj téj więc upokarzającéj go awanturze, jedyną przykrą dla niego rzeczą było to, że z powodu jéj wydać musiał parę złotych. Co za szalone skąpstwo! jaki brak uczucia własnéj godności, czy téż jakie martwe, ponure przyzwyczajenie do obelg i naigrawań ludzkich!

— Koledzy pana bardzo źle postąpili... — zacząłem.

Przerwał mi poruszeniem ręki, oznaczającém lekceważenie, czy pobłażliwość.

— Co to dziwnego, proszę pana, że mnie nie lubią? żyję inaczéj, zupełnie inaczéj, niż oni... zarabiam więcéj... zazdroszczą mi téj odrobiny grosza, którą uzbierałem... gdyby wiedzieli, dlaczego zbieram... może-by... może-by się im inaczéj zdawało, ale tak.. trudno...

Wyraz *dlaczego* zaciekawił mnie żywo.

— Wyjaw więc pan kolegom swym cel ten, dla którego usiłujesz jak najwięcéj pracować i zbierać, a zmienią oni zapewne usposobienie swe względem pana.

— Wyjawić! — powtórzył ze zdziwieniem — ja miał-

bym im to wyjawić?

Milczał chwilę i patrzał w ziemię.

— Nie — rzekł nagle, podnosząc oczy — nie mogę im tego powiedzieć... sam nie wiem dlaczego, ale nie mogę... Kiedyś... wkrótce zapewne, przyjdzie taki dzień, w którym powiem panu... tak, panu naprzód, a potém dowiedzą się i wszyscy, tylko nie ode mnie! I wié pan dobrodziéj...

Tu przerwał sobie na chwilę, podniósł głowę, a giestem energiczniejszym, niż zwyczajnie bywały ruchy jego, składając dłoń na stole, dokończył:

— I wié pan? będzie to najszczęśliwszy dzień w mojém życiu.

Wyrazy te wymówił szeptem prawie, ale w oczach jego zapalił się blask gorący, po ustach krążył uśmiech pełen zachwytu, a na twarz całą spadł wyraz nieméj, wewnętrznéj extazy.

Tym razem nie nazwałem go już w myśli dziwakiem, ani skąpcem, lecz przeciwnie, doświadczyłem uczucia instynktowego niemal szacunku dla téj myśli nieznanéj mi, która mieszkała w nim cicho, lecz uparcie, na twarz jego wynędzniałą rzucała od czasu do czasu blaski gorących zachwytów, zdawała się, być główną osią, około któréj obracały się wszystkie dnie i minuty smutnego jego życia. Od dawna już miewałem przebłyski pojęcia, że kocha on pieniądze nie dla nich samych, zbiera je nie dla saméj tylko przyjemności ich zbierania. Teraz własne słowa jego potwierdziły ten domysł mój, ale o słowo zagadki nie zapytałem go ani razu, wiedząc, że uczucia szlachetne i wzniosie bywają istotom pewnym trudniejszemi do

wyjawienia, niż innym ciężkie i zawstydzające grzechy.

Przeszło jeszcze kilka miesięcy. Wróciłem był właśnie z dość dalekiéj i długo trwającéj podróży, gdy powiedziano mi, że od tygodnia przeszło Czyński nie ukazał się ani u mnie, ani w biurze.

— Wiész pan? — rzekł, widząc mnie wchodzącego do kancelaryi naczelnik biura — siostra Czyńskiego niebezpiecznie podobno zachorowała. Prosił on mnie o uwolnienie od zajęć na czas jakiś. Piérwszy to raz w życiu przytrafia mu się cały dzień w biurze nie pisać. Słyszałem, że wczoraj było tam kilku doktorów na konsylium. — Skorzystałem z piérwszéj chwili swobodnego czasu, aby odwiedzić Czyńskiego. Wchodząc do mieszkania jego, ujrzałem rzeczywiście Maryannę leżącą w gorączce, na łóżku, umieszczoném naprzeciw drzwi od sieni, które teraz osłonięte były starannie dywanikiem spłowiałym, zdjętym z jednego z kufrów. Była na-pół nieprzytomną, głowę miała związaną tą samą czerwoną chustką, którą nosiła zwykle. Gdy wchodziłem, przy łóżku stał Czyński i, pochylony nad chorą, wlewał jéj w usta łyżkę lekarstwa. Usłyszawszy mnie wchodzącego, odwrócił się i, kiwnąwszy głową na powitanie, oczyma wskazał mi krzesło.

— Niech pan będzie łaskaw... — szepnął, poczém zajął się znowu dawaniem lekarstwa choréj. Ale i Maryanna, usłyszawszy niezwykły szmer w pokoju, z ciężkością

starała się zwrócić twarz w moję stronę.

— Marysiu! — prosił brat — weź lekarstwo.

— Co ty mnie tam męczysz z temi lekarstwami! — sarknęła kobieta — idź już sobie ztąd! daj mi pokój!

Odtrąciła ręką łyżkę, którą przy ustach jéj trzymał, i z wysileniem podniosła się na łóżku.

— Kto to? — zapytała, wlepiając we mnie rozpalone gorączką oczy. — Aha! — rzekła po długiéj chwili wysilenia przyćmionego wzroku i umykającéj pamięci — zdaje się, że to pan adwokat... to dobrze... to dobrze. — Z widoczną trudnością zbierała i porządkowała w głowie rozpierzchłe, powikłane myśli; potém zaczęła znowu głosem, którego zwykłą grubość i opryskliwość zwiększał jeszcze gorączkowy pośpiech, i przyśpieszony, trudny oddech.

— Dobrze, że pan przyszedł... ja tu leżę i ciągle, ciągle myślę o tém, żeby pana poprosić... co to ja chciałam mówić? Aha! jeżeli ja umrę, niech pan będzie łaskaw zlituje się nad nim i przychodzi tu czasem, aby z nim pogadać, bo tu żaden żywy duch nigdy do niego nie zajrzy, i niech pan będzie łaskaw... niech pan będzie łaskaw dopilnuje czasem, żeby on kawałek mięsa zjadł, albo szklankę kawy wypił, bo, jak mnie nie będzie, to on zamorzy się... zamorzy się głodem...

— Marysiu! — przerwał Czyński, którego twarz w czasie mówienia kobiety dziwnie drgała i mieniła się, — po co o takich rzeczach mówić! Wyzdrowiejesz i będziesz żyła...

W głosie jego odzywały się jakby niepodobne do

powstrzymania lękliwe tony.

Kobieta opadła na poduszki.

— No, już ty tylko bądź cicho ze swemi jękami! — sarknęła gniewnie. — Czego tu jęczéć? Boże Święty! umrę, to umrę! Nagrzeszyłam dużo, a nacierpiałam się jeszcze więcéj! To i dobrze, że wszystko raz się już przecie skończy! W grobie cicho i ludzi niéma, i te wiedźmy przeklęte ze swemi bachorami nie będa już mnie... nie będą... co to ja chciałam mówić? aha! Kamień ci spadnie z karku... weź tylko sobie służącą jaką, żeby ci izbę wymiatała... szkoda, że nie wcześniéj, bo może-byś się był ożenił.

Zwróciła znowu z ciężkością twarz ku mnie i zaczęła:

— Niech pan adwokat będzie łaskaw, namawia go, żeby on w nocy nad tém pisaniem... on pana bardzo szanuje i lubi... może posłucha...

Nie mogła więcéj mówić. Przytomność odbiegła ją już całkiem. Pochwyciła się obu dłońmi za głowę, i z jękami wymawiać zaczęła niezrozumiałe jakieś wyrazy.

Nazajutrz, gdy o téj saméj porze przyszedłem do Czyńskiego, Maryanna leżała cicha i nieruchoma ze splecionemi na piersi dłońmi i zamkniętemi oczyma.

— Doktor powiedział, że niéma żadnéj nadziei — szepnął mi bardzo cicho Czyński — wyspowiadała się już. Ksiądz tylko co poszedł...

Na twarzy jego nie malowało się żadne gwałtowne uczucie. Usta tylko i powieki drgały mu nerwowo od chwili do chwili, a na zapadłych policzkach widać było dwie plamy ciemnych rumieńców.

Usta Maryanny poruszyły się z wolna.

— Boże bądź miłościw mnie grzesznéj! — wymówiła kilka razy, uderzając się ręką w piersi. Po chwili z pod powiek jéj zamkniętych wypłynęły dwie łzy i ciche stoczyły się po wychudłéj, gorączką rozpalonéj, twarzy.

— Boże bądź miłościw mnie grzesznéj! — powtórzyła raz jeszcze z głębokiém westchnieniem.

Czyński pochylił się nad łóżkiem i przycisnął usta do czoła choréj.

— Bóg lepszy od ludzi — szepnął. — On ci pewno przebaczył!

W dwa dni potém, z nizkiego, drewnianego domku, czteréj posługacze kościelni wynosili na ciasne, brudne podwórko, trumnę czerwono pomalowaną, w któréj spoczywały zwłoki Maryanny. Przed trumną szedł ksiądz z krzyżem, za nią postępował Czyński i prócz mnie... nikt więcéj. Dopóki skromny wielce i cichy orszak ten przesuwał się omglonemi drobnym wiosennym deszczem, ulicami, dopóty Czyński nie podniósł ni razu opadłéj na piersi głowy i, zanurzony w ciężkiéj zadumie, nie spostrzegł, że idę tuż obok niego. Za miastem dopiéro, w polu, podniósł zaczerwienione powieki i, zobaczywszy mnie, wydał się z razu zdziwionym mocno. Po chwili jednak, oczy jego utkwiły znowu w czerwonéj trumnie i nie opuściły jéj póty, dopóki nie okryły jéj żółte warstwy wilgotnego piasku. Wtedy zwrócił się do mnie i drgającemi usty rzekł: Dziękuję panu!

Chciał jeszcze coś mówić, ale brakło mu głosu. Skłonił tylko raz jeszcze głowę i, przebywszy bramę cmentarza,

wyszedł znowu na ścieżkę, polem do miasta wiodącą. Postępowałem za nim z dala, nie chcąc w téj chwili być mu natrętnym towarzyszem. Szedł krokiem powolnym i nierównym. Wiatr szamotał gwałtownie peleryną jego płaszcza i rzucał mu w oczy fale zimnego deszczu. Ścigałem okiem wysoką, cienką postać tę, samotnie sunącą po szarém tle mgły i zmroku, dopóki nie zniknęła w głębi gwarnéj i ludnéj ulicy miasta.

Spełniając ostatnią prośbę biednéj Maryanny, starałem się jak najczęściéj odwiedzać małe mieszkanko jéj brata, jak najdłuższe prowadzić z nim rozmowy, jak najusilniéj przekonywać go, iż powinien zmienić dotychczasowy swój sposób życia, jeśli chce, aby go siły nie odstąpiły wkrótce w zupełności.

— Ej! co tam! — odpowiadał mi zwykle — zdrów jestem, jak ryba... nigdy mnie nawet nic nie boli...

A jednak pracował coraz mniéj i coraz gorzéj. W biurze ogarniało go nieraz zamyślenie, do osłupiałości podobne. Kwadransami całemi trzymał pióro zawieszone nad papierem, ale nie pisał, tylko szklanym wzrokiem i z rozwartemi nieco ustami patrzał w przestrzeń. Niekiedy mrużyły mu się powieki i głowa kłoniła się w dół pod ciężarem nieprzezwyciężonéj senności. W domu znajdowałem go téż niekiedy drzemiącym w dzień biały, lub siedzącym bezczynnie nad rozłożonemi przed nim

papierami. Parę razy zauważyłem, wchodząc, że oczy jego utkwione były w stołek, umieszczony przy oknie kuchenki, na którym siadywała zwykle z robotą swą Maryanna. W mojéj téż obecności, rzucał od czasu do czasu na stołek ten przelotne spojrzenia. Znać było, że oczyma wyobraźni widział tam nieustannie postać kobiety, dla któréj wiele cierpiał, z którą przepędził sam-na-sam długi szereg lat monotonnych i smętnych. Teraz nie było już ich „dwojga na świecie”. Jak ptak, powiewem wichru odbity od stada swego, tak on, szczególném zrządzeniem losu, odbił się od reszty ludzi, a jedyna istota, która dbała o niego, z którą związały go wspólne wspomnienia i smutki, zniknęła. Czy tęsknił za nią? czy czuł tę bezdenną samotność, która go otaczała? nie wiem. Nie skarżył się nigdy. Wzdychał niekiedy, ale rzadko i bardzo cicho. Tylko siwe pasma jego włosów rozszerzały się coraz i pochłaniały sobą resztki tych, które były jeszcze czarnemi; twarz stawała się coraz cichszą, żółtszą i chudszą, wzrok coraz senniejszym, chód słabszym i nierówniejszym. Wkrótce upadanie to na siłach zostawiać zaczęło ślady swe w robocie, którą z jednaką zawsze gorliwością spełniać usiłował, lecz nie mógł. W piśmie jego zachodziły omyłki coraz częstsze i grubsze. Stawał się roztargnionym, zapominał o terminach, naznaczonych mu dla wykończenia pracy. To téż dwaj koledzy moi, u których od lat wielu trudnił się przepisywaniem papierów, odmówili mu wkrótce roboty.

— Czy i pan odprawi mnie także? — zapytał smutnie po opowiedzeniu mi tego, co go u kolegów moich spotkało.

Nie myślałem naturalnie sprawiać mu téj nowéj

przykrości, jakkolwiek, w tajemnicy przed nim, miałem już innego kopistę, który spełniał to, czego on dokonywać nie był zdolen.

Coraz widoczniejszém stawało się dla mnie, że życiowa karyera Czyńskiego miała się ku końcowi. Nie można było powiedzieć w istocie, aby był chorym. Nic go, jak mówił, nie bolało. Było to poprostu wyczerpanie sił, śmiertelne znużenie, powolne gaśnięcie.

Przyszło mi raz na myśl, że długi, zupełny odpoczynek, jako też wiejskie powietrze i zdrowe wiejskie pokarmy, przywróciły-by może, choć w części, siły utracone. Powiedziałem mu też, iż gdyby tylko chciał, to-bym wyjednał mu u prezesa biura uwolnienie od zajęć na dwa, lub trzy, miesiące, które mógłby spędzić na wsi w małym folwarku, położonym w blizkości miasta, a do siostry mojéj należącym.

— Ja miał-bym wyjeżdżać na wieś? — powtórzył ze zdziwieniem — po co?

— Musiałeś pan być przecież na wsi kiedykolwiek; wiész więc, jak tam jest w lecie zielono, świeżo, zdrowo.

— Urodziłem się i dzieciństwo moje spędziłem na wsi, ale to już tak dawno było.

— Ale i przez te lata, które przepędziłeś pan w mieście, musiałeś niekiedy czynić wycieczki w okolice miasta, chodzić na przechadzki...

— Na przechadzki — powtórzył — poco? A!— dodał po chwili — prawda! była kiedyś wielka majówka za miastem... ja wtedy byłem zaręczony z panną Różą i na majówkę poszedłem, bo i panna Róża tam była. Ale to

bardzo dawno... lat temu ze dwadzieścia siedm...

— A potém to już nigdy nie znalazłeś się pan w czystém polu?

Przypominał sobie chwilę.

— Potém? — rzekł — a byłem raz... trzy miesiące temu... wtedy, jak wracałem z pogrzebu Maryanny.

Tak więc człowiek ten przez lat dwadzieścia siedm ni razu ani na chwilę nie opuścił twardego bruku miejskiego i dusznych ścian miasta. Zapomniał już nawet, jak wygląda piękny świat Boży z błękitem nieba i zielenią pól, ze śpiewem ptaków swobodnych i blaskiem słońca, niczém nieprzyćmionym. Trzeba mu go pokazać, ten świat zapomniany przezeń, świat wolnéj, bogatéj przyrody — pomyślałem — a może zgodzi się potem na kilkomiesięczny, tak niezbędny mu, pobyt na wsi!

Powiedziałem mu dnia pewnego, że, chcąc nie chcąc, musi uwolnić się na dzień jeden z biura i pojechać ze mną do folwarku mojéj siostry. Nie bardzo przypadło mu do smaku to przedstawienie. Lenił się trochę, nie chciał opuszczać zajęć biurowych, a przedewszystkiém obawiał się zostawiać na dzień cały mieszkanie swe pustém i znajdujące się w niém skarby niestrzeżonemi.

— Mieszkanie pańskie zamkniemy starannie — rzekłem — a zwierzchnicy jednodniowego opuszczenia biura za złe ci nie wezmą. Pojedziemy.

Miałem nad nim, od czasu szczególniéj śmierci Maryanny, wpływ niejaki. Garnął się do mnie, jak do jedynego na świecie człowieka, który nie odtrącał go, lecz owszem, okazywał mu życzliwe zajęcie. Przystał więc w

końcu na moje żądanie, i nazajutrz zaraz wyjeżdżaliśmy obaj z miasta, lekkim, odkrytym powozem.

Dzień czerwcowy panował nad światem w całéj swéj okazałości, ciepły choć nieupalny, woniejący, barwisty, złoty. Wśród zbóż i drzew zielonych przebyliśmy szybko kilkowiorstową drogę. Jadąc, dopatrywałem uważnie zmian, które, jak wyobrażałem sobie, zajść były powinny w twarzy towarzysza mego, na widok przedmiotów, znanych mu dawniéj, lecz dziś stanowiących dla niego świat całkiem obcy. Ku wielkiemu zdziwieniu memu, twarz ta pozostała zupełnie taką samą, jaką bywa zwykle; cichą, nieśmiałą, znękaną. Jedyném uczuciem, którego widocznie doświadczał w podróży, była bojaźń. Tak dawno już nie przenosił się on z miejsca na miejsce inaczéj, jak pieszo, że każde przechylenie się na bok powozu, każde stuknięcie koła o kamień, każde głośniejsze parsknięcie konia, napełniało go strachem. Niewzruszenie wytrwały i spokojny wobec moralnych cierpień samotności i upokorzenia, był on pozbawiony w zupełności fizycznéj odwagi. Drgnął raz gwałtownie i podniósł rękę giestem obronnym, w chwili, gdy wesoła ptaszyna jakaś, przelatująca nizko nad drogą, zafruwała skrzydłami tuż nad jego czołem.

W folwarku nie mieszkał nikt, prócz oficyalistów i czeladzi. Przybywszy na miejsce, zaprowadziłem towarzysza mego do cienistego, starannie utrzymanego ogrodu, i posadziłem go na brzozowéj ławce pod cieniem rozłożystych, kwitnących właśnie w porze téj, kasztanów. Prosiłem go, aby zaczekał na mnie w tém miejscu, dopóki

nie załatwię kilku gospodarskich zleceń, danych mi przez siostrę. Bawiłem niespełna pół godziny. Wracając, znalazłem Joachima, siedzącego na tém samém miejscu i w téj saméj, w jakiéj go zostawiłem, postawie. Nie wstał ni razu z miejsca, nie poruszył nawet głową, by obejrzéć się dokoła.

Bo téż wśród ram, uplecionych z błękitu, kwiatów i zieloni, wyglądał on na kształt źdźbła zeschłego mchu, oprawionego w złoto i dyamenty. Dokoła wychudłéj jego postaci, sztywnie i nieruchomo siedzącéj na białéj ławie, drgały, migotały, przelewały się szmery i dźwięki, olśniewające światła i przezroczyste wzorzyste cienie; u stóp jego, wśród puszystéj murawy, kwitły stokrocie i gwoździki, nad czołem zoraném i wyżółkłém zwisały ciężkie od kwiecia gałęzie drzewa i świegotały ogłuszająco radosne roje ptaków.

Wązki, złoty promień słońca wił się po ciemnych, pomarszczonych, splecionych nieruchomo jego rękach i po malinowych kratach szaréj jego kamizelki. W chwili, gdy zbliżałem się, jednę z krat tych okrył rozpiętemi skrzydłami wielki błękitnawy motyl. Na widok zlatującego mu na pierś pięknego owadu, Czyński drgnął cały. Poruszenie to odpędziło motyla, lecz zarazem wstrząsnęło zwisającą nad głową jego ciężką gałęzią, która zakołysała się i zrzuciła mu na siwe włosy deszcz kwiatowych listków i pyłków...

— Czy pojedziemy już? — zapytał, gdy stanąłem przed nim.

— Nie jeszcze — odpowiedziałem — musimy zjeść obiad.

Wkrótce przyniesiono pod kasztany stół biało nakryty i zastawiony prawdziwie wiejską ucztą, złożoną z kurcząt, sałaty, śmietany, jaj i jagód. Czyński powiódł spojrzeniem po zastawie téj i z uśmiechem niedowierzania zapytał:

— Czy to obiad?

Potraw, które stały teraz przed nim, nie widział już od czasu, kiedy przestał wyglądać za mury miasta; wszystko zaś, co różniło się w jakikolwiek sposób od trybu codziennego, rozpaczliwie monotonnego jego życia, dziwiło go niewypowiedzianie. Jadł téż bardzo mało, jakkolwiek mówił mi w drodze, że czuje się trochę głodnym. Ale kurczęta, mleko i jagody nie smakowały mu. Widoczném było, ze przełożył-by nad nie przydymiony krupnik i obrzydliwą pieczeń, które mu od śmierci Maryanny przynoszono codziennie z miejskiéj garkuchni.

Wyprowadziłem go potém na przechadzkę w pole, do brzozowego gaju, nad kręty strumień, mruczący po kamieniach wśród olch i brzóz płaczących. Zjęty szczególném uczuciem litości i jakby poszanowania dla tego steranego, uwiędłego życia, szczerze pragnąłem, aby upodobał sobie w tych miejscach, i mieszkając w nich czas jakiś, wzmocnił swe siły, orzeźwił umysł, przedłużył dni swego istnienia. Ale, ku zdziwieniu i smutkowi memu, jedynym widocznym śladem, który pozostawiał na nim widok przyrody, było — zmęczenie. Powieki jego drgały i mrugały, jak od olśnienia, pierś, za słaba dla przełykania woniami napełnionych powiewów, oddychała z trudnością. Zaraz téż po powrocie z przechadzki zabrałem się do wyjazdu.

Słońce zaszło już było prawie, szkarłatne obłoki mieszały się na niebie z ciemnym, fioletowym i bladym błękitem, wśród drzew brzęczały roje owadów w powietrzu z głośném huczeniem przelatywały chrząszcze, i wraz z orzeźwiającą wilgocią mgieł białych rozlewał się upajający zapach skoszonéj trawy. Przed wsiadaniem do powozu zwróciłem się do Czyńskiego.

— Cóż? — rzekłem — nie namyślisz się pan? nie zechcesz przebyć tu parę miesięcy? — Potrząsł z wolna głową.

— Nie — odpowiedział — wolę moję ciupę... w mieście. Tu jakoś obszernie bardzo i jasno. Oczy mnie zabolały i w uszach mi od tego wszystkiego szumi!

Kiedy lekki powóz nasz toczył się szybko drogą równą i gładką, gwiazdy świecić zaczęły przez gałęzie drzew przydrożnych, nad polami zaległa cisza głęboka i biała para przesłoniła zieloność łąki. Ale Czyński nie patrzał ani na gwiazdy, ani na pola uśpione, ani na fantastyczne fale mgły wieczornéj. Kiedy po przebyciu kilku wiorst spojrzałem na niego, oczy miał zamknięte. Usnął.

Stracił już był widocznie zmysł pojmowania i odczuwania piękności wszelkiéj. Zapomniał, jak wyglądają kwiaty. Lękał się ptaków i motyli. Tak długo żył w rozłączeniu zupełném z przyrodą, że nie miała już ona dla niego głosu, ni powabu. Jedyném wrażeniem, jakie wywierały na niego widoki jéj i dźwięki, było poczucie przestrzegającego bezmiaru i odurzającego gwaru. Mimowoli przypomniałem sobie owego na suficie wymalowanego głowonoga, i zdawało mi się, że widzę

kręte, galaretowate ramię potwora, wpijającego się w głowę tę, uśpioną śród poduszek powozu i przybraną jeszcze w kilka drobnych listków kasztanowego kwiecia.

Wkrótce potém, korzystając z wakacyjnéj pory, udałem się w zwykłą coroczną podróż, trwającą parę miesięcy, a niezbędną mi dla zdrowia tak umysłu, jak ciała. Gdym wrócił, domownicy moi powiedzieli mi, że Czyński przez parę tygodni przychodził codziennie i zapytywał, kiedy mianowicie oczekiwany jestem w domu, ale od tygodnia przeszło nie widziano go już więcéj, ani tu, ani w biurze. Domyśliłem się smutnéj przyczyny tego zniknięcia z przed oczu ludzkich kopisty mego i, załatwiwszy się z pilnemi interesami, w parę dni po powrocie poszedłem go odwiedzić. Przelotny promień radości przebiegł mu twarz, gdy ujrzał mnie wchodzącego. Leżał w ubraniu na łóżku i widziałem, że z bolesném wysileniem podniósł się, aby mnie przywitać.

— Myślałem — rzekł z bladym uśmiechem — że nie zobaczę już pana...

— Czy jesteś pan chory?

— Ot, tak jakoś! sam nie wiem! Nic mnie nie boli, ale czuję się słabym. Codzień ubieram się i chcę iść do biura, albo przynajmniéj siąść i pisać w domu, ale nie mam siły.

W tydzień potém zaprzestał już prób nadaremnych. Nie wstawał wcale z łóżka. Przychodziłem do niego najczęściéj, jak tylko mogłem, ale, mając czas bardzo zajęty, nie byłem zdolen zaradzić skutecznie téj przerażającéj samotności, wśród jakiéj teraz przebywać musiał. Widać było jednak, że człowiek ten, czując w sobie gasnące życie, doświadczył

nagle gwałtownego pragnienia twarzy, głosów, a może i przyjaznych serc ludzkich. Zdejmująca go tęsknota niewymowna napełniała mu oczy wyrazem cichéj, jakby dziecięcéj, żałości. Nigdy przecież żadna głośna skarga z ust mu nie wyszła, i na twarzy jego nie zapłonął ni razu żaden gorzki, lub gwałtowny bunt ducha. Na prośbę moję, siostra moja posyłała mu codziennie wzmacniające pokarmy i napoje, ale wpływ ich nie mógł zastąpić niedostających mu ciągłych, troskliwych starań. Od śmierci Maryanny małe mieszkanko zmieniło bardzo pozór swój. Powietrze w niém było stęchłe i duszne, grube warstwy pyłu okryły ściany i sprzęty, śmiecie, zgarnięte z lekka ze środka izby, napełniło jéj kąty... Żadne namowy moje skłonić nie mogły Czyńskiego do najęcia sobie stałéj służącéj. Obawiał się być okradzionym i poprzestawał na dorywczéj i niechętnéj posłudze, niezgrabnéj, rozczochranéj dziewczyny, którą mu za umówioną zapłatę przysyłała parę razy dziennie właścicielka domu. Nocami pozostawał samotnym zupełnie, i nie mogłem bez pewnego mimowolnego wzdrygnięcia myśléć o tém, iż może on tak kiedy zgasnąć śród ciemności i ciszy, bez słowa pociechy i pokrzepienia, bez przyjaznéj ręki, która-by dłoń jego pożegnała ostatnim uściskiem, lub która-by przynajmniéj kroplą wody zwilżyć mogła spieczone jego usta. Inaczéj jednak stać się miało. Pewnego dnia, w obiadowéj porze, przybiegła do mieszkania mego owa rozczochrana dziewczyna, która pełniła przy Czyńskim niezbędne usługi, i oznajmiła, że bardzo usilnie pragnie on jak najprędzéj widziéć się ze mną.

Poszedłem natychmiast. Przywitał mnie spójrzeniem tak jasném i uśmiechem tak swobodnym, jakich dawno u niego nie dostrzegłem. Wyciągnął ku mnie wychudłą swą rękę i rzekł z cicha:

— Dziękuję panu, że pan przyszedł. Dwie godziny temu wyspowiadałem się... myślę, że dziś już będzie po wszystkiém...

Chciałem prosić go, aby nie oddawał się tak smutnym przewidywaniom, ale skinął powoli ręką.

— Tak to już jest — rzekł — zaledwie mogę oddychać i chwilami robi mi się zupełnie ciemno w oczach... doktor zresztą, którego pan tu przysyłasz, nie tai przede mną tego, że mi sił braknie... zupełnie braknie.

— No — dodał po chwili spoczynku, uśmiechając się znowu — będzie ich jednak dosyć, sił tych, aby z panem pomówić godzinkę jaką.

Wsparł się łokciem o poduszki i, ze skronią, na dłoń pochyloną, mówić zaczął cichym i słabym, potém coraz silniejszym głosem:

— Czy pamięta pan, że kiedyś, nie wiem doprawdy, jak dawno temu, powiedziałem panu, że przyjdzie taki dzień, w którym ja wyjawię przed panem jeden sekret... otóż teraz przyszedł już ten dzień i ja muszę prosić pana, żeby pan wysłuchał mnie naprzód, a potém poradził mi i dopomógł... Ale wprzódy trzeba, żebym opowiedział, jak wszystko było i działo się bo inaczéj nie zrozumiał-byś pan... nie, z pewnością nie zrozumiał-byś dobrze ani tego, o czém ja myślę, ani tego, czego chcę...

— Obawiam się tylko — przerwałem — aby mówienie

długie nie zmęczyło cię zbytecznie...

— Mniejsza o to — rzekł — niech pan mi tylko nie przeszkadza i nie przerywa, bo czasu już mało, a roboty będzie około tego trochę... Otóż widzi pan, ja i Maryanna urodziliśmy się na wsi, w małéj folwarczynie ojcowskiéj... Matki nie pamiętamy oboje, umarła, kiedyśmy byli bardzo jeszcze mali, a ojciec, odpuść mu panie, zapijał się często i niebardzo dbał o nas. Oddał mię jednakowoż do szkół, a Maryannę ciotka nasza szycia i różnych robót uczyła. Kiedy skończyłem cztery klasy i miałem lat szesnaście, ojciec umarł, folwarczynę sprzedali za długi, a ja wstąpiłem do biura...

— W szesnastym roku do biura! — zawołałem mimowoli.

— Tak, teraz już nie przyjmują w tym wieku, ale wtedy przyjmowali... brałem przez piérwsze kilka lat po cztery, albo pięć rubli miesięcznie, i siostry wziąć do siebie nie mogłem, bo sam ledwie jeść co miałem, i w dziurawych butach chodziłem. Mieszkała ona z początku u ciotki, a potém poszła za pannę służącą do jakiéjś bogatéj pani, z którą wyjechała gdzieś daleko, tak, że długo bardzo nie wiedziałem, gdzie jest i czy żyje. Kiedy już z lat dziesięć pisałem w biurze, i dosłużyłem się dwudziestu rubli miesięcznie, a byłem pewny, że dosłużę się kiedyś daleko większych rzeczy, poznałem pannę Różę, pokochałem ją i, jak pan wiész, mieliśmy się pobrać, gdy otrzymałem list od Maryanny.

Umiała ona trochę pisać, bardzo źle, ale umiała trochę. Napisała więc tylko te słowa:

„Joachimie! jest nas dwoje tylko na świecie, ty i ja. Jedna matka nas rodziła i, jak byliśmy jeszcze oboje w domu, ty mnie lubiłeś i ja ciebie lubiłam. Teraz jestem w takiém położeniu, że, jeżeli za dwa tygodnie nie przyjedziesz i nie zabierzesz mnie ztąd, pójdę do rzeki i utopię się. Nie myśl, że kłamię, bo tak jest, i zlituj się nada mną. Będę sługą twoją, będę proch pod twemi nogami zmiatać, tylko mię ztąd zabierz”.

Pisała, panie, ten list z miasta, niebardzo dalekiego. Cóż było robić? Serce mię zabolało, przed oczyma stanął mi ten moment, jak żegnaliśmy się przed wyjazdem jéj w dalekie strony i jak wtedy całowaliśmy się i płakali oboje. Pojechałem. Znalazłem ją... o! panie! jak... gdzie ją znalazłem?...

Tu przerwał sobie mowę; ledwie dostrzegalne drgnienia poruszały przez chwilę ustami i powiekami jego. Potém mówił daléj:

— Zwyczajna to była historya biednych, ładnych dziewczyn, służących w garderobach pańskich. Panicz w niéj sobie upodobał i ona w nim. Potém wypędzono ją w świat. Dziewczyna była płocha, kochliwa, chichotka. Znalazł ją ktoś drugi i znowu porzucił.

Potém... potém panie, była ona już tam... była ona, panie w piekle... ale widać Pan Bóg nie chciał potępić na wieki jéj duszy, bo nie mogła wytrzymać... wypłakiwała oczy... zrywała się... chciała służyć... nikt jéj już nie przyjmował... tedy przypomniała sobie o mnie i napisała... Niech pan będzie litościwym dla niéj i nie sądzi jéj srogo... odpokutowała. —

I znowu milczał chwilę. Splótł ręce i wyszeptał kilka niedosłyszalnych wyrazów. Prosił może Boga o przebaczenie dla téj, o któréj mówił, lub może do niéj saméj słał słowa litości i przebaczenia.

— Wziąłem ją więc do siebie. Z początku myślałem, że wszystko, co było, zostanie w sekrecie; ale gdzie tam! ludzie jeżdżą po świecie i gadać dużo lubią... rozniosło się... Koledzy powiedzieli, żem człek bez wstydu i ambicyi... zaczęli śmiać się ze mnie i nie lubić mnie... niektórzy nie kłaniali mi się już na ulicy, a inni przychodzili, żeby ją zobaczyć i spróbować u niéj szczęścia... Ona rzucała im się w oczy, jak osa, a ja dwu, czy trzech, za drzwi wypchnąłem... Ciernie, panie, ostre ciernie zaczęły włazić mi w nogi... ale trudno! wyprawić jéj od siebie nie mogłem... żałowałem jéj... chciała zostać uczciwą, a bez mojéj pomocy nie mogła...

Wszystko to jednak nic nie znaczyło, dopóki panna Róża... ale pan wiész o téj historyi? prawda? i ja myślę, że nie trzeba panu opowiadać, jak mię serce bolało... bardzo i długo. Ona, panie, była taka śliczna i taka dobra... poszedł-bym dla niéj w ogień i polazł-bym w wodę, ale wepchnąć siostry napowrót do piekła nie mogłem...

— A Maryanna wiedziała o tém, jaką ofiarę pan dla niéj czyniłeś? — zapytałem, gdy opowiadający umilkł na chwilę, owładnięty nieprzezwyciężoném, wspomnień i westchnień pełném, zamyśleniem.

Podniósł wzrok i tonem pytania powtórzył:

— Ofiarę? jaką ofiarę?

Nie pomyślał nigdy o tém, aby postępkowi swemu miano

to nadać.

— Ja nie wiem, czy to była jaka ofiara... inaczéj zrobić nie mogłem. Maryanna późniéj dopiéro, nie prędko, dowiedziała się o wszystkiém...

Milczał jeszcze chwilę, potém mówił daléj:

— W mojém życiu, panie, raz tylko słońce jasno świeciło... wtedy, kiedy byłem zaręczony z panną Różą... potém zgasło i nie zaświeciło już nigdy... Nie byłem śmiałym do kobiet, nie upodobałem już sobie nigdy w żadnéj, a jeżeli kiedy i pomyślałem o któréj, że może-by... to wiedziałem dobrze, że dla téj saméj przyczyny, co i panna Róża, żadna za mnie nie pójdzie, a jeżeli-by i poszła, to czy pogodziła-by się z Maryanną? czy mogła-by zapomnieć o tém, co było? czyby jéj życia piekłem nie zrobiła? Prędko zresztą, bardzo prędko przestałem zupełnie myśléć o tém, ale pomyślałem o czém inném... Nie umiem, panie, opowiedzieć... nie pamiętam już teraz dobrze, jak do tego przyszło, ale zacząłem coraz więcéj pracować i zbierać pieniądze... nie dla siebie! nie! dla ludzi, panie... o czém myślałem, kiedym to robić zaczął, co czułem... nie umiem opowiedzieć... wiem tylko, że był taki dzień, w którym pomyślałem sobie: nie będę miał nigdy własnych dzieci! i zapłakałem po cichu nad samotną starością, co mię czekała. Niech-że ja cokolwiek choć dla cudzych dzieci zrobię! Niech-że ja zrobię tak, żeby przeze mnie choć dwoje, albo troje, ludzi szczęśliwszą dolę miało, niż dola moja i Maryanny... Szukałem, panie, roboty wszędzie, gdzie mogłem... oszczędzałem grosz, jak tylko mogłem, i oto, panie, teraz w téj szkatułce jest 8,000 rubli w biletach, i

jeszcze coś drobnych asygnat i srebrnéj monety...

Mówiąc to, z wysileniem wielkiém wydobył z pod poduszki małą szkatułkę, którą zapewne przed ostateczném położeniem się w łóżko, wyjął był z kufra.

— Niech pan ją otworzy i przeliczy wszystko, co tam jest — prosił, zdejmując z szyi zawieszony na sznurku mały kluczyk.

— Cóż chcesz uczynić z pieniędzmi temi, kochany przyjacielu? — zapytałem, mimowoli ujmując rękę jego w obie dłonie, bo z na-pół jeszcze tylko zrozumiałych słów, które wymówił, wielkie światło uderzyło mię w oczy. Zaczynałem pojmować, jak ciężką, srogą omyłkę popełnili ludzie względem człowieka tego.

— Otóż to, że nie wiem dobrze, jak to zrobić? — odpowiedział mi znacznie już cichszym, słabszym głosem, niż wprzódy, — ale pan będziesz pewno wiedział... Chciałbym, panie, aby za procent od tych pieniędzy... rozumié pan? za procent... edukowano jednego chłopca i jednę dziewczynę... czy tak można?

— Nic nie staje temu na przeszkodzie, a suma jest dla celu tego wystarczającą — rzekłem wzruszony.

Słowa moje rozświeciły mu twarz promieniem radości.

— Dzięki Bogu! — szepnął, splatając ręce. Ale zdaje się... zdaje się, że to trzeba napisać...

— Trzeba wistocie, abyś podyktował mi ostatnią twoję wolę, bo napisać jéj sam nie będziesz miał siły.

— Niech pan napisze... pan już wié jak, a ja podpiszę.

Usiadłem przy stole i napisałem szybko akt stosowny. Potém przywołani przeze mnie dwaj mieszczanie

rzemieślnicy, jako też i lekarz, który przyszedł właśnie odwiedzić chorego, podpisali się na nim, jako świadkowie. Zajęło to niespełna godzinę, podczas któréj Czyński żywo zajmować się zdawał wszystkiém, co się dokonywało, niezwykle błyszczącemi oczyma spoglądał dokoła, ale, z wyjątkiem koniecznych odpowiedzi na zapytania świadków i lekarza, które dawał głosem drżącym, lecz wyraźnym, nie mówił nic. Kiedy nakoniec tak szkatułka z pieniędzmi, jak i akt testamentowy, zostały opieczętowane, a trzéj obcy ludzie opuścili izbę, podniósł on w górę drżące ręce, i słabym głosem zawołał:

— Dzięki Bogu!

Poczém, zwracając się znowu do mnie, rzekł z promiennym uśmiechem:

— Słońce zaświeciło znowu...

Przymknął oczy i zdawało mi się, że usnął, ale po kilku minutach podniósł znowu powieki i zaczął bardzo cicho:

— Żebyś pan wiedział, jak ja o tém ciągle... ciągle myślałem... i w biurze, i przy stole, i te długie noce, kiedy na świecie cicho było, jak w grobie, a ja jeden siedziałem tam przy stoliku i pisałem tak długo, aż mi ręka zmartwiała... Myślałem, że będzie ich dwoje, którzy przeze mnie... przez moję pracę, lepszéj doli doświadczą, niż ja i Maryanna... a potém znowu dwoje... i tak długo... długo... Ludzie nie lubili mnie i wyśmiewali... dokuczali mi i prześladowali Maryannę; a ja myślałem sobie, że dzieci tych samych może ludzi, co nas tak prześladują, będą kiedyś miały przeze mnie trochę rozumu w głowie i słońca w życiu... myślałem tak i cieszyłem się bardzo z tego, że za

te kamienie, co oni na mnie ciskali, ja kiedyś oddam im chlebem...

Milczał chwilę, potém rzekł jeszcze:

— Chciałem zrobić jak najwięcéj... jak najwięcéj... ale już więcéj nie mogłem... dzięki Bogu i za to...

Siedziałem tuż przy łóżku i, trzymając rękę jego w obu mych dłoniach, nie spuszczałem oczu z jego twarzy, która, uciszona, spokojna, z zamkniętemi oczyma i uśmiechniętemi usty, woskową żółtością odbijała od bieli poduszek. W izbie cicho było zupełnie, za małemi oknami zapadał szary zmrok jesiennego wieczoru. Parę razy jeszcze otworzył oczy, a gdy spójrzenie jego spotkało się z mojém, usta jego wyszeptały cicho:

— Dzięki Bogu!

Byłem pewny, że, gdyby miał dosyć siły po temu, dodałby jeszcze; że nie umieram sam jeden! Bowiem promienna, głęboka wdzięczność zaświeciła mu w oczach, gdy, usiłując uścisnąć moję rękę, zaledwie dosłyszalnie szepnął:

— Jaki pan dobry dla mnie!... dziękuję...

Ostatniém tedy uczuciem tego biednego, znękanego, wzgardzonego, ciemnego życia, była wdzięczność, ostatniém słowem jego — słowo dziękczynienia.

Nie podniósł już potém powiek i nie otworzył ust ani razu. Żadne konwulsyjne drgnienie nie wstrząsnęło jego ciałem, żaden chrapliwy oddech nie ozwał się w piersiach. Umarł tak, jak żył: bez szmeru, jęku, ni skargi, wśród ciszy i mroku.

KONIEC.

*Tekst jest **[własnością publiczną](#)** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: [Eliza Orzeszkowa](#).*

PANI LUIZA.

Z opowiadań prawnika.

NOWELLA.

Dość dawno już temu, pewnego przedpołudnia, znalazłem na biurku mojém, wśród innych korespondencyi liścik niewielkich a bardzo zgrabnych rozmiarów, w kopercie fijołkami pachnącéj zamknięty, i na welinowéj ćwiartce, poniżéj cyfry spowitéj w bluszczowe gałązki, następujące wyrazy zawierający:

Szanowny Panie!

„Jak jestem kobiétą, i jak z powodu niedyspozycyi domu w tych dniach nie opuszczam, mam śmiałość prosić pana o wizytę, w celu konferowania z nim o moich interesach, które rada-bym bardzo powierzyć światłym widokom i sumiennym staraniom Jego, tyle mi przez xiędza X. rekomendowanym. Przyjmuję codziennie od 3-éj do 7-éj po południu.

Chciéj pan przyjąć wyrażenie uczuć moich, zupełnie dystyngowanych.

Luiza ze Żmurskich Wielogrońska.“

Przeczytanie listu tego obudziło we mnie na przód śmiech, potém gniew. Tak ogólny styl pisma, jak przedewszystkiém wyrażane mi uczucia *zupełnie dystyngowane*, rozśmieszyły mię z razu; potém przyszło mi na myśl, iż ktoś zażartować chciał sobie ze mnie lub zmistyfikować, przesyłając mi pismo podobne, i rozgniewałem się trochę na tego, co mi czas zajmował niepotrzebnemi żartami. Po dłuższym jednak namyśle, zacząłem przypuszczać, że list, który, śmiejąc się mimowoli, odczytałem raz jeszcze, nie był żartem ani mistyfikacyą, ale utworem jakiéjś może cudzoziemki, która z językiem miejscowym dostatecznie obznajmioną nie była, a własnego używać nie chciała, nie wiedząc, czy zrozumianą przeze mnie będzie. Ależ znowu podpis u dołu listu umieszczony, a brzmiący tak bardzo po polsku, zbijał to przypuszczenie. Ze Żmurskich Wielogrońska! Ani cienia cudzoziemszczyzny w obu tych nazwiskach. Poprzedzało je wprawdzie imię Luiza, więc z francuzka brzmiące...

Nagle przypomniałem sobie, tak, jak to często przypomina się o rzeczach tu i owdzie zasłyszanych, lecz zupełnie obojętnych, więc do pamięci z trudnością wracających, iż w blizkości miasta naszego znajdowały się

dobra obszerne do jakiéjś pani Wielogrońskiéj należące, i że w samém mieście naszém przebywała od pewnego czasu osoba, nazwisko to nosząca. Nazwisko to obijało się nawet nieraz o uszy moje, ale komentarzy towarzyszących mu, wcale a wcale, już nie pamiętałem. Zdawało mi się tylko, jako-bym nieraz spotkał się z niém w domu xięcia X, którego interesami prawnemi często zajmowałem się, i u którego bywałem nietylko już jako prawnik i pełnomocnik, ale jako dawny i dobry znajomy, a także, iż znajdując się raz na mieście, widziałem damę jakąś, jadącą zgrabnym, leciuchnym koczykiem, w aksamit i sobole otuloną, i że ktoś, co mi w chwili owéj na ulicy towarzyszył, nazwał damę tę panią Wielogrońską.

Wspomnieniami temi upewniony, iż osoba, która chciała interesy swe powierzyć *światłym widokom* moim, nie była mytem, ani wymyśloną dla zażartowania ze mnie mistyfikacyą; postarałem się o adres jéj, którego mi nie przysłała w przekonaniu zapewne, iż nikt z żyjących o miejscu pobytu jéj nie wiedzieć nie mógł, i około 4-éj z południa udałem się do jéj mieszkania.

Mieszkanie to zajmowało całe piérwsze piętro jednéj z najobszerniejszych i najozdobniejszych kamienic naszego miasta. Po wschodach wszedłem do przedpokoju, gdzie spotkał mię bardzo poważnéj powierzchowności lokaj, czy kamerdyner i, dowiedziawszy się o mojém nazwisku, uprzedzony już snadź przez swoję panią, roztworzył z ukłonem przede mną drzwi salonów. Kiedym zdejmował paltot mój, uderzony zostałem znajdującym się w przedpokoju przedmiotem bardzo cennym i niepospolicie

pięknym. Były nim wielkie wieszadła ułożone z rogów łosich i jelenich, powikłanych ze sobą w sposób niezmiernie kunsztowny, a przytwierdzonych do postumentu artystycznie z dębowego drzewa wyrzeźbionego. Sprzęt ten, tak pospolity zwyczajnie, mógł tu śmiało nosić nazwę dzieła sztuki. Dwa duże salony, przez które przechodziłem, a które wiodły do mniejszego saloniku i ukazującego się za nim gabinetu czy budoaru, nosiły na sobie charakterystykę szczególną i mogącą zwrócić uwagę każdego, byle choć trochę myślącego, przybysza. Były one nietylko napełnione, lecz przepełnione sprzętami najrozmaitszego rodzaju i użytku, które zdawały się tam tłoczyć i mieszać ze sobą w nagromadzeniu, na piérwszy rzut oka, zbytecznem wielce i niemal chaotycznem. Kanapy, kanapki, kozetki, szezlągi, maluchne foteliki, taburety, stoliki, etażerki, lampy i kandelabry stały tam w ugrupowaniach najrozmaitszych, niby różnorodne wojsko, w popłochu rozrzucone na zbyt ciasnéj dla niego przestrzeni. A jednak dosyć było jednego dłuższego rzutu oka, aby w chaosie tym spostrzedz przewodniczący mu miękki, rozpieszczony smak. Były to nie salony, lecz raczéj obrazy, ze wszystkich powyżéj wymienionych sprzętów i sprzęcików ułożone, a wśród których wyobraźnia marząca i rozpieszczona z lubością zatrzymywać-by się mogła na różnych ciepłych, potulnych kącikach, gdzie słyszałeś, zda się, przytłumione gwary leciuchnych światowych rozmów, lub szepty poufnych gawędek. W trzecim dopiéro saloniku, znacznie mniejszym niż dwa poprzednie, a zatopionym w delikatnéj jakiéjś, blado-błękitnéj barwie, oko przybysza

spocząć mogło na przedmiotach, już poważniejszego znaczenia. Były to, wiszące na ścianach obrazy wielkiéj ceny i mistrzowskiego pęzla, a także spoczywające na stołach, kosztowne bardzo albumy włoskich, flamandzkich i francuzkich malarzy. Pod jedną ze ścian stał pyszny fortepian paryzki, z pulpitem, napełnionym nutami do grania i śpiewu, a u okna, obok stalugi z rozpoczętym krajobrazem jakimś, leżały w nieładzie rozrzucone wszelkie przybory do pastelowych robót malarskich.

Znajdowałem się tedy w przybytku Muz, i wątpić nie mogłem, że *dystyngowane uczucia* właścicielki przybytku tego zwracały się przeważnie, jeśli nie wyłącznie, w kierunku artystycznym. Po kilku minutach oczekiwania, uchyliła się przede mną blado-błękitna draperya przysłaniająca całkowicie drzwi przyległego pokoju, a z za niéj wpłynęła raczéj, niż weszła do małego saloniku postać kobieca, wcale na piérwszy rzut oka niepiękna.

Kibić pani Luizy, ze wzrostem swym mniéj niż średnim i z nazbyt nieco podniesionemi ramionami, nie wydawała się ani okazałą, ani kształtną. Twarz jéj, o zmęczonéj nieco, acz bardzo białéj i przezroczystéj cerze, zarysowaną była nieprawidłowie i z niedyskretną wielce szczerością wydawała cyfrę trzydziestu kilku przeżytych już wiosen. A przecież, gdy pani Luiza postąpiła ku mnie kilka kroków, gdy z uśmiechem i lekkiém skłonieniem głowy podała mi rękę, a potém tąż ręką ukazując mi fotel, usiadła sama na kanapie; gotów byłbym powiedzieć, że kobieta, która na piérwszy rzut oka wydała mi się zupełnie prawie brzydką, była przeciwnie, jeżeli już nie doskonale, to bardzo

pociągająco piękną. Ależ téż suknia, która spływając z niezbyt wysokich i szerokich jéj ramion, opływała ją całą miękkiemi, a jak świat długiemi fałdami, dodawała nizkiéj i krępéj nieco jéj kibici wiele powagi i wysmukłości. Nie umiem doprawdy, w przybliżeniu choćby określić kroju i rodzaju téj sukni. Wiem tylko, że był to axamit, mieniący się, jak skrzydła niektórych gatunków gołębi, zielonemi i szafirowemi barwami. Zresztą ręka pani Luizy, wychylająca się z prawdziwego puchu muślinów i koronek, była jak śnieg prawie białą, uśmiech ust jéj, bladawych i trochę za szerokich, posiadał w sobie nieujęty wyraz dobroci i rzewności, a powłóczyste i łagodne spojrzenie jéj szafirowych, wilgotnych oczu, przypominało wzrok potulnego, lękliwego nieco dziecięcia, lub dziewicy, z rozmarzoném sercem patrzącéj w gwiazdy.

Rozmowa pomiędzy nami zawiązywała się z razu z trudnością, jak zresztą bywa najczęściéj, gdy dwie osoby nieznające się dotąd wcale, i nieposiadające ze sobą nic wspólnego, spotykają się nie dla towarzyskiéj tylko rozrywki, lecz w ważniejszych nieco celach. Ważniejsze te zresztą cele, dla których właśnie tu przybyłem, wydawać się musiały pani Luizie przedmiotami rozmowy wielce suchemi i do podjęcia trudnemi, bo, o ile tylko mogła, zwlekała chwilę mówienia o nich. Przez kwadrans dobry obracała ona rozmowę około przedmiotów nic wcale nieznaczących, zachwycała się pięknością dni wiosennych, ubolewała nad brzydką i ubogą powierzchownością miasta naszego, które nie posiada ani malowniczych widoków, mogących sprawić przyjemność oku, ani artystycznych

zbiorów i zasobów, które-by chwilowo przynajmniéj mogły urozmaicić czas i zabawić umysł.

— Nie pojmuję prawdziwie, — rzekła, — jak ludzie mogą spędzać tu całe swe exystencye. Co do mnie bowiem, mieszkam tu od roku niespełna, a doświadczam takiego uczucia, jakbym całkiem już wyłączoną została z pośród świata ucywilizowanego.

— Przebacz pani, — odparłem żartobliwie, — że, w imieniu stałych mieszkańców miasta naszego, do których sam należę, zaprotestuję przeciw jéj wyrokowi i upewnię, że nie wszyscy przynajmniéj należymy do europejskich Eskimosów albo Niam-Niamów.

Zrozumiała prędko niewłaściwość odezwania się swego, i wpół zmieszana, wpół rozweselona żartem moim, zaśmiała się cichutko.

— O! nie wątpię, — zawołała, — że ztąd do kraju Kongo jest bardzo daleko! Chciéj pan jednak przyznać nawzajem, że równa pewno odległość dzieli ludność tutejszą, (o wyjątkach nie mówię) z krajami najwyżéj posuniętemi w cywilizacyi.

— Nie będę o to sprzeczał się z panią... pozwolę tylko sobie uczynić uwagę, że, ze względu na pewne szczególne okoliczności, i to jeszcze za zasługę poczytać nam należy, iż z plemienia białego nie przemieniliśmy się jeszcze dotąd w czarno lub czerwonoskóre...

Marzące, wilgotne jéj oczy patrzały na mnie z wyrazem naiwnego zdziwienia.

— Doprawdy? — rzekła. — Tak, w istocie słyszałam wiele o tém wszystkiém... szczegółów jednak smutnych

tych historyi nie znam dobrze. Ostatnie lat dziesięć przepędziłam całkiem prawie za granicą, a tu nikt mię dostatecznie poinformować nie mógł. Jedynymi blizkimi znajomymi moimi są tu książę Andrzéj X., mój chrzestny ojciec, i syn jego...

Tu, niewiadomo dla czego, źrenice pani Luizy zmąciły się nagle, a powieki jéj na chwilę w dół opadły.

— Książęta X., — mówiła daléj, — przebywali także za granicą, i niewiele mi o tém powiedzieć mogli. Jestem bardzo osamotnioną...

— Pani nie masz tu krewnych, ani dawnych przyjaciół, znajomych?...

— Żadnych, żadnych przyjaciół ani znajomych! Wszystkie stosunki moje są tam, gdzie przepędziłam całe prawie życie... tu zaś jestem w położeniu cudzoziemki, którą-by burza wyrzuciła na nieznane jéj lądy!

Mówiła to ze smętnym uśmiechem, a słowa jéj, jakkolwiek dość dziwne dla mnie, miały wszelki pozór prawdy. Ustnie wyrażała się wprawdzie po polsku daleko lepiéj niż piśmiennie, widocznie przecież przychodziło jéj to z niejaką trudnością. Zatrzymywała się często w mowie szukając słów i wyrażeń, których jéj niedostawało, a wymowa, pełna wdzięku, posiadała w sobie pewien odcień cudzoziemszczyzny. W uchu mojém przecież brzmiały wciąż dwa nazwiska: ze Żmurskich, Wielogrońska!

— Matka pani musiała być zapewne cudzoziemką? — zapytałem.

— O nie! — odparła, — matka moja była z domu M-lle Wronicz. Straciłam ją bardzo wcześnie. Ojciec mój zaś,

który po śmierci mojéj matki został młodym wdowcem, wysłał mię na wychowanie do klasztoru Świętéj Klary w Paryżu, w którym jedna z zakonnic była blizką krewną mojéj matki, *une M-lle Wronicz aussi*. Wzrosłam pod okiem téj świętéj kobiety, a po wyjściu z pensyi wydano mię bardzo prędko za pana Wielogrońskiego, który w dwa lata późniéj umarł. Jako wdowa miałam zupełną możność urządzania sobie życia według upodobań własnych, to téż zamieszkałam tam, gdzie mi było lepiéj, w miejscu, z którém wiążą mię najgorętsze sympatye i najlepsze wspomnienia, to jest w Paryżu.

Zdaje mi się, że gdybym był ciekawym, mógł-bym był, w téj zaraz piérwszéj chwili poznania, dowiedzieć się mnóztwa szczegółów z życia i przeszłości pani Luizy. Jak wszystkie dusze miękkie i wiecznie smętne, była ona widocznie niezmiernie skłonną do zwierzeń, w których użalanie się nad tém, co jest, i wspominanie tego, co było, odegrywa ogromną rolę. Nie byłem przecież jeszcze dość zaciekawiony, aby na podobnych rozmowach tracić czas, którego nie miałem zanadto. Postarałem się więc zwrócić uwagę pani Luizy na jedyny powód, który mię do jéj domu sprowadził.

— Interesom to więc majątkowym zapewne przypisać należy teraźniejszy pobyt pani w kraju?

Trudno mi było wtedy odgadnąć, dlaczego na tak proste to moje zapytanie zmieszała się nieco i spuściła oczy.

— Tak, — odparła po chwili wahania, — jakkolwiek interesa te wzbudzają we mnie wstręt, ale to wstręt śmiertelny, muszę przecież je raz uregulować, dlatego

przynajmniéj, aby módz potém nie myśléć już o nich. Przybywszy tu przed rokiem blizko prosiłam pana L., aby zajął się uregulowaniem moich interesów, i dałam mu stosowną plenipotencyą. Ale jestem prawdziwie zdesperowaną, że powiedzieć muszę, iż pan L. wcale, wcale nie usprawiedliwił zaufania, jakie w nim pokładałam.

Powiedziała to z żalem, a nawet z bardzo widocznym, lubo powściąganym gniewem. Zdziwiło mię trochę oskarżenie to dotykające, jak się zdawało, honoru i uczciwości kolegi mego, którego znałem z najlepszéj strony.

— Nie zdaje mi się, — rzekłem, — aby pan L. zdolnym był zdradzić czyjekolwiek, położone w nim, zaufanie. Jest to człowiek, który z pewnością nie dopuścił się nigdy żadnego nieuczciwego postępku.

— Ja go téż o żadną nieuczciwość nie obwiniam wcale! — zawołała pani Luiza żywo i z widoczném zdziwieniem. — Pan L. okazał się tylko względem mnie niedelikatnym, do najwyższego stopnia niedelikatnym...

— Czy podobna? jest to jednak człowiek dobrze wychowany i należący do dobrego towarzystwa!

— *C'est possible!* a jednak był on bardzo niewzględnym dla mnie. Głównem poleceniem, o którego spełnienie prosiłam pana L., było ułożenie pewnego bilansu, z którego dowiedzieć-bym się mogła, ile téż naprawdę mogę miéć z majątków moich pewnego rocznego dochodu. Otóż pan L. pojechał do Żmurowszczyzny, objeżdżał podobno wszystkie folwarki, składał jakieś sesye z dzierżawcami i komisarzami, a wróciwszy, oświadczył mi, *il a eu la*

hardiesse de me dire, że nie mogę spodziewać się więcéj, jak ośmiu, najwyżéj dziesięciu tysięcy rubli! Upewniam pana, *que c'était de la dérnière absurdité et Vous comprendrez*, że, po podobném oświadczeniu, nie mogłam już dłużéj korzystać z rad i pomocy pana L.

— Jak wnoszę z tego, co usłyszałem, pani posiadać musi pewne dane, dla których cyfra przez pana L. wystawiona, wydaje się jéj tak zupełnie nieprawdopodobną.

— *Mais comment donc!* — odparła, — posiadam na to najpewniejsze dane! Otrzymywałam zawsze z majątków moich około dwudziestu tysięcy. Od kilku lat dopiéro cyfra ta zmniejszać się zaczęła, a będąc pewną naturalnie, iż staje się to, dzięki nierzetelności i chciwości dzierżawców i rządców, przyjechałam tu sama głównie dlatego, aby nadużyciom tym koniec położyć. *Ces gens la sont tellement imbéciles et tellement rapaces! n'est ce pas?*

— Być może; jednak to prawda, że w ostatnich właśnie kilku latach dochody wszystkich w ogóle posiadłości wiejskich w kraju naszym zmniejszyły się ogromnie.

— Doprawdy? — zapytała z nowém zdziwieniem — *et pourquoi?*

— Reforma stosunków włościańskich, zwiększone podatki, stagnacya w handlu i w kredycie... — zacząłem, ale przerwała mi pani Luiza.

— *Au nom du ciel!* — zawołała, uśmiechając się i z giestem prośby składając białe swe rączki. — *Au nom du ciel! ne m'en parlez plus, Monsieur*. Słyszałam już nieraz i od pana L., i od innych osób całą tę nieszczęśliwą nomenklaturę, któréj znaczenia w żaden sposób objąć nie

może moja biedna kobieca głowa. *Que voulez-vous?* Wszystkie te reformy, stagnacye, handle i kredyta, są dla nas kobiet zupełnie niepojętemi. *C'est le royaume des élus:* urzędników i kupców! Co do mnie, wiem to tylko, że jest zupełném, ale zupełném niepodobieństwem, abym utrzymać się mogła z tych ośmiu czy dziesięciu tysięcy, które mi pan L. łaskawie przyobiecać raczył...

— Jestem zupełnie pewną, — dodała z uśmiechem tak uprzejmym i słodkim, iż nieledwie za serce chwytającym, — że pan lepszych, a raczéj... prawdziwszych dostarczysz mi wiadomości.

— Czy będą pomyślniejsze, nie wiem, ale że będą prawdziwe, o tém upewniać pani nie potrzebuję, — odparłem. — Ponieważ jednak wkładać pani raczy na mnie obowiązek, który ja znowu z przyjemnością przyjmuję, prosił-bym o plany i inwentarz dóbr, wedle których mógł-bym oryentować się, gdy będę już na miejscu.

— Plany... inwentarze... — powtórzyła z razu jak przez sen, wlepiając w twarz moję szafirowe źrenice swe, które przybrały wyraz dziecięcéj niemal naiwności. Po krótkiéj jednak chwili, śmiejąc się ze swobodą także dziecięcą, zawołała:

— *Mais Vous me parlez de nouveau en grec, Monsieur!* zkądże mogła-bym miéć te plany i te in... inwen... *comment l'avez-vous dit?* in... inwentarze? Co to właściwie znaczy? Może to tam gdzieś w Żmurowszczyźnie się znajdzie!

— W braku planów i inwentarzy, — rzekłem, — racz mię pani objaśnić w przybliżeniu przynajmniéj, jaką jest rozległość dóbr jéj, na ile folwarków są one podzielone i

jakie obarczają je rządowe lub prywatne ciężary?

Patrzała na mnie długo, a w oczach jéj przebiegały i na rozwartych nieco ustach drgały powstrzymywane uśmieszki.

— Jak widzę, — rzekła, — panowie wszyscy jednostajnym przemawiacie językiem. Sam nawet książę Andrzej łaje mię nieraz, że nie wiem sama, co mam, i nazywa mnie z tego powodu małą filozofką. W istocie nigdy pojąć nie byłam zdolną, jak można zajmować się podobnemi rzeczami, troszczyć się o te wszystkie majątkowe sprawy i na tych materyalnych dobrach szczęście swoje zakładać. Co do mnie, chciej mi pan wierzyć, iż wszystko to nuży i nęka mię niewypowiedzianie, i że czuła-bym się prawdziwie poniżoną we własnych oczach, gdybym choć jeden dzień cały poświęciła tym powszednim, poziomym zachodom i rachubom...

Mówiła to z widoczną nieudaną szczerością. Słuchałem ją zdumiony.

— Łaskawa pani! — rzekłem, — jakże więc pojmować mam gniew jéj, który kolega mój miał nieszczęście ściągnąć na siebie, oświadczając, iż cyfra dochodów jéj dosięgnąć nie może owym dwudziestu tysięcy...

— O! — przerwała, — to wcale co innego! Ja tyle miéć muszę, aby módz się utrzymać!

Szczególna to była logika! Późniéj dopiéro przekonałem się o tém z wielokrotnego doświadczenia, że prawne zawikłania z kobietami bywają najczęściéj mniejszém lub większém morzem, do wypicia mężom prawa dawaném.

Podówczas jednak nie posiadałem jeszcze doświadczenia tego i uczułem się zdziwionym, a bardziéj jeszcze zakłopotanym.

— Cóż tedy rozkażesz mi pani uczynić? — zapytałem. — Do kogo lub gdzie udać się mam po nieodzownie mi potrzebne papiery, regestra, dokumenta?

W chwili, gdy czyniłem to zapytanie, wzrok pani Luizy pobiegł ku stojącemu w rogu salonu bardzo ozdobnemu zegarowi. Od kilku minut już rzucała ona na zegar ten przelotne i zaniepokojone nieco spojrzenia.

— *Pardonnez moi de grâçe, Monsieur!* — odrzekła z roztargnionym uśmiechem, — nic o tém wszystkiém nie wiem! Nic a nic! Może zechcesz pan zapytać pana L., w jaki sposób radził sobie, albo zgłosisz się do dzierżawcy Żmurowszczyzny, pana Łudzińskiego...

Uśmiech jéj i mowa były pełne roztargnienia. Widoczném było, że zaledwie dosłyszała pytanie moje i, że odpowiadając na nie, myślała zupełnie o czém inném. Ale wymówione przez panią Luizę nazwisko dzierżawcy uderzyło mię. Było mi ono dobrze znaném.

— Więc to pan Łudziński jest dzierżawcą głównego majątku pani? czy nie pan Władysław Łudziński? — zapytałem.

— *Oui...* zdaje mi się, że mu na imię Władysław.

Władysław Łudziński był szkolnym kolegą moim. Z przyjemnością pomyślałem, że spotkam się znowu z przyjacielem pierwszéj młodości mojéj, dla którego zachowałem na zawsze przyjazne wspomnienie, i chciałem właśnie zapytać panią Luizę, na jakich warunkach

dzierżawi on jéj dobra, gdy rozmowa nasza przerwaną została odzywającym się za plecami mymi stłumionym i niezmiernie uniżonym głosikiem kobiecym.

— Upadam do nóżek pani hrabiny!

Obejrzałem się i zobaczyłem wchodzącą do saloniku pannę Zuzannę Krzaczkowską, którą znało dobrze całe miasto, któréj zatém i ja nie znać nie mogłem. Była to kobiecina malutka i szczuplutka, z wiecznie, jak do pacierza, poniżéj piersi splecionemi rękoma i z nieznikającym ani na chwilę uniżonym uśmieszkiem na żółtych wargach, otoczonych rojami dziwnie przykro wyglądających zmarszczek. Słodziutka i pokorniutka osóbka ta miała jednak nadzwyczaj bystre, przenikliwe i błyszczące małe oczki czarne, któremi strzelała na prawo i lewo z niezmierną wprawą i niezmiernem zamiłowaniem w rzemiośle podpatrywania spraw i grzechów cudzych. Z czego panna Zuzanna żyła i za co kupowała sobie bardzo czyste zwykle i wązkie czarne sukienki, płaszczyki z dziwacznemi pelerynkami i kapturki atłasowe, które zwyczajny i całemu miastu znany strój jéj stanowiły — nie umiem doprawdy powiedzieć. Podobno zajmowała się wyrabianiem siatek jakichś i haftów, które roznosiła po domach, otrzymując w zamian tu trochę pieniędzy, ówdzie obiad, gdzieindziéj wieczerzę i t. d. W ogóle była to jedna z tych ptaszyn, które, nic wcale albo bardzo niewiele orząc i siejąc, jadają przecież i piją do syta. Ptaszyn podobnych zresztą pełno jest w społeczeństwie naszém, a im która żwawiéj i ostrzéj szczebiocze, tém hojniejsze dary sypią się w dość żarłoczny zwyczajnie jéj gardziołek.

Cokolwiek bądź, obecność ubogiéj kobieciny téj, znanéj ze złośliwego plotkarstwa i uniżonego pochlebstwa, w domu tak wytwornym i wysoko w hierarchii społecznéj postawionym, jakim był dom pani Luizy, zdziwiła mię trochę. Zdziwienie to moje témbardziéj było usprawiedliwioném, że panna Zuzanna weszła do saloniku w sposób nadzwyczaj poufały, przez drzwi z wnętrza domu, więc zapewne przez garderobę i sypialnią wiodące, a pani Luiza poufałość tę przyjęła, jako rzecz bardzo zwyczajną i, z wdzięcznym uśmiechem skłaniając głowę ku przybyłéj wskazała jéj ręką krzesło, stojące nieco opodal od kanapy, na któréj siedziała sama.

— Proszę siadać, kochana panno Zuzanno, — rzekła, — proszę siadać, musisz być pani bardzo zmęczona... pogoda tak jest brzydka.

— Pokornie dziękuję pani hrabinie dobrodziejce, pokornie dziękuję! — kłaniała się i uśmiechała pokorna kobiecina. — Już to prawda, że dzisiejszy dzioneczek nam nie dopisał, a ja nawet wczoraj w wieczór modliłam się na tę intencyą, aby Pan Bóg obdarzył nas dziś słoneczkiem, bo wiem, że pani hrabina tęskni zawsze za słoneczkiem, i że zdrowieczko pani hrabiny cierpi bardzo na tém, kiedy chmurki niebo pokryją i światek zrobi się taki ciemny, że choć płakać ze smutku!

— W istocie, — zwróciła się do mnie pani Luiza, — dziwnie drażliwą jestem na wszelkie zmiany pogody. Widok słońca i pogodnego nieba rozwesela mię, dni zaś chmurne i dżdżyste wprawiają w smutek lub w stan nieprzezwyciężonéj apatyi. Zdaje mi się, że jestem arfą, na

któréj strunach brzmią z kolei wszystkie tony zewnętrznéj natury. Dlatego téż klimat tutejszy, tak ostry i zmienny, blade lub chmurne niebo tutejsze działają na mnie dziwnie boleśnie i rozstrajająco...

— Pan Bóg łaskawy pozwoli pewno, że dla pani hrabiny wkrótce zaświeci znowu ciepłe słoneczko francuzkie. Pani hrabina uleci od nas, uleci, jak ta ptaszyna złota, a my tylko już chyba oczy sobie wypłaczemy po naszéj opiekunce i dobrodziejce!

— Kochana panno Zuzanno! — mówiła pani Luiza, spojrzeniem i uśmiechem, pełnym serdecznego uczucia, dziękując pokornéj babinie, która, jękliwym tonem słowa swe wymówiwszy, przesunęła prędko chustkę po oczach, niby dla szybkiego i niewidzialnego otarcia łez, roszących jéj oczy.

— Tak, — zwracając się do mnie, rzekła gospodyni domu, — kiedy mówiłam panu przed chwilą, że nie mam tu nikogo, ktoby mi był przyjaznym i szczerze oddanym, myliłam się. Zapomniałam o kilku duszach, które przywiązały się do mnie prawdziwie i gorąco, które są mi wdzięczne bez granic za jakąś odrobinę dobrego, ode mnie otrzymaną. Ale, — dodała po francuzku, — są to dusze takie oto, jak téj kobiety, którą pan widzisz... dusze proste i skołatane niedolą...

Mówiąc to, czuła się widocznie rozrzewnioną. Nie mogłem mylić się. Była dość naiwną, aby pokorne ukłony, słodkawe uśmieszki i jękliwym tonem wypowiadane pochlebstwa panny Zuzanny, przyjmować za czyste złoto gorących uczuć przywiązania i wdzięczności.

Przerwa zresztą, którą w rozmowie naszéj sprawiło wejście pokornéj a gadatliwéj kobieciny, zdawała się przybywać dla pani Luizy nadzwyczaj w porę. Kilkadziesiąt wyrazów, któreśmy zamienili między sobą o interesach majątkowych i pieniężnych, zmęczyły ją, znękały nieledwie. Pod wpływem znękania tego, rysy jéj sztywnieć już zaczynały, a na czole i wkoło oczów gromadziły się zmarszczki, których wprzódy nie spostrzegłem. Zniknęły téż one, jakby za dotknięciem czarnoksięskiéj różdżki, pod różową falą rumieńca, który nagle opłynął twarz i szyję pani Luizy, od grubych splotów pięknych, ciemnych włosów aż po puszyste zwoje białych koronek, okalających u góry aksamitną jéj suknią. Domyśliłem się od razu, dlaczego wprzódy spoglądała tak często na zegar. Oczekiwała gościa, którym był wchodzący w téj chwili do saloniku syn księcia Andrzeja, młodziutki książę Jan X.

Książę Jan był tak młodziutkim, że wśród domowych i przyjaciół, a nawet wśród szerszéj nieco publiczności nie nazywano go inaczéj, jak księciem Jasiem. Miał rok 21, wysmukłe i doskonale harmonijne kształty Antinousa, twarz o rysach prześlicznych i ciemnéj południowéj cerze, śród któréj łagodnym ogniem paliły się duże czarne oczy i purpurą korali rozkwitały pełne, drobniuchnym zaledwie czarnym wąsikiem ocienione, młodzieńczo świeże usta. Oprócz téj niepospolicie pięknéj powierzchowności, książę Jaś miał bardzo dobre serce, niezmiernie łagodny, potulny charakter i temperament, wbrew południowéj cerze twarzy, więcéj flegmatyczny, niż żywy. Była to zresztą

indywidualność bardzo mało wybitna, nie w pełni jeszcze rozwinięta, z wolą osłabioną nieco despotyzmem ojcowskim starego księcia, z umysłem z natury już dość słabym, ku poezyi i miękkim, melancholijnym marzeniom zwracającym się przeważnie.

Pani Luiza powstała z kanapy z żywością poruszeń niemal dziewczęcą i wyciągnęła rękę ku młodziutkiemu książątku, które złożyło na niéj pocałunek pełen, jak mi się zdawało, synowskiego uszanowania. Najpiękniejszy uśmiech rozkwitał na bladawych jéj wargach, oczy błyszczały żywo i rzewnie zarazem, twarz jéj cała, z któréj nie zniknął całkiem płomienny przedtém, a teraz blado różowy już tylko rumieniec, przybrała przez te kilka sekund pozór o lat dziesięć przynajmniéj młodszy. Książę Jaś, w kilku z cicha wyrzeczonych słowach, oświadczył pani Luizie uprzejme pozdrowienie od księcia ojca swego, poczém przywitał się ze mną w zwykły sobie bardzo serdeczny sposób.

Od wejścia księcia Jasia rozmowa toczyć się zaczęła po francuzku. Jakkolwiek uważałem zawsze zwyczaj używania obcego języka w codziennych stosunkach i rozmowach za bardziéj jeszcze śmieszny, niż grzeczny, nie miałem tym razem nic innego do wyboru, jak popełniać śmieszność tę wraz z gospodynią domu, w którym gościłem, lub dopuścić się względem niéj niegrzeczności. Wybrałem naturalnie piérwsze. Mówić zacząłem po francuzku. Pani Luiza z zachwyceniem widoczném słuchała żartobliwego opowiadania mego o dzieciństwie księcia Jasia, które pamiętam z dawnych jeszcze czasów, gdy rodzice moi

sąsiadowali na wsi z księztwem X. Powstała potém i lekko, wdzięcznie przeszedłszy salon, przyniosła nam wielką, kosztownie oprawną księgę, którą, jak mówiła, dziś właśnie otrzymała z za granicy. Był to poemat jakiś, przez Dorégo illustrowany. Pani Luiza przerzucała karty księgi i ukazywała nam z kolei ilustracye, które wydawały się jéj najbardziéj godnemi oglądania. Dało jéj to sposobność do czynienia różnych uwag, tak o treści poematu, jak o szczególnych cechach odznaczających olbrzymi talent rysownika, który go illustrował. Mówiła o tém wszystkiém z wielką łatwością i nieporównanym wdziękiem słowa. Znać było, że posiadała wysokie bardzo ukształcenie w rzeczach artystycznych i niemniejsze w nich zamiłowanie. Książę Jaś, który także uwielbiał poezyą i w ogóle sztuki piękne, potwierdzał najczęściéj zdania pani Luizy, a ożywiając się stopniowo, z uniesieniem mówić począł o różnych arcy-mistrzach i arcydziełach pęzla i ołówka. Wspomniał o Gavarnim.

— Gavarni! — podchwyciła pani Luiza, — oceniam go wedle wartości, ale kochać i uwielbiać jak Dorego nie mogę. Gavarni jest realistą, brak mu wzniosłego poczucia ideału. Stare żebraczki jego zachwycają mię mistrzowstwem rysunku i charakterystyki, ale, gdy długo na nie patrzę, zdaje mi się, że czuję obok siebie nieprzyjemny zapach łachmanów.

— A jednak, — zarzucił nieśmiało książę Jaś, — w żebraczkach Gavarniego dopatrują niektórzy bardzo wiele głęboko pojętych dramatów.

— Przekładam idylle nad dramata, — odparła z lekkim

uśmiechem pani Luiza, — każdy z nas, żyjących na smutnym tym świecie, we własnéj piersi nosić musi mniéj lub więcéj głęboki dramat swego życia. Przyjemnie więc nam być musi, gdy pod przewodnictwem sztuki wznieść się możemy w idealne sfery kryształowo czystych uczuć i niezmąconego szczęścia. Dlatego téż, — dodała, — wolę o wiele niebo Danta nad jego piekło. Owe tłumy ciał nagich, wijących się w niewymownych męczarniach na dnie otchłani piekielnych, przejmują mię grozą i dziwnie bolesném politowaniem. Mogę nawet powiedzieć, że widok ich wiedzie mię nawet do grzechu zwątpienia. Mimowoli bowiem zapytuję siebie: czy podobna, aby Bóg nieskończonego miłosierdzia rzucał miliardy stworzeń swych w te miejsca cierpień bez miary ni końca. Ale gdy, idąc za myślą poety, tak mistrzowsko uwyraźnioną ołówkiem rysownika, patrzę na Beatryczę, spotykającą Danta u wrót niebieskich, lub wyobraźnią stąpam po śladach św. Matyldy, wiodącéj za rękę wieszcza ku najwyższemu Empireum, wtedy z pamięci i oczu moich znikają wszelkie nędze i szpetoty świata tego, wtedy czuję, jak dziwna pociecha jakaś wstępuje w me serce, wtedy najmocniéj i wszystkiemi siłami istoty méj wierzę i ufam...

Mówiła to z głębokiém przejęciem się, z zapałem naprzód, potém z niewymowną rzewnością, która wilgotném wzruszeniem oszkliła błyszczące, prześliczne w téj chwili jéj oczy. Mówiąc, patrzała na księcia Jasia, a gdy wspominała o Beatryczy, spotykającéj u wrót nieba włoskiego wieszcza, i o téj niewymownie błogiéj ufności, którą obraz ten przepełniał jéj serce, nie wiem, dlaczego

wydało mi się, iż ufność ta nie ściągała się ku czemu innemu, jak tylko ku dalekiéj jakiéjś, nieznanéj, zaziemskiéj przyszłości, śród któréj daném będzie jéj saméj odegrać rolę Beatryczy, otwierającéj niebo przed — księciem Jasiem.

Rozmowa, w podobnym tonie prowadzona, trwała więcéj niż kwadrans, a ja ani spostrzegłem, iż bytność moja u pani Luizy przeciąga się dłużéj, niż mi na to czas, a może i względy etykiety światowéj, pozwalały. Wśród pełnych treści, lecz suchych, zajęć mojego zawodu, rzadko bardzo miałem sposobność spotykać się z tak pięknemi przedmiotami sztuki, jak te, które ukazywała mi teraz pani Luiza, i przysłuchiwać się podobnym rozmowom, jak ta, którą prowadziła ona z młodym księciem. Ozwały się we mnie zgłuszone poniekąd zachodami powszedniego życia instynkta i gusta człowieka cywilizowanego. Przerzucane z kolei przez panią Luizę albumy i illustrowane stronice, a bardziéj może uwagi, które czyniła ona nad niemi, zajęły mię żywo. Przyznałem w myśli, iż nowa klientka moja, raz znalazłszy się we właściwéj sobie sferze, była niezmiernie przyjemną gospodynią domu, kobietą pełną ujmującego wdzięku i porywającéj żywości słowa i uczuć. W chwili właśnie, gdy ostatnia uwaga ta przesunęła mi się przez głowę, pani Luiza zamknęła księgę, któréj przepatrywanie wspólnie z nami skończyła, a ja podnosząc głowę, mimowolnie rzuciłem spojrzenie w przeciwną stronę saloniku. Mógłbym śmiało powiedziéć, że przy spojrzeniu tém wzrok mój spadł nagle z niebieskich wysokości pomiędzy najniższe sfery ziemskie. Przy jedném z krzeseł, pod ścianą umieszczonych, ujrzałem stojącą pannę

Zuzannę. Niby w ciasny futerał opięta w wąską swą czarną sukienkę, pokorna kobiecina stała w postawie naprzód nieco pochylonéj, z małemi rączkami swemi splecionemi, jak zwykle, poniżéj piersi, ze zwykłym swym słodziutkim uśmiechem wśród małéj, pomarszczonéj twarzyczki. Mimowoli pomyślałem, że postać ta kobieca, którą wewnętrzne usposobienia i cały sposób życia przyoblekały piętnem najtrywialniejszych, najnikczemniejszych może cech, jakie odznaczać mogą poniżoną i poniżającą się istotę ludzką, szczególną bardzo stanowiła illustracyą tak wysoce artystycznego salonu pani Luizy. Jakież jednak było zdziwienie moje, gdy ujrzałem, iż panna Zuzanna, oczyma i całą nieledwie postacią swą, wykonała, ku mnie wyraźnie zwrócone a dziwne jakieś, znaki telegraficzne. Patrzała w twarz moję, jak w tęczę, przyczém podnosiła rudawe brwi swe, mrugała żółtemi powiekami i, nie rozplatając dłoni, jak do pacierza złożonych, wskazującym przecież palcem, z czarnéj dziurawéj rękawiczki wyglądającym, wyraźnie mi drzwi ukazywała. Pojąć nie mogłem, czego mianowicie żądała ode mnie ta kumoszka. Gdy jednak znaki telegraficzne, które mi przesyłała, nietylko nie ustawały, ale wzmagały się z każdą chwilą w sposób coraz natarczywszy i nieznośniejszy, zacząłem przypuszczać, że uboga kobiecina ma może do mnie osobisty jakiś a ważny dla niej interes, a znakami temi prosi mię, abym wyszedł co prędzéj i jéj wysłuchał. Ponieważ zresztą i tak już bawiłem u pani Luizy może dłużéj, niż wypadało, powstałem i wziąwszy kapelusz, chciałem jeszcze przed odejściem powiedzieć słów kilka względem powierzonych mi spraw

majątkowych.

Zaledwie jednak wymówiłem parę wyrazów, pani Luiza przerwała mi błagalnym niemal giestem ślicznéj swéj ręki. Przytém spojrzenie jéj, zmieszane, niespokojne, pobiegło po twarzy księcia Jasia. Zrozumiałem, że mówienie w téj chwili o interesach i pieniądzach sprawiło-by jéj przykrość niewymowną. Rozmowy podobne nękały i mieszały ją zawsze, ale, gdy cichy i marzący Antinous ten obok niéj się znajdował, atmosfera, którą oddychali oboje, pozostać musiała nieskazitelnie idealną; inaczéj pani Luiza spłonęła-by chyba od wstydu albo, zalała-by się łzami nieprzezwyciężonéj żałości. Poprosiłem więc tylko, aby mi nazajutrz udzieliła swéj audyencyi, gdyż z tém, co wiedziałem dotąd, ani domyślić się nie mogłem, czego mianowicie żądała ode mnie i od czego zaczynać miałem powierzane mi dzieło regulowania jéj interesów.

— O! — zawołała, podając mi obie ręce, — chciéj pan przychodzić do mnie jak najczęściéj, nietylko jako prawnik, ale jako gość i dobry znajomy. Tu, na okropnéj pustyni téj, spotkanie kogoś, z kim rozmawiać można, jest prawdziwie dobrą szansą, któréj, wierzaj mi pan, nie wyrzekła-bym się z łatwością!

Jeżeli powitanie pani Luizy było grzeczném i pełném uprzejmego wdzięku, sposób, w jaki mię pożegnała, nazwać się już mógł śmiało serdecznym i przyjacielskim. Czułem, że blizka znajomość moja z książętami X., zbliżyła mię téż znakomicie do méj nowéj klientki, a wprawa, jaką posiadałem w mówieniu po francuzku, utworzyła pomiędzy nią a mną rodzaj moralnego braterstwa. Tak dalece prawdą

jest to, w co zawsze wierzyłem, że najbliższemi ze sobą powinowatymi są ci, dla których najdroższe duchowi ludzkiemu pojęcia: prawdy, cnoty, miłości, wolności, nauki, w jednostajne przyoblekają się brzmienia.

Opuszczałem mieszkanie pani Luizy ze szczególném jakiémś zmieszaniem ciekawości i sympatycznego politowania, które-to uczucia, sam jeszcze nie zdawałem sobie sprawy, dlaczego obudziła we mnie nowa klientka moja, gdy tuż przed wschodami spotkałem się oko w oko z panną Zuzanną. Mała kobiecina opuszczała jednocześnie ze mną mieszkanie swéj dobrodziejki i tylko wychodziła z niego drzwiami innemi, przez ukryte dla innych gości pokoje i kuchnią prowadzącemi. Ujrzawszy ją, zatrzymałem się, acz z lekką niechęcią.

— Zdaje mi się, — rzekłem, — że pani życzyłaś sobie mówić ze mną. Czy masz pani do mnie jaki interes?

— Uchowaj Boże, — dygając i uśmiechając się, odrzekła kobiecina, — żadnego interesiku nie mam, chwała Bogu Najwyższemu! żadnego interesiku! Zkądże-bym znowu ja biedna kobieta interesa jakie do pana adwokata miéć mogła? Niech pan adwokat będzie łaskaw nie zatrzymywać się dla mnie, ja z panem adwokatem podejść mogę kawałeczek dróżki!

Zapowiedziane mi towarzystwo to niezbyt mię ucieszyło. Chciałem jednak dowiedzieć się znaczenia owych dawanych mi w salonie, telegraficznych znaków.

— Dlaczegóż więc pani mrugałaś na mnie i drzwi mi wskazywałaś? — zapytałem, wpół śmiejąc się, wpół z niecierpliwością, którą wzbudzały we mnie drepcące tuż

obok mnie drobne kroczki kumoszki.

— Ja to zaraz panu adwokatowi dobrodziejowi wytłómaczę, — zniżając głos i przybierając tajemniczą minę, szeptała panna Zuzanna. — Niech pan adwokat nie gniewa się na mnie za to, że ja, niemądra kobiecina, ośmielę się panu dać radę. Ale pan nie zna jeszcze naszéj kochanéj pani hrabiny...

— Powiédz mi pani naprzód, — przerwałem, — dlaczego panią Wielogrońską tytułujesz hrabiną? O ile wiem, ani Żmurscy, ani Wielogrońscy, nigdy hrabiami nie byli.

Pomimo, że nie patrzałem na nią, widziałem jak małe oczki panny Zuzanny przemknęły po mojéj twarzy i złośliwie błysnęły. W mgnieniu oka jednak wzniosła je ona w górę, a splecione rączki swe także do wysokości twarzy swéj podnosząc, zawołała:

— O, panie mój! ja-bym anioła tego nietylko hrabiną, ale królową i cesarzową nazywała! Święta to pani! Aniołek niebieski! opatrzność wszystkich biednych i pociechy potrzebujących!

— No, dobrze już, dobrze, — przerwałem, — ale dlaczego pani mrugałaś na mnie?

Babina znowu nastroiła się tajemniczo.

— Widzi pan adwokat — szepnęła — ten śliczny książę Janiunio, daj jemu, Stwórco Wszechmogący, zdrowieczko i najdłuższe lata...

— No, ale cóż tedy książę Janiunio...

— Oto to, widzi pan dobrodziéj, że jak książę przychodzi z wizytą, nasza pani hrabina bardzo nie lubi, aby kto więcéj

u niéj był... Ja to już tam jestem jakby domowa, ale wychodzę, zaraz wychodzę, jak tylko książę przychodzi, bo nasza hrabina nie chce wtedy miéć nikogo, broń Boże nikogo, ani z domowych, ani z gości...

Z oburzeniem spojrzałem na obłudnicę.

— Co pani wygadujesz? — rzekłem ostro, — czy pani nie wstyd...

Przerwała mi giestem pełnym przerażenia.

— Wstyd! — zawołała — a czegóż to, proszę pana adwokata dobrodzieja, wstydzić-bym się miała? Czy to ja tego anioła świętego nie kocham, jakby, nie przymierzając, samego Pana Boga. Daj Boże, ażeby wszyscy tak ją kochali i uwielbiali, jak ja! W ogień piekielny wskoczyła-bym za nią! Ale co wiem, to wiem, i panu adwokatowi powiedziéć muszę, bo nie trzeba, uchowaj Panie Boże, gorzéj jeszcze męczyć téj nieboraczki, jedyną tę jéj pociechę odbierać...

— Nie rozumiem i proszę panią... — zacząłem.

Ale stara nie pozwoliła sobie przerwać. Pomimo, że umyślnie szedłem bardzo prędko, dreptała ona obok mnie drobnemi kroczkami swemi niezmordowanie i, wyprzedzając mię nawet nieco, w twarz mi zaglądała.

— A tak, tak — mówiła daléj, ledwie mogąc od szybkiego biegu i mówienia oddech pochwycić. — Tak, tak! nieboraczka ona, sama jedniutka, jak palec... bez familii, bez opieki, niby ta dziecina biedneńka, na szeroki świat rzucona... nie dziwota, że serduszko odezwało się, i że biedaczka przywiązała się do tego ślicznego książątka, daj jemu Panie Boże, wszystko dobre... Dziecko to po prawdzie w porównaniu z nią... synem jéj może mógł-by

być; ale pan dobrodziéj sam pewno wié... serce nie sługa, nie zna, co to pany...

Ostatnie wyrazy stara wymówiła na-wpół z patetycznym akcentem, na-pół z uśmiechem, który, roztwierając żółte jéj wargi, ukazał z-za nich parę czarnych, kołyszących się zębów. Widząc, że nie pozbędę się jéj inaczéj, przywołałem giestem stojącą opodal nieco dorożkę. W téjże saméj prawie chwili szybko mijała nas chodnikiem kobieta, którą téż wspólnie z całém miastem znałem i często widywałem, koleżanka panny Zuzanny, co do głównych usposobień i całego sposobu życia, tém tylko różniąca się od niéj, że, gdy panna Zuzanna wyglądała na malutką kobiecinę, pani Kuniewiczowéj nie podobna było nazwać inaczéj jak *damą*. Wysoka była i bardzo zgrabna, chód i ruchy miała nadzwyczaj poważne i dystyngowane, niezmiernie wiele szlachetnéj dumy w spojrzeniu i ukłonie. Ubierała się w ozdobne ogoniaste suknie, a nierzadko i w aksamitne paltoty. Na siwiejących włosach nosiła kapelusze lub czepeczki z kolorowymi wstążkami. Zarówno jak panna Zuzanna, *dama* ta trudniła się wyrabianiem różnych robótek ręcznych, za które, bez względu na okazałość postaci jéj, kosztowność stroju i dumną wyniosłość oblicza, naiwne a litościwe duszyczki, miasto nasze zamieszkujące, płaciły dziesięć razy wyżéj nad istotną wartość. Oprócz siatek i kołnierzyków, pani Kuniewiczowa wyrabiała jeszcze sztuczne kwiaty i inne różne ornamenta, któremi przyozdabiała miejscowe świątynie, co stawiało ją bardzo wysoko we względach arystokratyczno-klerykalnego stronnictwa, w mieście naszém istniejącego, i jak mi się

zdaje, przynosiło bez porównania więcéj korzyści jéj saméj, niż chwały Panu Bogu. Powolnym, jak zwykle, krokiem i z dumnie smutną twarzą przechodząc koło nas, pani Kuniewiczowa spostrzegła plączącą się koło mnie pannę Zuzannę i pozdrowiła koleżankę wyniosłém skinieniem głowy.

— Byłaś dziś pani u hrabiny? — zapytała.

— Byłam, byłam, ale nie pójdę już, aż chyba wieczorem... i pani nie idź tam także...

— A to dlaczego?

— Książę jest dziś tam na obiedzie... zabawi do szóstéj... — tajemniczo szepnęła kobiecina.

Dama skinęła głową w znak zrozumienia.

— To co innego — rzekła — muszę nawet wrócić i powiedzieć pani Mięcickiéj, żeby nie szła także, bo wiem, że się wybierała.

Nie zaręczam za prawdziwość faktu tego, ale tak mi się zdawało przynajmniéj, że, mimowoli, słuchając rozmowy tych dwóch kobiet, zarumieniłem się ze wstydu. Wstydziłem się może za rodzaj ludzki. To tylko pewno, że oprócz wstydu tego, uczułem żal nad panią Luizą, którą, jak to spostrzegać zaczynałem, szarpały nielitościwie te właśnie języki, które znajdując się przy niéj, najdonośniéj chwałę jéj wyśpiewywały. Zmierzałem co prędzéj do nadjeżdżającéj dorożki. Miałem już siadać, gdy panna Zuzanna dogoniła mię jeszcze i pochwyciła za rękaw od paltota.

— Panie dobrodzieju kochany! — szeptała — nie zapominaj tylko, zlituj się, o przestrodze mojéj... jak książę

Janiunio tam jest, nikt więcéj być nie powinien... Trzeba ją biedaczkę szanować.

Zniecierpliwiła mię już ostatecznie. Uwolniłem ubranie moje od uścisku jéj małéj, suchéj, ale dziwnie silnéj i żylastéj ręki, i nie pamiętam już jaką, ale wcale niegrzeczną dawszy jéj odprawę, odjechałem. Na zakręcie ulicy zobaczyłem, że panna Zuzanna stała na miejscu, na którém ją zostawiłem i uporczywie spoglądała za mną. Byłem pewny, że uczyniłem z niéj sobie śmiertelnego wroga i na myśl tę zaśmiałem się szczerze.

Nazajutrz około południa otrzymałem znowu list od pani Luizy. Tym razem pisała po francuzku. Bardzo nagląco prosiła, abym przyszedł do niéj dziś jeszcze jak najprędzéj, natychmiast, ponieważ zaszedł wypadek, który przestraszył ją i zakłopotał ogromnie. Nie pisała wcale, jakiéj natury był wypadek ten, ale ze słów jéj wnosić mogłem, że było to coś dla niéj bardzo niemiłego i groźnego. Przy końcu listu prosiła mnie, abym określić chciał cyfrę wynagrodzenia pieniężnego, którego żądać będę za zajmowanie się interesami. Wzmiankę tę otoczyła tylu wstępami, przeprosinami i różnemi stylowemi floresami, iż wnosząc ze wszystkich tych nieśmiałości, ostrożności i drażliwości, myśléć-by można, że pani Luiza proponować mi ma popełnienie wielkiéj jakiéjś zbrodni, co najmniéj czynu grubijańskiego, o którym pisać nawet bardzo jest trudno,

ale co mówić ustnie, to już w żaden sposób niepodobna, bez wstydu i nieprzyzwoitości. To téż pani Luiza długą i krętą przemowę swą kończyła następnemi słowami: „Chciéj pan na listowne zapytanie moje odpowiedzieć téż listownie. Kwestye podobne załatwiają się daleko lepiéj za pomocą korespondencyi, niż ustnéj rozmowy”.

Po załatwieniu spraw najpilniejszych, poszedłem do nowéj klientki mojéj, tak bardzo dnia tego, jak widać było z listu, przerażonéj i zmartwionéj. Kiedy przechodziłem dwa wielkie salony, trzeci mniejszy salonik poprzedzające, do uszu moich zaczął dolatywać bardzo donośny głosik kobiecy, jednostajnym, piskliwym tonem i z nadzwyczajną szybkością a wymownością wypowiadający, co następuje:

— Zamordowali go, jak mego ojca kocham, zamordowali go i zabili, pani hrabino! Byłam sama na sądach i wszystko słyszałam i rozbójników tych na własne moje żywe oczy widziałam. Biedny człowieczyna jechał sobie wózkiem i jednym koniem przez las. Noc ciemna, choć oko wykol! Las gęsty! Wicher dmie i szumi! W tém odezwał się w powietrzu jakiś gwizd okropny! Z za drzew wypada trzech ludzi!...

Tu usłyszałem słabiuchny wykrzyk trwogi, w którym poznałem głos pani Luizy. Piskliwy zaś głosik opowiadającéj podniósł się jeszcze o jednę nutę wyżéj i ze zdwojonym zapałem opowiadał daléj:

— Widziałam ich wszystkich trzech na moje żywe oczy, którzy siedzieli na ławie za kratkami! Chłopy wielkie jak dęby, z rozczochranemi włosami i z twarzami osmalonemi! A oczy, to jak pani hrabina mię tu żywą widzi, świecą się u

nich tak, jak głownie! Aż mi gorąco robiło się w plecy od tych oczu! Wypadli z-za drzew, zatrzymali konia, zwlekli nieboraka z woza i zamordowali! Ale co oni dokazywali z nim, pani hrabino, to aż strach opowiadać! Wykłóli mu oczy, powyrywali włosy, połamali ręce...

Tu wejście moje przerwało mówiącéj, którą była pani Mięcicka, kobieta krępa, silna, ogorzała, dość młoda jeszcze, w całém mieście znana pod nazwą *prawnika w spódnicy*. Wdowa po urzędniku nizkiego stopnia, który, umierając, żadnego wcale funduszu nie zostawił, krzątała się ona ciągle około załatwiania różnych drobniutkich, a niekoniecznie czystych sprawek i interesików mieszczańskich, lub małoszlacheckich. Załatwianie to dokonywało się naturalnie nieinaczéj, jak za pomocą biegania do urzędników i adwokatów, proszenia, jęczenia, dowiadywania się, szperania, podsłuchiwania i szpiegowania. Zawsze jednak było wielu ludzi, którzy wierzyli sprytowi i zwinności tego pokątnego doradcy żeńskiego rodzaju i o pomoc ją w swych sprawkach prosili. Uczęszczała téż ona na sądy wszelakie z wytrwałością, niczém niezrażoną, i teraz właśnie zabawiała panią Luizę sprawozdaniem z jakiegoś posiedzenia sądowego, przy którém była obecną.

Ujrzawszy mię, pani Mięcicka zmieszała się trochę i umilkła. Adwokatów nie lubiła w ogólności, uważając ich za współzawodników swych, najniesprawiedliwiéj przez prawo protegowanych i chleb jéj odbierających. Oprócz pani Mięcickiéj, znajdowała się jeszcze w saloniku pani Kuniewiczowa, która z wyniosłą jak zwykle postawą i

dumnie smutną twarzą, najbliżéj gospodyni domu siedząc, ze wzgardliwą obojętnością zdawała się słuchać tragicznych opowiadań koleżanki, i panna Zuzanna Krzaczkowska, która, na nizkim taboreciku umieszczona, wychylała z za poręczy kanapy malutką swą żółtą i pomarszczoną twarzyczkę, napiętnowaną teraz wyrazem podobnie błogiego zaciekawienia, jakiego doświadczać zwykły tłumy na widok spadających z rusztowania głów zbrodniarzy. Cała zresztą atmosfera ślicznego saloniku przesiąknięta była tajemniczą jakąś grozą, gdyż i pani Luiza, z pobladłą widocznie twarzą i szerzéj niż zwykle roztwartemi oczyma, powstała na moje przyjęcie.

— Jakaż-to okropna historya! — rzekła, podając mi rękę i giestem zapraszając, abym usiadł przy niéj na fotelu — jakaż to okropna historya tego morderstwa, o którém opowiadała nam przed chwilą pani Mięcicka. Musisz pan także znać wszystkie szczegóły téj przerażającéj zbrodni.

— Znam je wybornie — odpowiedziałem z uśmiechem — bo, zarówno jak pani Mięcicka, byłem na posiedzeniu sądowém, które sprawę tę roztrząsało. Jestem w możności nawet dokonać w opowiadaniu pani Mięcickiéj kilku poprawek. Tak naprzykład, oczy morderców nie wyglądają bynajmniéj, jak rozpalone głownie i nie smalą pleców osób, na których wzrok swój zatrzymują. Przeciwnie, są to mgliste, senne, na-pół idyotyczne oczy ludzi, którzy, pozbawieni wszelkiego umysłowego światła i wszelkiéj moralnéj dźwigni życia, czynili zło, jedynie pod wpływem instynktów, z których sami sobie zdać sprawy nie umieli. I jeżeli oczy te palić mogą boleśnie cokolwiek, to z

pewnością nie plecy, ale chyba sumienie szczęśliwszych i oświeceńszych współbraci, którzy nic nie uczynili, aby oświatą i umoralnieniem okiełzać i uszlachetnić złe ich instynkta. Oprócz tego upewnić mogę panią, że nie było tam ani oczu wykłótych, ani włosów powyrywanych, ani rąk połamanych, ani żadnych tym podobnych okropności. Było jedno tylko uderzenie toporem w głowę, ale to wystarczyło zupełnie, aby odjąć życie nieszczęśliwemu podróżnemu.

Poprawki te moje zostały przez całe obecne towarzystwo jak najgorzéj przyjęte. Pani Mięcicka sponsowiała z gniewu a może i ze wstydu, żem bujną jéj improwizacyą w krainę mytów spychał, i szybkiém wejrzeniem porozumiała się z koleżankami, które, każda po swojemu, wstrząsnęły głowami i mrugały powiekami w znak obrazy i śmiertelnego ku mnie wstrętu. Ale i sama pani Luiza zdawała się być z poprawek moich wcale niezadowoloną. Uproszczona w ten sposób zbrodnia przestawała drażnić jéj nerwy i dostarczać pokarmu dla jéj wyobraźni. Oczy zbójców, mętne i na-pół idyotyczne, były oczyma daleko prozaiczniejszemi od rozpalonych głowni pani Mięcickiéj, a jedno tylko uderzenie toporem w głowę sprowadzało wersyą całą z wysokości potwornych, wstrząsających okrucieństw, na poziomy zbrodni, spełnionéj w sposób ordynaryjny i zupełnie pierwotny.

— Myślę jednak — rzekłem — że zmartwienie i przerażenie, o których dziś w liście pani wyczytałem, miały źródło w czém inném, niż w doszłych do pani wiadomościach o owém morderstwie...

— O! zupełnie w czém inném! — odpowiedziała pani Luiza. — Nie wyobrazi pan sobie, jak przykrém wrażeniem dzień dziś rozpoczęłam. Zaledwie obudziłam się, wręczyli mi jakieś pismo...

Tu pani Luiza powstała i zbliżyła się do stojącego w rogu salonu ślicznego różanego biureczka, na którém wielkiemi urzędowemi pieczęciami zaopatrzony, spoczywał arkusz grubego papieru. Pani Luiza wzięła papier ten w dwa palce tak zupełnie, jakby brała w rękę albo rozpalone żelazo, albo wstrętliwie ślizką ropuchę.

— Nie wyobrazi pan sobie — rzekła, podając mi ten przedmiot obrzydzenia swego — jak byłam przestraszoną i zakłopotaną, pismo to otrzymując. Nie umiem go przeczytać, gdyż pismo jest w nieznanym mi języku. Wiem jednak z góry, że musi to być coś bardzo przykrego dla mnie, coś, co może ostatecznie już zrujnuje mię, albo przynajmniéj nieznośnych nabawi kłopotów. Chciéj mię pan nie oszczędzać i powiedzieć szczerze, co to takiego. Jestem przygotowaną na rzeczy najgorsze.

Gdy pani Luiza to mówiła, trzy obecne kobiety zdawały się całe swe dusze na ustach jéj zawieszać. Ciężkie westchnienia wydzierały się z ich piersi, a głowy ich kołysały się, wybijając niby do słów jéj takt żałosny.

— Oj, te kruczki! te kruczki! przyczepki! zdzierstwa! — jęczała pani Mięcicka — znam ja je dobrze i umiem sobie z niemi radzić, ale dla takiéj delikatnéj osoby, jak pani hrabina, musi to być ciężar nad siły!

— Okropny ciężar! moja kochana pani Mięcicka! — potwierdziła z cicha pani Luiza, osuwając się na kanapę.

— Co to jest, kiedy kobieta zostanie samą na świecie, a takich aniołów, jak pani hrabina, mało. Niéma więc czemu dziwić się, że szatani anioła na wszystkie strony szarpią! — z poważną boleścią w głosie i na twarzy zawyrokowała pani Kuniewiczowa.

Ja tymczasem przebiegłem oczyma tak fatalne dla pani Luizy pismo i nie mogłem powstrzymać się od uśmiechu.

— Łaskawa pani! — rzekłem — rzecz ta jest tak drobną, iż przez omyłkę tylko zapewne zakomunikowaną została pani, nie zaś miejscowéj dóbr jéj administracyi.

— Okropna omyłka! — szepnęła pani Luiza. — Ale cóż to jest *au nom du Ciel*, *Monsieur,* czego ci ludzie chcą ode mnie?

— Ci ludzie — rzekłem — uwiadamiają panią, że jeden z mostów, na gruntach jéj istniejących, zepsuty został, i że według przepisów administracyjnych obowiązaną pani jesteś dostarczyć z lasów swych drzewa dla jego naprawy...

— *Mon Dieu!* — z ogromną ulgą w głosie, szepnęła pani Luiza — możnaż podobnemi drobnostkami dręczyć i kłopotać ludzi! Myślałam doprawdy, że idzie tu o cały mój majątek!

— Ależ to okrucieństwo prawdziwe, ażeby tak nie miéć względu na słabe nerwy i delikatne zdrowie pani hrabiny! — jęknęła, składając dłonie, pani Mięcicka.

— To dopiéro rozbójniki, katy, ludożercy! — oburzała się panna Zuzanna.

— Albo to teraźniejszy świat szanuje cokolwiek? albo to dla teraźniejszych ludzi dama wysoko urodzona znaczy cokolwiek? — z goryczą wypowiedziała pani

Kuniewiczowa.

Pani Luiza siedziała chwilę z oczyma przysłonionemi.

— Doprawdy — rzekła, podnosząc głowę i ze zmieszaniem pełném wdzięku patrząc na mnie — wstydzę się doprawdy, że przyjmuję pana w dziwném usposobieniu. Ale oprócz tego okropnego pisma miałam dziś jeszcze jedno bardzo dotkliwe zmartwienie...

— Z innéj strony znowu — dodała, podnosząc się z kanapy i uśmiechając się — mam téż i pociechy moje... chciéj pan zobaczyć moję wczorajszą i dzisiejszą robotę...

Wskazywała mi niewielkich rozmiarów obraz, w złocone ramy oprawny, a przed sztalugami malarskiemi, u okna stojącemi, na podniesieniu umieszczony.

— Obraz ten — rzekła — należy do księcia Jana! Robię z niego dla siebie kopią. Co za cudowny krajobraz! nie prawdaż?

Był to wizerunek dość wdzięcznego kątka ziemi. Wśród zielonéj łączki, w głębokim rozdole ścielącéj się, stała chatka wieśniacza, smętnemi jodłami ocieniona. Dokoła osłaniały ją obrosłe lasem góry i nagie piętrzące się skały, w dalekiéj perspektywie płynął kręty strumyk, a w górze przeciągały po błękitach stada drobnych chmur białych.

Widziałem i uznawałem, że był to krajobraz dość ładny, biegłym bardzo i subtelnym pęzlem wykonany. Jakim sposobem przecież stanowić on mógł dla pani Luizy pociechę w jéj strapieniach? nie rozumiałem. Wytłómaczyła mi to sama.

— Nie prawdaż? — rzekła — jaka cisza niezmącona, jaka nieskalana niewinność wieje z krajobrazu tego,

przedstawiającego zapadły, górami zakryty kątek ziemi! Nic niéma dla mnie ponętniejszego nad dziką, samotną naturę; za niczém bardziéj nie tęsknię, jak za tą pierwotną prostotą życia, która, wobec podbojów dzisiejszéj cywilizacyi naszéj, gdzie niegdzie już tylko pozostała, niby na świadectwo minionych złotych wieków ludzkości.

— Wierzaj mi pan — dodała po chwili ciszéj, — że byłabym najszczęśliwszą, gdy-bym gdziekolwiek na świecie posiadała chatkę podobną i żyć w niéj mogła, nieznana światu i wzajem go nieznająca!

Gdy mówiła to, usta jéj drżały trochę, a oczy wpatrywały się wciąż w jeden punkt obrazu. Poszedłem za kierunkiem jéj wzroku i spostrzegłem pewien szczegół krajobrazu, którego dotąd nie zauważyłem. Była nim w niewyraźnych zarysach, za mgłą jakby i na najdalszym planie ukazana para ludzi, górali jak się zdawało, którzy, stojąc nad strumykiem czerpali wodę, czy zrywali kwiaty, czy téż może innemu jakiemuś, równie sielskiemu, oddawali się zajęciu. Byli to nieśmiertelni owi i niezbędni snadź, tak w krajobrazach, jak w romansach: Numa i Pompiliusz. W mojém wyobrażeniu idyliczna para ta szkodziła raczéj obrazowi, niż go przyozdabiała. Przypomniały mi się na jéj widok sielanki Floryana i królowe z XVIII wieku, przebierające się za pasterki i dojące krowy. Ale inaczéj wcale rzecz tę rozumiała pani Luiza. Dla niéj Numa i Pompiliusz stanowili niezbędną okrasę, a może nawet i główną osnowę tak każdego dzieła sztuki, jak i wszelkiego ludzkiego istnienia. W olbrzymim poemacie włoskim uwielbiała najżywiéj Danta i Beatryczę; wśród krajobrazu

górskiego, wzrok jéj najsilniéj przykuwali do siebie pasterz i pasterka.

— Czy mogę teraz spojrzéć na kopią? — zapytałem.

Zawahała się chwilę i zarumieniła trochę. W ogólności rumieniła się często, co nadawało chwilami przywiędłéj nieco jéj twarzy pozór świeżéj i skromnéj dziewiczości.

Odsłoniła jednak robotę na stalugach umieszczoną. Malowała wprawnie i z wielką znajomością sztuki, ale przeniewierzała się oryginałowi, który naśladować chciała. Para pasterzy, usunięta na oryginale w najdalszą głąb' perspektywy, występowała w niéj na plan bliższy, w znacznie powiększonych rozmiarach. Co więcéj, rysy pasterza przypominały w sposób uderzający, ściągłą, gorąco bladą, twarz pewnego znajomego mi, utytułowanego Antinousa.

Wiele jeszcze potém i w sposób bardzo uroczy pani Luiza mówiła mi o nieporównanie pięknych widokach górskich, które widywała w Szwajcaryi i południowéj Francyi. Wyobraźnia jéj zatrzymywała się najchętniéj śród dzikich samotnych zakątków ziemi, tuliła się pomiędzy wysokie, świat gwarny zakrywające skały, zawisała nad umajonemi dzikim bluszczem dachami nizkich ubogich chatek, i na tle tém lekkiemi a żywemi rysami malowała obrazy jakiegoś fantastycznego Edenu. O bogactwie, o konforcie, o sprzętach miękkich i atłasem obitych, o malutkich fotelikach palisandrowych, jedwabnych firankach i wieszadłach, układanych kunsztownie z jelenich rogów — o tém wszystkiém słowem, co przepełniało mieszkanie pani Luizy, w obrazach tych, przez wyobraźnią

jéj malowanych, najlżejszéj nie było wzmianki. Panowała wśród nich prostota zupełna, pierwotna niemal prostota ubóztwa, a oprócz prostoty jeszcze było tam wiele ciszy, poezyi, niewinności i, jak już sam domyślałem się, samotności we dwoje. Cokolwiekbądź, pani Luiza, raz wpadłszy na jakikolwiek ulubiony sobie temat, stawała się prawdziwie wymowną. Z ożywionych rysów jéj twarzy, z blasku, którym zapalało się jéj oko, z trafności i subtelności jéj wyrażeń, poznać można było wtedy, że umysł jéj był z natury żywy, pojętny, zdolny do szlachetnych, acz niezmiernie jednostronnych, zapałów i uniesień.

Z tém wszystkiém wizyta moja, jakkolwiek przeciągnęła się dość długo, stała się dla interesów bezpłodniejszą jeszcze od poprzedzającéj. Dnia tego stanowczém już było niepodobieństwem skłonić panią Luizę do mówienia o rzeczach, tyczących się jéj spraw majątkowych. Zacząłem spostrzegać, iż zadanie, które przyjąłem na siebie, trudniejszém będzie do spełnienia, niż mniemałem z razu, i że pochłonie mi ono więcéj czasu, niż go bez szkody dla innych zajęć moich ofiarować mogłem. Ale pani Luiza nic wcale o czasie i wysokiéj cenie jego nie wiedziała i wiedzieć nie chciała. Kiedy na uprzejme zaproszenia jéj odpowiedziałem, że pomimo prawdziwéj przyjemności, jaką znajduję w jéj towarzystwie, nie będę mógł z powodu braku czasu, bywać u niéj codziennie, zawołała z prześlicznym uśmiechem:

— Oh, *mon Dieu*! nie wiem doprawdy, co panowie zwykle z tym swoim czasem czynicie! Życie jest jednak tak długie, tak nieskończenie długie...

— Myślałem zawsze, — rzekłem, — że jest ono, przeciwnie, zbyt krótkiém dla wszystkiego, co człowiek myślący pragnął by, a może i mógł-by zdziałać na świecie.

— Musisz pan być bardzo szczęśliwym, jeżeli życie wydaje mu się krótkiém.

— W istocie, — odpowiedziałem, — nie uznaję siebie wcale za człowieka nieszczęśliwego. Mam rodzinę, którą kocham, i zajęcia, w których zużytkować mogę siły mego umysłu i dni mego życia, nie bez korzyści dla siebie i innych.

Patrzała na mnie z zamyśleniem.

— Doprawdy? — wymówiła zwolna. — To dziwne! myślałam zawsze i myślę, że szczęścia niéma wcale na ziemi... Wszakże, — dodała prędko, — skoro pan masz rodzinę, którą kochasz i przez którą wzajem kochanym jesteś, wierzę, iż możesz pan uczuwać się szczęśliwym...

— Chciéj pani koniecznie do tego zadowolenia serca dodać zawód mój, który zadawalnia mi umysł i sumienie.

Uśmiechnęła się.

— Nie mogę w żaden sposób uczynić tego, — rzekła. — Nie pojmuję bowiem, jakim sposobem zawód, mający do czynienia z kodexami, procesami i różnemi pieniężnemi albo zbrodniczemi sprawami, stanowić może integralną część czyjegokolwiek szczęścia!

— I nie przypuszczasz pani, że w zawodzie tym odkryć można stronę filozoficzną, która, rozszerzając widnokręgi jego i uszlachetniając treść, czyni go wysoce zajmującym i pożytecznym...

Zaśmiała się srebrzyście i nieco filuternie.

— Filozofia kodexów i procesów! — zawołała. — Rzecz to nowa i najzupełniéj niepojęta dla mnie. Przebacz pan, ale w nią uwierzyć nie mogę.

— A w filozofią nauk przyrodniczych, czy nie wierzysz pani również, jak w filozofią prawa?

— Nie wierzę w nią bardziéj jeszcze. Nauki przyrodnicze... to suchy zbiór faktów, odnoszących się do zwierząt i kamieni. Nie może w nich być ani filozofii, ani poezyi żadnéj.

— A filozofia historyi? — zagadnąłem jeszcze.

— To co innego, — odparła, — historya zajmuje się ludźmi...

— Zdaje mi się, — rzuciłem nieśmiało, — że nauki przyrodnicze i prawne niezupełnie téż są obce rodzajowi ludzkiemu...

— Być może, ale ja nie wierzę w to, bo nic wcale o tém nie wiem, — odpowiedziała z doskonałą tym razem logiką.

Przy ostatnich wyrazach, na ruchoméj, dziwnie delikatnéj jéj twarzy ukazało się zmęczenie. Kilka ostatnich zdań, które zamieniliśmy ze sobą, znudziło ją już i znużyło! Była to rozmowa zbyt dla niéj sucha i ciężka. W kilka dni potém wspominając o rozmowie téj przed księciem Jasiem, nazwała ją rozmową naukową.

— Pan Rolicki, — rzekła z żartobliwym przekąsem, — pan Rolicki stanowczo jest materyalistą. Utrzymuje, że kodexy i procesy mają swoję filozofią, a nauka o kamieniach i zwierzętach jest bardzo poetyczną!... Rozpoczął téż ze mną w tym przedmiocie rozmowę naukową, ale ja prowadzić jéj nie chciałam. Nie mam

najmniejszéj ochoty, — dodała, śmiejąc się — zostać uczennicą Darwina i razem z nim zgubić na wieki moję duszę...

— Być-że to może, abyś pani czytała Darwina? — zażartowałem.

Spojrzała na mnie z nieudaném przerażeniem.

— *Dieu m'en garde!* — zawołała głośno. — *C'est un monstre!*

Już to w ogólności, piśmiennictwo całe świata ucywilizowanego rozpadało się w jéj oczach na dwa działy. Piérwszy z nich uwielbiała bez granic, drugiego tknąć-by nie chciała choć-by końcem delikatnego paluszka. Środka pomiędzy dwiema ostatecznościami temi nie było. Czytywała jednak wiele. Z dziedziny belletrystyki ulubionemi jéj utworami były romanse francuzkie, tak zwane sensacyjne, albo téż powieści angielskie, należące do szkoły, która utwory swe niezmiennie prawie tytułuje w sposób następny: *Różyczka wiosenna, Różyczka mojego brata, Sen różany, Dziewczyna w różowéj sukni* i t. p. Raz pokazała mi jakąś książkę, mówiąc:

— Zaręczam panu, że musi to być coś nieporównanie pięknego!

Zauważyłem, iż sądzić o tém nie mogła, ponieważ kartki książki były jeszcze nie rozcięte.

— A tytuł? — rzekła. — *Fleurange!* Z samego już brzmienia tytułu tego wnosić można, że...

— Że będzie tu mowa o kwiatach i aniołach, — dokończyłem, żartując.

— Cóż może być wdzięczniejszego, jak przypatrywanie

się kwiatom i aniołom? — rzekła.

— A ludzie? — zagadnąłem.

— Oh! *j'en ai assez!* mam ich dość w rzeczywistości. Od książki wymagam, aby unosiła myśl moję w sfery jaśniejsze, wyższe...

Przemocą niemal, śmiejąc się tak wdzięcznie, jak tylko ona jedna śmiać się umiała, wcisnęła mi raz w rękę Medytacye Lamartina.

— Mam nadzieję, — rzekła, — że uwielbiony mój Lamartine, wyleczy pana z téj okropnéj suchości wyobraźni, któréj nabawiła pana pewnie filozofia kodexów i procesów. Wymagam od pana stanowczo, abyś dziś jeszcze przeczytał parę ustępów...

Nazajutrz odniosłem jéj książkę.

— *Eh bien*! — zapytała, ciekawie mi w twarz patrząc, — czy uleczyłeś się pan?

— Uleczyłem się... z bezsenności, która od kilku dni mię trapiła, — odpowiedziałem.

— Odpowiedź ta zmartwiła ją widocznie i rozgniewała trochę.

— Mój Boże! — rzekła, — jak to trudno, aby dwie dusze ludzkie porozumieć się mogły ze sobą doskonale na biednym tym świecie! Pan i ja, naprzykład, należymy do ludzi ucywilizowanych, a jednak jak bardzo różnimy się w poglądach i upodobaniach naszych.

— *Et savez vous?* — dodała, — że ten sam rozdźwięk panował zawsze prawie pomiędzy mną a ogromną większością ludzi, których spotykam w mém życiu. Nie wiem doprawdy, czy ja nie rozumiem świata, czy też świat

mnie zrozumiéć nie może.

— Albo téż nie chcesz go pani zrozumiéć, — rzekłem poważniéj.

— I owszem; chciała-bym przypatrzeć się kiedykolwiek tym tłumom biédnych, zapracowanych istot. Cóż, kiedy nikt o nich pisać nie umié inaczéj, jak na-pół tylko literami a na-pół cyframi. Wszelkie zaś cyfry są dla mnie rzeczą, niepodobną do wyczytania, a jeżeli kiedy i przymuszę się, aby kilka z nich wyczytać, wnet wylatują mi z pamięci.

— Jak widzę, — odezwałem się, — mogła-byś pani w takim tylko razie zabrać znajomość z potrzebami, cierpieniami i interesami ogółu ludzi, jeśli-by one przedstawionemi były pani w szeregu oper, pieśni lub obrazów, mistrzowsko w dodatku wyśpiewanych lub wymalowanych.

— Można-ż na temat ten układać wielkie pieśni lub prawdziwie piękne obrazy? — rzekła. — Byłyby to chyba piosnki uliczne, lub obrazy, przedstawiające karczmy...

Obok wyniosłéj téj wzgardy dla ogółu śmiertelnych, w sercu pani Luizy istniała żywa litość cierpień ludzkich, które szczególnym wypadkiem jakimś podpadały jéj pod oczy. Pewnego dnia znalazłem ją klęczącą przy aksamitnéj kozetce, na któréj leżało wybladłe, zemdlałe, łachmanami okryte, dziecię.

Ujrzawszy mnie wchodzącego, zawołała.

— Zobacz pan, co to za biedne stworzenie! Widziałam dziś przez okno, jak tragarze, niosący coś ciężkiego, obalili je na chodniku. Dziecię to, słabe, zziębłe, zgłodniałe, i widocznie zemdlałe. Kazałam je tu przynieść i staram się

przywrócić do życia...

Mówiąc to, nachylała się nad biedną dzieciną ze łzą w oku i wyrazem głębokiéj tkliwości na twarzy. Nagle odwróciła głowę.

— *Dieu!* — szepnęła, — jaka to brzydka rzecz, te łachmany! *que cela sent mauvais!*

Na grubą, podartą sukmanę dziecka wylała całą buteleczkę przedziwnéj jakiéjś perfumy, a kiedy dziecię otworzyło oczy, posadziła je na nizkim tabureciku, i przez dobry kwadrans karmiła je własnoręcznie wybornemi cukierkami, których koszyk stał u niéj zawsze na stole.

— Wolał-bym, — rzekłem, — abyś pani, zamiast rozlewać na dziecię te kosztowne perfumy, dała rodzicom jego trochę pieniędzy. Pożyteczniéj téż było-by, zamiast cukierków, dać mu tęgiego bulionu i kawałek chleba lub bułki.

— O Boże! — zawołała z prawdziwą urazą w głosie, — jakim pan jesteś doprawdy dziwnym człowiekiem. Na całym szerokim świecie nic pan nie widzisz i widzieć nie chcesz, prócz... pieniędzy i... chleba!

Pomimo ogromnéj i wszechstronnéj różnicy pojęć i upodobań, którą mi sama co chwila wyrzucała, żartobliwie niekiedy, ze smutném rozżaleniem najczęściéj, stosunki nasze stały się od razu prawie bardzo przyjacielskiemi. Mało znałem osób, które-by zaznajamiały się z taką łatwością, a zarazem były tak słodkiemi i pełnemi uprzejmego wdzięku w stosunkach z ludźmi. Powzięła do mnie zaufanie bez granic, ślepe prawie; a że, pomimo olbrzymiéj trudności, z jaką wydobywałem od niéj

najmniejsze słówko, najmniejszą wskazówkę, tyczącą się jéj interesów, potrafiłem załatwić pomyślnie parę spraw drobnych bardzo, ale które, w wyobraźni jéj przybierając straszliwe jakieś rozmiary, napełniały ją troską i obawą, okazywała mi za to wdzięczność tak żywą, że aż w zakłopotanie mię wprowadzającą.

Przed księciem Andrzejem nazywała mię człowiekiem szlachetnym, dobrą duszą, rycerskim charakterem i t. d. Najzwykléj jednak wyrażała się o mnie: „to moja opatrzność!“ Słowem, idealizowała osobę moję zupełnie tak samo, jak owę chatkę wieśniaczą, którą przez tygodni parę malowała. Skończywszy jednak malować chatkę, rozpoczęła kopiowanie obrazu, przedstawiającego średniowieczny zamek feudalny, na wysokiéj skale, niby gniazdo jastrzębie, nad rojem poniżéj rozsypanych chatek zawieszony.

Zachwycała się z kolei feudalnym zamkiem i do ideału piękna i poezyi podnosiła to życie, które mieszkańcy jego wieść w nim musieli.

— A biednych tych chatek, — zagadnąłem, — które zamek ten gnębi i w ziemię wbija, nie żałujesz już pani?

— Owszem, — odpowiedziała w zamyśleniu, przypatrując się wyniosłym basztom zamku, — tylko wyobrażam sobie, że nie było na ziemi szczęśliwszéj kobiety nad kasztelankę, zamek ten zamieszkującą, gdy, stojąc na jednym z ganków swych, wieńczyła po odbytych turniejach rycerza-zwycięzcę.

— Szczególniéj, jeżeli zwycięzca ten był Pompiiuszem, a ona ukochaną jego Numą, — dokończyłem.

Zarumieniła się trochę i wzruszyła ramionami.

— Pan posiadasz dziwną sztukę, — rzekła, — obracania w śmieszność najwznioślejszych, najpoetyczniéjszych na świecie rzeczy.

Tegoż dnia, wśród mnóztwa omówień i rumieńców, wyznała mi, że pod pewnym względem znajduje się w wielkim kłopocie, i że jedynie tylko jak najprędsza podróż moja do jéj dóbr z kłopotu tego wybawić ją może. Ponieważ zaś, w skutek długich starań i zachodów, zdołałem wyszukać część przynajmniéj niezbędnych po temu papierów i dokumentów, przyrzekłem jéj, że za parę już dni pojadę niezawodnie do Żmurowszczyzny.

Przed wyjazdem spostrzegłem, że brak mi kontraktu, zawartego pomiędzy nią a dzierżawcą głównego z folwarków jéj, i poszedłem do niéj z nadzieją, że po kilkogodzinnych usiłowaniach, potrafię może wymódz na niéj, aby kontraktu tego poszukała w swém eleganckiém biureczku, lub przynajmniéj postarała się przypomnieć, kiedy i gdzie zawartym on został.

Omyliłem się; o kontrakcie, po który właściwie przyszedłem, nie dowiedziałem się wcale. Na wschodach za-to spotkałem nieuchronną pannę Zuzannę, która ze zwykłą swą natarczywością szepnęła mi, że idzie rozerwać trochę biedną hrabinę, która jest bardzo, bardzo zmartwioną i smutną. Książę Janiunio bowiem przychodzi do niéj coraz rzadziéj i bawi zwykle krótko. „Wczoraj wieczorem, — szeptała, drepcząc koło mnie i zabiegając mi drogę, — najdroższy ten aniołek zalewał się gorzkiemi łzami... myślałam, że mi serce pęknie z żalu...“ Okropna ta baba nie

myliła się przecież i nie kłamała. Od kilku dni dopatrywałem istotnie w pani Luizie wielką zmianę humoru. Bledszą była niż wprzódy, za to oczy jéj gorzały zdwojonym smutnym blaskiem. Wydawała się wciąż niespokojną i boleśnie rozdrażnioną. Bardzo często spoglądała na zegar, drgała widocznie za każdém ozwaniem się dzwonka u drzwi, i więcéj, niż kiedykolwiek, mówiła o samotności swéj, opuszczeniu, w jakiém się znajduje, o pustce, którą czuje w sobie i wkoło siebie. Kilka razy spostrzegłem nawet, że rozdrażnienie to jéj dosięgało stopnia gniewnego rozjątrzenia. Przestawała wtedy całkiem być uosobieniem słodyczy i wdzięku. Nakształt zadąsanéj kotki, zwijała się w kątku kanapy, zapadała w chmurne, uporczywe milczenie, które, gdy z konieczności już przerywała, głos jéj, zamiast zwyczajnéj mu miękkości i melodyjności, brzmiał ostro i ucinkowo. Można-by rzec, iż w chwilach owych przenikał ją do głębi głuchy i zacięty, acz nieokreślony, gniew na świat cały.

Wszystkiego tego bezpośrednim powodem był przyjazd do miasta naszego kilku majętnych i wysoko w towarzystwie postawionych rodzin obywatelskich. W kółku tém bawiono się trochę w wieczory tańcujące i w zbiorowe za miasto przejażdżki. Książę Jaś bawił się wraz z innymi, co było bardzo naturalném w jego wieku. Wycieczki w krainę sentymentów, odbywane z panią Luizą przez całą minioną zimę, wydać mu się musiały, koniec końców, zbyt monotonnemi, a gdy nadarzyła się sposobność, przełożył nad nie towarzystwo kilku wesołych i wytwornych rówieśników, a bardziéj jeszcze może pięknéj hrabianki

Julii, która z jednostajnym zapałem tańczyła i konno jeździła, miała lat 18, wabne oczy i kilka milionów złotych posagu.

W dobrach pani Luizy przepędziłem blizko tydzień. Rzadko bardzo w kraju naszym napotkać można tak piękny i drogocenny kawał ziemi i tak starożytny, malowniczo położony, wspaniałego charakteru pełen dwór, jak były ziemia i dwór, przez panią Luizę w spuściźnie po przodkach odziedziczone. Były tam grunta tak wyborne, że żyznością swą sławnéj ukraińskiéj glebie niemal dorównywające; łąki, jak okiem zajrzeć szerokie, niby kobierzec gładkie i kwieciste; lasy ciemne, głębokie, falistą firanką spuszczały się po wzgórzach. Dokoła pałacyku, w poprawnym bardzo stylu odrodzenia zbudowanego, rozkładały się szeroko wspaniałe dziedzińce, ogrody i parki; wielka rzeka spławna, o skalistych brzegach, płynęła w pobliżu, a od niéj, niby ramiona, kręte i srebrzyste wiły się strumienie liczne, przerzynając łąki, szemrząc na dnie głębokich jarów, wkradając się do parku i niewymownie świeże powiewy mieszając w powietrzu z napełniającą go mocną wonią poblizkich borów.

Był to istny raj ziemski. A raczéj mógł-by to być raj, gdyby na każdym kroku nie ukazywały się śród niego wyraźne ślady opuszczenia, zwiastuny zbliżającéj się zupełne ruiny.

Na znacznéj przestrzeni dóbr tych, w głównym dworze, jako téż w kilku pomniejszych folwarkach i kilkunastu wśród wzgórz i równin rozrzuconych wioskach, mieszkała kilkotysięczna ludność. Dzieci samych napotykać tam można było prawdziwe roje. Widywałem liczne gromady ich pląsające po łąkach, nad strumieniami, kołyszące się w głębi gajów i na dnie wąwozów, hałasujące i wyprawiające wrzaskliwe harce po obszernych dziedzińcach dworskich.

Był to prawdziwy lud istot drobnych, złotowłosych, nieokiełznanych — wpół dzikich.

Dawny kolega mój szkolny i przyjaciel, Władysław Łudziński, który od lat czterech już dzierżawił główny majątek pani Luizy, ułatwił mi wielce zapoznanie się z naturą i położeniem dóbr całych, jak téż stworzenie sobie dokładnego obrazu, czém były one, a czém być mogły. Zachwycony byłem zmianą, którą w dawnym przyjacielu moim ujrzałem. Z wesołego, płochego nieco chłopaka, stał się on poważnym bardzo i wytrwałym pracownikiem. Utrzymywał przy sobie starą, owdowiałą swą matkę, wychowywał młodsze rodzeństwo, zamierzał wkrótce ożenić się z kobietą, którą kochał od dawna i serdecznie. Gospodarował téż wybornie, pracując z zapałem i ufnością w przyszłość. Zmartwił się przecież trochę, gdy, przeczytawszy kontrakt dzierżawny, powiedziałem mu, iż był on niezupełnie formalnym i zawierał punkta, na mocy których z łatwością obalić go można.

— Na Boga! — zawołał, blednąc, — mogłoż-by to być, aby mi się stała kiedy krzywda podobna? Znalazłem tu pustynią, przez lat cztery włożyłem w ulepszenia

gospodarskie cały mój niewielki fundusz, a zwrotu jego spodziewam się dopiéro w przyszłości. Gdyby mię ztąd wypędzono, był-bym bezpowrotnie zrujnowanym...

Uspokoiłem go, mówiąc, że, o ile znam panią Luizę, mniemam, iż nie jest ona zdolną do popełnienia tak nieuczciwego postępku.

Mówiłem, jak myślałem. Ufałem dobremu, miękkiemu sercu klientki mojéj i wstrętowi jéj do wszystkiego, co brzydkie i nizkie.

Wróciwszy ze wsi, udałem się wnet do pani Luizy. Jakkolwiek była to już godzina 4-ta po południu, powiedziano mi, że pani domu jest jeszcze nieubraną i prosi mię, abym zaczekał na nią chwilę. Nie czekałem długo. Wybiegła wkrótce z za blado-błękitnéj, drzwi sypialni przysłaniającéj firanki, i ze zwykłą, właściwą sobie, entuzyastyczną nieco serdecznością, podała mi na powitanie obie swe drobne, miękkie, alabastrowo-białe rączki. Wyglądała dnia tego piękniéj niż kiedy, chociaż nie mogłem nie widzieć, iż przez tydzień ubiegły twarz jéj schudła znacznie, okryła się cerą liliowéj niemal białości i przezroczystości i bardzo widzialnemi śladami głęboko nurtującego ją cierpienia. Ale miała na sobie fałdzisty, długi szlafroczek z czarnego aksamitu, w którym jéj było bardzo do twarzy. W pośpiechu, z jakim wychodziła na me spotkanie, nie uczesała jak zwykle włosów swych, które, gęste i lśniące, długiemi pasmami spływały jéj na plecy i na wychylającą się ze śnieżnych koronek, również białą, szyję. Nie wiem doprawdy, czy malujące się na twarzy, dotkliwe, głębokie cierpienie, czy téż wdzięk nieopisany, cichy a

miękki, z całéj postaci dnia tego tchnący, usposobił mię dla niéj tak przyjaźnie; ale uczułem się na jéj widok dziwnie ciepło i sympatycznie wzruszonym. Byłem, jak mi się zdaje, pod wpływem takiego litościwego uczucia, jakiego doświadczamy na widok łagodnego a chorego dziecka, albo téż pięknego, usychającego kwiatu.

W istocie téż, miał-żem przed sobą człowieka? Kobieta ta, nie byłaż raczéj dzieckiem lub kwiatem?

W sposób tak ostrożny i delikatny, w jaki tylko przemawiać można było do tak delikatnéj, przezroczystéj niemal i powiewnéj istoty, oznajmiłem jéj, że, z wielkiém dla siebie zmartwieniem, nie przywożę jéj lepszych wieści, niż te, które otrzymała była przedtém od kolegi mego, adwokata L.; że dobra jéj były istotnie zrujnowane bardzo; folwarki wszystkie, z wyjątkiem tego, w którym gospodarował Łudziński, do najwyższego stopnia wyeksploatowane i wyniszczone; że zatém spodziewać się ona nie może więcéj, jak połowy dochodów tych, które Żmurowszczyzna dawała przed laty. Mówiąc to, złożyłem przed nią na stole całą pakę asygnat, wraz z rachunkami i sprawozdaniami oficyalistów i dzierżawców, od których pieniądze te otrzymałem.

Zarumieniła się lekko, nie dotknęła pieniędzy. Wiedziałem o tém z góry, że za nic w świecie nie dotknęłaby ich przy świadkach. Usiłowała nawet nie patrzéć na nie; na twarzy jéj przecież odmalował się przestrach widoczny, przez wiadomość o zmniejszonéj sumie dochodów sprawiony.

— Skoro pan mówisz mi o tém, — wyrzekła słabym

głosem, — musi to być prawda... a jednak nie pojmuję, jakim sposobem dojść do tego mogło... Mój Boże! — dodała z wyrazem sztywnego przestrachu patrząc w przestrzeń, — cóż się ze mną teraz stanie!...

Nadaremnie tłómaczyłem jéj, że 8 lub 10 tysięcy rubli rocznego dochodu, które jéj pozostały, stanowiły majątek bardzo znaczny, wystarczający nietylko na dostatnie, ale na zbytkowne utrzymanie, i nietylko dla jednéj osoby, ale dla licznéj choć-by rodziny. Słuchała mię, z powątpiewaniem wstrząsając głową.

— Pan nie znasz całéj okropności położenia mego, — szeptała.

— Chciej-że mi pani powiedzieć wszystko, — prosiłem.

Nie pamiętam już, jakiéj mianowicie użyła przenośni, wiem tylko, że słowa jéj były rodzajem rebusa, który odgadywać musiałem, aby wyczytać z niego wyraz: *długi*. Suma długów tych i dłużków była znaczną. Położenie stawało się z powodu tego dość w istocie ciernistém.

Spowiedź ta, którą pani Luiza wymogła na sobie z wielkim wysiłkiem woli, zmęczyła ją i rozstroiła do reszty. Ze łzami w oczach pochwyciła mię za rękę.

— Pan jesteś tak dobrym, szlachetnym, rozumnym człowiekiem! — rzekła, — przed panem wszystko powiedzieć mogę. Widzisz pan przed sobą kobietę, ściganą przez dziwny jakiś, nieubłagany fatalizm. Byłam nieszczęśliwą od piérwszych dni życia mego! Wszystko, do czegokolwiek przywiązałam się kiedy, na cokolwiek liczyłam, opuszczało mię zawsze i zawodziło!

Z czołem na dłoni wspartém, cichym, melodyjnym swym

głosem, i w zwykły sobie, wpół poetyczny, wpół malowniczy sposób, opowiadała mi o dzieciństwie swojém, spędzoném przy ojcu obojętnym dla niéj i oddanym światowym uciechom, wśród najemnych bon i nauczycielek, z których żadna nie dała jéj nigdy ani najdrobniejszéj cząstki macierzyńskiéj opieki i troskliwości.

— Robiłam, co chciałam, — mówiła, — otaczał mię zbytek najwytworniejszy, ale było mi ciągle strasznie zimno... zazdrościłam dzieciom, które miały matkę... tęskniłam ciągle, płakałam i chorowałam często.

Lata, spędzone w klasztorze, pozostawiły po sobie względnie najlepsze wspomnienie. Kilka szczególniéj obrazów i scen z życia klasztornego utkwiło jéj na zawsze w pamięci. Z wyrazistością przez czas nieprzyćmioną, widziała przed sobą sklepione kurytarze, długie zda się jak nieskończoność, z obu stron przyozdobione kapliczkami, w których stały marmurowe Madonny, zwieńczone różami, i unosiły się wiecznie srebrzyste dymy różnych upajających kadzideł. W wieczór przepaściste przejścia te napełniały się tajemniczym mrokiem, a w dalekich głębokościach ich, przed świętemi obrazami zwieszone, płonęły lampy, jak blade i drżące gwiazdy. Kiedy wśród nocnéj ciszy i ciemności, płynął od strony klasztornego chóru przeciągły śpiew zakonnic, zakradała się ona wtedy w najciemniejszy kąt kurytarza i, do białego dnia częstokroć czuwając, unosiła się wraz z dolatującymi do niéj śpiewnemi westchnieniami ku sferom jakimś niepojętym i nieznanym, lecz dziwnie promienistym, rozkwitającym śnieżnemi liliami, szumiącym z cicha skrzydłami przelatujących

Cherubów. Uczyła się wtedy bardzo wiele muzyki, śpiewu i malarstwa; a jedyne prawie nauki te, jakie otrzymywała, sprawiały jéj rozkosz niewymowną i otwierały przed nią coraz głębsze, jaśniejsze perspektywy rojeń i nieokreślonych dobrze, lecz gorących, nadziei.

— Późniéj dopiéro zrozumiałam — rzekła — że nadzieje te i rojenia moje zwróciły się ku światu, którego nie znałam wcale, ale, który z-za murów klasztornych ukazywał mi się, niby czarnoksięzki pałac, pełen wesela, szczęścia i miłości! O! jakże srogo zawiedzioną być miałam!

Prosto niemal z klasztoru udała się do ślubnego ołtarza. O małżeństwie swém z panem Wielogrońskim mówiła niewiele i z widocznym przymusem. Tyle tylko ze słów jéj wyrozumieć mogłem, iż był to, według jéj zdania, człowiek pozbawiony wszelkiéj delikatności uczuć, krańcowy materyalista, niepojmujący nic wyższego nad poziome bardzo zajęcia i rozrywki. Nie bardzo temu wierzyłem, wiedziałem bowiem zkądinąd, że zmarły mąż pani Luizy miał wiele gruntownych zalet umysłu i charakteru. Ślady obywatelskich szlachetnych uczuć i dążności jego trwały nawet dotąd jeszcze w rodzinnéj jego okolicy. Istnieli jeszcze ludzie, którzy wspominali go ze czcią i wdzięcznością. Ale był to podobno mężczyzna z powierzchownością dość grubą i nieponętną, wyćwiczony w szkole twardych doświadczeń, bynajmniéj nie marzyciel. Być może zresztą, iż miewał dobry apetyt i śmiał się, lub mówił zbyt głośno.

Cokolwiekbądź, w oczach pani Luizy była to zimna, gruba, krańcowo zmateryalizowana natura. Nie mieli ze

sobą ani jednéj myśli wspólnéj, ani jednego wspólnego zamiłowania. Młoda kobieta usychała z tęsknoty i smutku, przy swym zacnym i szlachetnym, lecz za mało dla niéj eterycznym, małżonku, i tylko, zamiast, jak bywało z nią za lat dziecinnych, płakać i chorować z tęsknoty i smutku, tańczyła na balach i w nieustannych wędrówkach zwiedzała wszystkie kąty ucywilizowanego świata.

— Szukałam ideału mego — tłómaczyła mi — szukałam serca, które-by jednostajnie z mojém uderzało...

Owdowiała nakoniec, i jednocześnie prawie odziedziczyła po ojcu, jako jedynaczka, całą jego wielką fortunę. Widząc się swobodną z tém większym zapałem szukać po świecie zaczęła ideału swego i serca bratniego jéj sercu. Wiele, wiele razy zdawało się jéj, że znajdowała już drogocenne te przedmioty, ale ścigający ją zapewne fatalizm sprawiał, że zawodziła się zawsze. Wiekuiste poszukiwania te i zawodzenia się miały ten bezpośredni skutek, że dobra sława jéj uległa wobec świata zarzutowi płochości i zalotności. Świat jest sam tak poziomy i tak brudny, (skarżyła się przede mną), że wszystko widziéć-by rad w ciemnych i brudnych barwach. Najczystsze marzenia moje, najprawsze pragnienia, uległy najczarniejszym, wstrętnym podejrzeniom... Cierpień moich, walk, zawodów serdecznych, nikt nie domyślał się i nie pojmował, a widząc tylko, żem nieraz porzucała to, za co przez czas jakiś oddała-bym była życie, ludzie ogłosili mnie kokietką bez serca... Spotwarzano mię, powymyślano na mój rachunek najnieprawdopodobniejsze historye. Był czas, w którym nic dokoła siebie nie widziałam, prócz twarzy obłudnych i

jadowitych, szyderskich uśmiechów. Usunęłam się od świata, przez lat kilka pędziłam życie samotne, zimne i pełne tęsknoty, a przyozdobione tylko pociechami, jakich użyczały mi ulubione książki moje, muzyka i malarstwo... Myślałam, żem już przebyła wszystkie tortury życia, żem zdławiła i do milczenia zmusiła pragnienia serca i porywy wyobraźni... Myliłam się... czara goryczy nie została jeszcze dla mnie wyczerpaną do dna...

Owóż, kropla ta gorzkiego napoju, która pozostała jeszcze pani Luizie do wypicia, najtrudniejszą była dla niéj do ukazania. Teraźniejszość opowiada się zwykle z większą daleko trudnością, niż przeszłość. Zrozumiałem jednak, iż kropla ta, znajdująca się na dnie gorzkiéj czary, przez fatalizm wciąż do ust pani Luizy przykładanéj, nosiła mitrę książęcą i imię Jan. Znam go od dzieciństwa — mówiła pani Luiza, nie wymieniając przecież imienia, ni nazwiska żadnego, — ale tu dopiéro, w mieście tém, na téj pustyni, w szare dni, lub długie wieczory zimowe, które najczęściéj spędzaliśmy we dwoje, poznałam dokładnie całą piękność, całą podniosłość téj młodéj, tak cudownie rozkwitającéj duszy... O! wierzaj mi pan, że dusza to wybrana... *c'est une âme d'élite*... umysł to, zdolny do unoszenia się w najwyższe sfery piękna... serce tak gorące, a tak niewinne jeszcze... tak, że żadną skazą życia nie tknięte...

Nie mogłem powstrzymać się od dodania w myśli do wszystkich epitetów tych, udzielanych duszy i sercu księcia Jasia uwagi, że postać jego była przedziwnie kształtną i wysmukłą, oczy czarne, aksamitne i błyszczące, rysy téj twarzy klasycznie prawidłowe i gorącą obleczone cerą.

Pomyślałem jeszcze, iż Bóg tylko wiedział, a i ja domyślałem się także, jak bardzo dusza młodzieńca tego zwykłą była i pospolitą, i saméj siebie nieświadomą, a umysł słabym i do wszelkich rzeczy, prawdziwie wielkich, nieprzysposobionym. Nic jednak z tego nie powiedziałem pani Luizie. Wszelkie próby otwierania jéj oczu były z méj strony zupełnie daremném okrucieństwem. Zdawało się jéj, że znalazła nakoniec ten ideał swój, za którym przez życie całe goniła po wszystkich drogach téj ziemi. Z dziecięcym niemal wiekiem ideału tego nie liczyła się wcale, jak téż z piękną powierzchownością, o którą, wyobrażała sobie, że nawet nie dba. Nie rozumiała sama siebie, nie przypuszczała, że na to szalone, nieprawdopodobne uczucie, które ją pożerało, składały się w znacznéj części żywioły, nieposiadające w sobie nic wcale idealnego. Ona nawet niedorzecznego uczucia tego nie nazywała miłością. Brała je za przyjaźń, za jakąś przyjaźń skomplikowanéj natury, posiadającą wszystkie ognie gwałtownéj, niepohamowanéj namiętności, dręczącą ją we dnie tęsknotą i trwogą, spędzającą w nocy sen z jéj powiek, nasuwającą jéj wyobraźni miliony fantazyjnych, lub mistycznych, obrazów szczęścia, doświadczanego w samotnych chatkach wieśniaczych, na szczytach baszt, wznoszących się wśród skał niedostępnych lub na innym, lepszym jakimś świecie, kędy ona rozkwitnąć miała śnieżnym kielichem lilii, a on stać się Cherubem, na błękitnych skrzydłach przez wiekuiste wieki po-nad lilią zwieszonym...

Teraz nie widziała go już od dni kilku. Świat i marne uciechy jego zaczęły go pochłaniać. Słyszała o jakiéjś

hrabiance Julii. Kto jest ta hrabianka? czy ją znam? jak wygląda? czy wistocie tak piękną jest, jak mówią?

Gdy zadawała mi to pytanie, głos jéj i usta drżały, oczy zapaliły się namiętnym ogniem, prędko jednak bardzo zaszły łzami i, pochylając się nizko, a twarz ukrywając w bogato haftowaną poduszkę, wybuchnęła głośném, spazmatyczném, niepohamowaném łkaniem.

Koledzy moi, prawnicy, wiedzą dobrze, w jak szczególne a drażliwe położenie wprawia nas częstokroć ten zawód nasz, tak pełen styczności z ludźmi najrozmaitszymi. Nie wiem jednak, czy któremukolwiek z nich losy zawistne nastręczyły kiedy położenie, podobne temu, w jakiém ja się znalazłem wobec pani Luizy, dotkniętéj podwójnym atakiem rozpaczy i... spazmów. Nie byłem przyzwyczajonym do roli sercowego powiernika pięknych i czułych pań, to téż wywiązałem się z niéj tym razem w sposób niezupełnie może pospolity. Używane w podobnych razach otrzeźwiające sole i octy nie przyszły mi na myśl. Nie wydobyłem téż z piersi méj ani jednego westchnienia i oczy me pozostały suchemi.

— Cierpisz pani bardzo — rzekłem — to prawda. Ale przebacz, że powiem, iż przyczyna cierpień tych spoczywa właśnie we własnéj twéj istocie. Świat ten, który pani oskarżasz tak gorzko, mało im bardzo winien, tém mniéj fatalizm, który nie zewnątrz nas, ale w nas samych tylko, w pojęciach i pobudkach, rządzących nami, istnieje.

Słowa te, jakkolwiek wymówiłem z prawdziwą nad nią litością, zabrzmiały snadź w jéj uchu szorstko i zimno. Głośne łkania jéj umilkły. Podobną była dziecku, które, gdy

łzom jego schlebiają, płacze coraz rzewniéj, lecz, gdy doń przemówią z powagą i stanowczością, ucisza się, i na gromiącą je osobę z nieśmiałym spogląda wyrzutem. W załzawionych oczach jéj, które na mnie podniosła, był miękki, trwożny wyrzut.

— I pan więc nie zrozumiałeś mię także! — szepnęła. — I pan także mię obwiniasz?

— Nie obwiniam pani bynajmniéj — odparłem — wiem, że moralna istota człowieka jest koniecznym wynikiem mnóztwa przyczyn i skutków, które na nią przez czas długi działały. Pragnął-bym tylko przez współczucie dla pani, przez przyjaźń, którą dla niéj powziąłem, abyś pani, raz przynajmniéj uczyniwszy wysilenie nad sobą, zdobyła się na chwilę energii i rozwagi. Pojęła-byś pani wtedy, że posiadasz pani w swych ręku bardzo bogate środki do stworzenia sobie, jeśli nie zupełnego szczęścia, to przynajmniéj spokoju i zadowolenia.

Uśmiechnęła się gorzko.

— I cóż-byś pan uczynił, gdybyś był na mojém miejscu? — zapytała.

— Przedewszystkiém postarał-bym się o nadanie życiu memu jakiegoś dobrze określonego, a pożytecznego celu.

— Czegóż-bym nie dała za to, aby cel taki posiąść! — zawołała, splatając dłonie. — Rozumiem dobrze, iż główna przyczyna nieszczęść moich zasadza się właśnie na zupełnym braku celu, nietylko dla życia całego, ale chociaż-by dla jednego tylko dnia, dla jednéj godziny! Codziennie, budząc się z niewymownem przerażeniem, albo smutkiem, myślę, jak nieskończenie długim, zimnym,

pustym będzie ten dzień, który się dla mnie rozpoczyna! Ale cóż na to poradzić mogę? Gdybym była w piérwszéj młodości mojéj inne zawarła małżeństwo, miała-bym teraz może rodzinę, kogoś, o kogo troszczyć-bym się musiała...

— Rodzina jest wielką i piękną rzeczą, ale, prócz niéj istnieje jeszcze wiele bardzo drogich i ważnych dla ludzkości spraw i potrzeb...

— Wiem o tém — podchwyciła — to téż przez czas jakiś łudziłam się, iż mam istotny talent do muzyki i malarstwa. Próbowałam tworzyć, ale, niestety! przekonałam się prędko, iż dyletantką tylko być mogę i skromną naśladownicą dzieł cudzych!

— Sztuki piękne — rzekłem — dostarczyć mogą zapewne nadzwyczaj powabnych i użytecznych uciech i zatrudnień. Po-za niemi jednak istnieją jeszcze liczne przedmioty zajęć, niemniéj bogate w pociechy dla serca i w plony dla świata!

Patrzała na mnie z lekką niedowierzającą ironią.

— Być może — szepnęła — ale wątpię, aby się dla mnie cokolwiek ztamtąd znalazło. Nie będziesz mi pan przecież radził, abym rozpoczęła studya nad matematyką, lub, abym myślała nad wynalezieniem nowéj jakiéj maszyny?

Nie odpowiedziałem jéj bezpośrednio.

— Gdybyś pani wiedziała — rzekłem — jak pięknie teraz, przy promieniach wiosennego słońca, wygląda ten kawał ziemi drogocennéj, któréj pani właścicielką jesteś.

Spojrzała na mnie ze zdziwieniem. Zwrotu takiego rozmowy nie oczekiwała.

— Wistocie — rzekła z roztargnieniem — przypominam

sobie, że Żmurowszczyzna jest dość malowniczo położona...

— Istnieją tam — mówiłem daléj — skarby widzialne i przez przyrodę samę stworzone, i takie, które w łonie ziemi, powietrza i wód zawarte, wydobytemi z niego i światu darowanemi być mogą, tylko umiejętném staraniem dzielnego umysłu ludzkiego, i pracowitéj dłoni.

Oczy jéj utkwione w méj twarzy, roztworzyły się szeroko od zdumienia. Pojąć, ani domyślić się nie mogła, do czego zmierzała mowa moja.

— Gdybyś pani wiedziała — rzekłem daléj — jak smutny widok przedstawia śliczny jéj wiejski pałacyk, to piękne dzieło architektury i chlubny ślad tego stopnia, którego dosięgła krajowa cywilizacya nasza! Do wyniosłych pałacowych komnat wpływają przez dach dziurawy deszcze niebieskie, starożytne rzeźby kruszą się i w proch rozsypują, zewnętrzne ściany z dala uderzają oczy podróżnego wielkiemi czerwonemi plamami ogołoconych z tynku cegieł. Wspaniałe drogi pałacowego parku zielskiem zarosły, a ogrody przybrały pozór puszcz dziewiczych; drzewa w nich przestały rodzić, a słynne niegdyś z piękności swéj róże zamieniły się w dzikie głogi...

Skończywszy smutny opis ten, zostałem z kolei zdumiony. Na twarzy pani Luizy, zamiast smutku i pożałowania, odmalowało się żywe zajęcie i rozciekawienie.

— Doprawdy — zawołała — czy tak teraz Żmurowszczyzna wygląda! A więc teraz dopiéro musi to być prawdziwie piękna ustroń wiejska... Wybornie pan

opisujesz miejscowości zaniedbane... Ta ruina, błyszcząca z dala czerwonemi plamami... te dzikie, wysokie głogi w ogrodzie... Wzbudziłeś pan we mnie ochotę pojechania tam i obejrzenia tego wszystkiego!...

Miałem wielką ochotę wziąć kapelusz i pożegnać panią Luizę na zawsze. Z wewnętrznym gniewem pomyślałem, że nie jestem lekarzem-psychiatrą, i niemam najlżejszego obowiązku studyować, albo leczyć pewne gatunki obłąkania. Było to jednak chwilowe tylko uniesienie. Bądź co bądź, litowałem się nad tą kobietą, tak pełną wdzięku, a tak okropnie, tak wielostronnie kaleką. Być może, iż bardziéj jeszcze żałowałem tych skarbów, których była właścicielką, a które tak marnie, tak bezużytecznie i dla niéj saméj, i dla świata przepadały w ślicznéj, białéj, przerażająco niedołężnéj, jéj rączce. Rozmawiałem więc z nią daléj, strzegąc się już tylko, jak ognia, wszelkich opisów, najmniéj choćby na poetyczne zakrawających. Sprobowałem zresztą ująć przedmiot z innéj strony. Powiedziałem jéj, że w dobrach, do niéj należących, istnieje wielka rzesza dziatwy drobnéj, na-pół dzikiéj, dla któréj choćby odrobina opieki i oświaty była-by dobrodziejstwem ogromném. Wspomniałem coś o niezmiernéj ważności dla kraju, i zresztą dla ludzkości całéj, oświecania i moralizowania niższych sfer społeczeństwa, i że zadanie to leżało właśnie na sumieniu i odpowiedzialności ludzi ukształconych i bogatych.

Zrozumiała mię trochę, ale całe rozumowanie moje rozbijało się, według jéj mniemania, o szkopuł nieprzezwyciężony.

— Alboż jestem bogatą? — rzekła — mam tyle zaledwie, ile mi na skromne wcale utrzymanie wystarczyć może.

— Przepraszam panią — przerwałem — nie znasz pani tylko istotnéj wartości pieniędzy i nie umiész z nich uczynić stosownego użytku. Jesteś pani bogatą, a mogła-byś być daleko bogatszą jeszcze...

— Jakim sposobem? — zagadnęła z żywością, która świadczyła, iż nie była-by wcale zmartwioną powiększeniem swéj fortuny.

Powiedziałem jéj, iż, zamiast przebywać bezczynnie w rozmaitych miastach Europy, powinna-by zamieszkać w dobrach swoich, wziąć sobie do pomocy kogoś umiejętnego i doświadczonego i nietylko część znacznych jeszcze dochodów swych, ale czas swój i pracę poświęcić na podniesienie z gruzów tego, co upadło, na wydobycie z ziemi tego, co zaniedbaném zostało. Przy staraniach takich, wytrwale prowadzonych, dobra jéj, według zdania ludzi kompetentnych, mogły-by za lat kilka przynosić bardzo poważną sumę trzydziestu tysięcy rubli, wtedy, gdy obecnie przynosiły zaledwie dziesięć.

Słuchała mię z dziwnym jakimś, na-pół smętnym, na-pół wzgardliwym uśmiechem na ustach.

— Trzydzieści tysięcy rocznego dochodu — odparła po — chwili, rzecz to wistocie bardzo ładna. Chciała-bym posiadać tyle, aby raz na zawsze otrząść się z kłopotów, które mi są wstrętnemi, i módz cokolwiek dobrego uczynić ludziom. Ale — dodała — bądź pan pewny, że dla zdobycia choćby dziesięć razy większych bogactw, nie poświęciła-

bym ani jednego dnia mego życia. Gdybym je posiadła, była-bym trochę spokojniejsza, niż teraz jestem; ale starać się o powiększanie ich, myśléć nieustannie o pieniądzach, o, nigdy! raczéj-bym z głodu umarła, niż-bym dobrowolnie zmateryalizowała w ten sposób myśl, uczucia i całe istnienie moje!

I znowu nie wiedziałem, czy mam zaśmiać się i odejść, czy téż do dna zbadać tę komiczną z pozoru, tragiczną w gruncie istotę ludzką, którą miałem przed sobą. Pomimo wszystkiego zresztą, nie mogłem obronić się od uczucia litości i sympatyi! Na szczęście miałem dnia tego dość czasu. Podniosłem więc znowu przedmiot rozmowy o parę stopni wyżéj, i uczyniłem małą wycieczkę w krainę ekonomii. Starałem się wytłómaczyć pani Luizie, że, podnosząc wartość majątku swego, zwiększając o wiele jego produkcyą, nie zniżyła-by myśli i uczuć swych do tak nizkiego, jak sądziła, poziomu, pracowała-by bowiem nietylko dla siebie, ale i dla ogółu.

— W tak ubogim szczególniéj i pierwotnie uprawianym kraju, jak jest nasz — mówiłem — każda szmata jałowego dotąd pola użyzniona, każde drzewo od zagłady uchronione, każda okrucha życia i dostatku, stworzona tam, gdzie panowała wprzódy martwość i pustka — stanowią ważną przysługę, tak materyalnéj, jak i moralnéj natury, ogółowi wyświadczoną. Materyalnie powiększają one dobrobyt ogółu, moralnie — udzielają innym przykładu, nauki, zachęty!

Z samego już wyrazu twarzy słuchającéj mię kobiety wnieść mogłem, iż nic a nic mnie nie rozumiała; jakoż po

chwilowém milczeniu, rzekła:

— *Vous me parlez en grec!* nie pojmuję, coby ogół skorzystać mógł na tém, jeśli-by majątek mój dawał większe, niż teraz, dochody. Była-bym bogatszą, to prawda, ale czyż przez to sąsiedzi moi stali-by się także bogatszymi lub szczęśliwszymi!

Rzecz to była szczególna doprawdy i ciekawość obudzająca; jak bardzo umysł kobiety téj, tak bystry i przenikliwy, gdy szło o rozpoznawanie i odgadywanie najsubtelniejszych odcieni, najzawikłańszych zagadek piękna, tępym był i ciężkim wszędzie, gdzie szło o choćby najprostszą, najelementarniejszą prawdę. Najzawilszy akord, najmisterniejsza linijka, najdelikatniejszy światłocień, w kompozycyach muzycznych lub malarskich zawarty, były dla niéj najzupełniéj zrozumiałemi, ale wszelkie pojęcie naukowe, wszelki, choćby zupełnie prosty, powszedni fakt życiowy, stawały przed nią w postaci Sfinxa. Na Sfinxa tego patrzała ona przez chwilę pięknemi swemi, zdumieniem rozszerzonemi oczyma, poczém wymawiała z cicha: nie rozumiem! i najlżejszego nie zadając sobie trudu, aby zrozumiéć, oddalała się od niepojętéj dla siebie zagadki, ze smętnym uśmiechem na ustach i wzgardliwém wzruszeniem ramion.

I teraz także rzekła po chwilowém milczeniu:

— Nie przekonałeś mię pan wcale. Żaden z tych celów życia, które mi pan przedstawiłeś, nie jest dla mnie stosownym ani możliwym. Zbieranie pieniędzy i zakładanie szkółek dla chłopskich dzieci nie może przynieść mi żadnéj ulgi ani przyjemności. Potrzeba mi czegoś więcéj —

przywiązania jakiegoś, wielkiéj czyjéj przyjaźni, zupełnego podziału z kimś uczuć moich... ale niestety! samotną i smutną byłam zawsze, samotną i smutną żyć mi i umrzéć przyjdzie!

— Nie pojmuję jednak — dodała z nowym wybuchem, — za co jestem tak nieszczęśliwą! O ile wiem, nie uczyniłam nigdy nic złego...

— Nie czynić dobrze, kiedy się ma możność po temu — rzekłem — jest to już czynić źle!

— Mój Boże! — odpowiedziała — alboż ludzie o wszystkiém wiedzieć mogą? Nie mam przecież kamiennego serca i wyświadczam cierpiącym, jakie mogę przysługi...

— Co znaczy — przerwałem — że obdarzasz pani hojnie trzy te kobiety, które tak często u pani widuję?

— Alboż nie są one bardzo biedne? — wymówiła z litością.

— Zapewne — odparłem. — Jedna z nich za otrzymywane od pani pieniądze kupuje sobie różne kosztowne przysmaki, bo jest żarłoczną; druga sprawia aksamitne paltoty, bo ma pociąg do elegancyi; trzecia zaś, kolega mój żeńskiego rodzaju, składa je pilnie do sakiewki, w któréj znajduje się już spory uciułany fundusik.

— Nie wierzę temu — zawołała z uporem, — są to bardzo biedne, samotne, jak ja, dobre i wdzięczne istoty. Zresztą, co mi do tego, na co obracają pieniądze, które ja daję...

— Co znaczy — przerwałem znowu — że zamiast dopełniać dobrego uczynku, wspierasz pani próżniactwo, i udzielasz zachęty nikczemnéj żebraninie, pociągając za

sobą miłe następstwa takie jak: plotkarstwo, pochlebstwo, pobożnisiostwo i t. d.

Nie skończyłem jeszcze wymawiać tych wyrazów, gdy uchyliła się blado błękitna portyera, a z-za niéj ukazały się z kolei twarze i postacie trzech kobiet, o których mówiłem. Po błyszczących ich oczach i zaciśnionych wargach poznałem, że słyszeć musiały zdanie, które o nich wyraziłem. Dygając i uśmiechając się, rzucały na mnie jadowite, nienawistne spójrzenia, które jednak zwróciły się wkrótce na punkt inny. Punktem tym był zwój asygnat, który przed panią Luizą, przyniesiony przeze mnie, na stole leżał. Wywierał on na wzrok ich czarodziejski niby wpływ przyciągania, to téż pewny byłem, iż znaczna część jego przejdzie niebawem do ich kieszeni. Przybyły tak razem, aby, jak wyrażały się, rozerwać trochę panią hrabinę. W istocie, gdy wnet potém opuściłem mały salonik pani Luizy, w drugim czy trzecim salonie doleciały do uszu moich zmieszane ich głosy, z których każdy na wyścigi z innemi, rozmowę jakąś lub opowiadanie rozpoczynał. Panna Zuzanna chciała, jak mi się zdawało, opowiadać pani hrabinie o cudownym, proroczym śnie jakimś, który wyśnił się jéj zeszłéj nocy; pani Mięcicka przerywała koleżance, dowodząc, że nierównie ciekawszą od snu była okropna jakaś, przerażająca sprawa kryminalna, któréj dnia tego na posiedzeniu sądowém wysłuchała; ale najbliżéj gospodyni domu, któréj wdzięczną, na-pół leżącą na kanapie, postać, przez drzwi otwarte widziałem, umieściła się wyniosła i wytworna pani Kuniewiczowa, a pochylona nad dobrodziejką swą, szeptała jéj o czémś bardzo cicho, o

czémś, co zdwojoną bladość rzucało na lica słuchającéj i chmurnym wyrazem napełniało jéj źrenice. Nie miałem najmniejszéj wątpliwości, że wyniosła dama w axamitnym paltocie opowiadała téj, za któréj pieniądze paltot ten kupiła, o świetnéj kawalkadzie konnéj, która dnia tego, przebiegając po kilka razy miasto nasze, była dla całéj ludności jego przedmiotem rozmów i podziwu, a na któréj czele, na dzielnych rumakach i ze zwróconemi ku sobie wesołemi twarzami, jechali: książę Jaś i młodziutka, piękna, zalotna hrabianka Julia.

Szumna owa przejażdżka konna, która tyle hałasu i przelicznych komentarzy wśród ludności miasta naszego sprawiła, miała być ostatnią już przyjemnością, którą książę Jan podzielał z liczném a świetném towarzyskiém gronem, podówczas w mieście bawiącém.

Nazajutrz stary książę Andrzéj niebezpiecznie zachorował. Skoro tylko uwiadomiono mię o tém, udałem się do pałacu księcia, aby bliższe powziąć wiadomości o zdrowiu człowieka, który z wielu rozmaitych względów obchodził mię żywo. W piérwszym zaraz salonie ujrzałem kilku miejscowych lekarzy, odbywających cichą a żywą naradę. Z jednym z tych, z tym właśnie, który był stałym lekarzem księcia, zostawałem w bliskich i serdecznych stosunkach.

— Co jest księciu? — zapytałem, odprowadzając go na

stronę.

— Rzecz niezmiernie rzadko zdarzająca się w tak podeszłym wieku — ospa.

Zaledwie lekarz wymówił ostatni wyraz, gdy drzwi otworzyły się na oścież i do salonu wbiegła szybko pani Luiza. Dowiedziawszy się o niebezpiecznéj chorobie księcia, nie pomyślała snadź nawet o staranném ubraniu się. Miała na sobie ten sam czarny axamitny szlafroczek, w którym najczęściéj spędzała u siebie poranne godziny, a tylko na ramiona zarzuciła jakąś fałdzistą, malowniczo ułożoną draperyą koloru nieba. Piękne jéj włosy były w nieładzie. Zgarnęła je wszystkie z tyłu głowy w olbrzymi węzeł, z którego na plecy jéj wymykały się miękkie i lśniące pasma. Łzy miała w oczach i wyraz gorącego niepokoju na liliowo białéj twarzy. Nie witając nikogo, zapominając jakby o wszystkich i wszystkiém na świecie, przebiegła szybko salon i pochwyciła rękę lekarza.

— Co jest księciu? — zapytała stłumionym głosem.

Lekarz powtórzył wymienioną już wprzódy nazwę strasznéj choroby. Usłyszawszy ją, drgnęła całém ciałem i oczy sobie dłonią przysłoniła.

— Czy... — zapytała bardzo cicho — niebezpieczeństwo śmierci zagraża księciu?

Lekarz nie mógł i nie chciał taić, iż wiek podeszły chorego zwiększał ogromnie złe szanse téj niebezpiecznéj zawsze choroby. Pani Luiza stała przez parę minut, jak skamieniała. Nagle odsłoniła oczy, z których spłynęły dwie grube łzy. Twarz jéj była w téj chwili zmienioną do niepoznania. Okrywał ją wyraz stanowczo powziętego

mężnego jakiegoś postanowienia.

— Panie! — zaczęła, zwracając się do lekarza — książę nie ma córki, która-by nad nim czuwać mogła... Najemne dłonie nie zdołają otoczyć go troskliwością taką, jaka otaczać go powinna... Pozostaję tu i czuwać będę nad chorym!

Mówiąc to, zdjęła z ramion fałdzistą błękitną draperyą, rzuciła ją na sprzęt najbliższy i szybkim, zręcznym ruchem podjęła długi ogon axamitnéj swéj sukni, aby, ciągnąc się po posadzce, nie sprawił niepotrzebnego szelestu.

— Jestem gotową — rzekła, zwracając się do lekarza — chciéj mię pan zaprowadzić do pokoju chorego i udzielić mi szczegółowych objaśnień co do sposobów czuwania nad nim!

Byliśmy wszyscy zdumieni i przelęknieni niemal tém szybkiém a stanowczém jéj postanowieniem.

— Pani — ozwał się lekarz — obowiązkiem jest moim ostrzedz panią, iż choroba jest zaraźliwą...

— Wiem o tém — przerwała z lekką niecierpliwością.

— Dla pań szczególniéj — ciągnął lekarz — przedstawia ona niebezpieczeństwo podwójne...

— Wiem o tém, — powtórzyła — ale wszelkie niebezpieczeństwa, które grozić mi mogą, nie zmieniają bynajmniéj postanowienia mego. Książę był najbliższym przyjacielem mego ojca. Od najpiérwszych dni dzieciństwa, nie pamiętam czasu, w którym-bym go nie znała i nie widywała codziennie niemal. — Zatrzymała się na chwilę. Potém podnosząc głowę, rzekła z dziwném pomieszaniem dumy i tkliwości:

— Był czas, w którym wszyscy ludzie na ziemi opuścili mię... nikt mi nawet przyjaznego spojrzenia dać nie chciał... On jeden nie uwierzył nigdy w złe wieści, krążące o mnie... on mię nigdy nie opuścił i był dla mnie jednostajnie zawsze dobrym przyjacielem i opiekunem. Gdyby miał córkę, byłabym niepotrzebną, ale książę ma tylko syna... Czuwanie zaś nad chorymi nie jest zadaniem mężczyzny... Proszę więc pana... pójdźmy do chorego!

Rzekłszy to lekkiém skinieniem głowy pożegnała kilkanaście obecnych w salonie osób, i szybkim, cichym krokiem oddaliła się w głąb' obszernego a dobrze znanego jéj mieszkania.

Postanowienie jéj było tak szybko powzięte, mężne, bohaterskie niemal, była ona tak piękną z tym rumieńcem wzruszenia, który oblał jéj twarz liliową, i z tym ogniem zapału, który rozpalił szafirowe jéj źrenice, że wśród zebranych osób rozszedł się ogólny cichy szmer uwielbienia, a i ja sam, który wczoraj jeszcze nazywałem ją w myśli niedołężną istotą, dziś — podziwiać ją musiałem.

Ze szczerym niepokojem zapytywałem potém o nią lekarza, który nieustannie prawie przebywał w domu chorego starca.

— Wiész pan — rzekł mi raz lekarz — kobieta ta sprawiła mi niespodziankę prawdziwą. Myślałem o niéj zawsze, że jest słabém, rozkapryszoném dzieckiem, a ona tymczasem okazała się teraz prawdziwą bohaterką miłości i poświęcenia. Dwa tygodnie już upływa, odkąd książę zachorował, a nie spostrzegłem ni razu, aby tkliwość jéj i czujność zmordowała się choćby na chwilę. Nie wiem, czy

śpi kiedykolwiek, wiem tylko, że nie położyła się do łóżka ni razu. Wszystkie zlecenia moje spełnia z przedziwną zręcznością i pojętnością. Wierzaj mi pan, że światowa kobieta ta, jest z natury swéj siostrą miłosierdzia.

Innego dnia, kiedy chory miał się już znacznie lepiéj, lekarz przyprowadził mię do drzwi jego pokoju i uchylił je trochę.

— Spójrz pan — rzekł — jest to widok rozrzewniający?

Patrzałem i oczu moich oderwać nie mogłem od téj przedziwnie wdzięcznéj postaci niewieściéj, która, w głębi ocienionego pokoju nad łożem chorego schylona, białą swą dłonią przykładała mu do ust szklankę z chłodzącym i leczącym napojem. Blada bardzo od trudów i wzruszeń, twarz jéj posiadała w téj chwili niewymowny urok skupionéj w sobie głębokiéj czułości, na delikatnych ustach spoczywał uśmiech smętny a słodki.

— Czy to ty, Luizo? — słabym głosem zapytał chory.

— Ja, mój ojcze! — odrzekła cichym szeptem i, pochylając się niżéj jeszcze, przyłożyła blade usta swe do rozrzuconych na poduszce srebrnych włosów starca.

Oddaliłem się z cicha, ale długo potém przed oczyma memi stał wciąż obraz pani Luizy, w czarnéj szacie i z rozrzuconemi włosami, z liliowo białą twarzą i z łagodnym ogniem w oczach, schylonéj nad łożem boleści starego przyjaciela jéj ojca. Gdybym był podówczas młodszym i do serdecznych marzeń a zapałów skłonniejszym, mógł-bym, pomimo wszystko, co zkądinąd wiedziałem, szalenie się w niéj rozkochać. A książę Jaś? Książę Jaś płakał często, batystową, uperfumowaną chusteczką łzy ocierał i, o ile

mógł, unikał téj części domu, w któréj najłatwiéj pochwycić-by go mogła w swe szpony straszna dla wdzięków jego choroba. Przyznać trzeba, że ostatni z rzędu ideał pani Luizy znajdował się w tym wypadku bynajmniéj nieidealnie. Ona przecież nie spostrzegła snadź na *pięknéj i wybranéj duszy* jego skazy téj, którą widzieli wszyscy, albo téż za skazę jéj nie poczytała; bo gdy dla starego księcia niebezpieczeństwo wszelkie już minęło, gdy przechadzać się już począł po swym pokoju, wyszła po raz piérwszy do salonu, a ujrzawszy tam księcia Jasia, zapłoniła się jak róża i, wzrokiem tonąc w spojrzeniu młodzieńca, wydawała się być żywcem porywaną do nieba. Była tak zmęczoną, że zaledwie mogła się utrzymać na nogach. Ogień gorączki błyszczał w jéj oku. Zbliżyła się przecież szybko ku synowi człowieka, do którego uratowania tak dzielnie się przyczyniła i, podając mu rozpaloną swą rękę — szepnęła:

— Bóg nam go oddał!

— Dzięki pani! — odszepnął młody książę i z żywą wdzięcznością rękę jéj ucałował.

Gwałtowne wzruszenie, jakie sprawiło jéj to czułe z nią obejście się jéj ideału, przeniosło zmęczone jéj siły. Zarumieniła się do szkarłatu, potém zbladła jak marmur, uśmiechnęła się przez łzy do księcia Jasia — i zemdlała.

Dzięki szczęśliwéj fizycznéj organizacji swéj i przedsięwziętym ostrożnościom, pani Luiza nie uległa chorobie, na którą tak bardzo narażoną była. Przez parę tygodni jednak, które upłynęły od powrotu jéj do domu, widzieć się z nią nie mogłem. Ile razy do drzwi jéj zapukałem, mówiono mi zawsze, iż czuje się słabą i z nikim

widzieć się nie może.

Po wielkiém wyczerpaniu sił, które poniosła, było to bardzo naturalném, jakkolwiek z innéj strony wiedziałem, że książę Jaś bywał znowu codziennym jéj gościem i przepędzał z nią tyle czasu, ile mu go pozostawało od towarzyszenia ojcu, zwolna przychodzącemu do zdrowia. Ale ideały mają zazwyczaj odrębne swe prawa. Nie byłem tym razem zazdrosnym o nie, lecz niepokoiłem się nieco złym obrotem, jaki przybierać poczęły interesa pani Luizy. Wierzyciele jéj oblegali mię formalnie, jako pełnomocnika swéj dłużniczki, upominając się o zwrot swoich należności. Było ich więcéj, niż spodziewać się mogłem. Prawdopodobnie ona sama posiadała o liczbie i znaczeniu ich bardzo niedokładną tylko wiadomość. Zacząłem teraz już lękać się naprawdę ostatecznéj ruiny dla słabéj téj i niezaradnéj istoty. Obowiązkiem moim było obmyślić środki ratunku, to téż wynalazłem ich kilka. Ale bez osobistego porozumienia się z osobą interesowaną działać nie mogłem, dlatego oczekiwałem niecierpliwie dnia, w którym przyjąć mię będzie mogła.

Długo jednak pani Luiza nie przyjmowała nikogo wcale, oprócz księcia Jasia, lekarza i trzech kobiet, które pozorami ubóztwa i bezczelném pochlebstwem zyskały sobie jéj współczucie i łaskę. Kobiety te były teraz w dziwnym a ustawicznym ruchu, który nie mógł nie zwrócić uwagi mojéj. Widywałem je na ulicy, jak schodziły się ze sobą w blizkości mieszkania pani Luizy i szeptały o czémś tajemniczo i długo. Panna Zuzanna wychodziła kilka razy z mieszkania pani Luizy w chwili właśnie, gdy nieprzyjęty od

drzwi jéj odchodziłem, i witając mię uniżonemi na pozór dygami, rzucała na mnie z pod żółtéj swéj powieki jadowite, tryumfujące spojrzenia. Pewnego dnia jednak zdziwiony zostałem, widząc panią Mięcicką opuszczającą mieszkanie méj klientki w towarzystwie człowieka, którego unikałem, o ile mogłem, a spotykać przecież często i znać dobrze musiałem, ponieważ był, tak jak i ja, prawnikiem, ale tylko, najgorszą posiadającym opinią, znanym powszechnie obrońcą wszelkich spraw i sprawek brudnych, pogmatwanych, któremi ani ja, ani inni ledzy moi, za żadne na świecie pieniądze rąk swoich i sumienia splamić-by nie chcieli. Była to zresztą tak zewnętrznie, jak wewnętrznie, mizerna i wstrętna niesłychanie figurka.

Mały, zgarbiony, w czarny wązki surdut, od głowy do stóp prawie opięty, z przebiegłemi małemi oczkami i brzydko pomarszczoném czołem, wyglądał on na to, czém był w istocie, więc na krętacza, intryganta, filuta i chciwca. Nie był jednak bez sprytu i zdolności niejakich. I owszem, lepiéj, niżli kto inny, tysiąc razy od niego rozumniejszy, potrafił-by to uczynić, umiał on wmawiać w ludzi wszystko, co chciał, przymilać się, otumaniać, oplątywać ofiarę swą najróżnorodniejszemi nićmi i wysysać z niéj zyski dla siebie póty, dopóki tylko wysysanie to nie spotykało się z kodexem kryminalnym. Spotkania się z kodexem unikał starannie, a tak zręcznie, że tam, gdzie kto inny uczernił-by się bezpowrotnie, on ukazywał się z minką niewinną — czysty od zmazy wszelkiéj — jak anioł. Nikt z ludzi zamożniejszych i wykształceńszych nie powierzał mu spraw swych, żaden człowiek, znający go trochę a uczciwy,

nie podawał mu ręki.

Co nędznik ten czynić mógł u pani Luizy? Było to pytanie, które zadawałem sobie, dzwoniąc do drzwi jéj przedpokoju i przez okno, umieszczone nad schodami, widząc, jak pani Mięcicka wbiegła na dziedziniec domu i, wraz z towarzyszem swym stanąwszy w najdalszym jego kątku, szeptać z nim poczęła bardzo żywo, co chwila na okna pani Luizy spoglądając.

Tym razem przyjętym zostałem. Pani Luiza spotkała mię w swym ulubionym, błękitnym saloniku, dość uprzejmie, ani w części jednak nie tak serdecznie i przyjaźnie, jak witała mię dawniéj. Nie zwróciłem z razu na to uwagi. Przed oczyma miałem jeszcze wciąż chwilę tę, w któréj widziałem ją tak mężnie, z takiém poświęceniem i zapomnieniem o sobie, czuwającą nad starym swym przyjacielem. Uścisnąłem gorąco dłoń jéj i, upoważniony zaufaniem bez granic zda się, które przed dwoma tygodniami okazywała, uczyniłem aluzyą do ostatniéj naszéj rozmowy.

— Zdaje mi się — rzekłem z uśmiechem, — że odkryłem stosowny dla pani a wzniosły cel życia. Powinnaś pani zostać Siostrą Miłosierdzia.

Wyobrażałem sobie, że mówię jéj rzecz bardzo dla niéj pochlebną; ona przecież słowa moje przyjęła z niespodziewanym chłodem.

— O nie! — odparła z ironicznym trochę uśmiechem, — nie potrafiła-bym nigdy zdobyć się na tyle poświęcenia...

— A jednak — wtrąciłem — przy łożu chorego księcia dowiodłaś pani...

— O! to wcale co innego! — wtrąciła — księcia Andrzeja kocham i czczę, jak najlepszego ojca... ale względem ludzi obcych, nieznanych mi, nie potrafiła-bym nigdy spełnić podobnego zadania. Zresztą — dodała z lekką, jak mi się zdawało, urazą w głosie — nie jestem tak nieszczęśliwą, nie jest mi tak źle na świecie, abym potrzebowała wstępować do klasztoru.

Więc nie była już nieszczęśliwą, nie było już jéj źle na świecie! Rozumiałem wybornie tę zmianę usposobień. Być może, iż dopełniony względem księcia dobry uczynek mimo wiedzy jéj wytworzył na dnie serca i sumienia trochę spokoju i zadowolenia moralnego. Najpewniéj jednak zmianę tę sprowadził wyjazd z miasta hrabianki Julii i codzienne znowu długie a wspólne podróżowanie z księciem Jasiem po krainach sztuki, marzeń i przyjaźni, podobnéj niezmiernie — do gwałtownéj namiętności.

Nie mogłem zresztą nie spostrzedz wyraźnego bardzo chłodu, który wiał z całego obejścia się ze mną pani Luizy. Zadawała sobie widoczny przymus, aby być dla mnie serdeczną jak dawniéj, ale udawać nie umiała. Wrażliwa jéj natura zdobyć się nie mogła ani na jednę chwilę obłudy. Tajemnicza uraza jakaś i gniewne rozdrażnienie dźwięczały w jéj głosie i malowały się na twarzy, gdy rozmawiała ze mną. Z większą jednak niż zwykle cierpliwością i uwagą słuchała mnie, gdy przedstawiałem jéj rozpaczliwy prawie stan majątkowych jéj interesów; lecz uśmiechała się dziwnie jakoś podejrzliwie i niedowierzająco, gdy mówić zacząłem o środkach ratowania jéj majątku, które obmyśliłem, a które wydawały mi się o tyle niezawodnemi,

o ile ze wszech stron uczciwemi. Gdy skończyłem mówić, wstrząsnęła głową przecząco.

— Nie — rzekła — wszystko to, co pan mi proponujesz, jest zbyt skomplikowane i niezrozumiałe dla mnie. Trzebaby zresztą na to wiele czasu, a ja go do stracenia nie mam. Wiem o innym środku wybawienia się z tych nieznośnych kłopotów, daleko prędszym i prostszym. Oddam Żmurowszczyznę w dzierżawę komuś, kto mi zapłaci za nią dwa razy prawie tyle, ile płaci pan Łudziński...

Myślałem, żem źle usłyszał.

— Ależ — rzekłem — jest to właśnie środek, który najpóźniéj ze wszystkich przedsiębrany być może. Dzierżawa Żmurowszczyzny służy panu Łudzińskiemu według brzmienia kontraktu przez lat pięć jeszcze.

— Cóż stąd — rzekła — wiem dobrze, iż kontrakt ten jest niezupełnie formalnym i zerwać go mogę, kiedy tylko zechcę.

Wymówiła to z takim spokojem i z tak doskonałą naiwnością osoby, która nie rozumié sama tego, co mówi, że oniemiałem z razu ze zdumienia. Po chwili zrozumiałem, iż nakształt papugi powtarzała ona słowa, usłyszane od pani Mięcickiéj i samego jéj wspólnika.

— W istocie — odrzekłem — kontrakt zawiera nieformalności pewne, które unieważnić go mogą wobec prawa. Czy jednak wobec sumienia pani może on być nieważnym, zostawiam to już jéj własnemu sądowi.

Wzruszyła lekko ramionami.

— Nie pojmuję — rzekła — jaką rolę odegrać tu może sumienie moje. Alboż majątek mój nie należy do mnie i

czyż nie mam prawa oddać go w dzierżawę temu, kto mi za niego ofiaruje więcéj? Nie jest przecież obowiązkiem moim wzbogacać człowieka, zupełnie mi obcego, a który w dodatku rozsiewa o mnie po świecie różne wcale nieuczciwe plotki.

— Upewniam panią — rzekłem — że pan Łudziński zanadto uczciwym i pracowitym jest człowiekiem, aby miał chęci i czas bawić się plotkami.

— O! — odparła z goryczą — znam innych ludzi pracujących, którzy jednak mają dość czasu, aby odpłacić złem za dobre i nadwerężać sławę kobiety, która w niedoświadczeniu swém ofiarowała im przyjaźń swą i zaufanie.

Nie mogłem mylić się. Był to tym razem kamyczek do ogrodu mego rzucony. Była to potworna i nieprawdopodobna plotka jakaś, wciśnięta pomiędzy mnie a kobietę, któréj interesów gorliwie bronić chciałem. O tłómaczeniu się jakiémkolwiek nie pomyślałem nawet. Wydawało mi się ono śmieszném i poniżającém mię wszechstronnie. Pani Luiza zresztą mówiła dnia tego wiele z rodzajem gorączkowego zmieszania i uniesienia.

— Mam nadzieję — rzekła — że pan zechcesz postarać się o zerwanie tego tam kontraktu i wydzierżawienie Żmurowszczyzny izraelicie, który mi ofiaruje znaczną sumę...

— Nie pani — odrzekłem stanowczo — jakkolwiek rad był-bym służyć jéj radą i pomocą moją, w tym wypadku żądania pani nie spełnię.

— Dlaczego? — zapytała na-pół naiwnie, na-pół

niecierpliwie.

— Dlatego, że wszelkie zrywania raz zawartych umów i kontraktów uważam za rzecz nieuczciwą, témbardziéj, jeśli, jak w obecnym razie, dzierżawcy nic wcale nie można miéć do zarzucenia.

— Oprócz tego, że wyzyskuje mię i w dodatku obmawia — wtrąciła z ironicznym uśmiechem.

— Obmowę — rzekłem — odłóżmy na stronę, po piérwsze, jako rzecz w wypadku tym nieistniejącą, następnie, jako sprawę czysto prywatnéj, osobistéj natury. Jedynym względem, na który tu zważać należy, są prawa pana Łudzińskiego...

— Prawa pana Łudzińskiego do majątku, który jest moją własnością? — zapytała.

— Prawa jego do dzierżawienia majątku pani — odpowiedziałem. — Pan Łudziński brał w dzierżawę na lat dziewięć i urządzał się stosownie. W piérwszych latach czynił w zrujnowanym majątku wielkie wkłady, z nadzieją zwrotu ich i korzyści w latach następnych. Jeżeli pani zerwiesz teraz zawartą z nim umowę, położenie państwa będzie następujące: pani otrzymasz majątek swój w stanie ogromnie ulepszonym i otrzymywać będziesz wszelkie z ulepszeń tych zyski; pan Łudziński zaś, który ulepszeń tych kosztem funduszu swego i pracy swéj dokonał, zostanie najzupełniéj zrujnowanym.

Zastanowiła się nieco nad słowami memi. Być może, iż zrodził się w niéj skrupuł jakiś, lub obudziła się litość nad człowiekiem, którego pogrążyć chciała w odmęt trosk, a może i nędzy. Po chwili jednak zamyślenia podniosła głowę

i rzekła:

— Gdyby nawet i tak było, jak pan mówisz, czemu jednak, przebacz mi pan, że powiem, uwierzyć zupełnie nie mogę; jestem słabą, osamotnioną kobietą, pan Łudziński zaś jest młodym, zdrowym i pełnym sił mężczyzną, ruina więc majątkowa bez porównania straszniejszą jest dla mnie, niż dla niego.

Było to rozumowanie, co najmniéj szczególne. Zdobyłem się jednak na cierpliwość i odpowiedziałem w sposób jak najwięcéj przekonywający, iż nie idzie tu o większą lub mniejszą słabość lub o siłę czyją, ale poprostu o sprawiedliwość.

Być może, iż w bardzo malutkiéj cząstce zrozumiała nieuczciwość postępku, którego dopuścić się chciała. Zamyśliła się bowiem znowu na chwilę.

— Boże mój — wymówiła nagle i z żalem — za co znowu ja to właśnie mam być ofiarą wszystkiego i wszystkich ludzi, którzy używają majątku mego i wzbogacić się chcą moim kosztem, sprawiedliwości, uczciwości i wszystkich słowem wyrazów, które w mowie ludzkiéj istnieją! Nie chciała-bym zapewne, aby ktokolwiek cierpiał przeze mnie, ale dlaczegóż ja znowu cierpiéć mam przez wszystkich i wszystko. W obecnym wypadku nie mogę w żaden sposób uczynić inaczéj. Mam długi, które zapłacić mi trzeba i muszę mieć dość pieniędzy, aby najdaléj za miesiąc wyjechać do Paryża. Prędzej umrę — dodała z mocą — niż pozostanę tu dłużéj, jak miesiąc!

Zrozumiałem znaczenie słów jéj. Wiedziałem, że książę Andrzéj wraz z synem swym za miesiąc wyjeżdżał do

Paryża. Nie mogłem przecież powstrzymać się od uczynienia jednéj jeszcze uwagi.

— Chciéj pani przyznać — rzekłem — iż pan Łudziński nic wcale nie winien temu, że pani masz długi, i że za miesiąc życzysz sobie kraj opuścić!

— Nie winien! — zawołała — jakto? Gdyby przecież pan Łudziński nie wydzierżawił majątku mego na tak złych dla mnie warunkach, nie była-bym zmuszoną zaciągać długi i mogła-bym rozporządzać się czasem i osobą moją według własnych chęci mych i potrzeb.

Rozmowa z kobietą tą o wszystkiém, co nazywało się interesem, lub jakimkolwiek faktem życiowym, czy rozumowym, była niczém inném, jak laniem wody w naczynie, dna niemające. Zniecierpliwiony téż a trochę i oburzony, powstałem i żegnałem się. Nagle na twarzy jéj odmalował się żal. Podała mi rękę.

— Panie Rolicki! — rzekła — byłeś pan przez czas jakiś bardzo dobrym dla mnie! Miałam dla pana tyle przyjaźni, tyle zaufania...

— Cenić je umiałem i nie zdradziłem ich nigdy — odrzekłem.

— Nie mówmy o tém, — odparła, spuszczając oczy, i z budzącą się nową urazą, — ale... przykro-by mi było... doprawdy przykro bardzo, jeśli-bym zmuszoną była... Nie, pan nie opuścisz mię i teraz jeszcze... nieporozumienia chwilowe usuwać można... ja postaram się zapomnieć o wszystkiém... Chciéj pan urządzić interes ten z Łudzińskim.

— Przebacz pani, — przerwałem, — ale urządzić go w myśl pani nie będę mógł i nie zechcę nigdy.

Wysunęła rękę swą z méj dłoni i, oddawszy mi lekki, bardzo zimny ukłon, osunęła się na kanapę.

Zstępując ze wschodów, mimowoli spojrzenie rzuciłem w okno. W kącie dziedzińca ujrzałem panią Mięcicką, stojącą z przygarbionym i przebiegle uśmiechającym się swym towarzyszem. Szeptała mu wciąż o czémś bardzo żywo, on zaś trzymał za klapę surduta brodatego izraelitę, który z nachyloną twarzą zdawał się chciwie a pojętnie słuchać nauk jakichś, czy objaśnień, udzielanych mu przez okropną tę parę. Wszyscy troje spoglądali od czasu do czasu ku bramie domu. Wyraźnie oczekiwali z niecierpliwością chwili, w któréj dom ten opuszczać będę.

Nazajutrz otrzymałem od pani Luizy liścik, zamknięty w welinowéj, pachnącéj kopertce, w którym, w wyrazach ceremonialnych i nadzwyczaj niezręcznych, dziękowała mi za oddane jéj przysługi, oświadczając zarazem, iż z żalem wielkim wyrzec się ich musi na przyszłość. O umówioném honoraryum nie było najlżejszéj wzmianki. Zapomniała snadź o niém, albo téż najpewniéj, pamiętając o poufnych stosunkach, które mię z nią przez czas jakiś wiązały; wstydziła się posyłać mi otwarcie pieniądze. Tegoż dnia jeszcze, przyszedłszy do biura dowiedziałem się, że pani Luiza cofnęła urzędownie, wydane mi dawniéj, pełnomocnictwo, a udzieliła go w zamian najnędzniejszemu, przez wszystkich uczciwych ludzi

wzgardzonemu, krętaczowi i pokątnemu prawnemu doradcy. Spotkałem się z nędznikiem tym w jednéj z sal biura. Minę miał tryumfującą i uradowaną, w ręku trzymał urzędowy papier, zawierający pełnomocnictwo, zdobyte intrygą, a obiecujące mu plony obfitsze, niż je miał kiedykolwiek, od któréjkolwiek z licznych swych, zbyt łatwowiernych, ofiar. Dokoła tryumfującego człowieka tego kręciła się pani Mięcicka, szepcąc mu coś ustawicznie do ucha, a niekiedy wygrażając palcem. Układali się o podział ze spodziewanych zysków. W parę dni potém wpadł do mieszkania mego Władysław Łudziński, i z trwogą niewymowną oznajmił mi, że ze strony pani Luizy uczynione zostały kroki prawne, do złamania kontraktu dzierżawczego zmierzające.

— Ratuj mię, — zawołał, — idź do niéj, przemów do jéj sumienia!

W odpowiedzi pokazałem mu ostatni list, od byłéj méj klientki otrzymany. Nie mogłem téż ukrywać przed nim, że sprawa jego była zrozpaczoną; że prawo, tłómaczone szczególniéj przez nowego pełnomocnika pani Wielogrońskiéj, wyrzecze niezawodnie na jego niekorzyść.

Biedny chłopak był w prawdziwéj rozpaczy. Cios, który na niego spadał, dotykał go nietylko materyalnie. Nabawiał go on trwogą o osoby ukochane, łamał najdroższe serdeczne jego nadzieje.

— Gdybym był sam jeden na świecie! — mówił, ujmując w dłonie pobladłe czoło, — ale stara matka moja... młode siostry, mali bracia... Cóż z nimi uczynię? jak wystarczę teraz na utrzymanie ich i wychowanie?

Nie mówił o tém, że z tak srodze zachwianą pozycyą majątkową nie mógł miéć nadziei prędkiego połączenia z kobietą, na którą czekał oddawna już, któréj miłość dopomogła mu do stania się dzielnym, pracowitym człowiekiem.

Jakoż w kilka tygodni potém, dzierżawca Żmurowszczyzny wraz z rodziną swą został sądownie wydalony z majątku pani Luizy. Miejsce jego zastąpił izraelita, protegowany przez panią Mięcicką i wspólnika jéj, a protekcyą tę hojnie zapewne opłacający.

W tym samym prawie czasie, książę Andrzéj z synem swym, księciem Jasiem, i z chrzestną córką swą, panią Luizą, wyjechali za granicę.

Na tém skończyły się stosunki moje z tą dziwną kobietą, o któréj ilekroć potém myślałem, doświadczałem zawsze takiego uczucia, jakbym na wzór owéj tradycyjnéj panny młodéj rozplątywać miał motek okrutnie splątanego jedwabiu. Była to w istocie plątanina szczególna najróżnorodniejszych cech charakteru i umysłu, był to wcielony chaos, uosobiona niekonsekwencya, było to, słowem, żyjące stwierdzenie przysłowia, dowodzącego, że kobieta jest Sfinxem. Nigdy przecież nie podzielałem mniemania ludzi, którzy utrzymują, iż z natury swéj kobiety muszą być Sfinxami. Dlatego téż osobistość pani Luizy uważałem za sztucznie wykrzywioną i okaleczoną zgubnemi pierwiastkami, które w życiu jéj panowały, i nie mogłem obronić się od uczucia pewnéj nad nią litości.

Dochodziły mię o niéj od czasu do czasu wieści różne. Nie przyjeżdżała już wcale do kraju. Mieszkała w Paryżu

póty, dopóki mieszkał tam książę Andrzej i syn jego. Ale po kilku latach, które od czasu przelotnéj znajomości méj z nią upłynęły, książę Jaś wstąpił w dozgonne małżeńskie śluby z jakąś piękną i bogatą margrabianką francuzką. Nie był to podobno dla pani Luizy tak srogi cios, jak wyobrażać-by sobie można; opowiadano mi bowiem, że syn księcia Andrzeja spadł był już przedtém z piedestału, na który go była wyniosła, i przestał być jéj ideałem. Być może, iż zaszła tam plotka jaka, podobna tym, dla których znienawidziła ona Łudzińskiego i mnie zaufanie swe odebrała. Sprawy jéj majątkowe popadały w stan coraz opłakańszy. Pełnomocnik jéj wprowadzał ją w coraz nowe, kosztowne procesa; dzierżawca izraelita obracać począł olbrzymiemi kapitałami; pani Mięcicka sprawiała córkom swym nadzwyczaj świetne i kosztowne toalety. Szczęściem dla pani Luizy zmarł kędyś na Wołyniu, czy Ukrainie, bezdzietny wuj jéj i pozostawił po sobie wielką fortunę, którą ona po nim odziedziczyła. Była więc znowu bogatą, miała za co jeździć po świecie, szukać ideału swego i bratniego sobie serca, skupywać olbrzymie ilości obrazów, mebli i drobiazgów, obdarowywać hojnie wszystkich, którzy tytułowali ją hrabiną, śpiewali na wszystkie tony jéj chwałę i bawili ją znoszeniem plotek lub opowiadaniami snów cudownych, spraw kryminalnych i innych tym podobnych, zadziwiających a nerwy jéj wstrząsających, historyi.

Myślałem, że nie zobaczę już jéj nigdy w mém życiu — stało się inaczéj.

Kilka miesięcy temu, w porze wakacyjnéj, dla zdrowia i wypoczynku podróżowałem za granicą, a znajdując się w jedném z miast włoskich, poszedłem obejrzéć słynną ze wspaniałości swéj i zawartych w niéj dzieł sztuki świątynią; trafiłem właśnie na chwilę, w któréj gmach ogromny i wyniosły rozbrzmiewał cały odprawianém tam z muzyką i śpiewami jakiémś nabożeństwem wieczorném. Widok, który miałem przed sobą, był w istocie czarującym. Wnętrze świątyni pustém było prawie. Nieliczne gromadki wiernych modliły się z cicha tu i owdzie. Ale w głębi wielki ołtarz pałał tysiącem roznieconych przed nim świateł, z kołyszących się w powietrzu kadzielnic płynęły w górę srebrzyste dymy i, przepełniając powietrze wonią upajającą, przezróczyste obsłony rzucały na śnieżne posągi, lśniące złocenia, koronkowe rzeźby i różnobarwne, po filarach i gzymsach ołtarza wijące się wieńce. Z wysokiego chóru płynęła poważna, przeciągle melodyjna muzyka organów, a towarzyszyły jéj męzkie, na-pół posępne, na-pół extatyczne, chóry kościelnych śpiewów.

Zapatrzony, zasłuchany, stałem długą chwilę wsparty o jeden z filarów smukłych, wyniosłych, usuniętych w dalszą i przejrzystym mrokiem napełnioną głębię świątyni. Nagle usłyszałem bardzo blizko mnie odzywające się stłumione łkanie. Obejrzałem się i zobaczyłem u stóp cudnie pięknego posągu, który, nie wiem już dobrze, jakiego świętego wyobrażał, kornie i w złamanéj jakby postawie klęczącą postać kobiecą. Postać ta pochyloną była nizko ku ziemi i

czoło swe wspierała na białych bardzo, rozpacznie jakby splecionych, a na podstawie posągu złożonych, dłoniach. Długa suknia z czarnego axamitu rozkładała się wokoło niéj na posadzce świątyni bogatemi miękkiemi fałdami, głowę jéj i ramiona przykrywały leciuchne jak pajęczyna, fantastycznie splątane, białe koronki.

Było coś w postaci téj, co wzrok mój do niéj przykuło. Przedziwny wdzięk ten, z jakim pochylała się do stóp posągu, miękkość i powłóczystość axamitnéj jéj sukni, wielka ta masa śnieżnych koronek, które ją opływały, przyciszony dźwięk nakoniec łkania tego, które wydobyło się z jéj piersi, przypominały mi koniecznie kogoś, kogo znałem niegdyś, a od dawna już nie widziałem.

Po kilku minutach, klęcząca kobieta podniosła się nieco i dłonie od twarzy odjęła. Poznałem panią Luizę. Twarz jéj, odkąd jéj nie widziałem, nie uległa żadnéj zmianie. Była zawsze tak liliowo białą i przezroczystą, jak dawniéj, i nosiła na sobie ten sam wyraz wielkiéj słodyczy, niedobrze ukrywającéj wewnętrzne gwałtowne burze niezaspokojonych tęsknot i pragnień. Tęsknoty te i pragnienia pożerały ją snadź nieustannie. Woziła się ona z niemi po świecie całym, od miasta do miasta. Wyrzucała je ludziom, szukała na nie pociechy u Boga. Ale religia jéj nie była z tych, które ukojenia wielkie wlewają w serce, zmęczone niedolą i burzami życia, i goją łagodnie najbardziéj zda się nieuleczalne rany. Religia jéj, zarówno jak cała moralna jéj istota, nie znała, co to zmężniająca i uszczęśliwiająca cześć dla najwyższéj mądrości, miłości i sprawiedliwości. Mądrość i sprawiedliwość były dla niéj

wyrazem bez znaczenia, miłość znała tylko z jednéj, wyłącznéj, najciaśniejszéj, a najliczniejszym skazom podległéj jéj strony. Religią jéj było extatyczne zatopienie wyobraźni w kłębach srebrzystych dymów, w płomieniach gorejących świeczników, w tonach muzyki brzmiącéj na chórze, w plastycznéj piękności poświęconych posągów.

To téż i teraz podniosła ona wzrok swój ku głębokim mrocznym sklepieniom świątyni, wzrok niespokojny i niepocieszony i wiecznie zda się szukający czegoś, co niewyraźne i niepochwytne istniało we mgłach i mrokach, w przestworzach bezgranicznych.

Po twarzy jéj płynęły dwie łzy grube, przez dolegliwy snadź ból wyciśnięte, a oczy jéj szafirowe, zapadłe, gorejące, istne obrazy duszy burzliwéj a znękanéj, zdawały się rzucać pod cieniste, wysokie sklepienia świątyni, pełne namiętnego żalu pytania.

— Kim jestem? poco żyję? Poco tułam się po świecie tym, cierpię i łzy wylewam? Dlaczego stworzyłeś mię, o Panie?

KONIEC.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Eliza Orzeszkowa.*

ELIZA ORZESZKOWA.

Z RÓŻNYCH SFER.

Nowelle i Obrazki.

Tom III.

SIELANKA NIERÓŻOWA.
DAJ KWIATEK.
ZEFIREK.
ZŁOTA NITKA.

WARSZAWA.
WŁASNOŚĆ, NAKŁAD I DRUK S. LEWENTALA,
Nowy - Swiat Nr. 41.

1886.

SPIS RZECZY.

Str.

Sielanka Nieróżowa 1
Daj kwiatek 109
Zefirek 157
Złota nitka 271

Дозволено цензурою.
Варшава, 15 Сентября 1886 года.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Eliza Orzeszkowa.*

SIELANKA NIERÓŻOWA.

Z szerokich i ludnych ulic miasta, ku krętym i cichym uliczkom zarzecznego przedmieścia, biegła dziewczynka dziesięcioletnia, chuda, zwinna, w grubéj spodnicy przepasującéj podartą koszulę, z bosemi stopami i ogromnemi włosy, śród których mieszały się połyski złota i miedzi.

Biegła szybko, czarne, zapadłe oczy, szeroko otwierała i od chwili do chwili, podnosząc, to opuszczając ramiona, zdawała się trzepotać niemi, jak ptak skrzydłami. Od chwili do chwili téż wołała:

— Władek! Władek!

Nagle przed biegnącą tak dziewczynką ozwał się szept stłumiony, lecz gwałtowny:

— Stój! ptaki mi spłoszysz! stój-że, Marcysiu! cicho!

Stanęła jak wryta. Cała twarz jéj, zniecierpliwiona i zmęczona przed chwilą, drgnęła uśmiechem radości, a szeroko rozwarte oczy utkwiły w istocie ludzkiéj, która stłumionemi wykrzykami nakazywała jéj spokój i milczenie.

Był to chłopak o lat parę od niéj starszy, z odzieży

wyglądający na ulicznego obdartusa, z twarzą roztropną, przebiegłą nawet, z siwém okiem, pałającém pod brwią żółtopłową. Stał on, plecami przyciśnięty do płotu, z jednéj strony osłoniony przed wzrokiem przechodniów ścianą szaréj jakiéjś budowy, z drugiéj grubym pniem uschłéj topoli; twarz podniósł wysoko, oczy z rozżarzoną źrenicą wlepiał w dach przeciwległego domowstwa, a pod ramieniem trzymał gołębia o ceglasto-różowych skrzydłach, który przenajspokojniéj znajdując się, podnosił téż dziób, patrzał na dach przeciwległy i kiedy niekiedy tylko, odzywał się cichém, urywaném gruchaniem.

Na dachu przeciwległym siedziało liczne stado gołębi.

Uliczka przedmiejska, niebrukowana i trawą porosła, cichą była i w téj chwili prawie bezludną. Gdzie niegdzie za płotami pracowali w ogrodach ludzie, za oknami odzywało się stukanie, lub zgrzytanie rzemieślniczego narzędzia, tu i owdzie rozległ się swar jakiś, czasem śmiech, ale ulicą nie przechodził i nie spoglądał na nią nikt. Przedwieczorna cisza ta przyjazną snadź była dla zamiarów chłopca czatującego widocznie na coś, z gołębiem pod ramieniem. Zrozumiała to Marcysia i, na palcach skradając się zbliżyła się do chłopca, stanęła tuż przy nim i z ciekawością połączoną z odcieniem obawy, utkwiła wzrok w stadzie ptactwa, obsiadającém dach przeciwległy.

— Władek — szepnęła cichutko — czy one jeszcze nie podlatywały?

— Nie jeszcze! — odszepnął chłopak. — Bodaj ich *korszun*[1] zdusił! — zaklął po chwili — siedzą i siedzą!

— A *przewodnika* masz? — zapytała Marcysia.

— No, a jakże!

I wysunął nieco z pod ramienia różowego gołębia, ukazując go Marcysi. Dziewczynka przesunęła drobną, ciemną dłoń po jedwabistém skrzydle ptaka.

— Lubuś! Lubuś! oj ty Lubuś! — szeptała, zbliżając usta ku jego dziobowi.

— Wiész? — tajemniczo i wciąż patrząc w górę, szeptał chłopak — szewczysko to umié dobrze gołębie hodować! Ile mu już ich Lubuś mój uprowadził... żebym tyle rubli miał, panem był-bym! a dlatego gołębi u niego coraz więcéj! No, już ja im w tym roku poradzę!... Jak chcę być bogatym, uprowadzę wszystkie i tylko dwie pary na rozpłód zostawię; niech szewczysko pęka ze złości! Co on mi zrobi!

Zaledwie dokończył wyrazy te, kilka gołębi siwych i białych wzleciało z nad dachu i prostopadłym lotem wzbiło się w górę. Chłopak drgnął.

— Ruszajcie się, dziatki! no, ruszajcież się! — zawołał prawie głośno.

W chwilę potém obsiadające dach stado całe zerwało się jednocześnie i napełniło powietrze migotaniem i szelestem skrzydeł, a chłopak w obie ręce ujął różowego gołębia swego, który drżał téż jakby z niecierpliwości, podniósł go jak mógł, najwyżéj i rzucił w przestrzeń; ptak rozwinął szeroko skrzydła i błyskawicznym pędem wpadł w migotliwą i choralnie gruchającą chmurę gołębi. Wtedy zaczęły odbywać się w powietrzu łowy i porozumiewania się szczególne.

Przy zbliżającym się wieczorze, niebo miało barwę liliową i usiane było szmatami obłoków, które blask słońca

za mury miejskie zachodzącego, złocił i czerwienił. Pomiędzy gromadą jaskrawych, wełnistych chmur, rozsianych pod bladém niebem, a długim dachem domostwa, na którym rósł mech starości i leżały gałęzie kilku drzew rozłożystych, odbywały się napowietrzne igrzyska ptasie, przedstawiające gołębia-mistrza, usiłującego wywieść z pomiędzy stada i za sobą uprowadzić potulnych i nieuczonych spółbraci. Śród migotliwéj chmury białych i siwych skrzydeł, różowy „przewodnik," skąpany w jaskrawym blasku obłoków, niby skrzydlaty płomień krążył i podlatywał, drogę zabiegał, skrzydłami o skrzydła uderzał, mieszał się z ogólném kołem, to z niego wyosabniał, w oczy zda się towarzyszom zaglądał, gruchając namawiał, jakby prosił za sobą, drogę wskazywał... Stado skupiało się wokół niego, to rozpraszało trwożnie, lub swobodnie osiadało na dachu i kołyszących się pod niém gałęziach drzew, to znowu wzbijało się w lot wysoki i zawisało nieruchomo pod złotemi chmurami.

A gdy tak działo się w górze, na dole, pod bladawém ogrodzeniem wązkiéj uliczki, pomiędzy węgłem szarego spichrza a pniem uschłego drzewa, dwoje dzieci stało, ściśle tuląc się ku sobie, wzniesionemi w górę oczyma ścigając każde poruszenie ptaków, ciężko i szybko oddychając. Na obie dziecinne twarze ich wybiły się gorączkowe rumieńce i można było nieledwie słyszéć gwałtowne bicie ich serc.

Były to istne łowy, ale szczególne. Zamiast lasów cienistych lub rozległych błoni, polem ich była ciasna uliczka przedmiejska i powietrze złote od

przedwieczornych świateł. Zamiast świetnych, strojnych myśliwców było tu dwoje dzieci obdartych i bosych, kryjących się za drzewa, z drżącemi wargami i pałającym, namiętnym wzrokiem. Sokoła zastępował tu różowy gołąb', Lubuś, a zdobyczą miały być także gołębie, których uprowadzanie za pomocą hodowanych w tym celu „przewodników" stanowi rozkosz, chlubę i źródło dochodu ulicznych dzieci.

Nagle, przyciszonym, lecz radością nabrzmiałym głosem, Władek zawołał:

— Aha! prowadzi!

Marcysia podskoczyła parę razy tak, jakby ku gołębiom zrywała się do lotu i szepnęła także:

— Prowadzi! prowadzi! prowadzi!

Lubuś wyosobnił się z pomiędzy stada i, uleciawszy niewielką przestrzeń, zawisł w powietrzu. Chwilę tylko pozostał samotny. Od stada odłączył się ku niemu i pożeglował jeden naprzód, potém drugi, trzeci, czwarty gołąb'. Leciały sznurem, a potém okrążały przewodnika po wiele razy i coraz ciaśniejszém kołem. Gdy w ten sposób utworzyła się spora już gromadka, odosobniona od wielkiéj gromady, która teraz cicho, niby w zamieszaniu czy smutku, na dach omszony opadła, Labuś wzbił się wyżéj i szybkim lotem pomknął ku zielonéj ścianie jaru, ukazującéj się w dali z za szarych domowstw. Za nim lecieli uwiedzeni przez niego towarzysze. Było ich sześciu.

— Sześć! sześć! — klaszcząc w dłonie, zawołał chłopak, i z całą szybkością nóg swych zwinnych i nieobutych, puścił się uliczką, skręcił potém na inną, i znowu na inną,

dla skrócenia sobie drogi, przeskakiwał płoty, zdawało się, że lotem ptaka chciał-by dosięgnąć zielonéj ściany jaru. Za nim biegła Marcysia, z całéj siły zdyszanéj piersi krzycząc:

— Sześć! sześć! — a potém: — Władek! poczekaj! stój!

Ale Władek nie stawał i nie czekał na nią, a ona, mniejsza i słabsza, zdawała się co chwila upadać ze zmęczenia. Lecz szczęśliwy wynik polowania napełnił ją nieprzytomną prawie radością, która podnosiła ją jakby z nad ziemi.

Tak zdyszane, rozognione, z błyszczącemi oczyma i rozwianemi na wiatr włosy, po przez uliczki, podwórka i ogrodzenia, dzieci te biegły tam, kędy górą, wysoko po nad niemi, leciał sznur gołębi ku zielonemu jarowi i wiszącéj u ściany jego, szaréj chatce z nizkim płotkiem, pnącym się w górę i otaczającym mały, mizerny ogródek. Jar, chatka, płotek i ogródek, ukazały się w dali... w dali... pod samym już skłonem liliowego nieba i w sinéj mgle oddalenia, w któréj po chwili zniknęły gołębie i dzieci.

Dziwne to było miejsce, dzikie, choć znajdowało się w obrębie jeszcze ludnego miasta, świetliste i ciemne zarazem. Mgła, w któréj ukazywało się ono z oddali, nie powstawała z saméj tylko odległości, ale podnosiła się téż z nad sadzawki, nieruchomo zalegającéj dno jaru, a nad którą w jedném miejscu rosło kilka bardzo starych wierzb. Drzewa te miały pnie grube, w różne strony pokrzywione, i szeroko rozpostarte obwisłe gałęzie, któremi muskały zielonawą powierzchnią wody. W przedwieczornéj porze, głębia ta jaru pogrążała się już w grubym zmroku; za sadzawką tylko i wierzbami, przez wązki otwór dwóch

ścian wysokich, przeglądało złote jeszcze od słońca pole, i kiedy niekiedy przybywający ztamtąd promyk, przedzierając gęste cienie, spadał na wodę lub wił się w berberysach, głogach i dzikich agrestach, rosnących tam gajem nizkim i kolczatym. Ale z pomiędzy nizkiego gaju tego, zrzadka rozświetlanego błędnym promieniem słońca, wybiegała wązka ścieżka, wydeptana i bielejąca śród trawy, i wspinała się po jednéj ze ścian jaru, kędy było coraz widniéj, aż ku domkowi z ogródkiem i płotkiem, oblewanemu już w pełni wszystkiemi światłościami rozjaskrawionych przedwieczornych obłoków. Małe okna domku tego, czy téj chatki, czerwone były jak rubiny, w których przegląda się płomię; płotek wydawał się ognistym wężem, a rosnące w ogródku dwie mizerne grusze trzęsły liśćmi, jak kroplami złotéj rosy. Naprzeciw, za przeciwległą, odginającą się w tył, ścianą jaru, na stoku wysokiéj góry, stało miasto rozległe, za którego murami, słońce skryło się już zupełnie. Ale u szczytów wież kościelnych, krzyże paliły się, jak lotne płomyki, wszystkie okna domowstw drżały złotem i purpurą, zieleń ogrodów kąpała się w falującém morzu światła, z kominów dymy ulatywały tysiącem wstęg różowych, sinych, srebrnych i płynęły ku górze, kędy w cichym spokoju słały się pod bladém niebem lekkie i świetne puchy obłoków.

W chatce, wiszącéj u ściany jaru, nie było snadź nikogo, bo za rubinowemi okienkami panowała cisza zupełna. Nagle załopotały w powietrzu skrzydła; górą przeleciały gołębie i sznurem usiadły na dachu chaty. W téjże prawie chwili, na ścieżce, wiodącéj ku przedmieściu, zatętniał bieg

szybki; Władek zziajany, z włosem rozwianym i roztwartą u piersi koszulą, przypadł do węgła chaty, wyciągnął w górę ramiona i, w mgnieniu oka z chyżością i zwinnością kocią, wdarłszy się na ścianę, stanął na dachu. Wtedy ukazała się też biegnąca ścieżką Marcysia i, bez tchu prawie, z widoczną wprawą w tego rodzaju ćwiczenia, czepiając się wystających belek ściany i gałęzi rosnącego tuż młodego drzewka, poszła w ślady towarzysza. Po chwili stali oboje na dachu chaty i, szeroko, prędko oddychając, głośno śmiać się zaczęli.

— Oto udało się! — zawołał Władek.

— Udało się! — powtórzyła dziewczynka i, schyliwszy się, wzięła w obie dłonie różowego gołębia-przewodnika.

— Dobry Lubuś! kochany Lubuś! — mówiła przerywanym jeszcze od zmęczenia głosem i całowała jedwabiste skrzydła i czupurną główkę ptaka.

Władek tymczasem oddawał się praktyczniejszemu zajęciu. Otworzył klapę, zamykającą drewniany, o wązkiém okienku, rodzaj gołębnika, na-pół okrytego zielskiem i latoroślami, obrastającemi starą strzechę dachu, i poumieszczał w nim wszystkie z kolei, za Lubusiem przybyłe, gołębie. Skończywszy, zamknął klapę i usiadł.

Dach był dość spadzisty, ale dzieci wygodnie siedzieć na nim mogły, bo starość wyłamała go w zagłębienia i wypukłości liczne. Plecami wsparci o mały gołębnik, nagie stopy oparły o giętkie płonki wierzbowe, które zasiał tam wiatr, nanoszący co roku warstwą piasku szczyt staréj chaty.

— Ot i dobrze! — zaczął Władek — staréj w domu

niéma, to i nic wiedzieć nie będzie o naszych dzisiejszych gościach... gdyby wiedziała, toby mnie, jak zawsze, męczyła: „a gdzie pieniądze, coś wziął za gołębie?” I oddać-bym musiał choć połowę... A tak, jutro sprzedam i nic nie oddam!...

— A co ty z temi pieniędzmi zrobisz? — zapytała Marcysia.

— Ot co? najem się i piwka sobie wypiję... takim zawsze głodny, że aż strach... Stara dziś kiełbasę jadła i piwo piła, a ja tylko, patrząc, ślinkę łykałem... taka już ona... mnie kawałek suchego chleba da i krupniku czarnego odrobinę, a sama i ze znajomymi swymi hula sobie!

— Aj, zapomniałam! — zawołała nagle Marcysia.

— Czegoś zapomniała?..

Zamiast odpowiedzi, dziewczynka wyjęła z za koszuli dwa duże obwarzanki i, śmiejąc się na głos cały, pokazała je chłopcu.

Wyciągnął po nie rękę.

— Daj! — zawołał.

— Czekaj! dam sama! ot masz!

I oddała mu jeden z obwarzanków, a drugi chciwie do ust własnych poniosła.

— Jezu! Marya! dobrze, że nie zgubiłam! — zawołała po chwili.

— Aha! — odpowiedział Władek — mogłaś zgubić! leciałaś, jak waryatka!

Dziewczynka pochyliła się i figlarnie mu w twarz spojrzała.

— A co? — zapytała — smaczne?

Władek skrzywił się.

— Nie bardzo! — odrzekł — ale co robić! Kiedy taka już niedola nasza, to i suchy obwarzanek lepszy, niż nic! a zkąd ty to wzięłaś?

Wyciągnęła palec w kierunku miasta.

— Tam, na ulicy, jakaś pani dała mi trzy grosze, to i kupiłam...

— Żebrałaś? — zapytał chłopak.

— A jużci!

— No, no! — mówił, wstrząsając głową — jakie te dziewczyny szczęśliwe! im zawsze prędzéj dadzą, niż nam... Mnie już dawno nikt nic dać nie chce...

— Bo ty już wielki, a ja jeszcze mała.

— Wielki! ot szczęście! to i więcéj jeść mi trzeba... a zkąd ja wezmę... Stryj ciągle gada, że do rzemiosła mię odda, ale obiecanka cacanka a głupiemu radość... I co mi tam zresztą rzemieślnikiem być? ot żeby tak panem sobie zostać, to co innego...

Marcysia nic nie odpowiedziała. Gryzła obwarzanek, a po chwili wyciągnęła palec w kierunku jednego z mniejszych domów miejskich i zawołała:

— O! widzisz! to dom pana ogrodnika, który ciebie przeszłego roku do kopania najmował. Ot tam to ślicznie! aj! jak ślicznie!

— A ślicznie! — potwierdził Władek — bo ogrodniczysko strasznie bogate! jak ja będę bogatym, to sobie ten dom kupię.

A po chwili dodał:

— Z tobą ożenię się i będziemy tam sobie razem

mieszkać!...

Dziewczynka uśmiechnęła się.

— O, to dobrze będzie! — rzekła i poważniéj zapytała:

— A zkąd ty, Władek, weźmiesz bogactwo?

Władek zamyślił się, a potém odpowiedział:

— Albo ja wiem zkąd? ale, że zkądciś wziąć muszę, to muszę. Tak mi już zbrzydło to psie życie... że aż...

Splunął, a potém prawił daléj:

— Bo czy sprawiedliwie na świecie? jeden ma wszystkiego po uszy, a drugi nic... jeden paniczem sobie jest, nie wiadomo za co, a drugi takim ot obdartusem, jak ja... także niewiadomo za co! Ciotka wymawia ciągle, że tylko karmić mię musi, a nic ze mnie nie ma? Ciekawym, co ona ze mnie może miéć? W przeszłym roku kopałem po ogrodach i zielsko taczkami woziłem, to i cóż? czy lepsza dla mnie była? gdzie tam! jeszcze, pod jesień jakoś, ojciec przywlókł się do chaty i wybił mnie... Ot dobrze tobie, że ojca nie masz... bił-by...

Marcysi usta zadrżały jakby do płaczu.

— Matka bije... — szepnęła.

— Ej, to tylko czasem, jak upije się! — pocieszał Władek — a jak trzeźwa, to całuje, piosenek uczy i bajki gada... mnie nigdy nikt dobrego słowa nie powié... Aj nędza!.. Ot tak czasem człowiek ze zgryzoty rzucił-by się w tę sadzawkę...

— Aj, aj! — przeraźliwie krzyknęła Marcysia.

Władek spójrzał na nią ze zdziwieniem.

— Czego wrzeszczysz? — zapytał.

— Tak przelękłam się! — skarżyła się dziewczynka —

żebyś ty rzucił się w sadzawkę, tobyś utonął i umarł.

— No, a jakbym umarł, to i co?

Marcysia przerażonemi oczyma wpatrzyła się w niego.

— To... to... toby ciebie nie było... — odpowiedziała cicho.

— Nie było mnie, był świat, nie będzie mnie, będzie świat — przypatrując się bosym nogom swym, sentencjonalnym tonem odparł chłopiec, ale spójrzał potém na Marcysię i zawołał:

— No i czegóż tak oczy wytrzeszczyłaś... ot i beczéć już zaczynasz... no, no — mówił daléj — nie lękaj się tak, nie utopię się... bogatym kiedyś będę i ożenię się z tobą... Będziem sobie jedli, pili, na spacer pod rękę chodzili i... ja ciebie nigdy nie opuszczę... aż do śmierci... tak mi Panie Boże dopomóż...

Łagodnym ruchem powiódł dłonią po ognistych jéj włosach, a potém wyciągnął się leniwie, obie ręce za głowę założył, i twarzą zwrócony ku obłokom, wlepił błyszczący wzrok w jeden punkt nieba. Szare oczy jego, ocienione płowemi brwiami, miały w téj chwili wyraz wcale niedziecinny. Odbijało się w nich marzenie jakieś niespokojne i namiętne. Po ściągłéj, chudéj twarzy przelatywały drgnienia i uśmiechy. Marcysia, pochylona nad nim, z twarzą opartą na dłoni, kołysała się z lekka i głęboko nad czémś myślała.

— Władek! — ozwała się z cicha po chwili.

— A co? — zapytał.

— Ja tobie jutro znów obwarzanek przyniosę, a może bułkę.

— Wyżebrzesz znów?

— Aha!

— Dobrze! przynieś! a może i papieroska gdzie znów znajdziesz, to przynieś, a ja jak gołębie sprzedam, kupię dla ciebie dwa cukierki.

— Aj, aj! cukierki! — zawołała i cała twarz jéj stanęła w promieniach niewymownéj radości.

— Władek — szepnęła znowu.

— A co?

— Ja jutro pójdę do jaru, fartuszek berberysu nazbieram i na mieście go sprzedam... czy ty pomożesz mi zbierać berberys?

— A czemu nie? pomogę.

— Jak sprzedam, to pieniądze ci oddam, kupisz sobie ładną chusteczkę na szyję.

— Ot chusteczkę! nie chusteczkę, ale haczyki do wędki! pójdziem do rzeki ryby łowić! dobrze?

Klasnęła w ręce.

— Aj, dobrze! dobrze!

Umilkli i wyprostowali się, bo w pobliżu dały się słyszéć stąpania.

Słońce zaszło już całkiem. Na wieżach kościelnych pogasły płomienne krzyże, okna domów miejskich zczerniały, w dole, u stóp wysokiéj ściany jaru z przyczepioną do niéj chatą, na któréj dachu siedziało dwoje dzieci, czarno już było zupełnie, a wśród czarności téj drżały ciche szumy, cichsze jeszcze pluskania. W chłodną tę zapadlinę zalatywał już wiatr nocny i chwiejącemi się gałęźmi wierzb mącił śpiącą wodę. Na ścieżce, od

przedmieścia wiodącéj, ukazała się w zmierzchu postać kobieca, nizka, gruba, wielką chustą okryta i ciężkiemi krokami zbliżała się ku chacie.

— Stara już idzie! — szepnął Władek — zaraz zawoła mnie... idź ty już sobie, Marcysiu, bo jak zobaczy nas na dachu, domyśli się zaraz, żeśmy gołębia przywiedli!

— Dobranoc! — szepnęła Marcysia.

— Dobranoc!

Zarzuciła mu na szyję ramiona i pocałowali się.

W chwilę potém, młode drzewko rosnące, przy ścianie chaty, zaszeleściło i zachwiało się; Marcysia zsunęła się z niego cicho, lekko jak cień, chyłkiem pomknęła pod nizkim płotkiem i, okrążając zdala kobietę, idącą ścieżką, niepostrzeżona przez nią, zbiegła z pochyłości jaru i wolniéj już dążyć zaczęła ku tłoczącym się tłumnie nad brzegiem rzeki domom i domkom przedmieścia. Idąc, poważnie skrzyżowała ramiona i najdonośniéj, jak mogła, śpiewać zaczęła:

„Pod drzewem, przy drodze,
Spało sierot dwoje,
Drzewo się złamało,
Zabiło oboje, za-bi-ło oboje!”

Dziecinny głosik jéj, podobny do srebrnego dzwonka, wzbijał się w górę i dolatywał ku chacie, któréj drzwi stara kobieta otwierała ze zgrzytem i stukiem.

— Władek! — krzyknęła, obracając klucz w zamku.

Chłopiec leżący na dachu milczał.

— Władek! — podnosząc głowę i starając się spojrzéć

na dach, powtórzyła kobieta — chodziłeś dziś na gołębie, czy nie?

Władek milczał.

— Niéma go tam, czy co? — mruczała stara — pewno nic dziś nie upolował i chowa się teraz przede mną, albo może i po ulicach włóczy się... nicpoń... ulicznik... łotr jakiś...

Z ostatniemi wyrazami weszła do chaty i ze stukiem drzwi za sobą na klucz zamknęła.

— Nocuj-że sobie na podwórzu, kiedyś taki...

W téj saméj chwili, z dołu i zmroku doleciał znowu cieniutki, lecz donośny i czysty głos, śpiewającéj Marcysi:

„Oboje zabiło,
Oj, dobrze zrobiło,
Żadne nie zostało,
By z żalu płakało, by z żalu pła-ka-ło.

Władek z podniesioną głową i wytężoném uchem słuchał, a gdy srebrny głosik zamilkł w oddaleniu rzekł:

— Oto śpiéwa! aż dusza rośnie!

Z zarzecznego przedmieścia, z pomiędzy labiryntu domków i płotków, wychodziła czasem na miasto kobieta, nędznie ubrana, dość młoda jeszcze i ładna snadź niegdyś, lecz teraz ze zniszczoną, wyżółkłą, zbolałą twarzą. Chód jéj i ruchy były czasem zgrabne i pewnym nawet wdziękiem

nacechowane, najczęściéj jednak bezładne i chwiejne. Mieszkanki przedmieścia, gdy spotykały ją, idącą krokiem takim chwiejnym, z ckliwym bo bezmyślnym uśmiechem na ustach, a gorączkowym ogniem w czarném, piękném snadź niegdyś oku, mawiały:

— Ot i znowu Elżbietka nasza dogodziła sobie!

— Upiła się! — dodawały inne i, śmiejąc się, wołały:

— Elżbietko! hej, Elżbietko! hulasz dziś sobie po świecie, a gdzie twoja Marcysia?

Czasem kobieta wstrząsnęła żałośnie głową i odpowiadała:

— O Bożeż, mój Boże! gdzie ona? alboż nie wiecie? nieboractwo tuła się po ulicach! Biedna dziecina moja, biedny mój robaczek maleńki...

I zaczynała na głos szlochać.

Nierzadko przecież wzmianka o córce, zamiast rozczulenia, wywoływała w niéj gniew. Wtedy odkrzykiwała sąsiadkom:

— A licho ją wié, tę włóczęgę, gdzie ona włóczy się od rana do nocy! Na sznurku w chacie nie utrzymasz! Oj, żebym ja była dziewczyny téj...

Resztę dopowiadała niezrozumiałém, bełkotliwém mruczeniem i wchodziła do jednego z szynków, które wystawami butelek, błyszczących różnobarwnemi płyny, znaczyły każde załamywanie się podrzędnych ulic miasta.

Stan taki nie był przecież u Elżbietki zwykłym i ciągłym. Miewała ona niekiedy tygodnie i miesiące trzeźwości i pracowitości, podczas których posługiwała osobom, nie dość zamożnym, aby módz utrzymywać stałą służącą.

Zamiatała mieszkania, myła podłogi, paliła w piecach, nosiła wodę, czasem nawet prała i szyła, a wszystkie czynności te spełniała z wielką wprawą, ochotą i zręcznością. Dla przymiotów tych, jak téż może dla szczególnego wyrazu jéj twarzy, bo w czarnych oczach jéj leżał na dnie przepaścisty smutek, a w uśmiechu wywiędłych ust była miękka rzewność, lubiono ją powszechnie i ubiegano się o jéj usługi. Niektórzy namawiali ją, aby przyjęła gdziekolwiek służbę stałą. Słysząc to, Elżbietka, spuszczała powieki i z cicha mówiła:

— Kiedyś... służyłam po domach i... było mi nieźle... ale teraz!... co to już o tém i mówić!

Zamiatając, albo ścieląc łóżka, patrzała w ziemię, a na żółtém czole jéj powstawało kilka grubych zmarszczek. W rzadkich chwilach skłonności do wywnętrzania się, mówiła:

— A cóżbym ja z moją dziewczyniną zrobiła, gdybym w służbę poszła? Czy mię kto porządny weźmie do domu z dzieckiem, jeszcze z *takiém* dzieckiem?

A lękając się, aby słów jéj nie wytłómaczono na niekorzyść Marcysi, dodawała ciszéj:

— Ona to nie gorsza, jak inne dzieci... może nawet lepsza... rozumna bardzo... ale ot! urodziła się inaczéj...

W porach tych, w których Elżbietka pracowała i do szynków nie zachodziła, Marcysia rzadziéj ukazywała się na ulicach miasta, a gdy się tam ukazała, była mniéj chudą, brudną i obdartą. Nie żebrała téż wtedy i unikała starannie hałaśliwych band ulicznych dzieci. Potém jednak przychodziły tygodnie i miesiące złe. Elżbietka przestawała chodzić na robotę do znajomych sobie domów, a mała

Marcysia, zgłodniała znowu, zziębła i ołachmaniona, z sinemi śladami uderzeń na plecach i twarzy, zamieszkiwała znowu otwarty na wsze strony świat Boży, biegała za przechodniami ulic, prosząc o jałmużnę przyciszoném mruczeniem czasem, a często, gdy była głodna, milczącém wyciąganiem drobnéj dłoni i ze łzą, kręcącą się w przygasłéj źrenicy; na śmietnikach, nad rynsztokami zaułków, w ciasnych szyjkach tajemniczych podwórek, siedząc, gryzła czarne jak noc kromki chleba, sypiała pod kościołami lub drzewami publicznych ogrodów, a gzymsy kościelne i gałęzie drzew osłaniały ją od deszczów i śniegów i, spowijając cieniem swym szczupłą, skurczoną jéj postać, ukrywały ją téż przed wzrokiem stróżów publicznego porządku.

Takie przecież noclegi pod kościołami i drzewami miejskiemi zdarzały się w życiu nieczęsto, bo gdy obawa przed gniewnemi wybuchami nieprzytomnéj matki, samotność i nuda, wypędzały ją z zimnego i ciasnego kąta, który nazywał się macierzyńskim jéj domem; najmilszą ochroną, były wierzby rosnące nad sadzawką w głębi jaru, albo miękki i elastyczny od starości dach chaty, w któréj mieszkała stara Wierzbowa, ciotka i opiekunka Władka.

Z Władkiem znała się, odkąd zapamiętać mogła, że żyje. Elżbietka bywała często u Wierzbowéj, która, zajmując się stręczeniem sług i pożyczaniem zubożałym służącym pieniędzy na zastaw i procent, dostarczała jéj sposobności zarobkowania, i po każdéj burzliwéj a próżniaczéj epoce jéj życia, odrobiny pieniędzy, w zamian ostatnich nieprzepitych łachmanów i zobowiązań się na przyszłość

ciężkich, odbierających ostatnią nadzieję wydobycia się z nędzy.

Kiedy Marcysia była jeszcze bardzo małą, Elżbietka przychodziła do Wierzbowéj z dzieckiem na ręku i, wchodząc do chaty na długie a często burzliwe rozprawy, zostawiała je przed progiem. Wtedy Marcysia staczała się czasem po ślizkiéj trawie, lub przymarzłém błocie, okrywającém stromą ścianę jaru, i wpadała do zielonawéj sadzawki. Woda była tam spokojna i z brzegów płytka, niemniéj dziecko, ogłuszone upadkiem, stłuczone i przestraszone, traciło przytomność i niemiało. Ratował ją wtedy Władek. W oka mgnieniu, kilku podskokami zbiegał on na dno jaru, wchodził w wodę po kostki, a czasem po kolana, brał dziewczynkę na ręce, a dlatego, żeby prędzéj oschła i oprzytomniała, sadzał ją niby na krześle, pomiędzy dwiema grubemi i wykrzywionemi gałęziami wierzby. Tam ogrzewało ją słońce i osuszał wiatr. Władek, zawieszony sam na gałęzi, w trwodze, aby nie spadła z drzewa, trzymał ją za kołnierz grubéj koszuli; a czasem, gdy włosy jéj stały się już gęste i dość długie, — za włosy. Marcysia, budząc się z omdlenia, spostrzegała, że znajduje się na drzewie, i taką to ją napełniało radością, iż zapominając o przebytéj katastrofie, wybuchała długim, głośnym chichotem. Władka nie lękała się nigdy, bo, patrząc na nią wtedy, śmiał się zawsze.

— Jakaś ty zabawna! — wołał — toczysz się w dół, jak piłka, i *pluś*! do wody! Gdyby mnie nie było, została-byś w sadzawce i zjadły-by cię żaby!

Na to straszne przypuszczenie, Marcysia szeroko

otwierała oczy i zapytywała:

— *Dzie ziaby?*

Zaledwie umiała wtedy mówić, a Władek, starszy od niéj o trzy lata i posiadający już spory zasób doświadczenia życiowego, śmiał się do rozpuku z niewyraźnego i pieszczotliwego jéj szczebiotu. Przedrzeźniając ją, mówił:

— *Dzie ziaby?* nie widziałaś jeszcze żab! to dobrze! zaraz ci je pokażę!

Brał ją na ręce i znosił z drzewa, a potém szedł brzegiem sadzawki, szukając zielonych żabek, których tam znajdowała się moc wielka. Bosy był i w grube płótno odziany, a malutka dziewczynka bosa także, w roztwartéj u piersi i mokréj jeszcze koszuli, szła za nim po trawie, która na wilgotnym, nizkim gruncie, bujnie rosła i dosięgała czasem kolan chłopca a jéj ramion.

Nie zawsze zajmowały ich żaby. Czasem, siedząc z nią na drzewie, pokazywał jéj upatrzone już wprzódy gniazda ptasie i, schyleni nad kołyszącą się pod niemi gałęzią, z otwartemi usty i zapartym w piersiach oddechem, przypatrywali się małym stworzeniom, wychylającym z gniazda główki, okryte skosmaconém pierzem i oczekiwali przylotu matki. Gdy przylatywała, nie śmieli wzajem oznajmiać sobie o tém najcichszym szeptem, tylko trącali się łokciami, wyciągali w kierunku gniazda wskazujące palce, a obie twarze ich oblewały się wyrazem nieopisanéj radości.

Niekiedy, spuściwszy się z drzewa, wchodzili pomiędzy dzikie krzewy, wielką gęstwiną obrastające jeden bok sadzawki, obrywali i zjadali drobny, zdziczały agrest, lub

wstrząsali z całych sił swoich berberysowemi krzakami, aby spuścić sobie na głowy, ramiona i pod stopy deszcz koralowych jagód.

Wszystkie zabawy te trwały póty, dopóki w górze nie ozwał się głos Elżbietki, niespokojnie i niecierpliwie wołającéj Marcysi. Dziewczynka, na wołanie to, śpiesznie i gorliwie zaczynała wdrapywać się na ścianę jaru; ale gdy usiłowania jéj w téj mierze okazywały się bezowocnemi, Władek brał ją na ręce i uszczęśliwioną, śmiejącą się, w szerokich podskokach, wnosił na górę.

Elżbietka, która od Wierzbowéj wychodziła najczęściéj zapłakana, a nierzadko na-pół już tylko przytomna, (wieść niosła, że Wierzbowa, dla lepszego ciągnienia z nich korzyści, usiłowała rozpajać swoje klientki), ujrzawszy Marcysię, porywała ją z rąk chłopca z gwałtownością taką, że śmiech jéj w mgnieniu oka zmieniał się w płacz. I gdy Elżbietka z gniewném mruczeniem, lub posępnie spuszczonemi oczyma, zstępowała w dół, ścieżką ku przedmieściu wiodącą, dziewczynka wciąż oglądała się i oczyma, w których łzy stały, szukała Władka. On stał najczęściéj u szczytu ścieżki, i dopóki nie zniknęła mu z oczu, podskakiwał, wyrzucał nogami i wykrzywiał się do niéj tak, że znowu na głos cały śmiać się zaczynała. Czasem rzucał za nią, zerwane w jarze, pęki berberysowych gałęzi, a ona wyciągała po nie ręce i, zwieszona cała na ramieniu matki, podskakiwała tak, jakby ku niemu ulecieć chciała.

Raz, gdy, mając już lat pięć, przyszła tam z matką, Władek zapytał ją, dla czego sama nie przychodzi nigdy do jaru.

— Boisz się, czy drogi jeszcze nie znasz? — mówił. — Jeżeli boisz się, toś głupia, bo wilki cię tu nie zjedzą, a jeżeli drogi nie znasz, to kiedy z matką idziesz, lepiéj oczy wytrzeszczaj! Wielka już jesteś, możesz sama po świecie chodzić!

Po krótkim namyśle dziewczynka rzekła:

— Jutro przylecę!

— Przyleć! — odpowiedział, i z powagą dodał: — do miasta cię zaprowadzę. Zobaczysz, jak tam ładnie!

Niewiadomo, czy perspektywa jutrzéjszéj samodzielnéj wyprawy nie dała nocy téj spać Marcysi, czy téż zbudziła ją matka, która o brzasku dnia zerwała się z nędznéj pościeli, chwyciła garstkę drobnéj monety, otrzymanéj wczoraj od Wierzbowéj i wybiegła na miasto; dość, że sine poranne mgły owijały jeszcze jar i zwieszoną u ściany jego chatę, gdy ukazała się ona oczom Władka. Władek, który noc przespał pomiędzy wierzbami, tylko co obudził się i, siedząc nad sadzawką z łokciami opartemi na podniesionych kolanach i brodą w dłoniach, zaspanemi oczyma wpatrzony w nieruchomą wodę, głęboko dumał. Dziewczynka zawołała go z góry. Podniósł głowę i, ujrzawszy drobną jéj postać, szarzejącą śród sinéj mgły, odkrzyknął:

— Chodź!

Zaczęła zstępować z góry, ale szło jéj to z trudnością nadzwyczajną. Ślizgała się na pochyłości, padała, podnosiła się i siadała znowu. Władek na wysilenia te jéj i niepowodzenia patrzał z niewzruszoną obojętnością.

— No, daléj! — mówił — daléj-że! śmiało! Upadłaś! nic

nie szkodzi! nie rozbijesz się! szklana nie jesteś!

Szklana nie była w istocie, ale gdy poślizgnęła się ostatecznie i jak piłka stoczyła się w dół nad sam brzeg sadzawki, wrzasnęła głośnym płaczem. Zbliżył się do niéj i spojrzał na nią ze wzgardliwém politowaniem.

— Ot, jakie to te dziewczyny — rzekł — jak ja byłem w twoim wieku, tom już po górach skakał i po drzewach łaził, jak koza. Jeżeli będziesz wrzeszczeć — dodał — schwycę cię zaraz i het precz! za rzekę i miasto zarzucę...

W mgnieniu oka płakać przestała, a gdy wyjął z za koszuli kawał czarnego chleba i przełamał go na dwoje, patrzała na niego z uśmiechem błogiéj nadziei na łzami zalanéj twarzy. Wyciągnęła rękę i zawołała:

— Daj! daj! daj!

Siedzieli potém obok siebie, pod krzakami berberysu, ociekającemi poranną rosą, i gryźli w milczeniu twarde kromki chleba. Mgła gęsta i podobna do sinego dymu, która o świcie dnia napełniała jar aż po brzegi, przerzedzać i w górę podnosić się zaczęła; spowite w nią wprzódy wierzby wysuwały teraz z za niéj gałęzie, niby ręce z pieluch odwijanych stopniowo; srebrnawe ich liście drżały z cichém furczeniem, a na każdym z nich błyszczał brylant rosy. Na ciemną powierzchnię sadzawki spadł długim wężem złoty promień słońca i, dosięgłszy przybrzeżnych ajerów, rozsypał się na długich liściach ich w tak wielki rój iskier, że ścigające go wzrokiem dzieci jednocześnie zakryły dłońmi olśnione swe oczy. Gdy odjęły ręce od mrużących się powiek, wysokie ajery stały przed niemi w ogniu całe, za niemi ściana jaru wznosiła się, jak gorąco-różowa skała,

w wierzbach i głogach ogłuszająco śpiewały ptaki, mgły sinéj nie pozostało już ani śladu, tylko powietrze przejęte było jeszcze chłodną wilgocią nocy i niziny.

Władek spojrzał w górę.

— Ot i dzień! — wyrzekł — tam, het precz z tego lasu, co naprzeciw miasta stoi, słońce wyszło!

— Czy słońce z lasu wychodzi? — zapytała Marcysia.

— Z lasu — odpowiedział poważnie — tam, naprzeciw miasta, het precz za polami, jest taki las, z którego słońce codzień wychodzi.

— A potém co?

— Potém? czyż nie widzisz co? świeci na niebie.

— A potém?

— Potém... no, zachodzi za miasto, zachodzi... zachodzi... i niknie. Jak zniknie, to wtedy noc robi się...

Dziewczynka zamyśliła się i po chwili zapytała znowu:

— A czy ty wiész, dokąd ono idzie?

— Kto? słońce? dokąd-że iść ma? pod ziemię sobie idzie i śpi.

— Aha! — tonem tryumfu ciągnęła Marcysia — ale czy ty wiész, jak słońce śpi?

— A jak ono ma spać? — odpowiedział — zwyczajnie... oczy zamknie i śpi.

— Otóż nie! otóż nie! — uderzając piąstką jednéj ręki w dłoń drugiéj, zawołała dziewczynka — słońce śpi w takiéj wielkiéj, czerwonéj kołysce, przy kołysce siedzi morze i przez całą noc kołysze słońce, żeby dobrze spało, a naokoło leżą gwiazdy, ale nie śpią, bo pilnują, żeby nie przyleciał ten smok, co konno na wietrze jeździ i nie zjadł słońca, bo

jakby smok zjadł słońce, nigdy-by już dnia nie było, żyto by nie rosło, zwierzęta-by poumierały, a ludzie pozjadali-by po ciemku jedni drugich...

Gdy opowiadała, Władek patrzał na nią z ciekawością i zdziwieniem.

— A zkąd ty to wiész? — zapytał.

— Matka mówiła; mnie matka czasem mówi takie śliczne, śliczne bajki.

— Aha! — rzekł Władek z namysłem — to bajka. No — dodał, wstając — chodźmy do miasta!

Marcysia podskoczyła z radości.

Poszli. Gdy wchodzili na most, zwieszony nad rzeką, przedzielającą przedmieście zarzeczne z miastem, Marcysia bardzo lękać się zaczęła. Było tam dużo ludzi, idących i jadących na targ, wozów, koni. Władek wziął ją za rękę i tłómaczyć jéj zaczął wszystkie niezrozumiałe dla niéj, a jemu dobrze już znane, zjawiska.

— Ot — mówił — to jest rzeka, a to czółna, co przewożą ludzi z jednego brzegu na drugi, a to łódki płyną... rybaki na nich siedzą i ryby łowią..! no! nie bój się! koń cię nie ukąsi... a ten chłop nie na ciebie krzyczy...

Stanął i śmiać się zaczął do rozpuku.

— Aj! aj! aj! Franek! — wołał — aj, aj! jaki ten Franek zabawny! ściągnął chłopu z woza sér i uciekł... a chłop nie wié, gdzie sér podział się i wrzeszczy... ot żebym tylko potrafił, to-bym téż ściągnął... ale jeszcze nie dostanę ręką tak daleko...

Poszedł daléj i pociągnął za sobą Marcysię. Idąc, mruczał z cicha więcéj do siebie, niż do niéj.

— No, że szczęśliwy, to szczęśliwy ten Franek! taki wielki ma sér! jak tylko podrosnę jeszcze trochę i ja tak samo potrafię...

Marcysia pokazywała mu na coś palcem, a tak była zachwycona, że słowa przemówić nie mogła. Zrozumiał nakoniec, że przedmiotem jéj zachwytu był stojący u wyjścia z mostu stragan z obwarzankami, bułkami i chlebem. Przed godziną zjedli wprawdzie po kawałku chleba, ale teraz, na widok rozłożonego na straganie pieczywa, uczuli oboje, że są bardzo głodni. Stanęli przed straganem i wlepili oczy w przedmioty, tak dla nich ponętne, że Władkowi aż usta drżéć zaczęły, a wielkie oczy Marcysi napełniły się łzami. Przy straganie siedziała przekupka i argusowemi oczyma strzegła towaru swego przed tłumem, który falą wielką napływał z mostu, a śród którego zwijali się tu i owdzie chłopcy bosi, obdarci, z giętkiemi ciałami i przebiegłym wzrokiem, i dziewczyny chude, rozczochrane, cierpiące, a chciwe spojrzenia rzucające dokoła.

— No — szepnął Władek do towarzyszki swéj — chodźmy! nic my tu nie wskóramy! ta wiedźma pilnuje swoich bułek, jak dyabeł potępionéj duszy!

Było to już własnością chłopca tego, że gdy tylko czuł się rozjątrzonym, zaczynał mówić o dyabłach i żółtawe brwi drgały mu nad ostro błyskającemi oczyma. Marcysia ocierała sobie piąstką załzawione oczy.

— Przestań mazać się! — krzyknął na nią — jak jeszcze raz zapłaczesz, rzucę cię tu i rób sobie sama, co chcesz! Mażesz się, żeś bułki nie dostała... no, i mnie jeść chce się

jak wszystkim dyabłom, a czy beczę! rozum lepszy jak beczenie! zobaczysz! wracając, kupim sobie kilka bułek...

Poszli daléj.

On miał wtedy lat ośm, ona pięć. Jego ubranie składało się z szarawarów płóciennych, krótkiego spencerka i grubéj koszuli, szeroko u piersi rozwartéj, jéj — z sinéj płócienkowéj spodniczki, przepasującéj koszulę, związaną u szyi brudną czerwoną tasiemką. On, na ciemnych, krótko ostrzyżonych włosach miał czapkę zmiętą, wyplamioną i tak dla niego dużą, że co chwilę zsuwała mu się na oczy; ona nie miała na głowie nic, prócz włosów gęstych, jedwabistych, które gładkiemi pasmami spływały na jéj ramiona i świeciły pod słońcem, jak gorąco roziskrzone złoto. Oboje byli bosi.

Tak, trzymając się za ręce, weszli na ludne i pełne już ruchu ulice miasta. Tu, u wstępu zaraz, zabiegła im drogę gromadka chłopców, na któréj czele znajdował się Franek, ów, tak zręcznie ściągający sery z wozów chłopskich.

— Władek! Władek! — wołali z daleka, — chodź na rynek... chłopi z wozów brukwie i marchwie gubią... takie smaczne...

Jakoż w ręku każdego prawie z malców znajdowała się surowa brukiew lub marchew.

Spostrzegłszy Marcysię, Franek zawołał:

— A to, co za panna?

— To Marcysia! — z powagą odpowiedział Władek, i z całéj siły uderzył pięścią jednego z chłopców, który przyskoczywszy, chciał uszczypnąć dziewczynkę w ramię.

Zaczęła-by się bójka, gdyby nie to, że środkiem ulicy

przejeżdżał, opakowany i pocztowemi końmi zaprzężony, powóz, za którym chłopcy pogonili, czepiając się tylnych żelastw jego, wieszając się na nich, i po ujechaniu tak kawałka drogi, na bruk spadając.

Władek i Marcysia zmierzali ku rynkowi. Nie znaleźli już żadnéj marchwi ani brukwi, lecz w zamian Władek podniósł z bruku i starannie schował za koszulę brudny i przydeptany kawałek niedopalonego papierosa. Marcysia zapomniała o głodzie i przyglądała się mijanym ludziom, domom i wystawom sklepowym; gdy nagle Władek targnął ją za rękę i prędzéj iść zaczął. Dziewczynka zdążała za nim z całéj siły drobnych stóp swych, aż dogoniwszy niemłodego mężczyznę, w dostatniém ubraniu, idącego chodnikiem, kroku zwolnili, i Władek przyciszonym, monotonnym głosem mówić zaczął:

— Wielmożny panie! dobrodzieju najmiłosierniejszy, miej litość nad biednemi, opuszczonemi sierotami! rzuć grosik na kawałek chleba! daj proszącym, żebrzącym i z głodu umierającym...

Mężczyzna nie odwracał się; Władek, zasłoniwszy się ręką od przechodniów, wystawił za nim język, potém wnet znowu zaczął:

— Wielmożny panie! dobrodzieju najdobrotliwszy! biedne, głodne, nieszczęsne sieroty! rzuć okiem miłosierdzia...

Tym razem przechodzień sięgnął do kieszeni, i nie odwracając się prawie, rzucił na wyciągniętą małą rękę miedzianą monetę. Władek pokazał ją Marcysi.

— Widzisz! — szepnął, — będzie już za to jedna bułka

dla mnie... a ty, kiedy chcesz mieć także bułkę, proś tak, jak ja...

I pociągnął ją w stronę, którą przechodziła pani jakaś, z łagodną, dobrotliwą twarzą.

W parę godzin potém znajdowali się oboje w głębi małego podwórka, którego brama wychodziła na cichy, błotnisty zaułek. Siedzieli na bruku, pokrytym grubą warstwą śmiecia, w kątku, utworzonym przez dwie murowane ściany, z opadającym tynkiem i czarnemi plamami wilgoci, pod okratowanemi z wewnątrz oknami jakiéjś zapewne śpiżarni. Jedli bułki, a Władek nauczał Marcysię rozpoznawania pieniędzy.

— Widzisz! — mówił, pokazując jéj na dłoni kilka miedzianych monet, — to trzy grosze, a to dwa, a to grosz... trzeba, żebyś dobrze przypatrzyła się i wiedziała potém, co dostajesz, i ile za bułkę, albo za co innego zapłacić... ot ta pani, tam pod Farą, dała dziesiątkę... Ona zawsze daje... dobra jakaś... to téż ja, ile razy ją zobaczę, zaraz do niéj lecę... już ja tu wszystkich znam, kto daje, a kto nie daje... i z twarzy rozpoznać umiem... kiedy widzę, że nie da, to i nie idę... i ty tak rób...

— Kiedy ja nie potrafię! — zauważyła Marcysia.

— Ej potrafisz! nauczysz się! i ja kiedyś nie umiał, a teraz widzisz...

— A kto ciebie nauczył? — zapytała.

— Ot kto? nikt! sam nauczyłem się... jak inni, tak i ja... słuchałem, jak pod kościołem dziady proszą... Oni zawsze tak proszą: „Wielmożny panie! Dobrodzieju najmiłosierniejszy!“ Słuchałem, słuchałem, i nauczyłem

się...

Po chwili namysłu dodał:

— Już to Franek to najsprytniejszy! On mnie opowiadał wszystko, tak jak ja tobie teraz opowiadam... i... chciał mnie nauczyć wyciągać panom chustki z kieszeni... bo on to umié... ale ot, ja-bym wolał gołębie uwodzić, niż chustki wyciągać... jak podrosnę jeszcze i *przewodnika* sobie wyhoduję, będę gołębie uwodził...

Marcysia słuchała ostatnich słów Władka, jak bajki o żelaznym wilku. Nie rozumiała jeszcze wtedy zupełnie, co to jest przewodnik, uwodzenie gołębi, i jaka z tego może być korzyść lub przyjemność. Widać jednak było, że rozum towarzysza imponował jéj niezmiernie, bo zachwycone oczy wlepiła w twarz jego ruchliwą, to powagi pełną, to błyskającą gniewem, to znowu wykrzywiającą się swawolnie i zabawnie.

Zjadłszy bułkę, wstali i poszli znowu ku rynkowi, aby za otrzymaną od „dobréj pani“ dziesiątkę kupić sobie możność popatrzenia na łamane sztuki, pokazywane pod namiotem przez ulicznych skoczków. Tam brzmiała niesforna muzyka skrzypiących i dudniących instrumentów, cisnęła się szara i hałaśliwa publiczność, Franek uwijał się śród tłumu, upatrując kieszeni z chustką, która tam trudną była do znalezienia; a gdy pajace, w żółtych czapkach, wyskakiwali na błotnistą arenę, Marcysia, oburącz trzymając się ramienia Władka, który z ciekawości i rozradowania zapomniał o niej, drżała od stóp do głowy z trwogi i rozkoszy.

Słońce zachodziło już, gdy wracali do jaru. W chacie

Wierzbowéj palił się na stole łojowy, dymiący kaganek; przez oświetlone żółtém światłem okna widać było kilka osób, kobiét i mężczyzn, siedzących na ławach przy stole, na którym znajdowała się butelka z wódką i kilka czarek. Pośrodku, pod ścianą, nizka i gruba Wierzbowa siedziała w wielkiéj chustce na ramionach i białym czepcu na głowie, a naprzeciw niéj dwie dziewczyny młode, lecz mizerne, umawiały się z nią o coś, i zarazem hałaśliwie przekomarzały się z mężczyznami, wyglądającymi na lokai lub stangretów, i nalewającymi im wódkę do czarek. Władek zajrzał do wnętrza domku przez oba z kolei okienka, a potém rzekł do Marcysi:

— Pójdźmy do naszéj własnéj chaty.

— A gdzie nasza chata? — zapytała.

— Ot tam.

Wskazał jéj głąb’ jaru, którą śród zmroku uścielać już zaczynała biaława mgła. Siedli nad sadzawką i odpoczywali chwilę w milczeniu. Potém, gdy wkoło nich zmrok stawać się zaczął coraz gęstszym, Władek zaczął:

— Ot i poszło już sobie spać.

— Słońce? — zapytała Marcysia.

— A słońce. Leży już gdzieś sobie w czerwonéj kołysce, a gwiazdy kładą się przy niém, żeby nie dopuścić do niego smoka... Szkoda, że nie można pójść zobaczyć téj kołyski, i jak to morze wygląda, co przy niéj siedzi... poszedł-bym i ciebie-bym zaprowadził.

— Czemu nie można? — zapytała znowu dziewczynka.

— No, a jakże? żeby tak człowiek szedł, szedł, to jakby na sam koniec ziemi przyszedł i chciał daléj jeszcze iść, to-

by tak buchnął... ot, naprzykład, jak ze stołu. Mnie nawet dziwi to wielce, że słońce nigdy nie spadnie i nie stłucze się.

— Aha! — tryumfującym głosem zawołała Marcysia, — bo jego tam morze czeka, na ręce bierze i do kołyski niesie.

Władek myślał chwilę.

— Dobrze jemu, temu słońcu, — rzekł, — mnie nikt do kołyski żadnéj nie zanosił...

— A twoja matka nie zanosiła?

Chłopiec pochylił się tak nizko nad brzegiem sadzawki, iż zdawało się, że mówi nie do Marcysi, ale do wody.

— Moję matkę na *mogiłki* (cmentarz) zanieśli, jak tylko ja urodziłem się...

— A ojciec twój nie zanosił? — pytała daléj Marcysia.

Władek znowu mówił do wody:

— On mnie nigdy nie nosił, tylko wziął i zaraz do ciotki tu przywiózł...

— A ciotka nie zanosiła?

Władek podniósł twarz z nad wody i pięść ścisnął.

— Ona-by mnie nosiła! wiedźma ta! ona tylko krzyczéć, łajać i szturchać umié!

I nagle zapytał:

— A twoja matka nosi ciebie do kołyski?

— Czasami nosi, — odpowiedziała, — i tak całuje...

Urwała i cichutkim szeptem dodała po chwili:

— Wczoraj wybiła...

— To całuje, to bije... — zauważył Władek, — a jeść tobie zawsze daje?

— Kiedy trzeźwa, to daje, kiedy pijana, to...

— Aha! u mojéj staréj ludzie często wódkę piją i upijają się... wrzeszczą wtedy, kłócą się i moję starą łają... a czy twoja matka bajki tobie opowiada, kiedy pijana, czy kiedy trzeźwa?

— Kiedy trzeźwa. I piosnek różnych wtedy mnie uczy... i czasem tak płacze... tak płacze!...

Władek milczał chwilę, potém rzekł z namysłem:

— Dobre jakieś kobiecisko, ta twoja matka... choć pijaczka... chciał-bym ja choć taką miéć!... a gdzie twój ojciec?

— Niéma, — odpowiedziała Marcysia.

— Jakto niéma? zmarł?

— Nie zmarł... tylko wcale niéma...

— No, to jakże?

I zadumał się głęboko.

— Aha! — zawołał po chwili tonem zrozumienia, — już wiem. To znaczy, że twoja matka męża nie ma.

— Aha! — potwierdziła Marcysia.

— A no, rzekł Władek, — to wszystko jedno. Bo ot, ja mam ojca... a co z niego?...

Wyciągnął się na mokréj trawie, głowę oparł o sęk, wystający z pnia wierzbowego, i westchnął głośno.

— Biéda! — rzekł.

— Biéda! — powtórzyła Marcysia, opierając brodę na ramieniu i kołysząc w obie strony malutką swą postać.

W ten sposób opowiedziawszy sobie wzajem historye istnień swych, umilkli. Władek piérwszy przerwał milczenie.

— Opowiedz-no jaką bajkę, — rzekł.

Dziewczynka myślała chwilę.

— Może o sierotce? — zapytała.

— Dobrze, — sennym głosem odpowiedział chłopiec.

Marcysia, po chwili namysłu czy przypomnienia sobie, mówić zaczęła:

— Między trawą, rutką taką zieloną... i... pokrzywą, człowiek znalazł raz na grobie siérotkę nieżywą...

Ostatnie wyrazy wymówiła wolniéj i nie zupełnie wyraźnie. Morzył ją sen. Usiłowała jednak mówić daléj i, obu piąstkami przecierając sobie oczy, zaczęła znowu:

— Tam... na tym grobie... nad siérotką... brzózka... zkądciś się za-sia-ła...

Przy ostatniéj zgłosce piąstki odpadły jéj od oczu, pochyliła się i, z głową opartą o pierś śpiącego już Władka, usnęła.

Wynurzająca się z wilgotnego gruntu gęsta biała para, owijała uśpione to dzieci, jak w mokre pieluchy, stare wierzby rzucały na nie głęboki cień, śród którego biegły urywane szelesty, nad otworem jaru przelatywały po ciemném niebie kręte błyski spadających gwiazd...

Był to piérwszy nocleg Marcysi pod wierzbami, w jarze, tak, jak dzień poprzedzający upamiętnił się jéj piérwszą wycieczką do miasta. Od tego czasu chodziła tam z Władkiem najczęściéj, lecz czasem i sama, a na noc wtedy tylko nie przychodziła do jaru, gdy zimno było bardzo, albo gdy matka zatrzymywała ją w chacie pieszczotą, piosnkami i bajkami, albo jeszcze, gdy chodzącą po mieście sen zmorzył pod ścianą kościoła, pod drzewem lub wysokim

parkanem jakiego ogrodu.

Tak upłynęło jéj życie do lat dziesięciu.

Kiedy, po owém pomyślném polowaniu na gołębie i przedwieczornéj godzinie, spędzonéj z Władkiem na dachu chaty Wierzbowéj, Marcysia ostrożnie uchyliła drzwi izby swéj matki, z wewnątrz głos kobiéty zawołał:

— Czy to Marcysia?

Miała ona zwyczaj, po powrocie z wycieczek swych, ostrożnie zawsze uchylać drzwi izby matczynéj, aby z widoku, który się jéj przedstawi, i z dźwięku głosu matki, wnieść o stanie, w jakim znajduje się ta ostatnia, i, albo wejść do izby, albo co-prędzéj uciekać do jaru, do wierzb, zawsze na nią łaskawych... do Władka. Tym razem Elżbietka siedziała na stołku, w głębi malutkiéj, nizkiéj, odymionéj izdebki i, przy świetle lampki, postawionéj na kulawym stole, cerowała starą swą odzież. Marcysia weszła i, przybliżywszy się do matki, nieruchomo przy stole stanęła. Nie dowierzała jeszcze, nie była pewną, jakie spotka ją przyjęcie, i w każdéj chwili chciała być gotową do odwrotu. Ale wieczoru tego Elżbietka trzeźwą była zupełnie. Podniosła oczy na córkę, a czoło jéj, gęsto sfałdowane, rozjaśniło się nieco.

— Przyszłaś? — zaczęła tonem burkliwym nieco, ale który gniewném uniesieniem wcale nie groził; — myślałam, że znów cię licho jakie nosić będzie po świecie przez tydzień jaki! Czegóż tak pośpieszyłaś się? Trzeba

było znowu na podwórzu gdzie przenocować! Oj, ty nic dobrego! żebym ja ciebie nigdy była nie widziała, szczęście to było-by moje...

Marcysia stała wciąż nieruchoma, tylko łokieć oparła na stole a twarz na małéj dłoni, i zrazu nic nie odpowiadała. Widać było jednak, że coś w niéj kipiało. Na dziecinném jéj czole powstała zmarszczka i czarne oczy błysnęły.

— To i dobrze, — odpowiedziała po chwili, — kiedy tak chcecie, to i nie będziecie widziéć mię nigdy... pójdę sobie od was i nie powrócę! Buch w wodę! i tyle mię widziéć będziecie, co ten kamień, kiedy go Władek w sadzawkę wrzuci!

Elżbietka, przywykła snadź do takich rozmów z córką, nie podniosła nawet oczu na nią, tylko po chwili, przewlekając grubą igłę przez drące się pod nią łachmany, zwolna i więcéj do siebie, niż do dziecka, mówić zaczęła:

— Buch w wodę! oho! poczekaj trochę! Jak ci życie zbrzydnie, tak jak mnie zbrzydło, jak jedni ludzie oszukają cię a drudzy oplują, jak ze zgryzoty i wstydu rozpijesz się, a na kark dostaniesz dzieciaka, którego będziesz chciała wykąpać w chmurce złotéj, a wykąpiesz w błocie... wtedy utopisz się, i dobrze zrobisz! Oj, czemu ja topielicą lepiéj nie zostałam? Żebym niemowlęcia nie żałowała... została-bym...

Tu Marcysia drugi jeszcze łokieć na stole oparła i, przestępując z nogi na nogę, głośnym wykrzykiem mowę matki przerwała:

— Powiédzcie bajkę o topielicach!... powiédzcie! — zawołała.

Ręce Elżbietki, trzymające robotę, opadły na jéj kolana. Z roztargnieniem spojrzała na dziecko, wsparła twarz na dłoni, i czarne, smutne oczy swe utkwiwszy w jeden punkt ciemnéj ściany, monotonnym głosem, i kołysząc się z lekka w obie strony, mówić zaczęła:

— Topielice na dnie wody spokojnie sobie leżą, w pachnące ziele owinięte, złotym piaskiem posypane... Pan Bóg przesyła im we dnie promyczki słońca i rybki, które nad nami perełkami srebrnemi pluskają... a w nocy idą one na wierzch wody, księżycowi i gwiazdom przypatrują się... a skoro dzień świtać zacznie, śpiewają sobie razem:

Od wody, wody, idziemy do was,
Bo świat szeroki znać nie chciał nas!...

Ostatnie wyrazy zanuciła, i nagle, przerywając sobie, jakby ze snu zbudzona, dodała:

— Dobrze im! oj! czemu ja topielicą nie zostałam, kiedy na mnie ta nieszczęsna godzina przyszła...

Podniosła oczy i wlepiła je w córkę.

— Zostaniesz może ty! — szepnęła. — I pewno!... jaka twoja dola być może?... ot, chyba taka jak i moja...

Źrenice jéj drgnęły przestrachem i błysnęły wielkiemi łzami. Jednocześnie porwała się ze stołka i zaczęła tu i owdzie chodzić po ciasnéj izbie. Nachyliła się nad leżącą na ziemi szczupłą swą pościelą, i przerzuciła ją drżącemi rękoma, otworzyła skrzynią, na któréj dnie leżało kilka łachmanów, i zamknęła ją ze stukiem, pochwyciła z kąta polano, i rozgrzebała niém w starym, rozsypującym się

piecu, garstkę węgli i popiołu... potém stanęła na środku izby i z obwisłemi rękoma i, wpatrzona w ziemię, myślała długo.

— Pójdę, — rzekła, — niech co chce będzie, pójdę i poproszę Wierzbowéj... trzeba to raz skończyć... upamiętać się... dla dziecka...

Zarzuciła na głowę podartą chustę, zgasiła lampkę i, zostawiając dziecko w ciemności wyszła. Wyszedłszy, gnana jakby trwogą lub gwałtownością powziętego postanowienia, nie szła, ale biegła ku chacie, wiszącéj u ściany jaru i mrugającéj z dala, niby kociemi oczyma, dwoma, jaskrawo-żółtemi, okienkami.

W chacie, przy stole, na którym palił się łojowy kaganek, siedziała Wierzbowa i, z głową opartą na skrzyżowanych na stole ramionach, drzémała. Nie kładła się do snu, bo pora była dość wczesna jeszcze, aby ktokolwiek z klientów jéj mógł ją odwiedzić. Jakoż zastukano z lekka w szybę, i za oknem ozwał się głos Elżbietki. Stara powstała i otworzyła drzwi.

— Ja bo się tak zamykam przed tym urwisem Władkiem, — rzekła do wchodzącéj, — wołałam go, żeby szedł nocować do chaty, nie posłuchał... niechże teraz za pokutę śpi na dworze... oj! dzieci, dzieci! jaka z niemi biéda!

Usiadła znowu na ławce i małemi oczkami, głęboko osadzonemi śród wielkiéj, pomarszczonéj twarzy, na przybyłą patrzała.

— Ja téż — zaczęła Elżbietka, stając przed nią, — ja téż dziś do pani Wierzbowéj przyszłam względem dziecka... to jest... względem siebie, ale... dla dziecka.

— Cóż tam? cóż? — zapytała stara, — jeżeli pieniędzy pożyczyć, to nie mam... nie mam...

— Nie, — przerwała Elżbietka, — względem téj służby, co to u jakiéjś pani na wsi zdarza się.

— A! — przeciągle wymówiła Wierzbowa, i zamyśliła się. Potém czyniąc ręką i ustami ruch taki, jakby coś do dna wychylała, zapytała:

— A cóż z tém będzie?

Zachichotała z cicha i dodała:

— Ja bo do takich wielkich państwa nie mogę rekomendować pijaków... co innego tu, do mieszczuchów tych...

Elżbietka machnęła ręką i przerwała:

— Aj! — rzekła, — narekomendowaliście wy na służbę pijaków co nie miara! Gdzie pijaństwo zaczyna się, ztamtąd ono i na świat wychodzi. Co to o tém i mówić! Chcecie targować się ze mną? dobrze! oddam wam cały zadatek, jaki od téj pani wezmę, tylko zarekomendujcie!.. ja chcę z miasta precz! na wieś! z parę lat tam pobędę, to może ten dyabeł, co mię opętał, odstąpi...

Wierzbowa patrzała na mówiącą tak kobiétę wpół-żartobliwie, wpół-bacznie.

— Zkąd-że wam znowu raptem to opamiętanie przyszło? — zapytała.

— Raptem? — szepnęła Elżbietka i, wybuchając, mówić zaczęła prędko i głośno: — a zkąd-że wy wiecie, że raptem? zkąd wy możecie wiedzieć, ile ja razy szłam do szynku i nie doszłam, wracałam się i włosy sobie z głowy wyrywałam, i łzami oblewałam mój nędzny barłog! Zkąd

wy wiécie, ile ja nocy przemodliłam się do Pana Boga, aby na mnie opamiętanie, a dla mego dziecka wybawienie zesłał? Rośnie to i rośnie... a śliczna, a rozumna... a co z niéj będzie, jeżeli ja z sobą nie zrobię czego... Ot! przyszedł moment, że zrobić muszę... ale tutaj... gdzie szynk co krok, a znajomych pełno, a ludzie wstydem moim w oczy mnie kolą... nie sposób! Trzeba mi ztąd precz... na wieś, pod Boże niebo... tam dzień za dniem potoczy się jednostajnie... a cicho... a nędza w oczy nie zajrzy i serca nic nie zgryzie... ja na wsi urodzona i wyhodowana... jak las zobaczę i trawę zieloną, i ruczaj jaki na łące... to może... może... Pan Bóg zlituje się i moc da!...

Mówiła to ze wzruszeniem szczerém i silném. Oddychała prędko, ręce splatała u piersi, a twarz jéj cała była w ogniu i łzach.

Wierzbowa patrzała na nią z coraz większą ciekawością, i z coraz zjadliwszym uśmiechem w oczach i na wydatnych, pomarszczonych, wargach.

— No, no! — zaczęła, kiwając głową, — probujcie... probujcie... ja zarekomenduję... czemuż-by nie? jeżeli obiecujecie, że nie zrobicie mi przed tém państwem wstydu i szkody. Ale musicie mi zadatek swój oddać caluteńki...

— Tylko sobie trzewiki kupię, bo przecież nie mogę w służbę iść boso, — z nieśmiałością wtrąciła Elżbietka.

— Co tam, trzewiki! już ja wam swoje dam... nadnoszone trochę, ale dobre będą... Oddacie mi za nie tę chustkę popielatą w kraty... na co wam dwie chustki... A cóż z dzieckiem zrobicie?

Elżbietka rzuciła w stronę kilka spojrzeń niespokojnych i

ponurych.

— A cóż mam zrobić? — rzekła, splatając znowu ręce, — familii tak jak nie mam, a ta, co jest, nie chce mnie znać od téj godziny wstydu i nieszczęścia... Co ja mam z dziewczyną tą zrobić... z sobą mi jéj wziąć nie dadzą! Muszę już chyba was prosić, żebyście ją u siebie przez czas ten potrzymali...

Widać było, że myśl wyrażoną ostatniemi słowy przyjmowała niechętnie i z bojaźnią, jako jedyny tylko możliwy sposób poradzenia sobie. Ale Wierzbowa plasnęła dłonie.

— A niech-że mię Bóg i Najświętsza Panna od tego bronią! Dość ja już mam biédy z moim tym łotrzykiem...

— Moja pani Wierzbowo! — zaczęła Elżbietka, — wszak ja jéj nie wyrzekam się. Za rok, za dwa... jak tylko poczuję, że mi już Pan Bóg łaskę swoję zesłał i z grzechu mię wybawił, powrócę... akuratnie pracować zacznę, i ją do siebie wezmę.

— Za rok, za dwa... To kawał czasu, moja kochana, kawał czasu wielki. A ileż przez czas ten dziewczyna ta chleba zjé u mnie... a u mnie biéda... ja nie mam z czego...

— Wszak ja jéj nie wyrzekam się, — powtórzyła Elżbietka, — regularnie połowę pensyi mojéj przesyłać wam będę dla niéj, a drugą połowę składać sobie, żeby miéć za co jakie takie gospodarstwo zaprowadzić, gdy wrócę i ją do siebie wezmę...

Wierzbowa myślała chwilę.

— A no! — rzekła, — cóż robić? trzeba czasem ludziom dopomódz... niech już i tak będzie. Przyprowadźcie tu

dziewczynę przed wyjazdem... wezmę ją do chaty... może mi w czém i pomocną będzie.

— Niech będzie! niech będzie! — zawołała Elżbietka, — ja nie od tego jestem, żeby ona do pracy przywykała. Każecie jéj wodę nosić, w ogrodzie pléć i wszystko robić... i owszem... co zarobi, niech wam odnosi, a wy jéj za to strawy nie pożałujecie i łachman jaki sprawicie...

Pochyliła się szybko i rękę Wierzbowéj do ust podniosła.

— Dobrodziéjko! — szeptała, — miła moja! matko moja! bądźcie dla téj biednéj sieroty z sercem litościwém... nie dajcie jéj głodem mrzéć i włóczyć się po mieście za żebraniną... Kiedy zasłuży, ręki nie żałujcie, ale kiedy nie zasłuży, nie krzywdźcie. Do grobu wdzięczna wam będę za to, i gdy powrócę, nogi wasze ucałuję, jak świętéj patronce... Wszak-ci powinniście coś zrobić dla mnie... Wszak-ci ja dałam wam przez te wszystkie lata nieszczęsne trochę grosza zarobić... Wszak... wszak... Bogiem a prawdą... moje najgorsze nieszczęście tu, w waszéj chacie zaczęło się, bom ja tu... z waszéj ręki piérwszą czarkę téj wódki przeklętéj wzięła... nie chciałam, namówiliście.... w kompanii wypiłam raz i drugi... u was-że... ot tu na téj ławie... a potém...

— No, no! — przerwała Wierzbowa, — dość już, dość tego proszenia i lamentowania! Jutro zaprowadzę was do tych państwa i zarekomenduję... za dwa dni do mnie dziewczynę przyprowadzicie i wyjedziecie sobie... Już ja taka, jak mnie kto o co prosi, nie mogę wytrzymać i zrobię...

Elżbietka wyszła. Wierzbowa zdejmując z głowy biały

czepiec, uśmiechała się długo. Znać było, że czuła się zadowoloną ze zrobienia interesu, wielostronnie może dla niéj korzystnego.

— Upamiętać się, nie upamięta, — szeptała, — jeszczem nigdy nie widziała tego, aby pijaczka taka pić przestała... ale z początku przesyłać pieniądze będzie... potém, dziewczyna podrośnie i na zarobki pójdzie... a potém...

Przestała szeptać, tak, jakby myśli swojéj nawet otaczającym ją brudnym i okopconym ścianom powierzać nie chciała, i zdmuchnęła kaganek.

W dwa dni potém, ścieżką, wspinającą się od przedmieścia po ścianie jaru, szła Elżbietka, prowadząc córkę za rękę. Marcysia, która wiedziała już, że zostanie w chacie Wierzbowéj, idąc, wyskakiwała i oglądała się wciąż za Władkiem, aby się z nim tą nowiną podzielić. Na dachu siedział gołąb' Kubuś i, wykręcając czupurną główkę na wszystkie strony, gruchał donośnie, jakby kogoś ku sobie przywoływał. Ujrzawszy go, dziewczyna wybuchnęła głośnym chichotem.

— Widzicie? — zawołała, wskazując palcem gołębia, — widzicie? ot Lubuś! on mnie tak woła i Władka! Zaraz my tam pójdziem na dach... po niego... a potém na przedmieście polecim...

Stanęła przed drzwiami chaty, Elżbietka pochyliła ku córce twarz bladą i spłakaną.

— No, — rzekła, — już ja sobie pójdę, i nie powrócę aż za rok, albo za dwa... a ty, Marcysiu, pamiętaj, co ja tobie mówiłam... grzeczną być, pani Wierzbowéj słuchać, do miasta nie latać... czy będziesz pamiętać?

— Będę! będę! — z roztargnieniem odpowiedziała Marcysia, spoglądając w głąb’ jaru w nadziei, że ujrzy tam Władka.

— Marcysiu! — zaczęła znowu kobiéta, — czy tobie nie żal matki? Wszak ja tobie niezawsze złą matką byłam. Karmiłam cię czasem i całowałam, na ręku moich nosiłam i bajki ci mówiłam...

Dziewczynka podniosła głowę i utkwiła w twarz matki wzrok, w którym przez chwilę jeszcze migotały swawolne, niedbałe uśmiechy. Potém Elżbietka wzięła ją w objęcia i uniosła z nad ziemi.

— Pocałuj-że matkę, — rzekła z cicha, — no pocałuj... mocno!

Oczy jéj patrzały tak żałośnie, ramiona zacisnęły się tak silnie, a usta uśmiechały się z takim miękkim smutkiem, że dziecko piersiami do piersi, a ustami do ust jéj przylgnęło, i wybuchnęło głośnym, rzewnym płaczem.

W środku miasta, przy jednéj z większych ulic, znajdowała się cukiernia, przed któréj wystawą Władek i Marcysia zatrzymywali się często, w czasie wspólnych wycieczek swych na miasto. Władek przecież z nieśmiałością zawsze i przeróżnemi ostrożnościami zbliżał się do nizkiego, szerokiego okna, za którém błyszczały i wabiły go pozłociste bombonierki, cukrowe lalki i rozkwitłe w wazonach kwiaty.

— Cyt, — mówił do Marcysi, kładąc palec na ustach, — żeby tylko stryj nie zobaczył, bo zaraz kułakiem w plecy da i do chaty popędzi!

Jakoż zdarzało się, że gdy, zapatrzony w cukierki i papierowe cacka, i przyczepiony u ramy okna w celu zobaczenia ponsowych firanek i sprzętów, zdobiących wnętrze cukierni, zapomniał na chwilę o zwykłéj ostrożności, z bramy sąsiedniéj wychodził wysoki, poważny człowiek, w dostatniém, choć z mieszczańska przykrojoném odzieniu, i spostrzegłszy go, smutnie i gniewnie wstrząsać głową zaczynał. Czasem wołał:

— Władek, Władek! a czy ty znowu po mieście włóczysz się i w cudze okna zaglądasz!

Wtedy chłopak, usłyszawszy głos jego, odpadał od ramy okna i, nie oglądając się, zmykał z całéj siły bosych swych nóg.

Niekiedy jednak gorzéj bywało, bo zamożny cukiernik, zbliżywszy się z cicha, podniósł giętką laskę, którą zawsze w ręku trzymał, i opuszczał ją na plecy chłopca, a zarazem chwytał go za ramię. Władek, nadaremnie usiłując wyrwać się z silnego ujęcia, przysiadał na bruku chodnika, a Marcysia zaczynała krzyczéć w niebogłosy. Cukiernik nie zwracał najmniejszéj uwagi na dziewczynę, a synowca łajał, wyrzucając mu próżniactwo, włóczęgowstwo, i przepowiadając dla niego przyszłość najstraszniejszą. Potém brał go za rękę, wprowadzał w bramę, i przez kilka godzin zatrzymywał w mieszkaniu swojém. Z razu każdy wypadek podobny kosztował Marcysię wiele łez i rozpaczy; myślała, że poważny, wąsaty jegomość, którego sam widok

napełniał ją trwogą, zmieszaną ze czcią, na zawsze już uprowadził, a może, gdzieś tam i zabił małego przyjaciela. Potém jednak przekonała się, że nie było w wypadkach tych nic tak dalece strasznego, i że nawet posiadały one swoją piękną i pożyteczną stronę; po kilku godzinach bowiem, czasem po nocy, spędzonéj u stryja, Władek wracał do Marcysi, która w głębi jaru, nad sadzawką, zalewała się łzami, albo, zwieszona na wysokiéj poręczy mostu, wpatrywała się załzawionemi oczyma w najdalszy widzialny punkt ulic. Wracał w poskokach i wnet wyjmował z kieszeni kilka cukierków i parę ciastek, któremi dzielił się z towarzyszką. Jedząc przysmaki te, Marcysia uspakajała się zupełnie, i czasem, ze zdumieniem, spostrzegała na nogach towarzysza stare, lecz nieobecne tam wprzódy, obuwie, albo na plecach jego zniszczoną, lecz zawsze od zwykłego spencerka porządniejszą surducinę.

— Buty! — mówiła, wskazując na stopy towarzysza.

— Aha! — odpowiedział Władek, — stryj kazał swojéj żonie, żeby mnie dała te buty, co ich najmłodszy syn nie donosił!

— I to dał? — spytała, pokazując niedojedzone cukierki lub ciastka.

— Ej, nie! to ja sam sobie dał! Kucharz niósł do cukierni i na stole postawił, a ja ze stołu cap! i ściągnąłem.

— A jeść dał?

— Aj! aj! u nich takie smaczne jedzenie! mięsa dali i chleba z masłem...

— A bili?

— Nie, tylko wtedy na ulicy, potém już nie bili. Tylko

stryj bardzo łajał, że ja urwis i ulicznik jestem. Powiedział, że mnie od ciotki odbierze i do siebie weźmie, ale żona jego zaczęła krzyczéć, że u nich i tak dużo dzieci jest...

— Dużo dzieci? — z zajęciem przerwała Marcysia.

— Dużo; trzech chłopców i dwie dziewczyny. Chłopcy do szkół chodzą, a dziewczyny gdyby lalki.

— A tam byłeś? — zapytała dziewczynka.

— Gdzie?

— Tam, gdzie tak ślicznie... ślicznie... gdzie kwiaty takie i czerwone krzesła, i złote okna...

Złote okna, były to w wyobraźni jéj źwierciadła, oprawione w złocone ramy.

— Aha! w cukierni! — domyślał się Władek, — nie, nie byłem. Tam obdartusów, takich jak ja, nie puszczają. Przeze drzwi tylko przypatrzyłem się... o! to raj!

Po rozmowach podobnych i zjedzeniu *ściągniętych* przez Władka przysmaków, zapominali prędko o zdarzonym epizodzie swego życia, i tylko przez czas jakiś unikali starannie cukierni i groźnego stryja, który, jakkolwiek obdarzał synowca starą odzieżą swych synów, miał jednak silną rękę i giętką laskę, od któréj Władkowi przez czas długi zostawały na plecach silne plamy. Zapominali prędko o zdarzonym epizodzie, i nigdy nie przyszło im na myśl, że cukiernia i jéj właściciel odegrać mogą w życiu ich obojga rolę ważną i stanowczą.

Tak się przecież stało.

W rok niespełna po wyjeździe Elżbietki i zamieszkaniu Marcysi w chacie Wierzbowéj, pewnego letniego pogodnego wieczoru, Władek z pędem ogromnym zlatywał

w głąb’ jaru po stroméj ścieżce, i na głos cały wołał:

— Marcysiu! Marcysiu!

Dziewczynka wychyliła się z najgęstszéj gęstwiny krzewów, gdzie zbierała w fartuszek dziki agrest i czerwone jagody głogu.

— Hu! hu! — odkrzyknęła.

Władek stanął przed nią ze zczerwienioną, wzburzoną twarzą. Widać było, że sam nie wiedział, czy cieszyć się miał albo smucić, bo w oczach kręciły się mu łzy, ale po ustach wił się uśmiech tryumfujący.

— No! — zawołał, — bywaj zdrowa i... pisz do mnie na Berdyczów, drobnemi literami! Już ja sobie ztąd idę!

— A gdzie? — zapytała ciekawie i trwożnie zarazem.

— Do stryja! Stryj przyszedł po mnie... zabierze mnie do siebie... będę w niedzielę chodził do szkółki i uczył się czytać, a co dzień posługiwał gościom...

I z twarzą rozradowaną już całkiem, powtórzył:

— Bywaj zdrowa!... tyle już mnie zobaczysz, co swoje ucho!...

Z rąk dziewczynki wysunęły się końce fartuszka, agresty i głogi posypały się w trawę, a z oczu jéj szeroko otwartych, od zdumienia zrazu, potém od żalu, płynęły strumienie łez. Potém, gdy chłopiec odwrócił się i chciał odbiedz, chwyciła go obu dłońmi za połę odzieży i krzyknęła:

— Władek!

Stanął i popatrzył na nią.

— Aha! — rzekł, — żal ci się zrobiło! już beczysz! no, i mnie ciebie troszkę szkoda; ale widzisz, co nowy surdut, to nie podarty spencerek, co buty, to nie gołe podeszwy... co

cukiernia z czerwonemi krzesłami, to nie mokra ziemia...

Usiadł jednak na mokréj ziemi, a przy nim, oczu z niego nie spuszczając, oniemiała i zesztywniała usiadła Marcysia. Opowiedział dziewczynce, jak, kiedy ona z rozkazu Wierzbowéj poszła na dno jaru zbierać agrest i głog, do chaty przyszedł stryj, jak zobaczył go na dachu, wsadzającego do gołębnika uwiedzione gołębie, jak rozgniewał się strasznie, do chaty wpadł i naprzód Wierzbową złajał.

— Tak krzyczał na moję starą: — mówił Władek, — „Jejmość nauczyłaś go kraść gołębie, bo korzyść z tego miałaś... a nie pamiętałaś o tém, że od rzemyczka do koniczka...“ I powiedział: „mnie wstyd, że mój krewny ulicznikiem jest, a ja nie mogę pozwolić na to, żebyś go jéjmość na złodziéja wyhodowała.

— A gdzież asan do tego czasu bywał? — odkrzyknęła Wierzbowa.

— Albo to ja swoich dzieci nie mam? — odpowiedział cukiernik. — Brat hula i łajdaczy całe życie, a ja, pracując krwawo, mam jeszcze obciążać się jego dziećmi! Ale kiedy trzeba, to trzeba. Niéma co! zabieram chłopca... Niech niedzielami uczy się czytać, a w dnie powszednie usługuje w cukierni...

Wszystko to opowiedział Władek Marcysi, bo, zlazłszy z dachu i przyczajony za oknem, całą rozmowę był podsłuchał, i wnet skoczył do jaru, aby o wszystkiém, co zaszło, oznajmić towarzyszce.

Opowiedział i zamilkł. Przed chwilą chciał już odbiedz, a jednak przykuwało go coś do téj trawy wilgotnéj, na

któréj tyle godzin przesiedział i tyle nocy przespał; do téj wody zielonéj, któréj tyle razy powierzał troski i pożądania całego swego sponiewieranego, nędznego dzieciństwa; do téj dziewczynki, nakoniec, czarnookiéj i ognistowłoséj, którą tyle razy z wody wydobywał i na ręku swych ze stroméj ściany jaru znosił, z którą tyle kęsów ubogiéj żywności przełamał, i tyle nocy, w oponach mgieł białych i pod strażą gwiazd złotych, przespał, którą uczył wdrapywać się na dachy i drzewa, znajdować w gałęziach gniazda ptasie i w trawach zielone żaby, któréj bajkami i piosnkami bawił się i zachwycał, z którą razem żebrał i żalił się na złą dolę, kradł gołębie i marzył o jakiéjś szczęśliwéj, bogatéj, złotéj przyszłości... Przykuwało go coś do tego miejsca i do téj dziewczynki, któréj drobna twarz, blada teraz jak opłatek i perlistemi łzami oblana, bielała obok niego w zmroku, na tle ciemnych krzewów.

— Władek! — szepnęła.

— A co? — zapytał niepewnym głosem; czuć było, że chciało mu się płakać.

— Co to będzie?

— Albo co?

— Co to będzie... jak ciebie nie będzie?

Nie odpowiedział, bo w téj chwili rozległ się w górze wołający go głos cukiernika. Poskoczył i w mgnieniu oka znalazł się u szczytu ścieżki. Marcysia, jak ptak porwała się z pomiędzy traw i krzewów, i pobiegła za nim. U szczytu ścieżki stanęła w chwili, kiedy cukiernik wziął za rękę chłopca, i przemawiając do niego burkliwie, nie gniewnie jednak, prowadził go ku przedmieściu, ku mostowi na

rzece, het, precz! ku miastu, którego krzyże i okna świeciły jeszcze ostatkiem padających na nie ogni zachodu. Stała nieruchoma, z obwisłemi rękoma i bosemi nogami, utopionemi w trawie. Czerwony promień wił się po skamieniałéj jéj twarzy i roziskrzał czarne, szeroko rozwarte, oczy.

— Władek! — zawołała.

Chłopiec niedaleko był jeszcze, usłyszéć mógł, jednak nie obejrzał się.

— Władek! — krzyknęła z całéj siły.

Nie obéjrzał się.

Być może, iż w pamięci jéj stanęły chwile te dawne, gdy na rękach matki znoszona z téj saméj ścieżki, którą szedł on teraz, oglądała się wciąż za nim póty, póki nie skryły go przed nią szare domki przedmieścia.

Teraz zniknął on wśród tych domków, a ona patrzała jeszcze na most, który przebywać on musiał. Most był daleko, jechało i szło po nim mnóstwo ludzi, ona stała jednak, i tak długo na most patrzała, aż zgasł czerwony promień, wijący się po twarzy jéj i źrenicach, zgasły i zczerniały krzyże i okna miejskie, i całe miasto, jak długa, wyzębiona czarna plama, rozpostarło się na tle stojących za nim szkarłatnych obłoków. Wtedy zwróciła się szybko na ścieżkę w dół biegnącą, i znikła w głębi jaru, gdzie długo, długo w noc, wśród głuchych szelestów drzew i lekkich plusków wody, słychać było głębokie, przeciągłe dziecięce szlochania.

Nazajutrz, o wschodzie słońca, Marcysia biegła przez most do miasta. Nie znać już było całonocnego płaczu na

twarzy jéj, którą umyła snadź w chłodnéj wodzie sadzawki, i którą różowiły blaski powstającego dnia. Przebiegła most, kilka ulic, i zdyszana, uśmiechnięta, stanęła przed drzwiami cukierni. Wznosiły się one nad chodnikiem kilku wschodami. Dziewczynka wskoczyła na nie, wspinając się na palce, przyłożyła twarz do szerokiéj szyby, i aż zadrżała z radości.

Nad głową jéj przeraźliwie zajęczał dzwonek, drzwi otworzyły się i na progu stanął Władek... jakże zmieniony! Miał na sobie porządne ubranie z szarego sukna, nowe prawie buty i brudnawą, lecz czerwoną jeszcze, chustkę na szyi.

— Czegoś ty tu przyszła? — zaczął, spychając dziewczynkę ze wschodków na chodnik, a ztamtąd jeszcze uprowadzając co prędzéj ku bramie, — czegoś ty tu przyleciała? Stryj powiedział, że kiedy zobaczy mnie z ulicznemi dziećmi, bić będzie! czy chcesz, żeby mię tłukli i pędzali za ciebie, jak jakiego Hamana?

— Nie chcę! — szepnęła i szeroko otworzyła oczy i usta.

— A widzisz! to i nie przylatuj tu nigdy! ja sam przylecę do ciebie, jak będę miał czas... nie bój się! przylecę i wszystko opowiem! aj! żeby ty wiedziała!...

Widać było, że długoletniém przyzwyczajeniem wiedziony, miał wielką ochotę opowiedzieć jéj wszystko, co widział i czego doświadczył. Urwał jednak mowę swą, bo na dziedzińcu rozległy się kroki męzkie i laska o bruk stuknęła.

— No, idź już sobie, idź! — szepnął pośpiesznie. — Wiész? — dodał — ja tutaj z pewnością bogatym zostanę...

zobaczysz, że zostanę...

— Przylecisz? — zapytała Marcysia.

— W świat wyszedłem i na człowieka przynajmniéj wyglądam...

— Przylecisz? — powtórzyła.

— Tylko oczy i uszy szeroko mnie trzeba otwierać a słuchać i uczyć się, jak to ludzie na świecie sobie radzą...

— Przylecisz? — szepnęła znowu, ale szept jéj przygłuszył brzęk dzwonka u drzwi cukierni, które zamykały się za Władkiem.

Kiedy powoli i ze zwieszoną głową wróciła do chaty, Wierzbowa spotkała ją w progu. Nie miała jeszcze na głowie białego czepca, a rozczochrane siwe włosy jéj sterczały we wsze strony dokoła twarzy wielkiéj, zaspanéj, zwisającéj grubemi marszczkami.

— Gdzieżeś latała? ty, włóczęgo! nic dobrego! — krzyknęła. — Czemu woda nie przyniesiona! Do miasta mi trzeba a nie mam czém umyć się, ani herbaty ugotować? Leć mi po wodę! prędzéj!

Pod grożącą jéj, ściśniętą pięścią staréj, Marcysia wpadła do chaty, i w mgnieniu oka ukazawszy się znowu z dzbankiem w ręku, pobiegła brzegiem jaru daleko, potém spuściła się nizko w dół, kędy ze żwirowatéj głębokiéj rozpadliny tryskała i po kamykach z szumem zbiegała wązka nić strumienia. Usiadła tam na osłonecznionéj trawie i nastawiwszy dzbanek pod zbiegającą po żwirze wodę, patrzała, jak wielkie krople, uderzając o kamienie, rozpryskiwały się w srebrne pyły. Nad rozpadliną szumiało kilka karłowatych sosenek, a po chwili załopotały tam

skrzydła ptasie. Marcysia podniosła głowę, zasmucona twarz jéj błysnęła radością. Różowy gołąb’ kołysał się na gałęzi nizkiéj sosny i wyciągając głowę spoglądał na nią z góry. Rzuciła dzbanek na żwir, wyciągnęła ku niemu obie ręce i zaczęła go wołać, a gdy ptak, posłuszny znajomemu i przyjaznemu głosowi, zleciał na jéj ramię, przytuliła go do piersi i, z ustami przyciśniętemi do jego skrzydeł, kołysała go jak dziecię, szepcąc długo:

— Lubusiu! oj, Lubusiu! Niéma Władka! niéma! niéma! niéma!

Gdy wracała, dzban napełniony wodą, był tak ciężki, że niosące go ramię jéj uginało się aż prawie ku ziemi, a na policzki wystąpiły rumieńce wysilenia. Nad nią, niżéj, to znowu wyżéj, leciał gołąb’. Spoglądała ku niemu od chwili do chwili i uśmiechała się.

W godzinę potém, Wierzbowa ubrana już w zwykłą swą kwiecistą wełnianą suknią, dużą chustę i biały czepiec, wyszła do miasta, a wnet po wyjściu jéj Marcysia otworzyła na oścież jedno z okienek chaty. Przez okienko to można było widzieć ją krzątającą się w ciemnawém, okopconém wnętrzu izby, zamiatającą podłogę ogromną miotłą, ścielącą łóżko, rozniecającą ogień i przystawiającą do niego garnek z wodą i ziemniakami. Na stole stała szklanka z niedopitą przez Wierzbową herbatą, i leżały resztki nie dojedzonéj bułki. Na oknie siedział Lubuś, dziobiąc garstkę grochu i okruchy chleba. Marcysia spełniła gospodarskie czynności, w które się już była przez rok ubiegły wprawiła, a potém wyszła do ogródka, usiadła na zagonie i pléć poczęła warzywo. Lubuś poleciał za nią. Pieląc, dziewczynka

wzdychała często i wstrząsała głową. Wkoło niéj szczebiotało ptactwo a w oddali, za rzeką, gwarzyło i szumiało miasto. Od chwili do chwili podnosiła głowę i przechylała ją w stronę miasta. Zdawało się, że w gwar i szum, dolatujący ztamtąd, wsłuchiwała się z natężeniem. Myślała może, iż zdoła wśród tysięcy zmieszanych tam głosów rozróżnić głos przyjaciela...

Od dnia tego, z ulic miasta żebrząca tam wprzódy bosa dziewczynka zniknęła. Z rozkazu Wierzbowéj, Marcysia chodzić zaczęła na zarobki. Z rana, przed wschodem słońca jeszcze, nosiła dla zamożniejszych rodzin przedmiejskich dzbany krynicznéj wody. Potém pełła warzywo i oczyszczała ścieżki w ogrodach, pomagała praczkom płukać w rzece bieliznę, w jarze zbierała berberys i głóg, a na polach zioła, i sprzedawała je na rynku miejskim lub w aptekach. Pieniądze, otrzymywane za to wszystko, odnosiła Wierzbowéj, która od czasu, gdy korzyść z niéj ciągnąć zaczęła, była dla niéj łagodniejszą i łaskawszą, często jednak wspominała o tém, iż z łaski trzyma ją u siebie, bo matka jéj dawno już zapomniała o swych przyrzeczeniach.

Istotnie, Elżbietka przez piérwsze tylko kilka miesięcy przysyłała przyrzeczoną Wierzbowéj sumę, przyczém dołączała kartkę grubego papieru, na któréj ktoś, uproszony przez nią, (sama nie umiała pisać) zapytywał: czy Marcysia żyje, zdrowa i dobrze się prowadzi? Potém pieniądze i kartki z zapytaniami przybywały coraz rzadziéj, aż w drugim roku pobytu Marcysi u Wierzbowéj całkiem przybywać przestały.

— Albo umarła, albo rozpiła się do reszty — mówiła

Wierzbowa do Marcysi i dodała: — najpewniéj i jedno i drugie. Rozpiła się do reszty i umarła gdzieś pod płotem, albo w szynku pod ławą.

To téż bez ogródek żadnych udzielane jéj wiadomości o matce, zdawały się z pozoru mało obchodzić Marcysię. Od dnia odejścia Władka, stała się ona bardziéj milczącą, jak wprzódy, spowolniała, chodziła i pracowała najczęściéj w milczeniu. Dowiadując się o ostatecznem zamilknięciu matki, nie smutniała więcéj, tylko w dniach, w których Wierzbowa najszerzéj się o tém rozgadywała, Marcysia kładąc się do snu, na sienniku, umieszczonym pod piecem na ziemi, wzdychała głośno po kilka razy. Czy przypomniała sobie wieczory, nieczęste wprawdzie, w których matka zanosiła ją na ręku do nędznego łóżka swego, siadała przy niéj i, cerując starą odzież, usypiała ją piosenkami i bajkami? Zdawało się nawet, że im dłuższy czas upływał od rozstania się jéj z matką, im bardziéj, po rozłączeniu się z nieodstępnym towarzyszem swego dzieciństwa, czuła się samotną i osieroconą, tém częściéj przypominała sobie matkę i tém jaśniejszą, powabniejszą stawała się jéj postać. Jakie rojenia i dumy zjawiały się teraz w głowie dziewczynki téj o łagodnych, smutnych ustach i wzroku, spuszczonym najczęściéj ku ziemi, jakie tęsknoty i bóle kładły się na jéj sercu — trudno-by odgadnąć i ona sama nie potrafiła-by pewno opowiedzieć. Ale gdy czasem, w chacie i naokoło, daleko, nikogo nie było, w ciszę głęboką mieszał się tylko odległy szum miasta, a z blizka przerywały ją urywane świegoty wróbli; gdy w głębi jaru szumiały stare wierzby, a za jarem, po

złotych polach, rozchodził się od czasu do czasu przeciągły pokrzyk oracza, lub chichot wesołéj żniwiarki: samotne dziecko, siedzące na skopanéj ziemi ogródka i wyrywające z zagona dzikie, kolące zielska, podnosiło głowę, powłóczystém, przygasłém spójrzeniem wiodło za różowym gołębiem, przechadzającym się po dachu chaty i, przypominając sobie jednę z pieśni matczynych, zawodziło:

— W lot gołąbka uroniła
Piórko na jeziorko;
Matka poszła precz — za światy,
Ja w cudze podwórko.

Nachylała się nad zagonem, pełła pilnie, szybko, uważnie, a w godzinę jaką dopiéro, lub późniéj jeszcze, opuszczała znowu ręce, znowu oglądała się za gołębiem i śpiewać kończyła:

— Biada piórku na jeziorku
Tak samemu pływać;
Biada w cudzém mnie podwórku,
Łzami się zalewać.

Nie zalewała się jednak łzami nigdy. Cicha była, cierpliwa i skryta. Rówieśnic swawolnych i hałaśliwych unikała, a przy spotkaniu z rówieśnikami, pytała zawsze, czy nie widzieli Władka. Władek przybiegał do niéj zrazu dość często.

Kiedy piérwszéj niedzieli po odejściu swém zobaczyła zdala Władka idącego, pobiegła na jego spotkanie jak szalona.

— Niéma staréj? — zapytał.

— Niéma! niéma! do kościoła poszła!

— To dobrze; posiedzim sobie tutaj.

Usiadł na stoku góry, spuszczającéj się ku przedmieściu i, wystawiając na słońce nowe obuwie swe, aby lepiéj błyszczało, zaczął opowiadać towarzyszce o wszystkiém, czego się przez tydzień cały napatrzył i nasłuchał.

— Te złote okna — mówił — na które ty zawsze tak oczy wytrzeszczałaś, to lustra, takie wielkie, że człowiek widzi w nich siebie, od nóg aż do głowy... a ten stół ogromny, po którym takie kule kościane latają, to bilard...

— Co to? — zapytała Marcysia.

Tłómaczył jéj znaczenie bilardu, którego sam nie rozumiał jeszcze dobrze. To tylko wiedział, że kto umié doskonale kule te kijami potrącać, może dużo pieniędzy wygrać.

— Przypatrzę się... i będę umiał... a jak będę umiał, wygram sobie pieniędzy gmach i bogatym zostanę.

— Stryj nie pozwoli, żebyś mu ten stół niszczył — zauważyła Marcysia.

— Będę ja jego pytał się! tam, na Nizkiéj ulicy, jest takie miejsce, gdzie każdy sobie gra, kto chce... i Franek gra, bo już umié... Szczęśliwy ten Franek! zawsze piérwéj do wszystkiego dopadnie, niż ja... prawda, że starszy, no, i ojciec jego, który za lokaja służy, lepiéj go kierował, niż mnie ta wiedźma...

— Wiész? — mówił daléj — jak na tych czerwonych krzesłach dobrze siedzieć... tak miękko! Wczoraj, kiedy goście porozchodzili się, siadłem sobie na krześle i tak

wyspałem się, jak w łóżku.

W ogóle znać było, że czuł się zadowolonym z położenia swego, i że w głowie roiły się mu niejasne, lecz gorące pożądania i nadzieje. W kilka tygodni potém, przyszedłszy po raz drugi, z zamyśleniem rzekł do Marcysi:

— Dochodzą ludzie... dojdę i ja! umiem już zgrabnie podawać gościom lody i czekoladę, a stryj zrobi mię prędko markierem.

— Co to? — zapytała.

— Markier, chłopiec, co przy bilardzie stoi i liczy, ile kto przegrał, albo wygrał. Będę stał przy bilardzie, patrzał i uczył się...

Skarżył się tylko na żonę stryja, że łaje go często, krzykliwe dzieci swe nosić mu każe i do herbaty daje chleb bez masła.

— Ale to nic! — dodał — zawsze tam życie, jak raj, w porównaniu do tego, co wprzódy było. Gdzie zaś! Człowiek sobie zje dobrze, wyśpi się wygodnie, i pomaleńku uczy się, jak obracać się w świecie. Żebyś ty tam była, tobyś gębę otwierała, słuchając, jak u nas goście pomiędzy sobą rozmawiają. Nie zrozumiała-byś nic a nic. I ja wprzódy nie rozumiałem, ale teraz zaczynam rozumiéć... No zgadnij, o czém oni najczęściéj gadają?

— O czém? — zapytała Marcysia.

— O pieniądzach! — odpowiedział z powagą. — Tak, tak — dodał — na tém świat stoi. Kto grosza nie ma, ten grosza nie wart... a kto go ma! hej! hulaj dusza! wszystko za pieniądze... i buty, i surdut, i jedzenie, i zabawa!

Wstał, wyciągnął się i, wskazując palcem biały, obszerny

dom ogrodnika, nad samym brzegiem rzeki, na krawędzi miasta stojący, rzekł:

— Żeby choć takim bogatym być, jak te ogrodniczysko... Franek tam teraz do kopania najmował się... mówił, że on pieniądze w skrzyni na strychu chowa...

Chciał mówić daléj, ale przerwała mu Marcysia:

— Patrzaj! patrzaj Władek! — zawołała i wyciągniętym palcem wskazywała coś w powietrzu.

Lubuś wracał z odległéj wycieczki jakiéjś, szybkim lotem zlatywał ku niéj i usiadł na jéj ramieniu. Ujęła go w obie dłonie i Władkowi podawała.

— Jaki on dobry!— mówiła — wiész? on ciągle za mną lata...

Chłopiec nie patrzał na nią ani na gołębia. Wzrok jego, roziskrzony pod żółtemi brwiami, tonął w gęstwinie domów miejskich, jakby śród niéj szukał czegoś i upatrywał. Po ustach biegały mu przelotne uśmiechy.

— *Adie!* — zawołał i, nie spojrzawszy na dziewczynkę, siedzącą z gołębiem w dłoniach, pobiegł ku miastu.

W jesieni i w zimie przychodzić zaczął daleko rzadziéj.

Zimowe wieczory gwarnie najczęściéj schodziły w chacie Wierzbowéj. Posiadała ona liczne stosunki pomiędzy klasą miejskich służących, którzy téż przybywali do niéj tłumnie, to prosząc o nastręczenie służby, to żądając pożyczki, to wprost na pogadankę ze starą i pohulanie sobie u niéj w wesołéj kompanii. Wierzbowa pogadanek i pohulanek nie unikała. Owszem, służyły jéj one za sposób przyciągania ku sobie ludzi, względem których odegrywała rolę pająka, łowiącego w sieci swe muchy i żywiącego się

niemi. Powiadano, że zbierała pieniądze; co pewna, to że kupiła już na własność chatę, w któréj mieszkała, i przylegający do niéj ogródek, a w rzadkich chwilach wywnętrzań się opowiadała o marzeniach swych, których celem była mała kamieniczka, wznosząca się na przedmieściu białemi ścianami po nad nizkie, szare domki.

Wieczorami przychodziły do niéj niekiedy rówieśnice jéj, stare jak ona kobiety, uboższe tylko od niéj, zbiedzone i spragnione częstunku, dziewczęta, starające się o służbę, praczki, kucharki, lokaje i stangreci. Towarzystwo to obsiadało długi stół, u ściany stojący i oświetlony łojowym kagankiem, rzucającym pod nizki sufit krętą, brudną i cuchnącą nić dymu. Wierzbowa stawiała na stole butelki z wódką, śledzie, ser twardy, niekiedy czarne kółka kiełbasy i pęk znizanych na sznur obwarzanków. Ludzie jedli, pili, przedewszystkiém pili, o biedach swych i troskach opowiadali; mężczyźni przepijali do kobiet, z których jedne ze wstrętem i odrazą odtrącały czarki z napojem i wysuwały się z izby, inne wychylały je raźnie, chichocąc i grubemi żartami odpowiadając na grubsze jeszcze zaczepki. Czasem, gdy dobry humor towarzystwa wzrastał, gdy interes jakiś pomyślnie był załatwionym, służba dobra wynalezioną, albo dług dawno zaległy zwróconym został, pośrodku stołu zjawiał się miedziany kociołek, napełniony alkoholicznym wyskokiem, a nad nim zwieszony na stosownym przyrządzie wielki kawał cukru. Wtedy, z nad kotła wybuchał siny płomień palącego się spirytusu, oświecał ściany i wszystkie zakąty izby błękitnawém światłem, i błękitnawą téż bladość rzucał na twarze męzkie

i kobiece, które, roztarganemi warkoczami otoczone, lub ocienione zmiętemi czapkami, skupiały się wszystkie ku środkowi stołu i, przybliżone ku sobie, ciasnym wieńcem otaczały kocioł, pochylając się ku niemu coraz bliżéj i, z coraz większém zachwyceniem w oczach i uśmiechach, przypatrując się lejącemu się do kotła deszczowi grubych, czerwonych kropel roztapianego cukru. Woń spirytusowa, mocna, upajająca, zmieszana z tłuszczowym dymem łojowego kaganka, rozchodziła się po izbie; cisza oczekiwania panowała przy stole, tylko czarki blaszane brzękały w bardziéj niecierpliwych rękach, albo głos jakiś kobiecy zachichotał nagle, albo burknęło półgłosem wyrzeczone przekleństwo.

W wieczory takie, Marcysia siadywała na ziemi pod piecem, przypatrywała się przychodzącym ludziom, słuchała gwarnych rozmów, ścigała oczyma grube i nierzadko rozjątrzone giesta, uśmiechała się z rubasznych żartów i zawiązujących się dokoła stołu ciężkich, hałaśliwych gonitw. Często usypiała w atmosferze téj krzykliwéj, dymnéj, przejętéj smrodem łoju i odurzającym wyziewem trunku; a gdy błękitny płomień buchnął z kotła, można było spostrzedz w ciemnym kącie głowę jéj, opartą na zwiniętym sienniku i bladą od padającego na nią sinego blasku. Czasem jednak nie usypiała, owszem zdawała się czujnie dopilnowywać chwili, w któréj gwar był największy i uwaga ogólna najsilniéj na jeden punkt zwróconą; wstawała wówczas z ziemi, cichutko zarzucała na głowę i plecy podartą, szarą chuścinę i wysuwała się z chaty.

Tu, zaraz za progiem, ogarniało ją mroźne powietrze

zimowéj nocy, śnieg uściełał stok góry, gwiazdy iskrzyły się pod ciemném niebem, w głębi jaru cicho już było i pusto, jak w grobie, a tylko nad śnieżystą powierzchnią wierzby, niby skielety, wysuwały nagie ramiona, a w dali za rzeką miasto huczało, szumiało i mrugało rojem złotych oczu.

Marcysia schodziła z góry, pomimo śniegu głębokiego, zręcznie, wprawnie, szybko. Schodziła téż z wysokiego brzegu rzeki i szła po lodzie, drogą oznaczoną dwoma rzędami czerniejących jodełek. Rozmijała się tu z wielkimi wozami na saniach, ze zgrabnemi, jak błyskawica szybkiemi, saneczkami miejskiemi, z mnóztwem ludzi, pieszo przebywających lodową drogę, łączącą miasto z przedmieściem. Nic nie przestraszało jéj i uwagi jéj nie zwracało. Czasem tylko, gdy księżyc świecił, zatrzymywała się na chwilę, aby popatrzéć na smugę bladożółtego światła, przeglądającą się w lodzie, jak we szkle, i rozbijającą się na śniegu w milion iskier, jak brylantów. Potém szła daléj, coraz prędzéj przez ulice miasta, pod oknami magazynów, buchających światłem lamp, mimo wszystkich kamienic, za których oświetlonemi oknami brzmiała muzyka; brzegiem chodników, tuż pod ścianami domostw, przesuwała się szybko, jak cień szczupły, trwożny i pokorny, aż stawała przed oknami cukierni, za któremi paliły się lampy, błyszczały pozłociste bombonierki i rozlegały się miarowe stuk kul bilardowych. Stawała pod jedném z okien, wspinała się na palce i przykładała twarz do szyby.

Za oknem, w dymnéj atmosferze, śród któréj jak we mgle, mętnie błyskały kinkiety u ścian, ostawionych

rzędami żółtych krzeseł, rysowały się dokoła bilardu postacie mężczyzn, grających i przypatrujących się grze. Wśród nich stał smukły, blady chłopak z kijem na ramieniu i, ścigając oczyma toczące się po zieloném suknie kule, donośnym głosem wykrzykiwał przeróżne cyfry. Twarz jego nabierała przytém ruchliwości niezmiernéj, usta wykrzywiały się i uśmiechały, po czole przebiegały zmarszczki, oczy błyskały ciekawością, radością, to złością naprzemian, pod żółtemi brwiami, które drgały niecierpliwie, to zsuwały się chmurnie. Czasem z rumieńcem gorączkowym, wybijającym się na blade jego policzki, i wykrzykując cyfrę jakąś, podskakiwał on i śmiejąc się ukazywał dwa rzędy białych zębów; czasem na mgnienie oka odwracał wzrok od bilardu i pożądliwém spójrzeniem ścigał ręce gości, niosące do ust kufle spienionego piwa lub szklanki, napełnione złocistym ponczem.

Dziewczynka, za oknem stająca, przypatrywała się długo scenie, odbywającéj się we wnętrzu cukierni, a na twarzy jéj, przyklejonéj do szyby, powtarzały się wiernie wszystkie uśmiechy i drgnienia, przebiegające twarz smukłego, bladego markiera. Nie rozumiejąc dobrze, o co idzie, wraz z nim cieszyła się, gniewała, niecierpliwiła się i pożądała.

Potém goście rozchodzili się stopniowo, u ścian bilardowéj sali gasły kinkiety, w cukierni zapanowywała cisza i ciemność. Marcysia odchodziła, przystając jednak na chodniku od chwili do chwili, jakby na coś oczekiwała. Oczekiwanie jéj nie zawsze pozostawało bez skutku. Kilka razy zobaczyła Władka, wychodzącego śpiesznie z bramy i

pod ścianami kamienic zdążającego w głąb' miasta. Próbowała zawsze dogonić go, lecz szedł tak prędko, że nie mogła; przytém bała się strasznie policyantów, z których jeden pochwycił ją był raz za chustkę i, po długich pytaniach, kim jest i po co włóczy się po ulicach, rozkazał wracać do domu, a na pożegnanie mocno ją pięścią w plecy uderzył.

Rzadko więc bardzo zdobywała się na odwagę dopędzania Władka wtedy, gdy, opuściwszy cukiernią, dążył on kędyś pomiędzy spuszczające się nad rzekę, wązkie, błotniste, uliczki miasta. Raz jednak szła za nim dłużéj, niż zwykle, i zobaczyła go wchodzącego do nizkiéj, na-pół rozwalonéj budowy, o małych okienkach, osłonionych zamkniętemi okiennicami. Przez szpary w okiennicach przeglądało palące się wewnątrz żółte, dymne światło, stukały, tak jak i w cukierni, bilardowe kule, szkło brzęczało i taki straszny, gruby, usilnie jakby tłumiony, panował hałas, że dziewczynka z przestrachem i z całych sił nóg swoich uciekła. W hałasie, który szumiał za zamkniętemi okiennicami, rozpoznawała znany jéj dobrze od lat najmłodszych, głos Franka, i domyśliła się, że był to ów dom przy ulicy Nizkiéj, do którego Władek, jak sam jéj o tém opowiadał, chodził czasem pohulać sobie, piwka napić się i w bilard szczęścia sprobować...

Kiedy z nocnych wycieczek tych Marcysia wracała do domu, znajdowała drzwi chaty już zamknięte i okna jéj ciemne. Jeżeli zimno było bardzo ostre, stawała pod oknem, pukała ostrożnie w szybę i pokornym głosem błagała Wierzbową, aby wpuściła ją do chaty. Odpowiadało jéj na

to wewnątrz gniewne mruczenie i klapanie po podłodze przydeptanych trzewików. Drzwi uchylały się, a na plecy wsuwającéj się przez nie Marcysi spadało kilka uderzeń pięści silnéj jeszcze, choć staréj, wraz z gradem łających wyrazów, półgłosem wymawianych. Wymawiane one były półgłosem dlatego, że w noce podobne, następujące po szumnych, długich, wieczornych biesiadach, izba nie bywała nigdy wypróżnioną całkiem z bawiących się tam przed godziną gości. Dziewczynka, w ciemnościach wyślizgnąwszy się z pod karzącéj ją ręki, przypadała w kąciku jakim do nagiéj podłogi i usypiała tuż obok ludzkiéj twarzy jakiejś, rozpalonéj i w ciężkim oddechu ziejącéj zapachem wódki, wśród chrapań i szamotań, odzywających się na ławach, pod piecem i stołem.

To téż jeśli na dworze mróz nie palił zbyt ostro i wicher nie sypał tumanami śniegu, nie pukała do okna chaty i nie prosiła o pozwolenie wejścia, ale, owinąwszy się jak najszczelniéj dziurawą chuściną swą, siadała jak najbliżéj ściany i, na mokrym śniegu, z głową opartą o mokre drzewo, usypiała. Zmęczoną była i przywykłą od niemowlęctwa prawie do noclegów podobnych, spała więc mocno. Nadedniem tylko budzić ją zaczynało wzmagające się zimno. Kurczyła wtedy nogi, chowając je pod płócienną spodniczkę, stękała przez sen lub otwierając napół zaczerwienione od zimna powieki i mrużącą się źrenicą patrząc w błękitne świtanie dnia, sennym, przerywanym, skarżącym się głosem szeptać zaczynała:

— Matusiu! matusiu! spójrzcie na mnie z płaczem,
Nie mam ja mojéj główki położyć na czém!

Zdaje się, że wtedy przypominała sobie matkę i że z błękitnym świtem, miękko spływającym na białe śniegi, spływało na nią tęskne jakieś, pieszczotliwe, łzawe marzenie.

Kiedy miała lat czternaście, zaprzestała całkiem nocnych wycieczek na miasto; zaczęła już snadź doświadczać uczucia wstydu i więcéj niż kiedy lękać się tak policyantów, jak przechodniów miejskich, którzy kilka razy zaczepiali ją grubemi giestami i żartami. Władka téż widywała coraz rzadziéj. Przychodził jeszcze do niéj niekiedy, ale roztargniony był, chmurny, milczący. Zauważyła, że wzrok jego stawał się coraz posępniejszym, śmiech coraz ostrzejszym i hałaśliwszym.

Raz zapytała go:

— Czy stryj ciebie bije!

— Ej nie! — odpowiedział — krzyczy często i łaje, ale dawno już nie bił.

— Czy tobie jeść nie dają?

— Aj, aj! jedzenia u nas po uszy!

— To czegóż ty... taki jesteś...

Nie umiała wytłómaczyć wrażenia, które czyniła na niéj twarz jego niespokojna, wciąż jakby gniewna i zniecierpliwiona.

— Jakaś ty głupia, moja Marcysiu, — odrzekł, — tobie się zdaje, że jak człowieka nie biją i jeść mu dają, to on już szczęśliwy i niczego mu nie braknie. Człowiek, moja

kochana, ma inne jeszcze potrzeby i żądania, których ty rozumiéć nie możesz... ale ja... to co innego! Mnie wszystkie złości biorą, jak sobie pomyślę, że tak mię ludzie haniebnie zaniedbali. Ani nauki, ani wychowania, ani majątku! Co ja będę przez całe życie robił? Stryjowi do śmierci służyć nie myślę i nawet rzucę go prędko, bo niczego się tam u niego nie dochrapię. A potém co? W świat mi iść chyba, gdzie oczy poniosą, i szczęścia lepszego sobie szukać!

Miał lat siedemnaście i mówił językiem dorosłego już człowieka. Marcysia rozumiała go tylko przez pół.

Rozmowy takie trwały zazwyczaj krótko i z upływem czasu zdarzały się coraz rzadziéj. Przyszły nakoniec długie miesiące, podczas których Marcysia nie widziała Władka ani razu i nawet nie wiedziała, ani gdzie on był, ani co się z nim działo.

Teraz miała już lat piętnaście, nie dzbanem już z krynicy, ale wiadrami z rzeki nosiła wodę bogatszym mieszkańcom przedmieścia. Codziennie przed wschodem słońca, można było widziéć wychodzącą z chaty, u ściany jaru wiszącéj, dziewczynę wysmukłą i kształtną, z dwoma wiadrami na ramieniu, zatrzymującą się u szczytu ścieżki. Chuda była i blada, lecz kształtna i ładna. Ubranie jéj, z wyjątkiem płytkiego obuwia, okrywającego stopy, nie różniło się prawie od tego, które nosiła w dzieciństwie. Miewała na sobie zawsze sine, grube spódnice i szarą koszulę, przykrytą niekiedy czerwonawą chustką, skrzyżowaną na piersi. Na głowie, która zwykle z nad ciężkich prząseł wychylała się trochę na przód, nie miewała nigdy nic,

oprócz włosów ognisto złotych, gładkiemi pasmami otaczających nizkie jéj czoło, a z tyłu głowy skręconych w gruby warkocz. U szczytu ścieżki stawała zwykle chwilę z wiadrami swemi na ramieniu, i wzrokiem wodziła po rozwidniających się domostwach miejskich i rozsrebrzającéj się wstędze rzeki. Z upływem czasu, czarne oczy jéj stawały się coraz więcéj zamyślonemi i głębokiemi; na dnie ich rozpalały się ognie natury namiętnéj, a wpółdzikiéj. Codziennie, różowy gołąb' zlatywał z dachu chaty i unosił się nad jéj głową, lub siadał na jéj ramieniu. Wtedy przestawała patrzéć na miasto i rzekę, zwracając wzrok na ptaka, uśmiechała się i usta jéj przybierały zarys nieskończonéj słodyczy.

Mieszkańcy przedmieścia, którym nosiła wodę i do których chodziła, aby pléć ogrody, lub dopomagać w praniu bielizny, tak przywykli widzieć ją z tym gołębiem, unoszącym się nad głową jéj, lub lecącym za nią, że gdy wypadkiem zobaczyli ją bez niego, zapytywali:

— A gdzież twój Lubuś?

Ktoś kiedyś, wskazując gołębia, powiedział śmiejąc się:

— To jéj kochanek!

Obecni żartować zaczęli.

— Będzie ona wnet miała kochanków innych! — mówili, — taka ładna dziewczyna!

Zczerwieniła się, jak wiśnia, i wlepiła wzrok w ziemię. Ale dnia tego przyszedłszy do domu na obiad, zerwała w ogródku gałąź dzikiego powoju i owinęła ją sobie wkoło warkocza. Potém, przez całą godzinę, którą miała przepędzić w chacie, siedziała u szczytu ścieżki i patrzała

ku mostowi na rzece i przedmieściu. Czekała snadź i wyglądała Władka, który tą drogą przychodzić musiał. Zamiast Władka, zjawił się przecież z innéj strony młody syn bogatego ogrodnika, który ją dnia tego widział z rana, wlepiał w nią oczy, gdy rumieniła się i ze szczególną łaskawością bawił się długo z jéj gołębiem.

— Panno Marcyanno! — zawołał z dala, — dobry wieczór pannie Marcyannie!

Spojrzała w stronę nadchodzącego przestraszonemi oczyma, zerwała się z ziemi, wpadła do chaty i drzwi za sobą na rygiel zamknęła. Młody i zgrabny chłopiec kołatał do drzwi tych długo, potém odszedł, ale tego samego wieczoru wrócił i, stanąwszy za otwartém oknem zawołał:

— Moja pani Wierzbowo! potrzebujemy na jutro dziewcząt do wykopywania warzywa. Czy panna Marcyanna nie będzie mogła przyjść?

— Przyjdzie! przyjdzie! czemu nie? — odpowiedziała z wewnątrz chaty stara i dodała — a czemu to pan Antoni nie łaskaw i do chaty nie zajdzie?

Chłopak jednym skokiem znalazł się w izbie i rozejrzał się po niéj z uczuciem zawodu. Marcysi w izbie nie było. O zmroku, gdy dzienne roboty jéj były skończone i Wierzbowa układać się miała do snu, szła ona zwykle w głąb’ jaru, gdzie, siedząc pod wierzbami i kołysząc zwolna wiotką swą postać, patrzała w ciemną, nieruchomą wodę i z cicha nuciła:

Cichą wodą, oj wodą, płynie rutka zielona.
W nocce czarnéj, oj czarnéj, dola moja zgubiona.

Dolo moja, oj dolo, gdzieś się ty podziała?
Czyś się w wodzie utopiła, czy w ogniu zgorzała?

Dom bogatego ogrodnika, biały i obszerny, stał naprzeciw chaty Wierzbowéj, rozdzielony z nią tylko stokiem góry, kilku przedmiejskiemi domkami i rzeką, ku któréj spuszczał się należący doń rozległy, cienisty ogród.

W ogrodzie tym, śród grusz i jabłoni, okrytych pożółkłém liściem, Marcysia, z kilku dziewczętami różnego wieku, stała na zagonach i z czarnéj, pulchnéj ziemi, wykopywała warzywo. Powietrze było przejrzyste, rzeźwe, osrebrzone nićmi pajęczyny, wieszającemi się po drzewach i krzakach; żelazne rydle wesoło pobrzękiwały, uderzając o kamienie, lub twarde bryły ziemi; dziewczęta pracując, gwarzyły, chichotały i przyśpiewywały. Marcysia, jak wczoraj gałęź powoju, tak dziś w warkoczu miała wielką czerwoną georginią. Wywołane zmęczeniem rumieńce, ożywiły twarz jéj bladawą i przychudłą. Mniéj gadatliwa od towarzyszek, od chwili do chwili nuciła pieśni, któremi matka na całe życie już napełniła jéj pamięć, a błyszczącemi oczyma rozglądała się dokoła, pomiędzy drzewami i ścieżkami ogrodu. Przychodząc, znalazła tu Franka, który od dwóch miesięcy przyjął był u ogrodnika stałą służbę, a dziś powiedział jéj, że wnet — wnet nadbieży do ogrodu Władek, aby pomówić z nim o ważnym jednym interesie.

Nagle przestała nucić i rozglądać się, utkwiła wzrok w

ziemi i pilnie kopać zaczęła. Na ścieżce przy zagonach stanął młody syn ogrodnika i przemówił do niéj:

— A gdzież jest gołąb panny Marcyanny?

— Został się w domu, — odpowiedziała niechętnie i mrukliwie.

Chłopak, śmiały i z pańska ubrany, zbliżył się i z cicha, żartobliwie przemawiać do niéj zaczął. Widząc to, dziewczęta, mrugały do siebie, niektóre spoglądały z zazdrością na ognistowłosą dziewczynkę, która ściągnęła na siebie przychylną uwagę ładnego i bogatego chłopca, a przytém zwykłego nadzorcę ich robót. Ale ona nie odpowiadała na zaczepki, żarciki i grzeczne jego słówka; aż kiedy młody człowiek, schyliwszy się, szepnął jéj coś do ucha, zwróciła ku niemu twarz tak rozjątrzoną, z tak gwałtownie iskrzącemi się oczyma, że próbował rozśmiać się, ale nie mógł; rozgniewał się, zląkł się może, aby go przed ludźmi grubiańskiém słowem jakiém nie zawstydziła, i odszedł. Wtedy Marcysia podniosła głowę, oparła obie ręce na rydlu i z zaciśniętemi zębami zaklęła:

— Żeby go dyabli wzięli z jego żartami i z jego kochaniem! Jak mi do reszty zbrzydnie, to tak dam rydlem, że... popamięta!

W téj saméj chwili twarz jéj, wzburzona i chmurna, rozjaśniła się i złagodniała. Rysy zmiękły, rumieniec zbladł, usta drgnęły uśmiechem nieopisanéj radości i słodyczy. Rzuciła rydel i pobiegła w głąb’ ogrodu, gdzie pomiędzy gęstwiną drzew zaszarzały dwie męzkie postacie.

— Władek! — zawołała i zdyszana stanęła przed towarzyszem dzieciństwa swego, którego od roku blisko nie

widziała. Zaledwie poznać go mogła. Urósł, zmężniał i miał na sobie czarne ubranie, które jéj wydało się wytworném. Stanęła przed nim, jak wryta, i patrzała mu w twarz promiennym i zarazem nieśmiałym wzrokiem. On uśmiechnął się téż przyjacielsko i z uradowaniem widoczném.

— Jak się masz, Marcysiu! — rzekł. — Oho! jaka ładna zrobiła się z ciebie dziewczyna!

Zapłoniła się gorącym rumieńcem, od gładkich pasem złotych włosów, aż po skraj grubéj koszuli.

— Władek! — szepnęła z wahaniem, — jaki z ciebie... zrobił się... panicz!

— A widzisz! — rzekł tryumfująco, — kto za szczęściem goni, ten je i dogoni czasem. Nie takim ja jeszcze będę kiedyś paniczem.

Przybliżył się do niéj i z cicha mówić zaczął:

— Ot jakoś dawno już nie widzieliśmy się z sobą, Marcysiu! A śliczna dalibóg z ciebie teraz dziewczyna! No, prawdę mówiąc, dobraś ty była zawsze i milutka! jak będziesz dziś wracać z miasta, zatrzymaj się przy moście. Ja cię tam spotkam i odprowadzę do chaty. Czy dobrze? będziesz czekać na mnie przy moście?

— Dobrze! będę! — odpowiedziała z cicha.

— A teraz, — dodał Władek, — idź do swojéj roboty... ja tu muszę z Frankiem pomówić o ważnym interesie i nie trzeba, żeby, szukając ciebie, mnie tu zobaczyli...

Odeszła i widziała z daleka, jak, ukryci za drzewami i wysokim płotem, dwaj chłopcy rozmawiali ze sobą z tajemniczemi i zarazem ożywionemi giestami, naradzając

się niby nad czémś i umawiając. Potém Władek przebiegł koło płotu, niedaleko zagonów, śród których stała Marcysia. Wesoły był, oczy mu błyszczały i pogwizdywał z cicha, a spojrzawszy na Marcysię, wykrzywił do niéj twarz i podskoczył w ten sposób, jak to miał zwyczaj czynić, gdy był ulicznikiem i chciał ją do serdecznego śmiechu pobudzić.

Po zachodzie słońca, Marcysia stała długo na moście i, wsparta o jego poręcz, patrzała w głąb' ulicy. Niebo spochmurniało, w dole z szumem wielkim szeroko rozlana rzeka toczyła białe piany. Koło niéj przechodzili ludzie i mówili, że jutro zapewne rozbiorą i zdejmą most, bo rzeka wciąż przybiera. Ona nic nie słyszała; stała, patrzała i czekała. Zmrok zapadł... przechodzień jakiś przesunął się blizko niéj i usiłował w twarz jéj spojrzéć. Odwróciła się prędko i uciekła.

Biegła na górę i coraz jeszcze oglądała się za siebie.

— Oj Bożeż ty, mój Boże! — szeptała, — nie przyszedł! nie przyszedł! taki nie przyszedł!

U szczytu już prawie góry zaskoczyła jéj drogę męzka jakaś postać i w mgnieniu oka otoczyła ją ramionami.

Dziewczyna zaszamotała się i krzyknęła:

— Puśćcie mnie! czego wy chcecie ode mnie! puśćcie!

— Oho! — odparł młody syn ogrodnika, — że nie puszczę teraz, to nie puszczę! Nie na toś ty taka śliczna, żeby...

Nie skończył, bo ramię jakieś silne i rozgniewane pochwyciło go za odzież i odtrąciło daleko.

— Władek! — zawołała dziewczyna.

— Cicho! — odpowiedział, — nie krzycz! chodź!

Wziął ją za rękę i prowadził ku jarowi, w którego głębi zniknęli oboje.

Syn ogrodnika tymczasem zapukał z lekka do oświetlonego okienka chaty.

— Mam interes do pani Wierzbowéj, — zawołał.

— Proszę wejść! — odpowiedziała.

Wszedł, usiadł obok staréj na ławie i zaczął jéj o czémś szeptać tajemniczo i długo. Parę razy schylił się i pocałował ją w ramię. O coś prosił, coś obiecywał... Wierzbowa wstrząsała głową żartobliwie niby i pobłażliwie, uśmiechała się, to znowu gniewała się jakby i groziła...

W téjże chwili, w jarze, pod wierzbami, w grubym mroku, śród którego mdłém światłem pobłyskiwała tu i owdzie woda sadzawki, Marcysia i Władek rozmawiali z sobą stłumionym szeptem.

— Coś ten frant Antek bardzo bierze się do ciebie! — szepnął naprzód chłopiec.

— Bierze się! — odszepnęła dziewczyna.

— No a ty? — zapytał śpiesznie.

— A niech go licho porwie! — sarknęła, — żeby on wskróś ziemi przepadł!

Chciała daléj mówić, ale przerwał jéj z gniewném wzburzeniem:

— Niech cię Pan Bóg broni, żebyś go kiedy posłuchać miała! Kiedy ci będzie drugi raz drogę zabiegał, krzycz w niebogłosy i bij go! bij obiedwiema pięściami! tłucz, ile możesz! oczy wydrapuj! tobie niewolno chłopców słuchać! ty moja! słyszysz!

Otoczył ją ramieniem.

— Ty moja! — powtórzył, — to nic, że ja do ciebie rzadko przychodziłem i ot teraz, cały prawie rok się nie widziałem. Czasu nie miałem... o sobie wciąż myśléć muszę i o przyszłości, ale zawsze ty mnie w oczach stała... niby siostra... Bywało, oczy do snu zamykam i wnet widzę ciebie przed sobą... jak żywą... Czasem, kiedy bardzo gniewałem się na świat, ludzi i swoję lichą dolę... cyt! słucham... jakbyś ty mnie nad uchem piosnki swoje śpiewała i zaraz lżéj się robi na sercu... a dziś, kiedy ciebie zobaczyłem taką już wyrosłą i ładną, to tak mi się zrobiło, jak gdyby Pan Bóg kawałeczek nieba swego w oczy mnie spuścił... Tobie Antka słuchać niewolno! ani nikogo! ty moja!

Przycisnął ją mocno do piersi i pocałował w czoło i usta. Dziewczyna milczała jak grób, tylko ramiona oba owinęła wokoło jego szyi i twarz do twarzy jego przycisnęła.

— Widzisz? — szepnął, — my z tobą znamy się tak dawno... dawno... dawno...

— Oj dawno i na całe... caluteńkie życie! — odszepnęła zwolna.

— Pamiętasz, jakeś się kiedyś w sadzawce topiła, a ja cię z wody wydobywał i na drzewie sadzał, abyś oschła?

Zaśmieli się oboje.

— Pamiętasz, jakeśmy tu pod drzewami temi sypiali razem... i jakeś mi bajki swoje opowiadała? Matka twoja nie powróciła?

— Nie powróciła. Zapiła się gdzieś pewnie, taj pod płotem zmarła.

Chłopak wstrząsnął głową.

— Sieroty my oboje bez matki ni ojca; byliśmy i jesteśmy... ja to tylko dam sobie radę na świecie, ale ty...

— Ja z tobą! — odpowiedziała.

Ramię jego osunęło się z jéj kibici. Wyprostował się i zesztywniał.

— Aha! ze mną! — rzekł z ponurém szyderstwem i zamilkł.

Milczeli oboje długo. Dziewczyna spytała piérwsza:

— Władek! czegoś ty raptem zrobił się... taki jakiś?

Nie odpowiadał chwilę.

— No, — zaczął potém, — widzisz! człowiek to zawsze tak! Dopóki coś strasznego daleko jest, to niby nic, a jak zbliża się, to trwoga i desperacya zdejmuje... Dziś zrana, ja był wesoły jak w raju, a teraz... ot, wolał-bym, żeby to jeszcze za dziesiątym mostem było!

— Co? — zapytała.

— Na co ci to wiedzieć, — ofuknął popędliwie, — milcz i nie pytaj... Kiedy uda się, przyjdę tu, zabiorę ciebie i pojedziem razem na skraj świata, a kiedy nie uda się, to... tyle mnie oczy twoje widzieć będą! Już tak! Król albo Cygan! nie czekać mi dłużéj na szczęście, tylko iść i samemu brać, a jeżeli nie da się wziąć, buch w niedolę czarną! jak kamień w wodę!

Osłupiała ze zdziwienia; słuchała urywanych słów jego, nic a nic ich nie rozumiejąc. Trwoga nieokreślona ścisnęła snadź jéj serce, bo znowu zarzuciła ramiona na szyję towarzysza i usiłowała śród ciemności spojrzéć mu w twarz. Zobaczyła, że rysy jego sztywne były, a spuszczone

oczy nieruchomém wejrzeniem patrzały w wodę. Tknięta jakby przypomnieniem nagłém, szepnęła:

— Pamiętasz? jakeś się skarżył przede mną, że matka cię odumarła, a ojciec rzucił i że ci źle bardzo przy ciotce... zawsześ wtedy tak samo w wodę patrzał, jak teraz!

— Bodaj-bym się był wtedy utopił! — wyrzekł głucho.

— Aj! Władek! Władek! — krzyknęła.

— Cicho! nie krzycz! ja chciał-bym, żeby od tego momentu aż po jutrzejszy ranek, cicho było wszystko na świecie, jak... na mogiłkach... i żeby ludzie wszyscy posnęli, jak umarli... Skarżyłem się na sieroctwo moje i na te kułaki, któremi mnie ciotka plecy okładała, i na głód, i na chłód, i w wodę wtedy patrzałem, a ty co? ty wtedy żałowałaś mnie... sierotą będąc, tak jak ja... agrest mi na pocieszenie przynosiłaś, bajki gadałaś i bułki wyżebrywałaś... dobraś ty była... ja tobie tego nigdy nie zapomniał i dziś, kiedy na ciebie spojrzałem, wszystko mi odrazu w oczach stanęło... ty moja!

I znowu objął ją w uścisk silny, namiętny, a usta swe do ust jéj przybliżył, ale nagle wyprostował się i ramiona mu opadły. W dali, kędyś koło rzeki, rozległo się przeciągłe, ostre gwizdnięcie.

— O! już woła! — szepnął, — Franek woła — i zrobił ruch taki, jakby chciał zerwać się z ziemi. Nie zerwał się jednak.

— Jeszcze troszkę, — rzekł, — jeszcze troszkę przy tobie posiedzę...

Po chwili zapytał:

— Marcysiu! kiedy ty śpisz najmocniéj? czy nade

dniem?

— Nade dniem, — machinalnie powtórzyła.

— Wszyscy ludzie najmocniéj śpią nadedniem... ogrodniczysko stare i ten jego frant synalek na chrzciny się gdzieś powloką... Franek zostaje pilnować domu... no i kucharka jeszcze jest, i dwóch parobków... ale oni się pośpią nadedniem, jak kamienie... prawda?

— Prawda, — szepnęła, nic a nic słów jego nie rozumiejąc, ale drżąc od stóp do głowy. Trwoga ją zdejmowała coraz większa, obu rękoma pochwyciła go za odzież.

— Władek! Władek! — szepnęła gwałtownie, — dlaczego ty taki dziwny? co ty sobie myślisz? co to będzie?...

Wstał, i ją, za obie ręce ująwszy, z ziemi podniósł. Oczy jego świeciły wśród mroku przenikającym blaskiem, twarz wydawała się bladą, jak papier.

— Co będzie? — odpowiedział, — a ot co: albo zabiorę ciebie i pojedziemy razem na daleki wojaż... albo... już mnie nigdy nie zobaczysz... pocałuj-że mnie teraz... mocno...

Nad brzegiem sadzawki, która była świadkiem całego ich dzieciństwa, pod wierzbami, które teraz sypały na głowy ich deszcz drobnych kropel, splotły się ramiona, i w zmroku grubym, w ciszy głębokiéj, z szumem drzew, mieszał się długo szmer pocałunków.

Wtém gwizdnięcie u brzegu rzeki powtórzyło się przenikliwiéj jeszcze, ostrzéj i przeciągłéj, niż wprzódy.

— Bądź zdrowa, — pośpiesznie nad płonącém czołem

dziewczyny szeptał Władek, — a pamiętaj mi Antka nie słuchać... i jeżeli ja prędko nie wrócę... zaczekaj na mnie... zaczekaj, choćby długo... i nie myśl sobie, że już ja taki ostatni jestem... zbrodniarz... Żebym inaczéj urodził się, potrafił-bym może być takim samym poczciwym, jak te różne kpy, co po świecie prosto sobie chodzą, bo im ludzie gładziutko ścieżki wypracowali! Widzisz... mogłem cię zgubić dzisiaj... nie chciałem... boś dobra była dla mnie... a ludzie jacy dla mnie byli? Jak Kuba Bogu tak Bóg Kubie! Bądź zdrowa!... Jeżeli wrócę, kupię tobie suknię jak słońce, i trzewiki jak korale, i na czerwoném krześle przed złotém oknem cię posadzę... a sam... od rana do wieczora całować cię będę... Bądź zdrowa!

Pobiegł w górę jaru i zniknął w ciemnościach.

Nocy téj Wierzbowa, która, ze starości zapewne, a jak ludzie utrzymywali, z powodu niespokojnego sumienia, źle zazwyczaj sypiała, kilka razy sennym i burkliwym głosem odezwała się:

— Marcysiu! nie stękaj tak! spać nie dajesz! Marcysiu! a toż co? czy ziela jakiego napiłaś się, że ci dzisiaj snu niéma! Wzdycha a stęka, a przewraca się...

Dziewczyna wzdychała istotnie i przewracała się wciąż na sienniku swym, leżącym na ziemi pod piecem, usypiała chwilami i we śnie szamotała się i stękała. Nade dniem, gdy Wierzbowa zasnęła mocniéj, wstała z siennika, włożyła spodnicę, skrzyżowała chustkę na piersi i cichuteńko podeszła do okna. Świtało. Wpatrzyła się w świt błękitny zaczerwienionemi od bezsenności oczyma i, wsparłszy twarz na dłoni, zadumała się głęboko. Marzyła snadź,

wspominała i zarazem lękała się czegoś srodze. W głębokich źrenicach jéj przesuwał się z kolei wyraz rozkoszy, czułości i niepokoju. Nagle zdało się jéj, że usłyszała za rzeką krzyk jakiś. Podniosła głowę i nastawiła ucho. Istotnie krzyczano gdzieś w pobliżu rzeki. Nie powinno-by to jéj wcale obchodzić... wszak z miasta dolatywały tu o różnych porach różne hałasy. Jednak porwała się z miejsca i, zapominając o wszelkich ostrożnościach, wybiegła z chaty. Stanęła u szczytu ścieżki. Wrzawa, złożona z kilku czy kilkunastu krzyczących głosów ludzkich, trwała jeszcze, chociaż już słabła. Dolatywała ona wyraźnie z za rzeki, od białego domu ogrodnika. Zakończyło ją kilka urwanych okrzyków i wszystko zapadło znowu w milczenie snu głębokiego, który panował jeszcze na mieście i przedmieściu.

Marcysia rzuciła ręką.

— Co mi tam! — rzekła.

Usiłowała zapewne przekonać samę siebie, że wrzawa około domu ogrodnika nie miała nic wspólnego z niepokojem jéj, z którego zresztą przyczyn sprawy przed sobą zdać nie mogła. Przez całą noc majaczyły jéj w myśli niezrozumiałe dla niéj słowa Władka, i teraz znowu zjawiły się w jéj pamięci.

— Co on sobie myślał? — szeptała, — czemu on był... taki jakiś? co to będzie? co to będzie?

Drobny, gęsty deszcz jesienny padać zaczął. Weszła do chaty i niebawem wyszła znowu z wiadrami na ramieniu, w staréj chustce, zarzuconéj na głowę.

Niebo było pochmurne, deszcz padał ciągle, to silniejszy,

to słabszy; Wierzbowa nie poszła do miasta i Marcysi nie kazała iść na robotę. Dziewczyna, uprzątnąwszy izbę i zgotowawszy śniadanie, postawiła przy piecu balią z wodą, i trochę grubéj odzieży prać zaczęła. Do izby weszła stara kobiéta, trudniąca się roznoszeniem mleka po przedmieściu.

— Czy nie kupicie dziś odrobiny mleka? — zapytała z progu.

— I owszem, — odpowiedziała Wierzbowa, robiąc przy oknie wełnianą pończochę, — dajcie kwaterkę!

Kobiéta weszła, i konewkę z mlékiem przykrytą od deszczu płachtą płócienną, stawiając na ławie, zaczęła:

— A wiecież o nowinie?

— O jakiéj nowinie? — ciekawie zapytała Wierzbowo.

— A no, pana ogrodnika, tego... co to za rzeką... bogaty taki, złodzieje okradli tej nocy!

— Jezus, Marya! okradli! i cóż?

— A cóż? złapalić jednego, ale tego właśnie, który pomagał tylko i puste ręce miał, a drugi z pieniędzmi uciekł... Ponoś ogrodnik był z synem kędyś na chrzcinach, parobcy pospali się... ale nade dniem jeden obudził się i światło na strychu zobaczył... a strych był pod kluczem i okna z żelaznemi kratami...

— No, to jakżeż się oni tam do niego dobrali?

— Zwyczajnie, domowa sprawa, dobrodziejko! Własny ot chłopiec ogrodnika, ten ponoś nic dobrego, Franek, był tam robotnikiem głównym.

— A tobież-co? — krzyknęła Wierzbowa, wpatrując się w Marcysię, która w téj chwili wypuściła z ręki blaszane naczynie, w które mleczarka wlewała mleko, i stanęła jak

skamieniała.

— Ot i mleko rozlała! — wyrzekła stara, — czy nieczysty ją opętał... całą noc spać mi nie dała, stękając wciąż a wzdychając, teraz, ot, ręce jéj raptem zesłabły...

— Może chora? — zagadnęła mleczarka.

— A może, — obojętnie rzuciła Wierzbowa, i daléj ubolewać zaczęła nad rozlaném mlekiem.

Po chwili rozmowy mleczarka odchodziła, Wierzbowa zawołała za nią.

— A nie wiecież, matko, kto-to był ten drugi?

— Jaki drugi?

— A ten, którego złapali?

Teraz Marcysia pochyliła się nad balią i tak silnie pocierać zaczęła grube szmaty, że aż woda wylewała się przez wszystkie brzegi.

Mleczarka odpowiedziała już z za progu.

— A nie wiem, dobrodziejko, nie wiem. Com zasłyszała, tom powiedziała... więcéj nie wiem. Niech będzie pochwalony...

Odeszła, drzwi chaty zamknęły się; Marcysia nad balią schylona, jęknęła przeciągle. Wierzbowa przenikliwie spojrzała na nią z za okularów, lecz nic nie powiedziała.

Po godzinie prania dziewczyna roznieciła ogień, przystawiła do niego garnki ze strawą i wybiegła z chaty. Stała długo u szczytu, z oczyma wlepionemi w miasto, potém iść ku niemu zaczęła. Wróciła jednak. Piekła ją snadź trwoga jakaś nieokreślona, dręczyły przypuszczenia i domysły straszne; lecz nie wiedziała, ani gdzie jest ten, o którego lękała się, ani gdzie go w dużém i ludném mieście

szukać miała. Wróciła do chaty, blada jak płótno, strawy obiadowéj ani tknęła, a kiedy Wierzbowa, spoglądając na nią z pod oka, zajadała obiad, zwróciła się twarzą ku otworowi pieca i osłupiałem okiem patrzała w płomień. Ręce jéj drżały, chwilami wstrząsała się cała od stóp do głowy, uderzana, niby prądem elektrycznym, błyskawicznie przelatującym, ale wciąż wracającym, okrutną jakąś myślą. Tymczasem krótki dzień jesienny miał się ku końcowi. Zmierzch był blizki, gdy za oknami chaty przeniknęła się szybko zgrabna postać młodego mężczyzny, i do izby, z łoskotem drzwi otwierając, wpadł syn ogrodnika.

— Nie mogłem piérwéj przyjść! — zawołał zaraz z progu głosem zadyszanym od szybkiego chodu, — a spieszyłem się... tyle dziś u nas kłopotów, no! po uszy!

Zwrócił się do Marcysi.

— Winszuję ulubionego... gagatka! Przepadałaś, słyszę, za nim... przepadaj-że i teraz, kiedy możesz. Złodziéj on! złamał zamek, wlazł na strych i ukradł ojcu pieniądze!

Krwawy rumieniec wytrysnął na bladą twarz dziewczyny.

— Kłamiesz! — krzyknęła.

— Któż to? kto taki? kto? — wołała Wierzbowa, nie rozumiejąc jeszcze, lub usiłując nie rozumieć.

— A któż? aściny wychowaniec, a jéj... kochanek! — odrzekł młody chłopiec, i śmiejąc się na-pół ze złością, na-pół z zadowoleniem, usiadł na ławie.

— Kłamiesz! — ciszéj jednak, niż wprzódy, powtórzyła Marcysia, rękę trzymając już na klamce drzwi, a chciwe oczy zatapiając w twarzy mówiącego.

— Ale! — odpowiedział, — piękne kłamstwo! prawda to, jak złoto i jak dzień! Przecież złapali go tuż prawie pod domem i zaraz przyznał się... Cały już dzień siedzi w policyi, a ot teraz, w tym momencie może, prowadzą go do turmy.

Dziewczyna wypadła z izby i jak błyskawica przebiegła pod oknami chaty. Nikt jéj nie gonił.

— Niech leci sobie, — szepnął syn ogrodnika, — teraz już pewno nie dopuszczą jéj do niego.

Wierzbowa milczała. Coś, jakby wstyd czy żal zamykał usta jéj i w dół opuszczał powieki.

Marcysia przybiegła nad brzeg rzeki zdyszana, bez głosu. Most do połowy już był rozebrany i przejść przez niego nie było sposobu. Promu jeszcze nie zaciągnięto na rzekę. Wielkie czółno, w miejscowym języku zwane *czajką*, odpływało od brzegu.

Dziewczyna schwyciła się za piersi, i ochrypłym a jednak przeraźliwym głosem krzyknęła:

— Czajka! oj! czajka! wróćcie się! jeżeli Boga macie... w sercu.

Ostatni wyraz wymówiła zaledwie już dosłyszalnie, ale z razu głos jéj brzmiał taką rozpaczą i takiém błaganiem, że ludzie, kierujący czółnem, zwrócili je ku brzegowi. Wskoczyła w czółno i opadła na dno jego bezsilna; zaledwie jednak dopływać ono zaczęło do przeciwległego brzegu, porwała się i wyskoczyła z niego w wodę. Czółno posuwało się dla niéj z powolnością, zupełnie do wytrzymania niemożliwą. Nie zważając na krzyki, ostrzeżenia i pogróżki, które rozlegały się za nią, brnęła w

wodzie po pas, po kolana, potém wyskoczyła na brzeg, i jak wicher pobiegła ku środkowi miasta.

Wiedziała, gdzie znajdował się budynek, w którym pod strażą policyi przytrzymywano złoczyńców przez czas wstępnego dochodzenia śledczego, a przeciw któréj stał wielki, ponury, okratowanemi oknami z za wysokich murów wyglądający, gmach więzienny. Wpadła na ów plac miejski i stanęła jak wryta.

Przez plac, od budowy zarządu policyjnego ku więziennemu gmachowi, posuwała się szybko grupa ludzi, złożona z kilku żołnierzy uzbrojonych i idącego pośród nich człowieka. Wysoko ku górze sterczące bagnety, suchemi, czarnemi liniami przerzynały zmrok zapadający i mgłę drobnego deszczu; wśród nich ukazywał się chwilami, to znikał znowu, profil twarzy, ocienionéj zmiętą czapką, bardzo młodéj, bardzo bladéj i pochylonéj nizko. Marcysia biedz zaczęła z całéj siły ku sunącéj placem grupie ludzi. Dogoniła ją przed samemi drzwiami więzienia, i z giętkością węża wśliznęła się pomiędzy żołnierzy.

— Władek! — krzyknęła, obu rękoma czepiając się młodego winowajcy.

Obejrzał się, spojrzał na nią. Zobaczyła, że wzrok błyszczał mu ponuro, że usta mu drgały, że chciał powiedzieć coś do niéj — i nic więcéj, bo żołnierze odepchnęli ją tak, że aż upadła na bruk chodnika, a więźnia wprowadzili w ciemną, głęboką, sklepioną bramę, za którą wnet zamknęły się ze stukiem i zgrzytem, wielkie, okute żelazem, drzwi.

Upadła na bruk chodnika, przycisnęła czoło do muru, i

ręce utopiwszy we włosach, krzyknęła wielkim płaczem.

— Czego krzyczysz? idź precz! — ozwał się nad uchem jéj głos przechodzącego policyanta.

Targnął ją za ramię.

— Idź ztąd precz! — powtórzył.

Ucichła w mgnieniu oka, ale głowy od muru nie odrywała. Policyant pochwycił ją wtedy za oba ramiona i podniósł z ziemi. Szamotała się mu w rękach i stłumionym głosem szeptała:

— Już będę cicho... cichuteńko! pozwólcie mi tylko tu zostać — Pochyliła się i zaczęła mu ręce okrywać pocałunkami.

— Pozwólcie... oj... pozwólcie... jedno słówko, słóweczko mu powiem tylko... jeden razik tylko na niego spojrzę... pozwólcie!

Być może, iż człowiek ten z litością na nią patrzał, w mroku nie można było dojrzéć wyrazu jego twarzy. Szorstkim jednak i stanowczym głosem odpowiedział:

— Nie można! czy zwaryowałaś, dziewczyno? Ruszaj-że sobie ztąd, a to... do policyi zaprowadzę...

A gdy jeszcze nie odchodziła, obu rękoma czepiając się drzwi więziennych i z całéj siły swéj tuląc się do muru, uderzył ją w plecy pięścią, i jednym rzutem silnego ramienia precz, aż prawie na drugą stronę ulicy odrzucił.

Upadła znowu na kamienie bruku, ale wnet podniosła się, i kulejąc trochę, szybko jednak bardzo odbiegła. Przypadła do brzegu rzeki, sama nie wiedząc, jak i kiedy, wsiadła do *czajki*, a gdy przy wysiadaniu usłyszała głos przewoźnika, upominający się o kilka groszy zwykłéj

opłaty, zerwała z głowy i ramion starą chustkę, rzuciła mu ją i popędziła daléj pod górę, ku chacie Wierzbowéj.

Okienka chaty mrugały z dala śród mgły deszczowéj czerwonawém i siném światłem. Wierzbowa miała snadź gości, którzy bawili się i raczyli u niéj wedle zwyczaju...

Istotnie w izbie, przy długim stole, oprócz gospodyni domu siedziała jeszcze mleczarka, która dnia tego z rana przychodziła z mlekiem i piérwszą o zaszłém zdarzeniu wieścią; stara kabalarka z przedmieścia, przychodząca tu od czasu do czasu z talią kart otłuszczonych; dziewczyna jakaś wysoka, ponura i rozczochrana; dwóch mężczyzn brodatych i jedna jeszcze kobieta chuda, żółta, z zaczerwienionémi oczyma, w podartém odzieniu, istny obraz nędzy brudnéj, cynicznéj, ostatecznéj. Na tę ostatnią kobietę zwracała się widocznie uwaga ogólna. Wszyscy patrzali na nią, kiwając głowami i rzucając rozmaite pytania i wykrzyki.

— No, no! — mówiła Wierzbowa, — wróciliście! *taki* wróciliście! a ja myślałam, że kędyś pod płotem wódka spaliła was, albo psy rozszarpały!

— Oj! aj! — zawołała kabalarka, — toć-że ja jéj przed wyjazdem jeszcze wróżyłam, że ani chybi powróci...

Rozczochrana, ponura dziewczyna mruknęła.

— Co jéj z tego, że wróciła? jaka była, taka jest.

Mleczarka wzdychała:

— Ot, że to grzesznikowi Pan Bóg łaski swéj nie okaże, aby nawrócił się!

Jeden z mężczyzn zaśmiał się na całe gardło.

— Imość nawrócisz się, jak szklanicę spirytusu wychylisz...

Ołachmaniona żółta kobieta patrzała na otaczających i przemawiających do niéj ludzi omglonemi oczyma i z ckliwym uśmiechem na wygiętych, pokurczonych ustach. Nie była już zupełnie przytomną.

— Ot, wróciłam! — zaczęła, — otóż wróciłam! do Marcysi mojéj, do doni mojéj... do dziecka mego rodzonego wróciłam... niech ją jeszcze oczy moje raz przed śmiercią zobaczą!...

— Ucieszy się donia, jak matulę taką zobaczy! — mruknęła rozczochrana dziewczyna.

Elżbietka zapuściła rękę w kieszeń spodnicy, opadającéj z niéj łachmanami, i wyjąwszy z niéj brudną szmatkę płótna, zaczęła drżącemi palcami rozwiązywać róg jéj, związany w węzełek. Rozwiązała i wydobyła kilka miedziaków, które rzuciła na stół.

— Matulu! dobrodziejko moja! — zawołała do Wierzbowéj, — sprawcie bal... zapalcie spirytusu odrobinę... niech sobie dawne czasy... lepszą dolę przypomnę...

Mętnym swym wzrokiem zaczęła poglądać w kąty izby, i bełgotliwie, piskliwie nucić:

— Oj dolo moja, dolo! gdzież ty się podziała,
Czyś w wodzie utonęła, czy w ogniu zgorzała?

Wierzbowa trzymała na dłoni rzucone jéj miedziaki.

— Co ja z tém zrobię? — pytała, spoglądając po obecnych.

Obecni sięgnęli do kieszeni, i wnet na stół posypały się

dziesiątki i złotówki.

W parę minut potém, pośrodku stoła zjawił się kociołek miedziany, z którego buchnęło błękitne płomię. Szukając cukru kędyś za piecem, Wierzbowa zapaliła łuczywo i wetknęła go w szczelinę ściany. Izba zagorzała cała od świateł czerwonych i sinych, w rękach Wierzbowéj dźwięknął pęk blaszanych czarek, rozczochrana dziewczyna, zarzuciwszy ramię na szyję jednego z mężczyzn, pochyliły się ku kotłowi, a kabalarka i mleczarka trzymała za spodnicę i chustkę Elżbietkę, która wyrywała się im, wołając:

— Pójdę! ot, pójdę szukać jéj... Marcysi mojéj... doni mojéj najmilszéj... Czym ja tego spodziewała się, żeby jéj tu nie spotkać! prędzéj ja śmierci spodziewała się, jak że jéj tu oczy moje nie zobaczą...

Nachyliła się ku Wierzbowéj, i w ręce ją całować usiłowała.

— Matko moja! — coraz płaczliwiéj mówiła, — miła moja! dobrodziéjko moja! powiedzcież mnie, gdzie Marcysia? gdzie dziecko moje, com ja wam na opiekę waszę macierzyńską zostawiła! Ja biedna, zgubiona kobieta, szłam w świat, żeby dla niéj dobrą dolę zapracować!...

I przeraźliwie, piskliwiéj jeszcze niż wprzódy, zawiodła:

— Oj dolo moja, dolo! gdzież ty się podziała,
Czyś w wodzie utonęła, czy w ogniu zgorzała?

W téj chwili z łoskotem roztworzyły się drzwi izby, w progu stanęła Marcysia i krzyknęła:

— Ratujcie! oj ludzie! kiedy w Boga wierzycie, ratujcie!

Blada była jak trup i tak przemokła, że spódnica oklejała się jéj w koło nóg, a włosy, które rozplotły się, mokremi pasmami zakrywały jéj czoło, plecy i piersi.

Wierzbowa i Elżbietka rzuciły się do niéj; piérwsza z gniewem i ciekawością, druga z rozwartemi ramionami i rozognionym wzrokiem.

Marcysia przypadła naprzód do rąk Wierzbowéj i, całując je, wołać zaczęła:

— Ratujcie go! jeżeli w Boga wierzycie, ratujcie! do turmy go poprowadzili... za temi drzwiami przeklętemi posadzili... oj!

Schwyciła się za serce, wyprostowała się, i w téj chwili dopiéro spostrzegła matkę. Nie wiadomo, czy poznała ją od razu, czy w umyśle jéj mignęło tylko mętne przypomnienie dawnych rysów matczynych, ale umilkła i szeroko oczy otworzyła.

Elżbietka ogarniała ją trzęsącemi się ramionami.

— To ja, doniu moja, — mówiła, — ot widzisz... to ja... powróciłam do ciebie... No, obejmij-że mnie rączkami swojemi... przytul do siebie moję główkę biedną... oj! nawalała się, nawalała główka moja po niedobrym świecie... niech teraz przy doni swojéj minutkę odpocznie...

Przyłożyła pomarszczoną, rozczerwienioną twarz swą do twarzy córki, i ustami, ziejącemi zapachem wódki, ust jéj szukała. Ale dziewczyna odskoczyła gwałtownie, przyparła

się plecami do ściany, i wpatrzyła się w nią wzrokiem przerażonym, rozjątrzonym, ponurym. Elżbietka zbliżała się znowu do niéj. Na nieprzytomnéj twarzy jéj zjawiło się coś, jakby żal, jakby usilna praca myśli i pamięci. Zaczęła kiwać głową, i kilka razy uderzyła się w piersi.

— Nie dotrzymałam, doniu, — wołała, — nie dotrzymałam obietnicy, którą tobie i Panu Bogu zrobiłam... Chciałam poprawić się i... nawrócić się... i nie mogłam... Przeklęta wódka ciągnęła i ciągnęła Rok cały ani do gęby nie wzięłam i już po wszystkiém... i jeszcze gorzéj... Oj! Marcysiu ty moja... doniu moja! nie gniewaj się ty na mnie... w sercu mnie robak toczył, a w głowie smutne pieśni szumiały... czarna, jak ta nocka jesienna, była dola moja...

Dziewczynie jęknęło coś w piersi i załkało, łagodne, blade jak płótno, usta jéj drgnęły gorzkim, rozpacznym uśmiechem. Odwróciła się od matki, i z załamanemi rękoma zaczęła chodzić po chacie, wołając:

— Biedny mój Władek! biedny, biedny mój Władek!

Strumień łez rzucił się jéj z oczu, a piersi zdawało się, że pękną wnet od łkania.

Obecni poglądali na siebie ze zdziwieniem i napoły z litością, napoły z szyderstwem.

— Ot rozkochała się! — wyrzekła głośno rozczochrana dziewczyna.

— Biedactwo! — westchnęła mleczarka.

— A jak to wygląda, — zauważył jeden z mężczyzn, — gdyby topielica!

Usłyszawszy ostatni wyraz, Marcysia stanęła i wpatrzyła

się znowu w matkę. Coś się jéj przypomniało, coś w głowie jéj zaszumiało, bo, ze wzrokiem szklistym, machinalnie, monotonnym głosem, mówić zaczęła:

— Topielice na dnie wody spokojnie sobie leżą... w pachnące ziele owinięte, złotym piaskiem przysypane.

Podniosła ręce do głowy i rzuciła się ku drzwiom.

— Trzymajcie ją, a to utopi się jeszcze, — krzyknęła Wierzbowa.

Jeden z mężczyzn pochwycił ją, i opierającą się przyciągnął ku stołowi. Trzęsła się z zimna od stóp do głowy, i łamiąc ręce, cicho już szeptała:

— Biedny mój Władek! biedny, biedny, biedny!

— Ot, dajcie jéj napić się, — rzekła kabalarka, — a to febry, albo, broń Boże, i gorączki jakiéj z przemoknięcia dostanie!

— No pij! a przestań skandale tu dokazywać i ludzi straszyć, — mówiła Wierzbowa, nalewając do czarki zaprawny cukrem spirytus.

Elżbietka, roztwierała przed nią wpół-bezwładne ramiona, i chwiejąc się na nogach, bełkotliwie szeptała:

— Pij doniu, pij! to dobre na robaka lekarstwo! Zapomnisz, taj zaśniesz sobie!

Czy w téj chwili zagrała w żyłach jéj krew matki pijaczki, czy niewysłowionym czarem uśmiechnęła się do niéj nadzieja zgaszenia tego bólu, który piekł jéj piersi, czy, pijana już rozpaczą, nie wiedziała dobrze, co robić?... porwała z trzęsącéj się ręki matki czarkę, pełną dymiącego napoju, i wychyliła ją do dna.

— Aj! — jęknęła, chwytając się za piersi i gardło, ale w

mgnieniu oka na śmiertelnie bladą twarz jéj wybuchnął rumieniec, oczy spłakane oschły i zaiskrzyły się, jak czarne brylanty. Uczuła snadź ulgę, bo wyciągnęła rękę.

— Dajcie więcéj, — zawołała.

Elżbietka płakała.

— Oj, doniu moja — szeptała, szlochając — taka już widać dola twoja będzie jak i moja!...

Ramię z którego opadały łachmany rękawa, wyciągnęła ku kotłowi, napełniła czarkę drugą i podała ją córce.

Wypiła znowu i opadła na ławkę. Przycichła, znieruchomiała. Rysy jéj zmiękły, błędny uśmiech przewinął się po rozczerwienionych, jak koral, ustach. Mętnym wzrokiem wodząc chwilę po obecnych i jakby sobie coś przypominając, westchnęła głęboko, załkała bez łez i żalącym się drżącym, przyciszonym głosem śpiewać zaczęła.

— Pod drzewem przy drodze
Spało sierot dwoje,
Drzewo się... złamało...
Zabi... ło... obo... je...

Ostatni wiersz śpiewu zaledwie dosłyszalnie z ust jéj wypłynął. Pochyliła głowę na stół i zamknęła powieki.

Upiła się.

KONIEC.

1. ↑ Tak lud nazywa w niektórych stronach kraju pewien gatunek jastrzębi.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Eliza Orzeszkowa.*

DAJ KWIATEK.

Na ulicach miasta Ongrodu ludno i gwarno. Jadą tam, idą, śpieszą, rozmawiają, śmieją się, hałasują na sposób różny. Środkiem ulic suną z łoskotem powozy; bokami, na chodnikach wązkich, tłumnie wymijają się piesi przechodnie, z których każdemu pilno do kogoś, kędyś, po coś...

Wśród tłumu tego, czy spostrzegacie państwo starą tę kobietę, powoli, z trudnością przesuwającą się najskrajniejszym brzegiem ulicy, u samych ścian wysokich kamienic, o które ociera się często łachmaniasta jéj odzież, do których téż przypiera ona niekiedy zgarbione swe plecy, — stając na krótkie wypoczynki z piersią dyszącą ciężko i z kroplami potu występującemi na zmarszczone czoło? Zmęczoną jest widocznie, ale nie dzisiejszą tylko wędrówką. Dnie, miesiące, lata, całe długie już życie przewędrowała w sposób podobny, sród tłumu, spychającego ją na miejsca ostatnie i najmniéj wygodne, pomiędzy najostrzejsze kamienie bruku, ku najchłodniejszym od mrozów, lub najgorętszym od skwarów, murom domowstw miejskich. To téż popatrzcie

państwo, jak przygarbiła się, rzec można, w łęk zgięła dość wysoka jednak jéj postać, jak wychudłą i malutką stała się twarz jéj, okryta zgrubiałą i ciemną skórą, jak zżółkły i pomiędzy sterczące kości policzków głęboko wpadły jéj wargi, jak spłowiały oczy jéj, czarne snadź niegdyś, i jak nad spłowiałemi źrenicami temi drga i mruży się żółta, z rzęs obrana, malutka powieka. A na czole jéj nizkiém, ciemnem, ileż zmarszczek! Wygląda czoło to jak karta papieru, która długo tarzała się po miejscach wilgotnych i mrocznych, w kurzu i natłoczeniu, a ręka jakaś twarda, nieubłagana, zwolna lecz ciągle mięła ją i wygniatała w fałdy i zagięcia najrozmaitsze. Nad czołem tém włosów niewidać, bo głowa kobiety owinięta jest chustką, która, pomimo starości swéj, zachowała jeszcze barwę gorącéj żółtości. Ciemne centki rozsiane są po żółtém tle téj chustki, końce jéj, związane z tyłu głowy, opadają na plecy kobiety, okryte luźnym kaftanem z pstremi łatami, na rękawach, plecach i piersi. Stopy jéj, krocżące po ostrych kamieniach, obute są w płytkie skórzane obuwie i sine wełniane pończochy, ukazujące się niekiedy z pod spódnicy krótkiéj przybranéj u dołu w strzępy różnéj długości, we frendzlę niby, ciężką od gromadzącego się na niéj przez lata pyłu i błota ulic.

Nie znacie państwo kobiety téj? Ja znam ją z blizka. Imię jéj Chaita, zawód — łachmaniarka. Wielki Boże! czy przebaczycie mi państwo, że zaznajamiać was śmiem z osobą, zajmującą tak nizkie stanowisko społeczne? Czy nie powiécie mi, że jest to nieprzyzwoitém i całkiem niepotrzebném z méj strony? Bo naprawdę, cóż wspólnego

być może pomiędzy wami a łachmaniarką? Ze wstrętem nawet i pewną urazą ku mnie wymawiacie wyraz ten...

Przebaczcie! Lubię starą Chaitę, a ilekroć patrzę na nią, zdaje mi się zawsze, iż pomiędzy nią a mną istnieje jedna wielka, ścisła, nierozerwalna wspólność. Ja i ona należymy zarówno do téj ogromnéj rodziny, która zwie się ludzkością! Krewna to więc moja i — raz jeszcze przepraszam państwo — ale i wasza także. Jest to prawda, przeciw któréj żaden wstręt, pełen wytworności uczuć, żadna wysoka ściana, pełen złoceń i ozdób, żaden giest białéj dłoni, pełnéj pierścieni i wzgardy — nic nie mogą. Co się zaś tycze nizkiego stanowiska, jeżeli-by wysokości stanowisk ludzkich mierzonemi bywały wedle przeniesionych cierpień i mozołów, upewniam państwo, że Chaita, łachmaniarka, stała-by na starość dni swoich bardzo, o, bardzo wysoko!...

Łachmaniarką zresztą nie była ona zawsze. Przeszłość jéj... Mam dziwny, dziwny popęd do dowiadywania się, do odgadywania przeszłości istot takich, z pomarszczonemi czołami i drżącą, żółtą powieką, przysłaniającą źrenice krwawe od łez przelanych, spłowiałe od czasu, który przeglądał się w nich tak długo, aż wsiąknął w siebie barwę ich i blask. Raz, pamiętam, w zagranicznéj jakiéjś galeryi obrazów, zobaczyłam malowaną twarz taką. Długo, zaniedbując wiele pięknych pejzaży, i cudownych portretów dam w aksamitnych sukniach, stałam przed twarzą tą starą, zmiętą, spoglądałam w bladą jéj źrenicę, uśmiechałam się do biednych warg jéj, uwiędłych i wklęsłych, i zapytywałam ją w myśli méj: jaką byłaś za młodu? gdzie

żyłaś? kogo kochałaś? jakie cierpienia, pociechy, zawody, prace, znaczyły długą drogę twoję, nim zawiodły cię na brzeg mogiły, w którą wnet położysz się, taka zmęczona?

Wierzajcie państwo, niczego w życiu nie pragnęłabym tak bardzo, jak znać historye, całe, od początku do końca, historye wszystkich nizkich, biednych, zmiętych w dłoni losu i czasu, przygarbionych i pomarszczonych, zmęczonych. Żądanie to zresztą niéma w sobie nic wspaniałomyślnego. Nie jest ono wcale bezinteresownem. Znajomość bowiem wielu, wielu historyi podobnych stanowi dla człowieka — bogactwo serca, dla pisarza — żywy zdrój mądrości. Śmiem nawet ubolewać mocno nad pisarzem każdym, który historyi takich nie ciekaw jest i nie świadom. Uboga w struny musi być lutnia jego i blade farby na jego palecie...

Chaita nie zawsze była łachmaniarką. Za młodu, czy uwierzycie państwo? — była ona smukłą, hożą dziewczyną, z rumieńcem na śniadéj twarzy, z kruczym warkoczem i czarném okiem, w którego płomienne głębokości patrząc, można było myśléć o blaskach, upałach i rozkoszach wschodniego nieba. Urodziła się we wsi — za pozwoleniem państwa — w karczmie. Była to malutka nawet karczemka, mroczna, ciasna, z pochyłemi ścianami i przegniłym dachem. Ale dokoła niéj słały się wspaniałe kobierce łąk przedziwnéj świeżości, szerokie niwy bielały w zimie puszystém posłaniem nieskazitelnie białego śniegu, a w lecie płynęły złotą falą dojrzałych kłosów; w pobliżu, śród niezabudek, wił się strumień, dzień i noc dzwoniący jak srebro, a daléj nieco dębowe gaje, kryły się wieczorami za

woale białawych mgieł, rankami zaś wstawały różowe od świateł jutrzenki... Był tam jeszcze niedaleko, o kroków kilkaset od karczemki, ogród stary, rozległy, wspaniały odwiecznemi drzewami i barwisty mnóztwem kwiatów. Należał on do dworu, którego téż własnością była biedna mała karczemka, dzierżawiona od dziedzica wsi przez ojca Chaity. Biedną była karczemka, biednym dzierżawiący ją arendarz. Dzieci miał wiele, żenił téż synów i za mąż wydawał córki, jak mógł — nie zbyt świetnie zapewne. Chaitę, gdy dosięgła lat piętnastu, zaswatano do miasta Ongrodu; została żoną Lejby, człowieka dość ubogiego, bo za cały majątek posiadającego wóz i konia. Wozem i koniem woził on z młyna ciężkie wory ze zbożem i mąką. Z powodu téj ostatniéj, przez całe życie wyglądał, jak Albinos, z białą twarzą i odzieżą, z białemi włosami i brwiami. Gdy tylko poruszył się, mąka sypała się z niego, jak sypie się śnieg z człowieka, który długie godziny przepędził na śnieżnéj zamieci.

Chaita, wraz ze wstąpieniem na bruk miejski, rozstała się na zawsze z idyllą dzieciństwa swego, z zieloną łąką, w któréj wysokich trawach sypiała niegdyś godzinami całemi, ogrzewana słońcem majowém, a ochładzana gałęźmi rozłożystego głogu, które, powiewając nad nią niby wachlarze, szeptały wciąż do jéj ucha niewyraźne jakieś, łagodne, marzące powieści; rozstała się ze strumieniem, w którego falach płaczące brzozy zatapiały zwisłe swe ramiona, a ona, zwiesiwszy się u jednego z ramion tych, zwolna wraz z niém kołysała się nad falami, które płynęły wciąż, płynęły, srebrnie dzwoniły i niby czarnemi

gwiazdami migotały odbiciem oczu wpatrzonéj w nie dziewczyny; rozstała się z niwą, w któréj wysokich kłosach z głośnym śmiechem chowała się przed swawolnymi braćmi, i ze starym, dworskim ogrodem, do którego wolno jéj było wejść czasem, pod sklepieniem odwiecznych drzew jego poważnie pochodzić i na prześliczne kwiaty, rosnące w nim, z zachwytem popatrzéć. Rozstała się z biedną karczemką ojcowską, w któréj stajni beczało kóz kilka, serdecznych jéj przyjaciółek, w któréj ciasnych izdebkach krzątała się pracowita matka o zwiędłéj twarzy i cierpiącém, łagodném wejrzeniu, a przed któréj progiem zasiadał niekiedy wieczorami brat starszy, i wśród ciszy wieczornéj wydobywał ze skrzypiec nieuczone, niesforne, ale takie przeciągłe, smutne tony. Wtedy, przy młodym bracie, siedzącym na nizkiéj ławie, siadywała ona także i, na szyję zarzuciwszy mu ramię, słuchała gry jego, a wzrok topiła w białéj mgle, kłębiącéj się po łąkach, na kształt wód, kołysanych wiatrem. Grając, brat miewał czasem łzy w oczach. Zapytywała, czego płacze? Nigdy jéj nie odpowiadał. Oboje nie wiedzieli na pewno, czego im smutno. Ciemni byli, niewiedzący. Mgła, tak gęsta, jak ta, która podnosiła się nad łąkami, tylko nie tak do rozwiania łatwa, stała pomiędzy oczyma ducha ich, a światem. Jednak tęsknili za czémś, czegoś pragnęli, czegoś im było żal i lęk... Żałowali tego może, czego nigdy posiadać nie mieli, przeczuwali może ciężką przyszłość... Gdy brat Chaity grał coraz przeciągléj, coraz smętniéj, drobne rodzeństwo zbierało się u kolan jego i podnosiło ku niemu zasłuchane twarze; w ciemnéj sionce matka wzdychała głośno, a ojciec,

z długą, rudą brodą i okiem posępném nieco pod zbrużdżoném czołem, modlił się w izbie przed oknem, coraz głośniéj, coraz żarliwiéj, coraz jękliwszemi i śpieszniejszemi zawodzeniami...

Wraz z piérwszém wstąpieniem na bruk miejski, rozstała się z tém wszystkiém Chaita, a może i z czémś więcéj jeszcze... Może kiedyś, w upalny dzień letni, srebrne fale strumienia, nad któremi kołysała się, u gałęzi brzozy płaczącéj zwieszona, ukazały ognistym, szeroko śród marzenia rozwartym jéj oczom urodziwego młodzieńca jakiego, z miękką dłonią, namiętném okiem, a czołem jaśniejącém mądrością tych wielkich, starych mistrzów Izraela, o których słyszała, jak nieraz ojciec jéj opowiadał jéj braciom... Być może... wszak nie koniecznie trzeba być królewną, aby marzyć o szczęściu... Marzą o niém może i te bosonogie żydóweczki w podartéj odzieży, które widujecie czasem państwo w pobliżu brzydkich karczemek, gdy, siedząc na wilgotnych łąkach, zatapiają w głębie mętnych sadzawek spojrzenia leniwe sennych swych oczu...

Szczęście! *Quel animal est-ça?* — mogła-by dziś, gdyby umiała po francuzku, zapytać Chaita. Ale ona nie umié po francuzku, w rodzinnym więc tylko, bardzo brzydkim żargonie, codziennie z rana stając u okna mieszkania swego, zaczyna pacierz swój od wyrazów: „Panie świata! dziękuję Ci, żeś stworzył mię tak, jak była wola Twoja!”

Miasto porwało ją — jak atom drobny wpadła w aglomerat tysięcy innych atomów, i wraz z niemi pociągniętą została w wir nieustanny i nieubłagany, śród którego stopy stopom zazdroszczą każdéj piędzi zdobytego

gruntu, piersi piersiom odkradać usiłują każdą odrobinę powietrza, usta ustom wydzierają każdą okruchę pożywienia, ramiona stykają się i popychają wzajem, czoła goreją od znoju, serca twardnieją, brudzą się i więdną od widoku twardych kamieni, brudnych murów, uwiędłych twarzy, nad któremi nie brzmią i nie przelatują żadne kojące i pocieszające, choćby nawet nierozumiane, głosy, widoki, pieszczoty, swobodnéj, świeżéj przyrody...

Co tu czynić, ażeby żyć; mężowi, którego obrazu nie ukazywały jéj wprawdzie srebrne fale strumienia, w ciężkiéj pracy dopomódz; dzieci, które otaczały ją coraz liczniejszém gronem, wyżywić, wychować? Czyniła mnóztwo rzeczy. Roznosiła po mieście drobne towary, w kilkunastu małych pudełkach zamknięte, któremi tak owieszała się cała, że miała zdala pozór kobiety, garbatéj z przodu i z tyłu; potém roznosiła znowu owoce w wielkich koszach, których ciężar czynił chód jéj kołyszącym się na obie strony, jak gdyby była srodze kulawą; potém jeszcze...

Lecz nie będę opowiadać dłużéj, czém była i co przez całe długie życie swe czyniła Chaita. Jednę tylko rzecz powiedzieć muszę. Bardzo często chodziła na cmentarz — na ów cmentarz izraelski, który tam, o wiorstę od miasta, na piasczystym gruncie, śród nizkiego, ceglanego ogrodzenia, sterczy lasem czerwonawych kamieni. Chaita chodziła często na piasczyste to wzgórze, a gdy szła, przed nią jechał i po nierównym bruku trząsł się i dygotał wóz z podłużną drewnianą skrzynią. Za wozem idąc, Chaita, zanosiła się zwykle od płaczu; a kiedy potém z przechadzki téj do domu wracała, piasczyste wzgórze sterczało jednym kamieniem

więcéj. Na kamieniach tych wypisywały się następnie imiona różne: męża Chaity, brata jéj, który był dla niéj bardzo dobrym, matki, mieszkającéj przy niéj na starość, syna, który brylantem był w wypłakaném jéj oku, córki, która jak róża kwitła w cierniowym jéj wianku...

Jak się zdarza z wielu starymi ludźmi, Chaita, przez śmierć lub oddalenie potraciła wszystkich swoich... Jedni pomarli, drudzy odjechali daleko, inni zobojętnieli... wśród własnych trosk i licznych przywiązań, zapomnieli o niéj...

Jest ona samą na świecie. Skupuje starą odzież; niekiedy nawet, wyrzucone przez okna domowstw, stare łachmany ze śmietnisk podejmuje, nosi je na plecach w wielkim koszu z łozy uplecionym, osobliwy towar ten sprzedaje osobliwszym jeszcze od niego nabywcom i — żyje...

Wyobrażacie sobie państwo zapewne, iż żyje ona bez wszelkich już pociech i przyjemności, że nic na świecie całym niéma, coby zgasłe oko jéj rozpalić mogło iskrą błyszczącą, a na wargi uwiędłe wywołać uśmiech pieszczotliwy, niemal radośny? Mylicie się! Spójrzcie teraz na Chaitę, gdy zgięta pod ciężarem kosza swego, przesuwa się brzegiem ulicy, podartym kaftanem swym ściany domostw wyciera, a płytkie obuwie jéj co chwila o ostry kamień zaczepia się i z nóg jéj spada, tak, że zatrzymuje się i z gniewném mruczeniem coraz w nie na nowo stopę swą w sinéj pończosze wsuwać musi. Spójrzcie teraz na nią! Podniosła nieco głowę w żółtéj chustce, oko jéj strzeliło iskrą prawie gorącą — uśmiechnęła się i chrapliwym, dygocącym głosem zawołała:

— *Chaimkie!* nu! *Chaimkie!*

Mały, sześcioletni chłopak, przebiegający ulicą, usłyszał jéj wołanie, przypadł do niéj, zarzucił oba ramiona na schyloną jéj szyję, pocałował głośno zmarszczone jéj czoło i wnet, odwróciwszy się, ze śmiechem i krzykiem, pogonił za gromadą starszych i młodszych chłopców, pełnym galopem pędzących w stronę, kędy przed niewielu dniami wywieszono szyld ogromny, z wymalowanym na nim olbrzymem w różowych *inexprimablach* i zielonéj bluzie. Za wejście do przybytku, w którym ukazywano olbrzyma, płacić trzeba było; portretowi jego, wywieszonemu na ścianie domu, Chaimek i towarzysze jego przypatrywali się godzinami całemi bezpłatnie.

Chaita nie była samą na świecie. Chaimek był jéj wnukiem po najmłodszéj córce, po téj właśnie, która przez czas krótki kwitła, jak róża, w kolczatym wieńcu jéj życia. Śmierć zwiała z ziemi różę staréj łachmaniarki, ale ona upatrywała żywy jéj obraz w pozostawioném przez nią dziecięciu. Chaimek miał włosy matki, kasztanowate i wijące się w mnóztwo pierścieni, a oczy takie, jakie niegdyś miała babka jego, czarne, wielkie, szeroko rozwarte wśród ściągłéj, bladawéj twarzy. Chaimek był ładném dzieckiem. Czy uważaliście to państwo, że wszystkie, bez wyjątku prawie, dzieci izraelskiego plebsu, w piérwszych latach dzieciństwa bywają bardzo ładne? Potém stopniowo twarze ich chudną, źrenice gasną, usta pobladłe otwierają się z wyrazem gapiowatego osłupienia. Wyrostki i podlotki posiadają już najpowszechniéj pozory chorobliwości i leniwego znękania. Nie wiem, co właściwie obiera je tak szybko i nieubłaganie ze świeżości i wdzięków. Czy

widzieliście państwo kiedy mieszkanie ich rodziców? Czy zbadaliście wraz z uczonym niemieckim, twórcą *traktatu o żywności*, wpływ, wywierany na organizmy ludzkie przez pewne gatunki i ilości pokarmów? Czy zajrzeliście kiedy do „chederów", w których dzieci te uczą się? Czy wiecie, czego, jak i kiedy uczą się one? Czy znacie mełamedów o silnéj pięści i niecierpliwém oku?...

Cokolwiekbądź, Chaimek jest jeszcze bardzo ładny. Ubranie jego znamionuje w sposób wyraźny profesyą babki i jedynéj opiekunki jego; od roku już bowiem przeszło nosi on w lecie i w zimie kamizelkę z białego perkalu w czarne centki, surducik z perkalu i czapkę z perkalu. Do czapeczki przyszytym jest daszek skórzany, bardzo zmięty, ale Chaimek rzadko nosi czapeczkę, bo najczęściéj zapomina jéj w domu, a na mieście ukazuje się w małéj, rudéj jarmułce, która przykrywa sam wierzch zaledwie spierścienionych jego włosów.

Chaita sama zawsze własnoręcznie szyje ubranie Chaimka. Prawda, że zdarza się to bardzo rzadko, zawsze jednak szczególnym jest widok staréj kobiety téj, gdy w wielkich okularach, których brzegi zachodzą do połowy prawie pomarszczonego jéj czoła, i w żółtéj swéj chustce, ściśle oblepiającéj jéj głowę, siedzi ona na nizkim stołku, przy świetle lampki z długim kominem, i drżącemi, ciemnemi rękoma przykrawuje, przymierza i zszywa spłowiałe łachmany. Czyniąc to z wielkiém zajęciem, z nadzwyczajném wytężeniem myśli i wzroku, od chwili do chwili pomrukuje półgłosem. Mówić do siebie jest jéj stałym zwyczajem. „Kto tam teraz mieszka" szepce czasem.

Myśli wtedy o małéj, brudnéj karczemce, w któréj urodziła się i wyhodowała.

— Aj! aj! jakie one były piękne!...

Wspomnienie to o starych drzewach dworskiego ogrodu, pod których cieniem przechadzała się kiedyś, dzieckiem i dziewczęciem będąc.

Czasem uśmiecha się i głową wstrząsa z rodzajem żartobliwéj pogróżki. Przed wyrokiem jéj przepłynęły z srebrném dzwonieniem fale strumienia, i zamigotały czarnemi oczyma wpatrzonéj w nie dziewczyny.

Innym jednak razem wzdychała ciężko.

— Kiedy on umarł, — mówiła, — to on bielszy zrobił się, niż ta mąka, którą zawsze nosił na sobie! On młodo umarł, ale co to dziwnego? Wory ciężkie na wóz kładł przez całe życie... zmęczył się bardzo i... poszedł sobie...

Potém dodaje:

— Panie świata! połącz duszę jego z duszami Abrahama, Izaaka i Jakóba, i wszystkich miłych Tobie!

A czasem mówi:

— Człowiek podobny jest tchnieniu! dni jego znikają jak cień!

Wtedy myśli o młodéj, hożéj córce swojéj, matce Chaimka, o róży owéj, którą z ziemi zwiała śmierć...

Bywają jednak chwile, w których z ręki Chaity wypada gruba igła; ściska ona pięść z wielkim gniewem, oczy jéj z za wielkich okularów gniewnie pałają.

— Aj! aj! zła kobieta, złodziéjka! niegodziwa! jak ona mię obdarła! jak ona mię oszukała! Dwa złote za taki gałgan ode mnie wzięła! a kto mnie za to tyle da? ja

nieszczęśliwa jestem! ona mnie zgubiła!

Namyśla się, potém uspokaja i dodaje:

— Nu! kto mnie za to tyle da? Dziewczyna ta od tych bogaczów! Ona na niczém nie zna się i ciągle tylko śmieje się i podskakuje. Ja jéj do tego kaftana te błyszczące guziki przyszyję, a pokazywać go jéj będę nie z téj strony, gdzie są dziury, ale z téj, gdzie będą błyszczące guziki. Może ona mnie i trzy złote da! Złoty zarobku! toby to szczęście było!...

Marząc o olbrzymim zarobku całéj złotówki, i uśmiechając się filuternie na myśl o błyszczących guzikach, któremi nazajutrz olśnić ma młodą pokojówkę, ciągle śmiejącą się i podskakującą, stara baba czuje, że drzémać zaczyna. Nogi okrutnie bolą ją od kamieni, po których cały dzień chodziła, rada-by się już położyć i rozciągnąć ociężałe swe członki na łóżku, opatrzoném, niestety, w jedną tylko, bardzo zeszczuplałą, bo wyprawną jeszcze, pierzynę. Wstaje tedy, ale uczuwa, że ciało jakieś leży pod jéj stopami. W drżącą rękę ujmuje lampkę i pochyla się ku ziemi. Chaimek to, który siedział zrazu u jéj kolan, gwarząc i przypatrując się sporządzanym dla niego szatom prawdziwéj świetności, leży teraz u nóg jéj, skurczony w swém bardzo już podartém odzieniu, głęboko uśpiony, i w silnie ściśniętéj ręce trzymający kawałek niedojedzonego obwarzanka.

Wązkie, wklęsłe wargi Chaity rozwierają się szerokim uśmiechem; stawia ona lampkę na stole, bierze wnuka w objęcia, i składając na rozrumienionéj snem twarzy jego głośne pocałunki, mówi:

— Śpiochu ty mały! ja przez ciebie tylko co nie upadła!

Przy ostatnich wyrazach tak już śmieje się, że aż chichoce prawie. Chaimek budzi się, otwiera senne powieki, i coprędzéj niesie do ust niedojedzony przedtém obwarzanek. Babka wsuwa go pod pierzynę.

— *Bobe*? — odzywa się dziecko.

— Nu? — pyta babka, zajęta zdejmowaniem swego kaftana.

— A gdzie ta dziesiątka, którą ja dziś od *puryca* dostałem?

Pytanie to sprawia na Chaicie przykre bardzo wrażenie.

— Gdzie ta dziesiątka! — woła — ja ją za okno wyrzuciłam. Ty ją wyżebrał! a czy ja tobie nie mówiłam, żebyś ty nie żebrał! Jak ty mnie jeszcze raz nie posłuchasz, to ja ciebie rózgą wybije!

Chaimek ani wyrzutów, ani pogróżek babki już nie słyszy. Śpi on już znowu z obwarzankiem przy ustach, i z ramieniem, ubraném w brudny, gruby, podarty rękaw, zarzuconém nad głową. Ciemne rzęsy rzucają mu na różowe policzki długie cienie, a drobne usta uśmiechają się sennie i łagodnie. Stara babka gniewa się jeszcze chwilę i sarka, lecz potém wydobywa z kieszeni wyżebraną przez wnuka dziesiątkę i ogląda ją na wszystkie strony, jakby sama przekonać się chciała, że nie uczyniła wielkiéj niedorzeczności wyrzucenia jéj za okno. Wzdycha przytém ciężko, głową smutnie wstrząsa, lecz nakoniec, wsuwając się pod pierzynę, wymawia:

— Nu! cóż robić! — i dodaje: — Biéda!

Niekiedy babka i wnuk bawią się we dwoje bardzo

wesoło. Zdarza się to wtedy najczęściéj, kiedy Chaita dość późnym wieczorem wraca do mieszkania swego, niosąc na plecach swych kosz, pełen kupionych i podjętych ze śmietnisk łachmanów. Mieszkanie Chaity znajduje się w najgłębszym środku labiryntu tego, który składają uliczki i domki żydowskiéj dzielnicy miasta Ongrodu. Składa się ono z izdebki tak nizkiéj, że zczerniałych belek jéj sufitu Chaita z łatwością ręką dosięgnąć może, a tak ciasnéj, że wielki gliniany, rozsypujący się, piec, większą połowę jéj zajmuje. Pod jedyném okienkiem izdebki téj, złożoném z malutkich szybek, oprawnych w spróchniałe ramki, niéma żadnéj wcale ulicy; domek bowiem stoi wśród wielkiego nagromadzenia podwórek. Jest ich tam dokoła takie mnóztwo, że nieobeznanemu z miejscowością trudno-by się wśród nich zoryentować. Rozdzielone malutkiemi domkami i płotami przegniłemi, dziurawemi, chylącemi się ku ziemi, plączą się one ze sobą i najróżniejsze posiadają kształty: wąziuchne są a długie i kręte, niby kurytarze, to kwadratowe lub okrągłe, w czarne stajenki i składziki zaopatrzone, stosami śmiecia zjeżone, z kałużami, wiecznie stojącemi wśród ostrych kamieni tu i owdzie, i z nagromadzeniem starych desek jakichś, na których w dzień huśtają się gromady dzieci, a które nocami skrzypią i stukają pod powiewem wiatru.

Zdarza się czasem, że Chaimek uprzedza babkę i piérwszy z wycieczek swych po mieście wraca do izdebki. Roztropne to jest dziecko. Wśród mroku, panującego w izdebce, wynajduje zapałki, roznieca ogień w małéj lampce i stawia ją na okienka, aby przyświecała krokom babki, gdy

przebywać ona będzie podwórko, mające kształt długiego, krętego kurytarza. Wszystko to czyni z powagą wielką, zwolna, ostrożnie; potém zaczyna odbywać po izdebce całéj geograficzne poszukiwania. Pogrąża się naprzód w mrokach zapiecka, i po szeleście, który tam czyni, poznać można, iż rozgrzebuje i przeciera starannie nagromadzone tam stare papiery, potém zagląda pod stół, pod pierzynę i poduszkę babki, i pod swoję własną, w kątku na ziemi, leżącą pierzynkę. Niekiedy poszukiwania te pozostają całkiem jałowemi; najczęściéj jednak, za piecem albo pod pierzyną, Chaimek znajduje zczerstwiałą bułkę, obwarzanek, albo kawałek chleba czy twardego séra. Wtedy ze zdobyczą swoją siada w kącie izdebki i, zajadając z apetytem wielkim znaleziony przysmak, przytém nucąc z cicha, albo głośno śmiejąc się z przychodzących mu na pamięć wypadków dnia minionego, oczekuje przybycia babki.

Wkrótce téż daje się słyszéć za okienkiem uderzanie o kamienie bruku przydeptanych trzewików Chaity; nizkie drzwiczki rozwierają się szeroko, i wsuwają się przez nie: najprzód gorąco żółta chustka, oblekająca głowę staréj kobiety, potém zgarbione jéj plecy, a potém wielki kosz, sterczący cały różnobarwnemi szmatami, które go przepełniają, i połyskujący tu i owdzie metalowym guzikiem jakimś, przystrajającym znoszoną odzież. Wtedy Chaimek zrywa się z ziemi, przyskakuje do babki, pomaga jéj zdjąć z pleców ciężar jéj, a następnie wyciąga ku niéj rączkę z niedojedzonym kawałkiem obwarzanka lub séra i woła: „Jedz, *Bobe!*“ Chaita bierze czasem podawaną jéj

żywność i je, najczęściéj jednak tak jest zmęczoną, że z głośném stęknięciem siada na ziemi obok kosza, i bezzwłocznie opuszcza ręce. Chaimek zdejmuje lampkę z okna, stawia ją téż na ziemi, a sam naprzeciw babki siada i obie ręce chciwie w koszu zatapia. Jakaż radość! ileż tam wtedy wykrzyków zachwytu! świetności za świetnościami występują długim szeregiem. Czasem np. ciekawe i niecierpliwe ręce Chaimka z trudem pewnym wyciągają z kosza babki wielką, długą, falbaniastą suknią z liliowego muślinu. Suknia ta pełna plam i dziur, ale Chaimek ich nie dostrzega, widzi tylko piękny kolor liliowy, i z otwartemi usty przygląda się gałązkom deseniu. Po sukni występuje z kosza kapelusz słomiany, zmięty bardzo, z dnem wydartém, ale ozdobiony wielką różą i opaską z różowéj wstążki. Chaimek na widok róży aż chwyta się za głowę obu rękoma, potém, dla lepszego zapewne przypatrzenia się prześlicznemu przedmiotowi, wkłada go na głowę babki. Chaita nie wzbrania mu czynić tego, owszem, oczy jéj błyszczą i uśmiechają się z pod róży, ocieniającéj żółte jéj czoło, gdy uszczęśliwiony Chaimek naprzeciw niéj staje, przypatrując się jéj, przechyla głowę na obie strony i woła: „*Szejne Bobe! a! szejne Bobe*!” Po kapeluszu następują buciki, drobne dziecinne obuwie, podarte, zbrudzone, ale z ponsowéj cieniutkiéj skórki. Chaita nie kupiła ich, lecz podjęła z ziemi na obszernym dziedzińcu jakimś, u okna pięknego jakiegoś domu. W mgnieniu oka ponsowe buciki znajdują się już na nogach Chaimka. Skacze on w nich po izdebce, a co chwila staje, i nizko schylając się, przypatruje się im z powagą i uwielbieniem nadzwyczajném. Chaita,

patrząc na uszczęśliwione dziecko, odpoczywa.

— *Chaimkie*, czy ty dziś nic na mieście nie dostał? — Gdy wymawia słowa te, usta jéj drżą trochę i powieki okrywają całkiem niespokojnie migocące źrenice. Widocznie wstydzi się własnego pytania i dolega jéj ono mocno.

Kiedy Chaimek odpowiada, że nic nie dostał, Chaita nic mu na to nie mówi, tylko z cicha coś mruczy do siebie, głową trzęsie i wzdycha; lecz jeśli tylko sięgnie on do kieszonki i wydobędzie miedzianą lub drobną srebrną monetę, stara babka wyrywa mu pieniądz z ręki, ciska go o ziemię, i w gniew wielki wpada.

— Ty znów żebrał, — woła, zrywając się z ziemi i rozpostarte ramiona wyciągając groźnie ku dziecku, które cofa się ku swéj pierzynce. — A co ja tobie mówiła? czy ja tobie nie mówiła, że żebrać to wstyd i grzech; ja ciebie za to rózgą wybiję.

Gdy tak woła, wyraz oczu jéj tak jest rozsrożonym, głowa jéj i ręce tak trzęsą się, że chociaż sceny podobne powtarzają się bardzo często, Chaimek za każdym razem czuje się mocno strwożonym i, przypadłszy ku ziemi, chowa się pod pierzynkę swą caluteńki, z głową. Tylko malutkie nóżki jego w ponsowych bucikach wyglądają z pod pierzynki, a z innéj strony, przez małe uchylenie jéj, wygląda jeszcze czarne oko, na-pół trwożnie, na-pół filuternie na babkę spoglądające. Chaita staje nad parą ponsowych bucików, i miewa do nich długą jeszcze przemowę o wstydzie i grzechu żebraniny. Przy końcu woła gniewnie:

— Zdejm buciki! Co to? czy ja je dla ciebie tu przyniosłam?

— *Bobe*! — odzywa się z pod pierzynki przyciszony, jękliwy głosik.

— Zdejm zaraz buciki, nu!

— *Bobe*, pozwól mi w nich tę jedną noc przespać!

Głosik przybrał tym razem tak przejmująco błagalne tony, że Chaita czyni pobłażliwy gest ręką i odchodzi ku swemu łóżku. Ztamtąd odwraca się raz jeszcze, i spostrzegłszy głowę dziecka, która, zjeżona kasztanowatemi kędziorkami, wygląda już z pod pierzynki na-pół nieśmiało, na-pół swawolnie, uśmiecha się ku niéj i szepce:

— *Fiszele*! (rybko, dzieciątko).

Nazajutrz, gdy Chaimek otwiera ze snu oczy, za okienkiem, na długiém, wązkiém podwórku dnieje, błękitnawy brzask poranku napełnia izdebkę, a na mglistém tle tém wydatniéj odbija się przygarbiona postać Chaity, w szafirowy kaftan bez rękawów przyodzianéj, i z twarzą, zwróconą ku oknu, modlącą się żarliwie. Z szybkiemi, krótkiemi pokłonami, z rękoma, podnoszącemi się nieco w górę, pół-głosem wymawia ona:

— Błogosławionym bądź, Panie świata, który prostujesz zgiętych w łęk!

— Błogosławionym bądź, Panie świata, który dajesz siłę strudzonym!

— Błogosławionym bądź, Panie świata, który sen z oczu, a drzemanie z powiek moich spędzasz!

Chaimek wydobywa się z pod pierzynki swéj i, w szaréj

koszulince a ponsowych bucikach stanąwszy za babką, zaczyna kłaniać się, tak jak ona i mówić:

— Błogosławionym bądź, Panie świata, za to, żeś nie stworzył mię niewolnikiem ani bałwochwalcą!

— Błogosławionym bądź, Panie świata, za to, żeś stworzył mnie mężczyzną!

I daléj jeszcze długo odmawia poranny pacierz, którego, przez litość nad ubogiém, zaniedbaném dzieckiem, nauczył go uczony Szymszel, ojciec serdecznego przyjaciela jego, małego Mendele.

Stara babka niczego nauczyć go nie mogła, bo oprócz tego, że po całych dniach w domu nie bywała, wiedzy najmniejszéj nie posiadała sama. Bracia jéj uczyli się długo różnych mądrych rzeczy, ale ona nie umiała nawet czytać. Wiedziała jednak o tém dobrze, iż wnuk jéj powinien był umiéć to, co umieli bracia, mąż i zięć jéj, a zmarły oddawna już ojciec Chaimka. Ubodzy to byli i ciężko pracujący ludzie, ale czytać po hebrajsku umieli i zakonu izraelskiego mnogie przepisy znali. Wiedzę tę posiadać musi każdy w Izraelu mężczyzna. Prawidło-to, nie posiadające wyjątków. Miałże-by tylko wnuk jéj stanowić w tym względzie haniebny i srodze boleśny dla niéj wyjątek? Chaita myślała o tém nieraz z trwogą i smutkiem wielkim, ale zaradzić trosce swéj nie mogła. Mełamedowie nie bywają na ogół ludźmi bezinteresownymi, a ona zarabiała na handlu swym jak raz tyle, aby módz wydać na utrzymanie swoje i wnuka rubli sr. 3 na miesiąc, czyli gr. 20 dziennie. Jeżeli miesiąc miał dni 31, Chaita z dniem tym naddatkowym bywała zwykle w srogim kłopocie.

Napatrzywszy się do syta wymalowanemu na szyldzie olbrzymowi, Chaimek zwrócił kroki swe w stronę placu miejskiego, który, otoczony nizkiém ogrodzeniem i osadzony mizernemi drzewami, nosi w Ongrodzie wspaniałą nazwę bulwaru. Inne dzieci podążyły w tym samym kierunku, ale ponieważ starszemi były, pobiegły prędzéj. Chaimek z serdecznym przyjacielem swym, młodszym od niego o rok, Mendelkiem, szli z wolna, trzymając się za ręce i rozmawiając o rękach olbrzyma, których wielkość napełniała ich podziwieniem; o prześlicznéj różowéj bluzie jego, i piękniejszych jeszcze od niéj trawiasto-zielonych *inexprymablach*. Po drodze zatrzymywali się przed niektóremi z wystaw sklepowych, tu, z owartemi szeroko ustami, przypatrując się złotym i połyskującym wyrobom jubilera, gdzieindziéj uśmiechając się z rozkoszą na widok spiętrzonych wysoko bułek i rogali, zdobiących okna piekarni. Do tych ostatnich malutki Mendele, w różowym spencerku i niezmiennie z pod spencerka zwisających białych tasiemkach, wyciągał nawet obie ręce. Ale Chaimek, o rok starszy, perswadował mu, że bułek i rogali tych brać nie można, a gdyby nawet i dostały się one w ich ręce, na nic-by się im nie przydały, ponieważ są *trefnemi*. Mendele nie miał jeszcze zupełnie jasnego pojęcia o znaczeniu *trefu*. Chaimek znał fakt, ale wytłómaczyć go przyjacielowi nie umiał; powiedział więc, że gdy tylko zobaczą Enocha, dziewięcioletniego brata Mendelka, który od pięciu już lat uczy się, i bardzo już jest uczonym i nabożnym, zapytają go o to.

Jakoż, gdy, rozmawiając w ten sposób, weszli na bulwar,

ujrzeli siedzącego na ławce wyrostka, w długiéj, szaréj surducinie i czapce, nizko na czoło nasuniętéj. Był to Enoch, syn uczonego Szymszela, a brat Mendelka. Dokoła niego zgromadziło się kilku chłopców równego z nim wieku, lub młodszych nieco, którzy wszyscy, gwarząc, opowiadając sobie o czemś, sprzeczając się nawet, zwracali się wciąż ku niemu, niby ku sędziemu, albo mistrzowi jakiemu. Widocznie mały Enoch, słynący z tak wczesnéj uczoności i nabożności swéj, zajmował wśród rówieśników swych stanowisko takie, jakie ojciec jego, uczony Szymszel, posiadał wśród mężów dorosłych, którzy szanowali i podziwiali go nawet wielce. Względnie do młodocianego wieku Enocha, stanowisko to było w rzeczy saméj świetném i zdawało się przyrzekać mu przyszłość najpiękniejszą. Tylko, że ściągła, prześlicznie zarysowana twarz małego mędrca, była tak bladą i chudą, a oczy jego czarne, ogromne, tak głęboko zapadły i na świat patrzały z wyrazem tak dziwnie jakoś cierpiącym i dziwniéj jeszcze poważnym!.. Wyglądał tak, jak gdyby wielka owa ilość wiedzy, z któréj słynął, gromadząc mu się w głowie, wsiąknęła w siebie wszystką krew jego, i jak gdyby owa wielka nabożność, którą tak wcześnie się odznaczał, zjęła mu małą, szczupłą postać nieruchomą sztywnością i owiała ją nieokreślonym smutkiem.

Chaimek stanął naprzeciw Enocha, obu łokciami wsparł się o jego kolana i, podnosząc ku poważnéj twarzy starszego towarzysza twarzyczkę swą okrągłą, ruchliwą, figlarnie orzuconą zwojami kasztanowatych kędziorów, zapytał:

— Enoch! powiedz ty nam, mnie i Mendelkowi, co to jest *tref* i *koszer*? dlaczego nie wolno-by nam jeść bułek tych, których tam, za oknem piekarni, tak wiele?

Usłyszawszy pytanie to, Enoch, rozjaśnił nieco twarz i już — już odpowiadać zaczynał dwom, stojącym przed nim, malcom na ich pytanie, gdy inni chłopcy, siedzący na ławce i za nią stojący, jednogłośnie zawołali, że oni o tém już dawno wiedzą, zatém i słuchać więcéj nie chcą, a proszą i żądają, aby Enoch opowiadał im lepiéj piękną jaką historyą. Enoch mnóztwo pięknych historyi umié. Nauczył się ich w hederze, (przeszedł już bowiem cały pięcioksiąg, i znajduje się obecnie w studyum elementarnéj nauki Talmudu, z komentarzem *Rasze*, i słyszał nieraz, jak opowiada je ojciec jego, uczony Szymszel, gościom swym, żonie swéj, a nawet niekiedy, w braku słuchaczy, i samemu sobie. Enoch tedy, mnóztwo historyi pięknych na pamięć umiejąc, chętnie, choć ze zwiększoną jeszcze powagą, opowiada je towarzyszom. I teraz także, w krótkich słowach wyjaśniwszy Chaimkowi znaczenie *trefu* i *koszeru*, w sztywnéj postawie i z poważnemi giestami rozpowiadać zaczął o poprzedzających wyjście Izraela z domu niewoli plagach egipskich. Była to jedna z najstraszniejszych historyi Enocha. Plagi po plagach następują tam długim szeregiem, a jedna od drugiéj jest straszniejszą. O grubych ciemnościach, które zaległy były Egipt, dzieci słuchają w niemém osłupieniu, i wszystkie jednocześnie podnoszą twarze i oczy w górę, chcąc przekonać się, że nad niemi świeci jeszcze jasne i ciepłe słońce letnie. Mniejsze już wrażenie wywierają na nie spadające na Egipt chmury

szarańczy, nie mają one bowiem dokładnego pojęcia, jak stworzenia te wyglądać mogą, a wyobrażając sobie, że są czémś nakształt owadów tych, które przepełniają izdebki ich rodziców, nie czują ku nim wielkiego wstrętu. Różdżka Mojżesza za to, przemieniająca się w węża, zajmuje niezmiernie ich wyobraźnią. Co-by to było, gdyby każdy z nich przemieniać mógł w ten sposób przedmioty różne we wszystko, czego żąda! Mały Mendele naprzykład przemienił-by natychmiast kamyczek, leżący u stóp jego, w piękną, żółtą, pulchną *chałę*, a Chaimek rozkazał-by uschłéj gałązce, którą trzyma w ręce, ażeby stała się taką piękną różą, jak była owa róża, zdobiąca stary kapelusz, znaleziony kiedyś przez niego w koszu babki.

Jakkolwiek przecież gromadkę małych słuchaczy zajmuje żywe opowiadanie Enocha, przerywają je od czasu do czasu różne drobne epizody, związku z nią niemające. Tak np. gburowaty i gapiowaty Mordko, syn krawca Gerszuna, chcąc znaleźć się bliżéj opowiadającego, popchnął Mendelka tak silnie, że zachwiał się on, na tasiemki swe nastąpił, upadł i głośno zapłakał. Chaimka oburzyła krzywda, wyrządzona przyjacielowi. Z zaiskrzoném okiem, ściśniętą pięścią uderzył on parę razy w plecy Mordka, poczém nachylił się, podniósł Mendelka, pocałował go w czoło zwalane piaskiem, pogładził policzek jego zalany łzami, i mocno go potém objąwszy ramieniem, do siebie przytulił. Mendelek przestał płakać, ale w gronie całém powstał, wypadkiem tym wywołany, ruch i gwar pewien, na który przecież Enoch w najmniejszéj mierze nie zważał i bez względu na to, że przez pół go tylko słuchano,

opowiadał daléj i ożywiał się nawet coraz więcéj.

Wytrwałość ta przyniosła, jak zwykle, skutki pomyślne, bo gdy opowiadanie dosięgło kulminacyjnego punktu swego, więc jednoczesnego wymierania wszystkich pierworodnych egipskich dzieci, uwaga słuchaczy na nowo i w zupełności ku opowiadającemu wróciła. Jednoczesna śmierć pierworodnych wzbudziła przerażenie ogólne. Słuchano o niéj z pootwieranemi szeroko ustami, z wyrazem trwogi i głębokiego żalu w oczach. Widocznie dzieci te nie czyniły jeszcze różnicy pomiędzy narodowościami, świat ten zamieszkującemi, i nie wiedziały o tém, że jedna z narodowości tych nienawidzieć może drugiéj i cieszyć się z jéj nieszczęść. Mądrość ich nie dosięgła jeszcze stopnia tego, na którym znajduje się wiedza o nienawiści i zemście. Żałowały téż pierworodnych egipskich tak zupełnie, jak gdyby były one izraelskiemi. Ale Enoch zbliżał się już do wspomnionego wyżéj stopnia mądrości, i nad pierworodnemi egipskiemi litości najlżejszéj nie uczuwał.

Z błyszczącém okiem i szerokiemi giestami opowiadać właśnie zaczynał o płaczach i lamentach, które po owém fatalném wydarzeniu rozlegały się w Egipcie, gdy nagle...

— Patrz! patrz! — zawołali wszyscy słuchacze i wszyscy w kierunku jednym powyciągali wskazujące palce, a Chaimek aż zadrżał cały z radości.

Na bulwar weszła kobieta, w białéj, powłóczystéj, lekkiéj jak obłok, sukni, z ciemnemi splotami jedwabistych włosów nad czołem i z ogromną więzią prześlicznych kwiatów w ręce, obciągniętéj lśniącą rękawiczką. Była to

wysoka, piękna i strojna pani; po obu stronach jéj szli téż wysocy, piękni i strojni panowie.

Enoch sam jeden już siedział na ławce, ale najlżejszéj nie zwracając uwagi na to, iż odbiegali go słuchacze jego, prawił z coraz większym zapałem historyą swą, i dwóm drzewkom, melancholijnie powiewającym nad ławką mizernemi gałązkami, opowiadał o przejściu Mojżesza i Izraelitów przez morze Czerwone. Przechodząca przez bulwar piękna pani i cudowne kwiaty, które niosła ona w swéj dłoni, nie zdołały obudzić w nim zajęcia, od dawna już bowiem próżności i blaski światowe nęcić go przestały, a umysł jego utonął całkiem w poważnych studyach nad przedmiotami wiary i wiedzy.

Lecz nic dorównać nie zdoła pośpiechowi, z jakim bardziéj lekkomyślni i światowi towarzysze Enocha gonili za zjawiskiem, zachwyt ich budzącém. Gromadą całą biegli oni za panią w białéj sukni, chmura kurzawy wzbijała się z pod stóp ich, a krzyki ich napełniały powietrze wrzawą ogłuszającą. Chaimek szczególniéj nie mógł oderwać oczu od ogromnego i prześlicznego bukietu. Dotąd, widywał on tylko kwiaty, malowane na starych sukniach, wtłoczonych w kosz staréj Chaity, albo te, które, z nikłą barwą i zmiętém, martwém obliczem przyozdabiały dziurawe, na śmietnikach podejmowane przez nią, kapelusze. Nigdy jeszcze w życiu swém nie widział on kwiatów żywych, wonnych, świetnych gorącemi barwami, operlonych jeszcze srebrnemi kroplami. Teraz zobaczył je i aż zadrżał cały od zachwycenia niewymownego. W zapale swym zapomniał on nawet o małym Mendelku, który, nie mogąc dorównać

biegowi towarzyszy, usiadł na środku bulwarowéj ścieżki i, rzewnie płacząc, wrzeszczał przeraźliwie. Inni chłopcy, mniéj śmieli, albo może mniéj namiętnie rzucający się ku rzeczom pięknym, biegli za panią w bieli w pewném oddaleniu, palcami tylko ukazując ją i jéj bukiet. Ale Chaimek zabiegał jéj wciąż drogę i, wyciągając obie ręce ku jéj kwiatom, roziskrzone, błagalne oczy podnosił. Zjęty nieśmiałością usuwał się potém, aby wnet znowu, z tym samym giestem i wejrzeniem, zabiedz jéj drogę. Ona nie zważała przez chwilę, ani na dziecko, ani na ruchy jego na-pół nieśmiałe, na-pół gwałtowne, gdy nagle Chaimek pochwycił suknię jéj i z lekka ją ku sobie pociągnął. Stanęła wtedy i ze zdziwieniem z razu, potém z uśmiechem na dziecko spójrzała. Źrenice jéj szafirowe, łagodne, ze srebrzystym połyskiem, spotkały się z nieśmiałemi a roziskrzonemi, jak czarne brylanty, oczyma dziecka. Okrągłą twarzyczkę jego oblewały ogniste rumieńce, drobne usta roztwierały się zachwyconym uśmiechem. Schylona nad nim, zapytała:

— Czego chcesz, mały?

Chaimek nieśmiałym, powolnym ruchem, dotknął końcem palca jéj kwiatów. Zaśmiała się srebrzyście i miękko zarazem, dłoń jéj spoczęła już teraz na gęstych jego kędziorach.

— Poproś ładnie — rzekła — a może dam ci kwatek z mego bukietu?

Chaimek stał przed nią nieruchomy i patrzał jéj w oczy zalęknioném trochę i zdziwioném spójrzeniém, zarazem wargi jego drgać zaczynały, jak gdyby wnet miał się

rozpłakać. Nie dziw. Języka, którym przemawiała do niego, nie rozumiał, piérwszy raz bodaj dźwięki jego słyszał. Z twarzy jéj i z głosu, z ruchu jéj dłoni, która z miękką pieszczotą przesuwała się po włosach jego, domyślił się, że piękna pani była dla niego łaskawą, ale czego-by chciała od niego, o co go pytała — nie wiedział. Odgadła to właścicielka bukietu.

— On mnie nie rozumié! — zawołała, i w mgnieniu oka biała jéj twarz powlokła się cieniem smutku. Potém łagodnie i żartobliwie trochę rzekła:

— Powiedz mały: daj kwiatek!

Chaimek domyślił się tym razem, że kobieta uczy go wymawiania nieznanych jakichś wyrazów. Pojętność i uwaga odbiły się w oczach jego, które rozwarły się szerzéj.

— „Daj kwiatek” — uśmiechając się wciąż, mówiła kobieta.

Chaimek wyjąkał i wybełkotał z razu coś niezrozumiałego, lecz po chwili z wybuchem radości i po dziecinnemu przeinaczając trudny dla niego wyraz, zawołał wyraźnie i głośno:

— Daj kwiatek!

Wtedy kobieta w białéj sukni wesoło i razem głęboko jakoś popatrzyła mu w oczy, potém odłączyła od bukietu swego sporą część kwiatów i podała je dziecku.

— Śliczne dziecię! — prostując się, rzekła do towarzyszy swych i chciała odejść, a Chaimek zawiesił się u jéj ręki, którą okrywał namiętnemi pocałunkami.

W minutę potém biegł już ulicą, wiodącą ku żydowskiéj dzielnicy. Trzymał kwiaty swe w wysoko podniesionych

ręku, biegł bardzo szybko, ani słyszał wołań goniących go towarzyszy, a od tych, którzy go doganiali, bronił się rękoma i nogami. W ten sposób przebiegł kilka wązkich zaułków, kilkanaście różnokształtnych dziedzińczyków i wpadł do mieszkania babki.

W chwili téj właśnie słońce zachodziło. Ukośny promień jego padał na drobne szybki i spróchniałe ramy okienka. O! błogosławioném bądź słońce, które ozłacasz niekiedy czarne ściany takich nizkich ciemnych izdebek, szkarłatnemi smugami opasujesz takie niezgrabne, gliniane, rozsypujące się piece, i ciepły pocałunek składasz na czole zmarszczoném i zżółkłém takiéj przygarbionéj, zmęczonéj, staréj, łachmaniarki!

W różowym płomieniu zachodzącego słońca, z kwiatami w wysoko podniesionéj ręce, stanął zdyszany Chaimek przed babką swą, która, na stołku siedząc, drżącemi rękoma przebierała podarte łachmany. Śnieżne lilie, stulistne róże, błękitne jak niebo niezapominajki i wysokie trawy ze srebrnemi brzegami rozbłysły w słońcu, niby spadły z nieba odłam tęczy; woń ich świeża, silna, upajająca, napełniła izdebkę całą od czarnego sufitu do glinianéj, poszczerbionéj, śmieciem okrytéj podłogi. Chaita klasnęła w ręce, oczy i usta szeroko ze zdziwienia otwierając.

— *Chaimkie!* — zawołała — aj! aj *Chaimkie* — a zkąd ty wziął te piękności? gdzie ty znalazł takie brylanty? Daj ty mi ich tu, ja im przypatrzę się! Aj! jak one pachną!

Uczucie niewymownéj błogości rozlewało się na twarzy Chaity, gdy, wziąwszy piękne kwiaty z rąk wnuka, przyglądała się im z daleka i z blizka, przymrużała oczy,

nos swój, uzbrojony w wielkie okulary, kryła całkiem prawie w kielichu białéj lilii, a szerokie trawy o srebrnych brzegach gładziła dłonią, jakby to były dzieci ukochane, a wciąż wołała:

— Aj! aj! jakie to gładkie! a jak to pachnie! a jak to błyszczy!...

I trudno-by rozpoznać, które z dwojga istot tych, dziecię czy babka, cieszyło się namiętniéj temi arcydziełami natury, co zajaśniały nagle w ciemném i duszném ich miejskiém więzieniu tym błyskiem zbytku, który przerznął i rozświecił przed nimi — mrok nędzy. Cieszyli się oboje naiwnie, głośno, ale uciecha dziecka dłuższą była. Chaita po kwadransie poczęła głową trząść smutnie jakoś, westchnęła nawet.

— Kiedy ja byłam młoda — szepnęła — ja takie same piękne kwiaty widywałam w dworskim ogrodzie. Potém już ja żadnych kwiatów nie widziałam nigdy...

Chaimek siedział w kątku na swojéj pierzynce i, opowiadał babce o pięknéj pani i o sposobie, w jaki kwiaty od niéj otrzymał, całował od chwili do chwili róże i lilie. Lecz babka po wielkiéj radości posmutniała na cały wieczór i, cerując przy ostatniém świetle dnia stary spencer jakiś, wciąż mruczała do siebie coś o rodzinnéj karczmie, o dworskim ogrodzie, o gałęziach brzóz, kołyszących się nad wodą, o późniejszém życiu swojém, biedach jego, troskach, bólach...

Wśród nocy budziła się ciągle, stękała, wzdychała, a nie śpiąc, usłyszała, jak w ciemnościach, zalegających kąt izby, głosik dziecinny, czysty jak srebro, uśmiechniony, z

dźwiękiem prośby wymówił przez sen: „Daj kwiatek!”

Chaimkowi śniła się kobieta w białéj sukni i z szafirowém, srebrzyście połyskującém okiem; śniły się mu téż kwiaty, i nie dziw, bo oddychał wciąż, owiany był cały ich mocną wonią. Nocy téj, niby drugi Heliogabal, spał on na kwiatach. W obawie, aby mu gdzie nie zginęły, włożył je sobie pod poduszkę, pod małą, biedną poduszeczkę, powleczoną siném, szorstkiém płócienkiem.

Bolesne obudzenie! Nazajutrz Chaita, odmawiając, jak zwykle, o wschodzie dnia poranne swe modlitwy, usłyszała za sobą głośne spazmatyczne niemal szlochania. Odwróciła się, i oto jaki obraz przedstawił się jéj oczom.

Na wiązce słomy, przykrytéj na-pół cienką pierzynką, siedział Chaimek z włosami wśród snu rozczochranemi i zjeżonemi, a kolana jego, przykryte szarą koszuliną, i drobne nagie stopy osypane były trupami kwiatów. Otworzywszy oczy ze snu, sięgnął on wnet pod poduszkę i wydobył skarby swe, lecz w jakimże stanie! Atłasowe liście białych lilii zżółkłe były i porozdzierane, róże, na-pół ogołocone ze swych koron, sterczały uwiędłemi łodygami, szerokie zielone trawy zmieniły się do niepoznania... Nie były to już kwiaty, lecz słabe, o nich zaledwie wspomnienia. Chaimek z obwisłemi rękoma patrzał na nie i płakał, szlochając głośno, pełną piersią. Daremnie pocieszała go babka pieszczotliwemi wyrazy, to znowu łajała, grożąc, że go rózgą wybije... Chaimek, nie słyszał nic i nie widział! Łzy duże, rzęsiste, strumieniem nieprzerwanym lały się z oczu jego, i spadając na uwiędłe kwiecie, skrapiały je obfitą niby rosą. Jedna tam była tylko

gałąź niezapominajek, która zachowała jeszcze trochę świeżości i barwy. Błękitne te gwiazdki ze złotemi oczyma zdawały się łagodnie i smutnie patrzéć na zapłakanego chłopczynę. Gdyby posiadały dar mowy, lub gdyby Chaimek znał imię ich, powiedziały-by mu one z pewnością: „Pamiętaj!”

Nie wiem jednak, czy nauki, udzielane mu przez Rebe Nochima, nie wygonią z pamięci Chaimka łagodnego upomnienia kwiatów z błękitném spojrzeniem; bowiem od dwóch miesięcy ma szczęście być wychowańcem i uczniem Rebe Nochima...

Był raz wieczór jesienny i smutny. Za okienkiem izdebki Chaity, po długiém, wązkiém, podwórku, z żałośném gwizdaniem przelatywały wichry, a gdy umilkły na chwilę, słychać było szmer deszczu, spadającego na kamienie bruku. Chaita leżała na łóżku swém, stękała i wzdychała. Wązki promień lampki migotał po twarzy śpiącego obok niéj Chaimka, a ona w twarz tę wlepiła nieruchome oczy i, według zwyczaju swego, półgłosem do siebie mówiła:

— Oj! biedne, nieszczęśliwe ty moje dziecię, co z tobą stanie się, kiedy dusza moja rozwód weźmie z mojém ciałem! Co z tobą będzie, kiedy Przedwieczny zawoła duszę moję, aby szła ztąd i połączyła się w światłości jego z duszami matki mojéj i ojca mego, męża mego Lejby i brata mego Abrahama, dwóch synów moich i kochanéj córki mojéj Małki? A co ja Małce mojéj powiem, kiedy ona mię na tamtym świecie zapyta się: Matulu, co ty zrobiłaś z małym synkiem moim, Chaimkiem? czy ty zostawiłaś tam przy nim kogo, kto chleb w usta jego, a rozum w jego

głowę wkładać będzie? Jak ona mię tak zapyta się, ja z wielkiego wstydu oczu na nią, na moję kochaną Małkę, podnieść nie będę mogła, i tylko cała łzami zaleję się, bo miłego synka jéj, Chaimka, ja samego jednego na tym świecie zostawię... On tak mały i żadnéj rady sobie dać jeszcze nie może... U niego ręce takie małe, że on sobie niemi nic nie zapracuje, a głowa taka głupia, że będzie go do złych rzeczy, do wielkich nieszczęść prowadzić! Oj! biedna, nieszczęśliwa głowa moja!...

Tak rozmyślała i wyrzekała Chaita. Wieczoru tego myślała o śmierci, bo na świecie smutno było i ciemno, wichry żałośnie bardzo jęczały, a ją bolały wszystkie kości i bolała głowa, żółtą chustką owiązana, i koło serca tak się jéj jakoś robiło słabo i boleśnie, iż myślała, że z każdém odetchnieniem cząstka duszy jéj ulatuje z jéj ciała. Przytém, srogich od dni kilku doświadczyła zgryzot. Czy to, że sił niedostawało jéj do gorliwych zachodów, czy że rywalka jéj, Jenta, jako młodsza nieco i zdrowsza, w targu i na śmietniskach wszystkich ją wyprzedzała, od tygodnia może nie zarobiła nic prawie. Już nawet parę razy otwarcie powiedziała Chaimkowi: Nu, wyproś dziś tam u *puryców* kilka groszy. — Nie srożyła się i nie łajała go, a zwykłą w podobnych wypadkach pogróżkę; „ja ciebie za to rózgą wybiję”, wymówiła tak cicho, że Chaimek wcale jéj nie dosłyszał.

Wieczór był już późny i dawno pora było rozebrać się i wsunąć pod pierzynę; ale stara babka nie uczyniła jeszcze tego, leżała w ubraniu i długo, długo mruczała półgłosem, oczu nie spuszczając z twarzy śpiącego wnuka. Potém

podniosła się z ciężkością, narzuciła na głowę i plecy wielką dziurawą chustkę i, nie zważając ani na ciemność nocną, ani na deszcz i wicher, wyszła z izdebki. Zgarbiona, z ręką wyciągniętą na przód, wśród fal deszczowych, które uderzały jéj prosto w twarz i przenikały dziurawą jéj odzież, przebywała kręte dziedzińczyki i wązkie uliczki. Stopy jéj osuwały się co chwila z ostrych kamieni, albo zapadały w głębokie kałuże, szła bardzo powoli. Doszła nakoniec do celu swéj wędrówki, i wsunąwszy się w ciemną sionkę nizkiego domowstwa, zastukała do drzwi, które znalazła omackiem.

— Kto tam? — zapytał z wewnątrz głos męzki.

Chaita z cicha wymówiła imię swe.

— Wejdź!

Izba, do któréj Chaita weszła, dość obszerną była, ale ubogą. W głębi jéj, na prostym stołku, przed stołem, na którym leżała wielka, rozwarta księga, siedział człowiek, w długiém do ziemi, wyszarzaném ubraniu, z obliczem ciemném i całkowicie prawie obrosłém gęstemi, ciemnemi włosy. Człowiek ten wczytywał się w księgę z wielkiém snadź wytężeniem władz duchowych, bo, gdy podniósł wzrok na wchodzącą kobietę, źrenice jego omglone były, jak bywa u tych, którzy z trudnością oderwać się mogą od przedmiotu swych myśli. Nie rozgniewał się jednak, że mu przeszkodzono w zajęciu, i łagodnym głosem zapytał:

— Czego przychodzicie do mnie o tak późnéj porze? czy stało się u was jakie nieszczęście?

— Odkąd opuściłam dom moich rodziców, nieszczęście stało się towarzyszem wszystkich dni moich — odszepnęła

kobieta.

— Taką widać jest wola Przedwiecznego, wyrzekać na nią wzbrania nam zakon nasz — surowiéj nieco odparł mężczyzna i zapytał: — Czego chcecie ode mnie?

Chaita pochyliła się i pochwyciwszy ciemną, suchą jego rękę, do ust swoich ją przyłożyła.

— *Rebe!* — rzekła — ja przyszłam prosić cię za wnuka mego, za małe niewinne dziecko, które może bardzo nieszczęśliwém stać się, jeżeli ty nie ulitujesz się nad niém!

Tu rozpowiadać zaczęła o troskach i niepokojach, któremi zapełniał ją przyszły los dziecka.

— *Rebe* — mówiła u końca mowy swéj — ja przed tobą serce moje otworzę. Wielki ja grzech popełniłam, sama dziecko to żebractwa uczyłam... *Rebe!* niech twoje oko z gniewem i pogardą na mnie nie patrzy... mnie ciężko żyć... Ale ja o dziecko to w wielkim strachu jestem. Ono nauczyło się żebrać, a nauka to zła jest... ona prowadzić może do tego, że on będzie kraść! Aj! aj! *Rebe!* ja tego nie chcę! ja tego bardzo boję się!

I zaczęła w istocie trząść się na całém ciele, jak gdyby miała febrę.

— *Rebe!* ja grzech nie jeden mam na sumieniu mojém! Zdarzało się, że łachman nędzny ja za dobry sprzedałam, a kupując rzecz jaką dobrą, zapłaciłam za nią, jak za nędzny łachman. Zdarzało się, że ja oczom ludzkim pokazywałam towar mój z téj strony, z któréj on cały i piękny był, a tę stronę, która była dziurawą i brzydką, chowałam, jak mogłam! Zdarzało się, że ja dla Jenty, téj, co także łachmanami handluje, wielką zazdrość i nienawiść w sercu

swojém miałam, kłóciłam się i biłam z nią o lichy zarobek! Widzisz ty, *Rebe*, że ja przed tobą całe serce moje otwieram, ale ty nie patrz na mnie za to, co ja zrobiłam, z gniewem i pogardą, bo... bo mnie tak ciężko żyć!... Ale ty, *Rebe*, pomyśl sobie, że ja nie chcę, żeby Chaimek mój musiał tak grzeszyć, jak ja grzeszyłam! ja tego bardzo boję się! Ulituj ty się nad małém, niewinném dzieckiem! Ono takie piękne, i takie rozumne, i takie jeszcze małe! Weź ty, *Rebe*, wnuka mego pod opiekę swoję, jak tyle już dzieci biednych nieraz brałeś! Zrób ty tak, żeby on mógł uczyć się i rozum do swojéj głowy brać, i żeby, jak dusza moja rozwiedzie się z ciałem, ustom jego kawałka chleba nie zbrakło! Ty dobry jesteś, *Rebe*, nad biednymi ludźmi litujesz się zawsze! Miłosierdzie twoje, tak jak wielka mądrość twoja, na cały świat słynie! Niechże i ja znajdę łaskę w oczach twoich i litość w twém sercu!

Drżącéj mowy staréj kobiety *Rebe* słuchał w milczeniu, z uwagą. Myślał potém chwilę, aż rzekł:

— Bądź ty spokojną! ja prośbę twoję spełnię i wnukiem twoim zaopiekuję się! Ja go do domu mego wezmę, składkę na niego zbiorę, do *Talmud Tory* posyłać i sam go uczyć będę!

Twarz Chaity, zbolała i błagalna przed chwilą, zajaśniała radością i wdzięcznością niewypowiedzianą. Nagle zapłakała głośno, spazmatycznie prawie.

— Czegoż płaczesz? — zapytał Rebe.

— O, *Rebe!* przebacz ty moim łzom! głupie to są łzy, ale rzucają się one z serca mego do oczu moich, i ja ich zatrzymać w sobie nie mogę. Jak ty Chaimka mego do

domu swego weźmiesz, rozstanę się z dzieckiem mojém... Niéma u mnie nikogo na świecie całym, tylko jest on jeden... Ja i on, żyliśmy do tego czasu, jak te dwie krople wody, które wiatr rzuci na piasek, i które ciągle na siebie patrzą, a jedna drugiéj żyć dopomaga... Jak ty, *Rebe*, Chaimka mego do domu swego weźmiesz, zostanę się ja bez niego, jak oko bez źrenicy, jak ciało bez duszy. Kiedy ja obudzę się z rana, nie zaśmieją się już do mnie usta jego, a kiedy wieczorem do domu wrócę, szyi mojéj ręce jego nie obejmą. Nie będą już nóżki jego biegać i skakać po mojéj izdebce, a w ciemnościach nocnych nikt już nie zawoła do mnie: — *Bobe!* przyjdź i zabierz mnie do łóżka swego... niech ja rozgrzeję się pod pierzyną twoją... Pozwól ty, *Rebe*, żebym przynajmniéj często do domu twego przychodziła i, na niego patrząc, pocieszała stare oczy moje...

Nazajutrz do izdebki Chaity wszedł. Reb Nochim, i wziąwszy za rękę strwożonego i płaczącego Chaimka, zaprowadził go do domu swego.

Kimże i jakim jest Reb Nochim? Zdziwicie się państwo, gdy powiem wam, że jest to mąż sławy niepospolitéj. Nie słyszeliście nigdy o nim? Jeden to dowód więcéj, że, posiadając wiele wiedzy, można jeszcze o mnóztwie rzeczy nie wiedzieć. Reb Nochim słynie szeroko śród izraelskiego plebsu z uczoności swéj, pobożności i miłosierdzia. Talmudystą jest on, biegłym wielce, i naukę kabały studyuje z niezmordowaną pracowitością. Powiadają niektórzy, iż dla oczu jego nic niéma skrytego na niebie i ziemi, ale ja o tém z pewnością twierdzić nie mogę. Wielkiéj litości jego zato mam dowody niezbite, bo czyny

jéj i następstwa widziałam nieraz przed własnemi oczyma. Widziałam nieraz dzieci izraelskie, ubogie, obdarte, głodne, które gromadami całemi przygarniał on ku sobie; widziałam starców niedołężnych, zgarbionych, którym ramię swe za podporę on dawał... Ale o tém mi mówić nie pora dziś. Teraz wspomnę o tym rysie usposobień Rebe Nochima, który wywrzéć może, jak mi się zdaje, silny wpływ na przyszłe ukształcenie moralne i umysłowe Chaimka. Reb Nochim, oprócz hebrajskiego języka i pospolitego żydowskiego żargonu, żadnéj innéj mowy, ani wyrazu jednego nie rozumié i nie wymówił nigdy. Pogrążony całkiem w studyach religijnych, w badaniu szczególnéj tajemnic kabały, nad któremi praca, wierzajcie państwo, żartem wcale nie jest, nie miał on może czasu wyuczyć się języka panującego w kraju, który dla pra-pra-dziadów jego był już krajem rodzinnym. Przypuszczam jednak, że oprócz braku czasu, nieumiejętność ta Rebe Nochima posiada jednę jeszcze przyczynę, którą, zdaje mi się, że raz własnemi dostrzegłem oczyma.

Było to niedawno temu. Idąc ulicą miasta, spotkałam przybywający do Ongrodu tabór cały pogorzelców. W poblizkiém miasteczku zgorzały wielu biednym ludziom domy ich i całe chudoby, i jechali oni teraz na wozach, odarci, wychudli, wpółnadzy, niektórzy nawet szli pieszo, a na obliczach wszystkich była nędza i rozpaczne o ratunek błaganie. Tabór ten posuwał się zwolna środkiem ulicy, a na chodnikach stały tłumy zamożniejszéj izraelskiéj ludności, przypatrującéj się z ubolewaniem nieszczęściu śpółbraci. Chodnikiem téż równolegle z taborem postępował Reb

Nochim. Smutny stan nędzarzy tak go rozrzewniał, iż wielkie łzy jedna za drugą płynęły po ciemnych, zarosłych włosem, jego policzkach. W dłoniach trzymał puszkę blaszaną i przed osobą każdą stojącą na chodniku wstrząsał nią, o jałmużnę dla pogorzelców prosząc. Nie prosił wprawdzie ustami, nie mówił nic, ale wymownie bardzo prosiły łzy jego i smutne, głębokie jego wejrzenie. Za każdym razem, gdy miedziana lub srebrna moneta z ręki czyjéj w głąb' puszki wpadła, Reb Nochim dziękował dawcy skinieniem głowy, pełném wdzięczności, i takim miękkim błogosławiącym uśmiechem.

Kobieta jakaś, nienależąca do izraelskiego świata, przechodząc, rzuciła téż pieniądz w puszkę Reb Nochima. Reb Nochim nie podawał jéj puszki swéj, bo poznał od razu, że nie należała ona do plemienia tego, z którego pochodzili sunący środkiem ulicy nędzarze; lecz gdy nieproszona dar swój złożyła, orzucił ją bystrém spójrzeniem, w którém błysnęło twarde, niemiłe światło jakieś, wstrząsnął puszką swą tak silnie, jak gdyby chciał wyrzucić z niéj pieniądz, przez nią rzucony, i głową nie skinął, i nie uśmiechnął się, i szybko, bardzo, bardzo szybko, minął kobietę...

Byłam tam wtedy, moment ten pochwyciłam wzrokiem i pomyślałam zaraz o małym Chaimku. Być może jednak, że te lilie białe, na których przespał on noc jednę, że te niezabudki, które błękitném wejrzeniem swém zdawały się mówić mu: „pamiętaj!"...

...Chaimek mieszka u Rebe Nochima i uczęszcza do Talmud-Tory, ale wieczorami Reb Nochim często sam go

naucza. Prowadzi on z dzieckiem długie rozmowy, opowiada mu wiele historyi, poczerpniętych ze świętych ksiąg Izraela, a ofiara to niemała, gdyż rozmowy te zabierają mu czas drogi, odrywając go od ulubionych studyów i modłów. Ale czegoż Reb Nochim nie uczyni gdy widzi, że ktoś biedny potrzebuje pomocy jego, albo, że w jakiémś malutkiém sercu wzniecić może wielką miłość dla izraelskiego ludu i wiary jego!

Onegdaj tedy wieczorem; Reb Nochim nauczał Chaimka. Siedzieli obaj w nizkiéj szaréj izbie, jeden naprzeciw drugiego; mąż z ciemną twarzą i gęstym zarostem wspierał łokieć na stole, a rękę podnosił w górę, wskazując niby niebo; dziecię, z okrągłą, pojętną twarzyczką, siedziało na wysokim stołku, z nogami w powietrzu, z drobnemi rękoma splecionemi na stole, wyprostowane, uważne, z dwojgiem wielkich oczu nieruchomie utkwionych w oblicze mistrza.

Reb Nochim jest mistykiem. Wierzy on we wszystkie nadprzyrodzone jestestwa, o których opowiadają księgi, lecz dla niektórych aniołów szczególnie serce jego goreje miłością tkliwą i rozrzewnioną. Miłością tą chce on podzielić się ze swym uczniem. Onegdaj właśnie opowiadał mu o aniele Sandalfonie, który, stojąc w niebieskich wrotach, pochwytuje modlitwy, lecące z ziemi do nieba, zmienia je w kwiaty przedziwnéj piękności, i splata z nich wieńce, które składa u stóp Jehowy.

Chaimek słuchał o aniele modlitwy i litości z zachwyceniem niezmierném, i jakby ujrzéć go zapragnął, podniósł w górę swe oczy. Wtedy, nagle, przed pamięcią i wyobraźnią jego stanęła kobieta w białéj sukni, ujrzana

kiedyś na bulwarze miejskim; zobaczył schylającą się ku niemu twarz jéj białą i łagodną, z szafirowém, srebrzyście połyskującém okiem i, zapatrzony kędyś wysoko, głośno z uśmiechem wymówił.

— Daj kwiatek!

Rebe Nochima zdziwiły bardzo nieznane mu wyrazy, które wymówiło dziecię i...

Lecz o Reb Nochimie, życiu jego, naukach i tych dziwnych, lub może i niedziwnych sprzecznościach, które istnieją w sercu i głowie jego, opowiem państwu kiedyś, późniéj... jeżeli dowiem się, że historya o Chaicie i Chaimku zdobyć sobie zdołała przyjazne wasze względy.

KONIEC.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Eliza Orzeszkowa.*

ZEFIREK.

Był to jeden z dziedzińców tych, które tylko w prowincyonalnych miastach spotkać można. Rozległy i niebrukowany, od strony ulicy miał dom drewniany, lecz duży i dość ozdobny, a w głębi budowę długą, nizką, zrujnowaną, któréj środkowa część, całkiem prawie rozrzucona, służyła za drwalnią i śmietnisko, a oba końce, w kąty dziedzińca wsunięte, zawierały po jedném mieszkanku, o dwu małych okienkach i wązkich drzwiczkach, rozdzielonych z ziemią parą spróchniałych wschodków. Jeden bok dziedzińca otoczony był parkanem, za którym ciągnęły się warzywne i owocowe ogrody. Przy drugim, nowy właściciel zaniedbywanéj długo posiadłości téj wznosił kamienicę, któréj mury świeże, czerwonawe i dachu jeszcze pozbawione, świeciły kilku rzędami kwadratowych dziur, na okna pozostawionych.

W jednym z kątów dziedzińca, za drobnemi szybami okienka, migotały, na wystawę niby wywieszone, różnokolorowe robótki kobiece, jako to: serwety, podstawki, buciki dziecinne i t. p. Kto tu wystawę, tę mógł widziéć i przez nią do kupowania zachęconym zostać?

Trudno było odgadnąć, zarówno jak domyślić się: na co lub na kogo, śród pustego dziedzińca tego, spoglądać mogła, także na wystawie, u okna drugiego mieszkanka, kobieta.

Była to pani Emma Żyrewiczowa, niegdyś na cały gmach pocztowy z dobroci i wdzięków swych słynna, córka pomocnika pocztmistrza, potém żona Ignacego Żyrewicza, urzędnika, zajmującego posadę znaczną i dochodną, teraz od lat kilku już wdowa, utrzymująca się z małego kapitaliku wraz z córką, która, z pomiędzy trojga dzieci jéj, sama jedna pozostała przy życiu.

Ci, którzy ją od najwcześniejszéj młodości jéj znali, utrzymywali, że dobiega ona końca krzyżyka piątego. Patrząc jednak na nią, trudno było temu uwierzyć. Wyglądała co najmniéj o dziesięć lat młodziéj. Była kiedyś bardzo ładną, jakkolwiek zawsze trochę za chudą i bladą; dotychczas téż zachowała cienkość i gibkość kibici, delikatność cery, turkusowy błękit oczu i gołębią słodycz wejrzenia. Po przyjrzeniu się dopiéro, spostrzedz można było na białém czole jéj gęstą siatkę drobnych zmarszczek, dokoła przywiędłych powiek czerwony brzeżek, i parę fałd, zarysowujących się u dołu policzków. Pod leciuchnym czepeczkiem, ufryzowane *nioby* jéj siwiały téż z lekka. Ubraną była w czarną suknią, poplamioną i tu i owdzie pocerowaną, lecz powłóczystą i przyozdobioną z boku kokardami o długich końcach.

Pokój, w którym siedziała, bardzo podobny był do jéj sukni.

Dość obszerny, ale nizki, z brudnemi ścianami i brudniejszym jeszcze kominem w rogu, stanowił on, wraz z

malutkiemi ciemnemi sionkami, całe mieszkanie. Brudne ściany podpierały belkowany sufit, od którego, w malowniczo ułożonych draperyach, opuszczały się szmaty kosztownych niegdyś firanek, dość dziwacznie przyozdobione gałęźmi mizernego bluszczu. Stoły, stołki i szafy nieliczne tam były, tanie i stare, lecz pomiędzy niemi królował fortepian, ze spełzłą wprawdzie politurą, niemniéj będący tu widmem niby dostatniego i przez sztukę uprzyjemnionego życia. Naprzeciw strasznego komina, na pół przysłoniętego brudną firanką z zielonego perkalu, stała pod samém oknem miękka kanapka, podartym dywanikiem orzucona, i na niéj-to właśnie siedziała właścicielka mieszkania tego, z wyrazem znudzenia i smutku, wodząc okiem po obszernym i pustym dziedzińcu.

Białe, delikatne jéj ręce trzymając kawałek zahaftowanego batystu, spoczywały bezwładnie na jednéj z zacerowanych dziur, malowniczo skrojonéj i przyozdobionéj sukni. Smutne snadź myśli przechodziły po głowie wdowy, bo czoło jéj sfałdowało się kilka razy w grube zmarszczki... wzdychała. Ożywiła się jednak i rozweliła nieco, ujrzawszy postać ludzką, wchodzącą w bramę dziedzińca. Była to tylko żebraczka stara, ze zgrzybiałą twarzą i w łachmany przyodziana, lecz, kijem swym stukając o bruk dziedzińca, zmierzała wprost ku jéj okienku w tę stronę.

— Niech będzie pochwalony, — ozwał się za szybami głos trzęsący się i ochrypły.

— Na wieki! — z uprzejmém skinieniem głowy odpowiedziała Żyrewiczowa i, trochę już uśmiechnięta,

sięgnęła pośpiesznie do szufladki stolika, zkąd wyjęła miedziany pieniążek, który, otworzywszy okno, żebraczce podała.

— Za duszę Ignacego, — rzekła przytém, — zmów, kochanko, Anioł pański za duszę Ignacego!

— Niech Bóg zapłaci! niech Bóg zapłaci! Wiem już, wiem, za jaką to duszyczkę Pani Dobrodziéjka modlić się zawsze każe! Anioł Pański zwiastował...

Stała tuż za oknem, na kiju swym wsparta, i półgłosem pacierz swój wymruczała. Pani Emma zdawała się go téż z cicha powtarzać, bo poruszała ustami i patrzała w niebo.

— Pani Dobrodziéjka zawsze samiuteńka jedna siedzi, — zaczęła żebraczka.

— A sama, kochanko... cóż robić? sama...

— Córunieczkę spotkałam... tam, na Błotnym zaułku... bieliznę w koszu do magla niosła. Oj, oj! kosz taki ciężki, aż się panieneczka gięła, niby trzcina... Napracuje się to niebożątko, napracuje...

Tym razem żywy rumieniec oblał twarz wdowy.

— Ona to lubi, — odrzekła prędko, — to już taki charakter... wszak potrzeby niéma żadnéj... żadnéj.

— Oj, oj, co tam za potrzeba! — schlebiającym tonem potwierdziła żebraczka; — wiadomo! panom zachciewa się czasem różności... Niech będzie pochwalony...

Zabierała się do odejścia, ale Żyrewiczowa niespokojnie poruszyła się na swém siedzeniu. Widocznie wstyd jéj było zatrzymywać żebraczkę, a nie chciała choćby tego towarzystwa utracić.

— Słuchajcie no, kochanko — zaczęła, — a co tam dziś

na mieście? ruch wielki? co?

— Oj, oj! czemu nie mają ruszać się? dzionek pogodny, letni! Na ogrodowéj ulicy przecisnąć się nie można, tylu panów spaceruje, a panie, to wszystkie poubierane w takie suknie, że aż w oczach ćmi się, patrząc...

Wdowa westchnęła. Brzegi powiek jéj zaczerwieniły się mocniéj jeszcze, bo źrenice zabiegły łzą.

— A w ogrodzie muzyka gra? — zapytała ciszéj.

— Aj, aj! aż się po całém mieście rozlega! Ale czemu to pani dobrodziéjka nie wyjdzie sobie do miasteczka, na boże słoneczko i na różne różności popatrzéć? Oj, oj, aż litość bierze, patrząc, że taka pani marnuje się tak w smętności i na odludziu!...

Za nic, za nic w świecie nie wyznała-by przed tą nawet skromną powiernicą swą, że na miasto wyjść nie może dla braku odpowiedniego kapelusza i okrycia. Siląc się więc na uśmiech, lecz z oczyma pełnemi łez, odpowiedziała:

— Gdzie mi tam, kochanko, myśléć o takich rzeczach, wdowie, przez przyjaciela swego i świat cały opuszczonéj...

Z głośném wzdychaniem i żałośném kiwaniem głową, żebraczka zaczęła:

— Oj, biedaczka moja, biedaczka! Nieboszczyk bo, niechaj światłość wiekuista duszyczce jego przyświeca, dobry był pan, dobry...

— O, jaki dobry! jaki dobry! najlepszy w świecie! — wykrzyknęła wdowa i zalała się już rzęsistemi łzami. Przyłożyła chustkę do twarzy, łkała. Żebraczka zaś, oparta wciąż na kiju swym, ze współczuciem mruczała:

— Biedulka! biedulka! Ot, żałuje towarzysza swego! ot,

płacze po nim! ot, serce złote!

Nagle, w chwili właśnie gdy wdowa chustkę od twarzy odejmowała, pomiędzy bramą a wejściem do przeciwległego domu przesunęła się szybko męzka jakaś postać.

— A! — wykrzyknęła pani Emma, i zerwała się z siedzenia. Łez nie było już w oczach jéj ani śladu, zbolałość ustąpiła przed uradowaniem, zmieszaném z żywém zaniepokojeniem.

— Z Bogiem! z Bogiem, kochanko! — rzekła do żebraczki, i pośpiesznie okno zamknęła.

Ale żebraczka, z wielokrotnego zapewne doświadczenia, wiedziała, że za gawędę, słuchanie zwierzeń i okazywanie współczucia, należy jéj się słuszna nagroda. W sposób ten zapracowała na grosz, którego bynajmniéj tracić nie chciała.

— Paniuniu! dobrodziéjko! obdarzcie jeszcze czémkolwiek biedną tak samo wdowę!

To „tak samo” przykre na pani Emmie wywarło wrażenie. Wzdrygnęła się lekko i dumnie podniosła głowę, na żadne jednak szorstkie lub gniewne słowo zdobyć się nie mogła. Przez lufcik już tylko, szybko otwarty i zamknięty, rzuciła naprędce znaleziony srebrny już pieniążek, i mówiąc:

— Idźcie już sobie, idźcie z Bogiem, — odbiegła od okna.

Stanęła na środku pokoju i szybkiém spojrzeniem orzuciła go dokoła. Poskoczyła ku fortepianowi, otworzyła go i na pulpicie rozłożyła parę podartych zeszytów nut;

mantylką jakąś, naprędce z szafy pochwyconą, starła pył ze stojącego pod kanapką stolika. Uczyniwszy to wszystko, rzuciła się ku krzywo, bo na dwóch tylko nogach, stojącéj komodzie, a odsunąwszy jednę z jéj szuflad, na jakiéjś wyszczerbionéj pozostałości porcelanowego talerza zgrabnie ułożyła kilka ciastek i trochę cukierków, wydobytych z papierowego worka. Następnie rzuciła okiem po całém swém ubraniu, a spostrzegłszy na przedzie sukni zacerowaną dziurę, zakryła ją końcem zwisającéj od pasa wstążki, który przymocowała szpilką. Nakoniec usiadła znowu na kanapie i, zdyszana nieco, utkwiła wzrok we drzwiach wchodowych domu, od ulicy stojącego. Blady lecz świeży rumieniec wybił się na jéj policzki, oczy rozbłysły wyrazem przyjemnego oczekiwania, odmłodniała jeszcze o lat dziesięć.

Po kwadransie, oszklone i bronzową klamką świecące, drzwi otworzyły się, a młody, wysoki, zgrabny mężczyzna, który z nich wyszedł, przebył szybko dziedziniec, paltot, od niechcenia na ramionach zarzucony, umieścił w małych sionkach, na staréj, dnem do góry przewróconéj beczce, i ukazał się w mieszkaniu wdowy. Był to dwudziestokilkoletni przystojny chłopak, z nizkiém czołem, ale w migdał wykrojonemi, pięknemi oczyma, które, jakkolwiek dość bezmyślne, błyszczały pewnym rodzajem ożywienia i sprytu, z płowym, ładnym wąsikiem i eleganckim kapeluszem, a zarazem liliową, zmiętą, rękawiczką w ręce.

— *Bon jour, ma tante!* — zawołał, wchodząc.

— *Bon jour! bon jour!* — pieszczotliwym prawie głosem odpowiedziała gospodyni mieszkania, i wyciągnęła do

gościa piękną rękę swą, którą on, wymownie w twarz jéj patrząc, z uszanowaniem ucałował. Ukazując mu miejsce obok siebie, z błyszczącym wzrokiem i żywemi giestami mówić zaczęła:

— Widziałam pana wchodzącego do adwokata Rolickiego, i ciekawą byłam bardzo, czy téż pan Stanisław i o mnie przypomni sobie... Siedzę tu, jak pan widzi, sama jedna... trochę smutna, i myślę sobie: zajdzie, nie zajdzie?

Przy ostatnich słowach uśmiech miała figlarny a spojrzenie smętne.

Gość usiadł przy niéj i, z łokciem zaokrąglonym na poręczy kanapki, z lekka się ku niéj pochylał:

— *Mais comment donc!* — zaczął, — kiedyż-to ja, będąc w mieście, kochanéj stryjeneczki nie odwiedziłem? Ale proszę mi powiedzieć, za co stryjenka tak mię krzywdzi?

— Ja! — wykrzyknęła z przerażeniem, — ja pana Stanisława krzywdzę? *Au nom du ciel*...

— A jakże! pan... pan... pan Stanisław, to, jak Boga kocham, aż żal bierze! Czy to ja nie jestem synowcem nieboszczyka mego stryja...

— Pokrewieństwo nie blizkie, — wyjąkała, — ojciec pana był stryjecznym bratem...

— Ale cóż znowu! — zawołał z żywością, — cóż znowu! stryjeczny czy wujeczny, ja chcę, żeby stryjenka nazywała mię, jak dawniéj, po imieniu i koniec. No, proszę mi powiedzieć: Stasiu! bardzo proszę!

— Stasiu! — szepnęła ze spuszczonemi oczyma.

Pod ładnym wąsikiem jego drgnął szybki uśmiech, wnet jednak wyrzekł:

— Stryjenka sama mówi zawsze, że najważniejszém pokrewieństwem jest braterstwo dusz. O, ja pamiętam!

Podnosząc do oczu robótkę, od niechcenia niby odpowiedziała:

— *C'est vrai!* szczęśliwi ci, którzy je w życiu znaleźli...

I ciszéj dodała:

— Życie mija... mija... mija...

— No, przecież nie minęło jeszcze! — perswadował Staś.

— O! — wymówiła, — słońce już zachodzi...

Chciała powiedzieć coś więcéj jeszcze, lecz nagle spojrzała w stronę komina i spostrzegła, że do osłaniania paszczy jego służąca firanka całkiem spuszczoną nie była. Nie była ona spuszczoną do tego stopnia, że z za niéj ukazywał się, jak na dłoni, gliniany, otłuszczony garnek, do połowy napełniony zastygłym, z obiadu na wieczerzę pozostawionym, rosołem. Skamieniała i wątek rozmowy utraciła. Ale Stanisław prowadził ją daléj w raz przyjętym tonie:

— Ale gdzież tam, — mówił, — jakie tam zachodzenie! Stryjeneczka Bóg wié co zawsze o saméj sobie wygaduje! Ileż naprzykład stryjenka lat miéć może?

Z prostotą odpowiedziała:

— Rachunek prosty. W szesnastym roku życia mego wyszłam za mąż, a Brynia, moje najstarsze dziecko, ma już dwadzieścia dwa lata!

Wąsiki gościa drgnęły znowu i poruszyły się w sposób szczególny. Wiedział on dobrze, ten syn stryjecznego brata Ignacego, że w złożonym przed nim rachunku, kilku lat

brakowało u początku, i kilku u końca. Niemniéj jednak wymówił ze śmiechem:

— Trzydzieści kilka lat! rozkoszny wiek dla kobiety! Samo życie, sam rozkwit! Trzydziestokilkoletnie i nawet czterdziestoletnie kobietki są właśnie najbardziéj powabnemi! *nous le savons, nous...*

— Oh! *vous! vous!* — figlarnie pogroziła mu gospodyni, a pragnąc spojrzenie jego odwrócić jak najdaléj od nieszczęsnego komina i wyglądającego zeń garnka, zlekka ukazała palcem dom przeciwległy i zapytała:

— *Vous avez rendu visite aux Roliccy?*

— *Oui; j'avais été là,* — odpowiedział. — Miałem interes...

Widocznie, oboje nie byli biegłymi we francuzczyźnie i używali jéj błędnie i z trudnością. Lecz silili się na wtrącanie do rozmowy francuzkich słów i frazesów, dla wzajemnego przypodobania się sobie.

— Jakże idą interesa? — troskliwie zapytała wdowa.

Wyraz niesmaku rozlał się po ładnéj twarzy gościa. Uczynił ręką giest niechętny.

— Co tam mówić o takich nudnych i poziomych rzeczach! Kiedy jestem przy stryjeneczce, zapominam o wszystkich kłopotach i nieprzyjemnościach. *Vous êtes mon ange consolatrice!*

Promieniała od czułości i uradowania.

— *Oh, parlez à moi avec le coeur ouvert!* — wyrzekła z cicha; — chociaż skrzydła moje są oddawna złamane, umiem jednak czuć i podzielać...

— Stryjeneczka jest doprawdy godną lepszego losu...

— Co tam! stało się! nie mówmy o tém...

— Ja stryjowi doprawdy nie mogę darować, że... że zostawił stryjenkę w takiém położeniu.

Rzuciła spojrzenie ku nieosłoniętemu kominowi.

— O, położenie moje wcale złém nie jest, oszczędzam się... to prawda; ale dobrowolnie... gusta mam skromne. Ignacy był może poziomym, pospolitym człowiekiem... miałam może prawo marzyć o czémś... o czémś wznioślejszém, ale... był on bardzo, bardzo dobrym, myślał i pamiętał o mnie...

— Rolicki mówił mi, że oprócz tego, co stryjenka mnie pożyczyła, ma kapitał u niego ulokowany...

— Ależ tak! jakże! mam kapitał...

— Mówił mi, że trzy tysiące...

— Tak, u niego trzy tysiące, ale gdzieindziéj...

Gość jednak wiedzieć musiał na pewno, że owe: gdzieindziéj nie istniało wcale, bo nie okazał ciekawości żadnéj, tylko, do siebie jakby szepnął:

— U mnie trzy, tam trzy, to sześć!

Po dokonaniu dodawania tego, ocknął się niby ze snu i zawołał:

— Ale, jak Boga kocham, po co ja tracę miłe chwile i o takich poziomych rzeczach...

— Owszem, owszem, — przerwała z żywością, — czyż nie jesteś jedynym przyjacielem i opiekunem moim... O, wszyscy dawni przyjaciele i znajomi moi opuścili mię, gdy tylko mój Ignacy oczy zamknął. Ty jeden tylko, Stasiu, nie zapomniałeś o mnie i opuszczasz swój świat wesoły i błyszczący, aby odwiedzić i pocieszyć biedną samotnicę!

Łzy zakręciły się znowu w oczach jéj, wyciągnęła rękę ku młodemu krewnemu swego męża. — Nosisz nazwisko mego Ignacego, — szepnęła, — jesteś synem kochanego Bolesława, z którym tyle, tyle chwil wesołych spędziłam... a przytém czuję, że dusze nasze są bratnie sobie, że jesteś zdolen zrozumiéć te nieokreślone tęsknoty i nieujęte żale, które...

— O tak! tak! — całując ją w rękę, przerwał z zapałem i pośpiechem; — jestem zdolen zrozumiéć... mam bratnią duszę, to pewno nieboszczyka. Ojciec mój, pamiętam, zawsze mówił o stryjence: jaki to śliczny zefirek, ta moja bratowa!

Nie było już w oczach jéj łez ani śladu. Śmiała się z rozkoszą.

— Doprawdy! więc pamiętasz, jak mię Ignacy i cała rodzina jego nazywali zefirkiem? O, jaką ty dobrą masz pamięć! Zresztą, niezbyt to jeszcze dawno... — ciszéj dodała: — Kiedy byłam w domu rodziców moich, nazywano mię Sylfidą...

— Dlaczegóż to? proszę stryjenki! — dość naiwnie zapytał gość.

Zarumieniła się lekko i mimowoli spojrzała po swéj kibici.

— Aha! — odpowiedział, ale markotniał widocznie i wesołość jego gasła pod napływem przykrych jakichś myśli.

— Stryjenciu, — zaczął, — dlaczego stryjenka u Rolickiego ulokowała swoje pieniądze?... on to w biletach trzyma, a z tego procent mały...

— O, — zaprotestowała, — ja się na tém nie znam...

— Ale ja znam się i mówię stryjence, że to strata duża i niepotrzebna.

Spojrzał w okno i niedbale dodał:

— Teraz najlepiéj jest lokować kapitały na obywatelskich majątkach...

— O, obywatele... to pewnie, — zaczęła.

— Otóż to, chciałem nawet stryjenki zapytać, czy nie ulokuje tych trzech tysięcy u mnie?

— *Mais comment!* — zawołała — i owszem! dlaczegożeś wprzódy mi nie powiedział?

— Tak... przykro mi jakoś było... *mea culpa!* nie zapłaciłem jeszcze procentu ani Łopotnickiéj, ani stryjence...

— O, co tam! co tam! nie mówmy o tém! — zaczęła, ale z zaniepokojonych jéj oczu widać było, że kwestya procentu interesowała ją przynajmniéj tyle, ile nieosłonięte wnętrze komina.

— Gospodarstwo teraz strasznie trudne, — mówił gość, — nakłady i nakłady... a niepodobnaż znowu, aby człowiek zakopał się żywcem na wsi...

— Ależ naturalnie! Zakopać się na wsi! brrr!

Wzdrygnęła się ze wstrętem zupełnie szczerym.

— Jeżeli więc stryjenka chce i może...

— *Mais comment donc!* i chcę, i mogę.

— *Merci, merci!* — wymówił z uczuciem i kilka razy pocałował ją w rękę.

— Pójdziemy razem do Rolickiego, zaraz, — rzekła i już wstawała z kanapki, gdy na dziedzińcu ozwał się

rozgniewany i krzykliwy głos kobiecy. Była to kobieta wysoka, kształtnie i silnie zbudowana, w krótkiéj spodnicy, grubém obuwiu i wielkiéj chustce na głowie, która, trzymając w ręku spory kosz, pełen bielizny, a zwrócona ku otwartym sionkom mieszkania, znajdującego się w drugim kącie dziedzińca, rozpoczynała z kimś zajadłą jakąś kłótnię. Odpowiadał jéj z sionek głosik kobiecy także i także donośny, ale cienki i przerażenie bardziéj, niż rozgniewanie zdradzający. Z burzliwéj rozmowy téj rzadkie zaledwie słowa dochodziły uszu p. Emmy i jéj gościa. Słychać było coś o wyrzucaniu śmiecia na ścieżkę, o jakiéjś wiązce drew, o jakiéjś kwarcie mleka. Kobieta z koszem w ręku i chustką na głowie, przedstawiała wyraźnie stronę napastniczą; ta, która odpowiadała z głębi sionek, broniła się coraz bardziéj płaczliwym głosem.

— Czy to panna Brygida? — zapytał Stanisław i szeroko otworzył oczy, tak, jakby świadectwu ich wierzyć nie chciał.

Na twarz p. Emmy wystąpił wyraz cierpienia, dosięgającego niemal stopnia męki. Wyglądała znowu o lat dziesięć starzéj, niż przed chwilą.

— Jestem bardzo nieszczęśliwą matką, — szepnęła. — Brynia dobra jest, serce ma najlepsze, ale sam widzisz... do czego to podobne, ażeby tak ubierać się i takie kłótnie zaprowadzać... Jest to natura gruba, pospolita... w ojca wrodziła się, który był dobry, o, bardzo dobry, ale nie miał téj delikatności uczuć... téj poezyi serca, które były zawsze ideałem moim... Cóż robić! stało się! nie mówmy lepiéj o tém...

Przykro wzruszona, pełnym wdzięku krokiem postąpiła ku komodzie, wyjęła z szuflady talerz z ciastkami i cukierkami i postawiła go przed gościem.

— Niech cię chociaż tém przyjmę, mój Stasiu, — rzekła serdecznie.

Stanisław uprzejmie wziął jedno z ciastek; gospodyni, białemi jeszcze ząbkami gryźć zaczęła cukierek, a pragnąc odwrócić uwagę gościa od toczącéj się wciąż na dziedzińcu kłótni, z przykrém roztargnieniem i na chybił trafił zaczęła:

— Rolicki kamienicę buduje...

— A dlaczegóż-by nie? Nabrał od nas pieniążków sporo i niezły sobie fundusik uciułał! Tacy to tylko, jak on, żyć teraz i panować mogą!

— Ależ to bardzo zacny i rozumny człowiek, — z żywością ujęła się za sąsiadem swym gospodyni. — Ignacy mówił o nim zawsze, że fundusz jego uczciwie jest zapracowany...

— Może i uczciwie, nie przeczę temu wcale i nawet tak jest najpewniéj; ale że wziął on fundusz ten nie z czyjéj innéj, tylko z naszéj, obywatelskiéj kieszeni, to także prawda. No, niechże stryjeneczka sama powié, kto, jeżeli nie my, obywatele, utrzymujemy i wzbogacamy wszystkich tych panów adwokatów, doktorów i innych, podobnych parweniuszów? Nie prawdaż? Niech stryjenka sama powié!

— Ależ naturalnie; to widoczne! — ulegając wpływowi słów jego, z przekonaniem odpowiedziała:

— I dziwią się potém, żeśmy goli! Ot powiem stryjence otwarcie, że, chociaż mam jeszcze majątek i, chwała Bogu, jestem w stanie długi moje najrzetelniéj pospłacać, tak mi

już i gospodarstwo to i interesy dokuczyły, że wolał-bym sto razy być takim Rolickim niż tém, czém jestem.

Pani Emma uczyniła giest pełen przerażenia.

— Stasiu! — zawołała, — co mówisz? Jakież to porównanie może być pomiędzy tobą a Rolickim! Jesteś przecież obywatelem... o ileż to zaszczytniéj, poetyczniéj... wyżéj...

— No tak, tak!... Któż o tém nie wié; ale świat tak się teraz do góry nogami przewrócił, że gdzie nieszczęsny obywatel ten obróci się, tam kłopot, gdzie stąpi, tam zgryzota...

Musiał miéć istotnie wiele zgryzot i kłopotów, żądań może, których zadowolnić nie mógł, obaw, które instynktowo, pod wpływem samozachowawczego zmysłu, uczuwał. Czoło jego sfałdowało się, twarz oblała się smutkiem, nerwowym ruchem targał ładne wąsiki. Nagle łzy mu nadbiegły do oczu, pochwycił rękę pani Emmy i do ust ją poniósł.

— Moja stryjeneczko! — mówił wzruszonym głosem, — wyspowiadam się przed stryjeneczką, jak przed księdzem. Co ja winien? przywykłem dobrze żyć i niczego sobie nie żałować. Czy ja mogę teraz, za młodu, zasiąść na wsi jak pustelnik, barszcz jeść i z parobkami swymi przestawać? Nuda taka, że choć pod ziemię skryj się! Trzeba czasem do miasta pojechać, a w mieście, nie chcąc, wleziesz zawsze w jakieś wydatki... To to... to owo! Zresztą, prawdę mówiąc, i po papie długi już na Żyrowicach pozostały... Czy ja święty, żebym w takie ciężkie czasy mógł majątki z długów oczyszczać? Młodość

ma swoje prawa... czasem i niepotrzebnie coś się wyda... ale koniec końcem, z tego wszystkiego robi się życie ciężkie; tu urwij, tam załataj, a wiecznie tylko i myśl o tém, żeby z całéj gmatwaniny i dla siebie co przyjemnego wyciągnąć, i przed ludźmi z honorem wyjść... Widzi stryjeneczka, jaki jestem szczery! wszystko przed stryjenką wypowiedziałem, i proszę mię teraz pocieszać!

Wzruszony sam opowiadaniem dolegliwości swych, garnął się ku niéj, jak dziecko.

— Czy stryjeneczka pamięta, jak pieściła mię i przysmaczkami okarmiała, kiedym z papą do stryjowstwa przyjeżdżał?

Rozrzewniona do stopnia najwyższego, macierzyńskim ruchem odgarnęła mu włosy z czoła, i ze łzami w oczach wstała z kanapki.

— Mój Stasiu! — rzekła, — niech ja ci ulżę choć trochę i w czémkolwiek pomogę! O tak, pamiętam cię, jak byłeś dzieckiem... takim ślicznym chłopaczkiem, z włoskami co wieczór zawijanemi w papiloty. Lękałeś się bardzo ciemnego pokoju, a tak dobrze naśladowałeś ruchy i miny każdego, że umieraliśmy ze śmiechu... Jaki ty jesteś dobry, że przychodzisz czasem do mnie i przynosisz mi z sobą odblask jakiegoś wyższego, idealnego życia, jakiegoś pięknego, błyszczącego świata.

Otarła chusteczką łzy z oczu, i bardzo kunsztownie owinęła sobie głowę wyjętym z komody szalikiem...

— Chodźmyż do Rolickiego...

U drzwi stanęła.

— Stasiu! — wymówiła z cicha.

— Co, stryjeneczko?

Najróżniejsze uczucia malowały się na jéj twarzy: niepokój, nieśmiałość i pewna jakby uroczystość.

Ta ostatnia przemogła.

— Stasiu! — zaczęła uroczystym, choć zawsze nieśmiałym nieco głosem, — w ręce twoje powierzam cały mój majątek... Wiész? jestem sama... prawie bezdzietna... bo Brynia... zaledwie wierzyć mogę, że jest córką moją... cóż-by więc stało się ze mną...

— Stryjenko! — zawołał Stanisław, — czyż zasłużyłem na podejrzenie takie? Niech-że stryjenka zaufa honorowi i przywiązaniu memu...

Ręce jéj drżały jeszcze trochę, ale z bezgraniczną już ufnością w głosie, i wyrazem głębokiéj słodyczy w błękitnych oczach. —

— Wierzę, Stasiu, — odrzekła, — wierzę..... Chodźmy!

W sionkach znaleźli Brygidę, schyloną nad samowarem i dmuchającą w niego z siłą, któréj-by jéj nie jeden mężczyzna mógł pozazdrościć.

— Dobry wieczór, kuzyneczko, — najbardziéj uprzejmym swym głosem przemówił do niéj Stanisław.

Odwróciła się szybko i, przelotne zaledwie rzuciwszy na niego spojrzenie, a obojętnie odpowiedziawszy: „Dobry wieczór, dobry wieczór!“ wróciła do swego zajęcia.

Pani Emma, przebywając z młodym towarzyszem swym obszerny dziedziniec, krok miała lekki i bardzo ożywione ruchy i giesta. Oglądała się w różne strony, jakby chciała zobaczyć, czy w tryumfalnéj téj chwili widzianą jest przez kogokolwiek z sąsiadów.

Brygida tymczasem wniosła do pokoju samowar, postawiła go na stołku i wróciła do sionek po wiązkę drewek, które ze względów oszczędności zapewne, ciężką siekierą na drobne trzasgi porąbała. Z drzazgami temi przez pokój przechodząc, spostrzegła na stoliku talerz, pełen ciastek i cukierków. Stanęła i, patrząc na przysmaki, któremi przed chwilą matka jéj tak uprzejmie gościa swego częstowała, na-pół żałośnie, na-pół gniewnie głową wstrząsnęła.

Potém rzuciła w komin garść trzasek, zapaliła je, i przystawiła do ognia garnek z zastygłym rosołem. Wyszła znowu do sionek i wkrótce przechodziła przez dziedziniec z ciężkiém wiadrem w ręku, które, napełniwszy wodą u blizkiéj studni, jakkolwiek silna, lecz zmęczona już, do sionek wniosła. Tam krzątała się i szamotała dość długo jeszcze, myjąc naczynia, wymiatając sionki i krając chléb razowy, którego téż parę kawałków na talerzu przyniosła i obok samowara postawiła. Teraz zdjęła z głowy wielką, okrywającą ją chustkę, a twarz jéj ukazała się, pośród gęstwiny czarnych, prześlicznych włosów, śniada, z regularnemi i wyrazistemi rysami, z dwojgiem wielkich oczu, które, głębokie i ciemne, z pod energicznego łuku czarnych brwi patrzały z ponurym prawie smutkiem. Oprócz smutku, piękną tę twarz kobiecą cechował jeszcze wyraz przyrosłego jakby do niéj rozjątrzenia. Stanęła u okna, śniady policzek oparła na zgrubiałéj, ciemnéj, spracowanéj dłoni, a w postawie téj, nieruchoma i zamyślona, pozostała tak długo, że widziała, jak matka jéj u drzwi mieszkania adwokata żegnała się z młodym

krewnym, jak on ją czule w rękę całował, jak o czémś z sobą długo poufnie z cicha mówili, jak ona wdzięcznie śmiała się z wesołych zapewne żartów jego, i jak potém z ożywionym wyrazem twarzy, z uśmiechem na zarumienionych ustach, przebiegła dziedziniec i weszła do mieszkania, znajdującego się w drugim kącie dziedzińca. Brygida, ruchem niecierpliwości pełnym, wzruszyła ramionami; krótki, szyderczy śmiech ozwał się w szerokiéj jéj piersi; zmarszczyła czoło, i pochyliwszy się nad koszem, pełnym bielizny, czynnie i prędko zaczęła ją oglądać, składać i chować do jednéj z szuflad komody. Nagle wyjęła z szuflady i podniosła w górę kolorowy łachmanek jakiś, krawat, czy wstążkę.

— I to wczora kupione! — szepnęła.

I wypuściwszy z palców nowy ten jakiś strój pani Emmy, stanęła znowu w uprzedniéj postawie, z policzkiem opartym na dłoni, a po chwili basowym nieco, posępnym głosem swym wymówiła z cicha:

— Czyż to już zawsze tak będzie?

Pani Emma tymczasem weszła do mieszkania, które, tak jak i zajmowane przez nią, składało się z sionek i jednego pokoju. Pokój ten tylko wyglądał wcale inaczéj. Niedostatnio tu było, ale nadzwyczaj, pedantycznie niemal, czysto i porządnie. Tu także znajdował się komin, do gotowania przeznaczony, ale czysto wymiecione wnętrze jego nie potrzebowało osłony żadnéj. U okien firanek nie było, przy jedném z nich zieleniło się świeżo kilka wazonowych roślin, a szyby drugiego znikały prawie pod rozwieszonemi na nich różnobarwnemi wyrobami rąk

kobiecych. Były to wyroby małéj, szczupłéj osóbki, która, siedząc na nizkim stołeczku pod oknem, pilnie zajętą była wykończaniem malutkiego dziecinnego bucika z włóczki. Wełniana suknia, gładka, tabaczkowego koloru, i gładko téż uczesane, w mały warkoczyk z tyłu głowy zwinięte, włosy, świadczyły o niewytworności jéj gustu, zarówno jak okrągła, rumiana twarz, i czarne, małe oczki zdradzały wyrazem swym wielką żywość i wesołość temperamentu. Pomimo jednak rumieńców i wesołości, osóbka ta wyglądała na lat przeszło czterdzieści. Głośnym okrzykiem powitała wchodzącą i, zrywając się ze stołeczka swego, zawołała:

— Mamo, mamciu! pani radczyni...

Wołanie to przerwało drzemkę drugiéj, znajdującéj się w pokoju tym, kobiety. Była to postać dość osobliwa: wysoka, sucha, z ostremi rysami, obleczonemi skórą delikatną i żółtawą, włosy miała siwe jak srebro, przykryte śnieżnie białym i strojnie wygarnirowanym czepeczkiem, na długim, cienkim, nosie okulary w złotéj oprawie, a na kolanach wielką, podartą, rozwartą książkę do nabożeństwa. We francuzki szal, z szerokiemi szlakami, owinięta, zajmowała ona jedyny zbytkowny sprzęt, jaki się znajdował w mieszkaniu, wielki, wygodny, staroświecki fotel. Budząc się, pośpiesznym ruchem poprawiła układ swego szala, wyprostowała się jak struna, a na ostre rysy swe przywołała wyraz wielkiéj powagi.

— Witam, witam, — wyrzekła uroczystym, nosowym nieco głosem, i giestem, pełnym łaskawości, wyciągnęła do przybyłéj chudą, żółtą rękę. Pani Emma z pewnym

rodzajem przymilenia i nieśmiałéj czci, zbliżyła się ku dumnéj staruszce.

— Przepraszam, przepraszam, — mówiła — obudziłam panią prezydentową... ale był u mnie dziś Staś Żyrewicz...

Chciała mówić daléj, lecz obie kobiety wydały taki okrzyk, jak gdyby tuż, obok nich, zaszedł nadzwyczajny jakiś wypadek. Wązkie i przecięte wargi staruszki rozwarły się uśmiechem, rumianą twarz jéj córki oblał potok wesołości.

— Był! — zawołały jednogłośnie; potém zapraszały obie, każda na sposób inny, panią Emmę, aby usiadła.

— Niech pani radczyni będzie łaskawa usiądzie, — uroczyście mówiła stara.

— Niech pani kochana siada! proszę usiąść, — szczebiotała jéj córka.

— Dziękuję pani prezydentowéj! dziękuję pannie Rozalii; przyszłam właśnie powiedzieć, że Staś kazał oświadczyć paniom najpiękniejsze ukłony.

— Co to ukłony! jak-to ukłony! nie zaszedł, nie odwiedził... a należy się to przecież wujecznéj ciotce jego, bo my, Pani Dobrodziejko, w blizkiém jesteśmy z sobą pokrewieństwie. Nieboszczka prababka moja, Sernicka z domu, z tych Sernickich, którzy Odropole w Ongrodzkim powiecie mieli, a potém co na exdewizyą poszło i licho wszystko wzięło... otóż, nieboszczka prababka moja miała dwie córki, z których jednę wydała za Bodrzyńskiego, z tych Bodrzyńskich, do których należał kiedyś klucz Bodrzyniecki, ale on miał już jednę tam piękną wieś, sto chat podobno, a druga córka wyszła za Żyrewicza, dziada

właśnie pana Stanisława, który miał trzech synów: Bolesława, Karola i Jana. Pan Stanisław jest synem Bolesława, bardzo ładnego za młodu chłopca, ale wielkiego utracyusza. Prześwistał téż on Międzylesie, a na Żyrewiczach dłużki w sukcesyi synowi pozostawił. Szczęściem chłopiec sprytny... da sobie rady... da sobie rady... ale czemu nie zaszedł dzisiaj, nie odwiedził... to, to, to, nie dobrze... to, to, to, nie pięknie... nie pięknie...

— Robótek moich nie zobaczył! — nagle i niespodziewanie zawołała mała osóbka, wstrząsając w powietrzu błękitnym bucikiem, jakby całemu światu pochwalić się nim chciała. — On zawsze tak chwali robótki moje, i kiedyś to nawet dość ich dużo pomiędzy znajomymi swymi rozprzedał. Bardzo dobry! o, Staś bardzo dobry!

— Że dobry, to dobry, — przytwierdziła stara, — dla starszych z uszanowaniem, grzeczny, układny, znać krew obywatelską... dobrą krew... piękną krew... i w dobrym świecie żyje, w pięknym świecie, och! och! och!

Po przeciągłém westchnieniu tém smutnie czas jakiś wstrząsała głową, a zaciśnięte znowu wargi jéj i siwe źrenice gniewnie, połyskujące, zdawały się mówić: „i ja kiedyś na świecie tym żyłam, i ja do niego z prawa należę! och, och, och!“

— A jakże Stasieczek ma się? czy zdrów? czy wesoły? — przerywając sobie pół-głośne liczenie oczek, zaszczebiotała znowu panna Rozalia.

— Zdrów, dzięki Bogu, i wesoły, chociaż... nie bardzo. Dokuczają mu interesa, małe tam dłużki jakieś, gospodarstwo... Martwi się biedak i zdaje mi się nawet, że

zmizerniał. Szkoda go, doprawdy... taka to piękna, wzniosła dusza...

Stara zaplotła na kolanach ręce, i sztywna, jak mocno naciągnięta struna, głową tylko wstrząsała.

— Tak, tak! upada obywatelstwo nasze, upada! Czy to kto słyszał kiedy, żeby dziecko takiéj rodziny gryzło się i mizerniało od kłopotów i nieprzyjemności! Motłoch teraz górą, pani moja, motłoch górą! a nam przyszło ot w dziurach takich siedzieć i patrzeć, jak dobra naszego różne figury używają... Ot, byłam dziś z wizytą u marszałkowéj Korzyckiéj, tego Korzyckiego żony, co to z Odropolskiéj rodzi się i Ligówkę ma... piękną fortunę z pałacykiem i angielskim ogrodem... Miła osoba, bardzo miła... gościnna... przyjęła mię bardzo grzecznie, przypominała, że, będąc dzieckiem, znała mię, kiedy mieszkałam jeszcze w moich Łopotnikach i sąsiadowałam z jéj rodzicami. Zapytałam się jéj, czy nie wié czego o Łopotnikach. „A jakże! — mówi, — bywamy tam z mężem”. Pytam się: u kogo? kto tam mieszka? Powiedziała, że „Wyżliński jakiś, licho wié kto i zkąd, przybłęda z końca świata, przyjechał, Łopotniki kupił i rozpiera się w nich sobie, jak pan wielki... My to choć znajomemu i sąsiadowi sprzedaliśmy naszę fortunę... kiedy już koniecznie trzeba było, i zawsze myślałam sobie: no, przynajmniéj z dobréj familii człowiek na naszém miejscu osiadł, bo to ten był... Prażnicki, z Saniewa i z Saniewskiéj urodzony, który przez kupienie Łopotnik dobra swe chciał zaokrąglić, ale teraz, fiut! i przewróciło się wszystko do góry nogami! Prażnicki zbankrutował i dzieci jego poszły gdzieś w służbę, czy co u

licha, a w Łopotnikach rozpiera się jakiś Wyżliński... żeby jego diabli ztamtąd wyparli! Ciekawam, czy choć uszanował on i porządnie utrzymuje dom ten, w którym ja większą połowę życia szczęśliwie przeżyłam, i tę aleję z akacyą, którą z nieboszczykiem Romualdem zasadziliśmy własnemi rękoma. Nie chciałam nawet pytać się o to marszałkowéj, bo żeby mi co złego powiedziała, była-bym rozpłakała się, a dla mnie... okazywać żal przed ludźmi... nie wypada... nie wypada! przed jednym tylko Bogiem mogę... to, to, to, przed jednym tylko Bogiem...

Wyjawiała przecież, pomimo *niewypadania*, i przed ludźmi, bo stara powieka nie była dość silną, aby powstrzymać łzę, która, przy wzmiance o domu w Łopotnikach i akacyowéj alei, na zżółkłą kartę książki do nabożeństwa upadła.

— Mamciu, — jękliwym głosem zawołała Rozalia, — niech mamcia nie płacze, moja mamciu! oczy będą boléć! mnie aż serce pęka, kiedy widzę, że mamcia płacze.

Robótkę upuściła na podłogę, przyskoczyła ku matce i, przysiadłszy u nóg jéj, kolana jéj całowała. Stara pogłaskała ją, jak małe dziecko, po gładziutko uczesanych i wypomadowanych włosach, ale wnet usunęła ją z lekka od siebie.

— Pamiętaj, Róziu, że mamy gościa, — wyrzekła uroczyście i zwróciła się do pani Emmy.

— Niech pani radczyni daruje... ale my z córką przywykłyśmy dawne czasy wspominać... ona także jest ofiarą tych wszystkich zmian i obrzydliwości, które się na świecie porobiły. Obywatelską córką będąc za piérwszego

lepszego wyjść nie mogła, a odpowiednia partya nie trafiła się. Nie skarży się ona na to, bo wpoiłam w nią to przekonanie, że lepiéj cierpiéć i choć-by zginąć, aniżeli poniżyć się. Zamiłowała robótki swoje, pielęgnuje matkę, i lepiéj jéj z tém, niż gdyby była rozromansowała się i zrobiła mezalians jaki... Prawda, Róziu?

— Prawda, mamciu, prawda! — szczebiotała Rozalia, rumiany policzek swój tuląc do twardego kolana pani prezydentowej, która, pochylając się ku pani Emmie w sposób taki, w jaki pod dotknięciem jakiémś pochylają się posągi, z tajemniczym wyrazem twarzy, i z cicha zapytała:

— A nie mówił tam Staś czego o naszych procentach, he?

Pani Emma zmieszała się nieco. Jéj saméj procenta jeżeli nie leżały na sercu, to przynajmniéj, wraz z mnóztwem innych rzeczy, wirowały często po głowie; z drugiéj jednak strony pragnęła bronić Stasia od zarzutów, które przewidywać mogła.

— Tak... wspominał, — wyjąkała, — mówił, że wkrótce wypłaci i mnie, i pani prezydentowéj...

— Wypłaci? wkrótce? to dobrze... to dobrze... to dobrze! żeby tylko prędzéj, bo ot już z górą rok żyć bez procentu trudno trochę, trudno... Już i herbatę tańszą zaczęłyśmy kupować... i to za pieniądze Rózi... z robótek! — prawiła stara; — już z górą rok połową tylko procentu i jéj robótkami... a choć to dla panny stosowne zajęcie, ale oczy... to... to... to... oczy męczy...

Tu głos jéj zadrżał trochę.

— Czy pannę Rozalią oczy bolą? — zapytała pani

Emma.

— Ej, nie! — odparła szybko, — czasem... trochę... ale to nic!

— I może czasem nie rozprzedać robótek...

Tym razem pilna robotnica aż podskoczyła na swym stołeczku.

— Ja! nie rozprzedam moich robót! — zawołała, — zapewne! a gdzież oni znajdą ładniejsze!... żebym miała cztery ręce, tobym ich dwa razy tyle rozprzedała. Ot i te buciki, dawno już zamówione, i jeszcze trzy pary takich samych, a teraz mam w głowie projekt na paciorkowe profitki... prześliczne... nie wiem jeszcze tylko, czy z białemi paciorkami, czy bez białych...

— Panna Rozalia jest prawdziwie niestrudzoną, — wtrąciła pani Emma.

— Zamiłowała... zamiłowała... to bardzo pięknie dla panny, jeżeli zamiłuje robótki... bardzo stosownie... ot, już panna Brygida inne ma gusta... ale ja ich nie pochwalam, nie pochwalam!

Wdowa zarumieniła się gorąco.

— O, i ja także! — zawołała, — ale cóż zrobię? Brynia jest uparta i ma taką grubą naturę.

— Grubą, bardzo grubą! — potwierdziła Łopotnicka, — któż kiedy widział, aby panna rąbała sama drzewo, nosiła wodę i prała bieliznę... jeżeli już nawet zmuszona jest do tego, powinna ukrywać się, robić to tak, żeby nikt nie widział... ale tak! jak prosta dziéwka ubierać się i pracować... nie wypada! to, to, to, to, nie wypada!

— Wieczna to zgryzota moja i wstyd! — szepnęła pani

Emma, a na twarz jéj wybił się, nigdy u niéj niewidywany, wyraz gniewu.

— Pani radczyni zresztą tak bardzo tego czuć i do serca brać nie możesz, — mówiła daléj staruszka, — bo chociaż rodzice i mąż pani byli porządnymi i zamożnymi ludźmi... nie ubliżam, nie ubliżam... bardzo porządnymi i zamożnymi... zawsze jednak w urzędniczym stanie nie może być tego punktu honoru i téj ambicyi...

— Matka moja była obywatelską córką, — wtrąciła nieśmiało Żyrewiczowa.

— Prawda, prawda, zawsze jednak to... to... to... nie to...

Głęboka pokora odmalowała się na twarzy i w postawie wdowy.

— Pani prezydentowa ma racyą, — odrzekła z cicha, — to téż jedyny żal, jaki mam do rodziców moich, jedyny żal... to, że nie wydali mnie za obywatela; bo przecież... starało się ich o mnie kilku!

— Brynia, — ozwała się Rozalia, — Brynia zawsze mi tyle dobrych rzeczy opowiada o swoim ojcu... mówi ona, że on bardzo kochał panią.

— O! tak, — zawołała z wybuchem wdowa, — Ignacy ubóztwiał mię... tak! byłam ubóztwianą... ale, nie wiem dlaczego, ścigała mię zawsze nieokreślona jakaś tęsknota... czułam zawsze, że mam skrzydła zwichnięte, że mi coś innego, wyższego, promienistszego od świata należy!

— Mało komu się co należy! — sarknęła Łopotnicka, i długiém spojrzeniem ogarnęła schyloną znów nad błękitnym trzewiczkiem głowę córki. — Mało co komu się należy! — powtórzyła, trzęsąc głową, — już-to ja,

naprzykład, co najmniéj do uszanowania ludzkiego pretendować mogę... bo przecież i wiek mój, i stan, i to... to... to... A jednakowoż zdarzają się nieprzyjemności takie... Ot, niech pani radczyni imaginuje sobie, co mię dziś, dziś, w biały dzień, po środku ulicy spotkało! Szłam dziś z wizytą do marszałkowéj... Rózia wczoraj odnosiła serwetkę siatkową, którą zamówiła u niéj ta tam... jak-że się nazywa?...

— Płocińska, doktorowa... — przypomniała Rozalia.

— Aha, ta, doktorowa... i dowiedziała się od niéj, że marszałkowa jest w mieście. Bo to ten Płociński, to z gminu podobno, z mieszczan, ale ona Zężanka z domu, z Odropolskimi przez matkę spokrewniona, i ztąd z obywatelstwem ma stosunki... Rózi z sobą nie wzięłam, bo toalety wizytowéj nie ma, a dla mnie staréj w szalu moim i czepku, wszędzie... przystoi... Szłam tedy Sklepową ulicą, pomaleńku, bo ten reumatyzm w nogach, i trudno już po bruku chodzić... kijem moim podpierałam się... ja bo bez kija mego ani kroku nie robię... pomiędzy teraźniejszych ludzi, jak pośród rozbójników, bez kija ani stąpić... Porządnego człowieka na ulicy rzadko zobaczysz, a tylko ten szary motłoch w drogę włazi, a jak mi już te różne figury, żydy, mieszczany i licho wié kto, bardzo w drogę wlezą, to takiego moim kijem młynka puszczę, że się na cztery wiatry rozlatują... to... to... to... to... cha... cha... cha...

Śmiała się serdecznie z młynka swego i ustępującego przed nim motłochu.

— Ale cóż to panią prezydentową dziś spotkało! — zagadnęła Żyrewiczowa.

— Aha... przyszłam nad rynsztok jakiś, i kiedy przyszło przestąpić go... ani weź! Reumatyzm ten... i nogi nie słuchają! Spróbowałam raz, spróbowałam drugi raz, i oglądam się, jakby tę przeszkodę ominąć, aż tu słyszę obok siebie: „Niech pani pozwoli, ja pomogę!” Fircyk jakiś, pani moja, porwał mię za ramię, i tak zgrabnie jakoś podparł i pociągnął, żem się na drugiéj stronie rynsztoka znalazła, podeszwy u trzewika nie zamoczywszy. Rozgniewałam się okropnie: „Kto panu pozwolił? — pytam się, — jak pan śmiałeś? Czy pan wiész, kto ja jestem?” „Chciałem dopomódz,” — odpowiada. Pasya mię już ostateczna porwała. „Mój panie, — mówię, — jeżeli nie wiész o tém, to ja stara nauczyć cię muszę, że do osoby z przyzwoitéj kompanii nie wypada ani przemawiać, ani zbliżać się, nie będąc jéj zaprezentowanym.” Co pani radczyni powiész na to? Urwis ten parsknął mnie w oczy i pobiegł, śmiejąc się jak szalony. Z ubrania i figury, wyglądał nawet na coś porządnego, ale teraz wszyscy wykrojeni na jeden model, i pan, i szewc, ani poznasz, z kim masz do czynienia...

— Ten pan... tak sobie... z dobrego serca pewnie, — spróbowała ująć się Emma.

— Co to dobre serce! — ofuknęła stara, — kpię ja z dobrego serca tych wszystkich gburów i dorobkiewiczów, którzy teraz świat zaludnili... To był gbur jakiś, człowiek bez wychowania, bez obejścia się, i to... to... to... koniec.

— Ależ naturalnie! jakże! nie będąc przedstawionym, zbliżać się do kogoś... — pośpieszyła z potwierdzeniem Żyrewiczowa.

— Ten pan nie wiedział, kim mama jest, i myślał może,

że to Bóg wié kto, — zauważyła Rozalia, i dodała: — Staś pewnie nic-by podobnego nie zrobił...

— Staś pochodzi z dobréj familii, — uroczyście wyrzekła Łopotnicka.

— I takie ma miłe obejście się, taką delikatność uczuć, — dodała z pośpiechem Żyrewiczowa. — Cieszę się doprawdy, że przynajmniéj będzie on miał dziś miłą chwilę i zabawi się trochę...

— Gdzież to dziś Staś bawić się będzie? — zapytały jednogłośnie matka i córka.

— U Rolickich wieczór tańcujący...

— Dziś?

— Dziś.

Rzecz dziwna, że wiadomość ta większe wrażenie wywarła na pani prezydentowéj, niż na jéj córce. Rozalia zachichotała tylko, mówiąc:

— To dobrze! zdaleka posłucham muzyki!

Stara zaś szeroko usta otworzyła i oczy jéj błysnęły.

— U nich tam piękne towarzystwo bywa, — mówiła, — pewnie i marszałkowa z córkami będzie. Rolicki, choć adwokat, jest obywatelskim synem... z Pokutnickiéj się rodzi... Matka jego miała majątek, Pokutowo, tuż przy drodze pocztowéj, niedaleko Ongrodu... pewnie zbierze się u nich kompania piękna... oprócz marszałkowéj dużo dawnych znajomych, których jeszcze dziećmi znałam... och, och, och!

Żyrewiczowéj błyszczały oczy i rumieniły się policzki.

— Pani prezydentowo, — zaczęła nieśmiałym głosem, — a żebyśmy tak, jak przeszłéj wiosny, poszły i przez okno

popatrzały, jak oni tam będą poubierani i jak będą tańczyć... Staś ślicznie tańczy... brał lekcye u... tego sławnego metra.

— A dobrze, dobrze, — po krótkim namyśle odpowiedziała Łopotnicka, — czemuż nie! rozerwę się trochę... i jeszcze raz przed śmiercią... ich zobaczę!... och, och, och!...

Niech pani radczyni przyjdzie tylko po mnie, jak zaczną tam grać i tańczyć...

Pani radczyni wstała i zaczęła się żegnać. Teraz, z ruchu przynajmniéj i ożywionego wyrazu twarzy, wygląda na lat dwadzieścia.

Rozalia za to spochmurniała trochę.

— Mama jeszcze zaziębi się, na dziedzińcu stojąc wieczorem... i przytém... czyż to wypada?

— No, no! — gniewnie ofuknęła matka, — niechaj jaja kur rozumu nie uczą! Już ja wiem, co robię. Po ciemku wszystkie koty szare... Kto mię tam pozna!

Po wyjściu wdowy, Łopotnicka, więcéj do siebie, niż do córki, mówiąc, zaczęła:

— Téj kobiecinie zdaje się, że i ona coś znaczy na świecie, dla tego, że mąż jéj był z obywatelskiéj rodziny, i że jeden jego krewny do tego czasu ją odwiedza... Pnie się to do wyższych... pnie się... co moment zagląda do nas, a ogląda się, czy ludzie widzą, że u nas bywa... Całe życie pięła się... obiadki i wieczorki wydawała... a córkę to wyhodowała na prostą dziewkę.

— Ja Brynię bardzo lubię, — ozwała się z nad roboty swéj Rozalia.

— A cóż robić? kiedy już los przybliżył nas tak do tych

ludzi, to... to... to... znosić ich musimy... Ale co tam lubić? poco lubić? zaco lubić? grubianka! śmie z tobą kłótnie rozpoczynać...

— I mnie kłótnie te dokuczyły bardzo... ale ona taka biédna!

— Co to biédna! dlaczego biedna!...

— Tak, — wahającym się głosem odparła Rozalia, — marnuje się...

— Dlaczego... — zaczęła stara, ale urwała nagle, i ostry, wyniosły wzrok siwych swych oczu przenikliwie w córkę wlepiła. — Marnuje się! marnuje się! — zamruczała po kilka razy, a patrzała wciąż tak, jak gdyby zbadać i odgadnąć chciała: dlaczego córka jéj wspomniała o marnowaniu się swéj sąsiadki, i co pod wyrazem tym rozumiała, i czy wypadkiem sama o sobie w podobnyż nie myślała sposób. — Marnuje się! — szepnęła raz jeszcze, — wielka rzecz! nie ona jedna... nie jéj nosem panny...

Nie dokończyła znowu. Wysokie, żółte czoło jéj, otoczone pasmami siwych jak srebro włosów, okryło się ciężką chmurą zgryzoty, pomieszanéj z gniewem.

Szarzało już, gdy ozwała się do córki:

— Ciemno już, nie psuj oczu; idź do sionek i samowar nastaw.

— Wody niéma; Marcinowa dziś nie przyszła... chora, czy co? — z trudnością, odrywając się od zajęcia swego, odpowiedziała Rozalia.

— No, to weź dzbanuszek i przynieś ze studni... bo potrzebuję bardzo ciepłéj herbaty wypić... Ciemno teraz... dzbaneczek dobrze schowaj pod chustkę, nikt nie zobaczy.

Żyrewiczowa, wracając do mieszkania swego, znalazła Brygidę, siedzącą na wschodzie, rozdzielającym próg z ziemią, i trzymającą na kolanach swych wielką, kudłatą głowę podwórzowego psa. Pies tulił do kolan jéj grzbiet swój, żółtą sierścią okryty, a ona, obie ręce na głowie jego trzymając, schylona, mówiła do niego pół-głosem:

— Dobry Wilczek! poczciwy Wilczek! mój... mój... mój... Wilczek!

Piękne, surowe zwykle usta jéj, rozwierały się czułym prawie uśmiechem.

Spostrzegłszy matkę, podniosła głowę i, w zwykły sobie szorstki sposób, rzekła:

— Herbatę i rosół dla mamy przygotowałam... lampy tylko nie zapaliłam, żeby darmo się nie paliła.

Na stoliku, przed kanapką, zasłanym czystą serwetką, obok talerzy z odegrzanym rosołem, i innych, skromnych bardzo przyborów, stała szklanka z nalaną herbatą. Znajdowała się téż tam lampka, do zapalenia przygotowana i wiązka zapałek. Ale pani Emma nie zapaliła lampki i nie tknęła przygotowanéj wieczerzy. U wejścia do mieszkania spotkały ją dwa wrażenia: szaréj godziny i świeżéj tu bytności młodego krewnego jéj męża. Westchnęła, stanęła u okna i chwil kilka dumała. Usta jéj poruszyły się zwolna i wyszeptały: „Tyle szczęścia, co się prześni, tyle życia, ile w pieśni”. Powolnym krokiem zbliżyła się do fortepianu, usiadła na stołku i przebiegła klawiaturę passażem, w kilku momentach fałszywym, ale szybkim i tak delikatnym, jak przeciągłe, przyciszone westchnienie. Potém uderzyła kilka akordów, aż na koniec, z cicha i trwożnie, jakby lękała się

spłoszyć zgromadzone dokoła niéj duchy tęsknot i marzeń, głosem słabym, lecz młodym jeszcze, czystym i dźwięcznym przy delikatnym wtórze fortepianu śpiewała:

— O, powiedz mu, że niepojęta siła
Do jego życia wiąże moje dni!
O, powiedz mu...

Była właśnie w połowie drugiéj strofy pięknéj téj pieśni, gdy Brygida ze stukiem weszła do pokoju, zapaliła lampę i głośno rzekła:

— Niech mama je kolacyą, bo zupełnie już ostygnie...

Przebudzona z zadumy zapaloném światłem i głosem córki, straciła wątek pieśni, od fortepianu wstała i, usiadłszy na kanapce, z apetytem wielkim zajadała odgrzewany rosół, znajdujący się w nim kawałek mięsa, i wypiła dwie szklanki herbaty z razowym chlebem. Pijąc herbatę, spoglądała wciąż przez okno, oczekując zapalenia się świateł w oknach bogatego adwokata.

Nakoniec okna te zajaśniały oświetleniem rzęsistém, w dziedziniec wjeżdżały powozy i dorożki, wchodziło sporo pieszych pań i panów, ozwały się głuche, bo oddalone dźwięki fortepianu i skrzypiec. Pani Emma porwała się z kanapki, zarzuciła na plecy mantylkę, a na głowę szalik, i wybiegła. W kwadrans potém trzy postacie niewieście wyszły z mieszkania Łopotnickiéj i przez dziedziniec, pogrążony w zmroku, dążyły ku oświetlonemu i gwarem napełnionemu domowi. Żyrewiczowa i Rozalia

postępowały za panią prezydentową, która szła przodem, pomimo reumatyzmu w nogach, stąpała śmiało i szeroko, a wyprostowana jak struna, z głową wyniośle podniesioną, kijem swym grubym i w kościany nagłówek zaopatrzonym, o bruk dziedzińca stukała. Emma z cichym chichotem i ruchami rozbawionego dziecka, szeptała wciąż do Rozalii, która co chwilę szept ten przerywała zapytaniami, do matki zwracanemi:

— Czy mamie nie zimno?... Czy kalosze z nóg nie spadają? Czy mama dobrze ścieżkę widzi?

Wyniosła staruszka nie odpowiadała nic; wązkie usta jéj zacięły się gniewnie, a siwe brwi, nad złotą oprawą okularów, groźnie zmarszczyła. Oczom jéj przedstawił się widok, którego się nie spodziewała. Zwabiona muzyką i gwarem, liczna gawiedź, przybiegła ku budzącym ciekawość oknom. Byli tam dorożkarze, mający czekać na przywiezione przez siebie osoby, barczyści, brodaci i z fajeczkami w zębach; były téż wyrostki żydowskie, szwargocące i giestykulujące z sobą zażarcie; kobiety jakieś, z głowami ukrytemi w wielkie chusty; kilka nawet osób takich, których ubranie, złożone z kapeluszy i paltotów, wyróżniało się pośród tłumu.

Łopotnicka stanęła, jak wryta w ziemię, i twarzą obróciła się ku swym towarzyszkom.

— A co? Czy nie mówiłam, że za tym motłochem, porządnym ludziom teraz ani nosa za okno wyścibić nie można! Gdzie obrócisz się, wszędzie tém pospólstwem świat zanieczyszczony. I poco to?.. to... to... to... tu przyszło? poco to... to... to żyje na świecie? Po to chyba,

żeby nam w drogę włazić!

— Może-by lepiéj nie iść! — jęknęła Rozalia.

— O, idźmy! idźmy! — błagalnie składając ręce, prosiła pani Emma. — Tam tak bawią się... i Staś już jest... widziałam, jak przyjechał...

— Stasieczek kochany! — szepnęła Rózia, ale wnet dodała — moja mamciu, ja boję się, żeby mamci nie wyszturchali...

— Nie doczekanie ich! ja ich wyszturcham! rozstąpią się tu oni przede mną! — z gniewem sięgającym pasyi zawołała stara i zaczęła znowu iść na przód, krok jéj stał się silniejszym jeszcze, zamaszystszym niż przedtém, kija już nie spuszczała ku ziemi, ale trzymała go przed sobą na podobieństwo bagnetu; — w oczach jéj błyszczała niewysłowiona wzgarda. Zbliżywszy się do wielostopniowego muru pleców, dzielącego ją z oświetlonemi oknami, zawołała gromkim głosem. — Proszę o drogę!

Naturalnie, nikt ani myślał być posłusznym.

— Proszę tu nas przepuścić! proszę zaraz nas tu przepuścić! doniośléj jeszcze powtórzyła.

Za całą odpowiedź, w tłumie odzywały się szepty.

— Patrzajcie! patrzajcie! patrzajcie! O! o! jak grają! *Sieh! hörste! a schöne panienkes!* Szeroko Julku oczy otwieraj! Oto suknia, jak słońce!

— Poczekajcie! — mruknęła pani prezydentowa i, łokciami wparłszy się w pośród piérwszych szeregów, kij swój w dziwnie szybkie, a zręczne wirowanie puściła. Krzycząc, łając, grożąc, przeklinając, zasłaniając głowy

ramionami, ludzie rozskakiwali się w różne strony, a ona, obojętna na obudzane przez się wrażenie, tryumfalnie wraz z dwiema idącemi za nią kobietami przystąpiła do jednego z okien i, z pomocą Rozalii na kamień jakiś wgramoliwszy się, głośno wyrzekła:

— Mówię zawsze, że w teraźniejszym świecie, jak przeciw zbójom, kij zawsze z sobą nosić trzeba... żeby nie kij, to... to... to... to... te żydy i mieszczany zgubili-by nas do reszty!

W godzinę potém, z tłumu stojącego pod oknami domu, w którym brzmiała muzyka, wyśliznęła się drobna ciemna postać kobieca i, przesunąwszy się przez dziedziniec, stanęła przed drzwiami mieszkania Żyrewiczowéj. Tu, na wschodzie, siedziała Brygida, z łokciem opartym na kolanie i policzkiem w dłoni; przy niéj leżał żółty pies, którego ona od chwili do chwili machinalnie gładziła.

— Cóż — ozwała się krótko i szorstko — czy dość już patrzania?

Mała osóbka usiadła przy niéj.

— Zła jestem — odpowiedziała — na twoję matkę, że wyciągnęła moję mamę na to patrzanie! Zmęczy się tylko, zaziębi się jeszcze broń Boże, a przytém... to ubliżenie... jakoś nie wypada!

— A no! — rzekła Brygida, z właściwym sobie głuchym, stłumionym śmiechem; — ale za to napatrzą się śliczności! A ty, czemu wróciłaś tak prędko? nie ciekawaś?

Rozalia rzuciła ręką.

— Ej nie! czy to ja takie rzeczy widziałam? Czym się mało sama natańcowała, kiedy jeszcze nieboszczyk papa

był prezydentem sądu powiatowego... I potém, choć Łopotniki były sprzedane, rodzice kupili tę kamienicę, co to przy Sklepowéj ulicy, na czekoladowy kolor pomalowana, i przez kilka lat jeszcze doskonale bawiono się u nas... Mama chciała wtedy za mąż mię wydać...

— No, to i czemuż nie wydała?

— Ot, nie zdarzyło się nic stosownego. Miałam kilku starających się... ale nic stosownego! Mama nie pozwalała i... sama nie chciałam... Lepiéj wcale nie wyjść za mąż, jak poniżyć się i wyjść niestosownie.

— Aha! — mruknęła Brygida.

— A ty wcale nie chodziłaś patrzéć na te tańce? Czy ty także dużo tańczyłaś wtedy, kiedy rodzice twoi dobrze się jeszcze mieli?

— Bardzo mało — odpowiedziała.

— A dlaczegóż to?

— Dlatego, że matka moja bardzo dużo tańczyła.

Rozalia zachichotała.

— Ależ pani radczyni miała już lat ze czterdzieści, kiedy pan radca umarł?

— To nic; wyglądała na dwadzieścia pięć...

— No, no! ależ zawsze... ty jesteś i teraz bardzo przystojna, a ośm lat temu.

— Do końca ośmnastego roku nosiłam krótkie sukienki i haftowane majteczki, a czy byłam przystojną, albo nie, nikt nie wiedział. Wszyscy widzieli, że mama przystojna...

— No, no! — dziwiła się wciąż Rozalia; — moja mama to znowu zupełnie inna, zupełnie inna... Jak zapamiętać mogę, zawsze już w czepeczku chodziła i okazywała siebie

starszą nawet, niżeli była, a tylko o mnie troszczyła się: żebym miała ładne ubranie, żebym dobrze wyglądała, żebym wesoło bawiła się i stosownie za mąż wyszła...

— Toś ty bardzo szczęśliwa! — wtrąciła Brygida.

— Dlaczego, Bryniu?

Nie odpowiedziała, ale Rozalia sama po chwili dodała:

— Toż całe dobro moje na świecie!

Brygida dosłyszała w głosie jéj odgłos smutku i, z większém niż dotąd zajęciem, zwróciła się do towarzyszki.

— Rodzeństwo miałaś?

— Nie; jedynaczką byłam zawsze.

— To i w tém szczęśliwą jesteś.

— A czemuż?

— Bo sto razy lepiéj jest nie miéć, niż tracić!

— Aha! — zawołała Rozalia — wiem, wiem. Pani radczyni wspominała kiedyś, że miała dwóch synków...

— A miała.

— Poumierali?

— Pomarnowali się.

— Jakto pomarnowali się?

Po raz to piérwszy dwie sąsiadki tak długo i poufnie rozmawiały ze sobą. Opryskliwa i ponura Brygida skłonniejszą była do kłótni, aniżeli do pogadanek i zwierzeń. Czy w łagodniejsze i bardziéj miękkie usposobienie wprawiał ją Wilczek, który od czasu do czasu, budząc się, podnosił wielki łeb swój i lizał jéj rękę? Z policzkiem opartym na dłoni, i kołysząc się z lekka, opowiadała:

— Raz było u mamy dużo gości, z miasta

poprzychodzili, ze wsi poprzyjeżdżali... Konradka, który dwa lata wtedy miał, Niemka do kuchni wniosła i na stole posadziła. W kuchni zamęt, zwyczajnie jak w niebardzo bogatym domu, kiedy wystąpić chcą... ktoś trącił i stół przewrócił się... dziecko do beczki z wodą wpadło...

— Utopiło się! — wykrzyknęła Rozalia.

— Nie, ale dostało gorączki i umarło.

— A drugi?

— Drugi — spalił się.

— Jezus Maria!

— Sukienkę sobie w garderobie przy ogniu zapalił: okropnie męczył się przez dwa tygodnie i umarł. Miał już cztery lata... chłopunio mój najmilszy... pochowali z braciszkiem, szkoda, że i nie ze mną także...

Oczy jéj błyszczały w cieniu, jak dwa ciemne płomienie. W przytłumionym głosie brzmiała gorycz ostra i zawzięta.

— Ja! oho! — kończyła — mnie ani ogień, ani woda, ani łzy nie wzięły... i głowy sobie po śmierci ojca nie rozbiłam, choć ją o ściany tłukłam... Taka to już gruba natura moja...

— Dlaczegóż ty mówisz, że masz grubą naturę? — zaczęła trochę z nieśmiałością Rozalia.

Uczyniła ręką giest niechętny.

— Bo i gruba! — rzekła — ojcowska... Od dzieciństwa lubiłam zawsze cokolwiek robić... byle co... byle nie siedzieć z założonemi rękoma; do muzyki zdolności nie miałam, popędliwa byłam, śmiałam się tak jak ojciec, głośno i z całego serca...

— Ty śmiałaś się! ty, Bryniu! — z najwyższém zdumieniem wykrzyknęła Rozalia.

— Dopóki ojciec żył — odpowiedziała krótko i posępnie.

— Aha! — westchnęła towarzyszka jéj, — co to jednakże takiego, że jak tylko ci ojcowie poumierają, to i matkom i córkom robi się tak ciężko na świecie... tak ciężko... tak źle...

Brygida ze zdziwieniem twarz ku niéj zwróciła.

— No, no! — rzekła — alboż tobie źle? Przepadasz za matką twoją, zamiłowałaś robótki, jak mówi pani prezydentowa, i taka zawsze jesteś wesoła...

Rozalia z razu nie odpowiedziała nic, potém przysunęła się bliżéj do towarzyszki, wzięła rękę jéj, która bez oporu ale sztywnie spoczęła w drobnéj jéj dłoni, i zaledwie dosłyszalnie szepnęła:

— Bryniu! wiész co? wychodź ty za mąż, za tego... wiész... co kocha się w tobie!

Brygida wyrwała rękę i z gniewem zawołała:

— A toż co? zkądże to ty, naprzykład, wiész, że ktokolwiek kocha się we mnie?

— Zkąd... ot zkąd... siedzę zawsze przy oknie i robótkę robię... czasem zerknę na dziedziniec, to i widzę... Przez całą wiosnę widzę, jak ten... no wiész kto... patrzy na ciebie i pomaga ci wodę nosić ze studni, a kiedy do ciebie mówi, to zdaje się, że cały drży...

Brygidę przebiegło także lekkie drżenie.

— Widziałaś? doprawdy? a może ci się tylko tak zdawało? — szorstko, lecz cicho wymówiła.

— Jak mamę kocham, nie zdawało mi się! — zawołała Rozalia. — Wiész co? że choć ja na takich ludzi nigdy nie

patrzę...

— *Na takich*! — sarknęła Brygida. — Jacy wy wszyscy jesteście głupi z tymi *takimi i owakimi* ludźmi! Biedne, jak myszy w pustéj stodole, a ludzi zawsze na *takich i owakich* dzielicie! Głupstwo na głupstwie jedzie i głupstwo powozi! Z wami wszystkiemi, ile was jest, nie warto nawet rozmawiać... dlatego téż i milczę zawsze, jak zaklęta, a jeżeli czasem usta otworzę, to zaraz żałuję tego... tak jak i teraz...

Chciała wstać i odejść, ale Rozalia przytrzymała ją za suknią i ramię.

— Ot, już i wpadłaś w gniew i kłótni szukasz, ale ja nie chcę kłócić się z tobą... Poczekaj... pogawędzim jeszcze trochę... od serca... Ja ci dobrze życzę... mnie ciebie szkoda, bo choć jestem zawsze taka wesoła, ale mi często niewesoło... Nie chcę mamy martwić i nie okazuję tego, co czuję...

— A cóż ty naprzykład czujesz? — rozbrojona słowami jéj, zapytała Brygida.

— Albo ja wiem! — wahającym się głosem odpowiedziała Rozalia.

Brygida zaśmiała się ironicznie.

— Otóż to; — rzekła — wy wszystkie nie wiecie, co czujecie... Czujecie coś... czujecie... wzdychacie... smutno wam... a same nie wiecie, co i dlaczego. Od najmniejszego dzieciństwa pamiętam te jakieś tęsknoty za czémś... za czémś... te jakieś żale po czémś... po czémś... Za czém? po czém? pfu! zgiń maro, przepadnij! Trzebaż przynajmniéj wiedzieć... Albo te skrzydła złamane i bratnie dusze, to

śpiewanie i wzdychanie przy fortepianie, uf! jak mi to wszystko obrzydło... Ale ty, to co innego... ty pewnie masz racyą smucić się, a głupio to tylko bardzo, że nie wiész sama, czego się smucisz...

Umilkła na chwilę, a potém nagłym ruchem obie ręce towarzyszki swéj pochwyciła.

— Słuchaj-no — zaczęła — słuchaj-no! Nie wesoło ci często... smutno... żal, a sama nie wiész dlaczego. Ja ci to wytłómaczę... ja! Nie wesoło ci, bo oprócz staréj matki, która dziś—jutro do grobu pójdzie, nie masz nikogo swego... swego... ktoby ci przyjacielem był, i opiekunem, i sercem przywiązaném, na którém mogła-byś głowę bezpiecznie położyć... Smutno ci, bo widzisz, jak inne kobiety kołyszą i pieszczą swoje dzieci, żyją w swoich domach i garną do tych domów, co mogą, i stroją je, w co mogą, i jak ptaki ścielą gniazda dla siebie i swoich na szczęśliwe jutro, na wygodną starość, na spokojną śmierć... żal ci, bo... bo masz w sercu coś, czego nikomu nie dałaś, bo przychodzą ci do głowy takie wyrazy, których nikomu nie powiedziałaś, bo chciała-byś objąć kogoś mocno i wiedzieć, że jemu z tobą dobrze, miło, szczęśliwie... bo... choć zamiłowałaś robótki i oczy nad nimi wyślepiasz, myślisz sobie czasem, że to są głupstwa, że... zmarnowałaś się!

Mówiąc to, przybliżała coraz do twarzy towarzyszki twarz swą gorącą, wzburzoną, z pałającemi oczyma. Mowa jéj była śpieszna, oddech szybki.

— Cóż? — zapytała po chwili milczenia — cóż? czy nieprawda? czy nie dobrze wytłómaczyłam ci, co i dlaczego

czujesz?

Rozalia siedziała z twarzą ukrytą w obu dłoniach. Brygida zaśmiała się, zwykłym sobie, krótkim, wewnętrznym śmiechem.

— Aha — rzekła — widzisz, jak zgadłam.

Po chwili Rozalia, otarłszy chusteczką twarz zwilżoną łzami, wzięła znowu rękę towarzyszki.

— Może i zgadłaś — szepnęła — zdaje się, że doprawdy zgadłaś... Takie już widać nasze serce, że potrzebujemy w kimś kochać się... Ja kochałam się dwa razy w życiu: raz za dobrych jeszcze czasów, i to dawna bardzo historya; drugi raz, niedawno... powiem ci nawet pod sekretem w kim, ale nikomu nie powiész? Ot, w Stasiu Żyrewiczu... ach, jak ja się w nim kochałam parę lat temu... potém wyperswadowałam sobie, ale żal został...

— Znowu głupstwo! — szepnęła Brygida.

Rozalia nie dosłyszała szeptu tego i mówiła daléj:

— Ale o mnie niéma co i mówić. Moje wszystko już przeszło i zresztą ja, jeżeli nie wyszłam za mąż, to dlatego, że nic stosownego nie zdarzyło się, a niestosownie wyjść było-by dla mnie z ubliżeniem... Mama wpoiła we mnie zasady odpowiednie urodzeniu memu, i żebym nawet dziś o lat dwadzieścia odmłodniała, nie rozminęła-bym się z niemi za nic w świecie... żeby tam nie wiem co... Ty, co innego; twój ojciec był urzędnikiem, twoja matka jest córką urzędnika, dla ciebie, dajmy na to, że niezupełnie stosownie, ale zawsze z mniejszém ubliżeniem wyjść za takiego...

Urwała i, bliżéj jeszcze przysuwając się, szepnęła:

— Wiész co? że on nawet przystojny...

— On musi być... bardzo dobry — w zamyśleniu wymówiła Brygida.

— Czy już oświadczył się tobie? powiédz-no, powiédz, koteczko!

Aż drżała z ciekawości.

— Oświadczył się.

— Kiedy? kiedy?

— Dziś w południe... spotkaliśmy się w mieście, kiedy bieliznę do magla niosłam.

— Jakże to było? złociutka moja! jakże to było? co on ci mówił? co ty jemu...

— Już ja tobie pewnie opowiadać tego nie będę — porywczo odfuknęła Brygida; po chwili milczenia dodała:

— Domek swój ma... w Młynowie...

— To o sześć mil ztąd... takie małe miasteczko... a długoż on tu będzie jeszcze?...

— Do jesieni, póki roboty około kamienicy nie skończą się. Przy domku jest kawał placu i spory ogród...

— Oho! — zadziwiła się Rozalia.

— Stara matka z nim mieszka... staruszka, jak on mówi, siwiuteńka jak gołąbka. Dwie krowy trzymają, konia, ptactwo rozmaite i trochę nawet różnego zboża sieją.

— No, to i dostatek sobie jest.

— Jak na taki stan, to dostatek.

— Ogrody-byś sadziła i usiewała.

— O, jakbym sadziła i usiewała! Silna jestem i taką pracę najlepiéj lubię... swoje zresztą! Co to jest drzewko jakieś zasadzić... rośnie to co roku wyżéj... człowiek robi

się starszym i drzewo coraz wyższe... własną ręką posadzone, niby własne dziecko! Albo zwierzęta swoje miéć... ja Wilczka tak lubię, choć on nie mój... Karmiła-bym, doglądała-bym i pieściła... wszystko było-by u mnie wypasione, zdrowe, szczęśliwe... A mieszkanie! żeby nie wiem jak ubogie, jakby mi nikt nieporządków nie robił, czyste było-by i śliczniutkie, jak raik. Fortepianów nie trzeba, ani kanapek, Bóg wie jakich, ani żadnych kwiatków, do kożuchów przypinanych. Ubogo, to ubogo, ale czysto i zieloności w domu powinno być dużo, aby zimową porą wesoło było...

Rozmarzyła się. Głos jéj stał się pełnym uśmiechów.

— Czy on umié czytać? — nagle zapytała Rozalia.

— Umié; widziałam w kościele, jak na książce do nabożeństwa modlił się.

— A pisać umié?

— Nie wiem.

— Aj, aj, aj! — jęknęła Rozalia — coby na to pani radczyni powiedziała.

Brygida sposępniała znowu...

— Otóż to! — rzekła krótko i z goryczą dodała; — gruszki na wierzbie!

Rozalia zerwała się.

— Aj! — zawołała — ja tu zagadałam się, a mama tam... pójdę, zobaczę, może już chce do domu wracać! O! jak pięknie walca grają!

Dźwięki rzewnego walca oddaloném echem dochodziły do ciemnego kąta dziedzińca.

— Zaczekaj, zaczekaj — przytrzymując towarzyszkę za

suknią, zawołała Brygida; — chciałam ciebie zapytać się... ty umiész sny tłómaczyć. Śniły mi się dziś paciorki, takie różnokolorowe... przesypywałam je, a potém nizałam na nitkę... co to znaczy?

— Paciorki — z zamyśleniem odrzekła Rozalia... — różnokolorowe paciorki... Żebyś perły śniła, same tylko białe perły, to była-by wesołość, tańce, czy coś takiego... ale paciorki różnokolorowe to łzy... jak amen w pacierzu, łzy... A mnie śniło się wczoraj, że czesałam się przed lustrem i miałam dużo siwych włosów... obudziwszy się, myślę sobie: zmartwienie jakieś będzie... Ot i jak raz: Staś był dziś u was, a u nas nie był... tak mię to zabolało, że ledwie przed mamą od łez wstrzymałam się... Ale co tam z mamą?... *adieu*... do widzenia...

Odbiegła szybko, a Brygida wymówiła do siebie:

— Łzy wyśniłam... o łzy! to ze wszystkiego na świecie najpewniejsze...

Mówiąc to, wstała i miała już wejść do mieszkania, gdy o parę kroków za nią ozwał się głos męzki:

— Dobry wieczór, panno Brygido!

W zmroku zarysowała się postać urodziwego mężczyzny, w mieszczańskiém ubraniu, złożoném z grubego surduta i wysokich butów. Z twarzy widać było tylko długie i bujne wąsy.

— Dobry wieczór — odpowiedziała i na progu mieszkania, plecami o ścianę oparta, stanęła.

Przybyły zbliżył się jeszcze i stanął u samych wschodków.

— Niech panna Brygida nie gniewa się — zaczął — że o

takiéj późnéj porze przyszedłem... Posłyszałem, że na dziedzińcu gwarno i pomyślałem, że może panią jeszcze spotkam.

Milczała.

— Strasznie mi smutno i niecierpliwie koło serca — mówił daléj — tak-bym chciał wiedzieć, czy panna Brygida nie gniewa się na mnie za to, com pani tam... dziś powiedział... Czy nie obraziłem czasem...

Milczała jeszcze chwilę, a potém dziwnie łagodnym i poważnym głosem odpowiedziała:

— Ja panu jestem bardzo wdzięczną...

Uczynił ruch pełen radości i razem zdziwienia.

— Za co tu wdzięczność! Ja na pannę Brygidę od dwóch miesięcy co dzień patrzę i najpiérw zacząłem panią bardzo szanować i cenić... a potém takie mię kochanie wzięło...

Ona tym samym co wprzódy głosem, wymówiła:

— Ja panu wdzięczną jestem... bo to piérwszy raz w mojém życiu...

— To niechże się pani zdecyduje! poco zwlekać! — zawołał; — ja gotów do ołtarza choćby jutro...

Wstrząsnęła przecząco głową.

— Nie mogę jeszcze — odpowiedziała.

Milczał chwilę.

— No, rozumiem, rozumiem — rzekł; — matkę przygotować trzeba i uprosić, a do tego i saméj przyzwyczaić się do myśli, że pańska córka z takim, jak ja...

— Nie! nie! — zawołała gwałtownie.

On zrozumiał snadź, że krótkim wykrzyknikiem zaprzeczała temu, iż jéj oswajać się trzeba było z myślą o

takim, jak on, człowieku. Wziął rękę jéj i zamknął ją w obu swych dłoniach.

— Rozumiem — rzekł — dziękuję. Nie będę nastawał, ani pytał się o nic. Będę czekał. Wszystko jedno... muszę jeszcze ze dwa miesiące w Ongrodzie przebyć, dopóki kamienicy nie skończę... podjąłem się i robotników aż do jesieni nająłem... Będę cierpliwie czekał.

Teraz ona szepnęła:

— Dziękuję.

Chciała odebrać mu rękę swoję, ale on jéj nie puścił i, z lekka głaszcząc ją dłonią, mówił z cicha:

— Dobra rączka! kochana rączka... silna i pracy niewstydząca się... żeby to ona mogła być moją... żebym ją mógł mojéj siwéj gołąbeczce w stare ręce włożyć i powiedzieć: „przywiozłem tobie, matko, synową!... masz, czego tak żądałaś... i wnuki będą...

Tym razem coś, jakby łkanie, ozwało się w piersi kobiety, nieruchomo wciąż pod ścianą domu stojącéj, a ręka jéj, ta „dobra i pracy się nie wstydząca ręka”, objęła dłoń mężczyzny silnym i długim uściskiem.

— Dobranoc! do widzenia! — szepnęła szybko i znikła w ciemnych sionkach mieszkania.

Kiedy światło roznieconéj przez nią lampki na twarz jéj upadło, poznać można było, jak silnie i do głębi była wzruszoną. Wzruszenie to szczególny blask nadało jéj piękności. Wielkie, czarne oczy jéj gorzały z za łez, krucze włosy opadały na wypogodzone, promieniejące czoło.

Była szanowaną i kochaną. Głowę podnosiła dumnym ruchem, a usta jéj, purpurą zaszłe, rozwierały się w pełnym

czułości i słodyczy uśmiechu.

W dobrą godzinę potém pani Emma, wracając do domu, znalazła córkę swą, siedzącą przy lampce i pilnie zajętą naprawianiem jéj bielizny. Zdyszana i nadzwyczaj ożywiona, zdjęła szal i mantylkę, i zaczęła prędkim krokiem przebiegać pokój. Przytém, z żywemi giestami i rozbłysłym wzrokiem, mówiła:

— Śliczny wieczorek! mówię ci, śliczny! Jacy to mili ludzie, ci Roliccy! jak umieją gości przyjmować! U nas nawet, za życia nieboszczyka ojca twego, lepiéj już nie bywało. Oświetlenie w salonach bardzo dostateczne, lokaje ciągle coś roznoszą... to herbatę, to cukry, to owoce bardzo ładne... doskonałe... ach! ja lubię owoce! doskonałe owoce roznosili... Sama Rolicka, ubrana z wielkim gustem, w czarnéj aksamitnéj sukni pod szyję, a inne panie po większéj części dekoltowane i w kwiatach... W jadalnéj sali jeden kąt ubrany kwitnącemi roślinami, które prześlicznie pachną...

Nie podnosząc oczu znad roboty, Brygida ozwała się:

— Czy mama przez zamknięte okno zapach ten czuła?

Nie dosłyszała ironii w głosie córki, a nawet słów jéj nie zrozumiała.

— Co? — zapytała z roztargnieniem, — co mówisz?

I, nie czekając odpowiedzi, znowu mówić zaczęła.

Opowiadała, że Staś Żyrewicz ślicznie tańczył, do tańca brał najczęściéj marszałkówny Korzyckie, które były ubrane w różowych tarlatanach, a raz usiadł przy oknie, spostrzegł twarz jéj za szybą i serdecznie mrugnął ku niéj na powitanie. Zdaje się nawet, że powiedział z cicha:

„dobry wieczór stryjeneczce!”, ale nie była zupełnie pewną, i bardzo, bardzo chciała-by wiedzieć, czy powiedział to naprawdę, czy téż tak jéj się tylko wydawało.

Nożyczki Brygidy z wielkim stukiem upadły na ziemię. Brzęk ich wyrwał panią Emmę z powodzi rozkosznych wspomnień. Stanęła pośrodku pokoju.

— A ty... ani na moment nie poszłaś popatrzéć? — zapytała.

— Nie, mamo, ani na moment, — coraz zawzięciéj szyjąc, krótko odpowiedziała.

— Dlaczego?

— Bo to, co się dzieje w domu pana Rolickiego, wcale nie zajmuje mię i nie bawi.

Na rozpromienioną twarz wdowy spłynął cień niezadowolenia.

— Otóż to! — z mniejszą niż zwykle łagodnością wyrzekła, — otóż to i bieda, że ciebie nic szlachetniéjszego, nic... wyższego nie zajmuje!

— Poco mi ta wyższość! — siląc się widocznie na spokój, odpowiedziała Brygida; — ja ani z tymi ludźmi, którzy tam byli, ani tak, jak oni, nigdy żyć nie będę...

— Bo sama nie chcesz, a przynajmniéj tak postępujesz, jak-byś gwałtem zamknąć sobie chciała wejście do lepszego świata! z żalem, zmieszanym z gniewem, wykrzyknęła Żyrewiczowa; — dobrze nawet, że się o tém zgadało, bo taką mam zawsze skłopotaną głowę, że zapomniała-bym ci może powiedziéć... Muszę powiedziéć ci to, co zresztą tysiąc już razy mówiłam, że takie trzewiki, jak ty nosisz, są okropne, obrzydliwe, nieprzyzwoite, i że w nich wyglądasz

prawdziwie na prostą dziewkę.

Brygida milczała. Spojrzenie jéj tylko mimowoli jakby posunęło się ku małéj nóżce matki, która, w niezbyt wykwintny, ale cienki, zgrabny bucik obuta, wysuwała się z pod falbanek, okalający brzeg jéj sukni. Pomyślała może, iż gdyby ona nie nosiła grubych, prostych, ciężkich trzewików, matka jéj nie posiadała-by może lekkich i zgrabnych. Nie powiedziała jednak tego. Żyrewiczowa z coraz żywszemi giestami mówiła daléj:

— Alboż te krzyki i kłótnie z Panną Rozalią... czy to piękne? jest to przecież obywatelska córka, i przeciwnie, powinna-byś przyjaźnić się z nią, toby cię może z jakimkolwiek porządnym domem poznajomiła... w lepszy świat-by cię wprowadziła... one choć zbiedniały, ale trochę jeszcze dawnych stosunków mają. I w ogóle zresztą, głos tak podnosić, jest rzeczą bardzo nieprzyzwoitą, szczególniéj dla kobiety... martwisz mię tylko i nic więcéj!

Brygida milczała.

— Nigdy nie miałam pociechy z ciebie... — mówiła daléj Żyrewiczowa, — byłaś zawsze upartą, zimną, skrytą, nie lubiłaś tego, co mnie było najmilsze... nie dzieliłaś ani moich tęsknot i żalów, ani moich marzeń i przyjemności... Nieszczęśliwą jestem, że w córce rodzonéj bratniéj duszy nie spotkałam!

Brygida milczała. Matka jéj, wzburzona bardzo, przeszła się parę razy po pokoju i, jakby postanowiła wypowiedzieć dnia tego wszystko, co jéj leżało na sercu, zaczęła znowu:

— Masz naturę ojca. Ojciec twój był także...

Tym razem robota zsunęła się z kolan Brygidy, a ona

sama podniosła twarz, oblaną gorącym rumieńcem, z oczyma, które sypały iskry.

— Mamo, — zawołała, splatając ręce, — nic o ojcu! proszę cię, mamo! o mnie wszystko, co chcesz; ale o ojcu... nic złego!

Żyrewiczowa zmieszała się bardzo.

— Zkąd-że wiész, że ja cokolwiek złego o ojcu twoim powiedzieć chciałam? Kiedyż to ja o nim źle mówię? Ojciec twój dobry był... najlepszy w świecie... i choć usposobienia nasze nie zgadzały się z sobą zupełnie, kochał mnie i uwielbiał. Ja mu téż byłam wierną i przywiązaną żoną; a jak przywiązaną, widziałaś to przecież sama...

— Tak, — zwolna wymówiła Brygida, — mama bardzo po ojcu płakała...

— A widzisz! o, jak płakałam! i teraz jeszcze, przy każdém wspomnieniu o nim, płaczę...

Istotnie, w oczach jéj kręciły się łzy. Usiadła na kanapce i zaczęła rozczesywać swoje ufryzowane nioby.

— Ojciec twój, — mówiła, — był popędliwy, gniewał się często, a gdy rozgniewał się, mógł i grubiaństwo nawet powiedzieć... Ale mnie nigdy to nie spotkało. Rozzbrajałam go łagodnością charakteru mego. Krzyczy, bywało, fuka, pięścią w stół bije, a potém popatrzy na mnie i zaczyna przepraszać, w ręce i w kolana mię całować. „U ciebie, — mówi, — oczy, jak u gołąbka... Kiedy widzę, że taka zalękniona stoisz i milczysz, taka mię litość jakaś ogarnia, że i gniew przechodzi!” I wszystkim zawsze mówił: „Takiéj mnie żony trzeba było, jak mój zefirek! Z inną, która-by mnie rozdrażniała, mógł-bym co niedobrego popełnić.” W

ostatnich szczególniéj latach żyliśmy z sobą w wielkiéj zgodzie... on przyzwyczaił się do moich gustów, ja wiedziałam już, jak postępować, aby go do gniewu nie przyprowadzać... to téż, gdy umierał, ostatnie spojrzenie i słowo jego było dla mnie...

— To prawda! — szepnęła Brygida.

Żyrewiczowa otarła łzy z oczu, i przednie pasma z lekka siwiejących swych włosów, zaczęła na szpilki podwójne zakręcać.

— Moja mamo, — szyjąc wciąż, ozwała się po chwili Brygida, — mam do mamy jednę prośbę.

— Cóż to takiego, czego chcesz?

— Niech mi mama powié, czy... pan Stanisław akuratnie wypłaca procent od pieniędzy, u mamy pożyczonych?

— Cóż-to znowu za pytanie? zkąd-że ci to przyszło do głowy? O niczém nigdy nie myślisz, tylko o takich poziomych...

— Chciałam dziś pójść na rynek, żeby trochę zapasów w dzień targowy kupić, i... w szufladzie znalazłam już tylko dwa złote.

Żyrewiczowa zarumieniła się.

— I ztąd wniosłaś zapewne, że Staś jest nieakuratnym i nieuczciwym. O, ty skłonna jesteś do podéjrzeń! Wszyscy dla ciebie są czarni, a szczególniéj przyjaciele twojéj matki. Otóż widzisz, jak omyliłaś się... Był dzisiaj i wypłacił, co do grosza wypłacił...

Poskoczywszy do komody, wyjęła z niéj i pokazała córce kilka wartościowych papierków. Nie przedstawiały one przecież wcale procentu wypłaconego, ale cząstkę kapitału,

którą wdowa, z uczynionéj Stanisławowi ogólnéj pożyczki, dla siebie zachowała. Brygida podniosła głowę i popatrzała na ukazywane jéj pieniądze. Była widocznie zadowoloną.

— To dobrze, — rzekła, — kapitał mamy jest więc bezpiecznie ulokowany.

— Dlaczegóż mówisz, że to mój kapitał. Słyszałaś przecie, jak ojciec, umierając, powiedział: „Dla ciebie Zefirku i dla Bryni.”

— O, nie! o, nie! — zawołała Brygida, — to jest majątek mamy... mamy jednéj. Chciałam tylko wiedzieć, czy on pewnie ulokowany!

Żyrewiczowa nie odgadywała wcale znaczenia i celu zapytań córki, ale rozzbrojona słowami jéj, mówić zaczęła:

— Ależ pewnie, najpewniéj! najbezpieczniéj! Cóż ty sobie myślisz o Stasiu? on przecież ma majątek, Żyrewicze... rodzinny majątek familii Żyrewiczów... obywatelem jest, a teraz to najlepiéj lokować kapitały na majątkach obywatelskich... Zresztą, on taki dobry, szlachetny... duszę ma najwznioślejszą w świecie, a ze mną łączy go przyjaźń, oparta na braterstwie usposobień, na... na... czémś takiém... takiém... Ty masz jakieś uprzedzenie do Stasia, i ja ci to mam bardzo za złe. Jedyny to krewny ojca twego, który nas odwiedza... a żebyś widziała, jak ślicznie dziś na tym wieczorze u Rolickich wyglądał... duszka chłopiec!

Brygida wstała i złożyła robotę.

— Idźmy spać, mamo! już późno!

Z rozmarzonym uśmiechem na ustach Żyrewiczowa uklękła i zaczęła odmawiać wieczorne pacierze. Po chwili

słychać było, jak mówiła żarliwie i pół-głosem: „Wieczne odpocznienie racz mu dać, Panie, a światłość wiekuista...”

Modliła się za duszę męża.

W téj saméj porze stara Łopotnicka, po stoczonych walkach i poniesionych trudach, udawała się téż na spoczynek. W białym kaftanie i haftowanym czepeczku nocnym, na-pół okryta włóczkową kołdrą, misterném dziełem swéj córki, siedziała na łóżku, prosta jak struna, a twarz jéj i ręce, obok śnieżnéj białości kaftana i czepeczka, wyglądały tak, jak gdyby były ulane z wosku. Rozalii, która przy świetle lampki rozbierała się na nizkiéj i twardéj sofce, opowiadała ona różne rzeczy o mieszkańcach wsi, którzy wieczoru tego bawili się u Rolickich. Mówiła o starych i o młodych, o kobietach i mężczyznach. Z jednymi była kiedyś sprzyjaźnioną, innych znała dziećmi; o wszystkich wiedziała, z jakich rodzin pochodzą, jak nazywały się, lub nazywają majątki ich, matki i babki. Była to, słowem, długa litania nazwisk, przeplatana obrazami zmian i kolei, przebywanych przez liczne szlacheckie rodziny, w okolicach Ongrodu zamieszkałe. Rozalia długiéj téj mowy matki słuchała z nadzwyczajném zajęciem, z takiém nawet skupieniem ducha, z jakiém ludzie, głęboko wierzący, słuchają o budzących w nich cześć głęboką przedmiotach wiary. Gdy jednak stara umilkła na chwilę, córka jéj ozwała się nieśmiałym i wahającym się głosem:

— Dziwna rzecz! dlaczego wszyscy ci państwo nigdy teraz mamy nie odwiedzają i tak, jakby zupełnie o nas zapomnieli.

Łopotnicka uroczystym gestem podniosła w górę długi,

żółty swój palec.

— Nie sądź i nie skarż się! — wymówiła. — Niech cię Bóg broni, abyś kiedykolwiek źle o nich mówić, albo skarżyć się na nich miała! Nie uznała-bym cię za córkę moję; choć-bym już nie żyła, duch mój odmówił-by ci błogosławieństwa swego. Ja nie skarżę się... Wielka rzecz! Zsunęłyśmy się ze sceny tego świata, jak marne cienie, to... to... to... to... ludzie żyjący i zapomnieli o nas! Zresztą, biedni oni teraz! Motłoch ich opanował, dusi ich, gnębi, krew i mienie z nich wysysa. Gdzież to... to... to... im biedaczkom w zgryzotach takich i troskach myśléć jeszcze o dwóch kobietach, które-by już teraz nie miały jak, ani przyjąć ich, ani ugościć, ani przyzwoitych stosunków z nimi utrzymać.

Umilkła na chwilę, żółta twarz jéj na-pół boleśnie, na-pół uroczyście trzęsła się nad ubraną w biały kaftan drewnianą postacią. Po chwili wzniosła znowu w górę wskazujący palec i rzekła:

— Róziu, to bracia nasi! myśmy wygnanki z ich koła, ale cały szacunek nasz i całe nasze przywiązanie... to... to... to...

Nie dokończyła. Zwiędłe wargi jéj drgnęły i drgały długo, niby wątłe liście, wstrząsane powiewem uczucia, żyjącego w téj staréj, suchéj piersi.

I gdy, nakształt chylących się posągów, skłoniła się na poduszki i głowę swą na nich złożyła, kilka razy jeszcze w ciemnym pokoju zaszemrały przeciągłe jéj westchnienia.

— Och, och, och! och, och, och!...

Parę miesięcy minęło. W przedpołudniowéj porze dnia jesiennego, Rozalia, z żywszemi jeszcze niż zwykle rumieńcami na okrągłych policzkach, uśmiechnięta cała i zdyszana, wpadła do mieszkania Żyrewiczowéj.

— Pani! pani drogiusieńka! — zawołała, — pan Stanisław przyszedł do nas... Mama mi kazała...

Urwała nagle, spostrzegłszy Brygidę, która, stojąc przy kominie, gdzie palił się ogień, siekała kawałek mięsa na kotlet na stolnicy, przyniesionéj z sionek.

— Mama kazała kochaną panią poprosić, żeby pani była łaskawa przyjść do nas!... — dokończyła Rozalia, i znacząco okiem na Brygidę wskazała.

Żyrewiczowa znaczenia mimiki téj nie zrozumiała, posłyszała to tylko, że Staś znajdował się w jéj sąsiedztwie; zerwała się z kanapki i wypuściła z rąk batystowy kołnierzyk, który przed kilku miesiącami haftować zaczęła.

— Idę! idę! — zawołała, i cała w uśmiechach poskoczyła do małego lusterka, przed którém nastrzępiła nioby, a wstążki u sukni przygładziła. Wybiegły obie. O kilka kroków od progu, Rozalia zatrzymała towarzyszkę i tajemniczo szeptać zaczęła.

— Nie chciałam mówić przy Bryni, bo ona i tak nie lubi Stasia, nie wiem za co, i gotowa-by po swojemu niegrzeczność mu jaką powiedziéć, a on-by obraził się i długo potém do nas nie przychodził... Mama niespokojna o te procenta, ale sama dopominać się nie chce; mówiła, że dla pani najstosowniéj upomnieć się, i żebym po panią

poszła. Trzeba koniecznie pomówić o tych procentach, bo mama niespokojna i, prawdę mówiąc, trochę ciężko. Niech pani tak sobie z daleka zacznie.

— Ale jak to ja mam zaczynać? dlaczego to ja mam zaczynać! — z przerażeniem wołała Żyrewiczowa, — mama starsza...

— Ale mamie to przykro... Pani, to co innego... Jeżeli pani nie zechcesz zrobić nam téj łaski, to już ja sama muszę zacząć, bo mi mamy żal... ale jak ja to zrobię!... chyba pod ziemię zapadnę się ze wstydu. Jak tu z nim mówić o pieniądzach... upominać się... taki dobry! pudełko cukierków mi przyniósł...

Objęła Żyrewiczowa i, osypując ją pieszczotliwemi nazwami, błagała, aby ona zaczęła i upominała się. Żyrewiczowa broniła się.

— Ale cóż ja powiem? jakże ja go mogę martwić? on taki czuły, wrażliwy, a przytém mnie i jego łączy przyjaźń dawna, oparta na czémś... na czémś takiém...

Rozalia nie przestawała prosić:

— Pani droga! złota!... i ja także czuję dla niego coś... coś takiego...

Weszły do mieszkania Łopotnickiéj. Staruszka, we francuzkim swym szalu, wygarnirowanym czepeczku i okularach w złotéj oprawie, siedziała w staroświeckim fotelu, wyprostowana i sztywna, jak zwykle, ale z wyrazem twarzy, do niepoznania zmienionym. W żółtych jéj palcach połyskiwały druty pończoszki, którą z wolna i zupełnie machinalnie robiła. Z łaskawym, aż prawie błogim, uśmiechem na ustach, słuchała opowiadania Stasia, co,

siedząc na nizkim stołeczku tym, na którym zwykle siadywała Rozalia, mówił o jakiémś weselu, mającém się odbyć w okolicy jego, o wyprawie panny młodéj i ekwipowaniu się pana młodego. Na widok wchodzących kobiet, zerwał się z siedzenia i, ucałowawszy rękę pani Emmy, ze zgrabnym ukłonem i miłym, uśmiechem podał jéj pudełko cukierków.

— Miałem zamiar odwiedzić stryjenkę, — zaczął, — ale ponieważ tu się widzimy...

— Karetę więc kupił, — z zajęciem żywém zapytała go stara — i sześć koni? A jakiéj maści? Ona to pewnie piękne brylanty miéć będzie, bo matka jéj, Kryniewiczówna z domu, mnóztwo kosztowności miała... powiadają, że je ojciec jéj, adwokatem będąc, nie bardzo czystym sposobem po książętach X dostał. A ładnaż ona? Widziałam ją, kiedy była pięcioletnią dziewczynką... obiecywała...

Stanisław uprzejmie i obszernie wszelkich żądanych informacyi dostarczał, staruszka ożywiała się coraz więcéj, i czułém prawie okiem spoglądała na młodzieńca, który przynosił jéj z sobą echa i odblaski ukochanego przez nią świata. Żyrewiczowa i Rozalia nie mieszały się do rozmowy, gryzły cukierki i, co chwila rzucając okiem na Stanisława, z dziecinnym prawie chichotem dzieliły się z sobą nadzwyczaj zajmującemi, a nad osobą jego dokonywanemi, spostrzeżeniami. Bawiły się wybornie.

Chwilami jednak, po ogólnéj wesołości téj suwał się niby cień. Stanisław nie był w rzeczy saméj tak swobodnym, jakim okazać się usiłował; wśród śmiechu nawet, wzrok mu posępniał i ręka ruchem niecierpliwości podnosiła się ku

płowemu wąsikowi. Nieprzezwyciężone roztargnienie i ukłócia jakby tajonéj troski przerywały mu wątek ożywionéj rozmowy. Łopotnicka ze swéj strony, gdy tylko na chwilę słuchać i mówić przestawała, wydawała się czémś zaniepokojoną. Sposępniały wzrok spuszczała na pończoszkę i tak zacinała wargi, że znikały całkiem pomiędzy ostrym, ptasim nosem, a suchą, w górę podnoszącą się i siwym puchem porastającą, brodą. Raz spojrzała na córkę, i z cicha, śpiesznie ku niéj szepnęła:

— Róziu! czy mówiłaś pani radczyni?...

Chichocące i cukierki smokcące kobiety jakby obumarły na chwilę. Rozalia, z osłupiałemi oczyma, lekko trąciła łokciem Żyrewiczową.

— Paniusiu! — szepnęła, — najdroższa! proszę zacząć...

Do twarzy pani Emmy uderzyły gorące rumieńce.

— Ależ, moja panno Rozalio! — odszepnęła, — ja doprawdy nie mogę... taka subiekcya.

I ze spuszczonemi oczyma, nerwowym ruchem zaczęła owijać około palców długi koniec opasującéj ją wstążki.

Stanisław rzucił ku dwom szepcącym i szamocącym się kobietom szybkie spojrzenie i, z zaniepokojonemi oczyma, szybko zawołał:

— Ale, co to panna Rozalia robi? znowu coś nowego? śliczna robótka jakaś!

Z twarzy Rozalii trysnęło uradowanie.

— Profitki paciorkowe! — zawołała, i tryumfalnie podniosła w górę błyszczący i długiemi wisiorami pobrzękujący przedmiot. — Przyszły mi raz do głowy profitki, kiedy w nocy spać nie mogłam... długo potém

łamałam sobie głowę nad tém, jakby tu je zrobić... i zrobiłam! Wezmę za parę rubla... najmniéj!

Stanisław zbliżył się i wziął w rękę owoc ów nocy bezsennéj i długiego łamania głowy Rozalii, którym ona zdawała się być niepomiernie dumną i uszczęśliwioną.

— Bardzo ładne! — podziwiał, — gustowne... szykowne!

— Bardzo ładne! — wtórowała mu Żyrewiczowa, — te zielone paciorki szczególniéj, zupełnie jak szmaragdy...

Rozalia promieniała, ale zmieszało ją znowu ostrzejsze już i bardziéj naglące, niż przedtém, spojrzenie matki.

— Czy pani prezydentowa przypomina sobie Rudziszki, tę wieś, co to nad samym Niemnem, o trzy mile od Ongrodu... — zagadnął staruszkę gość.

— A jakże! dlaczegoż-bym pamiętać jéj nie miała. Za czasów moich, Rudziszki należały do Drewnickiego, z tych Drewnickich, co to w Pińszczyźnie...

— Niechże pani prezydentowa zgadnie, kto teraz Rudziszki kupił!

— A któż taki?

— Jakiś Bucikiewicz, ex-ekonom hrabiów Pompalińskich.

Plasnęła rękoma.

— Ex-ekonom! licho wié co! — zawołała. — A Drewniccy pewnie bez chleba i dachu zostali! co się to dzieje, co się to dzieje na tym świecie! jak ten motłoch w górę wyłazi, a nas to... to... to... coraz niżéj... coraz niżéj spycha!

Teraz Żyrewiczowa trąciła lekko łokciem Rozalią.

— Widzi panna Rozalia, jak mama posmutniała i tak spojrzała na panią, jak gdyby gniewała się... niechże pani zaczyna. Moja pani złociutka! moja najdroższa! proszę zacząć... mnie aż słabo!

— A mnie tak gorąco, jak żeby kto ukropu...

— O! mama znów spojrzała na nas i czoło zmarszczyła! już ja wiem, że kiedy mama na mnie czoło zmarszczy, to już coś wielkiego... Paniusieńko, proszę mnie ratować...

— Nie mogę, panno Rozalio... żeby tam nie wiem co... przyjaźń nasza oparta na czémś takiém... on taką ma wzniosłą duszę...

Łopotnicka raz jeszcze ostro spojrzała na córkę i Żyrewiczową, i z roztargnieniem odpowiadała na pytanie jakieś, przez Stanisława jéj zadane.

— Śliczna, śliczna osoba, dystyngowana i bardzo dobrze urodzona! Odropolska z domu, a rodzi ją Wiewiórkiewiczówna, z tych Wiewiórkiewiczów, co to jeden żonaty był z hrabianką Pompalińską, a drugi...

— Panie Stanisławie! — wpadł jéj w mowę bardziéj jeszcze niż zwykle wiolinowy głosik Rozalii.

— Co pani rozkaże? — z galanteryą zwracając się do niéj, zapytał Staś.

O, jakże niepodobną była do osoby, mającéj komukolwiek cokolwiek rozkazywać! Wyglądała w sposób litość budzący. Czarne jéj, wesołe zwykle oczki, pod wpływem śmiertelnego przymusu, jaki saméj sobie zadawała, na wierzch prawie wychodziły, czoło jéj zaszło krwistym rumieńcem, który posuwał się aż pod gładziutkie, wypomadowane pasma włosów i szkarłatną barwę nadał

małym uszkom; chustką do nosa zasłoniła całą dolną część twarzy. Z za téj chustki głosik jéj wydobywał się zdławiony i za każdą syllabą konający.

— Panie Stanisławie, mamie przy...kro i mnie tak...że... ale co zrobić... dro...żyz...na taka... mamie na zimę... ciepłych bucików trzeba... żeby pan wiedział... jak to przykro... ale... cóż zrobić... ja sama nie wiem... ale może-by pan mógł te... te... pro... pro... pro...

Wyrazem *procenta* udławiła się formalnie i nic już więcéj, prócz kilku chrząknięć, pomieszanych ze stękaniem, wydobyć z siebie nie potrafiła. Żyrewiczowa ze swéj strony rumieniła się, to bladła naprzemian; pani prezydentowa zaś, która wprawianiem kija swego w młynkowe wirowanie tak dzielnie z motłochem wojować umiała, wobec przykrości, sprawianéj obywatelskiemu synowi, nie zmieszała się wprawdzie ani strwożyła, ale posmutniała bardzo i, z oczyma wlepionemi w pończoszkę, przeciągle westchnęła:
— Och, och, och!

Stanisław powstał z powagą i naprzód panią prezydentowią, potém panią Emmę, a nakoniec pannę Rozalią w rękę pocałował. Uczynił to w głębokiém, uroczystém milczeniu i, dopiero usiadłszy, mówić zaczął:

— Winien jestem! *mea culpa!* ale niech szanowna pani prezydentowa i droga stryjeneczka i kochana panna Rozalia nie posądzają mnie o nic złego.

Tu dwa przerażone wykrzyki niewieście:

— My! posądzać pana! ach, panie Stanisławie! jak można...

— I pozwolą mi szeroko i długo usprawiedliwić się z téj

pozornéj winy...

Teraz powagi pełen lecz rozrzewnieniem przebrzmiewający głos pani prezydentowéj:

— Winy... to, to, to, to, niéma żadnéj... pewno niéma... z takiéj familii dziecko, jak kochany pan Stanisław...

— Z téj pozornéj winy, którą okoliczności sprowadziły i okoliczności naprawią. Jakie zaś to okoliczności, jeżeli szanowna pani prezydentowa, droga stryjeneczka i kochana panna Rozalia pozwolą, opowiem o nich szczerze, jasno i szczegółowo.

Ale naturalnie! nietylko pozwalały, lecz bardzo prosiły o to. Żyrewiczowa mówiła, że chociaż oddawna skrzydła ma złamane, umié jednak czuć i podzielać... Rozalia, splatając małe rączki, upewniała, że dla pana Stanisława ma przyjaźń taką... taką... pani prezydentowa zaś uroczyście wyrzekła:

— Powinieneś nawet być szczerym z nami... wszak jesteśmy *en familie*, bo pani radczyni, chociaż nie sama przez się, ale przez swego męża, do naszéj familii należy. Wszystko, co ciebie dotycze, obchodzi i nas serdecznie... wszak jesteś jedynym węzłem, który mnie i Rózię łączy jeszcze z naszym światem.

W sposób ten zachęcony i ośmielony, Stanisław opowiadać zaczął.

Mówił długo o majątku swym Żyrewiczach, o dobrych i złych jego stronach; wykazywał przecięciowe cyfry rocznych intrat, długi, majątek obarczające; wielkie zyski, mogące być otrzymanemi z wycięcia lasu i rozparcelowania awulsów; trudności, jakie spotyka w wykonaniu tych świetnych planów. Mówił jeszcze o wielu, wielu innych

szczegółach przedmiotu, plątał się czasem i jąkał trochę, czasem widać było po nim, że przebywał dość ciężką chwilę życia; a gdy mówić skończył, ogólny wynik długiéj mowy jego okazał się taki: że los jego, cała jego przyszłość spoczywa w ręku pani prezydentowéj. Jeżeli pani prezydentowa pożyczy mu te 2,500 rubli, które ma jeszcze u siebie w bankowych biletach, zostanie uratowanym; spłaci ten dług, który przeszkadza mu do sprzedania lasu i rozparcelowania awulsów i najdaléj za dwa... trzy miesiące, i sumę, i procenta wszystkie zwróci. Jeżeli pani prezydentowa nie zechce tego uczynić, poprostu zginie i będzie musiał Żyrewicze sprzedać temu samemu Bucikowiczowi, ex-ekonomowi Pompalińskich, który nabył od Drewnickich Rudziszki.

Był to wynik rozmowy nadzwyczaj niespodziewany, tak, że wszystkim trzem kobietom, nie wyłączając pani prezydentowéj, oczy zrazu w słup stanęły i na minut parę głębokie w pokoju zapanowało milczenie. Po kilku minutach pani Emma piérwsza do Rozalii szepnęła:

— Jak mi teraz boleśnie, że już więcéj kapitału nie mam!... Gdybym miała, dała-bym mu go zaraz... ja jemu święcie wierzę... biedny ten Stasieczek!...

— Tak, tak! ale... mamie na zimę ciepłych bucików i futerko odnowić trzeba! — wahając się, odszepnęła Rozalia.

Teraz Łopotnicka głos zabrała:

— Nie spodziewałam się — zaczęła — nie spodziewałam się... i tak raptem zdecydować się nie mogę. Nie odmawiam, ale i nie przyrzekam... i proszę pana

Stanisława, żeby mi dał czas do namysłu... do jutra rana... Jutro rano... niech pan będzie łaskaw, odwiedzi nas znowu to, to, to...

Wargi jéj zwarły się tak, że zniknęły prawie pomiędzy nosem a brodą; siwe oczy migotały niespokojnie.

Stanisław wstał znowu, wszystkie trzy panie z kolei w rękę pocałował i, usiadłszy, starał się nawiązać rozmowę, przerwaną odezwaniem się Rozalii. Nie szło to już jednak i, w kwadrans potém, nie było go już w mieszkaniu Łopotnickiéj.

Cały ten dzień Łopotnicka przesiedziała w fotelu swoim, kamiennie nieruchoma i milcząca. Z głową opartą o poręcz fotelu, z otwartemi nieco od głębokiéj zadumy usty, patrzała w sufit i nerwowym ruchem palców mięła brzegi swego szalu. Wzdychała czasem i stękała, albo mruczała coś niewyraźnego; chwilami wyraz ciężkiéj walki wybijał się na suche, ostre, delikatną żółtawą skórą obleczone jéj rysy. Przez cały czas ten, Rozalia siedziała na nizkim swym stołeczku, pod oknem i, widząc, że matka nie zwraca na nią uwagi żadnéj, od chwili do chwili z cicha popłakiwała. Dnia tego Staś tak ładnie wyglądał i taki był chwilami smutny jakiś, i ona sama taką mu wyrządziła przykrość, że serce jéj ściskało się boleśnie, różne tęskne wspomnienia i myśli przychodziły do głowy. Szczęśliwa Brygida, myślała, że w niéj kocha się taki choćby człowiek, jak ten... o! kochać i być kochaną! Ciekawam téż, z kim się Staś ożeni! Pewnie z jaką młodą i ładną panną. A gdzież moja młodość podziała się? i ja byłam niebrzydka... starało się o mnie kilku... a co mi z tego? ot... zmarniałam!...

Paciorkowa profitka wypadła z palców jéj na ziemię, brzęk jéj przerwał zadumę pani prezydentowéj. Wyprostowała się, na twarz jéj wrócił zwykły wyraz stanowczości.

— Róziu — ozwała się — wiész, gdzie notaryusz... ten, Ickiewicz mieszka?

— Wiem, mamo! — raźnie już i wesołym głosem odpowiedziała.

— Ubierz-że się, jak wypada, idź do tego Ickiewicza i powiedz mu, aby tu jutro z księgą swoją przyszedł... Zapłacę mu za fatygę, a sama pewnie do niego nie pójdę. Powiedz mu, że będzie oblig pisał dla mnie od pana Stanisława.

— To mama pożyczy Stasiowi?...

Z trudnością jeszcze pewną stara odpowiedziała:

— Pożyczę.

A kiedy Rozalia, zbierając się do wyjścia, kładła na głowę czarny, skromny kapelusik, przywołała ją do siebie giestem głowy.

— Widzisz — zaczęła — nie mogę zrobić inaczéj, nie powinnam. Jesteś dorosłą i masz prawo wiedzieć, dlaczego matka twoja postępuje tak, a nie inaczéj; chcę zresztą, aby ci to było przykładem. Staś jest obywatelskiém dzieckiem, krewnym moim, opuścić go w potrzebie było-by dla mnie i boleśnie, i z grzechem. Spokojniejszą była-bym, gdybym te pieniądze u siebie w szkatułce miała; myślę jednak, że taki honorowy człowiek i takiego pięknego świata, dwóch kobiet nie skrzywdzi z pewnością. A gdybym odmówiła mu i gdyby on przez to zginął sam i Żyrewicze komu z

motłochu oddał...

— O, mamciu! niech mamcia pożyczy! — wykrzyknęła Rozalia.

Łopotnicka z niezwykłą u niéj czułością położyła dłoń na głowie córki.

— Jesteś prawdziwie mojém dzieckiem — z lekkiém rozrzewnieniem wyrzekła. — Czujesz i myślisz tak, jak ja. To dobrze. Pamiętaj, żeby tak było zawsze, i po mojéj śmierci nawet. Pamiętaj, że powinniśmy zawsze podtrzymywać jedni drugich, pomagać sobie nawzajem i lepiéj wiele przecierpiéć niż... to... to... to... pomocy téj odmówić. Tak tylko postępując, obronimy się od motłochu, który nas ze wszystkich stron napastuje, i przyjdzie jeszcze do tego, że przeklęte chłopy te, żydy, cygany, mieszczany i ekonomy, zrozumieją dobrze, że co my... to... to... to... nie oni!

Siwe oko jéj błysnęło, wysokie czoło, pod pasami srebrnych włosów, zapłonęło bladym rumieńcem zapału, głowę podniosła dumnie i z uśmiechem na ustach patrzała w przestrzeń, niby w przyszłość tę, mającą przynieść zwycięztwo i tryumf tym, których kochała. Potém, rozrzewniona, w obie dłonie ujęła twarz córki i, całując ją w czoło, rzekła:

— Idź! idź po notaryusza! Nie umarła-bym spokojnie, gdybym myślała, że mogłam dopomódz w czémkolwiek jednemu z nich, a nie uczyniłam tego!

Brygida nie została wtajemniczoną w żadne sprawy dnia tego i nie domyślała się ich w stopniu najmniejszym. Od rana znać było po niéj, że niezwykle była wzruszoną i

niespokojną; siekając kotlet dla matki uśmiechała się, to wzdychała naprzemian; przy obiedzie, przełknęła zaledwie parę kąsków pożywienia i, wnet po sprzątnięciu naczyń i uporządkowaniu mieszkania, zarzuciwszy, według zwyczaju swego chustkę na głowę, do miasta wybiegła. Udała się naprzód do sklepu, w którym sprzedawano woskowe świece, przeznaczone do oświetlania ołtarzy kościelnych. Kupiła dwie najmniejsze, bo parę tylko złotych wzięła z sobą z szuflady matczynéj, następnie zaopatrzyła się w kilka łokci kolorowéj wstążeczki i parę lichych, sztucznych kwiatów; tém wszystkiém bardzo starannie i z wielką powagą świece przystroiwszy, poniosła je do kościoła, w którym właśnie sobotnie nieszpory zacząć się miały. Weszła do zakrystyi i pobożną ofiarę swą zakrystyanowi podała.

— Przed ołtarz świętego Józefa Oblubieńca... — poprosiła.

Wąsaty zakrystyan spojrzał na hebanowéj czarności warkocze, które, oplatając jéj głowę ukazywały się z pod chustki, na piękne, gorącym blaskiem płonące jéj oczy i żartobliwie zapytał:

— Na jakąż to intencyą panna świece te ofiarujesz?

— Ażeby Pan Bóg odmienił usposobienie pewnéj osoby — odpowiedziała.

Przez całe nieszpory modliła się z kurczowo splecionemi dłońmi i wzrokiem, błagalnie utkwionym w wymalowaną na obrazie twarz świętego Józefa Oblubieńca; a wychodząc z kościoła, babom żebraczkom, siedzącym w kruchcie, dała po parę groszy, prosząc, aby modliły się o szczęśliwą

zmianę usposobienia pewnéj osoby. Kiedy wracała do domu, na dziedzińcu dogoniła ją, wracająca téż od notaryusza, Rozalia.

— Zkąd idziesz, Bryniu?

— Z kościoła, z nieszporów...

Stanęły obie przy progu mieszkania Łopotnickiéj.

— Cóż? — ciekawie pytała Rozalia; — nie rozmówiłaś się jeszcze z matką?

— Nie jeszcze; ale dziś pomówię z pewnością... postanowiłam i zresztą czasu już niéma! On jutro wyjeżdża, skończył już robotę i spieszy się do drugiéj. Na intencyą szczęśliwego skutku mojéj rozmowy z matką, zaniosłam świętemu Józefowi dwie świece...

— To dobrze! to dobrze! znam sama jednę panią, któréj rodzice nie pozwalali wyjść za lubego... odmówiła koronkę do świętego Józefa, który tak zmiękczył ich serca, że pozwolili. Ale wiész, Bryniu...

Zatrzymała się.

— Cóż? — zapytała Brygida.

— Ot tak! patrząc na ciebie, nie przypuściła-bym nigdy, żebyś tak bała się matki. Taka jesteś prędka i śmiała... i nie bardzo... jak tu powiedzieć?... nie bardzo kochacie się!

W zamyśleniu, z oczyma w ziemię wlepionemi, odpowiedziała:

— Zawsze to matka!... ojciec ją bardzo kochał i, umierając, powiedział do mnie: „bądź dobra dla matki!...”

— No, niech Bóg dopomoże... do widzenia!

Rozalia chciała odejść, ale Brygida zatrzymała ją za rękaw okrycia.

— Powiédz mi, co to znaczy... Śniło mi się dziś, że w podróż wyjeżdżałam i bardzo cieszyłam się z tego... *on* był ze mną i pomagał mi rzeczy pakować, a ja matki szukałam, żeby z nią pożegnać się i nigdzie jéj znaleźć nie mogłam...

— Podróż — z zastanowieniem i namysłem zaczęła Rozalia — w podróż wybierać... się, znaczy, spełnienie zamiarów na dalsze czasy odłożyć... albo znowu, rzeczy pakować, to niby zabawa jakaś, liczne towarzystwo, przyjemne przepędzenie czasu.

Brygida ręką niecierpliwie skinęła.

— At! — sarknęła — zabawy, towarzystwa! poco mi to! Myślałam, że mi co lepszego wywróżysz...

— Z duszy i serca chciała-bym, ale cóż ja zrobię, kiedy tak w senniku pisze! Zresztą sen mara, Bóg wiara. Mama gniewa się zawsze za to, że troszeczkę w sny wierzę... Do widzenia!

Rozeszły się.

Brygida, zapaliwszy lampkę, wnet utkwiła w twarzy matki wzrok niespokojny i badawczy. Czułości we wzroku tym nie było żadnéj; ale niepokój, który mącił w téj chwili śmiałe te zawsze, ogniste oczy, zdawał się mówić: „zawsze to matka!”

Żyrewiczowa wzięła z komody starą talię kart i, usiadłszy na kanapce, zaczęła je do pasyansa wybierać i układać. Brygida wyjęła téż z kosza sztukę bielizny, która cerowania i naprawiania potrzebowała, ale wnet spuściła ją na kolana i znowu wpatrzyła się w matkę. Wyraz twarzy pani Emmy nie miał w sobie nic groźnego. Łagodna, jak zwykle, wieczoru tego zdawała się jeszcze być zadowoloną

czémś i trochę rozmarzoną. Z pudełka, stojącego na stole, wyjęła różowy cukierek i, podniosłszy go do ust, pudełko ku córce posunęła.

— Widzisz, Bryniu — żartobliwie wyrzekła — mnie jeszcze kawalerowie cukierki przynoszą. To od Stasia...

Nie wiadomo, czy Brygida słowa te słyszała, lub przynajmniéj czy je zrozumiała. Z rumieńcem na twarzy wstała z krzesła i, trochę ręką opierając się o stół, stłumionym od wzruszenia głosem zaczęła:

— Moja mamo! chcę mamy prosić o zgodzenie się i błogosławieństwo. Mam starającego się, którego szczerze pokochałam i który mię kocha, i jeżeli mama pozwoli, natychmiast zawołam go i przyprowadzę tutaj...

Żyrewiczowa drgnęła i aż podskoczyła na kanapce. Z osłupiałemi oczyma, w córkę utkwionemi, wołać zaczęła:

— Ty, ty Bryniu, masz starającego! się! co? kto? kto? jakto? ależ u nas nikt nie bywa! ależ-by to była prawdziwa łaska Bozka, gdybyś ty, ty, partyą zrobić mogła! Któż to taki? mówże, mów prędzéj!..

Brygida nie zaraz odpowiedziała. Mocowała się ze wzruszeniem swém dopóty, dopóki nie odzyskała całéj siły i śmiałości. Po chwili, głosem przytłumionym i łagodnym, ale zupełnie już pewnym, rzekła:

— Moja mamo, nie jest to nikt taki, który-by u mamy bywać mógł, bo mama niektórych tylko ludzi życzy sobie znać i przyjmować... Poznaliśmy się z sobą, cztery miesiące temu, tu, na tym dziedzińcu... on piérwszy przemówił do mnie potém; rozmawialiśmy z sobą często i długo i pokochaliśmy się...

— Ależ któż to taki? powiédz-że nakoniec, bo coś niedobrego przeczuwam...

— Jest to, moja mamo, Kazimierz Sośnina, majster mularski z Młynowa... ten sam, który tę kamienicę dla Rolickiego...

Nie dokończyła, bo pani Emma, zerwała się z kanapki i obiema rękoma pochwyciła ją za ramię.

— Bryniu! co tobie jest! — krzyczéć zaczęła — zwariowałaś, moje dziecko! Bryniu! Bryniu! upamiętaj się! przyjdź do przytomności! dziecko moje! bo po doktora polecę!...

W wyrazie twarzy i krzyku Żyrewiczowéj było tyle szczerego przestrachu, tak nawet w przestrachu tym zadźwięczało serce matki, bądź co bądź, przerażone myślą o nagłém zwaryowaniu jéj dziecka; że po ustach Brygidy przesunął się uśmiech, choć niewesoły, o! wcale nie wesoły! Usuwając się o kroków parę, zaczęła znowu:

— Moja mamo! ja wcale nie zwaryowałam; i jakaż to waryacya?... człowiek to młody, przystojny... takie ma poczciwe, roztropne, wesołe oczy...

— A niech go dyabli wezmą, z jego przystojnością i z jego oczyma razem! — zapominając o wszelkiéj wykwintności wyrażenia się, krzyknęła pani Emma i bezwładnie na kanapkę opadła.

Nie dowierzając przecież jeszcze przytomności umysłu córki, wlepiła w nią wytrzeszczone oczy.

— Czy ty naprawdę to wszystko mówisz?... naprawdę... naprawdę?

— Naprawdę, mamo. I dlaczegoż ma to być nieprawdą?

Myśmy stosowni dla siebie. On nie wysoko edukowany, to prawda... czytać, pisać, rachować umié, trzy klasy gimnazyalne skończył, a w rzemiośle swojém bardzo biegły... piérwszy z niego majster w powiecie. Wszak i ja nieuczona... po francusku co nauczyłam się, to zapomniałam, a co się tycze innych rzeczy, on więcéj jeszcze umié ode mnie...

— Brygido! Brygido! Brygido!

Prócz tego, trzy razy powtórzonego imienia córki, Żyrewiczowa nic więcéj wymówić nie była zdolna. Brygida, coraz śmielsza i zarazem coraz już posępniejsza, zaczęła znowu:

— I nie biedny on... o! daleko bogatszy ode mnie... bo ja z kapitaliku, który ojciec zostawił, nic, nic, grosza złamanego brać nie chcę... niech będzie dla mamy. Wié on dobrze o tém, bom mu mówiła, że weźmie mię w jednéj sukni i to dziurawéj... on zaś ma majątek.

Na dźwięk ostatniego wyrazu pani Emma ocknęła się nieco z osłupienia.

— Majątek! — powtórzyła głucho — mularz ma majątek! chyba więc z obywatelskiéj rodziny...

— Nie, mamo! mieszczaninem jest i z mieszczańskiéj rodziny... Z Młynowa, ale ma w Młynowie domek z dużym placem i ogrodem.

Tu rozległ się spazmatyczny śmiech pani Emmy.

— Majątek! Więc to majątek! chałupa jakaś w nędznéj mieścinie... z placem i ogrodem... o Boże, mój Boże! co to się dziéje? co jéj jest? czy ja czasem gorączki nie dostałam i tak mi się tylko wydaje? Brygido! Brygido! Brygido!

— Mamo! on w jeden miesiąc więcéj zarabia, niż my całego procentu od sumki naszéj mamy... nie pije, nie traci... nie gbur nawet, choć prosty człowiek! Z człowiekiem takim życie szczęśliwe i... przyszłość pewna!...

— A niech go, z jego zarabianiem i jego...

— Mamo! mamo! nie przeklinaj go! on na to nie zasłużył! za cóż przeklinasz go, mamo? czy za to, że on dla córki twojéj ma szacunek i przywiązanie? czy za to, że chce z córką twoją, mamo, podzielić się dobrem swojém, przez niego i przez jego ojca poczciwie zapracowaném? czy za to, że nie ma takich białych rąk, jak ten panicz, który tu...

Powstrzymała się nagle. Popędliwa z natury i rozdrażniona wielu żywiołami, składającemi się na jéj istnienie, już, już wybuchnąć miała namiętnym gniewem bez powstrzymania się. Umiała panować nad sobą; pragnęła przekonać i ubłagać matkę.

— Mamo, — zaczęła posępnym, lecz złagodzonym głosem, — toż może jedyny los mój... jedyne szczęście, które mi się przytrafia! Mam lat 27... Chciała-bym żyć, jak inne kobiety... przyjaciela miéć dozgonnego, dzieci...

— Brygido! ty... panna, o takich rzeczach!...

— A jakież-to rzeczy, moja mamo. Ojciec mówił zawsze: „chciał-bym, żebyś była kiedyś dobrą żoną, matką i rządną gospodynią.“ Ja téż niczego więcéj nie chcę. Czém-że mogę być inném? Nic nie umiem i do niczego pretensyi miéć nie mogę. Pracować tylko mogę i chcę, i... kochać swoich... moja mamo; czyż mama mi nie pozwoli spełnić woli ojca i być szczęśliwą? Com ja mamie winna? Grać się

nie nauczyłam! to prawda, ale czyż to wina moja? Pan Bóg mi zdolności do tego nie dał. I temu-m także ja niewinna, że silna wyrosłam, nie powiewna...

W piersi jéj drgnął zwykły, krótki, ironiczny śmiech, znowu wrzała wewnątrz goryczą i gniewem. I znowu przemogła się.

— Ale za to, — zdławionym trochę głosem mówić zaczęła, — ale za to, od śmierci ojca, przez ośm lat, przez całe ośm lat służyłam mamie, jak mogłam, czém mogłam. Oszczędzałam grosz każdy, aby mamie więcéj na przyjemności i wygody zostało. Sługi nie miałyśmy... robiłam sama wszystko, choć mama tylko... tylko... zawsze gniewała się na mnie za to! Nie wymawiam... o, ja nie wymawiam! to był mój obowiązek. Ojciec umierając, powiedział mi: „bądź dobrą dla matki!“ o, ojciec! ojciec! ojciec mój!... ale za to... za to... za to... że przecież spełniłam ten obowiązek, jak tylko mogłam i potrafiłam... proszę mamy... niech mama pozwoli, żeby *on* tu zaraz przyszedł i niech nas pobłogosławi.

Zadała sobie gwałt wielki i, przyklęknąwszy przed matką, w kolana ją pocałowała.

— I dla saméj siebie... — mówiła, — niech mama to zrobi i błogosławi nas!... Mama nie młodą już jest... kapitalik ma niewielki i sama jedna... My mamie pokoik w domku naszym urządzim, przystroim... on ma starą matkę, którą bardzo kocha... będziemy was obie doglądać, jak oczy własne... spokojną starość...

Żyrewiczowa porwała się z kanapki i, giestem tak popędliwym, jakiego nigdy od łagodności jéj i delikatności

spodziewać się nie było można, córkę od siebie odepchnęła.

— Precz! precz! precz! — wymachując ramionami i z twarzą w ogniu, wołała, — dziecko niegodne! niepoczciwa dziewczyno! Ty mię śmiesz od niemłodych wyzywać! w chałupie jakiéjś spokojną starość, z mularką jakąś razem obiecywać! Cóż to ty sobie myślisz? kto ja jestem? Jestem córką pocztmistrza, a matka moja z obywatelskiéj rodziny, bo inaczéj nie poszła-bym za niego! w kogo ty wrodziłaś się? ani w ojca, ani w matkę, ani w babkę, ani w dziada...

— Owszem, owszem! — zawołała Brygida. — Mylisz się, mamo, wrodziłam się w ojca... w biednego ojca mego, który tak samo, jak ja, nie był ani szczupłym, ani powiewnym, i po francuzku nie umiał, i grać nie umiał, i górnie mówić nie umiał, ale taki był pracowity, że przez 20 lat zarabiał, mamo, dla ciebie nie tylko na chléb, ale na torty, cukierki, assamble i stroje...

— Brygido! — krzyknęła Żyrewiczowa, — ubliżasz matce!

Rozgorzałe oczy dziewczyny przygasły znowu, odetchnęła głęboko.

— Przepraszam, — rzekła, zniżając głos, — uniosłam się, przepraszam... ale cóż ja zrobię? prosiłam przecież mamę, błagałam i perswadowałam...

— I bądź pewną, — drżąc cała i na środku pokoju stając, odpowiedziała pani Emma, — że żadne twoje prośby, błagania i perswadowania nic tu nie pomogą. Zwaryowałaś i koniec, a ja waryacyi téj ani pobłażać, ani sama przez nią cierpiéć nie mogę. Co-by na to powiedział pan Stanisław? co-by powiedziała Łopotnicka? U Łopotnickiéj noga-by już

moja chyba nie stanęła nigdy. Czy my na pustyni żyjemy, abyśmy sobie według woli za różnych mularzy i młynarzy wychodzić mogły. Żyjemy pomiędzy ludźmi, a kogo ludzie w pogardzie mają, tego i my... bo inaczéj spadniemy same w pogardę ludzką... w błoto! Tak postępować każe nam nasza godność osobista i nasze wznioślejsze uczucia. Ale czyż ty masz w sobie choć trochę osobistéj godności? czyż ty rozumiész, co to jest wzniosłość uczuć? byłaś zawsze grubą naturą i sprawiałaś mi same zmartwienia. Rodziłam cię w większych bolach, niż obu twych braci; dzieckiem byłaś krzykliwém i spać mi nie dawałaś, wrzeszcząc zawsze niewiedzieć czego... potém żadna edukacya nie przyjmowała się do ciebie, żadnego talentu nie miałaś... Bóg wié zkąd i dlaczego rosłaś wielka i silna, jak prosta dziéwka, to téż i teraz...

Mówiła jeszcze długo, ciągle w tenże sam sposób, chodząc po pokoju, rozmachując ramionami, w rumieńcach cała, z iskrzącym się wzrokiem. Brygida milczała, jak grób; na czole jéj zarysowała się gruba zmarszczka, a czarne oczy jéj wpatrzone w ziemię, nabrały przepaścistéj głębi i boleści.

Nakoniec mówiąca kobieta zmęczyła się i stanęła.

— No, — rzekła z rozkazującym giestem, — siadaj, weź robotę, uspokój się sama i mnie daj odpocząć. A głupstwo te wybij sobie z głowy raz na zawsze...

Brygida podniosła głowę.

— Nie mamo, — odpowiedziała, — nie siądę, nie wezmę roboty i nie wybiję sobie z głowy... ale pójdę zaraz do niego i powiem, żeby na zapowiedzie dawał. Jestem aż

nadto pełnoletnią... Ksiądz metrykę wyda. Za dwa tygodnie weźmiemy ślub.

Mówiła to ponuro i stanowczo. Na twarzy pani Emmy odmalował się wyraz najwyższéj trwogi. Tak, mogła to uczynić, była istotnie pełnoletnią, ksiądz istotnie mógł dać jéj potrzebne dokumenta, mogli istotnie pobrać się bez jéj pozwolenia! A więc, dla przełamania przeklętego uporu dziewczyny téj, pozostał już jéj środek jedyny. Jeżeli chce uniknąć tego, co-by ją w oczach ludzkich rzuciło w pogardę i błoto, jeżeli chce módz spojrzéć w oczy Stasiowi i Łopotnickiéj, użyć powinna tego jeszcze jedynego środka.

Przed wyobraźnią jéj mignęła aktorka jakaś, którą kiedyś widziała na scenie Ongrodzkiego teatru, w roli matki, wyklinającéj syna, czy córkę. Nie pamiętała już słów przekleństwa, ale imponująca i patetyczna postać aktorki przed oczyma jéj stała wyraźnie.

Stanęła więc na środku pokoju, patetycznym giestem wyciągnęła ku Brygidzie oba ramiona i zawołała:

— A więc ja przeklnę cię, córko wyrodna! przeklnę cię razem z Sośniną twoją i wszystkiemi Sośninami, które z niém mieć będziesz... O, słuchaj! niech przekleństwo matki...

— Mamo! mamo! mamo! — przeraźliwie krzyknęła Brygida i, rzucając się ku matce, usiłowała pochwycić ręce jéj i suknią, byle tylko do dalszego mówienia jéj nie dopuścić. Bladą była śmiertelnie i drżała od stóp do głowy. — Mamo, nie przeklinaj! — wołała, — mamo, na miłość Bozką, przestań!... Przekleństwo matki... o! ja boję się... za cóż i on także ma być przeklętym! i dzieci!... mamo, zlituj

się... nie błogosławieństwo Bozkie... straszno!

I całém swém silném, kształtném ciałem runęła u stóp matki. Lecz pani Emma, któréj oczy ochłodły już i błysnęły tryumfem, odskoczyła od niéj.

— Tak, — zawołała, — przekleństwo matki to niebłogosławieństwo Bozkie... aż do czternastego pokolenia... czy słyszysz? aż do czternastego pokolenia! głód, mór, węże, szarańcza, ciemności i wszystkie plagi egipskie! jeżeli nie przyrzeczesz mi, że wybijesz sobie z głowy te głupstwa, aż do czternastego pokolenia przeklnę twoje Sośniny! Cóż? czemu nic nie mówisz i leżysz jak nieżywa twarzą do ziemi! Myślisz jeszcze sprzeciwiać się! no, to słuchaj! niech przekleństwo matki...

— Mamo! mamo!

Porwała się znowu z ziemi.

— Niebłogosławieństwo bozkie! — krzyknęła, — straszno!

— Niech przekleństwo matki...

— Czekaj, mamo, czekaj! nie mów daléj! nie gub duszy i mojéj, i jego! o ja nieszczęśliwa! Idę, już idę! Zejdę ci z oczu, zrobię, jak chcesz! O! bodajbym była nazajutrz po urodzeniu się wskróś ziemi przepadła!...

Z ostatniemi słowami, łkając i szamocąc się, jak burzliwy wicher wypadła z mieszkania.

Wieczór był zimny, dziedziniec napełniony głębokim zmrokiem. Brygida biegła ku bramie, w pobliżu któréj w oczekującéj postawie stał urodziwy mężczyzna, w mieszczańskiém ubraniu i z długim, bujnym wąsem. Spostrzegłszy ją, szybko kilka kroków ku niéj postąpił.

— A co? a co? — pytał ciekawie, — uprosiłaś? zgodziła się? mogę tam iść?

Z właściwą sobie gwałtownością i z wybuchem płaczu porwała go za ręce.

— Nie zgodziła się... przekląć chce mnie i... ciebie! już zaczęła przeklinać!...

Ogarnął ją ramieniem, przycisnął do piersi i długo milczał. Potém smutnym bardzo głosem zaczął:

— Przekleństwo matki, niebłogosławieństwo Bozkie... nie można! Ja ciebie bez błogosławieństwa matki brać nie mogę. Jaką ona sobie jest, to jest... zawsze to matka, i wreszcie...

Tu ramię jego opadło i podniósł głowę.

— Wreszcie... cóż u licha? a któż to ja taki, złodziéj, pijak, włóczęga, czy co? żeby aż przeklinać mię za to, żem dziewczynę ukochał i za żonkę ją biorę!...

Ona nie odpowiedziała nic i, cicha, zesztywniała, usunęła się o parę kroków.

— Próbowała-żeś wszystkiego? — zapytał po chwili, — prosiłaś? perswadowałaś? mówiłaś, że mam dobry kawałek chleba dla ciebie, i nawet dla niéj? Niech u ludzi się spyta? niech mi termin naznaczy, żeby poznać się zemną? na wszystko zgodzę się... tylko nie na przeklinanie!

Milczała.

— To już nam ze sobą i pożegnać się wypadnie.

Załkała głośno, on znowu ją do piersi swéj przycisnął.

— A no, — mówił, — może się jeszcze stara namyśli i udobrucha. Ot widzisz, serce mi kraje się i aż płakać chce się... Wiész co? jak śniegi spadną i skończą się mularskie

roboty, ja tu kiedy, wolnym dniem, wpadnę i dowiem się... a choć-by tylko i zobaczyć ciebie, moja ty czarnooka!

— Przyjedziesz? czy przyjedziesz? — zapytała chciwie, a w głosie jéj zadrżała nadzieja.

Śniegi spadły, i biegnącéj przez ulicę malutkiéj osóbce nie gorąco być musiało w szczupło watowanéj algierce, którą miała na sobie, a jednak okrągła twarz jéj wyglądała jak czerwone jabłuszko, a małe oczki błyszczały jak czarne paciorki. Migotały one na przemian trwogą i łzami; od chwili do chwili załamywała ręce i z cicha do siebie jęczała:

— O! Boże mój, Boże! czyż to prawda? czy to być może?

Wpadła w dziedziniec i jak strzała puściła się ku mieszkaniu Żyrewiczowéj.

— Pani moja! — wołała już we drzwiach, — nie wytrzymam... ledwie żyję... skończenie świata... Staś... Staś... ten Stasieczek...

Upadła na kanapkę z załamanemi rękoma i osłupiałym wzrokiem. Żyrewiczowa zerwała się od fortepianu, na którym, z silném akcentowaniem miejsc rzewnych i melodyjnych, wygrywała jakiegoś walca.

— Staś! co się stało ze Stasiem? zachorował? umarł?

— Nie, nie, nie! Dwa tygodnie temu sprzedał Żyrewicze i wyjechał gdzieś daleko, aż na Białoruś, czy co, do jakichś krewnych...

— Wyjechał!

— Wyjechał.

— Jakto, zupełnie? zupełnie?

— Zupełnie... zupełnie.

— Jakto, bez pożegnania?

— Otóż to, otóż to, otóż to i boleśnie! bez pożegnania!

Żyrewiczowa skamieniała na chwilę, w oczach jéj zakręciły się łzy.

— Nie wierzę, — zawołała nagle, — jakto? on by się miał nie pożegnać ze mną, ze mną... kiedy jestem jego *ange consolatrice*. Nie wierzę!.., kto ci to mówił?

— Na mieście! na mieście! na mieście! wszyscy znajomi moi i jego mówili... odnosiłam profitki i podstawki... mówili, że najpewniéj.

Żyrewiczowa usiadła na kanapce i zadumała się długo, smutnie. Rozalia ocierała sobie łzy z oczu i twarzy. Po kilku minutach zaledwie wdowa z cicha przemówiła:

— A nasze kapitaliki?

— Ach! — porwała się Rozalia, — zapomniałam! to prawda! cóż będzie z temi kapitalikami i temi procentami? O Boże! mama zmartwi się bardzo... co tu robić? u kogo teraz upominać się? Chodźmy do mamy.

— Poczekaj pani... a nie słyszałaś, jak to było? co? dlaczego? zkąd ten nagły wyjazd...

— At! — skinęła ręką Rozalia, — albo to ludziom wierzyć można? Zwyczajnie, teraz już takie plotki... mówią, że Staś temi pieniędzmi, które wziął od mamy, miał rzeczywiście dług jakiś spłacić, a potém las, czy co tam takiego, sprzedać i majątek oczyścić; ale nazajutrz potém, jak mu mama pożyczyła, pieniądze te przegrał...

— Co? jakto przegrał? w karty?

— W karty. Mówią, że w karty! I już długu opłacić nie

mógł, i sprzedać czegoś tam nie mógł, i tylko majątek cały sprzedał...

— To plotki, fałsz, kalumnia! — wykrzyknęła wdowa. — On! ta wzniosła dusza... tak poziomo!... nie, to być nie może. W tém jest jakiś dramat, jakiś fatalizm, coś tragicznego, coś... coś... takiego...

— Chodźmy do mamy. Mama da może sposób dowiedzenia się prawdy. Mama wszystko wié, co może być, a co nie może być. Chodźmy.

Poszły. I gdy z mnóztwem wykrzyków, omówień, twierdzeń i przeczeń, westchnień i łez, opowiedziały pani prezydentowéj wszystko, o czém wiedziały same, pani prezydentowa zdrętwiała. Wyprostowana jak struna, roztworzyła usta, na szalu francuzkim szeroko rozpostarła palce, i tylko powieki jéj nad siwą, szklistą źrenicą mrugały prędko, prędko.

Rozalia z przestrachem rzuciła się do niéj.

— Mamie niedobrze.

Obudziła się z chwilowego osłupienia, i rozkazującym giestem córkę od siebie usunęła.

— Niech Rózia poda mi salopę i ciepłą chusteczkę na głowę, — rzekła zwykłym już sobie, pewnym i suchym głosem.

Z trudnością jednak wstała z fotelu; Rozalia podawała jéj salopę i chusteczkę.

— Gdzie mamcia pójdzie? dziś bardzo zimno...

Wskazała palcem dom, w którym mieszkał adwokat.

— Od niego dowiem się, co prawda a co nieprawda. On wszystkich obywateli i interesa ich zna.

— Ja z mamcią pójdę.

— Nie trzeba... Mogą tam być mówione takie rzeczy, o których pannom słuchać nie wypada.

W salopie, która plecom jéj nadawała pozór stary i przygarbiony, z nieodstępnym kijem swym w ręku, szła przez dziedziniec, powolniejszym niż zwykle i daleko mniéj zamaszystym, krokiem. Dwie pozostałe kobiéty w trwodze i milczeniu powrotu jéj oczekiwały. Wróciła prędko, w kwadrans może po wyjściu, i chciała sama rozpiąć i zdjąć salopę, ale nie mogła. Ręce jéj trzęsły się i głowa nawet, tak dumnie zazwyczaj na sztywnéj szyi osadzona, trzęsła się także.

— A co, mamo? — rozbierając ją, szepnęła Rozalia.

— Prawda, wszystko prawda, — ostro i krótko odpowiedziała.

— Wyjechał więc? — zawołała Żyrewiczowa.

Nie było odpowiedzi.

— A nasze kapitaliki? — zapytała ciszéj.

— Przepadły, — głucho odpowiedziała stara, która już na swym fotelu usiadła i, z głową o tylną poręcz opartą, patrzała w sufit.

Wdowa zbladła bardzo. Przed oczyma jéj mignęło widmo nędzy.

— Jakże to? — zaczęła drżącym głosem, — pani prezydentowa miała obligi i kartki od Stasia.

Łopotnicka oderwała głowę od poręczy fotela i spojrzała na nią przeszywającym wzrokiem.

— Obligi! — zawołała, — a kto je pisał? Notaryusz... Ickiewicz jakiś!... Jakiż walor mogą mieć dokumenta, przez

jakiegoś Ickiewicza pisane? Co tacy Ickiewicze i cały ten teraźniéjszy motłoch zrobi, to... to... to... to... nigdy waloru żadnego miéć nie może. Otóż to... to... to... to... i bieda, że Ickiewicze nad nami zapanowali, a Żyrewiczowie Bucikowskim majątki swoje sprzedawać muszą. Sprzedał Żyrewicze Bucikowskiemu, a kto o téj sprzedaży nie wiedział, ten i stracił to, co na Żyrewiczach miał. Bucikowski, choć Żyrewicze wziął, nie wypłaci pewnie... ten... ten... ten... ekonomczuk.

Oparła znowu głowę o poręcz i zaczęła patrzéć w sufit. Palce jéj spazmatycznie mięły brzeg francuzkiego szala, a wargi zwarły się tak silnie, że z profilu widać było tylko, pod czołem wysokiem i zmiętém w mnóztwo zmarszczek, dwie ostre i zbliżające się ku sobie linie nosa i brody. Tak przesiedziała do późnego wieczora i do córki nie przemówiła ani słowa, wtedy nawet, gdy ta, z twarzą zbrzękniętą od płaczu, postawiła przed nią stoliczek ze szklanką herbaty, i gorąco, długo całowała ją w obie ręce. Gdyby nie oczy, rozwarte szeroko i szklisto, patrzące w sufit, można by sądzić, że spała lub była zemdloną. Nad wieczorem zaczęła z cicha coś mruczéć do siebie. Rozalia, bacznie wsłuchując się, dosłyszała tylko słów kilka:

— Licho wié co! syn obywatelski...

A potém:

— Dziecku nic nie zostawię... robótki... tylko... robótki...

Przed północą wstała z fotelu i powiedziała Rozalii, aby ją rozebrała. Daremnie jednak córka po kilka razy zapytywała ją, jak się czuje, i czy czasem do apteki po co nie pójść. Nie odpowiedziała nic. W nocy, Rozalii, która nie

spała i co moment przychylała ucha w stronę łóżka matki, zdawało się, że słyszy stękanie tłumione w poduszkach. Nie śmiała jednak przemówić, ani światła zapalić; a gdy z rana obudziła się z krótkiéj, ciężkiéj drzemki, krzyknęła aż ze zdziwienia i zadowolenia razem. Matka jéj siedziała na brzegu łóżka, ubrana już zupełnie, w szalu, czepeczku wygarnirowanym, w okularach nawet, prosta, jak zwykle, i ze zwykłym, trochę tylko uroczystszym, wyrazem na twarzy.

— Jak mamie jest? czy mama nie czuje się cierpiącą?

— Nic mi nie jest. Czuję się jak zwykle. Pobiegnij-no, otwórz okiennice, a potém ogarnij się i idź do miasta. Kupisz mi i przyniesiesz liberkę listowego papieru, dziesięć kopert pocztowych, atramentu i piór... patrz tylko, żeby pióra były miękkie.

— Mamciu! na co mamci to wszystko?

Nie odpowiedziała.

Kiedy Rozalia wróciła z miasta z żądanemi sprawunkami, znalazła matkę siedzącą na fotelu, z książką od nabożeństwa na kolanach i modlącą się żarliwie. Na widok córki, uderzyła się parę razy w piersi, przeżegnała się i złożyła książkę.

— Róziu! chodź tu do mnie!

Przesunęła parę razy dłoń po włosach Rozalii, które dnia tego wcale wypomadowanemi nie były, i mówić zaczęła:

— Jesteśmy teraz bardzo biedne, ogołocone ze wszystkiego, ale broń cię Boże, ażebyś narzekać, albo o *nim* źle mówić miała. Narzekać, jęczeć przed ludźmi i, biedować nie wypada, i było-by dla nas z ubliżeniem, źle

zaś o *nim* mówić, grzech. Jaki tam *on* jest, to jest, zawsze to... to... to... nasz, jednego z nami rodu i pochodzenia. Niechaj ten motłoch przeklęty nie ma téj satysfakcyi, a byśmy jedni na drugich skargi wywodzili i źle mówili. Cóż Róziu, czy będziesz posłuszną woli mojéj?

— Ja przecież zawsze, zawsze byłam mamie posłuszną, a o Stasiu nie mogła-bym źle mówić, gdybym nawet chciała...

— To dobrze. Jesteś prawdziwém dobrém mojém dzieckiem. A teraz powiem ci... że da Pan Bóg, nie zginiem! Wierzę w Opatrzność Bozką i w dobre serca tych, z którymi całe życie moje przebyłam... z których koła wygnały mnie okoliczności, ale którzy w biedzie ostatecznéj nie opuszczą nas z pewnością. Dziś i jutro pisać będę listy i roześlę je... do marszałkowéj Korzyckiéj, do Odropolskiego, do Sanickich, tych, co to z Sanowa nad Niemnem, i do innych jeszcze... do innych, z którymi wiążą mię dawne stosunki i to... to... to... wspomnienia. Stasia obwiniać nie będę, ale napiszę im, że chciałam jednego z nas podtrzymać, podeprzéć, z rąk motłochu uratować... Spełniłam święty obowiązek, niech-że oni teraz względem nas spełniają swój...

— Spełnią, z pewnością! — z entuzyazmem zawołała Rozalia, i gorącemi pocałunkami okryła ręce i kolana matki. Więcéj niż kiedykolwiek matka ta była „jedyném jéj dobrem”.

Dnia tego, nad wieczorem, Żyrewiczowa z cicha i nieśmiało weszła do mieszkania Łopotnickiéj. Nietylko była ona cichą i nieśmiałą, ale téż bardzo zmienioną. Przez

jednę dobę postarzała o lat kilkanaście. Oczy miała ogniście czerwone, a twarz zbladłą i zmiętą. W mieszkaniu panowała cisza głęboka. Rozalia kończyła spiesznie jakąś robótkę. Łopotnicka, siedząc przy stole pisała listy. Pisząc, nie pochylała się nad stołem ani na jednę linią. Siedziała prosto i sztywnie, rękę dość prędko posuwała po papierze, a w wyrazie twarzy jéj nietylko upokorzenia ani rozrzewnienia nie było, ale owszem, malowało się na niéj zadowolenie z siebie i większa niż zwykle wyniosłość i duma.

Żyrewiczowa na ziemi przy Rozalii przysiadła.

— Co to mama pisze? — szepnęła.

— Listy do obywateli, aby spełnili obowiązek swój względem nas, tak jak mama spełniła go względem Stasia. Spełnią pewnie i nie dadzą mamie nędzy przenosić.

— Najpewniéj spełnią i nie dadzą nędzy przenosić! — odpowiedziała wdowa i, żałośnie splatając ręce, dodała: — Mój Boże! co to jest z obywatelskiéj rodziny pochodzić!

Potém cichutko i pokornie zaczęła prosić Rozalii, aby dopomogła jéj do sprzedania fortepianu.

— Ostatniego rubla Brynia na mieście dziś rozmieniła, i nie wiem, doprawdy, co to z tego wszystkiego będzie? Tymczasem muszę, muszę sprzedać fortepian.

Mówiła, że nikt sobie wyobrazić nawet nie może, ile ją kosztuje rozstanie się z fortepianem, ale cóż począć? Nic kosztownego więcéj nie posiada. Rozalia ma więcéj od niéj znajomości na mieście... niech postara się o kogoś, ktoby chciał nabyć i zarazem zapłacić. Rozalia przyrzekła chętnie, a potém zauważyła, że pani radczyni bardzo źle wygląda, i

zapytała, czy nie czuje się chorą.

— Niedobrze mi, istotnie niedobrze, — odpowiedziała, drżąc z zimna i osłarniając się chustką, którą na sobie miała. — Jakże może być inaczéj? Tyle na raz zmartwień i wzruszeń, a zdrowie miałam zawsze delikatne. Kto-by to przypuścił, że Staś wyjedzie bez pożegnania się z nami?

Rozalia, wzdychając, odpowiedziała:

— Nie mógł widać inaczéj... biedaczek! On zawsze taki grzeczny był, dobry, miły...

Kilka minut jeszcze szeptały o Stasiu, a Żyrewiczowa nie przestawała utrzymywać, że w postępku jego ukrywa się jakiś dramat, fatalizm, coś tragicznego, coś... takiego...

W parę dni potém Rozalia oznajmiła sąsiadce swéj, że znalazła już na jéj fortepian kupca, który zaraz, tego samego dnia, zapłaci umówione pieniądze, ale téż i sprzęt nabyty zaraz zabierze. Przed wieczorem Brygida poszła do sklepiku aby uprossić trochę chleba i krup na kredyt, a Żyrewiczowa siadła przy fortepianie.

— Ostatni raz! — szepnęła, — ostatni raz!

Drżącą ręką wygrała pasaż jakiś, potém część jakiegoś walca, aż urwała nagle i, z cichym wtórem akordów, głosem nabrzmiałym łzami, śpiewać zaczęła:

— O! powiedz mu, że niepojęta siła,
Do jego życia wiąże moje dni!
O! powiedz mu...

Tu ozwały się w sionkach liczne, ciężkie kroki; tragarze przychodzili po fortepian. Wstała, usunęła się na bok, i chustką zasłaniając sobie usta, patrzała w milczeniu na

robotę tragarzy. Lecz gdy fortepian, dźwignięty z ziemi i na kilku silnych plecach oparty, wysuwać się już począł z pokoju, rzuciła się ku niemu, zaczęła chwytać go z tyłu i z przodu, z głośném wołaniem:

— To przeszłość moja... to młodość moja... szczęśliwe czasy moje odchodzą ode mnie... odchodzą... odchodzą!...

Potém w mieszkaniu zrobiła się cisza. Rozalia w milczeniu siedziała na kanapce, a Żyrewiczowa gorączkowym krokiem przebiegając pokój, gorączkowo téż i długo mówiła. W mowie téj przebiegała całe swoje życie. Skarżyła się naprzód na to, że rodzice zbyt młodo za mąż ją wydali, gdyby była starszą, zrobiła-by inny, stosowniejszy dla siebie wybór. Potém opowiadała o mężu, że był to dobry, bardzo dobry człowiek, ale nie rozumiał jéj nigdy, nie mógł zadowolnić wznioślejszych jéj uczuć, a nakoniec zostawił ją z takim małym funduszem. Brygida wrodziła się w ojca, dobra to dziewczyna, ale jakaż z niéj pociecha? Taką ma grubą, pospolitą naturę, że ani partyi dobréj zrobić, ani przyjaciółką i powiernicą matki być nie może. Gdyby synowie jéj hodowali się byli i żyli dotąd! ale cóż? albo to ona kiedy dobre i wierne sługi miała? Niańki były dobrze opłacane za to, żeby dzieci pilnowały, a jednak nie dopilnowały, a dwa nieszczęścia, jedno po drugiém, jak gromy spadły na nią. I w sposób ten całe życie jéj przeszło na samych tylko tęsknotach, zmartwieniach i wyrzekaniach się wszystkiego. W sercu swém nosi ona kilka mogił; są to mogiły rodziców, męża, synów, a teraz, teraz, gdy czuje, że skrzydła jéj złamały się już zupełnie, gdy zmęczoną jest i taką zbolałą, utraciła majątek cały, fortepian swój i ostatnią

zapewne na ziemi bratnią duszę.

Mówiła to wszystko szybko i żałośnie, ale bez łez. Owszem, oczy jéj błyszczały sucho i gorączkowo, na policzkach miała niezdrowe rumieńce, i z dreszczami otulała się w ciepłą chustkę. Kiedy w godzinę po wyniesieniu fortepianu Rozalia wychodziła, Żyrewiczowa żywo zwróciła się ku niéj.

— Moja panno Rozalio, — rzekła, — jeżeli tam spotkasz mego Ignacego, to powiedz mu, żeby prędzéj do domu szedł, bo chora jestem i potrzebuję opieki, a Konradka i Edzia każ wynieść do dalszych pokojów, bo płaczą bardzo, a mnie serce od ich płaczu rwie się.

Rozalia uczyniła giest taki, jakby przeżegnać się chciała, ale potém wstrząsnęła znacząco głową i, wołając Brygidy, wybiegła.

Brygida nastawiała w sionkach samowar.

— Bryniu, — rzekła do niéj, — idź po doktora dla matki; chora jest, w gorączce bredzi.

Chorowała długo i ciężko, nie umarła jednak. A gdy piérwszy raz po chorobie wstała z łóżka, w pokoju nie było już ani kanapki, ani szafy na suknie, ani nic z tego, cokolwiek z posiadanéj przez nią ruchomości spieniężoném być mogło. Pusty pokój z nagiemi ścianami ponuro wyglądał przy białém świetle zimowego, śnieżystego dnia. Przy oknie, z grubego płótna zszywając worki takie, w jakich mąkę wożą z młynów, siedziała Brygida. Na pięknéj jéj twarzy wyrywały się głębokiemi śladami bezsenne noce, trudy, niedostatek i inna może jeszcze zgryzota. Widząc, że matka wstała i dość pewnym już krokiem przeszła się po

pokoju, ze spuszczonemi na robotę oczyma rzekła:

— Mamo, trzeba mi w służbę iść. Zupełnie już nie mamy z czego żyć.

Poszła w służbę, za pokojówkę, do jakiegoś dostatniego domu, któremu zarekomendowała ją Rozalia, bo do żadnéj innéj służby uzdatnioną nie była. Kazimierz Sośnina nie przyjechał już więcéj nigdy, a raczéj bywał zapewne w Ongrodzie, ale z nią widzieć się nie starał. Nic dziwnego. Mularz, nie rycerz ani wice-hrabia. Czasu może zabrakło mu, albo wśród ciężkiéj pracy zapominał o „czarnookiéj“ tak często, że nakoniec i całkiem o niéj zapomniał; być może téż, że „siwa gołąbka“ raiła mu na żonę jaką nie panienkę i nie z takiego domu, gdzie córki wyklinają, a on wpływom jéj ulegał...

Brygida prędko zmieniła miejsce, i zmieniała je potém często. Uznawano ogólnie, że była uczciwa i pracowita, ale ponura jak noc i popędliwa jak burza; nikogo do siebie nie przywiązywała i sama z nikim żadnym trwałym węzłem spoić się nie mogła. Od czasu pewnego szczególniéj zaczęła ona spadać coraz niżéj. Raz, idąc przez ulicę z koszykiem w ręku, posłana zapewne po sprawunki, spotkała Rozalią. Z razu zdawała się być zadowoloną z widoku dawnéj znajoméj swéj. Przywitały się. Było to już w lat kilka po owéj porze, gdy mieszkały na jednym dziedzińcu.

— Cóż tam z wami? — zapytała Brygida, — matka

twoja żyje?

Rozalia rozgadała się ze zwykłą sobie łatwością. Matka jéj od dwóch już lat nie opuszczała łóżka. Artretyzm miała w rękach i nogach, wychudła strasznie i leży sobie biedactwo, niby figurka woskowa, tak żółta i nieruchoma. Ale nie skarży się nigdy na nic, nie narzeka, nie wybredza; czasem tylko stęknie z bólu, i to w nocy, kiedy myśli, że Rozalia śpi, i nikt a nikt słyszéć tego nie może. Żyją ze sprzedaży robótek Rozalii i z tego, co im przysyłają obywatele okoliczni. Przysyłają! przysyłają! pani marszałkowa to beczkę kartofli, to trochę krup i bułkę chleba; Sanniccy to kilka rubli, to kilka złotych, jak mogą, bo oni téż w interesach nieszczególnych; Odropolski rubla na miesiąc regularnie, i inni, jeszcze inni. Pomimo to przymierają czasem głodem, a mieszkanie mają takie, że w zimie szron i lód na ścianach. Cóż robić jednak? Zrobiły to, co powinny były zrobić, i nie skarżą się na nikogo. Nikt im nic nie zawinił, a nawet, gdyby nie choroba matki, wcale-by im źle nie było. Spokojne mają sumienie.

— A ty, Bryniu?

Brygida niechętnie ręką skinęła. Zwyczajem swoim do zwierzeń nie była skłonną. Rozalia natomiast mówiła za nią i za siebie.

— Aha! wiész, ten twój konkurent dawniejszy! ożenił się. Wypadkiem zaszłam raz do kościoła i trafiłam na jego ślub. Z szewcówną jakąś podobno, ale śliczną dziewczyną, brunetką, tak jak ty.

Po twarzy Brygidy przebiegło kilka szybkich drgnień. Silném uściśnieniem ręki pożegnała towarzyszkę i prędko

odeszła. Uszedłszy kilkadziesiąt kroków, weszła w dziedziniec jakiś, postawiła kosz na ziemi, i z czołem, opartém o cegły ślepego jakiegoś muru, z twarzą w dłoniach, krótko i gwałtownie zapłakała. Wielki czarny pies, który parę już lat ślad w ślad zawsze za nią chodził, wspiął się na ramię jéj i polizał jéj rękę. Przestała płakać, pogładziła psa, porwała kosz i daléj pobiegła.

Ot tego to dnia właśnie stawała się stopniowo apatyczną i leniwą. Opuszczała ją nawet zwykła jéj pracowitość. Ogromne zawsze jéj włosy z kruczych stały się popielatemi, zgasłe oczy obojętnie patrzyły na wszystko i wszystkich; a gdy ze zwiędłą twarzą na-pół ukrytą w starą, zrudziałą chustkę, przechodzi ulice miasta, za nią idzie zawsze pies jakiś, za którym ona ogląda się niekiedy tak troskliwie, jak gdyby przedstawiał on całe już jéj dobro na świecie i całe kochanie. Często tygodniami i miesiącami zostaje bez służby. Wtedy mieszka z matką, żyjącą w małéj izdebce, znajdującéj się w starych i opuszczonych murach klasztornych, a w któréj bezpłatnie mieszkać pozwala jéj zwierzchność kościelna. W porach tych bezrobocia, Brygida najmuje się dziennie do prania, maglowania, oprzątania mieszkań, które miejscowych sług nie posiadają, nawet do noszenia wody; a Żyrewiczowa...

Wszystkie mniéj więcéj dostatnie rodziny, mieszkające w Ongrodzie, znają kobiecinę szczupłą i mizerną, która do mieszkań ich wchodzi od czasu do czasu, w sukni podartéj, lecz ozdobionéj strzempkami różnych fręzli i wstążek, w kapeluszu starym również, lecz przystrojonym zmokłém najczęściéj, odwieczném piórem i starannie na ufryzowane

nioby włożonym. Posuwistym i dygającym krokiem zbliża się ona do gospodyni domu, i jeżeli to jest piérwsza wizyta, podaje jéj we czworo złożony arkusz papieru. Na papierze tym znajduje się długie pisanie, zaczynające się od słów: „Jaśnie wielmożni państwo dobrodziejstwo! ze szlachetnéj familii pochodząca, podupadła na zdrowiu i majątku, wdowa po urzędniku, ośmiela się wznieść błagające oczy ku wspaniałomyślnym obliczom tych, którzy... i t. d.“

Jeżeli przychodzi do domów, w których już jest znaną, nie podaje już papieru owego, ale staje o kilka kroków ode drzwi, i błękitnemi zawsze jak turkusy oczyma patrzy w twarze obecnych; spojrzeniem tém zdaje się prosić, aby obeszli się z nią dobrze, i choć na chwilę przypuścili ją do towarzystwa swego. Przez współczucie, z nudy, dla przepędzenia czasu, czynią to niektórzy. Proszą ją, aby weszła do bawialnego pokoju, gdzie siada ona, zaledwie połowę krzesła zająć śmiąc, lecz wnet, korzystając ze sposobności powiedzenia czegoś o swoich dawnych czasach, zapytana o przeszłość, zaczyna zwykle od domu rodziców swoich.

— Kiedy byłam w domu rodziców moich, — mówi, — nazywano mię Sylfidą.

— Dlaczegóż to? — pytają obecni.

Z rumieńcem i uśmiechem spogląda na kibić swą i odpowiada:

— Taka byłam zawsze szczupła, wiotka... — Potém mówi jeszcze, że nieboszczyk mąż jéj i cała jego rodzina nazywali ją Zefirkiem, a to dlatego, że nadzwyczaj lekko tańczyła, i taki miała charakter, że nigdy żadnego stałego

postanowienia zrobić nie mogła... Dziś to, jutro tamto jéj się podoba, zwyczajnie, gdy człowiek w szczęściu i wygodach wszelkich zostaje...

Szczególniéj pożądliwemi oczyma patrzała ona zwykle na wszelki fortepian. Wiedziano o tém, że kiedyś grać i śpiewać umiała, i czasem dla rozrywki, albo i dla zrobienia jéj przyjemności, proszono ją, aby siadła do fortepianu. Czyni to zawsze z uszczęśliwieniem widoczném; zdejmuje rękawiczki z podartemi palcami, i błogo uśmiechając się, uderza kilka cichych, smętnych, trochę fałszywych akordów. Dzieci domu chichoczą po kątach pokoju, dorośli uśmiechają się z litością lub ironicznie ruszają ramionami; ale ona, zachwycona fortepianem, talentem swym i zaszczytném towarzystwem, w którém się znajduje, głosem czystym i dźwięcznym, ale nadzwyczaj słabym i co chwila konającym, śpiewać zaczyna:

— O, powiedz mu, że niepojęta siła...

Umié wiele innych jeszcze piosenek, a po tamtéj najulubieńszą z nich jest dla niéj:

— O gwiazdeczko, coś błyszczała,
Gdym ujrzała świat!
Czemuż, czemuż gwiazdko mała, i t.d.

Najczęściéj, w chwili właśnie, gdy w największym zapale dośpiewywa drugą czy trzecią strofę swéj piosnki, do pokoju wchodzi gość albo pan domu, który nie lubi jéj, czy téż, po pracy zgłodniały, dopomina się o obiad lub

wieczerzę; wtedy wkładają jéj parę złotych i dają do zrozumienia, a w niektórych miejscach mówią nawet otwarcie, aby co prędzéj szła sobie precz.

KONIEC.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Eliza Orzeszkowa.*

ZŁOTA NITKA.

Czy taki dzień, jakim był dzisiejszy, nazwać można pięknym czy brzydkim? sama nie wiem. Zależy to zapewne od upodobania i usposobienia. Jedni lubią słońce upalne i błękity, usiane iskrami, inni, zmęczeni może nieco — któż oprócz nich powiedzieć może czém? — z rozkoszą topią oczy w chmurném sklepieniu, w mgle, w zmroku.

Dziś po południu wyszłam na przechadzkę, za dwór, za drogę, którą jeżdżą i chodzą ludzie, w pole daleko. Jeszcze to niby lato, ale zboża już zżęte, ziemię okrywa kolczata ścierń, pośród któréj, na miedzach, sterczą tu i ówdzie kąkole, dziewanny i polne grochy. Dzikie grusze, stróżujące nad pustemi zagonami, jeszcze zielone, ale od skwarów i kurzawy przywiędłe i ciemne, brzozy zaś i olchy, dokoła ogrodu dworskiego i przy drodze rosnące, połyskują z dala, niby rzeźbami z bronzu, zżółkłemi gałęźmi; pracy ludzkiéj, ruchu i gwaru, które jéj towarzyszą, ani śladu. Wieś nawet, długim rzędem chat na tle półkolistego lasu szarzejąca, nie daje znaków życia. Zkądciś tylko, z przeciwnéj strony drogi, płyną powietrzem melancholijne wołania, którymi oracze napędzają leniwe swe woły; od dworu dochodzi

basowy turkot młocarni, podobny zdala do podziemnego, nieustającego grzmotu; pod czarnym lasem wiją się sine wstęgi dymów, oznaczające miejsca pastwisk, które téż od chwili do chwili ozywają się przenikliwym, kilka nut żałośnych do nieskończoności powtarzającym, śpiewem fujarek. Nad tém wszystkiém niebo, od skłonu do skłonu okryte płachtą białych obłoków, gdzie niegdzie tylko wzdymającą się w ciemne, na różny sposób wyrzeźbione chmury, a pośrodku nieba, z za białéj płachty, w miejscu tym niby muślin rozrzedzonéj, tarcza słoneczna omglona, bez promieni, do okrągłego, blado-złotego opłatka podobna. Mylę się. Nie była ona całkiem bez promieni; bo gdy, ścigając okiem jaskółki, które długim, czarnym sznurem ciągnęły ku zachodowi, spojrzałam na to blade i smutne słońce, zobaczyłam promień jego jeden jedyny, złotą niby nitkę, która świeciła i urywała się wysoko.

Kto mi wskaże te napowietrzne drogi, któremi przylatują do nas wspomnienia? Kto mi powié, dlaczego pogoda dzisiejsza, taka smutna i taka cicha, przyniosła przed pamięć moję jednę znaną mi kiedyś kobietę i jeden moment z jéj życia? Było to przypomnienie tak nagłe i wyraźne, że w chwili właśnie, gdy patrzałam na ów promień słoneczny, bardzo wysoko świecący, pomiędzy nim a oczyma memi przesunęła się, jak żywa, i nawet uśmiechnęła się do mnie, piękna, lecz bardziéj jeszcze niż piękna, zajmująca twarz Felicyi Olińskiéj.

Po raz piérwszy zobaczyłam ją wtedy, gdy, ze wsi przybywszy do Ongrodu, odwiedziłam dom Józefa Olińskiego. Odwiedziłam go z przyczyny interesów pieniężnych, musiałam przeto coś o nim wiedzieć. Wiedziałam, że Józef Oliński był ex-właścicielem ziemskim, który, sprzedawszy majątek swój, osiadł na miejskim bruku częścią z potrzeby, częścią z dobréj woli; że był on człowiekiem nieposzlakowanéj uczciwości; że dość zamożnym, lecz wcale niebogatym będąc, utrzymywał w domu swym wiele osób, do bliższéj i dalszéj rodziny jego należących; że nakoniec żonatym był po raz drugi i z piérwszego małżeństwa miał troje dzieci. Takiemi wiadomościami zaopatrzona, weszłam do saloniku, dość obszernego i napełnionego osobami różnéj płci i różnego wieku.

Na spotkanie moje, od karcianego stolika, z nad którego powstał, postąpił gospodarz domu, człowiek około pięćdziesięcioletni, z leniwą trochę i senną, ale sympatyczną powierzchownością. Wysoki i barczysty, musiał on mieć za młodu postawę piękną, którą nadwerężała teraz znaczna otyłość. Jasno płowe i siwiejące włosy jego w szczególny sposób odbijały od czerstwéj, rumianéj twarzy, pośród któréj świeciły blado błękitne, pełne dobroci oczy. Ta-to właśnie dobroć, widocznie uwydatniająca się nietylko w spójrzeniu, ale w wyrazie ust i uśmiechu jego, czyniła go sympatycznym. Powitał mię, nie jako osobę dla interesu przybywającą, ale jako miłego gościa, i od razu, niezgrabnie trochę, lecz bardzo poczciwie,

wprowadził mię w koło swéj rodziny. Odbyło się to w ten sposób, że naprzód zupełnie niespodzianie usłyszałam wymienione własne swoje nazwisko, a potém przez pięć minut brzmiały mi w uszach imiona i tytuły przedstawianych mi osób.

— Matka moja, Franciszka Olińska; ciotka moja, Anna Liniewska; wuj mój, Alojzy Choimski; siostra moja, Michalina Olińska; córka moja, Emilia; syn mój Władysław; synek mój, Mieczyś; goście nasi i przyjaciele: pani Zuzanna Skwierska, pan Ludwik Okimski.

Skończywszy, zapytał:

— A gdzież Felcia?

Zapytanie to dało początek następującéj, krótkiéj, lecz żwawéj rozmowie.

— Toż przecie do miasta poszła.

— Poco? czego?

— Toż przecie po ciastka.

— Po jakie ciastka?

— Ależ, mój Józiu, do kawy przecie...

— To czemuż kto inny nie poszedł?

— Ależ, mój papo, przecie nikt tak papie nie dogodzi...

— To prawda. Ale zaraz powróci?

— Naturalnie zaraz; bo i my w „bałamuta” grać nie możemy.

— A dlaczegoż nie możecie?

— Bo klucz od komody, w któréj karty, u niéj.

— Przepraszam, bardzo panią przepraszam — zwrócił się do mnie pan Oliński — ale chciałem przedstawić pani jeszcze i żonę moję! Gromadka nas jest, jak pani widzi,

spora, ale jakoś — dzionek po dzionku przechodzi i... dobrze! przyznam się nawet pani dobrodziejce... choć to może i wstyd trochę, że od czasu, jak porzuciliśmy wiejskie kłopoty i nudy, a osiedliśmy sobie w miasteczku, odżyliśmy wszyscy. Zawsze tu jakoś to ten, to ów odwiedzi, pogawędzi, i... w preferansika...

— Kościół blizko — przerwała matka.

— Doktor i apteka pod ręką — dorzuciła ciotka.

— Ga... ga... gazety co... co... codzień — wypowiedział mocno zająkliwy wuj.

— Żeby tylko nie gimnazyum, i ja był-bym wielkim amatorem miasta — zaśmiał się ośmnastoletni chłopak w szkolnym mundurze.

— O, miasto! Wstydź się, Władziu, taką dziurę miastem nazywać! — sarknęła córka Emilia, dwudziestoletnia panna, siedząca na szezlągu w postawie trochę niedbałéj, w lokach, wstążkach i pantofelkach, z których wyglądały różowe pończoszki.

— Przepraszam — powtórzył znowu uprzejmie gospodarz — pani dobrodziejka życzy sobie podobno pomówić ze mną o interesie? proszę, bardzo proszę...

Poprowadził mię do kanapki, tak od najbardziéj zaludnionych miejsc salonu oddalonéj, że poufna nawet rozmowa spokojnie tam prowadzoną być mogła.

Interes zresztą ani tajemniczym był, ani bardzo ważnym. Rozmawiając o nim, przypatrywałam się osobom, w salonie zgromadzonym. Były to postacie bardzo rozmaite, lecz bardzo zwyczajne.

Staruszka matka była wcale miłą staruszką. Białe

garnirowanie czépka jéj ładną tworzyło ramę dla pomarszczonéj lecz okrągłéj twarzy, któréj rysy, pospolite, lecz żadną szpetotą nierażące, uderzająco powtarzały się w twarzy jéj syna. Nie wydawała się wcale schorowaną, ani niedołężną, tylko trochę niezadowoloną. Siedziała właśnie przy otwartym do gry stoliku, od którego powstał był pan Józef, a przy którym siedzieli téż przyjaciele domu. Niecierpliwiła się widocznie przerwą, zaszłą w ulubionéj zabawie. Przytém jednak rozmawiała ciągle z siedzącemi przy niéj przyjaciółkami, którym już nie przypatrywałam się, bo znałam je dobrze. Słyszałam tylko, że pani Skwierska, czterdziestoletnia wdowa po urzędniku, babina nieposzlakowanéj cnoty i wielkiéj wymowy, z gestykulacyą i mimiką, któréj-by jéj niejeden z mówców wielkiéj szkoły pozazdrościł, powtarzała co do słowa prawie przeszłoniedzielne kazanie księdza Hajdeckiego w farze.

Ludwik Okimski za to, tłuściutki, malutki i wygolony obywatel miejski, na całe miasto słynny z nieocenionego dowcipu i humoru swego, posługiwał się wakującemi kartami od preferansa dla dokonywania z ich pomocą różnych z sztuk, czarodziejstwem prawie graniczących. Karty, w obu rękach trzymane, za plecy swe chowając, albo téż je ze zręcznością niesłychaną na stole rozkładając i mieszając, zwracał się przedewszystkiém do panny Michaliny Olińskiéj, któréj pyszne i pysznie uczesane złociste włosy przyozdabiały twarz trzydziestokilkoletnią, ładną niegdyś, teraz mocno przywiędłą i wyrazem doznanych zawodów nacechowaną. Zawody te nie przeszkadzały przecież błękitnawym oczom jéj z

niesłychaném zajęciem topić się w pulchnéj, wygolonéj a wesołéj twarzy miejskiego obywatela.

Dwaj gimnazyaści za to, z których jeden był dzieckiem jeszcze, drugi dorosłym prawie młodzieńcem, nie doświadczali na widok sztuk karłowych żadnych uczuć innych, prócz najżywszéj żądzy zbadania i zdobycia wszystkich ich tajemnic. Z ust ich sypał się grad zapytań i próśb tak ogłuszających, że aż Aloizy Choimski, chudy i łysy ex-profesor, w starym profesorskim mundurze, ze złoconemi guzami, u okna siedzący, a w czytaniu gazety zatopiony, sykał z gniewu i gazetą swą z przeraźliwym szelestem co chwila ku wrzaskliwéj grupie powiewał.

Szelesty te drażniły snadź nerwy niemłodéj, bladéj i widocznie bardzo dobréj Anny Liniewskiéj, ciotki, która, w wyszywaniu włóczkami siatkowéj serwety pogrążona, podnosiła od chwili do chwili głowę i z kolei sykała na pana Aloizego. Ile razy zaś syknęła tyle razy pan Aloizy, z rozczulonym prawie wyrazem twarzy, pochylał się ku niéj i na przeprosiny rękę jéj, zaopatrzoną w długą igłę całował; co téż ją, aż do nowego szelestu gazety, najzupełniéj rozzbrajało. Głębszą i trwalszą snadź troską jéj było dobieranie kolorów włóczek, któremi serwetę swą wyszywała; bo nagle podniosła głowę, w trochę jeszcze zalotny czepeczek ustrojoną i, z rozpaczliwém załamaniem rąk, zawołała:

— Moja pani Zuzanno, proszę mi poradzić! już ja doprawdy nie wiem, jaką tu różę zrobić: różową czy żółtą?

W mgnieniu oka, po zapytaniu tém, całe towarzystwo, nie wyłączając staruszki a z wyjątkiem tylko ex-profesora,

podzieliło się na obozy różowéj i żółtéj róży. Okimski, gimnazyaści, nawet milcząca dotąd i melancholijnie na różowe pończoszki swe spoglądająca piękna panna Emilia, udzielali rad swych i wydawali zdania. Teraz nawet panna Emilia mówiła najgłośniéj i z największym zapałem, nie dlatego zapewne, aby była żarliwą miłośnicą robót ręcznych, ale, że, gdy szło o rzeczy gustu, zdaniu jéj należało się bezwzględne piérwszeństwo. Dobry gust był specyalnością jéj; świadczyły o tém malownicze draperye sukni i różowe pończoszki. W gwarze tym, przez zagadnienie pani Anny wywołanym, zadzwonił jękliwy, do tonu bolesnéj skargi podniesiony, głos staruszki:

— Dlaczego kawy nie dają?

— Felci niéma — odpowiedziały chórem wszystkie prawie głosy.

— Ależ dlaczego ona tak długo nie przychodzi?

— Może poszła na przechadzkę?

— W porę, bardzo w porę!

— Może zobaczyła jaki piękny widok natury! ona tak kocha naturę!

— I zapomniała o nas i o naszéj kawie.

— Pani Felicya dziś źle wygląda. Może cierpiąca...

— A któż jéj winien? czytuje po nocach, to potém źle wygląda. Ja zawsze mówię, że dla kobiety wszystkie te mądrości...

— Do... do... don... ka... ka... karlos bi... bije się! — zrywając się z krzesła, zawołał nagle pan Aloizy. — Zno... znowu bi... b... b...

W tém otworzyły się drzwi i wszedł do salonu znany mi

trochę, młody urzędnik z gubernatorskiego czy jakiegoś innego biura. Był to chłopak przystojny, dobrze ułożony, z wykształceniem umysłowém małém, ale wielkiemi potrzebami serca, bo cechą przeważnie go charakteryzującą było nieustanne kochanie się w jakiéjś pani, czy pannie. Zbyt ubogi jeszcze, aby mógł ożenić się, składał ofiary na ołtarzach wszystkich piękności Ongrodu. Przytém oprócz pań i panien kochał on jeszcze poezyą i odznaczał się zarówno wielką pamięcią, jak wcale niezwykłym darem do deklamacyi, a w rozmowie — kwiecistością stylu. Wszystkie te przymioty jednały mu pośród pań wysoki stopień szacunku i sympatyi. Objawiło się to i teraz, gdy wejście Teofila Siekierskiego sprawiło w salonie Olińskich wrażenie wielkie. Najżywiéj uległa mu panna Emilia, co zresztą było zupełnie słuszném, gdyż spojrzenie czarnych oczu Teofila naprzód ku niéj strzeliło, ale i panna Michalina wydawała się także zelektryzowaną nieco i z żywością, która odmłodziła zwiędłą jéj twarz, zawołała, że teraz, kiedy pan Teofil przyszedł, trzeba zaraz zacząć grać w karty w *bałamuta,* bo już z góry wiadomo, kto w czepku siedzieć będzie. Pokazało się jednak, że bez Felci ani w karty grać, ani kawy pić niepodobna. Dom cały, ze wszystkiemi swemi wygodami i przyjemnościami, w nieobecności jéj, był jakby sparaliżowany. Znowu więc rozległy się wołania i wyrzekania.

— Gdzież jest Felcia? Dlaczego tak długo w mieście bawi?

Skończyłam rozmowę moję o interesie z gospodarzem domu, a gdybym nawet nie skończyła jéj była, udała-bym,

że nic już więcéj do powiedzenia nie mam, tak bardzo wyraźnie poobiednia drzemka zasnuwała mgłą łagodne jego oczy, taki wyraz ciężkiéj z nią walki okrywał dobrą i poczciwą twarz jego. Spać mu się chciało okropnie, a jednak uprzejmym być nie przestał. Zapraszał mię na kawę, które-to zaproszenie powtórzyły téż matka, ciotka, siostra i córka jego; a gdy stanowczo odchodziłam, wszyscy razem wymogli na mnie przyrzeczenie, że przynajmniéj innego dnia, jak najprędzéj, dom ich na dłużéj odwiedzę. Potém pan Józef odprowadził mię aż do drzwi przedpokoju, a gdy starszy syn jego z grzecznym pośpiechem podawał mi okrycie, on jeszcze, pomimo senności, która mocno utrudniała mu mowę, udzielał mi rad i upewnień, tyczących się interesu mego, a świadczących zarówno o prawości charakteru, jak o dobroci jego serca.

Mieszkanie Olińskich znajdowało się na drugiém piętrze jednéj z kamienic miasta. Zstępując ze schodów, zobaczyłam poniżéj siebie u jednego z zakrętów ich stojącą kobietę, któréj postawa uderzyła mię i nawet trochę zadziwiła. Była to kobieta wysmukła, bardzo kształtna, w ciemném okryciu i czarnym kapeluszu, z pod którego widać było gruby warkocz, kasztanowatéj barwy, z ognistym połyskiem. Stała nieruchoma zupełnie, z łokciem opartym o balustradę schodów, z kibicią na przód nieco podaną i twarzą na dłoni wspartą. Postawa ta była wymowną. Wyrażała ona znużenie i zadumę. Stała tak i w ten sposób wspierała się na ręce, że z twarzy jéj widziałam tylko część białego czoła i oczy duże, ciemnoszafirowe, powieką na-pół spuszczoną przysłonięte, a smutnie, okropnie smutnie w dół

zapatrzone. Nie słyszała zrazu zbliżających się ku niéj kroków moich. Ja téż przez chwilę przypatrywałam się jéj ciekawie. Domyśliłam się, kim była, bo w drugiéj ręce, bezwładnie spuszczonéj, trzymała spory, zamknięty koszyk, zawierający pewnie ciastka do kawy. Oto dlaczego nie wracała tak długo i tak nie w porę bawiła za domem. Ale co pochwyciło ją tu i zatrzymało? Zmęczenie, o chwilę spoczynku wołające? czy marzenie natrętne i nieodegnalne? czy silniejszy nad siły jej moment żałości lub walki? Wszystko to razem malowało się w postawie i wyrazie jéj oczu. Usłyszała nakoniec kroki moje, porwała się, jak ze snu zbudzona, i wbiegła na schody tak szybko, że przed oczyma memi zaledwie mignął biały, delikatny, kameowy profil jéj twarzy.

Znalazłszy się na ulicy o kilkaset kroków, oddaliłam się od mieszkania Olińskich, gdy z dala już poznałam idącego naprzeciw mnie Adama Tarnickiego. Z dala nawet nie poznać go było niepodobieństwem, bo pełna siły i spokoju postawa, myślące i nieco dumne czoło, a tak w kroku jak i poruszeniach jakaś nieuchwytna dostojność, która piętnuje powierzchowność wysoce ucywilizowanego człowieka, wyróżniały go pośród tłumu nietylko ulicznego, ale i wszelkiego innego.

Gdybyśmy naturę na obraz i podobieństwo swoje pojmowali, mniemać moglibyśmy, że, jak my, doświadcza ona przystępów dobrego i złego humoru, chwil wezbranéj i energicznéj, lub znużonéj i niedołężnéj twórczości. Gdybym naturę pojmowała w sposób powyższy, mniemałabym, że Adama Tarnickiego stworzyła ona w przystępie

wielkiéj dobroci i pięknego natchnienia. Była to pewnie jedna z najwyborniejszych i najkompletniejszych organizacyi ludzkich na ziemi. Rolnik z zawodu, był on zarówno czcicielem jak znawcą nauki, a na dnie piersi swéj nosił iskrę poezyi i entuzyazmu, która była przyczyną wielu jego i cnót i cierpień. Żartując niby, mówiłam mu zawsze, iż ciężki grzech popełnia, nie rozpalając tak długo rodzinnego ogniska, po prostu, nie żeniąc się. Wkrótce dosięgnie lat czterdziestu, kiedyż potém będzie mógł nasycić się ciepłem tego ogniska? Kiedy dla społeczeństwa wyhoduje podobnego do siebie syna? Kiedyż nakoniec uszczęśliwi istotę jaką, do płci nieszczęśliwéj należącą? Na to wszystko odpowiadał mi niekiedy żartem także, częściéj jednak poważnemi a trochę smutnemi słowy:

— Nie znalazłem. Nie widziałem. Nie znam.

Nie znalazł, nie zobaczył, nie poznał kobiety takiéj, która-by odpowiadała potrzebom i serca i umysłu jego. Niestety! nie żył on tylko sercem, a najszczęśliwiéj żyć tylko sercem; skoro się bowiem w dodatku i głową jeszcze żyje, wnet i serce to dziwnych, licznych a bardzo despotycznych nabiera wymagań. Od pewnego czasu jednak zauważyłam, że przedmiot ten rozmowy począł Tarnickiemu sprawiać przykrość. Przestałam téż go w rozmowach dotykać i tylko w samotności ducha zapytywałam siebie: czyżby nakoniec znalazł, zobaczył, poznał?

Powitaliśmy się, jak zwykle bywało, po przyjacielsku i serdecznie. Powiedziałam mu zaraz, że idę od Olińskich.

— A ja do nich, — odpowiedział.

Nie słyszałam nigdy o tém, że znał rodzinę tę. Powiedział mi, że znał ją od roku, a odwiedzał z razu bardzo często, potém rzadziéj, zawsze jednak, ilekroć był w mieście, co parę tygodni więc, czasem co tydzień. Nagle błysnęła mi w myśli uwaga, że od czasu pewnego p. Adam bywał w Ongrodzie częściéj, niż dawniéj. Nie wypowiedziałam jéj jednak, natomiast opowiadałam dość długo o tém, w jaki sposób przelotnie zobaczyłam dziś p. Felicyą Olińską, co odgadywałam z postawy jéj i wejrzenia, jak dziewiczą wydała mi się jéj kibić, a czystą, delikatną i trochę tylko znużoną linia jéj profilu.

Pan Adam milczał. Szedł chodnikiem obok mnie, a gdy podniosłam ku niemu głowę, zobaczyłam, że twarz jego była w szczególny sposób zmąconą. Niepodobna inaczéj określić zmian, które zaszły w niéj, jak przez wyraz: zmącenie. Przypominała ona powierzchnią głębokiéj wody, którą swawolna ręka zmąci rzuconym kamieniem. Powstają na niéj wtedy ruchy gwałtowne, pogłębiają się linie i tryskają światła, które, gdy dzień pochmurny a woda nie błękitna, ani przezroczysta, mają w sobie coś posępnego.

Dla różnych przyczyn bywałam potém u Olińskich bardzo często. Felicyą poznałam w czasie drugich tam moich odwiedzin. Ile lat miała wtedy, nie wiem dobrze. Nie musiała być bardzo młodziutką, gdyż od lat już dziesięciu była zamężną, a jednak nie myliłam się, mówiąc p. Adamowi, że kibić jéj i wszystkie poruszenia posiadały uderzające piętno dziewiczości. Widząc ją z dala, jak w skromnéj sukni i gospodarskim fartuszku, z włosami gładko uczesanemi, a z tyłu głowy zwiniętemi w jeden połyskujący

warkocz, chodziła po pokojach mieszkania, czynna, wszystkim usługująca, żywa i lekka, można ją było wziąć za młodziutką córkę domu, pannę, która nie dosięgła jeszcze dwudziestu wiosen życia. Młodzieńczość ta — a najdokładniéj — dziewiczość jéj postaci wynikała może tak z wielkiéj prostoty i skromności ubioru i układu, jak z delikatności i doskonałéj harmonii kształtów. Profil jéj twarzy, delikatny, czysto grecki, z linią nosa prostopadle od czoła spływającą i łagodném wygięciem różowych ust, nadawały jéj także pozór piérwszéj młodości. I wtedy dopiéro, gdy się na nią prosto, twarzą w twarz spojrzało, objawiała się w niéj nie dziewica już, ale kobieta, kobieta, któréj piękne czoło nie miało atłasowéj gładkości liliowego liścia, ani oczy podłużne, z wielką szafirową źrenicą, spokojnych błękitów wiosny; owszem, cera jéj bardzo biała z natury, zmęczoną trochę była i zbladłą, a w spojrzeniu przeciągłém, przenikliwém, z gorącemi blaskami na dnie, zdradzało się upalne południe życia, pełnia uczuć zarówno, jak myśli. Najpiękniejszą była wtedy, gdy mówiła lub śmiała się, bo głos jéj był dźwięczny i elastyczny, gra fizyonomii żywą, a zapał lub wesołość krzesały w jéj oczach prawdziwe ogniska iskier.

Śmiała się właśnie, gdy do salonu Olińskich wchodziłam, i z drugiego pokoju słyszałam już perłowe, krótkie gamy jéj śmiechu. Przyczyną wesołości jéj był dwunastoletni Mieczyś, który pochwycił ją pośrodku salonu i, niosącą tacę ze szklankami pełnemi kawy, ściskał ją i całował z wielkiém dla niesionych przedmiotów niebezpieczeństwem. Zlękła się snadź o swoję kawę

staruszka matka, bo zwykłym sobie głosem, do tonu bolesnéj skargi podniesionym zawołała:

— Ty bo, Felciu, tego dzieciaka tak rozpieściłaś, że momentu spokojności...

— Bo Felcia, mamo, chce go według mądréj jakiejś metody wychowywać, — przerwała p. Michalina ze skośném i błyszczącém na bratową spojrzeniem.

Śmiech Felicyi umilkł, niby szmer pereł, nagle rozerwany. Usunęła dziecko od siebie i, postawiwszy tacę na stole, zaczęła roznosić szklanki z kawą. W téj chwili spostrzeżono wejście moje i ogłuszono mię formalnie powitalnemi wykrzykami. Radość z przybycia gościa bywała tam zawsze taką, jak gdyby naprawdę i za każdym razem sprowadzał on z sobą do domu Boga. Pan Józef, który powstał był od preferansowego stolika, przedstawił mi żonę swoję. Uścisnęła mi rękę ciepło, serdecznie, popatrzała na mnie swém przeciągłém, błyszczącém spojrzeniem i znowu kawę roznosić zaczęła. Służby, rodzina liczna i choć zamożna, ale nie bogata, posiadała snadź niewiele.

Geografia i topografia salonu były w chwili téj następującemi: W samém centrum królował stolik kartowy, przy którym siedzieli: gospodarz domu, matka jego i pani Skwierska. Grano tu we troje, bo Ludwik Okimski wyemigrował ku podłużnemu stołowi, umieszczonemu pomiędzy kanapą a fotelami, na których siedziały panny Michalina i Emilia, dwaj gimnazyaści i p. Teofil Siekierski; każda z tych osób trzymała w ręku karty i wraz z innemi grała w „bałamuta.”

U okna, z twarzą zasłoniętą arkuszem gazety, siedział wuj, ex-profesor, a o parę kroków od niego ciotka Liniewska wyszywała na siatkowéj serwecie żółtą czy czerwoną różę.

Przybycie moje przerwało znowu zwykłą snadź poobiednią zabawę, a gdy, usiadłszy obok staruszki, słuchałam opowiadania jéj o nadzwyczajnéj skuteczności lukrecyi przeciw kaszlowi i dowodzeń pani Skwierskiéj o niezaprzeczonéj wyższości nad lukrecyą owsianego cukru, przy podłużnym stole przed kanapą Okimski pokazywać zaczął pannie Michalinie sztukę, nie z kartami już, ale z nożami dokonywaną, gimnazyaści, przechyleni nad stołem, odbywali nad tą sztuką żarliwe i głośne studya, a pan Teofil półgłosem deklamował pannie Emilii, wyczytany w któremś z pism peryodycznych, najświeższy wiersz o sercu, które pękło. Przytém odbywało się ogólne a zawzięte picie, czyli jedzenie kawy. Na każdym ze stołów Felicya umieściła kosze, piętrzące się różnego rodzaju pieczywem, i garnuszki śmietanki, żółtemi kożuchami przyobleczonéj. Wszystkie ręce poruszały się około szklanek, koszyków i garnuszków, wszystkie szczęki poruszały się także, nie przeszkadzając bynajmniéj poruszaniu się języków. Jedzono tyle prawie, ile mówiono. Przy podłużnym stole śmiano się téż ze sztuk Okimskiego, a ze śmiechem tym splatała się tylko jedna rzewna nuta, nuta o sercu, które pękło, przytłumiona trochę jedzeniem, napełniającém usta opiewającego je barda.

Po długich prośbach moich, a energicznych protestacyach zbiorowéj strony przeciwnéj, towarzystwo

zgodziło się na kontynuowanie zabawy swéj, czyli na dalsze granie w karty. W téjże chwili Felicya stanęła przy mnie i giestem wskazała mi na stronie stojącą kanapkę. Przedmiot do rozmowy nastręczał się sam przez się. Miałyśmy wspólnego znajomego. Siadając obok mnie, zaczęła:

— Bardzo pragnęłam poznać panią. Od pana Tarnickiego słyszałam o pani wiele... Jest on szczerym pani przyjacielem.

Mówiła to uprzejmie, wielkiemi swemi głębokiemi źrenicami śmiało i spokojnie w twarz mi patrząc. Powiedziałam jéj, że pan Adam jest jednym z ludzi, których przyjaźń nie tylko cieszy, ale i zaszczyca.

— Pani wiész o tém zapewne lepiéj i dokładniéj ode mnie, — odpowiedziała. Rada, że dobrze mówić mogłam o przyjacielu moim, opowiadać zaczęłam o znanych mi zblizka, a przez Tarnickiego dokonywanych, usiłowaniach podniesienia skali tak rolnictwa krajowego, jak bytu i moralności wiejskiego ludu; o wytrwałości, z jaką głosił on i szerzył naukowe i społeczne przekonania swe, wbrew spotykającym go za to licznym przykrościom i stratom; o domu jego, który dla dość szerokiéj przestrzeni i znacznéj liczby ludzi jedyném był ogniskiem oświaty, postępu, zachęty...

Mówiąc o tém wszystkiém, spostrzegłam, że im dłużéj mówiłam, tém więcéj cera, postawa i wzrok słuchającéj mię kobiety ożywiały się i nabierały wyrazu zdradzającego doznawane uczucia szczęścia i dumy. Opowiadanie moje czyniło ją najwyraźniéj szczęśliwą i dumną. Policzki jéj

opłynęły bladym rumieńcem, oczy zajaśniały pogodném światłem. Mimowolnym ruchem podnosząc głowę, a kształtne, suche, nerwowe ręce z entuzyastyczną radością splatając, zawołała:

— O pani! jakie to szczęście, że są w świecie ludzie tacy...

Prędko jednak i z widoczną wprawą w powściąganiu wzruszeń, zawładnęła entuzyazmem swym i spokojnie znowu rzekła:

— Wiedziałam o tém wszystkiém i wprzódy, tylko nie tak dokładnie. Nigdy z nikim o niczém podobném nie rozmawiam. Ja panu Tarnickiemu także wiele zawdzięczam. Widujemy się rzadko i mówimy z sobą bardzo mało, jednak rozmowy z nim i książki, których mi pożycza, otworzyły mi oczy na wiele rzeczy... chociaż...

Zamyśliła się i po chwili, ze wzrokiem utkwionym w ziemię, ciszéj dodała:

— Chociaż ja nie wiem, czy jest dobrodziejstwem, oczy komuś otwierać...

— Byłaż-byś pani zwolenniczką świętego ubóztwa w duchu? — zapytałam.

— Nie, — odpowiedziała prędko, — najpewniéj nie. Myślę owszem, że bogaci w duchu, to jest ci, którzy wiele czują, wiedzą, i myślą, są kwiatem ludzkości, może nawet całą ludzkością; tylko...

Podniosła głowę i z uśmiechem dokończyła:

— Tylko, zdaje mi się także, iż najszczęśliwszemi pod słońcem są — niemowlęta. Ani obowiązków, ani sumienia, ani walki, zupełna obojętność na wszystko, co nie jest

niemi, kompletna niewiedza. Przytém zawsze są przy nich ramiona jakieś, które ogarniają je, kołyszą i tulą...

Głos jéj zadrżał trochę, ale jednocześnie zaśmiała się prawie głośno.

— Oskarżysz mię pani pewnie o zaprzeczanie saméj sobie. To prawda. Pełno jest zawsze sprzeczności w ludzkich sądach i żądaniach. Tym razem jednak zdołam może pogodzić dwa moje sprzeczne z pozoru zdania. Godność osobista człowieka i szczęście jego, to przecie rzeczy o wiele różne. Otóż, zdaje mi się, że bogaci w duchu są najdostojniejsi, a ubodzy najszczęśliwsi. Nie prawdaż, pani?

Chciałam odpowiedzieć, ale od strony preferansowego stolika ozwał się donośny i skarżący się głos staruszki:

— Felciu! pani Skwierska kawy nie ma...

Powstała szybko i, skinieniem głowy przepraszając mię za to, że się oddaliła, wybiegła z salonu. W téjże chwili, przy podłużnym stole przed kanapą, powstał gwar i hałas nieopisany. Partya *bałamuta* została skończoną; karta, schodząca się do pary z tą, która pod pudełkiem z cygarami schowaną była, znajdowała się w pulchnym ręku Okimskiego. Włożono mu na głowę czepek biały z szerokiém garnirowaniem. Strojem tym przyozdobiła go własnoręcznie panna Michalina, za co złożył on na jéj dłoni przelotny pocałunek, poczém, w dowód jakby, że umiał bohatersko znosić nieszczęście, splótł ręce i z odpowiedniemi poruszeniami ciała i rysów twarzy pokazywać począł, jak baby żebraczki w kruchcie kościelnéj odmawiają pacierze. Naśladował wpół pijaną

babę — tak wybornie, że nawet osoby, grające w preferansa, grać przestały i zaczęły się mu przypatrywać, a pan Józef, zwracając się do mnie, z serdeczném rozweseleniem zawołał:

— Cóż to za nieoceniony komik z tego naszego pana Ludwika!

— Nie... nie o... o... oce...ceceniony! — wykrzyknął u okna ex-profesor, którego wyborne naśladowanie modlącéj się żebraczki z horyzontu europejskiéj polityki pomiędzy uciechy rodzinne ściągnęło. Odezwanie się to jego wywołało pomysł do uciechy nowéj. Okimski zerwał się z krzesła.

— Panie profesorze! prosimy do *bałamuta!*

— Prosimy wujaszku, prosimy! Wujaszek pewnie po panu Ludwiku czepek odziedziczy!

— A na... na... turalnie! ja ba... ba... ba... łamut taki!

— Felcia dziś nie gra z nami i tak nas mało...

Gromadnie opadnięto profesora i ciągnięto go ku stołowi za ręce i poły starego mundura. Widząc to zdesperowane położenie starego przyjaciela swego, ciotka Liniewska postanowiła je z nim podzielić. Energicznym ruchem zrzuciła z kolan swych siatki i włóczki i powstała.

— Poczekajcież, — rzekła, — kiedyś za młodu byłam trochę bałamutką, może téż i na starość być nią potrafię... dajcie mi krzesło...

Radość z pociągnięcia dwojga starych przyjaciół do gry w *bałamuta* była wielką i powszechną. Posadzono ich obok i zaraz zawołano, że wujaszek i ciocia wyglądają teraz, jak pan pastor i pani pastorowa.

— Grajmy w pastora i pastorową; ja nadzwyczaj lubię pastorów! — zawołała panna Michalina z ognistém wejrzeniem na Okimskiego, który był podobno wyznawcą religii reformowanéj.

Pomyślano i spełniono. W mgnieniu oka *bałamut* zamienił się w pana pastora i panią pastorową.

Felicya przyniosła kawę dla pani Skwierskiéj, za nią zaś służąca wniosła i na stołach umieściła koszyki z owocami, jakotéż stosy deserowych talerzy i nożów.

— O jakie śliczne jabłuszka! — zawołał pan Józef, — nie myślałem, żeby takie piękne owoce można było jeszcze w téj porze znaléźć. Ale czego to moja Felcia nie znajdzie.

Ponieważ w téj chwili właśnie stała obok niego, dla matki pomarańczę obierając, pocałował ją w rękę.

— Już to, — ozwała się pani Skwierska, — takiego dobrego męża, jak pan Józef, trudno znaléźć. Za wszystko żonie tak pięknie i grzecznie dziękuje...

— Felciu! stołeczek pod nogi! — poskarżyła się staruszka.

Przyniosła matce stołeczek pod nogi i wróciła do mnie. Ja także po wypiciu kawy jadłam owoce. Od owoców rozmowa bardzo łatwo stoczyła się ku wsi. Dowiedziałam się, że Felicya urodzona i wychowana była na wsi.

— Wiem o tém, — mówiła, — że wielkie miasta są bardzo potrzebne na świecie i mogą téż być bardzo wesołe. Po co jednak Pan Bóg kazał historyi stwarzać małe miasteczka? nie rozumiem.

— W rodzinnéj wiosce mojéj, — opowiadała mi po chwili, — pamiętam miejsce jedno, które szczególnie

kochałam. Była to łąka, nic, tylko łąka, trochę nizka, z trawą bardzo zawsze zieloną i kępami różowéj koniczyny... W jedném miejscu rosła tam...

— Felciu! wiész co? żeby to trochę téj ratafijki... co to wiesz! Może i pani dobrodziejka amatorka... leciuchna!

Nie wiem dlaczego, dość głośno brzęknęła kluczykami, obciążającemi kieszeń jéj fartuszka. Wstała i wyszła. Po chwili wróciła ze służącą, która niosła na tacy ratafią i kieliszki. Nalała trunek do kieliszków, rozdała je tym, którzy grali w preferansa i pastorową. Staruszka ratafii nie piła i kazała sobie podać pudełeczko z lukrecyą. Przyniosła pudełeczko. Mąż pocałował ją znowu w rękę. Wróciła do kanapki naszéj i siadając tak, jakby opowiadania, a przynajmniéj myślenia jéj o wiosce rodzinnéj, nic wcale nie przerwało, mówić zaczęła:

— Rosła tam grupa bardzo starych olch, wśród których w letnie południe było tak cicho, jak pod samém niebem. Tylko te żółte wilgi gwizdały. I teraz jeszcze, kiedy zamknę oczy, widzę czasem pod powieką starą, krzywą olchę, i zdaje mi się, że słyszę gwizdanie wilgi... Czy pani doświadczasz kiedy hallunacyi takich? Ja bardzo często, najczęściéj wtedy, kiedy jestem zmęczoną. Dość mi zamknąć powieki, aby przesuwały się przede mną różne obrazy i twarze... prędko, prędko zjawiają się i nikną, ale czasem twarz jakaś zjawi się tak wyraźnie, stoi przede mną tak długo...

W salonie robiło się szaro i cicho. Przy preferansowym stoliku gospodarz domu i matka jego usnęli, a raczéj zadrzemali, na tych samych krzesłach i w tych samych

prawie postawach, w jakich grali w preferansa. Staruszka trzymała nawet jeszcze rozpostarte w wachlarz karty, które jednak stopniowo wypadały z jéj palców. Karty pana Józefa rozsypały się już dawno na kolana jego i podłogę, chrapał z lekka. Pani Skwierska i gimnazyaści zniknęli, a po kątach salonu słychać było przytłumione szepty. Ciotka i wuj szeptali pomiędzy sobą o dobrych, dawnych czasach; panna Michalina i pan Okimski o tém, co kawalera, który minął już czterdziestkę, swata i żeni: serce, ludzie czy dyabeł? Panna Emilia i pan Teofil o tém, czy miłość nieodwzajemniona zabija, czy nie zabija? Na te cztery pary ludzkie, jako téż na stoły, pełne rozrzuconych kart, wypróżnionych szklanek, kieliszków, garnuszków, okruch z ciast, łupin od owoców i zbrudzonych noży, opuszczał się szary woal, utkany z dymu cygar i papierosów i napływającego przez trzy wielkie okna zmroku.

— Czy pani widziałaś kiedy wieś, w któréj mieszka pan Tarnicki? — zapytała mię z cicha siedząca obok mnie kobieta.

Nie czekając odpowiedzi mojéj, pytała daléj:

— Czy nie doświadczasz pani tego, że pragniemy znać miejsca, w których żyją ludzie, będący dla nas czémś więcéj nad te sekundy, które tak monotonnie, jednostajnie wydzwania zegar ten?

Nie zaraz odpowiedziałam. Mimowoli wsłuchałam się w metaliczny tentent stojącego w rogu salonu zegara. Ona słuchała go także.

— Czy zrozumiész to pani, — zapytała jeszcze, — że można miéć w sercu jakąś smutną radość, która o szaréj

godzinie, gdy ciszéj trochę koło nas i nic do robienia nie mamy, wije się pomiędzy sekundami temi, jak złota nitka?

Jeden z humorystów naszych dowcipnie się wyraził, że ktoby chciał zacność bohatera jego przenieść na inne miejsce świata, musiał-by w celu tym wynająć oddzielny wagon towarowy — tak wielką była ona. Myślałam téż nieraz, że dla przewiezienia zacności rodziny Olińskich trzeba-by było oddzielnego a długiego pociągu — tak jéj było wiele. Nie myliłam się, z piérwszego rzutu oka wnosząc, że pani Franciszka Olińska była dobrą i bogobojną matroną. Dowiedziałam się potém, że długie życie jéj przedstawiało kroplą rosy, na któréj osiadło trochę zaledwie powszednich pyłków. Była ona naprzód córką, potém żoną, potém matką, potém babką; wszystkie czynności, do związków tych przywiązane, spełniała prawidłowo; wszystkich swoich kochała dostatecznie, i wszyscy swoi dostatecznie ją kochali; nie doświadczyła katastrofy żadnéj, moralnéj ani materyalnéj; i teraz także, mieszkając przy synie, utrzymywała się z funduszów własnych, niewielkich, ale dostatecznych.

Cóż mówić o synie jéj, panu Józefie? Był on wszechstronnie do niéj podobnym. Też rysy pospolite, ale przyjemne, taż czystość życia i zupełna prawidłowość uczuć. Nie skrzywdził nigdy nikogo, a chętnie wszystkim drobne wyświadczał przysługi; każdéj soboty rozdawał ubogim rozmienionego na grosze rubla, a zupełne zadowolenie z bytu i położenia, które się mu dostały w udziale, czyniły go łagodnym i wesołym. Wprawdzie, widziałam parę razy, że, pod wpływem drobnéj troski lub

przykrości, targał się on w zniecierpliwieniu swém, jak więzień w przeraźliwie dzwoniących kajdanach. Albo czasem płakał trochę. Że jednak drobne nawet troski i przykrości dotykały go rzadko, normalnym jego stanem była wesoła dobroć.

Około cnót i zalet dwu tych głównych w rodzinie osób grupowały się cnoty i zalety innych członków rodziny. Najbardziéj rozczulała mię zawsze przyjaźń i cześć, okazywana przez ex-profesora Choimskiego łagodnéj, a bardzo podobno ubogiéj, ciotce Liniewskiéj. W objawach tych było wiele delikatności i dobroci serca, bo pochodziły one przeważnie ze względu na ubóztwo właśnie i najtrudniejszą ze wszystkich pozycyą Liniewskiéj w domu Olińskich. Ona była mu za to szczerze wdzięczną, co także coś na tym świecie znaczy, i zdaje mi się nawet, że para ta kochała się trochę czulszém, niż przyjaźń, uczuciem. Nie mogłam téż nigdy obronić się od myśli, że gazetowa mania pana Aloizego miała źródło swe w szlachetnéj ciekawości, którą obudzały w nim losy świata, i że mania do robót ręcznych pani Liniewskiéj pochodziła ze szlachetnéj chęci przysłużenia się czémkolwiek domowi, któremu byt swój zawdzięczała. Chęci przysługiwania się komukolwiek czémkolwiek dwie panny: Michalina i Emilia, nie doświadczały wprawdzie w stopniu najmniejszym; w zamian jednak nie pragnęły téż one szkodzić nikomu i niczemu, co także coś na tym świecie znaczy. Pragnęły one tylko podobać się i wyjść za mąż, a tymczasem módz bez przeszkody przesiadywać na kanapkach, szezlongach i fotelach, z jednych na drugie przenosząc się, stosownie do

postawy ciała, jaką przybrać chciały. Niepodobna téż zaprzeczyć, że codzienne rozrywki przyjemności rodziny téj były całkiem niewinnemi, i najgorsza chyba wola mogła-by upatrzyć w nich cokolwiek występnego, lub choć-by szkodliwego.

Cóż występnego, co szkodliwego zawierać się mogło w spaniu, ubieraniu się, piciu i jedzeniu do pory obiadowéj? co w preferansie, *bałamucie,* sztukach z kartami i nożami, w deklamacyi o pękających sercach, w sprzeczkach o żółtą i czerwoną różę, które zapełniały porę poobiednią? W piciu, jedzeniu i gawędzeniu, na których schodziły wieczory? Przyjaciele dostrajali się do tonu rodziny, z którą się przyjaźnili. Nie istniała pomiędzy nimi ani jedna dusza, która-by jakimkolwiek grzechem śmiertelnym zmazaną była. Plotek nawet żadnych z sobą nie przynosili i nikomu tam nigdy potępienie kogokolwiek lub czegokolwiek do głowy nie przyszło, dla téj choćby racyi, że żadne zgoła sądy o czémkolwiek, po za ścianami domu ich dziejącém się, w myśli ich nie powstały.

Spokojni ci i zacni ludzie, nie wydając sami sądów żadnych o nikim i niczém, nie zdołali jednak uniknąć różnych zdań, o nich wydawanych. Dnia pewnego młody Teofil Siekierski, spotkawszy mię, rzekł:

— Czy pani uważa, jak u tych państwa Olińskich nic ducha niéma?

Było to określenie dość trafne i oryginalnie wyrażone. Dla wypróbowania jednak téj sumy ducha, zawierającéj się w panu Teofilu zapytałam:

— A panna Emilia?

— O pani! — zawołał, — to jedyna pomiędzy nimi osoba z wyższym polotem.

— Jak-to! — ponowiłam, — a pani Felicya? Jest ona przecie bardzo przystojna?

— I nie tak przystojna, i nie tak młoda, jak panna Emilia, — odpowiedział poszukiwacz ducha i zwolennik polotów.

Inaczéj nieco określił ich Adam Tarnicki, gdy raz opuszczaliśmy jednocześnie mieszkanie Olińskich.

— Patrząc na tych ludzi, — rzekł, — czy nie odgadujesz pani jednéj z przeważnych przyczyn smutnego ekonomicznego stanu, któremu kraj nasz podlega?

— Dość mi będzie, — odpowiedziałam, — jeśli odgadnę ekonomiczną tajemnicę jednego tego domu. Taka nieproporcyonalność produkcyi i konsumcyi... nie rozumiem.

— Niestety! — westchnął pan Adam, — ja zrozumiałem, wytłómaczyło mi ją jedno z najsmutniéjszych zjawisk świata tego...

— Jakież mianowicie?

— Inteligencyi, zostającéj w służbie u...

Stanął nagle i wyciągnął do mnie rękę na pożegnanie. Zdawało mi się, że oczy gniewnie mu błysnęły.

— To prawda! — zawołałam, — pani Felicya jest inteligencyą, która...

— Nie kończ pani, — przerwał prawie gwałtownie, — i o przedmiocie tym nie mówmy nigdy. Bywają uczucia i myśli, których słowami dotykać nie trzeba, bo, jak struny targnięte, rozśpiewać się mogą, a milczéć powinny.

— Trudne milczenie, — rzekłam.

— Nie boléj pani nad niém, lecz korzystaj raczéj ze sposobności przypatrzenia się trudnemu życiu.

Istotnie, było to życie trudne we wszystkich sekundach, które nieustannie, jednostajnie wydzwaniał dla niéj, stojący w rogu salonu, zegar. Z razu, gdym patrzała na nią, jak od wstania do położenia się liczyła, kupowała, uprzątała, oszczędzała, przybiegała, gdy ją wołano, podawała, czego żądano, grała w *bałamuta*, a czasem i w preferansa, przypatrywała się sztukom, słuchała deklamacyi, uczyła i moralizowała dwóch chłopców — bezowocnie, bo robotę jéj psuła cała atmosfera domu; ze zdziwieniem zapytywałam siebie: jakim sposobem istota ludzka może tak całkowicie, tak absolutnie wyrzec się własnéj woli?... potém jednak, gdym z bliska ją poznała i nauczyła się odgadywać każdy ruch rysów i błysk jéj oczu, myślałam nieraz, że mieszka w niéj wielka wola. Kiedy byłyśmy już dobremi przyjaciółkami, powiedziała mi:

— Byłam sama na świecie i nie miałam nic i nikogo swego. Jest to rodzina moja, i cała racya bytu mego na świecie.

Niekiedy drgnięcie brwi lub kurczowém zaciśnięciu ust zdradzała z niecierpliwém poruszeniem wewnętrznem. Ale raz tylko, w jednéj z chwil takich, siadając przy mnie, półgłosem rzekła:

— Gdybym wierzyła w raj, myślała-bym, że tam ludzie nie piją i w *bałamuta* nie grają.

— A w zamian? — żartobliwie zapytałam.

Zamyśliła się, potém prędko i z urywanym śmiechem odpowiedziała:

— Alboż ja wiem? Niechaj o raju opowiadają ci, którzy w nim kiedy byli...

Co ona miała swego i dla siebie? Czytywała niewiele: czasem z rana, pomiędzy wydawaniem obiadu a nalewaniem herbaty; czasem wieczorem, pomiędzy obiedniemi jedzeniami i zabawami a wieczorną herbatą, najczęściéj w nocy.

— Józef, — opowiadała mi, — nie bardzo lubi, kiedy ja czytam, a nie chcę za nic ani sprzeczać się z nim, ani go martwić; na szczęście, sypia on tak twardo i głęboko, że nie słyszał-by pewnie, choć-bym w napadzie serdecznego śmiechu obok niego umarła.

Dnia pewnego, wchodząc do domu, wyjątkowym sposobem opróżnionego z ludności swéj, usłyszałam ją grającą na fortepianie. Widząc mnie wchodzącą, zawołała:

— Wszyscy poszli na nieszpory. Józef poprowadził do kościoła matkę, wuj ciotkę, pan Okimski Michalinkę, a pan Teofil Emilkę. Pani Skwierska chciała, abym ja ją poprowadziła, ale odmówiłam stanowczo, i poszła solo. Gram!

Wprawę posiadała nie wielką, bo nie miała nigdy na to środków i czasu, żeby ją zdobyć; lecz w muzyce jéj było piętno niepospolitego talentu i natchnienia. Była prawie artystką.

Adama Tarnickiego, w ciągu dwóch miesięcy, spotkałam u Olińskich tylko parę razy. Przychodził rzadko i na krótko, na jakąś godzinę zaledwie, a przynosił z sobą niby powiew, niby odblask światów innych, od domu tego bardzo oddalonych. Naturalnie, mówił on tu zawsze o rzeczach

zwykłych, prawie codziennych; ale po wiele razy już spostrzegłam, że rozmowa człowieka inteligentnego i oświeconego o deszczu i pogodzie więcéj zająć i umysł orzeźwić może, niż rozprawa głupca o filozofii. Nikomu zaś nie tajno, że w pewnych położeniach ludzie inteligentni i oświeceni muszą mówić o deszczu i pogodzie, a pewnego gatunku głupcy lubią bardzo rozprawiać o filozofii.

Ilekroć wchodził do salonu, Felicya stała przez sekund kilka, jak przykuta do miejsca, na którém ją wejście jego znalazło. Potém przecież szła ku niemu prędko, a gdy na powitanie, ruchem serdecznym, podawała mu obie ręce, oczy jéj, ku twarzy jego wzniesione, jaśniały szczęściem. On także, wchodząc tu, okazywał się tak wesołym, jakim go gdzieindziéj nie widywałam nigdy. Trwało to przecież krótko. Gościa takiego, jak pan Adam, wszyscy czuli się obowiązanymi bawić, i bawili; głos Felicyi w chórze rozmów dawał się słyszéć najrzadziéj, najdonośniejszą za to stawała się zająkliwa mowa Choimskiego, który polityczne swe hypotezy roztaczał przed panem Adamem, coraz daléj, w zapale dowodzeń, ku oknu salonu go uprowadzając.

Godzina cała upływała nieraz w sposób ten, że gościa i gospodynią domu rozdzielała cała przestrzeń salonu, i ani on, ani ona nie próbowali, zdaje się, że nawet nie chcieli zbliżyć się ku sobie. Tylko z jéj twarzy szczęście, a z jego wesołość znikały. Potém, przed samém odejściem swém, rozmawiał z nią pięć albo dziesięć minut, głośno, w obec wszystkich, o jakiéjś książce, o jakimś utworze muzycznym, o sprawie jakiéjś, toczącéj się kędyś na jasnym bożym świecie. Do rozmowy téj obecni nie mieszali

się nigdy, nie spostrzegali też, jak przez chwilę dwie pary oczu patrzały sobie w źrenice wprost i głęboko, i jak przechodziło na nie nagłe obudzenie. Felicya odwracała twarz i zaczynała mówić coś prędko i śmiać się, pan Adam brał kapelusz i odchodził. Przybywał potém znowu po długich tygodniach.

Raz, zręcznym dowcipem skończywszy rozmowę z panną Emilią, która dopytywała się go, czy woli czarne lub błękitne oczy, poprosił Felicyą, aby zagrała. Miałam silne podejrzenie, że prośba ta wyniknęła z pragnienia porozmawiania z nią przy odgłosie muzyki sam-na-sam. Nie ręczę, czy domysł ten nie przemknął także przez głowę Felicyi, bo zmieszała się i przez chwilę z krzesła nie wstawała.

Po chwili jednak wstała i, spokojna, z uśmiechem na ustach a płomieniem w oczach, przeszła do fortepianu. Pan Józef, który na prośbę Tarnickiego kończył partyą preferansa, uśmiechnął się rozkosznie i bujnego wąsa pokręcił. Pochlebiało mu to widocznie, że żona jego jest zdolną bawić grą swoją takiego mądrego gościa. Usiadła przy fortepianie i grała. On stanął blizko niéj i wzrokiem ogarniał jéj głowę, strojną w ogniste połyski, które światło, padające z okna, rozpalało w jéj włosach. Grała długo i nie zamienili z sobą ani jednego słowa. Tylko stopniowo granie Felicyi stawało się coraz powolniejszém, słabszém, aż zerwało się całkiem. Ręce jéj zsunęły się z klawiszy i, prędko, z pochyloną głową, wyszła z salonu. Gdy po kilku minutach wróciła, pana Adama już nie było. Mówiąc, że pilno mu dziś jeszcze na wieś wrócić, z uśmiechem i

ukłonami, na wszystkie strony rozdawanemi, pożegnał towarzystwo, a pannę Michalinę bardzo grzecznie poprosił, aby od niego pożegnała bratową.

Zegarze! który tam w zmroku nieustannie, jednostajnie wydzwaniasz upływające sekundy, metaliczny tentent twój jest jedną z niewidzialnych dróg tych, któremi przylatują tu nam wspomnienia!

Pamiętam, że gdy dnia pewnego przyszłam do Olińskich, Felicya wydała mi się bardzo zmienioną. Po zbladłéj twarzy jéj przebiegały od chwili do chwili błyski tajemnych wzruszeń, oczy patrzały głębiéj jeszcze i świeciły goręcéj niż zwykle.

Witając mię, pan Józef zawołał:

— A że też to państwo zawsze jednéj myśli jesteście z panem Tarnickim! Michalinka chodziła dziś do sklepów po sprawunki i spotkała go w mieście. Mówił, że przyjdzie dziś do nas po obiedzie!

— Piérwszy to raz zapowiedział się nam — zauważyła panna Michalina — przychodzi zawsze niespodzianie.

— Zacny człowiek i rozumny, o! bardzo rozumny, — zawołał pan Józef.

— Majętny i godny obywatel — dodała staruszka.

— Bardzo przystojny — uzupełniła panna Emilia i zaraz, ze spojrzeniem na pana Teofila, który był brunetem, dodała: — choć blondyn, a ja w ogóle blondynów nie lubię!

Felicya usiadła przy podłużnym stole z robotą w ręku, ale robota opadła wkrótce na jéj kolana.

— Ach! jak mię dziś głowa boli! — szepnęła do panny Emilii tak cicho, jak gdyby wstydziła się swéj skargi.

— I mnie zaraz boléć będzie, bo już czuję ściskanie w skroniach — odpowiedziała młoda, rumiana i dzielnie zbudowana panna.

Była to chwila powszechnego picia kawy. Ktoś czegoś do aktu tego zapotrzebował. Felicya niecierpliwym trochę ruchem głowę podniosła i do siostry męża zwróciła się:

— Proszę cię, Michasiu, wyręcz mię dziś...

U boku pretendenta, czy tylko wielbiciela swego, siedząca panna podniosła się z kanapy, ale tak leniwie i tak niechętnie, że Felicya, lekkiém dotknięciem ręki jéj i giestem głowy powstrzymawszy ją, sama wybiegła z pokoju.

— Pani Felicya jest doprawdy niezmordowaną — rzekłam do staruszki, przy któréj usiadłam.

— A niezła kobiecina! bardzo niezła! — odpowiedziała z roztargnieniem, sprawioném przez mieszanie kart preferansowych.

Pan Józef żywo zaprzeczył matce.

— Co to, niezła, moja mamo! to anioł nie kobieta! już to doprawdy mego szczęścia trzeba, aby dwa razy tak dobrze trafić. Piérwsza żona moja była także aniołem. Straciłem ją. Dom bez gospodyni, drobne dzieci bez matki... A ot teraz mam sobie znowu kobiecinę poczciwą, dobrą, pracowitą i — chwała Bogu!

Mimo woli przypomniałam sobie to, co kiedyś mówiła mi o szczęściu niemowląt, mających przy sobie ramiona jakieś, które je tulą i ogarniają.

Po chwili zapytałam ją na stronie:

— Co ci jest dzisiaj?

— Sama nie wiem — odszepnęła — miewam czasem dni takie, że czuję się zmęczoną, jak spłakane dziecko. — I z uśmiechem dodała zaraz: — Ale to przejdzie!

Po raz piérwszy ośmieliłam się dotknąć osobistych spraw jéj i uczuć.

— Czy nie czujesz w sobie goryczy... urazy? — z wahaniem zapytałam.

Wpatrzyła się we mnie zdumioném spojrzeniem.

— Urazy? — zapytała — do kogo? Alboż ktokolwiek przeciwko mnie zawinił? Alboż ludzie winni temu, że jestem taką, jaką jestem? Gdyby oni stwarzali mię, ulitowali-by się pewno i nie zaopatrzyli-by mię na drogę życia w niepotrzebne dla niéj rzeczy. Ale oni mnie nie stwarzali...

W téj chwili zawołano ją do *bałamuta*. Wstała. Zatrzymałam ją i zapytałam:

— Pocóż zadajesz sobie przymus ten nieprodukcyjny?

— Wszystko jedno! — odpowiedziała prędko i z drgnieniem brwi. — Wszystko jedno!...

Zaledwie *bałamut* rozpoczął się, wszedł pan Adam. Zauważyłam, że i on także dnia tego wyglądał nie zupełnie tak, jak zawsze. Bywają już dnie takie, w których człowiekowi, niewiadomo dlaczego, wszystko trudniéj, boleśniéj, burzliwiéj niż zwykle.

Powitali się z Felicyą z uderzającym chłodem i niezwyczajną ceremonialnością. Pomyślałam sobie, że gdy płomień rozszerza się i wzdyma, pomiędzy nim a sobą stawimy zasłony. Po kilku jednak minutach rozmowy ze staruszką i panem Józefem, Tarnicki uprosił ich, aby wespół

z panią Skwierską kontynuowali preferansa, a sam, zręcznie lawirując pomiędzy ex-profesorem, czyhającym na niego z wędką polityczną, a panną Emilią, usiłującą pochwycić go w sieć spojrzeń swych i żartobliwych zagadnień, stanął za Felicyą. Trzymała właśnie w ręku karty, w szeroki wachlarz rozwinięte i bardzo starannie pary pomiędzy niemi dobierała.

— Zajmująca gra! — z wielką powagą rzekł Tarnicki.

— Zajmująca gra! — odpowiedziała Felicya z uśmiechem i w oczach jéj zakręciły się łzy.

— Prosimy! prosimy pana do *bałamuta*! — zabrzmiał przy stole chóralny okrzyk.

Skłonił się grzecznie.

— Przepraszam, ale właśnie przyniosłem dziś dla pani Felicyi książkę, któréj sobie życzyła, i chciałem zaproponować, abyśmy wspólnie przejrzeli zdobiące ją illustracye. Najczystszy i najwspanialszy Doré.

Spostrzegłam, że zadrżała.

— Natychmiast! — zawołała srebrnym swym głosem — gdybym w téj chwili odeszła, partia była-by zupełnie zepsutą. Dokończę jéj, a potém...

Skrzyżował ramiona u piersi i, stojąc wciąż za jéj krzesłem, wesoło przepowiadał pannie Emilii, że ona to za chwilę zostanie bałamutką i głowę swą ustroi w kapelusz męzki. Stało się, jak mówił. Dokoła stołu powstał gwar i śmiech wielki. Nieparzysta karta została w ręku młodéj panny, na głowie jéj znalazł się kapelusz pana Teofila, w którym jéj było bardzo do twarzy.

Felicya wstała, Tarnicki wziął ze stołu książkę, którą był

z sobą przyniósł.

Z miejsca, na którém siedziałam, widzieć mogłam, jak w sąsiednim pokoju, noszącym nazwę gabinetu, stanęli u okna i jak Felicya trzymając dużą i piękną książkę, zwolna przewracała jéj karty.

Tym razem rozmawiali z sobą. Dochodziły mię nawet urywki ich rozmowy. Mówili o Bozkiéj Komedyi, o Dantem, o gienialnym rysowniku, w którego twory, pełne posępnéj fantazyi, wpatrywali się oboje, ze spuszczonemi na książkę oczyma. Chwilami on tłómaczył jéj coś, czy o czémś opowiadał i nagle umilkał; ona zapytywała go, albo odpowiadała, albo czytała głośno strofę poezyi, i w połowie okresu, w połowie strofy, milkła także. Promień zachodzącego słońca spłynął na nią przez okno, tak, że w blasku jego stanęła cała, jak w ogniu. On, w cieniu nieco, czoło miał bardzo blade i brwi ściągnięte nad oczyma, wpatrzonemi nie w książkę już, ale w płonącą od słońca, a jak marmur nieruchomą, jéj twarz. W téjże chwili podali sobie ręce na pożegnanie. Z uśmiechem zamienili jeszcze z sobą słów kilka; zdaje mi się, że, wspominając kogoś wspólnie im znajomego, zaśmieli się. Potém Tarnicki uprzejmie, nawet wesoło, pożegnał zebrane w salonie towarzystwo i raz tylko, ode drzwi już, rzucił spojrzenie w głąb' gabinetu, w którym przed chwilą rozmawiał z Felicyą: Z kapeluszem w ręku stanął, jakby jeszcze na coś czekał. Patrzałam na niego uważnie; struna owa, o któréj wspominał mi kiedyś, śpiewać w nim dnia tego musiała dziwne jakieś, szalone pieśni. Ale, oprócz niego, nie słyszał ich nikt.

W pół godziny późniéj, przy preferansowym stole, pan Józef i matka jego drzemali, nawet już spali. Z jego ręki karty wysypały się na podłogę, z jéj wypadały jeszcze stopniowo i zwolna. U jednego z okien, pan Skwierski i pani Liniewska, trzymając za wszystkie cztery rogi szeroko rozpostartą siatkową serwetę, półgłosem ale zawzięcie sprzeczali się o barwy i kształty róż czy arabesek. Przy drugiém oknie dwaj gimnazyaści, usiłując przez otwarty lufcik wyjrzeć na ulicę, szeptali i chichotali z cicha. Z dwóch stron podłużnego stołu dwie pary, młoda i niemłoda, szeptały także. A na stołach i oknach pełno było szklanek, garnuszków, kieliszków, rozsypanych okruchów ciasta i w stosy nagromadzonych łupin od owoców.

Poszłam szukać Felicyi.

Siedziała w głębi gabinetu, na kanapce, z twarzą w ogniu i łzach. Piérwszy to i ostatni raz widziałam ją płaczącą. Był to płacz cichy, rzęsisty i głęboki. Chciałam odejść, ale spostrzegła mię i przywołała skinieniem głowy. Ujęła mię za rękę, przechyliła się ku memu ramieniu i z gorączką na twarzy i w głosie mówić zaczęła:

— Nie wiem, czy to nazwiesz występkiem albo nieszczęściem, ale ja tego wyrzucić z siebie nie mogę... Nie wiem, czy ty to nazwiesz mądrością, albo szaleństwem, ale pomiędzy nami nie będzie nigdy nic... nic... nic... nawet słowa!...

Obu dłońmi przycisnęła pierś, aby stłumić łkanie i prędkim ruchem otarła z twarzy łzy, które ją znowu oblały. Coraz prędzéj i coraz ciszéj mówiła:

— Nie mogę, aby słowo jego lub moje przybyło do

wspomnień, które czyste, wiecznie jednak jak zaklęte stoją przed oczyma! Momenta, jak błyskawice... czekam ich, czekam, czekam! Za tydzień, za dwa... pojutrze... jutro! I przelatują bez głosu, a potém znowu i zawsze... i tak wiecznie będzie!

Obie dłonie przeciągnęła po twarzy. Zapanowała nad sobą i myślała nad czémś chwilę. Potem, biorąc mię znowu za rękę, powoli już i z namysłem mówiła:

— Słuchaj! wszak niewielu jest ludzi na świecie, którzy los swój sami sobie wybrali. Wszystkim nam prawie, coś, co nie jest wolą i wyborem naszym, podaje w ręce prząśnicę i wątek, z których snuć mamy długie pasmo życia. Pasma bywają różne. Moje jest szare. Niéma w niém wcale różowych nitek, tylko wszystkie cienie popielatego koloru...

Drżącemi ustami uśmiechnęła się i zarazem ruchem pełnym energii wyprostowała kibić.

— Nic to! prząść je będę w milczeniu, z sercem i czołem czystém... do końca!...

— A ta złota nitka, o któréj mówiłaś mi kiedyś?

Mocno, bardzo mocno ścisnęła moję rękę i odpowiedziała:

— Ta złota nitka błysnęła mi nieoczekiwana, niewzywana. Nad szarą przędzą moją błysnęła wysoko i wysoko pozostanie... Świeci mi z góry... jak promień słońca, i kiedy jestem bardzo już zmęczona i smutna, podnoszę ku niéj oczy, lgnę do niéj sercem i biorę od niéj znowu trochę sił i spokoju...

Patrzała, mówiąc to, wysoko i wyciągała w górę

splecione ręce. Dwie już tylko ciche łzy płynęły po jéj policzkach. Po chwili, kryjąc oczy w dłoniach, z cicha mówiła:

— Bo wiedzieć, że ktoś piękny, dobry, wielki, myśli o nas czasem serdecznie i z tęsknotą — i marzyć czasem o wielkiém a niepodobném szczęściu... czyż to nie wielka, choć smutna, radość? Po chwili dodała: — To moja jedyna radość na ziemi!...

Wyciągnęłam ramiona, aby objąć ją do siebie przygarnąć; chciałam powiedzieć jéj wiele, wiele rzeczy, ale na progu gabinetu ukazał się ex-profesor z gazetą w obu rękach, ożywionym bardzo krokiem zbliżył się i, usiadłszy obok nas, zaczął:

— Wa... ważna w... w. wiadomość!.. Z przebie... biegu e... europpejskich per... per... pertraktacyi wwnosić można, że... że... że posło... osło... osłowie w Kon... stan... t... t... polu oczekują od... do... p. p. Porty us... ustępstwa na... na... na k... korzyść Gre... Grecyi...

Wkrótce potém okoliczności różne i ode mnie niezależne przeniosły mię w strony dalekie. Olińskich i Tarnickiego najzupełniéj straciłam z oczu i długo nie wiedziałam, co się z nimi dzieje. W parę lat dopiéro, po wydaleniu się mém z okolic Ongrodu, otrzymałam od pana Adama list, którym zawiadamiał mię, że spełnia nakoniec to, co mu tak żarliwie doradzałam, to jest: żeni się. Żenił się z osobą całkiem mi

nieznaną.

Dumałam nad listem tym chwil kilka. Czyliż-by on dowodził, że nakoniec pan Adam „spotkał, zobaczył, znalazł?” Wątpię. Nigdy pewnym być nie można, aby fakt jakiś dowodził tego właśnie, czego dowodzić się zdaje. Po prostu, przyszła taka jakaś pora, czy chwila, czy okoliczność... Bardzo zwyczajnie i naturalnie.

I znowu upłynęło sporo czasu — lat może dwa lub trzy — gdy wypadek sprowadził spotkanie moje z Teofilem Siekierskim, codziennym niegdyś gościem Olińskich. Przedewszystkiém i z pośpiechem zapytałam go o panią Felicyą, a mimowoli, przypomniawszy sobie deklamowany przez pana Teofila wiersz o sercu, które pękło, zapytanie moje sformułowałam w dwu wyrazach:

— Czy żyje?

— A jakże, żyje sobie jak dawniéj — odpowiedział pan Teofil.

Bardzo naturalnie.

KONIEC.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Eliza Orzeszkowa.*

ELIZA ORZESZKOWA.

Z RÓŻNYCH SFER.

Nowelle i Obrazki.

Tom IV.

JULIANKA.
CZTERNASTA CZĘŚĆ.
SILNY SAMSON.

WARSZAWA.
WŁASNOŚĆ, NAKŁAD I DRUK S. LEWENTALA,
Nowy - Swiat Nr. 41.

1886.

SPIS RZECZY.

Str.

Julianka 1

Czternasta część 115

I • II • III • IV

Silny Samson 209

Дозволено цензурою.
Варшава, 22 Октября 1886 года.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Eliza Orzeszkowa.*

JULIANKA.

OBRAZEK MIEJSKI.

Przy jednéj z najskrajniejszych i najcichszych ulic miasta Ongrodu, znajduje się ogromne podwórze, z wysokim niegdyś, lecz w gruzy rozwalającym się, murem dokoła, z wysoką czerwonawą ścianą wielkiéj budowy w głębi. Monotonną powierzchnią starego i opustoszonego gmachu przerzynają długie rzędy okien, pozbawionych szyb, więc ziejących ciemnością i pustką; wśród nich z rzadka tu i owdzie, w górze kędyś, lub nad samą ziemią, mętnie świeci szkło zielonawe, zwiastujące, że ruina ta udzieliła schronienia jakiemuś ubóztwu. Tu i owdzie także powoje i bluszcze wieszają po gzemsach i załomach muru zwikłane gałęzie, a z pośród szczelin wychylają się dzikie lewkonie z blado-żółtym kwiatem.

Gmach ten, wraz z otaczającemi go mniejszemi budynkami i leżącym przed nim ogromnym dziedzińcem, był niegdyś własnością i mieszkaniem pewnéj możnéj rodziny, poczém przez zbieg okoliczności przeszedł w posiadanie władz krajowych, które, nie czyniąc z niego użytku żadnego, pozwalają od czasu do czasu zamieszkiwać w nim, w zamian bardzo małéj opłaty, ludziom biednym, tak biednym, że aż nielękającym się

pustki téj i ruiny.

Przebywające tu niegdyś bogactwo pozostawiło ślady, które przetrwać zdołały dziesiątki lat. W czterech rogach podwórza stare lipy ocieniają rozłożystemi gałęziami niezmierny gąszcz chwastów bujających wysoko i szeroko: z pomiędzy chrzanowych i łopuchowych liści wykwita tu i owdzie zdrobniały hyacynt, lub połyskuje wątła asterka, kolczate osty uginają się pod ciężką gałęzią zdziczałego bzu, lub w krzew głogowy zamienionéj róży. Zresztą, gęsta trawa porasta dziedziniec, który nigdy brukowanym nie był, a gdy promienie słońca zaglądają do głębokiéj sieni gmachu przez drzwi, od dziesiątków lat nie zamykane, widać migocące po ścianach jéj spłowiałe barwy starych malowideł, a w katach jéj leżące, pokaleczone i pajęczyną osnute odłamy posągów.

Mniéj puste i smutne są budynki drewniane, stojące naprzeciw wielkiego gmachu, z oknami zwróconemi ku cichéj, wązkiéj ulicy, Były-to niegdyś pałacowe spichrze i stajnie. Drewniane ściany ich, długie, nizkie, zczerniałe od starości, zdają się znikać wobec przykrywających je staroświeckich dachów, wysokością swoją przenoszących kilka razy ich wysokość, śpiczastych w górze, szeroko rozpostartych u dołu.

Z cienia omszonych i daleko wystających gzemsów dachów tych wyglądają skromne okienka, nierówno, bo niżéj i wyżéj, osadzone w nizkich pochyłych ścianach, niepodobne ze sobą rozmiarami i wyglądem, bo złożone z mniejszych i większych szyb, wprawionych w ramy z nowego żółtego drzewa, lub spróchniałe i kruszące się,

stosownie snadź do stopnia zamożności żyjących za niemi mieszkańców.

Tu, nad samym chodnikiem, wązkim i śpiczastemi kamieniami najeżonym, żydówka stara, nizka i zgarbiona, w barwistym starożytnym zawoju na głowie, utrzymuje sklepik wiktuałów i przez okno, o sporych, lecz mętnych szybach, ukazuje przechodniom od lat już niepamiętnych rzędy serów stwardniałych, żółtych obwarzanków i różnokształtnych butelek z różnobarwnemi płynami. Tu szukają schronienia słudzy, chwilowo zostający bez służby; rzemieślnicy, nie mogący nigdy wybrnąć z ostatecznego ubóztwa, zamykają w ciasnych izdebkach liczne rodziny swe, a sami każdéj prawie nocy budzą uliczne echa odgłosami nierównych stąpań swych i pijanych okrzyków; tu w najlichszych i najciemniejszych kątach tulą się uliczni żebracy, i co wieczór napełniają wielki dziedziniec gwarem zawziętych kłótni o podział zdobytych groszy, a co ranek rzucają nań chrypliwe tony pieśni nabożnych, które, z towarzyszeniem stuku koszturów i kijów uderzających o kamienie, dygocą i wloką się czas jakiś po cichéj ulicy, aż milkną, tonąc w dalekim gwarze. Tu w rogu podwórza, kędy lipa stara opuszcza na gzéms czarnego dachu wielkie swe gałęzie, odzywają się niekiedy słabe dźwięki fortepianiku ze staremi, brzęczącemi strunami, a z innéj strony, z głębi wielkiéj budowy o pustych oknach, wychodzi głośny i monotonny turkot maglu, zataczającego od rana do nocy wielkie skrzynie swe, pełne kamieni.

Od czasu do czasu, gdy milknie ponury głos maglu w oficynie malutkiéj, któréj nizka biaława ściana do połowy

prawie kryje się za szarą zielenią rozłożystych chwastów, ciszéj lecz weseléj turkoce mała maszyna do szycia. Schylona nad nią szwaczka, z twarzą chudą i blademi oczyma, nie śpiewa nad robotą swą, jak to według opisów wszelkich czynić zwykły kobiety szyjące, lecz co chwila z niepokojem spogląda w okienko, przy którém siedzi, i głosem piskliwym, rozdrażnionym dlatego może, iż ze zmęczonéj piersi wychodzi, wykrzykuje parę spieszczonych imion dziecięcych. Właściciele imion tych są to drobne istoty, z bosemi stopami i rozczochranym włosem, które, w towarzystwie wielkiéj liczby istot im podobnych, napełniają dziedziniec wrzawą krzyków, wesołych lub płaczliwych, lub tententem mnóztwa stóp drobnych, depcących twardy grunt dziedzińca w swawolnéj gonitwie.

Rzecz dziwna! Ludność, zamieszkująca zakąt ten, zmienia się często, a jednak zawsze jest jakby tą samą. Gdybyś przez lat dziesiątki co miesiąc, co tydzień, codzień, zaglądał na ogromne podwórze, zobaczył-byś tu te same widoki i te same odgłosy posłyszał. Słudzy, czasowo bez zajęcia zostający, rozchodzą się ztąd w różne strony, aby na czas jakiś zamieszkać w pięknych kamienicach i ładnych dworkach miejskich, z których w zamian wychodzą mniéj szczęśliwi ich towarzysze i tu przybywają; dziadowie i baby kościelne idą szukać dochodniejszéj parafii, albo kłaść się na wieki po najuboższych kątkach miejskiego cmentarza; a ci, co przy pogrzebach ich zawodzili pieśni żałobne, stukają koszturami i kijami swemi po tych samych kamieniach, po których niegdyś stukali tamci: z bramy dziedzińca od czasu; do czasu wynoszą małe trumienki,

zamykające w sobie martwe ciała dziecięce, a za niemi grubijańscy ci i nierządni ludzie, którzy co noc budzą mieszkańców ulicy pijanemi okrzyki, postępują zwolna, ze zwieszonemi głowami i płaczą. Liczba drobnych istot z bosemi nogami i rozczochranym włosem, hasających po wielkiém podwórzu, nie zmniejsza się jednak; przez okno oficynki, nad gęstwiną chwastów, zamiast chudéj szwaczki o wybladłych oczach, wygląda zarumieniona od ognia, z nagiemi, mokremi rękoma, praczka, i rozdraźnionym głosem przywołuje ku sobie swe dzieci.

Wszystko tu tak samo, choć wszyscy są inni. I tylko magiel, ten sam zawsze, co i przed lat dziesiątkiem, turkoce ponuro w głębi starego gmachu, i ta sama żydówka, mała i przygarbiona, kołysze starą głowę swą, obciążoną spłowiałym zawojem, za oknem, ubraném w obwarzanki, butelki i sery. Właścicielki maglu zmieniały się wiele razy, lecz on sam pozostał zawsze na dawném swém miejscu; staréj żydówce dopomagały w handlu córki jéj, potém wnuczki, a potém prawnuczki, lecz ona sama siedzi zawsze tam, gdzie siadywała przed laty i bezzębnemi usty rada jest opowiadać każdemu, kto słuchać zechce, długie i różne historye o wielkiém podwórzu, starym gmachu i wielu pokoleniach mieszkańców ich, które przesuwały się jéj przed oczyma, niby szeregi cieniów coraz innych, a wiecznie jednakich.

U murowanéj czerwonéj i napoły rozwalonéj bramy wielkiego podwórza tego, jedna z bab-żebraczek, która wczesnym rankiem zwlokła się ze swego barłogu, znalazła raz spoczywające na ziemi, grubą chustą owinięte, przed

kilku dniami na świat wydane dziecię. Ranek był ciepły, choć jesienny; szara, lekka mgła zwilżała chustę, okrywającą nieruchomo ciałko, ale promień wschodzącego słońca osuszał ją i ogrzewał.

W kilka minut potém gwar niezwykły panował na wielkiém podwórzu. Pośrodku podwórza stała stara żebraczka, w podniesionych nieco, łachmanami okrytych ramionach trzymając dziecię i ukazując je ludziom, otaczającym ją ścisłém kołem. Patrzano i dziwowano się; jedni oburzali się i ściskali pięści, inni wzruszali ramionami, marszczyli czoła i spoglądali w górę, jakby chcieli i mogli domyślać się, do kogo właściwie należéć mógł przedmiot znaleziony; był ktoś, kto rozśmiał się głośno i grubijańsko, i ktoś, kto grubą ręką otarł łzę z zaspanych jeszcze oczu. Rozbudzona gwarem rozmów i wykrzyków, nadeszła nawet ze sklepiku stara żydówka Złotka i, spoglądając na dziecię przymrużonemi oczyma, kołysała przez chwilę głową na znak zadziwienia i żalu. Potém zwróciła się ku ludziom, stojącym dokoła i, pomarszczonym palcem ukazując dziecię, zapytała:

— A co wy z tém zrobicie?

Praktyczne to było pytanie, które jéj piérwszéj przyszło do głowy.

Radzono godzinę całą. Głos jakiś męzki odezwał się trochę nieśmiało, aby dzieci znalezione oddać w ręce zarządu policyjnego, który niech tam sobie zrobi z niém, co zechce, lecz, jako odpowiedź na to, podniosły się jednocześnie dwa, czy trzy głosy kobiece, takie piskliwe i taki potok łających wyrzutów wylały na głowę

wnioskodawcy, że wniosek ów, poparty zresztą przez innych bierném zaledwie milczeniem, upadł w zupełności.

— Nieboractwo!

— Biedny robaczek!

— Niegodziwa matka jakaś!

— Łotr ojciec!

— Wstydziła się...

— Albo to łotry tylko tak robią...

I znowu:

— Cóż z niém począć?

Praczka z małéj oficynki rzekła pierwsza:

— A niechby sobie hodowało się tutaj!

Słowa te długo nie otrzymały odpowiedzi, aż po chwili dopiéro właścicielka maglu, najzamożniejsza osoba z całéj osady, spoglądając po wszystkich oczyma, które niespokojnie migotały śród tłustéj twarzy, zapytała:

— Niech-by sobie hodowało się! ale u kogo?

Milczenie powszechne trwało potém długo. Kilka osób zniknęło nawet z tłumu, spiesznie umykając ku swym mieszkaniom. Inni stali z opuszczonemi rękoma.

— A cóż? — ozwała się nakoniec stara żydówka — co tu długo gadać o tém? u kogo? niech będzie u wszystkich i koniec!

Zaledwie wymówiła te słowa, wyszedł z tłumu podstarzały mężczyzna, w ubogiéj, długiéj kapocie, i, zdjąwszy z głowy czapkę, oszytą baraniém futrem wyciągał ją giestem proszącym, od osoby do osoby przechodząc. Był to rymarz, jeden z tych, którzy nigdy z biedy wybrnąć nie mogli. Twarz jego nabrzmiała i gorąco zaczerwieniona nie

świadczyła dobrze o cnocie i przyzwyczajeniach jego, ale w téj chwili okryła się szczególnie rozrzewnionym wyrazem. Trząsł głową tak, jakby bardzo, bardzo litował się nad czémś, wzdychał a mętnemi oczyma mrugał filuternie, zachęcając niby, lub przymilając się.

— No! no! — mówił — cóż robić? cóż robić?

— Cóż robić? — powtórzono chórem dokoła.

Przygarbiona imość, w watowanej salopce i kapturku, nieukrywającym zupełnie siwych włosów, zbliżyła się do dziecka, popatrzała na nie przez okulary i piérwsza rzuciła w czapkę rymarza drobny srebrny pieniążek. Potém wyjęła dziurawą chusteczkę z worka, w którym było mnóztwo drobnych robótek z bawełny i włóczki, otarła nią sobie oczy i podreptała na miasto, gdzie, od domu do domu chodząc, rozprzedawała nędzne i tanie wyroby starych rąk swoich.

Do czapki rymarza upadło następnie kilkanaście miedzianych monet; otyła właścicielka magla rzuciła w nią dumnym giestem banknot rublowy i odeszła ku wielkiemu gmachowi ze wspaniałą postawą i zwolna, bo, idąc, przysłuchywała się okrzykom zdziwienia i rozczulenia, które w gromadce obudziła wielka jéj wspaniałomyślność.

Dawcy darów tych większych i mniejszych, zaraz po uiszczeniu się z tego, ku czemu pobudziła ich litość, lub próżność, odchodzili; niebawem na środku podwórza zostało troje już tylko ludzi: żebraczka, trzymająca wciąż dziecię, rymarz z czapką w ręku, na któréj dnie znajdowało się trochę pieniędzy, i kobieta z bosemi stopami, nagiemi po łokcie ramionami, w krótkiéj spódnicy i jaskrawéj chustce na roztarganych włosach. O kilka kroków daléj stała jeszcze

stara żydówka ze sklepu, która wciąż odchodziła, wracała i mruczała wciąż niezrozumiale do siebie, w ziemię patrząc.

— No! imość! bierz to sobie, bo mnie już ręce bolą od trzymania i do kościoła na mszę świętą pora! — zagadała żebraczka i wyciągnęła ku stojącéj przed nią kobiecie ramiona, trzymające dziecko.

— Imość karmisz teraz robaka swego, — dodała.

Kobieta z bosemi stopami skinęła głową, na znak jakby determinacyi powziętéj i, nic nie mówiąc, wzięła dziecię z rąk żebraczki.

Wtedy rymarz wysypał do fartucha jéj znajdujące się w jego czapce pieniądze, a stara żydowica, zbliżywszy się, na ucho jéj mruczała:

— Niech dziecko to będzie u imości, a ja już co miesiąc zbiorę u ludzi tyle pieniędzy, ile ich tu teraz jest, to imości oddam. Już jak ja zbierać będę, to one zbiorą się, bo do mnie każdy zagląda i interesa ze mną ma.

Rzekłszy to, zwróciła się ku rymarzowi:

— A teraz może na kieliszeczek? co? Jegomość?

Rymarz ręką niechętnie rzucił, ale, jakby z przyzwyczajenia, nierówno stąpając, powlókł się za Złotką do otwierającego się właśnie jéj sklepiku.

Jednocześnie magiel zaturkotał, porwane struny fortepianu zabrzęczały, zawrzeszczały dzieci, wylatujące z krzykiem ze wszystkich drzwi domowstw, dziadowie i baby, stukając koszturami o kamienie bruku, zawiedli pobożne pieśni, westchnęła przy słabo płonącém ognisku żona rymarza, wychylającego w sklepiku piérwszą, lecz nieostatnią w dniu miarkę trunku, i wszystko na wielkiém

podwórzu starego gmachu weszło w codzienny zwyczaj i ład.

Tak więc piérwszemi ramionami, które Juliankę podjęły z ziemi i ukazały ludziom, były ramiona żebraczki, owinięte w brudne, strzępiaste łachmany. Piérwszy zaś obraz, który dostrzegła ona oczyma, budzącemi się do rozpoznawania przedmiotów zewnętrznych, przedstawił jéj nizką izdebkę z szaremi ścianami i ogniskiem, szeroko płonącém w kominie z czarną głębią.

Z balii, ustawionéj na stołkach pośrodku izby, podnosiły się gęste, szare wyziewy i ciężkiemi kłębami czołgały się w powietrzu, aż ku grubym wykrzywionym belkom nizkiego sufitu. Nad balią pochylała się kobieta w krótkiéj spódnicy, z wielkiemi bosemi stopami. Twarz jéj niewiele mniéj czerwoną była od chustki, okrywającéj roztargane jéj włosy, a spływał wciąż po niéj kroplisty pot utrudzenia; ocierała go rękawem grubéj koszuli, zawiniętym aż po łokieć, poczém znowu nagie ramiona swe zanurzała w wodzie, pieniącéj się rozpuszczoném w niéj mydłem. Niekiedy zbliżała się do ogniska i rzucała w płomienie ciężkie duszki żelazek, albo odejmowała od ognia kocieł z gorącą wodą i dźwigała go ku balii, stękając z cicha.

U nóg pracującéj kobiety téj siedziało lub pełzało drobne dziecię; dwoje innych, chłopak lub dziewczynka, wbiegali do izby i wybiegali z niéj z tententem nóg bosych i hałasem swawoli lub płaczu. Chłopak silny i z twarzą ponurą choć śmiałą, ile razy wbiegał do izby, zarzucał ramiona na szyję matki i całował głośno oba rozognione a wilgotne jéj policzki; dziewczynka chwytała na ręce najmłodsze dziecię

i skakała z niém po izbie, śpiewając. Gdy dzieci wybiegły, słychać było znowu tylko plusk wody w balii, trzask ognia i od czasu do czasu stękanie lub gniewne jakieś, niecierpliwe, mruczenie praczki. Czasem przestawała ona na chwilę pracować i szemrać, wyprostowała się i, z brodą wspartą na dłoni, stała nad balią nieruchoma, szklistym wzrokiem patrząca kędyś — w młodość swą minioną, a może jaśniejszą, w teraźniejszość ciężką, czy przyszłość swych dzieci.

Gdyby ktokolwiek bywał wtedy w izbie owéj, dostrzegłby jeszcze małe dziecię, na-pół nagie, bo grubą, bardzo krótką koszulą okryte, siedzące w kątku izby za stojącą tam wielką, rozstrzępioną miotłą. Suche i kolczate gałęzie miotły, za każdém poruszeniem się dziecka, strzępiły mu gęste włosy coraz wyżéj i wyżéj, lecz ono spoglądało z za nich na wijące się płomienie ogniska, na iskry z nich tryskające, na wyjmowane z ognia duszki żelazek, tak rozpalone, że iskrzące się szkarłatem i złotem, na rozmydloną wodę, wylewającą się z balii i ciekącą po podłodze pienistemi strumieniami, na dużą deskę do prasowania, któréj koniec jeden piętrzył się śnieżną już i wygładzoną bielizną, i napół-otwartą szafę z głębokiém ciemném wnętrzem. Kiedy ogień palił się szeroko i złocisto, z trzaskiem wesołym, dziecię uśmiechało się spokojnie i nieruchomo; gdy rój iskier tryskał z niego w górę, a grad rozżarzonych węgli wylatywał z komina, padając aż na środek izby, śmiało się ono cichym, lecz długim i nieutulonym śmiechem. Niekiedy blask ognia dosięgał kątka, w którym siedziała dziewczyna, złocąc

twarz jéj śniadą i powierzchnią czarnych oczu, wtedy wyglądała ona z za rozeg miotły wesoło i figlarnie; lecz gdy przygasły płomienie, kryła się w mroku i tylko widać było dwie nóżki nagie i chude, nieruchomo wyciągnięte na chropowatéj desce podłogi.

W południowych godzinach chłopak i dziewczynka wbiegali do izby i z wesołemi krzykami czepiali się spódnicy matki, która odejmowała od ognia garnek z żywnością. Siadali na ziemi i z misy, stojącéj na ławie, jeść poczynali. Wtedy — w kątku, gdzie stała miotła odzywał się szelest. Nagie chude nóżki poruszały się i przebywały izbę w kierunku dzieci jedzących i jadła; w wędrówce téj dopomagały im téż z razu i drobne ręce, poznaczone czerwonemi szramami, okryte tu i owdzie silnemi piętnami oparzenia kipiątkiem lub ogniem.

Zaledwie jednak dziecię dosięgło kresu swéj podróży i wyciągało rękę ku łyżce drewnianéj, którą praczka nieodmiennie kładła na ławie obok tych, któremi jadły jéj dzieci, starszy chłopak uderzał je łyżką swą po głowie, czole, lub plecach, poczém śmiał się głośno, a ono coprędzéj, ze zwinnością kota, kryło się pod ławę. Kobieta wołała czasem na syna gniewnie i krzykliwie:

— Pozwól jéj jeść!

Czasem nic nie mówiła, zapatrzona w ogień lub w głąb' balii. Mała córka jéj trzymała w ramionach mniejszego od siebie braciszka i ze śmiechem, z pocałunkami, wlewała mu w usta ostudzoną starannie strawę; od chwili do chwili wyjmowała z krupniku kartofle i rzucała je pod ławę, gdzie chwytało je i zjadało przytulone do ziemi dziecię, a

najstarszy chłopiec, pochylając się, zaglądał ku niemu, i śmiejąc się, wołał:

— Julianka! na tu, na! chwytaj!

O szaréj godzinie praczka dawała dzieciom po kawałku chleba; Julianki nie omijała. Jeżeli pilnéj nie miała roboty, gasiła ognisko i przy świetle małéj świeczki łojowéj szyła, cerowała, łatała pstrą i lichą odzież. Dzieci spały; niekiedy jednak ze snu budziło je szybkie poruszenie matki, zrywającéj się ze stołka. Robota jéj spadała z kolan na ziemię, a ona, stojąc nieruchomo z przechyloną głową, wsłuchywała się w głosy, przylatujące do wnętrza izby słabém jeszcze echem, bo z daleka, kędyś z ulicy.

Były to odgłosy chrapliwéj pieśni, męzkim, basowym głosem wyśpiewywanéj, a przerywanéj bezładnemi wykrzykami lub wybuchami pijanego śmiechu. Echa te zwiastowały zbliżające się przybycie ojca rodziny, który w różnych domach miejskich pełnił służbę kucharza.

Człowiek ten nieczęsto odwiedzał rodzinę swą; żona jego zapracować musiała sama na siebie i na dzieci; ile razy przecież chrapliwy śpiew jego ozwał się na ulicy, kobieta rozpoznawała go uchem wprawném, a zanim dziedziniec zatętniał pod ciężkiemi jego stopami, przebiegła izbę niespokojnie, wzrokiem błyszczącym i ruchliwym szukając najtajemniejszego kątka, w którym ukryć-by mogła trochę miedzianéj monety, owiniętéj w płócienną szmatę.

W kilka chwil potém wielki hałas podnosił się w izbie. Był to gruby krzyk męzkiego głosu, a wtórował mu piskliwy, ostry, zanoszący się wrzask kobiecy, z razu pojedynczo, potém z towarzyszeniem pisków, jęków i

szlochań dziecięcych.

Julianka budziła się nagle i wnet zaczynała drzéć na całém ciele. Szeroko roztwartemi od trwogi oczyma patrzała jednak przed siebie, po-przez suche gałęzie przysłaniającéj ją miotły. Wtedy, przy mętném oświetleniu łojówki, widywała wysokiego, barczystego mężczyznę, podnoszącego pięść i opuszczającego ją na plecy kobiety, która wydobywała z piersi swéj przeraźliwą gamę krzyków, i rzucała gwałtownie ramionami, usiłując ciosami odpłacić za ciosy; widywała, jak ogromna ręka męzka chwytała splątany warkocz kobiecy, i dopóty w dół go ciągnęła, dopóki kobieta nie runęła na ziemię, wijąc się u stóp mężczyzny z wściekłości i bólu; jak starszy chłopak, broniąc matki, rzucał się na ciało jéj pod stopy ojcowskie i, podnosząc twarz swą zuchwałą a rozżarzoną, ciskał ku ojcu z iskrzących się oczu niezawistne spojrzenia; jak młodsze dzieci z trwogi wielkiéj spadały z matczynego łóżka na ziemię, drżały i szlochały; jak następnie mężczyzna znajdował pieniądze, ukryte przez kobietę kędyś za belką sufitu lub w głębi komina, i odchodził, rzucając drzwiami, aż drżały wątłe ściany izby, a kobieta, po odejściu jego, z ciężkością dźwigała się z leżącéj postawy, siadała na ziemi i, z twarzą ukrytą w czerwone dłonie, płakała głośno z razu, a potém tak cicho, że można było prawie słyszeć, jak łzy jéj strumieniem wielkim spływały na podartą spódnicę, okrywającą drżące jéj kolana.

Na wszystko to spoglądało, wszystkiego tego słuchało dziecię, siedzące w najciemniejszym kąciku, a słuchając i patrząc, tuliło się coraz mocniéj do ściany, albo rękoma

obejmując miotłę, przyciskało ją do siebie przerażonym giestem.

Raz jednak, wśród jednéj ze scen podobnych, zmartwiała całkiem z trwogi. Spojrzenie wysokiego, barczystego mężczyzny padło na ciemny jéj kątek. Było-to spojrzenia oczu wypukłych, czarnych, groźnie pałających śród ogromnéj, ponuréj twarzy. Dziewczynka, spotkawszy się wzrokiem ze spojrzeniem tém, zmartwiała całkiem, i niewyraźnie, bardzo niewyraźnie słyszała, jak mężczyzna zapytywał kobiety o pieniądze, które *ludzie* płacą jéj za podrzutka, i jak kobieta odpowiedziała z krzykiem, że dawno, dawno nikt jéj za utrzymanie jego nic, nic nie płaci, bo ludzie, którzy płacili wprzódy, wynieśli się z tego podwórza, a nowi słuchać o nim nie chcą.

Wtedy mężczyzna postąpił ku ciemnemu kątkowi, a Julianka zamknęła oczy i czuła tylko, że silna ręka pochwyciła skraj grubéj jéj koszuli, że niesiono ją tak przez chwilę, i rzucono na ziemię przed drzwiami domu. Potém już nic nie widziała i nie słyszała, tak zupełnie, jakby spała głęboko.

Gdy otworzyła oczy, cisza głęboka panowała dokoła, nagie nogi jéj pogrążone były w trawie, zwilżonéj deszczem, a mokre zielska chłodném dotknięciem muskały szyję jéj i plecy. Dziecię drzéć zaczęło znowu i lękać się bardzo. Czego? nie wiedziało samo. Wszystkiego zapewne. Grubego głosu ludzkiego, który brzmiał mu jeszcze w uchu, ciężkich obłoków, sunących nizko pod dżdżystém niebem, mokrych chwastów, które, jak zimne gadziny pełzły mu po nagiém ciele, gałęzi drzew, które w szarym zmroku,

poruszały się i szemrały, nakształt widm czarnych, wiodących z sobą ponure rozmowy.

Wśród ciemności téj i wszystkich tych strasznych dla niéj przedmiotów, przed oczyma Julianki błysnęło w dali jedno samotne światło. Było to bledziutkie, drobne światełko, drgające w małém oknie, umieszczoném w rogu podwórza; po długiém téż wahaniu wstała z ziemi, i powoli bardzo, bo ogarniał ją wciąż strach nadzwyczajny, i drobne jéj stopy plątały się wśród zielsk, wysokich a mokrych, poczęła dążyć ku mdłemu światełku.

W rogu podwórza znajdowała się izdebka, mniejsza jeszcze i niższa niż ta, którą zajmowała praczka ze swą rodziną, ale wcale inaczéj wyglądająca. Tam ściany i sufit czarnemi prawie stały się od dymu i pyłu, tu zachowały one swą przedwieloletnią białość, bo starannie snadź chroniono je i czyszczono; tam od nieustannie płonącego ogniska powietrze było gorące, upalne i duszne, tu panował ciągle chłód przejmujący i nasiąkły wilgocią, albowiem w piecyku małym i kruszącym się w gruzy nigdy prawie zjawił się ogień. Izdebka ta mieściła w sobie stare bardzo łóżko z pościelą tak szczupłą, iż niemal jéj widać nie było, skrzynią drewnianą, przykrytą rozpadającym się w szmaty dywanikiem, stół trochę kulawy, lampkę z długim kopcącym kominkiem, watowaną salopkę, wiszącą na ścianie, wielki czarny krzyż nad łóżkiem, i — starą, małą kobiecinę, która, siedząc na skrzyni, przy świetle lampki robiła siatkę z bawełny.

Była to istota drobna i niziutka, z plecami przygarbionemi i ciałem wyschłém. Ubraną była w wytarty,

watowany szlafrok, niesięgający ziemi, na głowie nie miała nic, oprócz rzadkich siwych włosów, nierównemi pasmami opadających na plecy jéj i czoło.

Pochyliła twarz nizko nad robotą swą, a małe, pomarszczone jéj ręce szybko poruszały iglicą i kłębkiem. Przytém mówiła wciąż do siebie przyciszonym pół-głosem, ale, mówiąc, poruszała daleko mniéj ustami wklęsłemi i tak prawie białemi, jak twarz cała, niż czołem, którego liczne zmarszczki podnosiły się wciąż w górę, to opadały, przybliżały się ku sobie lub rozbiegały, tak zupełnie, jakby tajemniczemi znakami opowiadały komuś niewidzialnemu długą jakąś, zadziwiającą historyą.

Nagle malutka siwa pracownica ta podniosła głowę. Powieki jéj, czerwono świecące z za wielkich szkieł okularów, mrugać poczęły. U nizkich zamkniętych drzwiczek ozwał się cichy szelest. Umilkł i ozwał się znowu

— Wszelki duch Pana Boga chwali! — wymówiła kobieta. Nie było odpowiedzi. Podniosła rękę do czoła, jakby przeżegnać się chciała, lecz u drzwi zaszeleściło mocniéj i dało się nawet słyszéć bardzo ciche jakieś jęknięcie, czy łkanie.

Wstała i, nadstawiając ku drzwiom ucha, głośniéj zapytała:

— Kto tam?

Za drzwiami cichutki głos odpowiedział:

— Julianka.

Gdyby głęboka cisza nocna nie panowała dokoła, stara kobieta nie usłyszała-by głosu tego, tak był on cichym.

Było to westchnienie raczéj, niż głos. Usłyszała i niechętnie rzuciła ręką. Wzięła jednak lampkę i, idąc z nią ku drzwiom, gderliwie mruczała.

— A że téż te dzieciska nigdy mi spokoju nie dają! We dnie mi urwis ten kamień przez okno rzucił, a teraz oto, śród nocy, przychodzi tu...

Otwierając drzwi mówiła jeszcze, coraz to głos podnosząc:

— Czegóż włóczysz się nocami?...

Tu umilkła i, lampkę swą nizko trzymając, patrzała ku ziemi.

W drzwiach ukazała się i u progu nieruchomo stanęła Julianka. Nagie nogi jéj, widzialne do kolan z pod krótkiéj koszuli, drżały i uginały się pod nią, bujne krople deszczu gęsto osypywały włosy jéj i twarz.

Stara kobieta, milcząc już, drzwi zamknęła i wzięła dziecko za rękę.

— Czego ty tu przyszłaś tak późno w nocy? — zapytała.

Długo nie było odpowiedzi. Po chwili dopiéro dziecko odpowiedziało z cicha:

— Wyrzucili.

— Aha! — przeciągle rzekła kobieta i, usiadłszy na kuferku swym, patrzała na dziecko.

— Wyrzucili cię! — powtórzyła, — a któż cię wyrzucił?

— Pan! — odpowiedziało dziecko.

— Pan! to znaczy Jakób, obrzydłe pijaczysko to, co tu po nocach takie hałasy wyprawia. Bił żonę? co?

— Bił! — potwierdziło dziecko i zaszlochało.

— No proszę! bił znowu! a to kiedyś kryminalista będzie

z niego, ani chybi! a ciebie wziął i tak bez ceremonii za drzwi wyrzucił, na deszcz, chłód i noc! Zkąd-że ci znowu przyszło do głowy przyjść do mnie? Ot, pewno dlatego, żem ci tam onegdaj chleba odrobinę dała. No, a chcesz teraz mleka?

— Chcę, — głośniéj daleko, niż wprzódy, dziecko odrzekło.

Stara pochyliła się i wydobyła z pod stołu mały garnek, przykryty papierem. Podała go dziecku.

— Wypij połowę, — rzekła, — a resztę ja jutro sama na śniadanie wypiję. No, — dodała, — i tobie téż dam trochę!

Dziecię piło chciwie, lecz gdy dosięgło połowy zawartości garnuszka, stara mu go z rąk odebrała i znowu schowała pod stół.

— Czegóż tak trzęsiesz się cała, jak-byś miała febrę, hę? czy ci zimno? Czy to innego oddzienia nie masz, tylko ot tę koszulinę? — pytała się stara.

— Nie masz, odpowiedziała Julianka.

— No, to już ja ci z pewnością nie dam, bo mi ot téż ostatni łachman drze się na plecach. Tylko tam jeszcze jest jakaś szmata...

Ściągnęła z łóżka chustę dużą, podartą, istną szmatę, i owinęła nią, spowiła w nią prawie, dziecko. Potém zaprowadziła je do kąta, pomiędzy piecem i ścianą.

— Teraz usiądź tu, albo połóż się i śpij. Ot! chustkę mi tylko moję zabrałaś i nie będę miała czém okryć się w nocy... chyba tym oto szlafrokiem... no, śpij spokojnie... Jakób tu nie przyjdzie.

Julianka usiadła, ale, pomimo zmęczenia się, nie

usypiała, lecz patrzała na nową opiekunkę swą, która siedziała znowu na skrzyni, robiła już swą siatkę i wciąż mówiła:

— A ja tu jeszcze kawałeczek siatki zrobię... nie późno... nie późno... jedenasta godzina nie biła jeszcze na farnym zegarze, a do jedenastéj trzeba zawsze robić siatkę, nie co innego... włóczkowe roboty robią się w dzień, bo oczy więcéj męczą... oj! oczy! oczy uciekają!

Westchnęła i spojrzała ku kątkowi, w którym siedziało dziecko.

— Nieboractwo! ten drągal Jakób do kryminału kiedyś pójdzie, a i syn jego kryminalistą będzie, ani chybi! jabłko od jabłoni... Kamienie mi tu śmié rzucać przez okno! Patrzcie go! gdyby tak trzydzieści lat temu, kazała-bym mojéj służbie złapać łotra i dobrze go skarcić... moja służba! oj! była kiedyś, była! ale już dawno jéj niéma! ktoby się był spodziewał...

Przy ostatnich wyrazach fałdy czoła jéj tak podniosły się w górę, jakby ogarnięte były niezmiernem zdziwieniem, a pasma siwych włosów żałośliwie opadały na nie.

W tém, kędyś, w dalekim środku miasta, kościelny zegar wybijać począł godzinę. Stara kobieta wyciągnęła w górę cienki, biały palec, i liczyła:

— Raz! dwa! trzy! cztery!

Gdy wyrzekła jedenaście, zegar bić przestał. Wstała i składać poczęła swą robotę.

— Dawniéj siedziało się do pierwszéj i do drugiéj po północy w salonie... z gośćmi... Salon! oj! oj! był kiedyś, był! ale dawno go już niéma... jest za to ta oto klitka!... kto-

by się, był spodziewał! — Zdjęła okulary i mrugała powiekami. — Żeby tak dawne oczy moje, wyszyła-bym dywan taki, jak był ten, co przed kanapą moją kiedyś leżał! Ot, wzięła-bym za niego pieniędzy gmach, ale oczy... oj! oj! są jeszcze, są, ale już uciekają... a jak do reszty uciekną...

Tu nietylko zmarszczki czoła jéj poruszały się żwawo, ale i głowa cała trząść się zaczęła, tak zupełnie, jak gdyby przepowiadała, że coś strasznego, okrutnie strasznego stać się musi, gdy oczy do reszty uciekną.

Gasząc lampkę, szeptała: „Kto się w opiekę poda Panu swemu”, a potém, wśród ciemności, kładąc się na zaledwie przykrytéj słomie, wymówiła jeszcze parę razy:

— Kto-by się spodziewał? kto-by się kiedy tego spodziewał!

W kątku, pomiędzy piecem a ścianą, gorączkowo i niespokojnie śpiące dziecko zaszeptało:

— Wyrzucili!...

Nazajutrz Julianka, wnet po otworzeniu oczu, zaśmiała się głośno i srebrzyście. Co obudziło śmiech jéj? Któż wié? to może, co sprawia, że o dnia brzasku śpiewają ptaki, i że złoty owad wesoło brzęczy, wieszając się w zaraniu na promieniu słońca.

Promień wschodzącego słońca zaglądał w okno izdebki i ślizgał się po siwych włosach małéj staruszki, która, drobne, suche ręce swe nabożnie splotłszy, przez małą szybę patrzała ku górze i pół-głosem mówiła: „Ojcze nasz, któryś jest w niebie“.

Usłyszawszy śmiech dziecka, powiedziała: „Amen,“ i odwróciła twarz ku izdebce.

— Obudziłaś się! — rzekła, — spałaś dobrze? ciepło ci było?

Juliance ciepło było i dobrze w spowiciu, urządzoném ze staréj, grubéj chustki. Siedziała więc chwilę jeszcze w kątku swym, podobna do małéj, nieruchoméj mumijki, z błyszczącemi oczyma i śmiejącemi się usty. Potém zerwała się żwawo i, ciągnąc za sobą chustę, która, rozwinąwszy się, przykrywała już tylko jéj plecy, biegła i wyciągała ręce do podawanego sobie przez starą kobietę garnuszka.

— Napij się mleka, ale i mnie trochę zostaw! — rzekła stara.

Julianka piła; z wyrazu oczu jéj znać było, że dziwiła się bardzo temu, iż pije rzecz tak smaczną.

— A teraz ja! ot, widzisz, to całe moje śniadanie. Połowę go oddam tobie, niech ci na zdrowie służy! dawniéj pijałam herbatę, kawę, albo czekoladę, ale bardzo dawno temu. Teraz kontenta jestem, kiedy mam trochę mleka. Kto-by się był tego spodziewał! No! niéma co! człowiek bywa na wozie i pod wozem! ja na wozie już byłam, spadłam z niego i nigdy już więcéj nie będę; ale ty może jeszcze będziesz, kto wié? mała jesteś, życie przed tobą. Tymczasem nie masz innego odzienia, jak tę oto koszulinę, z któréj dawno wyrosłaś. Kolana ci z pod niéj widać, pfe! to nieskromnie. Trzeba mi tam dla ciebie wyprosić sukienkę jaką starą u moich znajomych państwa.

Mówiąc to wszystko, mała staruszka wkładała na siebie watowany swój zrudziały szlafroczek, i siwe włosy okrywała dziurawym nieco czepcem z białego muślinu.

— Bo widzisz, ja mam dużo znajomych państwa, którym

roboty moje sprzedaję... ot tak, chodzę od domu do domu i sprzedaję... po schodach mi ciężko, a na dziedzińcach tych znowu, gdzie jednopiętrowe domy, stoją psiska szkaradne, rzucają się na mnie i drą odzież... jeden mię nawet w nogę ukąsił... opuchła cała i tydzień potém chodzić nie mogłam. Czasem to i gburzyska, te lokaje albo kucharki, łają mię i odpędzają, krzycząc na mnie: żebraczka!... Kto-by się był tego spodziewał!

Szklisto-błękitne oczy jéj z za szkarłatnych powiek spojrzały kędyś daleko, daleko w przestrzeń.

— Żebraczka! żebraczka! a jaka to ja żebraczka jestem! alboż nie pracuję? albo to moje roboty nie piękniejsze od tych, co po sklepach na wystawach wiszą? Serwety, kołdry, antolarze, patarafki robię i robić będą, dopóki oczy nie uciekną... ot już, gdy uciekną...

Głowa jéj zatrzęsła się znowu tak, jakby się czegoś bardzo nagle przelękła, a zmarszczki na czole rozbiegły się w różne kierunki w wielkim niby popłochu.

Podniosła chustkę swą, która z ramion dziecka upadła całkiem na ziemię i, zarzuciwszy ją sobie na plecy, głowę okryła czarnym kapturkiem.

— Teraz, — mówiła, — idź ty sobie na dziedziniec: Ja iść muszę na miasto i drzwi zamknę. Nad wieczór możesz przyjść znowu do mnie. Mleka napijesz się i przenocujesz. Obiadu ja w domu nie jadam, bo ot, widzisz, że piec rozwalił się i zapalić w nim nie można. Chodzę sobie tedy do jednéj kobieciny poczciwéj, która kominek ma. Ja daję parę groszy, ona daje parę groszy, i przystawiamy sobie do ognia garnuszek z krupnikiem albo z ziemniakami. Kiedy

roboty mam dużo, siedzę w domu i jem na obiad obwarzanki, rozmoczone w wodzie... Kto-by się był spodziewał!... No, idź-że już na dziedziniec, bo drzwi zamykam, a przychodź nad wieczór, może i przyniosę ci z obiadu mego krztę jakiéj żywności...

Wyszły obie. Starowina podreptała na ulicę, dziecko w krótkiéj koszuli stanęło na dziedzińcu i oparło się plecami o ścianę domowstwa. Nie śmiało się już, bo dzień był wietrzny i zimny, a jesienne słońce świeciło, nie ogrzewając. Julianka drżéć zaczęła od chłodu, i po chwili puściła się ku mieszkaniu praczki. Stanęła przed drzwiami oficynki, stała długo. Wyciągała rączkę ku drzwiom i cofała ją.

Wtém drzwi te otworzyły się i na progu stanęła praczka, dźwigająca na ramieniu drąg gruby, z dwoma pustemi wiadrami u końców. Szła snadź po wodę. Twarz jéj nosiła ślady wczorajszych udręczeń. Obrzękła była od płaczu i sina od uderzeń. Gruba kosa jéj, zczochrana, stargana, zwisła na koszulę z porozdzieranemi rękawami. Ujrzawszy Juliankę, przed progiem jéj stojącą, gniewnie krzyknęła:

— Czego ty tu znowu przyszłaś na moję głowę! Czy ja mało męki mam i bez ciebie! albo ty moje dziecko jesteś, żebym ja ciebie potém moim karmiła, a późniéj jeszcze za to piekło cierpiała? Precz mi idź, na oczy mi się nie pokazuj!

Gwałtownym giestem odepchnęła dziecko od progu i, drzwi zamykając, zawołała do wnętrza mieszkania:

— Antek! nie wpuszczaj mi do chaty podrzutka!

Antek nie dawał sobie mówić tego dwa razy. W krótkim

spencerku i z bosemi nogami wybiegł na próg i, czyniąc poruszenia takie, jakby rzucić się chciał na dziecię, krzyknął:

— A pójdziesz!

Julianka cofnęła się kilka kroków i stanęła. Chłopak postąpił znowu ku niéj i powtórzył wołanie swe.

Trwało tak parę minut, gdy w oknie oficynki ukazała się głowa ośmioletniéj dziewczyny, z długiemi, płowomi włosami, i zawołała:

— Antek! Antek! chodź-no tu, pomóż mi ogień dla matuli rozpalić, bo ja nie zdążę...

Chłopak wbiegł do mieszkania, a Julianka pozostała na miejscu, do którego ją przygnał. Stała nieruchoma i na ścianę oficynki patrzała. Nie płakała i od zimna już nie drżała. Gdyby ktokolwiek spojrzał teraz w te oczy dziecięce, suche i szeroko rozwarte, nie znalazł-by w nich wyrazu boleści. Malowało się w nich tylko nadzwyczajne jakieś zdziwienie i błyskał także cichy, bo bezsilny, gniew.

Tak stojącą znalazła ją praczka, wracająca z napełnionemi wodą wiadrami. Stanęła, kilka sekund popatrzała na nieruchome dziecko i, mrucząc coś do siebie, weszła do oficynki. Niebawem jednak wyszła znowu, niosąc spory kawał czarnego chleba. Podała go dziecku, mówiąc:

— Na, weź! będzie ci na dzień cały! Chleba ci dam czasem, ale niech cię Bóg broni, abyś do chaty weszła. Rózgą obiję i w pokrzywy rzucę!

Julianka wzięła chleb, ale nie podniosła go do ust, tylko długo jeszcze stała i patrzała na ścianę oficynki. I wtedy

dopiero, kiedy drzwi otworzyły się na oścież, a przez nie, goniąc się z hałasem, wybiegły dzieci praczki, ona pobiegła także, pobiegła jak mogła najprędzéj małemi stopkami swemi, ku staremu, wysokiemu gmachowi. Tam znikła w wielkiéj sieni, nad którą w téj chwili właśnie ozwał się doniosły, ponury turkot maglu.

W kilka miesięcy późniéj, kiedy mała staruszka wracała z wycieczek swych po mieście do domu, żydówka Złotka, siedząc za progiem sklepiku swego, zawoła na nią:

— Pani sędzino! pani sędzino! czy to już teraz pani sędzina opiekujesz się podrzutkiem!

Staruszka stanęła i sarknęła:

— Ot, moja kupcowo! nie miała baba kłopotu...

— Zapewnie! zapewnie! Jejmość sama potrzebowała-byś już opieki! No, ale tymczasem dziewczyna u pani sędziny jé i nocuje.

— Jé, kiedy jest co, a nocuje, kiedy na dworze zimno. U mnie bo chłód taki sam prawie, jak na dworze... Kto-by się był spodziewał!

Podreptała ku bramie, w dziedziniec, pół-głosem mówiąc do siebie:

— Opiekujesz się! opiekujesz się! a jak ja opiekować się mogę? czy ja magnatka! Dawniéj opiekowałam się ubogiemi dziewczętami, stroiłam je, żywiłam, edukowałam. Teraz one gdzieś fruwają, latają po świecie, a o mnie ani myślą... Kto-by się był spodziewał!.. Opiekujesz się! jak ja teraz dzieckiem opiekować się mogę? kłopot to tylko dla głowy mojéj... czy to ja jéj matka, albo babka?

Otwierając drzwi mieszkania swego, starała się nie

wypuścić z ręki zawinięcia z papieru, zawierającego w sobie mały kawałek gotowanego mięsa i parę kartofli.

— To dla dziecka! — mówiła. — Ale gdzie ta dziewczyna wiecznie lata! — I, wychyliwszy się przez okno, piskliwym i trzęsącym się głosem wołała:

— Julianka! Julianka!

Na wołanie to dziecko przybiegało i, wsunąwszy się do malutkiéj, białéj izdebki, chciwie zjadało podane mu pożywienie. Stara kobieta siadała na skrzyni swéj, i wydobywała ze spłowiałego worka różnobarwne włóczki.

— Siadaj, — mówiła do dziecka, — ot tu przy mnie, na ziemi, i rób pończochę.

Wkładała w drobne ręce jéj druty i kłębek, a potém schylona uczyła:

— Nitkę trzymaj na palcu... drut włóż pod nitkę... teraz przewlecz... ot widzisz... i zrobiło się oczko... no, nie spuszczaj nitki z palca... rób tak ciągle...

Prostując się, stęknęła i, dobierając kolory włóczek swych, zaczynała mówić znowu:

— Nauczyć cię chcę, czego mogę... pacierz mówić i pończochę robić... Innych rzeczy niech cię tam już ludzie nauczą... ja tylko zacznę edukacyą twoję... już-to ja zawsze wszystko dla ciebie zaczynam... ot i wtedy, kiedy to cię tam przy bramie podrzucono, ja pierwsza dałam czterdziestkę rymarzowi, który na ciebie składkę zbierał...

Dziecię opuściło na kolana druty ze splątaną bawełną i, wlepiając w twarz staruszki uważne oczy, zapytało:

— A kto mnie tam przy bramie podrzucił?

Mała staruszka niespokojnie poruszyła się na swéj

skrzyni, i przelęknionym czegoś wzrokiem spojrzała na dziecko.

— A Bóg że go wié, moja droga, Bóg tylko wié, kto to był taki, — mówiła z pomieszaniem niezmierném; potém, namyśliwszy się nieco, dodała — wielki ptak, ten zapewne, który malutkie dzieci po świecie roznosi...

Julianka zdawała się głęboko przez chwilę namyślać, potém zapytała znowu:

— A dlaczegóż ten ptak nie zaniósł mię do pani Jakóbowéj, albo do pana rymarza, albo do kogo innego, ale tak wziął i pod bramą rzucił?

— No, no, — odpowiadała staruszka, żywo bardzo przewlekając szydełko przez oczka włóczkowe, — co ty mi tam głowę kołatasz pytaniami swemi! na co ci to wiedzieć? ot rób pończochę i ucz się pacierza. Mów: Wierzę w Boga...

— Wierzę w Boga... — szepnęło dziecko, walcząc z drutem swym, który nie chciał jakoś wchodzić w zbyt ciasne oczko pończochy.

— Wszechmogącego...

— Wszechmogącego, — powtórzyło dziecię.

— Ale ty nie rozumiész, co to znaczy... ja ci to zaraz wytłómaczę... Boga nazywamy Wszechmogącym dla tego, że on wszystko może... rozumiész?

Julianka znowu nie robiła pończochy, tylko z rękoma na kolanach i podniesioną głową, zamyślone oczy wlepiała w twarz swéj nauczycielki. Po chwili zapytywała:

— A dlaczegoż Pan Bóg nie kazał temu ptakowi zanieść mię do pani Jakóbowéj, albo do pana rymarza... ich dzieciom lepiéj niż mnie...

Siwa głowa staruszki aż zatrzęsła się cała.

— No, no, — zaszeptała, — w młodéj dziecinie... zkąd jéj się takie pytania biorą!

Potém tłómaczyła zwolna i z wielką powagą:

— Bóg wszystko może, i litość a dobroć Jego granic nie ma... On chciał pewnie, żeby ci dobrze było, ale ot tyle tylko, że dał cię złym ludziom, jakimi...

— To nie ptak wielki, ale ludzie rzucili mnie tam pod bramą! — wykrzyknęło nagle dziecię.

Stara mieszała się coraz bardziéj. Rozgniewała się niby srodze i pogroziła dziecku szydełkiem.

— No! no! cóż to znów pytać będziesz i pytać! a kto? a jak? a dla czego? Kiedy ci źle na świecie, to widać, że Pan Bóg chciał, aby tak było! Z wolą Bozką zgadzać się trzeba zawsze. Pamiętaj, abyś zgadzała się zawsze z wolą Bozką! cóż? czy zgadzasz się?

— Zgadzam się, — z cicha odpowiedziało dziecko.

— Ot tak dobrze! widzisz, i mnie życie nie lekkie, a jednak zgadzam się! nie szemrzę i nie pytam o nic, choć czasem i mnie dziw wielki bierze, jakim sposobem moja starość zrobiła się niepodobna taka do mojéj młodości... Ktoby się był spodziewał!... Rodziców miałam, posag piękny, potém męża takiego dobrego... Sędzią był... szanowali go wszyscy... żyliśmy sobie, jak król i królowa, ot w tém tam mieście... w tém samém... tylko dzieci Bóg nie dał, a jak mąż umarł, i majątek gdzieś stopniał, i krewni gdzieś się podzieli... i ot świat ten pustynią mi, a ręce karmiciele, no i oczy także... bo bez oczu ręce nic nie zrobią... Ktoby się był spodziewał?... ot widzisz! teraz

proszę już Boga o to tylko, żeby mi oczy nie uciekły... a uciekają! Kiedy nauczysz się pacierza, poprosisz i ty.

— Poproszę! — odpowiedziało dziecko.

Tymczasem mrok zapadał i stara jéjmość zapalała lampkę.

— Dobrze-by było teraz herbaty napić się, — mruczała, — starym kościom zimno, i w gardle po tym słonym krupniku schnie... cóż, kiedy niéma zkąd jéj wziąć! Ktoby się był spodziewał?... No, ciemno ci już tam na ziemi pończochę robić... złóż ją, przysuń się do mnie bliżéj i ucz się pacierza; mów: Odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy...

— Jako i my odpuszczamy... — powtarzało dziecko, lecz umilkło nagle, a po chwili wymówiło nieśmiało, jakby o pozwolenie prosząc:

— Pani! ja nie odpuszczę!

— Czego nie odpuścisz? komu? z zadziwieniem w głosie, pytała staruszka.

— Nie odpuszczę Antkowi, — energiczniéj odpowiedziała Julianka, a oczy jéj ogniście połyskiwały w zmroku.

— Pfe! to niełądnie! taka zawziętość w dziecku! wstydź się! Antek urwis i łotr, ale odpuścić mu trzeba, bo Pan Bóg tak kazał. Odpuść mi zaraz Antkowi! cóż? odpuszczasz?

Dziecko milczało chwilę; potém zawołało nagle i gwałtownie:

— Nie odpuszczę! nie odpuszczę! nie odpuszczę! tak mi Boże dopomóż! żebym tak na świat patrzała! żebym tak nie chorowała! żeby tak nieprzyjaciele moi poumierali! nie

odpuszczę! Kiedy zrobię się bardzo silna, złapię go i wytłukę... ot tak, jak pan Jakób żonę tłucze... Żeby jemu Pan Bóg nie odpuścił... żeby jego...

Pięści drobne ściskała i oczyma błyskała z nienawiścią wściekłą i namiętną. Potok zaklęć i przekleństw, które z ust jéj małych wychodziły, zapożyczonym był z dykcyonarza wszystkich mieszkańców wielkiego podwórza: Jakóba, Jakóbowéj, Antka, rymarza, Złotki i t. d. Stara kobieta przerwała jéj groźnym giestem:

— Milcz mi zaraz i idź za drzwi, kiedyś taka...

Julianka podnosiła się z ziemi i szła ku drzwiom. Gdy była już przy progu, stara zawołała:

— Jeżeli odpuścisz, pozwolę ci wrócić i mleka dam...

Dziecię nie odwróciło się i brało już za klamkę.

— Wróć się! — wołała jejmość.

Julianka wracała i stawała przed opiekunką swą, nasępiona cała, ponura.

Staruszka spoglądała na nią przez chwilę z za okularów swych, potém pomarszczoną dłoń kładła na jéj włosach.

— No, odpuść, — zaczynała proszącym głosem, — ja bo widzisz przed Panem Bogiem odpowiem za ciebie, jeżeli cię czegokolwiek dobrego nie nauczę... Przyszłaś tu do mnie w nocy, zziębła, zgłodniała i wypędzona... a ja zaraz pomyślałam, niech tam sobie ta młoda duszyczka przytuli się trochę do mnie, świat pustynią i mnie i tobie... ktoby się był spodziewał!... kłopot mi przytém sprawiasz, połowę żywności méj zjadasz, i w nocy w chustce mojéj sypiasz, a ja ot szlafrokiem okrywać się muszę i niszczyć go przedwcześnie... Wdzięczną być mi powinnaś i słuchać

mię... Kiedy ci mówię odpuść, to odpuść! Cóż? odpuszczasz?

Przy ostatnim wyrazie dłoń staréj zsunęła się z włosów dziecka na zasępione jego czoło i gładziła je lekko.

— Cóż? odpuścisz Antkowi? — pytała proszącym głosem.

— Odpuszczę! — cicho odpowiedziała Julianka i uśmiechnęła się. Zdjąwszy z twarzy swéj pieszczącą rękę, pocałowała ją.

— No tak, to dobrze! siadaj-że teraz znowu przy mnie, a ja ci opowiadać będę historyą świętą, jak Pan Bóg stworzył świat, człowieka, i o wszystkiém, co potém było... Ja bo, widzisz, kiedyś edukacyą miałam, wszystkiego potrochu uczyłam się... mowna byłam, wesoła i dowcipna; ludzie mówili o mnie, że jestem miłą i wykształconą osobą... Gdzie teraz ludzie ci? gdzie?...

Westchnęła.

— Ktoby się był spodziewał?

I zwolna, uroczyście, wznosząc często w górę pomarszczony palec i przerywając wątek mowy swéj mnóztwem zboczeń i wspomnień, opowiadała Historyą Świętą dziecku, które, z głową na kolanach jéj złożoną, usypiało niebawem, a spało tak dotąd, aż z dalekiéj głębi miasta przypłynął poważny dźwięk farnego zegara, wygłaszającego jedenastą godzinę. Wtedy mała staruszka wstawała i starannie zwijała siatkę swą, a dziecię budziło się i, owinięte w starą chustkę, z sennemi oczyma, szło do kącika swego, pomiędzy kruszący się piec i ścianę.

W ten sposób żyły ze sobą i wzajem wspierały się dwie

nędze. Po dwóch dopiéro latach, stara sędzina zmieniła nieco zwyczaje swe, rzadziéj daleko zaczęła wychodzić na miasto i przestała całkiem uczyć dziecko modlenia się i robót na drutach. Własne téż ręce jéj wolniéj, coraz wolniéj poruszały szydełkiem i iglicą, w zamian coraz silniéj trzęsła się jéj głowa, i zmarszczki czoła coraz ruchliwiéj i większą jakby trwogą gnane falowały w różne kierunki. Z wysileniem nadzwyczajném wpatrując się we włóczki, aby rozróżnić ich barwy, głębokim i pełnym dziwnych drżeń szeptem, mówiła ona do siebie:

— Uciekają już... uciekają... ot już i do reszty uciekają...

W istocie, w biały dzień nieraz brała włóczkę żółtą, zamiast różowéj, a błękitną zamiast zielonéj i, nieprędko dostrzegłszy omyłkę swą, pruła robotę, nad którą cały dzień pracowała. Wtedy, od chwili do chwili, ostrożnie i jakby lękając się uszkodzić kruchego jakiegoś przedmiotu, końcem palca ocierała łzę z krwistéj powieki.

Czasem mówiła do dziecka:

— Zmów pacierz na intencyą oczu moich... Panu Bogu miłe modlitwy dziecięce...

Siadywała wciąż wieczorami na skrzynce swéj aż do chwili, w któréj zegar kościelny wybijał jedenastą, lecz nie pracowała tak pilnie, jak dotąd; owszem, często bardzo opuszczała ręce na kolana i, z za okularów patrząc kędyś daleko, daleko w przestrzeń, zamyślała się tak bardzo, że nawet nic do siebie nie mówiła, a zmarszczki czoła jéj zbiegały się wszystkie w jedno miejsce i nieruchomą chmurą wisiały nad małą, wyschłą twarzą.

Bywało, że po dni kilka nie miewała już mleka i nie

chodziła do miasta na obiad. Posyłała wtedy Juliankę do Złotki po dwa obwarzanki. Złotka, zamiast dwóch, dawała trzy, które potém stara maczała w wodzie, dawała dziecku i sama jadła.

Raz Julianka usłyszała ją szemrzącą:

— Nadchodzi już godzina... ot i nadchodzi już straszna godzina...

Julianka nie pytała jéj o jakiéj mówiła godzinie, bo zajęta była cała zniknięciem dnia tego z małéj izdebki łóżka i jednéj poduszki, która dotąd na niém leżała. Na miéjscu, gdzie stało ono, leżała na ziemi słoma, przykryta grubém płótném, z malutką sianem wypchaną poduszeczką u węzgłowia. Potém znikła ze ściany watowana salopka, i stołu już pod oknem nie było, a w izdebce została tylko nędzna pościel, leżąca na ziemi, wielki czarny krzyż nad nią i skrzynia pusta, naga, na któréj mała staruszka siedziała już całkiem bezczynnie, powiekami strasznie nabrzmiałemi mrugała wciąż i powtarzała: ktoby się spodziewał? ktoby się był tego spodziewał?

Pewnego ranka, dziewczyna, budząc się w kątku swym o dnia brzasku, usłyszała starą, mówiącą do siebie:

— Boże Wszechmogący! dlaczegoś pozwolił mi dożyć dnia dzisiejszego?

Wymówiła to z dziwnym jakimś wybuchem głosu, ale gdy w godzinę potém Juljanka, widząc przez okno złoty blask słońca, wychodziła cichutko z izdebki, siwa głowa nieruchomo już spoczywała na małéj poduszeczce, z zamkniętemi oczyma. Dzień jesienny szybko przeminął. O zmroku Juljanka, po kilkogodzinném błądzeniu śród

ścieżek podwórza i ścian starego gmachu, otworzyła drzwi izdebki, aby, jak zwykle bywało, wsunąć się do niéj i usiąść na ziemi przy nogach swéj opiekunki. Nagle cofnęła się i stanęła za progiem w postawie osłupiałéj. Cicha zazwyczaj izdebka pełną była gwaru, rozmów i grubych śmiechów. Stało w niéj kilka sprzętów, dziecku nieznanych, a pośrodku, dokoła stołu, na którym stała butelka i czarka cynowa, siedzieli trzéj mężczyźni, i przy świetle łojowéj świecy rzucali wzajem ku sobie brudne, podarte karty. Przytém palili cygara. Kłęby dymu napełniały nizką izdebkę, a z za nich, niby jedyny ślad bytności tu małéj, siwéj staruszki, niby jedyna tu po niéj pamiątka, surowym zarysem przebijał się wiszący na ścianie wielki krzyż czarny...

Julianka długo stała za progiem nieruchomo. Potém w oczach jéj kręcić się zaczęły łzy. Odeszła i, zwolna przekroczywszy bramę, stanęła na progu sklepiku Złotki.

— Pani! — ozwała się zdławionym głosem.

— Aha! to ty! a czego chcesz? — zwróciła się ku niéj stara żydówka.

— Gdzie moja pani? — zapytało dziecię.

— Twoja pani?

Złotka zdawała się namyślać, czy litować nad czémś. Patrzała na dziecko i trzęsła głową.

— Twoja pani? — powtórzyła, — a kto ją wié, gdzie ona być może! Ot! wzięła w rękę kij i do miasta poszła... Czy ona z tobą pożegnała się?

Dziecko nie odpowiedziało. Po chwili dopiéro zapytało:

— Czy ona tu nie powróci?

— A czego ona ma tu powrócić? — odparła Złotka; — nie płaciła za kwaterę, to i kazali jéj wynieść się... a na jéj miejsce przyjęli tych trzech lokajów bez służby, co to w karty tylko grają i wódkę piją... żebym ja choć z nich zarobek miała... ale gdzie tam! nabiorą na kredyt, a potém nie zapłacą...

Mruczała-by tak daléj, ale przerwał jéj krzyk, rozlegający się na progu. Dziewczynka nieruchoma dotąd, zatopiła obie ręce w gęstwinie swych włosów, targała je i, przeraźliwie krzycząc, płakała całym strumieniem łez. Daremnie Złotka dobrotliwie uspokoić ją chciała głaskaniem i obwarzankiem. Odepchnęła gładzącą ją dłoń, cisnęła o ziemię obwarzanek i pobiegła w ciemny, wielki dziedziniec, gdzie długo jeszcze słychać było przycichające stopniowo łkania jéj i krzyki. Wychodziły one z najciemniejszego, najgłębszego kątka dziedzińca, kędy żadna gwiazdka, żadne światełko niebieskie lub ziemskie, nie oświecało drobnéj postaci dziecięcéj, lgnącéj ku zimnéj ścianie rozpłakaną twarzą, po raz trzeci już w krótkiém swém życiu oddanéj w opiekę mokréj ziemi dżdżystemu niebu, wiatrom zimnym, wiejącym w nocnych ciemnościach.

Odtąd można było widzieć ją wychodzącą każdego ranka z głębokiéj sieni starego gmachu. Sypiała tam pomiędzy rozrzuconemi śród śmiecia i pajęczyn szczątkami starych sprzętów. Wynalazła sobie w najgłębszym kątku odwieczny fotel, bez nóg i okrycia, z wysokiemi poręczami i trochą pilśni, w któréj gnieździły się myszy. Gdy zimno było, wciskała się pomiędzy spruchniałe poręcze i leżała śród

nich ze skurczonemi nogami, jak w ciasnéj kolebce. Z pod niéj wyskakiwały myszy i, przebiegłszy po ciele jéj, puszczały się dokoła fotelu w harce, pełne chrupań, pisków i szelestów. Nie lękała się ich jednak, owszem, weseléj jéj było, gdy śród grobowéj ciszy, panującéj w starych murach, szmer ich słyszała. Wychylała się nawet z poręczy swéj dziwnéj kołyski i, wytężony wzrok zapuszczając w grube mroki, spostrzegała czasem, jak małe, zwinne stworzenia ciągnęły z chrzęstem białawe szmaty papieru, albo ze stukiem toczyły kość nagą.

W cieplejsze i jaśniejsze noce nie wtłaczała się w poręcze starego fotelu, lecz kładła się poprostu na ziemi, śród najszerszéj smugi księżycowego światła. Obok niéj leżały rozsypane tu i owdzie szczątki pięknych niegdyś może rzeźb i posągów. Zajmowały one ją nierównie więcéj jeszcze niż myszy. Oglądała czysto ze stron wszystkich i rękoma gładziła kamienną głowę, pozbawioną nosa a białą przy świetle księżyca, i wsparta na łokciu, wpatrywała się póty w nieruchome jéj oczy, aż z głową, opartą na złamanéj ręce, lub ostrym brzegu skruszonéj jéj piersi — usypiała.

Przez czas pewien, codziennie z rana, ujrzawszy hasającą po wielkiém podwórzu gromadę dzieci, rzucała się ku niéj z wyciągniętemi ramionami i wybuchami srebrzystego śmiechu. Podobną wtedy była do ptaka, który rozwija skrzydła i z głośnym szczebiotem goni lecące stado pokrewnych mu ptaków. Jéj przecież szczebiot trwał zazwyczaj krótko, i ramiona, swawolnie z razu trzepocące, opadły nakształt skaleczonych skrzydeł ptaka.

W gromadzie dzieci było kilku srogich jéj nieprzyjaciół,

i daremnie córka praczki, Anka, z płowemi, rozpuszczenemi włosami, rozciągać chciała nad nią opiekę swoję, daremnie, osłaniając ją rozpostartemi ramionami swemi, wołała, że ona chce się z nią bawić w konia i pozwalała jéj znosić kamienie i piasek na dom, wspólnemi siłami stawiany pod zrębem staréj studni; brat jéj Antek krzyczał z sił całych, że on nie myśli przepędzać czasu w towarzystwie podrzutka, a dziewczyna od krawca, z długiemi, nagiemi nogami i w brudnéj chustce na roztarganych włosach, oświadczała, że jeżeli podrzutek przyjętym do zabawy będzie, ona tu nigdy więcéj nie przyjdzie, pójdzie się bawić do innych dzieci, na inne podwórze i tam swoję lalkę zaniesie. Lalka ta była wprawdzie niczém więcéj, jak wielkim i dość potwornym bałwanem, który ojciec krawiec ku pociesze córki swéj uwinął ze szmat pstrych perkali i skrawek jedwabnych materyi; zawsze jednak towarzystwo całe przerażało się niepomiernie groźbą jéj właścicielki, bo ten-to właśnie potwór zamieszkiwać miał dom, wznoszony przy studni, i do niego-to z wizytą jechały dwie dziewczynki, owiązane uprzężą ze sznurów i poprzedzane z hałasem przez trzech chłopców, uzbrojonych w bicze. Co do Anki, ta najbardziéj przerażała się groźbą wiekuistego utracenia lalki-potwora, bo po matce i małym braciszku kochała ją najgoręcéj na świecie.

Julianka tedy traciła jedyną swą obronicielkę, która, zasmucona trochę, oddalała się od niéj, a wtedy dzieci inne otaczały ją ścisłém kołem, uderzały ją, szczypały i z przeraźliwą wrzawą śmiechów i słów obelżywych tak ją

tłoczyły, że, wyparta z pośród nich, odchodziła ona samotnie w inną stronę podwórza. Zrazu odchodziła, płacząc, lecz potém nie płakała już nigdy, tylko oczy jéj iskrzyły się, a drobne usta szeptały coś cicho i gwałtownie. Zczasem zaprzestała nawet całkiem prób bawienia się z dziećmi, daremnych i pozostawiających jéj tylko na ciele bolesne sińce, a nawet, ile razy przebywała dziedziniec, obchodziła swawolną gromadę, jak mogła najbardziéj z daleka, skośne tylko i ponuro rzucając na nią wejrzenie.

Nie ochroniło jéj to przecież od prześladowań. Antek i rówiennicy jego, spostrzegłszy ją, biegli ku niéj, udając, że chcą dopędzić ją i wybić. W zimie rzucali na nią gałki ze śniegu. To téż usiłowała ona, ile możności, ujść ich wzroku, i dlatego przywykła chodzić, przesuwać się raczéj tuż pod ścianami domowstw, gdzie latem przysłaniały ją nieco gałęzie krzewów i wysokie chwasty, a w zimie gromadzące się tam zaspy śniegowe.

Przesunąwszy się tak przez dziedziniec, wchodziła czasem na szerokie, lecz próchniejące schody staréj budowy. Jeść chciała, szukała pożywienia. Wsuwała się do sali ogromnéj, z grubą podłogą i sufitem malowanym w pociemniałe od starości wianki i arabeski. Tam, z dwóch stron wielkiego maglu stały dwie kobiety, odpychające, to znowu ku sobie przyciągające szuflady pełne kamieni, które, tocząc się ciężko na grubych wałkach, huczały i turkotały monotonnie ponuro. Pod ścianami, przy stołach, robotnice inne pilnie składały wymaglowaną już bieliznę i napełniały nią kosze, które potém wynosiły, ustępując miejsca nowo przybywającym.

Otyła i dumna właścicielka maglu wchodziła często do pracowni swéj, naglądała roboty i odbierała należne sobie zapłaty. Czyniąc to wszystko z powagą wielką, szeleszcąc sztywną suknią i wspaniale udzielając robotnicom rad swych, pochwał lub nagan, spostrzegała Juliankę, siedzącą przy drzwiach i z jednostajną zawsze ciekawością przypatrującą się suwanym wciąż szufladom maglu.

Jeżeli była w wesołym humorze, zbliżała się do dziecka, pulchną dłonią dotykała jego włosów i rozkazywała służącéj przynosić dla niego chleba i séra. Niekiedy nawet obdarzała dziewczynę wydobytym kieszeni piernikiem. Niezawsze jednak bywała w dobrym humorze. Czasem, niezadowolona z zarobku lub na robotnice rozgniewana, przechadzała się po sali, sapiąc głośno, gderząc i łajać. Wtedy siedząca u drzwi Juljanka niecierpliwiła ją. Rozkazywała jéj odejść natychmiast.

— Cóż to? — mówiła, — czy ja cię tu jedna żywić mam i przyodziewać? Kiedy cię ta żebraczka z pod bramy wzięła i licho wié na co tu przyniosła, wszyscy przyrzekali składać się na ciebie... a teraz co? do mnie tylko chodzisz a chodzisz! Czy ja magnatka jaka? Jużci pewno, że wyżéj stoję od całego tałałajstwa tego, co cię teraz na kark mój spycha, ale magnatką nie jestem i siostrzenice mam, które edukować muszę... Ot i krowa mi zdechła przeszłego tygodnia... Idź sobie... nic nie dostaniesz!...

Julianka wstawała i wychodziła. Wychodziła ze starego gmachu i szła w tę stronę podwórza, w któréj ochryple brzęczał stary fortepianik. Stawała za małém, nizkiém okienkiem, nad którém zwieszały się gałęzie staréj lipy i,

wspierając się na palce, zaglądała do izby małéj, w któréj przy fortepianie, z wąziuchną klawiaturą i politurą spełzłą, siadywał wysoki, bardzo chudy mężczyzna, z długą białą twarzą, grał i kaszlał.

Był to niegdyś kandydat na artystę, po świecie z koncertami jeżdżący, potém metr muzyki dość wzięty, teraz suchotnik, dający na mieście kilka lekcyi w tygodniu, po złotówce za lekcyą. Nie był jeszcze starym, ale niezmiernie wychudzonym, a łagodne oczy jego paliły się blaskiem gorączki. Siadywał przy starym fortepianku swym godzinami całemi i grał, czasem téż próbował nucić, ale wnet kaszlać zaczynał, a tony, wychodzące z pod długich, kościstych jego palcy, stawały się tak cichemi, że przechodziły w zaledwie dosłyszalne brzęczenie. Ujrzawszy głowę Julianki zaglądającą mu w okno, muzyk uśmiechał się i mówił:

— Przyszłaś? co, przyszłaś znowu?

— Przyszłam, — odpowiadało dziecko.

— I cóż powiész? — zapytywał.

Julianka nie miała snadź nic do powiedzenia, bo milcząc, chwytała nizko zwisające gałązki lipy, i z ich pomocą podniósłszy się nad ziemię, siadała na otwartém oknie.

— Jak ptaszyna! — mówił muzyk, uśmiechając się ciągle.

I grać zaczynał dla ptaszyny. Nie grał wtedy nic smutnego, owszem, skoczne polki, wesołe choć tęskne walce, a nawet eleganckie kontredanse tłumnemi tonami przepełniały izdebkę i ulatywały w dziedziniec.

Julianka słuchała i czasem zaczynała przyśpiewywać w

takt muzyki. Cienki głosik jéj mieszał się z brzęczącemi dźwiękami fortepianiku. Muzyk zaczynał śmiać się.

— Śpiewaj! — wołał ochrypłym szeptem, — śpiewaj! śpiewaj!

Julianka śpiewała z coraz większym zapałem, aż głowę podnosiła i czarnemi oczyma patrzała w górę, na niebo błękitniejące z za gałęzi drzewa. Nagle przestawała śpiewać i jąkliwie mówiła:

— Jeść chcę!

Wtedy muzyk wstawał od fortepianu i dawał dziecku garstkę pastylków od kaszlu. Nieraz téż wynajdywał pomiędzy stosami starych, opylonych nut kawałek bułki zczerstwiałéj, lub zimnéj pieczeni.

Dziecko chrupało pastylki, lub chciwie pożerało mięso, a wysoki, chudy muzyk stał przy niém u otwartego okna. Oczy jego, rozpalone gorączką, przybierały wtedy wyraz przepaścistéj zadumy. O czém tak myślał w chwili, gdy wynędzniała, biała ręka jego, machinalnie przesuwała w palcach gęste kędziory dziecka? O zgasłych na zawsze, świetnych ambicyach niedawnéj młodości? o wesołych przyjaciołach, z którymi razem roił o bogactwie i sławie? o pięknéj dziewczynie, którą kochał kiedyś? o tém, że nie miał nigdy żony, ani dzieci? o samotności swéj, biedzie, śmierci blizkiéj i grobie samotnym, nad którym zapłacze chyba obłok dżdżysty, a nie wyrośnie żaden liść śnionych niegdyś wawrzynów? To tylko pewno, że, gdy zamyślał się w ten sposób, kaszlać zaczynał coraz silniéj i, zbudzony tém z zadumy, mówił Juliance, aby zeszła z okna, bo on je zamknąć musi. Zamykał okno przed drażniącemi mu pierś

powiewami, a dziecko odchodziło w inną stronę podwórza, tam najczęściéj, gdzie śród ciemnéj, nizkiéj ściany, jaśniały dwa okienka czyste, przejrzyste, ozdobione trochą zieleni, rosnącéj w glinianych wazonach. Za oknami temi była izba obszerna, biała, widna, a w niéj huczał warsztat tokarski i wesoło trzaskało rozpalone ognisko.

Przy warsztacie z okręcającém się szybko kołem, stał mężczyzna silny i siwiejący, czerstwy na twarzy i przy białym fartuchu. Przy oknie siadywało, szyjąc, dziewczę młodziutkie, z rumianemi policzkami i złotą kosą spuszczoną na pstrą chustkę, skrzyżowaną u piersi. Nad warsztatem wisiały ramki i ramy, puste, rozmaitych kształtów i rozmiarów, po kątach stały nogi do sprzętów różnych i laski do parasoli. Obok izby była malutka kuchenka, przez któréj otwarte drzwi widać i słychać było palący się ogień. Różowy blask ognia padał na przeciwległą ścianę izby, gdzie nad łożem szerokiém połyskiwały, złoconym papierem oklejane, ramki świętych obrazków.

Ojciec toczył, od chwili do chwili ocierając sobie pot z czoła i twarzy; córka szyła, a z kuchenki dochodziły odgłosy rozmów, prowadzonych przez gruby głos kobiecy i cienkie głosiki dzieci.

Gdy Julianka wdrapywała się na ławkę, u ściany stojącą, i siadała przed oknem mieszkania tego, dziewczyna ze złotą kosą podnosiła głowę i wołała:

— Tatuś! Tatuś! sierotka przyszła!

Mieszkanie tokarza było jedyném miejscem, w którém nie nazywano jéj podrzutkiem. Odpowiedź barczystego, szpakowatego tatusia, przygłuszoną była turkotem tokarni,

ale z kuchenki wychodziła kobieta o tłustéj, rumianéj twarzy, z dzieckiem jedném na ręku, a drugiém, czepiającém się grubéj jéj spódnicy.

— Boże, zlituj się! — mówiła — a toż biedactwo to tuła się wciąż, jak ten, nie przymierzając, pies bezpański. Kachna, skocz po miseczkę mleka!

Kachna zeskakiwała ze stołka i przynosiła Juliance miseczkę kwasnego mleka, w zimie zaś podawała jéj przez otwarty lufcik okna kawałek chleba i séra. Julianka zjadała, ale potém nie odchodziła zaraz, i bądź-to w lecie, przez liście stojących na oknie wazonów, bądź w zimie, przez czystą, sporą szybę, patrzała długo w głąb' mieszkania. Opierała czasem łokieć na wystającéj desce ściany, a twarz na dłoni, i z przechyloną nieco głową patrzała.

Nie było tam jednak widoków, mogących zaciekawić ją, lub zachwycić. Kręcącemu się kołu tokarni i obrazkom na ścianach przypatrzyła się już dawno, i nie na nie wyłącznie patrzała; być może chyba, że spokój, czystość i skromny dostatek, panujące w mieszkaniu tokarza, dawały odpocznienie dziecięcym oczom jéj, przyzwyczajonym do widoków nędzy, kłótni i smutku i że, nie zdając sobie sprawy z tego, co czuła, pragnęła ona jak najwięcéj przedłużyć chwilę tego spoczynku. Jednak i inne myśli różne snuć się musiały wtedy w małéj téj głowie, bo raz ozwała się głośno:

— Ja-bym chciała, żeby mnie ten ptak wielki rzucił do pana tokarza i do pani tokarzowéj, zamiast pod bramę.

Stojąca w pobliżu okna pani tokarzowa zaśmiała się głośno i grubo:

— A bój się Boga, dziewczyno! już nam i bez ciebie ptak ten tyle dzieciaków naprzynosił, że niewiadomo, co z niemi i robić.

Mówiąc to, uczyniła ruch taki, jak-by trzymane w ramionach dziecię, wyrzucić chciała za okno, a potém przycisnęła je do piersi i głośno wycałowała.

Julianka tymczasem wstrząsała głową.

— To nie ptak rzucił mnie tam pod bramę... — rzekła — ja tylko tak sobie powiedziałam, ale wiem, że to nie ptak.

— A któż taki? któż-by to taki zrobił? — zagadnęła kobieta z żartem, lecz i zmieszaniem pewném.

— Matka! — krótko i obojętnie rzekła Julianka.

Wiedziała już, że miała matkę, tak jak wszystkie inne dzieci, i że, ona to, a nie ptak żaden, rzuciła ją pod bramę. Powiedziała jéj o tém gruba i wiecznie śmiejąca się sługa właścicielki magla, a gdy Julianka, usłyszawszy to, zapytała, czy i ojca miała także, tak, jak wszystkie inne dzieci, dziewka odpowiedziała jéj, chichocąc:

— No, a jakże!

— A gdzież mój ojciec? — zapytało dziecko.

Dziewka od śmiechu wzięła się za boki.

— Goń wiatr w polu! — zawołała i pobiegła maglować; ale Julianka zapamiętała jéj odpowiedź, i ciągnąc rozmowę swą z żoną tokarza, zauważyła:

— I ojca ja miałam.

— A gdzie twój ojciec? — zaszczebiotało kilkoletnie dziecię tokarza.

— Goń wiatr w polu! — z powagą wygłaszanéj sentencyi, odparła dziewczynka.

Od chwili, w któréj po raz piérwszy usłyszała słowa te, w wyobraźni jéj powstał obraz szczególny. O polu nie miała pojęcia żadnego, ale wyobrażała sobie człowieka jakiegoś, latającego w powietrzu po wielkiém podwórzu. W dniach szczególniéj silnych i zimnych wichrów, obraz ten tak stawał przed jéj oczyma, że wpatrywała się przez godziny całe w szumiącą przestrzeń i myślała, że tuż, tuż, latający człowiek stanie przy niéj i weźmie ją w ramiona tak, jak to czynił często z dziećmi tokarz, a nawet, w wyjątkowych chwilach trzeźwości i czułości, pijak kucharz.

Tokarz, naprawiając coś u warsztatu swego, usłyszał to, co Julianka mówiła o matce i ojcu, i żywo zwrócił się ku izbie.

— A Chryste Panie! — zawołał — kobiety! wesprzyjcie czém to dziecko! dajcie jéj odzież jaką... wszak to w łachmanach całe, nakarmcie i przytulcie, choć-by przez godzinę jaką! a sądu Bożego nie bał się łotrzysko jakiś...

Resztę mowy jego zagłuszył turkot koła, które obracać się poczęło niezmiernie szybko, stukając, skacząc i warcząc, jakby w gniewie i oburzeniu nadzwyczajném.

— Chodź do nas! — rzekła tokarzowa.

Julianka nie dała sobie tego dwa razy powtarzać. Wbiegła do białéj, cichéj, ciepłéj izby i pół dnia przepędziła w rozkoszach nieopisanych. Noc przespała z Kachną, na ziemi wprawdzie, lecz mając siennik pod bokami i poduszkę pod głową; wszyscy tam byli dla niéj dobrzy, dali jéj spódniczkę całą i mleka na śniadanie, ale, gdy odchodziła, nikt nie powiedział jéj: — zostań! Nie dziw! tokarzostwu wielki ptak ponanosił dzieci obfitość. Oprócz

trojga, będących w domu, dwóch chłopców terminowało w rzemiośle... szóste urodzić się miało... a tokarz, choć najpracowitszym był i najporządniejszym z pomiędzy mieszkańców podwórza, fakt już sam, że zamieszkał ruderę tę, świadczył o tém, iż nie był bogatym...

W ten sposób, chodząc od okna do okna, i od jednego do drugiego z ubogich mieszkańców — żyła. Najgorsza sprawa bywała dla niéj, gdy nadchodziły zimowe noce z silnemi mrozami. Wtedy kostniała od chłodu w wielkiéj sieni starego gmachu, i tak trzęsła się cała, że aż jéj zęby szczękały i we wnętrznościach boléć coś zaczynało okropnie. To téż szła wtedy zawsze szukać sobie schronienia lepszego. Czasem wsuwała się do wielkiéj sali na górze, zanim ją jeszcze zamknięto, i noc przepędzała pod maglem; to znowu stukała lekko do okna chorego muzyka, a on, kaszląc i uśmiechając się, otwierał drzwi, wskazując jéj kątek przy źle ogrzanym piecu, i dawał kilka pastylków. Niekiedy wkradała się téż do ciemnéj sionki, za którą było mieszkanie żydówki Złotki i jéj rodziny, albo téż, z wieczora jeszcze uczuwszy, że mróz się wzmaga, Kachna od tokarza wybiegała na dziedziniec i wolała:

— Julianko! Julianko! a pójdź-no do nas na noc! Tatuś i matula żałują cię, abyś nie zmarzła!

Raz przecież, w jeden z mroźnych strasznie wieczorów takich, Julianka znalazła się w kłopocie srogim.

Magiel zamknięto tak wcześnie, że nie spostrzegła tego; do okna muzyka stukała, ale nie usłyszał snadź, spał może, albo sił nie miał wstać z łóżka, aby je otworzyć; okna tokarza były zbyt wysokie, aby do nich zastukać mogła, a

ławeczkę, po któréj dostawała się do nich, odjęto z powodu obfitych śniegów. Chodziła od domowstwa do domowstwa, brnąc w śniegu, kurcząc się, trzęsąc i aż jęcząc z zimna. Przyszła nakoniec pod drzwi oficynki, w któréj mieszkała praczka, i zapominając już nawet i o Jakóbie, i o Antku, zastukała. Zastukała, jak można było najsilniéj, zatrzęsła potém klamką.

— Kto tam? — zapytała z wewnątrz praczka.

Dziecko odpowiedziało:

— Julianka!

— Panie litościwy! a toż dzieciak ten na dworze, a mróz taki siarczysty! Ani chybi, trup z niéj jutro będzie. Anka, otwórz-no!

Odsunęła się zasuwka z wewnątrz i otworzyły się drzwi ciemnéj izby. Z kąta ozwał się zaspany i burkliwy głos Antka:

— Puszczajcie, matulu, podrzutka do chaty! puszczajcie! a jak ten przyjdzie, to co będzie? a?

Praczka nic nie odpowiedziała, ale Anka zakrzyczała z gniewem:

— Już ty, Antek, milcz tylko! a oczy stul i śpij! jeżeli ojciec nadejdzie, to ja ją przed nim schowam!...

— Ciekawym gdzie? Za miotłę nie wlezie już! wielka zrobiła się!

Anka, nie odpowiadając nic, wzięła dziecko za rękę i przyprowadziła je do siennika swego:

— No, połóż się, a ja przy tobie!

Przez chwilę cicho było w izbie, potém śród ciemności ozwał się głos Anki:

— Matulu!

— No, a czego tam jeszcze?

— Ja wszystką bieliznę brudną zbiorę i przy sienniku swoim położę, a jak ojciec przyjdzie, to ją na Juliankę zrzucę, żeby nie zobaczył.

Praczka mruknęła coś niewyraźnie; Anka chodziła po izbie, zbierając i znosząc ku posłaniu swemu bieliznę, aby miéć ją w pogotowiu, w chwili, gdy niebezpieczeństwo nadejdzie; potém usnęli wszyscy.

Jakób nie nadszedł téj nocy. Z rana dwie dziewczynki, które obok siebie noc przespały, obudziły się jednocześnie i usiadły na sienniku. Anka o głowę wyższą była od Julianki; płowe włosy jéj, rozpuszczone, jak zwykle, opadały na ramiona sieroty, i mieszały się z kruczemi jéj kędziorami. Blade były obie i w grubych koszulach. Przy białém świetle dnia śnieżystego, spojrzały na siebie i pocałowały się.

W godzinę potém, Julianka wychodziła z mieszkania praczki, z dwoma pieczonemi kartoflami w rękach, ale przebiegający obok niéj Antek wyrwał jéj z rąk kartofle i rzucił daleko, w śnieg. Dziewczynka pięści ścisnęła i, wstrząsając niemi w kierunku chłopca, który był już daleko, szeptała coś gwałtownie. Potém poszła szukać swoich kartofli.

Zdarzały się dnie, w których ludzie więcéj zajęci byli, niż zwykle, lub troskami napastowani, chorzy, lub w złych humorach; wtedy Julianka nie mogła zwrócić na siebie ich uwagi, albo, umiejąc już z twarzy odgadywać usposobienia ludzkie, lękała się nasuwać im na oczy. W dniach takich szła do żydówki Złotki i, milcząc, siadała na progu

sklepiku. Złotka była dla niéj zawsze jednostajna, niezbyt czuła, litościwa jednak. Dawała jéj bułkę, lub obwarzanek, a jeśli zimno było, wołała ją do sklepiku i uczyła, jak ma rozgrzewać zziębłe nogi nad garnkiem, pełnym żarzących się węgli, nad którym ona sama rozgrzewała stopy swe w sinych pończochach.

Raz nad wieczorem, siedząc tak w kątku sklepiku, Julianka zobaczyła wchodzącego Antka z dwoma rówieśnikami. Chłopcy mieli po lat dwanaście i trzynaście; wieczoru tego byli szczególniéj weseli i głowy podnosili wysoko. Jeden z nich zwłaszcza, obdarty i prawie bosy, rozprawiał głośno, pięściami trącał innych i wyglądał w gromadce na przywódzcę i tryumfatora. On téż, zbliżył się do stołu, zastawionego butelkami i nędznemi przekąskami, i zawołał z butą:

— Cipa! wódki! po pół kruczka na każdego!

Złotki nie było w sklepiku, tylko co wyszła. Za stołem siedząca wnuczka jéj, czternastoletnia dziewczynka z głupowatą twarzą, podniosła się i postawiła przed chłopcami trzy czarki, napełnione trunkiem. Wypili, krwisty szkarłat buchnął im z razu do twarzy, Antek zakaszlał się i spluwać począł.

— Jeszcze po pół kruczka! — zawołał przywódzca, rzucając na stół srebrną dwuzłotówkę.

— Ja nie chcę — oparł się Antek — matka zgryzie się...

— Pij! — zawołali dwaj inni.

Wypili znowu, zachodząc się od śmiechu. Wypiwszy, krzywili się strasznie i spluwali, ale był to widać nowy rodzaj swawoli, który bawił ich i w dumę przytém wbijał.

— Cipa! jeszcze po pół!...

Wychodzili ze sklepiku, chwiejąc się i niezrozumiale już bełkocąc. W téj saméj chwili wróciła stara Złotka, a spójrzawszy na wychodzących chłopców, krzyknęła na wnuczkę:

— A po co ty dzieciom wódkę dawała! czy ty nie widzisz, że ja dzieciom nigdy nie daję i łaję ich, kiedy proszą! Głupia dziewczyna! na ciebie z niczém się spuścić nie można!

— Aj! aj! — odmruknęła Cipa — a co to z tego za korzyść? kiedy my im nie damy, to oni pójdą do tego szynku, co na rogu ulicy, i dostaną sobie! Niech my lepiéj zarobim!

Niebawem Julianka wyszła ze sklepiku. Wchodząc na dziedziniec, zobaczyła kogoś, leżącego na ziemi pod bramą. Zbliżyła się i poznała Antka. Piérwszém wrażeniem jéj była trwoga, jakiéj zawsze wobec niego doświadczała. Cofnęła się nieco, stanęła jednak i patrzała. Antek, upojony wódką, spał snem kamiennym, z rozchyloną u piersi koszulą, obłoconym spencerkiem, z nogami i głową grzęznącemi w mokréj ziemi.

— Ot i upił się! — szepnęła Julianka, i stanęła tuż nad chłopcem. Pojmowała, że w stanie tym niebezpiecznym dla niéj nie był. Po chwili szepnęła:

— Ot teraz, tobym go mogła wytłuc!.. wytłuc!..

I zaśmiała się aż głośno na myśl o zemście. Ścisnęła obie pięście, i schylona nad śpiącym chłopcem, szeptała:

— Zobaczysz ty, jak tobie dobrze będzie, kiedy ja ciebie będę tłuc, tak, jak ty mnie zawsze tłuczesz! gonisz ty mnie

zawsze, jak psa jakiegoś, i od podrzutków wyzywasz... przez ciebie ja wiele nacierpiałam się... siniaków ty mnie dużo narobiłeś... narobięż ja ci ich teraz... będę ciebie szczypać i drapać, i tłuc...

Rumieniła się szepcąc tak, oczy jéj błyszczały w zmroku i usta drżały. Ściskała wciąż drobne pięście i już, już opuścić je miała na nieruchomo leżącego chłopca, gdy nagle zatrzymała się... Znać było, że myśl jakaś przyszła jéj do głowy i że walczyła z sobą.

— Odpuścić! — szepnęła — stara pani prosiła mnie: odpuść!

Milczała i myślała znowu.

— Kiedy powiedziałam staréj pani, odpuszczę! to trzeba odpuścić!

A potém znowu:

— Oj, tak-by dobrze było teraz jego wytłuc!

Piąstki jéj jednak rozchylały się zwolna. Westchnęła.

— No — rzekła — odpuszczę! może zobaczę jeszcze kiedy starą panią, to powiem jéj, odpuściłam i nie wytłukłam Antka! ucieszy się!

Schyliła nieco głowę, palec przytknęła do ust i długo myślała nad czémś, myślała... potém, z determinacyą nagle powziętą, rzekła:

— Ot, jeszcze i pacierz za niego zmówię, żeby nawrócił się i matki nie gryzł...

Uklękła, i dziwnie-by widziéć było, jak na mokréj ziemi porzucone dziecko to klęczało w zmroku nad dzieckiem pijaném, i ze splecionemi rękoma, półgłosem mówiło:

— Ojcze nasz, któryś jest w niebie, przyjdź królestwo

twoje!...

W porze owéj, Julianka miała już lat siedm, ale małą była na wiek swój; powoli rosła. Rosły tylko szybko bardzo włosy jéj, kruczéj czarności, i wiły się w tysiączne pierścienie, ze wszech stron ocieniając malutką, chudą jéj twarz z blademi usty i ogromnemi oczyma, czarnemi, jak węgle. Miewała ona wtedy na sobie stare spodniczki, długie do ziemi prawie, nieosłaniające jednak stóp nagich i wiecznie pokaleczonych, i kaftaniki luźne, strasznie stare i spłowiałe, które, rozchylając się z przodu, ukazywały podartą koszulę. Wyglądała brudno i nędznie, ale ogromne włosy jéj i prześliczne oczy, patrzące na świat z wyrazem szczególnego w tym wieku zamyślenia, zwracały na nią często uwagę ludzi, którzy jéj nie znali. Nieraz, widząc ją siedzącą na progu sklepiku, przybywający tam zapytywali Złotkę:

— Czyje to dziecko?

Złotka flegmatycznie odpowiadała:

— Wszystkich!

— Jakto wszystkich? — pytano.

— Nu, niczyje!

— Wszystkich i niczyje! jakto być może? co to znaczy?

Na wklęsłych wargach staréj żydówki osiadał szczególny uśmiech, przebiegły i trochę smutny. Trzęsła głową i z powagą odpowiadała:

— Kiedy ono niczyje nie jest, to powinno być wszystkich, nu, ale kiedy ono jest wszystkich, to tak, jakby było niczyje!

Pytający wzruszali ramionami, nie rozumiejąc

zagadkowych słów żydówki, ale głupowata Cipa z pogardliwym giestem tłumaczyła im:

— Podrzutek! znajda!

Julianka rozmów tych o niéj słuchała zawsze z wielką uwagą, a ludzie, pytający o nią, usłyszawszy tłómaczenie Cipy, wstrząsali głowami na znak, że teraz już zrozumieli wszystko, i odchodzili.

Raz jednak...

Było to w pogodny, lecz zimny, dzień jesienny. Do sklepiku weszła kobieta średniego wzrostu, szczupła i zgrabna, w sukienném nie świeżém okryciu i starym kapelusiku, przyozdobionym w kwiat blady i zgnieciony. Miała ona wielkie, błękitne oczy, drobne usta i postarzałe czoło, nad którém młodo wiły się bardzo jasne włosy. Ujrzawszy ją wchodzącą, Złotka, zawołała uprzejmie:

— A! nowa lokatorka nasza! Daj Boże szczęśliwie! daj Boże szczęśliwie w nowém mieszkaniu przeżyć!

— Dziękuję, moja kupcowo — odpowiedziała kobieta, i wnet potém poprosiła o parę funtów cukru, trochę herbaty i niewielką ilość nafty, do zapalania lampy.

Żydówka, ważąc i mierząc żądane przedmioty, według zwyczaju swego, rozpoczęła z przybyłą gawędkę.

— Panna na długo do nas? — zapytała.

— Dopóki Bóg pozwoli, chciała-bym tu mieszkać jak najdłużéj...

— A dostała już panna lekcye?

— Dostałam parę. Jednak, moja kupcowo... gdy-byś się wypadkiem dowiedziała o kim, ktoby potrzebował...

— Wiem, wiem... na co mnie panna dwa razy powtarza...

już ja nie zapomnę... A meble te, co ja do najęcia nastręczyłam, czy podobały się pannie?

— Dobre, bardzo dobre, mnie lepszych nie potrzeba...

— Nu, ale co ja pannie powiem! Meble najmować, to zły interes... dobrze-by było zapłacić za nie odrazu i kupić.

— Zapewne, moja kupcowo, ja to dobrze rozumiem, ale zkąd-że wezmę... późniéj kiedy może będę mogła...

— Daj Boże! ja pannie dobrze życzę, tylko nie spodziewam się, żeby tak zaraz dużo lekcyi było... U nas w mieście, strach co guwernantek jest...

Szczupła kobieta ze zwiędłém czołem i jasnemi włosy, głos miała cichy i mile wpadający w ucho. Rozmawiając z żydówką, oglądała się wciąż i przelotne spójrzenia rzucała na siedzącą u progu Juliankę. Przytém oczy jéj mglić się zaczęły szczególném zmieszaniem.

— Czyje to dziecko? — zapytała ciszéj jeszcze, niż zwykle.

Złotka powtórzyła zwykłą swą odpowiedź:

— Wszystkich.

— Wszystkich?

— Nu, niczyje.

Cipa, lejąca naftę w małe blaszane naczynie, wmieszała się do rozmowy:

— To podrzutek jest! znajda!

— Podrzutek! — zawołała, krzyknęła prawie, kobieta, i rumieniec oblał bladą twarz jéj, aż po lniane włosy. Powściągnęła się jednak i dość obojętnie zapytała:

— Dawnoż znaleziono dziecię to? nie pamięta kupcowa?

— Czemu ja mam nie pamiętać?... Jego znaleźli

akuratnie w tym samym roku i miesiącu, kiedy ja wnuczkę moję za mąż wydałam... nu, a ona już siedm lat za mężem jest... to dziecko siedm lat temu znaleźli... jesienną porą... z samego ranka...

Kobieta brała z rąk Cipy naczynie z naftą. Ręka jéj trochę drżała.

— Któż to taki je znalazł? — zapytała.

— Ot, żebraczka jedna. Ona już nie żyje... tu na tym dziedzińcu mieszkała i tu umarła...

— A jak dziecku temu na imię?

— Julianka.

— Czemuż dali mu imię to, a nie inne?

— Nu, ta żebraczka, co ją znalazła i na dziedziniec przyniosła, nazywała się Julianna. Ona ją do kościoła nosiła, żeby ją ochrzcili, i prosiła, żeby jéj takie samo imię dać...

Kobieta trzymała już w rękach wszystko, czego żądała: herbatę, cukier i naftę. Nie odchodziła jednak, lecz dość obojętnie zapytała jeszcze:

— A któż nią opiekuje się?

— A kto-by tu nią opiekował się? tu wszyscy ludzie niebogaci i swoje dzieci mają... Ot tak żyje sobie...

Kobieta patrzała nieruchomo na różnobarwne paczki cygar i papierosów, ułożone pod przeciwległą ścianą, potém ukłoniła się Złotce i odeszła. Przestępując próg, nie spójrzała na Juliankę, która téż zwróciła na nią żadnéj uwagi, bo i przywykła do słyszenia podobnych o sobie rozmów, i zajętą była bardzo okrywaniem dziurawą spodniczką stóp swych, zsiniałych od chłodu.

W godzinę potém, Julianka, wchodząc na dziedziniec, zobaczyła gromadkę dzieci, stojącą naprzeciw starego gmachu i przypatrującą się czemuś z podniesionemi głowami i pootwieranemi usty. Stanęła z daleka za dziećmi, podniosła téż głowę i patrzéć zaczęła. Wkrótce téż i jéj usta otworzyły się, a oczy aż zaśmiały się od zachwycenia wielkiego. Zobaczyła, że na wysokiém piętrze gmachu, wyżéj jeszcze od miejsca, w którém znajdował się magiel, w pusty wprzódy otwór wprawiono okno. Okno to, o drewnianych, niepobielonych i niepomalowanych ramach, otwarte było teraz, a w niém powiewała biała roleta, w zęby wycięta, i wisiała klatka z kanarkiem. Roleta ta, a więcéj daleko żółty ptaszek, którego śpiew aż na dziedziniec dolatywał, obudzały zajęcie małéj gromadki.

Julianka patrzała tak długo, że inne dzieci rozbiegły się, a ona stała jeszcze. Wtedy w oknie otwartém ukazała się ta sama kobieta, która przed godziną była w sklepiku. Wychyliła się nieco i ręką uczyniła ku Juliance giest przyzywający. Dziecko nie zrozumiało z razu, że giest ten zwrócony jest ku niemu, ale kobieta skinęła ręką energiczniéj, z pewną nawet nierpliwością, przytém widać było, że patrzała na nie wytężonym wzrokiem. Julianka zerwała się z miejsca i pobiegła z uciechą wielką, bo zostać przywołaną przez kogoś, było to w życiu jéj rzadkiém i wielce szczęśliwém wydarzeniem.

Stary gmach znała najdokładniéj, idąc więc po próchniejących schodach, minęła salę z maglem i dosięgła piętra domu, całkiem niezamieszkałego, gdzie, przeszedłszy kilka pustych pokoi, bez okien ni drzwi, stanęła przed

nadpróchniałemi i nieszczelnie zamykającemi się drzwiami, które też nieśmiało i zwolna otworzyła.

Przy samych drzwiach stała szczupła, blada kobieta, bez okrycia już i kapelusza, w wązkiéj, czarnéj sukience, i z grubą, lnianą kosą dokoła małéj głowy. Nie była téż bladą w téj chwili, bo ognisty rumieniec twarz jéj okrywał. Zaledwie dziecko stanęło w progu, pochyliła się, porwała je w ramiona i uniosła w głąb' pokoju. Nie wydawała się dość silną, aby módz dźwigać w ten sposób siedmioletnie, choć drobne, dziecię, owszem, wyglądała na słabą, bardzo nawet słabą istotę, ale w téj chwili przybyło snadź ramionom jéj siły i sprężystości. Niosąc dziecko, biegła, usiadła wraz z niém na staréj, obdartéj kanapce, i wnet potém Julianka uczuła na twarzy swéj palące ciepło pocałunków i wilgoć łez, spływających na nią strumieniem. Lniany warkocz kobiety osunął się z jéj głowy, a włosy jéj tak opłynęły twarz dziecka, że nic widziéć ono nie mogło, prócz oczu całującéj ją kobiety, wielkich i błękitnych, w łzach tonących a rozpalonych.

Julianka nie rozumiała nic. Zdumiona, ogłuszona, duszona w namiętnych uściskach, nie była jednak rozrzewnioną. Piérwszy to raz w jéj życiu całowano ją i płakano nad nią. To téż, gdy po długiéj chwili kobieta przestała całować i płakać, a odsunąwszy ją nieco od siebie, poczęła jéj przypatrywać się; na twarzy dziewczynki nie było innego wyrazu, prócz głębokiego zdziwienia.

— Pocałuj-że mię! — szepnęły drobne, blade, drżące usta kobiety. Julianka pocałowała ją w rękę.

— Jakaś ty chuda, — szepnęła kobieta, dotykając nóg

jéj, rąk i piersi, — jakaś ty chuda i mała na wiek swój!... Czy cię co boli kiedy?

— Boli, — odpowiedziało dziecko.

— Co cię boli?

Julianka pokazała zziębłe stopy swe, a potém odwinęła luźny rękaw kaftana i pokazała ramię, okryte znakami oparzenia, szczypania i stłuczenia.

— Jak byłam mała, — mówiła, — spadła na mnie duszka od żelazka, ot tu... potém Antek szczypał mię bardzo, ot tu... i tam w sieni, jak spałam, cegła upadła ot tu... wczoraj... nie, — poprawiła się, — nie wczoraj, ale jutro...

Nie mogła dotąd rozróżnić wyrazów: wczoraj i jutro. Słuchając ją, kobieta dotknęła dłonią czoła swego, potém piersi, potém znowu czoła.

— Jadłaś dziś? — zapytała.

— Jadłam.

— Cóżeś jadła?

— Obwarzanek od Złotki.

— A chcesz jeszcze jeść?

— Chcę, — z nagle zrodzoną energią zawołała Julianka.

W skutek wprawy, uczucie głodu stanowiło w całéj istocie jéj fizycznéj i moralnéj stronę najsilniéj rozwiniętą.

Kobieta wyjęła z nizkiéj szafki żywność jakąś, podała ją dziecku, i usiadłszy przy niém, zaczęła wpatrywać się w nie znowu, Julianka jadła, spoglądała na sprzęty skromne, lecz czyste, na kanarka, który śpiewał wciąż w klatce, na białą roletę, fruwającą z wiatrem, i roszczebiotała się na dobre. Zagadnięta parę razy o przeszłość swą, opowiadała, jak,

małą będąc, (teraz już uważała się snadź za osobę dużą) mieszkała u praczki, i jak ją pan Jakób, kucharz, w nocy za drzwi wyrzucił, i co potém stało się; o staréj pani, bardzo dobréj, która niewiadomo gdzie podziała się, gdy jéj oczy uciekły; o chorym panu, ciągle grającym; tokarzu, tokarzowéj, Ance i Antku, najbardziéj o Antku, takim niegodziwym chłopcu. Przy wspomnieniu o chłopcu, zacisnęła piąstki i błysnęła oczyma, wnet jednak z zamyśleniem dodała:

— Ale ja jemu odpuściłam... tak mi Boże dopomóż, odpuściłam i nie wytłukłam go, kiedy leżał tam pijany pod bramą... Stara pani prosiła: odpuść! i odpuściłam...

Przy ostatnich wyrazach dziewczynki, kobieta wzięła ją w ramiona swe i, topiąc usta w gęstwinie jéj włosów, szepnęła...

— Żebyś ty kiedyś innym tak odpuścić mogła... o! żebyś mogła!...

Wstała potém i przeszła się parę razy po małym pokoju. Gdy usiadła znowu, wydawała się zupełnie spokojną. Widać było, że długa i ciężka wprawa nauczyła ją powściągać, ukrywać wrażenia doznawane, i że w téj chwili uczuła potrzebę powściągnięcia ich i ukrycia. Przyciągnęła ku sobie dziecko i, postawiwszy je przed sobą, poważnie zaczęła:

— Moja Julianko! ja dopóki, tylko ztąd się nie wyniosę, opiekować się tobą będę... cóż? czy rada jesteś z tego?

Dziecko, milcząc, obojętnie pocałowało ją znowu w rękę. Była to oznaka wdzięczności pewnéj, ale radości ani czułości nie znać w niéj było. Nie dowierzała i dziwiła się.

Kobieta mówiła daléj:

— Trzeba jednak, trzeba koniecznie, ażebyć nigdy nikomu nie mówiła ani słowa o tém, o czém rozmawiać z sobą będziemy, i jaką ja będę dla ciebie... rozumiész, Julianko?

Dziewczynka twierdząco skinęła głową.

— Nie mów téż nikomu o tém, że ja cię całowałam i pieściłam, pamiętaj nie mów! i jeżeli czasem ja wymówię coś takiego... coś takiego... no! cokolwiek-bym kiedy przy tobie mówiła do ciebie, albo do siebie saméj, albo przez sen... ty nikomu tego nie powtarzaj... rozumiész mię, moje dziecko? nikomu ani słowa! Nie mów téż przed nikim, że ja cię czasem mojém dzieckiem nazywam....

Tu umilkła na chwilę. Można-by myśléć, że głosu jéj zabrakło. Spokojną jednak wydawała się wciąż, i nawet trochę surową.

— Pamiętaj, ażebyś mię słuchała, bo jeśli nie posłuchasz, zgubisz... zrobisz mi wiele złego, a i sobie także. Cóż? będziesz mię słuchała?

— Będę, pani, — odparło dziecię, które słuchało ją ze zdziwieniem, lecz i z uwagą.

— Słuchaj mię! ja ci za to sukienkę nową i ciepłą uszyję, trzewiczki kupię, obiad co dzień dam i pięknych różnych rzeczy uczyć cię będę... A pacierz ty umiész?

— Umiem. Stara pani nauczyła...

— Panie! odpłać jéj! Panie! opiekuj się nią! Panie! daj jéj rok szczęśliwy za każdy wyraz pacierza... — spiesznie i drżącemi wargami zaszeptała kobieta.

— A robotę ty jaką umiesz robić?

— Umiałam pończochę robić, stara pani nauczyła; ale teraz nie wiem, czy już potrafię...

— Nauczę cię różnych innych robót..; no, a teraz powiem ci, jak mię masz nazywać... Mam imię Janina, nazywaj mię panną Janiną!

— Panna Janina! — powtórzyło dziecko.

— Dobrze! Pamiętaj-że o tém, co ci mówiłam. A teraz ja idę do miasta... guwernantką jestem... uczyć muszę dzieci... idę więc dzieci uczyć... codzień tak chodzić będę, a ty zostań tu i nie chodź już na to brzydkie podwórze, do tych różnych ludzi... nie żebraj, nie potrzebujesz... sytą już będziesz i odzianą. Siedź tu. Możesz bezpiecznie siedzieć, bo obcy nikt tu nie przyjdzie... i złodziéj nie przyjdzie... pocóż-by? przypatruj się ptaszkowi, nazywa się on kanarek. Darowała mi go ostatnia uczenica moja, bom się do niego bardzo przywiązała... cóż robić? trzeba się choć do ptaka przywiązać! Zresztą, połóż się sobie i zaśnij, a przed wieczorem ja wrócę...

Ostatnie wyrazy mówiąc, wkładała stare swe, sukienne okrycie i kapelusik z kwiatem, tak bladym i zmiętym, jak była twarz jéj. W téj chwili zresztą, po długiéj rozmowie z dzieckiem, twarz ta, delikatna i drobna, wyglądała bardziéj jeszcze postarzałą i zmęczoną, niż wprzódy.

Wyszła. Julianka, zostawszy sama, zaczęła od przypatrywania się ptaszkowi, i nietylko przypatrywała się mu, ale i słuchała jego śpiewu. Potém, podnosząc wciąż głowę, aby kanarkowi się przyglądać, zaczęła wyśpiewywać sama, i duet ten, złożony ze śpiewu ptaka i dziecka, trwał póty, aż dziecko zmęczyło się, i poważnie, a

nieśmiało trochę chodzić zaczęło dokoła pokoju, oglądając wszystkie kąty jego i sprzęty.

Te ostatnie nie miały w sobie nic nadzwyczajnego; Julianka jednak znalazła pomiędzy niemi takie, które napełniały ją zdziwieniem. Nędzną, kanapkę oglądała długo i ze stron wszystkich, dotknęła z kolei kilku książek, leżących na stole, a spróbowawszy pociągnąć ku sobie znajdującą się w nim szufladę, wyciągała ją i zasuwała długo, a znać było z rozweselonéj jéj twarzy, że bawiło ją to niezmiernie.

Nakoniec usiadła na ziemi naprzeciw małego samowarka i, przypatrując się błyszczącemu przedmiotowi temu, usnęła.

Spała aż do chwili, w któréj otworzyły się drzwi i weszła przez nie panna Janina. Wbiegła raczéj, niż weszła. Dziwne uradowanie jakieś oświecało twarz jéj. Od progu już wyciągnęła ramiona ku dziecku, które obudziło się, lecz nie wstało z ziemi.

— Cóż? nie przyjdziesz pocałować mię? nie jesteś rada, że wróciłam? — zawołała.

Dziecko przybliżyło się z wolna i nieśmiało trochę pocałowało ją w rękę. Wyraz uradowania znikł z twarzy kobiety.

— Jaka obojętna! — szepnęła.

Zapaliwszy lampkę, rzekła:

— Chodź, nauczę cię samowar nastawiać!

A do siebie szepnęła:

— Sama podobno nie bardzo umiem to robić...

Przy końcu wieczora panna Janina, zsuwając z kolan

dziecko, z którém rozmawiała przez wieczór cały, rzekła:

— Nocować u mnie nie możesz, bo ludzie powiedzieliby, że ja cię zupełnie do siebie wzięłam, i mogli-by wpaść na domysł... mogli-by mi co złego zrobić. Dnie przepędzać będziesz u mnie, spać ci trzeba gdzieindziéj... a nawet powiész ludziom, że ja cię na noc nie przyjmuje dla tego... dla tego, że u mnie ciasno, i że... każę tobie co wieczór iść sobie gdzieindziéj!... pamiętaj, powiédz im to... Ale gdzie sypiać będziesz?

Myślała długo nad pytaniem tém i, wziąwszy lampkę, poszła oglądać puste piętro gmachu. Znalazła tam kątek jakiś, osłoniony wystającym murem od wiatru, wnikającego przez pusty otwór okna.

— Tu ci urządzę pościółkę! — rzekła.

Sporządziła na prędce sienniczek mały, położyła na nim jednę ze swych dwóch szczupłych poduszek, a zamiast kołdry, rozesłała na pościółce ciepły, choć dobrze zniszczony, szal.

— W mrozy wezmę cię do siebie, a w cieplejsze noce śpij tu... tylko, — dodała po chwili, — nie mów nikomu, że ci pościel urządziłam... pamiętaj, nie mów!

Nie prędko, bo w miesiąc lub więcéj potém, gdy panna Janina wracała z lekcyi i do pokoju swego wchodziła, Julianka rzuciła się ku niéj, ramionami kolana objęła i, przypadłszy do saméj ziemi, całowała namiętnie jéj stopy. Nieprzyzwyczajoną była do objawów czułości; czułość téż była struną istoty jéj, która budziła się w niéj zwolna bardzo, ale gdy raz drgnęła, widać było, że dziecię to mogło w płomień rozpalać się i topić się w łzach u stóp lub u łona

tych, których kochało.

Pobyt u panny Janiny był w życiu dziecka tego piérwszym błyskiem szczęścia. Szczęście téż biło z twarzy jéj, na któréj rumieńce ukazywać się zaczęły, i z ruchów, które stawały się coraz śmielszemi.

Długo nie ukazywała się wcale na dziedzińcu, ani w żadném mieszkaniu z dawniéj sobie znanych. Nic jéj tam snadź nie ciągnęło, a pokój panny Janiny i obszerne niezamieszkałe piętro gmachu przedstawiały do zabawy jéj dość przedmiotów i przestrzeni.

Raz nakoniec, w początku zimy, zjawiła się na dole w progu sieni. Miała na sobie tanią, lecz ciepłą, sukienkę, pończochy i grube trzewiki, a włosy jéj, porządnie uczesane, przewiązane były nawet barwistą wstążką. Ujrzawszy ją, dzieci, biegające po podwórzu, zbiegły się wszystkie do niéj i strój jéj oglądać zaczęły. Anka dotykała palcami i pożerała oczyma wstążkę jéj; bosa dziewczyna od krawca przyglądała się obuwiu. Antek tylko nic sobie z całéj jéj elegancyi nie robił. Żartować z niéj zaczął:

— Patrzcie! patrzcie! jaka panienka zrobiła się! a kto ci dał to wszystko? może matula twoja znalazła się, albo ojca wiatr z pola przyniósł! Ot, nic ci nie pomogą ładne suknie! podrzutkiem byłaś i podrzutkiem jesteś!

Julianka rumienić się zaczęła i błyskać oczyma.

Nie odpowiadała jednak Antkowi, bo zajętą była rozwiązywaniem wstążki, którą miała na głowie. Rozwiązawszy ją, zdjęła z głowy i, milcząc, oddała Ance. Anka podskoczyła z radości i wnet ubierać się w nią zaczęła, a Antek, wykrzywiając się, żartować znowu

począł:

— Ot, jaka mi księżniczka! prezenta teraz rozdaje! a pamiętasz, jak niedawno za miotłą u nas siedziałaś i kartofle pod ławą jadłaś...

W miarę jak chłopak mówił, Julianka piąstki swe ściskała. Zdawało się, że tuż, tuż rzuci się ku niemu. Nie uczyniła jednak tego, pochyliła się tylko i, otworzywszy usta w całéj ich szerokości, ukazała mu język. Téj zemsty odmówić już sobie nie mogła. Wykonała ją, ale wykonawszy, zlękła się zarazem, i pędem puściła się na schody gmachu, ku pokojowi panny Janiny.

Antek i inne dzieci gonić ją chciały, ale śmiałości im zabrakło. Nie śmiały napastować mieszkania guwernantki, którą mieszkańcy dziedzińca instynktowo uważali za coś wyższego od siebie. Imponował im może kapelusz, który nosiła, kanarek, wiszący w oknie, a może i coś innego jeszcze.

— Dzieci uczy, — mówili o niéj, — edukacyą miéć musi, i taka jakaś delikatna!

Co do edukacyi téj, posiadanéj przez szczupłą, bladą guwernantkę, żydówka, Złotka, miała o niéj wiadomości pewne, z własnych jéj ust zaczerpane. Raz panna Janina weszła do sklepiku i, kupując znowu małą ilość cukru i nafty, zapytała Złotkę:

— A cóż, moja kupcowo, nie masz tam dla mnie dobréj jakiéj nowiny?

Złotka przecząco wstrząsnęła głową.

— Pytałam się u różnych ludzi, — rzekła, — starałam się, ale nie potrzebują... strach, co teraz guwernantek u nas

w mieście... więcéj niż dzieci... A czy pannie mało tych lekcyi, co panna ma?

— Bardzo mało, moja kupcowo. Żyć niéma z czego... tanio mi płacą.

— A dla czego oni tanio płacą? ja wiem, że guwernantki czasem bardzo drogo biorą za tę naukę, co ją w głowie swojéj mają...

Panna Janina wpatrywała się znowu w różnobarwne paczki cygar, okrywające przeciwległą ścianę.

— W tém bieda, — zaczęła, — w tém bieda największa, moja kupcowo, że ja nauki téj mam bardzo mało.

Po chwili, nie zmieniając kierunku spojrzenia, dodała:

— Byłam zawsze guwernantką na początki... na początki nauk... płacono mi zawsze bardzo mało... bo i prawdę mówiąc, niéma za co płacić wiele...

Złotka rozpostarła ręce ruchem zwątpienia.

— Nu, na to już niéma żadnéj rady, — rzekła.

Dnia tego, wracając z miasta, panna Janina nie uścisnęła, jak zwykle, Julianki, ale odtrąciła ją od siebie i, gwałtownym ruchem usiadłszy, w zamyśleniu szarpała drżącemi rękoma brzeg czarnego i zszarzałego swego kaftanika.

Dziecię, zdziwione i zmartwione, przysunęło się do niéj, ale ona usunęła je znowu i szepnęła:

— Na moję niedolę urodziłaś się ty... i na swoję.

Cały wieczór potém kobieta siedziała nieruchoma i milcząca, jak kamień, a dziecko płakało z cicha. Nazajutrz z rana jednak, Julianka budząc się w kątku swym, za wystającym murem pustego pokoju, ujrzała nad pościółką

swą stojącą pannę Janinę, która nachyliła się ku niéj z uśmiechem i pocałowała ją w czoło.

— Chodź pokój zamiatać! — rzekła.

Uczyła ją co rano zamiatać pokój, nastawiać samowar, zapalać w piecu i słać łóżko; a gdy dziewczynka z trudnością wielką spełniała czynności te, o wiele przechodzące jéj siły, patrzała na nią z przepaścistym smutkiem w wejrzeniu i mówiła:

— Żebyś ty przynajmniéj porządną służącą zostać mogła!

Wieczorami uczyła ją katechizmu, czytania i szycia, przyczém łagodną bywała niekiedy i niezmiernie, namiętnie czułą, czasem znowu niecierpliwą, twardą, rozjątrzoną. Patrząc wtedy na nią, jak zrywała się co chwila z siedzenia i siadała znowu, rzucała się po pokoju swym, dotykając sprzętów wszystkich, całowała dziecko, odpychała je, za uchybienie każde w czytaniu lub szyciu uderzała je po rękach, a potém brała się za głowę i mówiła coś do siebie szybko a niezrozumiale; myśléć-by można, iż była blizką szaleństwa. Potém jednak opanowywała się, zacinała drobne wargi, krzyżowała na piersiach ramiona i wyglądała, jak ktoś zamierzający kosztem jakichbądź cierpień dotrwać w postanowieniu swojém.

Na wiosnę, kiedy ludzie zaczęli otwierać drzwi i okna, panna Janina weszła raz do mieszkania tokarza. Zawahała się chwilę przed drzwiami, ale weszła. Na widok jéj tokarz przerwał pracę swą i uprzejmie ją pozdrowił, żona jego zmieszała się i osłupiałym nieco wzrokiem patrzała na guwernantkę, aż upamiętała się i zawołała na Kachnę, aby

stołek podała. Panna Janina usiadła i wydawała się bardziéj jeszcze zmieszaną od tokarzowéj.

— Chciałam poznajomić się z państwem; sąsiadką waszą jestem, — rzekła, czując jakby potrzebę usprawiedliwienia swéj wizyty. Tokarzowa powiedziała, że widuje ją co dzień przez okno, idącą do miasta i wracającą.

— Dlaczego pani dziecka nigdy z sobą nie bierzesz? — zapytała, — niech-by biedactwo obejrzało się trochę po świecie.

Panna Janina zarumieniła się gwałtownie.

— Jakiego dziecka? — zawołała ze zdziwieniem niby.

— A no! sierotki téj, którą pani opiekujesz się.

— Ależ ja nią nie opiekuję się wcale, — tłómaczyła się kobieta, — co mi do niéj! ot, tak tylko, gdy widzę, że głodna, to ją nakarmię... przez litość... nie więcéj jak przez litość... a że dziecko siedzi ciągle przy mnie, to i nie odpędzam go... co mi to szkodzi? ale opiekunką jego nie jestem, wcale nie jestem.

Tokarz i żona jego patrzyli na nią ze zdziwieniem. Nie pojmowali, dlaczego tak żywo tłómaczyła się z tego, co w oczach ich było dobrym uczynkiem.

— To szkoda — rzekł po chwili tokarz — a my myśleliśmy, że nieboractwo to znalazło już sobie przytułek na całe dzieciństwo swoje... Jak wyrośnie, to prędzéj sobie da radę, ale póki małe, co ma robić? żebrać tylko, a może potém, nie daj Boże, i kraść...

Ledwo widzialne drgnienie poruszyło twarzą i rękoma panny Janiny.

— Zapewnie — rzekła — zapewnie... nie odpędzę

dziecka, dopóki żywić je i uczyć czegokolwiek będę mogła... choć naprawdę, co mnie tam ono obchodzić może? Lituję się przecież nad niém... nie wiem, czy długo tu zostanę, a jeśli-bym odjechać miała, to może-by... może-byście państwo... tak... przy swoich dzieciach i tę dziewczynę przytulili!

Mieszała się strasznie, mówiąc to, a głos jéj, pomimo silenia się na obojętność, przybierał proszące dźwięki.

Tokarz po chwili zamyślenia odrzekł:

— Przyznam się pani, że mnie to samemu nieraz na myśl przychodziło, i z żonką nawet o tém gadałem, ale... niebogaty jestem człowiek... sześcioro dzieci mam. Gdybym już tak zdecydował się i wziął tę sierotkę, nie chciał-bym, aby marnowała się ona w domu moim, ale musiał-bym jéj i odzież porządną dać i jadło dostateczne, i potém roboty jakiéj nauczyć... a to wszystko kosztowało-by wiele i było-by z krzywdą własnych dzieci... Ja zaś uważam, że niedobrze jest, jeśli człowiek dopomaga jednym z krzywdą drugich. Zresztą my ot i z téj kwatery wyniesiemy się w jesieni... a jak będziem mieszkać het precz! na drugim końcu miasta, to i oczy nie będą nas boleć od patrzenia na nędzę tę...

Panna Janina słuchała ze spuszczonemi oczyma, i wymówiwszy jeszcze kilka słów obojętnych, odeszła. Przez cały wieczór potém płakała.

W środku lata jakoś, wracała z miasta z wiązką ładnych kwiatów. Nie zaniosła ich jednak do swego mieszkania, tylko przesunęła się pod ścianą bocznego domowstwa i położyła je na otwartém oknie chorego metra muzyki.

Muzyk, który przez całą zimę nie grywał na fortepianiku swoim, bo większą część czasu przepędzał w łóżku, grał teraz. Usłyszawszy szelest w oknie, nie przestając grać, ochrypłym głosem zapytał:

— Czy to ptaszyna?

Podniósł trochę głowę, a zobaczywszy za oknem stojącą kobietę, zdziwił się nieco. Znał ją jednak z widzenia, jak wszyscy mieszkańcy podwórza.

— Jakie ładne kwiaty! — rzekł, powstając z ciekawością — jaka pani dobra! ja lubię kwiaty!

— To sierotka przysyła panu kwiaty te — szepnęła kobieta.

— A jakie ona tam hoduje się? śliczne, biedne dziecko! chciał-bym je widzieć!

— Przyślę je kiedy do pana — odrzekła panna Janina.

Muzyk chciał coś powiedzieć jeszcze, ale zakaszlał się strasznie i nie mógł. Panna Janina, wchodząc na schody starego gmachu, szeptała:

— I w tym nadziei miéć nie można! prędko umrze!

Pod jesień ludzie mówić zaczęli, że guwernantka musi być chyba chorą, bo tak powoli chodzi i tak mizernie wygląda. Chorą jednak nie była, tylko widocznie gryzła ją nawskróś ciężka troska jakaś, ciężka dlatego może najbardziéj, że siły jéj były bardzo słabe.

Raz weszła do sklepiku Złotki, już nie dla kupna żadnego, ale tylko na rozmowę.

— Moja kupcowo — rzekła — jaka to biéda, że lekcyi więcéj dostać nie mogę... już i szyciem sobie dopomagam, ale i tak ciężko bardzo.

— No! — pocieszała żydówka — co tam! byle przeżyć! potém może lepiéj będzie.

— Ja bo i nie przywykłam do biedy takiéj — mówiła daléj guwernantka — od czasu, gdy ojciec mój umarł... urzędnikiem był i biedy przy nim nie cierpiałam... przebywałam zawsze po domach różnych. Pensyą brałam bardzo małą, taką tylko, aby módz jako tako przyodziać się, ale wygody miałam wszelkie, bo przecież, gdzie guwernantka jest, to już i obiad codzień, i szklanka herbaty, i ciepły pokój być musi. Otóż przywykłam do wszystkiego tego, rozpieściłam się i teraz wytrzymać nie mogę.

Złotka przenikliwie patrzała na skarżącą się kobietę.

— No — rzekła po chwili — a ja pannie radzę, żebyś wytrzymywała... mnie zdaje się, że są rzeczy, co gorzéj bolą, niż głód i chłód...

— Są, o! są; — szepnęła kobieta,

Splotła małe, suche, ręce swe, i oparła je o stół z butelkami. Stała tak długo, potém rzekła:

— Na wiosnę chyba postaram się znowu o miejsce i pojadę.

— Ja pannie nie radzę robić tego — odparła żydówka.

— Dlaczego, moja kupcowo?

— Niech już panna siebie saméj zapyta, dlaczego?

Wymówiła to ze znaczeniem. Panna Janina zarumieniła się nagle z gniewu jakby, czy z trwogi.

— Ciekawam — zawołała żywo — dlaczego-bym nie miała zrobić tak, jak mi lepiéj będzie! Zimę tylko przebyć tu jeszcze muszę, koniecznie muszę, bo mrozów boję się bardzo.

— Jeżeli panna boisz się mrozów — podchwyciła żydówka — to dlaczego panna przed zimą nie wyniesie się z tego starego domu, który jest bardzo zimny, i nie poszuka sobie miejsca z ciepłym pokojem...

Kobieta zmieszała się.

— Niech już sobie! — zagadała — zimę przebędę... na wiosnę może mi Bóg dopomoże... a jak lepiéj mi będzie trochę, to i nadal tu zostanę... ja-bym bardzo pragnęła tu zostać...

Oprócz troski, widać w niéj było ciągłą prawie trwogę jakąś. Rzadko bardzo spotykała spójrzeniem swém zwrócone na siebie spojrzenie; lecz, mówiąc z ludźmi, spuszczała najczęściéj oczy, albo patrzała na przeciwległe przedmioty, co dawało jéj pozór istoty, wiecznie czémś zmieszanéj. Obok tego, widać w niéj było kobietę nieprzyzwyczajoną do rządzenia choć-by najmniejszém gospodarstwem, a mającą pociąg do rzeczy zbytkownych. W ubiorze jéj tylko zbytku nigdy nie było. Można-by powiedzieć, że zrzekła się stanowczo zalotności wszelkiéj, wszelkiéj myśli o przystrajaniu się i elegancyi.

Odkąd tu przybyła, nosiła wciąż jednę suknią i jeden kapelusz, to téż suknia była zszarzana bardzo, a kwiat przy kapeluszu, blady i zmięty wprzódy, miał pozór zbrudzonéj jakiéjś szmatki. Lubiła przecież kwiaty, ptaki i łakocie. Przynosiła z miasta bukiety, ciastka, cukierki, kupiła drugiego kanarka, ostawiła okna roślinami w wazonach. Natomiast zdarzały się tygodnie, w których nie posyłała do garkuchni po obiad, a skromne, lecz konieczne do życia wiktuały, brała u Złotki na kredyt. Z całego jéj

postępowania i sposobu rządzenia się poznać można było, że to była kobieta-dziecko, jedna z tych kobiet, które przez całe życie zachowują trwożliwość, niezaradność i łakomstwo dziecka.

Jednak, żeby ją kto widział wtedy, gdy, śród głuchéj nocy, z lampką w ręku przebywała puste, ciemne, wiatrem świszczące, pokoje niezamieszkałego piętra gmachu, i jak, postawiwszy lampkę na ziemi, stawała nad małą dziewczynką, uśpioną na nizkiéj pościołce, pojąć-by musiał, że ta kobieta-dziecko cierpiała strasznie. Wyprostowana, sztywna, ze splecionemi dłońmi, zarzuconemi na głowę, i szeroko rozwartą, nieruchomą źrenicą, wyglądała ona wtedy, jak tragiczny posąg rozpaczy.

Niekiedy w zamyśleniu pytała:

— Boże! pocoś mi dał serce?

Innym razem przykładała dłoń do piersi i gwałtownie śród ciszy nocnéj powtarzała:

— O, sumienie moje! sumienie! sumienie!

Czasem przy świetle lampki przeglądała listy jakieś, wiązki kwiatów zeschłych, kawałki spłowiałych wstążek i płakała cicho, rzewnie, głęboko.

— Żebym mogła utracić pamięć... — szeptała z załamanemi dłońmi — żebym mogła utracić pamięć tak, jak straciłam wiarę i nadzieję!...

W połowie zimy, spotkawszy w sieni domu właścicielkę magla, spytała ją nieśmiało, czy nie zechce ona kupić od niéj parę kanarków. Wspaniała potentatka ubogiéj osady odpowiedziała, że zapyta o to siostrzenic swoich.

— Jeżeli one zechcą posiadać ptaki te, nabędę je, bo ja panienkom moim nic nie odmawiam, a jeżeli nie zechcą, nie nabędę.

Panienki chciały posiadać ładne, śpiewające ptaki, i właścicielka magla przysłała po nie, przesyłając zarazem odpowiednią kwotę pieniężną. Gdy wynoszono ptaki, Julianka czule żegnała się z niemi, usiłowała całować je przez pręty klatki i płakała.

— Nie płacz! — powiedziała do niéj panna Janina... — wkrótce może po czémś ważniejszém płakać będziesz...

Wkrótce, po sprzedaniu kanarków, powiedziała dziewczynie, która dotąd obiady przynosiła jéj z miasta, aby nie chodziła już do garkuchni.

— U siebie w piecyku gotować będę! — rzekła — taniéj mi przyjdzie!

Gotowała z razu, ale parzyła sobie ręce, niecierpliwiła się, płakała, i nic nigdy w zupełności nie sporządziła. Zaczęła tedy kupować, lub brać na kredyt w mieście rzeczy do jedzenia już przygotowane, zimne, które kosztowały ją tyleż, albo i więcéj, co ciepłe i pożywniejsze obiady z garkuchni. Nie umiała widać liczyć, a także szukała sobie wciąż czegoś, coby podniebieniu jéj dogodziło.

Kiedy w piérwszy dzień wiosenny, jasny i słoneczny weszła do sklepiku Złotki, żydówka aż splotła ręce i zawołała:

— Aj! aj! jak panna źle wygląda! jak panna zmizerniała.

Wistocie, cera jéj zżółkła, oczy zapadły, a na czole przybyło zmarszczek. Postarzała i zeszpetniała, tylko lniane włosy jéj wciąż wiły się młodo i filuternie, i usta drobne

zachowały zarys młodości i wdzięku.

— Moja kupcowo — rzekła — przyszłam prosić cię o radę... co tu robić? miejsce mi zdarza się, wcale dobre nawet... w domu dość zamożnych i uczciwych ludzi...

Umilkła i rzuciła dokoła siebie bardziéj niż kiedy zmieszane spojrzenia. Złotka milczała chwilę i trzęsła starą głową swą, jak zwykle bywało, gdy zastanawiała się nad czémś smutném, lub zagadkowém. Utopiła potém pojętne i bystre, choć starością omglone, oczy, w twarzy stojącéj przed nią kobiety i zwolna zapytała:

— No! a co z dzieckiem będzie?

Tym razem, panna Janina była widać tak zamyśloną, czy zrozpaczoną, że nie zawołała, jak zwykle: a cóż mnie to dziecko obchodzić może? Owszem, splatając ręce i opierając je o stół, osłupiałym wzrokiem patrzała przed siebie i głucho powtórzyła:

— Co z dzieckiem będzie?

— Dlaczego panna nie postara się przynajmniéj o co dla dziecka tego?

— A jak? gdzie? u kogo starać się mogę! — wybuchnęła kobieta. — Alboż ja tu mam znajomości jakie, stosunki... prosiłam, kogo mogłam... nikt nie chciał... zresztą i prosić ja bardzo nie mogę, bo ludzie zaraz-by... Ochronka jedna w całém mieście, pełniuteńka zawsze... a żeby w niéj miejsce i było, czy-bym ja ją wprosiła do niéj... Sama jestem, uboga, bez protekcyi, ni środków jakich... O! Boże mój! Boże! Boże!

Głos jéj podnosił się coraz i nabierał jękliwych tonów. Bladą była, jak chusta.

Złotka patrzała, głową trzęsła, myślała. Po chwili obejrzała się po sklepie, a widząc, że jest sam-na sam z guwernantką, zniżonym głosem zapytała:

— A czemu panna nie dasz znać o wszystkiém *jemu?* Może-by *on* dopomógł, poratował?

Twarz panny Janiny z bladéj stała się nagle szkarłatną.

— Kogo ja mam uwiadomić? kto-by mi dopomógł? — mówiła gwałtownie.

Wklęsłe usta staréj żydówki wygięły się w uśmiech dziwny, litośny i pogardliwy nieco.

— No — zaczęła zwolna — jeżeli panna nie wiész, to ja o tém już mówić nie będę. Ja tylko jeszcze powiedzieć muszę...

Podniosła w górę pomarszczony palec swój i, kołysząc zwolna głową, dokończyła:

— Ja tylko to jeszcze powiem: wstyd czasem dobry jest, ale czasem niedobry... On dobry wtedy, kiedy człowieka strzeże od grzechu, ale niedobry, kiedy nie pozwala człowiekowi, ażeby on grzech swój naprawił. I strach taki dobry jest, kiedy on przed Panem Bogiem, ale kiedy przed ludźmi, to on zły... Jak człowiek ciągle wstydzi się i boi się, to co on dobrego zrobić może?

Panna Janina drżéć zaczęła. Była znowu bardzo bladą. Gdy jednak podniosła powieki, w oczach jéj błysnął gniew.

— Ja nie rozumiem o czém kupcowa mówi — rzekła gwałtownie i odeszła.

Wieczora tego, do pokoju guwernantki wsunął się żydek, licho odziany, i grzecznie z razu, potém coraz głośniéj i natarczywiéj, upominał się o dług jakiś. Panna Janina

płonęła rumieńcami, mieszała się, prosiła o zwłokę, nakoniec przyrzekła, że dług za parę dni wypłaci. Nazajutrz z rana miała jeszcze rozmowę podobną z kobietą jakąś, która w wielkiéj chustce, zarzuconéj na głowę, weszła do jéj pokoju, grubijańsko rozsiadła się na kanapce, przemawiała do niéj grubym głosem, i patrzała rozzłoszczonemi oczyma.

W kilka godzin potém, panna Janina weszła do sklepiku Złotki. Widoczném było, że zdobywała się na zimną krew i śmiałość, ale przychodziło to jéj z trudnością. Głowę podnosiła, patrzéć usiłowała śmiało i obojętnie, ale usta jéj drżały i oczy nabiegały łzami.

— Moja kupcowo! — rzekła, postępując do stołu, za którym siedziała żydówka — ile ja kupcowéj winna jestem?

Złotka sporządziła szybko mały rachunek i podała go jéj, milcząc:

— Dziś w wieczór zapłacę — rzekła kobieta.

— Czy panna przyjęła już to miejsce?

— Idę właśnie, aby powiedzieć państwu tym, że propozycyą ich przyjmuję. Jutro wyjadę z nimi na wieś...

— Daleko?

— Dwadzieścia ztąd mil podobno.

Złotka milczała. Panna Janina nie miała już powodu żadnego do pozostania, jednak nie odchodziła. Po chwili milczenia zaczęła z cicha:

— Całorocznéj pensyi mojéj zażądać z góry muszę. Połowę jéj wydam na opłacenie długów, a i przyodziać się trochę trzeba, bo dom jest zamożny i wymagać tam będą porządnego ubrania. Jednak, jeżeli kupcowa pozwoli, ja

kupcowéj zostawię trochę pieniędzy... dla małéj...

Złotka ręką niechętnie skinęła.

— A co jéj z tych pieniędzy — rzekła. — Ile tam panna zostawić możesz? Będę jéj za nie jedzenie dawać, póki wystarczy... a potém co?

— Cóż ja więcéj mogę? — szepnęła kobieta — wszak wrócę kiedyś... jak tylko uzbieram sobie trochę, zaraz wrócę... Tymczasem... moja kupcowo... starą jesteś kobietą i uczciwą... dzieci i wnuki masz...

Umilkła, i ze splecionemi, jak do modlitwy, dłońmi, patrzała w twarz żydówki.

— A co ja mogę? — zapytała Złotka, ramionami wzruszając — ja nad nią litość mam, ale żydówką jestem, a to chrześcijańskie dziecko... Do siebie jéj wziąć nie mogę... to co ja dla niéj zrobię?

— Spójrzéć, nakarmić czasem, napomnieć...

— Nu, nu! — odrzekła Złotka z giestem przywalającym.

Panna Janina poszła na miasto i długo nie wracała, gdy zaś o zapadającym zmroku wróciła, znalazła w pokoju swym niecierpliwie oczekującą jéj Juliankę. Ze sposobu, w jaki dziewczynka rozpostarła ramiona swe i poskoczyła ku wchodzącéj, ze srebrnego, radośnego wykrzyku jéj i pocałunków, któremi okryła jéj ręce, poznać można było, że dziecko to wiedziało już teraz, co to jest — kochać. Prowadząc milczącą kobietę ku kanapce, Julianka szczebiotała. Czy kobieta słuchała szczebiotu dziecka, trudno było odgadnąć. Twarz jéj rysowała się na tle zmroku, jak blada i nieruchoma rzeźba z marmuru; milczała, jak grób. W pokoju robiło się coraz ciemniéj.

— Może lampę zapalić? — szczebiotało dziecię — ja umiem już zapalić lampę.

Zamiast odpowiedzi, kobieta pochyliła się, wzięła dziecko w ramiona i posadziła je na swych kolanach.

— Julianko! - szepnęła.

— Co, pani? — wesoło zapytało dziecię.

— Posłuchaj mnie; mówić ci będę o rzeczach ważnych i smutnych.

Julianka spoważniała i widać było w zmroku, jak błyszczące oczy dziecka wpatrzyły się uważnie w bladą twarz kobiecą.

— Będę ci mówić o twojéj matce — szeptała kobieta.

— O matce? — z akcentem zdziwienia zapytało dziecko.

Kobieta ciężkim, zdławionym szeptem, mówiła daléj:

— Matka twoja jest bardzo nieszczęśliwą kobietą. Złą ona nie jest... owszem, ma ona serce i sumienie niegorsze, jak u kobiet innych... Ale raz w życiu popełniła ona grzech... i potém zwalił się jéj na plecy ciężar tak wielki, że, aby dźwigać go, sił jéj nie stało... Pamiętaj o tém, Julianko, że matka twoja nie jest złą, ani nieczułą, ani nikczemną, ona tylko jest bardzo nieszczęśliwą i bardzo słabą... Pamiętaj o tém i nigdy... nie miéj nienawiści dla matki swéj, ani wyrzekaj na nią... o! nie czyń tego! Żałuj jéj... a jeżeli ludzie źle o niéj mówić będą przed tobą, odpowiedz im: ona chciała jak najlepiéj, ale nie mogła... sił nie miała!...

Dziecko słuchało, na-pół tylko rozumiejąc. Znać jednak było, że szept kobiety, przerywany i westchnieniami nabrzmiały, nastrajał je uroczyście. Po chwili milczenia, wśród którego słychać było tylko ciężki oddech kobiecéj

piersi, głos dziecięcy zapytał:

— A gdzież jest moja matka?

Coś, jakby stłumione szybko łkanie, było na pytanie to piérwszą odpowiedzią. Potém kobieta półgłosem, z wolna bardzo, mówić zaczęła:

— Matka twoja jest w jednym kraju takim, gdzie wieczna panuje ciemność... nie świeci tam żadna gwiazda nadziei, a płomień miłości, jeżeli pali się jeszcze, to dlatego tylko, ażeby dręczyć, nie żeby pocieszać... Kraj to ciemny taki, jak najciemniejsza noc, ludzie uciekają z niego często do grobu... ale matka twoja nie miała siły uciekać... i myślała przytém, że, jak ucieknie, to na zawsze już ciebie porzuci... została więc i mieszkała tam ciągle, a z nią razem mieszka żal i wstyd, strach i bieda...

Dziecku na płacz się zbierało.

— A dlaczego... — zaczęło — dlaczego moja matka do tego ciemnego, strasznego kraju poszła?

Po chwili milczenia, kobieta ponuro i z dziwnym, jakby obłąkanym, uśmiechem w głosie, szepnęła:

— Dlatego, że bardzo kochała!

Milczały chwilę obie.

— Pani! — ozwało się dziecko. — Pani! a gdzie mój ojciec?

Głowa kobiety pochyliła się nizko.

— Wielki Boże! — zaszeptała gwałtownie.

Potém, miękko, rzewnie jakoś, wymówiła:

— Niech Bóg mu przebaczy! Przebacz mu! — mówiła daléj, przykładając twarz swą ku twarzy dziecka — i matce swéj, o! matce swéj nadewszystko, przebacz!... i o tém

także pamiętaj zawsze, co ci mówiłam, abyś grzeczną była, łagodną dla ludzi, nie brała nigdy nic cudzego... Pamiętaj, że, gdy tylko co złego zrobisz, serce twojéj matki bardzo zaboli, i ciemniéj jeszcze zrobi się w kraju tym, w którym mieszka ona...

— A teraz — dodała po chwili — chodź... pomodlimy się razem...

Wstała, i trzymając dziecko za rękę, poprowadziła je ku oknu. Za oknem ciemno było, deszcz padał i lipy szumiały. W pokoju téż panowała ciemność taka, że zaledwie śród niéj rozróżnić można było zarysy dwóch postaci: kobiecéj i dziecięcéj, klęczących przed oknem.

— Złóż ręce... patrz w niebo... nie widać go teraz, ale ono jest przecie... wiész o tém, że jest tam... za ciemnościami... mów: Ojcze nasz!

— Ojcze nasz! — z cicha powtórzyło dziecko.

— Głośniéj, głośniéj powtórz: Ojcze nasz, któryś jest w niebie!..

— Ojcze nasz, któryś jest w niebie!... — powtórzyło głośniéj dziecko, i zaczęło mówić daléj — przyjdź królestwo...

— Nie! nie! — zawołała kobieta — nachyl się aż do saméj ziemi, mów, wołaj, powtarzaj za mną: zlituj się nad nami!

Julianka, tknięta dźwiękiem jéj głosu, zaszlochała z cicha, potém, w ciemności głębokiéj, z ogromném łkaniem wybuchnął wykrzyk dwóch głosów:

— Zlituj się nad nami!

I powtarzał się wiele, wiele razy, aż utonął w długiem, coraz cichszym, płaczu.

* *
*

W parę dni potém, Julianka stała w progu starego gmachu, z opuszczonemi rękoma, i sztywnym wzrokiem wodziła dokoła dziedzińca. Miała ona na sobie odzież dość całą jeszcze i zupełnie nowe obuwie, ale z włosów jéj rozczochranych, twarzy nagle wychudłéj i głębokiego zgnębienia, piętnującego całą drobną jéj postać, poznać można było, że straszna boleść jakaś zmięła dziecięce to serce.

Piérwszy to raz od wczesnego ranka tego, w którym tragarze wynosili z pokoju panny Janiny skromne jéj sprzęty, a ona sama niepostrzeżenie przez nikogo, wysunęła się na miasto, aby nie wrócić więcéj, mieszkańcy dziédzińca zobaczyli Juliankę. Dotąd widywała ją tylko żydówka Złotka, która parę razy na dzień, w zawoju swym i kwiecistéj chustce na zgarbionych plecach, przebywała dziedziniec i wchodziła do wnętrza gmachu. Za każdym razem niosła tam ona miseczkę z żywnością jakąś, a wracając, mruczała coś do siebie i trzęsła głową. Komuś, kto zapytał ją o dziecko, odpowiedziała:

— No, ja nie wiem, co to za dziecko jest! Ja takiego dziecka, jak żyję, nie widziałam! Twarz jéj to już cała opuchła od płaczu. Siedzi w kącie pustego pokoju i ani gadać, ani jeść nie chce, tylko ciągle podłogę tę całuje, po

któréj kobieta ta chodziła. Ja jéj mówiła, żeby ona na dół zeszła i do moich małych wnuczek przyszła pobawić się, a ona na mnie, jak waryatka, popatrzała i odwróciła się do ściany... Nu, co ja jéj zrobię?

Po dwóch dniach jednak zeszła i w progu domu stanęła. Stała tak dość długo, spoglądając to na promienie słońca, ślizgającego się po trawie złotemi smugami, to na ptaszki przelatujące, to na dzieci bawiące się w innéj stronie dziedzińca, gdy w bramie ukazała się stara bardzo, mała kobieta.

Miała ona zupełny pozór żebraczki. W ręce trzymała kij gruby, którym nie tylko podpierała się, ale znać było, że szukała sobie drogi bezpiecznéj, któréj dojrzéć już nie mogły oczy jéj, krwisto świecące śród pomarszczonéj twarzy. Plecy jéj okrywał rodzaj salopy bez rękawów, połatanéj z przodu i z tyłu, a tak staréj, że żadnéj już określonéj barwy nie posiadającéj; na nogach, owiniętych szmatami płótna, miała płytkie, dziurawe obuwie, a na siwych włosach zrudziały watowany kaptur.

Żebraczka ta szła powoli bardzo, kijem swym stukając o kamienie, tu i owdzie z trawy wystające, i z wysileniem wielkiém ostatków wzroku swego, poszukując na dziedzińcu kogoś, lub czegoś.

Julianka, spostrzegłszy żebraczkę, głowę podała na przód i zaczęła przypatrywać się jéj z uwagą wielką. Nagle zeskoczyła z wysokiego progu i biedz zaczęła. W połowie dziedzińca spotkała się ze starą kobietą i krzyknęła:

— Pani! — Jednocześnie pocałowała rękę jéj, kij trzymającą.

— A!... kto to? czy to Julianka? — zapytała żebraczka chrapliwym, dygocącym głosem.

— Julianka! — odpowiedziało dziecko i pocałowało ją w rękę drugą.

Żebraczka niepewnym giestem ludzi, nic prawie niewidzących, poszukała głowy jéj i położyła na niéj dłoń zczerniałą i pomarszczoną.

— Aha! — zaczęła — poznałaś mnie i kontenta widać jesteś z tego, żem przyszła; to dobrze! Dobre z ciebie dziecko! Ot widzisz! przyszłam! Ja tu kilka razy już byłam i dowiadywałam się o ciebie. Cóż? dobrze ci teraz... jakaś pani opiekuje się tobą... Żebyś mnie zaprowadziła do niéj, tobym z nią zaznajomiła się i potém przychodziła-bym czasem, aby cię zobaczyć... a może byście dały mi cokolwiek... szmatę jaką zbywającą, albo łyżkę strawy ciepłéj... kto-by się był tego spodziewał?... No, zaprowadzisz mnie do swojéj pani, co?

Dziecko słuchało, ponuro patrząc w ziemię.

— Niéma już jéj — wyrzekło z cicha.

— Niéma! a gdzież się ona podziała? toż była jeszcze niedawno! U Złotki dowiadywałam się o ciebie... Gdzież ona?

— Nie wiem... pojechała gdzieś...

— Pojechała! — powtórzyła stara żebraczka, — no... a tyże?...

Julianka nie odpowiadała przez chwilę. Gdyby stara kobieta wzrok jeszcze posiadała, spostrzegła-by, że oczy dziecka miały w téj chwili dzikie jakiéś połyski.

— A ot, taka już dola moja! — rzekła po chwili z

powagą, dziwnie odbijającą od drobnéj jéj postaci, i z wolna w ziemię patrząc, ciągnęła daléj. — Matka mnie porzuciła, i pani mnie porzuciła, i panna Janina mnie porzuciła... wszyscy mnie wyrzucają tylko i porzucają...

— No, no! — przerwała żebraczka — nie wyrzekaj, nie wyrzekaj, z wolą Bozką zgódź się. A ja? widzisz do czego przyszłam? żebrzę! żebraczka jestem!... kto-by się był tego spodziewał! Nie porzuciła-bym cię była z pewnością, gdyby mi nie przyszła ta ciężka potrzeba... a co miałam robić z tobą? Ot i teraz znowu sama jesteś... żal mi cię... ale cóż zrobię?... żeby tak jeszcze oczy były, ale uciekły! zupełnie uciekły! drogi już nawet przed sobą nie widzę... no, bądź zdrowa! niech Bóg cię ratuje!

I szukała znowu trzęsącą się ręką głowy dziecka, aby je pożegnać; ale Julianka obiema rękoma uchwyciła brzeg połatanego jéj płaszcza.

— Niech mnie już pani teraz nie porzuca... — zawołała — niech mię pani z sobą zabierze...

Żebraczka zamyśliła się.

— Zabrać cię... a cóż ty robić będziesz ze mną? żebrać, tak jak ja... oj! to niedobrze! niedobrze! Ja to już drogą tą z życia wychodzę... kto-by się był spodziewał?... ale żebyś ty miała w nią wchodzić... to niedobrze... Panu Bogu za ciebie odpowiem! duszę swą zgubię.

I opierając się jakby pokusie ogarniającéj ją, odchodzić chciała; Julianka przecież drogę jéj zabiegła, płaszcza jéj czepiała się i ręce jéj całować zaczęła.

— Pójdę za panią! — szeptała — na koniec świata za panią pójdę... Sama tu nie zostanę już teraz za nic... Antek

bił-by mię znowu i głodem-bym marła... a pani to, tak nie widząc, zabłądzi gdzie jeszcze i zginie, albo upadnie i zabije się... ja panią prowadzić będę...

Oślepłe oczy żebraczki nabiegły łzami.

— Lękasz się, żebym nie zabłądziła, albo nie upadła — szepnęła — o! mój Boże! nikt o to nie lęka się oprócz ciebie... Nie zapomniałaś mię przez czas tak długi i lubisz mię... Dobre, wdzięczne z ciebie dziecko!... no, to już chyba wezmę cię z sobą! chodź! prowdzić mię będziesz... a może kto, widząc cię ze starą, ślepą żebraczką, zlituje się nad tobą... Weź mię za rękę i prowadź! Oj, jak mi lżéj! czy to dla tego, że drogi kijem szukać nie potrzebuję, czy że żywa dusza jakaś jest ze mną, ale lżéj mi iść... lżéj...

Wyszły razem z dziedzińca. Przed sklepikiem Złotki zatrzymały się, Julianka wbiegła do sklepiku i Złotkę w rękę pocałowała.

— Dziękuję pani za wszystko — rzekła.

Żydówka, która, widząc żebraczkę, stojącą śród chodnika, domyśliła się wszystkiego, zaczęła bardzo trząść głową. Wyszła ze sklepiku i, wkładając w rękę staréj kobiety parę assygnat, rzekła:

— Niech jejmość to weźmie. To ta guwernantka zostawiła u mnie te pieniądze dla małéj...

— A dobrze, dobrze! — szeptała żebraczka z radością widoczną — będziemy sobie za to żyły obie czas jakiś... ręki nie wyciągając... kto-by się był spodziewał?

Złotka patrzała za niemi, gdy odchodziły, i zawołała jeszcze:

— Julianka, nu! Julianka! słuchaj! przyjdź tu kiedy i

dowiedz się... może znowu tobie co przyśle...

— Przyjdę! przyjdę! — odkrzyknęła Julianka wesołym prawie głosem.

Wycieczka, w którą puszczała się, budziła w sercu jéj mnóztwo nieokreślonych ciekawości i nadziei, a oczy jéj chciwie i ze zdumieniem pogrążały się w głąb' ludnéj i gwarnéj ulicy, na którą po raz piérwszy w życiu wchodziła.

Odtąd widywać zaczęto na ulicach i placach miasta, starą, ślepą żebraczkę, prowadzoną przez dziesięcioletnie dziecię, mające na sobie odzież dość porządną z razu, potém coraz więcéj zniszczoną i podartą. Najczęściéj stawały one pod sklepionemi bramami kamienic. Na dziedzińcach domowstw nie widywano ich nigdy; odstraszały je snadź ztamtąd złośliwe psy i grubijańscy stróże domów. Przed wrotami kościołów nie siadywały téż i nie stawały wcale. Ślepa staruszka, drepcąc po nierównych kamieniach, mawiała do prowadzącego ją dziecka:

— Pod kościół nie poszłam... ot! wstydziłam się, i tyle tam bab grubijanek, nieobyczajnych... jeszcze-by mię były obiły... Najlepiéj w bramach stawać... bo to zawsze pod przykryciem jakiémś nie tak się przed oczyma całego świata stoi... kto-by się był spodziewał?... Jak tu sobie stoimy, to ludzie ci, co ulicą przechodzą, myśléć mogą, że czekamy na kogoś, a tymczasem idą tędy osoby rozmaite... kiedy zobaczysz, że pani jakaś przechodzi, albo pan, zaraz mię ostrzeż, ale sama nie proś... broń cię Boże... ręki nie wyciągaj i nie proś... ja wyciągnę i poproszę...

Stawały tedy w bramach, przez które przechodziły istotnie osoby różne. Za każdym razem Julianka pociągała

za płaszcz ślepą żebraczkę i, podnosząc głowę, szeptała śpiesznie:

— Idzie! idzie!

Wtedy, mała, zgarbiona staruszka, probowała wyciągnąć rękę, nigdy jednak udać się jéj to nie mogło. Coś ją od tego powstrzymywało gwałtem niezmożonym. Zamiast więc wyciągania ręki, wykonywała przed osobą idącą staroświecki dyg jakiś, szczególnie wyglądający przy połatanym jéj płaszczu i nogach szmatami owiniętych. Chciała téż zawsze mówić coś, ale trzęsła tylko głową w sposób objawiający prośbę, i szybko, szybko, po kilka razy wyszeptywała: kto-by się był spodziewał? Ktoby się był spodziewał?

Widywano je téż niekiedy przed wystawami sklepów różnych. Tu, staruszka stała, przyciśnięta do ściany domowstwa, aby nie zawadzać ludziom, idącym chodnikiem, a dziecko, oczyma błyszczącemi od ciekawości i zachwycenia, przypatrywało się przedmiotom, zdobiącym okna sklepowe. Czasem, obok ciekawości i zachwycenia, we wzroku dziewczynki zjawiała się chciwość. Zatrzymywała się i staruszkę zatrzymywała, nietylko przed sklepami, ale i przed straganami nawet, ustawionemi śród rynków lub na rogach ulic.

— Aj! jakie piękne bułki! — mówiła — a jakie obwarzanki! piękniejsze daleko niż te, co u Złotki?

Czasem, szeptem takim, jakby powierzała jéj ważną jakąś tajemnicę, mówiła do staruszki:

— A jakie tu śliczne gruszki są!

— Może ty tam ruszasz co? — zaczynała wtedy prawić

żebraczka — może ty tam co bierzesz bez pozwolenia? Broń cię Boże od tego! Siódme przykazanie Bozkie pamiętaj zawsze, jeżeli ci miłe szczęście ziemskie i zbawienie wieczne... Siódme przykazanie: nie kradnij! Jeżeli rozminiesz się kiedy z tém przykazaniem, pójdziesz do turmy i w piekle będziesz...

Julianka była posłuszną, ale mała ręka jéj mimowoli wyciągała się wciąż ku straganowi, pełnemu pieczywa lub owoców. Zdarzało się, że straganiarki, stare żydówki w zabłoconych spodnicach i brudnych czepcach, spoglądając na tę rączkę dziecięcą, wysuwającą i cofającą się z drżeniem, dawały jéj najtwardszą bułkę jaką, albo najmizerniejsze jabłko; wtedy dziecko mówiło z cicha; dziękuję! i idąc daléj a jedząc, odłamywało wciąż lub odgryzało kawałek bułki lub owocu i, wspinając się na palce, wkładało go do ust ślepéj swéj towarzyszki.

Tak w pogody i niepogody, tułały się dwie istoty te po mieście całém. Czasem siadywały na ziemi w miejscach ustronnych i spoczywały. Wtedy, gdyby ktokolwiek podsłuchywał je, usłyszał-by, jak stara kobieta opowiadała dziecku o przeszłości swéj, dawno, dawno minionéj, o rozkoszach, których zażyła, i ludziach, których znała, powtarzając co chwila: kto-by się był spodziewał? albo: gdzie teraz ludzie ci? gdzie? lub téż udzielała mu rad i nauk różnych.

— O to już tylko Boga proszę — mówiła — żebym żyła dopóty, dopóki nie podrośniesz trochę i nie będziesz mogła w służbę gdziekolwiek pójść... Przy mnie nie zmarnujesz się jeszcze do ostatka, a żebyś już choć dwanaście lat miała,

tobyś mogła komu za kawałek chleba i dachu posługiwać... a potém z silnemi rękoma biedy-by ci nie było... Najważniejsza rzecz, żebym żyła, póki z najmniejszéj małości nie wyjdziesz; ale nie wiem czy będę żyła... Wilgotna ta dziura, w któréj nocujemy, okropnie mi na reumatyzm szkodzi... kto-by się był spodziewał?... a co się tycze kości moich, to tak, jakby zaraz rozsypać się miały... jedna drugiéj nie trzyma się...

Biedne te, stare, wynędzniałe i zmordowane kości, rozsypały się snadź prędzéj, niż życzyła sobie tego ich właścicielka, bo w mieście przestano wkrótce widywać ślepą żebraczkę, a dziewczynka, która dawniéj była jéj przewodniczką, zaczęła chodzić sama po ulicach miasta. Nie wyszła ona jeszcze z *najmniejszéj małości*, któréj kraniec stara żebraczka upatrywała w latach dwunastu. Do wieku tego nie dostawało jéj jeszcze z półtora roku. Przytém miała ona zawsze wzrost mały i kształty drobne, tylko nogi jéj wydawały się zbyt długiemi w stosunku do całości jéj postaci; pochodziło to ztąd, że stara spodniczka, z któréj wyrosła, sięgała jéj do kolan zaledwie. Chude, nagie, nogi te, nie znały znowu, co to obuwie jakiekolwiek; czerwone były od chłodu i na ostrych kamieniach pokaleczone. Oprócz spodniczki krótkiéj, miewała ona jeszcze na sobie kaftanik bardzo podarty i szmatkę jakąś płócienną, nakształt chusteczki zarzuconą na głowę. Szmatka ta jednak zsuwała się jéj wciąż na plecy, bo utrzymać się nie mogła na włosach ogromnych, spierścienionych.

W ubraniu tém, z twarzą, która uderzała prawidłowością

drobnych rysów i głęboką śniadością cery, z dwojgiem wielkich oczu, czarnych i błyszczących, przesuwała się ona chodnikami ulic, stawała przed wystawami sklepów, u bram wysokich kamienic, lub okien nizkich domowstw.

Z razu prosiła o jałmużnę oczyma tylko, które podnosiła, milcząc, ku twarzom przechodniów; gdy mijali ją, nie zważając na niemą tę prośbę, nie szła za nimi, lecz czekała innych. Potém zaczęła wyciągać rękę i biedz za ludźmi, idącymi ulicą, przyczém szeptała coś monotonnie i trochę jękliwie. Zauważono, iż stawała najczęściéj przy tych oknach nizkich domowstw, za których szybami kwitły w wazonach zielone rośliny. Stawała przed oknami temi długo i często, przypatrując się zieleni i kwiatom, czasem z uśmiechem, a czasem z posępnym wyrazem w oczach. W ogólności, w twarzy jéj i poruszeniach uderzały sprzeczności rozmaite. Wzrok miewała posępny najczęściéj, ku ziemi opadający, albo rzucający z czarnych źrenic błyski nieufne i niespokojne; ale usta jéj drobne i blade posiadały wyraz dziecinnéj słodyczy, albo przejmującego cierpienia. Ruchy jéj były téż gwałtowne czasem, a czasem trwożne, powolne i znamionujące wielkie znużenie. W zimie składała małe, zsiniałe ręce i, pochylając głowę, przykładała je do ust swych. Tak szła i wtedy wydawała się skurczoną i bardzo zgnębioną.

Gdzie nocowywała? kogo znała i z kim w porze téj życia swego przestawała? Nikt nie wiedział na pewno, bo, po prawdzie, nikt téż się o to nie dowiadywał! Ci, którzy znali ją, bo dawali jéj często jałmużnę, widywali ją czasem wchodzącą, przed zapadnięciem zmroku, w pewien

wąziuchny, błotnisty i cuchnący zaułek miejski, a ktoś przechodzący raz w wieczór zaułkiem tym, wypadkiem spojrzawszy w niziuteńkie okienko o czterech zielonych szybkach, zobaczył izdebkę, a raczéj czarny, nizki, zakopcony kąt jakiś, w którym siedziała ona na słomie, obok kulawego na obie nogi dziada żebraka. Przy mdłém świetle malutkiéj świeczki, przylepionéj do brudnego stołka, dziad żebrak przewijał łachmany na kalekich swych nogach, opowiadając coś przytém zwolna i mrukliwie, a siedzące przy nim dziecko obejmowało rękoma podniesione kolana swe i słuchało go, z oczyma wpatrzonemi w czerwoną, siwym włosem obrosłą, twarz jego.

Raz znaleziono ją z rana, śpiącą w kątku miejskiego cmentarza, na małéj mogiłce, żółciejącéj gliniastą ziemią z za rzadkiéj i młodéj jeszcze trawy. Dowiedziano się potém od cmentarnego stróża, że była to mogiła ślepéj staruszki, niedawno znikłéj z ulic miejskich. Czasem przychodziła nocować do starego gmachu, na którego dziedzińcu wychodowała się, a wtedy wstępowała na wysokie piętro i sypiała w pokoju panny Janiny, który teraz stał pustką.

W dnie słoneczne zato hasała ona z gromadką ulicznych dzieci po ciasnych podwórkach lub najbrudniejszych placach miasta. Z gwałtowności, z jaką oddawała się wtedy swawoli, z krzyków jéj i skoków, poznać można było, że wynagradzała sobie czas dla zabawy stracony i że rada była bardzo, iż znalazła nakoniec rówieśników, którzy, stojąc z nią na równym zupełnie szczeblu społecznym, nie wypychali już jéj ze swego wesołego grona.

Coś jednak było w niéj zawsze, co odróżniało ją od

idyotycznych, na-pół dzikich jéj towarzyszy, coś delikatnego, powściągliwego i cicho cierpiącego, co nie znikało w zupełności wśród najgwałtowniejszych porywów swawoli jéj, lub dziecinnych gniewów. Byłyż to ślady kilkunastu miesięcy, przepędzonych u panny Janiny, we względnym dobrobycie i śród miękkich, uszlachetniających uczuć, albo rad i nauk małéj staruszki, wyrabiającéj włóczkowe roboty, a ślepéj żebraczki potém, czy téż może wpływ skłonności, smaku, pociągów pewnych, odziedziczonych po kimś, z krwią wziętych i na dnie natury jéj spoczywających?

Było w mieście kilka rodzin miłosiernych, które nietylko dawały jéj jałmużnę, ale pozwalały jéj od czasu do czasu przytulić się w ciepłym kątku kuchennym i zachęcały ją do pracy jakiéjś. Od zajęć, które jéj tam dawano, nie stroniła. Owszem, w słotne lub mroźne dnie przychodziła czysto sama do miłosiernych domów tych i prosiła, aby pozwolono jéj wschody zamieść, podłogę w sieni lub kuchni wymyć, samowar nastawić.

— Ja to wszystko umiem — mówiła.

Usiłowała wtedy zamiatać wschody i myć podłogę, ale nie mogła jeszcze należycie podołać zadaniu. Wielkie miotły i grube ścierki wymykały się z małych rąk jéj, aż niecierpliwe kucharki lub młodsze odbierały od niéj te narzędzia pracy i, stosownie do stopnia litościwości swéj, lub barwy swych humorów, rozkazywały jéj iść precz z domu, albo pozwalały wchodzić do kuchni. W ostatnim wypadku usiłowała ona stać się użyteczną czyszczeniem rondli, lub nastawianiem samowarów. Obie zresztą

czynności te spełniała wybornie, tylko, że nastawiając samowary, zamyślała się często, a raz nawet, czyniąc to, rozpłakała się rzewnie i głośno. Samowar przypominał jéj zawsze pannę Janinę i dzień ten, w którym po raz piérwszy w życiu przedmiot ten w mieszkaniu jéj ujrzała.

Służące mawiały o niéj:

— To dziecko, proszę pani, dobre jest przez to, że nigdy nic nie poruszy... żeby jéj niewiedzieć co kłaść przed oczy — nie poruszy!

Panie domów, wchodząc czasem do kuchni, głaskały ją po włosach i zadawały jéj pytania różne. Na pytania odpowiadała krótko, łagodnie czasem i z uśmiechem, a czasem mrukliwie i niechętnie. Zapytywana przez tych, którzy znali ją od niedawna: czyją jest? odpowiadała: wszystkich! albo: niczyją! Jeśli ją kto zapytał o matkę lub ojca, milczała uparcie. Rzadkie i obojętne pieszczoty, które spotykały ją od pań domów, przyjmowała sztywnie i obojętnie.

Była w niéj nieufność jakaś do czułości wszelkiéj i wielka trudność w uczuwaniu jéj i objawianiu.

Trwało tak rok, czy dłużéj nieco. Nagle mała żebrząca dziewczynka przestała ukazywać się na ulicach miasta, w domach miłosiernych dla niéj, w sklepiku Złotki, wszędzie. Nie widywano już jéj nigdzie. Z razu nikt na to nie zważał, potém jednak znaleźli się ludzie, których zaciekawiło albo zaniepokoiło nagłe to zniknięcie dziecka. Zaczęto dowiadywać się i po trochu szukać. Litościwe panie, które widywały ją czasem w kuchniach swych i głaskały jéj włosy, upatrywały ją pomiędzy ulicznemi dziećmi,

wyprawiającemi po dziedzińcach i placach wrzaskliwe harce; kucharki zapytywały o nią znajome sobie sługi i stróżów domów; ktoś poszedł po wiadomości o niéj na dziedziniec starego gmachu, na którym widywano ją niekiedy; a Złotka, odświeżywszy snadź w pamięci swéj historyą jéj dzieciństwa, na którą własnemi oczyma patrzała, przyrzekła nawet czarkę wódki i kilka kopiejek zapłaty temu z dziadów, lub żebrzących, kto dziecko wynajdzie.

Wszystkie jednak kroki, niezbyt wprawdzie usilne w celu odnalezienia Julianki czynione, nic nie pomogły. Nie było jéj ani pomiędzy ulicznemi dziećmi, ani w starym gmachu, ani wśród żebraków, ani na cmentarzu, ani na żadnym z dziedzińców i zaułków miejskich. „Rozstąp się ziemio!” — zniknęła.

Być może, iż istotnie rozstąpiła się pod nią ziemia, iż zziębła, zgłodniała i chora, cicho usnęła ona na wieki pod płotem zamiejskiego ogrodu jakiego, ztamtąd zabrały ją ręce stróżów publicznego porządu i sprawiły jéj pogrzeb bez dzwonów ni chorągwi, muzyki ni płaczu.

Przypuszczenie to jednak najmniéj wydaje się prawdopodobném. Istoty takie, jak ona, życie mają twarde. Fizyczne siły ich daleko wytrwalszemi zwykle bywają, niż ich zasady moralne. Być może więc, że zasada moralna, wpojona w Juliankę przez ślepą żebraczkę słowami: jeżeli rozminiesz się z siódmém przykazaniem, do turmy pójdziesz i w piekle będziesz! zachwiała się wobec silnéj pokusy lub zręcznéj namowy jakiéj, i że, słabe bardzo wyobrażenie mając o turmie, i czując, że piekło daleko, a

przedmiot ponętny blizko, rozminęła się ona z siódmém przykazaniem, poczém zamknęły się za nią żelazem okute drzwi miejscowego więzienia?

Być może jeszcze, iż pochwyciła ją jedna z tych sieci, którą zbrodniczy przemysł rozciąga na piękność kobiecą, w zarodzie choćby dostrzeżoną, i że ukaże się ona jeszcze kiedyś na świecie, dorosłą i wykształconą — w szkole występku?

Zresztą, wzięła ją jeszcze może z miejskiego bruku poczciwa wieśniaczka jaka, wracająca z targu lub z kościoła, a potrzebująca w chacie robotnicy małéj, i siaduje ona gdzieś teraz na łące zielonéj, pasąc stadko gęsi białych lub burych owieczek, szczęśliwa, bo otacza ją natura świeża i zdrowa, nieszczęsna zawsze — bo sama i cudza śród matek, całujących swe dzieci, i wśród dzieci, bawiących się na rodzinnych swych progach...

Jakkolwiek bądź, Julianki nikt już nigdy w mieście naszém nie widział, a za całe wspomnienie o niéj pozostała długa historya o porzuconém dziecku, którą Złotka opowiadać lubi ludziom, przychodzącym do jéj sklepiku.

Niekiedy, wysłuchawszy opowiadania staréj żydówki, ludzie mawiają:

— Smutna to historya!

Wtedy Złotka trzęsie głową w spłowiałym zawoju podnosi w górę pomarszczony palec i mówi:

— Czy ja jedna taką smutną historyą wiem o tych wszystkich ludziach, którzy na wielkim dziedzińcu, tym mieszkali i mieszkają! Ja historyi takich wiem bardzo wiele i, żebym tylko mówić chciała...

Potém, ze zwykłym sobie uśmiechem, pojętnym i wzgardliwym nieco, dodaje:

— I żeby ludzie słuchać chcieli o takich robakach...

Wkrótce jakoś po zniknięciu Julianki, do sklepiku staréj żydówki wbiegła kobieta, zdyszana od pośpiechu, mizerna, kaszląca. Ubranie miała ona skromne bardzo i jasne włosy, wijące się nad uwiędłą twarzą. Było jéj tak pilno czegoś i niecierpliwie, że, nie zważając na obecność osób kilku, nie witając się nawet z właścicielką sklepiku, pochwyciła rękę Złotki i pytać zaczęła:

— Moja kupcowo! gdzie ona! co się z nią dziéje? czy zdrowa? czy żyje?

Złotka pochyliła się i chwil kilka szeptała jéj coś do ucha. Kobieta słuchała szeptu jéj z niepokojem z razu, potém z przestrachem, nakoniec krzyknęła, twarz dłońmi zakryła i roztopiła się w łzy. Po krótkim tym, gwałtownym płaczu, rzuciła się ku drzwiom, wołając:

— To być nie może! ja jéj szukać będę! ja ją znajdę!...

U drzwi jednak stanęła z obwisłemi rękoma.

— Jak ja mogę jéj szukać? — szepnęła — jak ja mogę o nią pytać? ludzie domyślą się zaraz...

Daremna troska! Widząc niepokój jéj i rozpacz, łzy i wahanie się, obecni odgadli, że wątła ta, zwiędła, lękliwa kobieta, była matką Julianki; — lecz nigdy nikomu poszlaka najmniejsza nie pozwoliła domyślić się, kto był jéj ojcem.

KONIEC.

*Tekst jest **[własnością publiczną](#) (public domain)**. Szczegóły licencji na stronie autora: [Eliza Orzeszkowa](#).*

CZTERNASTA CZĘŚĆ.

OBRAZEK MIEJSKI.

I.

II.

III.

IV.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Eliza Orzeszkowa.*

I.

Ulica Kwietna była przed kilkunastu laty jedną z ulic miasta Ongrodu najcichszych i najbardziéj wiejski pozór mających. Niebrukowana, piasczysta w lecie, a błotnista w jesieni, z dwoma szerokiemi szlakami trawy w miejscu chodników, jednym końcem dotykała ona obszernéj, zielonéj łąki, drugim łączyła się z wązkim zaułkiem, którego wysokie kamienice, niby murem granicznym, oddzielały ją od gwarnego i turkocącego środka miasta. Z obu stron ulicy téj stały, w znacznych od siebie odległościach, drewniane jednopiętrowe domy, błękitnawe, lub różowe, sztachetami na zielono pomalowanemi, albo białawemi płotami, od siebie odgrodzone. Z-za sztachet, czy płotów, wychylały się rozłożyste gałęzie drzew owocowych i przeświecały zagony, usiewane warzywem. Przez otwarte bramy, lub fórtki, widać było dziedzińce nieobszerne, na-pół wiejskie, bo niebrukowane najczęściéj i trawą zarosłe, szaremi budowlami ostawione.

Na dziedzińcach tych uwijały się i na przechodniów poszczekiwały psy i pieski różnych wielkości i gatunków; nie rzadko, około wschodu i zachodu słońca, krowy przeciągle i rozgłośnie ryczały, po dachach przechadzały się poważne, wypasione koty, a we wszystkich prawie oknach zieleniły się i kwitły rośliny, hodowane w wazonach, bujne i pachnące gieranie, laki, balsaminy, hortensye, rozłożyste, gwiazdowate aurykle.

Przechodząc ulicą tą, w letniéj porze i około zachodu słońca szczególniéj, dostrzegać można było po drodze

drobne, lecz rozmaite rodzajowe obrazki. Tu i owdzie z-za nizkich białawych płotów wychylały się wśród zieleni szeregi małych głów dziecięcych, z roztarganym włosem, grubemi rysami, rumianą cerą, z oczyma roziskrzonemi swawolą, z bujnym owocem, albo sporą krajanką sera, przy pulchnych śmiejących się wargach. Tam, u dalekiego końca ulicy, podnosiła się przezroczysta i promieniami słonecznemi przenikniona chmura kurzawy, a śród niéj, jak w różowo złocistym obłoku, sunęła z wolna liczna trzoda krów, wracających z pola, chóralném ryczeniem napełniając powietrze. Tu hoża gosposia, z donicą w ręku, żwawo przebiegała dziedziniec; tam podstarzały gospodarz, z uśmiechem zadowolenia, podpierał w ogródku swym krzewy i oczyszczał drzewa; ówdzie jeszcze widać było w altanie, utworzonéj z prętów, owiniętych kwitnącą fasolą, stół, zastawiony do rodzinnéj wieczerzy; gdzieindziéj dziecię małe, w koszulce i bosonogie, na schodkach gankowych siedząc, z miłością cisnęło do piersi potulne kocię młode, albo inne, doroślejsze już, wyprawiało po piasku dziedzińca harce i gonitwy, z gorliwym, lecz łagodnym, stróżem domowym, pstrokatym, ogromnym kundlem. W niektórych domkach dźwięczały za oknami struny fortepianików, starych widocznie, bo ochrypłych, lub zbyt krzykliwych; w jednym zaś z domów, w największym ze wszystkich, długiemi niekiedy godzinami, z zawziętością szczególną rzępoliły skrzypce, wygrywające najrozmaitsze z kolei tańce. Na zewnętrznéj ścianie domu tego wisiała tablica z napisem: „Edward Robek, metr tańców. Lanciery, imperiale, oraz kaczucze, pas de deux i wszystkie inne

tańce salonowe, zgrabność figury i gracyą damską najlepiéj wyrabiające”.

Bezpośrednio za przybytkiem tym muzy tańca i gracyi, bo niewielkim tylko warzywnym ogrodem z nim rozdzielony, stał bardzo porządnie wyglądający dom o sześciu oknach, drewniany i jednopiętrowy, tak, jak inne, lecz na wysokiém podmurowaniu wzniesiony, biały i z błękitnemi okiennicami. Na strychu domu tego urządzony był pokój, zwany salką, którego małe okienko, bokiem zwrócone do bramy, wychodziło na dziedziniec i tak już wysoko umieszczoném było, że, górując nad otaczającemi budynkami, pozwalało swobodnie toczyć wzrokiem po łące obszernéj, ścielącéj się u końca ulicy, po długim pasie ciemnego lasu, zamykającym widnokrąg, po szerokiéj, drzewami osadzonéj drodze, przerzynającéj łąkę, i po wznoszącéj się nad tém wszystkiém, niczém nie zakrytéj, kopule niebios.

Okienko to codziennie o zachodzie słońca otwartém bywało na oścież, a w oprawie grubych ram jego, nad szeroko wystającym daszkiem gontowym, widać było głowę i ramiona siedzącéj u okienka kobiety. Ramiona te były szczupłe i kształtne, czarną wełnianą suknią po szyję okryte, twarz drobna, zmięta, lecz okrągła i różowa. Wśród téj różowéj, wpół-staréj, a wpół-dziecinnéj twarzy, wielkie, piękne oczy z dala już świeciły głębokim i świeżym szafirem bławatków.

Siadywała czasem w otwartém okienku celki owéj z igłą, lub drótami w ręku, a wtedy pracowała tak pilnie, i pochylała głowę tak nizko, że, utopiona w zajęciu swém,

zdawała się nic nie widziéć i nie słyszéć, a żywe rumieńce, okrywające zwykle okrągłe jéj policzki, podnosiły się aż ku figlarnym i młodziutko wyglądającym kędziorkom, osypującym pomarszczone jéj czoło.

Wtedy, z głębi salki wylatywały ptaki z gorąco ponsowém pierzem, siadywały na jéj ramionach, czepiały się ram okienka, a szczebiot ich, złożony z donośnych, gwiżdżących tonów, rozlegał się daleko po dziedzińcu i ulicy. Były to same gile oswojone, wypieszczone snadź i szczęśliwe w niewoli dobrowolnéj, bo, jakkolwiek zajęta robotą swą kobieta całemi godzinami nieraz nie zwracała na nie najmniéjszéj uwagi, żaden z nich nie odleciał nigdy daléj, jak na rosnącą u saméj ściany brzozę rozłożystą, która giętkie gałęzie swe zarzucała aż na wystający u dołu okienka daszek gontowy, a w gęstwinie swéj chroniła roje małych świegotliwych wróbli, szeroko i pospolicie wyglądających przy hodowanych w salce ptakach, z papuziemi główkami i szkarłatną piersią.

Jakkolwiek jednak szarą i pospolitą była ta drobna rzesza, żyjąca w gałęziach brzozy płaczącéj, szczupłe ramię kobiety, czarnym rękawem okryte, wyciągało się ku niéj często, rzucając na daszek, lub pomiędzy gałęzie, garstki okruch, czy ziarn. Lubiła snadź ptaki, a gdy po kilkogodzinnéj pilnéj pracy, podnosiła głowę i spoglądała na szare wróble, które, obecnością jéj spłoszone, przechadzały się w poskokach po gontach daszku, i na gile, które podlatywały, pogwizdywały, lub, kołysząc się na gałęziach brzozy, jak płomyki migotały w świetle zachodu, uśmiech wesoły twarz jéj oblewał i w szczególny sposób

odmładzał.

Lecz więcéj jeszcze, niż ptaki, lubiła ona snadź dzieci, bo często bardzo w okienku salki ukazywał się czteroletni pyzaty chłopak, ten sam, co po dziedzińcu wyprawiał głośne harce z pstrokatym kundlem, Filonem, i ukazywała się téż mniejsza znacznie od niego, zupełnie malutka dziewczynka, ta sama, która, na schodkach gankowych siedząc, w miłośnym uścisku tuliła często do piersi białe, żałośnie miaucząće kocię.

Dzieci te, przepędzające całe dnie letnie na dziedzińcu domu, zostawały widocznie z mieszkanką salki w stosunkach ścisłéj i czułéj przyjaźni. Chłopak wdrapywał się na jéj okienko, opowiadał rozgłośnie liczne i nigdy niekończące się dziecięce historye; dziewczynka siadywała na jéj kolanach, i z rozkoszą widoczną przyglądała się gilom i wróblom.

Wtedy, śród gwizdu i szczebiotu ptaków, rozlegały się głośne, liczne pocałunki. W rękach kobiety ukazywały się przysmaki przerozmaite, które podawała dzieciom; we włosy dziewczynki wplatała ona barwne wstążeczki, a raz, postawiwszy ją na swych kolanach, ubrała ją w ładną błękitną sukienkę, którą przez dni parę gorliwie szyła i haftowała, a która wywołała z piersi dziecka hałaśliwe krzyki radości. Radość ta cieszyła kobietę widocznie i niezmiernie, twarz jéj cała śmiała się i jaśniała wyrazem i świeżością piérwszéj młodości.

Niezawsze jednak w okienku tak wesoło było i gwarnie. Po zachodzie słońca nie ukazywały się tam ani ptaki, ani dzieci; jedne i drugie spały już we wnętrzu domowstwa.

Kobieta siedziała sama jedna, wśród ram okienka swego zawieszona, jakby pomiędzy rozłożystym wierzchołkiem brzozy a niebem, po którém nad samą, zda się, głową jéj, płynęły ostatnie światłości dzienne, puszyste, jaskrawe, szkarłatno-złote obłoki. Wtedy ciekawy wzrok zapuszczała ona w głąb’ ulicy, widzialnéj z-za płotu i nizkiéj bramy, i z zajęciem wyraźném przyglądała się najliczniejszym w téj porze przechodniom; często jednak zapominała o ulicy i patrzała daleko, daleko, po przez dachy domowstw, szare i nierówne, na widniejącą za niemi łąkę, na rozległą drogę. Wtedy ogarniała ją snadź zaduma głęboka ze wspomnień może, albo trwóg, bo drobna twarz jéj, różowa zwykle, bladła pod spadającym na nią mrokiem wieczora; a gdy tak siedziała nieruchoma, z grubą chmurą zmarszczek nad oczyma, w dal wpatrzonemi, wyglądała na istotę starą już, samotną i smutną.

Raz, w téj przedwieczornéj, mrocznéj i cichéj chwili, trzymała w ręku wielki liść akacyi i, obrywając zeń drobne, składające go listki, szeptała z wolna i głośno:

— Wróci? — nie wróci?

Ostatni listek wypadł z jéj ręki z wyrazem: „nie wróci”. Pochyliła głowę nizko, westchnęła głęboko i szepnęła:

— Chyba, że już nie wróci!

Innym razem, w jesieni, gdy od zamiéjskiéj pożółkłéj łąki chłodne powiewy niosły aż ku otwartemu okienku szmaty mgły wilgotnéj, a pod niebem, zamiast świetlistych, ruchliwych obłoków letnich, wisiały chmury nieruchome i deszczem nabrzmiałe, obrywała ona zwarzone zimnem listki białéj astry, szepcząc:

— W głowie, w mowie, w myśli, w sercu, na kobiercu, nigdzie!

Kiedy ostatni listek wypadł z jéj ręki, wraz z wyrazem „nigdzie”, obu dłońmi twarz zakryła i płakała długo, tak długo, aż na dziedzińcu ozwał się głos męzki, gniewnie wołający:

— Teosiu! Teosiu! a czemu to okna swego nie zamykasz? Czy chcesz, aby ci wiatr szyby potłukł? Niech tłucze! ja szklarzowi płacić nie będę! zapłacisz sama!

Słowom tym zawtórował z ganku małéj oficyny głosik kobiecy, dźwięczny i pieszczony, lecz który teraz, bez cienia pieszczotliwego uczucia, wołał:

— Ona, Klemensie, zaziębić się chce i żebyśmy potém, jak dwa lata temu, doktora i aptekę z jéj łaski płacili, sobie skąpiąc, a ją od suchot ratując!

Płacząca kobieta porwała się z miejsca i wyprostowała w okienku szczupłą swą kibić. Rozpościerając ramiona dla zamknięcia okienka, zawołała z gniewem:

— Co macie mi wiecznie wymawiać doktora tego i tę aptekę! Albom wam jeszcze za pieniądze te nie odpracowała? Cóż to? Okna nawet w pokoju moim otworzyć nie mam prawa? Ja tu nie przybłęda jestem żadna, ale takie samo dziecko swego ojca, jak i Klemens!

Wszystko to wykrzykiwała donośnie, zaostrzającym się wciąż, swarliwym głosem, a ze stukiem zamykając okienko, dodała jeszcze, ale już dla siebie tylko, i ze śmiechem rozjątrzonego szyderstwa:

— Aha! takie same dziecko! to prawda!... czternasta

część!

---

*Tekst jest **[własnością publiczną](#) (public domain)**. Szczegóły licencji na stronie autora: [Eliza Orzeszkowa](#).*

II.

Po raz piérwszy poznałam Teodorę Kończównę w parę dni po zamieszkaniu w domu jéj brata, w domu tym z sześciu oknami, wychodzącemi na ulicę Kwietną, i małém okienkiem, wyrzniętém od strony dziedzińca, w salce, urządzonéj na strychu.

W czarnéj, wełnianéj, lecz bardzo porządnie wyglądającéj sukni, mała, szczupła, lecz zgrabna, zatrzymała się chwilę w progu i ogarnęła mnie naprzód spójrzeniem swych szafirowych oczu, trochę nieśmiałém, lecz bardziéj ciekawém. Potém, zbliżając się ku mnie, rzekła, że przyszła w celu zabrania znajomości z lokatorką swego brata.

— Dawniéj — dodała — za życia nieboszczyka ojca mego, powiedziała-bym, że pani jesteś lokatorką naszą... ale teraz... dom ten należy do mego brata... a ja?... cóż ja?... zwyczajnie czternasta część!

Zapytałam ją o znaczenie ostatnich wyrazów jéj, niezrozumiałych mi z razu. Zapytanie to nietylko nie wydało się jéj niedyskretném, ale owszem, pochwyciła je w locie i z przyjemnością widoczną, jako punkt wyjścia dla długiego opowiadania i zwierzania się. Rozgadała się od razu. Znać było, że posiadała usposobienie gadatliwe, a zarazem otwarte, dobroduszne, ufne, i że mieszkańców domu brata swego uważała za naturalnych powierników swych, a może téż i usiłowała zyskać w nich dla siebie obrońców i sprzymierzeńców.

Osóbka to była skromna i nic wcale w świecie nie

znacząca, lecz, jakkolwiek dziwném wydać się to komu może, osóbki takie, skromne i nic wcale nieznaczące, bywają często bardzo zajmującemi dla tych, którzy z zamiłowania i obowiązku badają ludzkie dusze i dole. Rzec-by można, iż są to w świecie ludzkim owe drobniutkie żyjątka, których nagiém okiem nie dostrzega ogół, lecz które przed wzrokiem spostrzegacza, uzbrojonym w pomocnicze narzędzia widzenia, migocą, wirują, pracują, cierpią, po swojemu marzą i budują, słowem, żyją w sposób ciekawy i ze wszechżyciem tysiącznemi węzłami złączony.

— Na imię mi Teodora, ale czternasta część, to, pani droga, drugie moje imię... Piérwsze dał mi ksiądz na chrzcie świętym, drugie, nie wiem kto... pytałam się nieraz i siebie saméj, i rozumnych ludzi, dlaczego byłam zawsze i jestem czternastą częścią; ale sama nie odgadłam i nikt mi tego nie wytłómaczył... Jedni mówią, że taki już obyczaj; drudzy, że takie prawo; a ja tylko myślę sobie zawsze, że to wielka niedola i że nie daj Boże człowiekowi, w naszym stanie szczególniéj, urodzić się kobietą... Ojciec mój... nie znała pani ojca mego? pewno nie!... ogrodnikiem on był bardzo doskonałym i pracowitym, a i człowiekiem poczciwym, niéma co mówić, bardzo poczciwym, ale srogim i... jakby to powiedzieć? serca twardego, a i ręki nie miękkiéj, o! nie miękkiéj wcale... Z matką nieboszczką żyli podobno w zgodzie, ale ja tego już dobrze nie pamiętam, bo miałam lat ośm, kiedy urodził się brat mój, Klemens, a wnet potém matka tak zachorowała, że z łóżka nie wstała już nigdy, aż dopiéro podnieśli ją z niego ludzie, aby znowu do trumny na wieczny spoczynek włożyć. Chorowała jednak lat z

dziesięć, a ja, od ośmiu lat życia swego, i gospodynią domu, i niańką małego brata byłam. Często bywało po całych nocach przy choréj matce siedzę, a jak świt, do miasta lecieć muszę, żeby wszystkiego, czego trzeba do gospodarstwa, kupić.... w deszcz ulewny, czy w mróz trzaskający... lecę, a tego tylko boję się, żeby nie zabawić długo i nie spóźnić się ze śniadaniem dla ojca, bo on codzień z rana wychodził do wielkich ogrodów, które za miastem dzierżawił i z których taki miał dochód, że plac ten kupił i dom ten zbudował wtedy, kiedy ja jeszcze w kołysce byłam. Wracam do domu, a tu matka w łóżku jęczy i narzeka, że jéj wczas lekarstwa albo śniadania nie podałam; brat do szkółki, a potém i do szkoły wychodzi, przyodziać go i nakarmić trzeba; ojciec, jak w dobrym humorze, to w dobrym, ale jak w złym, to swarzy się, łaje, a czasem, ot, pani droga, zwyczajnie, jak człowiek prosty i chorowaniem żony, albo nieurodzajem w ogrodach zgryziony, i uderzy. Było mi tam wszystkiego... pracy, kłopotów, szturchańców i poniewierki różnéj... ręce sobie przy kuchni parzyłam... prania doglądając, od pary i żelazek czadziałam... na wiosnę i w jesieni, robotników, w tym oto własnym ogródku, dopilnowywać musiałam; a nierzadko ojciec kazał i saméj zagonik jaki skopać, lub opleć... pieszczoty nie znałam, ani odpoczynku, ani téż... pani droga... nauki! Czytać na książce do nabożeństwa nauczyła mnie matka, w łóżku leżąc... pisania i rachowania uczył trochę guwerner, co do brata przychodził; ale takie tam było uczucie! Ojciec, bywało, mówi: chłopca mi pan pilnuj, a dziewczyna, czy tam mądra, albo nie, to jéj wszystko jedno. Byle

gospodynią dobrą była! To téż i niczego mnie nie nauczyli, tyle tylko, że z książki do nabożeństwa pomodlić się w kościele trochę potrafię, i oczka, albo ściegi, w robocie policzyć. Robót różnych i szycia nauczyłam się niewiedzieć jak, tak jakoś, to ztąd, to zowąd, bo miałam do tego ochotę wielką i zdolność, a zawsze chciało mi się modniarką zostać. Ale ojciec nieboszczyk mówił: po co dziewczynie rzemiosło? Za mąż pójdzie i dzieci hodować będzie! Ot, pani droga, za mąż nie poszłam jeszcze, dzieci swoich nie hoduję i rzemiosła w ręku nie mam, aby niém sobie na swój własny kawałek chleba zarobić.

Tu umilkła.

Mała, ruchliwa zwykle, jéj osóbka, zesztywniała i znieruchomiała na chwilę, jakby zjęta wielkiém nad własną dolą zdumieniem. Uderzyły mnie w mowie jéj wyrazy: „Nie wyszłam jeszcze za mąż”. Więc nie utraciła dotąd nadziei, iż stać się to mogło! Po chwili zaczęła znowu:

— Z bratem, pani droga, co innego było, o! zupełnie co innego. Nie pieścił go ojciec wprawdzie, bo nie do pieszczot to był człowiek, ale dbał o niego, jak o źrenicę w oku i, jeżeli karcił, to chyba za zbytnią swawolę. Swawolnik bo był chłopiec straszny!... Kiedy ja, bywało, pracuję, haruję, i dobrego słowa od nikogo nie usłyszę; on po dniach całych, ledwie lekcyą odbywszy, bąki po ulicach zbija, z kolegami psoty różne wyprawia, a gdy przyjdzie do domu, to po to tylko, aby zjeść, wyspać się i mnie jeszcze zburczéć, jeżeli mu w czém nie dogodzę... Uczył się bo, to prawda, że się uczył. Naprzód guwerner do niego chodził, potém i sam do gimnazyum chodzić zaczął. Ojciec okrutnie

chciał, żeby gimnazyum skończył i urzędnikiem był; ale Klemens, jak doszedł do czwartéj klasy, tak ani rusz! W czwartéj klasie dwa lata siedział i do piątéj nie puścili, a dłużéj już w jednéj klasie siedzieć nie pozwolili. Cóż pani droga myśli, że ojciec na to powiedział? Zgryzł się z początku, ale potém ręką machnął: „Mniéjsza o to! dla mężczyzny wszystkie drogi otworem. Urzędnikiem zostać nie może, rzemieślnikiem będzie”. Ja wtedy już dwadzieścia cztery lata miałam i, słysząc, jak ojciec to mówił, rzewnie, choć po cichu, zapłakałam sobie. „Mój ty Boże! — myślałam — a dlaczegóż przede mną wszystkie drogi zamknięte? co ze mną kiedyś będzie?” Prawda, że był to czas, w którym ja często i gorzko płakałam, i po całych nocach, bywało, pytałam siebie: „co ze mną kiedyś będzie” A płakałam ja i pytałam się tak dlatego, że wtedy-to zgasła jedyna moja przez całe życie gwiazdeczka szczęścia. Zaświeciła i... zgasła... no, może nie na zawsze, i da Bóg, że zaświeci znowu, ale długo czekać i... ciężko!

Tu spuściła oczy i żywsze jeszcze, niż zwykle, rumieńce, twarz jéj oblały; potém podnosząc na mnie spójrzenie zawstydzone, naiwne, a jednak w głębi źrenicy gorącą iskrą rozpalone, ciszéj niż wprzódy, wahającym się głosem ciągnęła:

— Muszę już pani wszystko opowiedzieć... tak jakoś, od piérwszego spójrzenia, zaraz przylgnęłam do pani. Nie słyszała pani nigdy o panu Laurentym Tyrkiewiczu? pewnie nie! Otóż... kiedy miałam dwadzieścia lat, poznaliśmy się z sobą i... i... w cztery lata potém... w téj tam altance, widzi pani? w ogródku? w téj altance z chmielu... raz

wieczorem... nie bardzo wieczorem, o szaréj godzinie... oświadczył mi się. Byliśmy po przyrzeczeniu... Pani droga! jaka ja byłam wtedy szczęśliwa! raz tylko w życiu!... Po dwóch tygodniach pan Laurenty wyjechał, żeby sobie lepszego miejsca starać się, — bo to, pani, urzędnika syn i sam urzędnikiem był, — ale prędko miał wrócić i ze mną ślub wziąć... pojechał, miejsce otrzymał doskonałe, ale jeszcze nie wrócił...

Znowu: jeszcze! Spodziewała się więc powrotu narzeczonego.

— Jakże dawno pan Tyrkiewicz opuścił Ongród? — zapytałam.

Wahała się chwilę z odpowiedzią. Widoczném było, że nienawiść do chronologii wszelkiéj walczyła w niéj z napadem bezgranicznéj szczerości. Szczerość zwyciężyła.

— Pani droga! — szepnęła — na świętą Annę skończy się już od wyjazdu tego lat ośmnaście...

I wnet, zapominając o tém, że wygadała się już przed chwilą z ilością wiosen, które w szczęśliwéj porze onéj liczyła sobie, dodała:

— Ja byłam wtedy taka młodziutka.

— Sądzisz więc pani, że pan Tyrkiewicz wróci jeszcze?

Spuściła znowu oczy na-pół z zawstydzeniem, na-pół ze smutkiem:

— Pewną tego nie jestem — szepnęła — ale mam nadzieję... Kiedyś — dodała — kiedyś, gdy pani opowiem wszystko, pani sama osądzi, że to tak przejść nie mogło w żaden sposób, i że on wrócić musi...

— Czy pisuje?

— Pisał do mnie z początku kilka razy, ale teraz tylko do ciotki swojéj, pani Antoniowéj, pisuje czasem...

I z odcieniem radosnéj figlarności w spójrzeniu, szepnęła:

— Nie ożenił się!...

— Widzi pani — mówiła po chwili daléj — ja wtedy nie byłam taka, jak teraz jestem. Choć dzieciństwo w męce mi przeszło, w młodości rozkwitłam, jak róża, a dnia tego... była to niedziela... miałam na sobie białą perkalową suknią, którą sobie własnemi rękoma uszyłam i wyhaftowałam czerwoną bawełną, a włosy ubrałam w bez koralowy, którego w ogrodzie naszym moc jest wielka... Suknią tę i listki od tego bzu mam dotychczas w komodzie schowane i... jeżeli on nie wróci... poproszę, aby mi je do trumny włożyli...

Głos jéj zadrżał, w oczach mignęła łza.

— Potém, pani droga, po téj jedynéj szczęśliwéj godzinie, powlokło się znowu trybem swoim ciężkie moje życie... Matka umarła... ojciec zachorował... Klemens był już wtedy zecerem i w drukarni rządowéj pracował tak, jak i teraz pracuje, a grosz swój już mając, po dniach i po nocach całych nieraz w domu nie bywał. Pracował on, to prawda, ale i odpoczynek, i zabawę miał. Bywało w cukierniach przesiaduje, w bilard grywa, na wieczorki chodzi i do panienek umizga się... A ja z ojcem chorym jedna... Ojciec swarliwy zawsze, w chorobie zrobił się, jak ogień... a przez oszczędność sługi porządnéj nigdy nie pozwolił mi wziąć, ale podlotków jakichś trzymaliśmy zawsze, tyle tylko, co do samych najgrubszych robót...

Zresztą... wszystko ja... I gotuję, i piorę, i krowy i ogrodu doglądam, i nocami przy chorym siedzę, i do apteki po lekarstwa latami, a w wieczory zimowe, długie takie...

Boże-ż mój, Boże!... dom jak grób... ojciec nikogo, prócz mnie, przy sobie nie znosi, leży i stęka, albo swarzy się i wyrzeka, a ja przy lampce osłoniętéj siedzę i szyję... szyję... aż mi kark od nachylania, a palce od trzymania igły zdrętwieją, i po godzin kilka ust nie otworzę... Takie było życie moje, dopóki żył ojciec; ale sześć lat temu umarł on, i oto po śmierci jego właśnie dowiedziałam się, że mi na drugie imię czternasta część!

— Jakże to było?

— Oto tak: na kilka miesięcy przed śmiercią swoją, ojciec zaczął mi często swoję szczególną łaskę okazywać. Patrzy się, bywało, na mnie długo, długo, a ja widzę, że oczy jego robią się smutne i inne jakiéś, niż zwykle bywały. Raz, kiedy Klemens z wieczorynki jakiéjś do domu przyszedł, ojciec swarzyć się zaczął, że nigdy w domu nie siedzi. „Ty tam hulasz sobie, a tu przy gospodarstwie i przy mnie chorym siostra zawsze jedna! Dziewczyna zamęczy się!” Tak mnie, pani droga, rozczuliły te słowa ojcowskie, żem z płaczem do łóżka jego przypadła, i ręce jego całować zaczęła, i mówić, że nie jest to mi męką żadną, kiedy ojca rodzonego doglądam. Wtedy, pani moja, ojciec mnie, piérwszy raz w życiu, za szyję objął, głowę moję do piersi swojéj przycisnął, a Klemensowi powiedział: „Tylko ty mi, po śmierci mojéj, siostry nie skrzywdź”. Kiedy sobie teraz tę chwilę przypominam, do oczu mi łzy idą, i z żałości, i z radości. Żal mi ojca, który, choć twardy był i srogi

człowiek, wykrzyczał i wyszturchał nieraz, aleć zawsze ojcem rodzonym i kochanym mi był; ale téż i raduję się, gdy pomyślę, żem przecie mu dogodzić snadź potrafiła, kiedy w ostatnich dniach życia swego okazywał mi on takie ojcowskie serce, a przed samą śmiercią, i nic już mówić nie mogąc, rękę swą na głowie mojéj z błogosławieństwem położył i, patrząc na twarz moję wynędzniałą od smutku, pracy i niespania, zapłakał. Klemens żałował téż ojca, niéma co powiedzieć, żałował bardzo! kiedy do trumny go kładli, jak bóbr płakał, i na grobie mu śliczny krzyż z blaszaną tablicą i pięknym napisem postawić kazał. Prędzéj przecież łzy jego oschły, niż moje, i nic dziwnego! Całe Boże dnie i wieczory na mieście przepędzając, to w pracy, to w towarzystwach, rozrywki miał i nadzieje różne, których dla mnie... nie było. Jakoż w rok potém, zaledwie żałobę zdjął, już i ożenić się zamyślił. Cieszyłam się z zamysłu tego. Brata na ręku moim wyhodowałam, on mi jeden rodzonym krewnym na świecie pozostał, szczęścia jego pragnęłam. Ale, kiedy Klemens powiedział mi, z kim chce się żenić, pani droga! ledwie nie zemdlałam! Córka modniarki! rozhukana, rozbawiona, do pracy niezwykła, a kokietka! Z początku perswadować mu zaczęłam, a potém i gniewać się na niego za ten głupi wybór, który on zrobił. I miałam racyą! O, zobaczy pani, jak tu dłużéj pomieszka, kogo to on wziął sobie, i jaką to lalę wprowadził do rodzicielskiego naszego domu... Dość powiedzieć, że zaczęliśmy kłócić się z bratem. Raz w kłótni powiedział mi on: — „Jeżeli ci kobieta, którą ja za żonę biorę, nie w guście, możesz manatki swoje zabrać i iść sobie w świat!”

We mnie, na słowa te, zawrzało wszystko. „Dobrze — mówię — pójdę, ale oddaj mi to, co mi się po rodzicach należy... połowę tego, co warte domowstwo to i całe w niém gospodarstwo”. Klemens aż zaśmiał się ze złości i krzyknął: Połowę! figa ci nie połowa ojcowskiego majątku! Kobietą jesteś, siostrą, nie bratem... czternasta część należy ci się, nie zaś połowa!” „Kłamiesz — mówię — czy to nas czternaścioro było u rodziców? Dwoje nas tylko było, i ja takie samo dziecko matki i ojca naszego jak i ty!” Klemens wciąż śmiał się. „No — rzekł — idź do ludzi i pytaj się ich, kiedy mnie nie wierzysz!” Byłam na brata gniewna i rozżalona, poszłam do ludzi. Naraili mi ludzie adwokata pewnego, bardzo uczonego i uczciwego człowieka. Opowiedziałam mu rzecz całą. Wysłuchał mię i pyta: — „Czy ojciec pani zostawił rozporządzenie jakie?” Powiedziałam, jak było. Ojciec nie myślał nigdy o robieniu testamentu. Pan adwokat uśmiechał się, kiedy mu to mówiłam. „Ojciec pani — powiedział — nie znał widać prawa spadkowego, panującego u nas, albo téż, jak najczęściéj bywa, mniéj dbał o córkę, niż o syna. Brat pani ma słuszność. Jeżeli ojciec rozporządzenia żadnego nie zostawił, należy się pani czternasta część spadku po nim... i niéma co o tém mówić!” Ale! niéma co mówić! Ja uszom moim wierzyć nie chciałam. — „Panie drogi! — zawołałam — dlaczegoż to tak?” „Prawo jest takie” — odpowiedział. — „Panie drogi! — mówię — brat edukacyą otrzymał, w szkołach był, rzemiosła korzystnego wyuczył się... a ja nic!” Pan adwokat odpowiedział mi: — „Taki to już obyczaj”. Ja znowu na to: — „Lata moje młode terałam nad

choremi rodzicami i gospodarskim zachodem, dobra i dostatku w domu przysporzyłam, kiedy on bawił się sobie, hulał, a co zapracował, to na swoje własne przyjemności używał... czemuż to zawsze i wiecznie taka pomiędzy nami różnica?” Pan adwokat odpowiedział: — „Tak to już, proszę pani, świat ustanowił”. Wróciwszy do domu, cała w łzach tonęłam. Nie za tą już połową spadku łzy mi płynęły, ale niesprawiedliwość, któréj doznałam, sztyletem zanurzyła mi się w sercu. Srogi żal uczułam i do ojca, i do prawa, i do obyczaju, i do całego świata. Dlaczego ojciec dbał więcéj o brata, niż o mnie? dlaczego téż i prawo, i obyczaj, i serce ojcowskie, i świat cały, wyznaczyli mi czternastą część we wszystkiém, ale to we wszystkiém, i w familii, i w edukacyi, i w swobodzie, i w szczęściu, i w majątku? No, czternasta część, to czternasta część! niéma co o tém i mówić! jak powiedział pan adwokat. Poszłam do brata i zapytałam się go, ile tam wynosi ta moja czternasta część. Powiedział, że wedle ocenienia majętności całéj, zrobionego zaraz po śmierci ojca, należy mi się trzysta rubli. A kiedy mu na to śmiechem w oczy parsknęłam, i razem téż wielkim płaczem się zaniosłam, zawstydził się, czy téż rozczulił i, wziąwszy mię za rękę, rzekł: — „Jeżeli zostaniesz przy mnie, nigdy nędzy nie zaznasz. Będziesz sobie na salce mieszkać i z nami razem jadać. Od twoich zaś trzystu rubli procent ci płacić będę... siostrą mi jesteś. Żonie przykażę, żeby dobrą dla ciebie była”. Zostałam. I cóż miałam uczynić? Drogie mi ściany rodzicielskiego domu i ogródek ten, memi rękoma skopany i zasadzony, i ta altanka z chmielu, i wszystko, na co oczy moje od

dzieciństwa patrzały, i do czego serce przyrosło... Zostałam i mieszkam na salce, do stołu braterstwa siadam, w gospodarstwie im i w hodowaniu dziatek pomagam... Zdaje się, że nie źle mi być powinno... a jednak... ot, jak pani pomieszka tu dłużéj, to zobaczy, co się tu u nas dzieje... Powiem pani szczerze, dwie rzeczy tylko przy życiu mnie utrzymują: dzieciaki te braterskie, które tak samo, jak kiedyś brata, na ręku moich hoduję i — nadzieja, że jeszcze zaświeci dla mnie ta gwiazdeczka szczęścia, która kiedyś zaświeciła była, i — zgasła. Ot, taką jakąś czasem pewność mam, że jeszcze zaświeci, i czekam!

Skończyła mówić i, splotłszy na kolanach drobne, spracowane ręce, patrzała w przestrzeń nieruchomym wzrokiem. W naiwnych, bławatkowych oczach jéj kręciły się łzy, ale na zwiędłych, choć kształtnych jeszcze wargach, zawisł uśmiech — objaw wytrwałéj, żyjącéj jeszcze w sercu nadziei; czoło jéj sfałdowało się w mnóztwo zmarszczek i szczególną utworzyło sprzeczność z spadającemi na nie figlarnemi kędziorkami włosów i żywemi rumieńcami, które okrywały policzki. Twarz ta posiadała tę szczególność, że wyglądała zarazem staro i młodo. Steranie objawiało się w niéj obok świeżości, gorycz i żałość — obok nieznikłych złudzeń i nadziei, zmęczenie życiem, — obok przechowanéj dotąd, dziecięcéj niemal, naiwności.

Po chwili, zaczęła opowiadać mi o zajęciach swych, gustach, codziennych zwyczajach, i zapraszała mnie, abym przyszła na salkę zobaczyć ptaki jéj i roboty. Chętnie przyrzekłam, że odwiedzać ją będę, i wzajem prosiłam, aby zaglądała do mnie czasem; a gdyśmy tak rozmawiały, na

dziedzińcu zabrzmiał głos kobiecy, dźwięczny i donośny:

— Teosiu! Teosiu!

W téjże chwili, za otwartém oknem stanęła młoda i piękna kobieta, brunetka, z ognistém, złotawém okiem, wysoka, silnie zbudowana, strojna w kapelusik z białém piórem, kosztowny, lecz trochę śmieszny, bo pióro, dla lepszego wykazania całéj jego długości, postawioném było niemal pionowo, co kapeluszowi nadawało pozór rycerskiego szyszaka.

Znałam już trochę panią Jadwigę Końcową, to téż podeszła ona do okna mego i bardzo uprzejmie rzekła:

— Przepraszam panią za śmiałość moję, ale... chciałam dowiedzieć się, czy niéma tu Teosi?

Zauważyłam, że, na głos i widok bratowéj twarz panny Teodory drgnęła nerwowo i okryła się wyrazem złośliwego rozjątrzenia, którego wprzódy w niéj nie spostrzegłam.

— Jestem tu — odkrzyknęła — no, jestem! albo co?

— Idź popilnuj obiadu w kuchni, bo ja do miasta wychodzę!

— Ani myślę! — zawołała panna Teodora, rumieniąc się gorąco — mam inną robotę! Klemensowi koszulę szyć muszę. Pilnuj obiadu sama. Teraz nie pora na spacery!

Złotawe oczy Końcowéj zaiskrzyły się. Zdaje się, że gdyby nie obecność moja, powiedziała-by coś ostrego. Wstydziła się jednak kłótni jawnéj i, wzrokiem przebijając siostrę męża, jak sztyletem, drżącym od hamowanego gniewu głosem rzekła:

— To może choć dzieci popilnujesz... jeszcze tam na nie kipiątek w kuchni wyleją...

Teodora zerwała się z krzesła, jak sprężyną ruszona.

— Dla Boga! — krzyknęła — toś ty dzieci w kuchni zostawiła! Ani chybi, Janka mi oparzą, a Maniusię ze stołu zrzucą, jak roku zeszłego... O! Boże mój! dzieci w kuchni same...

I zapominając nawet o pożegnaniu mię, rozrumieniona cała i piorunujące spójrzenia na bratową rzucając, wybiegła.

Pani Klemensowa pozostała jeszcze chwilę pod mojém oknem. Do mieszkania mego wejść nie chciała.

— Jeżeli pani pozwoli, odwiedzimy ją późniéj, razem z mężem. Teraz nie mam czasu. Iść muszę po sprawunki różne z siostrą, która na mnie czeka; nie dla siebie kupować będę, o! nie! ja nigdy dla siebie nic nie kupuję! alboż my możemy, w stanie naszym, wydatki jakie robić? Ale matka moja zajmuje się szyciem sukien i strojów damskich, a my z siostrą kupujemy jéj zawsze fasony wszystkie i dodatki: pióra, kwiaty, wstążki. Trzeba-ż matce dopomódz! Czy pani tu, w Ongrodzie, suknią tę kupowała? Śliczna materya...

Suknie wszelkie zajmowały ją widocznie, ale zajmowało ją téż i co innego jeszcze. W bramie dziedzińca znajdująca się fórtka otwartą była na oścież, za nią rozległy się parę razy męzkie kroki przechodniów. Za każdym razem Końcowa oglądała się żywo, machinalnie poprawiała na sobie jedwabną zarzutkę, a oczy jéj nabierały gorętszego połysku. Zalotność uderzała w kobiecie téj od piérwszego na nią spójrzenia. Znać téż w niéj było pewien przebiegły i chytry sprycik, a także ostrość usposobień, osłoniętą słodyczą, na którą się siliła. Piękne, ponsowe, wydatne jéj wargi, drgały od chwili do chwili nerwowemi uśmieszkami,

to znowu układały się w zarys pełen goryczy. Rzucało to na fizyognomią jéj wyraz męczącego i chorobliwego niepokoju.

Jakoż, w piérwszéj już téj dłuższéj rozmowie ze mną, skarżyła się, że pracy w domu ma bardzo wiele i że dotąd jeszcze przyzwyczaić się do niéj nie może. U matki swéj pracy nie miała żadnéj prawie, i przed zamążpójściem bawiła się doskonale. Teraz mąż... dzieci... gospodarstwo... niepodobna już myśléć o własnych przyjemnościach, i jakkolwiek ciężko to trochę tak żyć po mieszczańsku, cóż jednak robić? Kto już raz z kamieniem u szyi w wodę rzucił się, ten tonąć musi!

Ręce jéj jednak, dość białe i delikatne, nie nosiły na sobie zbyt widocznych śladów pracy, o któréj mówiła, a strój kosztowny i pretensyonalny, zdradzał owszem bardzo pilną myśl o przyjemnościach własnych.

Z rozmowy téj wyniosłam przekonanie, iż Jadwiga Końcowa uważała się za ofiarę niestosownego ze wszech miar zamążpójścia, i że, wszechwzględnie czując się niezadowoloną, siostry męża szczególniéj nienawidziła głęboko i namiętnie. Widać to było z ostrych blasków, które przy wzmiankach o niéj rzucały jéj oczy, i z kilku słów, które wymówiła.

— Czy uwierzy pani temu, iż Teosia myśli jeszcze, iż jest młodą i ładną... Miała kiedyś narzeczonego jakiegoś... różnie ludzie mówili o tém... porzucił ją, a ona wciąż myśli, że wróci jeszcze do niéj... chyba-by rozum postradał!...

Zaledwie pani Klemensowa wyszła za bramę, pod okno moje przybiegła panna Teodora.

— A co? — szeptała — widziała pani, jaka wystrojona! czy to na nasz stan? ale Klemens przepada za nią i oddaje jéj na stroje połowę swego zarobku i dochodu z domu. Ale nie dość tego! I siostrzyczkę swoję jeszcze za jego pieniądze stroi, a mnie szklanki herbaty i kawałka bułki żałuje... Poszła dla matki sprawunki robić? O! już co za matką i siostrą swoją, to prawda, że przepada, i wszystkoby im z domu mężowskiego oddała. Będą z siostrunią za sprawunkami latać i ludziom na oczy nawijać się. Ręczę, że tam gdzieś oczekuje na nie Ernest Robek, ten metr tańców, co tu obok mieszka, i że razem spacerować będą... Ten Ernest Robek, młokos, frant, niby to do siostry jéj, Helki, umizga się, ale to parawanik tylko, a w saméj rzeczy...

Tu śpiesznie bardzo odbiegła od okna, i malutką dziewczynkę w błękitnéj sukience zniósłszy ze wschodów gankowych, poniosła ją do ogródka. W ogródku usiadła wśród zagonów, usianych warzywem, i poczęła rwać sałatę; pomiędzy gęstemi makami siedziała mała Maniusia, z drugiéj strony starszy o parę lat, Janek, budował na ścieżce domek z piasku i kamyczków; wkrótce przywlókł się do ogrodu wielki kundel pstrokaty, małe białe kocię wysunęło się z pośród zieleni, i para gilów, siedzących dotąd na gałęzi brzozy, pod ścianą domu rosnącéj, wleciała do ogródka i usiadło na szerokim krzewie koralowego bzu.

Długo potém, w cieniu krzewu tego, słychać było dźwięczny głosik panny Teodory, wciąż o czémś prawiącéj dzieciom, szczebiot dwojga dzieci, głośne pocałunki, miauczenie kotka, wesołe poszczekiwanie psa, i zawzięte gwizdanie gilów, kąpiących w słońcu szkarłatne swe

pierze...

Ładnie i wesoło było wtedy w ogródku, ale całkiem inne sceny rozegrały się w rodzinie Końców za raz następnego wieczora.

Widziałam przez okno, jak o zmroku panna Teodora, znalazłszy brata samego na dziedzińcu, długo mu o czémś szeptała, a on słuchał jéj nieruchomy, stroskany, w ziemię posępnie wpatrzony, i grubą, ciemną ręką, targał bujnego rudego wąsa. Potém, gdy wszystko uciszyło się na dworze, w oficynce, w któréj mieszkali Końcowie, wybuchła wrzawa dwóch głosów. Męzki głos był basowy, gruby, porywczy; kobiecy zanosił się przeraźliwie i wpadał w piskliwe tony.

Była to zawzięta kłótnia małżeńska, w któréj jednak ostatnie słowo otrzymała kobieta, bo głos męzki miękł stopniowo, łagodniał, odzywał się coraz rzadziéj, aż z łajania i wyrzutów przeszedł wyraźnie w prośby, czy przeprosiny. Potém w oficynie uciszyło się wszystko, a pan Klemens biegł śpiesznie na salkę, w któréj mieszkała siostra jego; zabawił tam krótko, lecz, gdy wyszedł, nad sufitem pokoju, w którym siedziałam, rozległ się głośny płacz panny Teodory.

Nazajutrz, gdy wychodząc z domu, spotkałam ją na dziedzińcu, oczy miała zabrzękłe od płaczu i z cicha skarżyć mi się zaczęła:

— Widzi pani! tak to zawsze! czyj grzech, a moja pokuta. Ostrzegłam go wczoraj, co do tych spacerów jéj, i co do tego Robka. Z razu rozgniewał się na nią, a mnie dziękował, bo strasznie jest zazdrosny; ale potém, gdy z nią

porozmawiał, tak mu się wykłamała, tak go sobie ujęła, że przyleciał do mnie, jak szalony, i złajał za to, że to niby plotki na żonę jego robię i potwarze rzucam... I tak bywa zawsze...

Uczyniłam jéj uwagę, że lepiéj-by może było, żeby przestała całkiem wdawać się w sprawy małżeńskie i zwracać uwagę brata na postępowanie żony. Zarumieniła się gorąco i zawołała:

— Niedoczekanie jéj, żebym ja na grzechy jéj patrzała i milczała. Obchodzi mię przecież honor i spokój brata rodzonego; ale, gdyby i nie to, czy ona mnie mało zawsze nakrzywdzi? Wyśmiewa mnie przed kim może, ogaduje: to, żem z panem Laurentym romans miała, to, że on mnie porzucił, to, żem stara i brzydka... A skąpi mi wszystkiego, zamyka przede mną w domu wszystko, jak przed złodziejem... nieraz to i umyślnie wleje mi wody do rosołu, albo herbatę czém brudném zmąci i, kiedy jeść, albo pić nie mogę, w żywe oczy mi mówi, żebym darowanemu koniowi w zęby nie patrzała, że na łasce u nich siedzę, to wszystko mi dobrém być powinno... Bratu krzywdę moję przebaczyłam, ale jéj... przebaczyć i pobłażać! nigdy! Cudza mi jest! do naszego domu przybłęda! Wyszła za Klemensa dlatego, żeby dostatek miéć, a teraz obdziera go i oszukuje!...

Chciéć pogodzić dwie te kobiety, zmuszone jednak wciąż żyć razem, było-by tém samém, co chciéć pogodzić wodę z ogniem. Nienawidziły się. Zkąd pochodziła nienawiść ta? ze sprzeczności może dwóch natur, całkiem odmiennych, a koniecznością do jednego miejsca

przykutych, z drobiazgów codziennego życia, z niczego i ze wszystkiego.

Wynikały ztąd nędze moralne, drobniutkie, ale nieustanne i których ciężar główny spadał na tę, co w sercu gospodarza i pana domu, zajmowała miejsce mniejsze.

Pani Klemensowa, młoda, piękna, ze swą wspaniałą kibicią i ognistém, zalotném okiem, znosiła niekiedy grubiańskie napady zazdrości, lub skąpstwa męża; ale w gruncie panowała nad nim wszechwładnie, i ze wszystkich starć i zajść rodzinnych wychodziła zawsze zwycięzko. Wyrzuty, łajania, upokorzenia i prywacye wszech rodzajów, dostawały się w udziele małéj téj istotce, o różowéj twarzy i gęsto zbrużdżoném czole, która, samotnie na salce swéj siedząc i cierpiąc srodze, z wytrwałością niezmordowaną marzyła o lepszéj przyszłości.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Eliza Orzeszkowa.*

III.

Codziennie z rana, przez okna mieszkania mego, widywałam Klemensa Końca, krzątającego się około zagrody swéj czynnie i gorliwie. Wysoki, barczysty, z rudawym włosem i twarzą, jak u siostry, okrągłą i rumianą, o świcie już wychodził na dziedziniec, dopatrywał sam pięknéj i tłustéj krowy, stojącéj w obórce, kopał w ogrodzie zagony, lub przesadzał krzewy, nierzadko drzewo rąbał, albo z siekierą i motyką w ręku coś około płotów i zabudowań poprawiał. Wszystko to czynił z powagą i przyjemnością widoczną; a gdy, wnet po wschodzie słońca, z ganku, lub otwartego okna oficynki, rozlegał się głos pani Jadwigi, wołającéj go na śniadanie, podnosił znad roboty swéj twarz, oblaną często potem zmęczenia, lecz i zadowoleniem rozjaśnioną, i starannie złożywszy w małym składziku narzędzia gospodarskie, śpiesznym, szerokim krokiem, szedł ku mieszkaniu swemu.

Wtedy, we wnętrzu oficynki rozlegał się brzęk naczyń stołowych, odzywać się zaczynały głosiki obudzonych dzieci, ranny czepeczek pani Jadwigi, śnieżnie biały zawsze, migotał za otwartemi oknami, i widać było Klemensa Końca, siedzącego przy błyszczącym, jak złoto, samowarze, i trzymającego na kolanach syna, lub córkę. Ramionami, ubranemi w rękawy białéj koszuli, czule ogarniał on dziecko, pochylał wielką rumianą twarz swą ku małéj jego twarzyczce, i zaglądał mu figlarnie w oczy; czasem téż z dużego fajansowego spodka wlewał herbatę, lub mléko, w otwarte po ptaszęcemu dziecięce usta.

W rannéj téj porze dnia, znać w nim było poważnego gospodarza domu i szczęśliwego ojca rodziny; ale, gdy po skończeniu śniadania wychodził na miasto, do drukarni rządowéj, w któréj od lat już wielu, jako piérwszy zecer, pracował, wyglądał znowu wcale inaczéj. W czarném i czystém zawsze odzieniu, w staroświeckim, ale starannie oczyszczonym, cylindrze na głowie, gdy ranek chłodny był, w dostatnim paltocie, miał on pozór zamożnego obywatela miasta, dbającego wielce o porządne pozory, i do mody już trochę zastosować się umiejącego, i osobistą godność swą ceniącego wysoce. Krok jego, poważny zwykle, na ulicy stawał się jeszcze poważniejszym, a szafirowe, tak jak u siostry, oczy, patrzyły z pod nizkiego czoła z wyrazem roztropności pewnéj i doskonałego spokoju. Gruby w obejściu się i grubość tę zmieniający na łagodne uśmiechy i czułe spójrzenia wtedy tylko, gdy pieścił dzieci swe i do nich przemawiał, Klemens Koniec nie zupełnie obcym był wszystkiemu, co nazwać można światłem umysłowém. Ukończone cztery klasy gimnazyalne pozostawiły mu w głowie ślady wiadomości pewnych, na-pół zatarte wprawdzie późniejszém odłogowaniem umysłu, ale niedopuszczające już obskurantyzmu zupełnego. Książek nie czytywał nigdy i otwarcie przyznawał się do tego.

— Książki — mówił nieraz — rzecz to dla mnie za mądra i za długa. Ile tylko razy brałem je do ręki, tyle razy, po przeczytaniu dwóch stronic, albo zasnąłem, albo zacząłem myśléć o czém inném. Gazety, to co innego; prędko człowiek je może przeczytać, łatwo zrozumiéć i dowiedzieć się z nich o wszystkiém, co się dzieje na

świecie. — Parę téż razy na tydzień, wracając z drukarni, zachodził do cukierni i czytywał gazetę. Obchodziły go téż żywo sprawy miejskie, lubił rozprawiać o niedołężności burmistrza, o niewłaściwości przyjętego w Ongrodzie systematu opodatkowania, o różnych niezaspokojonych potrzebach miasta; a najgorętszém marzeniem jego i szczytem ambicyi było: zostać urzędnikiem magistratu, radcą, zasiadającym obok burmistrza i wotującym za, lub przeciw wybrukowaniu Kwietnéj ulicy, za, lub przeciw zapaleniu na téjże ulicy jednéj latarni więcéj. W domu, pomimo zamiłowania do polityki i różnych bieżących wiadomości, które bawiły go niezmiernie, dziennika żadnego nie miał. W mieszkaniu Kończów, oprócz dwóch książek do nabożeństwa, leżących w bawialnym pokoju na komodzie, pomiędzy dwoma posrebrzanemi lichtarzami i szkatułką, zdobną w konchy, ani jednéj litery drukowanéj znaléźć nie było można.

Prostota i staroświecki, mieszczański obyczaj, cechowały mieszkanie Kończów. Składało się ono z niewielkiéj bawialni, jasno oświetlonéj dwoma weneckiemi oknami, na zielony ogródek wychodzącemi, z obszernéj sypialni i czystéj, widnéj kuchni. Główną ozdobą bawialni była owa komoda, opatrzona w szkatułkę, wyklejoną konchami i srebrzyste lichtarze, a także u okien firanki siatkowe, misterne i pracowite dzieło rąk panny Teodory. Zresztą, proste jesionowe sprzęty żółciały tam śród ścian, umalowanych w szafirowe wieńce i esy, i jedynemi przedmiotami, zakrawającemi na zbytek, a przez panią Jadwigę tu wprowadzonemi, były: lusterko w złoconych

ramach, nad komodą wiszące, i spora lampa, stojąca na stole przed żółtą kanapą. Kiedy do pokoju tego weszłam po raz piérwszy z panną Teodorą, wskazywać mi ona zaczęła firanki, serwetę stół okrywającą, patarafki pod lichtarzami, i mnóztwo innych drobnostek, z włóczki i bawełny wyrobionych.

— Wszystko to mojéj roboty — szeptała — z duszy i serca chciała-bym zrobić przyjemność jaką bratu, mieszkanie jego przyozdobić, zasłużyć się mu i serce jego dla siebie ująć... Nocami całemi pracuję czasem, sukienki sobie nie kupię, aby mu tylko siupryzę jakąś zrobić...

W sypialni znać było także pracowitą i usłużną jéj rękę. Tam także znajdowało się mnóztwo drobnostek, bądź do gospodarskiego użytku, bądź do ozdoby przeznaczonych, a przez nią starannie i dość ładnie wykonanych. Łóżeczka dziecinne okryte były bielizną, przez nią wyhaftowaną, a przy nich stało po kilka par malutkich różnobarwnych bucików. Tu szerokie okno wychodziło już nie na ogródek Końców, ale na spory ogród warzywny, za którym znajdowało się mieszkanie metra tańców. Pod tém oknem, z robotą w ręku, lub i bez roboty, lubiła najlepiéj przesiadywać pani Jadwiga.

Za ogrodem warzywnym widać było okna Ernesta Robka, które w ciche letnie wieczory otwierały się na oścież, i dając niby sygnały jakieś, powiewały białemi sztorami.

W jesieni i zimie mieszkanie metra tańców jaśniało od zapalonych w niém świateł, nad pustemi zagonami unosiły się dźwięki skrzypiec i fortepianu a u weneckiego okna

sypialni piękna żona pana Klemensa, stała z czołem przyciśniętém do szyby, z twarzą rozpaloną, oczyma wpatrzonemi w okna, błyskające z za mgły deszczowéj lub śnieżnéj, z piersią, pełną buntu i westchnień. Cała istota jéj wyrywała się z cichych tych, ciasnych pokoików, do owéj sali tańców, dusznéj, gorącéj, pełnéj kurzu, lecz pełnéj téż i ludzi, muzyki, śmiechów i szeptów. Czasem, w chwilach owych, przez dziedziniec przebiegła szybko i do sypialni wsuwała się wysmukła, zgrabna postać kobieca, klękała przed zamyśloną i łzy swe połykającą kobietą, a obejmując kibić jéj i palcem wskazując oświetlone za ogrodem okna, z gorącą prośbą szeptała:

— Jadziu! pójdźmy tam! pójdźmy tam!

Końcowa załamywała ręce.

— Lękam się... Klemens nadejść może...

— Nie nadejdzie z pewnością i nie dowié się.

— A! nie dowié się! prawda? a *taż*... donosicielka przebrzydła, co tam na górze siedzi!...

— Nie powié może?

— Ona-by powiedzieć nie miała!

— Poprosić ją trzeba!

— Ja! prosić ją! za nic!

Zgrabna, wysmukła dziewczyna całowała ją po rękach.

— Jadziu! zlituj się! kiedy dziś tam ze mną nie pójdziesz, ja zachoruję! umrę!

Na te słowa pani Jadwiga zrywała się, zapalała świece i obie stroić się zaczynały, a raczéj żona pana Klemensa stroiła siostrę, a zapominając prawie o sobie, wciąż przyglądała się pięknéj, złotookiéj i czarnowłoséj, jak ona,

dziewczynie, obejmowała kibić jéj, całowała w czoło i oczy, śmiała się i wyglądała na kobietę, zupełnie szczęśliwą.

— Moja ty Helenko najmilsza, — mówiła, upinając starannie na kształtnych ramionach dziewczyny wydobytą z szuflady pelerynkę, — moja ty siostruniu! żebym ja cię przy sobie ciągle miéć mogła, tobym już niczego więcéj nie chciała... Aha! — dodała, — żeby nie ta! mieszkały-byście z matką obie u nas na salce... wspominałam już o tém Klemensowi, ale on odpowiedział: „siostry nie wypędzę z domu! Piérwsza tu moja siostra, niż twoja”. O! ta gadzina! przez nią wy musicie w tym okropnym zaułku i tak daleko ode mnie mieszkać! A żebyśmy się tu wszystkie trzy razem zebrały, i Klemens musiał-by zaraz śpiewać inaczéj!...

— Jadziu! — figlarnie szepnęła dziewczyna, — a żeby ona sobie za mąż poszła! Trzeba-by ją chyba komu wyswatać!...

— Ona za mąż! ją wyswatać! chyba dziadowi z pod kościoła, temu, co to z tym czerwonym nosem pod Farą zawsze siedzi i o Samsonie śpiewa...

Wybuchnęły obie głośnym, serdecznym śmiechem.

— Nie, — wołała Helka, — ja dla niéj lepszą partyą znalazłam. Wyswatam ją naszemu kulawemu stróżowi... owdowiał niedawno... mówią, że po pijanemu żonkę zatłukł...

— Jéj-by i kulawy stróż już nie chciał, stara taka i straszna... Czy uważałaś, jakie u niéj czoło zmarszczone, jak u sześćdziesięcio-letniéj baby, a loczki sobie zawija młodziuteńkie... przytém i te jéj rumieńce nieznośne, pewno

różuje się...

— Burakiem! — śmiejąc się, dodała Helka.

A gdy tak, dumne młodością i pięknością swą, przed małém lusterkiem włosy sobie trefiąc i kokardki do sukien przypinając, żartowały z kobiety podstarzałéj i samotnéj, ona, przybyła przed chwilą dla uśpienia dzieci i uporządkowania naczyń kuchennych, w kątku ciemnéj kuchni siedząc, rozmowy ich słuchała. Siedziała i słuchała, dopóki nie zgasiły świec i nie wymknęły się z domu cichuteńko i ostrożnie. Wtedy wchodziła do sypialni, z gorętszemi niż zwykle rumieńcami na twarzy, z ustami drżącemi, zapalała lampę, rozbierała i kładła do kołyski napół już uśpioną dziewczynkę, a chłopcu rozkazywała przy sobie odmawiać pacierze. Potém szła do kuchni, z pomocą służącéj czyściła i porządkowała wszystko, nastawiała samowar, aby gotów był w razie wcześniejszego, niż zwykle, powrotu brata, i resztę wieczoru spędzała nad szyciem bielizny lub sukien. Siedząc pomiędzy kołyską a małém dziecinném łóżeczkiem i pilnie pracując, często spojrzenia rzucała na dzieci, i czujna na każde ich poruszenie, obudzone usypiała znowu kilku pieszczotliwemi słowy, albo piosnką, wynuconą głosem przyciszonym i smutnym.

Najczęściéj pani Jadwiga i siostra jéj wracały z sali tańca przed powrotem gospodarza domu, a najmniejszéj z pozoru nie zwracając uwagi na pracującą i czuwającą przy dzieciach kobietę, zdejmowały pośpiesznie stroje swe, i głośno, wesoło rozmawiały z sobą o doznanych przyjemnościach i widzianych osobach.

Głównym celem tych rozmów i téj wesołości było rozbudzenie zazdrości i żalu w sercu téj, o któréj myślały, że zadowoleń podobnych doświadczać już nie może. Ona rozumiała złośliwe intencye te i mściła się na swój sposób, opowiadając bratu zaraz nazajutrz o wczorajszéj wycieczce jego żony. Niestety! po krótkiéj utarczce z mężem, pani Jadwiga zażegnywała burzę czułém słówkiem jakiémś, pokorną minką lub zalotną pieszczotką, a grad wyrzutów i łajań spadał z ust pana Klemensa na głowę jego siostry. Pani Jadwiga nie łajała jéj głośno nigdy, lecz, widząc ją w chwilach owych zupełnie już bezbronną, z cicha, ale nielitościwie z niéj szydziła.

— A co? Teosiu, — zapytywała z nerwowym uśmieszkiem swym, — czy nie miałaś czasem listu od pana Laurentego?

Albo téż, przymrużając swoje śliczne, błyszczące oczy, i przypatrując się jéj pilnie, mówiła:

— Ach! moja Teosiu! jakże ty siwiejesz! Pan Laurenty, jak wróci, nie pozna cię z pewnością!

Innym razem dawała jéj herbatę bez cukru i kluczyk od cukierniczki chowała do kieszeni, albo rozkazującym tonem mówiła jéj, aby szła do kuchni i potrawę jaką sporządzała, lub rozniecała ogień.

— Ja tego nie umiem, — dodawała lekceważącym tonem, a tyś to całe życie robiła... możesz témbardziéj robić i teraz.

Potém szeptała mężowi:

— Mój drogi! żeby to mamę i Helcię na salkę do nas sprowadzić... jaka-bym ja była szczęśliwa!...

Białą i wypieszczoną, choć dużą i niezbyt zgrabną ręką, głaskała go po nizkiém czole i z figlarnym śmiechem wołała:

— A jakbym cię kochała! strach!

Salka, ów przedmiot pożądania pani Jadwigi i namiętnie przez nią kochanéj jéj siostry, była pokoikiem niewielkim, lecz widnym, ciepłym i wesołym.

Panna Teodora zrobiła z niéj prawdziwą altanę, zieloną i pełną świergotu ptaków. Zarody dobrego smaku i skryta poetyczność samotnego i sponiewieranego serca objawiały się w gęstych zwojach bluszczu, oplatających ze wszech stron ściany śnieżnie białe, w kwitnących gdzieniegdzie roślinach, skromnych, lecz starannie pielęgnowanych, w skrupulatnéj czystości i doskonałym ładzie ubogich sprzęcików.

Kiedy ją piérwszy raz odwiedziłam, otwierała przede mną z kolei kuferek swój i szuflady sporéj komody, z cechującą ją zwykle otwartością i wielomównością ukazując mi, jak mówiła: „całe dobro swoje“. Majętność to była szczególnéj natury: składały ją przeróżnego rodzaju łachmanki, znoszone stare suknie, okrawki płócien i materyi różnych, szmatki wstążek, spłowiałych i podartych haftów.

Było téż tam mnóztwo robót ręcznych, pokończonych i pozaczynanych. Szyła czasem suknie dla dawnych znajomych swych, haftowała téż ładnie, wyrabiała różne szydełkowe koroneczki i podstawki, a za otrzymany ztąd skromny wielce zarobek czyniła przysługi różne bratu i stroiła jego dzieci. Dla siebie potrzebowała niezmiernie

mało. Czarna jéj codzienna suknia trwała długie lata.

— Co mi tam! — mawiała, — dla kogo ja stroić się będę? Ten, któremu pragnęła-bym wydać się piękną, daleko... daleko... a oprócz niego, nie obchodzi mię świat cały!

Pan Klemens ze skargą i podziwem rzekł raz do mnie:

— Czy pani myśli, że Teosia nie mogła-by dziesięć razy wyjść za mąż, gdyby tylko chciała? Przystojną była dziewczyną, pracowitą i z poczciwego rodu, to téż niejedna jéj partya zdarzała się wcale niezła. Chciał się z nią żenić organista farny, człek przystojny i utalentowany, a niedawniéj jeszcze, jak pięć lat temu, kolega mój jeden, zecer, zamożny, stateczny i zdolny, bywał u mnie, bywał, aż rzekł: „panie Klemensie, daj mi siostrę swoję za żonę! co się ma tak poniewierać! podoba mi się! żal mi jéj!” Cóż pani myśli? nie chciała. Uparła się jak kozieł, nie i nie! Com się nad nią namordował. Za nic! Odkąd się w Tyrkiewiczu zakochała, na nikogo ani spojrzała nigdy. Czy to nie głupota, proszę pani, i nie ostateczne dziwactwo!

Ona sama potwierdziła to opowiadanie brata.

— Zdarzali się ludzie różni, — mówiła, — i porządni, ale... nie mogłam! Z początku myślałam sobie zawsze: dobrze! pójdę już, pójdę! kącik własny przynajmniéj będę miała, bratu ciężarem przestanę być, bratowéj z oczu zejdę, a może... może téż mię Pan Bóg i własném dzieckiem, aniołkiem jakim, obdarzy... Ale gdy tylko przychodziło do stanowczego słowa, wnet, jakby na zaklęcie, pan Laurenty przed oczyma mi stawał... widzę go, bywało... twarz jego, oczy, uśmiech, jakby żywy stoi przede mną, i taki mię żal, i

taka mię tęsknota za nim zdejmuje, że zdaje się, ot już zaraz serce rozedrze się na dwoje... We snach wtedy widywałam go każdéj nocy... a raz, gdy już, już miałam przyrzec temu tam organiście, przyśnił się mi w strasznym niby gniewie i w desperacyi, wyciągnął rękę i takim strasznym głosem krzyknął: „zdrajczyni!” że ze wstydu i żałości aż obudziłam się! Wié pani, że choć nie po różach ja tu chodzę i nie same karmelki zjadam, wcale a wcale nie żałuję, żem wszystkim im dawała harbuza... Gdybym była wyszła za mąż, a Laurenty powrócił, utopiła-bym się z pewnością... Co to jest, pani droga, kiedy człowiek cztery całe lata kocha kogoś duszą i sercem, a potém oczy za nim wypłacze i serce wytęskni... czy może już zapomnieć i wszelką nadzieję utracić... Ależ i on mnie kochał prawdziwie i ogniście... czy to ja nie pamiętam? wszystko pamiętam... Tam, w altance, klęczał przede mną, w ręce mię całował i szeptał: „ja ciebie, Teosiu, kocham nad życie i szczęście, i niech mnie Bóg skarze, jeżeli kiedy kochać cię przestanę!” Przyznam się pani, jak na spowiedzi...

Tu urwała i zarumieniła się gorąco. Ze spuszczonemi oczyma, i głosem drżącym od wstydu i łez powstrzymywanych, dokończyła:

— Pocałował mię wtedy...

Podniosła głowę i, z osłupiałym wzrokiem w naiwnych oczach, wymówiła:

— I to wszystko miało-by się tak skończyć? I on miał-by mię, jak ludzie mówią, na zawsze porzucić? nigdy w to nie wierzę! Pojechał, bo musiał; nie wraca dotąd, bo nie może; ale jak będzie mógł... wróci. Wtedy to, pani droga, ja przed

Bogiem na twarz padnę i całe serce moje w dziękowaniu mu roztopię, a ludziom w oczy śmiechem parsknę i powiem: a co? kto miał racyą? czy ten, kto wierzył i czekał, czy ten, kto nie wierzył i cudzą wiarę wyśmiewał?

Wszystko to mówiła mi, siedząc na ziemi, obok wysuniętéj szuflady, pełnéj starych jakichś sukien, okrywek i robótek. Ostrożnie, z obawą nadwerężenia lub zgniecenia szmatek tych, zapuściła ręce wgłąb' szuflady i wydobyła z niéj białą, perkalową suknią, zdobną w hafty z ponsowéj bawełny. Rozłożyła ją przede mną. Perkal był zżółkły i ponsowe szlaki spłowiałe, ale ona wpatrywała się w tę pamiątkę jedynéj szczęśliwéj chwili swego życia gorąco rozbłysłém okiem.

— I to wszystko tak-by przéjść i na zawsze już skończyć się mogło? — szeptała.

Bywały jednak chwile, w których opuszczała pannę Teodorę nad podziw wytrwała wiara jéj i nadzieja. Zdarzało się to wtedy, gdy ciotka pana Laurentego, stara, przygarbiona kobietka, z kapitaliku żyjąca i w sąsiednim zaułku mieszkająca, przez kilka miesięcy lub dłużéj listu od siostrzeńca nie otrzymywała. Wtedy panna Teodora codziennie, zarzuciwszy na głowę dużą chustkę, biegała na zaułek po wiadomości zapewne, a wracała ztamtąd krokiem powolnym, z oczyma utkwionemi w ziemię. W porach owych, świeże zwykle rumieńce jéj bladły i przygasały oczy, a w zmartwiałéj i zestarzałéj twarzy téj znać było mękę wewnętrzną, znoszoną cicho czasem, a czasem burzliwie..

Chwilami opanowywały ją wtedy rozjątrzenie, całkiem

jéj niezwykłe, i gorączkowa nerwowa ruchliwość. Czynna niby ustawicznie, biegała po domu i dziedzińcu, nic nie czyniąc. Wszystko jéj z rąk wypadało. Zuchwale i porywczo odzywała się do brata, na dokuczania bratowéj odpowiadała krzykiem i ostremi słowy, chwytała się czasem za głowę, jakby uczuwając w niéj ból nagły, a wróciwszy do salki swéj, zalana łzami, upadała na łóżko, o nakarmieniu gilów swych zapominając nawet. Potém stawała się znowu cichą, łagodną, obojętną dla wszystkiego i wszystkich. Szyła pilnie, w kuchni nad praniem i gotowaniem pracowała, a docinki i żarciki pani Jadwigi puszczała mimo uszu, jakby nie słyszała ich wcale.

— Cóż robić? — mówiła mi, kiedym raz przyszła do niéj na salkę, — cóż robić? nie wróci, to nie wróci! niech Bóg mu przebaczy i da mu wszystko dobre. Ja tak już do końca mego życia przeżyję w salce téj, z ptakami memi i... z robotą. Umrę przynajmniéj w tym kochanym domu rodzicielskim, dobréj doli nie zaznawszy, ale i tułaczki po świecie nie doświadczywszy, a brata, choć skrzywdził on mię i krzywdzi ciągle, błogosławiąc. Boć to brat mój rodzony i jedyny, a dzieci jego rączętami swemi kiedyś mi powieki do snu wiekuistego zawrą.

I pieściła, i stroiła, na rękach huśtała dzieci te, i czuwała nad niemi, w dwójnasób zda się kochając je w porach tych zwątpienia i cichéj rozpaczy.

Byle co przecież rozwiewało zwątpienia te i rozpacz przemieniało w odrodzoną na nowo nadzieję. Wpadała do mnie w wielkiéj chustce na głowie, prosto z zaułka wracając, i z namiętną radością szeptała:

— Jest list! jest! wczoraj go pani Antoniowa otrzymała i do przeczytania dała. Na własne oczy czytałam: „pannie Teodorze Kończównie rączki całuję i proszę, żeby o dawnym przyjacielu nie zapomniała”. A co? widzi pani? prosi, żebym nie zapominała o nim; a pocóż-by mu pamięć moja, gdyby o niczém już nie myślał.

Innym razem, wróciwszy z tajemniczéj jakiéjś wycieczki na miasto, zwierzała mi się poufnie:

— U kabalarki byłam; ona tam na ulicy Nadniemeńskiéj mieszka, i wszyscy mówią, że doskonale zgaduje i przepowiada... kładła mi kabałę... i powiedziała, że ktoś wybiera się do mnie w podróż, że ludzie zazdrościć mi będą, taka będę szczęśliwa!

Oczy jéj błyszczały, jak dwa szafiry pod promieniami słońca; śmiała się i wołała:

— Spodziéwam się, że nie jeden pozazdrości mi szczęścia i takiego wiernego kochania...

Ze wszystkiego, co istniało w naturze, ciągnęła sobie dobre lub złe wróżby. Pająk, ujrzany z rana, martwił ją, a wieczorem cieszył. W gronach bzowego kwiecia szukała pilnie pięciolistnych kwiatków; o znaczenie snów swoich zapytywała sennika, podartéj i wytartéj książczyny, leżącéj na komódce obok „Złotego Ołtarzyka”. Jakkolwiek wszystkie wróżby otrzymane i doświadczone z tąd uczucia w tajemnicy zachowywała, nie ukrywały się one przed nienawistnie śledzącą panią Jadwigą i żywą, figlarną, Helką, która całém sercem dzieliła uczucia siostry. Był to dla rodziny całéj nieprzebrany przedmiot do żartów i śmiechów, w których pan Klemens, uradowany wesołością

żony, rozweselony figlarnemi minkami Helki, a przytém czujący całą swą umysłową wyższość nad siostrą, żywy brał udział.

Przy stole zapytywano ją, o któréj dziś godzinie zobaczyła pająka, albo czy śniły się jéj ryby, na wędkę ułowione, niechybna przepowiednia ułowienia pięknego kawalera. W oficynie rozlegał się gruby śmiech pana Klemensa i podniesione cienkie głosiki dwóch młodych kobiet. Panna Teodora zrywała się od stołu zarumieniona, ze łzami w oczach, uciekała do salki swéj i bez obiadu już zostawała. W kilka godzin potém pan Klemens, ze zwykłą sobie powagą i grubością obejścia się, mówił:

— Głupia jesteś i gniewasz się jeszcze, kiedy ci to ludzie mówią. Nie wierz w głupstwa, to i nikt z ciebie śmiać się nie będzie!

Co prawda, panu Klemensowi zdarzało się téż wierzyć w głupstwa... tylko w inne. Druk był u niego rzeczą świętą i niezaprzeczalną, a że czytywał gazety, wszystkie kaczki i bąki dziennikarskie budziły w nim wiarę nieograniczoną. Przytém, mnóztwa rzeczy wyczytanych albo zasłyszanych nie rozumiał, przeinaczał je na swój sposób, a wróciwszy do domu, opowiadał nieraz o wężach, czarujących oczyma każdego, na kogo spojrzą; o roślinach, porywających człowieka i zjadających go żywcem; o miastach podmorskich, przez wieloryby zamieszkiwanych. Prawił téż czasem o polityce, łącząc narody i państwa w najdziwaczniéjsze koalicye różnego kalibru, oświadczając się z sympatyą swą dla Hiszpanów, a antypatyą dla Szwedów albo Niemców, przepowiadając wojnę lub pokój,

rzeczy straszne lub szczęśliwe. I gdy przesądne wróżby panny Teodory czyniły z niéj przedmiot ogólnych żartów i złośliwych docinków, rozprawy i opowiadania pana Klemensa uważanemi były w rodzinie całéj za wielce pożądany wszystkim objaw dobrego humoru, i u wszystkich przytomnych, nie wyłączając saméj Teodory, budziły wiarę bezwzględną i wysoką admiracyą dla rozumu i ukształcenia jego.

Pani Jadwiga nawet stawała się dlań wtedy czulszą i mniéj często spoglądała przez okno swéj sypialni na okna Ernesta Robka. Helka, słuchając go, otwierała szeroko piękne swe oczy, i oświadczała głośno, że chciała-by miéć takiego rozumnego męża; co się zaś tycze panny Teodory, ta powtarzała mi co do słowa wszystko, co usłyszała od brata, mówiąc przytém:

— Już to nie darmo ojciec nieboszczyk na edukacyą jego pieniądze tracił..... Człowiekiem jest, co się zowié...

Drugi rok upłynął, odkąd poznałam rodzinę Końców, gdy raz, około południa, do pokoju mego wbiegła panna Teodora. Na piérwszy rzut oka poznałam, że coś nadzwyczajnego stać się musiało. Blada była jak papier, ręce jéj trzęsły się, z oczu strumieniem płynęły łzy, ale twarz całą okrywał wyraz namiętnego, niewymownego uszczęśliwienia.

— Pani moja! pani droga! — zawołała, padając przede mną na klęczki i obejmując mię trzęsącemi się ramionami, — wié pani?... o mój Boże... jaka ja szczęśliwa...

Mówić nie mogła. Łkała i zarazem zachodziła się od śmiechu. Starałam się uspokoić ją; prosiłam, aby połknęła

kilka kropel, uspokajających nerwy. Usłuchała mię, podniosła się z ziemi i, z wybuchem głosu nadzwyczajnym, zawołała:

— Przyjechał!

— Przyjechał, — mówiła po chwili szeptem śpiesznym i przerywanym, — nie oznajmił nikomu, nic do nikogo nie napisał i... wczoraj wieczorem... późno... do ciotki przyszedł... Klemens tylko co wpadł do domu i powiedział żonie, żeby śniadanie przygotowała, bo z drukarni wcześnie wyjdzie, zajdzie do niego i tu go przyprowadzi... Poczciwy brat... dobry... przyprowadzi! Pani droga! ja chyba zwaryuję! a co? czy nie mówiłam zawsze, że on najlepszy ze wszystkich ludzi... że szczerze mię kochał... nie zapomniał i powróci!... Ot i wrócił! Matko Najświętsza! jak ja się mu tak z zapłakanemi oczyma pokażę? Moja złota, jedyna pani! proszę powiedzieć prawdę! czy ja bardzo staro i brzydko wyglądam?

Kiedy pomogłam jéj uporządkować nad czołem rozrzucone w nieładzie loczki, a czarną suknią przyozdobiłam kolorową kokardą, spojrzała w lustro i z wahaniem rzekła:

— Może ja się i nie bardzo jeszcze zmieniłam!

Potém usiadła i, uspokojona już trochę, twarz na obie dłonie pochylając, szepnęła:

— Niech się już co chce stanie... zobaczę go!

*Tekst jest **[własnością publiczną](#) (public domain)**. Szczegóły licencji na stronie autora: [Eliza Orzeszkowa](#).*

IV.

W mieszkaniu Kończów panował ruch i zamieszanie wielkie. Pani Jadwiga, nie wiedząc sama, czy cieszyć się ma z zapowiedzianych odwiedzin gościa, bogatego podobno i znacznym urzędnikiem będącego, czy téż martwić się z powodu radości i tryumfu nienawidzonéj siostry męża, krzątała się po domu, dzieci stroiła, wódkę i przekąski na stole ustawiała, a co chwila, zatrzymując się przed lustrem, poprawiała sobie to włosy, to suknia, to czepeczek. Wybiegła w końcu na dziedziniec. Tu stała chwilę, zamyślona głęboko, z palcem do ust przytkniętym, potém podniosła głowę, tajemniczy, tryumfujący uśmieszek przewinął się po jéj ustach. Zawołała służącéj i kazała jéj jak najśpieszniéj iść po *panienkę*. Panienką tą, śpiesznie przyzywaną, była siostra jéj, Helka.

— Powiédz panience, — dodała, — żeby zaraz, natychmiast, przyszła... że gości mamy...

Dziewczyna pobiegła pędem za bramę, pani Klemensowa weszła do mieszkania mego i zaczęła bardzo uprzejmie prosić, abym do nich na śniadanie przyszła.

— Proszę panią, bardzo proszę, i mąż kazał téż prosić...

Obchodziła mię żywo panna Teodora, chciałam zobaczyć ukochanego jéj i przekonać się, czy nadzieje jéj są uzasadnione — poszłam. Wnet po przyjściu mojém przybył i pan Klemens, prowadząc z sobą gościa. Pani Jadwiga siedziała ze mną na kanapie, za przygotowaną już śniadaniową zastawą. Teodora zaś ukazywała się kilka razy we drzwiach, i znowu cofała się do sypialni, usiłując snadź,

ale nie mogąc, stłumić silnego wzruszenia. Helki jeszcze nie było.

Laurenty Tyrkiewicz, średniego wzrostu i trochę otyły, z gęstą i czarną jak smoła, choć siwiejącą już czupryną, z pulchną, czerstwą, starannie ogoloną twarzą, przystojnym był jeszcze mężczyzną i, pomimo posiadanych lat pięćdziesięciu z górą, silnie i zdrowo wyglądającym. Ubranie jego objawiało dostatek, znajomość mody, a ukłon też i uśmiech, któremi powitał panią Jadwigę, łączyły w sobie uprzejmość światową z głębokiém poczuciem dostojeństwa własnego. Powitawszy gospodynią domu, przymrużył nieco oczy i, rozglądając się po pokoju, zaczął:

— A gdzież jest...

Nie skończył, bo osoba, o którą zapytywać chciał, ukazała się we drzwiach. Blada jak płótno, z widocznie drżącemi rękoma, panna Teodora stanęła w progu, jak wryta, i podniosła na przybyłego wzrok nieśmiały i przepaścisto smutny. Snadź teraz, gdy go znowu ujrzała, wszystkie, różnorodne cierpienia, od chwili rozstania z nim doznane, zbiegły się do jéj serca i przez oczy jéj zdawały się mówić mu: byłam bardzo, bardzo nieszczęśliwa! Ale po twarzy pana Laurentego, na widok jéj, przebiegły uśmiechy uradowania szczerego i trochę jakby żartobliwego. Na wzór światowców, *dandinując się* nieco, to jest przechylając z boku na bok otyłą trochę swą postać, zbliżył się on do niéj, wziął obie małe i ciemne od spracowania ręce jéj w białe swe i pulchne dłonie, a patrząc w jéj twarz, z tym samym wciąż wyrazem żartobliwéj wesołości, zapytał:

— Czy panna Teodora poznaje dawnego znajomego

swego?

Teraz dopiéro radość niewymowna i uczucie niewymownego téż, głębokiego przywiązania, napełniły jéj oczy, i głosem cichutkim, lecz w którym dźwięczał bezmiar zdumienia, odpowiedziała:

— Ja... jabym pana miała nie poznać?

Pan Laurenty pocałował ją w rękę i szepnął jeszcze słów kilka, z których dosłyszéć można było wyrazy: „dawne, dawne czasy!“

Na scenę tę pani Jadwiga patrzała z drwiącym nieco uśmieszkiem, a pan Klemens, ze zdziwieniem na pół, a napół z zadowoleniem, pociągał rudego wąsa. Pan Laurenty zwrócił się ku gospodarstwu i, ukazując w uśmiechu zdrowe, białe zęby, zaczął mówić o tém, jak to miło jest przybyć po długiéj niebytności w rodzinne swe strony, jak przyjemne wrażenie sprawia na nim dom ten, w którym niegdyś tyle miłych chwil przepędził i t. d. Panna Teodora, teraz, gdy on nie patrzał na nią, patrzała w niego, jak w tęczę, i z lekka pociągała mię za suknią. Każdy snadź wyraz, wychodzący z ust przybyłego, uszczęśliwiał ją, bo potwierdzał wszystkie jéj nadzieje.

Pan Klemens wziął w rękę butelkę z wiśniową nalewką i przepił do gościa, pani Jadwiga uprzejmie go zapraszała na sér, wędlinę i potrawkę z kury. Gdy wszyscy już dokoła stołu przed kanapą usiedli i jeść zaczęli, gospodarz wytoczył rozmowę o świeżo wykluwającéj się w głowie jego koalicyi państw europejskich, dodając, że pan radzca, przybywający z dalekiego świata, lepiéj zapewne, dokładniéj rzeczy te znać musi.

Pan radzca z uśmiechem pełnym galanteryi oświadczył, że wobec dam o polityce mówić nie wypada, i że stosowniéj uczyni, jeżeli powinszuje panu Klemensowi tak szczęśliwych związków rodzinnych, które w nieobecności jego zawarł (tu zdobywcze i trochę czułe spojrzenie rzucił na rumieniącą się z radości panią Jadwigę) i tak ślicznych dziatek, które widać ciocię swą bardzo kochają, bo ciągle coś z nią mają do czynienia (tu wskazującym palcem dotknął policzka małéj Maniusi, siedzącéj na kolanach panny Teodory, a do saméj panny Teodory uśmiechnął się wesoło i przyjacielsko).

— A dlaczego to pan radzca w ślady moje nie wstąpił? — zapytał pan Klemens, dobrodusznie niby, lecz z badawczém na gościa spojrzeniem.

Na te słowa panna Teodora poruszyła się żywo i w talerz oczy utkwiła, Tyrkiewicz zaś, w pulchnych dłoniach zwijając i rozwijając serwetę, odpowiedział:

— Na obczyźnie siedząc, a przytém pracując na kawałek grosza i jaką taką pozycyą w świecie, i myśléć o tém nie mogłem. Teraz, kiedy w kieszeni dymisya już jest, a przy dymisyi i coś jeszcze... pomyśli się o tém... pomyśli!

— I należy, należy! — potwierdził pan Klemens.

A pani Jadwiga dodała:

— Już my pana ztąd nie puścimy. Na co to cudzych bogów szukać, kiedy...

— Kiedy swoje boginie są! — podchwycił gość i z rozkosznym uśmiechem doskonałego zadowolenia z siebie i wszystkiego, przyglądał się różowym plasterkom szynki, obficie choć nieśmiało kładzionym mu na talerz przez

pannę Teodorę.

W téj chwili otworzyły się szeroko drzwi od sieni i wbiegła przez nie Helka, zrumieniona od szybkiego biegu, z pałającemi oczyma i włosami rozrzuconemi trochę pod narzuconą naprędce chusteczką. Pani Jadwiga zerwała się z kanapy i pobiegła do niéj.

— Czemuś tak nieprędko przyszła? — szepnęła, zdejmując z jéj głowy chusteczkę i szybkim rzutem oka ogarniając całe jéj ubranie.

Dziewczynie ładnéj i zgrabnéj ślicznie było w sukni codziennéj, lecz modnie zrobionéj. W ręku trzymała sporą wiązkę pierwiosnków, których téż kilka tkwiło niedbale w kruczym jéj warkoczu. Nie mniéj od kwiatów tych wydawała się uosobieniem wiosny. Spojrzawszy na gościa, zapłoniła się żywiéj jeszcze, znieruchomiała i z dziecinném jakby przelęknieniem otworzyła szeroko oczy.

— Pan Laurenty Tyrkiewicz, siostra moja — wymówiła pani Jadwiga, prowadząc siostrę ku stołowi, i promieniejąc cała tryumfem i radością. Wzrok jéj zdawał się mimowoli zapytywać gościa:

— A co, czy nie ładna?

Ukłon Tyrkiewicza, uśmiech jego i wyraz oczu, z jakim wpatrzył się w piękną dziewczynę, odpowiadały wyraźnie: — Prześliczna!

Helka trochę rubasznie rzuciła wiązkę kwiatów na szwagra, wołając ze śmiechem:

— Masz, Klemensie! przyniosłam te pierwiosnki dla ciebie!

— Kwiatek do kożucha! — mruknął wesoło pan

Klemens — ot, oddaj to lepiéj kawalerowi jakiemu... ucieszy się!

— Kawalerowi? — z rezolutną minką zaszczebiotała Helka — oho! długo poczekają kawalerowie, zanim ja kwiaty rozdawać im będę!

Śmiała się głośno, błyskała złotawą źrenicą i białemi ząbkami zawzięcie gryzła porcyjkę chleba z masłem. Tyrkiewicz oka z niéj nie spuszczał. Teodory nie było w pokoju; poszła do kuchni kawę przyrządzać.

Wizyta skończyła się wkrótce potém, bo pan Klemens wracać musiał do drukarni, a Tyrkiewicz wybierał się w odwiedziny do kilku innych dawniéj znajomych sobie, domów. Na pożegnanie pocałował w rękę wszystkie trzy kobiety, pana Klemensa uścisnął i wyszedł, w progu jeszcze upewniając, że godzina, którą tu spędził, uleciała mu, jak w raju, i prosząc, aby mu pozwoloném było do raju tego zaglądać jak najczęściéj.

Zaledwie drzwi zamknęły się za gościem, pani Jadwiga zawołała:

— Ach! jaki miły człowiek! jak to znać zaraz, że na wielkim świecie bywał, i że coś między ludźmi znaczy! Jak ubrany! jaki dumny sobie a i grzeczny razem! a kiedy mówi, to zdaje się, że z książki czyta!

Helka, okręcając się przed lustrem i przyglądając się zgrabnéj figurze swéj z przodu, z tyłu i z boków, od niechcenia zawołała:

— A i przystojny sobie dosyć... choć już odrobinę si...wa...wy!...

A pan Klemens, stojący pośrodku pokoju i w zamyśleniu

pociągający wąsa, podjął:

— Siwawy czy tam niesiwawy, przystojny czy nieprzystojny, ale, że znaczy coś na świecie, to pewno. Oto, jak ludzie umieją czasem dochodzić do wszystkiego. Kiedy wyjeżdżał ztąd, maluczkim kancelarzystą był i gołym, jak święty turecki, a teraz, panie, rangę „sowietnika” ma, i biletów bankowych w kieszeni kupę... ot taką...

— Nie może być? — krzyknęła pani Jadwiga.

— Na własne oczy widziałem. Kiedym dziś przyszedł od niego, od niechcenia niby, rozmawiając ze mną, wyjął pugilares ogromny i dostawał z niego pieniądze na drobne wydatki... Ja także niby od niechcenia zaszedłem go z tyłu i spojrzałem w pugilares... pieniędzy gmach! Dwadzieścia tysięcy rubli srebrem najmniéj... ale zdaje się, że chyba więcéj jeszcze!...

— Mój ty Boże! zkądże on tyle pieniędzy nabrał? — dziwiła się pani Jadwiga.

— Słyszę, spekulacye tam różne urządzał i tak zarabiał...

— No, no! chociaż raz ktoś porządny do domu się nam trafił!

Mówiąc to, z zamyśleniem patrzała na siostrę. Helka zamyśliła się także i tajemniczy, choć wcale niesmutny, uśmieszek wił się po świeżych, jak wiosna, jéj ustach.

Jedna tylko panna Teodora żadnego w rozmowie téj udziału nie brała. Sprzątała ze stołu, przymiatała podłogę i nie podnosiła oczu na nikogo. Bledsza niż zwykle i ze spuszczonemi powiekami, twarz jéj miała wyraz zmęczenia i smutku.

W parę godzin potém przybiegła do mnie.

— Pani moja — zaczęła, siadając i opierając czoło na ręku — jak to dziwnie! jak to dziwnie! Myślałam zawsze dawniéj, że gdyby on wrócił, była-bym taka szczęśliwa... I prawda, kiedy dowiedziałam się, że wrócił, o mało nie umarłam z radości; ale zaraz potém tak mi się serce czegoś ścisnęło, a teraz znowu cieszyć się nie mogę... Rada jestem, że zobaczyłam go, zupełną już teraz pewność mam co do serca i zamiarów jego, a cieszyć się jak nie mogę, tak nie mogę... Czuję coś takiego, jak gdyby mi serce osłabło bardzo i cieszyć się siły nie miało...

Po chwili mówiła daléj:

— Mój ty Boże! dlaczego to tak? oto naprzykład nas dwoje... on i ja! Te same lata płynęły dla niego i dla mnie... ja pracowałam i on pracował... dziesięć lat blizko młodszą jestem od niego, a proszę-ż spojrzéć na nas! co za porównanie! On zdrów, silny, przystojny, wesoły i bogaty téż, i ze znaczeniem u ludzi... a ja? co to mówić? czy ja siebie nie znam? Ot, ciało sterane, z taką jakąś zmęczoną i smutną duszą... Potém wstrząsając głową i patrząc w ziemię, dodała:

— Co to dziwnego! czternasta część! zawsze i wszędzie czternasta część!

Nazajutrz pan Klemens, spotkawszy mię na dziedzińcu, proszącym tonem zaczął:

— Niech pani będzie łaskawa powié... pani to zna świat i ludzi... czy to być może, aby ten Tyrkiewicz wrócił tu dla Teosi i o niéj naprawdę myślał? Chciał-bym ja tego bardzo, bo to i dla niéj było-by szczęście wielkie, i dla mnie honor niemały takiego szwagra miéć... Kochali się oni z sobą

kiedyś, to prawda, i wczoraj czule z nią się przywitał, a z nami po przyjacielsku się obchodził... ale czy to być może? czy to, bogatym będąc i w znaczeniu, młodéj i bogatéj żony on sobie nie znajdzie?

Pani Jadwiga zaś, przybiegłszy do mnie na chwilę, szeptała:

— Moja złota pani! czy to *ona* może jeszcze myśléć o człowieku takim! czy to on właśnie dla niéj tu powrócił? Ot, ciotka jego, pani Antoniowa, która domek swój ma i kapitalik niezły, napisała do niego, że czuje już koniec swój blizki... to i przyjechał, żeby sukcesyi dopilnować... a ta głupia, jakby na sto koni wsiadła, taka kontenta!...

Istotnie, bywały dnie, w których serce panny Teodory odzyskiwało całą młodzieńczą siłę kochania i radości. Ze wszystkich szczęśliwych chwil swych i rozkosznych myśli zwierzała się zawsze przede mną. Opowiadała, jak pan Laurenty silnie ją zawsze przy powitaniu ściska za rękę, jak przypomina jéj dobre dawne czasy, i mówi, że tak dobréj osoby, jak ona, nigdy w życiu całém nie spotkał. Parę razy jaśniejąca radością oznajmiła mi, że chodziła z nim na spacer „pod rękę;” innego znowu dnia szepnęła, płoniąc się, że słyszała, jak pan Laurenty mówił jéj bratu:

— Trzeba mi żenić się, panie Klemensie! pora już gniazdko własne założyć i ptaszka miłego w niém posadzić!

— Poczciwy Klemens! przekonałam się teraz, że zawsze jednak brat bratem jest i siostrze dobrze życzyć musi... ciągnie go do domu, jak może, i wydatków nawet na przyjęcie nie żałuje... A i ta, nie wiem, co się jéj stało, przyjmuje go jak najlepiéj i ząbki do niego szczerzy.

Dumna pewno z tego, że człowiek taki bywa u niéj... i komplement jakiś powié czasem jéj, albo jéj siostruni. U matki ich był nawet z wizytą... nie wié on naturalnie o tém, jakie to są stosunki nasze... widocznie familią bratowéj mojéj uszanować chciał... Oj, pani droga! kiedy mówiłam, że najlepszy to jest człowiek na całym świecie, prawdę mówiłam. Co to! wierność taka i taki szacunek w kochaniu! rzadka to rzecz na świecie! Nacierpiałam się, to nacierpiałam w życiu, ależ za to i szczęścia równego memu na świecie nie będzie!

I teraz czuła się już szczęśliwą, tak szczęśliwą czasem, że, gdy mówiła, oddech zamierał w jéj piersi, bladła i ręce splecione przyciskała do czoła. Dziwna rzecz jednak, szczęście to, uczuwane głęboko i namiętnie, nie odmładzało jéj, ale przeciwnie, męczyło i ku starości jakby popychało. Rumieńce jéj, świeże wprzódy, przybierały czasem barwę sinawą, piękne oczy zapadły i otoczyły się drobniutkiemi zmarszczkami, ręce drżéć zaczęły. Widocznie organizm ten, spracowany i zwątlały, nie posiadał już dosyć siły do przenoszenia doznawanych wrażeń; szczęście, przybyłe późno, rozstrajało zmęczone jéj nerwy. Przytém od dnia przybycia Tyrkiewicza stała się zalotną i strojnisią. Z szuflad komody wywlekała stare suknie, szaliki, wstążki przeróżnych kolorów, i sporządzała z nich sobie stroje, niekoniecznie dobrze ją zdobiące. Włosy téż, z których dumną była i które istotnie były niepospolicie piękne, trefić zaczęła w sposoby rozliczne, piętrzyć nad czołem niezmiernie wysoko, lub téż jak młodziutkie dziewczę, opuszczać na plecy i ramiona w splotach i lokach. Raz

Tyrkiewicz, ujrzawszy ją w stroju takim, rzekł z uśmiechem:

— Jak panna Teodora młodziutko wygląda!

Pani Jadwiga i Helka parsknęły śmiechem, ale ona nie zwróciła na to najmniéjszéj uwagi i nie posiadała się z radości, a nazajutrz włożyła na siebie więcéj jeszcze kolorowych szmatek i uczesała włosy w drobniejsze jeszcze, zupełnie już dziecinne, loczki.

Co pewna, to że Końcowie ciągnęli do siebie Tyrkiewicza usilnie i widocznie. Pan Klemens cały czas wolny od zajęć w drukarni z nim przepędzał, a pani Jadwiga zapraszała go wciąż na śniadania i herbaty. Widocznie téż Tyrkiewicz rad był wielce okazywanéj mu uprzejmości; u Końców bywał codziennie, a dość często przynosił z sobą cukierki, ciastka i bakalie, które pani Jadwidze, jako gospodyni domu, oddawał.

W oficynce wesołość panowała teraz większa, niż kiedykolwiek, bo, zamiast kłótni i narzekania, słychać tam było ciągle wesołe śmiechy, ożywione rozmowy, brząkanie naczyń stołowych, a czasem téż tajemnicze, poufne szepty pani Jadwigi z mężem, szepty, śród których żona, prosząc jakby o coś męża, lub namawiając go do czegoś, przymilała się do niego, głaskała ręką po czole, okazywała się słowem żoną tak kochającą i czułą, jak nigdy. To téż i pan Klemens czuł się tak szczęśliwym i dumnym, jak nigdy, a Helka przylatywała do siostry po kilkanaście razy dziennie. Nieustannie widywałam ładną twarzyczkę jéj, przesuwającą się szybko za oknami mego mieszkania. Gdy wiosna rozkwitła zielenią i kwiatami, piękna dziewczyna wplatać

zaczęła w krucze warkocze pachnące gałęzie czeremchy lub jaśminu i, strojna zawsze, lekka, śmiała, wpadała do bawialni, nucąc i w śmiechu szczerząc białe ząbki. Daremnie teraz Ernest Robek, wysmukły i blady metr tańców, melancholijnie przechadzał się godzinami całemi około domowstwa Końców; daremnie wystawiał na promienie słońca lakierowane buciki swe i błyszczący kapelusz, a o szaréj godzinie otwierał okna ze sztorami, powiewającemi nad zieleniejącą gęstwiną buraków i włoszczyzny; dwie kobiety zdawały się zapominać o jego istnieniu. Co innego zupełnie zapełniało teraz myśl ich i czas.

Dnia pewnego panna Teodora powiedziała mi wiadomość, niezmiernie dla niéj miłą. Pan Laurenty kupił w piérwszym magazynie śliczny garnitur mebli, gotowalnią damską i tuzin krzeseł wiedeńskich do jadalnego pokoju, a usłyszawszy od pana Klemensa, że dom od ulicy za miesiąc będzie do najęcia, bom ja oznajmiła mu, że z miasta wyjeżdżam, oświadczył chęć wynajęcia go dla siebie.

— Widzi pani, jak on to wszystko dobrze obmyślił. Kupił meble, wynajął mieszkanie, a teraz już i słowo ostateczne wymówi. Jutro Klemens daje dla niego obiad. Wszak zaprosił już panią? prawda? a i matkę jego żony; ta modniarka, będzie także. Po obiedzie wyjdę sobie, niby nic, z mieszkania i usiądę w chmielowéj altance. On tam przyjdzie niezawodnie i rozmówi się ze mną ostatecznie. Niedarmo powiedział mi dziś: niech panna Teodora po dawnéj przyjaźni paciorek na moję intencyą zmówi, bo jutro dla mnie dzień ważny będzie... O, prawda to, prawda!

ważny to dzień jest, w którym dwa serca długo rozłączone, połączą się z sobą na wieki...

Z załamanemi dłońmi i wilgotném okiem, stłumionym głosem szepnęła:

— Ot i nadchodzi już moment ten uroczysty i szczęśliwy... Boże mój! czém ja u Ciebie na tak wielką łaskę zasłużyć mogłam!

Widziałam ją dnia tego, jak o zachodzie słońca nosiła po dziedzińcu maleńką Maniusię. Najulubieńszy z gilów jéj zleciał z gałęzi brzozy i usiadł na jéj ramieniu. Kundel Filon chodził téż ślad w ślad za nią, a z kundlem mocował się i za suknię ciotki co chwila chwytał pyzaty Janek. Całowała Maniusię, śmiała się do ptaka, schylając się, głaskała po grzbiecie Filona, i żartobliwie targała złote włosy Janka; na twarzy jéj malowała się szczęśliwość łagodna i zupełna; można-by rzec, że świat cały w téj chwili kochała serdecznie, i że dla świata całego czuła głęboką i nieograniczoną wdzięczność.

Nazajutrz była niedziela. Pan Klemens o wschodzie słońca wyprawił się na rynek po gospodarskie sprawunki, a w godzinę potém wrócił z kwicząćem przeraźliwie prosięciem w jednéj ręce, a w drugiéj z koszem pełnym mięsiwa, jaj i białego chleba. Z oficynki dochodziły aż do mieszkania mego stukania, siekania, trzask ognia i zapachy kuchenne. Panna Teodora, w białym kaftaniku i fartuchu, z zawiniętemi po łokieć rękawami, krzątała się po kuchni i dziedzińcu wesoło i żwawo. Pan Klemens poszedł do kościoła, pani Jadwiga w zamkniętéj sypialni stroiła siebie i dzieci. Około południa przybiegła Helka w błękitnej

sukience, świeżéj i szeleszczącéj, a gdy na dziedzińcu już zdjęła ozdobny pasterski kapelusik, główka jéj zajaśniała w słońcu, jak prześliczny obrazek, ustrojony w kwiaty. Potém przyszła matka dwóch młodych kobiet, chuda, blada kobiecina, z cierpiącą, łagodną twarzą, w wytartéj wełnianéj sukienczynie i z małym warkoczykiem z tyłu głowy, przypiętym wielkim, staroświeckim grzebieniem; a gdy o drugiéj weszłam do oficynki, znalazłam w bawialni stół, nakryty grubą, lecz czystą bielizną i tanim, lecz połyskującym od czystości, fajansem. Prędko po przyjściu mojém zjawili się pan Klemens i Tyrkiewicz. Jak zwykle bywało, przyszli razem. Pani Jadwiga, strojna w żabot z kokardami i zalotny mały czapeczek, podała rękę gościowi i ze słodkim uśmiechem zaczęła od wymówki:

— Czemu tak późno?

— Że było mi pilno, nikt wątpić nie może — z ukośném na Helkę spojrzeniem odrzekł gość — jeżeli zaś późno przyszedłem, winien temu szanowny małżonek pani...

— A! Klemensie! czy to pięknie?...

Pan Klemens tłómaczył się, że z kościoła wraz z panem „sowietnikiem“ zaszli do cukierni, aby gazetę przeczytać i w bilard zagrać. Tyrkiewicz tymczasem witał się z matką gospodyni domu, całował ją w rękę i żartobliwie wymawiał, jak może pozwolić na to, aby panna Helena tak ładnie stroiła się w kwiaty i ludziom do reszty głowy zawracała. Blada, mizerna kobiecina rosła z dumy i radości, a promienném okiem ogarniając to jednę córkę, to drugą mówiła:

— A cóż? młodość to, panie dobrodziéju, młodość! Ja

zawsze tak myślałam: niech ja już sobie pracuję i zapracuję się, byle one młodości użyły i ludziom pokazać się mogły.

Z rąk jéj chudych i igłą nakłutych, z oczu nabrzmiałych i zmęczonéj, cierpiącéj twarzy, znać było istotnie, że pracowała i zapracowywała się, tak jak znowu powierzchowność cała i stroje córek jéj objawiały, iż, dzięki pracy téj, przywykły one do używania młodości i ukazywania się oczom ludzkim w pełni wdzięków.

Służąca, ustrojona świątecznie, wnosiła już do pokoju półmisek z kołdunami, a panny Teodory nie było jeszcze. Cały ranek zajęta przyrządzaniem obiadu, przygotowywaniem naczyń i nakrywaniem do stołu, niedawno dopiéro pobiegła na salkę, aby uczesać się i ubrać. Już towarzystwo całe usiadło do stołu, a pani Jadwiga własną rączką nakładała kołduny na talerz gościa, gdy Teosia ukazała się we drzwiach. Nieba! co ta kobieta zrobiła z siebie dnia tego! Daremnie wczoraj w wieczór perswadowałam jéj, aby nie kładła sukni téj z zielonego bareżu, która, długie lata przeleżawszy w szufladzie komody, przekrojona i przerobiona, obejmowała i tak zbyt szczupłą jéj kibić stanikiem ciasnym i niezmiernie długim, a u dołu rozpościerała się szeroko kilku spłowiałemi falbanami. Włożyła ją! W dodatku, włosy ogromne, wijące się loki, opadały jéj na plecy, ramiona i czoło, skosmaconą i szeroko rozpostartą gęstwiną, a w nich tkwiło parę gałązek śnieżnego jaśminu, przy którym twarz jéj i szyja wyglądały strasznie żółto. Kolące uśmieszki przewinęły się w oczach i po ustach obu kobiet. Pan Klemens zaś, spójrzawszy na siostrę, usta od zdziwienia otworzył, a potém na-pół z

gniewem, na-pół ze śmiechem, zawołał:

— A, w imię Ojca i Syna! cóż to za czupiradło zrobiłaś dziś z siebie, Teosiu!

— Mój Klemensie... — cichutko i ze zmieszaniem najwyższém zaczęła Teodora, ale nie dał jéj dokończyć pan Laurenty.

— A! — zawołał — przepraszam cię bardzo, panie Klemensie, ale tak mówić do damy nie wypada! Pannie Teodorze zresztą we wszystkiém do twarzy!

Ujął się za nią! powiedział, że jéj we wszystkiém do twarzy! Jakież niewymowne szczęście rozlało się po całéj téj drobnéj, zmiętéj, okrągłéj twarzyczce, zanurzonéj, jak w otchłani, w gęstwinie wijących się, zczochranych, we wsze strony sterczących, loków. Jakaż bezgraniczna miłość i wdzięczność napełniła te piękne, jak bławatki szafirowe, oczy, gdy z wolna podniosły się one na twarz wspaniałego obrońcy i czułego, wiernego kochanka! Ale co było dziwném, to, że pani Jadwiga, ani Helka, nie uczuły się bynamniéj zmartwionemi, ani obrażonemi, tém głośném ujęciem się gościa za kobietą, któréj nienawidziły, i wypowiedzianém jéj przez niego komplementem. Owszem, młoda kobieta pochyliła się, jakby czegoś pod stołem szukała, a wistocie dlatego, aby ukryć śmiech ją ogarniający, a piękna dziewczyna, zasłaniając sobie usta serwetą, rzuciła przez stół sporą gałkę z chleba, która trafiła prosto w cel, więc w pulchny policzek pana Laurentego. Ugodzony w ten sposób gość, krzywiąc się i jęcząc, niby z bólu, chwycił się za policzek, a blada, chuda kobiecina, z rękoma nakłutemi igłą, pożerając oczyma swawolną i

rezolutną córkę, zaniosła się takim serdecznym śmiechem, że aż grzebień, przytrzymujący z tyłu malutki jéj warkoczyk, o mało nie spadł z jéj głowy, ale podchwyciła go pani Jadwiga, i z wielką starannością wpięła go we włosy matki, poczém pocałowała ją w żółte, pomarszczone czoło.

Kiedy pan Laurenty wypowiedział już kilka skarg, na srogie rany i bóle, które panna Helena ludziom zadaje, pan Klemens zapytał go, czy zauważył, iż w dzisiéjszéj gazecie zanosi się na srogą w Europie wojnę. Zagadniony w ten sposób gość, odłożył tym razem na stronę salonowy skrupuł, niedozwalający mu o polityce mówić przy damach, i dowodzić zaczął, że wielka wojna w Europie zupełnie w czasach tych niemożliwą była. Dowodzenia swe popierał argumentami, świadczącemi o szerokiém oczytaniu i bogactwie posiadanych wiadomości; wymawiał nazwiska głównych mężów stanu europejskich, rysował palcem na obrusie Ren, Dunaj, Elbę i Dardanelle, i zapędził się tak daleko, że dla poparcia nie wiem już jakiéj tezy, wyrysował nawet Amazonkę, największą, jak zauważył, rzekę na świecie, i granice Laponii, kraju, w którym, jak nadmienił także, ludzie jeżdżą reniferami, ubierają się w futra reniferowe i żyją mięsem i mlekiem reniferów.

Nietylko kołduny, ale rosół i potrawa z prosięcia znikły już ze stołu, a pan Laurenty nie skończył jeszcze mówić o różnych spornych w Europie kwestyach i punktach, układać przymierza i kreślić horoskop europejskiéj przyszłości. Pan Klemens słuchał go z natężeniem takiém, że aż powieki mrugać, a wąsy ruszać się mu zaczęły, a Helka wpatrzyła

się w niego, jak w tęczę, i szeroko otworzyła oczy, co nadawało twarzy jéj wyraz dziecięcego zdziwienia.

Nie na tém jednak był koniec. Tyrkiewicz chciał widocznie ukazać się dnia tego towarzystwu w pełni blasku swego, i roztoczyć przed niém cały szeroki krąg wiadomości. Biorąc assumpt z kilku wypowiedzianych przez pana Klemensa słów o złych finansach austryackich, mówić zaczął o bankach różnych i ich manipulacjach, o „podradach” i spekulacyach, z których ludzie „sprytni” ogromne zyski ciągnąć mogą. Pan Klemens, niechcący téż okazać się zbyt zacofanym w wiadomościach o publiczném życiu, pochwycił z kolei piérwszą sposobność mówienia o burmistrzu ongrodzkim i jego niedołęztwie, o podatkach, brukowaniu ulic i latarniach, a zapuszczając się głębiéj jeszcze w przedmiot swój, wspomniał nawet o potrzebie zaprowadzenia w Ongrodzie wodociągów i urządzenia drewnianych chodników. Potém, w coraz większy wpadając zapał, zawołał:

— Oho! żebym ja tam był w magistracie! napędził-bym ja ich wszystkich i zaraz inaczéj działo-by się u nas w mieście!

Tyrkiewicz, dopijając szklanki bawarskiego piwa, odpowiedział:

— A dlaczego nie mógł-byś zostać radzcą w magistracie? Masz przecie dom własny i jesteś nie gorszym od innych obywatelem miasta. Niech-no tylko osiedlę się tu na dobre i gniazdko sobie urządzę, pomyślimy o tém we dwóch!

Pan Klemens sponsowiał cały z radości, a Helka klasnęła

w ręce.

— Szwagierek więc — zawołała — będzie tak samo radzcą, jak pan. Jak to pięknie nazywać się: pani radczyni? Jadziu! nie mówię już teraz inaczéj do ciebie, jak: pani radczyni dobrodziejko!

Pani Jadwiga wyciągnęła rękę do gościa.

— Prawdziwie — rzekła — nie wiem, jak mamy podziękować panu za tę życzliwość, którą pan nam okazujesz!

Matka-modniarka, wyciągając téż chudą rękę swą, z wilgotnemi oczyma powtarzać zaczęła:

— Prawdziwie, nie wiem, jak mam podziękować panu za tę życzliwość, którą pan dzieciom moim...

— O! pani dobrodziejko! ach, pani dobrodziejko! — mówił, obracając się na wszystkie strony Tyrkiewicz — szczęśliwy jestem, doprawdy! cieszę się bardzo! Będę także chciał korzystać... z łaski państwa...

W tém panna Teodora, która przed chwilą wysunęła się z pokoju, wróciła, niosąc na półmisku prześliczną babę, arcydzieło rąk własnych, a za nią, z odkorkowaną butelką wina i kieliszkami na tacy, weszła służąca. Pan Klemens zerwał się z krzesła, porwał butelkę i, śpiesznie napełniwszy kieliszki, a jeden z nich w ręku trzymając, zawołał:

— Zdrowie naszego kochanego gościa, pana radcy Laurentego Tyrkiewicza! Daj Boże, abyśmy z sobą w zgodzie i przyjaźni długie lata przeżyli!

— Daj Boże! daj Boże! — powtórzył chór kobiecych głosów.

Tyrkiewicz kłaniał się na wsze strony, uśmiechał się do wszystkich, dłoń do serca przykładał.

— Wiwat! — z całego już gardła krzyknął pan Klemens, jednym haustem wychylając do dna spory kieliszek.

— Wiwat! wiwat! — klaskając w dłonie, zaczęły krzyczéć kobiety, i wśród ich głosów najdonośniéj i najsrebrzyściéj wzbijał się głosik Helki, która téż, jakby na zakończenie owacyi, wyjęła z włosów przywiędłe jaśminy i sypnęła niemi przez stół na gościa. Tyrkiewicz ciężko nieco, lecz szybko, obiegł dokoła stół, i obie ręce dziewczyny pochwyciwszy, ogniście je wycałował. Pan Klemens zaś wcisnął mu w dłonie drugi kieliszek, mówiąc:

— Do pary, braciszku! do pary!

A gdy ten drugi wypitym został za zdrowie panny Heleny, nalał trzeci wołając: Bóg trójcę lubi!

Z trzecim kieliszkiem Tyrkiewicz, stając już na środku pokoju, w bohaterskiéj pozie i z uroczystością wygłosił:

— Zdrowie gospodarstwa! Szanownych i drogich przyjaciół moich!

Nowe dziękczynienia i nowy chóralny okrzyk: — wiwat! — Pan Klemens ściskał gościa w obu ramionach, a Helka skakała dokoła dwóch mężczyzn, klaszcząc w dłonie i krzycząc:

— Nie uduście się tylko panowie! nie uduście się!

Przez całą tę scenę, chuda, blada kobiecina, śmiała się aż do łez i wśród śmiechu wciąż powtarzała:

— Chwała Bogu! chwała Bogu! oto wesoło u nich! oto u nich wesoło!

A panna Teodora, z niedopitém w kieliszku winem,

pochyliła się nade mną i do ucha mi szepnęła:

— Oto wesołe zaręczyny moje! A czy pani uważała, jak on przy obiedzie wciąż patrzał na mnie! Do kogo mówił, a na mnie patrzał! Drogi mój! ptaszek mój! orzeł mój!

Oczy jéj błyszczały ogniem tak namiętnym, jakiego nigdy u niéj nie widziałam jeszcze, i zdawało się, że tuż, tuż, rzuci się na szyję człowiekowi, którego wzrokiem pożerała.

Nakoniec skończyły się wiwaty, śmiechy, całowania i klaskania; do pokoju weszła służąca i, z pomocą najętego na ten dzień chłopaka, wyniosła stół wraz z nakryciem; pan Klemens, rozgrzany wrażeniami, trunkiem i sutym obiadem, opadł na krzesło, w kącie pokoju stojące, i sapał ciężko; matka gospodyni domu wysunęła się do sypialni i legła na łóżku córki, a Helenka usiadła przy niéj na ziemi i coś jéj, to z cichym chichotem, to z zasmuconemi minkami, do ucha szeptała.

W bawialni, na staroświeckiéj żółtéj kanapie, pani Jadwiga i pan Laurenty zasiedli we dwoje. Ona, różowa cała, ożywiona niezmiernie, przymilona, mówiła mu coś z cicha, zapytywała go o coś, groziła paluszkiem, to znów zachęcała spójrzeniem przyjazném i poufałym giestem; on, rozparty i w mocno zaniedbanéj pozie, rozrumieniony trunkiem, a może i przedmiotem rozmowy, wciąż ją w rękę całował, a w oczy jéj zaglądał, bił się w piersi, oczy ku sufitowi wznosił i wzdychał...

Panny Teodory nie było, ani w bawialni, ani w sypialni, ani w kuchni. Piérwszy zapewne raz w życiu swojém nie najrzała ona sprzątania naczyń stołowych, nie schowała

resztek z obiadu pozostałych, nie utraktowała dzieci przysmakami, dla nich umyślnie przechowanemi. Nie; nie uczyniła dziś tego wszystkiego przez zapomnienie, a może i umyślnie. Myślała zapewne, że dzień ten był świętem jéj, uroczystém świętem, i że ma prawo poświęcić go tylko saméj sobie. Kiedy, wracając do domu, przechodziłam przez dziedziniec, zobaczyłam ją siedzącą w ogródku, w altance z chmielu. Spełniała więc programat, z którym mi się wczoraj zwierzyła. Siedziała samotnie, w miejscu, które przypominało jéj piérwsze otrzymane wyznanie miłości i oczekiwała drugiego.

Godzina minęła; przerwawszy sobie zajęcie jakiéś, spójrzałam przez okno. W altance, pomiędzy gęsto już bujającą jasną zielonością chmielu, migotała brudna zieleń bareżowéj sukni i z lekka kołysała się w zadumie głowa, niepomiernie zolbrzymiona starganemi i spiętrzonemi lokami.

W godzinę jeszcze potém, szeroki promień zachodzącego słońca oblał altankę i rozświecił jéj głębią, a w różowém świetle tém ukazała się wyraźnie siedząca na ławce kobieta w zielonéj sukni, z twarzą rozpaloną i z nieruchomém wytężeniem wpatrzona w błyszczące, jak rubiny, okna oficynki...

Słońce zaszło; przezroczysty zmrok majowego wieczora ogarniać zaczął ogródek; w altance jednak, śród młodych łodyg, owijających wysmukłe pręty, mętnym zarysem szarzała postać kobieca. Była ona samotną i tylko u nóg jéj leżał, w wielki kłąb zwinięty, pstrokaty kundel Filon.

Wtém otworzyły się drzwi oficynki. Laurenty

Tyrkiewicz, rozpromieniony, białą chustką pot sobie z czoła ocierając, w cylindrze, niezupełnie prawidłowo na głowę włożonym, zbiegł z ganku i w żywych poskokach wybiegł za bramę.

Wtedy kobieta, siedząca w altance, zerwała się z ławki na równe nogi, stanęła nieruchomo i, z wyciągniętą na przód szyją, za odchodzącym patrzała. Gdy znikł za bramą, długo stała jeszcze, jakby zdumiona i zawiedziona, a potém z wolna przebyła ogródek i do oficynki weszła.

Wiem dokładnie, co się stało późniéj.

Gdy Teodora stanęła na progu małéj bawialni, oboje Końcowie, matka ich i Helka, siedzieli dokoła stołu przed kanapą, rozmawiając z sobą z cicha, lecz z ożywieniem wielkiém. Helka była bardzo różowa i ze śladami łez na twarzy; pan Klemens całował rękę żony, która czule obejmowała jego szyję, a ujrzawszy wchodzącą, z błyskającemi oczyma zawołała:

— Ach, Teosiu, gdzie-żeś była tak długo! o niczém nie wiész! Powinszuj-że Helce! wychodzi za mąż, oświadczył się jéj dziś pan Tyrkiewicz i już są po słowie!

Panna Teodora przyskoczyła do stołu i krzyknęła:

— Nieprawda! Kłamiesz!

— Spytaj się brata — odparła spokojnie pani Jadwiga.

— Naprzód, moja Teosiu — zaczął z powagą pan Klemens — proszę mi do żony mojéj tak niegrzecznie nie przemawiać...

— Co mi tam grzeczność twoja! — wołała kobieta — jeżeli tak dbasz o żonę, dlaczego tak już wcale nie dbasz o siostrę i pozwalasz żonie, aby mi takie kłamstwa w żywe

oczy rzucała?

— Jakie kłamstwa? — zaczął pan Klemens — to czysta prawda jest, i trzeba tylko być głupią, jak ty jesteś, aby temu nie wierzyć!

— Helciu, pokaż jéj pierścionek zaręczynowy! — zawołała do siostry pana Jadwiga.

Helka podniosła do góry białą rękę, na któréj błyszczał pierścionek z turkusem. Był to ten sam pierścionek, który pan Laurenty nosił na małym palcu ręki.

Teodora skamieniała na chwilę, lecz wnet zawołała znowu.

— Nie prawda! nie prawda! kłamiesz! kłamiecie wszyscy, dlatego tylko, żeby mnie udręczyć! to nie zaręczynowy pierścionek! ona go tak sobie wzięła! Ukradła może! czy ja wiem?

— Proszę mi zaraz milczéć! — krzyknął pan Klemens. — Jak śmiész mówić coś podobnego o siostrze mojéj żony!

— Daj pokój, Klemensie! to waryatka! — wołała pani Jadwiga.

Helka śmiała się do rozpuku, wołając:

— Nie pierścionek, nie pierścionek ukradłam ja, ale samego jéj narzeczonego!

A modniarka łagodnym i współczującym głosem wtrąciła w chór ogólny:

— Może pani wody trochę napije się... tam na komodzie stoi karafka z wodą...

Kobieta szalała. Ochrypła od krzyku, jakby samę siebie ogłuszyć chciała, wciąż chwytając się za głowę, krzyczała:

— Kłamiesz, jędzo! kłamiesz, ty żmijo! kłamiesz, ty

bracie wyrodny! kłamiecie wszyscy!

W téj chwili rozległy się na wschodach gankowych śpieszne kroki męzkie.

— Ot i pan Tyrkiewicz wraca! — zawołała pani Jadwiga i dodała:

— Wiész co, Teosiu, przestań krzyczéć i zapytaj się samego pana Tyrkiewicza, czy mówimy prawdę, albo nie...

Tyrkiewicz stanął w progu. Teodora rzuciła się w kąt najciemniejszy. W całym pokoju zresztą zupełnie już prawie zciemniało. Gość, zasapany od szybkiego biegu, niósł w ręku spore i ozdobne pudełko z cukierkami. Przeszedł szybko pokój i, pomimo grubego zmroku, rozpoznawszy śród obecnych Helkę, postawił przed nią pudełko, a sam nachylił się nad rączkami jéj, które mu podała:

— Państwo kochani! — zawołał, prostując się — na miłość Bozką, dajcie światła! niech napatrzę się na moję przyszłą żoneczkę!

Pani Jadwiga, przepraszając, że zaniedbała obowiązki gospodyni domu, rzuciła się do zapalenia lampy, a Teodora wysunęła się z ciemnego kątka i z oficynki wyszła.

Widziałam ją, jak w zmroku, pędem błyskawicy przebiegła dziedziniec, a po chwili, nad sufitem moim usłyszałam krzyk połączony ze łkaniem:

— Boże miłosierny! zlituj się nade mną!

I nic potém. Przez całą noc panowała na salce cisza zupełna; nie słychać tam było ani jęków, ani płaczu; a gdy nazajutrz wychodziłam około południa na miasto, małe okno, zawieszone nad rozłożystą płaczącą brzozą, szczelnie

było zamknięte i za szybami jego migotało tylko ponsowe pierze gilów.

Pan Klemens, wróciwszy z drukarni, posłał siostrze przez służącą obiad i nawet herbatę, którą umyślnie dla niéj urządzić kazał, a potém sam poszedł na salkę i zabawił tam długo. Wyszedł na dziedziniec z miną jakby zmieszaną i zafrasowaną, ale na ganku spotkały go dwie młode kobiety, ujęły po ramiona i, do ogródka zaprowadziwszy, długo przechadzały się tam z nim, szepcąc mu i chichocąc ze stron obu. Około wieczora, Tyrkiewicz przyjechał z dwiema miejskiemi dorożkami, i całe towarzystwo zabrał z sobą na zamiejską przejażdżkę. Dzieci nawet pojechały i Filon za dorożkami pobiegł.

Późno już było, a Końcowie nie wrócili jeszcze, bo z przejażdżki zajechać mieli do ciotki narzeczonego. W zagrodzie całéj panowała cisza zupełna, przerywana tylko nuceniem młodéj służącéj, szyjącéj przy małéj lampce w kuchni oficynki, i żałosném miauczeniem białego kotka, siedzącego na poręczy ganku, gdy do pokoju mego weszła panna Teodora. Miała na sobie znowu dawną swą czarną sukienkę, a włosy jéj, niedbale w jeden warkocz splecione, nie kręciły się już nawet w dawne nad czołem loczki. Przez upłynioną dobę postarzała o lat dziesięć. Policzki jéj obwisły i pomarszczyły się, źrenice przygasły, ręce drżały widocznie.

— Przyszłam pożegnać się z panią — rzekła cichym bardzo, bezsilnym głosem — jutro wynoszę się z salki...

Zdziwiła mię wiadomość ta. Myślałam z razu, że w żalu i urazie dobrowolnie opuszcza dom brata, i chciałam

perswadować jéj, aby tego nie uczyniła.

Uśmiechnęła się gorzko.

— Zapewne — przerwała mi — gdybym mogła, została-bym.. choć życie było-by mi tu dwa razy jeszcze cięższe, niż wprzódy; ale... tułaczka po świecie... straszna, głód... jeszcze straszniejszy, i tak przywykłam do ścian tych rodzicielskich... została-bym już do końca, daj Boże, prędkiego... ale nie mogę! wyprawiają mię ztąd... Matka panny młodéj na salce mieszkać będzie...

Coś, jakby spazm płaczu, jękło w jéj piersi; lecz zaraz potém, tym samym, co wprzódy, bezdźwięcznym szeptem, mówić zaczęła:

— Brat powiedział, że mogę jeszcze miesiąc tu pomieszkać... aż do ich ślubu, a należność moję, te trzysta rubli, wypłaci mi, kiedy zażądam, choć-by zaraz... Otóż ja jutro pieniądze wezmę i wyniosę się. Nie chcę już więcéj im na drodze stać, niech już sobie zaraz zabierają ten kątek... miesiąc piérwéj, czy późniéj, wszystko jedno... a może i lepiéj, że z nim się już nie spotkam; bo choć mu z całego serca przebaczyłam, ciężko-by mi było teraz na niego patrzéć!...

Było to jedyne jéj o Tyrkiewiczu wspomnienie. Zdaje się, iż wstydziła się długich swych złudzeń i lękała się przytém wspominać go, aby czegoś złego o nim nie powiedzieć. Jedną tylko jeszcze uczyniła o przeszłości ukośną wzmiankę:

— Taka byłam ślepa! — szepnęła — nie widziałam wcale, co się koło mnie działo... sądziłam według siebie... wszystko teraz skończone... i tylko o kącie jakim i kawałku

chleba myśléć muszę...

Zapytałam ją, co z sobą uczynić zamierza... Powiedziała mi, że zamieszka u dawnéj znajoméj swojéj, staréj kobiety, utrzymującéj się z robót ręcznych.

— Może pani uważała w zaułku ten domek maleńki, z dwoma okienkami nad samą ziemią, za okienkami wiszą zawsze na pokaz roboty różne... podstawki włóczkowe, paciorkowe profitki i buciki dziecinne... Będę tam mieszkać, bieliznę brać do szycia i, we dwie żyjąc, będziemy łatać się jakkolwiek, byle do końca.

Gorącą, jak ogień, dłonią uścisnęła mi silnie rękę i wyszła. W twarzy jéj zestarzałéj i martwéj, w zgasłym wzroku i ruchach powolnych, panowała grobowa cisza. Gdyby nie ustawiczne drżenie rąk i krótkie, rozpaczne błyski, przebiegające od chwili do chwili po jéj źrenicach, można było-by myśleć, że była zupełnie spokojną.

Nazajutrz, pan Klemens tłómaczył się przede mną z postępku swego względem siostry.

— Widzi pani — mówił — jéj przecież wszystko jedno, gdzie mieszkać będzie, a nawet gdzieindziéj spokojniéj i lepiéj jéj być może, niż u nas, bo z żoną moją zżyć się jakoś nie mogły... mnie zaś salka ta koniecznie jest potrzebną. Tyrkiewicz przepada za narzeczoną, a ztąd i matkę jéj chce do siebie przytulić... Nie mogę-ż ja odmawiać człowiekowi takiemu, który wielki honor robi nam wszystkim, żeniąc się z siostrą żony mojéj... a i żona przecież coś znaczy... i oddawna chce matkę miéć bliżéj siebie... nie mogę-ż ja wszystkim na przekór robić, tém bardziéj, jeżeli przez to żadnéj krzywdy nikomu się nie wyrządzi... A jakaż Teosi

krzywda? Należność jéj wypłacę natychmiast całkowitą, i zapominać o niéj nie będę... biédy nie zazna nigdy.

Ostatnie wyrazy wymówił tonem silnego i szczerego postanowienia. Pomimo wszystkiego, trochę mu żal było siostry, i uspokajał sumienie swe obietnicami czuwania nad bytem jéj, choć z daleka.

Teodora do samego południa opróżniała komodę swą, i wyjęte z niéj łachmanki układała do kufra i tłomoka. Potém przez najętego posłańca odesłała tłomok i kufer na zaułek, do domu z małemi okienkami, umieszczonemi nad samą ziemią i, upatrzywszy chwilę, w któréj ani Tyrkiewicz, ani Helka, nie znajdowali się w oficynce, poszła pożegnać się z braterstwem, a głównie z ich dziećmi. Poniosła téż tam dwie klatki z gilami.

Pożegnanie długo nie trwało. Pani Jadwiga, na szczycie powodzeń, chciała być wspaniałomyślną i darować odchodzącéj jednę ze swych sukien. Ale ona nie przyjęła podarunku, tylko prosiła, żeby gile jéj miały dobre obejście się i wygodę. Dzieci zanosiły się od płaczu, gdy powiedziała im, że odchodzi na zawsze, i chciały biec za nią, ale zamknięto je w sypialnym pokoju, Teodora zaś wyszła z oficynki sama, z koszykiem w ręku i w chusteczce na głowie. Chciała widocznie, nie oglądając się, wyjść z dziedzińca; w furtce jednak stanęła, przez chwilę na ogródek, dom, oficynę i stajenkę patrzała i, jakby ani ustać dłużéj, ani odejść jeszcze nie mogła, usiadła na progu fórtki, i z chustką przyłożoną do twarzy, przez kilka minut cichuteńko płakała. Odjęła potém chustkę od twarzy, podniosła się z ciężkością i — poszła.

Wiele lat upłynęło od czasu tego do chwili, w któréj znalazłam się znowu na ulicy Kwietnéj. Mijając porządny sześcio-okienny dom z błękitnemi okienicami, przypomniałam sobie rodzinę Końców, i pomyślałam o odwiedzeniu dawnych mych znajomych.

Weszłam na dziedziniec i nie wiedziałam prawie, dokąd udać się mam, tak oficynka, w któréj mieszkali Końcowie, zmienioną miała postać. Podwyższono ją i powiększono znacznie. Ogródek téż rozszerzonym był podwójnie, dokupionym snadź placem, a budynki, sztachety, i w ogóle otoczenie całe, objawiało zwiększający się dostatek, i pilne o zwiększenie jego staranie.

W oficynie, w bawialni, któréj okna świeżo ładnie były pomalowane, a obok dawnych, żółtych sprzętów, znajdowały się nowsze już i wykwintniejsze, znalazłam zgromadzoną około obiadu rodzinę całą. Poznano mię od razu i powitano uprzejmie.

Pani Jadwiga nietylko, że była jeszcze piękną, ale piękność jéj stała się milszą oku przez nabranie powagi pewnéj i spokoju. Upłynione lata, przebywanie ciągłe z ukochaną matką i siostrą, a może téż i wzrastająca liczba dzieci, uspokoiły snadź burzliwy jéj temperament. W twarzy jéj odbijało się zupełne zadowolenie z losu, a gdy patrzała na męża, widać było we wzroku jéj szacunek i przywiązanie.

Pan Klemens też poważniejszym jeszcze wyglądał, jak dawniéj; utył znacznie, staranniéj daleko ubierał się, a każde poruszenie i słowo jego znamionowało, że czuł się nietylko szczęśliwym, ale téż użytecznym i coś w świecie

znaczącym. Zecerską pracę rzucił od lat kilku, został radzcą w magistracie, znaczny wpływ wywierał na sprawy miejskie i... zbierał powoli pieniądze, aby zakupić plac i dom sąsiedni. Nie mogłam sama zaprzeczyć, że poczucie godności i użyteczności własnéj w człowieku tym posiadało słuszne podstawy. Spełniał on wszystko, co na stanowisku swém spełniać był powinien; przedstawiał sobą dodatni typ pracowitego i uczciwie, porządnie żyjącego mieszczanina.

Obok ojca i matki, dokoła stołu, zastawionego prostém, lecz obfitém pożywieniem, siedziało dzieci pięcioro; najstarszy, Janek, w szkolnym mundurze, Maniusia, podlotek, wystrojona, ładniutka i roztropna, i troje młodszych, zdrowych, wesołych i nieźle przez rodziców prowadzonych.

Gwarno tam było i wesoło, w małéj téj bawialni, za któréj weneckiemi oknami stały grusze rozłożyste, osypane żółtawém już liściem i niezebranym dotąd obfitym owocem, a gwar i wesołość wzmogły się jeszcze, gdy wbiegła tam pani Tyrkiewiczowa, piękna zawsze, żywa i rezolutna kobieta, oznajmiając, iż mąż jéj wyjechał z miasta na dzień cały, i że ona braterstwo z całą kompanią na herbatę do siebie zaprasza.

— Mama niezdrowa i przyjść do was nie może, a chce dzieci widziéć... — dodała.

Po wyjściu pani Heleny, dowiedziałam się, że Tyrkiewiczowie dzieci swoich nie mieli, i bratanków kochali, jakby dzieci własne; że Tyrkiewicz zajmował się wciąż spekulacyami różnemi, stawał się coraz bogatszym, i szwagra do spółki w interesach przyjmował. Wszyscy

razem żyli tu w zgodzie, wesoło, z najlepszemi na przyszłość nadziejami.

Zapytałam o pannę Teodorę; pan Klemens opowiedział mi, że kobieta, do któréj się była przeniosła z razu, dawno już umarła, i że siostra jego mieszka w zaułku, na salce, w domu, którego numer wskazał mi dokładnie.

— Nie zapominam o niéj, — dodał — płacę jéj regularnie miesięczną pensyą, bo pieniądze swoje dawno przeżyła... stratną jest bardzo i wydawała za wiele...

W godzinę potém, znalazłszy z łatwością dom, wskazany mi przez pana Klemensa, weszłam, po chwiejących się drabiniastych schodach, na strych tak ciemny, że, potykając się na każdym kroku, omackiem prawie znalazłam jakieś, pakułą obite, drzwiczki. Przez wąziuchne, w górze wyrznięte, okienka i szczeliny w ścianach, wpadał zimny wiatr jesienny, i z jękliwemi gwizdami przelatywał po strychu. Zastukałam do drzwiczek, a nieotrzymując odpowiedzi żadnéj, uchyliłam je z wolna. Widok, który przedstawił mi się od progu, był takim, że nie mogłam z razu zdać sobie sprawy z tego, gdzie się znajduję.

Był to niby pokoik, ale bardzo dziwny. Malutki, więcéj długi niż szeroki, posiadał on u góry niezmiernie wązki szlaczek sufitu, poniżéj zaś ściany opadały ku podłodze, w linii zupełnie ukośnéj, tak, że tworzyły doskonały, u góry rozwarty, trójkąt.

Szczególna ta struktura tak zwanéj salki, spowodowana oszczędzaniem miejsca i ogólną architekturą domowstwa, czyniła ją uderzająco podobną do trumny. Wązki szlaczek sufitu wraz z ukośnie spadzistemi ścianami odtwarzał

wieko trumny z dokładnością zupełną. Pokoik ten przejść było można w wyprostowanéj postawie po jednéj tylko linii, wykreślonéj w samym jego środku; o krok jeden zboczywszy z linii téj, najmierniejszego wzrostu człowiek musiałby się już pochylać. Przy samych drzwiczkach znajdował się piecyk gliniany i kruszący się; pod jedną ze ścian stały wieszadła, pełne staréj, wypłowiałéj odzieży; w głębi zaś mętnie świeciło malutkie okienko, a przy niém był stół i parę stołków. Na jednym ze stołków siedziała malutka, wyschła kobiecina, w watowanym, podartym trochę, tołubku, bez czepka, ale z głową, bogato okrytą warkoczami zupełnie prawie białych włosów. Siedziała, bokiem zwrócona do okna i drutową robotą zajęta; na tle mętnych szybek rysował się profil jéj suchy, zaostrzony wklęśnięciem ust i policzków, z gęsto pomarszczoném czołem.

Nie zaraz mię poznała, ale gdy powiedziałam jéj moje nazwisko, uśmiechnęła się uprzejmie i prosiła, abym usiadła. W izdebce, do zrujnowanego strychu przytykającéj, czuć było wilgotny, przejmujący chłód; ciemnawo téż tam być musiało ciągle, bo o parę łokci zaledwie od okienka wznosiła się szeroka, brudno-szara facyata stajni jakiéjś, przy śpichrza. Z powodu facyaty téj, z okienka nic a nic widać nie było, ani nieba, ani ludzi, ani domowstw, ani nawet bruku dziedzińca, ciasnego i dusznego.

Zapytałam ją o zdrowie.

— Nieszczególnie, nieszczególnie, — odpowiedziała, — nocami nie sypiam, niedowidzieć zaczynam i nogi mi puchną... widocznie koniec mój już się zbliża, i dziękowała-

bym za to Panu Bogu, gdyby nie to, że strach mi trochę zamrzéć tak kiedy śród nocy, saméj jednéj, bez ludzkiéj ręki, która-by mi kroplę wody podała i na daleką drogę dobrém słowém mię obdarzyła...

Gdy mówiła to, wklęsłe wargi jéj zadrżały. Zaczęłam mówić, że przecież krewni jéj, braterstwo i ich dzieci...

Uczyniła trzęsącą się ręką giest łagodny, lecz zniechęcony, i przerwała:

— E! proszę pani! już ja się tego nie spodziewam, aby ktokolwiek z nich stanął mi w ostatniéj godzinie pomocą i pociechą! Brat bratem jest mi zawsze... niéma co mówić... daje mi regularnie kilka rubli na miesiąc, abym z głodu nie marła i pod kościół żebrać nie szła... Bo te pieniądze, co wzięłam od niego, rozeszły się dawno. Trzysta rubli... toć-to nie skarby żadne... Chorowałam... i nieboszczkę tę, u któréj zamieszkałam była, własnym kosztem pochowałam... to i rozeszły się. Dawno już tedy z jałmużny braterskiéj żyję, bo zarobić już nic nie mogę, i dość-by mi było tego, co on mi daje, zupełnie dość, gdyby tylko nie ten strach i smutek, że ot tak sama jedna jestem!

Mówiła mi potém, że brat odwiedza ją parę razy na rok, na chwilę wpada, bo podobno zajęty bardzo i czasu nie ma! U braterstwa raz tylko była króciuteńko z odwiedzinami, i wtedy tylko bratową widziała...

— Co mi tam w oczy jéj leźć! nie lubi mnie! Bóg z nią!...

— A dzieci brata czy odwiedzają panią czasem?

Na pytanie to wstrząsnęła głową i długo nią wstrząsała. Do źrenic jéj spłowiałych, ale zawsze jeszcze świecących

na dnie czystym szafirem, nadbiegły łzy...

— Janka i Maniusię przysyłali mi czasem z początku, ale potém, kiedy Janek do szkół zaczął chodzić, a Maniusia podrosła, przysyłać przestali. Młodszych nie widziałam nigdy...

Kiedy wymawiała imiona dawnych ulubieńców swych, które tak długo i czule na rękach swych piastowała, łzy napełniające jéj oczy, wydobyły się z pod zżółkłéj powieki i spłynęły z wolna po obwisłych, zmarszczonych policzkach. Zresztą nie skarżyła się wcale, nie wyrzekała na nikogo, spokojnie i po dawnemu pokazywać mi zaczęła swoje roboty. Były to pończoszki, buciki i kaftaniczki dziecinne, na drótach robione, różnych rozmiarów.

— Kiedy mi grosz jaki zostanie od kupienia garstki krup i bułki chleba i od zapłaty za kwaterę, kupuję sobie włóczki, bawełny, i dłubię te maleństwo, a potém przez żonę stróża dla tych kochanych robaczków posyłam. Niech tym sposobem przynajmniéj wiedzą, że mają ciotkę.

Pokazywała mi nogi swoje, obrzękłe od stóp aż do kolan i, jak mówiła, bardzo bolące. Potém z ciężkością podnosząc się ze stołka, rzekła:

— Jeszczem dziś nic nie jadła. Przepraszam panią, ale muszę w piecyku zapalić i obiad sobie zgotować...

Przywlokła się do glinianego piecyka, zapaliła w nim parę drewienek, i przystawiła do ognia wodę w małym garnuszku. Z całéj siły szczupłéj swéj piersi dmuchała na ogień, aby się żywiéj palił, a gdy rozpalił się już i woda w garnuszku zawrzała, wsypała do niéj garstkę krup i szczyptę soli, a siedząc wciąż na ziemi, zwróciła się ku mnie i

zapytała:

— Czy pani była u mego brata?

Odpowiedziałam twierdząco. Milczała chwilę; potém, opierając brodę na ręku i mrużącemi się oczyma patrząc w ogień, mówić zaczęła:

— Słyszałam, że u nich teraz ładnie bardzo i wesoło. Co dziwnego? Dobrze się mają i w zgodzie podobno żyją... mieszkanie sobie ustroili jak cacko, znacznych ludzi przyjmują i... pięcioro aniołków wciąż koło siebie mają...

Po chwili milczenia dodała znowu:

— U Tyrkiewiczów to już pewno pani nie była; ale słyszała pani może, że pan Laurenty coraz więcéj pieniędzy zbiera, a wszyscy w całém mieście bardzo go poważają i szanują... Żonka go, słyszę, za nos wodzi, ale wierna mu podobno, niéma co mówić, wierna, i zaszczyt mu przed ludźmi robi ładną twarzyczką... a on przepada za nią. Ot i jemu także dobrze na świecie!

Umilkła. Blask ognia migotał po siwych jéj włosach i złocił twarz żółtą, uwydatniając chudość jéj i wszystkie zmarszczki. Wymówiwszy ostatnie wyrazy, powolne spojrzenie powiodła po opadających nad nią, do wieka trumny podobnych, ścianach; po wieszadłach, z których melancholijnie opuszczały się stare łachmany, po nadpruchniałém łóżku, okrytém podartą kołderką; spojrzała potém na wielką facyatę stajni, więziennie przysłaniającą jéj okno, na podarty tołubek swój i obrzękłe nogi, a patrząc znowu w ogień i trzęsąc głową, kilka razy szepnęła:

— Czternasta część! czternasta część!

KONIEC.

*Tekst jest **[własnością publiczną](#) (public domain)**. Szczegóły licencji na stronie autora: [Eliza Orzeszkowa](#).*

„SILNY SAMSON.”

OBRAZEK MIEJSKI.

Jeżeli kiedykolwiek zechcesz czytelniku znaléźć w mowie ludzkiéj jednoznacznik wyrazu: *żyd*, weź dykcyonaryusz historyczny, szukaj pod literą *k*, a gdy znajdziesz imię: *Krezus*, podkreśl je i zapamiętaj, albowiem posiądziesz już wiedzę, któréj żądałeś. Synonimem żyda jest: *Krezus*.

Żyd i Krezus, to zupełnie wszystko jedno. Każdy przecież wié, że pomiędzy żydami są Rotszyldowie przedewszystkiém, a następnie téż i inni bankierowie, posiadający nie wiem już jaką ilość milionów i pałace, pełne złoceń, rzeźb, kobierców, zwierciadeł i t. p. Ztąd wniosek prosty, jak dwa a dwa cztery, że plemię, wydające z siebie Rotszyldów i owych innych bankierów, jest bardzo bogate, i caluteńkie opływa w miliony, pałace, złocenia, rzeźby, źwierciadła i t. d., a jeżeli którykolwiek z synów plemienia tego nie opływa w to wszystko, to dlatego tylko, że sam nie chce, bo obyć się może byle czém; gdyby jednak chciał, opływał-by z pewnością.

Bogate plemię! szczęśliwe tedy plemię! Uznaję w zupełności to szczęście jego, i temu tylko dziwię się, dlaczego Szymszel, syn Gerszuna, a mąż Cipy, nic a nic o

bogactwie tém i wynikającém z niego szczęściu nie wié. Widząc tę zupełną nieświadomość Szymszela, myślałam z razu, że udaje on, kryje się ku lepszemu wyprowadzeniu w pole gojów, pomiędzy którymi wybrał już sobie z pewnością Meropią jakąś, czyli ofiarę, na wyzyskiwanie przez zarząd kahalny skazaną i sprzedaną, o których-to *Meropiach*, czyli ofiarach, tyle u nas mowy było w ostatnich czasach. Po bliższém jednak przypatrzeniu się, z najgłębszém zdziwieniem mém przekonałam się dowodnie, że Szymszel w istocie i najszczerzéj *Meropii* żadnéj nie posiada, a o bogactwie i wszelkich szczęśliwościach, których ono źródłem jest, nic wcale nie wié. Co się tycze złoceń, rzeźb i zwierciadeł, wątpię nawet, czy Szymszel widział je kiedykolwiek w życiu swojém, chyba, że zwierciadłem nazwiemy lusterko, mające ćwierć łokcia długości, które w drewnianych ramkach, bez śladu złoceń ni rzeźb, wisi nad kuferkiem Cipy, a ku któremu sześcioletnia Esterka, dziecię Szymszela, wspina się po kilka razy dziennie, w celu zapewne zobaczenia ognistych kędziorków swych, błękitnych oczu, śmiejących się do lusterka, i bladéj twarzy ojca, który uśmiecha się, patrząc na lusterko i na nią.

O innych więc zwierciadłach, nad to w którém odbija się zawsze kawałek brudnéj ściany, a czasem figlarny nosek Esterki, Szymszel nic a nic nie wié, tak jak zresztą nie wié o mnóztwie zjawisk i rzeczy, choćby dość pospolicie istniejących na téj ziemi, albowiem wyznać to muszę z wielkim wstydem, uczuwanym za tę postać obrazka mego — zakres rzeczy i zjawisk, znany Szymszelowi, jest

niezmiernie ciasnym, jakkolwiek zresztą z nieświadomości téj rzeczy ziemskich, sprawiedliwością rządząc się, wyłączyć należy izbę, mającą dziesięć stóp długości a pięć szerokości, którą Szymszel zna dokładnie i we wszystkich jéj szczegółach, raz dla tego, że mięszka w niéj od lat dwunastu, następnie, iż niéma w niéj nic do poznawania, prócz dwóch łóżek, piętrzących się pościelą burakowéj barwy, ogromnego pieca z czarnym jak otchłań otworem, wiecznie przy piecu suszących się szmat odzieży, okienka w spróchniałych ramach, stołu pod okienkiem, stołków trzech, kota jednego i pięciorga dzieci.

Te ostatnie szczególniéj Szymszel zna dobrze, bo bardzo je kocha. Jakże-by ich zresztą mógł nie kochać, skoro są to wszystko dzieci zupełnie niepospolite, piękne na podziw, rozumne nad wiek, a dobre!... no, co tu już o tém gadać!... Gada jednak o tém długo i często Cipa, a Szymszel nie przeczy jéj bynajmniéj. Owszem, czuje on sam głęboko całą niepospolitość dzieci swych, i cieszy się nią nie mniéj od Cipy, choć w milczeniu, tworzącém sprzeczność z wymownością ich matki. Każde z dzieci sprawia mu tak wielkie, a coraz nowe pociechy! Esterka naprzykład iskrą jest, nie dzieckiem. Trzewiczki nosi ona tylko w sobotę, i to jakie! żal się Boże! wybrane z kosza staréj łachmaniarki, znoszone już przez bogate dzieci jakieś, czasem atłasowe, albo z cieniutkiéj, safianowéj skóreczki, czasem błękitne albo ponsowe, ale podarte bardzo, i sznurkami, zamiast tasiemek, związywane. Ale w trzewiczkach tych, lub bez nich, drobne jéj nóżki drepcą po izbie, wskakują na matczyny kuferek, skaczą po kamieniach, okrywających

podwórko, a czasem zwieszają się na płocie, odgradzającym podwórko od sąsiedniego domowstwa, w ten sposób, że wydaje się, jak gdyby były tam bez swéj właścicielki; wyższa bowiem połowa ciała Esterki zwisa ku dołowi z jednéj strony płotu, a niższa z drugiéj. Włosy jéj, rozczochrane zawsze do ostatnich granic, wyglądają jak zwikłane z sobą kręte płomyki, a są tak wielkie, że mała okrągła, twarzyczka jéj, z kolorowym punkcikiem w miejscu ust, wydaje się pośród nich zupełnie malutką. Taką jest Esterka, trzecie z rzędu dziecko Szymszela.

Doskonale dobraną z nią parę tworzy brat jéj, młodszy o rok, *Mendele*, którego jedynemi indywidualnemi cechami zdają się być dotąd: spencerek z różowego płócienka i wiecznie z za niego wymykające się, a ku ziemi zwisające, białe tasiemki, na które-to tasiemki wciąż następując, Mendele, często pada i przeraźliwym krzykiem rozdziera nawskroś tę malutką ilość powietrza, która napełnia izbę i ciasne podwórko. Że jednak na krzyk ten nikt a nikt najmniejszéj uwagi nie zwraca, trwa on zazwyczaj krótko. Mendele samodzielnie powstaje z upadku, poprawia malutką jarmułkę na włosach, tak jak u siostry, ognistych i ogromnych, i w towarzystwie Esterki rozpoczyna na nowo po płotach, stosach śmiecia i różnych kołyszących się deskach, najrozmaitsze akrobatyczne ćwiczenia, na które Szymszel spogląda przez okno z cichym uśmiechem głębokiéj radości. Mendele zresztą skończy już, niestety! wkrótce tę, najpiękniejszą zapewne w życiu swém, epokę bezgranicznéj swobody i niezmąconéj wesołości; za parę miesięcy bowiem, będzie on już miał lat pięć, zmuszonym

więc zostanie rozpocząć prawidłowo prowadzone kursa naukowe. I tak już z rozpoczęciem ich spóźnił się znacznie. Przed rokiem, coś około czwartéj rocznicy urodzin jego, była już mowa pomiędzy nim a rodzicami o posyłaniu go do *Hederu*. Podówczas przecież Mendele, na uczynione mu w téj mierze przedstawienie, w żaden sposób zgodzić się nie chciał. Nie chciał iść do *hederu* — i koniec. Schwycił się obu piąstkami za spodnicę matczyną, przysiadł, stopami wparł się w ziemię, wrzasnął ogromnie, strumień łez z błękitnych oczu na rumiane policzki wypuścił — i nie poszedł! Cipa gniewała się zrazu i martwiła wstrętem tym, okazanym przez czteroletniego syna do nauki, i przedstawiciela jéj *Mełameda*, o długiéj brodzie, plecach przygarbionych i ponurém wejrzeniu. Pocieszył ją jednak mąż, mówiąc:

— Kiedy ja byłem w jego wieku, ja po ulicach jeszcze biegałem i bawiłem się... jednak, ot do czego późniéj doszedłem... dojdzie i on kiedyś, a tymczasem niech jeszcze trochę podrośnie!

Starszy za to syn Szymszela, dziewięcioletni Enoch, od pięciu już lat uczęszcza do *hederu*, umié wybornie czytać po hebrajsku, biegły jest w znajomości *Humeszu*, czyli Mojżeszowego Pięcioksięgu, a od roku wstąpił już nawet na szczebel wyższéj całkiem nauki, rozpoczynając studya nad Talmudem i komentarzem *Rasze*. Niezwykłe to postępy! Cóż, kiedy czarne oczy wysmukłego dziecka rozwarły się téż niezwykle szeroko i, niezwykle głęboko zapadłe, świecą wśród ściągłéj, bladéj twarzy, blaskiem gorącym i tak jakoś smutnym, jakby się ciągle na coś skarżyły. Skarżył bo się

też z razu mały Enoch na srogość *mełameda* swego, pokazując uszy swe, tak zaczerwienione od częstego ich targania, że świeciły jako rubiny w gęstwi czarnych włosów. Cichutko mówił też matce, że bolą go plecy i głowa: piérwsze od uderzeń *melamedowéj* pięści, druga od nadzwyczajnéj ilości wiedzy, gromadzącéj się w nazbyt małéj stosunkowo przestrzeni dziecięcego mózgu. Skargi te Enocha, nie otrzymując przecież żadnego pocieszającego rezultatu, ustały wkrótce.

Mełamed, nauczający Enocha, najtańszym był ze wszystkich Mełamedów, istniejących w mieście Ongrodzie, pomimo zaś, że wśród narodu żydowskiego istnieją Rotszyldowie i inni owi bardzo bogaci bankierowi, Szymszel i Cipa nie byli w możności opłacać Mełameda takiego, który-by z większą łagodnością charakteru i ogładą obyczajów łączył też i większe wymagania. Enoch tedy, pomimo, że uczy się dobrze i umié bardzo wiele, ale nie uczuwa tego wewnętrznego zadowolenia, które towarzyszy zazwyczaj szczęśliwym podróżnikom po krainach wiedzy. Nie ma on wcale pozoru, ani szczęśliwego, ani zdrowego dziecka. Po powrocie z hederu, siaduje najczęściéj w kącie izby na ziemi. Zrudziałą czapeczkę nasuwa na czoło (bo bardzo nabożnym będąc, nie chce ani przez chwilę zostać z odkrytą głową) i, albo w zamyśleniu głębokiém rozgrzebuje pałeczką śmiecie, zalegające kąt izby, albo, trzymając na kolanach wielkiego burego kota, z wolna przesuwa po sierści jego małą, chudą rękę, i wielkiemi swemi, zapadłemi, smutnie błyszczącemi oczyma, spogląda w złotawą i przyjaźnie ku niemu mrugającą, źrenicę kocią.

Stworzenie to, wzięte przez Cipę na ulicy małém, zjeżoném i z głodu mrącém, kocięciem, wyhodowane razem z dziećmi swéj właścicielki, posiada w rodzinie, oprócz Enocha, jedną jeszcze istotę, do któréj czuje żywą sympatyą.

Istotą tą jest najstarsza córka Szymszela, dziesięcioletnia Liba, wysmukła, szczupła i od pięciu już lat kaszląca. Liba ma twarz bladą i znamionującą chorobliwe usposobienie, oczy jasno szare, z wyrazem cierpiącym i cierpliwym, włosy lnianéj barwy, gładkie, i z tyłu głowy splecione w krótki, sterczący warkoczyk. Uważana w domu za zupełnie dorosłą już osobę, Liba jest bardzo poważna i rozważna, zastępuje przy gospodarstwie matkę, po całych dniach w domu nieobecną, i piastuje młodsze rodzeństwo. Pali ona w piecu, chodzi po wodę do poblizkiéj studni, strawę gotuje, raz w tydzień izbę zamiata, sto razy na dzień przechodzi najróżniejsze katusze z powodu Esterki i Mendelka, których ustawicznie szukać musi, wołać, strofować, albo pocieszać; a wszystkie funkcye te spełniając z niezmierną powagą i wytrwałością, obraca w chudych dłoniach druty wełnianych pończoch, czasem żółtawych, czasem czarnych, albo błękitnych, które robić nauczyła ją matka przed laty sześciu, które téż od lat sześciu robi ona dla matki, siebie i rodzeństwa, a czasem, w porach trudnych przesileń finansowych, i na sprzedaż. Niekiedy Liba uczuwa się zmęczoną, siada na nizkim stołeczku pod piecem i ręce trzymające pończochę składa na kolanach. Spoczynki te jednak trwają krótko. Najczęściéj bowiem wtedy właśnie, dwuletniemu Lejzorkowi przychodzi ochota spacerowania

po izbie. Spaceruje tedy, gwarząc głośno i energicznie machając rączkami, potém pada i wrzeszczy okropnie, a Liba wstaje, podnosi go z ziemi i kołysze w objęciach póty, dopóki dziecko nie uspokoi się i nie zaśmieje do pochylonéj nad sobą twarzy siostry. Wtedy Liba składa je w kołysce i chce odejść, ale Lejzorek ponownie wydaną z piersi nutą najżałośniejszego minoru objawia żądanie, aby pozostała przy nim. Kołyska stoi tuż przy łóżku Cipy, wysokiém samo przez się, a podwyższoném jeszcze dwiema leżącemi na niém pierzynami. Libie, jakkolwiek wysmukłą jest względnie do wieku swego, na łóżko to wejść trudno. Gramoli się jednak na nie, siada na szczycie pierzyn, nogi opiera o brzeg kołyski, i robiąc pończochę swą, może już wygodnie z wysokiego stanowiska tego doglądać Lejzorka, który usypia, ale od chwili do chwili otwiera jeszcze oczy, patrząc, czy siostra jest przy nim. Nie wiem, czy te, otwierające się co chwila, senne oczy dziecięce, spostrzegają, jak wydatnie, a zarazem dziwnie jakoś, głowa poważnéj dziewczynki z bladą twarzą, spuszczoną powieką i sterczącym z tyłu warkoczykiem, odbija od burakowego tła piętrzących się dokoła niéj pierzyn i poduszek.

Takiemi są dzieci Szymszela, lecz kim i jakim jest sam Szymszel?

Kim jest? W pytaniu tém zawierają się kwestye urodzenia i tego wyższego, lub niższego stanowiska, które człowiek zajmuje na drabinie hierarchii społecznéj.

Co do urodzenia, nie umiem powiedzieć państwu dokładnie, kim był rodzic Szymszela. Woziwodą podobno, czy drwalem; jedni mi mówili tak, a drudzy inaczéj, lecz

wszyscy zgadzali się w twierdzeniu, że musiał być bardzo ubogim, skoro syn jego edukacyą swą naukową rozpoczął w Talmudorze, to jest w szkółce bezpłatnéj. Co zaś do stopnia hierarchii, że wysokim on być musi, wnieść możemy z owych słów Szymszela samego, do żony powiedzianych: „ot, do czego ja doszedłem!” Człowiek, który wyrazy te wymawia z dumą i zadowoleniem, do czegoś ważnego i wysokiego dojść musiał. Szymszel posiada istotnie to stanowisko, które przywykliśmy wszyscy uważać za wysokie i szacunek, a nawet pewną wdzięczność ogółu budzące, jest on bowiem... Sprawię wam, czytelnicy, niespodziankę prawdziwą, gdy powiem, że Szymszel jest — uczonym.

Wiadomość ta nie stanie w sprzeczności najmniejszéj z uprzedniém twierdzeniem mojém o tém, że krąg rzeczy i zjawisk, znanych Szymszelowi, jest nadzwyczaj ciasnym, jeżeli tylko zechcecie z pamięci i wyobraźni swéj wykluczyć w téj chwili wszystkie wiadome wam akademie, uniwersytety i wysokie instytuty wiedzy. Zakłady naukowe, z których Szymszel uczoność swą zaczerpnął, nazywają się: Talmudora, Eszybot i Bet-ha-Midrasz. Tworzą one stopnie pełnie tak, jak szkółka elementarna, gimnazyum i akademia. Nie wszyscy żydzi stopnie te przechodzą. Są tacy, którzy, dla braku zdolności, albo ochoty, zatrzymują się na piérwszym, albo na drugim. Szymszel nie zatrzymał się i przeszedł wszystkie. Co więcéj, dosięgnąwszy na piérwszym ze stopni tych lat wieku swego dziesięciu, na drugim trzynastu, na trzecim ośmnastu, a w ośmnastym roku ożeniwszy się, nie przestał jeszcze uczyć się. Chodził

do Bet-Midraszu i uczył się, siadywał wieczorami i nocami całemi w izbie swéj, przy stole stojącym u okna, i... uczył się.

Czego mianowicie uczył się? Religii swéj, dziejów jéj, niezmiernie licznych, a subtelnych jéj odcieni, metafizyki w niéj zawartéj i przyozdabiających ją podań, przypowieści, axyomatów, legend, których część znaczna — czy uwierzycie państwo? — porównaną być może do pereł i kwiatów ludzkiéj myśli. Szymszel więc jest — jak-by to powiedzieć? — teologiem-metafizykiem, a w części téż i dziejoznawcą, w téj części, która ściśle i bezpośrednio dotyczy dziejów ludu żydowskiego i wiary jego. Po-za tą dziedziną wiedzy, w któréj dosięgnął wysokiego bardzo stopnia biegłości, nie wié on o niczém a o niczém, i po za czynnością ustawicznego ćwiczenia się w swéj specyalności, nie czyni on nic a nic. Absolutne zagłębianie się to w specyalności, dość oderwanéj od potrzeb codziennego bytu, wprowadziło-by codzienny byt Szymszela i pięciorga jego dzieci w trudności nierozwikłane, gdyby nie ożenił się on był, mając lat ośmnaście, z Cipą, która miała lat sześnaście; gizelką była w dużym sklepie korzennym, na handlu więc i manipulacyach jego znała się, a zostając żoną uczonego (dzięki swatowstwu kupcowéj, u któréj służyła), uczuła się tak uszczęśliwioną i zaszczyconą tém małżeństwem, iż człowiekowi, który ją podobnie świetnym losem obdarzył, oddała się z duszą i ciałem, z miłością tkliwą a nieśmiałą, ze czcią głęboką i niezmordowaną ochotą do poświęcenia się bezgranicznego.

Szymszel, syn woziwody, czy drwala, ubogi uczeń bezpłatnéj szkoły, nie posiadający żadnego majątku, prócz dwustu złotych, zebranych dla niego drogą składki publicznéj, uchodził przecież w oczach młodych dziewcząt i rodziców ich za partyą tak świetną, że gdy małżeństwo jego z Cipą ogłoszoném zostało, wszyscy jednomyślnie dziwili się szczęściu małéj gizelki, któréj stara matka roznosiła po ulicach kosze z owocami, a siostry powychodziły za szewców, stolarzy i tym podobnych ludzi grubego rzemiosła i nizkiego stanu. Szewcy ci i stolarze posiadali wprawdzie własne małe domki, duże warsztaty i stałe dochody. Szymszel nie miał ani domu, ani pracowni żadnéj, ani dochodu żadnego; ale był uczonym i przytém, a może zatém, tak pięknym i delikatnym!...

Szymszel i Cipa tedy pobrali się, mając społem kapitału rubli trzydzieści. Oprócz tego, Cipa miała jeszcze wyprawę, czyli: trzy koszule, dwie pierzyny, dwie suknie i kaftan watowany jeden.

Nic więcéj nad to w porze pobrania się swego nie mieli, a jednak od lat już oto dwunastu żyją... Urodziło się im przez czas ten dziewięcioro dzieci, z których czworo umarło, a pięcioro istnieje; urodzi się pewno jeszcze z pięcioro, z których ze troje umrze, a ze dwoje wyhoduje się, a jednak żyć będą... Dziwném się to zapewne wyda państwu, a może i nieprawdopodobném, aby rodzina jakaś, w tak świetne, szczególniéj liczebne, rezultaty obfitująca, żyć mogła z kapitału, wynoszącego rubli trzydzieści. Ja sama dziwiłam się temu niezmiernie dopóty, dopóki z blizka nie poznałam Cipy.

Z pozoru jest to sobie mała żydóweczka, zupełnie, jak to mówią, prosta. Dwadzieścia ośm lat mając, wygląda na czterdzieści z górą. Nizka, na przód podana, z plecami, na których watowany kaftan garbi się i błyszczy, nie tyle od cenności materyi, co od zgrzybiałego wieku, przesuwa się ona przez tłum drobnym, śpiesznym, a jednak nieśmiałym i jakby skradającym się, krokiem.

Wydaje się wiecznie skłopotaną czémś, ogłuszoną, ogłupioną, i tylko czarne oczy jéj, ruszają się wciąż bardzo szybko wśród śniadéj, zwiędłéj twarzy, i rzucają często bardzo żywe błyski. W błyskach tych zdradza się ustawiczne a bystre szukanie i upatrywanie czegoś, a niekiedy niespokojne, czujne i namiętne pożądanie. Zdarza się téż czasem, że oczy Cipy przybierają wyraz złośliwy i doskonale wtedy harmonizują z czołem nizkiém, okrytém od gęstych brwi aż po kraniec czarnéj peruki niezliczoną ilością drobnych zmarszczek.

Raczcie jednak państwo nie żartować z téj małéj, prostéj żydówki, bardzo nieestetycznie i niemądrze wyglądającéj. Dokonała ona rzeczy pewnéj, wcale ważnéj, rozwiązała w praktyce pewną kwestyą społeczną, którą świat cały uznał za niezmiernie trudną do rozwiązania, mianowicie kwestyą równouprawnienia kobiety wobec prac zarobkowych. Cipa doprowadziła rozwiązanie kwestyi téj do ideału, albowiem zarobkiem swym utrzymuje od lat dwunastu siebie, męża i pięcioro dzieci, we wszystkich przedsiębiorstwach swych, do celu tego prowadzących, wspierając się na kapitale, wynoszącym rubli trzydzieści.

Za owe rubli trzydzieści, reprezentujące podwalinę

rodzinnego jéj bytu, Cipa założyła sklepik korzenny, mając w dodatku, co prawda, przyobiecany sobie na równą sumę kredyt w sklepie, w którym pełniła przedtém funkcyą gizelki. Najważniejszém zadaniem dla wszelkiego przedsiębiorstwa, mającego na celu zarobek, jest znalezienie klienteli. Cipa, od piérwszego dnia założenia sklepiku, zaczęła szukać klienteli, i po dziś dzień jéj szuka, nie dlatego, aby znaléźć jéj nie mogła, ale że, znalazłszy, wnet ją traci i szukać musi nowéj. Tracenie to staje się dla przyczyn rozlicznych, pomiędzy któremi nie najmniéjszą rolę grają pewne tajemnicze czynności, którym Cipa oddaje się wieczorami, po zamknięciu sklepu, w tegoż sklepu kąciku ciasnym, pomiędzy szafą, kontoarem a ścianą. Wtedy z kącika tego odzywają się szczególne szelesty jakieś, odklejania niby czegoś i ponownego zaklejania, przesypywania i przelewania.

Jakkolwiek przecież czynności, którym w chwilach owych oddaje się właścicielka sklepu, tajemniczo wyglądają przy mdłém światełku lampki, palącéj się na ziemi za kontoarem, przesadą było-by przypisywać im tragiczne znaczenie. Cipa nie należy do żadnego spisku żydów, ku szkodzie, lub zniszczeniu chrześcijańskiéj ludności skierowanego; nie przygotowuje w skrytości i tajemnicy żadnych zgubnych działań przeciw swéj Meropii, bo ręczę za to państwu, że Meropii żadnéj, która-by wyłącznie jéj własnością była, nie posiada, a nawet wątpię, aby brzmienie wyrazu tego kiedykolwiek w życiu swém słyszała. Działa ona zupełnie na własną rękę, bez żadnéj solidarności z resztą swego narodu. Meropią jéj jest

zbiorowa istota, nosząca imię: kupującéj publiczności; a możebnemi władzami, które ją skłaniają do owych różnych przysypywań i przelewań, czyniących dobre gatunki towarów miernemi, a mierne szkaradnemi, są: mąż uczony, dzieci pięcioro i trzydzieści rubli podstawowego w przedsięwzięciu kapitału. Meropia Cipy, kupująca publiczność, posiada snadź smak i węch wytrawny, gdyż członkowie jéj, zaledwie zawarłszy znajomość z jéj towarami, wnet nabywać je przestają (po mnogich w dodatku, a niestety słusznych, wyrzutach, krzykach i łajaniach), tak, że wyszukiwanie coraz nowéj klienteli stanowi dla Cipy cel, nigdy nieustających starań i zabiegów. Stara się téż i zabiega w sposoby najróżniejsze: jękliwemi prośbami, całowaniem rąk, oddawaniem każdemu, kto zażąda, wszelkich zażądanych przysług. Ażeby zasłużyć się publiczności i zdobyć od czasu do czasu jakiś grosz naddatkowy, staje się naprzemian: posłańcem publicznym, listonoszem, stręczycielką sług, pośredniczką między pożyczającymi a chcącymi pożyczać, sprzedającymi a chcącymi nabywać. W sklepie siaduje dorywczo tylko, od czasu do czasu; wyręcza ją tam matka, z sióstr która, sąsiadka jaka; ona zaś sama całemi dniami biega ze wschodów na wschody, dźwiga pod ramieniem ciężkie zawinięcia, nosi na plecach stosy staréj odzieży, staje pokornie u progów różnych, z dwoma koszami w rękach, z których jeden zawiera bakalie, a drugi herbatę i butelki z winem, kłóci się z kucharkami i stróżami domów, którzy ją do dobroczyńców jéj puszczać nie chcą, przekupuje surowość ich parą fig, albo garsteczką orzechów; niekiedy

wpada w niecierpliwość, i z osobami płci swojéj, które wytwarzają dla niéj uciążliwą konkurencyą, zawodzi na ulicach takie kłótnie, iż zbliżają się ku niéj stróżowie porządku publicznego i do ustąpienia z placu walki skłaniają ją siłą pięści. Raz nawet w ręku tych grubiańskich przedstawicieli wielkiéj idei pozostał spory kawał aksamitnego niegdyś kołnierza, zdobiącego watowany jéj kaftan.

Cipa, po zginionéj w ten sposób świetności stroju swego, zapłakała rzewnemi łzami... Chwila ta rozczulenia była przecież u niéj całkiém wyjątkową. W ogólności nie skarży się nigdy na nic, a jeśli czasem ktoś, spotkawszy okiem żałośliwe spójrzenie jéj, zapyta ją z większém lub mniejszém współczuciem:

— Cóż, Cipo, czy wielka tam u was biéda?

Nigdy nawet na pytanie to nie odpowiada twierdząco, tylko mówi:

— Nu! jak Pan Bóg chce, tak jest.

Zdarzają się i tacy, którzy, znając nieco bliżéj domowe stosunki Cipy, a widząc ciemną, pomarszczoną twarz jéj, wilgotną nieraz od potu zmęczenia i wstrząsaną pomimowolnemi, nerwowemi drganiami, mawiają do niéj:

— A cóż bo ten twój mąż przez całe życie robi? Dlaczego on ci nie pomaga?

Wtedy z twarzy Cipy znika wyraz znękania, a zastępuje go coś nakształt gniewu.

— On ma swoję robotę — odpowiada mrukliwie — on nie może pomagać mi w handlu.

— Jesteś więc, Cipo, bardzo nieszczęśliwą, mając

takiego męża niezdarę.

Słysząc to, Cipa podnosi głowę.

— Żebym ja miała dziesięć córek, to ja-bym Pana Boga prosiła, ażeby im wszystkim dał takie szczęście, jak moje.

Przy słowach tych, oczy jéj promienieją i śmieją się, rozrzewniony uśmiech okrąża zwiędłe usta, a rumieniec wzruszenia, czy zawstydzenia, opływa pomarszczono czoło aż po brzeg czarny peruki...

Ba! sztuki dokazał-by ten, kto-by uzdolnił Szymszela do pomagania Cipie! W piérwszych latach małżeństwa swego, Cipa, sama nie znając jeszcze całéj rozciągłości, jakiéj dosięgła uczoność jéj małżonka, pozostawiała go w sklepiku do pilnowania i sprzedawania towarów, w czasie jéj nieobecności. Pilnować pilnował i nawet bardzo sumiennie, bo, jak kamień, nieporuszony siedział za kontoarem, trzymając głowę w obu dłoniach i dumając nad tém, jak-by się dały pogodzić dwa, znajdujące się w Misznie, przeciwne sobie twierdzenia, rabbi Gamaliela i rabbi Eliezera, albo, jakie wnioski wyprowadzić należy z pewnego powiedzenia rabbi Papy, z którego-to zresztą powiedzenia wyprowadzonych już zostało przez różnych komentatorów wniosków sto i dziesięć. Szymszel przecież usiłował wywieźć z niego wniosek sto jedenasty, i dumając nad nim, pilnował powierzonego sobie sklepiku, bez żadnéj przykrości, ni przeszkody. Ale, gdy przyszło do drugiéj części zleconéj mu roboty, czyli do sprzedawania, rzecz zaczynała być wielce trudną dlatego, że nie mogła wesprzéć się na rozmowie, gdyż Szymszel nie rozumiał wcale języka, w którym przemawiali do niego kupujący. Parę razy jednak

zdarzyło się, iż, znalazłszy na prędce tłómacza, za pośrednictwem jego rozmówił się z przybyłymi, i żądane towary im sprzedał, lecz, gdy Cipa, po powrocie do domu zbadała sposób, w jaki sprzedaż ta dokonaną została, zmieniła się w posąg rozpaczy nieruchomy, niemy, i tylko głową żałośnie kiwający. Pokazało się, że Szymszel, ważąc zbywany towar, odważył go półtora razy więcéj, niż należało (udawał bowiem tylko, że zna się na wadze, w gruncie zaś nic a nic mechanizmu jéj nie rozumiał), a zdając resztę z podanych sobie pieniędzy, przeliczył się na swą niekorzyść o całe dwadzieścia groszy, (na wartości monety znał się tyle, co i na wadze). Nie wiem dlaczego kupujący goj, tym razem spostrzegając wybornie omyłkę Szymszela, nie sprostował jéj, lecz przeciwnie, przenajspokojniéj z niéj skorzystał. Stało się to zapewne dlatego, iż więcéj, niż w świadectwo oczu własnych, wierzył on w to, że żyd ani odważyć, ani przeliczyć na niekorzyść swoję nie może, i dlatego jeszcze, że z Meropii, czyli z ofiar, wyzyskiwaniu poddanych, korzystać lubią nietylko żydzi sami, ale także i niektórzy gojowie... Dość, że Cipa, wyręczywszy się parę razy przez męża w sklepikowych czynnościach, wyręczać się nim nadal poprzestała. Ręką swą zgrubiałą i ciemną powiodła z wolna po czarnych jego włosach, popatrzała mu chwilę w twarz, uśmiechając się z nieśmiałą czułością, i powiedziała:

— Nu! idź ty do swojéj roboty! ja już sama wszystkiemu dam radę.., niech twoja głowa będzie o wszystko spokojną.

Szymszel poszedł do swojéj roboty, czyli do swoich uczonych ksiąg i dumań. Głowa jego była spokojną, a serce

opływało w słodycze różnego rodzaju. Szczęśliwym był on w sposób wieloraki. Duma wielka i doskonałe zadowolenie z siebie napełniały pierś jego wtedy, gdy do ciasnéj i brudnéj jego izdebki wchodzili ludzie różni, mężowie nieraz poważni bardzo bogacze, ba! nawet uczeni, i zapytywali go o znaczenie różnych ciemnych miejsc w świętéj nauce, prosili o rady w różnych drobniutkich punktach religijnéj kazuistyki, albo po prostu o opowiedzenie im téj lub owéj historyi, poczerpniętéj z Hagady, téj lub owéj legendy, przypowieści i t. d. Szymszel tłómaczył, wyjaśniał, radził, opowiadał, wpadał sam w zapał, graniczący z extazą, i zachwyceniem napełniał serca słuchaczy swych, którzy odchodzili z głębokiemi ukłonami, oddawanemi mądrości i wymowie jego...

Była to jedyna uciecha Szymszela. Drugą, i nie najmniejszą czerpał on, jak już wiemy, z ojcowskiéj miłości swéj, rozdzielonéj pomiędzy pięć przedmiotów, z których każdy zachwycał go innemi wdziękami i budził w nim czułość tkliwą, zachwyconą i wiecznie radosną. Smutek najlżejszy nie mieszał się z tą czułością. Teraźniejszość dzieci nie sprawiała Szymszelowi troski żadnéj. Troszczyła się o nią srodze Cipa; ale, że nigdy o troskach owych mężowi nie mówiła, więc nie wiedział o nich nic wcale. Co do przyszłości, jeżeli kiedy Szymszel, patrząc na pięć pociech swych, pomyślał o niéj, wnet mówił sobie:

— Enoch, Mendele i Lejzorek, będą uczonymi, Liba i Esterka wyjdą za mąż za uczonych.

I nie była to nawet prosta nadzieja, ale pewność która, zupełnie uspakajając Szymszela co do przyszłéj doli jego

dzieci, dawała mu w dodatku uszczęśliwiający przedsmak chronicznéj i bezwyjątkowéj w rodzinie jego uczoności.

Trzeciém i najwyższém może źródłem szczęścia była dla Szymszela — praca. Tak. Próżniakiem on nie był wcale, jak o tém mógł-by mniemać ktoś, powierzchownie na rzeczy patrzący. Ja, która często bywam w sklepiku Cipy i ztamtąd spoglądam w głąb' sąsiedniéj izby, na własne oczy widuję nieraz Szymszela, tak, ale to tak zapracowanego, że mu aż pot kroplisty występuje na zbladłe od znużenia czoło, krwiste plamy rumieńców występują na policzki, obrosłe czarnym włosem, a wargi drgają nerwowo od wzruszeń, doznawanych w walce z trudnościami zadania. Szymszel pracuje z całego serca, z całéj duszy i ze wszystkich sił swoich, lecz cóż za pyszne, wspaniałe nagrody otrzymuje w zamian za wysilenia swoje! Jakich odkryć dokonywa! Jak głębokie a ważne rozwiązuje zagadki! Jakie cudowne miewa złudzenia!

Raz naprzykład udało mu się odkryć, że w *Kedaszim*, czyli w księdze piątéj Talmudu, traktującéj o ofiarach, znajduje się wymienione imię zwierzęcia pewnego, które, jako nieczyste, nie mogło być składaném w ofierze Panu, a o jakiém-to imieniu dotąd jeszcze nikt nie wiedział. I teraz także, z odkrytego w księdze *Kedaszim* imienia tego, nikt a nikt nie domyślił się, jakie mianowicie zwierzę ma ono oznaczać, niemniéj przecież odkrycie to dostarczyło samemu Szymszelowi rozkoszy, będącéj zwykłym udziałem wynalazców, a w gminie całéj stało się prawdziwym ewenementem. Jakże!... małą to rzeczą było dowiedzieć się, że zwierzę jakieś, niewiadomo jakie

właściwie, ale takie a takie imię noszące, nie mogło być, według prawa, składaném Panu w ofierze, w świątyni zburzonéj przed dwoma tysiącami lat?

Innym znowu razem, Szymszel ujrzał rzecz nadzwyczajną. Było to w nocy. Cipa spała, dzieci spały, ale on nie spał i przy lampie, o długim, kopcącym kominie, nad książką siedząc, pracował. Pracował długo i niezwalczony sen ogarniać go już zaczynał, gdy nagle, podniosłszy oczy z nad księgi, wyprostował się, pobladł śmiertelnie, rozwarł usta i oczy szeroko, i tak już w na-pół przerażonéj, a na-pół zachwyconéj postawie pozostał. Nie dziw, bo oto co ujrzał w téj chwili.

Za oknem, przed którém siedział, wisiała gruba ciemność nocy. Na czarném jéj tle, przed oderwanemi od księgi, krwią nabiegłemi oczyma Szymszela, błysnęła naprzód długa, złota pręga, potem rozszerzała się zwolna, rozdzielała się na pręgi drobniejsze, aż rozwinęła się w drabinę złotą, któréj szczyt dotykał niebios, ciężkich jesiennemi chmurami, a podstawa wspierała się o zroszone deszczem kamienie podwórka. Dokoła ciemność panowała czarna, a na tle jéj promieniały szczeble téj drabiny złotéj, z których na każdym stał anioł. Aniołowie to byli różni. Szymszel rozpoznawał ich z kolei, niby istoty, których nigdy wprawdzie dotąd nie widział oko w oko, ale których portrety widywał nieraz na kartach czytanych ksiąg. Tam, u samego dołu drabiny, wspierając ją potężnemi barkami swemi, stał Sar-ha-Olam, archanioł wiedzy. „Niedarmo w Hagadzie nosi on tytuł książęcia świata” — pomyślał Szymszel, bo szkarłatna opona opływała olbrzymią postać

jego, a na głowie swéj dźwigał koronę, złożoną z liter misternie zwikłanych, a pałających na podobieństwo promieni tych, które strzelają ku niebu z męczeńskich stosów. Zresztą duch to był dumny i z chłodném obliczem, otaczały go mgły srebrzyste, o których Szymszel domyślił się, że były wyłanianemi przez ducha myślami. Mgły te, srebrnemi pasmami odrywając się od łona anioła wiedzy, ulatywały w otaczające go ciemności i, gdy zdawały się walczyć z niemi w przestrzeni, Sar-ha-Olam patrzył na walki te wielkiém, spokojném, przejrzystém okiem, a płomienne litery, splatające koronę jego, układały się w wyraz „zwyciężę!“

Powyżéj wznosili się aniołowie inni, różni, mniejsi i więksi, bardziéj i mniéj promieniści. Szymszel poznawał ich wszystkich, każdego zwąc po imieniu. „Oto jest anioł Metatron — mówił sobie w duchu — Bądź pochwalony, aniele Metatronie, który strzeżesz Izraela jako źrenicy w oku swojém i biedną jego głowę osłaniasz skrzydłami swemi.“ Skrzydła anioła Metatrona śnieżyście białe są i tak jak tałesy, płaszcze owe, w których modlą się synowie Izraela, obramowane ciemnemi szlakami. Znak to żałoby, w który Przedwieczny przyodział Metatrona, gdy lud, nad którym obrońcą i stróżem on stoi, stracił ojczyznę.

— A oto jest anioł Uryel z jedenastu towarzyszami, którzy rządzą dwunastu miesiącami w roku. A oto aniołowie wichru i ognia... wyglądają jako tęczowe tumany, lecz barwy ich bledną co chwila... rozpraszają się oni, znikają, i ztamtąd, kędy stali, leci już tylko dźwięk jakby struny, pękającéj z długim żałośnym poświstem... A oto...

bądź pochwalony, o Sandalfonie, aniele modlitwy!

Tak; u szczytu drabiny złotéj, któréj podnóże wspiera archanioł wiedzy, o potężnych ramionach, w płaszczu szkarłatnym i koronie z hieroglifów splecionéj, stoi anioł modlitwy, wysmukły i biały, z włosem złocistym, uwieńczonym cierniami, z głową łagodnym ruchem tak przechyloną ku ziemi, jak gdyby wiecznie wsłuchywał się w lecące od niéj szmery.

Szymszel patrzy na Sandalfona wzrokiem śmielszym daleko, niż spoglądał na innych aniołów. Po ustach jego wije się nawet uśmiech przyjacielskiego porozumienia. Anioł-powiernik to i anioł-przyjaciel ludzi. W dłoniach jego pełno kwiatów. Zmieniają się one wciąż... coraz to inne są, a on je wciąż splata w wieńce niezmiernéj długości.

— Wiem — myśli Szymszel — są to modlitwy ludzkie, które z nad ziemi płyną, płyną, płyną ku Jehowie, a Sandalfon chwyta je w przelocie, w kwiaty przemienia, w wieńce uplata i ściele Przedwiecznemu pod stopy. Przedwieczny pozna już tam, czyje to są i jakie błagania.

Sandalfon, zbierając wszystkie modlitwy ludzkie, czuje snadź w sobie wielki smutek i litość, bo oko jego goreje łzą ogromną, tak błyszczącą, jak najpiękniejszy brylant. Szymszel patrzy na tę łzę i myśli: „Bądź pochwalony, aniele Sandalfonie, za to, że taką litość czujesz nad ludźmi!“ A powiedziawszy to, zaczyna przyglądać się kwiatom, płynącym z dłoni Sandalfona, jak długa barwna wstęga, i nadziwić się piękności ich nie może. Szkarłatne kielichy wyrastają w oczach jego do wielkości takiéj, że okienko, przez które patrzy na nie, pomieścić ich nie może;

róże, białe jak śnieg, błyszczą srebrnemi łzami, na krwawych łodygach wyrastają liście czarne z żałobą białych rąbków, błękitne gwiazdy sypią z siebie deszcz złotych iskier, żółte tulipany wyglądają jak dzwony ogniste z wielkiemi sercami, kołacącemi w nich mocno i porosłemi ciemnym piołunem. Szymszel patrzy na wszystkie te cudowności, do ust jego przylgnął uśmiech zachwycenia, głowę z podziwu wielkiego przechyla w obie strony, a ręce mimowolnym ruchem podnosi w górę.

Nagle, złota drabina i napełniający ją aniołowie, srebrzyste łzy Sar-ha Olama, walczące z ciemnościami, i przecudowne kwiaty Sandalfona — bledną, zlewają się w tuman niewyraźny, tu i owdzie centkowany jeszcze złotem i purpurą, aż znikają całkiem. Szymszel ciężką ręką przeciera powieki i smętnym wzrokiem spogląda dokoła.

Przed nim na stole, z wązkiego kominka dogasającéj lampki wymyka się dym brudny, cuchnący; dokoła niego, na łóżkach, kufrze i na ziemi pod piecem szemrzą senne oddechy i chrapania, z pod pierzyny odzywa się kaszel Liby, kot głośno mruczy, śpiąc obok skurczonego w kącie Enocha; za oknem dnieje, lecz grube chmury zasłaniają niebo, a duże mętne krople deszczu spadają z nich na brudne kamienie podwórka, po którém przelatują długie jęki i pogwizdy wiatru.

Szymszel powstał, przywdział tałes, opasał czoło rzemieniem z tefilą i, wznosząc w górę obie ręce, dziękował Bogu za to, że dał mu, niby drugiemu Jakóbowi, ujrzéć żywemi oczyma anioły swe — i za to, że uczynił go tak bardzo, tak bardzo szczęśliwym...

Szymszel był tém szczęśliwszy, że głębokich a licznych uciech jego nie mąciła żadna troska, żadna boleść, których tyle doświadczają wszyscy, nieobcy uczuciom, noszącym nazwy: humanitaryzm, filantropia, dbałość o sprawy ogółu i t. d. Uczuć tych Szymszel nietylko nie doświadczał, ale nie wiedział nawet, że istnieją na ziemi. Oprócz nauki, któréj oddawał się, dzieci, które kochał, i żony, dla któréj doświadczał uczucia pobłażliwego, jakby litośnego przywiązania — nic na szerokim świecie nie obchodziło go w stopniu najmniejszym.

Ze społeczeństwem, otaczającém szczupły ten krąg, śród którego upływało mu życie, nie miał nigdy stosunków żadnych. Ani znał go, ani znać chciał. Mowy jego nie rozumiał. Nienawiści dla niego żadnéj nie miał i miéć nie mógł, bo nie istniało ono dla niego. Nie myślał o niém nigdy. Co się zaś tyczy społeczeństwa tego, z którém wiązała go jedność pochodzenia, wiary i mowy, czuł dla niego życzliwość, która przecież utrapień, ni trosk nie sprawiała mu żadnych. Chętnie otwierał przed niém skarby wiedzy swojéj. Zresztą nie wdawał się w żadne sprawy i nie łamał sobie głowy nad dodatniemi lub ujemnemi warunkami zbiorowego jego bytu. Jeżeli kiedykolwiek o uszy jego obiło się westchnienie: „źle jest z nami,“ — odpowiadał; „tak Bóg chce,“ a jeżeli westchnienie to przybierało formę zapytania: „co będzie z nami?“ — mawiał: „tak będzie, jak Bóg zechce,“ przyczém wspominał sobie proroctwa o przyjściu Mesyasza, proroctwa, które w mniemaniu jego spełnić się muszą niewątpliwie, i uśmiechał się na-pół tajemniczo, na-pół rozkosznie.

Spokój jego był tak niezmąconym, jak zupełném i głębokiém było zadowolenie z samego siebie, jak wielorakiém i żywo uczuwaném było jego szczęście.

Jedyne zmartwienie, którego doświadczał od czasu do czasu, sprawiała mu znoszona niegdyś przez żydów niewola babilońska. Myśląc lub czytając o niéj, stawał się smutnym, zamyślał się i przyciszonym głosem nucił pieśń o rzekach Babilonu i ziemi wygnania. Martwiło go też niekiedy zburzenie świątyni jerozolimskiéj. Cesarza rzymskiego, Tytusa, który tego dokonał, nienawidził z całego serca, namiętnie, zjadliwie. Była to jedyna nienawiść, którą nosił w swém sercu. Częściéj jednak, niż nienawiści téj, oddawał się żalowi. Niekiedy, czytając historyą o oblężeniu Jerozolimy przez wojska rzymskie i o wszystkiém, co nastąpiło potém, brał głowę w obie dłonie, jęczał i płakał.

Czarność przecież chwil takich stokrotnie wynagradzaną mu bywała różowością wielu innych. Jak naprzykład rozpływał się cały z rozkoszy na widok bogactw i chwały króla Salomona! jak głośno wyśpiewywał i podskakiwał radośnie, wraz ze śpiewającym i tańczącym przed arką przymierza, królem Dawidem! Jak dumnie tryumfował z Machabeuszem! Jak gorąco radowało go piérwsze po klęsce zgromadzenie się izraelskiego Sanhedrynu, i jak żywy, gorliwy brał udział w staczanych w Sanhedrynie dyskusyach, i jak pysznym był z tego, że brał w nich udział!

Godzinami całemi siadywał u nóg rabbi Gamaliela, z rabbi Jehudą toczył delikatne lecz wytrwałe spory, z rabbi Akibą przyjaźnił się czule, serdecznie i kochał go, a

uwielbiał bez granic.

Tak, wśród rzadkich zmartwień a ustawicznych uciech, płynęło życie uczonemu małżonkowi niestrudzonéj Cipy, aż do wypadku pewnego, który najniespodzianiéj w świecie zmącił spokojny i błogi bieg jego żywota.

*
* *

Jeżeli ktokolwiek z państwa był w Ongrodzie, znać musi zaułek ów, który od tak zwanego bulwaru prowadzi ku nieznanym i niezbadanym, bardzo jednak obszernym, choć niezmiernie ciasnym, głębinom dzielnicy żydowskiéj.

Mój Boże! jak ja się wstydzę tego, że muszę państwa prowadzić w miejsce, które nazywa się zaułkiem. Lecz cóż mam czynić?

Powieściopisarz jest jak podróżnik. Mało znane, lub całkiem dzikie miejscowości, pociągają go ku sobie najżywiéj. Kto więc z państwa posiada instynkta podróżnicze, niech idzie za mną w ten zaułek, którego obie strony zabudowane są z początku ślepemi ścianami wysokich kamienic, ale potém zniżają się i ukazują same tylko niziuchne, drewniane i licho pobielane domki, o trzech, dwóch, albo i jedném oknie.

Oto domek, w którym mieszka *Rebe* Szymszel ze swoją rodziną. Ma on ze strony zaułka dwa okna i drzwi, raczéj drzwiczki, wyniesione nad poziom dwoma schodkami. Okna nie należą do Szymszelowego mieszkania: mieszka za

niemi Icko blacharz, wraz z siedmiu innemi osobami, rodzinę jego składajacemi, ale drzwiczki prowadzą właśnie do sklepiku Cipy.

Przykro mi bardzo, że koło sklepiku tego przechodzić musimy, bo ulatują z niego wonie świec, mydła, masła i śledzi, zlewające się w aglomerat niezbyt przyjemny dla powonienia. Są to przecież rzeczy realne, prozaiczne, których nie sposób ominąć przy podróżowaniu po krainach rzeczywistości. I głąb' sklepiku wygląda też bardzo realnie i prozaicznie, możemy przecież nie przyglądać się mu wcale, bo oto brama od podwórka, na które wejść musimy, ażeby módz nawiedzić Szymszelowe mieszkanie.

Zmrok wieczorny zapada.

Jednak, przy ostatkach światłości dziennéj, dostrzegamy w głębi podwórka, nad domkiem o dwóch oknach, który naprzeciw bramy stoi, zawieszoną w powietrzu — rękę olbrzymich rozmiarów. Ręka ta tak wielka, jak dwadzieścia zwykłych rąk ludzkich razem wziętych, pomarańczową ma barwę i najwyraźniéj wisi w powietrzu... Cóż-by to było? czary jakieś albo guślarskie maszynerye, dokonywające się w nienawistnych i zbrodniczych celach? Wszak wszystkiego spodziewać się można w brudném tém siedlisku ciemnego żydowstwa!

Nie drżyjcie państwo i nie zabierajcie się do odwrotu. Ręka ta, wisząca w powietrzu, nie ma w sobie żadnych nadnaturalnych celów ni właściwości. Jest to rzecz bardzo prosta: szyld, wymalowany dla rękawicznika jakiegoś i wywieszony na powietrze, w celu wysuszenia wielkiego tego plastra farby.

W domku, naprzeciw bramy stojącym, mieszka Mowsza, malarz ścian i szyldów. Prawdziwy to dobroczyńca Szymszelowych dzieci: szczególniéj Esterki i Mendelka. Sprawia on im ustawiczne a radosne niespodzianki i uciechy. Raz widzą one przed domkiem jego wiszącą rękę olbrzymią, to znów but cały czerwony z żółtą podeszwą, to różowe suknie, szeroko rozpięte na tle błękitném, albo kocze i kabryolety, których lazurowe pudła wspierają się na purpurowych kołach.

Przed cudownemi temi obrazami Esterka staje częstokroć godzinami całemi, z palcem, utopionym w koralowych ustach, i oczyma, wzniesionemi w górę, a Mendele zapomina się wobec nich do takiego nawet stopnia, że przysiada na kamieniach i głowę w niemym zachwycie tak wysoko podnosi, iż mała jarmułka spada mu z ogromnych włosów, a on tego nie spostrzega. Spostrzega to przecież przez okno pobożny Enoch, wychodzi z mieszkania, z wielką powagą przebywa dziedziniec i podnosi z ziemi jarmułkę, w celu przykrycia nią głowy lekkomyślnego brata, lecz, przypadkiem spojrzawszy na cudowny obraz, wiszący przed domem malarza szyldów, nie dokonywa zamiaru tego, ale, trzymając jarmułkę zawieszoną, niby miecz Damoklesa, nad głową Mendelka, staje w nieruchoméj postawie i patrzy. Tak patrzą wszyscy troje dopóty, aż Liba przyjdzie wołać ich na obiad lub wieczerzę.

Liba nie ma czasu przypatrywać się cudownym obrazom, ale gdy raz już tam przyjdzie, w celu wyrwania rodzeństwa z idealnych sfer zachwytu, sama w nie wpada, staje także i

patrzy.

W téj chwili jednak, wielka pomarańczowa ręka nie posiada podziwiających ją spektatorów. Na drucie, którego w zmroku nie widać, wisi ona i niekiedy, przy powiewie wiatru, kołysze się z przeciągłém skrzypieniem, pięciu swemi grubemi i szeroko rozwartemi palcami migocąc na tle dwóch, poniżéj, oświetlonych okienek.

Okienka Mowszy są dziś rzęsiście oświetlone, a z za nich dolatuje uszu naszych gwar ożywionéj i przez liczne głosy prowadzonéj rozmowy. Czyżby Mowsza i żona jego Chaja wdawali się w wydawanie u siebie balów albo rautów? Wątpię; albowiem, pomimo istnienia wśród izraelskiego ludu Rotszyldów i innych owych bardzo bogatych bankierów, malarz szyldów jest, można powiedzieć, wcale niezamożnym człowiekiem.

Spostrzegam, iż trwoga, połączona z oburzeniem, maluje się znowu na twarzach państwa! Jeżeli to niepospolite oświetlenie okienek mieszkania Mowszy i gwar, za niemi brzmiący, nie są oznakami rautu albo balu, są one niezawodnie oznakami tajemniczéj narady jakiéjś lub mrocznego spisku.

Nie wiem; być może.

Nie znam z blizka Mowszy, zatém i ręczyć nie mogę za niego, tak jak ręczyłam za Szymszela. Dowiemy się jednak o tém niezawodnie, a teraz rzućmy okiem na to oto okienko, całą szerokością nieszerokiego podwórka rozdzielone z oświetlonemi okienkami Mowszy.

Ściana domu, przy którym stoimy, starą jest, nizką, i posiada widoczną skłonność do położenia się na ziemi, ku

któréj też pochyla swą chropowatą i popielatą powierzchnią. Wraz z nią chyli się też ku ziemi tkwiące w niéj okienko, z czterech szyb złożone i w spróchniałe ramy oprawione. Za okienkiem błyszczy mdłe światełko. Pochodzi ono od lampki z długim, wązkim kominkiem, palącéj się na stole pod oknem stojącym, a do połowy okrytym wielką, rozwartą księgą. Przy stole i nad księgą siedzi...

Mam przyjemność osobiście tym razem przedstawić państwu Szymszela, o którym tyle już słyszeliście ode mnie! Jestem pewną, że, przypatrzywszy się mu, potwierdzicie zdanie Cipy, że jest on bardzo pięknym i delikatnym. Jest wysoki i bardzo szczupły. Ręce ma białe, jak u kobiety najlepszego tonu i urodzenia, wązkie i kształtne bardzo, choć chude. Twarz jego ściągła, blada, z długą, kędzierzawą, kruczéj czarności brodą, posiada prawdziwą czystość i delikatność rysów, a wyraz spokojny i bardzo łagodny. W chwilach, gdy podnosi on z nad księgi swe oczy, twarz ta oblewa się światłem głębokiego, tajemniczego marzenia; znać zaraz, że źrenice te, czarne, ogniste w głębi a z wilgotną powierzchnią, płaczą niekiedy nad niewolą babilońską i zburzeniem Jerozolimy, a często spoglądają na płomienne hieroglify, wieńczące dumną głowę archanioła wiedzy, i na łzę brylantową, gorejącą w oku anioła modlitwy. Coś ze spokojnéj dumy Sar-ha-Olama i z przedziwnéj dobroci Sandalfona odbiło się i pozostało w ognistéj, a jednak miękkiéj, źrenicy Szymszela. Wargi jego, cienką, i zaledwie różową linią zarysowane wśród czarnego zarostu, gdyby nie należały do tak ciemnego i prostego

żyda, oznaczały-by niezawodnie naturę wrażliwą, nerwową, artystyczną może, tak wytworny posiadają one zarys, tak wymownem drżeniem poruszają się od chwili do chwili i takie zjawiają się na nich pojętne a miękkie i rozrzewnione uśmiechy.

Co do mnie, podzielam zupełnie zdanie Cipy o powierzchowności jéj męża i znajduję, że, patrząc na nią okiem, posiadającém w sobie coś ze świateł anioła wiedzy i anioła litości, można wiele myśléć, domyślać się i żałować...

Jeżeli jednak żyd ten zainteresował państwa tak jak mnie, będziecie mogli przypatrywać się mu dowoli, ile razy zechcecie tylko przyjść o téj saméj porze na to podwórko, gdyż codziennie i niezmiennie siaduje on wieczorami tak, jak dziś go widzimy, przy stole, z twarzą zwróconą ku oknu, oświetloną mdłém światłem lampki, schyloną nad księgą lub zapatrzoną kędyś wysoko. Niekiedy zobaczycie go z Esterką, która skacze na jego kolach, albo z Lejzorkiem, który włazi mu na plecy i obie ręce zatapia w kruczych jego włosach. Wtedy on jest bardzo wesołym, zapomina o niewoli babilońskiéj i Sandalfonie i śmieje się do dzieci, i głośne pocałunki wyciska na ich policzkach...

Teraz nie będziemy już przypatrywać mu się dłużéj, gdyż oto otwierają się drzwi mieszkania malarza szyldów i gromada czarnych postaci, wyszedłszy z nich, przesuwa się pod zdającą się grozić ich głowom pomarańczową ręką, z gwarliwą rozmową przebywa podwórko i wchodzi do izby Szymszela.

Wejdźmy za niemi.

Izbę znacie już państwo z mego opisu. Teraz zrobiło się w niéj strasznie pełno. Weszło do niéj sześciu ludzi. Prezentuję:

Icko blacharz,

Mowsza malarz szyldów,

Josiel kuśnierz,

Meir, syn kuśnierza Josiela,

Dwóch innych nie znam.

Dla tych-to ludzi zapewnie Mowsza oświecał *à giorno* swe mieszkanie, oni-to tak gwarnie w niém rozmawiali. Lecz czego żądają oni od Szymszela? — Kłaniają mu się z uszanowaniem wielkiém, tak wielkiém, że znać zaraz, iż ci prości rzemieślnicy czują nad sobą niezmierną wyższość uczonego.

Szymszel wita ich uprzejmie, łagodnie, ale z powagą, odpowiednią dostojeństwu swemu. Z pośrodka gromadki całéj występuje, bądź jako najstarszy, bądź jako najwymowniejszy, Josiel kuśnierz. Z lekką nieśmiałością przystępuje on do rzeczy i powiada, że całe obecne tu towarzystwo uradziło...

Uradziło... a co? czyśmy nie zgadli? Oni coś uradzili! Cóż uradzić mogli? — Naturalnie, nic innego, jak coś, co podkopać ma lub boleśnie zranić świat chrześcijański, jak dowodnie przekonywa nas o tém broszura, ręczę, że przez mądrego wielce męża napisana, ale przez mędrszego jeszcze przepolszczona, nosząca tytuł: „Zawojowanie świata przez żydów.“ Oni chcą i usiłują zawojować świat (taki wojowniczy naród!) i pewno teraz rzecz jakąś, ku celowi temu prowadzącą, uradzili.

Josiel kuśnierz tedy powiada, że on i towarzysze jego uradzili, w dzień najbliższego Purymu... grać teatr.

Tylko?!

Tylko.

...Grać teatr na rzecz ubogich...

Nawet?!

Nawet.

Uradziwszy zaś grać teatr na rzecz ubogich, w dzień najbliższego Purymu, umyślili prosić *Rebe* Szymszela, aby do ich kompanii chciał należéć.

Rebe Szymszel ma głos do śpiewania piękny, bardzo piękny. Nikt nad niego lepiéj nie wyśpiewa roli głównéj.

Sam kantor im to doradzał, kantor, który — jak wiadomo — cudownie śpiewa, a wszystkie głosy w całéj gminie zna, jak swój własny.

Rebe Szymszel jest uczonym, bardzo uczonym człowiekiem. Nikt nad niego żywszéj sympatyi dla ich przedsięwzięcia nie obudzi u ludu, nikt większą powagą przedsięwzięcia tego przed ludem nie okryje. Sam *rabbi* Boruch, który wiadomo jak gorliwie opiekuje się ubogimi, ku większéj korzyści ubogich prosi go o to...

Co oni takiego grać mają? Grać mają sztukę pod tytułem „Silny Samson,“ którą *Rebe* Szymszel z pewnością zna (czegoż nie zna mądrość *Rebe* Szymszela?), a w któréj są takie piękne śpiewania i takie piękne widoki, że... ach!

Josiel kuśnierz, mówić przestaje, lecz z za krępéj, nizkiéj postaci jego wysuwa się wysoki i barczysty Mowsza, malarz szyldów, i z uśmiechem napoły wesołym, napoły nieśmiałym, czyni tę trafną uwagę, że *Rebe* Szymszel i dla

tego jeszcze przychylić się do prośby ich powinien, że najstosowniejszém będzie, gdy rolę „Silnego Samsona“ odegra „Silny Samson.“ Wszak tamten nazywał się Samson i ten nazywa się Samson, a jeżeli tamten miał siłę w swojém ciele, ten ma siłę w swoim rozumie.

Uwaga ta Mowszy, tak grzeczna, dowcipna a przytém słuszna, otrzymała poklask ogólny.

Rzeczywiście, Szymszel to Samson, tak jak Mowsza to Mojżesz, Josiel, — Jozue, Icek, — Izaak i t. d. Nie domyślaliście się państwo, że tak wspaniałéj i powszechnie szanowanéj pamięci imiona kryją się za imionami tak skromnemi, że aż powszechnie wyśmiewanemi! Śmieliście się nieraz z Mowszy, Icka i Szymszela, nie wiedząc o tém, że macie do czynienia z Mojżeszem, Izaakiem i Samsonem. Gdybyście odwykli trochę od śmiania się, dowiedzielibyście się może wielu innych, podobnie nowych a wcale zajmujących rzeczy. Ale śmiech... Gdyby mię zapytano jak Ezopa: co na świecie jest najlepszego i zarazem najgorszego?

Odpowiedziała-bym: śmiech.

Szymszel czyli Samson długo namyślał się nad uczynioném mu przedstawieniem. To, czego po nim żądano, było nie medytacyą już i nie kontemplacyą, ale czynem, więc czémś, z czém Szymszel nie miał dotąd stosunków najmniejszych.

Czym przerażał go. Tak mu ciężko będzie chodzić, ruszać się, usiłować — słowem działać. Przytém rzecz tak płocha, jak granie teatru, czy nie ubliży jego powadze, czy nie poniży jego dostojności?

Myślał długo, potém wstał i rzekł:

— Jeżeli kantor mówi, że ja mam taki piękny głos do śpiewania, i jeżeli *rabbi* Boruch mnie o to prosi, i jeżeli to dla ubogich, to ja zgadzam się do tego należéć.

Wielka radość w całéj kompanii, w czém po chwili bierze udział i sam Szymszel.

Gdyby Szymszel nie był żydem, powiedział-by on i miał-by zupełne prawo powiedzieć: „ja sam jestem ubogim”, ale, będąc żydem, nie miał prawa powiedzieć tego i nie powiedział; żona jego bowiem posiadała przedsiębiorstwo, oparte na trzydziestu rublach podstawowego kapitału, gotowała codziennie krupnik z kartoflami, a na piątek i sobotę kupowała nawet półtora funta mięsa lub ryby, co, zgódźcie się państwo, dla siedmiu osób, rodzinę składających, było zupełnie dostatecznem.

Posiadając więc wszystkie te warunki życia, Szymszel ani pomyślał nawet o tém, że jest ubogim, i że grać-by można teatr i na jego także korzyść.

Kompania zapraszająca rozpowiadać zaczęła Szymszelowi, kto kim będzie:

— Wysoki, barczysty Mowsza akurat pasuje do roli cesarza filistyńskiego, nu! on ją i odśpiewa.

— Icko, blacharz, będzie ministrem i zausznikiem Mowszy; a ci dwaj Rebowie przedstawią starców jerozolimskich, co to przed filistyńskim cesarzem płaczą...

— Meir, syn Josiela kuśnierza, (on czerwieni się teraz od wstydu) będzie przedstawiał Dalilę... on taki młody i taką delikatną twarz ma, z niego będzie piękna dama.

— Innych filistynów tu niéma, ale my już ich mamy,

tylko nie mieli oni czasu tu przyjść, bo to są szewcy i stolarze, którzy do późnéj nocy pracować muszą.

— Uczyć nas będzie sam kantor, i do niego schodzić się będziemy na próby, a na ubrania i wszystkie inne wydatki obiecał nam *rabbi* Boruch zebrać pieniądze u bogatych kupców... Nu! i my sami zresztą postaramy się... Co robić? Kiedy nam Pan Bóg dał takie szczęście, że my mamy z czego żyć, to trzeba Jemu za to dziękować, dopomagając tym, którym On tego szczęścia nie dał.

— Josiel kuśnierz grać teatru nie będzie, on tylko gospodarz, i do niego należy, aby rzecz cała urządzoną była *recht* i *richtig*.

Rozpowiedziawszy to wszystko, goście odeszli z podziękowaniami i pokłonami. Szymszel zaś ani przypuszczał, że postanowienie, które powziął przed chwilą, zaznaczy się silnie w życiu jego i... kto wié? będzie może miało ważne następstwa dla przyszłości jego dzieci.

Co pewna, to, że dzień ten rozpoczął nową erę w życiu... Cipy. Ileż przez kilka tygodni, które nastąpiły po nim, doświadczała ona przyjemności niewymownych i chluby, rozlewającéj się w piersi jéj potokiem miodu!

Szymszel zmienił nieco sendenteryjne swe zwyczaje i, na całe ranki często opuszczając izbę, przepędzał czas u kantora, gdzie ćwiczył się w sztuce śpiewu, którą i przedtém już, wcale nie na żarty lecz na seryo, w dość wysokim stopniu posiadał. Wieczorami za to trupa artystów-amatorów schodziła się do izby jego w pełnym komplecie.

Z tą uprzejmą dumą, która właściwą jest ludziom,

zajmującym wysokie stanowiska, prosił on swych czasowych kolegów, aby czynili mu ten honor, a oni skłonili się do żądania tego z uciechą i z pewném także zadowoleniem miłości własnéj. Miło to jest módz bywać codziennie u kogoś, nieskończenie od nas wyższego. Blacharz, kuśnierz i malarz szyldów czuli się zaszczyconymi możnością codziennego bywania w domu uczonego, ale że zajmowali się robotą grubą, nizką, która ma to do siebie, iż zabiera dwanaście, czternaście albo i szesnaście godzin na dobę, nie mogli przychodzić inaczéj, jak o dość późnéj porze wieczornéj.

Gdy przybywali, robiło się w izdebce gorąco, jak w suto napalonym piecu. Dusili się; co widząc, Szymszel, dawał z siebie dobry przykład, zdejmował chałat, i tak sobie w kamizelce i białych (nieśnieżnie białych) rękawach, siadał na stole, stojącym przy oknie.

Widząc to, goście mówili: „z przeproszeniem”, i, zdjąwszy także chałaty swe, siadali, gdzie komu wypadło: na kufrze, kulawych stołkach i na ziemi. Ta ostatnia pozycya przypadała zawsze szesnastoletniemu Mejerowi, *vulgo* Dalili, któremu także, jako najmłodszemu, nie wolno było zdjąć szaréj, okrywającéj go (z wyjątkiem łokci, których nie okrywała) surduciny.

Obraz cały układał się w ten sposób, że Szymszel, siedzący na stole, górował nad całą grupą, z pośród któréj najwydatniejsze punkty stanowili: cesarz filistyński, *vulgo* malarz szyldów, z twarzą i rękoma utatuowanemi farbą czerwoną i szafirową, i okrągła twarz Dalili, *vulgo* Mejerka, szkarłatna od gorąca i zawstydzenia, niby piwonia, i

błyszcząca potem, niby rosą. Gdy zaś usadowili się już wszyscy w ten sposób, rozpoczynali próbę, czyli śpiewanie wspólne i kolejne, ożywione i kierowane przez kuśnierza, który, stojąc w głębi, takt obiema rękoma wymachywał, i często szturchał Mejerka, który zapewne z nieśmiałości kolei swéj dostatecznie nie pilnował.

Wtedy-to w piersi Cipy rozpoczynał płynąć ów potok miodu. Jakkolwiek była gospodynią domu, nie potrzebowała wcale myśléć o przyjściu gości. Bardzo to w złym tonie jest, ale cóż czynić. Na wieczorach wokalno-dramatycznych u Szymszela i Cipy przyjęcia żadnego nigdy nie było. Jeżeli ktokolwiek z gości zmęczył się śpiewaniem, napijał się wody, (czystéj wody, bez cukru ani wina) — i koniec. Cipa tedy, nie potrzebując, na wzór innych gospodyń, odrywać się od przyjemności towarzyskich dla gospodarskich zachodów, siadała na ziemi przy samym piecu, obejmowała obiema rękoma podniesione swe kolana, patrzała i słuchała. Patrzała na męża i słuchała męża. Gdy inni śpiewali, twarz jéj stawała się obojętną, czasem nawet lekceważącą, wzgardliwą; ale gdy koléj śpiewania przychodziła na wysmukłego człowieka, tego, który w kamizelce i rękawach od koszuli na stole siedział, wtedy, o! wtedy, mrocznie rysująca się w cieniu pieca, twarz ta uwiędła, ciemna, z czarną peruką, niby z plastrem sadzy nad nizkiém, pomarszczoném czołem, tak rozpromieniała się dumą, okazywała się tak tkliwą, zachwyconą niewymowną błogością, iż, patrząc na nią, każdy rzekłby: „szczęśliwa kobieta!”

Tak, w niezapomniane dla niéj te wieczory, Cipa była

szczęśliwą, dumną i wesołą. Zapominała o sklepiku, o wierzycielach, o progach, przy których stawały bolejące jéj nogi; o schodach, na których brakło jéj oddechu, o kucharkach niegrzecznych i rywalkach niegodziwych, stróżach porządku publicznego i wszystkich zmartwieniach swych, a myślała tylko: „Aj! jaki on piękny! i jaki on delikatny! i jak on pięknie śpiewa! jak jego ludzie szanują!” Czasem dodawała: „Pan Bóg łaskaw na mnie! dał mi szczęście!”

Próby ciągnęły się niekiedy do godziny piérwszéj i drugiéj po północy, ale Cipa ani na chwilę oczu do snu nie zamykała. Starał się także nie zamykać ich nabożny Enoch, siedzący w zwykłym kąciku, z burym kotem w objęciach; ale powieki kleiły mu się mimowolnie, a czapczyna zsuwała się na tył głowy, coraz to, wśród drzémania, uderzającéj o ścianę. Co do innych dzieci: *Liba* leżała na wysokościach matczynych pierzyn, z szeroko wciąż rozwartemi oczyma, z warkoczykiem, który rozplatał się z wolna i opuszczał na bladą jéj twarz pasma lnianych włosów; Esterka usypiała twardo za plecami ojca, rozciągnięta na stole, z pod którego wyglądały stopy i białe tasiemki śpiącego tuż Mendelka. Lejzorek budził się czasem i łączył swój ultra-alt z głosami śpiewaków, ale w tych uroczystych chwilach nikt już na niego nie zważał.

*
* *

Purym! Purym! Przed nie wiem już ilu tysiącami lat, okrutny Haman, minister króla Ahaswerusa, umyślił wytępić cały lud izraelski, uratowali go: Mardocheusz — mądrością swą, i królowa Ester — swą pięknością i dobrocią. Haman został powieszony, a lud izraelski zbawiony od zaguby, i oto aż po dziś dzień lud ten obchodzi rocznicę uratowania swego z radością taką, jak gdyby była nie dwutysięczną którąś tam, ale pierwszą lub drugą, a na pamiątkę Hamanowego powieszenia wypieka ciasta kształtu osobliwego, zwane *Hamantasze*.

Purym! Purym! Wszyscy izraelici miasta Ongrodu porwani są wirem radości i wesołości nadzwyczajnéj. Od starców aż do dzieci, od bogaczy do nędzarzy cieszą się wszyscy. (Tylko Rotszyldowie i owi inni bankierowie bodaj że już nie cieszą się!) W każdym domu i domku toczą się w dniu tym długie, rozrzewnione rozmowy o pięknéj i dobréj, ach! jak dobréj, królowéj Esterze! Wszędzie błogosławią imię jéj i imię mądrego Mardocheusza. Szczęśliwi ludzie, ten Mardocheusz i ta Ester! We wnętrznościach ziemi zniknęły aż do ostatniego atomu prochy ich, a pamięć ich błogosławioną jest dziś jeszcze przez miliony serc, i jakich jeszcze serc! oto takich, które nic czułego, nic szlachetnego, nic wspaniałego pojąć ni odczuć nie umieją. Serca te, nizkie, samolubne, niewdzięczne, — z radością, rozrzewnieniem i czułą wdzięcznością, po raz dwutysiączny któryś tam, obchodzą święta dobroczyńców swych i zbawicieli.

O! serca nizkie, samolubne, niewdzięczne! że jest w was zasób niewyczerpany czułości i wdzięczności, niech

świadczą o tém Ester i Mardocheusz!

Szymszel cieszy się wraz z innymi, i przez dzień cały błogosławi Esterę i Mardocheusza, lecz radość jego zmąconą jest nieco uczuciem uroczystego lęku, którego doświadcza, nie przed publicznością, wobec któréj ma wystąpić, lecz przed wielkością i ważnością przyjętego na siebie zadania.

Gdyby, przedstawiając ludowi tak wielkiego męża, jakim był Samson, ubliżył w czémkolwiek pamięci męża tego, obarczył-by sumienie swe grzechem ciężkim. Nie, on musi być pięknym, wielkim, potężnym, tak jak był tamten! On czuje nawet, że już mu w piersi zbierają fale uczuć jakichś, nigdy przedtém niezaznanych, że pragnienia jakieś potężne, niby tęsknoty, żale i radości nieokreślone rozpierają mu serce, które, w miarę jak zbliża się wieczór, uderza coraz silniéj i rośnie, rośnie tak, jakby stawało się coraz szerszém. Przez cały dzień nie mówi nic do Cipy; chciałby mówić, ale nie może.

A Cipa płacze.

Jakże nie ma płakać, skoro w teatrze być i męża na scenie występującego widzieć nie będzie mogła. Na cały wieczór jest zamówioną do pewnéj pani, która jéj usług potrzebuje koniecznie. Przytém i sklepiku pilnować będzie trzeba w porze, w któréj nikt z pewnością wyręczyć jéj w tém nie zechce. Płacze tedy Cipa, biegając, jak zwykle, tu i tam po ulicach, albo w niemocy i żalu siedząc za kontoarem.

Popłakuje téż Liba, krzątając się około gospodarstwa. Ona także nie pójdzie do teatru, gdyż sukienka, którą ma na

sobie, jest jedyną jéj sukienką, a że rozpada się w kawałki (w czém ją aż nadto wiernie naśladują buciki), Libie nie sposób ukazać się pomiędzy ludźmi.

Nabożny Enoch za to obojętnym okazuje się na uroczystość wieczorną, a nawet, mając jéj wiele do zarzucenia z punktu ścisłéj ortodoxyi religijnéj, dobrowolnie postanawia nie wydalać się z domu.

Esterka za to i Mendele wybierają się na teatr od najwcześniejszego rana, i tylko czekają chwili, w któréj dzieci sąsiadów (blacharza i malarza szyldów) wybiorą się w drogę, aby pójść w ich ślady. W tym celu Liba prawie jeszcze o świcie obuła małą siostrę w błękitne atłasowe trzewiczki (pocerowane białemi nićmi i związane szaremi sznurkami) i, o ile możności, ukryła białe tasiemki za różowy spencerek Mendelka. Lecz dzień miał się już ku końcowi, a ani ojciec nie opuszczał jeszcze domu, ani dzieci Mowszy nie udawały się w drogę. Przy końcu dnia dopiéro, Szymszel, po długiéj i żarliwéj modlitwie, powolnym krokiem, głęboko zadumany, opuszcza izbę. Za nim, krok w krok, trzymając się za ręce, idą Esterka i Mendele.

W téj-że chwili otwierają się z trzaskiem drzwi domku, stojącego w głębi podwórka, i wypada z niego szumne towarzystwo, złożone z dziewcząt i chłopców, dzieci Mowszy i Icka.

Esterka i Mendelek wydają okrzyk tryumfu. Opuszczają ojca (źle czynią!) i przyłączają się do gromady małych sąsiadów. Ale mali sąsiedzi są wszyscy starsi od nich, dłuższe mają nogi i szersze kroki stawiają. Przytém weseli

są niezmiernie, bo poubierali się w stroje prawdziwie świetne (dziewczynki szczególniéj jaśnieją całe od świeżo wypranych perkalikowych sukienek i czerwonych chusteczek, okrywających ich głowy), biegną zatém bardzo szybko, z krzykiem, śmiechami i gonitwami, a nie myślą wcale zważać na dwoje malutkich istot, które śpieszą za niemi co siły i tchu, z rozognionemi twarzami i ognistemi włosy, miotanemi przez zimowe wiatry. Nie widzą, ani spostrzegają, że błękitne buciki Esterki grzęzną w śniegu, ale tak grzęzną, że wydobyć je bardzo trudno, i że jarmułka Mendelka wciąż spada mu z głowy.

Dla tych bucików i dla téj jarmułki muszą wciąż się zatrzymywać, przytém i tasiemki te... wymknęły się znów jakoś z pod spencerka i utrudniają i tak już plączące się kroki Mendelka. A tu kompania wesoła i świetna oddala się coraz, oddala... oto już końca zaułka dobiegła... oto już sunie szybko po obszernéj i śniegiem okrytéj, przestrzeni bulwaru...

Esterka i Mendele dobywają sił ostatnich, dosięgają téż kresu zaułka. Lecz gdzież są ci, którzy krokami ich mieli kierować? Niéma już ich na bulwarze. Rzucili się snadź w boczną ulicę jakąś... zniknęli!

Cóż? iść tak samym, tak we dwoje? Dobrze-by było, ależ...

Przed oczyma téj drobnéj pary, która znowu ujęła się za ręce i stoi u wnijścia do zaułka, rozlegają się niezmierzone, nieskończone przestworza bulwaru.

Co za ogrom! a w dodatku nieznany! Wiek ich sprawił, iż nigdy tu jeszcze nie byli. Jakże teraz w te obce puszczą

się krainy? I zresztą, chociaż-by nawet przebyli tę rozległą równinę, kędy daléj skierują swe kroki? Ze wszystkich stron równiny otwierają się długie, przepaściste wąwozy, a turkot w nich i hałas taki straszny! Który właściwie z tych wąwozów prowadzi do miejsca, będącego upragnionym celem ich podróży? Nie mając o tém najmniejszego pojęcia, cóż więc uczynią?

Rzecz prosta. Po długiém, nieruchomém staniu i patrzeniu, Esterka ściska swe obie piąstki i przykłada je do oczu, z których wytryska prawdziwa fontanna łez. Mendele naśladuje ją w zupełności, z tą tylko różnicą, że żałośnie i rozdzierająco krzyczéć zaczyna: *Tatele!* Esterka, jako starsza, wié dobrze, iż ojciec usłyszéć ich nie może, bo już jest gdzieś daleko... daleko, ale matka bliżéj. Poprawia więc brata i krzyczy: *Mamele!* Z wołaniem tém i z piąstkami przy oczach, odwracają się i idą znowu zaułkiem ku domowi...

W téj saméj prawie chwili Szymszel, niewiedzący nic wcale o zgryzocie, która dotknęła dwie jego pociechy, wchodzi do teatralnéj garderoby...

Tu pełno, gwarno i ponsowo, bardzo ponsowo. Ponsowość bije szczególniéj od Mowszy, malarza szyldów, który przechadza się po garderobie w pełnym teatralnym swym stroju, przywdzianym już od południa. Barczysty, silny, z nerwami zahartowanemi i muskułami, rozwiniętemi ciężką fizyczną pracą. Mowsza jest daleko mniéj wrażliwym i skrupulatnym od Szymszela. Przytém, jako cesarz filistyński, nie czuje on na barkach swych zbyt ciężkiéj odpowiedzialności, polegającéj na potrzebie

obudzenia czci i sympatyi ludu. Wesołym tedy czuje się i pełnym dobrych myśli. Widać od razu, że stał się duszą przedsięwzięcia całego.

Wygląda też wcale pokaźnie, jak na monarchę wielkiego państwa przystoi. Ubiór jego składa się z ponsowych, jak krew, *inexprimablów* i takiéj-że bluzy, przepasanéj złotym galonem. Złota korona z ponsowemi centkami wieńczy mu głowę, a u pasa wisi pałasz prawdziwy, wyproszony i wypłukany u jakiegoś wojskowego niższéj rangi. Mowsza jest cały tak ponsowy, że ktoś, nieznający się na rzeczy, mógł-by mniemać, iż grać on ma rolę średniowiecznego kata.

W gruncie jednak, strój to istotnie monarszy, i monarszo też wygląda oblicze Mowszy, zaopatrzone we wspaniały, kartonowy nos, potężne, węglowo-czarne wąsy, i również czarną, śpiczastą brodę, „*à la Napoléon*”. Przechadza się po garderobie od kilku już godzin, pałaszem pobrzękuje, z cicha nuci a głośno i energicznie kieruje należytém umundurowaniem wojska swego. Armia to nielada: składa się z czterech szeregowców i jednego dowódzcy.

Dowódzca, przytém zausznik i piérwszy minister władcy, Icek blacharz, jaśnieje cały od żółtego kaftana, usianego srebrnemi blaszkami. Z natury jest on brunetem, ale że brunetami są też Samson i filistyński cesarz, on zatém, dla rozmaitości, włożył na głowę perukę, rudą jak ogień, którą przystroił leciuchną rogatywką, tak zieloną, jak trawa w maju. Szeregowcy skromniejsze mają stroje, zawsze jednak o tyle wytworne, że ogólném wyglądaniem swém przynoszą zaszczyt swemu władcy.

Wszyscy ci rycerze, jak przystoi rycerzom, wcześnie bardzo przysposobili się do stanięcia na placu boju. Ale Dalila, jako dama, nie jest jeszcze gotową.

Tam, w kątku garderoby, gdzie tak wiele natłoczyło się osób i taki panuje gwar, połączony z jękiem, Mejerek, syn Josiela kuśnierza, ledwie nie mdleje ze wstydu i tajemnéj radości, gdy mu na krynolinę olbrzymich rozmiarów wkładają suknią błękitną, a w perukę, spływającą mu na plecy wełnistemi lokami, upinają dwie ogromne, płaskie, ponsowe róże. Twarz Mejerka pulchna, dziecinna jeszcze prawie, ponsową jest jak te róże; wielkie ręce jego (które od lat już wielu dzielnie dopomagają ojcu w kuśnierskich robotach) z głębokiém zdumieniem wtłaczają się w paliowe rękawiczki, a z głębszém jeszcze ujmują podawany mu wachlarzyk z różowéj materyi. W paliowych rękawiczkach i z wachlarzykiem, Mejerek przyciska się plecami do ściany i stoi prost, sztywno, a ubierające go osoby (płci męzkiéj naturalnie), z cesarzem filistyńskim włącznie, odstępują o kroków kilka, oglądają go z téj odległości od stóp do głowy, i jednogłośne, a pełne zadowolenia, wyrażają twierdzenie: „ładna dama”.

W téj chwili wchodzi Szymszel. Garderobę zalega cisza, znak uszanowania. Nie przerywa jéj Szymszel ani jedném słowem. Zbliża się do stołu, na którym złożony jest jego teatralny kostium i zaczyna przywdziewać go z tak uroczystym wyrazem twarzy i takiém skupieniem ducha, z jakiemi zwykle przywdziewa przed modlitwą *tałes* i *tefilę*.

Pora téż już wielka, aby artyści ukończyli swoje toalety. Sala teatralna kipi niecierpliwością zgromadzonych w niéj

widzów.

Jaka to sala! gdzie ona znajduje się i jakim sposobem zdobyła ją sobie na wieczór dzisiejszy kompania amatorów? Długo-by opowiadać! Trudności, kłopotów i męczarni wszelakich było z nią niemało. Koniec końców jednak, istniała ona, a wiodła ku niéj z ulicy wielka pieczara, *alias* sień, w któréj mrocznych i mglistych głębinach, przy świetle łojowéj świeczki ustawiono bufet, dźwigający na sobie znakomitą obfitość lepkich i miernie ponętnych cukierków, czarnych, jak noc, makagig, nadgniłych jabłek i t. p.

Pieczarą tą płynęły tłumy, płynęły, płynęły, aż wpłynęły do sali bardzo wązkiéj, a niezmiernie długiéj, z podłogą, ku dogodzeniu widzom, okrytą spadzisto ułożonemi klocami drzewa. Kloce te posiadały powierzchnię pół-okrągłą, nie można więc powiedzieć, aby stanie na nich przedstawiało warunki zupełnego komfortu. Przy odrobinie złéj woli, znalazło-by się téż coś do zarzucenia i oświetleniu; było ono bowiem urządzone w ten sposób, iż oświecało tylko ścianę i kilka ławek, najbliżéj sceny stojących, a przeznaczonych dla najwyższych sfer społecznych, pozostawiając głębie sali w mrokach, ciemnych jak rozpacz.

Orkiestry nie było wcale żadnéj (jakkolwiek sztuka, wybrana do grania, jest operą), ale na miejscu, gdzie pospolicie znajduje się orkiestra, stało krzesło, a na niém siedział Josiel, kuśnierz. Siedział on z twarzą, zwróconą nie ku scenie, lecz ku publiczności, nie artystami bowiem tym razem, lecz publicznością miał dyrygować. Artyści,

umiejący doskonale swe role, zwłaszcza przy pomocy i dozorze energicznego i przytomnego Mowszy (cesarza filistyńskiego), dadzą sobie radę wybornie.

Ale publiczność — żywioł to burzliwy i niekarny.

W celu więc właśnie regulowania nieprawidłowych częstokroć ruchów publiczności, Josiel, reżyser, usiadł na miéjscu tém, gdzie zazwyczaj bywa orkiestra...

I teraz także ludzie, stojący na pół-okrągłych klocach, zaczynają poruszać się i szemrać z niecierpliwością widoczną... minuta jeszcze, a wybuchną wrzawą ogłuszającą. Lecz za szerokiemi plecami Josiela podnosi się kurtyna... a głośne szemrania milkną, jak zaklęte, a śród téj ciszy grobowéj rozlega się przeciągłe, groźne, po kilkakroć powtórzone, ryczenie lwa...

Scena przedstawia pustynią.

W głębi kilka palm rysuje się wśród tła mglistego. Oaza to zapewne, a z oazy téj wychodzi lew potężnych rozmiarów, orzechowego koloru, i z bardzo błyszczącemi oczyma. Król pustyni niedarmo wydał ów ryk straszliwy. Ma on węch wprawny i poczuł snadź zbliżenie się człowieka.

Ale otóż i ów człowiek.

Wychodzi on, tak jak i lew, z pomiędzy palm, tylko z przeciwnéj strony. Domyślamy się, iż jest to Samson.

Ale byłże-by to Szymszel?

Co za metamorfoza! Cipa sama, gdyby tu była, nie poznała-by męża swego: wydaje się wyższym, mężniejszym; strój jego, którego kompozycyą sam kierował, niepozbawiony jest blasku i powagi. Składa go

suknia szkarłatna, olśniewająca złotemi wyszywaniami, i biały, fałdzisty płaszcz, na który spływa las włosów, czarnych jak noc, a długich do pasa. Piersi Samsona okryte są całe dyamentowym naszyjnikiem, a na głowie dźwiga hełm złocisty, z wielkim pióropuszem, zdobnym w dyamenty.

Nie mogę tego utaić przed państwem, że wszystko to złoto jest szychem, a dyamenty, — to blaszki i paciorki. Ale nic niéma sfałszowanego w obliczu Samsona: powaga i męztwo, które malują się na niém, najczystszéj są wody. Znać, że artysta wchłonął w siebie rolę swą tak zupełnie, iż zidentyfikował się z osobą, którą miał przedstawiać.

Śmiały i pewny swéj siły, postępuje on ku królowi pustyni, i błyszczący wzrok jego spotyka spokojném, trochę nawet szyderskiém okiem. Król pustyni, zdumiony tą zuchwałością, podnosi się i staje na tylnych łapach, (Mowsza, przysiadłszy za kulisami, pociąga sznurek, okręcony około tylnych łap króla pustyni) i wydaje ryk przeciągły, straszny, (co za potężne płuca miewają czasem malarze szyldów!) który to ryk słysząc, publiczność truchleje i odetchnąć nie śmié; ale Samsona nic nie przeraża. Jednym podskokiem przesadza on scenę, i zanim przebrzmiał wielki krzyk przerażenia, grozą sytuacyi wydarty z łona widzów, rozdziera króla pustyni na dwie równiuteńkie połowy.

— Brawo, brawo, brawo, — wołają na ławkach wyższe sfery, a z mroków, w których pogrążone są sfery zwyczajne, odzywają się głosy, radości i tryumfu pełne, a tak wrzaskliwe, że Josiel, kuśnierz, powstaje z miejsca swego, i

obiema rękoma machając ku mrokom, woła: — *Sztill!*

Mroki zapadają w ciszę, a Samson, stojąc u brzegu sceny, ukazuje widzom plaster miodu, znaleziony w paszczęce rozdartego lwa, tego lwa nieszczęśliwego, którego dwie połowy leżą z dala od siebie, z oczyma, po śmierci, jak za życia, przeraźliwie błyszczącemi.

Ukazując widzom plaster miodu, Samson całą twarz ma obleczoną wyrazem więcéj niż miodowéj, niebiańskiéj słodyczy. Rozedrzéć lwa, zdumiewającą w istocie musiało być niespodzianką dla Szymszela, który dotąd ani przeczuwał w sobie sił podobnych. Widać, że radość wielka napełnia mu pierś, która podnosi się szerokim, silnym oddechem, i z któréj téż wybucha po chwili pieśń chluby i wesela.

Głos jego jest pięknym, szerokim i dość wyrobionym tenorem.

Pomimo niezupełnie doskonałych warunków akustyki, dźwięki tego głosu napełniają salę od krańca do krańca, a tak są przejmujące i czyste, tak pełnym, wezbranym, płyną strumieniem, że nawet wyższe sfery słuchają ich z przyjemnością nieudaną wcale, a co się tycze sfer zwyczajnych, utopionych w mroku, te, po opadnięciu zasłony, wybuchają tak wielkim entuzyazmem, iż Josiel-reżyser długo i mozolnie pracować musi nad jakiém takiém uregulowaniem tego publicznego ruchu, grożącego doszczętném zniszczeniem wszelkich prawideł porządku.

Odsłona druga nie wiele się różni od pierwszéj co do treści, ale forma, w jakiéj się objawia, jest wcale inną.

Spostrzegamy niwę, zarosłą zbożem.

Jest tam, conajmniéj pięćdziesiąt ździebeł słomy, stojącéj w postawie prostéj i w przyzwoitéj od siebie odległości.

Nad zbożem stoi Samson i śpiewa.

Ze śpiewu tego dowiadujemy się, że niwy te są filistyńskie, a on zniszczyć je zamierza. Jakoż, zaledwie skończył śpiewanie swojéj aryi, nabrzmiałéj srogą ku filistynom nienawiścią, wśród zboża z szybkością błyskawicy przebiegać zaczęły rude lisy (tym razem nietylko już Mowsza, ale i zausznik jego, Icko, i jeden z szeregowców, pociągali pewne, im tylko wiadome, sznury).

Za lisami zaś tuż zabłysły ogniki sine i purpurowe, które paliły się dość długo, aż zgasły i napełniły tak scenę, jak salę całą, gęstym dymem i silnym zapachem siarki.

Sfery wyższe, siedzące bliżéj owego pożaru i ulatującego zeń dymu siarczanego, nie dały tym razem żadnego aplauzu, bo zakrztusiły się silnie i na długo, lecz w mrokach panowała radość wielka, któréj objawów nie poskramiał tym razem Josiel-reżyser, albowiem zakrztusił się także i, chowając głowę w czerwoną chustkę do nosa, kaszlał zawzięcie.

Krztuszenie się i kaszlanie z jednéj strony, a gorące oznaki zadowolenia z drugiéj, trwają dopóty, aż podnosi się znowu kurtyna, a widok sceny skłania wszystkich do milczenia i uwagi.

Tym razem, pomimo pewnych niedostatków w środkach scenicznych i dekoracyjnych, widok sceny wydaje się zajmującym i malowniczym, nawet zasiadającym ławy sferom wyższym, i za taki uznać-by go mogły sfery, daleko jeszcze od tych wyższe.

U stóp palm, więc w głębi sceny, siedzą trzéj starcy judejscy, blizko ku sobie przysunięci i biadają nad nieszczęściami swéj ojczyzny, sprowadzonemi srogą zemstą, wywieraną przez władzcę filistynów za zniszczenie pól filistyńskich przez lisy Samsona, niosące pożar. Odzież starców długa, poważna, białe włosy spływają na plecy z pod wielkich futrzanych czapek, które tylko do połowy zasłaniają im czoła, zorane latami i szlachetnym smutkiem, białe brody okrywają ich piersi, a w drżących od żalu rękach trzymają wielkie kije, na których wspierają chwiejne od starości kroki.

Głosy ich są drżące i wybornie tłómaczą patryotyczną trwogę i boleść, przejmującą ich serca. Słowa ich śpiewu uwiadamiają nas, że filistyński monarcha, jako niezbędny warunek do zawarcia pokoju z izraelskim ludem, stawia żądanie, aby „Silny Samson” skrępowany i wydany mu został.

Starcy judejscy postanawiają żądać od Samsona, aby dokonał ofiary i dobrowolnie, w okup zagrożonéj i udręczonéj srodze ojczyzny, oddał się w ręce wroga. Postanawiają iść do niego i błagać go o to, ale... otóż i on sam nadchodzi.

Scena pełna iście dramatycznego pierwiastku.

Oddać się w ręce wroga!... na pośmiewisko, niewolnictwo srogie, śmierć straszliwą!

Szymszel, który, odkąd stał się Samsonem, zaznał upojenia chwały i zwycięztw, czuje się teraz zjęty grozą i smutkiem głębokim! Z innéj przecież strony, poczucie obowiązku i miłości dla ojczystego kraju wstrząsają silnie

sercem jego. Patrzcie państwo, jak mieni się twarz jego! jaka bladość śmiertelna okrywa mu czoło i policzki! jak oczy jego buchają ogniem namiętnym, rozpaczliwym, to znowu przysłaniają się wilgocią bezbrzeżnéj litości!

Brawo! brawo!

Nie prostego to aktora widzimy, ale istnego artystę, który, aż do najdrobniejszéj fibry istoty swéj, czuje się w téj chwili mężem, o potężném ramieniu i wulkanicznéj duszy... Walczy długo... potém nagle wyciąga ku starcom judejskim obie ręce, a z piersi wydaje wielki okrzyk: „Wiążcie!”

Okrzyk ten rozbrzmiewa po sali dźwiękiem niezmiernéj boleści i wysokiego bohaterstwa: starcy judejscy, krępując ręce i nogi bohatera, płaczą: sfery wyższe mają tu i owdzie łzy w oczach; z głębi oddalonych mroków, wydobywają się jęki i łkania, a Josiel-reżyser nie zwraca już na nie uwagi, albowiem, przyłożywszy sobie czerwoną chustkę do twarzy, płacze także.

Wtém robi się na scenie hałas, brzęk i wielkie tupanie nogami.

Cesarz filistyński wpada na scenę z całym swym orszakiem, i pełną wyniosłéj pychy przybiera postawę na widok skrępowanego Samsona, którego, płacząc wciąż i wzdychając, wiodą ku niemu judejscy starcy.

Więzień stoi nieporuszony i pełen godności. Milczy i spokojném okiem patrzy w twarz wroga.

Ale twarz ta, opatrzona wspaniałym nosem i bródką „*à la Napoléon*”, szyderską jest i wzgardliwą. Nie pomni wspaniałomyślnych zasad szewaleryi, władca filistyński i jego towarzysze, pozwalają sobie obsypywać

ubezwładnionego bohatera grubiańskiemi wymówkami i nieprzyzwoitemi żarty.

Samson cierpi chwilę w milczeniu, lecz potém drżéć zaczyna; widać na twarzy jego, jak burza uczuć, ukojona przedtém w rezygnacyi, wzbiera w nim na nowo, jak, wśród krępujących go sznurów, nabrzmiewają jego muskuły...

Nagle wstrząsa się cały od stóp do głowy, więzy spadają z niego, niby porwana pajęczyna, a zanim filistyni oprzytomnieć mogli, pochyla się i porywa leżącą u stóp swoich... oślą szczękę. Jedno szerokie zatoczenie ramieniem, jedno mgnienie oka... armia filistyńska, z wielkim stukiem upadających ciał, runęła na ziemię, a władca jéj zniknął, sromotną ratując się ucieczką...

Wtedy, w upojeniu tryumfu, w radosném uczuciu uratowania się i uratowania ojczyzny, Szymszel staje się tak pięknym, jakim nigdy nie widziała go Cipa, piękność jego wiecznie admirująca. Z dziwnym swym orężem w podniesionéj dłoni, z drgającym uśmiechem na ustach, które, otwierając się, ukazują zęby śnieżnéj białości, w białym płaszczu, który zsuwa mu się z ramion, i złocistym hełmie, którego dyamentowy pióropusz rzuca na jego czoło tęczowe połyski, śpiewa on pełną, wezbraną piersią, hymn chwały i wesela, dzięki składa Jehowie, że mu pozwolił pokonać te „możne tysiące”.

Czy u stóp zwycięzkiego Samsona leżały pokonane „tysiące?” Czy oręż, którym je pokonał, był istotnie oślą szczęką, lub wyglądał raczéj na goleń wołu? Mniejsza o to; dość, że Szymszel był w téj chwili pięknym, potężnym, upojonym, szczęśliwym i, że, gdy spadła zasłona, Josiel-

reżyser począł wołać z całéj siły: „*sztill! szaaa! szaaa!*” a potém spostrzegając, iż samym tylko głosem nic nie poradzi, poskoczył z swego miejsca, wpadł w mroki, pogrążył się w nich na chwilę, potém ukazał się z jakimś malcem, którego ciągnął za rękę, aż ku drzwiom pieczary (sieni), za któremi malec zniknął...

Biedny malec! nigdy w swém życiu nie widział jeszcze tylu naraz trupów. Martwo leżący filistyni przerazili go téż nadzwyczajnie, a gdy w dodatku jeden z nich (podobno zausznik cesarza), w czasie długiéj aryi Samsona, zaczął się poruszać, zapewne w celu przybrania dogodniejszéj pozycyi dla wiecznego spoczynku, malec wrzasnął z całéj siły, w czém doskonale poczęli go naśladować rówieśnicy. Utworzył się z tego chór, całkiem nieprzewidziany w pierwotnym układzie opery; Josiel położył jednak koniec temu nieregularnemu ruchowi audytoryum, przez podanie przywódcy ruchu absolutnemu ostracyzmowi.

Zaledwie Josiel zdołał wrócić na swoje miejsce, gdy zasłona podniosła się z wolna.

Tym razem widzimy rzecz całkiem nieprzewidzianą.

Pośrodku sceny stoi... nie myślcie państwo, aby to była budka, w któréj się sprzedaje woda sodowa. Jest to pałac, w którym mieszka piękna i wabna filistynka, Dalila. Drzwi pałacu są otwarte i przyozdobione festonami perkalowéj firanki, z brzegami wyciętemi w zęby (zupełnie, jak w budkach z wodą sodową). Z jednéj strony ściana pałacu jest ślepą, z drugiéj ma jedno okno.

Za firanką, na wiedeńskiém krzesełku, siedzi Dalila, w błękitnéj sukni, rozpiętéj na ogromnéj krynolinie, z

różowym wachlarzykiem w ręce. Siedzi i wielkiemi dziecinnemi oczyma, które wśród jéj twarzy wyglądają jak niezabudki w bukiecie z piwonii, patrzy wprost na publiczność. Potém wstaje i wychodzi z-za firanki. Zaczyna śpiewać.

Bas wcale ładny.

Śpiewa o tém, iż wdziękami swemi uwieść musi Samsona, aby następnie wydrzéć mu tajemnicę jego dziwnéj siły.

Dalili trochę niezręcznie jest poruszać się w długiéj sukni, i przytrzymujących ją żelaznych obręczach; oprócz tego, jest mocno zakłopotaną różowém narzędziem, które trzyma w ręce, a z którém nie wié sama, co jéj czynić wypada.

Wełniste loki, opływające jéj czoło i plecy, zwiększają gorąco, które uczuwa na widok tych mnóztwa oczu, w jéj twarz wlepionych. To téż basowy jéj głos drży i wpada w tony tak już nizkie, że aż zupełnie nie są właściwe delikatnéj kobiecéj piersi, a błękitne oczy roszą się łzą niewymownego udręczenia...

Wszystko to przecież jest niczém.

Szymszel nie widział nigdy w życiu kobiety tak pięknéj, jak ona.

Czy, wchodząc na scenę, spostrzegł on istotnie tę Dalilę, która się tam znajdowała? Niewiadomo. Słyszałam jednak potém, że Szymszel, wchodząc na scenę, zamiast ponsowéj twarzy, niezabudkowych oczu i wełnistych loków Mejerka, widział śnieżnie białe lica, uwieńczone kruczym, lśniącym warkoczem, i patrzące na niego dwiema gwiazdami

płomienistych źrenic.

Widział w tych czarnych źrenicach łzę marzenia i żar namiętności, a postać, która stała przed nim, była wysmukłą, gibką i, niby od niebios rozgrzanych wschodniém słońcem, wiały od niéj tchnienia upalnych rozkoszy Wschodu.

Tego, co czuł Szymszel w téj chwili, nie zaznawał nigdy i nazwać-by nie umiał, ale, gdy zbliżył się do uroczego widma, które stało przed jego wzrokiem, i gdy śpiewać do niego zaczął, głos jego miał takie miękkie lub gorące, błagalne lub gwałtowne tony, iż Dalila szeroko od zdumienia rozwarła swe błękitne oczy, a potém, kiedy wypadło jéj z roli podać mu rękę, czyniła to z widoczną trwogą.

Szymszel ruchem gwałtownéj radości pochwycił rękę, nie tę, która trzymała wachlarz, ale drugą, i przyciągając Dalilę do swych piersi, złożył na jéj ustach taki pocałunek, że, do reszty nim przestraszona, wyrwała się z objęć jego i usiadła na jedném z dwóch wiedeńskich krzesełek, umieszczonych przed krużgankiem jéj pałacu.

Oprzytomniawszy nieco, Szymszel usiadł na drugiém krzesełku i zaczął się duet.

W tym-to duecie rozstrzygnęły się losy Samsona. Skrytym był i do zbadania niełatwym, ale wdzięki Dalili pokonać zdołały opór najwytrwalszy. Daremnie, stojąc przed nią, najbardziéj przekonywającym, najbardziéj błagalnym głosem śpiewał jéj: „*Dos ist nyt dein Geschäft*”. Zwodna zalotnica wiedziała dobrze, iż interes to był ważny dla niéj, i dopóty śpiewała basem (Szymszel, zamiast basu,

słyszał najcudowniejsze mezzo-soprano), dopóty z wielkiego wysilenia roztwierała znużone, dziecinne oczy, (Szymszel, zamiast tych oczu, widział dwa czarne, gorejące brylanty), aż znużony walką i pokonany miłością, ujął w obie dłonie swe ogromne włosy, i pokazując je czarodziejce, wyśpiewał: „W nich siła moja”.

Dalila powstała, tryumfalnie skinęła różowym wachlarzykiem, poprawiła osuwającą się na czoło płaską, ponsową różę, otarła kroplisty pot z amarantowéj twarzy, splunęła i podała rękę zwyciężonemu bohaterowi.

Ponowny pocałunek i ponowny przestrach Mejerka, który nie może pojąć, dlaczego Szymszel z taką czułością obejmuje jego kibić, i tak silnie do jego ust przykłada swe usta. Poczém rozkochana para znika w głębi pałacu zwodzicielki, za firanką wyciętą w zęby...

Zjawiają się Filistyni. Cóż widzimy? Ci sami, którzy w akcie trzecim polegli z ręki Samsona. Tém sroższą po zmartwychwstaniu czuć muszą nienawiść ku swemu mordercy. Czekają na Dalilę, skradają się pod drzwi pałacu, zaglądają przez jedyne okno, wymieniają między sobą tajemnicze znaki... Lecz otóż i ona!

Wychodzi z-za firanki, i trzymając w jednéj ręce różowy wachlarzyk, w drugiéj niesie wielki zwój długich, kruczych włosów. Pomiędzy Filistynami radość nieopisana. Sam cesarz na znak dziękczynienia ściska dłoń Dalili. Rycerze dobywają broni z pochew i z krzykiem zajadłéj zemsty rzucają się na wychodzącego z pałacu Samsona. Samson niepodobny do siebie. Bez hełmu, bez włosów, bez białego płaszcza, wpada w ręce swych wrogów, którzy, nie czyniąc

długich ceremonii, oślepiają go na oboje oczu.

Zasłona spada, wśród audytorium panuje grobowe milczenie grozy, i tylko w mrokach słychać szlochania.

Słusznie łzy leją litościwe dusze. W teatralnéj garderobie, Samson siedzi na téj ławie, na któréj posadzili go Filistyni, blady śmiertelnie, ciężko dyszący, z zamkniętemi oczyma.

— *Rebe* — mówi do niego Mowsza — spójrzyj na ten pałac, który masz przewrócić na scenie... Może on za ciężki dla ciebie... można go zmniejszyć...

Ale w piersi Szymszela szemrzą głuche jęki.

— Wrogowie odebrali światłość źrenicom moim — szepcze boleśnie — jestem ślepy i oczy moje nie ujrzą nigdy wielkich dzieł Przedwiecznego!

— *Hörste*! — mówią Filistyni do siebie i zamieniają zdziwione spójrzenia.

— On myśli, że my jemu naprawdę wyłupili oczy.

Wtém przez garderobę przesuwa się Dalila. Szymszel usłyszał szelest jéj sukni i podniósł powieki.

Oczy jego ciskają błyskawice gniewu i rozpaczy, ciemne rumieńce wytryskają na bladą twarz.

— Co ty mnie narobiła? co ty mnie narobiła? Ty mnie zgubiła! Ja przez twoję wielką chytrość moje oczy stracił, w niewolę się dostał i — przepadł!

Wykrzykując te słowa coraz gwałtowniéj i głośniéj, ściska pięści i rzuca się ku Dalili, która, przelękniona, upuszcza z ręki różowy wachlarzyk i ucieka w najdalszy kąt garderoby, gdzie się zasłania długim, kwiecistym szlafrokiem jednego z judejskich starców. Zasłania ją téż

szerokiemi piersiami Mowsza, a nie śmiejąc podnieść dłoni na uczonego męża, wyciąga tylko przed obie się ręce i woła głosem, pełnym perswazyi:

— *Rebe! ajwaj Rebe!*

Uniesienie Szymszela trwa przecież krótko i zmienia się wnet w rzewną, głęboką żałość. Opada na ławę, opuszcza ręce, zamyka powieki i zaczyna jęczéć.

— Oj! oj! ja na twoję twarz, jak na rajski kwiat patrzyłem! Usta twoje były dla moich ust potokiem miodu, a twoje oczy paliły się przede mną, jak wielki płomień, i całe moje serce przed niemi topniało! A ty mnie tak źle zrobiłaś! Ja przecież, Dalilo, przepadłem!

Nikt już nie zważa na rzewne skargi oślepionego bohatera, z wyjątkiem Dalili, która, ogłacając swą głowę z loków i róż, z trwogą spogląda na niego.

Na scenie stoi pałac, inny całkiem, niż przedtém, złożony z dwóch kartonowych filarów, połączonych u góry kartonowym gzemsem. Około filarów Filistyni ucztują, cieszą się, śpiewają, a ku większéj swéj radości rozkazują wwieść w monarsze progi oślepionego więźnia. Samson, wprowadzony przez dwóch szeregowców, stoi z zamkniętemi powiekami, nie trwożny, lecz tylko śmiertelnie smutny.

Przypatrzcie mu się państwo uważnie: zdawało-by się, że przez tę upłynioną godzinę schudła jego twarz. Blade jego policzki wydają się zapadłemi, a zamknięte oczy otaczają ciemne koła. Można-by rzec, iż twarz to strawiona namiętnością, nienawiścią, rozpaczą...

A Filistyni śmieją się, stroją z niego najróżniejsze żarty,

opowiadają mu o spustoszeniach i zemstach, które roznoszą po jego ojczyźnie, a on, więzień, ślepiec, bezsilny atleta, nie może jéj już bronić...

Daremnie tam kędyś płaczą judejscy starcy, daremnie jękami swemi napełniają powietrze judejskie niewiasty, a najwaleczniejsi mężowie krwią swą zlewają spalone niw judejskich rozłogi... Samson nie osłoni już ojczystéj ziemi swéj piersią, któréj odebrana wszystka jéj siła, nie dojrzy przeciw wrogom jéj oręża oczyma, którym odebrana wszystka ich światłość...

Szymszel słucha żartów, naigrawań i tryumfalnych opowieści wrogów, i z wolna podnosi głowę.... Omackiem, chwiejnym krokiem, wychodzi z pałacu, staje z drugiéj strony filarów i śpiewać zaczyna. Jakże głęboką, bezbrzeżną boleścią nabrzmiały jest głos jego! jak wysokiéj skali tonów dosięga! jakie napełniają go rozpacze wołania i prośby! Woła do Jehowy o siłę, o tę dawną siłę swoję, któréj pragnie na chwilę jeszcze, na jednę chwilę, na mgnienie oka.

Wołając tak, ręce drżące i twarz bladą swą, o zamkniętych oczach i ustach, okrążonych wyrazem męczeńskim, podnosi w górę.

Istotnie, gdy stoi teraz przed nami, w ramach kartonowych filarów i oświetlony lampką z długim kominem, którą jeden z Filistynów trzyma mu przy saméj twarzy, ma pozór męczennika, ale takiego męczennika, który boleje „bólem milionów”.

Lampka owa, trzymana mu przy twarzy (zapewne dla lepszego oświetlenia obrazu), parzy mu strasznie policzek.

Odtrąca ją giestem energicznym, gniewnym, obiema rękoma chwyta za filary, wstrząsa niemi i obala je na Filistynów, którzy téż wszyscy z wielkim łoskotem padają na ziemię...

Zabici wszyscy i Samson zabity.

Martwe ciała poległych leżą pod gruzami pałacu i mienią się wśród przyciskających je filarów szkarłatnemi, żółtemi, zielonemi barwami odzieży. Zasłona spada... publiczność wybucha frenetycznemi okrzykami.

Sfery wyższe i zwyczajne, ławki oświetlone i utopione w mrokach, kloce pół-okrągłe, łączą się, w jedném ogólném uczuciu, klaszczą w ręce, śmieją się, płaczą, biadają, przywołują Samsona, cesarza, Dalilę, starców judejskich, a Josiel-reżyser nic już nie ma przeciw téj całéj wrzawie i poskramiać jéj nie myśli, a tylko, wsparłszy się o brzeg sceny, smutny jakiś stoi, bo oto już koniec uroczystości, o któréj myśl przez parę miesięcy wlewała trochę wesela w mozolne, monotonne życie ubogiéj garstki ludzi.

* *
*

Po skończoném przedstawieniu, artyści nie zdejmują teatralnych kostiumów swych, ale owszem, dopełniają je pociesznemi dodatkami różnemi, a że są zmęczeni trochę, już w garderobie wypijają parę butelek miodu i rozpoczynają chóralną, wesołą, rozgłośną pieśń. Z pieśnią tą wychodzą na ulice miasta, dążąc do mieszkań bogatych kupców i zamożnych właścicieli kamienic miejskich. Tam

oczekują ich sute, gościnne przyjęcia, tam tańczyć oni będą, śpiewać, i weselić się przez noc całą, a niejeden pieniążek srebrny, niejedna nawet asygnata rublowa wpadnie im w ręce, i z rąk ich przejdzie nazajutrz do kasy ubogich, którą samo już przedstawienie zaopatrzyło obficie i na długo.

Ale wśród wesołéj i gwarnéj gromadki téj, która teraz właśnie, z wybuchami pieśni i śmiechu, wstępuje na dość szerokie wschody, wiodące do mieszkania kupca Rozendorfa, Szymszela niéma.

Tam, ulicą mroczną, gdzieniegdzie tylko oświetloną słabym płomykiem latarni, samotnie kroczy wysmukła postać męzka. Gdy przechodzi około rzadkich słupów z latarniami, biją od niéj połyski szkarłatu, złota i dyamentów, któremi jest okrytą; gdy zatapia się w mroku, płaszcz jéj długi i fałdzisty bieleje i rozwiewa się, niby ramiona widma. Samotną jest postać ta, ale nie smutną. W pełném powagi stąpaniu jéj znać lekkość i siłę, a z piersi jéj, to przyciszonemi, to rozgłośnie wybuchającemi tony, wypływa wielka arya tryumfu.

Szymszel, po zgruchotaniu Filistynów i siebie samego obalonemi przez się ścianami pałacu, — zmartwychwstał, przejrzał, zapomniał o wszystkich przebytych upokorzeniach i męczarniach, lecz ani na jedno mgnienie oka nie przestał być jeszcze „Silnym Samsonem”. Owszem, idąc teraz z ulicy w ulicę, pomiędzy ścianami murów, o zgasłych już i gdzieniegdzie zaledwie świecących się jeszcze oknach, przebiega pamięcią wszystkie wielkie czyny, które dokonał, i czuje się przepełnionym radością i

dumą.

Niekiedy błyska mu w pamięci wspomnienie zwodnéj, niewiernéj Dalili... wtedy tęsknota jakaś, jakiś żal, ściskają mu serce. Wnet przecież przypomina sobie ojczyznę Judeję, którą uratował od krwi, łez i pożóg; podnosi wysoko głowę, uśmiecha się, śpiewa głośniéj, radośniéj, i po nierównym bruku mrocznéj ulicy stąpa, jak po wawrzynach.

W ten sposób Szymszel przeszedł bulwar i wszedł w zaułek. Machinalnie, z przywyknienia, kierował się ku mieszkaniu swemu i, ani myśląc o tém, co czyni, śpiewając wciąż, dotknął ręką klamki nizkich drzwiczek i stanął w progu swéj izby.

Stanął i przez parę minut stał w nieruchomości kamiennéj.

W izbie, na stole, u okna, paliła się lampka, z któréj długiego kominka wił się ku górze dym żółtawy, cuchnący. Daléj szare, nizkie ściany, łoża z pierzynami, porozrzucana na ziemi i kufrze stara odzież, podarta i brudna, kilka ludzkich postaci mniejszych i większych, tu i owdzie leżących we śnie, tworzyło w zmroku chaos, całkiem z razu oczom i myśli jego niezrozumiały. Zrozumiał go po minutach kilku i — obudził się.

Pierzchnął od niego cudowny, upajający sen; zrozumiał, że nie jest Samsonem, owym potężnym atletą i poetycznym bohaterem Biblii, ale Szymszelem, synem Gerszuna, uczonym czasów dzisiejszych, który przeszłość swą spędził i przyszłość całą spędzić ma w téj ciasnéj, szaréj izbie, nad tą księgą, która i teraz, jakby dziwiąc się opuszczeniu, w którém ją pozostawiono, leży rozwarta na stole, z długiemi

wierszami, wijącemi się nakształt węży pod światłem lampki.

Rzecz dziwna! Przy spójrzeniu na księgę, wyraz niesmaku, prawie wstrętu, przyoblekał zbladłą twarz Szymszela. Odwrócił od niéj oczy i, z wolna bardzo postąpiwszy kroków parę, siadł na stoiku przy stole. Widocznie patrzéć nie może na księgę, bo wciąż odwraca od niéj wzrok niechętny i smutny. Głęboka zmarszczka powstaje pomiędzy brwiami jego i rzuca mu na twarz całą wyraz posępnéj, jakby gniewnéj zadumy.

Zakosztował życia czynu, ofiary, dręczących, lecz zarazem rozkosznych, kolei cierpień i szczęścia, klęsk i tryumfów. Aż oto był to sen tylko, i wracać mu teraz przychodzi do martwych kart, o zżółkłém obliczu, do siedzącéj wiecznie, pół martwéj, postawy, do dumań nieskończonych, rozróżniań subtelnych, studyów mozolnych.

— A co z tego wszystkiego wyniknie dla mnie i — dla ludzi?

Pomyślał o ludziach... A cóż on pocznie teraz z tą gorącą, rzewną miłością dla ludzi, która tam na deskach teatralnych płonęła w potężnym łonie Samsona i pozostała już w słabéj piersi Szymszela — czuje on silnie, że pozostała na zawsze! Czém ją wyrazi? ku czemu jéj użyje? Jakiemi czynami będzie mógł uspokoić jéj palące żądze? A cóż pocznie z przeczuciem téj, innéj miłości, roznieconém... płomienném okiem i gibką kibicią Dalili-widma; z przeczuciem miłości téj tkliwéj i upalnéj, która, goszcząc w wielkiém sercu Samsona, napełniała je łzami i

westchnieniami niewymownéj tęsknoty...

Ideały!

Szymszel nie znał imienia ich, ale, gdy raz przeleciały mu przed wzrokiem, przywiązał do nich duszę. Przeleciały mu przed wzrokiem ideały czynu, miłości, chwały... O! kędyż zniknął, dlaczego stał się tak drobnym, jak atom piasku, dawny, jedyny ideał jego suchéj, subtelnéj, jałowéj uczoności?... Czyliżby w piersi i głowie tego żyda, o smukłém nerwowém ciele, wytwornych rysach, głębokiéj źrenicy i cienkich ustach, które drżą od każdego wrażenia, jak delikatny liść od powiewu wiatru; czyliż-by w głowie i piersi żyda tego, który twarz dzieci zwykł był okrywać namiętnemi pocałunkami, a wśród ciemnych nocy miewał anielskie widzenia, istniały nieznane, nieuprawne warstwy uczuć, imaginacyi i zdolności tych, które, gdy znane są i uprawiane, czynią człowieka sposobnym do ukochania ideałów i sięgania po nie silném, natchnioném ramieniem?

Pochylił głowę i spojrzał po całém swém ubraniu.

Dziwny uśmiech przewinął mu się po ustach.

Biały płaszcz Samsonowy owijał mu kolana i stopy miękkiemi zwojami, szkarłatna szata rzucała połyski złote, paciorki naszyjnika okrywały mu jeszcze pierś, przy świetle lampki, blaskami rubinów, szmaragdów i srebra, a na czole czuł muskanie pióropusza, zwieszającego się z rycerskiego hełmu. Uśmiechnął się dziwnie, długo, aż podniósł ręce i powoli zdjął z swéj głowy pozłocisty hełm z pióropuszem. Postawił go na stole i wpatrzył się w nego gorejącemi oczyma, z których po chwili stoczyły się na blade policzki dwie duże łzy.

— Żegnaj mi, silny Samsonie! Mężu wielki, któryś mnie nauczył, że są na świecie bohaterskie czyny, wielkie miłości ku ludziom, piękne Dalile i... mali, słabi nieszczęsni Szymszele!

Dowiedział się, że nigdy nie był wielkim, ani mądrym, ani szczęśliwym... I załamał ręce tak gwałtownie, że aż kości zatrzeszczały w stawach, a potém założył je sobie na szyję i rozpinać począł naszyjnik swój z rubinów, szmaragdów i srebra. Rozpiął go, zdjął i w obu rękach trzymał przed sobą, a z-za téj sieci błyszczących sznurów błyskały czarne źrenice jego, nabrzmiewające znowu wielkiemi łzami.

— Żegnaj mi, silny Samsonie, mężu wielki!...

W tém podniósł powieki, i ręce, trzymające naszyjnik, opadły mu na kolana. Ujrzał przed sobą widok, o którym nie wiedział z razu, co oznaczał. Naprzeciw niego mroczna głębina izby usianą była sześciu parami żywo połyskujących punkcików. Punkciki te były oczyma ludzkiemi i połyskiwały z różnéj wysokości i w różnéj od siebie odległości, ale ludzkie postacie, do których one należały, całkiem się kryły w cieniu. Wszystkie te sześć par oczu tkwiły w twarzy Szymszela, a wyrażały podziw, zachwyt, radosne zdumienie. W chwili, gdy opuścił na kolana ręce z naszyjnikiem, punkciki te czarne, błękitne, szare, lecz wszystkie rozpalone błyszczącą iskrą, poczęły posuwać się ku niemu, w górze zaś, najwyżéj, dojrzał jeszcze dwa inne światełka, złote całkiem, podobne do dwóch dukatów, a z miejsca, w którém świeciły, wychodziło monotonne, głośne mruczenie.

Był to kot bury, który siedział w wysokim otworze pieca, patrzył na pana domu i mruczał. Poniżéj znajdowała się cała gromadka rodzinna, uśpiona w chwili przybycia Szymszela, lecz która się potém obudziła i, siedząc na ziemi, każde na tém miejscu, na którém znalazło go obudzenie, wpatrywała się w świetny strój męża i ojca.

Siedzieli tak wszyscy i patrzyli od dawna, tamując oddech w piersi, aby nie spłoszyć widziadła w szkarłatach i złocie, które wydało im się senném zjawiskiem. Potém Cipa piérwsza wysunęła się z mroku, chyłkiem jakoś, cicho bardzo, bardziéj pełznąc, niż idąc, ku kolanom męża.

U kolan przysiadła znowu, podniosła ciemną, pomarszczoną twarz, otoczoną brzegami czarnego, okrągłego czepca, włożonego na noc zamiast peruki, splotła ręce na watowanéj spodniczce, z pod któréj wyglądały stopy w niebieskich pończochach, otworzyła usta i patrzała mu w twarz oczyma, utopionemi w miodzie czułości.

Za nią wyłoniły się z cienia ognisto-włose główki Mendelka i Esterki, Enoch wychylił bladą i chudą twarz swą, nad którą sterczał zmięty daszek zsuniętéj w tył czapki, Liba stanęła za wszystkiemi, z warkoczykiem rozplatającym się w płowe pasma, i z Lejzorkiem na ręku.

Milczeli wszyscy.

I Szymszel milczał długo, patrząc z kolei na postacie te, które teraz otoczyły go już z blizka.

Potém ogarnął je wszystkie jedném spójrzeniem i, szybko ukrywszy twarz w obie dłonie, zaniósł się głośnym, jękliwym płaczem.

Wśród płaczu mówił:

— Biedne moje dzieci! oj biedne, biedne wy, moje rybki, brylanty! Co ja dla was zrobię? Co ja dla was zrobić mogę? Ja sam biedny, słaby, mały i taki — ciemny, i taki — głupi! i wy będziecie zawsze biedne, małe, i ciemne, i głupie!

Nagle płakać i jęczéć przestał, ze stołka zerwał się i, przed oknem stanąwszy, w ciemności wzrok swój pogrążył. Stał tak chwilę, aż ujrzał znowu... wielką, długą pręgę złotą, która na tle czarnéj nocy utworzyła złotą drabinę, ze szczeblami pełnemi aniołów, i z białym, litośnym, cierniami uwieńczonym, a wianki wijącym aniołem modlitwy u szczytu.

Zwrócił się Szymszel ku gromadce swéj rodziny i z rąk Liby pochwycił małego Lejzorka...

Wtedy, gdyby ktokolwiek stał na ciemném podwórku, za okienkiem, w którém błyszczało mdłe światło lampki, ujrzał-by był obraz szczególny.

W głębi mrocznéj izby, na tle jéj najdalszém, połyskiwały wciąż, jakby zawieszone w powietrzu, złote oczy kota, bliżéj odbijały od tła mrocznego blade, ściągłe twarze Liby i Enocha, których usta otwierały się od zdumienia, bliżéj jeszcze, Esterka i Mendelek stali, trzymając się za ręce i szeroko roztwierając błękitne oczy swe, kryjące się prawie w opadającéj na czoła ogromnéj gęstwinie ognistych kędziorów; przy nim Cipa, w okrągłym czepku, oblepiającym jéj głowę, przelękniona i zasmucona płaczem męża, splatała na piersi ciemne swe dłonie; a najbliżéj, tuż przy oknie, wysmukły żyd z roztarganemi czarnemi włosy, w szkarłatnéj sukni, błyszczącéj złocistém wyszyciem, pochylał się nad stołem, w obu wyciągniętych

rękach swych, trzymał dwuletnie dziecię w szaréj koszulinie i, przykładając je do saméj prawie szyby okna, a kędyś w górę, w górę, posyłając błagalne, łzawe spojrzenie, z całéj piersi swéj wołał:

— Sandalfonie, Sandalfonie! proś Jehowę, żeby zrobił go „Silnym Samsonem!”

KONIEC.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Eliza Orzeszkowa.*

ELIZA ORZESZKOWA.

Z RÓŻNYCH SFER.

Nowelle i Obrazki.

Tom V.

MILORD.
WIDMA.
BAŃKA MYDLANA.

WARSZAWA.
WŁASNOŚĆ, NAKŁAD I DRUK S. LEWENTALA,
Nowy - Swiat Nr. 41.

1886.

SPIS RZECZY.

Str.

Milord 1

Widma 111

Bańka mydlana 265

I • II • III • IV

Дозволено цензурою.
Варшава, 26 Ноября 1886 года.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Eliza Orzeszkowa.*

M I L O R D.

OBRAZEK MIEJSKI.

Któż z mieszkańców miasta Onwila nie znał i nie podziwiał Milorda, wtedy, gdy na szarém tle mieszczańskiego życia jaśniał on, jak piérwszorzędna gwiazda szyku i elegancyi? Kiedy kawalerski powozik jego, zgrabny i błyszczący, w szybkim pędzie i z gwałtownym turkotem, rozbijał koła swe o kamienie ulic, bogaci i *urodzeni* witali go przytknięciem palców do brzegów kapeluszy i uśmiechami, które fizyonomistom dały-by może trochę do myślenia, lecz z dala uchodzić mogły za objawy uprzejmości przyjaznéj; mniéj zamożni i nie tyle urodzeni, zdejmowali okrycia głów swych z pośpiechem nadzwyczajnym, lub przyjacielskością poufałą; co się zaś tycze zupełnie niezamożnych i nieurodzonych, ci przystawali nawet śród chodników, wkładali ręce w kieszenie odzieży i, ścigając oczyma mknącą w przestworze świetną gwiazdę miasta Onwilu, mawiali na-pół z zachwyceniem, na-pół z zazdrością: „ot! do czego-to człowiek dojść może!”

Milord doszedł był istotnie w porze owéj do rezultatów życiowych znakomitych. Ów kawalerski powozik jego unoszony bywał przez dwa dzielne karosze, o których cenie i pochodzeniu ludzie cuda prawili, a którym na faliste grzbiety, zamiast zwykłych rzemieni, spływały szerokie wstęgi białe, mocne a połyskujące jak atłas. Końce wstęg tych, czyli tych lejców, spoczywały czasem we własnych jego dłoniach, czasem w dłoniach woźnicy, ubranego w długi surdut liberyjny ze srebrzystemi guzikami, niekiedy jeszcze w drobnych rękach wyrostka, ubranego po kozacku, albo drugiego wyrostka w zielonéj, strzeleckiéj podobno, odzieży.

Miał on bowiem i stangreta, noszącego liberyą, i kozaczka, i grooma, chociaż o tém, że chłopak w zielonéj odzieży mógł nazywać się groomem, ani on sam, ani może nikt w Onwilu na pewno nie wiedział. Miał on jeszcze na zimowe miesiące sanie prześliczne, całe obite kwiecistemi dywany, i niemniéj piękne, w porach chłodnych, okrycia dla karoszów swych, które szkarłatnemi lub modremi sieciami osłaniały je aż do ziemi. Za powozikiem zaś, saniami, karoszami, stangretem, kozaczkiem, groomem, śnieżnemi lejcami i szkarłatnemi siatkami, biegły w poskokach dwa psy niezmiernie piękne, złociste setery najczystszéj rasy, w błyszczące i dzwoniące obroże strojne. Pies trzeci, malutki szpicek, z błękitną kokardą pomiędzy śpiczastemi uszkami, siadywał zwykle na kolanach pana swego.

Błyskawica ta zatrzymywała się często tu i owdzie, bo Milord miewał w mieście interesów mnóztwo, i posiadał mnóztwo znajomych. Przed bramami kamienic albo

ładnych dworków miejskich, przed drzwiami najwytworniejszéj miejscowéj cukierni, co trzeci dzień, a czasem co dzień, przed błyszczącą i woniejącą wystawą fryzyera wysiadał on z powoziku swego, lub z sani, i wówczas, gdy giestem milczącym nakazywał seterom swym spokojne na powrót swój oczekiwanie, gdy szpica owijał w pled i powierzał troskliwości stangreta, kozaczka lub grooma, gdy spojrzenie, pełne troskliwości, rzucał na rumaki swe, pieniące się od szybkiego biegu, każdy, kto tylko, znajdując się w pobliżu, chciał tego, mógł dokładnie powierzchowność jego obejrzéć.

A któż-by nie chciał? Huki, które Milord po Onwilu wyprawiał, zwróciły-by na niego ciekawą uwagę choć-by głuchego człowieka, i najczarniejszemu melancholikowi dały-by chwilę rozrywki. Wszyscy tedy chcieli oglądać Milorda, i... oglądali.

Był on przystojnym mężczyzną, wysokim, szczupłym, zgrabnym. W ostatnich czasach wydawał się nawet wyższym jeszcze, niż zwykle, z powodu ubrania, które nosił na ulicy, a które było owym długim paltotem, z tyłu podobnym do szynelu żołnierskiego, a z przodu do szlafroka, paltotem, który, jak to gdzieś wyczytałem, nosi malowniczą nazwę: *sortie de l'hôpital*.

Odkąd panowie nosić zaczęli to *sortie de l'hôpital*, ludzkość wydaje się bardziéj chorą, niż kiedy. Milord jednak miał pozór człowieka zupełnie zdrowego, chociaż bardzo delikatnego. Twarz jego była ściągła, dość ładnie zarysowana i bardzo biała; przyozdabiały ją, z dwu jéj stron spływające, długie bokobrody jasno-płowe, jedwabiste;

jasne też i w pierścienie wijące się włosy ukazywały się z pod cylindra, którego brzeg ocieniał parę pięknych, błękitnych, oczu, wesołych czasem, czasem marzących, lub zupełnie w dobrym tonie znudzonych.

Takim był Milord. Ludzie, przypatrujący się mu z rozmaitemi wyrazami na twarzach, z wyrazami, śród których przeważał jednak najczęściéj szczery i zachwycony podziw, mawiali czasem:

— Ot! do czego to człowiek dojść może.

Czasem zapytywali:

— Zkąd on przecież to wszystko bierze?

Wtedy mieszczki gadatliwe i ordynaryjne, z głowami owiniętemi w kraciaste, jaskrawe chusty, odpowiadały:

— A zkąd-by brać miał? Nieboszczyk Dyrko dobrze umiał kabzę pakować, to i wypakował ją, staréj swojéj zostawił, a ona synala swego tuczy i złoci!

— Aha! już to drugiéj matki takiéj, jak Dyrkowa, ze świecą nie znaléźć... — wołał głos publiczny chórem na dole; w górze bowiem, w sferach tych towarzyskich, ku którym wzniosły Milorda skrzydła świetnych jego przeznaczeń, o matce Dyrkowéj nic wcale, albo niezmiernie mało wiedziano.

— Oj, ta matka Dyrkowa! jak ona go wychowała! jak ona go na pana wykierowała! jak ona go szczęśliwym zrobiła! co to za matka! oj matka to, matka!

Tak mawiali wszyscy, na dole mieszkający: panowie majstrowie mularscy, ciesielscy, szewieccy, i inni; panie majstrowe; synowie ich, którzy wzdychali przytém i ze skrytym wyrzutem na rodziców swych spoglądali; córki

ich, którym widok Milorda sprowadzał na twarze rumieńce wzruszenia, a w piersi nawiewał tęsknotę. A pośród tłumu tego jeden tylko odzywał się głos, staruszkowaty i nieco zgryźliwy, który na wykrzyki: „co to za matka! oto matka!“ odpowiadał:

— Głupia matka!

Potém zaś ciszéj, i dla siebie tylko, dodawał:

— Biedna matka!

Był to głos Andrzeja Rębskiego, człeka znanego całemu onwilskiemu mieszczaństwu, nauczyciela niegdyś wiejskich szkółek, a teraz właściciela niewielkiéj posiadłości miejskiéj w Onwilu. Był to szczupły, niepozorny człowieczek, lat około sześćdziesięciu, w długim wyszarzanym surducie koloru orzechowego, w staréj czapce z daszkiem, ocieniającym twarz długą i pomarszczoną.

Starzy mieszczanie, mówiąc o Milordzie, mawiali téż zawsze:

— Gdyby téż nieboszczyk Dyrko, świeć Panie duszy jego, zmartwychpowstał, i syna swego teraz zobaczył, otożby wyrósł na łokieć od ziemi!

— Nie, — odpowiadał Andrzej Rębski, — nie miałby on czasu wyrość, bo biegł-by co prędzéj do trumny swéj, aby się w niéj napowrót położyć!

Niestety! Niestety! Milord nazywał się Dyrko, i jeden chyba Geldhab, z niezmierną swą we względzie tym pomysłowością, zdołał-by zadysponować genealogiczne drzewo rodu, nazwisko to noszącego. Nie należy przeto mniemać, aby Dyrkowie wcale już żadnéj genealogii nie

posiadali. Owszem, ród to był nie magnacki wprawdzie, nie szlachecki nawet, ale poczciwy i małomieszczański. Odkąd Onwil zapamiętać może, iż jest Onwilem, Dyrkowie byli w nim zawsze znani, jako wyborni garncarze, zamożni obywatele miasta, a nierzadko czynni i roztropni urzędnicy magistratu miejskiego. W tradycyi téj zatém nie było nic a nic zawstydzającego, i milord dźwigał-by ją może z lekkiém sercem, gdyby ostatecznym wyrazem jéj nie było gminnie brzmiące nazwisko: Dyrko.

Nazwisko to dokuczało mu z razu srodze; dał-by był pół życia za to, aby módz je przekształcić na sposób, jak wyrażał się w myśli swéj, szlachetniejszy, aby módz przynajmniéj końcówkę *ko* zmienić na *ski*, coby bardziéj jeszcze zbliżyło go i upodobniło do dobrego przyjaciela jego, a syna możnéj obywatelskiéj rodziny, Józia Morskiego; do innego jeszcze przyjaciela jego, młodego i niezmiernie eleganckiego artysty-muzyka, Edzia Kolickiego; do przyjaciela jego także, młodziutkiego panicza, zwanego Kociem Nielińskim, i do tuzina całego serdecznych jego przyjaciół, którzy wszyscy nosili nazwiska, w bliższym lub dalszym stosunku stojące z herbarzami i herbami. Nie mógł uczynić tego i bolało go to czas jakiś. Widok pierwszych kart wizytowych, które sporządzić sobie kazał, wprawił go w długą i smutną zadumę. Józio Morski, patrząc raz na jednę z kart tych, parsknął głośnym śmiechem.

— Niech cię dyabli, Rajku, z nazwiskiem twojém! Żeby nie to nazwisko, wprowadził-bym cię do domu mojéj matki, ale jak cię jéj przedstawię: pan Dyrko! gotowa zemdléć!

Obecni przemowie téj przyjaciele milorda zaśmieli się głośno.

Milord ściągnął brwi.

— Mój drogi, — odparł, — chciał-bym bardzo bywać u twojéj matki, ale jeżeli ona jest taką arystokratką, nie pójdę do niéj, choć-byś mię nie wiem jak ciągnął. Wiész o tém, że cierpiéć nie mogę arystokracyi, a nazwiska mego wstydzić się nie myślę.

Mówił to z obojętnością wyniosłą, ale... mówił nieprawdę. Nazwizka swego wstydził się i za arystokracyą przepadał. To téż z kartami owemi wizytowemi radził sobie w sposób najrozmaitszy, ażeby tylko trywialność wyrytego na nich nazwiska zamaskować. Pomagało mu w tém trochę imię, które nosił. Imię to było Rajmund, brzmiało zatém dość dźwięcznie i zupełnie niepospolicie.

Rozkazał sobie tedy raz sporządzić karty wizytowe tak duże, jak ćwiartka listowego papieru, a śród téj pustyni welinu wylitografować: „Rajmund Dyrko” literkami tak drobnemi, że wyczytać je można było chyba z pomocą szkieł powiększających. Innym razem zmieniała się proporcya rzeczy, kartki były malutkie, a litery bardzo duże. Bywały one, kartki te, białe, szare, koloru drzewa, bledziutko-różowe i inne. Stało na nich raz: „Rajmund Dyrko”, innym razem „Rajmond Dyrko”, albo jeszcze „Raymond de Dyrko”.

W pewnym roku karty wizytowe milorda sprawiły nawet w mieście głęboką emocyą. Znajdował się na nich dyabeł, czarny jak noc, z różkami, kopytkami i wszelkiemi innemi przynależnościami, a na rozwianéj przepasce swéj niosący

imię i nazwisko posiadacza swego.

Wszystkie zgryzoty te i kłopoty trwały przecież niezbyt długo, dopóty tylko, dopóki milord nie zajaśniał pełnią blasku swego. Gdy zajaśniał, zachwycił się tak świetnością swoją, że i nazwisko jego wydało mu się ozłoconém przez nią i wysoce uszlachetnioném.

Przyznać też trzeba, iż nie sam on tylko w złudzenie to popadł. Dzieliła je cała prawie publiczność onwilska. Oprócz tego spadł był na niego tytuł Milorda. Jakim się to stało sposobem? wnet zobaczymy.

Ile razy Milord zapotrzebował środków pieniężnych dla załatwienia któréjkolwiek z ważnych spraw swego życia, tyle razy mawiał najbliższym przyjaciołom swym:

— No! trzeba mi jechać do banku mego!

I potém, gdy najbliżsi przyjaciele Milorda widzieli dorożkę naprzód, potém powozik jego, skręcający z ulic głównych w wązkie, kręte uliczki, stanowiące najdawniejszy zawiązek miasta, — uśmiechali się i mówili:

— Milord nasz do banku swego pojechał!

Wązkie, kręte uliczki, pomiędzy które szybko i z wielkim hukiem kół wpadał niekiedy Milord, stanowią dzielnicę miasta starożytną bardzo i czysto mieszczańską. Okoliczni przybysze nie mieszkają w niéj nigdy, żydzi niedawno i rzadko zaledwie zaczęli się tam pojawiać.

Jest to dzielnica cicha, schludna i bardzo poważna. Nad wązkiemi szlaczkami bruków okropnych, złożonych z kamieni ostrych, nierównych i na-pół skruszonych, wznoszą się ze stron obu mury wysokie, barwy ceglasto-różowéj, sinéj lub czekoladowéj. Wzdłuż murów tych, od

facyatek, które ze szczytów śpiczastych dachów ciekawie wysuwają się na przód, aż ku rynsztokom, bezpośrednio u stóp ich ciekącym, biegną rysy głębokie, zygzakowate, podobne do zmarszczek, okrywających stare i chropowate oblicza. Tu i owdzie dwie przeciwległe ściany pochylają się ku sobie tak, że zdawać się może, iż wyższe piętra kamienic tuż-tuż zetkną się z sobą, niby tęskniące do spoczynku czoła; gdzieindziéj facyatki tak bardzo wysunęły się na przód, iż tworzą nad uliczką rodzaj łuku, przerżniętego pośrodku wąziuchnym szlaczkiem obłoków. Z dwóch stron szlaczku tego, niby domki stawiane z kart, wiszą jakby w powietrzu dwa rzędy trójkątnych budowelek, a okna ich, zbliżone ku sobie na wyciągnięcie ręki, zdają się ze sztywném zamyśleniem patrzéć sobie szybami w szyby.

U dołu stare kamienice te mają szczególne otwory i wejścia; są to drzwi bardzo wysokie a wązkie, ciężkie od zardzewiałego żelaztwa, lub okryte grubemi rzeźbami. Ilekroć drzwi te otwierają się, oko przechodnia tonie w przepaścistych sieniach i kurytarzach, sklepionych, mrocznych, i w dalekiéj, wązkiéj perspektywie spostrzega za innemi znowu, przeciwlegle otwierającemi się drzwiami, świeżą zieleń podwórza i ogrodów. Stare te bowiem kamienice cisną się ku sobie tylko ze strony ulic, z drugiéj ich strony istnieją przestrzenie obszerne, dziedzińce świeże, czyste, zielone, ogrody pełne drzew owocowych, warzyw, a nawet kwiatów.

Drzewa, warzywa i kwiaty były snadź dla dawnych mieszczan onwilskich ulubionemi przedmiotami zbytku, jedynym może zbytkiem, którego pozwalali sobie ci zdrowi

niegdyś, trzeźwi, niestrudzeni, a zbyt, niestety! nieliczni pracownicy krajowego przemysłu.

Przy jednéj z uliczek dzielnicy téj istnieje kamieniczka, bardziéj jednak, niż inne, staro wyglądająca, wązka, bo z trzema zaledwie frontowemi oknami, ale wysoka, trzypiętrowa i z rzędem trójkątnych facyatek u góry. Dół jéj nie zawiera w sobie mieszkania żadnego, bo zajęty jest całkiem bramą, szerokości nie proporcjonalnéj do rozmiaru budowy, wysoką, sklepioną, i dającą kamieniczce pozór taki, jak gdyby stała na dwóch, szeroko bardzo rozstawionych, nogach.

W archiwach onwilskiego magistratu kamieniczka ta od wielu lat zapisaną była, jako własność Dyrków — garncarzy, a przed kilku jeszcze laty oficynę jéj, w głębi stojącą, zamieszkiwała Apolonia Dyrkowa, wdowa po Mateuszu Dyrce, ostatnim z rodu tego garncarzem.

Mateusz Dyrko ostatnim był z rodu swego, ale za to niepoślednim wcale garncarzem, a przytém człowiekiem gospodarnym, przemyślnym i skąpym. Nabył téż on, przy jednéj z głównych i nowych ulic miasta, piękną i intratną kamienicę, a o pieniężnych zbiorach jego ludzie w mieście całém cuda prawili. Zbierał istotnie, ale ile zebrał, o tém na pewno nie wiedział nikt, bo, umierając, zwierzył się z bogactw swych jednéj tylko swéj żonie. Na niewiele przed śmiercią, włócząc się jeszcze po dziedzińcu swym i ogrodzie, w długiéj kapocie mieszczańskiéj i czworokątnéj baraniéj czapce, Mateusz Dyrko wzdychał ciężko.

— Gdyby starsi chłopcy moi żyli, ludziom dojrzałym zostawił-bym krwawicę ojców swoich i swoję. Starszy,

panie mój, był już garncarzem tęgim, a młodszy na ogrodnika ochotę miał. Co zaś z Rajmundka będzie? przewidzieć nie mogę. Od ziemi to ledwie odrosło...

O! gdyby ojciec garncarz przewidzieć mógł przyszłe wysokie przeznaczenie swego Rajmundka i te świetne metamorfozy, w jakich krwawica jego i ojców jego światu objawić się miała!

Za wązką kamieniczką, stojącą na bramie swéj, jak na szeroko rozstawionych nogach, znajduje się dość obszerne, brukowane podwórze, z murowaną oficyną w głębi, za którą zielenią się w lecie, a w zimie śniegiem i szronem bieleją, stare owocowe drzewa. Po środku zewnętrznéj ściany oficyny są drzwi wązkie i ciężkie, mające u góry framugę, z jaskrawym obrazem Matki Bozkiéj w głębi, i prowadzące do sieni, ciemnéj w dzień najbielszy, sklepionéj wpół-kóliste łuki i zaopatrzone z dwóch stron w drzwi grube, ociosane, do dwóch mieszkań wiodące. Jedno z mieszkań tych zajmował przed laty kilku stolarz jakiś z rodziną swą, drugie stara Dyrkowa.

Mieszkanie Dyrkowéj składało się z dwóch izb obszernych, tak, jak sień, sklepionych, z wązkiemi oknami, opatrzonemi w drewniane kraty, i od strony ogrodu zacienionemi, tak w zimie jak w lecie, staremi drzewami. Piérwsza z izb tych wyglądała na kuchnią, bo posiadała ogromny staroświecki piec do gotowania i pieczenia chleba, ławki i stoły z niepomalowanego i niczém nieokrytego drzewa, podłogę zupełnie prostą i ściany odymione nieco, a tu i owdzie poplamione siną pleśnią wilgoci. Druga izba posiadała pozór śpichrza i składu. Oprócz łóżka, obfitą

pościelą zasłanego, pary twardych krzeseł, wybitych spłowiałym perkalem, i kilkunastu obrazków świętych, jaskrawo malowanych i w czerwonych ramkach, wiszących na ścianach, nie było tam sprzętów ni ozdób żadnych.

Kilka za to skrzyń i kufrów wysokich, ciężko okutych, stało pod ścianami; po kątach leżały wory i worki, pełne ziarn jakichś, i wisiały pęki uprzędzonych talek; tuż pod niemi podłogę okrywały wielkie kłębki zwiniętych nici, a nasiona ogrodowe i zioła lecznicze, grubemi warstwami rozesłane, suszyły się na oknach. Były tam jeszcze kosze pełne jaj, i u stóp pieca urządzone dla kur schronienie zimowe, a w kuchennéj izbie znajdowały się u drzwi: beczka z wodą i koryto do karmienia wieprza; przed piecem, na drewnianym stołku, stała prząśnica z więzią lnu albo wełny, a w głębi, ciężkiemi zarysy majaczył w zmroku warsztat tkacki z czółenkiem, uwikłaném w czarne nici zesnutego wątku.

Wieczór to był jesienny, ciemny i wietrzny. W mieszkaniu Dyrkowéj wesoły ogień palił się w piecowisku, a przed nim, w małym garnuszku, warzyła się skromna jakaś strawa. Czerwonawe błyski płomienia rozstrzeliły się po izbie, złociły drewniane kraty okien, ślizgały się po tkackim warsztacie, unosiły się chwilami pod wysoki sufit i ginęły tam w zagłębieniach półkolistych sklepień. W chwilach, gdy ogień rozpalał się najszerzéj, widać jeszcze było biegnącą dokoła ścian półkę drewnianą, a na niéj, ustawione rzędem ścisłym i długim, najrozmaitsze wyroby garncarskiéj sztuki: ogromne dzbany z powierzchnią szklistą i kunsztownie wyrabianemi uchami; polewane

misy, z wnętrzem, przyozdobioném girlandami różnobarwnych kwiatów; garnki, oplecione całkiem siecią misternie malowanych zygzaków i arabesek; z gliny wyrabiane, a ku ozdobie ścian czy pieców służące, pyzate głowy dziecinne; skrzydlate konie, wspaniałe koguty, bajeczne smoki. Wszystko to, starannie snadź przechowywane i czyszczone, połyskiwało i różnemi barwami mieniło się pod ślizgającym się po ścianach blaskiem ognia. Przed ogniem zaś, w ciszy głębokiéj, która panowała w mieszkaniu, siedziały dwie kobiety.

Jedna z kobiet tych, Apolonia Dyrkowa, siedziała na drewnianym stołku i przędła; druga, malutka i nieco garbata, umieszczona na nizkiéj ławeczce, robiła pończochę i doglądała gotującéj się strawy.

Dyrkowa musiała być kiedyś piękną kobietą. Teraz jeszcze, gdy w sinéj grubéj spódnicy, własnego widocznie wyrobu, w białym fartuchu i kraciastéj chuście, skrzyżowanéj na piersi, siedziała w blaskach ognia prosta i wysoka, jedną ręką snując z więzi lnu cieniutką nitkę, w drugiéj, odchylonéj daleko, obracając wrzeciono, kibić jéj wyglądała kształtnie i silnie. Siwe włosy jéj, wysuwające się z pod białego czepca, srebrzyły się nad piękném, białém, z lekka tylko pomarszczoném, czołem; na białe, ściągłe policzki wybijał się lekki rumieniec, a wielkie oczy świeciły jeszcze świeżym błękitem źrenicy, i tym srebrnym połyskiem, który u starców zdaje się być śladem łez, wylanych przez życie, zarówno jak objawem niezgasłéj jeszcze energii. Usta Dyrkowéj, zwiędłe już i pomarszczone, posiadały zarys spokoju i słodyczy. U nóg

jéj, zwinięty w kłąb olbrzymi, spoczywał wielki czarny brytan, wierny i stary stróż domowy.

Przędła i patrzała w ogień. Wzrok jéj był nieruchomy i zamyślony, ale po ustach wiły się uśmiechy miłych jakichś myśli. Wrzeciono warczało z cicha, za oknami szumiały drzewa, od kilkunastu wazonów, ustawionych u okna, w duszném nieco powietrzu rozchodziły się silne i ciężkie wonie piżma i geranium.

— No — po długiém milczeniu ozwała się stara kobieta — książę nasz chyba już dziś nie przyjedzie...

Mówiąc to, patrzała na siedzącą przy saméj ziemi i pończochę robiącą, garbatą, niepozorną istotkę.

— Wiész co, Ludwisiu, że spodziewałam się dziś księcia mego od samiuteńkiego ranka. Coś tak, jakby mi do ucha szeptało: dziś przyjedzie!

Głos jéj był dźwięczny i łagodny, sposób mówienia powolny i śpiewny.

Ludwisia podniosła na mówiącą małe, piwne oczy, które, zagłębione śród chudéj, żółtéj twarzy, posiadały wyraz na-pół pokorny, na-pół wesoły, i odpowiedziała:

— Pani codzień spodziewa się, że książę nasz przyjedzie, a tu już dwa tygodnie przeszły, jak nie był...

Stara skinęła głową z powagą i jakby niezadowoleniem.

— Nie był, prawda, ale to i cóż, że nie? Czy ty myślisz, że on ma czas na to, aby przy staréj matce siedzieć? Oho! nie taki on, jak inny, co to matczynéj spódnicy albo ojcowskiéj kapoty trzyma się przez całe życie obiedwiema garściami! On człowiekiem jest, z ludźmi tedy żyć musi. Pan z niego całą gębą, a panowie mają co innego do roboty,

niż do matek starych i prostaczek jeździć wciąż i jeździć. On z wizytami jeździ, na wieczorach proszonych bywa i sam wieczory u siebie wydaje... A panienki... ha? cóż to? mało to one młodemu i pięknemu paniczowi czasu zabiorą! To nie nasze dziewczęta, którym dość łaski, kiedy gospodarski syn, przechodząc, zerknie na nie i żart jakiś z nich zrobi. Do panienek bogatych, wysoko urodzonych, takich, co to u trzewiczków obcasiki noszą na ćwierć łokcia wysokie, a stany sobie przepasują szarfami, szerokiemi na pięć dłoni, zalecać się trzeba długo, oj, długo, póki która z nich uśmiechnąć się, albo pod rączkę na spacer pójść, albo rączkę do tańca podać raczy. Zalecać się im trzeba, komplementy mówić, grać im na fortepianie, za sprawunkami ich chodzić... dziwne dziwy, powiadam ci, moja Ludwisiu, dziwne dziwy i facecye!... Młodemu to tak i życie na tém przechodzi... lata sobie koło ładnych kwiatków, jak motylek, aż ot utknie raz na jednym i przylgnie, i już nie odczepi się, żeby jak chciał... Wtedy basta, na zapowiedzi dał, na kobiercu stanął i ożenił się... klamka zapadła i mój złoty motyl koło jednéj już tylko żonki swojéj uwija się, dzieci hoduje i staréj matce czasem je w pięknéj karecie przywozi, ażeby wnukami oczy swoje pocieszyła... ale czasem tylko, czasem, bo paniątkom takim duszno było-by i nie zdrowo w starych izbach tych, w których pohodowali się ojciec ich i dziadowie, ale im hodować się nie wypada już... nie wypada!...

Tak prawiła stara. Prawiąc, stosownie do znaczenia różnych ustępów mowy swéj, uroczyście wznosiła do góry rękę kształtną, choć grubą i spracowaną, figlarnie mrugała

powiekami, albo uśmiechała się z rozkoszą. Najrozkoszniéj uśmiechnęła się przy wzmiance o wnukach tych małych, które-to kiedyś ojciec ich przywozić do niéj miał w pięknéj karecie. Kiedy zaś opowiadała o motylu tym, co to krąży około kwiatów, aż zatrzyma się na jednym, przylgnie i basta! śmiała się nawet tak serdecznie, że aż błękitne źrenice jéj zwilgotniały, a różowe policzki zarumieniły się żywiéj. Mała, garbata Ludwisia, przez cały czas jéj mówienia, nie robiła pończochy, tylko, wlepiając w twarz jéj oczki swe, pełne na przemian podziwu i rozradowania, przechylała z boku na bok głowę i z cicha wtórzyła:

— A jakże! a jakże! oj, oj! co to! panicz taki!

Dyrkowa prząść zaczęła znowu, i na chwilę zamyśliła się głęboko. Oczy jéj, w górę wzniesione błądziły spojrzeniem po ustawionych pod ścianą garncarskich wyrobach.

— Aha! — rzekła do siebie tonem, oznaczającym wewnętrzny tryumf.

— Tak, tak, — mruknęła jeszcze i zaśmiała się z cicha. Potém jeszcze milczała chwilę, a wzrokiem wciąż wodziła po misach i dzbanach.

— Tak, tak, — powtórzyła i mówiła daléj;

— Ojciec i dziadowie jego porodzili się tu i pohodowali tu, w domu tym pracowali, harowali, i synków swych na pracowanie i charowanie nowe hodowali... Długo tak było, długo, aż i skończyło się przeze mnie, bo ja nie chciałam, żeby mój Rajmundek garnki lepił... powiedziałam sobie, że kiedy syn mój ma już być Dyrko, to niechże będzie Dyrko pan, nie Dyrko garncarz... Żebym była wyszła za Andrzeja Rąbskiego, została-bym szlachcianką i syn mój byłby

szlachcicem, a kiedy już tak stało się, że na całe życie moje zostałam na dole, niech-że dziecko moje przynajmniéj w górę pójdzie! Tak powiedziałam i tak zrobiłam... Nie jemu to garnki lepić, nie jemu! Dość już dziady i ojciec jego garnków nalepili.

Ludwisia oczy podniosła i, patrząc na półkę, ostawioną glinianemi naczyniami, głupowato zaśmiała się.

— Ale, że pięknie oni garnki lepili, to pięknie! prawda pani?

Dyrkowa, z powagą i dumą pewną, głową skinęła.

— A jakże! — odrzekła, — na całą gubernią, a może i na całą Litwę i Koronę, garncarzy takich, jak Dyrkowie, nie było. Na rzemiośle tém zęby zjadali i fortunki wcale uczciwe robili. A przytém było tam nieraz i honoru trochę. Ot, na ten przykład, kiedy pradziad Mateusza mego wynalazł był taką formę dzbanów, jak oto tamten, co w samym rogu stoi, widzisz?...

— Aha! — twierdząco mruknęła Ludwisia, i na dzban wskazany patrzała.

Dzban to był w istocie taki, że mógł-by śmiało i zaszczytnie figurować na wystawie jakiéjś krajowych starożytności i przedwiekowego krajowego przemysłu. Gliniany przedmiot ten był niemal dziełem sztuki. Kształt miał wysmukły, do kształtu urn zbliżony, wygięcie dzioba pełne wdzięku, a powierzchnią blado-różową, owiniętą wieńcem z wypukłych zielonych liści.

Dyrkowa prawiła daléj:

— Otóż, kiedy pradziad Mateusza mego pierwszy dzban taki zrobił i pojechał z nim do wojewody, niepamiętam już

jakiego, wojewoda dał mu za niego sto dukatów złotem...

— Sto dukatów zło-tem, jak lo-du! — powtórzyła, — a w dodatku poklepał go po ramieniu i powiedział: „Imci panie Dyrko! Waszmość jesteś mistrzem w sztuce swojéj, i temi oto wyrobami rąk swoich honor krajowi przynosisz!” Pradziad Mateusza mego zrobił potém dzbanów takich tysiące może, i wszystkie wielkim panom i urzędnikom rozsprzedał! Powiadali ludzie, że to go w dumę wzbiło, i że, z powodu tych dzbanów swoich, głowę, tak wysoko nosił, jakby pan jaki! Ale to chyba kalumnią było, bo przecież, gdyby dumnym był, nie pozwoliłby na to, aby syn jego garncarzem został...

— I! — potwierdziła Ludwisia, — nie pozwoliłby pewnie!

— A ot! — rzuciła Dyrkowa, — nietylko syn jego, ale dwóch synów garncarzami zostało. Jeden z synów tych był dziadem Mateusza mego rodzonym, a drugi stryjecznym. Owóż ten stryjeczny dostał po ojcu, jak ludzie mówili, talent. Te misy, malowane w kwiaty, on piérwszy w całéj Koronie i Litwie robić zaczął. Nieboszczyk Mateusz mój, świéć panie nad duszą jego, opowiadał mi, że biedaczysko osiwiał jak gołąbek, nim nauczył się róże te i maki na glinie malować. Zatoż malował ładnie i trwale, niéma co powiedzieć, bardzo trwale! kto-by to powiedział, że ot ta misa... widzisz?...

— Aha! — potwierdziła Ludwisia.

— Że ot ta misa, z tym wianuszkiem róż we środku, sto lat już, jak zrobiona!

— Sto lat! — wykrzyknęła piskliwie mała istotka.

— A jakże! sto lat i jeden jeszcze! a dzban ten, z girlandą z liści, zrobiony temu lat sto i trzydzieści dwa...

— Jezusie Panie! na zbawienia ludzi grzesznych umęczony! a dlaczegóż te czerepy tak długo tu stoją? Czy to nieboszczyk pan Mateusz, świéć Panie nad duszą jego, sprzedać ich nie mógł?

— Zapewne, że nie mógł! o! dla Boga! o co łatwiéj, jak o sprzedanie takich pięknych rzeczy! ale w familii Dyrków taki był już zwyczaj, że kiedy Dyrko który zrobił piękną jaką robotę i osobliwą, rozumiész? osobliwą, to jeden exemplarz zostawiał w domu. Exemplarz, moja Ludwisiu, to jest jedna rzecz z tych wszystkich, które są zrobione... naprzykład, kiedy ja kopę talek uprzędę, to każda talka jest exemplarz, rozumiesz?

— A no, — skinęła głową Ludwisia.

— Owóż po każdym Dyrce, który rozumniejszym był od innych i miał talent, został się w domu jeden exemplarz osobliwéj jakiéj roboty... ot, po pradziadku Mateusza mego dzban ten prześliczny, po stryjecznym dziadku — te misy, malowane w kwiaty; po stryju — te garnki z arabeskami; po ojcu rodzonym — te oto wyobrażenia ptaków i zwierząt różnych, a wszystkie te exemplarze chowały się w familii pod wielką opieką żon Dyrkowych... To téż i ja, kiedy z Mateuszem moim piérwszy raz do domu tego weszłam, pokazał on mnie palcem caluteńką tę półkę, i powiedział: „Widzisz, Polciu, to jest historya familii naszéj, na ścianach naszego domu robotami rąk naszych pisana!” a potém przykazał: „pilnuj mi tego wszystkiego, jak oczu w głowie.” Pilnowałam, i z historyi familii Dyrków żadne

słóweczko nie zginęło, i do śmierci mojéj nie zginie.

Mówiąc to, wodziła wzrokiem po dzbanach, misach i garnkach, a oczy jéj nabierać zaczęły wyrazu smutnéj trochę tkliwości.

— Życie przebywałam, na czerepy te patrząc, — szepnęła. — Patrzałam na nie, gdym młodą i świeżą była, gdyby róża i z Mateuszem moim nad kołyską pierworodnego mego Antolka siadywała; patrzałam na nie, kiedym pierworodnego mego do trumny stroiła... patrzałam na nie, kiedy mój średni, Fortunek pod okiem mojém uczył się kwiatki i warzywo sadzić, i kiedy, w goryczce śmiertelnéj leżąc, rączyny swoje wychudłe na szyję mój zarzucał... patrzałam na nie, kiedy Mateusz mój kochanką swoją i lubcią mię nazywał, i kiedy oczy swe do snu wiecznego zamykał... Oj! garnki to niby, garnki... nieżywe, gliniane czerepy, a jednak świadki doli méj i niedoli, pustot moich młodych i łez macierzyńskich i żoninych...

— Pani! pani! — piskliwie zawołała mała, żółta ta twarzyczka, ku płomieniom zbliżona, — kartofelki czas jeść... już ugotowały się zupełnie.

— Czas! no, to odstaw od ognia i w miskę włóż. Choć mnie i jeść nie chce się, taka zmartwiona jestem, że księcia mego dziś znowu nie zobaczę... I pan Andrzéj nie przywlókł się jakoś dzisiaj... no, może jeszcze przywlecze się... godzina nie późna...

Jak na zawołanie, wiszący w kącie izby wielki zegar, z bukietem róż na cyferblacie, wybijać zaczął godzinę. Uderzył razy ośm.

— Ósma, — pisnęła Ludwisia, która z garnkiem, pełnym

ugotowanych kartofli, stała przed piecem, dopóki zegar bić nie przestał, — ósma... chwała Bogu, za godzinę już spać...

— Ciii! — syknęła Dyrkowa, — słuchaj!

Pochyliła ucho do okna.

— Słyszysz?

— Słyszę! słyszę!

— Turkot?

— Turkot! turkot!

— Coraz bliżéj!

— Bliżéj! bliżéj!

Wyrazy te zamieniały szeptem, jak bywa zawsze w chwili niespokojnego oczekiwania i nasłuchywania niemal trwożnego.

— Książę nasz! — zawołała nagle i głośno Dyrkowa.

— Książę nasz! — wrzasnęła Ludwisia, głosem takim, jakby ją kto mordować usiłował, garnek z kartoflami postawiła na powrót przed ogniem i z rozstawionemi ramionami poczęła, jakby nieprzytomnie a widocznie szukając czegoś, kręcić się po izbie.

— Świecy! — wołała Dyrkowa — Ludwisiu, bierz świecę i ze światłem spotkaj księcia mego na progu! Ja nie mogę, bo reumatyzm mój w nodze... Ludwisiu! Ludwisiu! aj ty, nieprzytomna dziewczyno... świecy-żeż, świecy... poświeć! a to jeszcze upadnie w ciemnéj sieni i zabije się...

— Świecy! świecy! — piskliwym głosem wtórowała Ludwisia, kręcąc się wciąż po izbie — a to skaranie Bozkie! gdzie świeca? Jezu Panie! za zbawienie ludzi grzesznych... oj nieszczęśliwa godzina... ot jest! jest! już jest! jest!

I z ogarkiem świecy, tkwiącym w mosiężnym lichtarzyku, biegła ku ognisku, ale Dyrkowa z rąk jéj wyrwała lichtarz i ogarek.

— Łojowa świeca! mosiężny lichtarz! czyś ty zwaryowała! czy ty Boga w sercu swojém nie masz! Świeca na przyjazd księcia w szafie stoi, stearynowa w srebrnym lichtarzu... w szafie... mówię ci, w szafie...

Ludwisia, zamiast do szafy, biegła do beczki z wodą. Dyrkowa sama roztworzyła drzwi szafy ze stukiem nadzwyczajnym i, galopem przebiegłszy izbę, knot stearynowéj świecy do ognia przytknęła. W téj saméj chwili na dziedzińcu zaturkotało, zaszczekało, zaświeciło. Dwie błyskawice przeleciały za oknami i stanęły przed progiem domu, złocąc dokoła bruk podwórza. W świetle błyskawic tych uwijała się, szczekała i obrożami dzwoniła para złocistych zwierząt. Para zwierząt innych stukała o bruk kopytami. Rajmund Dyrko z karoszami swemi, seterami, stangretem w liberyi i dwiema latarniami u kawalerskiego powoziku, przybył w progi ojców swoich.

— Mama zdrowa? — ozwało się tuż przed drzwiami pytanie, wymówione głosem dźwięcznym i donośnym.

Z progu sieni piskliwy i drżący od wzruszenia głosik kobiecy odpowiedział:

— Zdrowa! zdrowa! a jakże! chwała Bogu!

Dyrkowa, stojąca u drzwi kuchennéj izby, pytanie syna usłyszała i twarz jéj stanęła cała w płomieniach radości.

— Zdrowa — szepnęła — zdrowa jestem, robaczku ty mój najmilszy!

Nie domówiła jeszcze wyrazów tych, gdy w drzwiach

szeroko rozwartych stanął przybyły. Świetne to zjawisko. Wysoki i kształtny mężczyzna miał lekko na ramieniu zarzucone pyszne futro niedźwiedzie, a na głowie błyszczący cylinder. Futro roztwierało się z przodu szeroko i ukazywało balowe ubranie, złożone z czarnych *inexprymablów*, połyskujących jak szkło bucików, fraka, kamizelki prawie niewidzialnéj i ukazującéj szeroki przód koszuli śnieżnéj, cieniutkiéj i bogato haftowanéj. Na czarném suknie świecił gruby łańcuch złoty od zegarka, a wśród haftów koszuli tkwiła szpilka, utworzona z rączki złotéj trzymającéj serduszko z brylantem.

W progu jeszcze zdjął z głowy kapelusz, niedbałym ruchem strząsnął z ramion futro, które zsunęło się na stojącą za nim Ludwisię i o mało jéj ciężarem swym nie przygniotło, potém schylił się przed matką i pocałował ją w rękę. Dyrkowa objęła głowę jego ramionami, do piersi swéj ją przycisnęła i drżące nieco usta zatopiła na chwilę w jasno-płowych włosach syna, od których wiał szeroko zmieszany zapach jaśminu i fryzyerskiego żelazka.

— No! przyjechałeś, lubciu! — przemówiła nakoniec — przyjechałeś! tak dawno cię nie widziałam. Nie wiem, czy to moje oczy tak widzą, czy naprawdę wyrosłeś jeszcze trochę przez te dwa tygodnie! Ty bo wydajesz mi się coraz wyższym! No, ale siadaj! siadaj-że! odpocznij sobie trochę u staréj matki! Ludwisiu, krzesła, krzesło-żeż, Ludwisiu! podaj, księciu naszemu krzesło.

Ludwisia kręciła się znowu po izbie tak, jak przed kilku minutami i, porwawszy z kąta drewniany stołek, niosła go ku ognisku. Dyrkowa wyrwała jéj z rąk stołek, pobiegła do

drugiéj izby i wyniosła krzesło, z poręczą kratkowaną i spłowiałym perkalem wybite. Rajmund tymczasem stał na środku izby, z miną człowieka, który nie widzi i nie słyszy nic wkoło siebie, pochylił głowę i zatopił się cały w poprawianiu jakiegoś szczegółu swéj toalety.

— Niech ją dyabli wezmą! — mruknął — ta trupia główka zsuwa mi się zawsze z kółka! jeszcze ją kiedy zgubię.

Przy zegarku jego wisiały z różnych materyałów zrobione: serce, kotwica, chart, armatka i trupia główka.

Dyrkowa stanęła naprzeciw syna i, z rozpostartemi ramionami, oglądała go od stóp do głowy.

— Ależ bo wystroiłeś się dziś, mój Raju! — zaczęła — jak z igły zdjęty! Czy to do staréj matki w zaloty w takich elegancyach przyjeżdżasz?

Młodzieniec skończył sprawę swą z trupią główką, wyprostował się i odpowiedział:

— Jadę na bal, moja mamciu, a przed balem znalazłem minutkę czasu i do mamci zajechałem!

— Minutkę! — żałośnie wymówiła Dyrkowa — no, cóż robić? cóż robić? dobrze i to. Ja cię nie zatrzymuję przy sobie, dziecko ty moje! Szczęście to już dla mnie, że cię przez minutkę zobaczę. A do kogóż ty na bal jedziesz?

Usiadła na stołku i wpatrywała się w syna, siedzącego na krześle, jak w tęczę.

— Dziś bal u Morskich. Nie chciałem tam jechać, bo to arystokracya wielka, a ja arystokratów cierpiéć nie mogę; ale Józio Morski gwałtem wymógł ode mnie słowo. Panna Pelagia Morska jest panną na wydaniu... rozumié mama?

Brat, jak może, ciągnie młodzież do domu...

— Rozumiem, rozumiem — z domyślnym uśmiechem odparła matka — no, a ładna-ż to panna? co — I mrugnęła filuternie ku synowi.

— Bardzo ładna! — niedbale odrzucił syn.

— A posażna? co?

Rajmund odął wargę i zdawał się namyślać.

— Morscy majętni ludzie, ale troje dzieci mają. Nie sądzę, żeby panna Pelagia więcéj posagu miała, jak trzysta tysięcy złotych.

— Trzysta tysięcy! — zawołała Dyrkowa — ależ to, lubciu, posag śliczny!

— Trzysta tysięcy! Jezu Panie! — zajęczała Ludwisia, która, na nizkiéj ławeczce swéj siedząc, z wytwornego młodzieńca oka nie spuszczała.

Rajmund uśmiechnął się.

— Cóż to znaczy! — rzucił niedbale.

Kobiety osłupiały ze zdziwienia i milczały chwilę.

Wkrótce jednak Dyrkowa zawołała:

— Ale ja sobie gadu, gadu, a zapominam, że ty, lubciu mój najmilszy, zjadł-byś co u mnie może, albo wypił...

Spojrzała na garnek, stojący u ognia, i ze zmieszaniem widoczném zaczęła:

— Kartofelkami memi częstowała-bym cię, ale nie wiem...

— Dziękuję mamci, jeść mi się nie chce...

— No, to herbatki może! Zaraz będzie! Ot już Ludwisia nastawia samowar.

— Dziękuję mamci! herbatę u Morskich pić będę. Teraz

jeszcze za wcześnie!

— Wcześnie? — zaśmiała się Dyrkowa i wstrząsać głową zaczęła — u nich jeszcze wcześnie! Dziewiąta godzina wnet wybije.

— Wnet już i spać pora! — pisnęła z za pleców Dyrkowéj Ludwisia.

— Co kraj to obyczaj! — zaśmiał się syn — mama w innym kraju żyje, a ja w innym.

— W innym! zupełnie innym! — z radością pochwyciła stara; — ale twój kraj piękniejszy od mego, jak słonko on złoty i jasny. Dość na ciebie spojrzéć żeby widziéć, jaki to kraj, w którym ty żyjesz...

Młodzieniec przebierał znowu w palcach serce, kotwicę, charta, armatkę i trupią główkę.

— Ja do mamci dziś przyjechałem — zaczął — z wiadomością i interesem...

— Z wiadomością! mówże, mów, lubciu mój! może, broń Boże, zła wiadomość jaka!

— Dobra! dobra! niech mamcia będzie spokojną! U mnie, dzięki Bogu, żadnych złych wiadomości nigdy niéma.

Wyprostował się, ręce w białych rękawiczkach na kolanach oparł, spojrzał matce w oczy i z filuternym uśmiechem przemówił:

— Niech mamcia zgadnie, jaki ja tytuł dziś dostałem?

Dyrkowa poruszyła się na stołku swym, jak gdyby na rozżarzonych węglach siedziała.

— Tytuł! jakiż to tytuł! mówże, lubcin mój, mój! takam ciekawa!

— Nazwano mię dziś Milordem — śmiejąc się niby, ale z widoczném uszczęśliwieniem, wyrzekł Rajmund.

Dyrkowa szeroko oczy otworzyła.

— Cóż to znaczy? — zapytała — co takiego Milord? urzędnik jaki, czy co?

— Milordami nazywają się wielcy panowie angielscy. Otóż mnie nazwano Milordem dlatego, że jestem podobno typem wielkiego pana angielskiego.

— Aha! to tak samo, jakby cię na ten przekład nazwano księciem albo grafem.

— A tak samo, tylko, że jeszcze lepiéj, bo angielscy wielcy panowie mają najwięcéj dynstynkcyi i, jakby to powiedzieć, najwięcéj szyku ze wszystkich wielkich panów na świecie.

— Najwięcéj szyku! no, patrzcie! jacy to ci Anglicy! wszystkie inne narody zakasowali. Ciebie tedy nazwano Milordem dlatego, że masz najwięcéj szyku?

— Ja mamie opowiem, jak to było — rzekł świeżo kreowany lord onwilski.

— Opowiedz, Raju mój! opowiedz detalicznie tylko, tak jak było!

— Widzi mama, graliśmy wczoraj w karty: ja, Józio Morski, Edzio Kolicki i Teoś Taczkiewicz... ten, co to w rządzie gubernialnym służy i mnie małpuje. Ja zrobiłem sobie czamarkę szamerowaną i on sobie zrobił taką samę; ja kupiłem od Józia dwa setery i on sobie zkądś zdobył choć jednego... Śmieszny chłopiec, ale bardzo poczciwy. Otóż graliśmy w karty, z początku w preferansa, ale potém, niechcący jakoś, zrobił się stosik... wié mamcia? na prawo i

na lewo! Byłem w humorze do grania i grać zacząłem grubo. Ale los mój nie był w humorze. Co postawię na kartę jaką dziesięć, albo dwadzieścia pięć rubli, to i przegram. Przegrałem tak rubli dwieście. No, mówię: dama pikowa, czyli brunetka, zawsze mi sprzyjająca. — Przegrałem! Józio, który bank trzymał, patrzy się na mnie, a ja nic, jakby to nie o moje pieniądze szło. — Dama karowa, czyli blondynka czuła! *Au rébours!* — Przegrałem! Józio patrzy na mnie. A ja nic. Ani brwią nic poruszyłem, Taczkienicz stał koło mnie i także przegrywał, a co przegrał, to krzyknął: Jezus Marya! albo: niech licho porwie! Rzucał się, marszczył się i karty darł ze złości. Józio spojrzał na niego i z cicha powiedział: *quel mauvais genre!* Ja to usłyszałem i pomyślałem sobie: poczekaj-żeż, pokażę ja tobie, jakim to ja *bon genre* być umiem. Ja nie Taczkiewicz! — Dama trefl czyli szatynka melancholiczna! *Wabank* z wchodem! — mówię. Przegrałem. Wyjąłem pugilares i położyłem przed Józiem ośmset pięćdziesiąt rubli. On patrzy się na mnie, a ja nic. Zanuciłem sobie: „Ujrzałem raz i kocham już!” Odszedłem od stołu i przed lustrem stanąłem. Józio wtedy wstał także, poszedł do mnie i poklepał mię po ramieniu. No — rzekł — Anglik z ciebie! — Potém zapytał się Edzia Kolickiego: prawda, że nasz Rajcio zupełnie do Anglika podobny? a Edzio odpowiedział: a prawda, włosy ma nawet takie, jak u Anglików, i angielskie faworyty nosi. Prawdziwy z niego Milord! — Od téj chwili Józio, Edzio i Teoś inaczéj nie nazywają mnie, jak Milordem; rozeszło się to już nawet po mieście i kiedy dziś przyjechałem z wizytą do pani

Kolickiéj, przywitała się ze mną: dzień dobry, Milordzie. Ażeby mamcia wiedziała, jak ona to ładnie powiedziała! Młodziutka mężateczka! kobiecina jak cukierek!

Skończył i, delikatnie rozstrzępiając palcami długie płowe swe faworyty, z pochyloną nieco głową przypatrywał się im uważnie.

Dyrkowa siedziała z miną osoby, która nie wié sama, czy cieszyć się ma, albo martwić.

— Ośmset pięćdziesiąt rubli — wymówiła nakoniec i coś jakby westchnienie pierś jéj podniosło.

Za plecami jéj ozwało się westchnienie drugie, zmieszane z cichym, osłupiałym jakby szeptem.

— Jezu Panie! za zbawienie ludzi grzesznych...

— Powiedz-że mi, mój Raju, czy ty naprawdę pieniędzy tych nic a nic nie żałowałeś...

Milord wyprostował się.

— Już to, moja mamciu, czy ja ich żałowałem, albo nie, to moja rzecz; ale, broń Boże, w dobrém towarzystwie okazywać tego żalu nie można. U nas jest prawidło takie. Człowiek z dobrém wychowaniem, choćby ostatnią koszulę przegrywał, ani brwią poruszyć nie powinien. Najwięksi panowie nawet nie zawsze mają taką moc nad sobą, ale ja mam...

Wstał i stanął w całéj okazałości postawy swéj i w całym blasku stroju, który większéj jeszcze świetności nabierał od tła izby, pełnego pierwotnéj niemal prostoty, od pierwotnie prostego ubrania staréj matki i od płomieni ogniska, które oblewały go całego złotą powodzią.

— Tak — rzekł — ja tak zawsze. Przegrywam, czy

wygrywam, wszystko jedno! Oka nie zmrużę, ręki nie poruszę, brew mi nie drgnie. Wyprostuję się, oczy przymrużę, jakby mi się spać chciało, i tak stoję. Za to téż zostałem Milordem; no, i za faworyty także, i za karosze moje zapewne, wyżły angielskie, komfort apartamentu mego, słowem: za wszystko.

— Za wszystko! — splatając ręce, jak echo powtórzyła Dyrkowa — to i chwała Bogu, że nazywają cię wielkim panem za wszystko! Tak i być powinno! Tego ja i żądałam! A teraz, Rajciu mój, mów-że mi swój interes. Wiadomość, dzięki Bogu, dobra była, jakiż to będzie interes?

— Interes nie będzie zły — odparł Milord — niech mamcia będzie łaskawa, da mi tysiąc rubli!

Dyrkowa posiadała snadź na równi z synem sztukę panowania nad sobą, bo nie objawiła niczém, aby żądanie syna złe wrażenie na niéj sprawić mogło. Oczy jéj tylko zamigotały trochę i wargi zaledwie widzialnie drgnęły. Uśmiechnęła się jednak niby filuternie i, opierając dłonie na kolanach a ku twarzy syna podnosząc wzrok niby poważny, zapytała:

— A na co tobie to pieniądze potrzebne? przyznaj się. Jeżeli na co dobrego, to dam, a jeżeli, broń Boże, na grzech jaki, to i nie dam.

— At grzech! nie grzech, ale głupstwo! Józio, Edzio i Teoś nasiedli na mnie, ażebym wieczór kawalerski wydał, niby to na to konto, że Milordem zostałem. Przyjęcie więc kosztować będzie, a przytém będziemy grać i pewnie Józiowi pożyczyć coś przyjdzie, bo on często pożycza, a odmówić mu nie wypada.

— Nie wypada, nie wypada! — potwierdziła Dyrkowa. — Bogaty panicz... odda pewnie, przytém przyjaciel twój i siostrzyczkę piękną ma...

— A czy wypada mi przyjaciołom wieczorku odmówić, kiedy napierają się go?...

Dyrkowa myślała.

— Nie wypada — rzekła po chwili, głowę z boku na bok przechylając — nie wypada...

— A czy wypada mi przy stole gry stanąć, kiedy wszyscy grać będą, nawet Taczkiewicz...

— Hm, może-by to i dobrze było, żeby tak zrobić... ale sama wiem, że tobie nie wypada...

— Widzi mamcia! niech-że więc mamcia da mi te pieniądze, bo już blizko dziewiątéj, a o wpół do dziesiątéj muszę być u Morskich, wprzódy zaś jeszcze zajadę do fryzyera, bo mi jakoś nie tęgo włosy ufryzował i poprawić je trzeba...

Przez chwilę jeszcze Dyrkowa nieruchoma na stołku swym siedziała. Zdawało się, że wstać było jéj ciężko. Wstała jednak, wzięła świecę i, milcząc, poszła do przyległéj izby. Za nią, strzępiąc palcami faworyty swe i przypatrując się im, poszedł Milord.

Nie wracali długo. Mała garbata istotka, która sama jedna na niziuchnéj ławeczce swéj w izbie pozostała, słyszała z-za drzwi przymkniętych otwieranie i zamykanie skrzyni, szepty krótkie i długie głośne pocałunki, wesoły śmiech Milorda i przyciszony, rozkoszy pełen, chychot Dyrkowéj. Wyszli nakoniec rozpromienieni oboje i coś jeszcze do siebie szepcący. Z szeptu Dyrkowéj do uszu

Ludwisi doszły słowa:

— Tak, tak, lubciu mój! pora, żebyś sobie żoneczkę wybrał, pora! mnie gwałtem wnuków, a tobie nowego zapasiku pieniążków potrzeba! Czy ty to słyszysz?

— Słyszę, mamciu, i wybiorę wkrótce; zobaczy mama, że wybiorę! tylko wprzódy majątek kupię.

Dyrkowa palcem za siebie wskazała.

— Oj! — szepnęła żałośliwie nieco — kiedy bo tam już na kupienie majątku niéma... chyba-by tyci malusi był, a tobie przecież wielkiego trzeba.

— Kamienicę tamtą sprzedam, a majątek kupię — niedbale odparł Milord i na zakończenie rozmowy rękę matki pocałował.

W téj saméj chwili otworzyły się cicho drzwi od sieni i naprzeciw rozmawiającéj pary wsunęła się naprzód mała przyćmiona latarka, a za nią szczupły, niepozorny człeczyna, w długim surducie orzechowego koloru i w staréj czapce z wykrzywionym daszkiem.

— Niech będzie pochwalony — zaczął.

— Aha! pan Andrzéj — zawołała Dyrkowa — na wieki wieków.

Andrzéj Rębski stał chwilę przy drzwiach, zdziwiony czémś widocznie.

— Cóż to dziś za illuminacya i feta u jejmości — zaczął — stearynowe świece w srebrzystych lichtarzach płoną... samowar kipi...

Nagle zamilkł i wlepił wzrok w Milorda, jakby w téj chwili obecność jego spostrzegał.

— A! — zawołał — pana i dobrodzieja mego... witam!

szacunek mój składam, do nóżek ścielę się! Prawda! toć to ekwipaż przed drzwiami stoi ze stangretem, latarniami, psami i różnemi bombartami! Powinienem był domyślić się, jakiego-to gościa imć pani Apolonia u siebie przyjmuje. Ale ja, prosty człek, około świetności tych przeszedłem, nie myśląc nad tém, kogo-to one po tym padole płaczu wożą! Pan dobrodziéj już ucieka?

Ostatnie wyrazy spowodowały poruszenie Milorda, szybko i z zasępioną nagle twarzą zmierzającego do drzwi. Nie mógł jednak ominąć gościa matki swéj, który stał przed samym progiem i rękę do niego na powitanie wyciągał.

— Niechże mam szczęście uścisnąć dłoń pana dobrodziéja! — mówił, kłaniając się.

Nagle cofnął rękę i zawołał:

— O! białe rękawiczki, a łapa moja mokra od deszczu i otarta o tę załojoną latarkę... Czy to teraz modnie wieczorami białe rękawiczki przywdziewać?

— Książę mój na bal jedzie — wesoło wtrąciła Dyrkowa.

— Aha, na bal. Czy i wyżły pańskie na bal także jadą?

Pytanie to zadał z zupełną powagą.

— Nie, — odburknął Milord — psy ze stangretem wrócą do domu.

Ze słowami temi wyszedł, a za nim podreptała Ludwisia ze świecą.

Człeczyna w orzechowéj kapocie teraz dopiero zgasił latarkę swą, zdjął z głowy czapkę i, ostrzepując ją z kropel deszczu, półgłosem mówił:

— Ze stangretem! stangret! stangret w liberyi! trzeba

będzie przyjrzéć się kiedykolwiek, jaki tam herb na liberyjnych guzikach wyryty: garnek czy makotra.

— No, siadaj-że, panie Andrzeju, siadaj i nie psuj mi humoru gderaniem swojém — ozwała się Dyrkowa — ja dziś taka szczęśliwa jestem, jakbym Panu Bogu nogi uścisnęła. Milorda mego widziałam!

— Kogo znowu? kogo? — zapytał gość, siadając przed piecem i ciemne grube dłonie swe przed ogniem wygrzewając — cóż znowu za Milord do jejmości z zielonych niw Albionu przyjeżdżał?

— Z zielonych, czy nie z zielonych, ale przyjeżdżał — odparła Dyrkowa, len do przęśnicy przymocowując i, z filuterném trochę na gościa spojrzeniem, dodała: — Gdyby pan Andrzéj nie był starym gderaczem i do chłopca mego, licho wié za co, wciąż nie czepiał się, to-bym historyą całą opowiedziała...

Widocznie było, że pałała żądzą opowiedzenia historyi o pasowaniu syna jéj na angielskiego magnata.

— Opowiadaj pani, opowiadaj? — rzekł gość — słucham obydwoma uszami i ani słówkiem nie przerwę!

Dyrkowa opowiadała, a gość słuchał z uwagą i powagą zupełną.

Andrzéj Rębski, wśród mieszczan onwilskich, pomiędzy których wmieszał się, był osobistością bardzo wydatną. Miał on w mowie i powierzchowności swéj dziwną mieszaninę grubości ze wniosłością, zgryźliwéj złośliwości z prawdziwą słodyczą. Twarz jego pociągła była, żółta, zwiędła i okryta u dołu krótkim siwiejącym zarostem.

Usta jego, wązkie i nieco wklęsłe, układały się często w

zarys złośliwéj goryczy; oczy zaś posiadały wyraz, zwykły samotnikom, długie dnie spędzającym z własnemi tylko myślami. Zamyślone to były oczy, nieruchome najczęściéj, szklistą powłoką okryte. Niekiedy z-za szklistéj powłoki téj strzelał z siwéj źrenicy błysk zapału lub gniewu, albo przeglądała głęboka, łagodna tkliwość.

Ze spojrzeniem nieruchomém, z dłońmi do ognia zwróconemi, wysłuchał on opowiadania Dyrkowéj, i dopiéro, gdy skończyła je, parsknął głośnym i długim śmiechem. Z ręki Dyrkowéj wypadło wrzeciono. Szeroko oczy otworzyła, potém oblała się rumieńcem gniewu; nie wybuchnęła jednak, jakby zmiarkowała się i, zamiast ofuknąć gościa za śmiech jego, zawołała:

— Ludko! dajże herbaty! — i dodała: — Ot, niech pan Andrzéj herbatą śmiech swój zapije. Z czego tu śmiać się? Jegomość do chłopca mego jak cierpisz coś, tak cierpisz! Ciekawam, co mu do zarzucenia masz?

Rębski przestał śmiać się, i lekceważąco skinął ręką.

— Co to już o tém gadać! Gadałem ja już o tém pani Apolonii niemało, i nic nie wygadałem. Żebym tak jeszcze piérwéj był do Onwilu przyjechał, zrobił-bym może cośkolwiek i z jejmością, i z chłopcem. Ale gdzie! jakem przyjechał, do panicza ani przystępu już nie było: cztery klasy skończył, na fortepianie grał i, we własnéj kamienicy mieszkając, rządził się, jak sam chciał... Próbowałem ci ja, próbowałem... ale...

Rzucił znowu ręką i powoli wydeklamował:

Nie siać tego pola, które źle zorane,
Nie wyuczyć dziecka, które źle chowane!

Dyrkowa zdawała się nie słuchać nawet mowy starego. Była snadź przyzwyczajoną do gderania i wyrzutów jego, i nic sobie z nich nie robiła. Z pomocą Ludki ustawiła na stole kartofle, które z powodu wizyty Milorda rozgotowały się zbytecznie, a przy samowarku i szklankach położyła bochen razowego chleba.

— Przysuń się, panie Andrzéju, do stołu, — rzekła, — będziemy jedli, pili, i o starych czasach gawędzili.

— Dziękuję, — odrzekł Rębski, — już wieczerzałem.

— Cóż pan Andrzéj na wieczerzę jadłeś?

— Jak zawsze: chleb i mleko.

— Czy to panu Andrzejowi na szklankę herbaty nie stać?

— Czemuż-by nie? ale ja od miodu już przywykłem nie dla tego żyć, aby jeść, ale dla tego jeść, aby żyć.

— Wiem, wiem, — przyjaźnie uśmiechnęła się Dyrkowa, — jegomość zawsze o tém tylko myślisz, żeby jak najwięcéj ludziom rozdać, a sam lada okruszyną obchodzisz się.

Przelewając herbatę ze szklanki do wielkiego fajansowego spodka, Dyrkowa zapytała znowu:

— Dlaczego to pan Andrzej tak późno dziś do mnie przyszedł?

— Zabakałarzyłem się z dzieciakami memi, — weseléj odparł stary, — a potém otworzyłem sobie książczynę jakąś, i tak zeszło. Był-bym dziś nawet nie przyszedł wcale, gdyby nie stare przyzwyczajenie gawędzenia co wieczór z

sąsiadką...

— Że też panu Andrzejowi chce się tak całe życie bakałarzyć z dzieciakami, — rzekła Dyrkowa.

Stary zaśmiał się z cicha ale wesoło.

— Ofiarowałem się już tak od piérwszéj młodości mojéj, — odparł, — i *votum* to spełniać będę do śmierci.

Dyrkowa ze spodkiem, pełnym herbaty, w ręku, wpatrywała się w starego takiemi oczyma, jak gdyby go piérwszy raz w życiu widziała. Po chwili rzekła:

— Choć mnie pan Andrzéj nieraz to mówił i tłómaczył, ale ja do tego czasu zrozumiéć nie mogę, jakim sposobem obywatelski syn, panicz, mógł sobie takie życie obrać... Toż ja pamiętam, jak jegomość w sąsiedztwo nasze, do téj wiejskiéj szkółki, przyjechałeś. Młody byłeś, nieubogi i uczony podobno, a między chłopami osiadłeś, ażeby dzieci ich nauczać. I tam już byłeś póty, póki było można, a jak już nie było można, przyjechałeś do miasta i mieszczańskie znowu dzieci uczysz... Oj! panie Andrzeju! Jegomość albo święty jesteś, albo, z przeproszeniem, waryat...

Rębski zaśmiał się znowu, ręką machnął i odrzekł.

— Ani ja święty, ani ja waryat, tylko człowiek, i mam w sobie ludzkie myśli, chęci i uczucia. Kiedy młody byłem, miałem towarzyszy, takich samych jak ja. Szlachcicami byliśmy wszyscy, nieubodzy i z trochą nauki w głowie. A kiedy przyszło nam w świat wyruszyć, zapytaliśmy się siebie: co my na świecie robić będziem? A potém: co téż na świecie najpilniejszego jest do roboty? I rozeszliśmy się po kraju, ażeby powinność naszę pełnić. Taki był wtedy duch czasu, takie ambicye i żądania rosły w sercach

młodzieńców. Ślubowaliśmy sobie miłość dla ludzkości cierpiącéj, a srogość dla samych siebie. Srogość i czystość! Jedni dotrzymali ślubów swych po koniec życia, drudzy łamali je piérwéj czy późniéj; ale powiadam ja jejmości, że ci nawet, którzy przez ułomność natury ludzkiéj złamali je, szczęśliwi byli, bo raz w życiu przynajmniéj w sercu swém Boga mieli, i raz chociaż świeciło przed nimi słońce wielkiego celu.

Mówiąc to, rozgrzał się stary i uniósł. Wyprostował się i oczy jego błysnęły gorąco pod siwemi brwiami.

Mówił-by tak dłużéj jeszcze, ale Dyrkowa, która, ze spodkiem do ust przytkniętym, wlepiała w niego wzrok na-pół zdziwiony, na-pół rozrzewniony, przerwała:

— Mój panie Andrzeju! Jegomość jesteś poczciwym człowiekiem, i to, co robisz dla ludzi, z dobrego serca płynie; ależ nie wszyscy ludzie w świecie na jeden stworzeni manier. Jeden idzie sobie tędy, a drugi tamtędy. Pan Andrzéj poszedł sobie jedną drogą, a mój chłopiec drugą... i co to komu szkodzić może?

Rębski nie odpowiedział. Zamyślony głęboko, drobnym prędkim krokiem chodził wciąż po izbie. Siadł potém na poprzedniém miejscu przed ogniem i, zwracając do Dyrkowéj twarz, filuternie nieco uśmiechniętą, rzekł:

— Ja i panią Apolonią chciałem na moję drogę wprowadzić, i razem po niéj z jejmością iść... nie chciałaś !...

Dyrkowa zaśmiała się.

— Co tam o tém wspominać! Ledwo mię raz matka do miasta zawiozła, poznałam mego Mateusza i rozmiłowałam

się w nim na śmierć. A u mnie już taka natura, że jak kogo kocham, to za nim choćby w przepaść polecę, i reszty świata ani już zobaczę.

— Musiałaś pani Apolonia istotnie Mateusza Dyrkę kochać bardzo, — żartobliwie zauważył Rębski, — kiedy dla niego, mieszczanina, odmówiłaś mnie, szlachcicowi i obywatelskiemu synowi...

— A jużci! wolała-bym była pewnie za szlachcica wyjść... ot, i milord mój byłby teraz szlachcicem... ale cóż robić? „Serce nie sługa, nie zna, co to pany, nie da się okuć w złociste kajdany.”

Wiersze te nie wypowiedziała, ale z lekka zanuciła.

Rębski patrzał na nią z uśmiechem.

— A czy pani Apolonia, — zaczął, — pamięta jeszcze trochę młyn ojcowski i swoje rodzinne strony?

— I jak jeszcze pamiętam! Jakże-bym nie pamiętać mogła?

I zanuciła znowu:

Miła strona ta poranna,
Gdzie słoneczko wschodzi;
Ale milsza ta każdemu,
Gdzie się kto urodzi.

Rębski wstrząsnął głową, uśmiechnął się i nie zanucił wprawdzie, lecz dźwięczniejszym, niż mówił wprzódy, głosem, piosnkę dokończył:

Bodaj się świeciła
Ta rodzinna strona;

Miła ona, miła.
Jak wiosna zielona!

Dyrkowa skończyła pić herbatę, przesiadła się na stołek swój przy ogniu, i wrzeciono w rękę ujęła. Ogień dogasał i błękitnemi płomykami strzelał nad czerwonym żarem. Ludka drzemała w kącie izby na ławie; w ciszy głębokiéj, słychać było znowu za oknami szum drzew i pluskanie dészczu. Starzy ludzie, siedzący przed piecem, rozmawiali o dawnych czasach, o wiosce dalekiéj, zielonych łąkach jéj, brzozowych, gajach, o wodzie, która u stóp wielkiego młyna płynęła bystrym strumieniem i z warczących kół zbiegała spieniona, śnieżna i szumiąca; o ogrodzie za młynem, w którym ładna córka młynarska, śpiewając od świtu do nocy, pełła len i warzywo, sadziła nagietki i maki.

— Czy panu Andrzejowi nie tęskno czasem do wioski rodzinnéj? — zapytała Dyrkowa.

Rębski nie odpowiadał przez chwilę.

— Moja pani Apolonio, — rzekł potém, — kto to zliczyć i opowiedzieć może wszystkie smutki i tęsknoty takiego, jak ja, samotnika! Rodzinna wioska moja daleko za mną została, a w miejskiéj chałupie mojéj pusto i bezludnie. Cudze tylko dzieci przychodzą do niéj...

Milczeli chwilę, potém Dyrkowa ozwała się znowu:

— Bo co ja, to przyznam się panu Andrzejowi, że za niczém nie tęsknię. Wspominać sobie to i owo lubię, ale do domu mężowskiego przyrosłam ciałem i duszą. Każdy kąt mnie tu miły i taki znajomy, że z każdym długie rozmowy prowadzić-bym mogła. Czy wié pan Andrzéj, że chciała-

bym czasem, ot, tym ścianom dziękować i całować je za to, że pod ich osłoną dwadzieścia lat z Mateuszem moim w szczęściu i zgodnie przeżyłam, a Rajmundka mego urodziłam i wyhodowałam... Drogie mi te ściany, drogie bardzo, a wszystko, co w nich jest, sprzęcik każdy i czerepek, przyjacielem moim się zdaje...

Umilkła, w zamyśleniu wodziła wzrokiem po ścianach mrocznych i półkach, zastawionych garncarskiemi wyrobami, a obracając wciąż w palcach wrzeciono, czystym, dźwięcznym i silnym jeszcze głosem, na nutę smętną nieco i przewlokłą, śpiewać zaczęła:

Dziękowała brzózka biała
Zaciszu leśnemu:
Oj jakże ja wydziękuję
Ustronkowi twemu!

*
* *

Dziękowała wiochna mała
Swojéj wiosce miłéj:
Twoje strzechy i uciechy
Bodaj się święciły.

Śpiewała-by może dłużéj jeszcze, ale Ludka, śpiewaniem jéj obudzona, wyprostowała się na ławie i, przecierając senne oczy, przeraźliwie piskliwym dyskantem nagle zawiodła:

— Dobranoc o Jezu! dla miłości twojéj...

Rębski, który głębokim wzrokiem swym wpatrywał się w sine płomyki ognia, drgnął, jak ze snu zbudzony.

Dyrkowa zaśmiała się głośno i wesoło.

— Ot, — zawołała, — Ludka, mimochcąc, nauczkę mnie dała. Ja tu sobie światowe rozmowy z panem Andrzejem wiodę i piosenki świeckie wyśpiewuję, a godzina późna już i pora wielka Boga za dzień przeżyty podziękować... a jeszcze i szczęśliwy taki dzień!... Rajmundka mego widziałam...

Wstała ze stołka i nagle, w ręce klasnęła.

— O Matko Najświętsza! — zawołała, — wszakże to świeca stearynowa pali się i pali cały wieczór... a ja i zapomniałam zgasić...

— To tak z radości, że synalka jejmość zobaczyłaś, — mruknął Rębski, do wyjścia zbierając się i świeczkę w latarce swéj zapalając.

— A że z radości, to z radości, zbytku takiego dopuściłam się. Świeca stearynowa piętnaście groszy kosztuje... Książę mój miał-by za to papierosików kilka, albo, dołożywszy, kupił-by cukierków dla panienki jakiéj...

Rębski, który był już blizko drzwi, odwrócił się, dziwnym wzrokiem na kobietę popatrzał, i mruknąwszy: „dobranoc”, wyszedł. Dyrkowa Ludce spać iść kazała, ognisko zgasiła sama i, z ogarkiem łojowéj świecy idąc do przyległéj izby, litanją do Matki Bozkiéj półgłosem mówić zaczęła. Za każdym razem, gdy wymawiać jéj przychodziło: „módl się za nami”, mimowoli zupełnie mówiła: „módl się za nim!” Chciała widocznie stosować się do textu modlitwy, ale usta jéj nie słuchały. W przyległéj izbie wątłe światełko ogarka zgasło bardzo prędko, a w ciemności długo jeszcze głos zniżony, lub błagalny, szemrał

i wzdychał:

— Wieżo z kości słoniowéj, módl się za nim! Gwiazdo zaranna, módl się za nim! Furto niebieska, módl się za nim!

Potém i modlitwa staréj matki umilkła, a gdy zegar wybił dziesięć, cisza zupełna panowała w starém domowstwie, zagłębioném śród staréj, poważnéj, milczącéj dzielnicy onwilskich mieszczan. Czasem tylko, niby grzmot przerywany i oddalony bardzo, zahuczał turkot odległych ulic, koty gdzieś żałośliwie zajęczały na dachach, albo deszcz głośniéj plusnął i wiatr zaszumiał silniéj w drzewach ogrodu...

Z obrazem tym ciszy, snu i ciemności, jaskrawą sprzeczność stanowiły środkowe, szerokie i ludne, ulice miasta. Tu życie wrzało jeszcze w całéj pełni, latarnie i okna sklepów oblewały potokami światła chodniki, po których ze szmerem, podobnym do szumu wody, sunęły roje przechodniów.

Jedném z najszerszych i najrzęsiściéj oświetlonych okien sklepowych, było okno fryzyera, ulubieńca, a nawet powiernika złotéj młodzieży onwilskiéj. W oknie tém, wśród połyskujących i symetrycznie ustawionych flakonów z perfumami, słoiczków z pomadami, grzebieni, szczotek i mydełek, owiniętych w papiery, ozdobione bukietami róż i fijołków, pod światłem czterech lamp kulistych, okręcała się ze sztywną powagą duża lalka woskowa z czarnemi lokami, opływającemi przód atłasowego stanika i szyję, zdobną w fałszywe perły. Uliczne wyrostki, a niekiedy i dorośli gamonie miejscy przystawali przed oknem tém, i z roztwartemi usty przypatrywali się lalce fryzyerskiéj, która

ukazywała im z kolei to warkocze, kunsztownie osłaniające tył jéj głowy, to znowu twarz woskową, zmizdrzoną ckliwym uśmiechem i sztywnie patrzącą szklanemi oczyma. Tuż obok były drzwi szerokie, na-pół szklane, a za niemi rozlegały się donośnie męzkie rozmowy i śmiechy.

Na wieży poblizkiego kościoła zegar uderzył dziewiątą godzinę — była to właśnie chwila, w któréj Apolonia Dyrkowa, zgasiwszy ogarek łojowéj świecy, rozbierała się w ciemności i szeptała z westchnieniem: „módl się za nim!” — gdy z trzaskiem rozwarły się drzwi fryzyerskiego zakładu, ostre dzwonienie przywiązanego do nich dzwonka wpadło w turkot i gwar ulicy, zabrzmiał chóralny śmiech kilku młodych męzkich głosów i, nad chodnikiem, z rozwianém swém futrem niedźwiedziem, stanął Milord.

— Grzegorz! podawaj! — zawołał.

I, zwracając się do stojących za nim kilku młodych ludzi, zapytał:

— Kto z was jedzie ze mną? Dwóch zabrać mogę!

Odpowiedź towarzyszy zgłuszoną była turkotem podjeżdżającego powoziku i szczekaniem skaczących przy nim psów.

Wtém Milord uczuł, że ktoś pociąga go za połę niedźwiedziéj szuby. Spuścił wzrok i ujrzał stojącą przed sobą dziewczynkę, dziesięcio-letnią może, z malutkiém dzieckiem na ręku. Stała w świetle lamp, zdobiących okno, łachmanami okryta, z dziecinną twarzą wychudłą i żółtą, i wielkiemi, zapadłemi, czarnemi oczyma, wzmesionemi ku twarzy świetnego młodzieńca. Dziecię, które trzymała na ręku, niewidzialne prawie było śród okrywających je

łachmanów.

— Czego chcesz? — z roztargnieniem, lecz łagodnie, zawołał Milord.

— Grosika! — szepnęła dziewczynka.

— Chodź, Milordzie! chodź-że: — wołali towarzysze Milorda, stojący już przy drzwiczkach powozu. Ale Milord sięgnął ręką do kieszeni, wydobył z niéj niezmiernie elegancką, niewieściemi snadź paluszkami urobioną, sakiewkę, i położył na małéj, wyciągniętéj ku niemu, dłoni parę srebrnych monet.

— Milordzie! spóźnimy się! już i tak spóźniliśmy się srodze! — wołali towarzysze.

Ale Milord zapytywał dziewczynkę w łachmanach.

— Jakież to dziecko nosisz?

— Braciszek, — odpowiedziała z cicha.

— Milordzie! Milordzie! bój się Boga! opuścisz piérwszego mazura!

Milord jednym skokiem był już na stopniu powozu.

— Piérwszego mazura z panną Pelagią tańczę — zawołał.

— Szczęśliwcze! — odpowiedziało parę głosów.

— Z kopyta! — krzyknął Milord do woźnicy.

Od wczesnéj wiosny do późnéj jesieni, ile razy wschodzące słońce zaiskrzyło skraj widnokręgu rąbkiem złotym i różowym, tyle razy w wązkich drzwiach murowanéj oficyny stawała kobieta wysoka i silna, w samodziałowéj sinéj spódnicy, w grubém obuwiu, z białą chustką na siwych włosach. Stawała na progu, wiodła wzrokiem po niebie, z którego zsuwały się lotne mgły

nocne, po czyściutkim bruku dziedzińca, po szaréj, długiéj i zamkniętéj jeszcze budowie, w któréj mieścił się warsztat sąsiada stolarza i, uśmiechając się przywiędłemi usty, mówiła z cicha:

— Ot i znowu dzionek Boży! — Szła ku fórtce ogrodowéj, otwierającéj się w prostym, lecz porządnym płocie, a idąc, oglądała się niekiedy na okna mieszkania swego, za których staremi szybami i drewnianemi kratami błyskać poczęły piérwsze iskry rozpalonego ogniska, i na framugę u szczytu drzwi wchodowych, w któréj głębi majaczyły, w szarém jeszcze świetle, jaskrawe barwy i złociste ozdoby świętego obrazu.

Ogród był obszernym i gęsto zarosłym. Agrestowe i malinowe krzaki rosły tu gęstwiną nieprzenikniona, wąziuchne białe ścieżki znaczyły wielkie kwadraty, napełnione rozłożystemi drzewami śliw, grusz i jabłoni, a śród drzew ciągnęły się długie zagony z warzywem. Dokoła płotu rosły kolczate berberysy i głogi, bzy koralowe wyrastały w cieniste drzewka, gdzieś w głębi bujała wysoka, zabłąkana śród agrestów, brzózka z korą białą; pod ścianą oficyny na kilku kląbach, rzniętych w kółka i esiki, kwitły narcyzy, tulipany, piwonie, a potém nasturcye, nagietki i astry. Było téż tam niemało słoneczników, podnoszących nad gęstą zieleń ogromne swe, żółte i płaskie oblicza, po wyschłych tyczkach wiły się fasole i cukrowe grochy, kręte łodygi ogórków uścielały ziemię szorstkiemi liśćmi, maki kwitły czerwono i biało, dynie ogromne zalegały miedze, i pękate, złociste, zdawały się z rozkoszą wygrzewać na jesienném słońcu.

Ogród ten przedstawiał typ mieszczańskich ogrodów. Nie było w nim ozdobności ni elegancyi żadnéj, ale znamionowały go obfitość, przemyślność i ład. Znać tu było na każdym kroku zapobiegliwą i praktyczną myśl o codziennych domowych potrzebach, chęć i umiejętność wyzyskania najmniejszéj piędzi gruntu, z trudem odebranego ulicom i domowstwom. Znać tu jeszcze było stare dzieje rodziny, któréj pokolenie każde zasadzało coś, zasiewało, wkopywało się coraz głębiéj w łono ziemi, użyźniając ją, i coraz nowemi zasilając sokami.

Mieszczanie ci miłowali snadź gorąco posiadłość tę, spadającą z ojców na synów, i wlewali w nią wszystkie krople potu, pozostałe im po opuszczeniu upalnych pracowni, w których lepili i wypalali garnki swe i misy. Ogród ten był zbytkiem ich i chlubą, cieniem w upały, świeżym powiewem w wieczory dni znojnych, miejscem, w którém lubili spożyć owoc soczysty, lub wzrok nacieszyć kwiatem, błyszczącym poranną rosą, w którém na uczczenie dni uroczystych, stawiali pod jabłoniami i koralowemi bzami stoły i stołki, i w odświętnych kapotach częstowali sąsiadów „czém chata bogata”. Był on im może jeszcze, ten kawałek ziemi zielonéj i kwitnącéj, źródłem, z którego wytrysła niejedna pociecha w serdeczném strapieniu, i niejedno poczciwe natchnienie; bo dziwna jest ta miłość, wiążąca człowieka z gruntem, na którym żyli i pracowali ojcowie jego, ta poezya, wiejąca od drzew, krzaków i traw, złoconych w słońcu a srebrzonych w rosie, i ta duma, która podnosi czoło jego, gdy stopami swemi depce on choćby małą piędź ziemi — własnéj.

Apolonia Dyrkowa wchodziła do ogrodu i zanurzała się w tę masę zieleni, owianéj białawą mgłą i nieruchoméj tak, jakby jeszcze uśpioną była. Na niebie, w powietrzu i na widniejących z za płotu dziedzińcach sąsiednich domowstw cicho było zupełnie. We mgle białéj stara kobieta chodziła zwolna po ścieżkach ogrodu, pochylała się nad krzakami, stawała przy drzewach, tu odginała i prostowała gałęzie, tam z podniesionemi rękoma rozpatrywała liście, tam jeszcze podpierała coś, wiązała, nożyczkami, które u pasa jéj wisiały, cięła, i niekiedy, z niezadowoleniem czy zadumą, głową wstrząsała.

Z krzakami i drzewami wiodła ciche rozmowy.

— Aha! — szeptała do krzewu jednego, — już i przekwitłeś! no dobrze! dobrze! zaraz mi tu jagódkami osypiesz się, jak koralami! — A do drzewa mówiła markotnie: — czy nie myślisz ty tylko usychać? Coś w tym roku listków mało masz, a na owoce ani ci się zbiera.

Na robaki, obsiadające listowie, gniewała się bardzo, zbierała je i strząsała z gałęzi.

— Przez was, — szeptała, — listki dziurawe robią się, jak rzeszota, i drzewa smutnieją. — Jednak litowała się i nad robakami. — Stworzył was Pan Bóg przecie! Żyjecie tedy i żywić się potrzebujecie, jak stworzenie wszelkie, a tu zabijają was i niszczą! biedne wy.

Żaden najbieglejszy ogrodnik nie opatrzył-by staranniéj ogrodu swego, nie oczyścił-by i nie ponaprawiał w nim wszystkiego umiejętniéj i gorliwiéj jak to uczyniła Dyrkowa w téj przedporannéj porze dnia.

Tymczasem złoty rąbek nieboskłonu rozszerzał się coraz,

w powietrzu przelatywały chłodne powiewy i rozdzierały białą mgłę, która przezroczystemi szmatami uciekała z nad ziemi, a wieszała się po szczytach drzew; w gałęziach przebiegały drżenia i szmery, i ptaki odzywały się cichemi, urywanemi głosy; na niebie szare szmaty obłoków uciekały coraz prędzéj w stronę zachodu.

Nagle, z za ścian sąsiednich domowstw strzelał blask wielki; dachy, kominy i szczyty drzew stawały całe w żółto-różowéj łunie, po czystym błękicie nieba rozlatywały się roje iskier, ostatki mgieł nocnych znikały bez śladu, trawy i liście błyskały brylantową rosą, a ptaki podnosiły wrzawę ogłuszającą. Wtedy stara kobieta, stojąca wśród zagonów, z nogami zanurzonemi w wilgotnych trawach, podnosiła twarz, zarumienioną od porannego chłodu, wodziła wzrokiem po niebie, szczytach drzew i dachach sąsiednich, uśmiechała się chwilę w milczeniu, a potém silnym, czystym, dźwięcznym głosem zawodziła: „Kiedy ranne wstają zorze...”

Jakby echa, odpowiadające śpiewowi jéj, odrywały się wnet dokoła odgłosy różne. Ze stukiem roztwierało się wychodzące na ogród okno sąsiada, stolarza, a za oknem tém basowy głos męzki łączył się z głosem Dyrkowéj, z zapałem śpiewając: „Tobie ziomia, Tobie morze;” za płotem, przedzielającym ogród z dziedzińcem sąsiednim, cienki i przenikliwy głosik kobiecy zawodzić poczynał: „Tobie śpiewa żywioł wszelki” i pieśń nabożna biegła tak po przyległych ogrodach i dziedzińcach, wywołując śród nich coraz liczniejsze echa, aż gdy rozbrzmiewał ostatni głos strofy, śpiewany już przez chór ludzi, rozrzuconych i

niewidzących się wzajem, tu i owdzie wybuchały srebrzyste szczebioty i chichoty dzieci, kury gdakać zaczynały rozgłośnie, i stada gołębi, wypuszczonych z miejsc noclegu, wzbijały się w złote powietrze, wysoko nad obłoki, dziedzińce i dachy.

Z okna, wychodzącego na ogród, wychylała się młoda i ładna kobiéta, w nocnym czepku na płowych włosach i z wielką miotłą w ręku.

— Pani gospodyni — wołała, — zawsze jak ptaszyna budzi z rana sąsiadów śpiewaniem swojém! Bóg-że zapłać! Ludziom weseléj na świat Boży spojrzéć, gdy piękne śpiewanie ze snu ich obudzi!

Dyrkowa siadywała już w chwilach owych śród krzaków lub na zagonach, jagody obrywała, albo warzywo pełła. Na głos sąsiadki podnosiła głowę i odkrzykiwała:

— Dzionek pięknie zaświtał, pani majstrowo. Spać już nie czas, ale, Boga pieśnią pochwaliwszy, do roboty brać się!

I, śpiewając daléj pieśń poranną, a po skończeniu jéj rozpoczynając inną, napełniała jagodami fartuch i kosze, sadziła lub pełła warzywo, a czasem kopała ziemię w zagony, albo ścieżki gratowała, albo, chodząc dokoła klombików, z blaszaną konwią w ręku, skromne kwiaty swe podlewała.

Sąsiadka, w głębi mieszkania swego, krzątając się około gospodarskich zajęć, często jednak wychylała się przez okno, aby jedno, drugie słowo rzucić gospodyni, pracującéj w głębi ogrodu; ta śpiewanie przerywała i odpowiadała, a że były z dala od siebie, podnosić musiały głosy i

wykrzykiwać wyraz każdy. Gawędziły tak, czasem śpiewały razem, czasem też basowy głos stolarza mieszał się z dzwoniącemi głosami kobiet, i trwało tak dopóty, aż przygarbiona mała Ludka, stojąc w fórtce ogrodu, oznajmiła Dyrkowéj, że śniadanie już zgotowane. Wtedy stara kobieta opuszczała ogród, a zaledwie ukazywała się na dziedzińcu, wnet, wyciągając się leniwie, dążyć ku niéj zaczynał wielki brytan, kudłaty i czarny, żółty kotek złaził po rynnie z dachu i z cichém miauczeniem ocierał się o nogi jéj i spódnicę, z gdakaniem głośném zbierały się ku niéj z różnych stron dziedzińca kury tłuste i czubate, i kilka par gołębi, bijąc skrzydłami, krążyło nad jéj głową. Głaskała psa, przemawiała do kota, gderała na kury, a ku gołębiom spoglądając mrużącemi się od światła oczyma, wołała: *dyś! dyś! dyś!* Potém wchodziła do sieni, a za nią wchodziły: pies, kot i kury i wlatywały gołębie.

Niekiedy, wnet po wschodzie słońca, wchodziła na dziedziniec gromadka robotnic, które Dyrkowa do pomocy sobie najmowała. Wtedy spotykała je ona wesołém pozdrowieniem, wiodła do swego zielonego państwa i na czele ich stawała z rydlem, koszem albo konwią w ręku. Kopały, zbierały, podlewały i pełły a w ogrodzie rozlegał się nieustannie dźwięczny i donośny głos Dyrkowéj. Pracowała, jak żadna z jéj pomocnic, a wciąż gawędziła, opowiadając historyą każdego drzewa, zalety i wady każdego krzewu, naturę każdéj niemal trawki. Znała się też na tém. Prawiła o roślinności, jak najdoświadczeńszy ogrodnik. Często też śpiewała. Gdy była młodą, sąsiedzi przezwali ją skowronkiem. Teraz mawiali o niéj: oto

śpiewająca starowina! I przepadali wszyscy za jéj śpiewami, od poważnych majstrów zaczynając, którzy utrzymywali, że robota lepiéj im idzie, kiedy pani Dyrkowa w swoim ogrodzie śpiewa, do dziatwy z sąsiednich dziedzińców, która garnirowała płot wychylającemi się z za niego pyzatemi i murzatemi główkami, i najemnych robotnic, które, chichocąc i wzdychając naprzemian, uczyły się od niéj pieśni i przyśpiewków różnych.

Gdy tylko dnia którego Dyrkowa zapomniała o śpiewaniu, wnet z otwartego okna stolarzowéj, z którego dziedzińca sąsiedniego, z za płotu, czy ściany jakiéj, głos jakiś wołał do niéj: co téż to dziś pani gospodyni cicha taka? markotnaś pani, czy chora?

— Ani markotna, ani chora, dzięki Bogu — odkrzykiwała — a czegóż markotną mam być?... Rajek mój zdrów i szczęśliwy, i w ogródku wszystko dobrze. Ot jeżeli tak chcecie, to pośpiewam sobie.

I zawodziła. I na okoliczność każdą, na każdą porę roku i dnia miała inne coraz piosenki. Jeżeli to było wczesnym porankiem, śpiewała:

Na ranném niebie
Miesiączek biały,
Ze stróży nocnéj
Schodzi ospały.

*
* *

Bystre słoneczko
Wzeszło nad górki,

A deszczyk rosił
Z majowéj chmurki.

Gdy deszcz wiosenny padał, stała pod nim niewzruszenie i z siwą głową, zroszoną bujnemi kroplami, zaczynała:

A deszczyk szemrze
W pola dąbrowy;
Idę ja, idę,
Deszczyk majowy.

*
* *

Roszę pszeniczkę.
Drzewo i ziele,
Weselę pola,
Sady weselę.

*
* *

Zielenię, kwitnę,
Pachnę przyjemnie,
Niéma nade mnie,
Niéma nade mnie.

Czasem, spoglądając na prawdziwe stada ptasząt, które napełniały ogród jéj, śpiewały, gruchały i w gąszczy zielonéj fruwały, zdawała się lotowi ich przyśpiewywać:

Leci stado gołąbeczków,
Z niemi przepióreczka,
Przyleciały i wleciały
W chłód do ogródeczka.

A o zachodzie słońca przeciągle i smętnie nuciła:

Zachodź słońce,
Zachodź lśniące,
Złocistą koroną,
Za dębinę,
Za leszczynę,
Za paproć zieloną.

Tak schodziły Dyrkowéj wiosny i lata; w jesieni i zimie miała ona pełno zatrudnień innych: przędła, tkała, chleb miesiła, fasole łuszczyła, zioła suszyła i leczyła niemi sąsiadów i sąsiadki. Rozdając przychodzącym do niéj garsteczki suszonych kalin, róży, czombru, brunetki, tysiączniku i t. d., leczyła od słabości i bólów przeróżnych, przytém rozdawała téż i jałmużny częste pod postacią kromek chleba, garstek krup i mąki, mis gorącéj strawy, szmat staréj odzieży.

Co do jałmużny pieniężnéj, téj nie dawała nigdy nikomu. Zdawało się, że żadna siła ludzka nie zdołała-by wydrzeć u niéj grosza, który raz wpadł do rąk jéj.

A grosze nie wpadały do rąk jéj, ale sypały się obficie. Sprzedawała plony ogrodu swego i wyroby rąk swoich: nici, płótna, dywaniki, które tkać umiała prędko i wcale smakownie, sprzedawała jeszcze jaja, kurczęta, gołębie młode i nasiona ogrodowe, a biorąc do ręki otrzymywane za to wszystko pieniądze, mówiła zawsze:

— To dla Rajka mego!

I szła do sypialnéj izby swéj, gdzie słychać ją było otwierającą i zamykającą ciężkie wieko skrzyni. Ludzie

mawiali o niéj, że kuje pieniądze. Kuła istotnie, zbierała skrzętnie groszyki najmniejsze i chowała je, a gdy raz schowała, nikt już, oprócz Milorda, wywołać ich nie mógł na światło dzienne.

Pomimo to, czyniła ludziom dobrego niemało, a ile razy dziękowano jej, mówiła zawsze: pomódlcie się za syna mego! Jeżeli ktokolwiek ją zapytał, o co mianowicie prosić dla niego u Boga trzeba było, odpowiadała: „O cóżby, jeżeli nie o zdrowie i długie życie! Niczego więcéj mu nie potrzeba, niczego! Piękny on jak królewicz, dobry jak anioł, a miłość ludzką wielką ma, o! wielką. Niech więc tylko zdrów będzie i żyje długo!”

— I niech sobie żonkę piękną i posażną znajdzie! — dodawali niektórzy.

Na słowa te, twarz staréj stawała cała w blaskach radości.

— Oj! to, to, to! — wołała — oj, żeby znalazł! już-bym wtedy oczy swoje spokojnie i z ochotą do snu wiecznego zamknęła!

W życiu tém pracowitém były i dnie uroczyste, i chwile wielkich radości. W niedziele i święta zawieszały się w starém domowstwie roboty wszelkie. W wielkich sklepionych izbach, czyściuteńko wymiecionych i oprzątniętych, Dyrkowa stawała z rana na stołku, umieszczonym na ławie, i własnoręcznie, cienką ściereczką, czyściła wyroby garncarskie, które napełniały półkę, dokoła izbę oblegającą. Przesuwała się ze stołkiem swym coraz daléj, ocierała, opylała, dmuchała, a do każdego ze starych czerepów przemawiała z cicha w ten sam sposób, w jaki

rozmawiała z drzewami i krzakami ogrodu.

Potém przywdziewała strój odświętny, złożony z czarnéj lustrynowéj sukni i wielkiego czepca z barwistemi wstęgami, a w zimie jeszcze z dostatniéj szuby futrzanéj, i z ogromną księgą do nabożeństwa w ręce, szła do kościoła. Wracała ztamtąd uradowana zawsze i ożywiona bardzo. — Tom się już dziś wymodliła za Rajmundka mego, wymodliła! — mawiała. Pomimo wyrazu zadowolenia, twarz jéj i oczy miewały wtedy na sobie ślady łez. Przy śpiewach księży i brzmieniu organów, modliła się snadź za syna z rzęsistemi łzami.

Nad wieczór schodziło się do niéj sąsiadek kilka. Ustawiała im wieczerzę, złożoną przeważnie z przerobu płodów gospodarstwa domowego, i gwarzyła; sąsiadki, chcąc się jéj przypodobać, najczęściéj téż z ciekawości i szczerego zachwytu, rozpytywały się ją o syna jéj, żyjącego na wielkim świście. Wtedy Dyrkowa opowiadała biografią księcia swego od pierwszéj chwili jego urodzin i słowa, jak potok, z ust jéj płynęły.

Był to dla niéj dzień prawdziwie uroczysty, gdy z rana mogła wymodlić się za syna, a wieczorem wygadać się o nim z sąsiadkami. Ale chwilami wielkiéj radości były te chwile, w których on sam do niéj przyjeżdżał. A ile razy przyjechał, tyle razy czémś nowém zachwycił ją i uszczęśliwił.

Jakże cieszyła się, kiedy po raz piérwszy przybył powozem i końmi własnemi! Jakże oglądała go ze stron wszystkich, gdy stanął przed nią w owém *sortie de l’hôpital!* Klasnęła w dłonie i pięć minut wstrząsała głową z

podziwu, kiedy powozik jego wpadł raz w wieczór na dziedziniec, poprzedzony przez kozaczka, jadącego na bułanym kucyku i świecącego szeroko rozpaloną pochodnią. Prawda, że na widok kozaczka tego, cwałującego wieczorami z pochodnią przed powozikiem Milorda, wszyscy mieszkańcy Onwilu otwierali ze zdziwieniem oczy i usta. Był to bowiem pomysł wcale oryginalny, choć nie jedyny, na jaki w porze téj najwyższego blasku swego zdobył się Milord. Wszystkie zaś na tém polu, bądź własne pomysły, bądź wyborne naśladownictwa jego, wprawiały starą kobietę, która życie swe pędziła w głębi mieszczańskiéj dzielnicy, w uniesienia, pełne klaskania rąk, stłumionych chichotów, rumieńców, które tryskały na czerstwe policzki i iskier, które rozpłomieniały łagodne i kochające jéj oczy.

Raz tylko przelękła się i zmartwiła srodze. Było to wtedy, gdy Milord wyjął z kieszeni ową wizytową kartę z czarnym dyabełkiem, unoszącym na przepasce swéj imię i nazwisko jego, i z filuternym uśmiechem pokazał ją matce. Dyrkowa zbladła, przeżegnała się szybko, a potém z nieśmiałością pewną prosić zaczęła syna, ażeby strasznych tych wizerunków dyabelskich przy sobie nie nosił.

Milord żartował z razu z trwogi matki, przekonywając ją o niewinności wizerunków tych, aż nakoniec żądanie jéj spełnić przyrzekł. Dodać należy, że słowa dotrzymał, choć z ciężkością przyszło mu to zapewne, bo nie nacieszył się był jeszcze nowością tą, modną naówczas w saméj nawet Warszawie. Ztąd wnosić można, że Milord miał dla matki swéj uczucie pewne szacunku i przywiązania. Istotnie, w

pocałunkach, które składał na jéj rękach, było ciepło serdeczne; czasem znów wpatrywał się w nią długo swemi pięknemi oczyma, zupełnie do oczu jéj podobnemi, i ogarniała go snadź wtedy tkliwość czy wdzięczność, bo chwytał ręce jéj, pochylał się ku niéj i mówił z cicha:

— Moja dobra, złota, kochana mamciu!

Nikt opowiedzieć nie zdoła, jak szczęśliwą w chwilach owych była Dyrkowa. Chwile te dawały jéj tak wysokie wyobrażenie o sercu syna, że nazywać go zaczęła nietylko już księciem, ale jeszcze aniołem.

Cóż dopiero, gdy dowiedziała się o tém, że spełnia on téż niekiedy dobre uczynki. Marylka, sierota po ojcu złodzieju i matce pijaczce, dziewczynina blada, wychudła i czarnooka, która, chodząc po ulicach Onwilu, żebrała z malutkim braciszkiem na ręku, opowiedziała jéj ranka pewnego, jak to syn jéj daje jéj od czasu do czasu srebrną złotówkę lub czterdziestkę. Opowiedziała, że widuje go często, wychodzącego od fryzyera, gdzie-to ta piękna lalka kreci się w oknie, albo w bramach wielkich kamienic, gdy przyjeżdża on tam do znajomych, i wtedy prosi go o jałmużnę, a daje jéj zawsze grosik srebny, a jeszcze czasem i dobrém słowem do niéj przemawia. Kiedy mała Marylka cichym od osłabienia głosem wszystko to opowiadała, Dyrkowa wznosiła w górę oczy i szeptała:

— Anioł mój! oto prawdziwy anioł.

Ona sama żywiła téż często Marylkę, a nawet przywdziewała ją w szmaty szaréj odzieży, jednak nie miała tego sobie za cnotę ni zasługę żadną. Lecz gdy dowiedziała się, że syn jéj od czasu do czasu rzuca biednemu dziecku

okruchę zbytku swego, przejęła się dla niego uwielbieniem, graniczącém ze czcią. Uwielbiała go i z rozkoszą motyla, kąpiącego się w promieniach słonecznych, kąpała się w blasku, który otaczał go, który od niego bił.

Jakim sposobom ta córka młynarska, ta pracowita i skromna kobieta, z obyczajami ptostemi i czystemi jak kryształ, mogła w podobny sposób rozkochać się w tém wszystkiém, co błyszczące i głośne, i dla syna swego zapragnąć błyszczącéj i głośnéj doli? któż wié? W macierzyńskiéj żądzy téj były może ślady własnych jéj niegdyś a niespełnionych nigdy marzeń i ambicyi. Być może, iż, patrząc kiedyś na wodę, spływającą śpienionym szumem z kół ojcowskiego młyna, śniła ona o śnieżnych perłach i skrzących się brylantach, albo, jak owa dziewczyna z bajki, w modréj fali widziała ciągnące sznury zbrojnych i strojnych rycerzy? Być może, iż, pogodziwszy się potém z cichym i pracowitym żywotem mieszczki, a nawet zrósłszy się z nim duszą i sercem, zapragnęła ona wznieść dziecko swoje wyżéj nad skromne istnienie, które rozwijało się dokoła niéj, ku światom, co z daleka zdawały się jéj rajem piękności, spokoju i szczęścia.

To tylko pewna, że niebezpieczeństw, cierpień, pokus i przewinień powyższego świata tego nie znała całkiem, i że, ułatwiając do niego drogę synowi swemu, pewną była, że ułatwia mu szczęście.

Od chwili, w któréj została matką, wszystkie myśli i usiłowania jéj dążyły do celu tego. Przed chrztem każdego dziecka swego otwierała kalendarz i wczytywała się w imiona świętych, szukając pomiędzy niémi najpiękniéj

według niéj brzmiącego, a co najważniejsza, najmniéj śród mieszczan znanego imienia. Ztąd synowie jéj nosili imiona: Anatol, Fortunat i Rajmund.

— Z Mateuszem moim — opowiadała potém sąsiadkom i staremu przyjacielowi swemu, Rębskiemu — z Mateuszem moim miewałam o to sprzeczki wielkie; kiedy urodził się mój najstarszy, przeczytałam kalendarz i powiedziałam, że chcę, aby mu na chrzcie świętym dano imię: Anatol. Mój stary, aż oczy wytrzeszczył. „Nie, powiada, nazywać się on będzie Grzegorz, tak jak mój pradziad.” Ja swoje, on swoje. Nie przywykła byłam do sprzeczek, bo żyliśmy zawsze w zgodzie świętéj, więc serce mi się ścisnęło i w płacz uderzyłam! A tu sąsiadki na Mateusza mego: „Jegomość żonkę zabijesz! ona jeszcze taka słabiutka i bledziutka.” Machnął wtedy ręką i pozwolił. O Fortunata już nie sprzeczaliśmy się, bo i jemu imię to do smaku przypadło; ale kiedy narodził się nam nasz najmłodszy, on znowu ze swoim Grzegorzem wyjechał. Jednak postawiłam ja na swojém i ot teraz któż to taki nazywa się Grzegorzem? Furman Rajmundka mego, ale nie on sam...

Rębski mawiał jéj czasem:

— Zrobiłaś sobie, pani Apolonia, z dziecka swego bożka, postawiłaś go na ołtarzu i kłaniasz się mu, jak poganka!

Istotnie wyrażenie to określało najlepiéj rodzaj ten macierzyńskiéj miłości. Matka ta była bałwochwalczynią. Była ona także szczęśliwą zupełnie i dziwnie spokojną. Cień wątpliwości jakiéjkolwiek albo złego przewidywania

nie zawitał nigdy do jéj umysłu, a jedyném smutném jéj uczuciem bywała tęsknota za synem, łagodzona nadzieją rychłego ujrzenia go i pewnością, że „on się tam bawi, jak królewicz, i opływa we wszystko, jak pączek w maśle.”

Trwało tak długo i w porze dopiéro, gdy Milord dosięgał dwudziestu ośmiu lat wieku, a zdawał się być na szczycie chwały swéj i powodzeń, w życiu matki jego zaszły zmiany pewne.

Był to znowu wieczór jesienny; Apolonia Dyrkowa i Andrzéj Rębski siedzieli znowu przy ogniu, palącym się w piecowisku, a garbata Ludwisia drzemała na ławie.

Stara kobieta wyglądała trochę nieswoją. Gdy przędła, nić rwała się jéj w ręku i przeszło od godziny już nie zaśpiewała i nie zanuciła nawet ani razu. Rębski nie był téż rozmownym, chmurnie spoglądał w ogień.

Po chwili Dyrkowa ozwała się:

— Czy wié pan Andrzéj, że jakiś niepokój serce mi gryźć zaczyna.

— Cóż to za niepokój taki? — zapytał stary.

Westchnęła i chwilę nie mówiła nic.

— Ot! — rzekła z cicha — już kończą się...

— Co kończy się?...

— A te grosze, które Mateusz mój zostawił... Brałam z nich, brałam, aż już tyle, co nic prawie, zostało!...

Rębski mruknął:

— No to i cóż ztąd?

— Co! co! — zawołała Dyrkowa, szeroko oczy roztwierając — czy jegomość nie rozumiész? A cóż ja powiem memu księciu, kiedy on przyjdzie do mnie i powié:

daj!

— Powiész jemu jejmość, że nic nie dasz, bo nie masz!

— Ale! tak to łatwo powiedzieć dziecku; nie mam! a jak on powié, że jemu trzeba.

— Toż ma kamienic dwie: jednę tam na Złotéj ulicy, drogą tu.

— No tak, zapewne — mówiła Dyrkowa — ale z tych kamienic ma on tyle, żeby sobie módz dobrze żyć, a te pieniądze, co Mateusz mój zostawił, były jemu zawsze pomocą, gdy bardzo czego zachciał, albo gdy wypadło mu jakiś zbytek *extra* zrobić... Umyślnie nie oddawałam mu ich wszystkich razem, a nawet nie powiedziałam, ile ich jest. Myślałam sobie: będę po troszku dawać, na dłużéj wystarczą i robak mój zawsze sobie u matusi swéj cukierek jakiś znajdzie. Dobre dziecko nie napierało się o wszystko, brało po troszku i zawsze grzecznie, pięknie prosiło; daj mamciu! a teraz ot i kończy się już rozkosz jego i moja. Teraz stara matka musi powiedzieć mu: nie mam, synku!

Otarła palcem łzę z oka.

Rębski przypatrywał się jéj w milczeniu.

— Może to i dobrze — rzekł, — że tych przeklętych pieniędzy jejmość już mu tkać w rękę nie będziesz mogła... ustatkuje się, zaoszczędzi...

— Biedactwo! — głęboko westchnęła Dyrkowa.

— Weźmie się do roboty jakiéj! — dodał Rębski.

Kobieta aż podskoczyła na stoiku swoim.

— Ciekawam do jakiéj! — zakrzyknęła — cóż? może garnki lepić, albo w kancelaryi nad stolikiem usychać! Jeszcze czego nie stawało! Nie na tom ja, go ledwie że nie

w mleku ptasiém kąpała i na panicza hodowała... nie na to...

Przerwał jéj Rębski, który powstał żwawo z nagle powziętą determinacyą jakąś.

— No — rzekł — jeżeli już jejmość wciąż taka ślepa jesteś, a z paniczowstwem tém wciąż wyjeżdżasz, to ja dłużéj milczéć nie mogę. Nie chciałem dotąd być ptakiem złéj wieści. Ale przygotować panią trzeba. Pan Rajmund będzie musiał w prędce zmienić zupełnie sposób życia. Na kamienicę tę i tamtą zaciągnął on tyle długów, że prędko pękną obie...

Dyrkowa słuchała z oczyma szeroko otwartemi i dziwnie jakoś mglącemi się i migocącemi.

— Pękną! — krzyknęła nagle i klasnęła rękoma — Jezus Marya!

Zmartwiałą źrenicą patrzała chwilę na towarzysza swego, potém zawołała znowu:

— I cóż potém będzie, mój panie Andrzeju! mówże jegomość, co potém będzie?

Rębski namyślał się chwilę i, jakby litując się nad matką tą, któréj rysy wstrząsała trwoga niewymowna, łagodnie odpowiedział:

— No, no! może i lepiéj będzie! Panicz weźmie się do roboty jakiéj, ożeni się uczciwie i jejmość prędzéj będziesz wnuki piastowała...

Ale Dyrkowa może i nie słyszała słów tych pocieszających. Z rękoma załamanemi i strumieniem łez, płynących po jéj twarzy, z cicha jęczała:

— Biedno dziecko moje! biedny mój robak! ja tu sobie jadłam, piłam, zbytkowałam i jak królowa w wygodach

wielkich żyłam, a on w kłopotach bywać musiał!...

I z nieśmiałością zapytywać zaczęła Rębskiego: a ile tam długów tych? a komu one należą? a czy to tylko wiadomość pewna? — Rębski mówił niechętnie. Przebąkiwał jednak to i owo, cytując źródła, z których wiadomości owe zaczerpnął.

— Całe miasto mówi o tém — rzekł w końcu — i pani tylko jedna nic nie wiedziałaś.

Dyrkowa przestała płakać i ręce łamać. Siedziała długo nieruchoma, milcząca, aż nagle wyprostowała się i głowę podniosła.

— No — rzekła — kiedy tak, to trzebaż mnie teraz inaczéj zacząć żyć... Bieduje tam gdzieś główka jego, niechże pobieduje i moja. Nim ostatnia bieda nadejdzie, on pewno ożeni się i posag duży weźmie, a nim ożeni się, stara matka ulżyć mu w kłopotach powinna... Dość mi panować.

Jakkolwiek Rębski znał dobrze starą kobietę, nie odgadł od razu całego znaczenia jéj mowy. Znaczenie to objawiło się wyraźnie nazajutrz rano, kiedy Ludwisia, jak zwykle, wybierała się z koszykiem w ręku po prowizyą do miasta, a Dyrkowa zatrzymała ją, mówiąc:

— Nie pójdziesz dziś i wcale już chodzić nie będziesz... chyba tam w wielkie jakie święto... W powszednie dni, a nawet w proste niedziele, nie trzeba mięsa, nie trzeba masła, nie trzeba mléka, i niczego z miasta nie trzeba. Są w domu dynie, kartofle, gruszki suszone, jest mak, groch, kapusta, i mąki jeszcze na chleb sporo... będzie nam tego na długo...

Dziwny był to widok staréj matki téj, zstępującéj

dobrowolnie z dobrobytu, niewykwintnego wprawdzie, lecz dostatniego, w nędzę, istotną, liczącą się z każdym kęsem żywności, do ust wkładanym, i z każdą niemal kroplą wody; skrzętnie z dnia na dzień zbierającą najdrobniejsze okruchy, aby dziś starczyć mogło na jutro, i jeszcze po jutrze.

W długie wieczory zimowe, wielka, sklepiona izba smutną była i zimną, bez ognia w piecowisku, który teraz gaszonym bywał z samego rana, natychmiast po ugotowaniu, mającéj starczyć na dzień cały, odrobiny mdłéj strawy z dyń albo kartofli, okraszonych makiem. W głębi płomyk malutkiéj łojówki błyszczał nakształt dużéj iskry żółtéj, a dokoła zalegały mroki tak grube, że ustawione przy ścianach wyroby garncarskie kryły się w nich całkiem, a stołki i ławy majaczały niewyraźnemi i fantastycznemi zarysy.

W szczupłym kręgu światła, rzuconego przez żółty płomyk łojówki, naprzeciw głębokiego otworu pieca, czarnego jak noc i ziejącego chłodem, Dyrkowa siadywała, jak dawniéj, przy kądzieli, ale ani gawędziła z Ludwisią, ani śpiewała, ani nawet tak szybko i umiejętnie nie przędła. Zwolna, bardzo zwolna szara nić wysnuwała się z pod jéj palców, wrzeciono w dłoni okręcało się leniwie i nie warczało tak wesoło, jak kiedyś! Spoglądała na przywiązaną do prząśnicy wiązkę lnu z niepokojem widocznym.

— Ot, i zaraz już wszystko wyprzędę, — szeptała, — i nie będę już miała czego prząść!

— Pani znowu sobie lnu kupi! — zauważyła Ludwisia...

— Kupi! — wołała Dyrkowa, — a niech Pan Bóg broni! nie trzeba teraz nic kupować, nic, nic! Jeżeli grosz jaki wejdzie do chaty, to i chwała Bogu. Nikomu go już nie oddam, tylko jednemu, biednemu robakowi memu...

Grosze wchodziły do chaty obficiéj niż kiedy, Dyrkowa bowiem sprzedawała teraz wszystko, co tylko sprzedać mogła, a czego cześć znaczną obracała wprzódy na użytek własny i cudzy. Widząc ubogich, którzy wedle zwyczaju dawnego przychodzili do niéj po kawałek chleba, garstkę mąki albo misę strawy, z daleka już wołała:

— Niéma, moi kochani, nic u mnie dla was niéma! Idźcie sobie z Bogiem, idźcie! niech Bóg dopomoże, bo ja nie mogę!

I od dziada, baby lub dziecka żebrzącego, odprawianych w ten sposób, odwracała się szybko, bo niepokój, połączony ze wstydem, mglił jéj oczy, a usta drżały z żalu.

Czasem zapytywała garbatéj Ludwisi:

— Ludwisiu! może ty głodna jesteś?

Mała, upośledzona istotka wykrzykiwała z zapałem:

— Ja głodna! oto! jeszcze czego! jem to samo, co i pani, i mam być głodna! albo to kaszka z dynią i zaciereczki z suszonemi gruszkami nie smaczne!

— To dobrze, to dobrze, że ty, Ludwisiu moja, głodna nie jesteś! — mówiła Dyrkowa z zadowoleniem widoczném. — Dzieckiem cię małém na opiekę wzięłam... sierotą jesteś... Przytém, pracujesz przecie i pomagasz mi od lat tylu... na sumieniu tedy miałabym, gdybyś ty głodną była...

Małe piwne oczki Ludwisi spoglądały w twarz mówiącéj

bacznie i z niepokojem widocznym. Po chwili, z cicha i nieśmiało bardzo, upośledzona sierota, przez Dyrkową wychowana, zapytywała:

— A pani czy nie głodna?

Po ustach staréj kobiety przesuwał się uśmiech na-pół smutny, na-pół zachwycony.

— Poco mam kłamać przed tobą? — odpowiedziała. — Głodna ci ja czasem... ot tak, odrobinę głodna... ale głód ten rozkoszą dla mnie, bo z niego jaka taka pomoc dla robaka mego wyrasta... Biedny on... ma teraz kłopoty różne, choć mi o nich nie mówi nigdy... niech-że z cierpieniem jego, kochanka mego, cierpienie moje w parze idzie...

Gdy to mówiła, oczy jéj, wzniesione w górę, zachodziły łzami, i znać było, że w piersi staréj, prostéj téj kobiety, na piérwszą wieść o troskach, dotykających jéj syna, powstało dziwne jakieś pragnienie męczeństwa, mistyczna żądza łączenia cierpień swych z jego cierpieniami.

Rezultatem rozmowy téj było to, że nazajutrz garbata Ludwisia raz tylko przytknęła do ust łyżkę ze strawą i, zjadłszy kawałek suchego chleba, przez dzień cały jadła żadnego nie dotknęła.

— Czemu nie jész? — zapytała ją Dyrkowa, — kaszka kartoflana z makiem smaczna przecie... widzisz, jak ja zajadam... Czyś nie głodna?

Ludka kręciła się po izbie w luźnym kaftaniku swym, albo pochylała nad beczką z wodą małą główkę swą, obciążoną ogromnemi, roztarganemi włosami. Dyrkowa wołała ją do misy.

— No jedz-że, — mówiła, — czyś nie głodna?

Wtedy mała istotka stawała przed nią z powiekami spuszczonemi wstydliwie i nieśmiało jąkała:

— Ja przed panią kłamać nie mogę! głodna-m ci ja trochę... ot tak, odrobinę głodna, ale z głodu mego może jakakolwiek pomoc dla księcia naszego wyrośnie!... A przytém i ja także chcę, żeby cierpienie moje z cierpieniem księcia naszego szło w parze.

Jak papuga powtarzała słowa, od Dyrkowéj słyszane, niewiadomo nawet było, czy znaczenie ich rozumiała dobrze, jednak jeść kartofli z makiem nie chciała nic a nic. Dyrkowa patrzała na nią mglącemi oczyma. Potém wyprostowała się i z powagą rzekła:

— Kiedy tak, to i mnie trzeba jeść mniéj jeszcze... Jeżeli ty możesz, jakże-bym ja nie mogła? Ja przecież matka...

I szły w zawody, kto mniéj jeść zdoła. Śmiały się przytém niekiedy.

— Ile razy z misy zaczerpnęłaś? — pytała wychowanki swéj stara kobieta.

— Chyba ze sześć razy, — odpowiadała Ludwika.

— No, to ja mniéj, bo pięć!

— Dalibóg nie! pani siedm razy zaczerpnęła, a ja tylko sześć!

— Kłamiesz!

I śmiały się, a połowę zgotowanéj strawy na jutro zostawiały.

— Nie trzeba będzie jutro drzewa palić! — mówiła Dyrkowa, — zjemy kartofelki na zimno i chlebkiem zakąsim, a wodą zapijem! Czy dobrze? Ludko!

— A czemu nie dobrze! oto! kartofelki zimne

smaczniejsze jeszcze od gorących, a drzewa szkoda palić, bo jak wyjdzie, kupować trzeba będzie...

— Niech Pan Bóg broni od kupowania! — kończyła stara.

Nazajutrz w nieopalonéj izbie dwom kobietom zęby szczekały od chłodu.

— Ot, — zaczynała Dyrkowa głosem, który trząsł się jéj w piersi, — nie wiem, co dla człowieka przykrzéjszém jest: głód czy chłód?...

— Chyba chłód! — mówiła Ludwisia.

— A no; to przynieś już może parę polanek...

Ludka przynosiła malutkie brzemię drzewa i kładła je u stóp pieca. Długo na drzewo to spoglądały obie.

— Hm! — szepnęła Dyrkowa, — zawsze to złotówkę jakąś, albo czterdziestkę kosztuje! Nie zapalaj jeszcze, poczekamy jeszcze trochę, a może i tak sobie posiedzimy. W łóżku pod kołdrą ciepło będzie...

Raz Dyrkowa rzekła:

— Ot, bieda moja! woda drogo kosztuje! dwadzieścia pięć groszy za beczkę, a jak tydzień postoi, to już i na nic... wylać jeszcze trzeba i znów kupować...

— Niby to ja wody nanosić nie mogę? — z zapałem zapiszczała Ludwisia.

— Czy ponanosisz?

— Jezu Panie! czemuż-by nie?

— No to sprobuj!

Odtąd ze starego domowstwa wychodziła co trzeci dzień mała, przygarbiona istotka, z prząsłami o dwóch wiaderkach na chudém ramieniu i, przygniatana ciężarem

swym, dążyła ku odległéj studni. Gdy wracała, tchu nie stawało we wklęsłéj jéj piersi, a żółta twarzyczka oblaną była krwawym rumieńcem. Dyrkowa spotykała ją na środku dziedzińca, brała z ramion jéj prząsło z wiadrami, i sama wnosiła je do izby. Potém ujmowała w obie dłonie głowę gorliwej pomocnicy swéj i całowała ją w czoło. Pocałunek ten rozlewał na zmęczoną twarz Ludwisi radosne i tkliwe światło. Głośno jeszcze dysząc i ręką wspierając się o ścianę, bo na nogach ustać ze zmęczenia nie mogła, zapytywała cichym głosem:

— To dla księcia naszego, prawda pani?

— Prawda, kochanko, dla niego! wszystko dla niego!

— No, to i dobrze! — mówiła Ludka.

Książę tymczasem co dwa tygodnie lub trzy, a czasem i rzadziéj, przyjeżdżał do matki, jak dawniéj, powozikiem swoim, z karoszami, seterami, kozaczkami i wszelkiemi innemi przynależnościami. Dyrkowa oczekiwała go teraz nie ze spokojną tęsknotą, jak dawniéj, ale z widocznym, trwożnym niepokojem. Usłyszawszy turkot powozu jego, zapalała wnet stearynową świecę, czekającą w szafie przybycia jego, i rozkazywała Ludce coprędzéj nastawiać samowar, aby uczęstować syna herbatą, któréj garsteczkę na okazye te wyłącznie w szafie przechowywała.

Zanim Milord wyskoczył z powoziku swego i przeszedł sień dużą, gorączkowe rumieńce wybijały się na bledsze niż dawniéj policzki staréj. Z niespokojnych ruchów jéj i błysków oczu, niegdyś tak cicho zawsze zadowolonych, znać było, że, za każdem przybyciem syna, lękała się ona złéj wieści jakiéj, albo strasznego dla niéj pytania. Milord

przecież nie miał ani razu pozoru człowieka zgryzionego, albo złą wieść przynoszącego. Gdy wysoka i kształtna postać jego napełniła na-pół ciemny, wilgotną i zimną izbę blaskiem elegancyi i woniami wykwintnych perfum, Dyrkowa rzucała się ku niemu i, ramionami szyję mu oplatając, w twarz jego głęboko spoglądała.

— No i cóż tam? cóż? cóż? — pytała.

Całował ją w ręce z jednostajną zawsze serdecznością, i odpowiadał wesoło:

— A cóż, mamciu! Wszystko po dawnemu. Zatęskniłem się za mamcią i przyjechałem na minutkę...

— O mój ty, robaku jedyny! mój ty aniele dobroci! zatęskniłeś za starą mutusią i przyjechałeś choć na minutkę! no, siadaj-że, siadaj! może herbatki napijesz się?

Milord siadał i wstrząsał się cały od chłodu.

— Jak tu zimno u mamci! dlaczegoż-to ogień nie pali się, jak dawniéj?

— Jeszcze czego! ogień! — wołała z nad samowara Ludwisia, — a potém drzewo kupować!

— Cicho bądź? — odkrzykiwała jéj z przestrachem formalnym Dyrkowa, a do syna mówiła:

— Widzisz, lubciu, przekonałam się, że nie zdrowo mi, kiedy w izbie zbyt ciepło... krew mi do głowy bije...

— A to co innego, — mówił syn, — jednak tu zaziębić się można...

— Ludka! rozpal ogień, prędzéj! książę nasz zaziębi się jeszcze, jak tu posiedzi...

I smutna zawsze izba rozweseliła się ogniem, trzaskającym w piecu, i kłębami pary, buchającemi z

szumiącego samowara. Stearynowa świeca paliła się na stole, Dyrkowa chleb krajała z najświeższego bochenka. Tam, w cieniach szafy, spoczywały kromki czerstwe, twarde, które dwie kobiety jeść potém miały, ale na przybycie Milorda był zawsze przygotowany bochenek świeższy i staranniéj upieczony.

— Czém chata bogata, tém rada! lubciu mój! — mówiła Dyrkowa, stawiając przed synem szklankę herbaty i talerz z nakrajanym chlebem.

— A czemuż mamcia i Ludwisia herbaty nie piją także? — łaskawie zapytał Milord.

— Piłam już, lubciu mój, piłam, godzinę temu!

A Ludwisia w kątku swym wzdychała:

— Jeszcze i o mnie pamięta! książę nasz! anioł nasz!

Teraz już Dyrkowa, za każdą bytnością syna, zapytywała go:

— No! Rajku mój! a czy ty myślisz tam o żoneczce?

Milord odpowiedział raz z rozjaśnioną twarzą:

— Myślę, mamciu, naprawdę już myślę. Panna piękna, dobra jak anioł i, przyznam się mamci szczerze, że rozkochałem się w niéj po uszy... Z początku zdawało się nic, a potém rozkochałem się.

— A posażna-ż ona, — dopytywała się Dyrkowa.

— Więcéj nawet niż myślałem. Z pół miliona miéć będzie!

— A oddadzą-ż ci ją rodzice? bo panna to pewnie z wysokiego rodu...

— Mam nadzieję — bawiąc się z brelokami swemi odpowiadał Milord. — Przyjmują mię uprzejmie, bardzo

uprzejmie; z bratem jéj w przyjaźni jestem...

— Chwała Bogu! — z głębi serca wykrzykiwała stara.

Nie pytała o nazwisko przyszłéj syna swego, bo niczegoby jéj ono nie nauczyło. Ze świata, w którym przebywał on, nie znała nikogo zupełnie. Milord sam szepnął raz mamci:

— Powiem mamci pod sekretem wielkim. Staram się o pannę Pelagią Morską. Matka jéj arystokratka wielka, ale ojciec i brat nie uważają już na te wszystkie głupstwa i przesądy... przytém panna sama...

— Sprzyja ci pewnie... ma się rozumiéć... jakże-by sprzyjać nie miała... to i dobrze! niech będzie Bóg Wszechmogący pochwalony... Ożenisz się, kamienicę tamtą sprzedasz, za swoje i za żonine pieniądze majątek kupisz, a mnie to już w tém starem domowstwie dożyć końca mego pozwolisz...

Milord całował matkę w rękę.

— Co moje to i mamci, — odpowiadał, — może mamcia z nami na wsi zamieszkać zechce...

Dyrkowa przecząco wstrząsała głową.

— Nie, lubciu, nie! już do tych ścian przyrosłam. Zresztą obywatelem będziesz, wielkim panem... żonka twoja, pani z rodu wysokiego... Matula mieszczka wstyd-by wam może przed ludźmi robiła... Nie, lubciu! ja sobie tu zostanę, domowstwa i ogrodów ojców twoich strzedz będę... a ty mnie czasem odwiedzisz i dziatki swoje w karecie mi przywieziesz... No, jeżeli już kiedy zechcecie i pozwolicie, to i przyjadę do was na tydzień jaki, ażeby waszém szczęściem i waszemi elegancyami oczy nacieszyć... a potém wrócę znów do kątów swoich i z Ludką moją

poczciwą... oj! ty nawet nie wiész, jaką poczciwą!... o księciu moim i o mojéj księżnéj, i o moich małych wnuczątkach-książątkach gawędzić będę... Żeń się ty tylko, żeń prędzéj, bo mi na tę godzinę szczęśliwą czekać ciężko trochę!

— Ożenię się, mamciu, teraz już ożenię się z pewnością; przed ślubem jeszcze narzeczoną moję mamci przywiozę... Niech tam sobie ludzie gadają, co chcą... Ona dobra! matki mojéj wstydzić się nie będzie, przywiozę ją mamci...

— Otóż ją wycałuję!... wycałuję i pobłogosławię taką modlitwą, że już chyba Bóg ją usłyszy! — zawołała Dyrkowa, zasiniała się przyciszonym, radosnym chichotem i zapłakała kilku perlistemi łzami.

Tak marzyli. Potém milord mówił:

— Niech mamcia będzie łaskawa da mi trochę pieniędzy.

Dyrkowéj ręce drżéć zaczęły. Z figlarną wesołością, wymożoną na sercu ściśnioném, zaczynała przekomarzać się z synem:

— A jak nie dam? ot nie dam!

— Aj, dasz mamciu! dasz! kiedy mnie potrzeba...

— No dam! ale troszkę...

— Ile tam mama łaskawa...

Brała świecę i szła do izby sypialnéj. Ale teraz nie pozwalała już synowi iść za sobą.

— Poczekaj tu sobie, poczekaj!

— Cóż to znów za sekrety? — gniewnie trochę sarkał syn, zostawał jednak, a po chwili matka przynosiła mu pieniądze.

— Tak mało, mamciu! — skarżył się żałośnie.

— Dość, dość na dziś, — mówiła, — innego dnia dam znowu!

Czasem prosił i nalegał, dziwiąc się, zkąd się skąpstwo to u niéj wzięło. Czasem, nie mówiąc nic, niedbale wkładał pieniądze do pugilaresu, na którym ładna rączka jakaś wyszyła złotą nitką wyrazy: *„ne m'oubliez pas!"* Miał jeszcze w kamienicach swych zasoby znaczne, a przytém tonął cały w marzeniach o wdziękach panny Morskiéj i posagu jéj także.

— Ja mamci dokuczać nie chcę, — mówił, — co mamci łaska dać mnie, to biorę!

— Ty anioł jesteś, — szeptała Dyrkowa.

Milord wybuchał śmiechem.

A do twarzy mu było z wesołością. Gdy śmiał się, był istotnie pięknym. Białe czoło jego jaśniało, błękitne oczy iskrzyły się, z za warg rumianych ukazywały się rzędy śnieżnych zębów. Nie dziw, że bogata i wesoła téż panna Morska uczuła dla niego wyłączną sympatyą... Gdy śmiał się, tańczył, albo, trzymając na obu rozpostartych dłoniach moteczek włóczki lub jedwabiu, z młodzieńczym błyskiem w oczach przyklękał z dala na jedno kolano, dziewicze oko spocząć na nim mogło z sympatyą i na długo...

Po odjeździe Milorda gasła w srebrnym lichtarzu stearynowa świeca, gasło ognisko, znikał ze stołu samowar i chleb świeży; a w mrocznéj znowu, chłodnéj i milczącéj izbie, Dyrkowa, niemająca już lnu do przędzenia, rozpinała na motowidle dawniéj uprzędzoną talkę i, zwijając ją przy świetle łojówki, nucić zaczynała. Nuciła już teraz wtedy tylko, gdy przez chwilę napatrzyła się na syna. Można-by

powiedzieć, że promyk jakiś z błyszczących oczu jego przechodził do jéj serca i budził w niém, uśpioną dziś, dawną jéj wesołość.

Ale głos jéj, silny jeszcze i dźwięczny niedawno, tak osłabł i przycichł, że zagłuszało go niemal warczenie motowidła, z którém téż, niby drugi ton tego samego akordu, mieszało się monotonne mruczenie żółtego kotka, uśpionego na wystającym murze pieca.

Tak przeszła zima.

W piérwszym dniu wiosennym, wilgotnym jeszcze lecz już ciepłym, Dyrkowa weszła do ogrodu swego. Kiedy chodziła po ścieżkach ogrodu, sąsiadka, stolarzowa, spojrzawszy w okno, rzekła do męża.

— Ależ postarzała się przez zimę ta gospodyni nasza, to postarzała! I tak raptem!

Istotnie, teraz dopiéro, gdy oblało ją blado-żołte światło marcowego słońca, można było dostrzedz wyraźnie, że włosy jéj, niedawno jeszcze popielate, od siwizny stały się zupełnie prawie białemi, a oczy zapadły głęboko pod wysokiém, piękném czołem, które zżółkło i okryło się rojem drobnych zmarszczek. Policzki jéj schudły i zżółkły także, a usta, i wprzódy już uwiędłe, zamiast dawnego spokojnego zadowolenia, układały się w wyraz cichego téż, lecz jakby przyrosłego do nich, smutku. Szła bardzo zwolna, krokiem słabym. Pochylała się, jak dawniéj, nad krzakami, ale z trudnością widoczną, a gdy z podniesioną głową oglądała gałęzie drzew, oczy jéj mrużyły się tak, jak bywa u ludzi, długo przebywających w mrokach i od światła odwykłych.

Zaczęła, jak zwykle na wiosnę bywało, siać, sadzić i kopać. Przy zajęciach tych znalazł ją raz Milord. Rzadko przyjeżdżał on do matki w dzień, i od dawna już nie widział jéj inaczéj, jak w izbie na-pół mrocznéj, a na-pół oświetlonéj jaskrawym blaskiem ogniska. Wszedł do ogrodu i, rozglądając się wkoło, zawołał:

— Mamciu!

Kiedy, wołając wesoło i znów donośnie: „jestem tu, synku, jestem!” wychyliła się z pomiędzy gęstéj już zieleni agrestowych krzaków i szła ku niemu najprędzéj, jak tylko mogła, stanął i, z pewném przykrém zdziwieniem, przypatrywał się idącéj.

— Ależ mamcia zmizerniała! — zawołał, całując ją w rękę, — co mamci jest? czy nie chora mamcia czasem?

— Chora! — zaśmiała się Dyrkowa, — a mój-że ty lubciu jedyny! jak ty mnie rozśmieszyłeś! ja jak żyję, nie chorowałam...

— Jednak mamcia tak jakoś wygląda...

— At! — rzuciła prędko, — starość nie radość, synku... wszelkie stworzenie żyjące starzéć się musi... postarzałam i ja...

Stali oboje pod drzewkiem wiśniowém, które zaczynało już osypywać się kwieciem. Milord zerwał różową gałązkę i przypiął ją sobie do guzika szamerowanéj czamarki. Potém wziął rękę matki, położył na swojém ramieniu i prowadził ją ku domowi. Kiedy tak, wsparta na ramieniu pięknego i wytwornego młodzieńca, w sinéj swéj grubéj spodnicy i spłowiałéj chuście, szła przez ogród, głowa jéj podnosiła się wysoko, na całéj twarzy rozlał się

promieniejący wyraz szczęścia i dumy, a co chwila ukośne spojrzenia rzucała na okna stolarza. Pragnęła namiętnie, aby w chwili téj okna te były pełnemi twarzy i oczu ludzkich, aby jak najwięcéj ludzi widzieć mogło nadzwyczajną dobroć i piękność jéj syna, i jéj nadzwyczajne szczęście.

Prowadząc ją, Milord mówił, że wyjechać musi z Onwilu na kilka miesięcy. Usłyszawszy to, stara drgnęła i rękoma rozpacznie klasnęła.

— Morscy jadą za granicę, — tłomaczył syn, — trzeba mi za nimi jechać, bo lękam się przez czas ten zapomnianym zostać...

— A kiedy tak, — zrozumiawszy, rzekła ze smutkiem jeszcze, ale i z uśmiechem, — to jedź-że, lubciu mój... jedź za bohdanką swoją! Goń ptaszynę swą drogą, ażeby ci nie uciekła czasem...

Milorda słowa te rozczuliły.

— Żeby mamcia wiedziała, — rzekł, — jak ja ją kocham...

— To i dlaczogoż nie pobierzecie się zaraz? — pytała matka, — ty kochasz ją, ona ci sprzyja... sprawcie weselisko, a potém jedźcie już sobie w cudze światy...

Milord smutnie pochylił głowę.

— Nie tak to łatwo, moja mamo! to przeklęte urodzenie moje drogę mi do niéj utrudnia. Głupstwo to jest, przesąd... ale cóż zrobić, kiedy świat jeszcze taki. Nie oświadczam się dotąd, bo lękam się rekuzy... nie od panny, ale od matki. Józio mi radzi, żebym nie spieszył się i dał czas jemu i pannie matkę przygotować i uprosić...

Stanęli przy drzwiach mieszkania. Milord powiedział, że

nie zajdzie nawet tym razem, bo bardzo wiele przed odjazdem zajęć i interesów ma, ale przyjedzie jeszcze za dni parę, aby matkę pożegnać. Miał już iść do powozika, który na niego oczekiwał, ale przytrzymała go za ramię Dyrkowa. W oczach jéj, wpatrzonych w twarz syna, malowała się trwoga wyraźna i ręce jéj drżały. Chciała widocznie powiedzieć mu coś, ale wahała się i lękała. Nakoniec, przytłumionym i wahającym się głosem, zaczęła:

— Ale, lubciu mój, tobie na wojaż ten pewnie pieniędzy dużo potrzeba będzie...

Milord zachmurzył się na chwilę.

— Naturalnie, — rzekł, wiodąc dłonią po czole — ryzyko to wielkie... ha! ryzykuję... pieniądze zresztą już mam, dostałem...

Dyrkowa odetchnęła, lecz wnet drgania niespokojne przebiegły znów po znędzniałéj jéj twarzy.

— Pożyczyłeś? — szepnęła.

— A cóż miałem robić? — z przymusem uśmiechnął się syn. Potém weseléj już i z figlarném na matkę spojrzeniem, dodał:

— Cóż miałem robić, kiedy widziałem, że mamcia postanowiła resztę skarbów swoich dla wnuków już chyba swych chować... Ja mamci dokuczać nie chcę...

Dyrkowéj krwisty rumieniec uderzył do bladego czoła.

— Ty anioł jesteś, — szepnęła drżącemi wargami i, pomyślawszy chwilę, dodała:

— Jednak, jak przyjdziesz na pożegnanie, dam ci trochę grosików, dam! Jabym nie przeniosła tego, żebyś ty, robaku mój, wyjeżdżał w świat, i na tak długo jeszcze, bez jakiego

takiego od matusi swéj upominku.

Po czułym i długim uścisku rozstali się.

Nazajutrz w mieszkaniu Dyrkowój zjawiły się, nigdy tam wprzódy niewidywane, żydówki handlarki, a w sypialnéj izbie przez długie parę godzin słychać było otwieranie i zamykanie skrzyń i głośne a zawcięte targi. Potém żydówki wyszły, obciążone całe motkami i kłębkami nici, zwojami grubszych i cieńszych płócien, wieloletniemi a różnorodnemi zapasami odzieży, bielizny i nawet pościeli. Była tam ślubna jeszcze suknia Dyrkowéj, z barwistemi bukietami na białém tle, i odświętne suknie, noszone przez nią w młodości, kraciaste i kwieciste, i wielkie chusty wzorzyste, naśladujące wschodnie tkaniny i — nakoniec, szuba jéj, żółtemi lisami suto podbita. Wieczoru tego Dyrkowa nic nie robiła. Siedziała na stołku przed piecem ze złożonemi na kolanach rękoma, dumając głęboko.

Raz uderzyła się w piersi i szeptała głośno:

— Moja wina! moja wina! gdybym była wyszła za szlachcica, dziecko moje przeszkód-by takich na drodze swéj nie miało!... Urodzenie - to przeszkadza jemu... urodzenie - to prowadzi go do ruiny... a kto temu winien? oj! biła-bym siebie, żebym mogła, biła-bym!...

Milord, żegnając się z matką, markotnym wydawał się i niespokojnym.

— Albo król, albo cygan! — rzekł, — powrócę albo żonatym już i szczęśliwym, albo...

— Albo co? — dopytywała matka.

Rzucił ręką i dokończyć nie chciał. Potém jednak rozweselił się i szepnął:

— Mam zamiar za granicą oświadczyć się, i tam już, dla uniknięcia gawęd ludzkich, ślub wziąć...

Małą sumę, jakichś paręset rubli, którą dała mu matka, wziął bez szemrania i odjechał.

Dyrkowa nazajutrz mszę w kościele zakupiła i sama powlokła się na nią. Wróciła z oczyma nabrzękłemi od płaczu, i twarzą porytą czerwonemi bruzdami.

Lato minęło, i był to dzień jesienny, biały i chłodny. Dyrkowa siedziała na zwykłém miejscu swém przed piecem, lecz ani przędła już, ani zwijała, od czasu do czasu tylko poprawiała skąpy ogień, palący się w piecu, i mieszała w malutkim garnuszeczku gotującą się garstkę fasoli. Ludwisi nie było w izbie. Przed chwilą wyszła była z wiaderkami po wodę, u nóg staréj kobiety siedział tylko, z pyskiem ku ziemi zwieszonym, wielki Bryś czarny, wychudły i zesmutniały, a na półce pomiędzy garnkami, z cicha od czasu do czasu gruchała para siwych gołębi. Pies ten, ptaki te, i ów jeszcze kotek żółty, którego jednak w izbie nie było, bo przepędzał on większy część czasu na wyszukiwaniu sobie pożywienia, przedstawiały wszystko już, co pozostało z zamożnego niegdyś gospodarstwa staréj mieszczki. Znikły z niego już od dawna sprzedane kury czubate, umilkło na strychu rozgłośne śpiewanie kogutów, stado różnobarwnych gołębi nie unosiło się nad dachem domowstw kolistym, wysokim lotem. Chciała ona była nawet odprawić psa i sprzedać siwe gołębie; ale Bryś, po kilka razy oddawany sąsiadom, wracał zawsze i przypełzał

jéj do stóp z cichém skomleniem, a ptaki, wyhodowane przez nią i wypieszczone, wyrwały się z rąk sąsiadki, któréj sprzedać je chciała, zleciały na jéj ramiona, i póty dziobały siwe jéj włosy i zaglądały w oczy z nieśmiałém gruchaniem, aż pogładziła je wychudłą dłonią i powiedziała:

— No, to już zostańcie sobie! zostańcie!

Do cichéj izby dochodziły z dziedzińca odgłosy piły, hebla i młotka, rozlegające się w warsztacie stolarza; niebawem, wśród odgłosów tych ucho Dyrkowéj dosłyszało snadź inny jakiś, bo wyprostowała się ona i ręce jéj drżéć zaczęły. Odgłos to był męzkich śpiesznych kroków.

— Książę mój! — krzyknęła kobieta, i z rozwartemi ramionami rzuciła się ku drzwiom. Nie mogła jednak, jak dawniéj, silnym i szybkim krokiem przegalopować izby; nogi jéj plątały się i drżały pod nią z braku sił i ze wzruszenia. Zanim więc dobiegła do drzwi, otworzyły się one i w progu stanął Milord. W długim paltocie swym, na którym połyskiwało szkiełko binokla, miał on, jak zwykle, pozór wytwornego młodzieńca, ale zaledwie zdjął z głowy kapelusz, ramiona Dyrkowéj opadły, a na twarzy jéj odmalował się przestrach. Milord blady był i posępny; włosy jego, tak starannie zawsze pierścienione i namaszczane, w nieładzie opadały mu na schmurzone czoło.

— Dziecko moje! co tobie? — wydarł się z piersi matki krzyk przyciszony.

Nie odpowiadając nic, pocałował ją w ręce obie i usiadł na stołku z poruszeniem i miną człowieka zrozpaczonego.

Dyrkowa z załamanemi rękoma stanęła przed nim.

— Dziecko! synku! robaczku mój! — szeptała, — co tobie się stało? czegoś ty taki mizerny i smutny?

Nagle klasnęła rękoma i zawołała:

— Nie dali ci bohdanki twéj? Prawda? nie dali?

— Nie dali! — szepnął Milord, tragicznym ruchem uderzając się dłonią w czoło i ponuro oczy wlepiając w ziemię.

— O! ja nieszczęśliwa! — jęknęła matka i ciężko osunęła się na stołek. Milord podniósł głowę.

— A ja szczęśliwy! — wyrzekł z goryczą i zaśmiał się zdławionym, szyderskim uśmiechem. — Mama wyobrazić sobie nie może, co ja przecierpiałem i cierpię... Kiedy mi ją z pod nosa rodzice wzięli i gdzieś wywieźli tak, że ani domyślić się nie mogłem dokąd; zwaryowałem... tak, zwaryowałem, i całe dwa dni byłem waryatem... Zawiedli mię ludzie, gorzko zawiedli! i ona zawiodła, i wszystko mię zawiodło!.. zbrzydł mi tem świat i chciał-bym módz nie patrzeć na niego...

Tak mówił i skarżył się długo, mowę swą przerywając ciężkiemi westchnieniami, lub wybuchami gorzkiego śmiechu. I, jak wszystkie rozpieszczone dzieci, jak wszyscy ci, którzy przywykli bóztwem być dla siebie i drugich, ani myślał o tém, ani spostrzegł, że skargi i użalania się jego krwawić mogły serce téj, która ich słuchała. Nie spostrzegł, że na zapadłe żółte policzki staréj matki wybijały się zwolna krwiste plamki rumieńców, że usta i ręce jéj drżały, a czoło, zawsze wyniosłe i piękne, pod srebrzystą przysłoną włosów zupełnie już białych, fałdowało się w grube,

bolesne zmarszczki.

Umilkł nakoniec i dlatego tylko zapewne, że w zupełności już zadowolnił potrzebę swą zwierzenia się i skarżenia. Wtedy naprzeciw niego ozwał się szept cichy i drżący:

— Oj biedny ty, biedny, synku mój! robaczku, gołąbku...

Milord wstał.

— O tak! — rzekł, — biedny jestem, bardzo biedny! ale co tam już o tém mówić!

Zapewne, mówił już dosyć o biédach swych.

— Teraz, — ciągnął, — trzeba-by pomyśléć o zaradzeniu biedzie ostatecznéj...

I, stanąwszy przed matką ze skrzyżowanemi na piersi ramionami, wymówił:

— Czy mamcia wié, że ja do mamci piechotą przyszedłem?

Za całą odpowiedź, siwe gęste brwi kobiety podniosły się wysoko nad oczyma jéj, nieruchomo w twarz syna wpatrzonemi.

Milord ciągnął:

— Sprzedałem powóz mój, konie, meble, nawet psy, wszystko słowem, co lubiłem i do czego przywykłem... a raczéj sprzedał je Taczkiewicz, do którego o to z za granicy pisałem, a pieniądze, które mi za to przysłał, poszły tam, gdzie i inne... Teraz kamienicę na Złotéj ulicy wierzyciele moi wzięli we władanie swe i trzymać ją będą, póki się im nie uiszczę, a za kilka dni wezmą i tę starą ruderę... Gdy wróciłem, nie puszczono mnie do domu tamtego, a za kilka dni wypędzą i z tego... tak, wypędzą i mnie, i mamę... jeżeli

dziś, jutro, nie zapobiegniemy nieszczęściu...

Skończył i czekał na odpowiedź matki. Daremnie. Dyrkowéj usta otworzyły się wprawdzie, ale nie wyszło z nich słowo żadne, ani nawet westchnienie.

Pochylił się ku niéj i wziął obie ręce.

— Moja dobra, złota, kochana mamciu! niech mię mamcia ratuje!

Coś, jakby jęk stłumiony, zaszemrało w głębi piersi kobiecéj, osłoniętéj spłowiałą, skrzyżowaną chustą.

— Robiłem długi, to prawda, ale cóż miałem czynić, kiedy mi dochód z tych dwóch chałup na życie nie wystarczał?... mamcia dawała mi czasem po trochu pieniędzy, ale ja nie chciałem dokuczać często... Jak mi trzeba było, prosiłem czasem mamci, a czasem nie... bo myślałem, że to wszystko jedno... dług jak zaciągnę, to go temi pieniędzmi zapłacę, które u mamci są... Ani spodziewałem się, że zabrnę tak głęboko... Staranie się to dokończyło ruiny mojéj... odmówiono mi i, z sercem zranioném, z życiem złamaném, w takie jeszcze kłopoty wpadłem!

Łzy mu nabiegły do oczu, wydobył z kieszeni chusteczkę cienką i pachnącą, zakrył nią sobie twarz i z głośném łkaniem zapłakał.

Odgłos łkania jego obudził Dyrkową ze stanu skamieniałości, w jaki popadła. Podniosła się ze stołka, wysoka, sztywna, prosta i, uczyniwszy kroków parę bez słowa, jęku ni łzy, zarzuciła mu na szyję ramiona. On znowu ręce jéj obie pochwycił i, całując, mówił:

— Niech mamcia odda mi wszystkie te pieniądze, które

u mamci są... Ja niemi długi moje popłacę... one dla mnie deską zbawienia będą...

Dyrkowa opuściła ramiona, odwróciła się i poszła do sypialnéj swéj izby. Milord popatrzał za nią oczyma, pełnemi łez jeszcze, ale téż i nadziei widocznéj.

Po krótkiéj chwili Dyrkowa wróciła, niosąc w ręku dwie czy trzy asygnaty storublowe i, milcząc, trzęsącą się ręką, podawała je synowi. Pieniądze te pochodziły z plonów źle uprawionego w roku tym ogrodu, z ostatków wyprzedanego gospodarstwa, z głodu, nakoniec, który matka ta cierpiała przez rok cały, z zimna, od którego trzęsły się stare jéj kości, z łachmanów, które je przyodziewały.

Milord z osłupieniem patrzał na podaną sobie drobną sumę, nie dotykając jéj.

— Co to? — zapytał, — co to takiego mama mi daje?

— To już wszystko! — szepnęła Dyrkowa i, osuwając się na stołek, upuściła z rąk pieniądze.

— Jakto wszystko? co wszystko? — zawołał.

— Wszystkie pieniądze, synku! — odpowiedziała.

Podniósł obie ręce do głowy i spiętrzył niemi wysoko bujne swe włosy.

— Mamcia złą chwilę do żartów wybrała — sarknął — mnie serce i głowa pękają a mamcia żartuje sobie... — Moja mamo — dodał łagodniéj — proszę, pozwolić mi pójść tam i samemu poszukać!...

— Idź, synku, szukaj! — ledwie dosłyszalnie rzekła kobieta.

— A klucze?

Dziwny uśmiech przewinął się po ustach jéj białych i

kurczowo ściągniętych.

— Niezamknięte! — rzekła.

Milord poskoczył do sypialni matki swéj i począł tam otwierać skrzynie jedne po drugiéj. Wszystkie były puste. Tu i owdzie jeszcze, na dnie któréj ze skrzyń mniejszych, leżały rzucone niedbale: łachmany staréj odzieży, obuwie podarte, sztuk parę grubéj bielizny, ale dawnéj obfitości zasobów najrozmaitszych, ani téż pieniędzy, nie było śladu. Milord długo bawił w izbie ze skrzyniami. Przejrzał wszystkie kątki jéj, zaglądał do kilku pustych worków, szukał w zeszczuplałéj dziwnie matczynéj pościeli... nakoniec wyszedł. Wyszedł z twarzą bladą jak chusta, z szeroko od zgrozy roztwartemi oczyma i z włosami, które jeżyły się wysoko i w nieładzie nad posępném czołem.

Stanął przed matką i rzekł zdławionym głosem:

— Niéma!

— Niéma — powtórzył, jak echo, szept, do słabego tchnienia podobny.

— Ależ to być nie może! — wybuchnął młody człowiek — ojciec mój ogromne sumy zostawił po sobie... wszyscy o tém mówili i mówią... gdzież się one podziały? Mamciu! proszę mi powiedzieć, ile pieniędzy ojciec mój zebrał i mamci przed śmiercią swoją oddał?

Dyrkowa podniosła schylona przedtém głowę; zmartwiałą jéj źrenicę przerznął błysk dawnéj energii.

— Dwadzieścia tysięcy rubli było ich, synku! — rzekła — dwadzieścia tysięcy!

Młody człowiek zaśmiał się gardłowo.

— Jakto! — zawołał — tak mało! kto to temu uwierzy?

— Mało! — silniejszym głosem wyrzekła Dyrkowa — oj! synku, czy to lepiąc garnki, można większe pieniądze zebrać...

Milord rzucił się gniewnie i rozpacznie.

— A więc! — zawołał — żebrakiem jestem! i nic już nie pozostaje mi więcéj, jak wziąć torbę na plecy i iść żebrać!

Jako odpowiedź na te słowa, po izbie rozległ się krzyk przeszywający, krzyk piersi, w któréj z bólem okropnym pękały struny życia. Ale Milord tak był pochłonięty rozpaczą własną, że, na krzyk ten nie zważając, rzucił się na ławę i twarz ukrył w dłonie.

W izbie zrobiło się cicho bardzo. Z jednéj strony przy oknie siedział tam mężczyzna młody i wykwintnie ubrany, łokcie wspierał na stole, twarz krył w dłoniach i szeptał coś do siebie gwałtownie i niezrozumiale. Z drugiéj strony, na stołku siedząc, stara kobieta, w grubéj podartéj spódnicy, w podartém obówiu i spłowiałéj dziurawéj chuście, wsparta plecami o ścianę, pozostawała w nieruchomości kamiennéj. Policzki jéj okryte były krwistym rumieńcem, na trupio blade czoło spływały z pod białych włosów krople potu, a zapadłe, szeroko rozwarte oczy patrzały w przestrzeń źrenicą zmartwiałą i szklistą, wstrząsaną tylko od chwili do chwili błyskami nieprzytomnéj prawie rozpaczy i trwogi.

Po kilku minutach otworzyły się z cicha drzwi od sieni i w progu stanęła mała Ludwisia z dwoma wiadrami, pełnemi wody, na uginającém się ramieniu. Spostrzegła naprzód milorda i krzyknęła z radością nadzwyczajną:

— Książę nasz!

Spojrzała potém na Dyrkową i prząsło z wiadrami ze

stukiem zsunęło się z jéj ramienia. Woda rozlała się po podłodze strumieniem szerokim; a mała przygarbiona istotka biegła ku dobrodziejce swéj z rozpostartemi ramionami.

— Jezusie Panie! — wołała — o, pani moja najdroższa! za zbawienie ludzi grzesznych... co pani stało się takiego...

Przypadła do kolan jéj, schwyciła obie jéj ręce, poniosła je do ust swych, do czoła, do piersi i wybuchnęła okropnym płaczem. Wtedy i Milord podniósł głowę, a spojrzawszy na matkę, z przerażoną twarzą zerwał się z ławy.

— Mamciu! — krzyknął.

Na głos jego, białe, kurczowo ściągnięte usta poruszyły się i szeptały:

— Żebrak! żebrak! książę mój żebrak!

Po chwili wymówiła jeszcze:

— Boże! zlituj się nad nim!

I zwarły się znowu silnie i szeroko otwarte oczy, patrzały w przestrzeń szklisto, martwo, strasznie...

W kilka minut potém, sąsiadki, na pomoc przez Ludwisię przyzwane, wbiegać zaczęły do izby ze wzdychaniami i okrzykami zdziwienia a Milord, schwyciwszy za kapelusz, blady i z zaciśniętemi usty, rzucił się do miasta.

Gdy wkrótce wrócił, wiodąc z sobą lekarza, sąsiadki i Ludwisia rozebrały już i położyły w łóżko Dyrkową. Stara kobieta leżała nieruchoma, z zamkniętemi powiekami. Ciało jéj, pod przykryciem staroświeckiéj kołderki w spłowiałe kraty, zarysowało linie szczupłe i sztywne. Sztywność ciała i żółtość twarzy czyniły ją podobną do

smutnéj, martwéj figurki woskowéj, a tlące życie objawiało się w niéj tylko wyrazem nieméj rozpaczy, wyrytéj na pomarszczoném czole jéj i w zaciśniętych ustach. Oddech jéj był krótki i czasem jękliwy, a żółte, wyschłe ręce, w rękawach grubéj koszuli, czyniły czasem poruszenia takie, jakby giestem grozy, to znów błagania, chciały podnieść się ku niebu, lub spleść do modlitwy. Daremnemi były długie i wytrwałe pytania lekarza. Zapewne nie słyszała ich nawet. Gdy syn jéj pochylił się nad nią i mówić do niéj zaczął, usta jéj zarysowały słaby uśmiech, który wnet zniknął a po izbie rozszedł się szept, przerażeniem nabrzmiały:

— Żebrak! żebrak! książę mój żebrak.

A potém ledwie dosłyszalne westchnienie:

— Boże zlituj się nad nim!

Po długiém badaniu, po wielu nadaremnych próbach rozmaitych lekarskich środków, lekarz półgłosem rzekł do Milorda:

— Matka pańska umiera z rozpaczy...

A w różnych kątach izby pełnéj ludzi rozszedł się szept:
— I z głodu! z głodu także!

Lekarz odszedł, lecz po kątach izby siedzące na skrzyniach kumoszki-sąsiadki i stojący przy nich poważni majstrowie, znajomi lub przyjaciele nieboszczyka jeszcze Mateusza Dyrki, z wzdychaniem lub gniewném sarkaniem, jękliwemi, szepcącemi lub burkliwemi głosy jęli przypominać sobie szczegóły różne z ostatnich czasów życia Dyrkowéj: jak to ona nic prawie nie jadła i nie piła, w nieopalonych izbach siedziała, a grosz każdy chciwie chwytała, dla synka swego szczędząc i chowając...

„Wycieńczyła się, wyschła, siły nieboraczka straciła, a teraz z głodu i słabości umiera” — szeptano dokoła.

Wszystkiego tego słuchał, z osłupieniem z razu, potém z oczyma, ponuro w ziemię utkwionemi, młody, wysoki mężczyzna, zasunięty w najciemniejszy kąt izby i plecami przyparty do ściany, tak, jak gdyby pragnął skryć się przed wzrokiem ludzi i przed strasznym widokiem matki téj, umierającéj z rozpaczy i — głodu.

Nad wieczór, sąsiadki i sąsiedzi porozchodzili się do domów swych, a w izbie zostały tylko, oprócz choréj, trzy osoby: Rębski, siedzący przy łóżku i smutnemi oczyma wpatrzony w twarz staréj swéj przyjaciółki, Ludwisia, skurczona na ziemi, na-pół okryta poręczą łóżka i małą główkę swą trzymająca w kościstych dłoniach, i młody człowiek, stojący wciąż w ciemnym kącie izby, milczący i nieruchomy. Rębski zapalił żółtą świeczkę i postawił ją na pustéj skrzyni, przyległa izba została ciemną. Około północy, wśród ciszy grobowéj, panującéj dokoła, ozwał się na dziedzińcu srebrny głos małego dzwonka. Był to znak, że do umierającéj, wezwane przez kogoś z pobożnych sąsiadów, przybywały: ostatnia pociecha i ostatnie pożegnanie ziemskiego świata. Po chwili otworzyły się drzwi od sieni i z cieniów przyległéj izby wysunęła się na żółte światło świecy żałobna postać księdza, w białéj komży i czarnéj długiéj szacie. Za nim stanęło młode chłopię kościelne, z połyskującemi w cieniu kościelnemi naczyniami i z cicha podźwiękującym jeszcze dzwonkiem.

Ludwisia podniosła głowę i przeraźliwie krzyknęła:

— O Jezu miłosierny! ksiądz proboszcz z Panem

Bogiem do mojéj pani już przyszedł.

Na krzyk ten, Dyrkowa oczy otworzyła, a ujrzawszy księdza, nagłym ruchem wyciągnęła ku niemu ręce, i szeptem głośnym, wyraźnym, zawołała:

— Ojcze mój! nic nie pamiętam! Niech tak Bóg dziecku memu litośnym będzie, jak ja nic nie pamiętam, ani com zgrzeszyła, ani com przez całe życie robiła... Nic nie pamiętam, oprócz nieszczęścia jego, synka, robaczka, kochanka mego biednego...

Coraz głośniéj i z coraz gwałtowniejszemi giestami rąk, podnoszących się w górę, to rozkładających się w rozpaczy, to splatających się jak do modlitwy, mówiła daléj:

— On żebrak teraz... książę mój żebrak... Anioł mój, z nieba wysokiego strącony... Co z nim będzie? co z nim stanie się? kto główkę jego przytuli? kto smutki jego zagoi? Dokąd go biedne nóżki jego zaniosą, kiedy on nie ma już domu, ni łomu, i kawałka chleba nie ma... i nic nie ma!... Serce jego zranili, bohdankę mu odebrali i wszystko od niego uciekło, a ja, matka, dopomódz mu nie mogę i w nieszczęściu a opuszczeniu zostawić go na tym świecie muszę, a sama iść do króla niebieskiego skarżyć się na niedolę synka mego... Oj! niedola jego, niedola! niedola...

Z piersi téj, wyschłéj i wstrząsanéj drganiami konania, wytrysnął jeszcze strumień łez z oczu zapadłych a rozpaczą błyszczących, i polał się po żółtych jak wosk policzkach.

Przyciszonym, poważnym głosem ksiądz zapytał ją o grzechy i winy jéj życia. Odpowiedziała z wybuchem:

— Nie zgrzeszyłam, ojcze mój! nie zawiniłam ja niczém przeciw niemu, kiedym go do szczęścia i wielkości

hodowała, kiedym go do wysokiego słońca na rękach moich podnosić chciała! Niczém ja, ojcze, jemu, synkowi memu, nie zawiniłam, kiedym go maleńkim jeszcze kąpała, czesała i pachnącemi olejkami oblewała, żeby wyglądał on jak paniątko delikatne, żeby ludzie nizko przed nim kłaniali się...

Ksiądz jéj przerwał i wymówił imię Boga. Ona odpowiedziała:

— Przed Bogiem spowiadam się i przed tobą, ojcze duchowny, że nie wszystko zrobiłam dla dziecka mego, co zrobić byłam powinna... Jadłam sobie, piłam, suto żyłam sama i obcym ludziom rozdawałam... Trzeba mi było o głupie ciało moje nie dbać i na ludzkie biedy nie zważać, a dla niego, robaka mego, wszystko zbierać, ciągle zbierać... trzeba mi było do rodziców bahdanki jego pójść, do nóg im upaść, płakać i prosić... trzeba mi było pomoc jaką jemu z pod ziemi wydrapać, z kamienia wygryźć, u Boga wykrzyczéć, u ludzi wybłagać... Nie zrobiłam tego i oto spowiadam się przed Bogiem i przed tobą, ojcze duchowny, że winna jestem gorzkiéj niedoli dziecka niego...

I po kilka razy, uderzając się pięścią w pierś z siłą dziwną, ze skruchą niezmierną powtarzała:

— Moja wina! moja wina! moja bardzo wielka wina!

Taka była spowiedź Dyrkowéj! Wszelkie usiłowania, wszelkie napomnienia łagodne i surowe, wydobyć nie mogły z pamięci i serca jéj żadnego wspomnienia i żalu, oprócz wspomnienia o synu i żalu nad jego niedolą. Gdy kapłan pytał ją o winy przed Bogiem, ona spowiadała się z mniemanych win swych przed synem; gdy upominał ją, aby

modliła się o zbawienie swéj duszy, ona szeptała:

— Zlituj się nad nim, Boże! zlituj się nad nim!

Nad rankiem, w wązkiéj, sklepionéj izbie panowała cisza zupełna. Łóżko Dyrkowéj umieszczoném było u okna, za którego staremi szybami i drewnianą kratą, w białym świcie poranku, stała nieruchomo rozłożysta grusza, osypana żółtemi liśćmi. Świeczka paląca się na skrzyni zgasła, czarny Bryś, chudy i smutny, przyszedł do izby i wczołgał się pod łóżko, gdzie legł, zwinięty w kłębek; u nóg choréj, żółty kotek spał na kraciastéj kołdrze; a gdy rozedniało zupełnie, z przyległéj izby wleciały dwa siwe gołębie, usiadły na poręczy łóżka i zagruchały z cicha. Chora podniosła powieki, uśmiechnęła się i słabym, lecz jak srebrny dzwonek dźwięcznym głosem, zanuciła:

Przyleciały gołąbeczki,
Z nimi przepióreczka...

Silnie i żwawo usiadła na łóżku i spojrzała w okno. Oczy jéj błyszczały, na żółtych policzkach leżały krwiste plamy rumieńców, białe włosy rozsypały się na szarą koszulę, a odsłoniły czoło wysokie, pomarszczone, lecz pogodne. Spojrzała w okno, zapuściła wzrok pomiędzy drżące w powiewach poranku złote liście gruszy, podniosła je ku niebu, na którém świecił blady półksiężyc, goniony przez różowe chmurki, i zaśpiewała:

Na ranném niebie
Miesiączek biały,
Ze stróży nocnéj...

Urwała nagle, bo gołębie zleciały na kratę okna i zagruchały znowu. Uczyniła poruszenie tak, jak gdyby przelękła się czegoś i, splatając ręce, zawiodła znowu:

Mój słowiczku, nie tak głośno
Śpiewaj na drzewięciu,
Nie przerywaj snu cichego
Mojemu dziecięciu.

A potém, kołysząc niby coś w objęciu, przeciągle smutnie nucić zaczęła:

Luli synku mój!
Luli Rajku mój!
W oczki ci gwiazdy wcałuję,
Na króla cię wyhoduję!
Synku, Raju mój!

Ogromne łkanie męzkiéj piersi wybuchnęło w kącie izby i, stojący tam dotąd, młody mężczyzna runął na klęczki u wezgłowia łóżka. Po chwili umilkł w izbie cichy śpiew kobiecy i głośny płacz męzki; nad martwą głową, spoczywającą śród włosów białych, gruchały z poręczy łóżka siwe gołębie; do ręki jéj, zimnéj już i sztywniéjącéj, długiemi pocałunkami lgnęły usta pochylonego nizko młodzieńca; a stary, szczupły człeczyna, w orzechowéj kapocie, łzawy wzrok przenosząc z obrazu tego na niebo, które za oknami złociło się i błękitniało, szepnął:

— Ty jeden tylko, o Wszechwiedzący! rozsądzić możesz, kto z dwojga tych nieszczęsnych katem był a kto ofiarą!

KONIEC.

*Tekst jest **[własnością publiczną](#) (public domain)**. Szczegóły licencji na stronie autora: [Eliza Orzeszkowa](#).*

W I D M A.

Nigdy jeszcze żadne drzwi pod słońcem pochlubić się nie mogły tak pięknym odźwiernym, jakim był ten, który od roku 1868 ery naszéj, przez lat dziesięć przeszło, przyozdabiał wnijście do najwspanialszego hotelu miasta Onwilu, — hotelu noszącego huczną nazwą Wszech-Krajów. Hotel to wspaniały, wnijście nie byle jakie i nazwa szumna. Jednakże wielu z pomiędzy przybywających do hotelu podróżnych, zamiast przypatrywać się krytemu blachą a wysłanemu asfaltem podjazdowi, marmurowym schodom i zdobiącym je kobiercom i posągom, zatrzymywało wzrok na postaci i twarzy odźwiernego, — wzrok, w którym przez chwilę objawiało się zdziwienie pewne, lub nawet zmieszanie. Rządca hotelu, pan Leonid Igorowicz (czytaj Lejba syn Icka) Rozenblatt, wytworny młodzieniec, z rzęsiście ufryzowanym czarnym włosem, z turkusowym pierścieniem na palcu i wiecznie towarzyszącym mu zapachem różanego listka, często bardzo z chlubą i rozkoszą słyszał zwrócone ku sobie wyrazy gości:

— Ależ szwajcara macie... no! zkąd-eście go sobie

zapisali? Płacicie mu chyba sumy bajońskie...

Niekiedy goście dodawali:

— Nie dziw zresztą, że możecie sobie książąt udzielnych na szwajcarów najmować... tęgo ludzi obdzieracie...

Ostatnie przemówienia te, mniejszą, niż piérwsze, rozkoszą napawały pana Leonida Igorowicza. Ażeby więc ujmę tę wynagrodzić sobie, a przytém okazać gościom, jak dalece wyższym się czuje nad wychwalanego przez nich szwajcara, z całéj siły szczupłéj piersi swéj i z wyniosłością największą, na jaką tylko zdobyć się mogła drobna istotka jego, wołać zaczynał:

— Andrzeju, Władysławo... aj! jakie to imię! Otocki! Nu! Otocki! czy ty *ogłuchał*? Otocki?

Wołania te przecież pozostawały wołaniami na puszczy dopóty, aż pan Leonid Igorowicz, zmuszony istotną pilnością sprawy, albo żądzą pokazania obecnym, że, bądź co bądź, szwajcar słuchać go musi, zdecydował się wprowadzić w mowę swą małą poprawkę i wołać zaczynał:

— Panie Otocki!

Wtedy przywoływany wychodził z oszklonego pokoiku, zwanego „lożą szwajcara," albo wracał z pod krytego podjazdu, gdzie z powozów wyjmował pakunki gości, albo jeszcze zbiegał z marmurowych schodów i, stając przed rządzcą, wymawiał:

— Słucham pana!

Obecnym wydawało się wtedy, że to żart, i że wnet, wnet, pan Leonid Igorowicz ukłoni się nizko przed Otockim, mówiąc:

— Co Wielmożny Pan rozkaże? Może kupca na pszenicę

nastręczyć?

Pochodziło to ztąd, że Otocki wyglądał tak, jakby przez całe życie swe siał, zbierał i sprzedawał pszenicę. Szlachcic z dziadów pradziadów, szlachcic rolnik, z rycerską krwią w żyłach, patrzał mu z czoła i oczu, z postawy i ruchów ciała. Czoło to, wysokie, na piérwszy zaraz rzut oka przypominające podgolone czupryny, przerzynały dwie poprzeczne zmarszczki, blizny niby, nie z orężnego przecież boju wyniesione. Z dumnym smutkiem czoła tego zgadzał się dobrze wyraz jego oczu, smutnych także, lecz śmiałych, a niekiedy, jak stał na słońcu, błyszczących. Usta za to miał on łagodne, a niewieście ich uśmiechy na-pół kryły się pod ogromnym białym wąsem, który mu aż na pierś prawie opadał. Włosy jego daleko mniéj były siwe, niż wąsy; przez cerę twarzy przeglądało życie, skąpane naprzód w swobodnych powiewach szerokich pól, a potém w długich, wielkich cierpieniach.

Rosła i silna postać człowieka tego okrytą była obcisłym, do ziemi prawie długim, surdutem z granatowego sukna. Szeroka pierś jego błyszczała galonami i posrebrzanemi guzikami hotelowéj liberyi. Boże, wszystko widzący! Ty jeden tylko wiedzieć możesz, co się z nim działo w chwili, gdy po raz piérwszy przywdziać miał granatowy surdut ów, z posrebrzanemi taśmami i guzikami! O miejsce odźwiernego w hotelu Wszech-Krajów starał się był usilnie i gorliwie, a dla otrzymania go, przez dziesięć dni z rzędu po dwie lub trzy godziny przesiadywał w przedpokoju hrabiego X., który skutecznie zaprotegować go mógł, lecz którego przedpokojowa służba nie oznaczała się zbytnią

uprzejmością dla tych, względem których pan jéj miał wielostronne obowiązki. Przed tymi za to, względem których pan jéj żadnych nie miał obowiązków, służba ta czołem niemal o ziemię biła; ci téż do salonów pana hrabiego wchodzili i wychodzili dumni, wielcy, silni; a Otocki, w kącie przedpokoju, na stołku lokajskim siedział, bladł bardzo niekiedy, jak stalą wyostrzoną błyskał szarą źrenicą — i czekał. Doczekał się nakoniec. Pan hrabia przypomniał sobie, że przecież coś tam... dla tego tam... uczynić trzeba; udzielił mu audyencyi, i na karcie wizytowéj skreśliwszy słów kilka, posłał ją właścicielowi hotelu Wszech-Krajów, który nie był wprawdzie ani hrabią, ani księciem, ale nie był téż żadnym tym tam... bo miał miliony, a ochrzcił się święconą wodą (spytajcie go sami: w jakim kościele?) wtedy właśnie, kiedy Otockiego los bierzmował wielkim policzkiem.

Właściciel hotelu Wszech-Krajów rozkazał mu stanąć przed obliczności swoją, a gdy już stanął, rzekł:

— Pan żądasz *zgodzić się* u mnie na szwajcara... no ja niebardzo z tego kontent, bo w mojéj służbie same porządne ludzie powinni być, a pan zrobiłeś głupstwo, wielkie głupstwo...

— Za pozwoleniem pana! — drżącym głosem zaczął Otocki, ale właściciel hotelu wyprostował się i, z dłonią na marmurowym stoliku złożoną, mowę mu przerwał:

— Kiedy ja gadam, to żadnego „za pozwoleniem” niéma... Kiedy ja gadam, to wszyscy powinni milczéć! sza! i obydwoma uszami słuchać. Pan zrobiłeś głupstwo, pan byłeś waryat, od pana trzeba uciekać, jak od szalonego. No!

ale ja jestem dobry człowiek; ja kiedyś byłem w Otoku i dawniejszy dwór pański widziałem: mnie pana trochę szkoda, że pan teraz bez chleba jesteś! I z hrabią Henryczkiem ja w wielkiéj przyjaźni żyję, a on mnie za panem prosi. To już ja pana za szwajcara wezmę, i tylko bardzo proszę, żebyś pan o wszystkich głupstwach zapomniał, a o tém tylko pamiętał, że moim służącym jesteś... i wszystko tak robić powinieneś, żeby mnie z tego największa korzyść była...

Otocki ukłonił się. O! cóż to był za ukłon! Kiedy oddawał go, patrzącemu z boku mogło-by się zdawać, że wszystkie kości jego, wszystkie, aż do najdrobniejszéj, buntują się przeciw zadawanemu im gwałtowi i krzyczą z bólu. Ale właściciel hotelu Wszech-Krajów w najmniejszym stopniu nie znał się na niemych krzykach udręczonych kości ludzkich i, gdy Otocki znajdował się już u progu wspaniałego salonu, przywołał go jeszcze przed obliczność swoję.

— Pan Leonid Igorowicz Rozenblatt rozmówi się z panem detalicznie, co do pana obowiązków, a pan będziesz jego słuchał; bo choć on jeszcze bardzo młody, ale on mój kuzyn, i ja każę, żeby wszyscy moi słudzy szanowali go tak, jak gdyby on był ja...

Pod przewodnictwem pana Leonida Igorowicza, odbywszy parogodzinną podróż po wspaniałym hotelu, Otocki stanął nakoniec u drzwi izdebki, która mieszkaniem jego stać się miała. Ręką, na któréj podówczas nie świecił jeszcze pierścień z turkusem, wskazując na izdebkę, pan Leonid Igorowicz rzekł:

— Tam jest ubranie wasze... ja to ubranie kazałem tam położyć... niech pan ubierze się i będzie gotowy przyjąć gości, co za parę godzin z pociągu przyjadą. Pan już wiész wszystko, co i jak robić... ja pana już uczyłem... Niech pan tylko dobrze sobie zapamięta: u nas edukacya powinna pokazywać się we wszystkiém... My tu wszyscy edukowani i dlatego hotel tak idzie, że mój stryj jeszcze jedno skrzydło dobudować chce... A co dla niego znaczy! on taki bogaty dlatego, że edukowany. W teraźniejszym świecie... Jak panu imię?

— Andrzéj.

— A imię waszego ojca?

— Władysław.

— W teraźniejszym świecie, Andrzeju Władysławo... aj! jakie to trudne imię!...

— Niech mi pan lepiéj mówi: Otocki!

— Dobrze. Mnie to tam wszystko jedno... W teraźniejszym świecie, mój panie Otocki, wszystko stoi na edukacyi; bez edukacyi człowiek głupi i nie wié, w którą stronę się obrócić. Ja bardzo szczęśliwy jestem, że mam edukacyą, i bardzo żałuję tych, co jéj nie mają... No, mnie wołają na górę do stryja! już ja muszę iść, a wy, Andrzeju Władysł... aj! jakie to imię!... ubierajcie się w naszę liberyą, tylko *geszwind!* żeby, jak goście przyjadą, być... *fertig!*...

Co pan Leonid Igorowicz rozumiał pod wyrazem edukacya, o tém Otocki dowiedzieć się miał późniéj, teraz zaś, szczęśliwy, że choćby na krótką chwilę samotnym pozostał, obejrzał się po swym kącie.

Kąt ów posiadał po pięć kroków rozległości wzdłuż i

wszerz, jednę ścianę szklaną, trzy drewniane i jedno okno, wychodzące na kryty podjazd. Było to raczéj złudzenie okna, gdyż przez dach podjazdu i podtrzymujące go kolumny światło się do niego dostać nie mogło. Że się zaś za szklaną ścianą rozpościerała sień, obszerna i ozdobna, lecz źle oświecona, dla rozproszenia panującéj w izdebce Szwajcara wiecznéj szaréj godziny, palił się w niéj dniem i nocą rożek gazu, na czarnym drucie nad biurkiem u okna stojącém zawieszony. Poco w izdebce szwajcara znajdowało się to stare biurko, niezmiernie skromnemi przyrządami do pisania zaopatrzone? wiedział o tém pan Leonid Igorowicz, który je tam umieścić kazał. Zresztą, było tam stołków parę, u ściany szklanéj stał piecyk żelazny, a w kątku najciemniejszym, na żelazném także łóżku, leżał granatowy surdut z błyszczącemi guzami i takaż czapka, oszyta srebrnym galonem.

Otocki podniósł nieco surdut i nagle wypuścił go z rąk, bo dokoła niego powietrze napełniło się szumem, nie tym jednak, który składał się z turkotu i głosów miejskich, lecz toczącym się wysoko nad głowami ludzkiemi, szumem starych drzew, pośród którego, w oddali, w dalekiéj dali, dawał się słyszeć czasem klekot bociana, a czasem śpiew skowronka.

Otocki nie zdziwił się bynajmniéj tém złudzeniem zmysłów, doświadczał go bowiem w każdéj trudnéj do przeżycia chwili oddawna, od czasu, gdy opuścił rodzinny swój Otok, aby udać się w podróż daleką i długą. Z dalekiéj i długiéj podróży, z któréj wrócił przed kilku miesiącami zaledwie, przywiózł on dwa nabytki: mleczną białość

ogromnych swych wąsów i lekką niemoc w nodze, co, nie nadwerężając energii jego ruchów, rzucała na nie cień wykwintnej niedbałości, którą z zadowoleniem zauważył właściciel hotelu Wszech-Krajów, a pan Leonid Igorowicz naśladować postanowił...

Chwila była podobną do téj, która następuje po przejściu wielkiéj burzy. Gromy uderzać przestały, chmury przerzedziły się i odsłoniły błękit i słońce; lecz w powietrzu, którego zmącone warstwy nie ułożyły się jeszcze w ład należyty, rojami latają liście, od drzew swych oderwane, doskonałe obrazy rozsypki, sieroctwa i obłędu. Kędy przedtém rosły wspaniałe drzewa, stérczą teraz nagie, zwęglone pnie; góry i wzgórza zamieniły się w głębokie rozdoły, a doliny wydęły się, urosły i szumiącą pianą oblewają upadłe wielkości. Biedne liście latają we wszystkie strony, szukają, nie znajdują, dziwią się, nie rozumieją nic i, spotykając się, szepcą sobie po cichu, że świat się kończy. Jest to jednak nieprawdą; świat wielce oddalonym jest od końca swego, a tylko czas i wypadki zorały grunt jego i rzuciły w niego zasiew nieznanych przedtém zjawisk.

Otocki był jednym z liści takich. Miał kiedyś wioskę cichą i piękną, z szumiącemi drzewy, klekocącym bocianem i skowronkami, zrywającemi się z nad zielonych runi, nie była już ona własnością jego. Posiadał znajomych, przyjaciół i krewnych... co się teraz z nimi działo? Bujali, jak on, w zmąconém powietrzu, pośród obcych i niepojętych im obrazów, albo przypadli do ziemi, do saméj ziemi, i przylgnęli do niéj mocno, cicho, tak, jakby

pragnęli, aby świat o nich zapomniał, aby tylko końca swego w pokoju i bezpieczeństwie doczekać mogli. Nadewszystko przecież, nadewszystko Otocki pamiętał o tém, że był kiedyś ojcem, miał jednego syna, który w czasie nieobecności jego, z szybkością nadzwyczajną dokonał z kolei wielu rzeczy: dorósł, w charakterze najniższego kancelisty pracować zaczął w jakiémś rządowém biurze, ożenił się, wpadł w nędzę, dostał suchot i — umarł. Żona jego, a Otockiego synowa, poszła wkrótce w ślady męża. Jeden ze strumieni, przez burzę wywołanych, ten mianowicie, który płynął sieroctwem przedwczesném i ubóztwem niespodziewaném, porwał na fale swe dwa te liście bezdomne i słabe, i uniósł je w nieznane krainy.

Otocki, rozejrzawszy się dokoła i dowiedziawszy się o wszystkiém, pomyślał, że najrozsądniejszą rzeczą, jaką uczynić mógł, było dobrowolne udanie się w tęż drogę, w którą udał się jedyny syn jego, a z któréj nie wraca nikt. Wprawdzie trudno mu było zdobyć się na krok ten, gdyż posiadał on wiarę religijną, samobójstwa wzbraniającą. To jednak, czego pragnął, co uważał za wypadek najpomyślniejszy ze wszystkich, jakie go jeszcze na ziemi téj spotkać mogły, przyszło-by może samo przez się, w skutek nadzwyczajnego zniechęcenia do wszech rzeczy ziemskich, które go ogarnęło i odebrało mu tak siłę, jak ochotę, bronić się od głodu. Co prawda, nie miał on nawet przebłysku pojęcia o tém, w jaki sposób mógłby i potrafił pracować na kawałek chleba. Otwarcie zeznawał przed sobą, że oprócz siania, zbierania i sprzedawania żyta i pszenicy, to jest tego, co robił przez całe życie, nie umiał

robić nic. Jednak ani mu przyszło na myśl zapytać siebie: co z tego będzie? Miał jeszcze o czém przeżyć tydzień, dwa, a potém... o! strumieniu, który na falach swych uniosłeś w krainy nieznane wszystkie bogactwa i ukochania człowieka tego, z czołem zoraném i wąsem, jak śnieg białym, przybywaj!...

Z czołem zoraném i białym wąsem, melancholijnie na pierś opadłym, z twarzą znieruchomiałą i dłońmi bezwładnie na kolana opuszczonemi, Otocki siedział w najętéj izdebce, zimnéj, mrocznéj, i nieustannie, z wyrazistością nigdy przedtém niebywałą, słyszał dokoła siebie szum starych lip, klonów i topoli. Lipy były rozłożyste i gwarzyły najgłośniéj; klony zaś, osypane drobném, żółtém kwieciem, kłaniały się z dala topolom tak połyskującym, jakby je kto był w roztopioném srebrze zanurzył. Jabłonie, grusze, śliwy, rosnące pośród ogrodowych kwadratów, prawiły o czémś ciszéj i skromniéj, a szepty ich, niesione wiatrem, łączyły się w powietrzu ze smutnym szmerem, stojącéj po polach, samotnéj i dzikiéj braci. Wśród szumów tych, które gammą spadów i tonów przerozmaitych toczyły się w powietrzu, kędyś, nad strzechą jakąś zapewne, klekotać zaczął bocian i klekotał wciąż, coraz zawzięciéj i doniośléj, a gdy milkł na chwilę, z-za drzew i strzech, z nad runi zielonéj, z błękitnego powietrza, dolatywało cichutkie, srebrne dzwonienie skowronka.. Otocki wsłuchywał się w otaczające go szumy i odgłosy i myślał: — gdyby to umrzéć!...

Wtém otworzyły się drzwi, o których zamykaniu ani

pomyślał; do izdebki wszedł nieznany mu człowiek i, wymawiając znane niegdyś nazwisko, oddał mu list. Otocki list ten przeczytał i — odłożył. Jakby w czarodziejskich, siłodawczych wodach skąpany, począł on dnia tego ruszać się po świecie, starać się o pracę jakąś, jakąkolwiek, byle-by mogła mu udzielić możności życia. Starał się, wypytywał, prosił, kark do ukłonów zginał, tłumił wybuchy głosu, powściągał błyski źrenic, wszystko znosił, na wszystko przystawał, byle-by dopiąć celu. Dopiął go nakoniec, zdobył zajęcie i zarobek i, wypuściwszy z rąk surdut liberyjny, runął na stołek, kryjąc w dłoniach twarz, płonącą szkarłatnym rumieńcem.

Nie chciéć przyodziać się w liberyą hotelu Wszech-Krajów, był to zapewne przesąd, przesąd marny i bezpodstawowy, sprzeczny zupełnie z powszechnie znanym axyomatem, że nie suknia zdobi człowieka, ale człowiek suknią. Suknia! cóż? prosta to kwestya barwy i kroju. Rządząc się prawami czystego rozumu, Otocki powinien był ze stoicką obojętnością włożyć na siebie odzież, która z wszelką inną odzieżą różniła się tylko krojem i barwą. Na nieszczęście, o doli, lub niedoli człowieka, nie sam tylko rozum stanowi, lecz wpływają téż na nie uczucia, przywyknienia i nawet przesądy. Otocki przesądnym był, to pewna; nie unicestwiało to przecież faktu tego, że liberyi hotelu Wszech-Krajów, ze wszystkich sił i wszystkiemi władzami istoty swéj, włożyć na siebie nie chciał, a niechcenie to sprawiało, iż cierpiał bardzo. Cierpiał tak bardzo, że tuż-tuż zerwać się już miał ze stołka, udać się do pana Leonida Igorowicza i oświadczyć, że zrzeka się

miejsca, o które starał się był jednak tak długo i tak gorliwie; gdy... drżąca dłoń jego, przesuwając się po piersi, wzdętéj czemś, nakształt łkania, dotknęła szeleszczącego przedmiotu jakiegoś, znajdującego się w kieszeni wytartego surduta. Szybko, gwałtownie niemal, wyjął on z kieszeni szeleszczący ten przedmiot. Był to list, ten sam, który oddano mu wtedy, gdy, w zimnéj i mrocznéj izdebce siedząc, wsłuchiwał się w czarodziejski śpiew swéj przeszłości i myślał o udaniu się w bezpowrotną drogę. I teraz także otworzył list ten i od początku do końca przeczytał co następuje:

„Szanowny panie Andrzeju!

„Nie jest zapewne panu niewiadomém, że syn jego, umierając, pozostawił dwuletnią córeczkę, którą w rok potém Pan Bóg pozbawił téż matki. Przez pamięć na dalekie pokrewieństwo, które łączy mię z kochanym panem Andrzejem, i przez litość nad biedną sierotą, wzięłam dziecię do domu mego, gdzie téż dotąd przebywa, hodując się wspólnie z dziećmi memi. Nie jestem jednak wcale bogatą, mam troje dzieci własnych, a ostatnie czasy zrujnowały mnie majątkowo i zarazem pozbawiły opieki męzkiéj. Dowiedziawszy się więc o powrocie szanownego pana Andrzeja z podróży, postanowiłam zapytać: czy nie zechciał-by pan wziąć wnuczki swéj do siebie? ja bowiem z trudnością mogła-bym ją nadal utrzymywać; co zaś do wychowania, to już za nic nie ręczę i nic nie przyrzekam. Jeżeli pan przychylisz się do prośby mojéj, postaram się, aby ktoś, godny zaufania, odwiózł dziecko do Onwilu. Lusia ma teraz lat sześć i jest nadzwyczaj podobna do ojca

swego, któregośmy wszyscy tu znali i szanowali bardzo. Biedak, porządnego wychowania, w nieobecności pana, nie otrzymawszy, pracował, jak mógł i umiał, ale, żony i dziecka przyzwoicie utrzymać nie mogąc, zapracował się i zagryzł w bardzo młodym wieku. Synowa pańska była dobrą i łagodną kobietą, ale słabowitą téż, dalikatną i — do niczego. Lusia jest prawdziwie dzieckiem nieszczęścia, i tylko w szanownym panu można pokładać nadzieję, że los jéj uczynisz lepszym, niż był ten, który zgnębił biednych jéj rodziców.”

Nadzieję! w nim tylko mała wnuczka jego pokładać mogła nadzieję uniknięcia złéj doli! w niéj tylko spoczywała nadzieja jego — posiadania jeszcze w życiu tém jakiéjś nadziei!

Zerwał się ze stołka i pochwycił w obie ręce surdut liberyjny. Ubierał się prędko, prędko zapinał u piersi srebrne guziki, prostował i wykładał u szyi kołnierz, oszyty galoném; a choć na czoło jego, bardzo blade, wystąpiło kilka kropel potu, choć czuł, że skóra jego przy zetknięciu się z granatowém suknem drga mu i boli od stóp do głowy; na ustach jego, pod wąsem białym, przewijał się uśmiech, a szare źrenice błyszczały jak stal.

W téj chwili zastukano do szklanych drzwi izdebki i głos kobiecy zawołał:

— Panie Andrzeju! panie Andrzeju! Lusię przywieźli! przyprowadziłam ją panu!

Wtedy rosły i barczysty człowiek ten, jak w futerale zamknięty w obcisłym, do ziemi prawie długim, surducie, z młodzieńczą żywością rzucił się ku drzwiom i, porwawszy

w ramiona szczupłe, ubogo ubrane, dziecię, wniósł je do izdebki. Tu, bladą twarz dziewczynki wysuwając pod światło gazowego różka, chciwy wzrok zatapiał w nią przez chwilę i śmiał się głośno, serdecznie, z całéj piersi. Poczém zaczął całować dziewczynkę w usta, oczy, włosy, i mówić przytém niewiedziéć co, słowa jakieś bez sensu ni związku.

— Po Romku moim! — szeptał, — po biednym moim!... biorę... biorę... zobaczysz, jakim będę dla dziecka twego! Żebym ją znał, to-bym wiedział, czy to maleństwo podobne do matki!... Oczy Romka i moje, bo my z sobą byliśmy podobni!... Dziadunio! oho! dziadunio! dam ja tobie mała za to, że mię starym dziadem robisz!... Co? może-ś się zlękła?... oj, ty robaczku! promyku łaski Bożéj, spadły na ciemną drogę moję!

Tak, cisnąc małą do piersi, z wielkim wybuchem głosu zawołał:

— Jedyna moja!

Takiém było zainstallowanie się Otockiego w hotelu Wszech-Krajów. Małą Lusię przecież gdzieindziéj ulokował; niepodobna bowiem było, aby dziewczynka mieszkać mogła w hotelu, w oszklonéj i wiecznie mrocznéj izdebce dziadka Szwajcara.

Kobieta, która przyprowadziła Lusię do dziadka i w krótkiéj rozmowie umówiła się z nim, że za oznaczoną małą opłatę utrzymywać ją i hodować w domu swoim będzie, była panią Anielą Marcellową Ryżyńską, żoną kancelisty, pracującego w jedném z biur rządowych, a za pracę swą otrzymującego, w dwudziestym dniu każdego miesiąca, rubli srebrem dwadzieścia.

Średniego wzrostu i silnéj budowy ciała, nie odznaczającéj się zbytnią niezgrabnością, ani téż żadnym szczególnym wdziękiem, w skromnéj czarnéj sukni, przez oszczędność zapewne przywązkiéj i przykrótkiéj, w futerku, z wytartém nieco pokryciem i zrudziałym kołnierzem, w kapeluszu czarnym, oprócz czarnéj téż woalki, nieposiadającym cienia ozdób żadnych, pani Aniela przebiegała często ulice ludnego miasta, przez nikogo nie spostrzegana, bo najmniejszą cechą wyłączności jakiéjkolwiek uwagi niczyjéj na siebie nie zwracająca. Aby zwrócić na siebie uwagę ludzką, musiała-by ona chyba gwałtownie komu w drogę wléźć, a z okna trzeciego piętra na ulicę spaść, albo być przejechaną. Inaczéj nikt wyróżnić nie mógł skromnéj téj, niepięknéj, ubogiéj, a zawsze czegoś śpieszącéj się śmiertelniczki, z pomiędzy tłumu śmiertelników, zupełnie podobnemi cehcami obdarzonych. Jednak kto-by chciał i umiał spostrzegać, ten w powierzchowności jéj spostrzedz mógł cechy pewne, jéj tylko właściwe, i nawet chwili zastanowienia godne. Twarz jéj była okrągła, pełna i silnie rumiana, co czyniło ją młodszą, niż była istotnie; miała bowiem lat trzydzieści kilka, a dwudziesto-letni koloryt cery. Lecz na tle właśnie zdrowych i silnych rumieńców tych, w szczególny sposób uderzały wzrok patrzącego trzy głębokie bruzdy, poprzecznie przerzynające czoło, i rój drobnych zmarszczek, które w różnych kierunkach okalały oczy. Sprzeczność to była, która na twarz tę kładła dwa różne piętna: zdrowia i życia z jednéj strony, z drugiéj cierpienia. Cierpienie zaś znajdowało się w téj odmianie swojéj, która

nosi nazwę — troski. Nie był to żaden ból serdeczny, ani żadna tęsknota, ani żaden subtelny jad goryczy lub zwątpienia; była to troska powszednia, pozioma, lecz dawna snadź i nieustanna. Troska ta téż sprawiała, że oczy pani Anieli, błękitne jak niebo, i rzekłbyś, na to tylko stworzone, aby wznosić się ku niebieskim wysokościom, dziwnie były ruchliwe i niespokojne. Jeżeli prawdą jest, że dusze ludzkie przemawiają przez oczy, to dusza pani Anieli wołała ciągle: „o! jakże mi pilno! jakże wiele mam do zrobienia! co ja pocznę! jak ja sobie poradzę!” A gdy takie wykrzyki wydobywały się z duszy jéj przez błękitne niespokojne oczy, usta jéj, niezbyt kształtne, uśmiechały się do ludzi, z którymi rozmawiała, uśmiechem zbyt szerokim, lecz w którym ukazywały się dwa rzędy białych jak perły zębów. Czasem, gdy uśmiechała się w ten sposób, nie wiedzieć dlaczego, w téj-że chwili do oczu jéj nabiegały łzy. Miałaż-by rozstrojone nerwy, lub może taki na dnie serca gruby pokład smutku, że z niego co chwila, bez jéj o tém wiedzy, podnosiła się wilgotna para i na mgnienie oka okrywała źrenice jéj szklistą obsłoną? Niewiadomo. I o tém również wspomnieć warto, że ręce pani Anieli były czerwieńsze od jéj twarzy, zgrubiałe, spracowane, wyraźnie znamionujące bardzo rozległe a ciągłe stosunki z rondlami balią, miotłą, igłą. Rąk tych nie okrywał nigdy żaden cień rękawiczek, ani w mrozy, ani w niedziele.

Tak wyglądała kobieta, która, małą Lusię prowadząc za rękę, wraz z nią przebyła parę ludnych ulic, weszła w głęboką, sklepioną bramę bardzo staréj i bardzo wysokiéj, na żółty kolor pomalowanéj, kamienicy, i wspinać się

zaczęła na wązkie, źle oświetlone, brudne wschody. Długa to była wędrówka. Na piérwsze i na drugie piętro wbiegły obie szybko i z łatwością; przebywając trzecie, kobieta zwolniła kroku; u początku czwartego dziecko stanęło, zdyszane i zarumienione od zmęczenia.

— Co? już zmęczyłaś się! — zaśmiała się pani Aniela, — nie bardzo widać silną jesteś... mój Julek, jak był w twoim wieku, to dwieście razy na dzień wlatywał na te same wschody i zlatywał z nich. Chcesz odpocząć? E! niéma czasu odpoczywać! moi tam gdzieś bez obiadu siedzą...

Schyliła się, pochwyciła dziewczynkę w ramiona i, z ciężarem tym przebywszy jeszcze ze trzydzieści stopni, stanęła przede drzwiami, których liczne szczeliny zapełnione były pakułą i obite skrawkami sukna. Zasapana, czerwieńsza jeszcze niż zwykle, postawiła dziecko na ziemi i weszła do mieszkania, wołając na idącą za nią dziewczynkę:

— Chodź, chodź, chodź, chodź!

Wołanie to było pieszczotliwe i wesołe.

Przez malutką kuchenkę, w któréj nie było w téj chwili ognia, weszły do pokoiku, o ścianach pomalowanych na brzydki żółty kolor, z trochą starych i bardzo tanich mebli, i jedném oknem, wychodzącem na ulicę, a raczéj wznoszącém się nad nią o całą wysokość czterech piętr. Tu pani Aniela zdjęła kapelusz, z pod którego ukazały się bujne włosy płowo-rudego koloru, gładko nad czołem przyczesane, a z tyłu głowy w jeden wielki warkocz zwinięte i, schyliwszy się ku Lusi, rozebrała ją z szaréj i

niedość ciepłéj zimowéj odzieży. Czyniąc to, rzuciła pytanie:

— Dawno tu już jesteś, Marceli?

Siedzący u okna mężczyzna odpowiedział:

— Jak zwykle... wyszedłem z biura punkt o trzeciéj.

Schylona wciąż nad dziewczynką, starannie zawiązując na szyi jéj ciepłą chusteczkę, zapytała jeszcze:

— Czy bardzo jesteś głodny?

— Ej nie, — odpowiedział, — tylko myślę, że nie będę już miał czasu zasnąć trochę przed pójściem do biura.

— Oho! — zawołała, prostując się, — jeszcze czego! żebyś i tego nawet odpoczynku nie miał! Spóźniłam się dziś z obiadem, to prawda:.. trzebaż było temu biedakowi wnuczkę pokazać, ale to nic! zaraz nakryję i podam! szach mach! zjesz i zaśniesz jeszcze sobie. Julek! Julek!

Na ten ostatni wykrzyk z przyległéj izdebki wyszedł chłopak w gimnazyalnym mundurku, niewiele więcéj nad lat dziesięć miéć mogący, z podartą książką w ręce.

— Patrzaj! — rzekła do niego pani Aniela, — oto panna Ludwika Otocka, wnuczka pana Andrzeja, który tu u nas bywa. Nazywa się Lusia. Dziś z rana, kiedyś był w szkole, przyjechała ze wsi. Mieszkać będzie u nas. Proszę być dla niéj grzecznym, zabawić ją i pomódz, aby rozgościła się w domu.

Stanowczym i urywanym tonem dowódzcy rozkazy te wydawszy, zakrzątnęła się około nakrywania do obiadu małego stołu. Robiła wszystko z nadzwyczajnym pośpiechem i zajęciem, możnaby powiedziéć, z zapałem. Obiad, składający się z rosołu i kawałka gotowanego mięsa,

stał gotowy w kuchennym piecyku. Przyniosła go w wyszczerbionéj wazie, którą na stole postawiwszy, ukrajała cztery porcye razowego chleba, rozdzieliła mięso na cztery części i zawołała:

— Proszę na obiad!

Mężczyzna, siedzący dotąd pod oknem, wstał i powoli zbliżył się do stołu. Był to człowiek, wyglądający na lat czterdzieści, średniego wzrostu, szczupły, z długą bladą twarzą, otoczoną krótko przystrzyżonemi włosami i pozbawioną wszelkiego zarostu. Twarz ta, połyskująca od niezmiernie starannego wygolenia, uderzała szczególną sztywnością rysów i wyrazu. Piwne, głęboko osadzone, oczy jego, przesuwały się z przedmiotu na przedmiot leniwie i obojętnie, wązkie i blade wargi obu kątami zwisały w dół, co nadawało im wyraz niemiéj goryczy i wytwarzało na policzkach dwie głębokie i suche fałdy.

Z tą martwotą i suchością powierzchowności całéj w szczególny sposób sprzeczała się chciwość, z jaką pan Marceli zabrał się do jedzenia. Jadł prędko i łakomie, a jednak niewiele, bo wkrótce odsunął od siebie talerz, na którym znajdowało się jeszcze sporo zupy i mięsa. Znać w nim było człowieka zgłodzonego, lecz któremu niezdrowie i zmęczenie pozwalało lada okruszyną głód zaspokoić. Pani Aniela podniosła twarz z nad talerza i niespokojnie na męża spojrzała.

— Dlaczego przestałeś jeść, Marceli? — zapytała, — Mój Boże! jakże można jeść tak mało, pracując tak wiele! Czy ci nie smakuje? czy może... nieprzyjemność jaką dziś miałeś?...

Ryżyński uczynił powolny ruch ręką.

— Co tam! — rzekł, — ile chcę, tyle jem, więcéj nie chcę.

Mówił suchym i przytłumionym głosem. Pani Aniela patrzała na niego coraz niespokojniéj.

— Cóż? — zaczęła, — pewnie znowu *ten* powiedział ci co przykrego? Może ci więcéj jeszcze, niż zawsze, roboty nadawali? Miałeś nieprzyjemność jakąś... już ja to widzę...

Energiczniéj nieco, niż przedtém, Ryżyński zaprzeczył.

— Ej nie! nic dziś nie stało się nowego. Poco masz martwić się daremnie! jak wczoraj, tak dziś, tak jutro... Co było, to jest, a co jest, to będzie!.. i koniec.

— No, no! — uspokojona już nieco, odrzekła pani Aniela, — żeby tylko gorzéj nie było... żeby nie gorzéj...

— Otóż to! — dokończył Ryżyński, a gdy wymawiał krótki ten wyraz, kąty ust jego drgnęły, a w głębi leniwych i ostygłych źrenic zamigotało smutne i trwożne światełko.

Do tych kilku zamienionych słów ograniczała się cała przyobiednia rozmowa. Lusia i Julek nie mówili nic, tylko od chwili do chwili ciekawie spoglądali na siebie.

Ze zwykłą szybkością i energią ruchów, pani Aniela wstała od stołu i, podjąwszy wysoko, a białym fartuchem starannie osłoniwszy czarną swą suknią, gorliwie zajęła się w kuchence myciem i wycieraniem talerzy, garnków i rondli; pan Marceli zaś powoli wysunął się do przyległego pokoiku, gdzie zdjął surdut z pozłacanemi guzikami, włożył natomiast szlafrok, spuścił u okna płócienną roletę, i położył się na jedném z dwóch łóżek, zapełniających sobą cały prawie pokoik. Po chwili usypiał już głęboko, a

delikatny, zmięty profil twarzy jego, żółtawą bladością odbijający od białych poduszek, wydawał się we śnie bardziéj jeszcze zmęczonym i martwym. Pani Aniela szybko i na palcach przebiegała bawialną izdebkę, cichutko przymknęła drzwi sypialnego pokoju i, zwracając się ku dzieciom z palcem do ust przyłożonym, szepnęła:

— Cicho dzieci! cicho! nie obudźcie go czasem.

Potém przez czas jakiś jeszcze brząkała w kuchence talerzami i garnkami, przysiadłszy na ziemi, czyściła krédą samowar; narzuciwszy chustkę na głowę i plecy, wybiegła z mieszkania i wróciła wkrótce z dzbankiem pełnym wody w jednéj ręce, a koszyczkiem z bułkami w drugiéj; samowar wyczyściwszy, dzbanek z wodą i bułki umieściła na stojącym u okna tapczanie, odetchnęła głęboko, przymknęła powieki, i w mgnieniu oka, z głową wspartą o twardy skraj okna, usnęła. Był to widocznie sen na prędce, ogarniający ją nieprzezwyciężenie, sen, któremu uległa bez namysłu i pomimo woli. Za poduszkę służył jéj, zwinięty z tyłu głowy, złcisto-rudy warkocz.

W małém mieszkanku, w tém gnieździe ubogiém i tak wysoko wzniesioném, iż zdawało się ono być bliższém chmurnego nieba, niż błotnistéj ziemi, zapanowała wtedy cisza głęboka. Ciszę tę mącił tylko monotonny, głośny oddech dwojga uśpionych ludzi, chrapliwy tentent wiszącego na ścianie zegara, z bukietem róż na starém obliczu, albo kędyś w dole, w głębokim dole, toczący się, do grzmotu głuchego podobny, turkot, lub przeciągłym jękiem strzelający w górę, oderwany dźwięk katarynki. W ciszy téj, na dwóch wysokich krzesłach, spłowiałym

perkalem obitych, siedzieli u okna Julek i Lusia, milcząc i z kolei patrząc to na siebie, to na okno, powlekające się z wolna szarą zasłoną zmroku. Chłopiec był ładny, smukły, z bladawą, ściągłą twarzą, okrytą wyrazem znudzenia i niezadowolenia, właściwym mu snadź, a zwiększonym przez to, że gęste, ciemne włosy jego, były w szczególny sposób rozczochrane; nieład zaś ten, w uczesaniu jego zachodzący, zwiększał on jeszcze co chwila niecierpliwemi i znudzenie wyrażającemi giestami. Dziewczynka, przeciwnie, zachowywała się bardzo spokojnie. Miała ona włosy jasne, jak len, a oczy duże, ciemne, z czarną brwią i rzęsą.. W oczach i w zarysie bladawych ust wnuczki szwajcara spoczywała dziwna w jéj wieku zaduma. Nie była strwożoną znalezieniem się wśród miejsc i osób obcych; zdawało się tylko, że myślała nad czémś smutnie a spokojnie.

Chłopiec piérwszy przerwał milczenie.

— Cóż? — zapytał — ze wsi przyjechałaś? cóż tam na wsi? Jak to wygląda?

— Alboż sam nie widziałeś? — odpowiedziała z cicha, lecz śmiało.

— Żebym widział, to-bym nie pytał. Co ja widział? Żółte ściany i koniec. Czy i na wsi są takie żółte ściany?

Tu rzucił ręką, wskazując brzydkie, monotonne, żółte, jak ośrodek jaja, ściany rodzicielskiéj bawialni.

Dziewczynka spójrzała dokoła i odrzekła:

— Nie! Takich ścian tam niéma.

— A cóż jest?

Z powagą i z niezmąconym spokojem wyliczać zaczęła:

— Drzewa, takie zielone... ptaki, kwiaty, żyto, kury, indyki takie wielkie, koty... wszystko!

— Patrz, patrz! — rzekł Julek — to tam dużo ładnych i ciekawych jest rzeczy! Szczęśliwa jesteś, żeś to wszystko widziała.

Dziewczynka wymówiła krótkim i dziwnie suchym głosem:

— Nie!

— Co? nie? — zapytał Julek.

— Ja nie jestem szczęśliwą! — odpowiedziała.

— A dlaczegoż-to? Przecież do klas nie chodzisz i na takie żółte ściany od urodzenia swego, tak jak ja, nie patrzałaś! To i czemu nie jesteś szczęśliwą?

— Ot, zwyczajnie — rzekła — sierota i koniec...

— No! matki i ojca nie masz, już słyszałem o tém. Z dziadkiem dziś się poznałaś i zdaje się, że niewielką będziesz miała z niego pociechę. Stary, będzie na ciebie pewno gdérał. Ale zawsze... czemuś nie była szczęśliwą? Czy źle obchodzili się z tobą?

— Nie! — odpowiedziała ze zwykłym spokojem.

— No, to cóż?

— Nic... tak jakoś... — szepnęła.

— Cóż to znaczy: tak jakoś?

Wzruszyła z wolna ramionami.

— Czy ja wiem? Wszyscy poumierali, wszyscy cudzy, nikt nie pokochał nigdy, nikt nie pożałował i... koniec.

— E! — rzekł Julek — kaprysisz! Co ci tam złego! Ot mnie biéda i biéda! odkąd urodziłem się zawsze to samo i to samo. Ojciec biédę klepie, matka biédę klepie, i ja klepać

muszę.

— A czemuż to tak? — zapytała Lusia.

— Ot, czemu? Wiadomo. Ojciec jest urzędnikiem kancelistą, dwadzieścia rubli na miesiąc bierze, a wiész ty, że to wielka biéda. Ale to-by jeszcze nic, gdyby jaka nadzieja była, że człowiekowi lepiéj kiedy będzie. Gdzie tam! Czy ty wiész, że gdyby ojciec gwiazdy z nieba zdejmował, gdyby zapracował się na śmierć, to-by nic z tego nie przybyło. Co było, to jest, co jest, to będzie...

Lusia przerwała:

— Twój tatko tak przy obiedzie mówił...

— A mówił. On to zawsze mówi, i ja nauczyłem się mówić. Żółte ściany były, żółte ściany są i żółte ściany będą.

Przy tych słowach, obie ręce podniósł ku głowie i do niepodobieństwa zczochrał swe włosy, przyczém pełne nienawiści spójrzenia rzucał na ściany bawialnéj izdebki, do których wyraźnie uczuwał głęboką i niemilknącą nigdy antypatyą.

— A dlaczegoż to tak? — zapytała znowu Lusia.

— Albo ja wiem? — odpowiedział — albo mnie kiedy ktokolwiek co wytłómaczy? rozpowié?... gdzie tam! Ojca nigdy w domu niéma, a jak przyjdzie, to taki zmęczony, że tylko zjé i spać idzie; mama zawsze zajęta i, jak się o co spytam, to mówi, że czasu nie ma, albo, że sama nie wié... bo pewno nie wié. Ja chciał-bym o wielu rzeczach wiedziéć: co to? jak to? po co? zkąd? ale dowiedziéć się ani sposobu. Nuda tylko, biéda i po wszystkiém.

— I koniec! — zawtórowała Lusia.

W czasie, gdy Julek wynurzał przed nią dolegliwości swe, w sposób, świadczący o wczesnéj dojrzałości, a może i o wczesném nadwiędnięciu dziecięcéj jego istoty, ona myślała zapewne o własnych przebytych biédach i, jak mała papużka, zmieniająca tylko ton podanego sobie wyrazu, wymówiła:

— I koniec!

Jakby dla rozweselenie biadającéj téj u szarego okna pary malutkich ludzi, nad zdobny w bukiet z róż cyferblat starego zegara wyskoczył szary ptak sporéj wielkości, i z łoskotem uderzając blaszanemi skrzydłami, w ciszę i zmrok, napełniające pokoiki, rzucił pięć razy powtórzony okrzyk:

Kuku! kuku!

Stary zegar posiadał nietylko wesoły bukiet róż, ale weselszą od niego kukułkę, która co godzina przyzywała pomiędzy żółte ściany, te śmiertelne nieprzyjaciółki Julka, świetlaną wiosnę, tę dotychczasową serdeczną przyjaciółkę Lusi. To téż po raz piérwszy, odkąd tu weszła, dziewczynka uczyniła ruch żywy i prawdziwie dziecięcy. Zerwała się z krzesła, klasnęła w dłonie i z głośnym okrzykiem:

— Kukawka! kukawka!

Rzuciła się ku zegarowi, wyciągając do niego obie ręce. Niestety! czarowne zjawisko, po wygłoszeniu piątéj z południa godziny, zapadło szybko w niewidzialne głębie zegara; Lusia w mgnieniu oka téż ochłonęła z doświadczonego wrażenia i, poważna znowu, z rękoma wsuniętemi w rękawy sukni, usiadła na uprzedniém miejscu.

W kuchence, zbudzona przez kukułkę i wykrzyk Lusi, pani Aniela zerwała się z tapczana, przelękniona tém, że spała tak długo, i zgarniając obiema dłońmi rozrzucony we śnie warkocz, a przecierając senne jeszcze oczy, zawołała:

— Julku, czy ojciec śpi jeszcze? Julku! samowar nastaw! prędzéj tylko! Mój Boże, jakżem ja zaspała! Ojciec już nie będzie miał czasu, przed wyjściem do biura, porządnie wypić herbaty!

Żywa bardzo, choć ciężka nieco, z wyrazem niepokoju i zakłopotania na czerwieńszéj, niż kiedy, twarzy, przebiegła bawialną, wszedłszy do sypialnego pokoiku, na palcach, z ostrożnością niezmierną, zbliżyła się do łóżka, na którém snem kamiennym usypiał pan Marceli, i dłoń swą na czole jego położyła. Rzecz szczególna! ręka jéj zgrubiała, ciężka, powleczona skórą czerwoną i szorstką, dziwnie miękko, łagodnie, pieszczotliwie nawet, spoczęła na bladém, suchém i mnóztwem drobnych zmarszczek okrytém czole mężczyzny. Być może, iż dobroczynne złudzenie sprawiło, że cofnął się on w téj półsennéj chwili ku najmłodszym swym latom, że zdało mu się, iż w ojcowskiéj zagrodzie czoła jego dotyka młoda gałązka brzozy, lub skrzydło białego motyla; bo otworzył oczy, pełne blasku i życia, a kąty ust jego podniosły się i zarysowały uśmiech wesoły. Z tym wyrazem na twarzy, pan Marceli wydawał się innym wcale, niż zwykle, człowiekiem. Można-by powiedzieć, że istotna natura jego na mgnienie oka wyjrzała z-za maski, którą szczelnie, szczelnie przykleił do niéj los. Trwało to przecież krótko.

— Piąta już biła, Marceli; za pół godziny... do biura —

rzekła pani Aniela, a jakkolwiek mówiła to cichym głosem i z tym uśmiechem, który u niéj, pośród warg zbyt szerokich, grubych, odsłaniał dwa rzędy zębów, pięknych, jak perły; jakkolwiek, mówiąc to, przesuwała dłoń swą po włosach jego, ruchem matki raczéj, niż żony, lub kochanki; na twarz pana Marcelego spadła znowu maska sztywna, sucha, pomarszczona na czole, a na policzkach od starannego wygolenia lśniąca. Obie splecione dłonie położył na głowie, szklanym wzrokiem wpatrzył się w przestrzeń i tak pozostał przez chwilę, całą postawą swoją i całym wyrazem twarzy zdając się bezustannie, monotonnie powtarzać:

— Co było, to jest, co jest, to będzie!

Mniéj, niż w godzinę potém, po wypiciu herbaty, do któréj pani Aniela podała chleb razowy, bułki i mléko, pan Marceli włożył na siebie surdut swój z pozłacanemi guzikami i zielonym axamitnym kołnierzem, a wziąwszy w rękę czapkę, na któréj mdło świeciła srebrna gwiazdka, zwrócił się do Julka:

— Jakże tam idzie ci w szkołach? — zapytał.

— Jak zwykle, ojcze! — odparł chłopak — dobrze jakoś!

— Dobrze? to dzięki Bogu! — rzekł kancelista, i chudą, bladą ręką swą przeciągnął parę razy po główce dziecka.

— Ucz się, ucz się! — dodał.

Otworzył usta, jak-by do téj lakonicznéj rady, czy nauki, coś jeszcze dodać pragnął. Lecz bądź to przez odzwyczajenie się od mówienia, bądź przez pośpiech, bądź, że myśli, które miał w głowie, mąciły się w skutek rzadkiego porządkowania ich i wyrażania, nie powiedział

nic więcéj, tylko, powtarzając wyraz: ucz się, ucz się, mieszkanie opuścił.

Po odejściu męża, pani Aniela znowu przez czas jakiś brząkała w kuchence naczyniem, które myła i porządkowała; poczém przyniosła do bawialnéj izdebki kosz z bielizną i, usiadłszy przy małéj lampie, zabrała się do szycia i naprawiania mężowskiéj, synowskiéj, a może i swojéj odzieży. Przed rozpoczęciem jednak roboty swéj, spójrzała przez ramię na syna, i krótkim, rozkazującym głosem dowódzcy, jakim zwykła była przemawiać, zawołała:

— Julek! ucz się!

Chłopak wziął kilka podartych książczyn i, usiadłszy przy matczynéj lampce, gorliwie, półgłosem uczyć się zaczął. Lusia siedziała na swém wysokiém krześle, przy oknie, w uprzedniéj postawie, z rękoma wsuniętemi w rękawy sukni. Zamyślonym swym, chmurnym nieco wzrokiem, patrzała ona na żółte ściany, niby czarną podartą krepą, osnute lekkiemi cieniami, na mosiężne wahadło zegara, które, jak złota iskra, miarowo błyskało to z jednéj strony dwu grubych czarnych sznurów, to z drugiéj, na kółko świetlane, które prostopadle nad lampką, pośród sufitu, naśladowało białą tarczę miesiąca, na panią Anielę nakoniec, która, w kilka chwil po wzięciu do rąk roboty, tak w niéj całą duszę swą utopiła, iż zniknęła ona całkiem z jéj twarzy. Ze zmarszczoném czołem i przygarbionemi plecami, z oddętemi wargami i okiem szklistém, w którém nie było śladu żadnéj myśli, kobieta szyła, cerowała, łatała, od czasu do czasu tylko wzdychając ze zmęczenia, czysto

mechanicznie, albo z zakłopotaniem kręcąc głową, gdy dwa kawałki płótna zejść się z sobą nie chciały, albo dziura jakaś była tak wielką, że zasnucie jéj nićmi przedstawiało niezwykłe trudności. Parę razy, w celu poprawienia warkocza, który osunął się i grubym, złotym wężem, spłynął na przygarbione jéj plecy, podniosła głowę i zawołała:

— Julek! ucz się!

Julek prostował się, a głos jego, który był przycichł na chwilę, znowu brzmiéć zaczynał w cichéj izdebce, podobny do monotonnego brzęczenia pszczoły. O Lusi pani Aniela zdawała się zapominać. Dziewczynka nie zbliżała się do niéj, ani ona jéj nie przyzywała ku sobie, i wtedy dopiéro, kiedy kukawka, załopotawszy skrzydłami nad cyferblatem zegara razy dziesięć, z niedoścignionéj zda się oddali, przywołała wiosnę, zieleń i wesołość; pani Aniela zerwała się z siedzenia, pośpiesznie do kosza złożyła robotę i zawołała:

— Dzieci! spać!

I zaczęła słać pościel, naprzód na dwóch łóżkach w sypialni, potém na kanapie w bawialnéj izdebce, i na tapczanie w kuchence.

W kilka chwil później zajętą już była czyszczeniem skromnéj sukienki Lusi i owijaniem w małe papierki posrebrzanych guzików u mundurka syna, ażeby nie niszczyły się przez noc.

— Julek! zmów pacierz!

Chłopak upadł na kolana przed tapczanikiem swym, z takiém z niecierpliwieniem, że aż zatrzęsła się podłoga

kuchenki.

— A ty, moje dziecko? czy umiész pacierz?

— Umiem! — odpowiedziała Lusia.

— No! to zmów-że go zaraz.

I dziewczynka uklękła także przed wysoką, rozłożystą kanapą, splotła u piersi małe ręce, a czarne, zamyślone oczy wzniosła wysoko, tam, kędy żółta ściana łączyła się z opylonym sufitem. I dziwna rzecz! teraz dopiéro kilka drgnień nerwowych przebiegło drobne, piękne jéj rysy, i strumień łez popłynął z oczu. Był to przecież płacz cichy, tak cichy, że pani Aniela ani dosłyszała go, ani spostrzegła, tém bardziéj, że, usłyszawszy na wschodach męzkie kroki, otwierała z pośpiechem drzwi mieszkania, aby, na godzinę przed północą wracający z biura, mąż jéj, ani chwili nie czekał przede drzwiami. Troskliwość ta zbyteczną nie była. Pan Marceli bywał w porze téj więcéj, niż kiedy, zmęczonym i zmartwiałym. I nie dziw! Do sześciu godzin dziennych, spędzanych nad machinalném przepisywaniem urzędowych papierów, dodał on jeszcze pięć wieczornych i, jakkolwiek pracował tylko rękoma, głowę miał ciężką, senną i znużoną. Rzecz to jest zresztą pospolita i zwykła, że, wśród pracujących ludzi, ci miewają wieczorem najciężéj senne i znużone głowy, którzy głowami nie pracują wcale...

Małżonkowie nie powitali się pocałunkami, ani głośną rozmową, tylko pani Aniela uśmiechnęła się do męża, zwykłym sobie uśmiechem, szerokim, lecz świeżym; on zaś, na odpowiedź, suchą swą, bladą dłonią pogłaskał z lekka złoty jéj warkocz.

— Idź-że! rozbieraj się — rzekła — a ja zaraz przyjdę z gazetą.

Z gazetą! cóż ich znowu obchodzić mogły gazety, owe posłanniczki dalekich światów, opowiadające o przestrzeniach szerokich, wypadkach wielkich, ludziach sławnych, nadziejach i trwogach ogromnéj ludzkości, ich, którzy żyli w ciasném żółtém gnieździe, pod samém prawie niebem umieszczoném, wśród drobiazgów i pospolitości ubogiego bytu? ich, nieznanych nikomu i wzajem nic prawie nieznających! Obchodziły one jednak pana Marcelego bardzo gorąco, i musiało to być zamiłowanie wielkie, skoro i on, i pani Aniela, decydowali się corocznie na wielki dla nich wydatek prenumerowania gazety. Decydowali się jednak, i jedyne te, znajdujące się w domu ich, druki, (oprócz książek do nauki Julka), zamknięte w szufladzie komody, zostawały, jak wszystko zresztą w domu, pod pilną strażą pani Anieli. Z gazetą tedy w ręku, pani Aniela weszła do sypialnego pokoiku i, usiadłszy pomiędzy dwoma łóżkami, głośno czytać zaczęła o dokonywających się we Francyi wyborach do parlamentu, o rozprawach w austryackiéj Radzie państwa, o angielskich wigach, irlandzkich Fenianach, Kedywie egipskim, Szachu perskim, o Afganistanie, Abisynii, Mexyku, Rzeczypospolitéj Argentyńskiéj i t. p. Z całego usposobienia pani Anieli z łatwością wnieść było można, że wszystkie Rady i parlamenty, i wszyscy kanclerze państw wszystkich, że wszyscy Kedywi, Emirowie i wszystkie formy rządów, i plany dyplomacyi, stanowiły dla niéj tylko chaos imion i wyrazów, obojętny, nudny, niezrozumiały, i

ochoty do zrozumienia niebudzący. Była bardzo zmęczona dniem przepracowanym, była też znudzona czytaniem śmiertelnie; lecz najbystrzejsze oko daremnie-by w całéj powierzchowności jéj szukało najlżejszego objawu zmęczenia i znudzenia. Czytała głośno, równo, wyraźnie, uśmiechniętemi usty; a kiedy poziewanie dławić ją zaczynało w sposób nieprzezwyciężony, i powieki opadały na oczy tak ciężko, jakby były przepojone ołowiem, z nad wielkiego arkusza gazety rzucała parę szybkich spójrzeń na męża... Pan Marceli, leżąc nawznak i paląc cygaro, wydawał się skąpanym w jakichś życiodawczych, odmładzających wodach. Oczy jego błyszczały, twarz mieniła się grą uczuć różnych: zadowolenia, zmartwienia, wesołości, obawy. Niekiedy z energicznemi giestami wydawał głośne okrzyki:

— A niech że go! tego Bismarcka! — wołał — zawsze wynajdzie on sposób jaki, aby postawić na swojém!

Albo z szerokiem, serdecznym śmiechem:

— Liberalni zwyciężyli! tegom się spodziewał! O! nie zduszą ich już we Francyi, nie zdławią! Ot, kraj... niebo!

To znowu, zamyślając się, poważnie mówił:

— Kto-by się to mógł spodziewać, aby systemat federacyjny raz jeszcze upadł w Austryi! Czy oni nie widzą, że jest to dla państwa jedyna deska zbawienia!

Bawił się pan Marceli w czasie czytania tego, myślał, kombinował, przebywał cały szereg wrażeń, żył. Pani Aniela bohatersko przezwyciężała senność, nudę, zmęczenie, i od czasu do czasu rzucając spójrzenia na rozgrzałego i ożywionego męża — czytała... Kiedy

skończyła czytać, pan Marceli, topiąc w twarzy jéj długie spójrzenie, rzekł:

— Zamęczasz się, Anielko, dla mnie tém czytaniem...

Wybuchnęła śmiechem.

— Ot, śmieszna rzecz! — zawołała. — Nie mogę nigdy oduczyć cię od tego: zamęczasz się! zamęczasz się dla mnie tém czytaniem! Żebym ja ci zaczęła klektać codzień nad głową: zamęczasz się, Marceli, zamęczasz się dla mnie i dla dziecka tém pisaniem w biurze! miło by ci było? Co trzeba, to trzeba. Każdy robi, co do niego należy, i koniec. Przecież ta gazeta, to twój klub, twoje spacery, twoje wszystkie wesołości i rozrywki. Chwała Bogu, że ją tak lubisz!...

Jakby sobie co przypomniała, sięgnęła do kieszeni, wyjęła z niéj dużą miedzianą dziesiątkę i, pokazując ją mężowi, rzekła:

— Zostało od dzisiejszego obiadu... czy wrzucić?

Zapytanie to było-by wielce zagadkowém, gdyby, czyniąc je, pani Aniela nie wskazała giestem sporego pudełka, przybitego do ściany i, jak to bywa we wszelkiego rodzaju skarbonkach, zaopatrzonego w wązki otwór do wrzucania pieniędzy. Do zielonéj powierzchni pudełka przyklejoną była biała kartka, a na niéj, pismem pana Marcelego, tém samém bujném, piękném pismém, którem przez 11 godzin dziennie napełniał on arkusze aktów i dokumentów biurowych, nakreślone były wyrazy:

— „Dla Julka na uniwersytet”.

Trzymając miedzianą dziesiątkę w dwu palcach, pani Aniela powtórzyła pytanie:

— Wrzucić?

— Dziś mamy trzynasty — z rozwagą zaczął pan Marceli — dwudziesty za tydzień. Za mleko i bułki zapłaciłaś?...

— Wczoraj! co do grosza!

— Wrzuć! — wyrzekł mąż.

Miedziany pieniądz zniknął we wnętrzu skarbonki, a pani Aniela, rozpinając suknią, rzekła:

— Ciekawam, ile już tam być może?

Po chwili zaczęła znowu:

— Uczy się doskonale, jest drugim uczniem w klasie; a wczoraj mówił mi, że, gdyby tam nie wiem co, na przyszły rok musi być piérwszym...

Szeptem, do głębokiego westchnienia podobnym, pan Marceli odpowiedział:

— Dzięki Bogu!...

A gdy pani Aniela zdmuchnęła lampkę, w ciemności zaczął jeszcze:

— Żeby nie ty i nie Julek...

Nie dokończył, bo w téjże chwili pani Aniela, czarodziejską niby mocą jakąś uśpiona, zachrapała przeciągle i głośno.

W taki-to sposób płynęło życie Ryżyńskich, a wszystkie dnie były tak zupełnie do siebie podobne, jak na jeden sznur znizane, doskonale dobrane paciórki. Zrana pani Aniela była bardziéj jeszcze zajętą, niż wieczorem. Paliła sama w piecach, chodziła do miasta po sprawunki, zamiatała pokoiki, nakoniec gotowała obiad, a doglądając sporządzanych potraw, szyła, prała, prasowała... Trudno było powiedzieć na pewno, czy, spełniając wszystkie

czynności te, które zazwyczaj spełnia osób kilka, wesołą była, czy smutną; bo trzy owe głębokie fałdy, przerzynające jéj czoło, sprzeczały się zawsze ze świetną świeżością jéj cery, a szczególniéj z ustami, tak skoremi do uśmiechu, że spotykała z nim każdego, ktokolwiek zjawił się na progu kuchenki.

Małe zmiany w trybie tym życia zachodziły tylko w niedzielę i dnie świąteczne; w dnie te bowiem pan Marceli, wolny od zajęć biurowych, sypiał długo, a spędziwszy ranek w jednéj z miejskich cukierni, gdzie dla odmiany czytywał gazetę inną, niż ta, którą miał w domu, wieczorem szedł do którego z kolegów swych na preferansa. Preferans, po dziesiątéj części grosza punkt, nie trwał nigdy dłużéj, jak do północy; pan Marceli jednak, wróciwszy do domu, przeciągał się, poziewał i mówił do żony:

— O, jakżem się znudził i zmęczył.

Jednakże w niedzielę następną grał znowu, z razu z ochotą i ożywieniem, rad jakby urozmaiceniu, jakie gra wlewała w monotonność jego życia; obojętnie potém i ze znużeniem, tak, jak-by uczuwał całą nicość i pustkę urozmaicenia tego. I znowu, w każdą sobotę, po przeczytaniu gazety, zabierając się do snu, głosem, który odbrzmiewał zadowoleniem, mówi do żony:

— Jutro pójdę na preferansa.

Kiedyś, kiedyś, pan Marceli czytywał w wieczory świąteczne pożyczane tu i owdzie książki, albo, małego syna biorąc na kolana, probował prowadzić z nim długie a nauczające rozmowy. Lecz do rozrywek umysłowych, zarówno jak do pedagogicznych rozmów, przystępować

trzeba niezbędnie z pewną stosowną wprawą i, nadewszystko, z pewną swobodą umysłu, których pan Marceli nie posiadał.

Nie posiadał on swobody umysłu, pośród wielu przyczyn różnych i dla téj jeszcze przyczyny, że wraz z rodziną swą stał na ruchomym gruncie, co, na lada skinienie któregokolwiek z pośrednich, lub bezpośrednich zwierzchników jego, roztworzyć się mógł pod nim i strącić go w czeluść, w któréj czarne głębie patrzéć nie mógł bez zawrotu głowy. Był on jednym z tych, do których stosować się mogą słowa ewangeliczne: „nie wiecie dnia, ani godziny...” z dodatkiem: „kiedy dachem waszym staną się lazury niebios, a chlebem — kamienie, rozrzucone po ojczystéj ziemi”.

Zdarzało się, że łagodny i ludzki zwierzchnik pana Marcelego wzywanym był gdzieindziéj, na inną jakąś posadę, a zastąpić go miał ktoś nieznany jeszcze, mający dopiéro przybyć zkądciś i dać się poznać... w jaki sposób? było to pytanie, dla mieszkańców żółtego, pod niebem zawieszonego, gniazda, równające się w wadze i sile Hamletowskiemu: być albo nie być? Człowiek ten, mający przybyć z daleka, a w którego usposobieniach spoczywała zagadka ich losu, stawał téż przed ich wyobraźnią, owinięty w mgłę, pełną uroczystéj tajemniczości, śród któréj przybierał potężną a nieubłaganą postać starożytnego Fatum. Złote hafty, zdobiące kołnierz i rękawy jego ubrania, wyglądały jak wyroki, pisane niepodobnemi do wyczytania hieroglifami. Fatum to i te hieroglify wisiały nad ich głowami i stały przed ich wzrokiem, przez długie

nieraz dnie i tygodnie. Przybywał nakoniec... jutro już przybyć miał, rozpowić się z mgieł tajemniczych, i ludzką stopę postawić na brudnéj podłodze sal kancelaryjnych. Pan Marceli wychodził do biura, a pani Aniela, odprowadzając go do połowy wschodów, zamiast zwykłego niepokoju, miała w oczach wyraz przerażenia. Idąc obok siebie, nie mówili do siebie nic i rozstawali się w milczeniu; za to, usłyszawszy kroki wracającego męża na wschodach, kobieta wypadała z mieszkania i spotykała go tak pośpiesznemi, że aż zdyszanemi, pytaniami:

— Cóż? cóż? widziałeś? mówił z tobą? jakiż on?

Niekiedy pan Marceli uśmiechał się blado, i z uspakajającym giestem mówił:

— Nic, nic; zdaje się, że dobrze będzie!

Częściéj jednak wzruszał z wolna ramionami i wymawiał:

— Kto go wié?

Znaczyło to, że potężne fatum nie raczyło jeszcze zrzucić z siebie mglistéj swéj opony; że zatém wyrok, wypisany złotemi nićmi na kołnierzu i rękawach jego ubrania, wyczytać się jeszcze nie dał. Znaczyło to, że po dniu tym nastąpić miały liczne jeszcze dnie, w których pani Aniela zbiegać będzie ze wschodów na spotkanie męża, pytając: — cóż? cóż? i w których pan Marceli, zaledwie dotknąwszy obiadu, po obiedzie nie znajdzie w parogodzinnym śnie odpoczynku i zapomnienia, bo sen spędzą mu z powiek trwożne światełka, błądzące w ostygłych jego źrenicach.

Trwoga ta przecież, którą Ryżyńscy uczuwali przed wypadnięciem z żółtego gniazda pod lazury niebios i

pomiędzy kamienie ojczystéj ziemi, była tłem tylko, usianém pomniejszemi może w położeniu ich, niemniéj jednak dolegliwemi niepewnościami. Były to niepewności takie jakich zazwyczaj doświadcza człowiek, wiedzący, iż lada chwila, w osobistą godność jego, w tę zresztą, kto wié? robakom nawet może przyrodzoną właściwość, jaką jest miłość własna, ugodzić może ostrze obelgi. Ludzie wogóle, a zatém i zwierzchnicy biurowi, miewają usposobienia różne, a wśród usposobień tych istnieją: kaprys, uprzedzenie, antypatya i tym podobne psychiczne objawy, którym zapobiedz niepodobna, ale które przewidywać można. Ilekroć zaś zdarza się, że ludzie wogóle, a zwierzchnicy biurowi w szczególności, folgują tym władzom, istniejącym w przyrodzeniu człowieczém, a zdarza się to dość często, ilekroć wyniknąć ztąd mogą rozmaite następstwa, z których jedném jest to, że ten i ów wraca do domu swego tak, jak nieraz wracał pan Marceli, nie z trwożném już światełkiem, lecz z ponurym gniewem w oczach, z piersią oddychającą ciężko, z głową, z któréj wichry bólu i gniewu wymiotły, aż do ostatniéj, wszystkie myśli spokojne i jasne.

Kiedy pan Marceli wracał do domu w usposobieniu takiém, pani Aniela zgadywała odrazu, co było. Nigdy jednak nie zapytywała go zaraz w chwili powrotu: jak to było? Po obiedzie dopiéro, o szaréj godzinie, widząc, że mąż nie zamierza udać się do małéj sypialni na poobiedni spoczynek, siadała obok niego na rozłożystéj kanapie i, przechylając głowę swą ku głowie jego, zapytywała szeptem:

— Cóż się tam stało? za co? jak?

Czasem odpowiadał jéj krótkiemi i niechętnemi wyrazy; częściéj jednak, gdy zmrok szarą oponą przysłaniał okno, czarne cienie, nakształt podartéj krepy, zalegały sufit, zegar na ścianie chrypliwym szeptem prawił swe wieczne monotonne: tak, tak! gdy z ulicy, ciągnącéj się kędyś w głębokim dole, strzelały ku górze i aż tu dolatywały przeciągłe, bolesne dźwięki katarynki; w melancholijnéj porze téj, w któréj kochankowie szepcą najmiłośniéj, a poeci najrozkoszniéj marzą, pan Marceli w suchą, bladą dłoń swą ujmował rękę żony i szeptać coś do niéj zaczynał tak długo, jak nigdy w innych porach nie zwykł był mówić. Być może, iż wrażenia, doświadczone w dniach owych, wstrząsały istotą jego i wskrzeszały zdławioną jéj energią; bo z ciężkiego szeptu jego wybijały się od chwili do chwili, głośno wymawiane, słowa gniewu, czy żalu, na które pani Aniela pragnęła snadź odpowiedzieć słowem nadziei, bo często, często wymawiała imię:

— Julek!

*

* *

Otockiemu na posadzie szwajcara w hotelu Wszech-Krajów wiodło się wcale nieźle; można-by nawet było powodzenie jego nazwać bardzo dobrém, gdyby nie przesądy pewne, głęboko w nim zakorzenione, a których przełamywanie, z początku szczególniéj, wiele kosztować go musiało. Zwyczajem jest naprzykład, w całym

ucywilizowanym świecie przyjętym, że goście hotelowi, w chwili odjazdu, szwajcarowi, pomagającemu im wsiadać do powozu, wsuwają w dłoń pieniądz, mniejszéj lub większéj wartości, jako zapłatę za oddane im przez niego usługi. Kiedy Otocki po raz piérwszy uczuł wpadające w dłoń swą srebrne pieniążki, krew, jak ukrop, buchnęła mu do twarzy, a całą postacią, zupełnie mimo woli i wiedzy, rzucił się w tył. Zmiarkował się jednak prędko, srebrne monety do kieszeni wsypał i, jedną ręką podpierając łokieć wsiadającego do powozu gościa, drugą starannie mu pod nogi futro zaścielał. Lecz, gdy wyprostował się, stał przez chwilę, jak w ziemię wryty, i tak gwałtownie targał białego wąsa, jak gdyby chciał wspaniałe to przyozdobienie twarzy swéj z korzeniem wyrwać. Wstręt do brania pieniędzy od hotelowych gości i do podpierania dłonią łokci ich, gdy umieszczali się w powozach, był najpewniéj skutkiem przesądów; gdyż wiadomo powszechnie, że świat stoi na zamianie przysług, będącéj węgielnym kamieniem, jeżeli nie porządku świata, to przynajmniéj wielu, z pomiędzy zajmujących się badaniem porządku tego, teoryi ekonomicznych. Otockiemu przecież, w chwilach dla niego ciężkich, żadna z teoryi ekonomicznych, ani innych, do głowy nie przychodziła.

Inny znowu przesąd, mogący zatruwać życie szwajcara, gdyby nie uparał się z nim jako tako, ujawniał się z razu w stosunku do pana Leonida Igorowicza, który, będąc wesołym i skłonnym do żartobliwości, był téż nieco dumnym, względem tych szczególniéj, który tak, jak Otocki, mieli za sobą stale zapewnione dożywocie na

obszerném królestwie biédy. Otocki w żaden sposób nie mógł pogodzić się z podobném zapatrywaniem się na dostojność ludzką wogóle, a na swoję osobę w szczególności; ztąd pomiędzy nim a rządzcą hotelu zachodziły z razu drobne kolizye, których wynikiem byłoby może całkowite nawet zerwanie stosunków Otockiego z hotelem, gdyby w głębi oszklonéj izdebki, przed żelaznym piecykiem, nie szarzała drobna postać dziecięcia, na stołku siedząca i zziębnięte stopy rozgrzewająca przed czerwono żarzącemi się w piecyku węglami.

W gruncie rzeczy zresztą, pan Leonid Igorowicz był dobrym chłopcem, i umyślne a systematyczne znęcanie się nad kimkolwiek tém mniéj cechować mogło charakter i postępowanie jego, że czuł się on na tym Bożym świecie szczęśliwym i nieograniczenie z własnéj osoby swéj zadowolonym. Wiadomo zaś jest, że ludzie szczęśliwi i radzi z siebie wyjątkowo chyba bywają okrutni.

Nakoniec pan Leonid Igorowicz posiadał edukacyą i wiedział dobrze, iż piérwszą a nieodłączną cechą człowieka z edukacyą jest — grzeczność. Na ogół więc bywał on względem szwajcara grzecznym, a jeżeli z początku pozwalał sobie niekiedy na lekkie poigranie z przeszłością i uczuciami jego, był to tylko wynik ślepego posłuszeństwa modzie, będącego téż, jak dobrze o tém wiedział, nieodłączną właściwością człowieka z edukacyą. Wypływając z posłuszeństwa modzie i wrodzonéj zresztą żartobliwości, nie zaś z jakichbądź zasad lub namiętności, igraszki te pana Leonida Igorowicza uprzykrzyły mu się wkrótce i całkiem ustały, a w zamian przyniósł on dnia

pewnego do izdebki szwajcara stos ksiąg rachunkowych i, składając je na starem biurku, z wyszukaną niemal grzecznością przemówił:

— Ja mam nadzieję, że pan Otocki odda mi tę przysługę, i przeszłego miesiąca rachunki ureguluje. Wszak pan Otocki dobrze rachować umié? nie tak zapewne, jak ja, który byłem dwa lata w szkole handlowéj, w samym Berlinie, ale zawsze umié. Tu roboty niewiele, na jaki tydzień; w przestankach pomiędzy przychodzeniem pociągów, pan będziesz mógł zająć się tém sobie... bo ja będę miał w tym samym tygodniu aż dwa wesela w mojéj familii, na których mnie trzeba być koniecznie, a rachunki przecież czekać nie mogą; prawda?

Otocki wielkiemi oczyma patrzał na przemawiającego do niego w ten sposób pana Leonida Igorowicza, nie mogąc snadź zrozumiéć, jaki stosunek zachodził pomiędzy regulowaniem rachunków hotelowych, a przyjętemi przez niego obowiązkami odźwiernego. Widać nawet było, że z razu uczuł w sobie to wewnętrzne poruszenie, do jakiego był z natury wielce skłonnym, a które nazywa się po prostu gniewem; gdyż źrenice jego błysnęły jak stal, a ręka z nagła i silnie targnęła białego wąsa. Był-by téż zapewne udzielił odpowiedzi, co najmniéj, odmownéj, gdyby u żelaznego piecyka nie poruszyła się w téjże chwili, siedząca tam na stołku, mała dziewczynka, i sprawionym przez to szmerem nie zwróciła w tę stronę wzroku jego. Spójrzał przelotnie na bladawą, drobną twarz dziecinną, oświetloną czerwonym blaskiem żaru, i spokojnie panu Leonidowi Igorowiczowi odpowiedział:

— Prawda!

— To proszę bardzo, żeby te rachunki były akuratnie zrobione. Ja tu czasem zajrzę i zobaczę, jak to pan robić będziesz. A teraz, *adiu*. Mój kuzyn dał mi na całe dwa dni urlop, z powodu tego wesela. Przyjdę aż po jutrze.

Wyszedł wesoły i śmiejący się, jak zwykle, a Otocki zasiadł przed biurkiem, rozłożył przed sobą księgi, napełnione długiemi kolumnami cyfr, i włożywszy okulary, pracowicie rozglądać się zaczął w nowém zadaniu, które, wiedział o tém dobrze, spełniać już miał nadal zawsze. W izdebce panowało przykre światło, złożone z bladych smug dziennych, wnikających z sieni przez szklaną ścianę, i z żółtéj łuny, którą rzucał wiszący nad biurkiem płomyk gazowy. W świetle tém głowa szwajcara, pochylona nad księgami, nie wydawała się wcale zgnębioną. Pracował on z trudnością widoczną, ale z ochotą i nawet gorliwie, często jednak podnosząc twarz i przelotne spójrzenie rzucając w stronę żelaznego piecyka. Lecz o ile weselszym, jakże nawet rozpromienionym był wtedy, gdy, po dwóch godzinach pilnéj roboty, spójrzawszy na srebrny swój zegarek i przekonawszy się, że do przyjścia najbliższego pociągu kolei zostawało jeszcze trochę czasu, zwrócił się całą postacią ku żelaznemu piecykowi, i, wyciągając w jego kierunku oba ramiona, z serdecznym śmiechem zawołał:

— Ptasiu mój, ptasiu, ptasiu! chodź! chodź!

Dziewczynka przecież, siedząca przed czerwonym żarem, na wołanie to nie zleciała, jak ptaszę, w objęcia jego, lekko i ze szczebiotem; lecz, zsunąwszy się ze stołka, szła ku niemu z wolna, poważnie. On pochwycił ją na ręce

i, śmiejąc się wciąż, huśtać ją zaczął tak, jak to czynią piastunki z bardzo małemi dziećmi. W tém dotknął dłonią drobnych jéj stóp, które, niedostatecznie obute, nie zdołały rozgrzać się przed dogasającym ogniem piecyka.

— O, mój Boże! — zawołał — ależ tobie w nóżki zimno! trzewiczki masz takie lekkie, a ja głupi dziad dotąd tego nie spostrzegłem!

Uderzył się dłonią w czoło... Zaleciwszy Lusi, aby cichutko siedziała w izdebce, czekając jego powrotu, porwał czapkę z galonem i wybiegł na miasto. Wrócił bardzo prędko, z malutkiemi, ale bardzo ciepłemi pończoszkami i bucikami w dużych swych rękach; posadził Lusię na stołku i, ukląkłszy przed nią, zajął się ubezpieczaniem nóg jéj od chłodu. Zdejmowanie i wkładanie dziecinnego obuwia szło mu bardzo niezręcznie i z większą nierównie trudnością, niż regulowanie rachunków hotelu Wszech-Krajów. Otwierał usta, sapał głośno, męczył się tak, aż mu kilka kropel potu wystąpiło na wysokie czoło; lecz dokonał zadania i, pochyliwszy się niżéj jeszcze, malutką nóżkę wnuczki namiętnie ucałował. Ubóztwiał ją. Ona uśmiechała się, blado patrząc na niezgrabnie poruszające się dokoła stóp jéj ręce dziadka; a gdy już podniósł głowę, zarzuciła mu na szyję obie ręce i kilka głośnych pocałunków wycisnęła na jego policzkach. Nikt opisać nie zdoła radosnéj łuny, która wybuchnęła na twarz Otockiego i nadał jéj wyraz bezgranicznego uszczęśliwienia. Zawołany w téjże chwili przez przybywających do hotelu gości, nie szedł, ale leciał, prowadząc ich po wschodach na wysokie piętro hotelu,

uprzejmy nad wyraz, gadatliwy nawet, a tak zręczny w pokazywaniu i zachwalaniu hotelowych apartamentów, jakby nic innego nad to w życiu swojém nie robił.

Innym razem, a bywało to najczęściéj wieczorami, gdy wielka ozdobna sień hotelu pałała od gazowego światła, a za oknem, pod krytym podjazdem, coraz rzadsi przesuwali się przechodnie, Otocki siedział przy biurku, trzymając wnuczkę na kolanach, i wraz z nią czytając podartą książczynę, którą w innych porach starannie chował do szuflady biurka. Srebrny, choć przytłumiony nieco, głos dziecinny, z razu niepewnie i jąkając się, potém coraz biegléj, a nawet z coraz wyraźniejszą i patetyczniejszą deklamacyą, napełniał izdebkę harmonijnemi dźwięki, zaklętemi w wierszach „Spiewów Historycznych”. Kiedy górne piętra hotelu wrzały ruchem i gwarem, a w wielkiéj sieni, śród powodzi światła, siedział i drzémał na ławie jeden tylko stary, brodaty komisyoner, za szklaną ścianą srebrny głosik wydzwaniał:

Ten, co najpiérwszy ujrzał światło wiary,
Niosąc zbawienie ludowi i sobie
Syt lat i chwały, już Mieczysław stary
Legł w przodków grobie.

Ile było w wierszach tych wyrazów, tyle pocałunków usta szwajcara wyciskały na policzkach i czole wnuczki; ona zaś czytała, lub mówiła coraz głośniéj, z czarném swém okiem, utkwioném w wiszący wysoko płomyk gazowy, który téż napełniał iskrami głębie jéj źrenic.

Czasem za ścianą izdebki, w znajdującym się tam

obszernym i wykwintnym apartamencie, rozlegały się odgłosy hucznych biesiad, dzwoniły szkła, huczały śmiechy swawolne, lub pieśni hulaszcze. Słuchając odgłosów tych, Otocki zamyślał się, a niekiedy drżącą dłonią przecierał zorane czoło i oczy, w których przelatywały błyski bólu, czy gniewu. Lecz, nie zważając na hulaszczą wrzawę, która szumiała za ścianą, mała dziewczynka, z lnianemi włosy i patetycznem spójrzeniem wzniesionych w górę oczu, deklamowała:

Za szumnym Dniestrem, na Cecorskiém błoniu,
Gdzie Żółkiewskiego spotkał los okrutny,
Jechał Sieniawski, odważny i smutny,
W błyszczącéj zbroi i na śnieżnym koniu.

Otocki budził się z zamyślenia, łagodniał, uśmiechał się i mówił:

— Śpiewaj! śpiewaj ty mi, ptaku mój najdroższy! dzwoń, dzwoń, skowronku! leć w górę i mnie bierz z sobą!

Skowronek dzwonił daléj:

Maj właśnie drzewa i kwiaty rozwijał,
Księżyc, w noc cichą świecąc roztoczony,
O srebrne skrzydła i hełm się odbijał,
Lecz rycerz wzdychał, żalem obciążony.

I późna już czasem bywała godzina, gdy obok izdebki szwajcara, w wykwintnym apartamencie hotelowym, zabawa i wrzawa dochodziły szczytu swego, a przeraźliwym śmiechom, brzękom tłuczonych szkieł i

wykrzykom, obwołującym przegraną i wygraną, wtórował srebrny i zapałem wzdęty głos dziecinny:

Cecorskie pola i wy głuche lasy,
Co na wierzchołkach swych wiatry niesiecie!...

Raz, po wieczorze, w sposób ten spędzonym, w noc mroźną i księżycową, Otocki odprowadzał wnuczkę do mieszkania Ryżyńskich.

Dopóki znajdowali się śród ulic, pełnych gwaru i przechodniów, w milczeniu szła obok dziadka; lecz, gdy tylko weszli na mały placyk, cichy i pusty prawie, ozwała się nagle i głośno:

— Dziadziu! dziadziu! patrz!

Zarazem stanęła i, z twarzą, wzniesioną w górę, palcem ukazywała na to miejsce odsłoniętych niebios, gdzie białe obłoki, niby szeregiem mar lekkich i rozlewnych, sunęły z wolna nad tarczą księżyca.

— Co? — pochylając się nad nią, zapytał Otocki — co mi tam ciekawego pokazujesz na niebie?

— Rycerze! — odrzekła. — Tam! widzisz dziadziu? w hełmie i ze skrzydłami... z takiemi srebrnemi skrzydłami...

Wlepiała wzrok w widziadło, które ukazało się jéj pod głębokiém sklepieniem nocnego nieba i uśmiechniętemi usty szeptała:

Jechał Sieniawski odważny i smutny,
W błyszczącéj zbroi i na śnieżnym koniu!

Odtąd, przez czas dość długi, gdy tylko w noc księżycową znajdowała się na ulicy, albo w lecie siedziała przy otwartém oknie małéj bawialni Ryżyńskich, zamyślonym swym, a w głębi ognistym wzrokiem, szukała na niebie „smutnego” rycerza, którego skrzydłami były lekkie mgły nocne, rumakiem obłok biały, a hełmem — złocisty odblask księżyca. Można-by powiedzieć, że kochała się ona w rycerzu tym, który przed dziecięcą jéj wyobraźnią spłynął po tęczowym szlaku poezyi, tak często bez wezwania i z własnego popędu wypowiadała wiersz, zawierający dzieje jego, z takiém głębokiém przejęciem się odegrywała akcyą, w wierszu tym zawartą. Działo się to w sposób następny. Wybiegała do sieni i ztamtąd wjeżdżała do izdebki dziada na „śnieżnym rumaku”, galopując, ramionami naśladując ruch skrzydeł, patrząc w sufit, jakby w „księżyc cicho roztoczony”, i zmierzając wprost ku żelaznemu piecykowi. Tu stawała w w melancholijnéj, zadumanéj postawie, i nagle schylała się, wołając: „hełm”, a z pomiędzy czarnych nóżek piecyka wydobywszy brzydki i drobne ręce jéj czerniący, odłam węgła, oglądała go ze stron wszystkich, aż znajdowała „w zbyt drogim kamieniu herb Żółkiewskiego i rdzy krwawéj znaki”. Wtedy zwracała się ku izdebce i z takim wyrazem, jak-by na świadectwo smutku swego brała ściany i stołki, i widniejące za oknem kolumny podjazdu, i wiszący w powietrzu płomyk gazowy, zaczynała:

„Cecorskie pola i wy, głuche lasy...”

Gdy kończyła strofę, oczy jéj bywały czasem pełne łez.

Raz, gdy więcéj, niż zwykle, poważna i zamyślona, z rękoma wsuniętemi w rękawy sukni, siedziała na stołku obok biurka, przy którém dziad jéj pogrążał się w przeglądaniu ksiąg hotelowych, Otocki oderwał wzrok od roboty swéj, popatrzał na nią długo, potém wyszedł na chwilę i wrócił, niosąc dużą, pięknie ustrojoną, lalkę.

— Masz lalkę, maleńka — rzekł — kiedy będę zajęty, albo odejdę ztąd na chwilę, będziesz się nią bawiła i weseléj ci będzie.

Dziewczynka z nagłym okrzykiem radości pochwyciła ładną zabawkę; lecz wkrótce zaczęła nad czémś głęboko myśléć i rozplatać jasne swe włosy, które dwoma grubemi już warkoczami otaczały jéj głowę.

Rozplótłszy włosy, owinęła lalkę w ciepły swój płaszczyk i, przybrawszy żałosną postawę, zaczęła z wolna kołysać ją w ramionach. Otocki, zsumowawszy w księdze kilka kolumn cyfr, spójrzał na wnuczkę.

— Cóż to znaczy? — żartobliwie zapytał — dlaczego rozplotłaś włosy i tak żałośliwie spuszczasz głowę nad swoją lalką?

Nie zmieniając postawy, przytłumionym głosem deklamować zaczęła:

Od dworaków opuszczona,
Helena w stroju niedbałym,
Gdy syna tuli u łona,
Co go zwano Leszkiem Białym...

— Aha! — śmiejąc się głośno i rozkosznie, zawołał szwajcar — to znaczy, że ty jesteś Heleną, od dworaków opuszczoną, a te rozpuszczone włosy, to strój niedbały, a lalka — to Leszek...

Tu rozległ się w sieni głos pana Leonida Igorowicza:

— Otocki! Otocki! nu, panie Otocki! zaprowadzić *te państwo* pod Nr. 48...

Pochwycił z czarnéj tablicy jeden z wiszących na niéj kilku rzędami ciężkich kluczy i wybiegł, a gdy, po upływie kwadransa, wrócił, Lusia patrzała przez okno na przesuwających się za niém przechodniów, a lalka, daleko odrzucona, leżała na ziemi.

— Cóż? — zapytał — dlaczegoż nie bawisz się swoją lalką?

— Nie chcę! — odpowiedziała krótko — nieżywa!

Było w niéj coś, co w szczególny sposób pociągało ją ku wszystkiemu, w czém wyrażała się akcya jakaś, patetyczność bólu, albo energia czynu. Z pomiędzy licznych posągów, zdobiących hotel, najulubieńszemi, temi, przed któremi zatrzymywała się w każdéj swéj po hotelu wędrówce, były te, które w wyciągniętych ramionach dzierżyły miecze, lub, z podniesionemi twarzami i rozwartemi usty, zdawały się krzyczéć z bólu, albo o ratunek wołać. Skrzydlate kupidyny i pyzate dzieci, w pulchnych dłoniach podnoszące kosze z kwiatami, a śmiejące się szeroko i do każdego, kto na nie spójrzał, omijała ona obojętnie, albo nawet ze wzgardliwém spójrzeniem, zdającém się mówić: — „I czegoż śmiejecie się tak ciągle i pokazujecie swoje brzydkie, opylone

kwiaty? Wyglądacie bardzo głupio!”

Gdy ubiegło lat parę, dziad i wnuczka umieli już na pamięć „Śpiewy Historyczne” i po wiele razy przeczytali wspólnie drugą książeczkę, która znajdowała się w posiadaniu Otockiego, a którą były *Psalmy*. Dziwne zaprawdę wrażenie sprawić-by mógł widok małéj téj jasnowłoséj dziewczynki, gdy, siedząc na kolanach dziadka, z ramieniem, na szyję jego zarzuconém, drobnemi, bladawemi usty swemi czytała:

Jak dym, tak lata moje uleciały,
Kości jak głownie moje wygorzały...
Jestem jak w lesiech pelikan schowany,
Jestem jak puhacz, w pustynią wmieszkany...

Kiedy już i Psalmy wszystkie umiała na pamięć. Otocki zaczął ją uczyć pisania. Na tém przecież drugiém stadyum skończył się dla niéj kurs nauk, otrzymywanych w szkolnéj izdebce odźwiernego. Miała już lat dziesięć i pisała tak prawie biegle, jak czytała, gdy raz lekarz jakiś otworzył drzwi izdebki, w celu zasiągnięcia u odźwiernego potrzebnych mu informacyi. Ujrzawszy dziewczynkę, siedzącą przy starém biurku i gorliwie zajętą przepisywaniem jednego z Psalmów, popatrzał na nią uważnie i zwrócił się do Otockiego:

— Zapewne to córka, lub wnuczka pana. Źle pan robisz, że ją tu trzymasz, a gorzéj jeszcze, że jéj tu pracować każesz. Powietrze tu niedobre, a pomieszanie światła dziennego ze sztuczném jest w najwyższym stopniu szkodliwe dla oczu. Jeżeli dziecko to przebywać tu będzie,

a tém bardziéj uczyć się, może silne nadwerężyć sobie wzrok i wogóle zdrowie.

Co rzekłszy, odszedł; Otocki zaś pozostał jak w ziemię wryty, z wyrazem przerażenia na twarzy. Ani przez myśl mu nie przeszło, że sam przebywał tu we dnie i w nocy, śpiąc tuż przy żelaznym piecyku, wydającym z siebie wieczny swąd węgla i przypalonéj olejnéj farby, a godzinami całemi ślęcząc nad hotelowemi księgami, po których mieniły się i krzyżowały białe i żółte światła. Jego zdrowie! jego oczy! Były to dla niego pyły tak marne, że bez wieści, ni śladu, utonęły w morzu trwogi o nią, którém oblały go słowa lekarza.

Dnia tego Otocki rachował naprzód długo i starannie dochody swe i rozchody, a potém, w piérwszéj wolnéj chwili, udał się do Ryżyńskich i stoczył z panią Anielą długą i ożywioną rozmowę, wśród któréj pani Aniela podjęła się wynaleźć pensyą taką, co-by jak najwyższą skalę naukową łączyła z jak najlepiéj ubezpieczoną moralnością i jak najmniejszemi wymaganiami pieniężnemi. Na drugi szczególniéj z pomiędzy trzech warunków tych Otocki kładł nacisk szczególny.

— Wolę — mówił — aby mniéj trochę umiała, lecz aby była dobrą i uczciwą...

I dodawał:

— Będę się starał, aby ludzie hojniéj mnie obdarzali. Muszę być usłużniejszym i śmieléj léźć im w oczy, niż dotąd.

Usłużność jednak przychodziła mu z trudnością, a *lezienie w oczy*, pomimo, że, zrzekłszy się

dotychczasowych przesądów, silił się na nie, było mu już wprost niemożliwém. Dlatego pensya, na którą Lusia chodzić zaczęła, była jedną z tańszych; ile razy zaś Otocki gryźć się tém zdawał, pani Aniela pokazywała mu torbę sporych rozmiarów, do żołnierskiego tornistra podobną, a książkami wypchaną, którą dziewczynka, chodząc na pensyą i z pensyi, na plecach swych nosiła.

— Małoż-to tu jeszcze mądrości! — mówiła — po francuzku i po niemiecku nauczą ją wyśmienicie, i trochę innych tam różnych nauk. Będzie już z tém mogła zarobić sobie na kawałek chleba, lekcye dając, a potém za mąż wyjdzie pewnie, bo ładna.

Odtąd każdego wieczora, gdy tylko drzwi zamknęły się za odchodzącym do biura panem Marcelim, pani Aniela, wchodząc do bawialni z koszem swym, pełnym staréj bielizny i odzieży, zamiast, jak dawniéj, wołać:

— Julek! ucz się! — wołała. — Dzieci! uczcie się!

Uczyły się. Mała sypialnia, w któréj uprzednio stojące sprzęty przycisnęły się jedne do drugich, aby zrobić miejsce dla okrągłego stołu, pełnego zadrukowanych i zapisanych papierów, przez długie wieczorne godziny rozlegała się ich głosami. Przy świetle małéj lampki, pod ścianami, nie żółtemi już, jak w bawialni, ale sinemi, siedziały one naprzeciw siebie i, przyciskając dłonie do uszu, żeby wzajem nie słyszéć swoich głosów, uczyły się.

Bez przewy ni odpoczynku, jakby jednym tchem, dziewczynka mruczała:

— *Je rends, tu rends, il rend, nous rendons, vous rendez...*

A z drugiéj strony stołu wtórowało jéj mruczenie chłopca:

— *Potens — potentis,*
Ingens — ingentis,
Diligens — diligentis...

Łacina jego mąciła jéj francuzczyznę. Mocniéj więc dłonie do uszu przyciskając, głośniéj, niż wrzódy, powtarzała:

— *Je reçus, il reçut, nous recevons...*

Jakby odpowiadając, on także podnosił głos i monotonnie, lecz donośnie już, prawił swoje:

— *Audax — audacis.*
Loquax — loquacis,
Verax — veracis,
Simplex — simplicis.

I tak trwało długo, długo, aż Lusia odrzucała książkę jednę, a natychmiast otwierając i kładąc przed sobą inną, wołać zaczynała:

— *Ich bin, du bist, er ist, wir sind...*

Albo:

— *Ich werde, du wirst, er wird...*

Julek zaś, tonem takim, jak gdyby mówił szatanom, aby go odstąpili, powtarzał:

— *Absum,*
Adsum,
Desum,
Intersum!

A potém:

— *Audi — ebam,*

Audi — ebas,
Audi — ebat...
Audi — rem,
Audi — res,
Audi — ret...

Nie mruczeli już teraz, ale krzyczeli; oczy do sufitu wznosili, i od czasu do czasu głęboko wzdychali. Dziewczynka od czasu do czasu przyciskała do czoła obie dłonie, co postawie jéj nadawało wyraz rozpaczy; chłopiec chwytał się za włosy, czochrał je bez miłosierdzia, a nogami dokonywał ruchów najwyższego zniecierpliwienia. Zniecierpliwienie to nie przeszkadzało mu przechodzić od łaciny do greczyzny kiedy Lusia, odrzuciwszy książkę z konjugacyą niemiecką, po tysiąc razy powtarzała i odmieniała części mowy języka wykładowego, Julek, szeroko rozwarte oczy wlepiając w twarz jéj, zdawał się, z zapalczywością niesłychaną, do niéj właśnie przemawiać mową Temistoklesa i Platona. Ogółem biorąc, w sinych ścianach pokoiku tego brzmiało języków pięć, z których ani jeden nie był tym, który z tego samego, co dzieci te, wyrósł gruntu. Pani Aniela, w sąsiedniéj bawialni szyjąc, cerując i łatając, podnosiła czasem głowę, rękę z igłą zawieszała w powietrzu, i w gwar ten wielojęzyczny wsłuchywała się z uśmiechem radości i dumy. Nigdy, nigdy nie przypuszczała, aby tyle na raz przerozmaitych dźwięków i wyrazów zmieścić się mogło w głowie jednego człowieka; mieściło się jednak w głowie jéj syna, bo i on także, lubo nie często, krzyczał w niebogłosy:

— *Je reçois, tu reçois, il reçoit...*

Albo:

— *Der Mensch, des Menschen, dem Menschen*...

A Lusia wtórowała mu wtedy:

— Ren, Rodan, Sekwana, Loara, Tyber, Tag, Elba, Odra, Gwadalkwiwir!...

Niekiedy przecież gwar ten, który tak mile głaskał macierzyńską miłość i dumę pani Anieli, milkł nagle, a stawało się tak dlatego, że Julek, nagłym ruchem odrzucając od siebie książkę, z któréj tylko co się nauczył, że *fuissem* znaczy: był-bym, *fuero* — będę, i obie ręce topiąc we włosach, przez zaciśnięte zęby mówił:

— Niech ich wszyscy dyabli wezmą!

Lusia podnosiła téż głowę z nad książek, prostowała szczupłą swą postać, i głębokiém odetchnieniem usiłowała wciągnąć do piersi swéj trochę powietrza, które w sinéj izdebce znajdowało się w ilości niesłychanie małéj i w gatunku najgorszym.

— Chciała-bym pochodzić trochę! — mówiła, poziewając szeroko.

— To pochodź, pochodź sobie! Któż ci przeszkadza? Miejsca na spacery, zdaje się, nie brak.

Mówiąc to, spoglądał na przestrzeń pomiędzy stołem a łóżkami, tak ciasną, że drobna chyba mysz spacerować-by po niéj mogła.

— W bawialni obszernéj — dodawał — cztery kroki wzdłuż i cztery w poprzek, ale wyjdź tam tylko, a zaraz posłyszysz: Dzieci! uczcie się!

Lusia wstawała i, wiedziona instynktem, rozkazującym istocie żywéj szukać obrony przeciw zaduszeniu się,

otwierała u okna lufcik i z wyraźną rozkoszą wystawiała na ostry powiew zimy twarz, rozpaloną przez kilkogodzinne wysilenie umysłu i woli. Julek stawał obok niéj. Za oknem, które wychodziło na dziedziniec, spuszczały się w dół dachy domostw, niższych od żółtéj kamienicy, i na czarném tle nocy rysowały się szare kominy suchemi zarysy, sterczące ku kawałkowi nieba, pod którém wlókł się ciężki, a nieskończony pochód deszczowych, lub śniegowych, chmur. Zmęczonemi oczyma wodzili oboje po dachach lub kominach, albo, wznosząc w górę spójrzenia, zatrzymywali je na drobnych gwiazdach, które tu i ówdzie mdło i niestale błyskały wśród rwących się w brudne szmaty obłoków. Czasem deszcz padał, a z-za mgły wilgotnéj, rzadkie, oświetlone okna przeciwległych domostw mrugały łzawo, jak chore, lub zapłakane, oczy.

— Ciekawam — zaczynała Lusia — co tam może być i kto tam żyje za temi oknami?

— Ot, co może być! Takie same pewnie żółte ściany, jak u nas, i tak samo pewno uczą się tam ludzie po łacinie, po grecku, i dyabli wiedzą po jakiemu; co zaś się tycze życia... to chyba kiedyś będzie ono...

Nie dokończył, bo z przyległéj izdebki ozwał się głos pani Anieli:

— Otworzyliście tam okno! mieszkanie wyziębnie, i jutro trzeba będzie furę drew spalić! Zamknijcie zaraz i uczcie się!

Julek z trzaskiem zamykał lufcik i, robiąc na Lusię tak straszne oczy, jakby ją żywcem chciał pożrzeć, zdławionym głosem wymawiał:

— Uczmy się! No, uczmy-ż się!

Siadali znowu przy stole, i tym razem zaczynali już pisać, to jest: co chwila porywali dykcyonarze i, po mozolném a długiém przewracaniu kartek, zapisywali znalezione tłómaczenia niezrozumiałych dla nich wyrazów.

Tłómaczyli. Po skończonéj robocie, przed oczyma ich leżała mozaika wyrazów, najdziwaczniéj powiązanych, w którą przez parę minut wpatrywali się oboje szeroko rozwartemi oczyma.

Czytali wykonane przez się prace, odczytywali je półgłosem, aż nakoniec jednocześnie podnieśli głowy, spójrzeli sobie w oczy i wybuchnęli głośnym śmiechem. W śmiechu tym, jakkolwiek wychodził on z ust dziecinnych, było coś gorzkiego.

— Zrozumiałaś? — krótko zapytał Julek.

— Bardzo mało — z cicha odpowiedziała dziewczynka. — A ty?

— Prawie nic.

Udzieliwszy odpowiedzi téj, z wielką powagą założył nogę na nogę, rozpostarł się na swém kulawém trochę krześle, i z zastanowieniem, na sposób gdérliwych starców, głową trzęsąc, mówić zaczął:

— I powiedz mi, po co to wszystko? Czy ja kiedy będę żył na 1500 lub 760 lat przed Narodzeniem Chrystusa Pana? Przecież żyję teraz i chciał-bym wiedzieć, co właściwie teraźniéjszy świat robi? A tu ani rusz. Nauczyciele — nie nauczyciele, i rodzice... nie nauczyciele. Od nikogo nie dowiész się nic; sam wszystkiego dochodź; a jak czego nie dojdziesz, to chyba sobie w łeb palnij! i

koniec!

Zamiast jednak dopuścić się tego okrutnego na osobę swoję zamachu, zabierał się do rysowania karykatur, mających na celu przedstawienie nauczycieli szkolnych, w najbardziéj zabawnych i rozśmieszających postawach i sytuacyach; przyczém opowiadał towarzyszce swéj tysiączne anegdoty, dowodzące, że szacunek i miłość jego dla instytucyi, z któréj brał światło wiedzy, równały się zeru i zastąpione były przez uczucia głuchego buntu i wzgardliwéj niechęci.

Miał lat piętnaście, gdy pewnego wieczora powiedział jéj z miną taką, jak-by przyszedł nakoniec do upragnionéj dawno, a wielce cennéj wiadomości:

— Wiész, co dziś powiedział ten duży Michał? widziałaś go przecie, bom ci go na ulicy pokazywał, siódmoklasista przecie i piérwszy łacinnik! Otóż powiedział, że szkoły kończyć trzeba dlatego tylko, aby módz potém jakąkolwiek karyerę zrobić; inaczéj nikt-by z pewnością nie znosił téj męczarni. Ot co.

Odtąd wiedzieli już dobrze, dlaczego istnieją i czém są szkoły. Określili téż sobie wkrótce naturę i właściwości gniazda tego, w którém się chowali.

— Bo widzisz — mówił Julek — czém-że jest ten nasz dom, w którym ludzie nic więcéj nie robią, tylko gotują, jedzą, śpią i budzą się, dlatego, aby znowu gotować, jeść i spać? Ciemną piwnicą, w któréj mieszkają trzy siostry: biéda, nuda i krzywda!

— Nuda... biéda... — z wolna powtórzyła Lusia — to prawda... ale dlaczego krzywda?

— A jakże! — tłómaczył chłopiec — dlaczego mój ojciec przez całe życie, jak koń we młynie, ciągle jedno i jedno koło depce... Zdaje mi się, że zasłużył na to, aby pójść na deptak jaki ładniéjszy i wygodniejszy...

Lusia z zamyśleniem, lecz téż i z gwałtownością pewną, ręce splotła.

— O Boże! — zawołała — i ja, i mój dziadunio, powinniśmy téż być w Otoku... gdzie biały, duży dom stoi...

Tu, ze szczególnym uśmiechem, w którym swawola łączyła się z goryczą, dodała:

— Okna otwierać można, bo jest czém w piecach palić!...

— Otóż widzisz — kończył Julek — widzisz i wiész, że jest na świecie krzywda. A ja ci powiadam, że ona, oprócz biédy i nudy, ma jednę jeszcze siostrę: złość. Zły jestem, jak sto dyabłów!

— A mnie smutno! — mówiła Lusia, bladawą twarz wspierając na małéj dłoni.

— Boś baba! — wzgardliwie rzucał Julek, a po chwili z przekąsem zapytywał: — Czy myślisz, że mnie wesoło? Ot, tém tylko pocieszam się, że kiedyś, kiedyś, wylecę ztąd w świat szeroki, widny, ludny i zobaczycie tu mnie tak, jak swoje uszy bez lustra!

Wylot ten przecież późniéj miał nastąpić, niż Julek się spodziewał; bo, wkrótce po dostaniu promocyi do klasy szóstéj, przyszedł on do domu z wyrazem wielkiego rozgniewania i zrozpaczenia na twarzy.

— Co ci to? — spójrzawszy na niego, zawołała Lusia.

Powiedział jéj:

— Że do siedmiu istniejących dotąd klas, dodano jeszcze ósmą i że nic mu na świecie nie pozostaje, jak wyjść za miasto i w piérwszym lepszym lesie powiesić się na piérwszém lepszém drzewie.

W ciemnéj rozpaczy téj zostawał on przez dni kilka; poczém jednak, ze zdwojoną, zda się, żarliwością, wziął się do pracy. Rzecz dziwna bowiem: dzieci te, tak srodze wyrzekające na udzielane im nauki, i tak wzgardliwie zapatrujące się na tych, od których je otrzymywały, były gorliwie, niemal namiętnie, pracowitemi. Wśród suchych formuł i wyrazów, które pojęciu ich i wyobraźni nie mówiły nic, a których związku z życiem, trudnego do spostrzeżenia, nie ukazywał im nikt, w zmordowaniu fizyczném, gdy dusiły się prawie w sinéj izdebce i rozpalone twarze przyciskały do zimnéj szyby okna; nie odstępowała ich ani na chwilę i wciąż pchała na przód namiętna żądza innego życia, nadzieja przyszłości, na którą zarabiały sobie tą nielubioną wyśmiewaną przez się pracą. Były to nieustanne wewnętrzne walki, których nikt nie spostrzegał, lecz które sprawiały, że czoła dzieci tych były blade i chmurne, usta milczące, śmiech rzadki, cichy i smutny raczéj, niż wesoły.

Mylił-by się ten, kto-by mniemał, że obecność dwóch tych młodziutkich istot napełniała gniazdo, w którém wzrastały one, śpiewem, śmiechem, szczebiotem, będącemi, według wyobrażeń ogólnych, nieodłącznemi atrybutami gniazd wszelkich. Julek i Lusia śmieli się rzadko, a nie śpiewali i nie szczebiotali nigdy. W jedynéj, wolnéj od nauki, porze dnia, pomiędzy obiadem a zapaleniem lampki, siedząc przy oknie i patrząc na

spływające w dół morze dachów, albo na suche linie kominów i połamanych gzémsów, stawali się podobnymi do dwu ptaków, którym warstwa zgęszczonego powietrza ociężyła skrzydła, i które, osiadłszy na piasczystéj ławie, tęsknym wzrokiem wypatrują źdźbła zieleni, lub promyka słońca. Czasem przysuwali twarze blizko do okna bawialni i dojrzéć usiłowali ulicę, ciągnącą się w dalekim dole pstrym i ruchomym szlakiem. Nie widzieli jednak nic, bo oddalenie zaciemniało barwy i linie, sprowadzając postacie ludzkie do rozmiarów lalek; a jedynemi odgłosami, które ztamtąd dolatywały ich uszu, był głuchy, jakby podziemny, grzmot kół, i niekiedy tony katarynki, które, topiąc się i rwąc w powietrzu, dochodziły tu oderwanemi, przeciągłemi jęki.

Chmurność ta była piętném, złożonem na czołach ich przez atmosferę, wśród któréj wzrastały ich duchy, przez składające atmosferę tę pierwiastki bólu, znużenia, powszedniéj troski i grobowéj ciszy. Pierwiastki te istniały w zielonéj wiosce, w któréj Lusia otrzymała piérwsze wrażenia sierocego życia, w oszklonéj izdebce odźwiernego, w żółtych ścianach kancelisty i daléj jeszcze, daléj jeszcze, deléj, pośród wrzaskliwych nawet ulic miejskich, w wielkich salach, będących zbiornikami nauki, na polach rozległych, w przestrzeni pełnéj liści, które, od drzew swych oderwane, tułały się błędne, lub osiadały trwożnie i nizko, nizko przy zrytéj przez burzę ziemi...

Drugą wybitną cechą dzieci tych była — ciekawość, chciwa, namiętna, nienasycona ciekawość świata i spraw jego, ludzi i ich stosunków, życia, jego cierpień, radości,

grzechów i cnót. Uczucie to przynosiły z sobą do domu ze szkoły, z ulicy; rozniecały je w nich koleżeńskie rozmowy, przelotnie zasłyszane zdania, gwałtowny nakoniec popęd ku wszystkiemu, co istniało po-za żółtemi i sinemi ścianami ich gniazda. Zadowolenia żądzy téj, wwianéj w ich wnętrza przez niedostrzeżone, lecz nieprzeparte prądy czasu, szukały zrazu w książkach szkolnych. Do każdéj nieznanéj jeszcze, nieprzeczytanéj karty książek tych, rzucały się ochotnie, chciwie niemal, pochłaniały ją szybko, i zawiedzione, sarkały z cicha, opuszczając ręce. Potém jednak, tak bardzo upragnione im, wieści z szerokiego świata i o nim, spływać na nie zaczęły obficie i ze stron różnych. Kiedy Julek wracał ze szkoły, Lusia, piérwéj nieco od niego przybywająca do domu, zrywała się z siedzenia, z żywością ruchów, zupełnie u niéj niezwykłych, podbiegała ku niemu i z cicha, lecz żywo, pytała:

— Cóż? jest co? przyniosłeś?

Jeżeli odpowiedź była twierdzącą, oboje przez resztę dnia zdradzali się ze szczególném u nich, gorączkowém nieco, ożywieniem: mówili więcéj, niż kiedy; w obecności pani Anieli dawali sobie oczyma znaki porozumiewania; a wieczorem, w sinéj izdebce, przy okrągłym stole siedząc, uczyli się z roztargnieniem i trudnością widoczną. Kiedy nakoniec pan Marceli wrócił z biura, głos pani Anieli, czytającéj gazetę, przebrzmiał, a natomiast rozległy się głośne oddechy dwóch głęboko uśpionych osób; Lusia zrywała się z pościeli, w białéj odzieży, niedbale zarzuconéj na szczupłe ramiona, bosemi najczęściéj stopy, cicho, jak mała kotka, przebiegała bawialnią, wsuwała się do

kuchenki i starannie, bez najlżejszego szelestu, drzwi za sobą zamykała.

— Śpią już? — zapytywał Julek.

— Aż chrapią! — z cichym chichotem odpowiadała dziewczyna.

Wtedy zrzucał on z tapczanika szczupłą swą pościel, stawiał na nim zapaloną lampkę, i ze staréj, małéj skrzynki, od któréj klucz nosił przy sobie, wydobywał podarte najczęściéj książki, zszarzane broszury, wymięte, zbrudzone dzienniki różnych rozmiarów i formatów. Było ich czasem tak wiele, że kryły się prawie pod niemi szare i białe paski, osłaniającego tapczanik drelichu.

Przestali już prawie być dziećmi. On był wysmukłym, zgrabnym młodzieńcem, którego szczupłość i wiotkość przypominała roślinę wybiegłą i chwiejną. Ona rosła powoli i była małą, lecz obok wpadłéj piersi i chudych ramion, które znamionowały podlotka, przy lnianych włosach swych miała bladość gorącą i nieco przywiędłą, po któréj przebiegały błyski lotnych myśli i drgnienia namiętnych wzruszeń. Na nizkich stołkach, albo na chropowatych deskach podłogi, przy tapczaniku siedząc, pochwytywali książki z kartami, wypadającemi ze zszarzanéj oprawy, albo zmięte i śladami mnóztwa rąk poznaczone dzienniki, i czytali, to jest: jedno z nich czytało przytłumionym głosem, a drugie, z twarzą opartą na dłoni, rozżarzone oczy w twarz czytającego, jak w tęczę, wlepiając, słuchało. Ze szpargałów tych i świstków, szeleszczących w ich dłoniach, w gorące głowy ich i śpiesznie oddychające piersi lał się deszcz nazw, określeń,

zdań, haseł, pomysłów i marzeń. Zkąd deszcz ten powstawał? Jak zwykle bywa. Na powietrzne warstwy, które sprawiły powstanie jego, złożyły się najrozmaitsze i najsprzeczniejsze sobie pierwiastki: oddechy silnych, lub nawet bohaterskich piersi, i chorobliwe, suchotnicze wyziewy; ożywcze wonie leczniczych roślin i gorzkie soki trucizn; potężne natchnienia, owiewające szczyty, i zgniłe zarazki błotnistych nizin.

Były tam zdania, sądy i wieści o niebie i ziemi, naturze i Bogu, o człowieku i przeznaczeniu jego; były traktaty i wykłady z dziedziny nauk różnych, romanse i opowieści na tle stosunków i kolei wszelkich, polemiczne spory i rozprawy, fanatyzmem różnostronnym natchnione złorzeczenia, lub apoteozy. A wszystko, wszystko to przybywało tu bez naturalnego początku i możliwego końca swego, w liniach połamanych, w kalekich kształtach, w obrazach bez głębi i światłocieniów, w cząstkach, które, oderwane od swych całości, udawały, że są światem, będąc istotnie bujającemi tylko w przestrzeni jego pyłkami. Nic to! przyglądając się szerokiéj mozaice téj o jaskrawych i zawikłanych wzorach, dzieci te doświadczały takiego uszczęśliwienia, z jakiém uczony, zamknięty w ciemnéj komnacie, wita zjawiające się przed nim, w postaci tęczowego snopu, widmo słoneczne. Przed niemi, w kuchence z nizkim sufitem, czarnym od okopcenia piecem i trochą starych gratów, rzucających długie cienie na opylone ściany, stubarwne i promieniste stawało widmo wiedzy. Przestawali czytać, zamyślali się, płonący wzrok wlepiali we wspaniałe widmo.

W głowach ich, jak ptaki o niewprawnych do latania skrzydłach, ważyły się tysiączne pytania. Wierzyć — nie wierzyć? Kochać — nie kochać? rozum, czy uczucie? obowiązek, czy swoboda? Poświęcenie, czy egoizm? Uwielbienie, czy szyderstwo? Szczęście dla siebie, czy męczeństwo za dobro świata? Co z tego wszystkiego prawdziwszém jest i wyższém?

— Co prawdziwszém? — zapytywał chłopiec.

— Co wyższém? — zapytywała dziewczyna.

On przedewszystkiém szukał drogoskazów, ona — skrzydeł. Bywały noce, w których zdawało się im, że już znaleźli to, czego szukali. On naprzykład zadecydował, że rozum jest tak wszechpotężną dźwignią świata, iż uczucie ze spraw i stosunków ludzkich wytrącić może i powinien; lub, że osobiste, jakimbądź kosztem zdobyte, szczęście, może i powinno być jedynym celem człowieczego życia. Jéj znowu żal się robiło zgnębionego uczucia, którego głuche, lecz potężne, zaczyny, czuła może w swéj piersi, a ku męczeństwu, ku wielkiemu jakiemuś męczeństwu, które bucha pod niebo ofiarnym ogniem i dymem, uczuwała nieokreślony pociąg. Sprzeczali się więc z sobą; sprzeczali się czasem zawzięcie, długo, a tak żywo, że chłopiec nazywał dziewczynę sentymentalną i płaczliwą babą, a ona go samolubem i zarozumialcem. Szli jednak spać oboje, uspokojeni i dumni z siebie samych. On, zasypiając, myślał, że wié już, jak myśléć i czynić i ku czemu dążyć w przyszłości; jéj śniło się, że na śnieżnym rumaku leci pod niebo z rycerzem „odważnym i smutnym,” który, wskazując jéj jakąś gwiazdę wielką, mówi: „spłoniesz w niéj, lecz

świat zbawisz!“

Nazajutrz jednak zasiadali przy tapczaniku swym, niespokojni znowu, i z pewnym wstydem podnosili na siebie nieśmiałe oczy.

— Wiész? — zaczynał chłopiec — rozmyśliłem się; być może, żem się wczoraj mylił...

A ona odpowiadała z cicha:

— Ja nie wiem; wczoraj zdawało mi się, że najszczęśliwszą była-bym, gdybym kogoś, lub coś, bardzo mocno kochała i gdybym umrzéć mogła za szczęście i dobro ludzkie. Ale dziś... myślę, że chcę czegoś więcéj, niż kochania, i że... oddawanie się na męczeństwo jest, jak tyle innych rzeczy, skutkiem — przesądów.

Chmurnie i w milczeniu patrzali na szpargały swe i świstki po tapczanie rozrzucone. Julek zrywał się z nizkiego siedzenia swego i ruchem, do którego od dzieciństwa był nawykł, obu dłońmi strzępiąc i w górę podnosząc gęste swe ciemne włosy, wołał:

— Jednakże dlaczego to tak? Dlaczego my, ja i ty, tak bardzo pragniemy tego, o co inni nie dbają? szukamy tego, o czém inni ani myślą?... dlaczego nie żyjemy sobie tak, jak inni? Mój Boże! ten piękny Jaś, naprzykład, koleżka mój, trefi sobie wąsiki, zapieka włosy u fryzjera, umizga się do panienek, tańczy na wieczorkach i — szczęśliwy! Ani dba o to, jak tam ludzie na świecie żyją, co myślą, i jak żyć, w co wierzyć, o co starać się trzeba! Albo Kostuś Wilski... z piątéj klasy wyszedł, na mająteczku ojcowskim siadł, słusznym obywatelem już jest, patrzéć tylko, jak się ożeni; a je... strach! jak najęty! w puchach się wylega i —

szczęśliwy... Albo duży Michał, ten, co to wiész...

— To prawda! to prawda! — przerywała Lusia, — u nas tak samo: są takie panny, które o niczém więcéj nie myślą i nie mówią, tylko o strojach i o wyjściu za mąż. Ja nie; po głowie chodzi mi wciąż niewiedzieć co... smutno mi, niewiedzieć czego, i takbym chciała wszystko, wszystko widzieć, a czasem śpiewać... lecieć wysoko i... śpiewać!

Tu wsparła twarz na dłoni i zanuciła:

Maj właśnie drzewa i kwiaty rozwijał,
Księżyc w noc cichą świecił roztoczony...

Urwała, podniosła głowę i zapytała:

— Dlaczego to tak?

Zamyśleni, zasiadają znowu przy tapczaniku na niziutkim stołku, Julek odpowiada:

— Ot dlaczego! takimi już urodziliśmy się... i koniec!

Świat przedstawiał się im zagadkowo, w dwoistéj postaci piekła i raju. Zależało to od wrażeń, któremi téj lub owéj nocy wionęło na nich towarzyszące nocnym pracom ich i zabawom widmo. Julek zrywał się z siedzenia, z zapałem wołając:

— Nie! tak zawsze być nie może! Jest na świecie postęp, możność doskonałość i szczęścia... tylko jak i co czynić, aby je zdobywać dla siebie i innych?

— Jak i co? — Nakształt echa powtarzało blade dziewczę, z twarzą w zadumie wspartą na dłoni, a gorejącém okiem, wpatrzoném w ziemno-żółte płomyki, które światło lampy krzesało w szybie okna. Płomyki te,

których zapytywać się zdawała o słowo zagadek, pracujących w jéj głowie, były — widmami świata.

W ten sposób spędzali oni bardzo często długie zimowe i jesienne noce, głusi już teraz na wiośniane okrzyki kukułki, rozlegające się za zamkniętemi drzwiami małéj bawialni, od czasu do czasu za to drgając nerwowo, gdy uszu ich dolatywały przeszywające a ponure gwizdania nocnych stróżów. Niekiedy późno po północy uczuwali głód. Wtedy Julek nastawiał samowar i wyjmował ze skrzynki swéj odrobinę, przechowywanych tam starannie, herbaty i cukru. Gospodarując, śmieli się czasem do siebie z cicha i ostrożnie, ze spojrzeniami, rzucanemi na drzwi zamknięte. Lecz nieśmiała wesołość ta nie istniała wcale, jeżeli pić mieli herbatę nie z głodu, ale dla odpędzenia snu, który przeszkadzał im w odczytaniu jednéj z podartych książczyn, lub zmiętych szmat dziennika. Dla nasycenia głodu, zarówno jak dla pochwycenia za kraj szaty olśniewającego ich widma, poili się ciemnym mocnym płynem, który w żyły ich wlewał, rozmarzający mózg i wyprężający nerwy, pierwiastek narkotyku.

To téż bywały dnie, w których wyglądali oboje tak, jak gdyby noc im przeszła w ciężkich bólach lub bezpamiętnym szale. Do zwykłéj chmurności ich przybywała chorobliwość i czyniła ich podobnymi do roślin owych, które pod skwarem słońca płoną więdnącą purpurą. Było to tak widoczném i nawet uderzającém, że raz przy obiedzie pan Marceli wpatrzył się w syna objętnemi zwykle oczyma i z żywością, nigdy prawie niebywałą, zapytał:

— Co ci to?

— Nic, ojcze! — odpowiedział Julek głosem, pełnym zdziwienia; nie przywykł bowiem do zapytań ojcowskich.

Pan Marceli popatrzył z kolei na Lusię i rzekł znowu?

— I téj téż coś być musi.

Potém już nic nie mówił, tylko po skończonym obiedzie, zamiast udać się do sypialni na zwykły spoczynek, skinął ku żonie, aby usiadła przy nim, i zapytał z cicha:

— Co im takiego być może?

Pani Aniela nic wcale nie rozumiała.

— Upatrujesz coś, Marceli! — rzekła — dzieci są tak, jak zwykle, zdrowe, i uczą się dobrze.

Z powątpiewaniem wstrząsnął głową.

— Nie, nie! Źle bardzo wyglądają obje, a przytém, czy ty uważasz, że nie śmieją się nigdy, a mówią tak prawie mało, jak ja. Trzeba, Anielko, abyś zwróciła na nich pilną uwagę: co robią? Czém się bawią? Co ich zasmucać, albo co im szkodzić może?

Panią Anielę ogarnął żal wielki i szczery.

— O mój Marceli! — zawołała — zdaje się jakbyś nie wierzył, że Julek jest całém szczęściem mojém, i że dla téj biednéj dziewczynki także robię wszystko, co mogę i powinnam. Nieustannie przecie są one pod okiem mojém. Pilnuję ich, karmię, jak mogę najlepiéj, przestrzegam, do nauki napędzam, oszywam, własnemi rękami ubieram, gdy wychodzą z domu. Co więcéj nad to uczynić mogę?

Uśmiechała się, mówiąc to, ze zwyczaju, dla złagodzenia słów swoich, które się jéj wydawały zbyt ostremi; lecz usta jéj drżały z żalu, a błękitne zmęczone oczy zachodziły łzami.

— Może zanadto męczą się nauką? — z cicha zauważył pan Marceli.

Pani Aniela spojrzała na męża z-za łez, ale ze szczególną powagą i ze szczególną też posępnością wymówiła:

— Marceli! ty wiész, ty sam najlepiéj wiész, jak ciężkiém jest życie bez nauki.

Spojrzał na nią zdziwiony może powagą i niemą surowością jéj głosu, a dostrzegłszy na téj łagodnéj twarzy, która dotąd same tylko dla niego miała uśmiechy, bolesne wzruszenie, w milczeniu już pocałował ją w rękę, wziął czapkę ze srebrną gwiazdką i wyszedł na miasto. Skierował się wprost ku hotelowi Wszech-Krajów i po chwili wchodził do oszklonéj izdebki szwajcara.

Otocki, podnosząc głowę z nad ksiąg rachunkowych, uprzejmie, lecz z pewnym odcieniem trwogi, powitał przybyłego.

— Gość z pana rzadki. Czy tam czasem, broń Boże, co z Lusią...

— Właściwie, — siadając na stołku, zaczął pan Marceli — właściwie nic nowego, ale... ale chciałem zapytać pana, czyś pan nie zauważał we wnuczce swéj i w synie moim także czegoś... czegoś... czy ja wiem? Ja, panie, bardzo jestem zajęty, trochę zmęczony i rzadko bywam w domu. Nie wiem, co to jest i dlaczego, ale jakoś oni nie są tak, jak być powinni. Niby chorzy... smutni czegoś ciągle i wyglądają tak, jakby nie dziećmi byli...

Umilkł. Otocki patrzył na niego wzrokiem pojętnym i bardzo smutnym.

— Nie powiedziałeś mi pan nic nowego — zaczął po

chwili — syna pana znam niewiele; ale Lusia... złota dziewczynka moja... biedna!...

— Dlaczego? — z niejaką żywością zapytał pan Marceli.

Pod długim białym wąsem gorzki uśmiech przebiegł usta odźwiernego.

— Powiem tak, jak pan — ozwał się z cicha — czy ja wiem? Jestem bardzo zajęty, trochę zmęczony i... rzadko ją widuję. Państwo macie syna przy sobie, a zgadnąć nie możecie, co mu jest. Cóż ja? przychodzi ona do mnie od czasu do czasu pomiędzy lekcyami a uczeniem się lekcyi, na chwilę... widzę, że blada, że mi źle rośnie, że smutna i skryta, a otworzyć przed sobą jéj serca nie mam sposobu. Czasem zrażam ją nawet trochę, bywam ponury, w pewne szczególniéj rocznice moje; a jéj-by trzeba kogoś pobłażliwego i wesołego, kogoś, coby młode myśli jéj i uczucia rozumiał i podzielał. Zresztą, na wszystko, panie, na wszystko czasu trzeba, a ja go nie mam nic. Pełnię gorliwie swoje i nie swoje, byle-by tylko trzymać się tu i ją wychować...

Skończył i pochylił głowę nizko z wyrazem zgnębienia, z którym w szczególny sposób sprzeczał się energiczny, gwałtowny nawet, ruch ręki, targającéj białego wąsa.

Prosty i sztywny Ryżyński podniósł się z siedzenia. Szwajcar wstał także, a gdy przez dość długą chwilę stali naprzeciw siebie, z niemém jakby pytaniem patrząc sobie w twarze, światło gazowego płomyka błyskało, drgało i śmiało się w pozłacanych i posrebrzanych guzikach ich ubrania.

— Więc — zaczął jeszcze Ryżyński — więc pan nic nam

nie radzisz... i nic dla wnuczki swéj nie zdecydujesz się uczynić, tak, jak ja namyślić się nie mogę, co zrobić dla syna...

Uginając się jakby pod ciężarem pytań tych, Otocki padł na krzesło i, czoło ukrywszy w dłoniach, zawołał:

— Co ja mam, co ja mogę uczynić dla niéj?

Potém podniósł głowę i, wznosząc wysoko oczy, jakby tam w górze oblicza lub wizerunku czyjegoś szukał, ciężkim szeptem wymówił:

— Romku! biedny mój Romku! co ja dla dziecka twego zrobić więcéj mogę!

Pani Aniela daleko mniéj od obu mężczyzn brała do serca złe wyglądanie syna i wychowanki. O północy, rzucając zaoszczędzoną złotówkę do skarbonki Julka, rzekła do męża:

— Daremnie martwisz się, Marceli, a widzę, że martwisz się, bo nawet gazeta rozerwać cię dziś nie mogła. Dzieci pracują i dlatego pewnie są czasem mizerne i trochę jakby zmęczone. Inaczéj przecież być nie może. A tyż nie pracujesz przez całe życie, jak wół w pługu? I ja także nie próżnuję; a jednak, ot, dożyliśmy lat naszych. Zresztą, za rok już Julek skończy gimnazyum... potém pięć lat tylko uniwersytetu i będzie z niego — człowiek. Zostanie doktorem, będzie miał praktykę ogromną i, choć bez pracy pewnie się nie obejdzie i wtedy, to jednak wcale go ona tak męczyć nie będzie. Odpocznie sobie... a kto wié?... może i my przy nim odpoczniemy trochę.

Przy ostatnich słowach zgasiła lampkę a w minutę potém już chrapała. Czy pan Marceli był uspokojony temi

słowami? niewiadomo. To tylko pewna, że w najbliższą niedzielę nie poszedł do kolegów na preferansa, ale wieczór cały przesiedział z żoną i synem, usiłując zawiązać z tym ostatnim rozmowę, która nie szła jakoś. Po prostu nie przywykli byli przestawać z sobą. Zamieniali się krótkiemi zapytaniami i odpowiedziami, przyczém ojciec wydawał się zmieszanym, a syn znudzonym. Skończyło się na tém, że Julek przyniósł z kuchenki książkę jakąś w szaréj oprawie, z wypadającemi kartami, i czytać ją zaczął. Pan Marceli wyciągnął po książkę długą swą bladą rękę.

— Co to czytasz, Julku? — zapytał.

— Socyologią — odparł chłopak, z miną człowieka, który, wymawiając słowo jakieś, pewnym jest, że go słuchacze nie rozumieją. Jakoż pan Marceli nie zupełnie jasne miał pojęcie o znaczeniu wyrazu: socyologia. Przytém książka była niemiecka i przedstawiała dla niego zbiór niepojętych a dziwacznie wyglądających gzygzaków. Odsunął téż ją ku synowi ruchem, znamionującym zniechęcenie i, zamyśliwszy się, ponuro patrzał w ziemię. Pani Aniela, która w niedzielne wieczory nie oddawała się szyciu i cerowaniu, myjąc w kuchence szklanki i składając starannie bieliznę stołową, gwarzyła z siedzącą na tapczaniku sąsiadką o cenach mięsa i jaj, o straszném błocie, które z rana zalegało rynek, o wzrastającéj drożyźnie obuwia. Lusia wieczór ten, jak i najczęściéj wieczory niedzielne, przepędzała u dziadka. Tym razem znalazła go w usposobieniu takiém, jakie zawsze sprawiało na niéj przykre wrażenie. Mówił mało, albo szklanym wzrokiem patrzał w przestrzeń, albo wpatrywał się w nią

bystro i smutnie. Takim widywała go dotąd tylko w pewne dnie roku, o których wiedziała, że są rocznicami, przywodzącemi mu przed pamięć szczególniéj wesołe lub bolesne wypadki jego życia. Dziś jednak nie opowiadał jéj, jak zwykle w dniach podobnych bywało, ani o godzinie, w któréj otrzymał tam... tam daleko... wieść o jego śmierci, ani o pięknym Otoku, ani o swéj długiéj podróży. Nie była to więc rocznica żadna. Jednak, po półgodzinnéj nieobecności, podczas któréj przyjmował przybyłych z pociągu gości, wróciwszy do izdebki i siadając przy biurku, nagle trochę zapytał.

— Czegoś ty taka mizerna? i czemu nic nie mówisz do mnie? Jeżeli chora jesteś, albo ci brak czego... możesz przecie powiedzieć mi o tém, a ja... jabym ci nieba chciał przychylić... Cóż?...

— Nie jestem chora i niczego mi nie brak — odpowiedziała.

Rzucił się na krześle gniewnie trochę.

— Skryta jesteś — zaczął, lecz urwał nagle, jakby mu surowe wyrazy, do niéj skierowane, przez usta przejść nie mogły. Natomiast wpatrzył się w nią znowu bystro i mówił:

— Jesteś sierotą, bo choć masz mnie, cóż ja? tyle tylko, że cię żywić i jaką-taką edukacyą dawać ci mogę. Wielu téż rzeczy i fizycznie, i moralnie, braknąć ci musi. Dlatego, dziecko moje, udawaj się jak najczęściéj do Ojca sierot wszystkich... módl się...

Tu urwał nagle, bo po drobnych ustach dziewczyny przeleciał szybko powstrzymywany uśmiech. Zerwał się z krzesła, otworzył usta, jakby dla wypowiedzenia

gwałtownego jakiegoś słowa; lecz, powściągając się, podniósł w górę ramiona i drżącemi rękoma zaczął poprawiać, zwiększać i umniejszać płomyk gazowy. Walczył widocznie z gniewném uniesieniem, od którego pierś mu dyszała mocno, a srebrne guziki granatowego surduta podnosiły się i opadały szybko. Nie; z dzieckiem „biednego Romka“, z tą jedyną gwiazdą oczu swoich, obejść się źle nie mógł, nie chciał... To téż zaprzestał roboty około gazowego różka i usiadł na stołku swym; wtedy dopiéro, gdy się uspokoił nieco, targając z lekka wąsa, głosem, w którym drżał z razu tłumiony jeszcze gniew, a który potém stawał się monotonnym i gderliwym, upominać ją zaczął o zapominanie modlitwy, o tracenie wiary religijnéj, o czytanie złych książek, które dzieciom przewracają w głowach... Ona słuchała w milczeniu, w zwyczajnéj sobie zadumanéj postawie, cierpliwie i pokornie z pozoru, lecz od chwili do chwili nieruchome jéj rysy oblewał gorący rumieniec, a z ciemnych źrenic strzelały szyderskie błyski. Widać było, że burzyła się wewnątrz. On tego nie spostrzegł, i jak gniew jego przeszedł w gderanie, tak stopniowo to ostatnie stopiło się w rozrzewnieniu. Pochwycił za obie ręce i, przyciągając ją ku sobie, zapytał:

— Nie gniewasz się, że tak gderam na ciebie? Kochasz trochę twego starego, nieznośnego dziadka?

Być może, iż, gdy silném ramieniem wiotką kibić jéj przyciskał do swéj piersi, uczuła, jak pod liberyjnym surdutem serce jego uderzało mocno i gorąco; być może, iż przez głowę przemknęła jéj myśl, że dla niéj to, dla niéj tylko, przyoblókł się on w surdut ten, taki twardy i brzydki,

jak niewola i służalstwo, bo gdy, patrząc w twarz jéj, powtórzył pytanie:

— Czy kochasz trochę twego starego, nieznośnego dziadka?

Podniosła powieki, wymówiła:

— Bardzo! bardzo; — i, ze łzami na rzęsach, ramiona swe zarzuciła mu na szyję.

Wtedy, z krzykiem radości, porwał ją w objęcia, posadził, jak małe dziecię, na swych kolanach i, okrywając ją pocałunkami, mówić, raczéj szeptać zaczął:

— Dziecko moje! może ja i wiem, czego tobie potrzeba! Potrzeba tobie do oddychania zdrowego, świeżego powietrza, przestrzeni do biegania, drzew i kwiatów, które-by odświeżyły młode twe oczy, wpatrujące się ciągle w czarne litery książek... Potrzeba tobie czułéj matki, która-by cię pocałunkiem budziła i usypiała, i rozumnego ojca, który-by wiedział i rozumiał, co myślisz, i jak czujesz, a myśli twe i uczucia mądrze, łagodnie, od różnych manowców tego świata odprowadzać mógł... Wiem... wiem wszystko, lecz cóż uczynić mogę... bezdomny biedak, tém tylko zajęty, aby pan Leonid Igorowicz za drzwi mnie ztąd nie wyrzucił!...

Lusia całowała go w usta i w siwe włosy.

— Kocham cię, dziaduniu — mówiła — wiem, co czynisz dla mnie... kocham cię i żałuję, ale nie mogę być inną!

Nie mogła istotnie. Uczucia jéj i myśli były wrzątkiem, pomimo woli jéj i wiedzy, często wylewającym się na zewnątrz; Otocki spostrzegł to tego samego jeszcze

wieczora. Pomimo, że była prawie dorosłą, odprowadzając ją w późne wieczory do mieszkania Ryżyńskich, zachował on zwyczaj trzymania jéj za rękę, tak, jak to czynił w latach jéj dzieciństwa. Szli więc tak przez ulice miasta, dłoń w dłoni, milcząc, aż weszli na mały placyk pusty i cichy, pośród którego kiedyś, kiedyś, mała Lusia zatrzymywała się, aby pokazać dziadkowi zjawiające się jéj pod sklepieniem nieba widziadło rycerza: „na śnieżnym koniu i w błyszczącéj zbroi.“ I teraz tarcza księżyca stała pośród szafirów, a nad nią białe rozwiewne obłoki sunęły lekkim, długim korowodem. I teraz zdawały się tam szeleścić srebrne skrzydła, a z pod hełmów złocistych pochylać się ku ziemi „odważne i smutne” oblicza. Otocki spojrzał ku górze, chciał widocznie powiedzieć coś, lecz nie śmiał, lękając się może, aby znowu pomiędzy sobą a gwiazdą swych oczu nie wywołał chmury. Jednak do mówienia skłaniała go widocznie gorzka żądza dowiedzenia się prawdy, choćby bolesnéj, albo téż nadzieja, że będzie mu ona pociechą i uspokojeniem. Wyciągniętym w górę palcem wskazał igrające dokoła księżyca obłoki i z drżącym uśmiechem na ustach zapytał:

— Lusiu! a czy teraz widujesz tam jeszcze czasem... rycerza z Cecorskich pól?

Z okrutną nierozwagą młodości i z dumą tą, z którą młodość popisuje się tém, co uważa za swe zdobycze, zaśmiała się z cicha i odpowiedziała prędko:

— O, nie! Odkąd zaczęłam myśléć o rzeczach daleko ważniejszych, Cecorskie pola i ich rycerze całkiem zajmować mię przestały!

Nagle wypuścił rękę jéj ze swéj dłoni. Nie powiedział nic, tylko, gdy stanęli u wejścia do żółtéj kamienicy, zamiast, jak zwykle bywało, z troskliwością niezmierną towarzyszyć jéj na ciemnych wschodach, aż do samych drzwi Ryżyńskich, popchnął ją lekko ku wyjściu, głucho i krótko mówiąc:

— Idź!

Po raz piérwszy w życiu rozstali się pokłóceni z sobą, z wzajemną ku sobie urazą w sercu. Ona wstępowała po ciemnych i zawrotnych wschodach sama jedna, powoli snując w głowie gorzkie i niechętne myśli. On, śpiesznym, gwałtownym krokiem przebył placyk, lecz nagle stanął i, uderzając się w czoło, zawołał:

— Co ja zrobiłem! puściłem ją samę na takie złe wschody... jeszcze upadnie!

Odtąd w Otockim zachodzić zaczęły zmiany widoczne. Na piękną, silną i rzeźką powierzchowność jego, wybijały się już niekiedy oznaki starzenia się i sposępnienia. Bywały chwile, w których zdawać się mogło, że na myśl jakąś, pojawiającą się w głowie jego ręce mu opadały w zniechęceniu, czy nie przezwyciężonym smutku. Zresztą, broniony dotąd przez wewnętrzne bodźce swe i pociechy od fizycznego zniedołężnienia, teraz dopiéro uczuwać zaczął dolegliwie owę, z podróży przywiezioną, niemoc nogi, tak, że niekiedy poprzedzał na wschodach gości hotelowych krokiem trudnym i powłóczystym, na który pan Leonid Igorowicz niechętnie spoglądać zaczynał, znajdując, że admirowana przez niego dystynkcja ruchów Otockiego podobną staje się do niedołęztwa. Upadał téż na wzroku, co

przypisać było można wieloletniemu przebywaniu i pracowaniu w izdebce, napełnionéj mieszaniną dziennego i sztucznego światła. Względem wnuczki bywał teraz niecierpliwy, nieufny, badawczy. W usposobieniu jéj było coś, co go wciąż i srodze niepokoiło, a pewne uśmiechy jéj, jakkolwiek starała się ona je powściągać, i wyrazy, pomimowoli często z ust jéj wylatujące, miały szczególną własność drażnienia go i wywoływania w nim gniewnych uniesień. Tym ostatnim jednak nie poddawał się nigdy i można je było odgadnąć tylko po gwałtowności ruchu, jakim zrywał się ze stołka, i po szczególnym zapale, z jakim drżącemi rękoma, bez żadnéj zresztą widocznéj potrzeby, wzmagał i umniejszał natężenie gazowego płomyka. Przy tém mruczał coś pod białym wąsem z cicha i monotonnie, a usiadłszy na stołku ze zgaszonym już w piersi gniewem, rozpoczynał gderliwe a długie upomnienia, połączone zazwyczaj z wyrzekaniem na nowy świat, teraźniejszych ludzi, nauki ich, wymysły i t. d.

Lusia nie wdawała się z dziadkiem w spory, słuchała milcząc, lub odpowiadając z rzadka cichém i z pozoru łagodném słowem; ale przy rozstaniu żegnała go coraz chłodniéj, a przychodziła do niego coraz rzadziéj i na krócéj...

Raz — a miała wtedy lat już blizko szesnaście — weszła do oszklonéj izdebki z zaczerwienionemi od płaczu oczyma, bardzo i widocznie rozżalona. Zapominając o wszystkich goryczach swych i urazach, Otocki rzucił się ku niéj z trwogą, pytaniami, pieszczotą. Zaledwie mogąc wstrzymać się od łkań, powiedziała mu, że nazajutrz Julek

opuścić miał Onwil, a wyjechać w podróż do dalekiéj, dalekiéj stolicy.

— Cóż? — pytał Otocki — czy przywiązałaś się do niego tak bardzo, że cię rozstanie z nim tak wiele kosztuje.

— Tak! — odpowiedziała — lubię go bardzo i smutno mi będzie bez niego; ale większy mi żal, gdy pomyślę, że on tam na świecie będzie żył, patrzał, uczył się, wtedy, gdy ja...

Otocki zbladł.

— Czy chciała-byś — zaczął zwolna — czy chciała-byś żyć tam, dokąd on jedzie?

Z naiwném samolubstwem młodości zawołała żywo:

— O tak! tam, czy gdzieindziéj, byle nie tu, byle nie tu!

Opasające kibić jéj ramię Otockiego opadło. Chciał coś powiedzieć; rumieniec trysnął mu na zorane czoło; ale, jak zwykle, dla niéj i przy niéj powściągnął się i, tylko wzniosłszy ku gazowemu płomykowi oczy, pełne stalowych błysków, mrugał powiekami tak szybko i uparcie, jak gdyby chciał powstrzymać łzy, albo jak gdyby oślepł nagle i przejrzeć usiłował.

Julek przed miesiącem otrzymał od zwierzchności szkolnéj tak zwane świadectwo dojrzałości i wyjeżdżał do stolicy, w celu uczęszczania na kursa medyczne w istniejącéj tam Akademii. W przeddzień wyjazdu jego, sine ściany małéj sypialni Ryżyńskich były świadkami sceny następującéj. Około północy, pani Aniela zdjęła ze ściany skarbonkę z białą kartą, noszącą napis: „Dla Julka na uniwersytet” i z rodzajem nabożnego uszanowania postawiła ją na stole, przy którym siedział pan Marceli,

zapominający w dniu tym nietylko o czytaniu gazety, ale nawet zamienieniu surduta z pozłacanemi guzikami na wygodny szlafrok. Kiedy oboje, pochyleni nad skarbonką, otwierali ją wspólnemi siłami, twarz kobiety oblaną była silném wzruszeniem, na-pół radośném, na-pół jakby uroczystém, a długie, suche ręce mężczyzny drżały tak, że dla spełnienia łatwéj roboty swéj potrzebował minut kilku. Tymczasem, nakształt złoczyńców, zabierających się do rozglądania nieprawych łupów, zamieniali się oni urywanemi i tajemniczemi szeptami:

— Ile tam być może? — zapytywała kobieta.

— Nie wiele na pewno.

— Może nie wystarczy?

— O, gdyby mu przynajmniéj na parę lat była pomoc jaka!

Tu roztworzyła się ściana skarbonki, i na stole zabrzęczały wysypujące się na niego monety.

O! jakże tego było tam wiele i zarazem jak mało! Złotówki srebrne, miedziane dziesiątki i czworaki, trochę zmiętych rublowych banknotów, okryło sobą część stołu i widokiem swym wprawiło panią Anielę w pełne radości osłupienie.

— Dużo! bardzo dużo! — zawołała ze splecionemi dłońmi i wzrokiem wlepionym w dziedzictwo syna.

— Bardzo mało! — szepnął pan Marceli i gorzki uśmiech przebiegł mu po wązkich wargach i wygolonych błyszczących policzkach.

Zaczęli liczyć powoli, uważnie, w milczeniu, raz tylko przerwaném głośnym okrzykiem pani Anieli, gdy wśród

miedziaków błysnął różowy, wartość dziesięciu rubli przedstawiający papierek. Żadna marząca wesoła dziewczyna nie powitała piérwszéj róży wiosennéj z tak rozkosznym uśmiechem, jakim był ten, który oblał twarz kobiety na widok téj zgniecionéj szmatki.

— Zkąd to? — zapytała, i bystro spójrzała w twarz mężowi.

On odpowiedział:

— A wtedy... kiedy to, pamiętasz, otrzymałem gratyfikacyą i zostawiłem u siebie tę asygnatkę... na cygara...

— Cóż? a cóż było z cygarami?

— Nie paliłem ich wcale przez czas jakiś.

— A! — zawołała — i mówiłeś mi wtedy, że cię gardło boli!

Uśmiechnął się tak blado i sucho, jak uśmiechał się zwykle. Lecz ona patrzała na niego z uszczęśliwieniem niewymownem.

Koniec końców, oszczędności Ryżyńskich, przez lat dziesięć na rzecz syna czynione, wynosiły sumę rubli około trzystu. Zebraną ona być mogła cudem prawie.

Na parę godzin przed odejściem na północ pociągu kolei żelaznéj, pan Marceli, który po raz piérwszy odkąd zostawał w służbie rządowéj, dnia tego do biura nie poszedł, zawołał syna do małéj sypialni i, oddając mu paczkę asygnat, mówić zaczął:

— Oto wszystko, mój Julku, co mogliśmy zrobić dla ciebie. Oddaliśmy cię do szkół i po groszu zebraliśmy sumkę, któréj połowę daję ci teraz, a połowę chowam u

siebie na piérwsze zapotrzebowanie twoje. Jest to bardzo mało, ale w naszém położeniu... wiész...

Zatrzymał się, pomyślał trochę i mówił daléj:

— Posyłałem cię do szkół i posyłam teraz do uniwersytetu, dlatego, że doświadczyłem, jak źle jest żyć, nie mając możności dążenia do wyższéj karyery, do lepszego i łatwiejszego bytu. Ja téj możności nie miałem i dlatego jestem, czém byłem, i będę, czém jestem... a to ciężko. Jednak...

Zawahał się i po chwili dopiéro kończył:

— Jednak, być może, że byłem do czegoś więcéj zdolny; że za młodu miałem więcéj, niż teraz, myśli w głowie, bystrzejsze pojęcie, więcéj siły i ochoty do wszystkiego. Ale uzdolnienie, które otrzymałem, i okoliczności, które mi w drodze stanęły...

Tu wstał, wyprostował się, zgasłe oczy jego błysnęły.

— O! te okoliczności — zawołał pełnym i dźwięcznym głosem — one-to mi najbardziéj stanęły na drodze, przykuły do jednego miejsca, znękały wieczném upokorzeniem, strachem... Ja chcę, abyś ty silniejszym był od okoliczności tych; abyś był niezależnym od nikogo i od niczego; abyś miał nadzieję, i nigdy, nigdy nie mówił sobie: jak było, tak jest, jak jest, tak będzie...

W chwili téj, uroczystéj dla niego, zbudził się w nim człowiek takim, jakim kiedyś być musiał, jakim być mógłby; wielkim głosem krzyknął w nim ojciec, pragnący przedewszystkiém uchronić syna od ciemnéj, nizkiéj, beznadziejnéj doli. Z twarzą zarumienioną i rozgorzałém okiem, w obie dłonie ujął głowę syna i, cisnąc ją do swéj

piersi, po wiele razy powtarzał nad nią:

— Ucz się, Julku, ucz się, abyś mógł zrobić karyerę, abyś mógł iść, iść z nadzieją, że zajdziesz!

Pani Aniela, przy rozmowie téj obecną nie była.

W kuchence, nad kuferkiem Julka schylona, uśmiechając się i płacząc na przemian, układała ona małą wyprawę syna, bacząc starannie, aby wszystko w niéj było całe, i czyste, i mocne. Tam, dokąd jechał, panowały długie i ostre zimy; pani Aniela więc przyspasabiała oddawna, a teraz zaopatrywała go we wszelką, możliwą dla niéj do otrzymania, ciepłą odzież.

Ojciec mówił mu o karyerze i nauce dla karyery, matka myślała o tém, aby się nie zaziębił...

Rok minął. Niezwykły ruch panował w małéj bawialni Ryżyńskich. Obchodzono tam uroczystość podwójną; przyjazd Julka ze stolicy na wakacye i szczęśliwe ukończenie przez Lusię nauk, a zarazem i lat siedmnastu. Żółte ściany nigdy jeszcze nie wyglądały tak wesoło. Słońce letnie rzuciło na nie przez małe okna kilka promieni, w których świetle czerwieniły się jaskrawe róże, zdobiące cyferblat starego zegara, a mosiężne wahadło wydawało się złotém. Przed starożytną kanapą, przy stole, zastawionym wyjątkowo wspaniałym, bo aż z trzech potraw złożonym, obiadem, siedziało osób pięć, z których jedną był Otocki. Siedział on, plecami zwrócony do okna, gdyż od czasu pewnego oczy jego, nawykłe do zmroku i sztucznego światła, z trudnością wielką mogły znosić blask dnia i słońca. Uwalniając się na parę godzin od zajęć swych, nie miał on snadź czasu zmienić hotelowéj liberyi na ubranie

inne, lecz dziś nie zdawała mu się ona wcale być ciężką, lub przykrą. Poprostu zapomniał o niéj, tak, jak zapewne o wszystkiém na świecie, co nie było tą młodą dziewczyną z lnianym warkoczem nad bladém czołem, która siedziała naprzeciw niego, w szczególny u niéj sposób ożywiona i radosna, a na którą patrzał on wciąż swemi, chorobliwie mrugającemi, lecz pełnemi szczęścia, oczyma.

Ona za to całą uwagę swą zwracała na młodego człowieka, który, pomiędzy panią Anielą i panem Marcelim siedząc, ich téż twarze, jak słońce oblicza słoneczników, ku sobie zwracał.

Był bardzo przystojnym, jakkolwiek przez rok ubiegły bardziéj jeszcze schudł i pobladł. Piękne i delikatne rysy jego okryły się wyrazem życia i ruchliwości, oczy nabrały blasku, giesta energii i pewności siebie, która, w towarzystwie inném, wydawać-by się mogła rubasznością, lecz w otaczającém go kole budziła podziw, zmieszany z uszanowaniem. Mówił wiele o stolicy, o wspaniałościach jéj i różnorodnych stosunkach, lubując się widocznie wrażeniem, które sprawiał na obecnych, a które wyrażało się u pani Anieli szerszym, niż kiedy, pełnym zachwytu uśmiechem, u pana Marcelego — nieśmiałą, lecz pilną uwagą, z jaką go słuchał, u Lusi zaś — gradem zapytań, któremi go obsypywała. Jednak, pomimo swobody téj humoru i niewidywanego w nim dawniéj zadowolenia, od czasu do czasu na powierzchowność jego wybijały się objawy innéj całkiem natury. Zbyt głośny i rubaszny śmiech jego urywał się czasem, czoło chmurniało i zbiegało się pomiędzy brwiami w grube fałdy, oczy nieruchomiały i

spuszczały się ku ziemi. W chwilach takich wydawał się srogim, ponurym i o wiele starszym, niż był istotnie. Potém jakby budził się ze snu, podnosił wzrok, uśmiechał się i obu dłońmi burzył, gęste jak las, a długie aż po ramiona, swe włosy. Przyglądając się wciąż synowi, pani Aniela ze śmiechem zawołała:

— Juleczku! dlaczego nie kazałeś sobie włosów ostrzydz?... nikt przecież nie nosi takich długich włosów?...

— Dlatego właśnie ja noszę i nosić będę — odpowiedział młody człowiek tonem, repliki niedopuszczającym.

Pani Aniela o replikowaniu nie myślała, lecz w kilka minut późniéj zawołała znowu:

— Juleczku! dlaczego, zmieniając ubranie podróżne, nie włożyłeś czystéj koszuli? przecie-żem wyjęła ją z kuferka i razem z surdutem położyła.

Zachmurzył się i z niecierpliwością odrzucił:

— Ależ, moja mamo! nie pojmuję, jak można zwracać uwagę na wszystkie te drobnostki! Cierpiéć ich nie mogę i pewnie sił i życia na nie tracić nie będę. Potrzebniejsze są one na rzeczy ważniejsze...

— O tak! — z zapałem zawołała Lusia, poczém jednak z namysłem dodała: — Jednakże, pamiętasz Julku! czytaliśmy kiedyś o tém, że stopień cywilizacyi kraju odgadnąć można po ilości zużywanego w nim mydła...

Wlepił w nią długie, szyderskie trochę spójrzenie, i odpowiedział z wolna i dobitnie:

— Kiedy wszyscy ludzie na świecie będą mieli chleb, nam wolno będzie myśléć nie tylko o mydle, lecz choćby o

perfumach. Dlaczegoż nie? Perfumy są rzeczą przyjemną, i batystowa bielizna przyjemniéj głaszcze skórę, niż grube płótno... Szkoda tylko, że wszyscy ich miéć nie mogą... a trzeba... żeby mieli...

Lusia zarumieniła się, spuściła oczy i szepnęła z cicha:

— To prawda!

Julek zwrócił się do Otockiego, prowadząc daléj przerwaną przed chwilą rozmowę.

— Nie zazdroszczę panu — mówił — częstego widywania tych ludzi, którzy chmarami zwykle spadają na wielkie hotele, aby roztaczać tam cały blask bogactw swych i tytułów...

Otocki czuł się widocznie zmieszanym nieco, z rozwagą jednak odpowiedział:

— Ależ bywają niekiedy pomiędzy niemi ludzie nieźli i dobrzy...

— A ja — porywczo zawołał młody człowiek — ja! ja! — powtórzył — zaręczam panu, że są to pozostałości czasów minionych, wstrzymujące pochód ludzkości, i które ludzkość...

— Juleczku! — zawołała nagle pani Aniela — co téż ty mówisz? Są to przecież ludzie możni i tacy rozumni...

Tu i pan Marceli powoli mówić zaczął:

— Rzeczywiście! rzeczywiście! ja sam widuję czasem wielkich panów, przychodzących do biura z interesami. Niektórzy z nich są bardzo grzeczni, a przytém tak im jakoś łatwo o wszystkiém mówić, z każdym się obejść...

Julek uśmiechnął się wzgardliwie i zwrócił się do ojca:

— I ojcu nigdy nie przyszło na myśl, że różnice,

zachodzące pomiędzy położeniem ich i ojca, są krzyczącą niesprawiedliwością?

Pan Marceli ze zdziwieniem popatrzał na syna, a gdy nakoniec wyrozumiał myśl jego, wzruszył z wolna ramionami i odpowiedział:

— Nigdy nie zazdrościłem nikomu...

— Zazdrościć — z giestem przerażenia zawołała pani Aniela! — Juleczku! jak można przypuszczać, aby ojciec twój pożądał cudzego dobra?

Z odcieniem niecierpliwości, doznawanéj zwykle przez ludzi, którzy czują się niezrozumianymi, syn odrzucił:

— Ależ, moja mamo! co to jest: cudze dobro? Ziemia jest wspólną własnością... Ale, poco ja o tém mam tu mówić? Tu nikt nie rozumié rzeczy takich, ani się niemi zajmuje. Ojciec i mama spleśnieliście w swojém ciasném, mieszczańskiém życiu i, aby zrozumiéć nowy świat i nowych ludzi, braknie wam już siły...

Pani Aniela szeroko otworzyła oczy i usta; pan Marceli spójrzał na syna i, ze wzrokiem wlepionym znowu w talerz, z cicha wymówił:

— Nie powiedziałeś mi nic nowego... wiem o tém dawno, że jestem ciemny i głupi... wolał-bym jednak, abyś ty mi tego nie mówił...

Otockiego oczy błysnęły, jak stal.

— Niepięknie — rzekł półgłosem — niepięknie jest i niedobrze w sposób taki do rodziców mówić!

Julek ściągnął brwi. Wyraz twarzy jego stał się srogim i ponurym, a postawa wyglądała pełną obrazy.

— Gdzie idzie o prawdę — wyrzekł niechętnie — tam

nie powinno być względów żadnych... Rodziców oświecać należy, tak samo, jak innych ludzi...

Otocki był wzburzony.

— Tylko, że oświecanie to zapóźno już przybywa! — zawołał. — Niemłodzi są, zmęczeni, spracowani... korzystać długo z lekcyi syna nie będą!...

Pan Marceli wstał nagle i ruchem, niepospolicie u niego żywym, wyciągnął rękę ku Otockiemu.

— Prawdę pan powiedziałeś! — rzekł — nie długo... bo i pocóż?

Spójrzał na żonę, któréj silne rumieńce zbladły jakoś w téj chwili, a zwiędłe usta drżały.

— No, no! — rzekł powoli — nie martw się tylko, Anielciu! On nie przez złe serce... tak sobie... młode piwko...

— Ależ przepraszam! — zawołał Julek — zapomniałem, że tu z każdém słowem liczyć się trzeba... Przywykłem już do innego życia... przepraszam! Rodzicom ubliżyć nie chciałem... pocóż komukolwiek ubliżać?

Pani Aniela, płacząc, rzuciła się na szyję syna.

— Myśmy cię zawsze tak kochali!.. ojciec tak myślał zawsze o twojéj przyszłości!.. Co my na świecie mamy, oprócz ciebie?

W objęciu matczyném zmiękł i złagodniał. Pocałował matkę w rękę i, jakby pragnąc zakończyć scenę, która go nudziła, mówić zaczął o czém inném. Z pewną przesadą zwrócił rozmowę ku najbłahszym i napowszedniejszym przedmiotom. Opowiadał o śniegach, które zeszłéj zimy w obfitości wielkiéj spadły na stolicę, i o używanym tam

sposobie jeżdżenia saniami.

Otocki piérwszy zerwał się od stołu, pochwycił czapkę z galonem i, czule uścisnąwszy wnuczkę, a wszystkich śpiesznie pożegnawszy, wybiegł.

Wkrótce potém pan Marceli wysunął się do sypialni, a pani Aniela wyszła do miasta po bułki i mleko do herbaty; Julek i Lusia zostali sami. Stali chwilę u okna, u tego samego okna, przy którém siadywali przez długie lata dzieciństwa swego, przytłoczeni duszném powietrzem ciasnego mieszkania, znudzeni żółtemi jego ścianami, podobni do dwóch ptaków o nastrzępionych piórach, które przez szczeliny klatki swéj wyglądają na świat, dojrzéć go nie mogąc, i Bóg wié, jakie dziwy o nim sobie roją. Teraz, jakże zmienionymi byli oboje! On kipiał cały życiem, energią i zuchwałą śmiałością. Chwilami chmurny i ponury, wydawał się przecież uosobieniem młodzieńczéj nadziei i nieograniczonéj ufności w obietnice świata i siły.

Ona, szczupła i drobna, w kształtach swych i ruchach miała słabowity wdzięk kwiatów, urodzonych pod chmurném niebem i już w chwili rozkwitu przywiędłych. Bladość, okrywająca drobne jéj rysy, zabarwioną była żółtym odcieniem, przy którym ostro odbijały lnianopłowe włosy, jednym grubym splotem owijającą małą jéj głowę. Wśród bladości téj i pod tym jasnym warkoczem, ciemne jéj oczy płonęły przytłumionym blaskiem; uśmiechała się rzadko, a w zarysie bladawych warg jéj tkwił rozmarzony, nieledwie extatyczny wyraz. W ogóle znać w niéj było jednę z organizacyi tych, które, wytwarzane przez pewne właściwości czasu i miejsca, krew mają bladą, a jednak

wrzącą pod smagającym ją biczem wyobraźni, muskuły, znikające pod niszczącém działaniem nerwów, drgających konwulsyjnie pod wpływem najlżejszego choć-by wrażenia. Lekarz i psycholog na widok jéj zawołali-by zarówno: ratunku dla istoty téj, ze zwichniętą równowagą władz ciała i ducha! dla harfy téj, któréj struny jedne śpiewają zbyt głośno, a inne śpią w niemém milczeniu!

Śmiało i badawczo patrzała w twarz towarzysza swego, i ze szczupłemi ramiony, skrzyżowanemi u piersi, z wolna, z cicha mówić mu zaczęła, jak bardzo szczęśliwą czuje się tém, że tu przybył, że o mnóztwo rzeczy zapytać go nakoniec może, i powierzyć mu tysiąc myśli, które przychodzą jéj do głowy, a o których mówić niéma tu przed kim.

On usiadł, jak mógł, najwygodniéj, na twardém rodzicielskiém krzesełku, drugie umieścił w ten sposób, aby na niém w całéj długości nogi swe módz rozciągnąć, i w postawie téj, zaniedbania pełnéj, papierosa paląc, patrzał na nią przyjaźnie, lecz więcéj jeszcze ciekawie.

— Biednaś ty! — zaczął, gdy mówić przestała. — Istotnie, wielka to biéda siedzieć w tych ciasnych, żółtych ścianach, pomiędzy tymi ograniczonymi i wpółumarłymi ludźmi, kiedy świat szeroki tak piękny i bogaty, tak pełen ruchu, życia, przyjemności rozmaitych, ha! i myśli także, i usiłowań, aby te wszystkie piękności i przyjemności w jak największéj sumie osiągnąć i jak najszerzéj ich użyć...

Zarumienił się gorąco.

— Pamiętasz — ciągnął — nasze nocne czytania i dysputy, tam, w kuchni? Pamiętasz, jakeśmy sobie łamali

głowy nad różnemi rzeczami? Ja aż zgrzytałem zębami, a ty aż płakałaś z żalu i gniewu nad tém, że jesteśmy tacy osamotnieni, że nikt nam w labiryncie tym ręki nie podaje i do prawdy, do wiedzy nie wiedzie? Otóż wiész, po roku, przeżytym śród innego świata, innych ludzi, ja nie szukam już, nie walczę i nie skarżę się na samotność. Rok ten wydaje mi się wiekiem, który mię od przeszłości oddzielił. Znalazłem prawdę, ha! sto prawd, wspaniałych i pięknych, jak marzenie; wiem wszystko, rozumiem wszystko, otrząsnąłem się z pleśni przesądów i głupich urojeń, znienawidziłem do reszty ten stary świat, pełny niesprawiedliwości i głupstwa... jestem człowiekiem nowym!...

W miarę, jak mówił, Lusia coraz głębiéj wlepiała wzrok w ożywioną twarz jego.

— Szczęśliwy! szczęśliwy! — zawołała z namiętném uniesieniem i, rozplótłszy ramiona, obie dłonie do czoła podniosła.

Julek ochłonął już i, zarzucając stopy aż na poręcz krzesła, a niby grzywą, wstrząsając długiemi włosy, zapytał:

— A ty? co z sobą uczynić zamierzasz? gdzie i jak żyć będziesz?

Lusia spochmurniała i z wolna opuściła się na krzesło.

— Albo ja wiem? — szepnęła — atestat skończenia nauk mam... jakich tam nauk! ty wiész... Ale lekcye języków i innych tam rzeczy dawać mogę i pewnie będę.

Julek patrzał na nią z ironią i wstrząsnął głową z politowaniem.

— I cóż daléj? — zapytał.

Wzruszyła ramionami.

— A cóż, nic...

— Nic daléj! Posiwiejesz, lekcye dając! To wesoło! Ale... jaka z tego korzyść wyniknie?

— Kawałek chleba dla dziadka i dla mnie — odpowiedziała chmurnie i ze spuszczonemi oczyma.

— Kawałek chleba, do którego nawet masła nie będzie. To wiele! No, a dla ogółu, to jest dla ludzkości, dla idei, dla postępu, co?

Lusia kurczowo splotła dłonie i zaledwie dosłyszalnie szepnęła:

— Nic.

On za to zaśmiał się głośno, rubasznie i pogardliwie:

— Otóż-to — zaczął po chwili — mieszczańskie szczęście wasze!... skończyć pensyą, włożyć długą suknią, chodzić od domu do domu, aby różnych bzdurstw nauczać dzieciaki, potém wyjść za mąż za jakiego naprzykład kancelistę, który co dzień o jednéj godzinie chodzić będzie do biura, spać i jeść, a tobie każe przez całe życie gotować obiady i wieczorami łatać starą bieliznę... Szczytne marzenia i wielki, doprawdy, plan życia!...

Lusia rumieniła się i bladła z kolei.

Julek, po chwili szyderczego patrzania w spłonioną jéj twarz, mówił daléj:

— A może... może zdarzy ci się wyjść za mąż bogato... niebrzydką jesteś... owszem, ładną nawet jesteś... i tego-bym ci najwięcéj powinszował; bo jeśli zmarnujesz się dla ludzkości, to choć sama odżyjesz... Ale ja ciebie znam... ty

bogatego męża łapać sobie nie będziesz... lada dzień spotkasz gdziekolwiek, na ulicy, w kościele, w jakich żółtych ścianach, młodzieńca, obdarzonego przez naturę ładnemi wąsikami i talentem do zawracania głów dziewczętom, zakochasz się w nim, on się w tobie zakocha, ksiądz zwiąże wam ręce stułą i zacznie się... zacznie dla was to, jak je tu nazywacie, rodzinne życie, pełne garnków, kołysek, kłótni... i pracy téj, co w oczach naszych, w oczach nowych ludzi, jest samolubném i daremném marnowaniem sił i czasu...

Tu umilkł, bo Lusia pochwyciła go za obie ręce.

— Julku! — zawołała — nie szydź ty ze mnie, nie pomiataj tak moją przyszłością... ja na to nie zasługuję! Byłam towarzyszką twoich prac i myśli dziecinnych; czuję, że i teraz godna jestem, abyś mówił do mnie na seryo i dzielił ze mną wiedzę swoję... A wierz mi, ja niczego nie pragnę, tylko uczyć się, wiedzieć... ach, wiedzieć wszystko i żyć wzniośle, żyć wszystkiemi siłami, które czuję w sobie... Wiész? Przez ten rok, gdy ciebie tu nie było, uczyłam się, jak mogłam i czego mogłam, czytałam, myślałam... Nie mając z kim rozmawiać tak, jak z tobą tylko rozmawiałam, noce całe leżałam nieraz, nie śpiąc i patrząc w ciemności, na których tle zjawiały mi się dziwne obrazy... ale nie takie, nie takie, o jakich tylko co mówiłeś... Widywałam walki jakieś krwawe, potężne, wiedzione przez rycerzy, którzy nieśli sztandary z wypisanemi na nich wielkiemi słowy; widywałam jakieś tłumy blade i znędzniałe, wyciągające ręce ku niebu, na którém powoli, powoli, rozpalało się ogromne słońce, z wyrazem

sprawiedliwość na łonie; widywałam stos jakiś gorejący, jakby ten, na którym umierali: Joanna d'Arc, Giordano Bruno i inni, i siebie na stos ten wstępującą, a taką szczęśliwą, jaką nie czułam się nigdy, nigdy... Julku, ja nie chcę, ja nie mogę kucharką być, ani próżniaczką... łatać łachmanów ubóztwa, ani zjadać chleba bogactwa niezapracowanego i niedzielonego z tymi, którzy biedni... głodni!... Za mąż iść? nie myślałam nigdy o tém, i nigdy téż, nigdy nie będę wykręcać się przed lustrem, jak te głupie dziewczyny, koleżanki moje, którym to tylko w głowie i na sercu. Ani ja młodych ludzi kokietować, jak one, nie umiem... Patrzę na nich, ot, tak samo zupełnie, jak na te żółte ściany, bo są oni tak samo szpetni i tak samo nudni... Ja chcę uczyć się, wiedzieć, żyć... nie tak, jak wszyscy żyją, ale wyżéj jakoś, wyżéj, goręcéj, i — umrzeć, choćby młoda, choćby męczeńską śmiercią, ale za kogoś drogiego... za coś wielkiego!...

Daléj mówić nie mogła, bo zabrakło jéj oddechu. Zdyszana i cała drżąca, wznosiła w górę oczy rozgorzałe i topiące się w łzach. Julek patrzał na nią długo, ze zdziwieniem i zachwyceniem zarazem.

Nagle zawołał:

— Ależ śliczna jesteś, na prawdę! No, no! piérwszy raz spostrzegłem, że masz takie cudne, ogniste oczy i w całéj sobie coś... coś takiego...

Nie dokończył. Nie umiał określić nazwą żadną czaru tego, którym w téj chwili oblała się przed nim postać téj dziewczyny. Nie pochodził przecież czar ten z czego innego, tylko z niezmiernego zapału jéj, który ją całą

napełniał i jakby podnosił, a był tém gwałtowniejszy, że cele, ku którym wzbierał, były nieokreślone, że, jak istnieje w świecie naiwna wiara i miłość, tak w niéj istniały naiwne, przedmiotów swych nieświadome, pragnienia. Nie mógł przecież nie rozumiéć, że, u samego źródła swego, pragnienia te były szlachetne. To téż po chwili dodał:

— I nietylko śliczną jesteś, ale także rozumną, i pełną dobrych chęci dziewczyną!

Ona przecież objętnie przyjęła pochwały jego. Nie przyjmowała nawet, bo nie słyszała ich wcale.

— Julku! — mówiła ze złożonemi dłońmi i prośbą w oczach — mów, mów mi o wszystkiém, ucz mię, kieruj mną... tyś taki rozumny, tyś tyle już nauczył się, widział, żył...

Zamyślił się na chwilę. Uśmiech głębokiego zadowolenia igrał na ładnéj jego twarzy. Czuł, że stawał się, po raz piérwszy w życiu, mistrzem czyimś, że rozpoczynał czynność apostolską i propagatorską, o któréj zaszczytach i potrzebie tyle słyszał, ku któréj czuł pociąg wielki, która zadawalniała i dumę jego, i to, co mienił przekonaniami swemi.

— Pocóż więc — rzekł — prawiłaś mi o jakichś lekcyach, które dawać będziesz, i o jakimś kawałku chleba dla siebie i dziada?

Patrząc w ziemię, odpowiedziała:

— Cóż? jestem biedną i mam dla dziadka obowiązki.

— Obowiązki! — przerwał Julek, i zaśmiał się znowu głośno i wzgardliwie.

Zarazem zdjął nogi z poręczy krzesła, wyprostował się i,

wstrząsając długiemi włosami, zawołał:

— O, moja droga! jeżeli takiemi są wyobrażenia i przekonania twoje, radzę ci jak najprędzéj starać się o lekcye, a zarazem rozpocząć studya osoby swéj przed lustrem...

Lusia była przelęknioną i zawstydzoną bardzo.

— Julku! — zaczęła cicho i prędko — dziadek był dla mnie bardzo dobry, wyhodował mnie, pracował na mnie; gdy zestarzeje i pracować przestanie, czyż nie będzie obowiązkiem moim...

— Daj pokój! — przerwał z wyższością w głosie i postawie — daj pokój, bo aż mnie uszy bolą... Czyż nie rozumiész, że, mówiąc o obowiązkach względem niedołężnego i na nic światu niepotrzebnego starca, powtarzasz pacierz za panią matką, a zapominasz o tych wielkich i rzeczywistych obowiązkach, które każdy z nas, ludzi nowych, ma dla ludzkości... Ludzkość — to idea, rozumiész? to miliony, to ogół! cóż wobec niéj znaczy jednostka, i to jeszcze taka?... Pragniesz żyć wzniośle i choćby umrzéć za coś wielkiego, a mówisz o oddaniu całéj siebie dla spełnienia obowiązku względem jednostki... Niéma w tém sensu, moja droga; jesteś jeszcze pod wpływem przesądów i przestarzałych wyobrażeń... Zrozumiész to wkrótce sama; a teraz, chodź na spacer! Wieczór piękny, przejdziemy się, a czasu nie stracimy; bo w drodze opowiem ci, wytłomaczę, wiele ciekawych rzeczy.

Poszli, i w téj już piérwszéj wspólnéj przechadzce, zwrócili na siebie uwagę ulicznych przechodniów. Długie włosy Julka, rozsypujące się po kołnierzu paltota, a także

niedbałość ruchów jego i wyzywająca wzgardliwość, z jaką rozglądał się dokoła, nadawały mu pozór człowieka niespełna przytomnego, albo awanturnika, szukającego zaczepki.

Lusia znowu, ażeby towarzyszowi swemu dowieść, jak bardzo nie dbała o strój i powierzchowny swój wygląd, zamiast kapelusza, zawiązała na głowę jakąś zmiętą chusteczkę, rąk nie okryła rękawiczkami, i pozwoliła warkoczom swym swobodnie spływać na plecy i piersi. Od młodéj i pięknéj pary téj wiały w téj chwili: nieporządek i lekceważące pomiatanie wszystkiém, co ją otaczało. Ludzie téż oglądali się za nimi, niektórzy przecież bez zadziwienia. Byli to ci, którzy podobnych do Julka młodzieńców widywali już nieraz i wiedzieli, zkąd młodzieńcy Onwilscy przywożą długie swe włosy i wzgardliwe postacie, surowe czoła, a pod niemi zbyt błyszczące oczy... Julka zajęcie, które spostrzegł pośród publiczności onwilskiéj, cieszyło i bawiło; ale Lusia nie widziała dokoła siebie nic i nikogo. Wszystkie władze jéj istoty zbiegły się w organie słuchu. Julek, przez cały czas przechadzki, mówił do niéj o czémś, z zapałem i ironią naprzemian, z szerokiemi giestami, niekiedy szeptem, pełnym namaszczenia i tajemniczości...

Od dnia tego, codziennie odbywali długie przechadzki we dwojgu. Najczęściéj, aby módz swobodnie rozmawiać, wychodzili za miasto. Szli prosto przed siebie, wstępowali na śliczne wzgórza, otaczające Onwil; deptali łąki, z nad których wzbijał się mocny zapach skoszonych traw; mijali pola, płonące złotą falą dojrzałych zbóż; przesuwali się pod cieniem sosnowych borów, albo towarzyszyli szemrzącym,

spokojnym, błękitnym falom rzeki. Lecz dla natury, która, gdy tylko wyszli z opylonych i skwarnych ulic miasta, otaczała ich wielkiém kołem piękności swych i ukojeń, ślepi oni byli i głusi. Kwiaty, które deptali, ptaki, które śpiewały nad ich głowami, złote kłosy, kłoniące się niby do stóp zachodzącemu słońcu, i samo to topienie się światła dziennego w morzu purpury i złota, widywali oni dotąd tylko na kartach książek, które przedstawiały je w opisach lub niedołężnych rysunkach. Umieli oni to wszystko, lecz nic z tego nie znali i — nie kochali, nic téż z tego nie wywierało na nich oświeżających i kojących wpływów. Dzieci prawie, mijali kwiaty i ptaki, i malownicze widoki, z powagą i obojętnością mędrców, lub mężów stanu, którzy, losy świata w głowach swych ważąc, lub na barkach niosąc, ku drobiazgom życia i natury, choćby najczarowniejszym, lub najbardziéj nauczającym, zniżać się nie chcą i nie umieją. I w istocie, dla wszystkiego, co powszedniém było, nie okazałém, nie wabiącém wzroku i wyobraźni, wyniosłością szczytów swych, lub jaskrawością barw, Julek wyznawał pogardę bezwzględną.

O zajęciach i pracach codziennych, jednostki tylko ludzkie na celu mających, zarówno jak o cnotach i poświęceniach cichych, wykonywających się w obrębie ścian domowych i kółek rodzinnych, mawiał: dzieciństwa! Przestrzeń wszelką, ograniczoną do jednéj okolicy jakiéjś, do jednego kraju, nazywał: zakątem, parafią, albo nawet wiezieniem. Zdawało się, że wciąż i z siły całéj wytężał władze wzroku i myśl, aby ogarnąć módz niemi od krańca do krańca całą kulę ziemską i, pomijając stopnie wszystkie,

najwyższych szczytów pojęć i pragnień ludzkich dosięgnąć. Wahania się wszelkiego i stopniowania, ważenia idei na szalach rozwagi i przymierzania ich do niezliczonych kantów i załamań rzeczywistości, nie używał nigdy. Po prostu nie przychodziły mu one na myśl, nie znał ich, nie rozumiał i — nie chciał. O wszystkiém wiedział na pewno, wszystko rozstrzygał stanowczo, do najostateczniejszego końca, z absolutyzmem wiary, nie znającéj zwątpienia, i doskonale z siebie saméj zadowolonéj wiedzy.

W osobistych ambicyach swych i marzeniach, zarówno jak w ogólnych, nie ograniczał się do rzeczy małych, lub chociaż-by miernych. Stałe, prawidłowe pełnienie społecznéj funkcyi jakiéjś nazywał niewolnictwem i daremném marnowaniem sił. Czuł się powołanym do działań na szeroką skalę, do misyi apostolskich, mających na celu zbawienie, lub, co najmniéj, reformowanie ludzkości, do czynów rozgłośnych, jak pioruny, świetnych, jak błyskawice, przed któremi, jak przed temi potężnemi zjawiskami przyrody, ludzie musieli-by upaść na klęczki, zdumieni, wielbiący, pokorni. Gdy mówił o przyszłém stanowisku swém społeczném, marzył głośno o hołdzie powszechnym i zarazem o olbrzymiéj radości, płynącéj z uszczęśliwienia milionów.

Zarówno namiętnie i szczerze pragnął szczęścia dla ludzkości i chwały dla siebie; bok zaś chwały purpurowéj, przed wyobraźnią jego zawsze i nieprzeparcie zjawiało się złote bogactwo, nie żadne inne. O srebrnym dostatku, ani tém bardziéj o miedzianéj biédzie, nie mógł myśléć dla innych bez litości, dla siebie — bez obrzydzenia. Snuły mu

się wciąż po głowie marmurowe pałace, Lukullusowe uczty, błyskawiczne jazdy, i wszelkie możliwe wytworności przemysłu i sztuki, na które przez rok ubiegły napatrzył się był, lub o których był się nasłuchał w stolicy.

Samotnie używać wszystkich tych wyrafinowanych rozkoszy ciała i ducha, Julek nie chciał; samotne używanie takie odrzucił-by od siebie z oburzeniem. Pragnął, ażeby ludzkość cała, caluteńka, używać ich mogła z nim włącznie, i wierzył mocno, niezłomnie, iż było-by to rzeczą możliwą, gdyby na zawadzie temu nie stali ci i owi, to i owo... Czuł się skrzywdzonym w ludzkości i w sobie, dla ludzkości i dla siebie: mówiąc o ludzkości, mówił o sobie, i nawzajem. Łzy nabiegały mu do oczu, gdy patrzał na ludzi, pracujących znojnie, w ubraniu ubogiém i ze znużonemi twarzami; ściskał pięści z wściekłością, ilekroć mówił, lub myślał, o téj olbrzymiéj przestrzeni, która byt jego oddzielała od bytu bogaczy i potężnych świata tego. Widma powszechnego i osobistego szczęścia i użycia ścigały go wszędzie, upajały mózg jego, łechtały fantazyą i w drżenie wprawiały nerwy, a tak ściśle z sobą złączone były, że rozpoznać i rozdzielić ich nie mógł.

Szczerym był, szczerym przed towarzyszką swą i przed samym sobą, aż do najostateczniejszych głębin myśli i uczucia. Dobra wiara jego skażoną nie była najmniejszym cieniem udawania, lub choćby wewnętrznéj i mimowolnéj niejako obłudy. Szczerość téż ta rozpalała mu źrenice ogniem namiętnym, brwi ściągała w zmarszczki groźne i ponure, albo w uśmiechu i dźwiękach głosu odbijała się słodyczą czarownych nadziei. Wtedy Lusia na czole jego

spostrzegała piętno geniuszu i niezwykłych przeznaczeń, w mowie słyszała potęgę wiary mocnéj i pragnień namiętnych, patrzała mu w twarz z podziwem, słuchała go chciwie, i korna, wdzięczna, zachwycona, chłonęła w siebie wszystko, czém poił ją i karmił, pożądała najdoskonalszego zjednoczenia się z nim w wierze, wiedzy i dążeniach. Zawsze, od najwcześniejszego dzieciństwa swego, czuła ona potrzebę skrzydeł dla myśli swych i uczuć. Niegdyś, w izdebce dziadka szwajcara, skrzydła te wyrastać jéj zaczęły; lecz, niewzmacniane, zaniedbane, przy zetknięciu się ze szpargałami, czytanemi w kuchence, odpadły. A nie należała do rzędu tych, którzy bez skrzydeł, więc bez wielkiéj miłości jakiéjś i myśli, żyć i czuć się szczęśliwymi mogą. Teraz miała już to, czego potrzebowanie nurtowało ją do dna głuchém cierpieniem i dolegliwą nudą. Dowiadywała się nakoniec, jakim był świat ten, a jakim być może i powinien? czego trzeba do szczęścia ludzkości? i że zdobywanie szczęścia tego ma być zadaniem i szczęściem jéj życia. Naturalnie, dawanie lekcyi, w celu zapewnienia powszedniego bytu dla siebie i starego dziadka, wydawało się jéj teraz mroczną jakąś, ciasną, błotnistą niziną. Całą istotę jéj coraz potężniéj i rozkoszniéj rozpierały wołania: na szczyty! na szczyty! w płomienie ofiarne! w jak najszerszą, swobodną, swobodną przestrzeń!... A gwar i ruch stołeczny, starcia się zdań i sądów w poufałych, a mądrych i uczonych kołach, a na każdym kroku spotykanie tam sposobności nauczania i nawracania, a przez to i uszczęśliwiania kogoś!... Dziewczyna zasłaniała dłonią oczy olśnione i wołała:

— To raj!

A gdy potém, ze szczytu wzgórz, spójrzeniem ogarniała miasto rodzinne, niby w całun, w bolesne swe losy spowite, odwracała wzrok i szeptała:

— To grób!

Szli obok siebie ścieżką, okrążającą malownicze wzgórze, i podniesionemi głosami rozprawiali o najtrudniejszych przedmiotach myśli i badań ludzkich; stawali nad brzegiem rzeki, i błękitnym jéj falom rzucali najwspanialsze imiona i najśmielsze hasła ludzkości; na mchach leśnych, lub polnych kamieniach, siedząc, a dumnie podnosząc odkryte swe głowy, rozwiązywali najzawikłańsze zagadnienia, godzili najjaskrawsze sprzeczności, formułowali sądy i wyroki, nad których bezwzględnością zadumał-by się długo najbardziéj fanatyczny z dotychczasowych poprawiaczy świata. Zgładzili oni przedewszystkiém wszelkie a wszelkie różnice, zachodzące w losach, mieniu i dostojeństwie ludzi pojedyńczych; potém przystąpili do różnic tych, które zachodzą pomiędzy nie ludźmi już, lecz ludami; a drzewa, okryte nieprzeniknioną gęstwiną liści, z których żaden podobnym nie był do drugiego, dowiedziały się z ust ich, że powinien być, a zatém, w skutek ich starań, i będzie wkrótce, na ziemi jeden dla wszystkich ludów język i obyczaj, jedno zadanie i prawo... I wobec ptaków, ścielących gniazda swe i troskliwie roztaczających skrzydła nad bezbronnością piskląt, rozwiązywali raz na zawsze węzeł ten ludzkiego żywota, który się zwie rodziną; a patrząc na robaka, który pełzać musi, na kwiat, którego

korona wzbić się nie może nad wzrost swéj łodygi, i na drobne owady, które spójnym słupem unoszą się w powietrze, mówili o niczém nieograniczonéj, żadném prawem i żadną spójnością nie krępowanéj, swobodzie człowieka...

Do wiatrów, lecących nad rodzinnemi ich polami, wołali w uniesieniu bez granic:

— Niéma greka, ani żyda!

Przypatrując się tłustym, rumianym wieśniaczkom, które z głośnemi śmiechy, uderzając się wzajem w plecy silnemi pięściami, wiązały zboże w snopy, wzdychali żałośnie, potém wydawali tryumfalne okrzyki:

— Nie będzie pracy ciężkiéj, cierpienia i znoju!

Innym razem, wiotka, blada dziewczyna, srebrnym głosikiem swym budziła sąsiednie echa, wołając:

— Niéma mężczyzny, ani kobiety!

Z przechadzek tych, Lusia wracała rozpromieniona, różowa, z żywością ruchów, nigdy przedtém u niéj niewidywaną. Czasem bez przyczyny ręce jéj drżały i gwałtowne rumieńce tryskały na twarz. Wyglądała tak zupełnie, jak wyglądają zazwyczaj dziewczyny zakochane. W całém téż szczupłém kole jéj znajomych szeptano, że zakochaną była w przystojnym tym chłopcu, który codziennie wyprowadzał ją na długie zamiejskie przechadzki. Ona jednak nie słyszała tego i, gdy był nieobecnym, myśląc o nim, widziała pod powiekami obraz jego, spowity w olśniewającą jasność i zawieszony pod samém gdzieś słońcem. Głośno i w myśli swéj nazywała go: mistrzem. Czasem, gdy była samotną, siadywała długo

z zamkniętemi oczyma i w tył odrzuconą głową. Na tle żółtéj ściany, albo pstrego okrycia kanapy, blada jéj twarz zarysowywała się w liniach rozwiewnéj niemal delikatności i nieskończonéj słodyczy. Ciemne rzęsy jéj rzucały na przezroczyste policzki długie zadumane cienie, a drobne usta roztwierały się zachwyconym uśmiechem. Widywała wtedy rzeczy czarowne. Długim szeregiem ciągnęły podówczas ku niéj i otaczały ją postacie wspaniałe, w szatach z kryształu i srebra, z koronami z dyamentów, lub płomiennemi zwojami u skroni.

Zkąd przybywały one?

Kędyś, kędyś, za gorzkiém morzem, za gęstym lasem, za grubym wałem chmur, za rzęsistym deszczem strzał, waży się na skrzydłach z błyskawic szereg ogromnych idei ludzkości. Aby dojść do nich i skrzydła ich choćby o jeden cal ku ziemi przybliżyć, trzeba rozbić chmury niewiedzy, zrąbać las przeszkód, wypić morze zwątpień, wziąć w siebie strzały bolów. Tu i owdzie znajdują się dość silni, dość mężni i dość wytrwali, aby to czynić, i są to dobroczyńcy ludzkości. Lecz ku rozmarzonéj dziewczynie téj, zarówno jak ku zuchwałemu jéj towarzyszowi, dolatywały tylko błyski ważących się w oddali idei, a w błyskach tych widzieli oni odbite ich widma. Linie widm były mętne, porwane, lecz dlatego właśnie nie było w nich nic twardego, ani ostrego. Były one rozwiewne i lekkie, i dlatego wydawały się do ujęcia łatwemi; a taka biła z nich jasność, że znikały w niéj wszystkie skazy ich i próżnie.

Z extatycznéj zadumy budził najczęściéj Lusię głos Julka. Wtedy zwracała się ona ku niemu, i rozmowę z nim,

do któréj skorą zawsze była, zaczynała od słów:

— Julku, my ludzie trzeźwi..

On zwykł był mawiać o niéj i o sobie:

— My realiści...

Tak przeżyli parę miesięcy letnich, a w miarę, jak zbliżał się dzień odjazdu Julka, Lusia stawała się coraz posępniejszą, i w głębi duszy niemal zrozpaczoną.

— Pojedziesz — mówiła — i będziesz tam beze mnie działał i cierpiał!...

— Będę w całéj pełni używał życia!

W jéj dykcyonarzu nie było wyrazu: użycie. Jedyny to był wyraz, który z ust jego do jéj myśli nie przeszedł. Natomiast mawiała często o cierpieniu.

— Pragnę cierpiéć — powtarzała coraz częściéj — byle-by za ideę naszę, byle-by z tobą i ze wszystkimi nowymi ludźmi!

— Cierpiéć! pocóż cierpiéć? Cierpienie nie powinno całkiem istniéć na ziemi, ani dla mnie, ani dla nikogo...

— Jednak — w zamyśleniu szeptała Lusia — ja czuję, że cierpienie może być szczęściem, że poświęcić się choćby na męki za coś drogiego i wielkiego, było-by rozkoszą większą, niż używać bogactw i sławy...

Julek odpowiedział:

— Mówisz tak, bo nie znasz ani bogactwa, ani sławy... ja widziałem je z blizka i wiem, że bez nadziei przynajmniéj ich użycia żyć nie warto.

Wstrząsała przecząco głową. Były to jedyne ich sprzeczki.

Raz patrzał na nią długo rozpłomienionemi oczyma, aż

nagle, z gniewnym wybuchem głosu, zapytał:

— Cóż? czy doprawdy zostać myślisz w téj ciemnicy i zgnić w niéj sobie powoli?

Pomimo usiłowań powstrzymania łez, wybuchnęła płaczem.

— E! — zawołał — nudna jesteś! na nic więcéj zdobyć się nie możesz, tylko na babskie szlochy. Ja łez nie cierpię, bo sprawiają mi przykrość! Czynu trzeba, moja droga, woli, energii, czynu!...

Struchlała, czując, że był z niéj niezadowolonym, otarła szybko oczy, i splatając dłonie, prosić go zaczęła, aby nauczył ją być energiczną i mężną.

— Jedyny sposób — mówił — nie dbać o nic... słyszysz? zupełnie o nic! o zdanie, ani o uczucia niczyje, o formy, ani o zwyczaje; lecz robić tak, aby posiąść jak największą sumę zadowolenia...

— A inni? — szepnęła nieśmiało.

— Tym tylko sposobem zrobić można coś i dla innych, to jest: wyzwoliwszy się — wyzwalać.

Były to jednak dotąd abstrakcye tylko i teorye. Nadszedł dzień praktyki i czynu. Oddawna już Julek wracał w miasta do domu, rozdrażniony i gniewny. Skarżył się przed Lusią, że w rodzinném mieście jego nikt prawie nie rozumié go i pojęć jego nie dzieli; że, co większa, ludzie obchodzą się z nim coraz zimniéj, a czasem nawet i niegrzecznie. Marszczył brwi i ściskał pięści, albo społeczeństwo, które jego i pojęć jego ocenić nie umiało, nazywał wzgardliwie strupieszałém i bezrozumném.

W głębi duszy uszczęśliwiało go to, że czuł się wyższym

i mędrszym nad ludzi, na których się uskarżał; swoją drogą przecież brak uznania dla osoby jego i zaprzeczenie ideom, które głosił, wzbudzały w nim gniew i chęć drażnienia tych, którymi gardził.

— Kiedy widzę — mówił — że oburzam ich i zasmucam, mam szaloną przyjemność rzucać im w oczy szpilki i żużle... Kolą ich one i palą, ale przecież i rany nie leczą się inaczéj, tylko przez cięcia i wypalania...

Dnia pewnego uczucia te wzmogły się w nim szczególnie. Powiedział Lusi, że dowiedział się o głupich plotkach, krążących po mieście o nim i o niéj; zżymał się, rzucał, potém wyszedł i wrócił do domu późno, gdy wszyscy już spali, z zawinięciem jakiémś pod ramieniem.

Nazajutrz, w parę godzin po południu, kiedy Lusia, w małéj bawialni siedząc, daleko więcéj zajętą była myślami swemi, niż robotą, którą trzymała w ręku, Julek wyszedł z rodzicielskiéj sypialni i stanął przed nią w dziwném ubraniu.

— Dziwiłaś się pewno — rzekł — że stroję się dziś tak długo; ale za to zobacz, jak się ubrałem!

Istotnie, z trochą zdziwienia w oczach, patrzała ona na krwisto-czerwoną bluzę jego, opasaną szerokim rzemiennym pasem, na długie, aż do kolan sięgające obuwie, okrągłą czapeczkę z kilku pawiemi piórami, którą włożył na głowę. Zaśmiała się z razu.

— Ach! — zawołała — czy będziesz lody po mieście roznosił?

Zachmurzył się i wzajem zapytał:

— Czy myślisz, że celem moim jest zabawa? nie

zrozumiałaś, co chcę czynić?

Owszem, zrozumiała teraz i bystro spójrzała mu w oczy.

— Braterstwo ludów... — wymówiła z wielką powagą.

— Tak! — odpowiedział z namaszczeniem nieledwie — zamanifestuję przekonania moje jawnie i śmiało... Precz z przesądami!

Wraz z ostatnim okrzykiem wykręcił się na pięcie, i w kilku hołubcach przebiegł pokoik. Spoważniał jednak wkrótce i stanął przed Lusią.

— Czy pójdziesz ze mną? — zapytał głosem, w którym brzmiał nieledwie rozkaz.

Nie wahała się ani chwili. Oczy jéj błysnęły. Wstała.

— Pójdę, — odpowiedziała z wolna i spokojnie — ja téż pokażę, że kobieta wolną jest w wyborze przekonań swoich, a dość silną być może, aby otwarcie, przeciw wszystkim i wszystkiemu, przekonania te objawiać!

— Brawo! — zawołał Julek. — Nie straciłem tu daremnie czasu! Zdobyłem dla idei naszych dzielną adeptkę!

Prędko, prędko wyjęła z warkocza podtrzymujące go szpilki, aż jedwabisty, gruby i nieco splątany, spłynął jéj na plecy. Pochwyciła potém mały, męzki prawie, kapelusik, i włożyła go w ten sposób, iż osłaniał tylko tył jéj głowy, na śmiałe czoło najlżejszego nie rzucając cienia. Przejrzała się w małém lusterku i zawołała:

— Teraz jestem więcéj do mężczyzny podobna!

Zaśmieli się oboje, swawolnie, dziecinnie niemal...

Manifestowanie idei w ubraniach niezwykłych było dla nich zabawą, o tyle przynajmniéj, o ile wydawało się misyą.

Wyszli. Ludzie oglądali się za nimi daleko więcéj jeszcze, niż zwykle, a na wszystkich twarzach zjawiał się na ich widok wyraz niesmaku, lub gniewu. Ktoś, mijając ich z blizka, wzruszył gwałtownie ramionami; ktoś inny, zatapiając w oczach Julka długie spójrzenie, parsknął głośnym, gorzkim śmiechem. Julka oznaki te publicznéj niechęci bawiły i czyniły dumnym.

— Głupcy! — mówił przez zęby, i nastrajał twarz do najgroźniejszego, to znowu do pogardliwego wyrazu.

Lusia zbladła z razu, odrętwiała i ciężko opuściła się na ramię towarzysza.

— Co ci to? — zapytał — lękasz się?

— O nie! — zawołała prędko, i nad wszystko w świecie lękając się najbardziéj poniżenia się w jego oczach, stąpać zaczęła równo i śmiało na ludzi oczy podnosić. Na rogu jednéj z ulic, młody człowiek zapalił papierosa i otwartą cygarnicę podał Lusi. Cofnęła się z razu instynktownym ruchem; ale, spotkawszy się z jego rozognioném spójrzeniem, zrobiła, czego żądał. Co większa, jakby pragnąc obmyć winę chwilowéj słabości swéj, podniosła wysoko głowę, z drobnych ust wyrzuciła w górę grubą nić dymu, i wyzywającém spójrzeniem potoczyła dokoła. Przytém, bądź z wysilenia, którego dokonywała, bądź z radości, którą napełniła ją własna jéj odwaga, zarumieniła się szkarłatnie, a z tym rumieńcém i z szybko dyszącą piersią szła daléj. U początku jednak ulicy, przy któréj znajdował się hotel Wszech-Krajów, targnęła silnie ramię towarzysza, szepcąc:

— Nie tędy, Julku!... tylko nie tędy!

— Dlaczego? — zapytał tonem krótkim i ostrym.

— Dziadek... — odszepnęła.

— Aha! — zaśmiał się — lękasz się dziadka! pocóż szłaś? nie trzeba udawać odwagi, gdy się jéj nie ma, ani miłości dla idei, gdy się dla niéj nic zrobić, ani przenieść nie chce...

Słowa tak ją ubodły, że aż jęknęła z cicha.

— Mylisz się! — odrzekła — nie lękam się niczego; tylko nie chcę sprawić przykrości temu, który...

Julek przerwał z uniesieniem:

— Wszelkie indywidualne przykrości i boleści iść powinny na bok wobec celów ogólnych. Wiész o tém dobrze, ale tylko kobiece serce twoje sprostać nie może zasadzie...

— Kobiece serce!... — zawołała Lusia — O Julku!

Zacisnęła zęby — bo myśl, że dziadek zobaczy ją w téj chwili, kłóła ją w serce, — i szła daléj.

Przed wspaniałemi drzwiami hotelu Wszech-Krajów stał powóz opakowany, z którego wysiadali przybyli goście. Otocki otwierał drzwiczki powozu, wyjmował z niego pakunki i ze zwykłą sobie poważną uprzejmością odpowiadał na liczne pytania przybyłych. Nagle wyprostował się, jak struna, zbladł bardzo, a wyrazy zawisły niedomówione na ustach jego, które otworzyły się jakby dla wydania strasznego krzyku. Wzrokiem, sypiącym stalowe błyskawice, ścigał on młodą parę, idącą przeciwległym chodnikiem; powiódł dłonią po oczach, jakby świadectwu ich wierzyć nie chciał, i uczynił ruch, zdradzający popęd do rzucenia się za odchodzącymi. Nie

rzucił się jednak, pod wpływem może nagłéj rozwagi, że gonitwą swą bardziéj jeszcze zwróci na nich uwagę, przed którą właśnie aby módz ich osłonić, z radością dałby duszę swą na wiekuiste męki...

Wrócił więc do oszklonéj izdebki swéj, blady jak ściana, niemy, z bezwładnemi rękoma i ciężko wlokącą się chorą swą nogą. Runął na stołek i twarz ukrył w dłoniach. — Lecz długa bezwładność i bierność nie leżały w charakterze jego. Zerwał się wkrótce i, przebiegłszy sień, znalazł się w pokoju pana Leonida Igorowicza, który, stojąc w téj chwili w oknie, pogwizdywał wesoło i palcem, zdobnym w turkusowy pierścionek, wybijał takt na szybie.

— Panie! — zaczął Otocki zdyszanym głosem, — potrzebuję wydalić się z hotelu na parę godzin... może na resztę dnia!

Pan Leonid Igorowicz zwrócił się ku niemu i, nie dając mu bezpośredniéj odpowiedzi, ze śmiechem zawołał:

— Ależ, słowo honoru, ta wnuczka pańska wyrosła na śliczną dziewczynę. Co za włosy, jakie oczy!...

— Panie! — powtórzył Otocki, — potrzebuję wydalić się z hotelu na godzin...

Zagłuszył go śmiech pana Leonida Igorowicza.

— I rozumna! — mówił. — Nie taka, jak te nasze dziewczyny, które dla różnych głupstw tracą życie — ot, nie wiedzieć na czém! Ona potrafi użyć życia, oho! taka młoda, a już w niéj znać tęgą sobie kobiétkę...

— Panie, — zaczął znowu Otocki, — a ręka jego, drżąc, posuwała się ku klapie surduta pana Leonida Igorowicza, — potrzebuję wydalić się z hotelu...

Pan Leonid Igorowicz był z natury niezłym chłopcem i postrzegł nakoniec bolesne wzruszenie szwajcara.

— Dobrze, dobrze, — rzekł, — idź pan sobie. Jakób pana zastąpi... Ale czego taki zmartwiony? Czy dla tego, że ona tak sobie szła z papierosem w gębie, taka czerwona i z tym kawalerem tak ubranym? Daj pan pokój! To wszystko, co pan myślisz, jest głupstwem. Człowiek z edukacyą takich rzeczy za złe nie bierze, bo on wié, że główna rzecz użyć sobie życia, a reszta, to tylko zabobony...

Przestał mówić, bo Otockiego nie było już w pokoju. Patrzał przez okno za odchodzącym szwajcarem, a rękę z turkusem topiąc w rzęsiście ufryzowanych włosach, zawołał:

— Waryat!

Tymczasem młoda para szła daléj przez miasto, coraz więcéj i widoczniéj dumna sprawianém przez się wrażeniem. Upajali się rolą tą, którą odegrywali wobec jasnego dnia i tysięcy oczu ludzkich, a upojenie to odbijało się coraz wydatniéj w ruchach ich i wyrazie twarzy. Na jednéj z ulic spotkali się oko w oko ze strojném i wesołém towarzystwem, pośród którego były dwie młode kobiéty, z blizka znane Lusi. Orzuciły ją one od stóp do głowy wzgardliwém spojrzeniem, wzgardliwy téż uśmiech przeleciał po ich ustach, nie powitały jéj najlżejszém skinieniem głowy i przeszły. Ona stanęła na miejscu, jak wryta, i — odwracając twarz — rzuciła za odchodzącemi głośną i pogardliwą téż gammę śmiechu.

— Brawo, Lusiu! brawo! — zawołał Julek.

Nie spostrzegł, że, gdy z piersi jéj lał się potok śmiechu,

oczy miała pełne łez. Cierpiała bardzo, lecz zarazem czuła się tak dumną, iż zdawało się jéj chwilami, że tuż-tuż uniesie się nad ziemię. Szczęście to i tę dumę uczuła silniéj jeszcze na widok biegnącéj naprzeciw nim młodéj dziewczyny, w skromném bardzo ubraniu, z zawiniątkiem jakiémś w ręku, którą téż znała, a która, spostrzegłszy ją, spuściła oczy i z wyrazem twarzy, pełnym zmieszania, zbiegła jéj wcześnie z drogi na przeciwległą stronę ulicy. Widocznie nie chciała ani witać się z nią, ani téż okazywać jawnie, że powitania unika. Lusia powiodła za nią okiem, uśmiechając się litośnie.

— Tamte, — rzekła, — tamte... dwie, to kokietki, próżniaczki, strojnisie... a ta, biedna gąska, któréj się zdaje, że czyni wszystko, co człowiek czynić powinien, gdy od rana do nocy pracuje ciężko nad książką i igłą, dla tego tylko, aby brat i siostra nauczyć się mogli kilku żyjących i umarłych języków... Jak niewolnica, zaprzęgła się do pługa i nie rozumié tych, którzy takich wązkich zagonków orać nie chcą i nie umieją. Tamtych... nienawidzę! nad tą lituję się!

Stan jéj był tak podnieconym, że ciągle prawie mówiła, a wyrazy płynęły z jéj ust ze szczególną łatwością i jakby same przez się układały się w dźwięczne, dobitne frazesy. Po godzinie przebywali mniéj już ludne, wiejskie prawie, ulice miasta, aż nakoniec zostawili je za sobą i znaleźli się pośród wzgórzystych, gajami i borami poprzerzynanych, pól. Tu Lusia stanęła, zatrzymała towarzysza swego i rozejrzała się dokoła. Po raz piérwszy uczuła ona z rozkoszą, jak rozognioną twarz jéj chłodziły świéże,

szerokie powiewy, a pierś jéj, szarpana zmieszanemi uczuciami męki i radości, upokorzenia i dumy, głębokim odetchnięciem wciągnęła w siebie falę przesiąkłego wonią powietrza. Wysunęła ramię swe z pod ramienia Julka i wbiegła na szczyt zielonego wzgórza. On pobiegł za nią.

— Jak tu pięknie! — mówiła, rozglądając się dokoła — czy czujesz, jak tu dobrze i łatwo oddychać? czy widzisz, jak sosny te silnie się odbijają na kryształowo-błękitném tle powietrza? Jakie chmury tam... na zachodzie... niby ponure zamki z krwawemi ścianami, albo góry, u szczytów obrębione złotem! Co tu ptaków! i jak one wesoło świergocą! Czy pomiędzy niemi niéma nierówności i niesprawiedliwości do poprawiania, ani głupstw i przesądów, z któremi walczyć każdy powinien! O, mój Julku, jaki ten świat piękny! dlaczegoż na nim droga do prawdy taka trudna? jak błogo jest oddychać i żyć na łonie natury, któréj poprawiać i z którą walczyć nie trzeba!

On zwykłym sobie, pedantycznym nieco tonem, zaczął:

— Mylisz się! naturę także zwalczać i poprawiać należy, i nietylko tę zewnętrzną, która istnieje wkoło nas, ale i tę wewnętrzną, która objawia się w skłonnościach i pojęciach, wlanych w nas przez ciemne wieki... Prawo dziedziczenia, to wielkie i zdumiewające zjawisko przyrody, wyjaśnia nam...

Nie skończył, urwał nagle, a nawet, gdy mówił jeszcze, znać było, że myślał o czém inném. Patrzał na Lusię nie tylko uparcie, ale nawet z wytężeniem takiém, że zdawało się, iż niepodobna mu było wzroku od niéj oderwać. Dziewczyna zdjęła malutki kapelusik swój, jakby on nawet

ciężył jéj w téj chwili, a głowa, okryta bogactwem włosów, kąpała się cała w złotéj łunie zachodzącego słońca. Oczy jéj, zatopione w kryształowéj wilgoci, świeciły jak brylanty, drobne usta drżały pośród rozrumienionych lic, a kształty kibici, objęte wązką czarną suknią, uwydatniały się na przezroczystém tle powietrza, szczupłe, lecz gibkie, drobne, lecz drgające całe wezbraną energią młodzieńczych sił.

— Lusiu! — wymówił Julek i urwał znowu.

Nigdy jeszcze w ten sposób nie wymówił jéj imienia, nigdy nie słyszała, aby głos jego był tak przytłumionym i miękkim.

— Lusiu! — powtórzył i, choć stał tuż obok niéj, zbliżył się bardziéj jeszcze.

— Co, Julku? — zapytała z pieszczotą w głosie.

Postawa jego, butna zazwyczaj i zuchwała prawie, stała się nieśmiałą i niezręczną; wahanie się, niemal lękliwość brzmiała mu w głosie, gdy, wziąwszy ją za rękę i głęboko patrząc jéj w oczy, zaczął znowu:

— Lusiu! wiész? ty jesteś nietylko energiczną i rozumną dziewczyną, ale téż — bardzo ładną. Pragnąłbym porwać cię... unieść gdzieś daleko i być z tobą w jakiéjś samotności odludnéj... w jakiéjś ciszy niezmąconéj...

Przerwała mu nagłém wysunięciem ręki z jego dłoni i wykrzykiem:

— Nie, Julku! nie! nie!

— Co nie? co nie? — pytał z cicha i namiętnie, usiłując ramieniem kibić jéj otoczyć. Lecz ona cofnęła się w tył, gibka i sprężysta, a stając o parę kroków i, nie podnosząc na niego oczu, szepnęła jeszcze:

— Nie, nie, nie Julku!

Widać było, że ona, tak śmiała tam... pośród wzgardliwych uśmiechów i niechętnych spojrzeń, walczyła teraz z nieśmiałością i zawstydzeniem dziewiczém. On także stał nieruchomy, nieśmiały i tylko z pod brwi, ukradkiem, pożerał ją spojrzeniem.

Wzmogła się nakoniec w odwagę i stanowczość, a prostując drobną swą kibić, z pałającém licem, mówić zaczęła:

— Nie, Julku! ja nie chcę, żebyś ty się kochał we mnie i o tém mi mówił. My, realiści, powinniśmy rzeczy po imieniu nazywać! My, ludzie trzeźwi, powinniśmy jasno patrzéć na uczucia nasze. Otóż, choć mi to przykro... mówię otwarcie, że zrozumiałam, co czułeś w téj chwili... i nie chcę, nie chcę, nie chcę... aby ludzie, którzy nas posądzają i spotwarzają, mieli słuszność, abyśmy sami nie byli pewni, że zdobywamy swobodę i walczymy z przesądami nie dla siebie!

Entuzyazm jéj, podbudzany, kto wié, jakiemi tłumionemi porywami, wzbił się teraz do szczytu swego. Wyciągając ku niemu ręce, jak do modlitwy splecione, zawołała:

— Julku! przyrzecz mi, że nigdy nie będziesz do mnie mówił i nie będziesz na mnie patrzał tak... tak, jak przed chwilą. Ja nigdy nie zapomnę, o tobie, ja nie wiem, czy będę mogła bez ciebie żyć... ja cię kocham... ale... jak siostra!...

Ostatnie słowa wymówiła z wybuchem i po kilka razy, jakby niemi samę siebie, głosy jakieś wewnętrzne, zagłuszyć pragnęła; a porywając go za rękę, z oczyma

palącemi się w łzach, mówiła śpiesznie, choć już z cicha:

— Julku! weźmy z sobą ślub braterski! przysięgnijmy sobie tu... zaraz... że wiecznie... będziemy dla siebie bratem i siostrą w idei!...

Uklękła i pociągnęła go, aby uczynił to samo. Zresztą nie potrzebowała-by go nawet pociągać. Porwany jéj zapałem, zawstydzony jéj słowami, namiętnie ściskając ją za rękę, przez zaciśnięte zęby wymówił:

— Tak! masz słuszność! masz słuszność! Jesteś rozumniejsza ode mnie, więcéj oddana wielkim sprawom świata... jesteś wielka! jesteś prześliczna!

Z połączonemi dłońmi i natchnionemi twarzami, wzniesionemi ku pozłoconym błękitom nieba, w powodzi różowych świateł, na szczycie zielonego wzgórza klęcząc, drżącemi nieco głosy, lecz wyraźnie i z wolna, mówili, a raczéj ona mówiła, a on za nią powtarzał:

„Wobec natury, niepokalanéj niesprawiedliwością, ani nędzą żadną... wobec złotych obłoków tych, na których takby dobrze nam było płynąć razem w odludną samotność i niezmąconą ciszę jakąś... w imię świętéj wielkiéj prawdy, któréj bronić mamy od gnębiących ją przesądów... my, dzieci świata, ludzie nowi, przysięgamy, że przez całe życie nasze... do śmierci... na wieki, będziemy dla siebie bratem i siostrą — w idei!“

Gdy powstali, ona podała mu do pocałunku czoło swe, jak zorza różowe, a on przylgnął do niego ustami, dłużéj goręcéj, niż na to pozwalał świeżo zawarty pomiędzy niemi związek braterstwa w idei.

Zstępowali ze wzgórza, trzymając się, jak dzieci, za ręce.

Ona patrzała na niego wzrokiem, pełnym niewysłowionéj czułości; on wrzał wewnętrznie, lecz powściągał się, zwyciężał, i tylko, niewiedziéć dlaczego, teraz właśnie opowiadać jéj zaczął o spotykanych w stolicy parach szczęśliwych, które, wzgardziwszy wszelkiemi przesądami gminu, kochają się i żyją razem, bez żadnych pozwoleń ani uświęceń ludzkich. Teraz, po raz piérwszy, odsłaniał przed nią jeszcze ideę, o któréj mówić nie przyszło im dotąd na myśl. Była nią: wolna miłość.

Zastukali do jakiéjś chaty zamiejskiéj, w bzowych i głogowych krzakach ukrytéj, prosząc o trochę mleka. Siedzieli na trawie, bawiąc się zerwanemi z krzaku, w szkarłatne jagody zdobnemi gałęźmi, patrzali na wschód bladego księżyca i długo milczeli. Od chwili do chwili odkrywali wzrok od stojącéj nad sosnami srebrnéj obręczy i patrzali na siebie. On zdawał się pić chciwie spojrzenia jéj i uśmiechy, które stawały się tak rzewnemi i sennemi, jak u znużonego i spoczynku pragnącego.

Wracając do miasta, Julek opowiadał towarzyszce swéj o kobietach możnych i pięknych, ba! o księżniczkach, które ginęły ze świata i z pomiędzy ludzi, tak, że nie wiedziano nic, co się z niémi stało, a które potém odnajdowano w otchłaniach nędzy i cierpień, gdy boso i w siermięgach pracowały z poniżonymi braćmi, służyły im, otwierały oczy ich na prawdę... Wyrzekły się one dla idei wszystkiego — prócz miłości. Z niemi razem byli i poświęcali się ci, z którymi bez żadnych sankcyi świata połączyły się one węzłem wolnéj i nie przymuszonéj miłości, na mocy tego wielkiego prawa natury, które zwie się: powinowactwem z

wyboru.

— Śliczne życie! — szepnęła Lusia.

— A któż ci zabrania żyć tak samo? — odpowiedział jéj surowo i niemal gniewnie.

I dodał:

— Ne dość jest chciéć i marzyć! Trzeba czynić i umiéć spełnić marzenia własne.

Zamieniając słowa te, wstępowali na wschody żółtéj kamienicy.

W małéj bawialni, na odgłos otwierających się drzwi, z nad stołu, przy którym siedział, podniósł się stary, wysoki człowiek, z twarzą bladą i groźną. Na widok jego, Lusia instynktowo cofnęła się z razu, lecz wnet, jakby zawstydzona własnym tym ruchem, śmiało, z podniesioną głową, weszła do bawialni. W téj-że chwili pani Aniela, ze spłakaną i niezwyczajnie u niéj wzburzoną twarzą, wybiegła do przyległéj izdebki, szczelnie i ze stukiem drzwi zamykając. Julek stanął w progu w postawie takiéj, jakby gotował się do śpieszenia z obroną młodéj dziewczynie. Lecz nie miał przed kim, ani przed czém jéj bronić; Otocki zbliżył się do wnuczki i, biorąc obie jéj ręce, nie tylko spokojnym, ale nawet zimnym głosem mówić zaczął:

— Nie pytam się ciebie, gdzieś była i co robiłaś przez te długie, śmiertelne godziny, w których ja oczekiwałem tu powrotu twego. Nie mów mi nic; bo jeżeli słowem potwierdzisz mi w żywe oczy to, co czynem mi okazałaś, lękam się, abym nie zapomniał, że jesteś dzieckiem mego biednego syna i że kiedyś byłaś moją najdroższą pociechą i nadzieją...

Lusia zaczęła drżéć i wyrwała ręce z dłoni dziadka.

Przytłumionym już i trochę drżącym głosem mówił daléj:

— Nie mów nic. Nie chcę wiedzieć o niczém, a raczéj wiem... Ale ratować cię muszę i dlatego chciałem cię dziś jeszcze zobaczyć, aby ci powiedzieć, że masz wybierać się w drogę. Za dwa dni... końmi, które dla ciebie najmę, z panią Ryżyńską, u któréj to wyprosiłem, pojedziesz na wieś, tam, gdzie przepędziłaś piérwsze lata swego dzieciństwa...

— Ja! tam! W ten zakąt, ciemny jak grób? Za nic! — odpowiedziała, z razu z oburzeniem i zdumieniem, potém stanowczo.

Otocki, jakby nie słyszał jéj, mówił daléj:

— Za utrzymanie twe płacić będę. Nauczą cię tam gospodarstwa wiejskiego, a wzamian, ty uczyć będziesz dzieci twéj dawnéj opiekunki.

Usunęła się o kroków parę, skrzyżowała ramiona i, z brwią ściągniętą, z posępnym błyskiem oczu, wyrzekła krótko i ostro:

— Ani na guwernantkę, ani na ochmistrzynią stworzoną się nie czuję. Nie pojadę za nic.

Otocki nie był już daléj panem usposobień swych, gwałtownych z natury, a tylko przez miłość dla niéj i poszanowanie dla smutnéj pamięci jéj ojca na wodzy trzymanych. Postąpił do niéj krokiem porywczym i, przeszywającym wzrokiem w twarz jéj patrząc, przez zaciśnięte zęby wymówił:

— Więc na cóż? na cóż stworzoną jesteś? Czy na jednę z

tych zgubionych istot, które w hańbie kąpią poczciwe imię ojców?...

Jęknęła głucho i, wywołane krwawą obrazą, łzy strumieniem popłynęły z jéj oczu. Ale teraz i Julek także wystąpił z cienia, a stojąc pomiędzy dwojgiem srodze zwaśnionych ludzi, z gniewem, którego tłumić nie myślał, zawołał:

— Ja nie pozwolę, abyś pan znieważał ją i łzy z jéj oczu wywoływał w obecności mojéj!

Kiedy Otocki spojrzał na młodzieńca tego, którego bluza krwawo barwiła się nawet przy słabém świetle lampki, a w którego ręku połyskiwały przy czapce pawie pióra, wszystka krew buchnęła mu do twarzy. Przez chwilę spodziewać się było można, że pomiędzy dwoma ludźmi tymi zajdzie coś strasznego. We wzroku obudwóch malowała się nienawiść i pogarda. Jednakże, po chwili nieprzytomnego prawie wzruszenia, Otocki opanował się znowu i głosem, który trząsł się i zamierał mu w gardle, rzekł:

— Pana nie znam. Nie wiem, kto jesteś, zkąd przybywasz... to tylko sprawia mi ból niewysłowiony, że dziewczynę tę, noszącą imię moje, pod jednym z tobą dachem zostawić jeszcze muszę. Cóż robić? nie mam swojego... o! gdybym go miał wprzódy!...

Przestał mówić i wlepił w twarz wnuczki wzrok, pełny tak bezgranicznéj ponuréj boleści, że w niéj drgnęło coś, niby wspomnienie lat dziecinnych, niby żal nad tym bezdomnym, a tak bardzo ją kochającym ją starcem. Zbliżyła się z wolna i łagodniejszym nieco, niż wprzódy,

głosem, wymówiła:

— Dziadku!

Ale on usunął ją zimnym, rozkazującym giestem.

— Gotuj się do drogi! Jeżeli dobrowolnie jechać nie zechcesz, zawiozę cię przemocą. Długo byłem dla ciebie powolny i słaby. Od dziś znajdziesz we mnie, nie starca niedołężnego, ale surowego sędziego i stróża.

Wziął ze stołu czapkę swą z galonem i, nie spojrzawszy już na nią, wyszedł.

W parę godzin późniéj w mieszkaniu Ryżyńskich cicho było i ciemno, i tylko w kuchence, na starym tapczaniku, przy oknie, bez innego światła, nad parę smug księżycowych, wlokących się po brudnéj ścianie i podłodze, siedziało dwoje młodych ludzi. Lusia, z czołem opartém na dłoni, płakała cicho, ale głęboko i rzewnie; Julek mówił do niéj tym głosem surowym i ostrym, jakim przemawiać zwykł, gdy czuł się z niéj niezadowolonym i chciał wzmódz jéj energią.

— Szkoda mi twoich pięknych oczu na łzy bez użytku. Co z płaczu? Dzieci tylko płaczą i niedołęgi. Ludzie nowi działają.

Podniosła na niego oczy, splotła ręce i zapytała:

— Co ja uczynię?

Wtedy on pochylił się ku niéj i gorętszym, bardziéj błagalnym, głosem, niżby to mistrzowi i bratu w idei przystało, zawołał:

— Razem, razem ze mną w świat, droga moja!...

Nie zdziwiła się. Sama może myślała już o tém nieraz. Tylko wyciągnęła rękę, wskazując nią drzwi. Zrozumiał

giest ten i, odpowiadając na niego, zaczął:

— A! ten, co ztąd wyszedł! Biedny, nieuleczony głupiec! On jeszcze mówi o imieniu swych ojców! bierz z tego miarę umysłu jego i szczerze zapytaj siebie saméj, czy zacofańca takiego i despotę kochać możesz, i czy dla resztek marnego tego, bezużytecznego życia, poświęcać powinnaś młode swe siły, a przedewszystkiém to, co dla świata przez nie zrobić możesz?

Milczała długo, potém wymówiła z cicha i trochę nieśmiało:

— On wychował mię i był dla mnie taki dobry!

Julek spojrzał jéj prosto w oczy i zapytał:

— A czy żądałaś tego, aby cię na świat ten sprowadzono?

Wzruszył ramionami i dodał:

— Że też to tak trudno ludziom jasno patrzéć na rzeczy. Cóż nadto prostszego, że ten, który był ojcem twego ojca, opiekował się tobą i nie dręczył cię bardzo? Każde zwierzę robi to samo względem swych małych. Jest to prawo natury. On spełnił je tak, jak to czynią wszystkie istoty organiczne, i niéma tu wcale powodu do żadnych, jak wyrażałaś się dawniéj, obowiązków, tém bardziéj do poświęceń. Zresztą, powiem ci prawdę, że wszelkie poświęcenia dla jednostek są głupstwem, exaltacyą, wynikłą z napełnienia głów ludzkich staremi urojeniami. Co innego ofiara dla świata, dla idei. Co innego téż, gdybyś pokochała kogoś, równego sobie energią, umysłem i dążeniami; bo wówczas, gdybyś nawet i przecierpiała coś dla niego, pomimo to, była-byś szczęśliwą...

Nie wiadomo, czy w téj chwili podzielała wszystkie zdania jego, lecz przestała płakać i widać było, że ważyła je w myśli. On patrzał na nią niespokojny. Nigdy jeszcze nie pragnął tak bardzo przekonać jéj i skłonić w kierunku chęci własnych. Po chwili, jakby podrażniony tém, że mu nie odpowiadała, zapytał:

— A może ci żal jeszcze porzucać rodzinne miejsce swe, ludzi, wśród których żyłaś dotąd, i te, jak mówią poeci, nieba ojczyste?... Jeżeli tak jest, słuchaj!..

Tu na oścież otworzył okno, za którém w dole ciągnęła się pusta teraz i cicha ulica, a w górze piętrzyły się dachy starych kamienic, z popękanemi ścianami i monotonnemi rzędami ciemnych okien.

— Czy słyszysz! — mówił — jak tu cicho... cicho... cicho...

I, przejmując się sam uroczystością głębokiéj istotnie ciszy, dodał:

— Jak w grobie!

— Słuchaj! — powtórzył — to grób, w którym nikt żywego nie podnosi głosu. Tu wszystko zdaje się spać z niememi usty, bez ruchu ni walki, bez dążenia na przód. Tu nikt nie dąży do niczego więcéj, jak do możności spokojnego zasypiania codzień pod jakim kawałkiem dachu i do bezpiecznego spożycia kęsa chleba, za który nieraz oddać musi rozum swój, swobodę i ludzką swą dumę. Dlaczego tak jest? Mniejsza o to. Stare to dzieje, które nas, nowych ludzi, nie obchodzą wcale, i łamanie sobie głowy nad pytaniem tém było-by daremną stratą sił. Ale tak jest... Miejsce więc tu nie dla nas...

— Nie dla nas! — powtórzył po chwilowém milczeniu i z mniejszém już uniesieniem, ale za to, z czémś nakształt żalu w głosie, mówił daléj: — Być może, iż, gdyby było inaczéj, ja nie myślał-bym o bezpowrotnym odjeździe i tobie-bym nie mówił, abyś porzuciła grób... dla świata. Mnie wszystko jedno, gdzie żyć i pracować; może-bym nawet kiedyś wolał „ojczyste nieba," niż inne, bo przecież czują tak wszyscy prawie ludzie, musi być więc w tém jakieś prawo natury... Gdyby tu uczono się i dochodzono prawdy, gdyby tu można było jawnie i głośno walczyć o to, co człowiek ma najdroższego dla siebie, gdyby się tu ludzie spierali i łączyli w koła wielkie, i do postępu, do prawdy i do szczęścia dążyli... lecz w katakumbie milczącéj i ciemnéj ja nie zostanę i tobie zostać nie dam... Czy słyszysz?

Czy słyszała go? Zapewne. Musiała téż czuć gorące pocałunki, któremi, schylony, okrywał obie jéj ręce; lecz nie mówiła nic i siedziała nieruchomo, jak posąg, szeroko otwartemi oczyma wpatrując się w lekkie obłoki, które w blaskach księżyca srebrzyły się, jak skrzydła dawnych rycerzy, i z pod złotych rąbków zdawały się pochylać ku ziemi „odważne i smutne oblicza." Co tam ujrzała w tym podniebieskim orszaku? Może tym razem stanął tam znowu przed nią obraz bohatera, dla którego biło kiedyś dziecięce jéj serce; bo tak, jakby tajemniczo i nieśmiało zwierzała się z czémś oblewającemu twarz jéj światłu księżyca, szepnęła:

Jechał Sieniawski odważny i smutny
Na śnieżnym koniu i w błyszczącéj zbroi.

— Co mówisz, droga moja, siostro moja w idei? — zapytał Julek.

Za nic nie wyznała-by przed nim tego, co czuła przed chwilą, i tego, co mimowoli i wiedzy swéj szepnęła. Gdyby to uczyniła, czuła-by się w oczach jego, i przed sobą samą także, poniżoną strasznie.

W téj saméj porze Otocki siedział pochylony nad hotelowemi księgami, lecz cyfr wypisanych na kartach ich nie widział. Za parę dni gwiazda oczu jego zniknąć miała z ciemnego jego nieba. Wolał jednak to, niżeli widziéć ją tu, wystawioną na obmowy i pośmiewisko ludzkie, — co większa: na niebezpieczeństwa, wobec myśli o których siwe włosy powstawały mu na głowie. Gniewał się na nią srodze, lecz czuł, że nigdy nie kochał jéj tak bardzo, tak namiętnie, jak teraz, gdy zuchwałą swą dziecięcą dłonią targnęła najdroższe struny jego serca. Postanawiał nie widziéć jéj aż do chwili jéj odjazdu, i nie wiedział sam, jak przeżyje dwa te dnie, pokłócony z nią, drżąc na myśl, że znajduje się ona jeszcze pod jednym dachem z tym... Nie mógł dokończyć, nie mógł go nazwać żadném imieniem mowy ludzkiéj, — wszystkie bowiem wydawały mu się za blade wobec jego krwawo-czerwonéj bluzy. Nazajutrz czynności swe spełniał bezprzytomnie niemal, tylko ze zwyczaju, machinalnie; lecz, jakaż przejęła go radość, gdy w przedwieczornéj godzinie ujrzał wnuczkę, wchodzącą do jego oszklonéj izdebki! Upokorzyła się, piérwsza przybyła, aby zażegnać powstałą pomiędzy nimi burzę! Tęskniła za nim, jak on za nią! Kochała go trochę, nic więc straconém nie było; chwilowy jéj szał minął, jego szczęście

zmartwychpowstało. Drogie, drogie dziecko!

Nie powiedział tego jednak. Powściągnął dziś radość i rozrzewnienie tak, jak wczoraj gniew, i przyjął wnuczkę z łagodnym, lecz pełnym godności, spokojem.

Ubrana skromnie i bez rażących różnic ze zwyczajem powszechnym, zdawało się téż, że powróciła dnia tego do dawnéj powagi, niemal sztywności ruchów i postawy. Bladą była, a śród znieruchomiałych jéj rysów oczy tylko błyszczały gorączkowym blaskiem. Usiadła na stołku, tuż obok biurka; ruchem, z dzieciństwa jeszcze zachowanym, wsunęła ręce w rękawy okrycia i, milcząc, patrzała w przestrzeń.

— Cóż? Przyszłaś? — drżącym trochę głosem zaczął Otocki i nie wiedział sam, co daléj ma mówić: czy karcić ją znowu surowém słowem, czy porwać w objęcia i pieszczotami okryć.

— Cóż tam u was słychać — zapytał nakoniec — pani Ryżyńska była wczoraj bardzo zmartwioną; jakże się ma dzisiaj?

— Dzisiaj jest ona bardziéj jeszcze zmartwiona, niż wczoraj — odpowiedziała przytłumionym, monotonnym, chłodnym głosem.

— Czém-że to? — zapytał Otocki.

— Syn jéj odjeżdża.

Jak sprężyną ruszony, Otocki porwał się z krzesła i wnet znowu opadł na nie.

— Odjeżdża? Zupełnie już? Kiedyż?

— Zupełnie, dziś.

Była to dla niego tak wielka, tak wielka radość, że już

utaić jéj nie mógł. Z jego odjazdem znikała konieczność wysyłania jéj na wieś. Mogła pozostać i wszystko znów będzie, jak dawniéj, dobrze i szczęśliwie. Kto wié? Jeżeli powiedzie się jéj w zawodzie nauczycielskim, może wkrótce zrzuci on z siebie liberyą hotelu Wszech-Krajów i zamieszkają razem...

Młoda dziewczyna spostrzegła radość jego i zarumieniła się naprzód gwałtownie, a potém zesztywniała bardziéj jeszcze. Daremne różnemi sposoby starał się wyzwać ją na szczerą, poufałą rozmowę i na téj drodze przygotować sobie możność zupełnego z nią pojednania. Milczała, sztywna wciąż i zimna, wymawiając krótkie zaledwie wyrazy, a szklistém okiem patrząc nie na niego, lecz w przestrzeń. I wtedy dopiéro, gdy w sieni rozległ się głos pana Leonida Igorowicza, wołający szwajcara, i gdy Otocki wstał i zmierzał ku wyjściu; Lusia powstała szybko, pochwyciła go za rękę, którą do ust swych poniosła, i gorąco, namiętnie prawie, całować zaczęła. Uszczęśliwiony nad wyraz, schylił się ku niéj i zobaczył płynące po twarzy jéj łzy. Ogarnęły go wtedy zgryzoty sumienia i, przyciskając ją do swéj piersi, zmieszanemi słowy pocieszał, pieścił, niemal przepraszał.

Ale pan Leonid Igorowicz wołał coraz głośniéj.

— Czy na długo pójdziesz ztąd, dziaduniu? — szepnęła.

Powiedział jéj, że nie wié, jak długo zabawi; ale, że jeżeli nie wróci prędko, żeby tu nie siedziała sama jedna, lecz tylko udała się do domu, gdzie on dziś jeszcze przyjdzie, aby choć przez chwilę z nią porozmawiać.

Rzeźki i wesoły, tak, jak dawno już nie był, wbiegł na

marmurowe schody. Do izdebki swéj wrócił nie prędko, przeszło w godzinę, bo polecono mu dojrzéć ustawiania nowych mebli na jedném z górnych piętr hotelu, a potém spotkał go na kurytarzu pan Leonid Igorowicz i długo mówił mu o tém, jakie to wielkie szczęście dla człowieka, jeżeli otrzyma edukacyą, jak szczęście to uczuł on wczoraj, będąc przez kuzyna swego wprowadzony na wielki bal publiczny, gdzie tańczył do rana.

— Zrobiłem sobie — dokończył — nowiuteńki frak; no i rękawiczki białe, i inne drobiazgi coś tam kosztowały; ale człowiek wiele może dać za to, żeby tylu porządnych ludzi zobaczyć... Był na balu hrabia Henryczek, co z moim kuzynem w takiéj przyjaźni żyje... i z takiem ładnemi pannami tańczyć!... ta szczególniéj generałówna taka tęga dziewczyna...

Uśmiechając się z tego, co usłyszał, a uśmiech swój pod długim wąsem kryjąc, aby go rządzca hotelu i zarazem własnych jego losów nie dostrzegł, Otocki usiadł za biurkiem i wydał okrzyk zdziwienia. Na księgach rachunkowych leżał mały liścik, do niego zaadresowany. Poznał w oka mgnieniu, że adresowała go Lusia. Zdziwił się, ale się nie przeląkł. Przyszło mu na myśl, że dziewczyna nie śmiała ustnie wynurzyć przed nim swéj skruchy i prosić go o przebaczenie, a zatém uczyniła to listownie. Na myśl tę uśmiechnął się rozkosznie.

— Biedne, kochane dziecko! — szepnął i list otworzył.

List był długim, ale Otocki przeczytał kilkanaście tylko następujących wierszy:

„Zdziwisz się, dziaduniu, że piszę do ciebie. Jestem

bardzo odważną, a jednak nie mogłam za nic powiedzieć ci tego, co postanowiłam uczynić i co uczynię. Jakkolwiek nie zgadzamy się w przekonaniach i wyobrażeniach naszych, a w ostatnich czasach na żaden sposób nie mogliśmy się zrozumieć; to jednak trudno mi bez żalu pomyśleć o tém, że będziesz bardzo cierpiał. Znieś mężnie cierpienie to, drogi dziadku! Wszak jesteś jednostką, która dla ważnych spraw i wielkich idei poświęcać się powinna. Tym-to sprawom i ideom ja składam w ofierze ciebie i siebie. Pracować będę ciężko na byle jaki kawałek chleba, i zniosę wszystko; ale muszę do prawdy dążyć, z przesądami walczyć wraz z braćmi i siostrami memi w idei, na szczęście świata pracować. Jeżeli zapytasz mię, dziaduniu, dlaczego czynić tego wszystkiego nie postanowiłam tu, u boku twego, pod rodzinném niebem i w społeczeństwie rodzinném; to powiem ci, że niebo to wisi nad ziemią, jak ołowiane wieko trumny, do któréj zstępować ja nie chcę, a społeczeństwo to wydaje mi się orszakiem istot sennych i spłakanych, wśród których nudno mi, smutno... Gdybym tutaj widziała możność wstąpienia na wyższy szczebel wiedzy, a potém dobroczynnego dla prawdy i ludzkości działania, być może, iż wolała-bym pozostać przy tobie i boleścią twoją serca swego nie rozdzierać. Lecz pocóż bawić się w przypuszczenia? Tak nie jest i być nie może; jadę więc w świat szeroki. Tam jestem potrzebna, jak ptak, z braćmi swymi pod niebo lecący... Dziś, za godzinę, odjeżdżam z Julkiem do stolicy. Czy wrócę tu kiedy...“

Daléj Otocki już nie czytał, litery zmąciły mu się przed oczyma, list wypadł z ręki. Jak oszalały, jakby mu krew

bijąca do skroni czaszkę rozsadzić miała, ścisnął głowę i krzyknął:

— Boże mój! Ojcowie moi! Synu mój!

Ale, po krótkiéj chwili, zerwał się z siedzenia i trzęsącą się ręką sięgnął po zegarek.

— Biegnę, lecę — szeptał — porwę, odbiorę, wyratuję...

Czy pora jeszcze była biedz i ratować, nie mógł się o tém dowiedzieć, bo wskazówki zegarka wydawały mu się jakiemiś krwawemi palcami, przyciskającemi jakąś, wysoką pełną jęków i westchnień, mogiłę.

— Ołowiane wieko trumny!... orszak sennych i spłakanych!.. O nieszczęśliwa! wieko to podnosić... sennych tych budzić... spłakanych cieszyć... małaż to była dla ciebie robota?...

W tém w ucho jego uderzył długi, przenikliwy świst. Wiedział on dobrze, przez lat wiele dowiadywał się codziennie, co świst ten znaczy. Była to ta potężna, choć nieżywa, istota z żelazném ciałem, płomienną piersią i długim białym warkoczem z dymu, która, lecąc pędem niedościgłym w przestrzeń niedojrzalną, świstem tym wołała na tych, co się wprzęgli do jéj rydwanu: Za mną! za mną w świat!

Lokomotywa, ciągnąca za sobą długi szereg ciemnych wozów, coraz daléj rzucała w przestrzeń i zmrok wieczorny przeraźliwe swe krzyki, a w izdebce szwajcara hotelu Wszech-Krajów, zgnębiony, zgarbiony, wijący się z bólu człowiek, jęczał:

— Zgubiona!

I daremnie przede drzwiami hotelu turkotały powozy,

przywożące gości, daremnie pan Leonid Igorowicz i inni jeszcze wołali na niego wielkiemi głosami — nie słyszał nic.

* * *

Od dnia tego zniknął z sieni i z przede drzwi hotelu Wszech-Krajów i nikt go już tam nie widział nigdy. Co się z nim stało? Niewiadomo. Czy wraz z innemi błędnemi liśćmi, które po burzy tułają się wśród przestrzeni, szuka jeszcze gałązki przytułku i spokojnego końca? Czy téż, porwany falą strumienia, który zabrał mu wszystkie ukochania jego, popłynął za niemi w drogę bezpowrotną?

To tylko pewna, że ile razy ktokolwiek zapyta pana Leonida Igorowicza o pięknego człowieka tego z silną i dumną postawą, zoraném czołem i długim białym wąsem, tyle razy pan Leonid Igorowicz wstrząsa ufryzowanemi włosy, z których ulatuje woń różanego listka, ręką, zdobną w pierścionek z turkusem, czyni giest pogardliwy i odpowiada:

— To był waryat!

Powiadają niektórzy — i ja zdanie to podzielam, — że pan Leonid Igorowicz nurza się także w srogiém omamieniu, biorąc za edukacyą, czyli oświatę, to, co jest krzywém i brudném jéj widmem.

KONIEC.

*Tekst jest **[własnością publiczną](#) (public domain)**. Szczegóły licencji na stronie autora: [Eliza Orzeszkowa](#).*

B A Ń K A M Y D L A N A.

OBRAZEK MIEJSKI.

I.

II.

III.

IV.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Eliza Orzeszkowa.*

I.

Nigdy miasteczko nasze nie przedstawia tak doskonałego obrazu jałowéj i skwarnéj pustyni, jak w dnie letnie, w porze zachodu słońca. Bóg widzi, że nie jest ono nigdy ani świetném, ani wesołém; lecz, kiedy po dniu upalnym tumany kurzu i wyziewy kuchenne obejmują je, niby wysokim kloszem z brudnego szkła, kiedy rozpalone kamienie bruku zieją suchym skwarem, a ostatnie blaski słońca jaskrawą łunę rzucają na białe ściany kościołów i kamienic; kiedy chodniki ulic głównych zalegną czarne gromady przechadzających się żydów w długich chałatach, i żydówek w aksamitnych paltotach i kapeluszach z kwiatami, na placach chmary żydziąt gonią się i wywracają w krztuszącéj kurzawie, a na bocznych ulicach krowy, wracające z pastwiska, poważnie kroczą i z przeciągłém ryczeniem do bramy domostw pochylonemi łbami uderzają; kiedy tu i owdzie gromady jednokonnych doróżek stoją jakby w zaklętéj nieruchomości, konie drzémią, a dorożkarze w czerwonych pasach, nie mając nic innego do robienia, drzémią także; kiedy co chwila w rękach przechodniów ukazują się białe chustki, ocierające kroplisty pot z mizernych, rozpalonych, skrzywionych twarzy, albo, w pobliżu leniwie ciekących rynsztoków, przyciskające organ powonienia: wtedy, spada na miasto ocean ciężkiéj, suchéj, dławiącéj i beznadziejnéj nudy. Tam, kędyś, nad szerokiemi polami płyną wysoko różowe puchy obłoków; na zachodzie, łagodzone przez liliowe błękity nieba, wieszają się świetne tęcze z purpury i fioletu, albo

ogromne, ciemne, złotem obrębione chmury, rysują fantastyczne lasy i zamczyska; upajające wonie i świeże powiewy nadchodzącego wieczora płyną powietrzem... Gdzieindziéj znowu, w murach miast wielkich i ludnych... Tu — nic. Wprawdzie, od czasu do czasu, ku rozweseleniu publicznego ducha, w czémś nakształt ogrodu, huczéć i dąć zaczynają instrumenta wojskowéj orkiestry, a przy energicznych dźwiękach tych, małomiejskie lafiryndy osoby swe wraz z akcesoryami z rozkoszą roztaczają przed wzrokiem oficerów, brzęczących ostrogami, urzędników w binoklach, i rzadszych już dygnitarskich okazów, które, oprócz binokli, noszą jeszcze na obliczach swych długie, śpiczaste bokobrody. Wprawdzie, w dość gęsto po mieście rozstawionych budkach z sodową wodą, czarowne Fryny w loczkach i kokardach świegotliwe rozhowory toczą z niezbędnymi, na każdém miejscu obecnymi, oficerami i urzędnikami w binoklach. Wesoło jest lafiryndom, Frynom, brzęczącym ostrogom, binoklom i śpiczastym bokobrodom; ale, ktokolwiek niéma szczęścia należéć do żadnéj z powyższych grup społecznych, ten, w miejscu tém i w téj porze, czuje w piersi swéj wysuszający powiew pustyni, a w głowie jego, jak w źródłach pewnych kwiaty, myśl zamienia się w kamień.

W takiéj-to chwili dnia letniego, szła przez ulice miasta para ludzi, widocznie małżeńską parą będąca. Kobieta, skromnie lecz dostatnio ubrana i dość młoda jeszcze, nie była ani piękną, ani brzydką. Przysadzista nieco i ciężka, cięższą jeszcze wyglądała w zanadto trochę wyfalbanowanéj i niezupełnie zgrabnie do mody

przystosowanéj sukni. Na kapeluszu jéj było téż za dużo ponsowych kwiatów, i brosza, spinająca czarny jéj szal, była także za dużą i zanadto fałszywym kamieniem błyszczącą. Wszystko to przecież dowodzić mogło tylko małomieszczańskiéj próżności, chcącéj wyrównać strojem téj lub owéj sąsiadce, czy znajoméj; bo co się tycze zalotności, lub chęci popisywania się z czémkolwiek, tych nie było ani śladu w kobiecie téj, któréj błękitne, bardzo ładne oczy patrzały poczciwie i łagodnie, a policzki, widoczną skłonność do utycia okazujące, lecz gładkie i świeże, pokryte były silnym rumieńcem zmęczenia. Zmęczoną była, niemniéj wesołą, i co chwila towarzyszącemu jéj mężczyźnie coś ze śmiechem pokazywała. Śmiech jéj świeży był i szczery, uwagom, które mu towarzyszyły, nie brakło trafności i rozsądku.

— Patrz, Jasiu! czy widzisz, Jasiu?

Ale Jaś wyglądał tak zupełnie, jak gdyby nic na niebie i ziemi pocieszyć go nie mogło. Szczupły, zgrabny, trzydzieści parę lat miéć mogący, zgrabnie i dość wytwornie ubrany, był on zapewne w chwilach zwykłych bardzo przystojnym. W téj chwili przecież twarz mu oszpecał wyraz niezwykłego, pognębiającego złego humoru. Było to połączenie smutku, nudy i rozjątrzenia. Przez ulice miasta ciągnął się, jak niewolnik po więzienném podwórzu. Spójrzawszy na jaskrawą, nużącą wzrok, facyatę kościoła, niecierpliwie zamrugał powiekami i wlepił oczy w ziemię; tuż koło uszu swych usłyszawszy wrzask dwojga żydziąt, ciągających się wzajemnie za rude włosy, skrzywił się okropnie. Usta jego układały się pod rudawym wąsikiem

w wyraz taki, jakby przełykał coś niesmacznego, a śmiechy i swobodne gawędzenie żony sprawiały na nim wrażenie wiejącego wiatru. Po prostu, nie słuchał ich wcale. Widocznie kobieta spostrzegała ten zły humor i to posępne zamyślenie męża, bo od chwili do chwili rzucała na niego przelotne wejrzenie, a błękitne, błyszczące jéj oczy, mąciły się i przygasały. Lecz, spostrzegając, udawała, że nie widzi nic i, zamiast zarzucać go natrętnemi pytaniami, rozmową swą rozerwać, czy rozweselić, go usiłowała.

— Patrz, Jasiu! patrz! — zawołała znowu i stanęła.

Tymczasem i on patrzał także, a nawet wzrok jego rozjaśnił się i ożywił znacznie. Widoczek, który zwrócił uwagę ich, nie przedstawiał nic osobliwego. Był tam nieduży kawałek przezroczystych zielonych sztachet, a za niemi, w głębi małego ogródka, szary dom z sześciu oknami i gankiem o dwu słupkach. Przez pootwierane naoścież okna domu widać było białe firanki, błyszczący samowar z imbrykiem i tylne poręcze sprzętów, w ogródku rosły dwa klony, z gęstemi i rozłożystemi gałęźmi, a na kilku klombach kwitły lewkonie, astry, bratki i wysmukłe sztamowe róże. W téj chwili właśnie, młoda służąca, bosa i z rozczochraną głową, i dorastająca panienka, w różowym perkalu, zajęte były w ogródku polewaniem kwiatów, a siwy jegomość jakiś, na ganku siedzący, z ogromnemi okularami na nosie, wczytywał się pilnie w grubą książkę, w któréj, po tęczowych jéj brzegach, zdala poznać można było zbiór ustaw prawnych.

Czy podobna, aby tak niezmiernie skromny widoczek mógł kogokolwiek zachwycić i przykuć do miejsca.

Widocznie jest to możliwém, bo przebywająca miasto małżeńska para stała przed zielonemi sztachetami, jak przykuta do miejsca, i w zachwycenie wprawiona kobieta, nietylko wytrzeszczyła szeroko swoje ładne oczy, ale nawet otworzyła nieco usta i we wpół rzewnym, a wpół gapiowatym uśmiechu ukazywała z za warg ponsowych białe, zdrowe zęby. Fizyognomia mężczyzny była wprawdzie tego rodzaju, że wyraz gapiowatego podziwu powstać na niej nie mógł. W zamian, zagasłe przed chwilą, oczy jego błysnęły, a myślące czoło wypogodziło się pod wpływem uczuwanéj przyjemności.

— Mój Boże! — szeptała kobieta — jakie śliczne kwiaty!

— I te klony... takie cieniste! — powtórzył mężczyzna, i wnet dodał: — Helka przystojnieje i ładniejszą jeszcze będzie od panny Józefy.

Stosowało się to widocznie do podlotka w różowéj sukni.

— Jaki tam miły chłód być musi! Patrz, Jasiu, toż-to już tam, pod drzewami, szarzeje prawie, a na ulicy jeszcze taka spieka.

Z blaszanych polewaczek, kołyszących się w rękach służącéj i podlotka, strumienie kroplistéj wody ze szmerem lały się na kwiaty, buchające silną wonią. Mężczyzna, z rozkoszą widoczną, woń tę wciągał w piersi; kobieta, splatając ręce, szepnęła:

— Mój Boże! Żeby to nasza Jańcia mogła po dniach całych bawić się w takim ogródku! Jakby to jéj zdrowo było!

— Chciał-bym przywitać się z tą milutką Helką, ale

mnie zaraz nieznośny ten Skiwski przytrzyma... Nudny gaduła, i w dodatku... niekoniecznie uczciwy człowek. Już to pannie Józefie i Helci powinszować takiego stryja...

— To téż Józia wkrótce już wyjdzie i siostrę zabierze...

Siwy jegomość zdjął okulary i podniósł głowę z nad książki; panienka w różowym perkalu, cienkim głosikiem szczebiocąc coś do rozczochranéj sługi, z polewaczką swą zbliżała się ku sztachetom. Niegrzecznie było-by stać tam dłużéj, i do cudzych kątów zaglądać. Odeszli. Chodnikiem wązkim i ostremi kamykami, jak ćwiekami, najeżonym, postępując, a o pobielany parkan jakiś, który białe ślady na odzieniu ich zostawiał, ocierając się, kobieta rzekła:

— Wiész co, Jasiu? Józia mówiła mi, że Skiwski najdaléj za lat parę dom swój sprzeda i przeniesie się na mieszkanie do syna... Po co staremu kłopot ten? Cóż ty, Jasiu, na to?

Zapytany z niecierpliwością pewną odpowiedział:

— A cóż ja na to? co mnie do tego?

— Jakto: co ci do tego? nieraz już przecież mówiliśmy z sobą o tém, jakby to było dobrze dom ten z tym ogródkiem kupić!

— Niewiedzieć za jakie pieniądze! — gniewnie już prawie rzucił mężczyzna.

— Jakto: za jakie? Za te, które sobie zbierzemy. Mamy już przecież około dwóch tysięcy, a słyszałam, że Skiwski sprzedał-by dom swój za sześć.

— Bagatela! niewielka różnica!

— Wielka, to wielka, ale, da Bóg, nie poumieramy ani jutro, ani po jutrze... pomału, pomału, zbierze się...

— Póki słońce wzejdzie, rosa oczy wyje! — sarknął

mężczyzna, a potém, uchylając nieco czapki i pot z czoła ocierając, szydersko dodał: — Jakie-to są wielkie, wygórowane marzenia! Dom własny z pięciu klatkami, dwa drzewa i trochę kwiatów. Żeby tylko w zimie nie marznąć w wilgotnych murach, a w lecie nie schnąć na bruku... Ot! A jednak i to za wiele! i na to czekać trzeba, aby może nie doczekać się nigdy! Psie życie!

Powietrze stawało się coraz gęstszém i duszniéjszém. Najlżejszego znikąd powiewu wiatru, a tylko w zaułku z wysokiemi domami, w który właśnie weszli, smrody kuchenne, wychodzące z suteren, i opadające w dół czarne dymy kominów.

Poprostu oddychanie stało się pracą. Kobieta, ocierając także pot z czoła i twarzy i ciężko dysząc — wesoło jednak mówiła:

— Cóż robić? Jasieczku! trzeba czekać! młodzi jesteśmy. Jańcia mała... o, Boże mój! jakże gorąco! Chwała Bogu, to już blizko do domu...

— A w domu co? — ironicznie zapytał Jaś.

— Jakto: co? A herbata!... — naiwnie zawołała kobieta, lecz, rzuciwszy spójrzenie na twarz męża, do najwyższego już stopnia sposępniałą, dodała: — Zawsze tam jednak chłodniéj trochę.... odpoczniesz... i Jańcię Józia do domu już odprowadzić musiała...

Nakoniec znaleźli się przed bramą tego domu. Była to duża kamienica, któréj ściana, trochę brudna i trochę z tynku odarta, wznosiła się nad zaułkiem. Mirewiczowie weszli do mieszkania, którego okna wychodziły z jednéj strony na zaułek, z drugiéj na dziedziniec z oficynami i

stajniami, ciasny, brudny, napełniony stosami opałowego drzewa i belek, na których, ze skrzypieniem i wrzaskiem, kołysały się roje żydowskich dzieci. Mieszkanie składało się z czterech pokoi, z których największy, jadalnią będący, wesoło wnet błysnął światłem lampy, wiszącéj u sufitu nad stołem, przykrytym ceratą i krzesłami ostawionym. Drugą lampę Mirewicz zapalił w pracowni swéj, na biurku, napełnionem papierami i książkami. Oba oświetlone pokoje urządzone były skromnie, lecz dość wygodnie, i panowała w nich czystość nieskazitelna. Zapaliwszy lampę, Mirewicz ze stukiem zamknął okno, przez które wchodziło z dziedzińca duszne i cuchnące powietrze i, rzucając się na stojący u ściany szezląg, mówił znowu:

— Psie życie!

Potém, czoło na dłoni oparłszy, pogrążył się w zamyśleniu. Mirewiczowa za to nie zamyślała się ani na chwilę. Kędyś, za jadalnią, w kuchni zapewne, słychać było głos jéj dźwięczny i donośny:

— Nie zagotował się samowar? jeszcze nie zagotował się? A, moja Kasiu! jak-że można było nie nastawić go wcześniéj? pewnieś do ogrodu na muzykę latała?

— Jak Boga kocham, proszę pani...

— No, nie przysięgaj tylko! ot, dmuchaj lepiéj! mocniéj! poczekaj! ja sama podmucham!

— Już gotuje się, proszę pani. Para! o, para już idzie!

Rozległ się stuk gdzieś z boku roztwierających się drzwi, i Kasia, wedle panującéj mody miejscowéj, rozczochrana i bosa, wpadła do jadalni z błyszczącym i parą buchającym samowarem. Za nią Mirewiczowa, w sukni osłoniętéj

naprędce półciennym fartuchem, niosła koszyk z bułkami, masielnicą i kilka talerzy.

— A sztukamięsa odegrzana? Żywo, Kasiu, idź-że ją odegrzewać! O Boże, mój Boże! A Jańci jak niéma, tak niéma! Już-by ją Józia dawno odprowadzić była powinna!

Posępnie zamyślony, Mirewicz usłyszał nagle obok siebie, na nutę płaczu nastrojony, głos żony:

— Jasiu! mój Jasiu! Wyobraź sobie, że Józia dotąd jeszcze Jańci nie odprowadziła...

Z przykrością przerwał bieg swych myśli.

— I cóż ztąd? Skoro poszła z panną Józefą, możesz być przecież o nią zupełnie spokojną. Wiész sama, że panna Józefa jest uosobieniem powagi i rozsądku...

Ostatnie wyrazy wymówił ze złośliwym przekąsem. Dosłyszała to Mirewiczowa.

— Mój Jasiu, nie wiem, dlaczego od czasu jakiegoś zacząłeś nie lubić Józi... Wprzódy tak admirowałeś ją...

— At! — rzekł — admirowałem... inteligentniejszą jest i wykształceńszą od innych tutejszych kobiet, a więźniowi, zamkniętemu w ciemnicy, najmniejszy promyk światła wydaje się czémś nadzwyczajném i prześliczném...

Słowa te wywarły na Mirewiczową bardzo przykre wrażenie. Nie odpowiedziała nic, ale, przy biurku męża stojąc, z oczyma w papiery wlepionemi, zamyśliła się smutnie. On milczał także; w tém na dziedzińcu ozwał się turkot dorożki i, u samych drzwi mieszkania, głos kobiecy, dźwięcznie i imponująco brzmiący, u stróża domu zapewne zapytywał:

— Czy tu mieszka pan Jan Mirewicz?

— Jasiu! Jasiu! pewno jakaś nowa klientka, z interesami... ja tu niepotrzebna, ale przez drzwi popatrzę...

Ze słowami temi cofnęła się do ciemnego pokoju, a bosa i rozczochrana Kasia drzwi otwierała. Po krótkiéj chwili, przybyła kobieta ukazała się w pracowni Mirewicza i, o Boże! jakim-że blaskiem zajaśniała na tle skromnych ścian tych, słabo oświetlonych, a oklejonych taniém obiciem w szafirowe kraty. Było to jakby niebieskie widzenie, zesłane na ziemię umyślnie po to, aby napoić rozkoszą znudzony i posępny wzrok Mirewicza. Wysoka, kształtna, jasna blondynka z silnemi rumieńcami na białéj twarzy, ubraną była trochę fantastycznie, lecz bardzo uroczo, w jakiéś jasne draperye, a fantastyczny kapelusik jéj, na-pół kobiecy, na-pół męzki, zuchwale i wysoko podnosił się nad jéj czołem, tak zarzuconém płowemi loczkami, że aż opadały jéj one na oczy... jakie oczy! Ach! dumnie, śmiało i zarazem wabnie patrzały one na Mirewicza, gdy uśmiechającemi się ustami wymawiała:

— Nie poznajesz mnie, Jasiu?

Mirewicz, jakby oczom własnym nie wierząc, rzucił się na przód i znowu stanął.

— Paulinka Mirewiczówna! — zawołał.

— Paula Mirewicz! — poprawiła, i wyciągnęła ku niemu ręce, dość duże i niezupełnie klasycznych kształtów, ale duńskiemi, długiemi rękawiczkami, ociągnięte. Mirewicz pochwycił je i do ust swych poniósł.

— Jakto? ty, kuzynko, tutaj? zkąd? kiedy? dlaczego?

— Z daleka! w téj chwili! Przejazdem w dalekie strony! — zawołała, śmiejąc się i, rzuciwszy na stół wykwintny

parasolik, na szezląg osunęła się, a raczéj upadła, obie, ślicznie obóte nóżki, daleko przed siebie wyciągając, a zdjęty z głowy kapelusik rzucając na krzesło, na którém on, parę razy kulka przewróciwszy, znieruchomiał i zuchwale zjeżył się wysokiém swém skrzydłem.

— Słyszałam, że ożeniłeś się! zaznajom-że mnie z żoną swoją, bo przecież, *dopóki* u was mieszkać będę. Ale poczekaj, niech-że ci się przypatrzę! jak wyglądasz, czy bardzo zmieniłeś się? Z dziesięć lat już cię nie widziałam!

Zerwała się z szezlągu, i Mirewicza za ramiona pochwyciwszy, oglądać go zaczęła od stóp do głowy, niby wódz żołnierza, stającego do mustry. Ręce jéj przyciskały mu ramiona, a śmiałe oczy ciekawie i bystro zatapiały się w jego twarzy. Mirewicz, zdziwiony i zachwycony, oblał się silnym rumieńcem; Paula wybuchnęła rubasznym trochę, ale serdecznym, śmiechem.

— Cha, cha, cha! — śmiała się — rumienisz się, jak staroświecka panienka! cha, cha, cha! Czy, ożeniwszy się, przemieniłeś się w mniszkę? Otóż to! teraz mężczyzni przemieniają się w kobiety, a kobiety w mężczyzn. Rumienienie się, mój drogi, jest dowodem zbytniéj wrażliwości naszych nerwów... Ale wy tutaj ciemni pewno jesteście, jak w rogu, i nie śledzicie rozwijania się idei czasu...

Trzymając ręce jéj w swoich i patrząc w jéj oczy, Mirewicz, na-pół seryo, na-pół żartobliwie, mówił:

— Ależ owszem, śledzimy... śledzim... ja przynajmniéj, bardzo śledzę... w téj chwili jednak wiem, czuję i rozumiem to tylko, że jesteś śliczna!

Z gniewem niby wyrwała ręce z jego dłoni, i znowu na szezląg upadła.

— Cóż to? — zawołała — czy myślisz, że ja jestem taką kobietą, któréj komplementa mówić można? Wy nie możecie odwyknąć od waszych gąsek i kwoczek, żyjących cukierkami, któremi je karmicie... Ja, mój drogi, do innego już gatunku kobiet należę... Samodzielną jestem, od was, mężczyzn, niczego nie potrzebuję, ani chleba, ani cukierków... Jak poznasz mnie dobrze, przekonasz się, że są już na świecie kobiety, które pod każdym względem mają prawo stanąć na równi z wami...

Wątpić było niepodobna, że wszystko to mówiła szczerze i z głębokiém nawet przejęciem się. Szlachetna duma podniosła wysoko czoło jéj, zarzucone płowemi loczkami, w oczach błysnął zapał, usta okrążył wyraz poważnego zamyślenia. Mirewicz spoważniał także, a na wyrazistéj twarzy jego odmalowała się głęboka radość. Wziął jéj rękę i z poważném rozrzewnieniem rzekł:

— Widzę, Paulo, że jesteś kobietą niepospolitą. Jakież to szczęście dla mnie, żeś tu przyjechała! Na pustyni téj będziemy razem, choćby przez czas jakiś, pracować, myśléć... będziemy sobie nawzajem dopomagać w znoszeniu ciężkiego życia...

Ze zdziwieniem na niego spojrzała.

— Ciężkiego? a dleczegoż ma być ono ciężkiém?

Uśmiechnął się gorzko.

— Są ludzie, którym okoliczności tak się złożyły...

— Chyba głupi! — rzuciła krótko, i wstała z szezląga.

— Człowiek, mój drogi, na to jest stworzony, aby być

szczęśliwym... czy nie czytałeś, co o tém napisał...

Tu zacytowała nazwisko jednego z najgłośniejszych myślicieli, i tytuł jednego z najpoważniejszych i najtrudniejszych do zgłębienia dzieł spółczesnych.

— Jakto? ty czytujesz takie rzeczy? — z uradowaniem zawołał Mirewicz.

— *Jeszcze-by nie!* ja tylko tém żyję...

— Co za szczęście! i ja tyle tylko mam zadowolenia, ile go znajdę w takich książkach... Ale wyobraź sobie, że tutaj o niczém podobném z nikim nigdy pomówić nawet nie mogę...

— To pocóż tu mieszkasz?

— Muszę.

Zaśmiała się.

— Ja tego słowa nie rozumiem.

Gdy tak rozmawiali, coraz większą przyjemność w rozmowie swéj znajdując, w ciemnościach, zalegających pokój bawialny, dwa głosy szeptały także:

— Proszę pani, samowar ostygnie...

— Idź-że ztąd, Kasiu... cicho bądź...

— Sztukamięsa ostygła już zupełnie...

— Daj-że mi pokój... kiedy ci mówię, żebyś sobie ztąd szła...

— Czy ta pani, proszę pani, zostanie na herbacie?...

— Ach, zapomniałam! No, dobrze, żeś mi przypomniała... Zbiegaj co tchu do cukierni, téj najbliższéj, po ciastka... Za dwa złote, ot masz... Powiédz tylko, żeby dał świeżych, a wracając, do sklepiku zabiegnij i pół funta świéżego masła... Nie pamiętasz, czy w szafie jest jeszcze

szynka?

Słychać było tentent, biegnących przez ciemną bawialnią, bosych stóp Kasi, a Mirewiczowa weszła do pracowni męża. Gdyby ktokolwiek w téj chwili uważnie na tę kobietę spójrzał, dostrzegł-by, że, aby zadysponować ciastka, masło i szynkę do herbaty, użyć ona musiała znacznego wysiłku woli. Smutnie i trwożnie wzruszoną była. Słyszała rozmowę męża z przybyłą kobietą, przez wpół-otwarte drzwi przypatrzyła się wszystkim jéj świetnościom; twarz jéj bledszą była znacznie, niż przed godziną, i ręce drżały trochę.

— Żona moja, Anna; krewna, Paulina Mirewiczówna...

— Paula Mirewicz. Bardzo mi przyjemnie panią poznać!

Jak na kobietę niepospolitą, słowa te były niezmiernie pospolitemi. Niemniéj Anna podniosła na nią oczy, takiego wyrazu pełne, jakby spójrzeniem tém, na-pół uprzejmém, na-pół nieśmiałém i proszącém, powiedzieć chciała: — „Ty elegancka i mądra, nie gnęb bardzo mnie, prostéj i głupiéj kobiety!” Gnębić jéj, w téj chwili przynajmniéj, Paula nie miała zamiaru, ale téż, w najmniejszéj mierze, chęci zabrania z nią bliższéj znajomości nie okazała. Jedném wejrzeniem orzuciwszy twarz wcale niebrzydką, lecz żadnemi loczkami nie przyozdobioną, kibić przyciężką i tak bardzo do jéj, pełnéj także, lecz kształtnéj, kibici niepodobną, fartuch, osłaniający zbyt wyfalbanowaną suknią, i broszę, wyglądającą z pod brody nakształt żółtego plastra, tak bardzo niepodobne do tych draperyi, które z grecka jakoś odkrywały znaczną część alabastrowéj szyi jéj i utoczonych ramion, — jedném wejrzeniem orzuciwszy tę

pospolitą postać, zwróciła się znowu do Mirewicza i, w dalszym ciągu przerwanéj rozmowy, cytowała dosłownie jakiś ustęp z jakiéjś uczonéj książki.

— Proszę na herbatę! — z cicha ozwała się Mirewiczowa.

Był to dość długo głos, wołający na puszczy; gdy jednak Mirewicz dosłyszał go nakoniec, i sam krewnéj swéj wezwanie to powtórzył, przechodząc przez mały przedpokój, pracownią z jadalnią dzielący, znaleźli się wszyscy troje w niemałym kłopocie, z przeciśnięciem się pomiędzy trzema kuframi znakomitych rozmiarów. Na jeden z nich, największy, wskakując, Paula rzekła:

— Oto są moje książki, moje drogie, najlepsze przyjaciółki, które wszędzie wożę z sobą, z któremi nie rozstaję się nigdy.

Z rozmiarów kufra wnosząc, woziła ona z sobą zawsze wcale sporą biblioteczkę. Mirewicz cieszył się coraz bardziéj i, całkiem już rozradowany, zasiadł przy stole, nad którym paliła się lampa, a na którym stały, w najładniejszéj, jaka tylko być może, symetryi: koszyk z bułkami, ciastka francuzkie, sztuka mięsa odgrzewana i szynka, pokrajana w cienkie plasterki. Rzuciwszy okiem po wszystkich przedmiotach tych, Mirewicz zachmurzył się znowu. Niespokojnie patrzał na krewną swą, badając zapewne wrażenie, wywierane na nią przez tak nieestetyczne otoczenie, w jakiém znalazła się jego znajoma. Paula, powoli ściągała z rąk duńskie swe rękawiczki i, zajęta niby rozpinaniem długiego rzędu ich guzików, z pod spuszczonych powiek ciekawie na wszystko spozierała. Na

domiar biédy, Anna własnoręcznie i przy tym-że samym stole przekładała z otłuszczonego papieru do masielnicy, tylko co przyniesione, świéże masło. Czyniła to wprawdzie żwawo i wprawnie.

Mirewicz spostrzegł na ustach Pauli przelotny uśmiech, i co prędzéj ujemne wrażenie, które trywialność Anny wywrzéć na nią musiała, zmodyfikować usiłował zawiązaniem nanowo przerwanéj rozmowy. Zaledwie przecież zamienili się kilku zdaniami, w kuchni, tuż obok jadalni znajdującéj się, zadzwonił głosik dziecinny, a usłyszawszy go, Anna, zapominając o maśle i gościu, rzuciła się ku drzwiom, w których téż jednocześnie ukazała się ładna, dwudziesto-paroletnia panna, za rękę prowadząca cztero-letnią, do najwyższego stopnia rozweseloną i odszczebiotaną, dziewczynkę.

— No, Andziu! — z kuchni jeszcze wołać zaczęła ładna panna — oddaję ci skarb twój w całości! Niespokojną już być musiałaś... Mniéjsza o to! My bawiłyśmy się wybornie... byłyśmy w ogrodzie, słuchałyśmy muzyki, potém zaszłyśmy do Helki, która nam dałą trochę kwiatków... potém...

Spostrzegłszy obecność w pokoju nieznanéj sobie kobiety, przestała mówić i mała Jańcia, w wyciągniętéj ku matce rączce, trzymając pęk kwiatów od Helci otrzymanych, umilkła.

— Przyjaciółka żony mojéj, panna Józefa Skiwska; krewna moja, Paulina... przepraszam cię kuzynko, Pola Mirewiczówna!

— Paula Mirewicz! bardzo mi przyjemnie poznać panią.

Ładna brunetka, z delikatnym owalem twarzy, blada i trochę mizerna, lecz bardzo zgrabna w obcisłym staniku skromnéj ciemnéj sukni, uprzejmnie skłoniła się przed nieznajomą, spójrzała na nią wielkiemi, poważnemi, pełnemi przytłumionego ognia oczyma i, usiadłszy przy stole, wnet gospodynią domu częstowaniem gościa zajętą, w pojeniu i karmieniu małéj Jańci wyręczać zaczęła. Gospodyni domu, zdomu, zdobywając się na smiałość, bardzo serdecznie i może aż nadto natarczywie częstowała Paulę, sunąc przed nią wszystko, co tylko znajdowało się na stole, dygając, zapraszając, przepraszając... Paula téż zajadała. Spore porcye mięsa i ciast, przez Annę jéj na talerz kładzione, znikały w mgnieniu oka. Monumentalny apetyt taki znamionował organizm niepospolicie energiczny, a którego energii i zdrowia nic dotąd nie wyczerpało i nawet nie nadwerężyło. Jedzenie przecież nie przeszkadzało mówieniu. Mówiła o tém, że ośm lat przebyła w wewnętrznych guberniach państwa, gdzie naprzód nauczycielką po domach obywatelskich i kupieckich bywała, a potém, w jedném z miast dużych, zajmowała się udzielaniem prywatnych lekcyi. Wybornie znając trzy cudzoziemskie języki i muzykę, dochody miała bardzo znaczne, ale sprzykrzyło się jéj bakałarzenie i powzięła inne całkiem zamiary. Teraz, kiedy dojrzała zupełnie i własne siły swe wypróbowała, wié, że straciła wiele drogiego czasu. Teraz cele jéj inne są... wyższe... Mówiąc, zwracała się wyłącznie prawie do Jana, od czasu do czasu tylko przemawiała do Józefy, któréj myślące oczy i spokojne ruchy wydać się jéj musiały więcéj

obiecującemi, niż poczciwa, lecz całkiem gospodarska, powierzchowność Anny. Kiedy mówiła o dojrzałości swéj, Mirewicz ukradkiem, lecz bacznie i ciekawie, popatrzał na nią. Wiedział on dobrze, że, gdy kraj opuszczała, miała już dobrych lat dwadzieścia parę... ośm lat była tam... rachunek prosty, trzydziestka w pełni, albo i z górą. Lecz chyba go pamięć zawodzi! Kobieta, przed nim siedząca, jest po prostu młodziutką. Białe światło lampy, wprost na nią padające, oświeca twarz dwudziestoletnią, tém więcéj uroczą, że z młodziutkiemi jéj wdziękami łączą się uroki niepospolitego umysłu i płynnéj wymowy. Uwagi te we wnętrzu swojém snując, Mirewicz mimo woli prawie wymówił:

— Co to jednak praca umysłowa! jak ona podtrzymuje ludzkie zdrowie i siły! Wyglądasz, kuzynko, na lat dziewiętnaście... dwadzieścia!...

Zaśmiała się wesoło.

— Ty najlepiéj wiész, Jasiu, że mam daleko więcéj, ale istotnie praca umysłowa... Dzięki jéj, jestem zdrowa, silna i pełna tego wewnętrznego zadowolenia, które tak zbawiennie wpływa na nasz organizm.

Po delikatnych, bladawych wargach panny Józefy, przemknął zaledwie dostrzegalny uśmieszek.

Rzecz dziwna! Dwudziestoparoletnia dziewczyna ta, o pięknie zarysowaném, lecz bladém czole i kruczych włosach, z prostotą na tył głowy w jeden splot zebranych, wyglądała cokolwiek starzéj od trzydziestoletniéj z górą Pauli... Być może, iż nie zajmowała się ona pracą umysłową, albo przynajmniéj nie zajmowała się tym jéj

rodzajem, który organizmy, kobiece szczególniéj, w tak pięknéj świeżości i młodości utrzymywać umié...

— Ale powiedz-że mi, kuzynko, jakiemi są te cele twoje, o których mówisz? Pałam ciekawością...

Spuściła powieki i z powagą odrzekła:

— Gdybym to państwu powiedziała, wzięlibyście mię za zarozumiałą, zbyt zuchwałą, a może i potępilibyście mnie całkiem, bo tu, w zakącie, rzeczy takie uchodzą jeszcze zapewne za grzech, albo i występek...

I z wpół gorzkim, wpół szyderskim uśmiechem dokończyła.

— O, wierz mi, Jasiu, że w naszych jeszcze czasach, rola pionierki, usuwającéj z drogi postępu ciernie i chwasty, łatwą i błogą nie jest wcale... Kobieta, będąca przedstawicielką uswobodnienia płci swojéj z pod wiekowego jarzma, przenieść musi mnóztwo bólów, zawodów i walczyć ciężko z przesądami głupiego motłochu...

— Wielka prawda! — z przejęciem się zawołał Jan — ale jakże piękną jest rola tych, które, tyle przenosząc, nie przestają pracować dla najsłuszniejszéj pod słońcem sprawy!

I w twarzy kuzynki-pionierki zatopił wzrok, uwielbienia pełen.

— To prawda — żywo téż i z silnym, ciemnym błyskiem w źrenicach, ozwała się panna Józefa — ja tylko sądzę, że skoro na drodze pracujących kobiet wiele znajduje się ciężkich walk i trudów, to zdanie państwa o owéj odmładzającéj i wzmacniającéj właściwości pracy kobiecéj,

zostaje z tą smutną realnością w sprzeczności zupełnéj.

Mówiąc to, na Paulę i z kolei na Mirewicza patrzała, a wzrok jéj był także śmiałym, ale w téj chwili trochę ironicznym. Paula, ze zdziwieniem widoczném na nią spójrzała.

— Pani więc jesteś także... — zaczęła.

Chciała zapewne pytać, czy panna Józefa jest także pionerką, lecz ta z wesołym już uśmiechem przerwała.

— Jestem nauczycielką, wychowuję młodszą siostrę i upewniam panią, że z jedném i drugiém to jest z własném nauczycielstwem i z uczeniem się siostry, mam nieskończenie wiele kłopotów!

Nadzwyczaj prozaiczna odpowiedź ta zmroziła Paulę.

— Tak... zapewne... — zaczęła — skoro się ma na widoku tylko chleb powszedni... a jest się jeszcze skrępowanym różnemi przesądami...

Mirewicz wstał od stołu. Odezwanie się panny Józefy sprawiło mu przykrość widoczną, coś nakształt urazy i lekceważenia, malowało się na twarzy jego, gdy na nią patrzał.

— Przejdźmy do bawialnego pokoju, kuzynko.

Od kwadransa już Anna, która w toczącéj się przy stole rozmowie, żadnego nie przyjmując udziału, po częstowaniu i zapraszaniu gościa, aby jadł, pomyślała o oświetleniu na cześć jego skromnéj bawialni: nie wielki to był pokój, sztywny i nagi. Gospodarskie życie domu skupiało się w jadalni i kuchni, umysłowe w pracowni Mirewicza. W bawialnym pokoju nikt nie żył nigdy. Zgrabne mahoniowe mebelki, w niewielkiéj ilości i sztywnemi rzędami otaczały

ściany, przed kanapą, na stole, okrytym dość kosztowną nawet serwetą, nie było nic, prócz palącej się sporéj lampy. Lampa i dwie jeszcze świece w wysokich lichtarzach, oświetlały ściany białe, zimne, przyozdobione kilku zaledwie sztychami. Od dwu okien, na zaułek wychodzących, wiał zapach paru kwitnących roślin. Wchodząc do pokoju tego, Paula obejrzała się dokoła i, splatając dłonie, zawołała:

— Jasiu! Jasiu! jak ty tutaj, w otoczeniu takiém żyć możesz?

Gest jéj był tak serdeczny i przyjacielski, na twarzy malowało się tak szczere i tak gorące współczucie, że Mirewicz uczuł się głęboko wzruszonym. Wziął w swoje obie jéj ręce, posadził ją na jednym z wysokich fotelów, które stół otaczały, a na drugim, tuż przy niéj, usiadł sam. Trzymając wciąż rękę jéj i w twarz jéj patrząc, z cicha wymówił:

— Nakoniec znalazłem kogoś, kto mię zrozumié!...

— Tak, Jasiu, zrozumiem cię z pewnością. Wszak znamy się od dzieciństwa i zawsze mieliśmy do siebie sympatyą. Byłeś zawsze bardzo dobrym dla mnie, a ja zawsze widziałam w tobie tę inteligencyą, te zdolności...

— One-to, właśnie, czynią mnie teraz bardzo nieszczęśliwym. Posiadam żądzę wiedzy, poczucie piękna, popęd do zajmowania się szerokiemi sprawami, a żyję wciąż wśród głupiego, brzydkiego, ciasnego otoczenia. Praca na chleb sucha i nudna, i czytania samotne, o których z nikim nawet pomówić tu nie mogę, oto jest całe istnienie moje... Gorzko i ciężko czuję niezadowolone potrzeby

umysłu mego, smaku i... nawet serca!

Łzy stanęły mu w oczach. Paula z wilgotnemi téż oczyma, otarła je z lekka cieniutką chusteczką. Pochwycił, pocieszając rękę tę, i gorąco ucałował.

— O, dawno! dawno już nie doświadczałem rozkoszy takiéj! — Westchnął — miéć przy sobie taką istotę, jak ty, Paulo, widziéć współczucie jéj, trzymać przy ustach tę śliczną rączkę...

Rączka oderwała się od ust jego, lecz w zamian, pieszczotliwie, siostrzano, przesuwała się mu po czole i włosach.

— Dlaczegoż to nie emancypujesz się, Jasiu? — szeptały drżące od wzruszenia, ponsowe usta — człowiek powinien walczyć o swoje szczęście i nie zrzekać się go nigdy... nigdy... Zrzekanie się szczęścia swego, dla jakichkolwiek przyczyn, jest samobójstwem... Bądź energicznym, odważnym, Jasiu i emancypuj się! Emancypuj się koniecznie, mój biedny Jasiu!

Byli sami zupełnie; mogli swobodnie i bez przeszkody, zwierzać się i pocieszać wzajem. Pracownia i przedpokój rozdzielały małą bawialnią z jadalnym pokojem, gdzie na stojącéj w cieniu kanapie, siedziały dwie kobiety, z których jedna, trzymała na kolanach, śpiącą już małą dziewczynkę. Panna Józefa była już na wylocie, bo krucze włosy swe przykryła ciemnym kapeluszem i na ręce naciągała czarne rękawiczki.

— Czego ty dziś tak smutna, Anulku?

Smutna i zamyślona istotnie, Anna wstrząsnęła głową.

— Cóż chcesz? — rzekła — albo to wesoło słyszéć

zawsze, że on nieszczęśliwym się czuje? Alboż to przyjemnie, kiedy on zejdzie się z kimś podobnym do siebie, nie módz do ich rozmowy słowa żadnego wścibić? Oj! moja Józiu! gorzka to biéda, kiedy żona głupszą jest od męża...

— No, no! przesadzasz-to, Andziu, przesadzasz! — wesoło uśmiechając się, pocieszała panna Józefa — ani ty nie jesteś idyotką, ani twój mąż nie jest geniuszem...

— Już to, co do tego — z żywością przerwała Anna — to już wybacz, ale ja sama wiem i uznaję, że on jest bardzo rozumny, uczony i że ja nie jestem stosowną dla niego parą... Ale ty, Józiu, uprzedziłaś się do niego, i od jakiegoś czasu, uważam, że unikasz go nawet... Szkoda! bo towarzystwo twoje sprawiało mu wielką przyjemność... tyś także wykształcona! Coś musiało zajść pomiędzy wami, ale co-by to takiego było, domyśléć się nie mogę.

Bladą twarz bladéj panny oblał nagle krwisty rumieniec.

— Ależ, proszę cię, Andziu, nie łam sobie nad tém głowy, i nie domyślaj się niczego! Nic wcale między nami nie zaszło. Ot, ja poprostu na rozmowy z twoim mężem czasu nie mam. Wiész dobrze, że mam siedm godzin lekcyi dziennie, a oprócz tego, przygotowuję Helkę do zdania egzaminu w gimnazyum onwilskiém...

— Wyjedziecie więc napewno?

— O! najpewniéj! Dłużéj przebywać w domu stryja, było-by gubić przyszłość Helki...

Anna przyjaźnie kibić jéj objęła.

— Moja ty biédna Józiu! Ależ ty zapracowujesz się, zdrowie tracisz, a wszystko tylko dla Helki i dla Helki!

Zaśmiała się.

— Cóż chcesz? — odpowiedziała wesoło — przysłowie mówi, że każdy człowiek ma swego konika, na którym jeździ. Moim konikiem jest to, aby nie dać zmarnować się zdolnościom siostry, i wykierować ją na pracującą, niezależną, o ile to być może, szczęśliwą kobietę. W Onwilu będzie ona mogła brać lekcye prywatne od nauczycieli daleko lepszych, niż tutejsi, a sama téż uczyć się jeszcze tego i owego będę, a potém...

Wstała, i ciemne, ogniste jéj oczy, z marzącym wyrazem, tkwiły w przestrzeni. Prędko jednak obudziła się z zamyślenia i rękę do Anny wyciągnęła.

— Bądź zdrowa! dobranoc! na przyszłą niedzielę znowu do ciebie przybiegnę... Jak Jańcia smaczno zasnęła!... Helka moja gdzieś nad książkami siedzi, i pewno tam beze mnie biedzi się z jakąś trudnością... Dobranoc!

Wybiegła. Anna wstała z kanapki, i z wolna przeszedłszy przedpokój, w pracowni męża stanęła w niepewnéj i wahającéj się postawie. Czy wejść do bawialni, czy nie wejść? Grzeczność względem gościa nakazywała wejść, ale znowu przeszkodzić im może rozmawiać i on niezadowolonym z niéj będzie?... Oni tam z takiém ożywieniem i tak wesoło rozmawiają.

— Kuzynko! Paulo! droga! śliczna! powiedz-że mi nakoniec, jakie to są te twoje wysokie cele...

— Otóż nie powiem teraz... Dowiész się o tém, gdy będę ztąd wyjeżdżać...

— Wyjeżdżać! Ale ty chyba nie prędko, bardzo nie prędko wyjedziesz...

— Owszem, za dni parę najdaléj... jadę do mojéj matki, która jest bardzo słabą i pisała do mnie, abym przyjeżdżała natychmiast, bo kto wié, czy długo jeszcze żyć będzie!

— Biedna ciotka!

— Biedna mama!

W głosie Pauli, gdy wymawiała dwa te wyrazy, zadźwięczało wzruszenie... Stojąca w przyległym pokoju Anna, szepnęła:

— Ot, poczciwa! Kocha matkę swoję! A tak mi się jakoś nie podobała!

— Ale ty tam długo nie będziesz?

— Naturalnie; za tydzień albo dwa tygodnie, wrócę, i zaraz już, pożegnawszy się z tobą... w świat... w świat... ku moim wielkim, kochanym celom...

— Jakim?

— Powiem ci to przed samym odjazdem.

Anna z lżejszém jakoś sercem pracownią męża opuściła, do bawialni już nie wchodząc.

— Dwa dni! niewielka rzecz! Potém pojedzie sobie... i matkę kocha!... Pamiętam, że Jaś opowiadał mi kiedyś o swojéj ciotecznéj ciotce, która córce jedynaczce świetne wychowanie dała... to ona! No, ale wdzięczna przynajmniéj za to i kocha matkę!

Myśląc tak, podjęła w ramionach uśpioną Jańcię i do sypialnego pokoju ją poniosła. Dziewczynka obudziła się, i wpółsennym głosem dopominać się zaczęła o swoje kwiatki. Przy świetle nocnéj lampki, którą zapaliła, Anna rozebrała dziecko, położyła je w czystą, ładnie wyhaftowaną, pościółkę, i tuż przy niéj umieściła pęczek

świeżych jeszcze kwiatów. Jańcia pochwyciła je mocno, ścisnęła w piąstce i wnet usnęła. Anna, do jadalni wróciwszy, i starannie pozamykawszy drzwi, aby turkot maszyny do szycia jak najmniéj do bawialnego pokoju dochodził, szyć zaczęła. Szyła suknią jakąś, z umiejętnością widoczną, wprawnie i pilnie; chwilami jednak, ręka jéj odpadała od korby, poruszającej koło maszyny, zamyśliła się smutnie jakoś i trwożnie. Coś ją widocznie w serce kłóło... Raz jednak uczyniła giest niedbały.

— At! — szepnęła — zkądże-by już tak, od razu?...

Potém jeszcze pomyślała głośno:

— Wprawdzie ona taka ładna, elegancka, mądra!

Nakoniec, po długiéj chwili zamyślenia, z tryumfującym śmiechem szepnęła:

— Ale zawsze, co żona, to żona i... matka jego dziecka!...

I szyła znowu.

W téj saméj chwili, w bawialni Mirewicz, trzymając w dłoniach swych rękę kuzynki, i patrząc jéj w oczy, mówił z cicha:

— Dziwi mnie nieskończenie, Paulo, jakim sposobem ty, z pięknością swoją, ze swojém wykształceniem, z tą energią i niepodległością charakteru, który tak ślicznie łączy się w tobie z kobiecym wdziękiem, mogłaś dotąd nie wyjść za mąż...

Na-pół ze śmiechem, na-pół ze zdziwieniem, szeroko otworzyła oczy, które, jak dwa szafiry błyszczały z po-za przysłaniających je złotawych wisiorków.

— Ależ, mój Jasiu! Ja byłam przecież mężatką!

Podskoczył aż ze zdziwienia.

— Jakto! owdowiałaś, czy rozwiodłaś się? Powiedziałaś mi przecież panieńskie swoje nazwisko...

— Bom go wcale nie zmieniała.

— Więc jakże?

Szeroko wciąż otwartemi oczyma na niego patrząc, śmiać się zaczęła głośno, serdecznie. Prędko jednak uspokoiwszy ten wybuch wesołości, stała się nawet poważną.

— Wy tu tego nie znacie — zaczęła — ale ty, Jasiu, zrozumiész... Poznaliśmy się, pokochali, i cóż? czy mieliśmy zaraz na wieki świat sobie zawiązywać? czy mieliśmy, jak owce Panurga, iść śladem całego stada? Zresztą on, gdyby i chciał, nie mógł-by, bo był z bogatéj familii, która-by za nic mu nie pozwoliła... A ja, ja byłam dumną, że mogłam jawnie i otwarcie dać dowód niepodległości mojéj, i stanąć wobec świata, jako przedstawicielka uswobodnienia kobiety z pod jarzma zwyczajów i przesądów... Szczęście nasze trwało dwa lata...

— A potém? — gorączkowo zapytał Jan.

— A potém — splatając ręce na sukni, odpowiedziała spokojnie — przestaliśmy podobać się sobie i rozeszliśmy się.

Jan, ze spuszczonymi oczyma, milczał i myślał. Z razu, jakoś mu się to nie zdawało... O wolnéj miłości, o małżeństwach, tak zwanych na wiarę, słyszał, czytywał, ale z daleka to wygląda inaczéj, z blizka inaczéj, i była to może pozostałość dawnych, młodzieńczych jego marzeń, lub skutek wielkiéj zakorzeniałości niektórych cech natury

ludzkiéj, ale wolałby, aby ta kobieta, która podobała mu się bardzo, w inny jakoś sposób na te rzeczy patrzała. Z zamyślenia wyrwał go miękki, rzewny szept Pauli:

— Z całéj przeszłości téj, żałuję tylko mojéj biednéj Reginy-Wiktoryi...

— Jakiéj Wiktoryi?

— Córeczki mojéj!

Mirewicz podskoczył znowu na fotelu i, po długiéj dopiéro chwili, zdławionym głosem zapytał:

— A cóż się z nią stało?

— Umarła! na rękach moich umarła! — cichutko szepnęła Paula, i przyłożywszy chustkę do oczu, szczerze, rzewnie zapłakała.

Mirewicz wstał i szybkim, niespokojnym krokiem, kilka razy przebiegł przez pokój, potém, przed rozrzewnioną jeszcze, ale już wypogadzającą się, kuzynką swą stanął.

— Dzięki ci, Paulo, za zaufanie, które mi okazałaś. Prawość i otwartość twoję cenię wysoko. Tak, człowiek powinien jawnie i śmiało nieść odpowiedzialność za czyny i postępki swoje. Ty postępujesz wedle przekonań swych, odważną jesteś i szczerą. Jesteś, Paulo, kobietą niepospolitą.

Gorączkowo zarumieniony, Mirewicz pochylił się i z głęboką czcią rękę jéj ucałował. Ona, uroczyście także, przycisnęła do czoła jego swe usta. Pocałunek ten, jakkolwiek uroczysty, do czci Mirewicza przymieszał kroplę uczucia innéj natury. Obie ręce jéj błagalnie ku sobie przyciągając, szepnął:

— Nie odjeżdżaj tak prędko!

— Zobaczę — odszepnęła — zobaczę, może...

I wnet żywo oglądając się dokoła, zawołała:

— Czuję, że mam strasznie podrażnione nerwy... chciałabym zagrać... Ale tu fortepianu niéma...

— Zagrać! ja tak tęsknie do dobréj muzyki, a ty musisz grać prześlicznie! Jutro będziesz miała fortepian! co za szczęście!

Wielkim był kłopot Anny, z umieszczeniem w szczupłém mieszkaniu wykwintnéj kuzynki. Z pomocą jednak ustawionych w jadalni parawanów, zrobiło się to jakoś, a gdy nazajutrz herbatę ranną w bawialnym pokoju nalewała, to Paula, w skutek zapewne męczącéj podróży, spała bardzo długo. Mirewicz w pracowni swéj od wczesnego ranka przyjmował klientów, którzy do niego, jako do obrońcy prawnego, przybywali. Przez drzwi na-pół otwarte, przyjemnie brzmiący głos i płynna mowa jego, dochodziła uszu Anny, która téż, około samowaru krzątając się, słuchała ich od chwili do chwili z dumą i rozkoszą. Zdawało się jéj niepodobieństwem, aby istniał na świecie człowiek rozumniejszy i uczeńszy od Jasia. W gruncie rzeczy, Mirewicz posiadał istotny dar wymowy. Mówił jasno, płynnie i ozdobnie, ozdobniéj nawet może, niż-by tego wymagali grubi i prości ludzie w siermięgach i kapotach, pracownią jego napełniający. Tłómacząc im ustawy prawne, wyjaśniając stosunki, dla których tak a nie inaczéj doradzać im musi, wpadał niekiedy w oratorski zapał, używał wyrazów oderwanych, a spostrzegając, że od przedmiotu rozmowy odstąpił, wracał do niego wnet, lecz nie bez przykrości. Widoczném było, że myśl jego zrywała

się do szerszego lotu, niż dozwalał na to zakres jego zajęć, że wiadomości, które posiadał, przewyższały potrzeby jego zawodu, że w głowie jego zebrało się dużo materyału umysłowego, z którym nie miał co zrobić. Dlatego praca, którą spełniał gorliwie, lecz wśród któréj ciągle zniżać się i powściągać musiał, nużyła go i niecierpliwiła; dlatego, po kilku godzinach jéj, wszedł do bawialni z wyrazem złego humoru, w przygasłych oczach i na zmarszczoném czole. Nagle przecież, jakby czarodziejska różczka głowy jego dotknęła! Rozpogodził się i nawet rozpromienił. Przy stole, okrytym zastawą do herbaty, naprzeciw Anny, która w ciemnéj sukni osłoniętéj płóciennym fartuchem, śnieżną serwetką wycierała szklanki, siedziała Paula. Włosy miała uczesane, jak wczoraj, to jest, złocistemi wisiorami opadające na czoło i oczy, a kibić jéj opływał fałdzisty, biały, w hafty zdobny peniuar, z pod którego wysuwała się nóżka sporych rozmiarów, lecz w ażurową pończoszkę i śliczny pantofelek ubrana. Kiedy Mirewicz, schylony przed nią, długi pocałunek na ręku jéj składał, uczuł ulatującą z peniuaru woń fijołkowéj, czy jakiéjś innéj perfumy. Obok kuzynki usiadłszy, długiém spójrzeniem ogarnął całą jéj postać, a z wyrazu oczu jego poznać można było, że piękna kobieta, w białym peniuarze i białych pantofelkach, na ranną herbatę przychodząca, spełniała jedno z marzeń jego życia. Z marzeniem tém przecież łączyły się inne, które Paula spełniała także. Po kilku zamienionych słowach, odezwała się:

— Wiész, Jasiu? Postanowiłam zabawić u was dłużéj, niż myślałam... tydzień może jaki, lub dni dziesięć. Nie

znam prawie Ongrodu, i muszę zapoznać się ze sposobem życia i myślenia tutejszych ludzi. Człowiek myślący nie powinien opuszczać żadnéj sposobności studyowania przejawów społecznych.

— Zjawisk, kuzynko; błąd językowy, przez kuzynkę popełniony — żartobliwie poprawił Mirewicz, który sam mówił czysto i poprawnie. Niemniéj, uczuł się podwójnie zachwyconym.

Umiéć ubierać się i zarazem myśléć, nosić białe peniuary i studyować zjawiska społeczne, był to dla niego ideał kobiety, z którym, w skromnéj i ciasnéj sferze swych stosunków, nie spotkał się dotąd nigdy. Bardzo serdecznie dziękował kuzynce, że przedłużyła czas pobytu swego w jego domu, Anna zaś, która zmieszała się była i nawet jakby zbladła trochę, ozwała się nagle:

— Wczoraj był taki upał, a dziś deszcz pada!

Uwaga ta była zupełnie słuszna, ale tak bezpośrednio i niespodzianie po studyowaniu zjawisk społecznych nastąpiła, że po ustach Pauli przebiegł ironiczny uśmieszek, a Jan z niezadowoleniem brwi ściągnął. Oczom Anny, łagodnym i dobrodusznym, całkiem bystrości nie brakło. I uśmiech, i ściągnięcie brwi spostrzegła, a do reszty zmieszana, zająkliwie i plącząc wyrazy, mówić zaczęła o mieście, ulicach jego, mieszkańcach, domach. Skończyła na tém, że mieszkania z każdym rokiem drożeją, a potém, śmieléj już i jaśniéj, bo z głębokiém przejęciem się, powiedziała, że ubogich i nieszczęśliwych ludzi jest tu wiele... tak wiele! Dało to asumpt Pauli, do mówienia o ekonomii politycznéj, o kwestyach pracy i kapitału, o

stosunku robotników do fabrykantów na Zachodzie i Wschodzie i t. d. Mówiła płynnie i z ożywieniem, wykazywała bardzo znaczny zasób posiadanych wiadomości i niepospolite, w dodatku, wykształcenie filologiczne, bo do mowy swéj wplatała dość gęsto wyrazy i frazesy, z trzech czy nawet czterech języków czerpane. Mirewicz nie wszystkie języki te znał, parę z nich jednak i jemu téż zupełnie obcemi nie były, a o przedmiotach rozmowy czytywał wiele, znał się na nich wcale dobrze i zajmowały go one żywo. Mówił więc sam z zajęciem, i przyjemnością widoczną, a z widoczniejszém jeszcze upodobaniem słuchał, gdy Paula mówiła. W sposób ten godzina przeszło zleciała, jak mgnienie oka, i Mirewicz, wypadkiem dotknąwszy zegarka swego, zerwał się z krzesła. Pora mu już była wielka iść do sądu, gdzie jeden z klientów obecności jego niezbędnie potrzebował.

— Ależ to niewola, mój Jasiu! — zawołała Paula. — Nie módz rozporządzić się swobodnie każdą godziną swego życia, jest to okropne!

Tym razem uczuł się nieco zdziwionym.

— Ale jakże! — rzekł — czyż można w jakimkolwiek kierunku pracować inaczéj? I ty pewno, kuzynko, aby nauczyć się tyle, ile umiész, musiałaś wiele i systematycznie pracować?

— O! ja spartanką jestem! Ileż to nocy nieprzespanych i dni samotnych... Zresztą, wszystko przychodzi mi z łatwością, i uczenie się jest największą moją rozkoszą!

Szafirowe oczy jéj paliły się za mgłą złocistych wisiorków, gdy Mirewicz, na dobre już odchodząc i rękę

całując, mówił:

— Co za szczęście, Paulo, wracać po pracy do domu z myślą, że się tam znajdzie taką, jak ty kobietę.

Wieczorem, w porze zapalania świateł, Mirewicz i Paula wrócili z parogodzinnej przechadzki, w celu studyowania miasta przedsięwziętéj. Miasto wcale od wczoraj nie wypiękniało, a jednak, w powierzchowności Mirewicza, wczorajszego niesmaku i znudzenia, nie było ani śladu. Owszem, wesoło i z żywością ruchów, które go o lat dziesięć odmładzały, przenosił on z przedpokoju do bawialni podróżną bibliotekę kuzynki, w czém dopomagała mu ona, śmiejąc się, podskakując, swawoląc. Dziw aż zdejmował na widok téj kobiety, która, trzydziestu lat życia dobiegłszy, takie już koleje przebywszy, tyle nocy bezsennych i dni samotnych nad nauką straciwszy, zachować mogła taką wdzięczną, miłą, młodziutką wesołość. Istotnie, musiała być to natura nadzwyczaj energiczna i sprężysta! Uwagę tę Mirewicz uczynił głośno, gdy już wszystkie książki do bawialni wniesionemi zostały, a potém Anna, dokoła stołu w jadalni krzątająca się, słyszéć przestała wesołe ich głosy. Ucichli jakoś...

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Eliza Orzeszkowa.*

II.

W ładnym domku z ładnym ogródkiem, który był przedmiotem marzeń Mirewiczów, w niewielkim i nader skromnie urządzonym pokoju, panował przedwyjazdowy widocznie nieład. Dwie osoby zajmowały się tam pakowaniem w tłomoki pościeli, sukien i książek. Jedną z osób tych była Józefa Skiwska, drugą siostra jéj, piętnastoletnia Helka, ładne, żywe dziewczę, z bardzo pojętnemi, bystremi oczyma i cerą twarzy, jak u siostry, przybladłą nieco i zmęczoną. Pracowały zawzięcie, ale nie długo, bo wcale niewielkie bogactwa do dwóch niewielkich tłomoków zapakować im przyszło. W jednym pomieściła się pościel i odzież, drugi napełnionym został książkami. Tym to ostatnim wyłącznie zajmowała się Helka. Drobne jéj ręce zręcznie ułożyły biblioteczkę tę, złożoną w znacznéj części z przeróżnych szkolnych podręczników, poczém przysiadła obok tłomoka na ziemi i, twarz oparłszy na dłoni, zamyśliła się smutnie. Józefa, ściągając taśmy swego tłomoka, na siostrę spójrzała.

— A toż to, Helciu, czego płaczesz?

Po twarzy dziewczynki płynęły istotnie łzy. Otarła je szybko i z zawstydzeniem. W głosie starszéj siostry dosłyszała niezadowolenie.

— Nic to, Józiu, nic! żal mi się zrobiło pokoiku tego, ogródka... Wszystkiego!

— Ogródka! — powtórzyła Józia — wiész dobrze, że nie masz jeszcze prawa myśléć o kwiatkach. Dopóki były, mogłaś bawić się niemi, gdy ich nie będzie, powinnaś

umiéć nie myśléć o nich.

Helka potakująco wstrząsnęła głową, ale usta jéj drżéć zaczęły od tłumionego żalu.

— Widzisz, Józiu — zaczęła — tam w Onwilu wszyscy nieznajomi będą, wszystko cudze i... sama mówiłaś, że będzie nam daleko, daleko gorzéj, niż tu.

Zamknąwszy tłomok, Józefa wyprostowała się i odrzekła:

— Mieszkanie nasze będzie ciaśniejsze i ciemniejsze, i jedzenie gorsze, ale za to, i ja i ty, więcéj i lepiéj uczyć się będziemy. Mówiłam ci już o tém nieraz i zawsze cieszyłaś się... Zkąd-że ci teraz przyszło do głowy mazać się nad tém, co jest nieuniknione.

Mówiła to z pewną surowością w głosie i spójrzeniu. Zbyt ostro nawet gromiła młodziutką siostrę za żałowanie kwiatków i obawę nieznanéj przyszłości. Ale Helka nie darmo miała lat piętnaście. Oczy jéj zaszły nowemi łzami.

— O, Józiu, Józiu! — zawołała — dlaczegoż-to my jesteśmy tak same na świecie? Inne mają rodziców, którzy opiekują się niemi i dopomagają im we wszystkiém... inne mają i naukę, i kwiatki, wszystko... wszystko... a my...

— A ty? czy nie masz siostry? — krótko zapytała Józefa.

Helka podniosła głowę, popatrzała na siostrę i, porwawszy się z ziemi, z krzykiem czułości rzuciła się jéj na szyję. Chłód młodéj dziewczyny stopniał, surowy wyraz ust jéj i oczu zniknął.

Usiadła, i piętnastoletnie dziewczę, jak małe dziecko, na kolanach swych posadziwszy, i ramieniem je do piersi przyciskając, drżącym trochę głosem mówiła:

— Ty wiész, Helko, że inaczéj być nie może! Ubogie jesteśmy i sieroty. Po śmierci ojca sześć lat przemieszkałyśmy już u stryja. Spostrzegałaś nieraz sama, że przykrzy mu się pobyt nasz w jego domu i nie powinnyśmy mu brać tego za złe, bo żywić nas i odziewać przez całe życie, nie ma on obowiązku żadnego...

— Przecież ty, Józiu, pracowałaś zawsze i zarabiałaś!...

— To prawda, ale nie wystarczało to na utrzymanie nas obu, i zawsze coś kosztowałyśmy stryja. Wiész dobrze, żem ja skończyła mizerną tylko pensyjkę, i tak mało umiałam, że lekcye moje były długo niezmiernie tanie. Teraz umiem już daleko więcéj; w Onwilu płacą za lekcye drożéj; zarabiać tam będę sporo, tyle, ile nam trzeba. Najważniejszą zaś rzeczą jest to, że ty tam miéć będziesz lepszych nauczycieli, z których pomocą przygotowywać się będziesz mogła do... wiész czego?

Helka, bez śladu już łez i smutku, owszem, rozpromieniona, twarz siostry pocałunkami okrywała; Józefa uścisnęła ją wzajemnie.

— Jesteś już dość dużą i roztropną, abym ci mogła wskazać ten piękny cel, do którego ażebyś doszła, dopomagać ci będę wszelkiemi siłami. Jesteś zdolną do nauk i to takich szczególniéj, które w zawodzie tym są najniezbędniejsze; jeśli więc mocno i wytrwale zechcesz... Tylko — zakończyła — nie myśl nigdy, że ci to łatwo przyjść może...

— Wiem — krótko i poważnie odpowiedziała Helka i, zsunąwszy się z kolan siostry, energicznie tłomok swój z książkami zamykać zaczęła.

Nic już więcéj czułego nie powiedziały sobie, tylko Józefa, włożywszy na głowę kapelusz, pocałowała siostrę w czoło.

— Idę pożegnać się z Mirewiczową. A ty idź tymczasem, jak zwykle o téj porze, gazetę stryjowi przeczytać. Nie trzeba, aby przypuszczał, że urazę jaką do niego mamy. Bo choć tam czasem uczynił nam on coś nieprzyjemnego, wdzięcznemi mu być powinnyśmy. Żyłyśmy pod jego dachem i jadłyśmy chléb jego.

Wszedłszy do mieszkania Mirewiczów, Józefa zdziwioną była głęboką ciszą, która w niém panowała. Dawniéj słychać tu było zawsze turkot maszyny do szycia Anny, głośne rozmowy jéj ze służącą i z dzieckiem, skrzypienie pióra i szelest papierów Mirewicza, albo gwarne głosy jego klientów. Teraz nic. W kuchni tylko Kasia zawzięcie siekała kotlety, a mała Jańcia, klęcząc na stołku i przypatrując się jéj robocie, daremnie zadąsaną dziewczynę do rozmowy wezwać usiłowała. W jadalni, pracowni i bawialni pusto było i cicho, a z sypialnego dopiéro pokoju, przez drzwi przymknięte, dochodził odgłos jakiegoś monotonnego i zawziętego mruczenia. W mruczeniu tém Józefa poznała głos Anny. Weszła i dość dziwny ujrzała widok. Blask zachodzącego słońca uderzał wprost w okno, które téż płócienną roletą zasłoniwszy, Anna w żółtawem świetle, napełniającém pokój, siedziała przy stole, okrytym skromnemi toaletowemi przyborami i oba łokcie na stole, a czoło na dłoniach wspierając, półgłosem z rozwartéj przed sobą książki czytała. W monotonném, mrucząćem czytaniu tém, było coś nużącego i prawie bezmyślnego, a szczególne

zajęcie to tak bardzo pochłaniało Annę, że ani otwierania się drzwi, ani nadchodzących kroków nie słyszała.

— Andziu! Andziu! co to robisz? modlisz się, czy uczysz się czego?

Podniosła żywo głowę i widocznie zmieszała się bardzo.

— Nie, nie Józiu! ot tak! czytam sobie...

— Ty, gosposiu, tak mocno zatapiasz się w czytaniu? Co ty czytasz?

Spójrzała na tytuł książki; uśmiech przewinął się po jéj ustach; spróbowała powstrzymać go, daremnie; wybuchnęła głośnym śmiechem. Książka nosiła tytuł: „Dzieje rozwijania się przyrody”. Śmiejąc się wciąż, spostrzegła na stole drugą książkę, pod tytułem: „Cywilizacya pierwotna”, i trzecią podobną na oknie, i czwartą jeszcze, wstydliwie jakby ukrytą za stojącém lusterkiem. Słowem, Anna obłożoną była książkami tak formalnie, jak gdyby przygotowywała się do examinu na stopień doktora, lub przynajmniéj magistra filozofii. Z wargami, drżącemi jeszcze od śmiechu i ze zdumieniem w oczach, Józefa zapytała:

— Co to jest, Andziu? Zkąd ci to? dlaczego?

Anna nie podniosła powiek, zawstydzoną wydawała się i smutną. Potém, na odwagę zdobywając się, szepnęła:

— Probowałam uczyć się...

— Uczyć się? Z tych książek? Zkąd ci to na myśl przyjść mogło?

Tym razem Mirewiczowa, podnosząc oczy pełne łez, zawołała:

— Moja Józiu! Gdybyś ty wiedziała, ile ja od dwóch

tygodni cierpię...

Nagle Józefa przypomniała sobie, że, jak raz przed dwoma tygodniami, była tu świadkiem przybycia nieznanéj wprzódy, ładnéj i wykształconéj kobiety.

— A! czy ta kuzynka twego męża...

— Nie wyjechała jeszcze... i pewno nieprędko wyjedzie... Gdybyś ty wiedziała, Józiu, jaki to żal i wstyd słuchać tak ciągle tych mądrych rozmów ich, i widzieć, jak on ją za tę mądrość uwielbia, i czuć, że gdyby nie ja, on może był-by teraz bardzo szczęśliwy...

Zalała się łzami, ale, prędko powściągnąwszy płacz i twarz z łez otarłszy, mówiła znowu:

— Ja tylko przed tobą, Józiu, wszystko powiedzieć mogę... Może ty zresztą dasz mi jaką radę... przecież i ty także uczoną i rozumną jesteś... Ot widzisz, wzięłam z biblioteki jéj kilka książek i zaczęłam czytać... Nikt o tém nic nie wié... bo czytam wtedy, gdy oni są na spacerze, a gdy mają już wracać, książki pocichutku na miejsce odkładam. Oni wiecznie na spacerach... jak tylko obiad zjedzą, idą i aż na herbatę, a czasem i około północy wracają. Miasto studyują... ja tymczasem czytam, czytam, gospodarstwa i dziecka zaniedbuję, a czytam, i tak już jest dni z dziewięć...

— I cóż?

— A cóż? — z rozpaczliwym giestem odpowiedziała Anna. — Nic. Ale to, wiész moja droga, że nic a nic. Czy już ta moja głowa taka tępa, czy to nieprzyzwyczajenie robi, ale nic nie rozumiem i nic nie pamiętam. Jednę stronicę przeczytam czasem dwadzieścia razy i ot tak,

jakbym jéj wcale nie czytała... Wiem, że to o jakichś dzikich ludziach i o jakichś robakach, ale mówić o tém sposobu niéma, bo jedno drugiego w głowie nie trzyma się... poradź ty mi, Józiu, co tu robić?

Trochę jeszcze rozśmieszona, Józefa, szyję jéj ramionami objęła i w czoło ją pocałowała.

— Co tu robić? porzucić tę niemożliwą robotę. Ona nie dla ciebie. Nauczyłaś się za młodu krawiectwa i umiész suknie szyć. Mężatką będąc, z dzieckiem i gospodarstwem dużo zajęcia masz. Książki te nie dla ciebie. Gdybyś nad niemi nietylko dziewięć dni, ale dziewięćdziesiąt dziewięć lat mozoliła się, nic z tego nie wyniknie, bo ani przygotowania, ani zdolności odpowiednich nie masz...

Mirewiczowa znowu z rozpaczą załamała ręce.

— Boże, mój Boże! — zawołała — cóż to będzie?...

Umilkła, a po chwili, obejmując przyjaciółkę, bardzo cicho szepnęła:

— Ja wszystko już powiem. Mnie się zdaje, Józiu, że on w niéj zakochał się...

Józefa spoważniała bardzo.

— Dlaczegoś nie rozmówisz się z nim o tém jasno, szczerze?...

— Ja? — zawołała Anna — ja miała-bym dokuczać mu jeszcze zazdrością, podejrzeniami, pytaniami... Przecież to tylko podejrzenie, pewności żadnéj nie mam... Prędzéj utopiła-bym się, niż-bym jemu dobrowolnie przykrość jaką sprawiła! Ale tak mi smutno, tak straszno!...

Z trudnością wstrzymywała się od płaczu. Zerwała się z krzesła:

— Chodź! zobacz jéj mieszkanie!

Był to duży pokój, z alkową, do mieszkania Mirewiczów donajęty, i połączony z niém drzwiami, otwierającemi się z małéj bawialni. Wprzódy drzwi te były oklejone obiciem, Teraz z obu stron osłaniały je i przyozdabiały grube, kosztowne portyery. Całe urządzenie pokoju i alkowy było kosztowne i, na piérwszy rzut oka, bardzo wykwintne. Przy nagim i sztywnym saloniku Mirewiczów, wyglądało to, jak ładne i miękkie gniazdko. Trzeba było znać się trochę na rzeczach takich, aby dostrzedz tam sporo łataniny i dysharmonii. Sprzęciki nizkie, zgrabne, wygodne, czémś błękitném obite, nie nowe już były i trochę zszarzane; spory dywan okrywał część posadzki, grubéj i główkami ćwieków sterczącéj; na ścianach kwieciste obicie wyglądało wesoło, ale pospolitym gatunkiem swym sprzeczało się z ciężkiemi draperyami dość kosztownych firanek. W alkowie, przy łóżku, zasłaném haftowaną pościelą, stały kufry podróżne, a nad umywalnią i stołem, których cerata źle naśladowała marmur, spuszczała się od sufitu wielka błękitna kula nocnéj lampy. Wykwintność tę czuć było tandetą. Ale Anna i Józefa, nie przywykłe do wspaniałości tego świata, z podziwem przepych ten oglądały. Nigdy w życiu swém nie posiadały one mieszkania z portyerami, błękitnemi lampami, śliczną szklaną szafką na książki, z wynajętym choćby pianinem i porcelanowemi, czy udającemi porcelanę, posążkami i wazonikami na etażerce, udającéj palisander i rzeźbę. Anna pomimowoli zniżała tu głos, jak w kościele.

— Wyobraź sobie, moja Józiu, ile to wszystko

kosztować musiało! przez caluteńkie kilka dni chodzili, kupowali, znosili, rzemieślników różnych sprowadzali, oklejali, przybijali, ustawiali... aż wczoraj, nakoniec wszystko już urządziło się zupełnie i ucichło... Słyszałam, jak Jaś do niéj mówił: „jesteś czarodziejką, Paulo! z niczego prawdziwy raik zrobiłaś”. Piękne to: z niczego! Tu trzysta, albo pięćset rubli może wlazło!

Józia, ciekawie przypatrując się wszystkiemu, mniéj jednak od Anny zdumiona, głosu nie zniżając, rzekła:

— Ależ wasza kuzynka majętną chyba być musi, jeśli tak znaczne robić może wydatki?...

— Bóg ją wié, moja Józiu, Bóg ją wié... czy ona bogata czy biedna... — zaszeptała Anna, a wyraz oczu jéj stał się dziwnie jakoś niespokojnym...

W téj chwili ozwały się w przedpokoju wesołe głosy. Dwie kobiety wróciły do saloniku, do którego téż przeciwnemi drzwiami, wsparta na ramieniu Mirewicza, weszła Paula. Za tą śmiejącą się i ożywioną parą ukazał się ożywiony téż i przystojny młody mężczyzna, brunet, z napoleońską bródką i żywemi ognistemi oczyma, wpatrzonemi w téj chwili w posuwającą się przed nim zgrabną kibić Pauli i ślicznie udrapowaną jéj suknią. Silnie zarumieniona i z błyszczącemi oczyma, Paula rzuciła się na fotel. Józefę powitała bardzo obojętnie, Annie zaledwie głową skinęła. Wszyscy jakoś milczeli z razu. Annie wydało się, że jéj-to rozmowę zacząć wypadało.

— Śliczna dziś pogoda — ozwała się — nie tak gorąco, jak było w przeszłym tygodniu...

Urwała, bo Paula, przygryzając ponsową wargę, wstała

nagle i szybko do pokoju swego weszła. Mirewicz, który zachmurzył się już był nieco, i młody człowiek z czarnemi oczyma, z-za grubych festonów portyery przesłali jéj pytanie:

— Czy można?

— Proszę, proszę! — odpowiedział srebrzysty głosik, bardzo wyraźnie tłumiący wybuch śmiechu.

Anna żałośnie na Józefę patrzała.

— Widzisz, Józiu? słyszysz?

Józefa, która uważnie przypatrywała się wszystkiemu, oba ramiona zarzuciła jéj na szyję i serdecznie ją ucałowała.

— Moja ty poczciwa, biedna Andziu! nie martw się znowu bardzo! to przejdzie!

Innéj pociechy znaléźć dla niéj nie mogła. Anna cichutko zapytała:

— Powiédz mi, Józiu, co to takiego metologia?

Nad wyrazem tym Józefa zastanowiła się chwilę.

— Nie wiem, moja Andziu... może meteorologia...

— Tak! tak!

Zwięźle i jasno Józefa wytłómaczyła jéj najogólniejsze znaczenie téj nazwy.

— A!... teraz już rozumiem, co to znaczy! Słyszałam wczoraj, jak wchodząc z Jasiem do swego pokoju, śmiejąc się, powiedział: „Ależ mój Jasiu! żona twoja jest wcieloną meteorologią”.

— A on co na to?

— Zdaje się, że jemu to przyjemnie nie było, bo nie odpowiedział nic, tylko potém, wobec niéj, serdecznie i z takiém jakiémś uszanowaniem, pocałował mię w obiedwie

ręce... Drogi mój, poczciwy, najlepszy Jaś!

Znały się od dzieciństwa i łączyła ich kiedyś z sobą wspólność sieroctwa i ubóztwa. Anna, o kilka lat starsza, okazywała jednak Józefie, obok przyjaźni, uszanowanie pewne, jakie budziła w niéj zwykle każda umysłowa wyższość. Nic więc dziwnego, że wyraz skupionéj uwagi i wielkiego przejęcia się okrył dobroduszną i łagodną twarz jéj, gdy Józefa, przysunąwszy się do niéj bliziutko i, rękę jéj wziąwszy w swoję, cicho i długo mówiła do niéj. Dawała jéj rady jakieś, zwierzała się przed nią z własnych swych planów. Kiedy już pożegnać się miały, Anna pociągnęła ją do jadalni. Tu, w głębi szafy, stał spory koszyk, napełniony gospodarskiemi przysmakami i sprzęcikami.

— Przygotowałam to dla ciebie... na drogę i na nowe gospodarstwo...

Józefa rzuciła się jéj na szyję i zapłakała.

— Biedna ty, Józiu moja! bez opieki, bez pomocy, jechać tak w obcy świat i jeszcze z siostrą, którą utrzymywać i wychowywać musisz... Jak ty tam sobie radę dasz?

Ładna blada dziewczyna prędko otarła łzy z oczu i twarzy.

— Cóż robić, Andziu? — odpowiedziała. — Życie kobiety ubogiéj, a cudzego chleba darmo zjadać niechcącéj, balem być nie może. Szczęśliwą jestem, że jakkolwiek pracować nauczyłam się, a Helce, o! lepiéj i łatwiéj będzie na świecie, bo... ja jéj drogę toruję!

W pokoju Pauli tymczasem gwarno było i wesoło. Dwaj mężczyźni, próg pokoju tego przestąpiwszy, zamienili się spójrzeniem, pełném głębokiego zadowolenia.

— A co, Ludwiku? czy nie mówiłem ci? — znacząco zapytał Mirewicz.

— Ależ to raj prawdziwy? — z zachwyceniem zawołał Ludwik, i z rozkoszą na nizkiéj kanapce siadając, do gospodyni raju tego przemówił:

— Jesteś pani prawdziwą czarodziejką... Nie spodziewałem się nigdy, aby marzenia nasze kiedykolwiek tak świetnie ziścić się mogły. Prawda, Jasiu?

Ze słyszenia tylko i czytania znając wspaniałości tego świata, dwaj ci ludzie marzyli o nich jednak. Marzył o nich Mirewicz, przebywając brzydkie ulice miasta, albo, po trudach dnia, zasiadając w pracowni swéj do pisania sądowych podań; marzył téż Ludwik Ożymski nad szaremi stosami kancelaryjnéj bibuły, lub w kącie odymionéj cukierni, z brudnemi ścianami i poplamionym bilardem. W marzeniach Ożymskiego panowały piękne mieszkania, swobodne zabawy, wesołe i strojne kobiety; w myślach Mirewicza snuły się częściéj artystyczne i umysłowe rozkosze, jakieś wspólności duchowe z jakiemiś wybranemi istotami, jakieś wspólne loty w krainę wiedzy i myśli, przy szmerze pocałunków. Raz zwierzyli się sobie wzajem z tego, że niezadowoleni czują się tém, co posiadają, a pragną tego, czego posiadać nie mogą i — stali się serdecznymi przyjaciółmi. Prawnik, znaczniejsze dochody mający, ratował w kłopotach, ściganego często przez lichwiarzy, urzędnika, który, wywzajemniając się, nauczył przyjaciela gry w bilard i oznajmiał mu o przybywaniu do Ongrodu ładnych harfiarek. Przysługi te przecież nie na wiele przydały się Mirewiczowi. Bilardu nie polubił, harfiarki

odrazę w nim budziły. — Bezmyślne to i brzydkie! — powiedział wkrótce Ożymskiemu i dodał: będziemy razem czytywali!

— Dobrze! — z zapałem zawołał młody człowiek, który także czytywać lubił, ale książek kupować nie miał za co. Było ich zawsze sporo u Mirewicza. W wolnych od zajęć fachowych godzinach schodzili się, zasiadali przy stole, czytali, rozprawiali, sprzeczali się, łamali sobie głowy nad rozwiązywaniem przeróżnych społecznych i naukowych zagadnień. Mirewiczowi sprawiało to z razu przyjemność wielką, Ożymski bawił się téż dobrze. Potém jednak uczuli, że posiedzeniom tym braknie czegoś.

— Gdyby-to módz wszystkie te nabywane wiadomości w jakikolwiek sposób zużytkować! — mówił Mirewicz.

— Gdyby-to była z nami jaka piękna i wykształcona kobiéta! — wzdychał Ożymski.

Teraz zjawiło się przed nimi, częściowe przynajmniéj, wcielenie ich marzeń.

Pokój wygodnie i wykwintnie urządzony i piękna kobiéta, będąca połączeniem elegancyi i powagi, wdzięku i czynu.

Tak; czyn to niepospolity, wielkiego męztwa i bardzo silnéj woli wymagający, był owym ukochanym celem Pauli, o którym zaraz po przyjeździe swym tu mówiła. O imieniu i naturze jego Mirewicz dowiedział się od niéj prędko, Ożymski zaś wtedy, gdy ją po raz piérwszy zobaczył. Przychodził on na zwykłe wieczorne z Mirewiczem czytanie. W jadalni znalazł tylko Annę, zajętą przygotowywaniem wieczerzy.

— Jan w domu? — zapytał.

— O! w domu... w bawialnym pokoju, z gościem swoim. Kuzynka przyjechała...

— A młoda? — ładna?

— Młoda, ładna i bardzo wykształcona...

— O!

Pośpiesznie zdjąwszy w przedpokoju paltot, biegł ku salonikowi. Przed progiem stanął w wahającéj się postawie. W saloniku panowała cisza nieskazitelna. Nikt nie rozmawiał tam i nawet nie szeptał. Po ruchliwéj i roztropnéj twarzy młodego urzędnika przebiegł figlarny uśmiech. Chrząknął głośno i po kilku sekundach wszedł. Mirewicz nagle jakoś zerwał się z kanapki, na któréj obok Pauli siedział; ujrzawszy przyjaciela, powitał go z radością.

— Paulo! Ludwik Ożymski, jedyny przyjaciel mój, z którym wspólnie myślę i uczę się; kuzynka moja, Ludwiku, pani Paula Mirewicz!

— Bardzo mi przyjemnie poznać pana!

— O, pani!

Wykrzyk ten spowodowany był widokiem kobiéty, któréj piękna kibić i strój malowniczy uroczo rysowały się w półświetle lampy, gęstym abażurem przyćmionéj. Lecz jakież było zdziwienie i zachwycenie jego, gdy Mirewicz, biorąc rękę kuzynki, z niejaką dumą wymówił.

— Przyszły doktor medycyny, Ludwiku, Paula jest tu tylko przelotem. Jedzie do Zurichu, aby w uniwersytecie tamtejszym studyować medycynę.

Ludwik oniemiał z razu. Najniespodziewaniéj znalazł się wobec kobiéty, wprowadzającéj w czyn jednę z idei tych, o

których tyle wraz z Mirewiczem czytał i rozprawiał.

— O, pani! powtórzył.

Z czcią głęboką rękę jéj całując, dodał:

— Jakież-to szczęście, że pani do nas choć przelotem zawitałaś! Takich, jak pani, kobiét, niestety, my biedni nie znamy!

— A zawsze o nich marzymy... nie prawdaż, Ludwiku?

Teraz, w cieniu alkowy swéj, spacerową suknią swą zamieniwszy na szlafrok w tureckie desenie, z za ciężkiego festonu firanki wyszła ona ku nim, z wabnym uśmiechem na ustach, a grubym tomem w ręku. Gruby tom rozwarłszy i na stole położywszy, stanęła przed źwierciadełkiem w ładnych ramkach, nad ładną etażerkę zawieszoném. Białemi palcami porządkowała złote wisiorki włosów na czole i koronkę u szyi, a, nie odwracając twarzy od źwierciadła, zapytała:

— Powiedźcie mi, co to jest za indywidualność, ta panna Józefa Skiwska?

Mirewicz spuścił oczy i nic nie odpowiedział, Ludwik za to zawołał:

— Jest to, proszę pani, wcale niebrzydka i niegłupia osoba... uczy się nawet, kształci się sama i siostrę bardzo starannie kształci; ale...

— Ale co?

— Ale... jakże to powiedziéć... natura uboga!...

— A dla czego?

— Ot, żadnych wyższych tęsknot... żadnych burz, walk...

— Uważałam to. Wygląda jak owieczka, pokornie wyciągająca szyję pod nóż społeczeństwa...

— Tak; ona walczyć nie umié. Pogodziła się i z ubóztwem swojém i ze swoją bakałarską pracą, jakby to były rzeczy najprzyjemniejsze pod słońcem... Niéma w niéj tych buntów, tego rwania się... téj nakoniec estetyczności... słowem, poczciwa sobie i niegłupia dziewczyna, ale... natura uboga!

Paula odwróciła się nagle od źwierciadła.

— Jasiu! — zawołała. — Dla czegoż ty nic nie mówisz? Uważałam już nieraz, że gdy mowa o pannie Józefie...

Żywy i wesoły Ożymski parsknął śmiechem.

— To cała historya, proszę pani!

— Ludwiku, proszę cię... zaczął Mirewicz, widocznie zakłopotany.

Ale Paula, figlarnie pogroziwszy kuzynowi, prosiła Ożymskiego, aby... opowiedział.

Bardzo zabawnie i w sposób przynoszący zaszczyt dowcipowi jego, Ożymski opowiedział, jak przed rokiem, mniéj więcéj, Mirewicz, z nudy i tęsknoty za czémś lepszém i wyższém, zajął się Józefą bardzo żywo; jak godzinami całemi prowadził z nią filozoficzne i naukowe rozmowy, w których i ona widoczną znajdowała przyjemność, jak następnie prosił ją, aby przechadzała się z nim po mieście i za miastem, na co ona z razu przystała chętnie; jak nakoniec, na jednéj z przechadzek tych, uniesiony energią i samodzielnością natury swéj, wypowiadać jéj zaczął uczucia, dla niéj powzięte, a ona... z razu śmiać się zaczęła niby puste dziecko, potém, w wielkim gniewie, nagadała mu mnóztwo rzeczy nieprzyjemnych, nakoniec, rozpłakała się i prosiła go, aby

szedł sobie w inną stronę, bo ona już obok niego ani kilku kroków zrobić nie jest zdolną...

Oczy Pauli gniewnie błysnęły.

— Jasiu! jakże ty mogłeś... zająć się taką zimną, poziomą dziewczyną!

Ożymski ujął się za przyjacielem.

— Z saméj nudy, proszę pani... z tęsknoty za czémś wyższém...

Gniew Pauli przemienił się w litość. Stanęła przy Janie i włosy jego dłonią pogłaskała.

— Biedny ty, mój Jasiu! Jakże ty jesteś tu zapoznany, niezrozumiany! Ale dziewczyna ta powinna była umrzéć z radości, że ją człowiek taki, jak ty, pokochał!... Gęś!

Mirewicz wstał. Chmurny był i niezadowolony. Nawet ostatnie słowa Pauli nie zdołały go rozpogodzić.

— No, rzekł, dosyć tego! Wiész dobrze, Ludwiku, że nie lubiłem nigdy wspominać o téj głupiéj historyi... a témbardziéj wspomnienie to przykrém mi jest teraz, gdy poznałem, czém jest, w znaczeniu właściwém, kobiéta wyższa...

Wziął rękę Pauli i długo ją całował.

Ożymski spuścił oczy, westchnął, posmutniał... co spostrzegłszy, Paula, śmiejąc się, przysunęła mu rękę swą do ust: — pocałuj pan! — zaśmiała się wesoło. — My troje przyjaciół... prawda, Jasiu?

Z zapałem całując podaną sobie rękę, żywy chłopak z ognistemi oczami zbladł trochę; lecz, jakby mu myśl jakaś nagle przez głowę przemknęła, całować przestał i usunął się ku oknu, zamyślony, chmurny...

— Czytajmy! — zawołała Paula.

— Nie — odpowiedział Mirewicz — zaraz zacznie się szara godzina... czytać będziemy przy lampie; teraz, zagraj!

Posłuszna, usiadła przed pianinem i grać zaczęła. Grała biegle, czysto, i jeżeli zkądinąd muzyce jéj wiele do doskonałości brakło, pewnéj siły uczucia i namiętności nie można-by jéj odmówić. Po raz-to piérwszy w mieszkaniu Mirewiczów rozległy się pieśni mistrzów, a wywoływała je z instrumentu dłoń dość umiejętna i bardzo wrażliwa. Słuchała ich Anna, siedząca na kanapce w ciemnéj jadalni i trzymająca na kolanach wpółuśpioną Jańcię. Na senne czoło dziecka spadło parę gorących kropel.

— Co to, mamciu? — zaszemrał głosik dziecinny i główka dziecinna oderwała się od piersi matki.

— Ty płaczesz, mamciu?

— Nie, dziecko moje, nie!

— A co to?

I drobnemi rączkami rozcierała na czole wilgotne krople.

— A co to? mamciu, co to?

Anna nizko chyliła ku niéj głowę.

— To, dziecko moje, czasem o szaréj godzinie... kiedy zdaleka muzykę słychać... przelatuje taki anioł smutny, a ze skrzydeł jego padają takie krople...

Nagle Paula grać przestała. Ożymski porwał się od okna i śpiesznie zapalił lampę.

— Zerwałeś urok! — mrugając powiekami, z wyrzutem rzekł Mirewicz.

— Zrobiłem to umyślnie, — z tłumioném rozjątrzeniem sarknął Ożymski.

W tém w stronie pianina usłyszeli łkanie. Paula, z głową pochyloną na pulpit, płakała. Rzucili się do niéj oba.

— Co to? Co pani jest? co ci się stało, najdroższa?

Wstała powoli, chwiejąc się, z twarzą zalaną łzami.

— Muzyka tak mnie zawsze wzrusza... tyle przeniosłam w życiu... przebolałam, utraciłam...

Pierś jéj podnosiła się szybko, śliczne usta drżały. Mirewicz ujął jednę jéj rękę, Ożymski drugą i, całując ręce te, pochyleni nad nią, prowadzili ją, chwiejącą się pomiędzy nimi, ku kanapce i fotelom. Osunęła się na fotel, chusteczkę przycisnęła do oczu i szepnęła jeszcze.

— O! moja biedna Regina-Wiktorya!...

— Kto to... ta Wiktorya? — cichutko za plecami jéj szepnął Ożymski do Mirewicza.

— Cicho! ona sama powié ci o tém! Paulo! najdroższa! męztwa! odwagi! bądź człowiekiem! Masz teraz przy sobie przyjaciela... który-by za tobą do piekła poszedł.

— Spokoju pani! siły moralnéj! twoje wielkie, wysokie cele... Jesteś pani pośród tych, którzy wielbią cię... jak bóztwo!

Odjęła chustkę od oczu i obdarzyła ich z kolei pełném wdzięczności spojrzeniem.

— Bywają czasem takie chwile... — szepnęła.

— O! tak, ja to rozumiem dobrze!

— I ja! ale poddawać się im nie trzeba!

— O! ja się téż nigdy nie poddaję... tylko ta muzyka i te... te biédne nerwy...

Przy ostatnich słowach zatopiła wzrok w oczach Jana, który téż mocno, mocno ścisnął jéj rękę. Ożymski za to

gwałtownie pochwycił książkę.

— Czytajmy! — zawołał.

— Czytajmy! — powtórzyła Paula, nie tylko już uspokojona, ale nawet rozpromieniona.

Mirewicz czytać zaczął.

Co to było? Coś z dziedziny nauk przyrodniczych, czy socyologii, czy etnologii, dość, że Mirewicz niezmiernie zajął się książką, a czytał-by ją długo, gdyby Paula ręką kart nie zakryła i mówić nie zaczęła. Bystrość umysłu kobiéty téj była istotnie zdumiewającą. Kilkanaście zaledwie kart grubego tomu przeczytawszy, wyprowadzała już z nich wnioski śmiałe, szerokie i o żywości wyobraźni jéj najlepsze wyobrażenie dające. Na kilkunastu kartach tych bujała po krainach przyrody i ludzkości, jak na rączych i niecierpliwych rumakach. Improwizowała. Improwizacyi téj Ożymski słuchał z zachwytem bezwarunkowym. Mirewicz, bardzo na seryo rzeczy umysłowe biorący, obchodził się z nią nieco surowiéj. To i owo wydawało mu się całkiem fantastyczném. Ale Paula wpadła w zapał. Oczy jéj zapłonęły i wargi zaszły purpurą, gdy od etnograficznych, czy bodaj tylko jeszcze geograficznych faktów, napełniających przeczytane stronice, lotem błyskawicy wleciała w dziedzinę czystéj psychologii i analizować poczęła: natury bogate i natury ubogie. Czém odznaczają się piérwsze, a czém drugie? Co wolno piérwszym, a co drugim? Naturalnie, wszystko wszystkim wolno; ale piérwsze mają obowiązek szczególny i bezwarunkowy pozwalania sobie na wszystko, albowiem cokolwiek w nich jest, dobrém i wielkiém jest, a złamanie

jakiekolwiek sprężyny wyższéj ich organizacyi przyniosłoby widoczną szkodę im i światu.

Wszystko to istniało o tysiąc mil od książki, będącéj piérwszą przyczyną rozmowy. W zamian, wszystko to było i piękném, i przyjemném. Mirewicz i Ożymski, sami już prawd tych oddawna domyślać się zaczęli, tylko wahali się... dla braku autorytetu. Teraz autorytet ten siedział przed nimi i przekonywał ostatecznie... Czas schodził dziwnie uroczo. Czytali kwadrans, rozmawiali dwie godziny; rozmawiając, pili herbatę, którą, wraz z doskonale urządzoną przekąską, przysłała im Anna, potém znowu czytali kwadrans i rozmawiali godzinę; potém jeszcze Paula grała, a po graniu, wzruszona i rozmarzona, wsparła głowę na ramieniu Mirewicza i smutnie, łzawo opowiadała Ożymskiemu o Reginie-Wiktoryi.

Dużo po północy, w przedpokoju, przyjaciela żegnając, Ożymski gorączkowo rękę mu ścisnął.

— Szczęśliwy Janie! Szczęśliwy! Szczęśliwy!

W téj saméj chwili Anna, powoli wszedłszy do sypialni, usiadła przy małém łóżku uśpionéj już Jańci i, ręce na kolanach złożywszy, patrzała na dziecko. Zazwyczaj, spała już o téj porze od godziny. Ale dziś nie do snu jéj było. Po bozko spędzonym wieczorze, Mirewicz zasiadł w pracowni swéj do pisania i, aby wynagrodzić czas stracony, pisać miał prawie do rana. Tak już było od dwóch tygodni. „Czy długo jeszcze będzie?” Myślała Anna. Wtém do cichego mieszkania przyleciał odgłos przeciągłego, przeraźliwego świstu. Był to pociąg kolei żelaznéj, do Onwilu odchodzący. Pociągiem tym właśnie, więc w téj chwili,

Józefa z siostrą opuszczała Ongród.

— Szczęśliwa! — szepnęła Anna.

Przed kilku godzinami żałowała młodéj dziewczyny, udającéj się w świat obcy, pomiędzy ludzi nieznanych, po niezależność dla siebie i przyszłość dla ukochanéj siostry. Teraz los ten wydał się jéj zazdrości godnym. Niezależność — co to? Saméj sobie dostarczać kawałka chleba, upokorzeń nie znosić, i nie drżéć co chwila na myśl, że się będzie porzuconą, odepchniętą... W chwili, gdy to myślała, usłyszała kroki Jana, szybko przechadzającego się po swéj pracowni. Wstała i, na palcach przeszedłszy bawialnią, stanęła w progu.

— Jasiu! może ty niezdrów jesteś? może ci czego potrzeba? będziesz pewnie długo pracował? postawię ci na biurku szklankę wody z winem...

W białym kaftanie i z rozpuszczonemi włosami, stała w progu nieśmiała i niespokojna.

Jan prędko do niéj podszedł.

— Dla czego nie śpisz jeszcze? Czy Jańcia zdrowa? Nic mi nie potrzeba.

Na wzruszonéj twarzy jego malowała się zgryzota i walka.

— Jańcia zdrowa i śpi smaczno... ja zaraz spać pójdę... bądź o nas spokojny i tylko... sam nie zamęczaj się tą nocną pracą!

Jakto! żadnéj wymówki? Żadnego pytania? Ani kropli goryczy, ani cienia urazy! Łagodne spojrzenie, smutny trochę uśmiech i troskliwa przestroga — oto wszystko! Prędko, silnie przycisnął rękę jéj do ust i odszedł ku swemu

biurku — z gorącym rumieńcem na czole. Przez bawialnią przechodząc, Anna usłyszała, dochodzące tu, pomimo drzwi zamkniętych z alkowy Pauli, głośne, przeciągłe chrapanie. Paula miała apetyt silnych i sen sprawiedliwych. W innéj za to stronie miasta, w pewném małém mieszkanku, pewna stara kobiéta spać téj nocy nie mogła. W ciepłym tułubku i nocnym czepeczku na siwiejących włosach, z lampką nocną w ręku, ostrożnie uchyliła ona drzwi jednego z trzech pokojów, małe mieszkanie składających, i cicho zawołała:

— Ludwisiu! Ludwisiu!

Z głębokich cieniów męzki głos ozwał się:

— A co, mamciu?... czemu mamcia nie śpi?

— Ależ to ty dziś nie śpisz wcale! wzdychasz, przewracasz się...

Na tle ciemnego pokoju, płomyk lamki oświecał bladą, pomarszczoną jéj twarz, a znużone oczy z wytężeniem wpatrywały się w stronę, z któréj odzywał się głos Ludwika. Gdy upewnił ją o doskonałym stanie swego zdrowia, odeszła, ale po kilku minutach, w ciemności już, przemówiła do kogoś:

— Julciu! słyszysz? Znowu przewraca się i wzdycha!

Młodziutki dziewczęcy głosik wpółsennie odpowiedział:

— Niech mama będzie spokojną... Nic mu nie jest złego... tylko zakochał się ogromnie w téj pani...

— Zkądże wiész?

— Zwierzył mi się... on mnie zawsze...

— No cóż, że zakochał się? czegoż tu...

— Kiedy widzi mama... i Mirewicz także... a on z nim...

— Co ty pleciesz?

Ale młodziutki głosik siostry Ludwika pleść już nawet nie mógł, bo właścicielka jego zasnęła.

III.

Nie można-by bez niesprawiedliwości twierdzić, że skargi i złe humory Mirewicza żadnych słusznych nie miały przyczyn. Owszem, nie należąc w społeczeństwie swém do wyjątków, niósł on niejedno brzemię, wszystkim wspólne. Ani gieniuszem, ani bohaterem, ani żadném nadzwyczajném w ludzkości zjawiskiem nie był; lecz wszyscy, znający go zblizka, utrzymywali, i sam on najlepiéj uczuwać musiał, że ta suma energii i zdolności, jaką posiadał, pozwoliła-by mu zająć wyższe stanowisko i zdobyć więcéj zadowolenia wewnętrznego, gdyby... Bardzo być może, że posiadał on w sobie zadatki znakomitego nawet krasomówczego talentu, bo głos jego pełen był brzmień i modulacyi; a gdy mówił o tém, o czém mówić lubił, wyrazy układały mu się tak łatwo i szykownie, że niby w źwierciedle widać w nich było myśl jasną i ładnie ubraną. Czytywał wiele, za muzyką przepadał, każdą wiadomość nową i każde nowe pojęcie pochwytywał z ciekawością badawczą i pojętną. Z tém wszystkiém, pełnił w Ongrodzie funkcyą obrońcy prawnego przy sądach pokoju... Była to pozycya społeczna bardzo skromna i, ponieważ tymczasem postępowała w parze ze skrupulatną uczciwością, wytwarzała pozycyą majątkową bardzo skromną. Cóż więc? Dla czegóż człowiek, niepozbawiony zdolności umysłowych i energii, a w dziedzinie interesów zupełnie uczciwy, nie sięgnął wyżéj?

Odpowiedź wielce prozaiczna: Mirewicz, niestety, należał do tego nieszczęśliwego pokolenia, które, oprócz

rzadkich wyjątków, chleba nauki zaledwie skosztować mogło, a z lekka go skosztowawszy, przedwcześnie rozpoczynało pracę zarobkową — jaką? jakąkolwiek, byle módz oddychać na powierzchni kuli ziemskiéj. Jedne z pacholąt tych zaczynały brząkać po ulicach ostrogami i szablami; inne, najliczniejsze, zasiadły do wiekuistego gryzmolenia przy biurowych stołach; inne, najmniéj liczne, wracały na zagon ojczysty — a wszystko to stawało się pod naciskiem przyczyn rozlicznych, lecz ogólnie w miejscu tém i czasie panujących. Były to przyczyny mniéj więcéj podobne do tych, jakie rządzą atomami materyi kosmicznéj, zanim sformuje się z niéj świat, albo jakim ulega świat, gdy, uderzywszy się o inny, rozlatuje się w drzazgi.

Bądź co bądź, Mirewicz, ani majątku, ani możnych stosunków nie posiadając, szczęśliwym wyjątkiem stać się nie mógł. Ubóztwo, choroba ze złego odżywiania się pochodząca, konieczność radzenia sobie, bo ojciec, zagrodowy szlachcic, schorzały i zestarzały, radzić musiał, oprócz niego, dwojgu czy trojgu jeszcze dzieciom, zapewne téż chwilowy wpływ jednego z tych krzywych pojęć, które rojami latały w powietrzu: wszystko to razem, i może inne jeszcze rzeczy, zatamowały mu drogę dalszego kształcenia się. Kształcenie się, szkolne szczególniéj, rzecz to wielce prozaiczna i w żadnéj epopei albo odzie najlżejszéj o niém wzmianki znaleźć niepodobna. W twardém jednak życiu rzeczywistém, prawdą okazuje się niezbitą, że w ścisłéj od niego zależności zostaje mnóztwo rzeczy poetycznych. Mirewicz, po ukończeniu 4-ch klas Ongrodzkiego gimnazyum, wszelkie stosunki z edukacyą publiczną zerwał

i, zasiadłszy przy kancelaryjnym stole, oddał się gryzmoleniu, a ta pomiędzy nim i towarzyszami jego zachodziła różnica, iż nigdy pogodzić się on nie mógł z myślą, aby gryzmolenie to wiekuistém być mogło. Inni pogodzili się i, zdobywając sobie możność oddychania na powierzchni kuli ziemskiéj, o wszelkich innych pretensyach do świata i życia powoli lub prędko zapominali. Jemu niemożliwém to było, z tego choćby powodu, że, po dniach całych pisać, a raczéj przepisywać zmuszony, pragnął — mówić. Mówienie było namiętnością i, jak się zdaje, górującą jego zdolnością. Ilekroć, obejrzawszy się dokoła, nie ujrzał w pobliżu żadnego ze zwierzchników, tylekroć prawić zaczynał kolegom o książkach, które wtedy już czytywał chciwie, o poglądach swoich na świat i ludzi, o marzeniach swych, co najmniéj o tyle bujnych, o ile rzeczywistość była poziomą. Koledzy szeptali pomiędzy sobą: — Oto gada! niech go! górnie! jak z książki! jakby rzepę gryzł! — A najuczeńszy z pomiędzy nich przyrównywał go zawsze do Dyogenesa, nigdy i pomimo wielkich wysiłków pamięci rozróżnić go nie mogąc filozofa tego od mówcy, Demostenesa.

W takiém otoczeniu i wieczném przepisywaniu Mirewicz wprost wyżyć nie mógł. Rzucił służbę biurową i puścił się na niepewne wody profesyi wolnéj. Różnie z razu bywało. Miewał obiady i nie miewał ich. Potém stale je miewać zaczął i nawet skromny dostatek zdobył; rzecz zaś główna dla niego była w tém, że zajęcia obrońcy prawnego, jakkolwiek rozwijające się w szczupłych bardzo granicach, dawały więcéj niezależności umysłowéj i działalności

społecznéj. Tę ostatnią przecież mnóztwo warunków ogólnych i szczególnych sprowadzało do sumy niesłychanie drobnéj. Raz, idąc z Ludwikiem przez miasto, spotkał gromadę najpoważniejszych obywateli jego, w długich chałatach i mieszczańskich surdutach, ku ratuszowi dążących. — Boże miłosierny! zawołał, — gdybym choć radcą miejskim mógł zostać i nad poprawą bruków pracować! Ażeby jednak zaznać rozkoszy tego jedynego w Ongrodzie życia publicznego, trzeba było posiadać jakąś nieruchomą własność. Zaczął więc marzyć o nabyciu domu z sześciu frontowemi oknami i ogródkiem. Schludność domu i kwiaty ogródka uśmiechały mu się tam zarówno, jak możność zdobycia czynności wpływowéj, choćby nad gatunkiem bruku. Marzenie to, acz skromne, łatwém do spełnienia nie było. Mirewicz, pełniąc sumiennie wszystko, co pełnić był powinien, od czasu do czasu wołał do siebie albo do jedynego powiernika swego: „Czy jestem zbrodniarzem, skazanym na ciężkie prace w podziemiach?” W znacznéj części miał słuszność. Z powodu wielu a wielu przyczyn, żyć w Ongrodzie znaczy to dla pewnéj kategoryi ludzi to samo, co żyć w podziemiu. Trzeba umiéć obchodzić się bez słońca — oto wszystko. Mirewicz o umiejętność tę nie starał się wcale. Utrzymywał, że ma jakieś do czegoś prawa i chodził czasem po brzydkich ulicach miasta z miną człowieka, który szuka czegoś i znaléźć nie może. Gieniusz Kolumba, albo śpiczaste bokobrody posiadać-by musiał ten, ktoby tu znaleźć potrafił coś pociągającego wyobraźnią i dającego umysłowi żywe zajęcie lub miłe wytchnienie.

Teraz, wieczorami, długo i obszernie opowiadał on Pauli wszystko, co kiedykolwiek przeniósł i przemarzył. Skarżył się na to i owo, co zawiodło go, obarczało, nudziło. Ożymski skarżył się także. Koleje jego były mniéj więcéj takież, jak Mirewicza — tylko że, mniéj wybredny, łatwiéj znajdował sobie pociechy i rozrywki. Od dnia przecież, w którym poznał Paulę, o brudnych ścianach cukierni, bilardzie, harfiarkach, nie mógł wspominać bez wstrętu. On także spragnionym był uciech wyższych, umysłowych, artystycznych, tych nakoniec, które znaléźć można w towarzystwie kobiéty, łączącéj w sobie wdzięk niewieści z męzkim charakterem i rozumem. Przed taką kobiétą mógł wyspowiadać się ze wszystkich cierpień i ciężarów życia. Spowiadał się... spowiadali się obaj. Skarżyli się, żalili się, spowiadali się i rozrzewniali nad samymi sobą, a miła powiernica darzyła ich wzamian zdrojami współczucia i skarbami dobrych rad. Rady te odznaczały się wielką energią. Po prostu gromiła ich. Byli oni, według niéj, słabi, jak dzieci. Słabość tę upatrywała nie w tém, że jak dzieci kwilili wciąż na niedostatki i niedogodności swych istnień, ale w tém, że niedostatki i niedogodności te znosili. Jak można cokolwiek znosić? Chyba śmierć, bo z tém już prawem natury walczyć niepodobna. Jéj droga, biedna Regina-Wiktorya umarła i temu nieszczęściu nic już zaradzić nie mogła. Ale we wszelkich innych wypadkach i okolicznościach życia, cierpliwie cokolwiek znosić, było wedle niéj słabością dziecinną, owszem poddawaniem się przesądom i niesprawiedliwościom świata. Jéj zasada wyrażała się jedném słowem: walczyć! walczyć o szczęście

osobiste, z pojęciami utartemi, ze światem, z ludźmi, ze wszystkiém. Szczęście osobiste! jest to rzecz, któréj lekceważyć nie należy, bo lekceważenie to sprowadza, w bogatych szczególniéj naturach, połamanie się sprężyn. A człowiek z połamanemi sprężynami nie może być człowiekiem dzielnym i użytecznym. W ten to sposób dobro indywiduów wiąże się z dobrem powszechném. Sprężyny szanowanemi być powinny i od połamania się chronionemi dla powszechnego dobra. W imię powszechnego dobra wzywała ich, aby walczyli z warunkami, które bogatym naturom ich w pełni rozwinąć się nie pozwalały, i emancypowali się z pod nich. Jakim sposobem emancypacya ta uskutecznioną być mogła? Nad tém zastanowią się wspólnie późniéj. Teraz powinni przedewszystkiém postawić sobie za zasadę: żadnego znoszenia! żadnego przymusu! walka o szczęście osobiste w imię dobra powszechnego! Skoro raz przejmą się tą zasadą do głębi i wezmą ją za drogoskaz życia, przekonają się, że wiele nici zerwać, węzłów rozciąć i okrętów popalić raczéj należy, niż narazić bogatą naturę swą na złamanie choćby jednéj sprężyny, a powszechną skarbnicę świata — na utracenie choćby jednéj bogatéj natury.

— Inna zupełnie rzecz — mówiła — gdy się ma do czynienia z naturami ubogiemi, takiemi naprzykład, jak ta wasza panna Józefa, albo... albo... przepraszam cię, Jasiu, ale szczerość jest zasadą moją... albo twoja żona, Jasiu. Natury takie sprężyn mają bardzo mało, a skrzydeł wcale nie mają *i bądź one nawet nieszczęśliwemi,* szkoda ztąd dla dobra powszechnego bardzo mała lub żadna. Wiadomą jest

rzeczą, że w naturze gatunki niższe pochłanianemi są przez wyższe. Walka o byt...

Od tego punktu rozmowa przybierała charakter zupełnie naukowy. Bardzo wiele mówiono o dzikich ludziach, Darwinie, stosunku estetyki do etykiety, o geologii, paleontologii, postępie, fizyologii, muzyce, wolnéj miłości XXII-m wieku, czy bieżącéj, i kwestyi pracy i kapitału. Po niezmiernych przestworach tych Paula szybowała, jak ptak pod obłokami. Mirewicz od chwili do chwili wołał: „poczekaj! poczekaj! jeszcześmy o tamtém nie skończyli!” Ożymski za to, zachwycony, dorównywał jéj lotowi i sarkał na Mirewicza, że lot ten powstrzymuje, zwąc go pedantem.

— Ty bo, Jasiu, chciałbyś tak wszystko krytycznie, systematycznie...

— Ale bo jakże! — śmiał się Jan — Paula fantazyuje trochę...

— Mój Boże! — z oburzeniem wołał Ludwik, — tak żywa, wyobraźnia w połączeniu z tak obszerną wiedzą, to najwyższy urok...

Jan dalekim był od zaprzeczenia, że Paula posiadała wszystkie najwyższe uroki. Uroki te były tak potężne, że zwycięzko walczyły z ogarniającemi go często posępnemi zadumami. Miewał czasem pozór człowieka bardzo nieszczęśliwego. Nie darmo Paula zalecała mu wciąż walkę. Walczyć. Z czém? Z dwoma może różnemi „sprężynami,” z których każda ciągnęła go w inną stronę. Gdy był przy Pauli, gdy rozmawiał z nią, słuchał jéj muzyki, kiedy szczególniéj zostawali we dwoje i w wykwintnym pokoju zapanowywała cisza, przerywana

tylko szmerem, wielce do szmeru pocałunków podobnym, czuł się naturalnie nadzwyczaj szczęśliwym. Ale potém, przy otrzeźwiającém świetle dnia, po bardziéj jeszcze otrzeźwiających rozmowach z klientami i odwiedzinach biur, bez muzyki, bez szaréj godziny, bez paleontologii, XXII-go wieku i kwestyi pracy i kapitału, smutniał niezmiernie, bił się widocznie z myślami, otrząść się nie mógł z ogarniających go niepokojów. Niepokoje te rosły, w miarę jak zwiększała się, bardzo widoczna, antypatya wzajemna Pauli i Anny, a stosunek do siebie tych dwóch kobiét przybierać zaczął charakter dość ostry. Właściwie ze strony Pauli nie była to antypatya, ale ta naturalna i konieczna pogarda, z jaką natury bogate spoglądają na natury ubogie. Wprawdzie Paula namiętnie, fanatycznie prawie, wyznawała i głosiła teoryą równości ludzi pomiędzy sobą, równości absolutnéj, wobec prawa, dostojeństw i majątku. Znajdowała nawet i głęboko przejętą była tą zasadą, że zamiatacz ulic więcéj szanowanym i wyżéj wynagradzanym być powinien od gienialnego artysty lub pisarza, dla téj prostéj przyczyny, że zamiatać ulice trudniéj jest i nudniéj, niż malować i pisać. Była téż zwolenniczką prostoty, nadzwyczajnéj prostoty, takiéj, która nie krępuje sprężyn natury żadnemi formami i tak zwanemi przyzwoitościami tego świata. Wszystko to jednak sprawić nie mogło, aby taką niewykształconą i prostą gosposią, jaką była Anna, za równą uważać miała takiéj wykształconéj i wykwintnéj kobiecie, jaką była sama. Zamiatacz ulic i gienialny artysta co innego, a prosta gospodyni i kandydatka na doktorkę medycyny co innego.

Z razu druga ignorowała tylko piérwszą, znajdowała się poprostu tak, jakby obecności jéj wcale nie spostrzegała. I było-by może skończyło się na tém całkiem bierném okazywaniu nierówności, gdyby pomiędzy kobiétą niższą i kobiétą wyższą nie istniała, w postaci przystojnego, inteligentnego i wrażeń spragnionego mężczyzny, kość, budząca niezgodę czynną. Wracając z długich przechadzek, sam na sam z Janem odbywanych, Paula od progu już wołała:

— Dziwna to rzecz, Jasiu, jak w tym domu twoim martwo jakoś, sztywnie, zimno... Czuć zaraz, że nie ma tu ręki, która-by przozdobić go, ożywić, ogrzać potrafiła!

Anna z przyległego pokoju słowa te słyszała, ale nie odpowiadała nic. Mirewicz milczał także, albo z cicha przemawiał: Proszę cię Paulo...

Téj jednak prośby jego ona, tak w innych razach względna, nie uwzględniała i nazajutrz przy stole, kiedy Anna pośpiesznie i zręcznie mięsiwa jakieś krajała, na ręce jéj popatrzywszy, ozwała się:

— Nie pojmuję kobiét, pozbawionych zmysłu piękna. Jak można naprzykład do tego stopnia zaniedbywać swoje ręce!

Anna, z naiwném zrazu zdziwieniem, podniosła oczy, a spotkawszy się z błyszczącém i lekceważącém spojrzeniem, zarumieniła się mocno, lecz jeszcze nie odpowiedziała nic. Jednak burza uczuć, która wrzała w niéj przeszło od miesiąca, wybuchać nakoniec zaczęła. Dnia pewnego, przy wieczerzy, Paula patrzała na nią długo, aż ozwała się:

— Nie pojmuję, jak niektóre kobiéty żyć mogą tak... bez

celu...

Anny ręce zadrżały, śmiało jednak na mówiącą oczy podniosła.

— Jeżeli to pani do mnie mówi — zaczęła — to, mając męża, dziecko i dom...

— Proszę cię, Anno... — błagalnie szepnął Mirewicz.

Umilkła natychmiast, ale Paula raz rozpoczętéj rozmowy zakończyć nie mogła.

— Mąż, dziecko i dom... — mówiła zwolna — bardzo to piękne rzeczy, ale trzeba pracować... trzeba koniecznie pracować...

— Proszę cie, Paulo... — przerwał Mirewicz.

Ale tym razem Anna wybuchnęła. Po raz piérwszy może w życiu ironia zawitała na dobroduszne jéj usta.

— O, proszę pani! — zawołała — nie trzeba na to być uczoną, aby wiedzieć, że są różne rodzaje pracy. Ale, kiedy się za mąż nie wyszło, to się i nie rozumié zajęć tych, które, dzięki Bogu, nie zostały na koszu.

Paula zerwała się od stołu i wyszła. Mirewicz, z wyrzutem spojrzawszy na żonę, wybiegł za nią. Przyszedł jednak dzień stanowczy, w którym Anna sama wzięła inicyatywę w starciu. Dnia tego zmartwienie jéj dosięgło stopnia najwyższego. Oddawna już niespokojną była o te nadzwyczajne wydatki. Zapytywać o cokolwiek męża zabroniła sobie, ale w czasie nieobecności jego, przez pracownią przechodząc, ujrzała klucz, tkwiący w téj szufladce biurka, w któréj chroniły się wspólne ich, bo wspólnie uzbierane, skarby! Zostawianie otworem szuflady ze skarbami było wynikiem roztargnienia, któremi Jan

często ulegał. Anna zapomnienie męża naprawić chciała i szufladę zamknąć, wprzód jednak wysunęła i zajrzała w kąt, w którym spoczywała niedawno spora wiązka papierów publicznych. Zmniejszyła się ona teraz więcéj niż do połowy. Nie zadziwiło to już Anny, ale, spotkawszy Jańcię, bawiącą się w jadalni, gorączkowo ją ucałowała. Ze sposobu, w jaki na nią popatrzała, zgadnąć można było, że myślała o przyszłości dziecka, o wychowaniu dziewczynki, tak kosztownem teraz, a które, wedle zdania jéj i Jana zarówno, powinno było być jak najwyższém. Nie można zaręczyć, czy przez parę godzin, w czasie których zaprawiała w kuchni sos i zupę, a potém w jadalni szyła na maszynie zimową szubkę dla Jańci, nie obmyśliwała ona sposobu dokuczenia téj, od któréj myśl jéj nie mogła oderwać się ani na jednę minutę. Gorączkowo trochę zarumieniona, usiadła do obiadu. Oczy jéj, tak łagodne zazwyczaj, miały ostre połyski. O pogodzie już nie mówiła. Milczała jak ściana i przy drugiéj dopiéro potrawie, patrząc na Paulę, rzekła:

— Kiedyż pani odwiedzi swoję matkę, która podobno bardzo jest słabą?

Paula zarumieniła się gwałtownie i zmieszała się z razu bardzo, co spostrzegłszy, Mirewicz, pośpieszył z objaśnieniem.

— Paula — rzekł — miała list od swéj matki, w którym donosi jéj, że ma się lepiéj.

— A gdyby i nie było tak — zawołała obrażona kobiéta — nie potrzebuję wcale, aby mię ktokolwiek nauczał, co czynić powinnam!

Ze stukiem krzesło swe odsunąwszy od stołu, wstała i wyszła. Po chwili z głębi mieszkania doszedł do jadalni wybuch spazmatycznego śmiechu. Wielka zawierucha powstała w domu. Paula leżała w pokoju swoim na kanapce, z zamkniętemi oczyma, drżąc na całém ciele, szlochając i śmiejąc się, jęcząc i mdlejąc. Kasia poleciała po lekarza. Mirewicz wodą, octem, perfumami trzeźwił chorą z pomocą Anny, która, po raz piérwszy w życiu chorobę taką widząc, przerażona i skruchy pełna, nie wiedziała sama, co czynić, aby okropne skutki postępku swego zażegnać. Przed wieczorem zaledwie do mieszkania wróciła cisza. Lekarz odszedł, Kasia przestał biegać po lekarstwa, Paula siedziała w łóżku w alkowie swéj, blada i milcząca. Mirewicz siedział w pracowni, w zmroku, w posępnéj zadumie pogrążony. Być może, iż w umyśle jego, zdolnym i skłonnym do krytycyzmu, zrodziła się uwaga, że Paula, jako kobiéta wyższa, nie powinna-by się bawić w te podjazdowe batalie docinków i przygryzków, które on w myśli swéj poprostu „babskiemi” zazwyczaj nazywał. Powinna-by ona wysoko, wysoko wznosić się nad małostki takie. Z innéj przecież strony, w naturze tak bogatéj są sprężyny tak rozmaite, tak liczne. Anna! cóż? biedna, poczciwa, kochana Anna, nie może zrozumiéć ani jego, ani jéj, nie jest zdolną wznieść się do łagodnego wyrozumienia téj strasznéj, lecz zarazem roskosznéj sytuacyi, w któréj siłą konieczności, siłą obu natur swych znaleźli się, znaleźć się musieli!

Tak myślał, gdy nagle uczuł na ramieniu swém dotknięcie czyjéjś ręki. Podniósł głowę i ujrzał Annę, która

stała przy nim i któréj twarz wydawała się w zmroku bardzo bladą.

— Jasiu — rzekła z cicha — chciała-bym z tobą pomówić...

Wiedział zawsze, że przyjdzie chwila, w któréj zechce ona z nim pomówić, zawsze myślał o chwili téj z przykrością i wdzięcznym był Annie, że dotąd jeszcze mu jéj nie sprowadzała. Milczał.

— Jasiu, ciszéj jeszcze powtórzyła Anna, — ja niechcę ci dokuczać; ja wiem, że... tobie trzeba czego innego... Lecz chcę tylko zapytać cię, czy ty, Jasiu... tak sobie tylko... dla rozrywki, czy na seryo?...

Na żaden sposób jasno i płynnie wypowiedzieć nie mogła pytania swego. Głos jéj wiązł w gardle, stawała się co raz bledszą. Mirewicz, silnie zarumieniony, wstał. Wziął w dłonie swe obie ręce Anny i, cicho, prędko, mówić zaczął:

— Nigdy jeszcze w życiu nie skłamałem. Brzydzę się kłamstwem. To, o czém myślisz, poważne jest bardzo poważne. Czy myślisz, że ja także nie cierpię. Wiész przecież, że łotrem nie jestem, a ty... Jańcia... Ale trudno... Stało się! Są czasem konieczności... Zresztą, prędzéj czy późniéj, ona odjedzie z tąd, a ja? cokolwiek-bym przecierpiał, nie opuszczę cię, ani Jańci, nie...

Przestał mówić, bo ręce Anny wysunęły się z jego dłoni. Oczy jéj zaświeciły teraz w zmroku ogniem, którego dotąd nigdy w nich nie widział.

— Dziękuję ci, że powiedziałeś mi prawdę, — rzekła cichym, lecz pewnym głosem i, cicho, szybko odeszła. W

téj-że chwili wszedł do pracowni Ożymski, a w głębi mieszkania ozwała się przyciszona, tęskna muzyka. Przy dochodzących tu dźwiękach muzyki téj dwaj przyjaciele długo i po cichu rozmawiali z sobą; szept Mirewicza zdradzał niepokój i rozdrażnienie; Ożymski pocieszał go i wymownie o czémś przekonywał. W godzinę potém, Paula przyjmowała w pokoju swoim dwu mężczyzn, w penioarze, w pantofelkach i z rozpuszczonemi włosami. Ożymski nigdy jéj jeszcze w stroju tym nie widział, a od razu spostrzedz można było, że dla niego, tak jak dla Mirewicza, stanowił on cząstkę tego ideału niewieściego, o jakim nie raz marzyli wspólnie. Kobieta piękna i wykształcona, w pięknym penioarze i pantofelkach! Co za błyskawica, przerzynająca ciemne ich nieba! Cicha, osłabiona, z długim za sobą obłokiem białych batystów i haftów, Paula obie ręce do Jana wyciągnęła.

— Przebacz mi, Jasiu, że cię dziś zmartwiłam... Ale widzisz... jestem kobietą-burzą... Spokojną byłam, przybywając tutaj... tyś znowu obudził we mnie cały żar uczuć... cały bunt nerwów...

I rzuciła mu na szyję oba swe śnieżne, okrągłe ramiona, wysuwające się z szerokich rękawów penioaru. On, upojony, o wszystkiém, co nią nie było, zapominając, otoczył ją ramionami. Ożymski, dla którego wszystko to oddawna tajemnicą nie było, i który nie po raz piérwszy świadkiem był sceny podobnéj, zsiniałą twarz nad książką pochylił. Widać było, że biedak ten znosił piekielne męki zazdrości; jednak w przestankach szczerze i poczciwie cieszył się szczęściem przyjaciela, a tego wieczoru długo i

obszernie rozprawiał o różnych punktach, z których zapatrywać się można było na instytucyą małżeństwa... Paula żywo potwierdzała zdanie jego, a rozweseliwszy się i nazwawszy go najmilszym na świecie chłopcem, upewniła go, że, co do niéj, nie okuje się nigdy w żadne kajdany i nie stanie się owcą z panurgowego stada. Potém oświadczyła jeszcze, że do końca zimy nie opuści Ongrodu, lecz, że, bez pracy żyć nie mogąc i niezłomnie chcąc wszystko saméj sobie zawdzięczać, zajmie się niezwłocznie udzielaniem lekcyi muzyki i języków. Prosiła obu panów, aby dopomogli jéj w wynalezieniu uczennic, co, wedle zapewnienia ich, trudném być nie mogło. Obaj téż wyrazili wysoki swój szacunek dla tego popędu do pracy i dla téj szlachetnéj dumy, która etc. etc.

Tego wieczora i przez dwa dni następne Anna chodziła po domu, jakby senna. Z przyzwyczajenia robiła to, co zwykle, ale nic dokładnie przed sobą nie widząc. Po wyrazie osłupienia, w oczach jéj ukazał się wyraz głębokiego nad czémś rozmyślania. O szaréj godzinie, Jańcię na kolanach trzymając, albo w nocy, przy łóżku dziecka usiadłszy, opierała głowę na dłoni i, ze wzrokiem nieruchomo utkwionym w przestrzeń, rozważała coś widocznie, namyślała się, obmyśliwała. Od rozmowy swéj z Janem nie zapłakała ni razu, tylko policzki jéj schudły trochę i krok stał się powolniejszym, cichszym. Drugiego dnia, o szaréj godzinie, kiedy dziecko spało, a Paula i Jan wyszli do miasta, na jednę ze swych zwykłych, długich przechadzek, Anna wsunęła się do pracowni męża, i z biurka jego wzięła kilka arkuszy listowego papieru i parę

kopert. Przyniosła także do sypialnego pokoju kałamarz i pióro, którém codziennie w książce rachunkowej wydatki domowe zapisywała. Nim jednak zapaliła świecę i z przedmiotów tych odpowiedni użytek czynić zaczęła, oparła brodę na dłoni i zamyśliła się znowu. Była tak pogrążona sama w sobie, że do saméj siebie przemówiła:

— Szczęśliwe godziny! szczęśliwe dni!

I ciężko westchnęła.

O jakich to szczęśliwych godzinach i dniach wspominała z żalem i tęsknotą? Czyżby o tych, w których uboga dziewczyna, pełniąca czynność piérwszéj panny w jednéj z pracowni sukien i strojów kobiecych, spotykała codziennie na ulicach miasta młodego ubogiego młodzieńca, pełniącego czynność kancelisty w jedném z biur rządowych? Miała wtedy lat dwadzieścia, garderobę, złożoną z dwóch sukien i dziurawych niekiedy trzewików, dwanaście godzin pracy dziennéj i, nadewszystko, nieocenioną w oczach jéj biegłość w zawodzie krawieckim, którą-to biegłością obdarzyła ją poczciwa jakaś ciotka. Dzięki biegłości téj, posiadała ona swój dach i swój własny kęs chleba, a posiadać-by mogła znaczniejszą ilość sukien i zawsze całe, a nawet i eleganckie, obuwie, gdyby nie to, że dobroczynna ciotka owa z kolei zubożała, i że posyłała jéj ona połowę zdobywanego zarobku. Świeżą wtedy była, jak róża, i wesołą, jak skowronek. Wesoło uśmiechała się zawsze, do wszystkich i do wszystkiego; młodemu więc kanceliście, który szedł z biura na obiad, wtedy, gdy ona z obiadu do pracowni wracała, wydało się raz, jakoby uśmiechnęła się ona do niego. Nazajutrz ukłonił się jéj. Nie

wiedziała przyczyny, dla któréj-by odkłonić się mu nie miała. Potém, wieczoru pewnego, padał deszcz duży, a ona biegła z pracowni do domu bez parasola i strasznie mokła. Nagle uczuła nad sobą parasol. Podniosła głowę i zobaczyła tuż przy sobie bardzo przystojną i bardzo poważną twarz męzką. Poważnie i z wielkiém uszanowaniem osłaniał ją parasolem swoim, przepraszając za śmiałość. Ona nie gniewała się. Owszem, uczuła się bardzo wdzięczną. Nikt nigdy, oprócz ciotki, która była teraz biedną, starą, i gdzieś daleko mieszkała, nie osłaniał jéj przed niczém. Powiedziała mu to szczerze i z rozrzewnieniem. Odpowiedział, że i z nim działo się prawie tak samo. Ojciec biedny, stary i daleko mieszkający, przed niczém osłaniać go nie mógł; od lat czternastu pacholęctwa swego sam sobie na świecie radę dawał. Wspólność doli zbliżyła ich, młodość dokonała reszty. W nim pracowitość jéj i uczciwość szacunek wzbudzały; ją od razu wziął on za serce dźwiękiem głosu i takiém piękném mówieniem, jakiego dotąd nie słyszała nigdy. Romans to był prosty i czysty, choć dość długi. Dwa lata czekali, zanim Mirewicz, do innego zawodu przerzuciwszy się, mógł zamarzyć o możności utrzymania rodziny. Czyż-by się grubo myliła, albo istotnie byli z razu szczęśliwi? W dwóch pokoikach, bez sługi, pracowała ona czas jakiś nietylko na siebie, ale potrochu i na męża, mającego jeszcze bardzo małe dochody. Kupowała, gotowała, sprzątała, a nawet czasem i prała sama, szyjąc przytém, jak dawniéj, suknie czy bieliznę, jak się zdarzyło. Potém przyszła na świat Jańcia i wiele czasu zabierać jéj zaczęła. Przytém zarobek jéj stawał

się coraz mniej potrzebnym; Jan zarabiać zaczął więcéj, coraz więcéj, skromny dostatek do życia ich zawitał; zaczęli nawet zbierać trochę w celu nabycia tego domu... O! ten dom! był on najwyższą ambicyą jéj i najdroższém marzeniem! On także marzył o nim... Teraz... o!... Gwałtownym prawie ruchem zapaliła świecę i pochwyciła pióro. Potém pisała długo, i gdy robotę tę przerwać musiała, wracała do niéj kilka razy. Widocznie pisanie najłatwiejszą z robót nie było dla ręki jéj, zrosłéj niemal z igłą, zgrubiałéj w gospodarskich zajęciach. Jednak nazajutrz mozolną tę dla niéj pracę ukończyła, a owocem jéj były dwa listy, z których jeden, do Józefy Skiwskiéj zaadresowany, natychmiast sama na pocztę zaniosła, a na kopercie drugiego imię i nazwisko męża umieściwszy, schowała w głąb' szuflady, którą na klucz zamknęła. Przez cały dzień następny wciąż wychodziła z domu i wracała, wynosiła coś i przynosiła. Zaraz po obiedzie Jan wyszedł na miasto, z interesami klientów jakichś i urzędników, w pokoju Pauli widać było przez drzwi na-pół otwarte zapaloną na stole lampę i postać kobiecą w białym penioarze, leżącą na kanapie z grubą książką w ręku. W sypialni Mirewiczów paliła się świeca i stał na ziemi niewielki kuferek podróżny, jak do drogi zamknięty i sznurami obwiązany. Anna, gorączkowo zarumieniona, z suchemi błyszczącemi oczyma, wyjęła z szuflady list, w przeddzień tam schowany, i w nieruchoméj postawie długo obracała go w ręku. Podniosła do skroni obie dłonie.

— Nie mogę! — jęknęła, — mój Boże! nie mogę!

I palce jéj ścisnęły papier takim ruchem, jakby go

podrzéć miała. W tém z głębi mieszkania ozwała się muzyka fortepianu. Huczne fantazye jakieś sypnęły gammę perłowych, śpiewnych tonów. Było to tak, jak gdyby ktoś na Annę z gwałtem wielkim zawołał:

— Prędzéj! prędzéj!

Porwała się z miejsca, przebiegła przez salonik i położyła list na zarzuconém papierami biurku. Nad papierami, na ścianie, wisiało kilka fotografii w ramkach. Anna jednę z nich pochwyciła i do kieszeni wsunęła. Był to wizerunek jéj męża. Po chwili była już w sypialni i zaczęła ubierać Jańcię w ciepłą szubkę i w kapturek. Dziecko ufnie i z radością pozwalało drżącym rękom matki okrywać się, otulać, zawiązywać. Anna śpieszyła się tak, jakby ktoś wołał na nią: „prędzéj! prędzéj!” a po kilku minutach od bramy domu odjechała dorożka, i w stronę dworca kolei żelaznéj powiozła kobietę, dziecko i niewielki kuferek podróżny. Pociąg kolei miał odejść za pół godziny; Anna wiedziała napewno, że gdy mąż jéj w poobiedniéj porze za interesami do miasta wychodził, nie mógł nigdy wracać wcześniéj, jak w parę godzin po odejściu pociągu.

Stylistyka listu, zostawionego przez Annę na biurku Mirewicza, była żadna, i ortografia nie osobliwa, a zawierał on słowa następujące i w następujący sposób napisane:

„Najdroższy Jasiu! Nie wiem, co pomyślisz sobie o mnie, i jak ci się to podoba, ale ja inaczéj zrobić nie mogę. Wyjeżdżam z domu dla dwóch przyczyn: raz, że nie chcę tobie życia zatruwać; powtóre, że wstyd mi mieszkać z tobą, nie będąc już prawdziwą twoją żoną. Dopóki byłam pewną, że masz dla mnie szacunek i przywiązanie, i dopóki

pracowaliśmy razem i staraliśmy się dla naszéj Jańci o lepszą przyszłość, niż nasza, uważałam siebie za twoję prawdziwą żonę. Teraz co innego. To nic, że ksiądz połączył nas przed ołtarzem, ale gdzie ludzie nie kochają się wzajemnie i razem o wszystkiém nie myślą, tam niéma prawdziwego małżeństwa, i kobieta darmo jé chléb, zapracowany przez męża, a mąż, kochając drugą, ani poczciwym, ani szczęśliwym być nie może. Ja darmo chleba twego jeść nie chcę, i znosić, nie wiedząc za co, ciężkie poniżenia; a najwięcéj nie chcę, abyś ty, Jasiu, przeze mnie miał plamę na honorze swoim i zgryzotę w sercu. Ja cię kocham nad życie, i wolała-bym umrzéć, niżeli żyć, myśląc, że staję na drodze to twego szczęścia. Przyznam się tobie także, że nie mogę patrzéć na marnowanie twojéj pracy i twego dobra, które przecież jest także dobrem naszego dziecka. Kłócić się z tobą nie chcę, bo masz prawo do swego, i moje wymówki gorzéj-by jeszcze twoje życie zatruły. Ale widziéć, jak gubisz siebie i narażasz przyszłość dziecka, i milczéć, to tak samo, jakby tobie w tém dopomagać. Wyjeżdżam tedy, mój kochany, najdroższy Jasiu. Jadę do Onwilu, gdzie mieszkać będę z Józią i suknie szyć. Mam nadzieję, że jak przed pobraniem się naszém roboty i chleba nigdy mi nie brakło, tak i teraz nie zabraknie. A i to jeszcze myślę sobie, że jak zobaczysz, że ja także żadną próżniaczką ani niedołęgą nie jestem, i niezależność, choć ubogą, zapracować sobie umiem, to będziesz mię więcéj szanował, niż gdybym siedziała w twoim domu, i ani serca, ani zaufania twego nie mając, płakała, czy kłóciła się z tobą. Mój drogi Jasiu, kiedy to

piszę, serce okropnie mnie boli, i żeby nie Jańcia, chciałabym lepiéj umrzéć, ale żalu do ciebie ani gniewu nie mam. Byłam z tobą bardzo szczęśliwa, i dziękuję ci za to. Prawnikiem jesteś, to pewno wiész, czy możesz rozwieść się ze mną, czy nie. Jeżeli możesz, ja ci na przeszkodzie nie stanę, owszem, dopomogę tak, jak zechcesz i jak będzie trzeba. Jeżeli nie, to cóż robić? Każde z nas będzie musiało przecierpiéć swoje. O Jańcię bądź spokojny. Naturalnie, że biorę ją z sobą, ale mam nadzieję, że i jéj przy mnie chleba nie zabraknie. Gdybym kiedy zobaczyła, że dziecko potrzebuje dla zdrowia lepszych wygód, albo, jak przyjdzie czas uczyć ją, napiszę do ciebie, abyś pieniędzy przysłał, bo to twoje dziecko, dla którego masz obowiązki. Tymczasem dwa razy na miesiąc donosić ci będę o zdrowiu Jańci, a jeżeli chcesz, to i o swojém także zdrowiu i powodzeniu. Teraz jednakowoż pieniędzy nie przysyłaj, bo na piérwsze wydatki sprzedałam swoję jedwabną suknią i swoję biżuteryą, a potém znajdzie się i zarobek, i mówię ci to na pewno, że dopóki Jańcia potrzebować tego nie będzie, jeżeli przyślesz — odeślę.

A teraz żegnam cię, mój najdroższy Jasiu, może na zawsze. A może być i tak, że rozczarujesz się kiedy do téj, którą tak mocno pokochałeś. Wtedy pomyśl sobie, że masz na świecie prawdziwą przyjaciółkę, która porzuca cię teraz nie z gniewem i nie z nienawiści, ale tylko dlatego, że nie chce, abyś ty cierpiał przez nią, i dla tego także, aby saméj nie być przy tobie, Bóg wié kim, niewolnicą jakąś, znoszącą wszystkie obrazy i poniżenia. Więc jeżeli spotka cię smutek jaki, czy ciężki kłopot, czy bolesny zawód,

pamiętaj, że ja zawsze cierpiéć z tobą i pocieszać cię, jak mogę i umiem, gotowa jestem i będę, bo kocham cię, mój Jasiu, bardzo, nad wszystko, i kochać będę do grobu”.

Kiedy Mirewicz list ten czytał i, silnie wzruszony, ku zapłakanéj Kasi rzucał się z zapytaniami: kiedy i jak się to stało? Anna była już daleko. Po kilkogodzinnéj podróży witała ona Józefę, która ją w Onwilu, na dworcu kolei żelaznéj, spotkała.

Jesień to już była, drobny deszcz padał, chłodna i wilgotna ciemność zalegała dziedziniec, przez który przechodząc, Anna parę razy zachwiała się na nogach. Józefa prowadziła za rękę Jańcię i zastukała do nizkich drzwi, w głębi dziedzińca umieszczonych. Wchodząc do pokoju, dość obficie oświetlonego palącą się na stole lampą, Anna poniosła woalkę, twarz jéj zasłaniającą, i bardzo blada plecami oparła się o ścianę, ani kroku daléj postąpić nie mogąc. Józefa, przysiadłszy na ziemi i zdejmując z Jańci szubkę i kapturek, umyślnie na nią nie patrzała. Po kilku téż minutach Anna wyprostowała się, obu rękami powiodła po bladém czole i wilgotnych oczach, i prędko podróżne odzienie zdejmować z siebie zaczęła. Pokój, w którym się znalazła, był dość obszerny, o dwóch oknach, ale z nizkim, belkowanym sufitem, i grubą, prostą, podłogą. Ściany wilgotne i sinawą farbą pomalowane czyniły go trochę ponurym, całe jednak urządzenie jego ożywione było i wymowne. Były tam dwa łóżka, zasłane szczupłą pościelą, kanapa z podartém trochę obiciem, kilka krzeseł, szafa jakaś i komoda; stół duży, okryty papierami i przyrządami do pisania; drugi stół, na którym wysoko

piętrzyły się książki, i jeszcze etażerka z książkami, i przed kanapą niewielki stolik z lampą, z kilku zeszytami jakiegoś dziennika i szczupłą zastawą herbaty. Zastawa ta składała się z czterech szklanek, koszyka z bułkami i małego talerzyka z pokrajaną wędliną. Było to całe przyjęcie, które Józefa dla przyjaciółki i dziecka jéj przygotować mogła. Serdecznie objąwszy ją, posadziła na kanapce, i żwawo z samowaru, stojącego na stołku pod piecem, herbatę nalewać zaczęła.

— Gdzież jest Helka? — zapytała Anna.

Józefa wskazała w głębi pokoju znajdujące się drzwi przymknięte.

— Przy lekcyi.

W téj saméj chwili drzwi te otworzyły się, i przez pokój szybko przeszedł, z daleka tylko skłoniwszy się Józefie, młody mężczyzna, z bladą twarzą, w okularach, spieszący się widocznie, i ani sekundy tracić na próżno niemogący.

— Kto to, Józiu?

— Nauczyciel łaciny...

Anna szeroko oczy otworzyła.

— Na cóż to jest, moja Józiu!

Józefa zaśmiała się wesoło.

— Jakto, na co? Bez łaciny nie mogła-by wstąpić do żadnego z wyższych...

Nie skończyła, bo drzwi przyległego pokoju rozwarły się z wielkim stukiem, i ukazało się w nich zjawisko dość wdzięczne. Były niém dwie dorastające dziewczyny, w ciemnych sukniach, z warkoczami spuszczonemi na plecy, zgrabne, żywe, rozpromienione.

— *Probos homines laudate*, — deklamowała jedna.

— *Inprobos castigate*... — kończyła druga.

Wesołe, śmiały się głośno i błyskały oczyma, pełnemi piętnastoletniego ognia. Starsza z nich, brunetka z bladém czołem, rzuciła się na szyję Anny, a potém, z głośnemi całusami i wykrzykami, małą Jańcię porwała w ramiona. Młodsza, świeża blondynka, jakby pod ziemię zapadła! Na widok osoby nieznanéj, zarumieniła się, dygnęła i zniknęła za drzwiami, prowadzącemi do ciemnych sionek. Helka ze śmiechem wytłómaczyła, że przyjaciółka jéj, tak jak i pani Mirewiczowa, Andzia, — wnuczka sąsiadki ich, staréj pani Ignacowéj, zawstydziła się widać, że tak nieroztropnie, przy obcéj osobie, z łaciną swoją do pokoju wpadła. Klęcząc, poiła herbatą Jańcię i sama z apetytem wielkim zjadała porcyą chleba i bułki; potém prędziutko posłała jedno ze znajdujących się łóżek i, ułożywszy w niém uśpione już dziecko, oświadczyła, że spać będzie w kuchence, a teraz idzie już uczyć się... Przyległy pokój był poprostu kuchenką, czystą, ciepłą, i w któréj nigdy nie gotowało się nic, bo Józefa i sostra jéj, nie mając czasu na sporządzenie sobie obiadów, jadały je u pani Ignacowéj, staréj mieszczki, po drugiéj stronie sionek mieszkającéj. W kuchence téj była drewniana ława, na któréj spać miała siedmioletka, i stał stół z parą krzeseł, przy którym dziewczęta uczyły się i brały lekcye. Było im tam spokojniéj i ciszniéj, niż w pierwszym pokoju. I teraz także Helka usiadła przy stole tym, a przez drzwi na-pół otwarte widać było młodziutką głowę jéj, pochyloną nad książką, pod światłem niewielkiéj lampy. Wtargnięcie jéj do pokoju, śmiech głośny i

dziewczęcy szczebiot, były w mieszkaniu błyskiem słońca i powiewem wiosny. Potém zapanowała w niém znowu cisza, pośród któréj dwie kobiety, na kanapce siedzące, pół głosem z sobą rozmawiały. Długo rozpytywać się wzajem i opowiadać nie miały potrzeby: Anna o mężu powiedziała słów kilka, o Pauli ani wspomniała. Józefa mówiła o siostrze, któréj dwa lata już tylko do ukończenia szkoły gimnazyalnéj pozostawało.

— Za dwa lata wyjedziemy ztąd znowu:.. w świat, na wyższą jeszcze naukę, po przyszłość dla niéj! Ale dokąd? Na północ? na zachód?

Gdy mówiła o tém, wyraz troski okrywał twarz jéj, o cerze bladéj i zmęczonéj, a młoda głowa chyliła się pod ciężarem wielkiego trudu myśli, czy wielkiéj jakiéjś odpowiedzialności. O pół-nocy Anna, zmęczona, zbita, z oczyma zapadłemi, i które co chwila zachodziły łzami, położyła się do snu, i mocno, mocno, przycisnęła do siebie wybornie śpiącą Jańcię. Józefa zaś przeniosła lampę na stół z papierami i czytać, pisać, widocznie uczyć się czegoś, zaczęła.

— Nie idziesz jeszcze spać? — nie śmiało zapytała Anna.

— Nie kładę się nigdy przed drugą... czasu na wszystko tak mało.

I Annie także nie do snu było. Zasnęła późno, lecz jeszcze przy świetle lampy, padającém na schyloną nad książkami głowę Józefy, a gdy z rana obudziła się, w pokoju paliła się znowu lampa; Józefa w krótkiéj spódniczce i jeszcze nieuczesana, ze szczotką w ręku

sprzątając pokój, od czasu do czasu dmuchała w nastawiony już samowar. Anna porwała się z pościeli.

— Ubieraj się, — rzeka, — albo lepiéj zaśnij jeszcze trochę... Ja odtąd wszystko to robić będę!

Zmrok jesiennego poranku panował jeszcze na świecie, kiedy Józefa, zarzuciwszy na siebie ciepłe okrycie, wyszła na codzienną swą po mieście wędrówkę. Lekcyi miała dużo, dla przyczyn różnych źle opłacanych, ale dużo. W parę godzin późniéj, Helka, z tornistrem pełnym książek na plecach, wyszła téż do szkoły. Po drodze zabrała przyjaciółkę swą, i Anna widziała przez okno, jak dwie młodziutkie dziewczyny przechodziły przez dziedziniec; blade obie w mglistém i zimném powietrzu jakoś śmiało i silnie po nierównym bruku stąpające. Jańcię herbatą napoiwszy, Anna wydobyła dla niéj z kufra swego kilka zabawek dziecinnych, a sama żwawo na drugą stronę sieni pobiegła. Było tam mieszkanko, złożone także z pokoju i kuchenki, tylko, że kuchenka była większą i palił się w niéj trzeszczący ogień, a w pokoju nie było ani kanapki, ani książek i papierów, tylko ławki, stołki, tapczan jakiś, drelichem obity, prząśnica z lnem i wrzecionem, rozwarte motowidło z pasmem nici, i pończocha z drutami, rzucona na stoje, obok kilku podręczników szkolnych w podartéj oprawie. Prosta i żywa, Anna bardzo prędko i łatwo zaznajomiła się ze starą, prostą téż kobietą, która, wysoka i przygarbiona, w grubéj spódnicy, białym czepku i chustce, skrzyżowanéj na piersi, w chwili wejścia jéj stała przy ogniu, obierając i do garnka rzucając, kartofle. Z pod wysokiego, mnóztwem bruzd zoranego czoła i

zaczerwienionych powiek, stara wdowa po rzemieślniku popatrzała na wchodzącą ciekawie, bystro, oczyma, które silnie jeszcze, pośród żółtéj i prawie zgrzybiałéj twarzy, błyszczały.

Po tém badawczém spojrzeniu, zwiędłemi usty uśmiechnęła się uprzejmie, a w kwadrans późniéj, Anna, włożywszy jéj w rękę pończochę i posadziwszy ją na stołku, zawijała się sama około ognia, garnków i rondli. Stara, uśmiechając się i naprzemian wzdychając, wnet opowiadać zaczęła o minionych dostatkach swych, o nieboszczyku mężu, i szczególniéj, o trzech swoich synach, których utraciła, a z których po jednym została jéj ta właśnie Andzia, gymnazyalistka, przyjaciółka Helki Skiwskiéj; poczém wstała, wyszła, i do matki, gotowaniem zajętéj, przyprowadziła Jańcię. Anna schyliła się i, pomarszczoną, drżącą od starości, a więcéj może od przebytych kolei życia, rękę staréj do ust przycisnęła.

— Pani moja! — błagalnie szepnęła, — całe życie przebyłaś w tém mieście, znajomych musisz miéć wielu... jeżeli gdzie dowiész się o sukniach, albo o bieliźnie do szycia... zarekomenduj mnie... szyję dobrze... a tak bardzo... bardzo... zarobku potrzebuję!

Stara bystro znowu i ciekawie w twarz jéj popatrzała.

— Męża podobno masz, — rzekła, i nad drutami pończochy z niezadowoleniem wstrząsając głową, dodała: — Nie lubię, kiedy kobiety porzucają mężów!

Anna, ciasto jakieś przyrządzając, milczała dość długo; potém, z pochyloną głową i zwilżonemi znowu oczyma, odpowiedziała:

— Nie zrobiłam nic złego, ale... widzi pani... wolałabym nie miéć roboty i z głodu umrzéć, niżeli historyą tę po świecie rozpowiadać.

— To znaczy, — po chwili zastanowienia rzekła stara, — że na męża skarżyć się nie chcesz... podoba mi się to... jednakowoż musiał ci on wypłatać... porządnego psikusa, jeżeli tak z dzieckiem...

— Wcale nie, — z żywym rumieńcem przerwała Anna, — jest on najlepszym, najrozumniejszym i najpoczciwszym człowiekiem na świecie!

Stara uśmiechnęła się z zadowoleniem.

— No, — rzekła po chwili, — postaram się, abyś miała robotę. To nic, że biedną teraz jestem, alem tu wiek mój zbyła i całe miasto znam. Znam nietylko biednych, ale i bogatych. Jak zawezmę się, salopinę włożę, do znajomych pójdę, to i roboty ci dostarczę... No, wielkich sum zarabiać nie będziesz, ale na kawałek chleba... Tymczasem, jeżeli pieniędzy nie masz, mogę ci przez czas jakiś obiady na kredyt dawać...

Po kilku minutach, wyprostowana na stołku swym, z pończochą, na kolana opuszczoną, opowiadała znowu o trzech swoich synach.

— Jeden, najstarszy, po ojcu warsztat stolarski wziął; rzemieślnik z niego był artystyczny; ożenił się, wiodło mu się pysznie, pani moja... Kiedy, kilkanaście lat temu, ta burza u nas powstała, rzucił wszystko, poszedł i już nie powrócił... Drugi, ślicznie edukowany, urzędnikiem został; ale miejsce mu odebrali, rady sobie z familią dać nie mógł, desperował... pani moja; powiem prawdę, że rozpił się i,

nakoniec biedaczysko umarł. Po nim-to została mi ta sierotka, Andzia! Trzeci na doktora sposobił się, już akademią ukończył, ale... razem z tamtym, stolarzem, poszedł i nie powrócił. Tamtych niéma już na świecie, pani moja, a ten żyje jeszcze, żyje, i doktorem sobie jest, i często gęsto, co może, to mi przysyła, ale mieszka daleko... het, na Zachodzie gdzieś... daleko! daleko!

Kiedy ostatnie wyrazy wymawiała, oczy jéj, błękitne niegdyś, teraz spłowiałe, lecz jeszcze błyszczące, z pod drżącéj powieki żałośnie patrzały kędyś daleko... daleko... A wkrótce uśmiechać się zaczęła.

— Po najstarszym, pani moja, to jest, po tym stolarzu, został mi wnuk, Ignaś... Przez caluteńkie gimnazyum go przeprowadziłam, i do uniwersytetu wysłałam, i uczy się sobie teraz na prawnika... śliczne chłopiątko! Jeżeli pani pomieszkasz u nas do lata, to go zobaczysz, bo na wakacye przyjeżdża do mnie zawsze, i ot, za ośm miesięcy już przyjedzie... przyjedzie...

Mówiąc to, uśmiechnęła się z razu, potém tryumfalnie dłońmi po kolanach uderzyła, nakoniec, z cichym, głęboki chichotem, od którego drżała chustka, na piersi jéj skrzyżowana, powtórzyła:

— Przyjedzie! przyjedzie!

Anna przestała wałkować ciasto i, ramieniem o róg pieca oparta, z twarzą w dłoni, gwarzenia staréj słuchała z wielkiém zajęciem. Ze skupioną uwagą patrzała na tę wysoką, cienką kobietę, o przygarbionych plecach, wysokiém czole, białych włosach i ognistych oczach, od któréj piersi oderwało się trzech dorodnych synów, aby na

różne sposoby zginąć dla niéj na zawsze, a któréj jednak nie zbrakło siły do wprowadzenia w świat dwóch znowu istot młodych, do rozwijania na grobach nowego kwiatu życia i nadziei.

Życia i nadziei pełnemi były dwa te ubogie mieszkanka. Przedstawiały one widok niby warsztatu, na którym wyrabiała się przyszłość... Robota łatwą nie była. Nocami Anna widywała często, jak po kilkogodzinném czytaniu, pisaniu, uczeniu się, Józefa, z sił obrana, w odzieży dziennéj upadała na łóżko i, nie wiedząc sama jak i kiedy, usypiała ciężkim, niespokojnym snem. Na troskliwe wymówki i rady Anny odpowiadała nazajutrz, że musi uczyć się długo i wiele jeszcze, aby módz za dwa lata, kędyś w wielkiém mieście na północy czy zachodzie, dawaniem lekcyi zapracowywać na utrzymanie swoje i siostry. Kiedy o tém mówiła, wyraz radosnéj nadziei oblewał bladą twarz jéj gorącém światłem. Zwierzyła się Annie, że Helkę prowadzić chce drogą naukową, sposobić ją na lekarkę. Zawód to poważny, już przez kobiety z powodzeniem wyprobowany, zdolnościom i chęciom dziewczęcia odpowiedni. Kiedyś, kiedyś, przy siostrze, która niezależny byt sobie zdobędzie, odpocznie i o własnéj przyszłości pomyśli. Tymczasem ani jednéj minuty za własność swą nie uważając, w szare ranki jesienne wybiegała z domu i w ciemne wieczory wracała, aby, parę godzin spocząwszy zasiąść znowu przy lampie nad drukowanemi i zapisanemi szpargałami, i późno bardzo usypiać, aby wstać bardzo wcześnie. Były dnie, w których zdawała się upadać na siłach, pogoda jéj nikła, a

zastępowała ją posępna zaduma. W szubce, zlanéj deszczem, w zmoczonéj chustce na włosach, z migotliwym płomykiem latarenki, uczepionéj do guzika szubki, dla przyświecania krokom jéj w ciemnym labiryncie ubogiéj dzielnicy miasta, wbiegała do mieszkania zwykłym sobie żywym krokiem, lecz ciężko oddychając, z blademi usty, słabła i, chwiejąc się, zaledwie dojść mogła do kanapki, przy któréj Anna czekała jéj z przygotowaną już herbatą. W chwilach takich, patrząc na nią, Anna pomimowoli mówiła:

— Moja ty biedna Józiu! jak téż ta twoja młodość przechodzi! bez przyjemności, bez zabawy, prawie bez odpoczynku!

Józefę słowa te oblewały rumieńcem. Zdawać się mogło, że wstyd jéj było wzywać współczucia choćby najbliższych. Żywo przerywała Annie:

— Nie żałuj mię, Andziu; o! proszę cię, nie roztkliwiaj się nade mną! Cóż mi znowu tak bardzo złego? Obejrzyj się dokoła! Każdy z nas żyje i pracuje nie tak, jak chce i jakby mu zdolności jego pozwalały, ale jak może... jak może! Jakież mam prawo żądać dla siebie nadzwyczajności?

— Ależ, — nieśmiało dodawała jeszcze Anna — ta wasza praca książkowa bardzo ciężka...

Tym razem Józefa żywym ruchem za rękę ją chwytała. Oczy jéj zapalały się.

— Nie, Andziu, nie! nie ubliżaj nauce! Jest ona zdrowiem, siłą, szczęściem... Gdybyś wiedziała, jak ją bardzo, bardzo pokochać można! Tylko, że teraz...

Tu zamyśliła się i z posępnością, która młodemu czołu jéj i ognistym oczu nadawała wyraz tragiczny, po chwili

milczenia kończyła:

— Tylko, że teraz, na drodze téj, wszystko jeszcze dla nas tak trudno, nie w porę, drogo, daleko...

A po chwili pogodniéj już dodawała:

— Kiedyś będzie inaczéj!

Wyraz ten wymawiając, patrzała przez na-półotwarte drzwi do kuchenki, na dwie młodziutkie głowy dziewczęce, pochylone nad książkami, czasem pobladłe i zmęczone, ale zamieniające z sobą, szepty pełne uśmiechów. Wstawała i, ożywiona, wesoła znowu, na palcach zakradłszy się, dłońmi zakrywała oczy siostry, wołając:

— Kto to? zgadnij!

Dziewczęta zrywały się ze stołków, po kilkogodzinném niewidzeniu witały starszą przyjaciółkę; w kuchence brzmiały całusy, śmiechy i głośne wzajemne opowiadania. Zima nadeszła; szubka Józefy, wracającéj z lekcyi, białą bywała od okrywającego ją śniegu, a u piersi jéj rzadziéj już migotał płomyk latarki, bo ulice miasta świeciły białemi torami. W mieście karnawał kipiał, po ulicach dzwoniły tłumne kuligi, po domach brzmiały muzyki i tańce. W małém mieszkaniu, zasuniętém w głąb' dziedzińca, w sobotnie wieczory, kiedy przed niedzielą można było dłużéj zasnąć i pozwolić sobie kilka godzin poprożnować, dokoła stołu przed kanapką rozlegały się gwarne rozmowy. Przy wesołém świetle sporéj lampy, w wieczory te, nietylko już Anna szyła, ale i Józefa, i dwie gimnazyalistki szyły także, wyporządzając i odświeżając swą odzież. Cztery pary rąk poruszały się żywo, błyskając igłami; czworo ust, przeżuwając suche bułki i zapijając je żółtą wodą, noszącą

nazwę herbaty, poruszały się w żwawéj rozmowie. Wtedy zawsze prawie otwierały się drzwi od sionek i do pokoju wchodziła wysoka, przygarbiona kobieta, w białym czepcu na siwych włosach, w obu pomarszczonych rękach niosąc przysmak jakiś: salaterkę z dymiącemi kartoflami, albo kółko smażonéj kiełbasy, albo talerz z pączkami własnéj roboty. Powitana chóralnym okrzykiem, stawiała przysmak na stole i, nieodmiennie, z tym mimowolnym uporem starców, wciąż jedno i to samo powtarzających, zapytywała Annę:

— A co? dostarczyłam ci roboty? Prawda? Masz robotę?

Potém podawała Józefie trochę wina w staroświeckim kieliszku i gderać zaczynała.

— Mało śpisz, mało jesz, dużo pracujesz. Zdrowie stracisz... i teraz już wyglądasz, jak owsianka...

Potém jeszcze gładziła dłonią włosy obu młodych dziewcząt i swoim trzęsącym się trochę głosem, przypominała im chłopską przypowieść o jakimś ojcu, który synowi swemu mawiał:

— Ucz się synku, ucz się! królem będziesz!

A gdy już wszystkich nakarmiła, napoiła, wygderała i napominała, siadała w kącie pokoju, jak najdaléj od lampy, któréj światło raziło oczy jéj, latami i przelanemi łzami zmącone, i, szybko migocąc drótami pończochy, rozpoczynała wiekuiste swe opowiadania o trzech swoich synach. Po chwili dróty przestawały migotać, a w cieniu etażerki, piętrzącéj się się książkami, widać było wysoką, cienką postać w białym czepcu, wysokie, żółte, pomarszczone czoło i spłowiałe, lecz jeszcze ogniste, oczy,

żałośnie patrzące w dal, a trzęsący się trochę głos przewlekle powtarzał:

— Tamtych niéma już na świecie, a ten żyje, ale daleko... daleko... daleko!...

Potém raźniéj i z cichym chichotem, ten sam głos mówił jeszcze.

— Po tamtym został mi wnuk... przez gimnazyum go przeprowadziłam i daléj wysłałam... śliczne chłopiątko... za cztery miesiące już przyjedzie do mnie... przyjedzie... przyjedzie!

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Eliza Orzeszkowa.*

IV.

W zimowy karnawałowy wieczór Mirewicz o szaréj godzinie siedział sam jeden w mieszkaniu swojém, i głęboko zamyślony, kołysał się zwolna w długiém krześle na biegunach, umieszczoném śród wazonowych roślin, tworzących rodzaj altany. Teraz w sztywnym i pustym wprzódy saloniku była altana z wazonowych roślin i śród niéj długie kołyszące się krzesło, a tu i ówdzie różne sprzęty i sprzęciki, w malowniczym nieładzie ustawione. W zmroku i ciszy, przy miarowém stukaniu biegunów, Mirewicz nieruchomym wzrokiem wpatrywał się w zawieszony przed wyobraźnią jego wielki znak zapytania. Znak ten posiadał kształty i rysy pięknéj kobiety, mającéj z przodu wisiorki złocistych włosów, a z tyłu chmurę białych batystów. Jaka to dziwna była historya z temi jéj lekcyami muzyki i języków! Zwykły i gorący zapał jéj do pracy, po wyjeździe Anny, dosięgnął 80 stopnia termometru Reamura. Błagała o dostarczenie jéj uczennic i póty nie zaznała spokoju, dopóki nie otrzymała kilku lekcyi. Jakże wtedy szczęśliwą była! Gorliwość jéj i radość granic nie miały. Zapracowane pieniądze z dumą ukazywała wszystkim znajomym swym, długo i ślicznie mówiąc o konieczności pracy zarobkowéj kobiecéj, o szczęściu, płynącém z niezależności... potém... Cóż się stało? Dotąd jeszcze faktu tego dokładnie zrozumiéć nie mógł. Czasem zaspała i godzinę lekcyi opuściła; innym razem zaczytała się tak w ciekawéj książce, że o niéj całkiem zapomniała; to znowu czuła się niezdrową i nieusposobioną... po dwóch

miesiącach nakoniec rzekła:

— Wiész co, Jasiu, przekonałam się ostatecznie, że w nauczycielstwie traciła-bym siły me i zdolności... Miałam wyższe cele, tyś mię na drodze ku nim zatrzymał. Teraz pomyśléć muszę o czémś inném.

Myślała i, po tygodniu, miała już w głowie swéj cudowny plan działania.

— Wiész, Jasiu, postanowiłam założyć tu w Ongrodzie... jakże się to nazywa? no *artelią* szewcką...

Od medycyny do szewiectwa skok był tak wielki że z razu Jaś osłupiał i szeroko otworzył oczy.

— Alboż umiész szyć obuwie? — zapytał.

Od dnia następnego uczęszczać zaczęła do jednego z warsztatów szewckich, którego właściciel za sowitą opłatą zgodził się udzielać jéj nauki rzemiosła swego. Udając się na lekcye te, wkładała ubiór specyalnie ku temu sporządzony: krótką i grubą suknią, okrytą fartuchem długim, gęsto koronkami naszytym. Wracała rozmarzona. Czyliż praca fizyczna nie jest przedstawicielką jednéj z najsroższych krzywd i zbrodni społecznych? Gnębiona dotąd i pogardzana, teraz dopiéro wybijać się ona zaczyna z pod wiekowego ucisku i głośno dopominać się o swe prawa. „Wiek XIX jest wiekiem robotników!” powiedział John Russel. Wiek XXII będzie wiekiem ich tryumfu, mówiła Paula. Tymczasem, nie jest-że zadaniem wzniosłém tryumf ten przybliżać? Nie jest-że wysoką rozkoszą zstępować pomiędzy maluczkich i ciemnych, zasiadać pośród nich, z rękoma ich w jeden takt podnosić swą rękę! Jacy to zacni i sympatyczni ludzie ci jéj nowi koledzy, to

jest robotnicy szewccy! Po twarzach ich pot spływa, ręce mają zgrubiałe i ciemne i bardzo często podarte obuwie. Prawdziwa idylla ubóztwa! O! u niéj, w jéj przyszłéj pracowni, będzie całkiem inaczéj. — Ona nie będzie miała robotników, ani robotniczek, tylko wspólników i wspólniczki. Wszyscy będą razem mieszkać, razem jadać i dzielić pomiędzy sobą zyski na części równe, co do grosza równe. Będzie to nietylko pracownia szewcka, ale także coś w rodzaju amerykańskich falansterów. Śliczna to rzecz, te amerykańskie falanstery! Trzeba będzie raz jeszcze przeczytać o nich, a tekże sprowadzić i przeczytać dzieła Fryderyka Lassala, Szultze-Delitcha i Karola Marxa i t. d. i t. d.

Pochłonięta myślami i rojeniami temi, przez cały miesiąc nie nosiła penioarów, ani z grecka drapowanych sukien, ale, w krótkiéj spódnicy i fartuchu z koronkami, w staniku gładkim i wszelkich ozdób pozbawionym, więc tém lepiéj uwydatniającym piękne jéj kształty, chodziła do warsztatu, przesiadywała tam długie godziny i wracała rozpromieniona, szczęśliwa, pełna słonecznych rojeń i nadziei. Zapał jéj był tak wielki, rojenia tak szlachetne, z tak promiennemi uśmiechami mówiła o pracy fizycznéj, cierpieniach ludzkich, niesprawiedliwościach społecznych, falansterach, równym podziale zysków, XXII wieku, Karolu Marxie, Ameryce, alzackich fabrykach w Mülhouse i świętém powołaniu zstępowania pomiędzy maluczkich, — że doskonała szczerość jéj, zupełna dobra wiara i obfita wymowa porywały słuchaczy i budziły w nich ufność absolutną. Ożymski i kilku innych znajomych Mirewicza,

którzy dobili się do zaszczytu poznania jéj, całowali ręce jéj, białe jeszcze i wypieszczone, lecz które wkrótce miały zgrubiéć od nożyc i szydła, i przepowiadali jéj przyszłość gwiazdy, mającéj zaświecić na firmamencie wieków... Co do Mirewicza, doświadczał on uczucia takiego, jakby znalazł czarodziejską jakąś kopalnia, w któréj co chwila ukazywały się nowe perły i dyamenty. Wyjątkowość kobiety téj i niezmierna jéj nad innemi wyższość, zdejmowały mu część ciężaru tego, który, pomimo rozkosznego upojenia, czuł wciąż na sercu, czy na sumieniu zarazem. Cóż? Jest-że na świecie człowiek, który, mogąc posiadać skarb taki, dobrowolnie i dla jakichkolwiek przyczyn wyrzekł-by się posiadanie tego?

Tu bieguny krzesła na chwilę kołysać się przestały. Mirewicz podniósł rękę i dłonią przycisnął czoło. Gorący niepokój zamigotał mu w oczach. Anna odesłała mu pieniądze, które posłał jéj był wnet po jéj wyjeździe. Sprobował posłać jeszcze raz i drugi, za każdym razem coraz pokorniéj prosząc listownie, aby przyjęła. Ta sama zawsze odpowiedź: „Jańcia zdrowa i wesoła i wszystko ma, czego jéj trzeba. Ja także zdrowa jestem i trochę roboty już mam, a będę miała coraz więcéj. Proszę cię, kochany Jasiu, abyś daremnych wydatków na wysyłki pocztowe nie ponosił, bo dopóki Jancia potrzebować nie będzie i t. d.”

Jańcia! kiedyś, szukając czegoś w jakiéjś szafie, znalazł rzucony tam, malutki błękitny trzewiczek i patrzał nań takim wzrokiem, jak gdyby przedmiot ten mówił coś do niego długo, długo, cichutko... Zakrył potém dłonią oczy, ale nie mógł zakryć czoła, które zaszło głębokim

rumieńcem. Wziął z szafy trzewiczek, owinął go starannie w papier i schował do jednéj z szuflad swego biurka. Tego samego dnia napisał do Anny: „Czy pozwolisz mi kiedy przyjechać do was, aby zobaczyć dziecko?” Tego samego także dnia Paula otrzymała z Warszawy nowy transport nut, z pośród których wydobyła i świetnie wykonała jakąś długą i trudną sonatę. Wstając od fortepianu, znalazła się w objęciu ramion wzruszonych i rozkochanych. Jan upił się jéj muzyką, a wieczór ten, który po odegranéj sonacie przepędzili we dwoje, nie wytrzeźwił go wcale. Jakże go ona czule i zarazem namiętnie kochała! Czy podobna, aby ktokolwiek dobrowolnie zdjął z siebie kwieciste kajdany, któremi okuwała go miłość, posiadająca siłę męzką, a miękkość i wszystkie uroki niewieście.

— Nigdy nikogo nie kochałam tak, jak ciebie, Jasiu, i nigdy już nikogo, prócz ciebie, kochać nie będę!

O prawdziwości słów jéj nie przemknął w oczach jego ani cień zwątpienia. Miał zresztą słuszność — wierząc... Była szczerą zupełnie i w szczerości téj spoczywała tajemnica wywieranych przez nią wpływów. Wpływy te były tak wielkie, że ani Mirewicza, ani Ożymskiego, ani nikogo ze znajomych jéj nie zdziwiła wieść o tém, że szewiectwem zajmować się dłużéj już nie może, zatém o *artelii* z równym podziałem zysków myśléć zaprzestaje. Niepodobna już było jéj wytrwać dłużéj! Maluczcy śmierdzieli czasem wódką tak, że aż się jéj słabo robiło, a palili tak obrzydliwy tytuń, że wracała z warsztatu z migreną i mdłościami. Przytém przekonała się, że w zawodzie rzemieślniczym trzeba znieść nadzwyczaj dużo

niedogodności takich, jak: ranne wstawanie, kamienne przesiadywanie nad robotą, ciągły widok brudnego warsztatu. Ona zaś czuje dobrze, że gdy przez czas dłuższy znosić będzie rzeczy nieprzyjemne, sprężyny natury jéj utracą energią swą i zdolność do szerokiego wszechstronnego rozwoju. Zatém...

Zatém, wynagradzając sobie przykrości, przez cały miesiąc przenoszone w warsztacie, zakrzątała się około urządzania mieszkania Mirewicza w sposób najestetyczniejszy, na jaki tylko okoliczności miejsca i kasy pozwalały. Wtedy-to powstała w saloniku altana owa z wazonowych roślin, z kołyszącém się wśród nich krzesłem, powstały rozrzucone tu i owdzie sprzęty i sprzęciki, a w alkowie Pauli zapalała się codziennie wielka błękitna lampa, rzucająca na pokój, do alkowy przylegający, marzące blaski, zupełnie do blasku księżyca podobne. Co więcéj, oprócz bladego księżyca, palił się tam na fajerce sinawy płomyk. Był to rodzaj kadzielnicy, na któréj gorzały wonności, napełniając alkowę, pokój i salonik delikatnemi woniami heliotropu, czy czegoś innego...

Tu znowu bieguny krzesła kołysać się przestały, a myśl jakaś, czy jakieś przypomnienie, tak silnie tknęło Mirewicza, że aż półgłosem do siebie zawołał:

— Wszakże to jutro już muszę Chackielowi procent zapłacić!

Procent od długu, zaciągniętego u lichwiarza. Nic w tém dziwnego nie było. Altany, sprzęty, sprzęciki, lampy, kadzidła, terminowanie u szewca, termiantorskie fartuchy z koronkami, nowe coraz transporta nut i książek... We

wszystkiém tém jednak nie było nic, coby ubliżać jéj i w złém świetle stawiać ją mogło.

— Mój drogi, kochany Jasiu! Boli mię to, że jeszcze tu, w téj mieścinie, niezależności zdobyć sobie nie mogłam. Wszystko jednak, co teraz od ciebie przyjmuję, jest pożyczką... świętą pożyczką, którą zwrócę, gdy kiedyś celów moich dosięgnę... Wierzysz mi?

On miał-by nie wierzyć jéj, gdy, trzymając ręce jego w swoich, patrzała na niego łzawym, rozrzewnionym wzrokiem, a głowę swą, tak malowniczo uczesaną i wonną, ku piersi jego chyliła.

— Wierzę, najdroższa, wierzę we wszystko! Ty jesteś wcieloną prawością i szczerością. W tobie niéma cienia fałszu!

I mówił prawdę. Nie było w niéj cienia fałszu.

Jednak w téj saméj epoce, to jest w porze zakładania altan i wznoszenia kadzielnic, powstała pomiędzy niemi piérwsza kłótnia. Poszło o studyowanie ludzi. W początkach pobytu swego tutaj, Paula bardzo troskliwie studyowała miasto, że jednak czyniła to wraz z Mirewiczem, nietylko nie miał on nic przeciw temu, ale owszem, zupełnie był przekonany, że, po godzin parę codziennie na ulicach i placach miejskich spędzając, oddają się wcale poważnemu zajęciu. Że zaś potrafili połączyć użyteczne z przyjemném, tém lepiéj. Żadne jednak miasto pod słońcem nie składa się tylko z domów, ulic i placów — są w niém zawsze ludzie. Otóż w porach, w których Mirewicz przyjmował klientów, chodził do miejsc sądowych, zajmował się pisaniem, Paula, nie wiedziéć

jakim sposobem, tak jakoś wypadkiem, zapoznała się na ulicach i placach miasta ze sporą ilością ludzi, i to nietylko takich, których Mirewicz znał, ale i takich także, których znać nie chciał. Zupełnie niespodzianie, nie wiedzieć jakim sposobem, pokój, oświetlony blaskiem księżycowéj lampy i przesiąknięty wonią heliotropu, napełniać się zaczął postaciami męzkiemi, które najczęściéj widywać było można w ogrodzie publicznym, gdy muzyka grała, i w okolicach budek z wodą sodową. Brzęczały tam ostrogi, na wspaniałe piersi zwieszały się śpiczaste bokobrody, błyskały binokle młodzieńców, zajmujących różne stopnie urzędowéj hierarchii. Kompania ta gwarzyła rozgłośnie i kilku na raz językami, a śród niéj Paula, strojna, rozpromieniona, deklamująca wyjątki z poematów i cytaty z książek uczonych, iskrząca się dowcipem, grająca waryacye i sonaty, czarowała wszystkich i na złocistych włosach swych zdawała się miéć koronę królowéj. Mirewicz, który nie spostrzegł jakoś stopniowego napływania do domu kompanii téj, przy piérwszém walném jéj zgromadzeniu, zmarszczył się strasznie i, nie mogąc już uczynić inaczéj, przyjmował gości, ale z chłodem i roztargnieniem widoczném. W środku wieczoru, w chwili, gdy, umyślnie na wieczór ten najęty przez Paulę, lokaj wnosił do pokoju z księżycem tacę z owocami, Mirewicz wysunął się do salonu i, na kołyszącém się krześle usiadłszy, z dala przyglądał się widokowi, sprowadzającemu na czoło jego ciężkie chmury, I dziwna rzecz! przed oczyma jego nagle jakoś przemknęły dwa obrazy: cukierni z harfiarkami i budki z wodą sodową i

utrefioną Fryną. Po rozejściu się kompanii wybuchnął. Zapomniał się tak, że uczynił to w obecności Ożymskiego, który, nie uważając się wcale za gościa, gdy inni odeszli, pozostał. Pokłócili się ze sobą formalnie. Na wymówki Mirewicza Paula odpowiadała, że więzów żadnych nigdy nie zniesie, że nie jest wcale wilkiem, aby bez ludzi żyć miała, że nakoniec i szczególniéj, myślącym człowiekiem będąc, musi ludzi studyować. Bez obserwacyi bezpośredniéj, żadne książki dać nie mogą dostatecznéj wiedzy o ludziach. Znać ich trzeba i studyować. Inaczéj umysł wpadnie koniecznie w ciemnotę i parafiańszczyznę, czego najlepszym dowodem jest właśnie Jan, który bardzo snadź mało studyował ludzi, skoro przypuszczać może, że taka kobieta, jak ona, ulegnie więzom i dla najukochańszego choćby człowieka pozbyć się zechce swéj niepodległości. Wszystko to mówionem było naprzód z gniewem, potém z płaczem, nakoniec ze spazmatycznym śmiechem, po którym nastąpiło upadnięcie na kanapę, zachorowanie, ratowanie, posyłanie po lekarza, oburzenie na Jana Ożymskiego przestrach i zgryzota Jana i, po nocy bezsennéj, kompletna jego, na klęczkach dokonana, kapitulacya. Pogodzili się, to jest Paula przebaczyła, ale odtąd Ożymski przychodził coraz rzadziéj, całkiem prawie przychodzić przestał. Co się temu chłopcu stało? Wyglądał, jak z krzyża zdjęty, Jana unikał, Pauli wcale nie widywał, młodziutka siostra jego podobno z domu wyjechała do jakiéjś ciotki czy babki, a stara matka, spotkawszy raz Mirewicza na ulicy, popatrzała na niego takim jakimś smutnym i razem gniewnym wzrokiem...

Jak to jednak dziwnie dzieje się na świecie! Niéma róż bez kolcy, niéma szczęścia bez chmur. Posiadać kobietę piękną, wysoko wykształconą, wzniośle i trzeźwo myślącą i namiętnie, tkliwie kochającą — jakież to szczęście! Jednak ileż na niém chmur! Ten, naprzykład, błękitny trzewiczek dziecięcy, który, ilekroć drżące trochę ręce odwiną go z papieru, błękitném oczkiem patrzéć się zdaje w twarz ojca i coś do niego mówić długo, cichutko... I ta wiązka papierów wartościowych znikła, a w zamian dług zaciągnięty u Chackiela lichwiarza! I to dziwne poróżnienie z serdecznym przyjacielem! I ten, nadewszystko, list Anny, dziś otrzymany, do kieszeni kamizelki schowany i kolący w pierś Jana, ilekroć sobie o nim przypomniał. Nie było w nim jednak nic, prócz doniesienia o dobrém zawsze zdrowiu dziecka i wcale niezłém powodzeniu matki: „Mam już tyle roboty, że wzięłam sobie do pomocy dwie panny, zarabiam niewiele, ale ponieważ z Józią i pewną jeszcze bardzo zacną kobietą mieszkamy i jadamy wspólnie, niedostatku nie cierpimy. O mnie więc nie troszcz się, ale o przyszłości Jańci pamiętaj. Za parę lat trzeba będzie już zacząć ją uczyć. O tém nie dam ci nigdy zapomnieć i zawsze przypominać będę, bo to twój obowiązek i dziecko nic nie winno temu, co między nami zaszło. Zapytujesz, czy możesz tu przyjechać, aby dziecko zobaczyć. Dlaczegóż-by nie? Alboż ja twoją nieprzyjaciołką jestem, abym cię widzieć nie chciała? alboż ja chcę dziecko nasze ojca pozbawić? Przeciwnie, chciała-bym bardzo, abyś je jak najmocniéj kochał i sama często bardzo mówię Jańci o tobie...”

Bardzo rozsądnie, — myślał Jan, — bardzo uczciwie, i nawet daleko ortograficzniéj, niż dawniéj było, całkiem prawie ortograficznie! Czyżby tam panna Józefa, zwyczajem swoim, zabrała się do edukowania jéj, o ile można? Ta Józefa jednak... wszakże to ona siostrę swą wykierować zamierza na doktorkę... a nic o tém nie mówiła.

Z Paulą za to o doktorstwie mówili dużo. Była ona tak dobrą, że akt skruchy ujął i rozrzewnił ją więcéj, niż wytoczenie kłótni rozgniewało. Asamblów przez czas jakiś nie było. Zgoda po kłótni podnosiła szczęśliwość chwil, we dwoje pędzonych, spotęgowała zobopólne uczucia. Wtedy to ułożyli plan swéj wspólnéj przyszłości. Paula wracała stanowczo do dawnych zamiarów swych i nieodmiennie postanowiła za kilka miesięcy wyjechać do Zurychu, w celu studyowania medycyny. Pięć lat tam pozostanie, a potém z patentem akademickim i stopniem doktora wróci do kraju, zamieszkają z Janem w jakiém wielkiém mieście i nie rozstaną się już z sobą nigdy, nigdy! Tymczasem będą do siebie pisywać bardzo często, a może téż Jan znajdzie sposób odwiedzania jéj choć raz na rok, w Zurichu. Że pozostanie dla niego stałą, o tém nawet mówić nie potrzebowała, zarówno, jak nie wątpiła o jego wierności. O akademii i studyach medycznych mówiąc, płonęła cała zapałem i świetnemi nadziejami. Była-by nawet wyjechała natychmiast, ale naprzód: zbyt ciężko jeszcze było-by im obojgu rozstać się z sobą, następnie musiała zdobyć sobie jakieś środki pieniężne!... Jakim sposobem? Raz, w chwili szczególnego wylania, wyznała Janowi, że powielekroć już próbowała pisać, i że w ogóle miała wielki pociąg do pióra.

Może-by autorstwo utorowało drogę doktorstwu. Nie była tylko pewną, czy ma istotny talent. Niech to Jan osądzi. Z głębin jednego kufra ukazało się wtedy kilka grubych zeszytów, napełnionych drobném pismem. Gdyby się rzeczy te, już gotowe dały spieniężyć, sformułowała-by się odrazu spora sumka. Trzeba tylko, aby Jan przeczytał i osądził. Przez kilka wieczorów, do późnéj popółnocnéj godziny, czytali grube zeszyty.

Były tam w trzech, czy w czterech językach pisane rozprawy i rozprawki o przedmiotach przeróżnych, jako to: o usamowolnieniu kobiety, muzyce, prawach człowieka do szczęścia, *arteliach*, filozofii starożytnéj, wpływie paleontologii na chronologią świata, zastosowanie poezyi do codziennego życia, o instytucyi małżeństwa, stadzie Panurgowém, pracy, jako dźwigni ekonomicznéj, rozkoszy, jako sprężynie rozwoju, pedagogii, wolnéj miłości, uczuciach macierzyńskich i kwestyi pracy i kapitału. Był to dział zeszytów poważny. Obok znajdowała się także literatura lekka, poezye, przeważnie erotyczne i silnie pierwiastkiem erotycznym zabarwione powiastki, powieści na wielką skalę i dramata. Z tych ostatnich jednak żaden skończonym nie był.

— Zdaje mi się, — mówiła Paula, — że do pisania dramatów talentu nie mam!

Co zaś się tycze rozpraw i rozprawek, poezyi, powiastek i powieści, tych także pewną nie była; czytając je przecież Janowi, rozpłomieniała się tak, że z twarzy jéj buchało gorąco, a z oczu lały się obfite łzy. Wzruszenia te opanowywały ją szczególniéj przy czytaniu erotycznych

poezyi i rozpraw, których przedmiotem była przeszłość świata. Od chwili do chwili wzruszenia jéj zarażały i Jana. I on także, słuchając, wydawał czasem okrzyki żalu, zgrozy, oburzenia, nadziei, albo potajemnie ocierał łzę z oka. Gdy jednak, oddaliwszy się do swego pokoju, samotnie myślał o tém, co słyszał, chłódł znacznie. Namiętnie lubiąc czytanie, bardzo dużo w życiu swém przeczytał, i znawcą był wcale niezłym. Po czwartém więc, czy piątém posiedzeniu, wstał z fotela, chodził po pokoju długo, wahał się, namyślał, aż zamiłowanie prawdy wzięło w nim górę nad innemi względami.

— Przebacz, Paulo, ale nigdy jeszcze w życiu nie skłamałem. Nie; nikt rzeczy tych drukować nie zechce. Brak im jasności, porządku, obrazowości, plastyki, słowem...

— Powiedz-że już od razu, że nie mam pisarskiego talentu!

— Nie przyznaję sobie kompetencyi absolutnéj, ale, wedle mnie, nie masz go istotnie.

— Być może! sama to nie raz myślałam, — skromnie i z rezygnacyą odparła Paula, lecz wargi jéj ścisnęły się jakoś dziwnie, i przez całe potém dwa dni była dla Mirewicza bardzo obojętną, a tak przytém smutną, że aż uczuł potrzebę, i nawet powinność, pocieszania jéj różnemi sposobami. Jednym ze sposobów tych była uwaga, że ona, która tyle posiada zdolności, nie powinna martwić się brakiem jednéj, że przecież nikt wszystkich talentów tego świata...

— Mój Jasiu, — przerwała, — zrobisz mi wielką

przyjemność, jeśli nigdy już o tém wspominać nie będziesz!

Wspomniała jednak sama, przychodząc do niego z grubym tomem w ręku i mówiąc:

— Przyszło mi na myśl, że mogła-bym może zająć się tłómaczeniem. Może uznasz, że do téj przynajmniéj wyrobniczéj czynności zdolną jestem.

Jan pośpiesznie uznał, bo mu obojętność jéj i zły humor srodze ciężyły.

— Tylko, — ośmielił się zastrzedz, — dzieło, o którego tłómaczeniu pomyślisz, porządnie przeczytać trzeba.

Czytać, było to dla niéj pić ze źródła siły i rozkoszy, ale czytać porządnie! Oj! Bardzo porządnie przeczytała kart kilkanaście, przerzuciła kilkadziesiąt następnych, parę set pozostałych rozcięła eleganckim nożykiem, i... zabrała się do pracy. Pisała dzień, pisała dwa, pisała trzy, pisała cały tydzień, i w drugim jeszcze tygodniu trochę pisała; aż na początku trzeciego, zdenerwowana, zgnębiona, ze wszystkich sił swych obrana, upadła na kanapę i mdlejącym głosem, do Jana rzekła:

Nie podobna człowiekowi oddawać się wciąż jednemu zajęciu. Nuży to umysł i zabija energią. Czuję się zabitą i potrzebuję reakcji.

Wstała, ubrała się i wyszła na miasto. Tam reakcya, któréj pragnęła, zjawiła się jéj pod postacią luterańskiego pastora. Był to człowiek młody, przystojny, z myślącą twarzą, otoczoną rudemi faworytami. Świeżo, po śmierci poprzednika swego, przybył on do miasta, i nikt go jeszcze nie znał. Paula spotkała go na ulicy i zainteresowała się nim niezmiernie. Spotykała i poznawała w życiu swojém

najróżniejsze gatunki ludzi: obywateli wiejskich wschodnich i zachodnich, generałów, poruczników, *sowietników*, tajnych nawet *sowietników*, kupców, terminatorów szewckich, profesorów, prezesów różnych izb, księży obrzędu zachodniego i wschodniego i t. d. Ale kapłana kościoła protestanckiego, jakiegokolwiek, nigdy jeszcze osobiście nie znała, a tylko o ludziach stanu tego mnóztwo ślicznych rzeczy wiedziała z angielskich i niemieckich powieści. Zapoznać się z pastorem stało się najżywszém pragnieniem jéj i celem najróżnorodniejszych jéj starań. Nie było to wcale rzeczą łatwą. Człowiek był poważny, żonaty, z losu swego zadowolony, i godności stanowiska swego strzegący. Ale, przez ten stan spokoju swego stawał się bardziéj jeszcze interesującym. Przytém był on przedstawicielem czegoś, co imię swe wywodziło od protestu i, w dodatku, było dość oddaloném, aby módz obudzać ciekawość. Sympatya Pauli dla pastora i ciekawość poznania go przybrały wkrótce takie rozmiary, że Jan, który z razu śmiał się z nich, tylko sarknął na nie ironicznie. Paula zastanowiła się chwilę, widać było nawet, że zawstydziła się. Zastanowił ją i zawstydził, po raz piérwszy z ust Jana wychodzący i ku niéj skierowany, wyraz: „płochość!” Po chwili zamyślenia jednak, podniosła głowę i rzekła:

— Zkąd-że możesz wiedzieć, czy ja w poznaniu człowieka tego wyższych celów nie widzę!

— Na Boga! — zawołał Jan.

— A tak, — odpowiedziała. — Dziwi mię nawet, że tak źle mię rozumiész. Pragnę poznać pastora, aby nauczyć się

od niego historyi i istoty luterańskiego kościoła. Dla Lutra miałam zawsze sympatyą wielką... Była to organizacya...

— Na Boga! — powtórzył Jan, — weź książkę i przeczytaj sobie o Lutrze...

— Żywe słowo a martwa litera, wielka to różnica! — z zupełną powagą odpowiedziała Paula.

Rozmowa toczyła się przy obiedzie, który z pośpiechem ukończywszy, Paula natychmiast wyszła na miasto. Proponowała wprawdzie Mirewiczowi, aby jéj towarzyszył, ale on, chmurny i w złym humorze, odmówił. Został w domu sam jeden, parę godzin pisał, a gdy ciemniéć zaczęło, usiadł na kołyszącém się krześle i dumał. Przed sobą, w mrocznéj przestrzeni, widział wciąż znak zapytania, mający postać pięknéj kobiéty, którego przedni kruczek uformowany był z wisiorków złocistych włosów, a tylny z pustego ogona białego penioaru. Kropkę, uzupełniającą zwykle znak ten, tworzyła nóżka w ślicznym pantofelku. Dokoła zaś nadpowietrznego zjawiska tego krążyło przed oczyma Jana mnóztwo obrazów i przedmiotów: lekcye muzyki i języków, akademia medyczna, warsztat szewcki, stosy grubych tomów, lampa księżycowa, kadzielnica, sonata, autorstwo, namiętne uściski, pastor luterański, przysięgi wierności, dziecinny trzewiczek, śpiący w głębi szuflady, Anna, szyjąca na maszynie, Józefa, ucząca Annę gramatyki i ortografii...

Wtém usłyszał ciche i słabe dzwonienie do drzwi. Ręka, która poruszyła dzwonkiem, słabą była, czy nieśmiałą. Mirewicz z zapaloną świecą wyszedł do pracowni swéj, w któréj progu zobaczył Ożymską, Matkę Ludwika. Powitał ją

z uszanowaniem, posunął ku niéj najwygodniejszy fotel. Była to kobieta niezbyt jeszcze stara, pięćdziesięcio-letnia może, ale ciężkiemi kolejami życia bardzo sterana. Szczupła, czarno ubrana i jeszcze zgrabna, z pochyloną głową usiadła na fotelu, i drżącą trochę ręką odsłoniła woalkę z twarzy białéj, ładnéj snadź kiedyś, teraz zmęczonéj i zwiędłéj.

— Przepraszam pana... niewłaściwe to może z mojéj strony, ale postanowiłam pomówić z panem o moim Ludwiku. Pan miałeś zawsze wielki wpływ nad niego... może i teraz...

Mirewicz oświadczył gotowość swą do wysłuchania jéj i uczynienia wszystkiego, czego-by żądała. Kobieta, ściskając silnie chude i delikatne swe ręce, cicho opowiadać zaczęła o zupełném w ostatnich czasach zmetamorfozowaniu się jéj syna. Nie chciała oskarżać go. Przeciwnie, Bóg i ludzie wiedzą, że jest to chłopak ze złotém sercem, który dotąd najlepszym był synem i bratem, i pracował téż, jak mógł i umiał. Że tam czasem stracił coś nad potrzebę, tam i owdzie bywał, gdzie-by nie trzeba... na to młodość, i były to tylko chwile wyjątkowe. Teraz, od kilku miesięcy, coś mu się stało... Z początku zesmutniał był tylko i sposępniał; ale potém zrobił się dla matki i siostry dziwnie opryskliwym, niechętnym, tak, jakby do zrozumienia im dawał, że ciążą mu, że stają mu na przeszkodzie do lepszego losu... Raz powiedział nawet wyraźnie, że gdyby był sam jeden na świecie, mógłby prowadzić sobie życie kawalerskie, swobodne, przyjemne, i być tak szczęśliwym, jak np. jest teraz Mirewicz.

Usłyszawszy to, Julcia, rozpłakała się z razu, potém postanowiła wyjechać, i wyjechała téż do dalekiéj swéj krewnéj, która właśnie wyręczycielki i pomocnicy w gospodarstwie potrzebowała. Dziewczyna uniosła się dumą, ale młodziutka jest, do matki i brata niezmiernie przywiązana, u kobiety prawie obcéj, kapryśnéj, skąpéj, bardzo źle jéj będzie. Co do niéj, matki, wyniosła-by się także z pod synowskiego dachu, ale nie ma dokąd... nie ma dokąd...

Wszystko jednak, co dotąd powiedziała, było mniéj ważném. Ważniejszém jest to, że od czasu pewnego Ludwik biurowéj pracy zaniedbywać zaczął. Ktoś ze starszych kolegów jego, dawny przyjaciel ich rodziny, powiedział jéj o tém i jego o to upomniał. Nikt-by nie zgadł, co odpowiedział on na to. Odpowiedział, że biurowa praca jest dla niego niewłaściwą i że, zajmując się nią, marnuje swoje wyższe zdolności, krępując rozwój swojéj natury. Ja i poczciwy przyjaciel nasz zgodziliśmy się zupełnie na to, że jest on zdolnym do daleko wyższych zajęć... ale że, skoro tak nieszczęśliwie... tak nieszczęśliwie stało się, to już powinien żyć i pracować, jak można. Cóż robić? trzeba żyć i pracować, jak można. Nikt tu u nas nie żyje i nie pracuje, jak chce i jakby mu zdolności pozwoliły, ale — jak może... jak może. Tak perswadowaliśmy jemu, ale on... ach panie! jakie on dziwne rzeczy wygadywać zaczął. O samym sobie mówił, że jest bogatą naturą, i że człowiek, który ma bogatą naturę, żadnego przymusu znosić nie powinien, że wszystko mu wolno, że obowiązku niéma wcale na świecie; że o swoje szczęście walczyć trzeba, choćby po trupach ludzkich

chodząc... A tak przytém unosił się, że on, który zawsze był taki delikatny, grzeczny, teraz na całe mieszkanie krzyczał i rękoma machał, a raz tak machnął, że aż lampkę zgasił i przewrócił...

Pomimowoli Mirewicz uśmiechnął się. Ożymska zgryziona, ale łagodna, uśmiechnęła się także, lecz w téj że saméj chwili oczy jéj napełniły się łzami.

— Widzi pan, gdyby to wszystko kończyło się na gadaniu głupstw, gaszeniu lampy, a choćby i mojém ciężkiem upokorzeniu, którego doświadczam, gdy mi syn kawałka chleba i dachu swego wymawia, nie fatygowałabym pana. Ale... Julcia tam bardzo biedna, a on... może miejsce stracić... Zaniedbuje się tak... że może stracić... mówił mi to ten starszy kolega jego, dawny przyjaciel nasz... A jeśli straci miejsce, to co? Pan wiész, jak synom naszym trudno... trudno! A jak nie będzie miał zajęcia... to mniejsza o to, że nędza... ja znam się z nią, i nie piérwszyby to raz w mojém życiu... ale na złą drogę wejść może. Czyśmy, panie, jednego widzieli takiego, który, sposobu zarabiania na życie dostać nie mogąc, żył jednak, ale jak?... O, panie Janie, powinieneś pan... powinieneś...

Chude, delikatne, ręce jéj podniosły się do twarzy, jakby niemi ukryć chciała łzy, które po bladych i zwiędłych policzkach pociekły, ale... ale zadrżały i wzniosły się wyżéj, giestem prośby czy protestu.

— Nie winna, nie winna jestem temu, że on daléj nie poszedł... wyżéj nie stanął! Pan wiész, w jakich czasach i jakiemi sposobami hodowałam te dzieci. Gdyby ojciec ich był z nami... A! ale zostałam sama z niemi, sama, bez

funduszu żadnego; tu o wszystko tak trudno było, tak trudno! Ile ja nocy przepłakałam nad tém, że nie mogłam kierować go tak, jak chciałam! Dniami całemi szyłam, haftowałam, małe dzieci uczyłam... co się zdarzyło... nocami płakałam... aż oczy sobie wypracowałam i wypłakałam... Jak raz, z czwartéj klasy examin zdawał, kiedy mię to nieszczęście spotkało. Tylko co nie oślepłam... panie mój! Nic już ja dla niego więcéj zrobić nie mogłam. Łaziłam jeszcze po ludziach, o pomoc prosząc, ale wtedy byli wszyscy tacy nieszczęśliwi, skłopotani, i każdy dbał o siebie... Nic już więcéj zrobić nie mogłam? Przez tego przyjaciela o miejsce dla niego w biurze wystarałam się, i... ot! poszedł potém wyżéj, nie tak wysoko, jakby mógł, ale zawsze... jako tako... Nie winna jestem... pan wiész, pan z doświadczenia wiész, jak to było... ilu was takich było...

Mirewicz wiedział. Z doświadczenia własnego wiedział, jak to było, i... ilu ich takich było... Wielu! wielu! Coś, jakby uczucie wstydu, odwracało wzrok jego od twarzy téj kobiety, która, wcześnie i okrutnie osamotniona, z dwojgiem drobnych dzieci na ramionach, dniami na nie pracowała, nocami nad niemi płakała, a w téj chwili, wznosząc chude i przezroczyste ręce swe, giestem prośby czy protestu, powtarzała:

— Nie winna, nie winna jestem.

Wstał, i w obu dłoniach biedne te drżące ręce kobiety ściskając, ze wzruszeniem rzekł:

— Zobaczę się z Ludwikiem, pomówię z nim...

— Proszę pana o to, — powtórzyła Ożymska, i ciszéj dodała: — Powinieneś pan uczynić to... powinieneś...

Innego wyrzutu nie uczyniła mu żadnego, ale gdy po odejściu jéj przechadzał się on po saloniku niespokojnym krokiem, w uszach jego brzmiały wciąż wyrazy: powinieneś pan! powinieneś!... A dlaczego powinien zrobić wszystko, co mógł, aby sprowadzić Ludwika z niebezpiecznéj drogi, aż nadto dobrze rozumiał i wiedział. I ta młodziutka Julcia, wypędzona w świat pomiędzy ludzi obcych i podobno złych! I ta matka, srodze upokorzona, a która z domu syna wynieść się nie ma dokąd!... nie ma dokąd! I te sprzeczki z krzyczeniem na cały dom i gaszeniem lampy! Wszystko to... Ale im dłużéj myślał, tém więcéj przekonywał się, że ze zwracaniem Ludwika na dobrą drogę będzie miał srogi kłopot. Co będzie, jeżeli powié mu on: „Mistrzu Wirgili! czynię tak, jako ty!” Biéda! To twarde życie rzeczywiste miewa dziwne komplikacye i niespodzianki!

Niespodzianie, bliziutko, w pracowni, oświetlonéj jedną świecą, rozległ się długi, szalony wybuch śmiechu. Na środku pokoju stała Paula, w téj chwili z miasta wracająca. Zgrabne futerko, wcięte w pasie i aksamitem obleczone; sukienna krótka spodnica, z pod któréj wysuwał się elegancki, wysoki bucik; zarękawek i czapeczka z kosztownego futra, a na czapeczce, zuchwale sterczące i różnemi barwami mieniące się, skrzydło ptasie — takiém było zimowe ubranie téj czarodziejki. Czapeczka ocieniała z jednéj strony pyszny i malowniczy kok złocistych włosów, z drugiéj twarz, zarumienioną od mrozu, dwudziestoletnią, ożywioną, wesołą. Śmiejąc się głośno i srebrnie, wołała:

— Zdobyłam, Jasiu, zdobyłam, zdobyłam mego pastora!

I jednym skokiem znalazłszy się tuż przy nim, zawisła na jego szyi. Tu słowa, które wymawiała, mieszać się zaczęły z dzwonieniem pocałunków.

— Wiész... jakim sposobem?... Siedział na ławce... w ogrodzie... Ja chodziłam koło niego... chodziłam... chodziłam...

Tu Mirewicz uwolnił się z wdzięcznych objęć, i tonem złego humoru rzekł:

— Daj mi pokój z tym swoim pastorem! Niedługo, a puścisz się na wyszukanie jakiego mułły, aby cię uczył religii mahometańskiéj.

Była w cudnym humorze, nie rozgniewała się.

— Jeżeli tak, to ci tę prześmieszną eskapadę swoję innym razem opowiem. Teraz oznajmić ci muszę, że po jutrze wieczorem będziemy mieli dużo gości!

Jan aż skoczył z krzesła, na którém był usiadł.

— Jakich gości? Pewnie tych samych, co wtedy.

— A tak, spotkałam kilku znajomych i zaprosiłam...

Znowu więc *asamble*. A mniemał, że wyskoki te, które w dziwnie nieprzyjemny sposób przywodziły mu na pamięć cukiernią z harfiarkami i budkę z Fryną, raz na zawsze porzuconemi przez nią zostały. Zbudził się w nim nagle rycerski i do opozycyi zdolny duch przodków.

— Nie, Paulo, wybacz mi, ale ja tych wieczorków nie chcę, i za nic wszystkich tych ludzi u siebie przyjmować nie będę.

Osłupiała z razu, a potém argumentować zaczęła. Ale Mirowicz był dnia tego nadzwyczaj rozdrażniony.

— Człowiekiem myślącym będąc, — zaczęła Paula, — muszę przecież...

— Kobietą myślącą będąc, — przerwał Mirewicz, — lepiéj-byś uczyniła, gdybyś zamiast chodzenia koło pastorów i urządzania asamblów, poduczyła się trochę łaciny. Jakże examin zdasz do fakultetu medycznego, skoro ani słowa jeszcze po łacinie nie umiész...

Tym razem Paula zarumieniła się gwałtownie. Jeszcze jednak nie wybuchnęła.

— Po łacinie! Ale ty wiész, jak mi wszystko łatwo przychodzi. Na łacinę mam jeszcze dość czasu, a powtarzam ci raz jeszcze, że ascetyzmem brzydzę się i znajduję, że praca bez rozrywki osłabia sprężyny te...

— Moja droga, — wstając, z powagą przerwał znowu Mirewicz, — czém jest praca bez odpowiedniego wytchnienia, sam tego doświadczyłem najlepiéj... Ale na Boga! popracuj-że choć raz nad czém porządnie!

O! tego już było zanadto. Kobieta w zgrabném futerku porwała ze stołu świecę i odeszłą do pokoju swego, którego drzwi ze stukiem zamknęły się za nią. W parę minut po stuknięciu drzwi, uszu Jana doleciał wybuch spazmatycznego płaczu i śmiechu. W grubych ciemnościach stojąc, Jan, zadrżał z razu. Struny sympatyi i tkliwości poruszyły się w nim gwałtownie i pociągały go do pokoju tego, za którego drzwiami... Jednak stał i coraz silniéj ściskał w ręku poręcz krzesła. Znowu dziwna choroba ta! Co to było? Ani babka, ani matka, ani siostra, ani żona jego nie miewały spazmów. Nie widywał więc ich dotąd nigdy, a tylko z tego, co o nich czytał i słyszał,

wyznawał dla nich pogardę absolutną. Rzucił się w ciemnościach, omackiem znalazł w przedpokoju paltot swój i czapkę, omackiem trafił do kuchni, gdzie powiedział służącéj, aby poszła do pani, która zasłabła i usług jéj potrzebować może, i — wyszedł na miasto. Szedł ku mieszkaniu Ożymskiego, ale spotkał go na chodniku ulicy, po którym chodząc przez dobrą godzinę, żywo ze sobą rozmawiali. Nakoniec w ustronném miejscu jakiémś stanęli. Zarumienieni byli obaj, zdyszani, oczy ich pałały; patrząc na nich, można-by przypuszczać, że szło im o zbawienie rodu ludzkiego, albo, co najmniéj, o ustanowienie równowagi europejskiéj. Ludwik uścisnął w dłoni swéj rękę Mirewicza i urywanym, ponurym głosem rzekł:

— Nie możesz wymagać ode mnie niczego więcéj. I tak już zrobiłem dla ciebie najwyższą ofiarę, na jaką człowiek zdobyć się może!

— Ale-ż ja nie żądam i nie potrzebuję ofiar żadnych, — zawołał Mirewicz.

— Tak, — potwierdził Ożymski, — ja sam czuję, że sprzeczne to jest z zasadami naszemi... a jednak nie mogę, nie mogę objawiać uczuć mych kobiecie, którą kocha przyjaciel mój... A znowu... widząc ją... nie objawiać, przechodzi to moje siły... Dlatego przestałem ją widywać.

Światło, padające z okna jakiegoś sklepu, oświecało twarz jego, tak bladą i ponurą, że Mirewicza objęło współczucie dla cierpień przyjaciela.

— Poczciwy, kochany Ludwiku! — rzekł serdecznie, — przyjaźń twoja była mi bardzo drogą.

— Wiem, — wybuchnął Ludwik, — dałeś mi nieraz

dowody swego przywiązania, oddałeś mi niejednę przysługę. Tém podléj było-by z mojéj strony, gdybym chciał podkopywać szczęście twoje. O, nie! Rozumiem ja dobrze, że to jest sprzeczne z prawdziwemi zasadami... że o szczęście swoje dobijać się mam prawo, i nawet powinienem; jednakże, w tym razie, wolę całe piekło w sobie nosić, niżeli ciebie zdradzać.

Wszelakoż, gdy rozejść się już mieli, Mirewicz wymógł na nim dwie rzeczy: że pocieszy i uspokoi swoją matkę i jego nazajutrz odwiedzi.

Nazajutrz, w poobiedniéj porze, wszedłszy do mieszkania Mirewicza i dowiedziawszy się od służącéj, że pana w domu niéma, Ożymski, po chwili wahania, chciał odejść. Ale Paula usłyszała głos jego i spiesznie wyszła na jego spotkanie. Była dnia tego zamyśloną, smutną, i od stóp do głowy ubraną w czerni. Kilka srebrnych ozdób, na czarne to tło rzuconych, sprawiało efekt malowniczy i melancholijny. Po długiém niewidzeniu, witając ją, Ożymski drżał, trochę, a czarne oczy jego paliły się smutnym blaskiem, śród bladéj i znacznie mizerniejszéj, niż zwykle, twarzy. Ona powitała go z serdecznością poufałą, prawie rozrzewnioną, i wnet poprowadziła do swego pokoju. Byli zupełnie sami; ona siedziała na kanapie, on tuż przy niéj na fotelu.

— Dlaczego nie odwiedziłeś nas pan tak długo! Jaki pan zmieniony!

— I pani dziś... taka smutna... w czerni!

— Miałam wczoraj wielką, wielką przykrość!

Cicho, żałośnie, z tłumionemi westchnieniami

opowiadała mu wczorajsze zajście swoje z Janem. Od czasu jakiegoś stawać się on zaczął pedantem niewyrozumiałym i objawiać skłonność do tyranii. Tyranizowanie kobiet tak wzrosło w naturę mężczyzn, tak w nich zakorzeniło się...

Dość długo jeszcze na ten temat mówiła, a Ludwik, słuchając jéj, patrząc na nią, sto razy doświadczył ochoty upadnięcia przed nią na klęczki i upewnienia jéj, że on, on z pewnością nie stał-by się dla niéj pedantem, ani tyranem, ani byłby... o! czém on byłby dla niéj? Niewolnikiem, podnóżkiem, najczulszym z pasterzy, najognistszym z wulkanów! Już, już po śnieżną rękę jéj wyciągał dłoń swoję, już jedno kolano jego zsuwało się z fotelu; lecz bohatersko powstrzymał giest ręki, wyprostował się i stłumionym głosem rzekł:

— Jan jest najszlachetniejszym i najlepszym człowiekiem. Uwielbia on panią, i jeżeli kiedykolwiek... cokolwiek... bądź pani pewną, że to nie serce jego winno, tylko... może... tak, jakaś...

Potwierdziła wszystko, co mówił o Janie. Dodała jeszcze, że i ona także dała mu wielki dowód miłości, zostając tu, w téj mieścinie, i odkładając na późniéj dążenia do swych wysokich celów. Jednego tylko nie uczyni dla nikogo nigdy: nie da się okuć w więzy, nie wyrzecze się swéj niepodległości.

— O! — zawołała, — pan, panie Ludwiku, gdybyś był na miejscu Jana, nigdy-byś nawet nie wymagał tego ode mnie, jestem pewną, że nie wymagał-byś.

Gdyby on był na miejscu Jana! Kilka wyrazów tych szarpnęło jego wnętrzem. Uczuł w sobie szpony sępie, czy

jastrzębie. Zarazem wydało mu się, że ze źrenic jéj, smętnie i nieruchomo w twarzy jego utkwionych, strzela ku niemu promień nadziei. Był to promyczek drżący, znikomy, ale był. Ludwik spojrzał na sufit, potém na białą rękę, zwisającą śród fałd czarnéj sukni, potém dokoła pokoju, jakby dla przekonania się, że niéma tam nikogo prócz nich dwojga. Nakoniec wyciągnął rękę, porwał ze stołu kapelusz swój i, z przygryzioną wargą, z konwulsyjnie ściągniętemi czarnemi brwiami, zerwał się z fotelu.

— Zmuszony jestem pożegnać panią, — głuchym głosem wymówił.

Wtém rozległ się u drzwi dzwonek; w przedpokoju słyszéć się dały dwa męzkie głosy, a po chwili do pokoju Pauli wchodził Mirewicz, w towarzystwie młodego, nieznanego jéj, mężczyzny. Był to człowiek bardzo nawet młody, lat może dwadzieścia dwa lub trzy mieć mogący, szczupły, blondynek, z twarzą białą i różową, wykwintnie ubrany, w pół-fraku i liljowych rękawiczkach.

— Pan Julian Krzycki... pan Ludwik Ożymski, — prezentował gospodarz domu.

Paula zwolna podniosła się z kanapki i stanęła przed nieznajomym w całym wdzięku swéj wyniosłéj, kształtnéj, strojnie przybranéj postaci.

— Nazwisko pana — zaczęła — nie jest mi nieznane. Państwo Krzyccy posiadali w rodzinnych stronach moich znaczne dobra i pamiętam, że w dzieciństwie mojém nieraz zachwycałam się pięknym ogrodem i parkiem, dwór ich zdobiącym.

— Jestem właśnie synem właścicieli Krzywina, miejsca,

które miało szczęście podobać się pani kiedyś — odpowiedział młodzieniec, a z zajękliwéj i z francuzka brzmiącéj mowy jego, jako téż ze sposobu, w jaki kapelusz swój u stóp fotelu na ziemi umieścił, poznać w nim można było wykwintne dziecię wyższego świata. Blado-błękitne oczy jego, trochę naiwne, a trochę marzące, nie opuszczały ani na chwilę twarzy Pauli. Kręciło się w nich bardzo przyjemne zdziwienie. Znać było, że spodziewał się ujrzéć wcale co innego, niż to, co ujrzał. — Pani tu dawno bawi? Ja bardzo rzadko bywam w Ongrodzie; od roku tu już nie byłem. *La petite ville ne semble pas avoir rien de très attrayant.*

— *Si!* — zawołała Paula i rozpoczęła z młodziutkim interlokutorem swym dowcipną i ożywioną sprzeczkę o ujemnych i dodatnich stronach Ongrodu. Mówiła po francuzku i mówiła wybornie. Interlokutor śmiał się, żartował i zdawał się całkiem zapominać o misyi, z jaką tu przybył, a o jakiéj Mirewicz szepnął Ożymskiemu, wyprowadziwszy go do saloniku.

— Biedna Paula! matka jéj zasłabła gorzéj i prosiła Krzyckiego, który tu za interesami swemi przyjechał, aby ją koniecznie przywiózł. Zmartwi się biedaczka, i tak nagle będzie musiała wyjechać!

Ludwik, bardzo widocznie zgryziony tą wiadomością, zapytał:

— Cóż to ten Krzycki?

— At sobie! bogaty chłopiec i koniec! Rodzice odumarli go wcześnie, w dwudziestym roku życia odziedziczył majątek znaczny. Siedzi na wsi i dość porządnie podobno

prowadzi się.

— A jakiż to stosunek z jéj matką?

— Taki, że ojciec Pauli był rządzcą majątków Krzyckich, i matka jéj mieszka teraz w jednym z folwarków ich i żyje po części z małego fundusiku swego, po części z ich pomocy, to jest jego teraz, tego małego Julka.

Mały Julek ze ślicznego pugilaresu wyjmował list i oddawał go Pauli.

— *Voici la commission dont m'a chargée vous votre digne mère*.

— *Me permettrez-vous?*

Skłonił się pośpiesznie i elegancko. Paula list otworzyła, lecz zaledwie czytać go zaczęła, oczy jéj napełniły się łzami, usta zadrżały żalem.

— Jasiu! Jasiu! *Pardon monsieur*. Ale to jedyny krewny mój, u którego znalazłam opiekę, przywiązanie... Jasiu! mamie gorzéj, bardzo źle! O Boże! Boże!

Na dobre wybuchnęła płaczem i niespazmatycznym wcale, ale szczerym, rzewnym i, z twarzą utopioną w chustce, uciekła do swéj alkowy. Krzycki z Mirewiczem i Ożymskim wyszedł do saloniku. Wszyscy trzéj byli wzruszeni. Krzyckiemu podobało się widocznie przywiązanie Pauli do matki i w żalu swym wydała mu się ona powabniejszą jeszcze, niż w wesołości.

— *Dites donc,* kuzynka pana jest jeszcze, zupełnie młodą osobą... wyobrażałem sobie, że starsza; ładna jest i bardzo, bardzo miła. Bardzo-bym pragnął, aby przyjęła moje usługi i chciała ze mną jechać. Umyślnie dlatego wybrałem się karetką na saniach.

W alkowie słychać było jeszcze ciche łkanie. Pan Julian czuł się widocznie zakłopotanym; wypadało mu może odejść.

— Zostawiam państwa. Zechce pan usługi moje pani Pauli ofiarować i dać mi wiedzieć, czy mam jutro stawić się tu z powrotem.

— Chciéj pan pozostać — uprzejmie zaprosił Mirewicz. — Kuzynka moja uspokoi się za chwilę i miło jéj będzie poznać bliżéj jutrzejszego towarzysza podróży.

Krzycki uczuł, że wypada mu może pozostać, a nawet widać było, że zaprosiny Jana sprawiły mu przyjemność. Zmierzchać zaczęło. Gdy Paula alkowę swą opuściła. Krzycki u nowych znajomych pozostał przez cały wieczór i bawił się wybornie. Wieczoru tego Paula przeszła samę siebie. Od czasu do czasu wprawdzie cień smutku przesuwał się po jéj twarzy i z troskliwością niezmierną rozpytywała się o matkę nowego gościa swego. On zaręczał, że pani Mirewiczowa nie jest zagrożoną niebezpieczeństwem doraźném żadném, żadném... Jest to astma... z którą żyć można długo... długo, i tylko w ostatnich czasach było parę ataków, w których zapragnęła niezmiernie miéć swą córkę przy sobie.

— *Si j'etais â la place de votre digne mère*, nie pozwoliłbym pani odjechać ani na jednę chwilę... — Było to powiedziane z cicha i znacząco. Pocieszona i uspokojona, Paula mówiła wiele, śmiała się trochę, grała ślicznie. Krzycki przepadał za muzyką, a ona wykonywała cudownie najulubieńszych jego kompozytorów. Była wieczoru tego nastrojoną lirycznie. Daleko mniéj; niż zwykle,

argumentowała, wzamian przypominała sobie dziecinne lata swoje, wieś, łąki, lasy, strumyki, kmiotków... O tych ostatnich Krzycki wyraził się trochę lekceważąco, za co wytoczyła mu formalną walkę. Objawiła, że jest *corps et âme* demokratką i broniła maluczkich z rozgorzałemi oczyma i wymownemi słowy. Ożywiło to znacznie rozmowę i postawiło ją w oczach Krzyckiego w nowém świetle. Do Mirewicza, który nieźle mówił po francuzku, szepnął, że jest to kobieta, *qui a du coeur et des opinions formées*. Nakoniec umówiono się o jutrzejszą podróż. Nazajutrz, dość wcześnie Krzycki przybyć miał po towarzyszkę swoję. Mieli przed sobą mil jedenaście, ale, jeżeli wyjadą o dziesiątéj z rana, zobowiązał się przywieźć ją do matki przed północą.

Nazajutrz pokój Pauli, ten rozkoszny pokój z portyerami, dywanami, lampami i kadzielnicą, świadkiem był długich, łzawych pożegnań jéj z Janem. Rozłączenie zatarło w obojgu pamięć o wszelkich urazach i niezadowoleniach, a rozbudziło najsłodsze wspomnienia i najgorętsze uczucia. Nie na długo wprawdzie rozłączali się, bo Paula przyrzekała wrócić, gdy tylko matce jéj będzie nieco lepiéj, a na wypadek, gdyby długo jéj tam pozostać przyszło, Jan ją odwiedzi.

— Przyjedź, Jasiu, przyjedź koniecznie... jabym bez ciebie już żyć nie mogła... O! te chwile, któreśmy razem spędzili, czy one jeszcze wrócą? Muszą wrócić! nie prawdaż, że muszą wrócić? Ja-bym rozstania z tobą na zawsze nie przeżyła! Pisz tylko do mnie, pamiętaj, co tydzień, dwa razy na tydzień, nie! nie... codzień!... Ja także

pisać będę co dwa dni, albo i codzień... mój ty najdroższy!

Z Ożymskim, który stawił się, o ile mógł najwcześniéj, pożegnała się z serdecznością rodzonéj siostry, a kiedy Krzycki, w eleganckiém podróżném ubraniu, stanął w progu, była już zupełnie do podróży gotową. W białém świetle zimowego ranka, Julek Krzycki wyglądał jeszcze młodziéj, niż wczoraj. Było to po prostu dziecko. Z białą swą i różową twarzą, płowym wąsikiem, szczupłą postacią i blademi marzącemi oczyma, miał pozór pretensyonalnego trochę i wypieszczonego, ale dobrego i potulnego „blanbeka.” W ugrzecznionéj postawie i z kosztowną czapeczką futrzaną w ręku, oczekiwał na towarzyszkę swą, a gdy Paula, w zgrabném futerku i ze łzami w oczach, raz jeszcze żegnała swych przyjaciół, okazał się prawie rozrzewnionym i, z wyrazem uszczęśliwienia na twarzy, prowadził ją ku stojącéj przed bramą domu karetce na saniach, czterma siwemi końmi zaprzężonéj. Drzwiczki karety zamknęły się ze stukiem, przez okno jéj rzewnie uśmiechnięta twarz kobiéca raz jeszcze wyjrzała i ptasie skrzydło zamigotało; stangret, którego wąsy opadały aż na niedźwiedzi kołnierz liberyjnego surduta, z bicza klasnął; gromada żydziąt, na dziedzińcu zebrana, przeraźliwie wrzasnęła; dzielne siwki zgrabną karetkę porwały i — wszystko umilkło, i wszystko zniknęło!

Zniknęła! Po zniknięciu tém, przez cały miesiąc, codziennie, w mieszkaniu lub na ulicy, Ożymski zapytywał Mirewicza.

— Cóż? list?

Przez piérwszych parę tygodni odpowiedź brzmiała:

— Otrzymałem wczoraj!

Albo:

— Otrzymałem dziś.

W tygodniu trzecim na pytanie przyjaciela Mirewicz chmurnie odrzekł:

— Od tygodnia już nie pisała.

Chmurny był teraz ciągle, zamyślony i roztargniony. Ktokolwiek znał go, zauważyć musiał, że wymizerniał w sposób obawę budzący. Policzki mu pozapadały, zżółkł. Ktoś z blizkich znajomych, ujrzawszy go, zawołał:

— Co ci się stało? Czyś suchot dostał?

Suchot nie miał jeszcze, ale widoczném było, że toczyły go jadowite robaki zgryzot. Czasem, gorączkowym krokiem przechadzając się po mieszkaniu swém, uderzał się dłonią w czoło i wołał:

— A to dopiéro położenie! ani w prawo, ani w lewo!

Ożymski przychodził do niego codziennie, ale zamiast, jak dawniéj, czytać, albo dysputować, albo głośno i długo na losy swe wyrzekać, siadali naprzeciw siebie i siedzieli nieruchomi, w grobowém milczeniu pogrążeni. Raz Mirewicz, nie podnosząc oczu, odezwał się:

— Wiész co? jeżeli tak dłużéj potrwa, klientelę stracę. Zaniedbuję interesa i czuję się do niczego niezdatnym.

Ożymski nie odpowiedział nic i dopiéro po długim kwadransie milczenia, rzekł:

— I ja tak samo. Bardzo przypuszczam, że lada dzień z biura mnie wypędzą.

Znowu obaj opuścili głowy na piersi i z oczyma szklisto utkwionemi w przestrzeń, milczeli. Po kwadransie,

Ożymski przemówił znowu:

— Jakże potężnym jest wpływ kobiéty!

Innym razem, kamedulskie posiedzenie swe z przyjacielem Mirewicz przerwał zapytaniem:

— Jak myślisz? czy ja dla niéj mam istotnie obowiązki jakie?

Wedle Ożymskiego, nie ulegało to wątpliwości żadnéj. W sercu kobiéty, takiéj szczególniéj kobiéty, obudzić miłość, a potém zawieść ją... było-by to postępkiem szkaradnym. Obowiązek wypływał tu wprost z miłości, nie był więc obowiązkiem, był rozkoszą. Z wyrazu twarzy Jana, zgadnąć było można, że nie podzielał on w zupełności zdania Ludwika we względzie rozkoszy. Gdyby jéj zresztą choć trochę jeszcze doświadczał, zmąconą-by ona była przez zjawiającego się we drzwiach mieszkania Chackiela-lichwiarza.

Przy końcu piątego tygodnia, Ożymski zapytał znowu:

— Cóż? list?

Było to na ulicy, naprzeciw domu Skierskiego, owego domu z sześciu frontowemi oknami i ogródkiem. W zimie, zarówno jak w lecie, dom ten wyglądał schludnie i wdzięcznie, a wzrok, zmęczony monotonnemi ścianami kamienic i brzydkiemi szlakami bruku, spocząć mógł na nim z przyjemnością. Czuć było, że w ścianach jego obszernie być musiało, ciepło i przytulnie. Klony w ogródku świeciły i migotały dyamentami szronu.

— List? z roztargnieniem powtórzył Mirewicz, a tak! otrzymałem! dziś zrana otrzymałem!

— Zlituj się! czemuż mi o tém nie mówisz? cóż ona

pisze?

— A cóż? Zawsze jedno i to samo: że roboty ma dość dużo, Jańcia zdrowa i często mię wspomina, że niczego nie potrzebuje...

— Janie! o kim ty mówisz! O żonie swojéj?

— No tak; alboż co?

— Ja cię pytałem o list od Pauli!

Czoło Mirewicza zbiegło się w tysiąc zmarszczek.

— A! Od Pauli! nie miałem! Od trzech blizko tygodni listu od niéj nie miałem!

— Jakto! i tak obojętnie to znosisz? Jabym poleciał!

Mirewicz ręką machnął.

— At! — rzekł — tak to łatwo latać!

Rozmawiając tak, stali na chodniku. Mirewicz często wejrzenia rzucał na dom Skierskiego. Parę razy westchnął i dłoń po czole przeciągnął.

Tego samego dnia, gdy wrócił do domu, oddano mu list, z poczty przyniesiony. Na kopercie poznał pismo Pauli. Po trzech tygodniach milczenia, odezwała się nakoniec. Rozdzierając kopertę, wzruszony był widocznie. Doświadczył takiego wrażenia, jakby w uszach jego zadzwonił znowu głos, który przez miesięcy kilka strumienie miodu wlewał mu do piersi, jakby przed wzrokiem jego mignęła znowu twarz, z któréj przez miesięcy kilka wyczytywał czarujące zgłoski mądrości głębokiéj i najognistszéj miłości. Ręce mu drżały trochę, gdy papiér rozwijał, a oczy, rozpłomienione znowu, chciwie list czytać zaczęły. Czytając zarumienił się naprzód gwałtownie, potém zbladł, potém po twarzy jego

przelatywały z kolei ognie bólu i śmiechu, radości i gniewu. Doświadczał snadź wszystkich tych uczuć, dopóki list czytał, a gdy go już przeczytał, długo w téj saméj, co przy czytaniu, postawie pozostał i myślał... Myślał. Nagle, porwał się z miejsca, spojrzał na zegarek, wielkim głosem zawołał na służącą, aby mu worek podróżny podała i z pośpiechem nadzwyczajnym jął do worka tego przedmioty różne wkładać. Spieszył, że aż mu ręce drżały; potém wyjął z kieszeni pugilares, przeliczył znajdującą się tam, drobną niestety, kwotę pieniędzy, włożył paltot i worek z ziemi podniósł. W téj saméj chwili wszedł do przedpokoju Ożymski.

— Co to? jedziesz? dokąd?

— Do Onwilu, po żonę i dziecko! — z błyszczącemi oczyma odparł Mirewicz.

— A... a... a... ona?

Mirewicz postawił na ziemi worek i, chwytając ze stołu list Pauli, podał go przyjacielowi.

Ożymski, wzruszony bardzo, czytać zaczął wyrazy następujące:

„Drogi Jasiu! *Tout passe, tout casse, tout lasse*! Czuję się tak zmęczoną walkami życia, że najniespodziewaniéj dla siebie saméj, z rozkoszą wstępuję na tę oazę spokoju i szczęścia, do któréj wprowadza mię szlachetny mój Julian. Od tygodnia jestem narzeczoną młodzieńca tego, w którym po raz piérwszy w życiu znalazłam doskonałe połączenie przymiotów charakteru, umysłu i dobrego smaku, jakie zawsze były ideałem moim. Nie wiem, Jasiu, jak mię osądzisz, ale ja inaczéj uczynić nie mogę. Kiedy z ust

Juliana po raz piérwszy usłyszałam słowo: kocham! sprawiło to na mnie piorunujące wrażenie. Słowo to zawsze działało na organizacyą moję z potęgą wielką, ale Juliana pokochałam całą siłą uczuć mych, uczuć kobiety-burzy. Matka moja z radości, jaką sprawił jéj ten niespodziewany wypadek, wyzdrowiała prawie, a co najmniéj, stan zdrowia jéj polepszył się na długo. Będzie ona przy nas mieszkać i za wszystkie lata nieobecności kochać i pielęgnować ją będę. Nakoniec, Julian jest bogatym, a środki materyalne, mój Jasiu, dla szczęścia indywidualnego, zarówno jak dla należnego rozwoju wszystkich sprężyn natury naszéj, są rzeczą nadzwyczaj ważną. Bo nie myśl wcale, abym w dostatkach zamierzała opuścić ręce, gnuśnieć i żyć życiem niższego rzędu. O! nie! Ja nigdy, nigdy nie przestanę spoglądać ku wysokim szczytom i wzlatywać ku nim orlemi skrzydły! Dom mój stanie się przybytkiem piękna, w którym ludzie poznawać będą wysokie znaczenie estetyki, w stosunku do psychicznego i socyologicznego rozwoju organizacyi pojedyńczych i zbiorowych. Zajmę się téż gorliwie losem biednych chłopków, szerzyć będę idee postępu w ciemnym i zacofanym kącie, do którego przyniosły mię dziwne koleje losu, dla tego może, aby uczynić ze mnie dzielniejszą jeszcze, niż dotąd, pionierkę oświaty. Wnet także pracować zacznę nad wznoszeniem poziomu tego, na jakim znajduje się w tych stronach gospodarstwo kobiéce, bo przekonałam się teraz, że jest to niezmiernie ważna gałąź ekonomii powszechnéj i, aby módz ją lepiéj opracowywać, wypisałam już sobie sporo dzieł wielce cennych, o tym przedmiocie traktujących.

Oprócz tego, na zimowe miesiące wyjeżdżać będziemy do Warszawy, gdzie, z pomocą wyborowych nauczycieli, doskonalić się będę w muzyce, a może téż... może... Czy wiész, że Julian nie podziela wcale zdania twego o moich pisarskich zdolnościach? Przeciwnie, powieść moja pod tytułem: „Amerykanka w Europie” sprawiła na nim ogromne wrażenie, a wiersz francuzki, nie wiem, czy go pamiętasz, zaczynający się od słów: „*Tes yeux de demon, o! paradis d’amour!*” umié już on na pamięć. Może więc, przy bliższém zetknięciu się z literackim światem, tryśnie ze mnie ten ogień święty, który stworzył Sanda, Elliota i tyle innych kobiét, przed którymi świat kornie czoło ugiąć musiał. Widzisz, Jasiu, jak szerokie i wzniosłe perspektywy otworzyły się przede mną, i ty, który masz także naturę bogatą i do lotów zdolną, zrozumiész, że dla względów żadnych nie mogłam i nie powinnam była się ich wyrzec. Julian zachwycony jest planami memi i utrzymuje, że ja dopiéro piérwsza rozbudziłam w nim, drzemiące dotąd, sprężyny myśli i czynu. Pełnym od jest szlachetnych popędów i zapałów, a tylko potrzebował natchnienia, bodźca, kierunku. Ach! Jasiu, gdybyś wiedział, jak to piękna, poetyczna natura! i jaka to młodzieńcza, bezwarunkowa, poddańcza niemal miłość. Jest to miłość, która wszystko rozumié i wszystko przebacza. Nie oszukiwałam go. O, nie! Otwartość i odwaga przekonań pozostaną nazawsze cechami indywidualności mojéj. Powiedziałam mu wszystko... co było tam... i co było tu... i o mojéj biednéj Reginie-Wiktoryi. Zwierzenia moje wywarły na nim z razu wrażenie ogromne. Wysłuchawszy

ich, był tak wzruszonym, że wypił odrazu karafkę zimnéj wody i widziałam, jak srogą walkę toczył z przesądami, które najpotężniéj jeszcze panują w téj sferze towarzyskiéj, do jakiéj on należy, i z pod których władzy jeszcze się całkiem nie wyemancypował. Ale miłość, ta najpotężniejsza ze sprężyn, przemogła wszystko. Gdy ujrzał mię zbladłą, słabą, zrozpaczoną, upadł przede mną na kolana i powiedział te piękne słowa, które dla jednego z utworów moich za dewizę wzięłam: „*l'amour, c'est une autre innocence*."

„Słowem, szczęśliwą jestem, Jasiu, tak jak nigdy jeszcze nie byłam. Za tygodni parę ślub nasz odbędzie się w wiejskim kościółku, gdzie błogosławić nam będą przodkowie Juliana, których portrety zdobią jednę ze ścian świątyni, i tłumy tych miłych chłopków, którzy i dziś już, wiedząc, że będę panią Krzywina, z uszanowaniem schylają przede mną głowy."

„A teraz, drogi Jasiu, żegnam cię i błagam, abyś nie poddawał się boleści, którą ci sprawi rozstanie się ze mną. Człowiek myślący rozpaczać nie powinien nigdy. Tyle jest na świecie dróg, tyle promieni, tyle źródeł szczęścia! Pociesz się myślą, żem ja szczęśliwa. Niech miłość twoja dla mnie wspaniałomyślną będzie. Kiedyś, kiedyś, gdy łzy twe oschną i ognie zagasną, przyjedź do Krzywina. Przyjmę cię, jak siostra najukochańszego brata. Tymczasem, przyślij mi tu biblioteczkę moję i część mojéj garderoby, którą u ciebie zostawiłam. Mama pozdrawia cię i błogosławi. Gdy będę już żoną Juliana, odeślę ci dług pieniężny, który u ciebie zaciągnęłam. Przyjacielu! bracie! bądź zdrowym i

szczęśliwym!”

„*P.S.* Panu Ludwikowi śliczne ukłony zasyłam. O! on mię zrozumié! Natura to bogata. W przyjacielu tym, Jasiu, posiadasz skarb prawdziwy!”

„Skarb” przestał czytać, i blady, skrzywiony, wytrzeszcznonemi oczyma na Mirewicza patrzał.

— Co to? — przemówił nakoniec — jakto? co to się stało?

Mirewicz przez zaciśnięte zęby odrzekł:

— Stało się to, że... że... złapała!...

Automatycznie wstrząsając głową, Ożymski przerwał:

— Ona... ona... czyżby ona zdolną była złapać!?...

— Nie... ale on sam...

— Złapał się!

— Błazen!

Znowu patrzali na siebie w milczeniu. Ludwik piérwszy wyjąkał.

— A... a... a... medycyna?

— „Artelia?” jak echo powtórzył Mirewicz.

— Ten wstręt do więzów...

— I do Panurgowego stada...

— Nauczycielstwo, autorstwo...

— Lasalle... Delitsch... Marx...

— Wielka i dogrobowa miłość dla ciebie...

— Cha, cha, cha, cha, cha!

Był to śmiech, który od kilku już minut zbierał się w gardle Mirewicza, migotał mu w oczach i wił się po wargach, a teraz wybuchnął niepohamowany, głośny, długi, szalony...

Ożymski na śmiejącego się przyjaciela patrzał chwilę z oburzeniem i osłupieniem, lecz potém i w jego czarnych oczach błyskać poczęły swawolne ogniki, i jego usta drgnęły, aż nakoniec przegiął się nieco w tył, ręce rzucił w powietrze i wielkim głosem krzyknąwszy:

— O, wspaniałe, monumentalne, kapitalne głupstwo! — zaniósł się téż długim, głośnym, niepohamowanym śmiechem.

— Cha, cha, cha! Ludwiku, zajmij się, proszę... cha, cha, cha, spakowaniem i wysłaniem téj biblioteki... cha, cha, cha, cha... i téj garderoby... cha, cha... a ja jadę, lecę, przepraszam, przywożę... cha, cha, cha...

— Cha, cha, cha... może-by te meble z jéj pokoju sprzedać, tobyś Chackielowi część długu... cha, cha, cha... kolosalne głupstwo, w długi włazić... cha, cha, cha... żonie twojéj oszczędzić może trzeba przypomnienia, cha, cha, cha...

Śmiał się Mirewicz, jadąc dorożką ku dworcowi kolei, a do wagonu wsiadłszy, aby go ludzie za waryata nie wzięli, ukrył twarz w futrzanym kołnierzu i śmiał się jeszcze. Śmiał się Ożymski, z pomocą służącéj układając w kuferek bibliotekę i garderobę Pauli, a po ukończeniu pracy téj, na ulicę wybiegłszy, ukrył twarz w kołnierzu paltota i śmiał się jeszcze. Śmiała się wieczoru tego cichym, rozrzewnionym śmiechem stara Ożymska, gdy syn jéj, klęcząc przed nią i ręce jéj całując, o powrót Julki pod dach swój prosił i akuratnie do biura chodzić przyobiecał. Śmiała się z bladém czołem swém, od radości rozpromieniona, Józefa, gdy Mirewicz, z wielkim pędem do mieszkania jéj wpadłszy, w

nieśmiałéj i o przebaczenie proszącéj postawie przed Anną stanął. Śmiała się aż do łez stara pani Ignacowa, która, o całéj historyi téj od Józefy wiedząc, zawsze jéj koniec taki przepowiadała. Śmiały się rozgłośnie, o łacinie swéj na chwilę zapominając i wszystkich szczęśliwych dokoła siebie widząc, dwie gimnazyalistki. Śmiała się srebrnie i pieszczotliwie mała Jańcia, ku ramionom ojca wspinając się i w uścisk jego porwana. Śmiała się nakoniec ze łzami w oczach Anna, do opuszczonego królestwa swego wchodząc, a gdy Mirewicz opowiedział jéj wszystkie straty swe, kłopoty i wyrzuty sumienia, szyję jego ramionami otaczając i raźnie mówiąc:

— Młodzi jeszcze jesteśmy, Jańcia mała... powoli, powoli, zapracujemy znowu, naprawimy... zapomnim!

KONIEC.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Eliza Orzeszkowa.*

O tej publikacji cyfrowej

Ten e-book pochodzi z wolnej biblioteki internetowej Wikiźródła[1]. Biblioteka ta, tworzona przez wolontariuszy, ma na celu stworzenie ogólnodostępnego zbioru różnorodnych publikacji: powieści, poezji, artykułów naukowych, itp.

W publikacji została zachowana oryginalna ortografia, oczywiste błędy w druku zostały poprawione przez redaktorów Wikiźródeł. Przypisy dodane przez redaktorów oznaczono logiem Wikiźródeł.

Wersja źródłowa tego e-booka znajduje się na stronie: Z różnych sfer

Książki z Wikiźródeł są dostępne bezpłatnie, począwszy od utworów niepodlegających pod prawo autorskie, poprzez takie, do których prawa już wygasły, i kończąc na tych, opublikowanych na wolnej licencji. E-booki z Wikiźródeł mogą być wykorzystywane do dowolnych celów (także komercyjnie), na zasadach licencji Creative Commons Uznanie autorstwa-Na tych samych warunkach wersja 4.0[2].

Wikiźródła wciąż poszukują nowych wolontariuszy. Przyłącz się do nas![3]

Możliwe, że podczas tworzenia tej książki popełnione zostały pewne błędy. Można je zgłaszać na tej stronie[4].

W tworzeniu niniejszej książki uczestniczyli następujący wolontariusze:

- Ankry
- Salicyna
- WM
- Joanna Le
- Beau.bot
- Cathy Richards
- Tommy Jantarek
- Teukros
- Wieralee
- Nutaj
- Paelius
- Vearthy
- Seboloidus
- Pacak
- Mudbringer
- Sergey kudryavtsev
- Viatoro
- Himiltruda
- Lukasz2
- Piotr433

- Bonvol
- Sp5uhe
- Niki K
- Beau
- PMG
- Ajsmen91
- Nostrix
- Wikisource-bot
- Aarienn
- Maitake
- Shlomo
- Abronikowski
- Airam57
- Waćpan
- Anagram16
- Rocket000
- Boris23
- KABALINI
- Bromskloss
- Tene~commonswiki
- AzaToth
- Bender235
- PatríciaR

---

1. ↑ https://pl.wikisource.org
2. ↑ http://www.creativecommons.org/licenses/by-sa/4.0/

3. ↑ https://pl.wikisource.org/wiki/Wikiźródła:Pierwsze_kroki
4. ↑ http://pl.wikisource.org/wiki/Wikisource:Skryptorium